

DIANA
GABALDON



Jesienne werble

Wyrwana z własnych czasów przez sily,
których nie rozumie, trafia w świat niebezpieczeństwa
i płomiennej namiętności.

PUBLICUM

Świat Książki

Diana Gabaldon

Jesienne werble

(Drums of Autumn)

Prolog

Nigdy nie bałam się duchów. W końcu żyję z nimi na co dzień.

Gdy spoglądam w lustro, patrzę na mnie oczy mojej matki; usta wyginają się w uśmiechu, który zmienił losy mojego pradziadka i pozwolił mi się urodzić.

Nie, dlaczego miałabym się obawiać dłoni, które choć już nie istnieją, nie wiedzą o tym i wciąż dotykają mnie z miłością? Jak mogłabym bać się tych, którzy uformowali moje ciało i których pozostałości żyją jeszcze długo po tym, jak oni sami obrócili się w proch?

Jeszcze mniej mam powodów, by obawiać się duchów, które przelotnie dotykają moich myśli. Pełna jest ich każda biblioteka.

Mogę zdjąć książkę z zakurzonej półki i zanurzyć się w myślach osób, które już dawno umarły, a jednak wciąż pozostają pełne życia na pokrytych słowami arkuszach.

Oczywiście to nie te udomowione i rozpoznane duchy sprowadzają koszmary senne i wzbudzają niepokój na jawie. Obejrzyj się, przybliź światło do ciemnych zakamarków. Posłuchaj echa kroków za sobą, gdy idziesz gdzieś samotnie.

Przez cały czas duchy przemykają obok nas i przez nas i skrywają się w przyszłości. Patrzymy w lustro i widzimy cienie innych twarzy patrzących na nas poprzez

lata; widzimy kształty pamięci w otwartych, pustych drzwiach. Przez nasze dziedzictwo i wybory sami stwarzamy własne duchy, sami siebie nawiedzamy.

Wszystkie duchy przybywają nieproszone z mglistego terytorium snów i ciszy.

Nasz racjonalny umysł mówi: „Nie, to nieprawda”.

Ale inna, starsza część nas samych cicho szepcze w mroku: „Ale to mogłaby być prawda”.

Przychodzimy z tajemnicy i w tajemnicę odchodzimy, a po drodze próbujemy zapomnieć, ale od czasu do czasu czuję w pustym pokoju przepelniony uczuciem podmuch powietrza i włosy podnoszą mi się na głowie. Myślę, że to moja matka.

CZĘŚĆ PIERWSZA

Nowy wspaniały świat

1. Powieszony w raju

Charleston, czerwiec 1767

Werble było słycać już z daleka. Czulaam echa ich uderzeń w żołądku, jakbym sama była pusta w środku. Ostry, marszowy rytm, który przebija się nawet przez kanonadę broni palnej, niósł się ponad tłumem. Ludzie milkli i odwracali głowy w stronę fragmentu East Bay Street, widocznego między wzniesionym do połowy szkieletem nowego urzędu celnego a ogrodami White Point.

Dzień był upalny nawet jak na Charleston w czerwcu. Najlepsze miejsca znajdowały się na przybrzeżnym wale, gdzie powietrze odrobinę się poruszało. Niżej, tu gdzie my staliśmy, można było upiec się żywcem. Koszulę miałam zupełnie mokrą, bawełniany gorset przyklejał mi się do skóry między piersiami. Po raz

dziesiąty w ciągu ostatnich paru minut otarłam twarz i uniosłam ciężki pierścień włosów w płonnej nadziei na chłodniejszy powiew na karku.

W takiej chwili nie sposób zapomnieć o istnieniu szyi. Dyskretnie podniosłam rękę i dotknęłam swojej. Krew w tętnicach pulsowała w jednym rytmie z uderzeniami werbli, gorące, wilgotne powietrze dławiło gardło przy każdym oddechu.

Szybko opuściłam rękę i głęboko odetchnęłam. To był błąd.

Stojący przede mną mężczyzna nie kąpał się co najmniej od miesiąca.

Brzeg jego koszuli tuż przy masywnym karku był czarny od brudu, a całe ubranie wydzielало kwaśny, spleśniały odór, który ostro przebijał przez woń spoconego tłumu. Zapachy gorącego chleba i rozgrzanego smalcu, napływające ciężką falą od strony straganów z jedzeniem, mieszały się z wonią gnijących wodorostów z bagien. Lekki powiew słonej bryzy znad zatoki nie pomagał wiele.

Widziałam przed sobą kilkoro dzieci. Wyciągały szyje i rozglądały się dokoła, wybiegając spod dębów i karłowatych palm, by wyrzeć na ulicę, a potem wracały, nawoływane przez niespokojnych rodziców. Szyja dziewczynki znajdującej się najbliżej mnie, smukła i krucha, przypominała wiotkie źdźbło trawy.

Przez tłum przebiegło poruszenie. Na odległym końcu ulicy pojawił się orszak ze skazańcami. Werble zabrzmiały głośnie.

- Gdzie on jest? - wymamrotał stojący obok mnie Fergus, wyciągając szyję ponad tłumem. - Mówiłem, że

trzeba było pójść razem z nim.

- Przyjdzie. - Miałam ochotę wspiąć się na palce, ale wydawało mi się to niewłaściwe.

Rozejrzałam się jednak dokoła. Zawsze udawało mi się wypatrzeć Jamiego w tłumie. Przerastał większość ludzi o głowę, a jego włosy w promieniach słońca przypominały złotorudy płomień. Nie było go jednak widać, przed sobą miałam tylko niespokojne morze czepków i trójgraniastych kapeluszy, ochraniających przed upałem tych, którzy przyszli zbyt późno, by znaleźć miejsce w cieniu.

Najpierw pojawiły się flagi, powiewające nad głowami podnieconego tłumu: flaga Wielkiej Brytanii, Królewskiej Kolonii Karoliny Południowej i jeszcze jedna, z herbem rodowym lorda gubernatora kolonii. Dalej szli werbliści, dwójkami, w równym rytmie: raz - i dwa, raz - i dwa. Był to powolny, ponury marsz.

Marsz umarłych, chyba tak nazywał się ten konkretny rytm; bardzo stosownie, zważywszy na okoliczności. Łoskot werbli zagłuszał wszelkie inne dźwięki.

Po nich pojawił się pluton żołnierzy w czerwonych mundurach, a pomiędzy nimi więźniowie. Było ich trzech, połączonych łańcuchem przeciągniętym przez pierścienie przymocowane do żelaznych obroży na szyjach, z rękami skrępowanymi z przodu. Pierwszy z nich wyglądał na włóczęgę - drobny, starszy, w łachmanach, zupełna ruina człowieka, garbił się i potykał co krok. Idący obok więźniów kapłan w ciemnym ubraniu co chwilę musiał podtrzymywać go za ramię, chroniąc przed upadkiem.

- Czy to Gavin Hayes? Wygląda na chorego -

powiedziałam do Fergususa.

- Jest pijany - odezwał się cichy głos za moimi plecami.

Odwrociłam się. Jamie, ze wzrokiem utkwionym w żalobną procesję, stał tuż przy moim ramieniu.

Chwiejny krok drobnego mężczyzny zakłócał porządek orszaku.

Przy każdym jego potknięciu dwaj mężczyźni przykuci do niego łańcuchem musieli gwałtownie zmieniać kierunek, by utrzymać się na nogach. Razem wyglądali jak trzej pijacy, toczący się w stronę domu w drodze z miejscowej tawerny; to wrażenie niedorzecznie klóciło się z powagą sytuacji. Ponad odgłosem werbli słyszałam śmiechy, a także okrzyki i docinki obserwatorów stojących na balkonach z kutego żelaza, którymi ozdobione były domy przy East Bay Street.

- To twoja sprawka? - zapytałam cicho, by nie zwracać na siebie uwagi, choć równie dobrze mogłabym krzyczeć na cały głos i wymachiwać rękami, ponieważ oczy wszystkich skupione były na ulicy.

Raczej poczułam, niż zobaczyłam, że Jamie wzruszył ramionami.

Przesunął się o krok i znalazł się obok mnie.

Prosił mnie o to - odrzekł. - Nic więcej nie mogłem dla niego zrobić.

- Brandy czy whisky? - zapytał Fergus, wprawnym okiem szacując wygląd Hayesa.

- Fergusie, dajże spokój. Ten człowiek jest Szkotem.

- Głos Jamiego był równie spokojny jak twarz, ale zabrzmiała w nim ledwo wyczuwalna nuta napięcia. - Jasne,

że whisky.

- Mądry wybór. Przy odrobinie szczęścia nawet nie zauważy, kiedy go powieszą - mruknął Fergus.

Drobny mężczyzna wysunął się z uchwytu kaznodziei i upadł prosto na twarz na piaszczystą drogę, pociągając za sobą jednego ze swych towarzyszy, który osunął się na kolana. Trzeci więzień, wysoki młody mężczyzna, zdołał ustać na nogach, lecz gwałtownie zachwiał się na boki, desperacko próbując utrzymać równowagę. Tłum zapiał z zachwytem.

Twarz kapitana gwardii między białą peruką a metalowym ryngrafem przybrała purpurowy odcień. Przy akompaniamencie ponurego dudnienia werbli kapitan wyszczerzył rozkaz i jeden z żołnierzy szybko odpiął łańcuch łączący więźniów ze sobą. Dwóch innych bezceremonialnie szarpnęło Hayesa za ramiona, podniosło go i procesja znów ruszyła, tym razem składniej.

Śmiechy ucichły, gdy dotarli do szubienicy. Pod konarami olbrzymiego dębu stał dwukołowy wózek zaprzężony w muły.

Czułam wibracje werbli w podszewkach stóp. Od słońca i zapachów zbierało mi się na mdłości. Naraz werble ucichły i w uszach rozdzwoniła się cisza.

- Nie musisz na to patrzeć, Angielko - szepnął do mnie Jamie. - Wracaj do wozu. - On sam nie odrywał wzroku od Hayesa, który, wciąż podtrzymywany przez żołnierzy, rozglądał się nieprzytomnym wzrokiem, chwiejąc się na nogach i mamrocząc coś pod nosem.

Patrzenie na egzekucję było ostatnią rzeczą, na jaką miałabym ochotę, ale nie mogłam zostawić Jamiego

samego. Przyszedł tu ze względu na Gavina Hayesa, a ja ze względu na niego. Dotknęłam jego dłoni.

- Zostanę.

Wyprostował ramiona i posunął się o krok do przodu, stając tak, by być dobrze widocznym pośród tłumu. Jeśli Hayes był jeszcze na tyle trzeźwy, by cokolwiek dostrzec, to ostatnią rzeczą, jaką zobaczy na tej ziemi, będzie twarz przyjaciela.

Owszem, był wystarczająco trzeźwy. Gdy podnoszono go na wózek, rozpaczliwie rozglądał się we wszystkie strony, wykręcając szyję.

- Gabhainn! A charaid! - wykrzyknął nagle Jamie.

Hayes natychmiast odnalazł go wzrokiem i przestał się szarpać.

Stał spokojnie, kołysząc się lekko, gdy odczytywano mu wyrok za kradzież wartości sześciu funtów i dziesięciu szylingów. Cały pokryty był czerwonym pyłem. Na brodzie, porośniętej krótkim, siwym zarostem, drżały kropelki potu. Pochylony w jego stronę kaznodzieja szeptał mu coś do ucha.

Werble podjęły miarowy rytm. Kat przesunął pętlę przez łysiejącą głowę i mocno zacisnął, precyzyjnie umiejscawiając węzeł pod samym uchem. Kapitan gwardii stał wyprężony, z uniesioną szablą.

Naraz skazaniec wyprostował się i z oczami utkwionymi w twarzy Jamiego otworzył usta, jakby chciał coś powiedzieć.

Szabla błysnęła w porannym słońcu, werble zadudniły raz jeszcze i zamilkły. Spojrzałam na Jamiego: usta miał białe, oczy szeroko otwarte i nieruchome. Kątem

oka dostrzegłam szarpnięcie liny oraz lekkie drgnięcie ciała przypominającego worek łachmanów. W dusznym powietrzu rozszedł się ostry odór uryny i kału.

Stojący po mojej drugiej stronie Fergus obserwował całą scenę bez emocji.

- Chyba nas jednak zauważył - mruknął z żalem.

Bezwładne ciało zakołysało się lekko, wahadłowym ruchem, niczym zawieszony na sznurku pion murarski. Przez tłum przebiegło westchnienie grozy i ulgi. Na rozpalonym niebie skrzeczały rybitwy.

Od strony zatoki dochodziły dźwięki stłumione przez ciężkie powietrze, ale my znajdowaliśmy się w pierścieniu ciszy. Z miejsca, w którym stałam, słyszałam ciche kap... kap... kap... kropel spadających na ziemię z czubka rozkołysanego buta skazańca.

Nie znałam Gavina Hayesa i nie miałam powodów, by rozpaczać nad jego śmiercią, jednak cieszyło mnie, że zgon nastąpił szybko.

Zerknęłam na niego przelotnie, z dziwnym wrażeniem, jakbym naruszała jego prywatność. Czułam się zażenowana, patrząc na tak intymną czynność wykonywaną na oczach tłumu.

Kat znał się na swoim fachu. Obyło się bez niegodnej szamotaniny, wytrzeszczonych oczu i wystawionego języka. Drobną, okrągłą głową Gavina przekrzywiła się raptownie na bok, szyja wyprężyła się groteskowo, ale kark wyraźnie był złamany.

Kapitan gwardzistów, usatysfakcjonowany śmiercią Hayesa, gestem szabli nakazał wprowadzić pod szubienicę następnego skazańca. Powędrował wzrokiem wzdłuż

szeregu czerwonych mundurów i naraz jego twarz stężała z wściekłości, a w tłumie rozległy się okrzyki podniecenia. Ludzie odwracali głowy i odpychali sąsiadów, próbując dostrzec coś tam, gdzie niczego nie było.

- Nie ma go!

- Tam jest!

- Trzymajcie go!

Trzeci więzień, wysoki, młody mężczyzna, wykorzystał chwilę śmierci Gavina do ucieczki i prześlizgnął się obok gwardzisty, który powinien go pilnować, lecz zamiast tego z fascynacją wpatrywał się w szubienicę.

Zauważyłam jakieś poruszenie za jednym ze straganów. W słońcu błysnęły jasne włosy. Kilku żołnierzy również je dostrzegło i ruszyło w tę stronę, ale pozostali rozbiegli się w innych kierunkach. Wszyscy zderzali się ze wszystkimi i na placu zapanował zamęt. Kapitan gwardzistów krzyczał coś z purpurową twarzą, ale jego głos nie zdołał przebić się poprzez zgiełk. Drugiego więźnia, który wydawał się zupełnie ogłuszony, pochwycono i poprowadzono z powrotem do budynku trybunału. Pod naporem krzyków kapitana czerwone kurtki pospiesznie wracały do szyku.

Jamie objął mnie w pól i odciągnął na bok. Tłum cofał się, ustępując przed oddziałami żołnierzy, którzy sformowali szeregi i pod dowództwem wściekłego, ponurego sierżanta odmaszerowali, by otoczyć teren.

- Poszukajmy lepiej Iana - powiedział Jamie, wymijając grupę podnieconych czeladników. Spojrzał na Fergususa i ruchem głowy wskazał na platformę z ponurym

ładunkiem. - Zabierz ciało, dobrze?

Spotkamy się później Pod Wierzbą.

- Myślisz, że go złapią? - zapytałam, gdy przepychaliśmy się przez tłum na brukowanej uliczce prowadzącej w stronę nabrzeża.

- Myślę, że tak. Gdzie niby miałby uciec? - odrzekł nieobecny głosem, z pionową zmarszczką między brwiami. Najwyraźniej wciąż myślał o zmarłym i niewiele uwagi pozostało mu dla żywych.

- Czy Hayes miał jakąś rodzinę? Jamie pokręcił głową.

- Pytałem go o to, gdy przyniosłem mu whisky. Mówił, że jego brat chyba jeszcze żyje, ale nie miał pojęcia, gdzie się podziewa.

Zesłano go wkrótce po powstaniu, Hayes sądził, że do Wirginii, jednak od tamtej pory nie miał od niego żadnych wiadomości.

Nie było w tym nic dziwnego. Zesłaniec nie miał jakiegokolwiek możliwości kontaktu z krewnym pozostałym w Szkocji, chyba że pracodawca okazał się na tyle miły, by wysłać list w jego imieniu. A poza tym to bardzo mało prawdopodobne, by list dotarł do Gavina Hayesa, który przez dziesięć lat przebywał w więzieniu Ardsmuir, nim sam również doczekał się transportu.

- Duncan! - zawołał Jamie.

Wysoki, szczupły mężczyzna odwrócił się i podniósł dłoń w pozdrowieniu, a potem zręcznie niczym korkociąg przebił się przez tłum, odpychając przechodniów szerokimi ruchami jedynej dłoni.

- Mac Dubh. Pani Claire - skłonił głowę.

W rysach jego pociągłej, szczupłej twarzy malował się zastygły smutek. On również był kiedyś więźniem w Ardsmuir, razem z Hayesem i Jamiem, ale ponieważ na skutek zakażenia krwi stracił ramię, nie został zesłany razem z nimi. Nie nadawał się, by sprzedać go do pracy, udzielono mu więc amnestii i wypuszczono na wolność, by głodował. W takim stanie odnalazł go Jamie.

- Biedny Gavin. Świeć Panie nad jego duszą - powiedział teraz Duncan, kręcąc głową.

Jamie w odpowiedzi wymamrotał coś po gaelicku i przeżegnał się, a potem wyprostował ramiona, z widocznym wysiłkiem strząsając z siebie przygnębienie całego dnia.

- Ano tak. Muszę pójść do doków i rozejrzeć się za statkiem dla Iana. Potem pomyślimy o pogrzebie Gavina, ale najpierw muszę załatwić sprawę z chłopakiem.

Przedzieraliśmy się w stronę doków pomiędzy grupami podnieconych plotkarzy, starając się omijać przepychające się we wszystkie strony wózki i platformy. Od drugiego końca nabrzeża maszerował oddział żołnierzy w czerwonych kurtkach. Słońce odbijało się od czubków ich bagnetów, marszowy rytm kroków na tle gwaru przypominał stłumiony dźwięk werbli. Nawet łomoczące wózki zatrzymywały się, by ich przepuścić.

- Pilnuj kieszeni, Angielko - mruknął Jamie, gdy przeciskaliśmy się między niewolnicą w turbanie, tulącą do siebie dwójkę dzieci, a ulicznym kaznodzieją, który przycupnął na skrzynce. Krzyczał coś o grzechu i pokucie, ale poprzez hałas można było dosłyszeć ledwie co trzecie słowo.

- Jest zaszyta - zapewniłam go, na wszelki wypadek

dotknęłam jednak niewielkiego woreczka przy udzie. - A twoja sakiewka?

Uśmiechnął się i nasunął kapelusz na czoło, mrużąc ciemnoniebieskie oczy w ostrym słońcu.

- Jest tam, gdzie powinienem nosić sporran, gdybym go miał.

Zupełnie bezpieczna, chyba że trafię na jakąś ladacznicę o zręcznych palcach.

Zerknęłam na lekką wypukłość na przedzie jego spodni, a potem na twarz. Wysoki, o szerokich ramionach, śmiałych, wyrazistych rysach twarzy i dumnej postawie szkockiego górala, przyciągał wzrok wszystkich mijanych kobiet, choć włosy nakryte miał skromnym, niebieskim trójgraniastym kapeluszem. Pożyczone spodnie okazały się wyraźnie za ciasne, dodatkowo zwiększając efekt, którego Jamie zupełnie nie był świadomy.

- Wyglądasz jak chodzące zaproszenie dla ladacznic - stwierdziłam. - Trzymaj się mnie, będę cię chronić.

Roześmiał się, ujął mnie pod ramię i wyszliśmy na niewielką pustą przestrzeń.

- Ian! - zawołał ponad głowami zgromadzonych i w chwilę później z tłumu wysunął się wysoki, patykowaty chłopak. Odrzucił z oczu strzechę brązowych włosów i uśmiechnął się szeroko.

- Już myślałem, że nigdy cię nie znajdę, wuju! Chryste, tu jest więcej ludzi niż na jarmarku w Edynburgu.

Otarł rękawem kurtki pociągłą twarz, pozostawiając na policzku brudną smugę. Jamie spojrział na niego z ukosa.

- Zważywszy na to, że przed chwilą widziałeś człowieka idącego na śmierć, wyglądasz nieprzyzwoicie

radośnie.

Ian szybko zmienił wyraz twarzy, usiłując okazać powagę.

- Och nie, wujku Jamie - odrzekł. - Nie widziałem, jak go wieszali. - Duncan uniósł do góry brew i Ian zarumienił się nieco. - Nie, nie chodzi o to, że bałem się patrzeć, tylko miałem coś innego do zrobienia.

Jamie z uśmiechem poklepał siostrzeńca po ramieniu.

- Nie kłopotz się, Ian. Ja też wolałbym na to nie patrzeć, ale Gavin był moim przyjacielem.

- Wiem, wuju. Przykro mi. - W dużych, brązowych oczach chłopca - jedynej części jego twarzy, którą można było uznać za piękną - pojawił się błysk współczucia. Przeniósł wzrok na mnie. - To pewnie było okropne, ciociu?

- Tak. Ale już po wszystkim. - Wyciągnęłam zza pasa wilgotną chustkę i wspinając się na palce, otarłam smugę brudu z jego policzka.

Duncan Innes ze smutkiem pokręcił głową.

- Ano, biedny Gavin. Ale to szybsza śmierć niż z głodu, a nic innego mu nie pozostało.

- Chodźmy - przerwał mu Jamie, nie chcąc tracić czasu na bezsensowne lamenty. - „Bonnie Mary” powinna stać tam dalej.

Zauważyłam, że Ian spojrzał na niego i otworzył usta, jakby chciał coś powiedzieć, ale Jamie przepychał się już przez tłum w stronę przystani. Chłopak zerknął na mnie, wrzucił ramionami i podał mi rękę.

Jamie prowadził nas przez tyły magazynów otaczających doki.

Mijaliśmy marynarzy, tragarzy, niewolników, pasażerów, klientów i kupców wszelkiego rodzaju. Charleston był dużym, kwitnącym portem handlowym. W sezonie przyływało tu i odpływało do Europy ponad sto statków miesięcznie.

„Bonnie Mary” była własnością jednego z przyjaciół Jareda Frasera, kuzyna Jamiego, który wyjechał do Francji i dorobił się majątku na handlu winem. Jamie miał nadzieję, że powołując się na Jareda, uda mu się przekonać kapitana, by zabrał ze sobą Iana w podróż powrotną do Edynburga w charakterze chłopca kabinowego.

Ian niezbyt entuzjastycznie odnosił się do tego pomysłu, Jamie jednak zdecydowany był przy pierwszej nadarzającej się okazji odesłać siostrzeńca z powrotem do Szkocji. Między innymi to właśnie wiadomości o postoju „Bonnie Mary” w Charlestonie przywiodły nas tutaj z Georgii, gdzie, przez przypadek, dwa miesiące wcześniej nasze stopy po raz pierwszy dotknęły amerykańskiej ziemi.

Z mijanej tawerny wyszła niechlujna służąca z miską pomyj. Na widok Jamiego zatrzymała się i oparła miskę na biodrze, zerkając na niego spod oka i wydymając usta w uśmiechu. Jamie minął ją bez jednego spojrzenia. Dziewczyna odrzuciła głowę do tyłu, wylała pomyje śpiącej przy progu świni i zniknęła we wnętrzu gospody.

Jamie przystanął i ocieniając oczy dłonią, popatrzył na rząd masztów. Jego ręka nieświadomie powędrowała do spodni, próbując je poluzować. Podeszłam bliżej i wzięłam go za ramię.

- Czy rodzinne klejnoty są bezpieczne? - zapytałam cicho.

- W niewygodnym miejscu, ale bezpieczne - zapewnił mnie, z grymasem na twarzy pociągając za sznurówkę przy rozporoku. - Chyba lepiej było schować je z tyłu.

- I tak jesteś w lepszej sytuacji niż ja - uśmiechnęłam się. - Ja wolę zaryzykować kradzież.

Rodzinne klejnoty były właśnie tym: garstką szlachetnych kamieni, jedyną cenną rzeczą, jaka nam pozostała, gdy huragan wyrzucił nas na wybrzeże Georgii, przemoczonych, obdartych i pozbawionych wszelkiego dobytku.

Miałam nadzieję, że kapitan „Bonnie Mary” wystarczająco wysoko ceni Jareda Frasera, by zabrać ze sobą Iana, w innym bowiem wypadku odesłanie go do domu mogłoby nam nastręczyć sporo trudności. Teoretycznie sakiewka Jamiego i moja kieszeń zawierały sporą fortunę, w praktyce jednak równie dobrze moglibyśmy mieć przy sobie garść zwykłych kamyczków.

Klejnoty były niewielkie i wygodne w transporcie, lecz wymiana ich na pieniądze przysparzała kłopotu. Handel w południowych koloniach zwykle prowadzono metodą barterową, a pozostałe transakcje załatwiano przez wymianę weksli wystawionych na nazwisko bogatego kupca lub bankiera. Bogatych bankierów było w Georgii tyle co kot napłakał, a jeszcze mniej takich, którzy mieliby ochotę zamrozić dostępny kapitał w drogich kamieniach. Zamożny właściciel farmy ryżu, u którego zatrzymaliśmy się w Savannah, zapewniał nas, że on sam nie zdołałby zgromadzić dwustu funtów szterlingów w gotówce, a w całej kolonii prawdopodobnie nie ma nawet dziesięciu

funtów w złocie i srebrze. Nie było też żadnej szansy na sprzedaż któregoś z kamieni na niekończących się przestrzeniach słonych bagien i lasów sosnowych, które przemierzaliśmy w drodze na północ. Charleston był pierwszym większym miastem na naszej drodze, gdzie nie brakowało kupców i bankierów, którzy mogliby nam pomóc w upłynnieniu choć części zamrożonego kapitału.

Pomyślałam, że w Charlestonie w lecie nic nie może długo pozostać zamrożone. Po szyi spływały mi strugi potu, czułam, że lniana koszula pod gorsetem jest wilgotna i pognieciona. O tej porze dnia nawet w pobliżu przystani powietrze było zupełnie nieruchome.

Przytłaczały nas zapachy rozgrzanej smoły, martwych ryb i spoconych robotników. Jamie nalegał, by dać jeden z naszych kamieni państwu Olivier, miłym ludziom, którzy przyjęli nas do siebie, gdy morze wyrzuciło nas na brzeg niemal na progu ich domu, i uczynił to pomimo ich protestów. W rewanżu zaopatrzyli nas w wóz, dwa konie, czyste ubrania podróżne, jedzenie na drogę i niewielką sumę pieniędzy, z czego sześć szylingów i trzy pensy wciąż pozostawały w mojej kieszeni. To był cały nasz majątek w gotówce.

- Tędy, wujku jamie - powiedział Ian, przyzywając go nagłym gestem. - Muszę ci coś pokazać.

- Co takiego? - zdziwił się Jamie, przedzierając się przez tłum spoconych niewolników, którzy ładowali pokryte pyłem brykiety suszonych liści indygowca na stojący na kotwicy statek towarowy. - I cokolwiek to jest, skąd to wzięłeś? Przecież nie masz pieniędzy?

- Mam, wygrałem w kości! - odkrzyknął Ian zza

wozu pełnego kukurydzy.

- W kości? Ian, na litość boską! Jak możesz uprawiać hazard, skoro nie masz nawet pensa przy duszy? - Trzymając mnie za rękę, Jamie przedzierał się przez tłum w ślad za siostrzeńcem.

- Ty przecież robisz to przez cały czas, wujku Jamie - zauważył chłopak. Zatrzymał się i poczekał na nas. - Grałeś w każdej tawernie i gospodzie, gdzie się zatrzymywaliśmy.

- Mój Boże, Ian, to były karty, nie kości. A poza tym ja wiem, co robię.

- Ja też - odrzekł chłopak gładko. - Przecież wygrałem, nie?

Jamie wznosił oczy do nieba, siłąc się na cierpliwość.

- Jezu, Ian, jak się cieszę, że wracasz do domu, zanim ktoś rozbije ci głowę. Obiecuj mi tylko, że nie będziesz grał o pieniądze z marynarzami, dobrze? Nie unikniesz ich towarzystwa na statku.

Ian nie zwracał na niego uwagi. Dotarł do rozsypującego się falochronu, do którego przywiązana była mocna lina, zatrzymał się i zwrócił twarzą w naszym kierunku, wskazując na coś, co znajdowało się obok.

- Widzisz? To jest pies - oświadczył z dumą.

Szybko wsunęłam się za plecy Jamiego i pochwyliłam go za ramię.

- Ian - powiedziałam. - To nie jest pies. To jest wilk. To diabelnie wielki wilk i moim zdaniem powinieneś uciec od niego jak najdalej, zanim wygryzie ci kawał tyłka.

Wilk lekceważąco zastrzygł uchem w moim

kierunku, uznał, że nie ma się czym przejmować, i uspokoił się. Siedział nieruchomo, dysząc z upału. Jego wielkie, żółte oczy wpatrywały się w Iana z intensywnością, jaką ktoś, kto nigdy wcześniej nie widział wilka, mógłby wziąć za oddanie. Ja jednak widziałam wcześniej wilka.

- One są niebezpieczne - wydusiłam z siebie. - Pogryzie cię, nim zdążysz się obejrzeć.

Jamie pochylił się nad zwierzęciem.

- To chyba nie jest czystej krwi wilk? - W jego głosie zabrzmiało zainteresowanie. Wyciągnął w stronę zwierzęcia luźno zwiniętą pięść, zachęcając je, by powąchało kostki jego palców. Przymknęłam oczy, przekonana, że Jamie za chwilę straci dłoń, ale gdy nie usłyszałam okrzyku, znów je otworzyłam. Przymknął na ziemi obok zwierzęcia i oglądał jego nozdrza. - To ładny zwierzak, Ian - powiedział, skrobiąc bestię poufale pod brodą. Żółte oczy zwęziły się nieco, być może z zadowolenia, choć bardziej prawdopodobne wydawało mi się, że zwierzę szykuje się, by odgryźć Jamiemu nos. - Ale jest większy od wilka. Ma szerszy łeb i pierś. I dłuższe nogi.

- Jego matka była owczarkiem irlandzkim - wyjaśnił Ian gorliwie, przysiadając obok Jamiego i gładząc potężny, szarobrązowy grzbiet. - Podczas rui uciekła do lasu i wróciła ze szczeniakami.

- Aha, rozumiem. - Jamie podniósł wielką łapę i gładząc owłosione palce, mówił coś do zwierzaka po gaelicku.

Zakrzywione, czarne pazury miały dobre pięć centymetrów długości. Wilk przymknął oczy. Gęste futro na jego barku poruszyło się od lekkiej bryzy.

Zerknęłam na Duncana, który patrzył na mnie spod wysoko uniesionych brwi. Wzruszył lekko ramionami i westchnął. Duncan nie przepadał za psami.

- Jamie... - zaczęłam.

- Balach Boidheach - powiedział Jamie do wilka.

- Co on będzie jadł? - zapytałam głośniejszym głosem, niż to było konieczne.

Dłoń Jamiego znieruchomiała.

- Och - mruknął, patrząc z żalem na żółtookie stworzenie.

Podniósł się i niechętnie pokręcił głową. - No tak. Obawiam się, Ian, że twoja ciotka ma rację. Jak my go wykarmimy?

- Nie kłopotz się o to, wujku Jamie - zapewnił go Ian. - On sam zdobywa sobie jedzenie.

- Tutaj? - Rozejrzałam się. Dokoła nas były tylko magazyny, a za nimi rząd sklepów z frontonami pokrytymi sztukaterią. - A co on tu łapie? Małe dzieci?

Ian wydawał się lekko urażony.

- Oczywiście, że nie, ciociu. Ryby.

Widząc sceptycyzm malujący się na trzech twarzach, chłopak opadł na kolana, ujął pysk zwierzęcia w obie dłonie i otworzył go siłą.

- Naprawdę, przysięgam, wujku Jamie! Powąchaj tylko jego oddech.

Jamie zerknął z powątpiewaniem na podwójny rząd imponujących, lśniących kłów i poskrobał się po podbródku.

- Hm, muszę ci uwierzyć na słowo, ale nawet jeśli tak jest, to, na litość boską, uważaj na palce, chłopcze!

Ian rozluźnił uchwyt i potężne szczęki zamknęły się, rozpryskując kropelki śliny po kamiennym nabrzeżu.

- Nic mi nie będzie, wujku - odrzekł pogodnie, wycierając rękę o spodnie. - Nie ugryzie mnie, na pewno. Nazywa się Rollo.

Jamie otarł usta wierzchem dłoni.

- Mhm. No dobrze. Jakkolwiek się nazywa i cokolwiek je, nie sądzę, żeby kapitan „Bonnie Mary” chciał go widzieć w pomieszczeniach załogi.

Ian nie odpowiedział, ale jego twarz rozpromieniła się jeszcze bardziej. Na widok malującego się na niej wyrazu uszcześliwienia Jamie zeszytniał.

- Nie - powiedział z przerażeniem. - Och, nie.

- Tak. - Kościstą twarz Iana rozświetlił radosny uśmiech. - Odplynęła trzy dni temu, wujku. Spóźniłiśmy się.

Jamie powiedział po gaelicku coś, czego nie zrozumiałam, ale Duncan wydawał się zbulwersowany. Po chwili znów przeszedł na angielski.

- A niech to! - wykrzyknął. - Niech to wszyscy diabli!

Zerwał z głowy kapelusz i mocno potarł dłońmi twarz. Był zgrzany, spocony i bardzo niezadowolony. Otworzył usta, znów je zamknął, przesunął palcami po włosach i zerwał wstążkę, którą były związane na karku.

Ian wyglądał na zawstydzonego.

- Przykro mi, wujku. Postaram się nie sprawić wam kłopotu, naprawdę. Mogę pracować. To, co zarobię, wystarczy mi na jedzenie.

Twąz Jamiego złagodniała. Popatrzył na siostrzeńca i z głębokim westchnieniem poklepał go po ramieniu.

- Nie myśl, że nie chcę cię mieć przy sobie, Ian. Wiesz, że niczego bym bardziej nie pragnął, niż cię tu zatrzymać, ale co do diabła powie twoja matka?

Blask wrócił na twarz Iana.

- Nie wiem, wuju. Ale ona będzie to mówić w Szkocji, nie? A my jesteśmy tutaj.

Otoczył Rolla ramieniem i uściśnął. Wilk wydawał się nieco zaskoczony tym gestem, ale po chwili wyciągnął długi, różowy język i delikatnie polizał Iana po uchu. Degustacja, pomyślałam cynicznie.

- A poza tym - dodał chłopak - ona dobrze wie, że jestem bezpieczny. Przecież napisałaś do niej z Georgii, że jestem z tobą.

Jamie zdobył się na suchy uśmiech.

- Nie powiedziałbym, żeby ta wiadomość była dla niej wielką pociechą, Ian. Twoja matka zbyt długo mnie zna, rozumiesz?

Westchnął, nasunął kapelusz z powrotem na głowę i spojrzał na mnie.

- Muszę się czegoś napić, Angielko. Poszukajmy tej tawerny.

W tawernie Pod Wierzbą panował półmrok. Gdyby nie tłok, zapewne można by znaleźć tu także odrobinę chłodu, ale wszystkie ławy i stoły zajęte były przez publiczność, która wcześniej oglądała egzekucję, i marynarzy z doków, toteż atmosfera bardziej przypominała łaźnię parową. Wchodząc do środka, wciągnęłam powietrze i natychmiast znów je wypuściłam z wrażeniem, że oddycham przez warstwę brudnej, przesiąkniętej piwem bielizny.

Rollo natychmiast udowodnił, co jest wart. Tłum rozstępował się przed nim jak Morze Czerwone. Przeszedł przez całą salę, szczerząc kły i wydobywając z siebie głęboki, ledwo słyszalny pomruk.

Najwyraźniej nie była to jego pierwsza wizyta w tawernie. Opróżnił narożną ławę, zwinął się w kłębek pod stołem i wydawało się, że zasnął.

Z dala od słońca, mając przed sobą duży, cynowy kufel spienionego, ciemnego piwa, Jamie szybko odzyskał równowagę umysłu.

- Mamy dwie możliwości - powiedział, odgarniając przepecone włosy ze skroni. - Możemy zostać w Charlestonie, dopóki nie znajdziemy kupca zainteresowanego którymś z kamieni, i jakiegoś statku, który zabralby Iana do Szkocji. Albo możemy ruszyć na północ w stronę Cape Fear i poszukać statku w Wilmington albo w New Bern.

- Ja bym ruszył na północ - rzekł Duncan bez wahania. - Zdaje się, że masz jakiegoś krewnego na Cape Fear, tak? Nie chciałbym zostawać za długo między obcymi. Twój krewny przypilnuje, żeby nikt nas nie oszukał ani nie okradł. A tutaj... - Gestem jedyne ramienia ogarnął otaczających nas ludzi, którzy nie byli Szkotami i już tylko z tego powodu można ich było podejrzewać o nieuczciwość.

Ian otarł rękawem usta z piany. - Och, wujku, jedźmy na północ! - zawołał szybko, zanim Jamie zdążył cokolwiek powiedzieć.

- Podróż może być niebezpieczna. Przyda się wam dodatkowy mężczyzna do ochrony, co?

Jamie schował twarz za kuflem, drżąc z

powstrzymywanego śmiechu. Naprawdę lubił swojego siostrzeńca, faktem jednak było, że Ian należał do osób, którym ciągle coś się przydarza. Zwykle nie było w tym żadnej jego winy, ale mimo to nieustannie przeżywał jakieś przygody. Przed rokiem porwali go piraci i to właśnie konieczność przyjscia mu na ratunek przywiodła nas, skomplikowaną i często niebezpieczną drogą, do Ameryki. Ostatnio już od jakiegoś czasu nic mu się nie przytrafiło, wiedziałam jednak, że Jamie chce jak najprędzej wyprowadzić piętnastolatka z powrotem do Szkocji, zanim nadejdzie czas na kolejną przygodę.

- Ach... jasne, Ian - rzekł Jamie, opuszczając kufel. Starannie unikał mojego wzroku, widziałam jednak, że kąciki jego ust nadal drżą. - Jestem pewien, że byłbyś bardzo pomocny, ale...

- Może spotkamy czerwonoskórych? - zawołał Ian, szeroko otwierając oczy i na jego zaróżowioną od słońca twarz wypłynął rumieniec entuzjazmu. - Albo dzikie zwierzęta! Doktor Stern mówił mi, że w głębi Karoliny żyją dzikie zwierzęta - niedźwiedzie, rysie, niebezpieczne pantery i wielkie, cuchnące stworzenia, które Indianie nazywają skunksami!

Zakrztusiłam się piwem, Ian z niepokojem pochylił się nad stołem.

- Dobrze się czujesz, ciociu?

- Doskonale. - Kichnęłam i otarłam spoconą twarz chustką.

Kropelki piwa prysnęły mi na suknię. Wytarłam je, dyskretnie odsuwając gorset od ciała w próżnej nadziei, że wpuszczę do środka trochę powietrza. Na twarzy Jamiego

stłumione rozbawienie zastąpiła zmarszczka niepokoju. - Skunksy nie są niebezpieczne - wymamrotałam, kładąc rękę na jego kolanie. W rodzimych górach Jamie był zręcznym i nieulekłym myśliwym, ale do nieznannej sobie fauny nowego świata podchodził zwykle z wielką ostrożnością.

- Mhm. - Zmarszczka znikła, lecz pomiędzy brwiami pozostał jej ślad. - Może i tak, ale co z innymi zwierzętami? Nie mogę powiedzieć, żebym bardzo tęsknił do spotkania z niedźwiedziem albo z bandą dzikusów, mając przy sobie tylko to. - Oparł dłoń na nożu, który spoczywał w pochwie przy pasie.

Nasz brak uzbrojenia był przyczyną wielkiej troski Jamiego podczas podróży z Georgii, a uwaga Iana o Indianach i dzikich zwierzętach tylko ten niepokój pogłębiła. Nie licząc noża Jamiego, Fergus miał jeszcze jeden, mniejszy, który nadawał się do cięcia lin i drobnych gałązek na rozpałkę, i to już wszystko. Olivierowie nie mieli na zbyciu żadnych strzelb ani szpad.

W podróży z Georgii do Charlestonu towarzyszyła nam gromada farmerów uprawiających ryż i indygo, którzy wieźli swoje produkty do portu, skąd miały być wysłane na północ, do Pensylwanii i Nowego Jorku. Wszyscy mieli ze sobą noże, pistolety i muszkiety.

Ale drogę do Cape Fear musielibyśmy przebyć samotnie, nieuzbrojeni i praktycznie bezbronni wobec wszystkiego, co mogło wyłonić się z gęstych lasów.

Z drugiej strony jednak mieliśmy pilne powody, by jak najszybciej rozpocząć podróż na północ, a jeden z nich stanowił nasz brak gotówki. Cape Fear był największym skupiskiem górali szkockich we wszystkich amerykańskich

koloniach. Znajdowało się tam kilka miast, których mieszkańcy wyemigrowali ze Szkocji w ciągu ostatnich dwudziestu lat, po zamieszkach, jakie nastąpiły po bitwie pod Culloden. Jednym z tych emigrantów był kuzyn Jamiego.

Wiedziałałam, że chętnie zaoferuje nam schronienie, miejsce do spania i nieco czasu, byśmy mogli oswoić się z nowym światem.

Jamie napił się jeszcze i skinął na Duncana.

- Muszę powiedzieć, że zgadzam się z tobą. - Oparł się o ścianę tawerny i rozejrzał się po zatłoczonej sali. - Nie czujesz czyjegoś wzroku na plecach?

Przebiegł mnie dreszcz. Duncan szeroko otworzył oczy, a potem znów je przymrużył, nie odwrócił się jednak.

- Czyjego wzroku? - zapytałam, nerwowo rozglądając się dokoła.

Nie zauważyłam, by ktoś się nam przypatrywał, chyba że robił to niepostrzeżenie. Tawernę wypełniali ludzie przesiąknięci alkoholem, w rozgardiaszu można było wyróżnić tylko głosy najbliższych sąsiadów.

- Wszystko jedno, czyjego, Angielko - odrzekł Jamie. Zerknął na mnie z ukosa i uśmiechnął się. - Nie bój się, nic nam nie grozi. W każdym razie nie tutaj.

- Jeszcze nie teraz - dodał Innes. Pochylił się nad stołem i nalał sobie kolejny kufel piwa. - Mac Dubh wołał Gavina, który stał pod szubienicą, rozumiesz? A że jest drobny i nie rzuca się w oczy, to na pewno niektórzy go zauważyli - dodał ironicznie. - Farmerzy, którzy przyjechali razem z nami z Georgii, na pewno sprzedali już swoje towary i teraz bawią się w takich miejscach jak to - dodał

Jamie, wpatrując się we wzór na swoim kuflu. - Wszystko to uczciwi ludzie, Angielko, ale lubią gadać, a nasza historia jest ciekawa, nie? Ludzie, których huragan wyrzucił na brzeg. Jakie są szanse, że chociaż jeden z nich domyśla się, co ze sobą wieziemy?

- Rozumiem - wymamrotałam i rzeczywiście zrozumiałam.

Związek z przestępcą zwrócił na nas powszechną uwagę, a tym samym przestaliśmy być anonimowymi podróżnymi. Jeśli znalezienie kupca miało zająć trochę czasu, a na to się zanosilo, ryzykowaliśmy, że ktoś pozbawiony skrupułów zechce nas okraść albo że angielskie władze zaczną się nam uważniej przyglądać. Ani jedna, ani druga perspektywa nie wydawała się zachęcająca. Jamie opróżnił kufel i odstawił go z westchnieniem. - Nie, sądzę, że nie byłoby dobrze zatrzymywać się dłużej w mieście. Urządzimy Gavinowi przywoity pogrzeb, a potem poszukamy jakiegoś bezpiecznego miejsca w lesie za miastem. Przenocujemy tam i jutro podejmiemy decyzję.

Myśl o spędzeniu kilku kolejnych nocy w lesie, ze skunksami czy bez, zupełnie do mnie nie przemawiała. Od ośmiu dni nie zdejmowałam sukni. Za każdym razem, gdy znaleźliśmy się w pobliżu strumienia, opłukiwałam tylko widoczne części ciała. Tęskniłam za prawdziwym łóżkiem, nawet gdyby miało być zapchlone, i za jakąś okazją, by zeskrobać z siebie brud całotygodniowej podróży. Ale Jamie miał rację. Westchnęłam z żalem, patrząc na poszarzały i wystrzępiony brzeg rękawa.

Drzwi tawerny otworzyły się nagle, wrywając mnie z zamyślenia, i do zatłoczonej sali wcisnęło się czterech

żołnierzy w czerwonych kurtkach. Byli w pełnym umundurowaniu, w rękach trzymali muszkiety z osadzonymi bagnetami i najwyraźniej nie przyszli tu napić się piwa ani zagrać w kości. Dwóch z nich obeszło całą salę, zaglądając pod stoły, trzeci zniknął w kuchni, a czwarty pozostał na straży przy drzwiach, wiodąc po wszystkich spojrzeniem bladoniebieskich oczu. Jego wzrok zatrzymał się na naszych twarzach i w oczach pojawiło się coś w rodzaju namysłu, po chwili jednak spojrzenie powędrowało dalej, nie ustając w poszukiwaniach.

Jamie wydawał się zupełnie spokojny. Sączył swoje piwo, jakby nic innego go nie interesowało, widziałam jednak, że dłoń na jego kolanach zacisnęła się powoli w pięść. Duncan, mniej wprawny w kontrolowaniu emocji, pochylił głowę, by ukryć wyraz twarzy. Żaden z nich nie czuł się swobodnie w obecności czerwonych kurtek i obydwaj mieli po temu powody.

Zdawało się, że obecność żołnierzy nie zaniepokoiła nikogo więcej. Grupka śpiewaków w kącie przy kominie bez końca powtarzała swoją własną wersję piosenki Napelnij wszystkie szklanki.

Barmanka wdała się w głośny spór z dwoma czeladnikami.

Żołnierz wrócił z kuchni, gdzie najwyraźniej nie znalazł tego, czego szukał, i brutalnie rozdeptując grę w kości przy palenisku, dołączył do stojących przy drzwiach towarzyszy. Wychodząc z tawerny, minęli w progu Fergususa, który przycisnął się do futryny, by uniknąć zetknięcia z rozkołysanymi łokciami i kolbami muszkietów.

Jeden z żołnierzy zauważył błysk metalu i z

zainteresowaniem zatrzymał wzrok na haku, który Fergus nosił w miejsce brakującej lewej dłoni. Podniósł głowę i przeszył jego twarz ostrym spojrzeniem, ale po chwili zarzucił broń na ramię i pospieszył za pozostałymi.

Fergus przepchnął się przez tłum i opadł na ławę obok Iana. Był zgrzany i zirytowany.

- Pazerny salaud - rzekł bez wstępów. Brwi Jamiego powędrowały do góry.

- Ksiądz - uściślił Fergus. Ujął kufel, który Ian popchnął w jego kierunku, i opróżnił go jednym haustem, a potem wziął głęboki oddech i zamrugał powiekami. Wydawał się już znacznie szczęśliwszy. W końcu westchnął i otarł usta dłonią. - Chce dziesięć szylingów za pogrzeb na cmentarzu przy kościele - wyjaśnił. - Oczywiście to kościół anglikański. Tu nie ma katolickich kościołów.

Parszywy krwiopijca! Wie, że nie mamy żadnego wyboru. Ciało nie wytrzyma do zachodu słońca. - Wsunął palce za koszulę i odciągnął przepoconą bawełnę od szyi, a potem kilkakrotnie zastukał pięścią o stół, by zwrócić na siebie uwagę służącej, która biegła od jednego klienta do drugiego. - Powiedziałem temu tłustemu świńskiemu synowi, że to wy zdecydujecie, czy zapłacimy, czy nie. W końcu moglibyśmy pochować go po prostu w lesie. Tyle że trzeba by kupić szpadel - dodał, marszcząc czoło. - Te pazerne dranie dobrze wiedzą, że jesteśmy tu obcy. Gdyby mogli, wydarliby z nas ostatni grosz.

Wyrażenie „ostatni grosz” było niebezpiecznie bliskie prawdy.

Miałam jeszcze tyle pieniędzy, by zapłacić za przyzwoity posiłek w tawernie i kupić trochę jedzenia przed

podróżą na północ. Może wystarczyłoby też na opłacenie kilku noclegów, ale już na nic więcej.

Jamie obiegił wzrokiem salę, zastanawiając się nad możliwością wygrania kilku groszy. Najlepsze widoki po temu stwarzali żołnierze i marynarze, ale tutaj nie było ich wielu. Większa część garnizonu zapewne nadal szukała uciekiniera. W kącie, nad kilkoma dzbanami brandy, siedziała niewielka grupka rozochoconych mężczyzn.

Dwóch z nich śpiewało, czy też raczej próbowało śpiewać, a ich wysiłki wprawiały towarzyszy w niezmierną wesołość. Na ich widok Jamie niemal niedostrzegalnie skinął głową i zwrócił się do Fergusa:

- Co zrobiłeś z Gavinem?

Odpowiedziało mu wzruszenie ramienia.

- Włożyłem go do wozu. U szmaciarki zamieniłem ubranie, które miał na sobie, na prześcieradło. Zgodziła się jeszcze umyć ciało. - Uśmiechnął się blado. Nie musi się pan martwić, milordzie, na razie niczego mu nie brakuje - dodał, podnosząc do ust nowy kufel piwa.

- Biedny Gavin. - Duncan Innes również podniósł kufel w toaście za martwego towarzysza.

- Slainte - rzekł Jamie, dołączając do nich. Odstawił kufel i westchnął. - On nie chciałby być pochowany w lesie.

- Dlaczego nie? - zapytałam z zaciekawieniem. - Wydaje mi się, że nie powinno mu to sprawiać żadnej różnicy.

- Och nie, pani Claire. Nie możemy tego zrobić. - Duncan z rozmachem pokręcił głową.

Zwykle odznaczał się wielką rezerwą w zachowaniu, toteż zdziwiła mnie jego żywiołowa reakcja.

- Gavin Hayes bał się ciemności - rzekł Jamie cicho. Pochwycił moje spojrzenie i uśmiechnął się krzywo. - Mieszkałem z nim prawie tak długo jak z tobą, Angielko, i w znacznie mniejszej izbie. Znałem go dobrze.

- A tak. Bał się pozostawać sam w ciemnościach - wtrącił Duncan. - Śmiertelnie bał się tannagach - duchów, tak?

Na jego długiej, posępnej twarzy odbiła się zaduma. Wiedziała, że oczami wyobraźni widzi więzienną celę, którą on i Jamie dzielili z Gavinem Hayesem i z czterdziestoma innymi mężczyznanami przez trzy długie lata.

- Pamiętasz, Mac Dubh, jak któregoś wieczoru opowiadał nam o tannasq, którego spotkał?

- Pamiętam, Duncan, choć wolałbym zapomnieć. - Jamie wzdygnął się pomimo upału. - Ja sam po tej opowieści nie mogłem zasnąć przez pół nocy.

- Co to za historia, wujku? - Ian, z oczami okrągłymi z ciekawości, pochylił się nad swoim kuflem. Policzki miał zarumienione i ociekające potem. Jego koszula również była przepocona.

Jamie w zamyśleniu otarł usta dłonią.

- Ach. No cóż, to się zdarzyło późną jesienią w górach, tuż przed nadejściem zimy, gdy powietrze jest chłodne i czuje się, że nad ranem ziemię pokryje szron. - Z kuflem w ręku oparł się wygodnie o ścianę i uśmiechnął się sucho, rozluźniając koszulę przy szyi. - Całkiem inaczej niż teraz, nie? A więc tego wieczoru syn Gavina przygonił bydło do domu, ale brakowało jednej krowy. Chłopak szukał po wzgórzach i parowach, ale nigdzie nie mógł jej znaleźć i w końcu Gavin zostawił go, żeby wydoił dwie

pozostałe, a sam poszedł szukać zagubionej.

Jamie powoli obracał cynowy kufel w rękach, wpatrując się w ciemne piwo, jakby dostrzegał w nim pogrążone w ciemnościach masywy szkockich gór i mgłę ścielącą się nad jesiennymi dolinami.

- Przeszedł spory kawałek i stracił chatę z oczu. Gdy się obejrzał, nie widział już światła z okien i nie słyszał nic oprócz wycia wiatru.

Było zimno, ale szedł coraz dalej przez błoto i wrzosa, słuchając trzaskania lodu pod butami. Poprzez mgłę dostrzegł niewielki zagajnik. Przyszło mu do głowy, że krowa mogła poszukać schronienia między drzewami, i ruszył w tę stronę. To były brzozy, bezlistne i splecione ze sobą gałęziami tak, że musiał pochylić głowę, by przecisnąć się pomiędzy konarami. Wszedł do zagajnika i zobaczył, że to nie zagajnik, lecz krąg drzew. Wielkie, wysokie drzewa wznosiły się dokoła niego w równych odstępach, a między nimi rosły mniejsze siewki, tworząc gęstą ścianę gałęzi. Pośrodku kręgu stał kurhan.

Choć w tawernie było nieznośnie gorąco, miałam wrażenie, że po moich plecach przesuwają się sople lodu. Widziałam na własne oczy starożytne kurkany w szkockich górach; było w nich coś, co wzbudzało lęk nawet w biały dzień.

Jamie napił się piwa i otarł spływającą po skroni strużkę potu.

Gavin poczuł się nieswojo. Znał to miejsce, wszyscy je znali i starali się omijać je z daleka. To było dziwne miejsce, a w ciemnościach i w zimnie wydawało się jeszcze gorsze niż w biały dzień. Kurhan był stary, ułożony z

płaskich kamiennych bloków uzupełnionych mniejszymi kamieniami. Gavin widział przed sobą ciemny otwór prowadzący do wnętrza. Wiedział, że żaden człowiek nie powinien zbliżyć się do tego miejsca bez potężnego talizmanu, a on nie miał nic oprócz drewnianego krzyżyka na szyi. Wziął krzyżyk do ręki, przeżegnał się i odwrócił, chcąc odejść. Jamie urwał i znów pociągnął łyk piwa.

Ale gdy już stamtąd odchodził - dodał cicho - usłyszał za sobą kroki. Jabłko Adama na szyi Iana poruszyło się szybko. Chłopak przełknął ślinę i nie odrywając oczu od twarzy wuja, mechanicznie wyciągnął rękę po swój kufel.

- Gavin nie obejrzał się za siebie - ciągnął Jamie - tylko szedł dalej. Kroki towarzyszyły mu przez cały czas, wciąż w tej samej odległości. Szedł przez podmokły teren, pełen kałuż pokrytych lodem.

Słyszał trzaskanie lodu pod swoimi stopami i takie same trzaski o kilka kroków za sobą. Szedł tak bardzo długo przez ciemną, zimną noc, wypatrując światła ze swojego okna, gdzie jego żona zawsze ustawiała świecę, nie mógł go jednak dostrzec i w końcu zaczął się obawiać, że zgubił drogę pośród wrzosowisk i mrocznych wzgórz. A przez cały czas słyszał za plecami wyraźny odgłos kroków. W końcu to stało się nie do zniesienia. Zacisnął dłoń na krzyżyku, który miał na szyi, obrócił się z głośnym okrzykiem i stanął twarzą w twarz z tym czymś, co za nim szło.

- I co zobaczył?

Ian miał źrenice zwężone od alkoholu i zaciekawienia. Jamie zerknął na chłopca, potem skinął głową do Duncana, sygnalizując mu, by podjął opowieść.

- Mówił, że to była postać przypominająca ludzką,

ale pozbawiona ciała - rzekł Duncan cicho. - Cała biała, jakby zrobiona z mgły. Tam gdzie powinny być oczy, ziały wielkie, czarne i puste otwory. Gavin na ten widok omal nie wyzionął ducha z przerażenia.

- Ale trzymał krzyżyk przed sobą na wysokości twarzy i modlił się głośno do Najświętszej Panienki. - Jamie pochylił się przed siebie i ciągnął opowieść. Światło kominka złociło jego profil. - I to coś nie podeszło bliżej. Zostało tam, gdzie było, wpatrując się w niego. Gavin nie odważył się odwrócić, musiał więc iść tyłem. Szedł tak, potykając się i ślizgając, pełen obaw, że lada chwila wpadnie do parowu albo zsunie się z urwiska i skręci kark. Ale jeszcze bardziej bał się odwrócić plecami do tej zimnej istoty.

Nie potrafił powiedzieć, jak długo tak szedł, ale nogi drżały już pod nim ze zmęczenia, gdy w końcu dostrzegł błysk światła we mgle.

To był jego własny dom. W oknie stała świeca. Wykrzyknął z radości i rzucił się do drzwi, ale zimna istota była szybsza. Prześlizgnęła się obok niego i stanęła między nim a drzwiami.

Żona Gavina wypatrywała jego powrotu i gdy usłyszała okrzyk, natychmiast podeszła do drzwi. Gavin zawołał do niej, żeby, na litość boską, nie wychodziła i żeby przyniosła talizman, który mógłby odpędzić tannasq. Natychmiast wyciągnęła spod łóżka nocnik i gałązkę mirtu, owiniętą czerwoną i czarną nitką, przygotowaną do błogosławienia krów. Chlusnęła wodą na futrynę i widmo wskoczyło na belkę nad drzwiami. Gavin wbiegł do środka, zabarykadował drzwi i aż do świtu pozostał w domu w

ramionach żony. Przez całą noc palili świece. Od tamtej pory Gavin Hayes nigdy nie wychodził z domu po zachodzie słońca - aż do dnia, kiedy poszedł walczyć za księcia Tcharlacha.

Nawet Duncan, który już znał tę opowieść, westchnął, gdy Jamie skończył mówić. Ian przeżegnał się i rozejrzał niespokojnie, ale nikt chyba nie zwrócił na niego uwagi.

- A teraz Gavin odszedł w mrok - dorzucił Jamie cicho. - Ale nie możemy pochować go w nie poświęconej ziemi.

- Czy znaleźli tę krowę? - zapytał Fergus, jak zwykle skupiony na konkretności. Jamie uniósł brew i spojrzał na Duncana, który odpowiedział:

- A jakże. Znaleźli to biedne zwierzę następnego ranka. Kopyta miała zabłocone i pełne kamieni, wzrok oszalały, z pyska ciekła jej piana i robiła bokami, jakby miała wyzionąć ducha. - Przeniósł wzrok z mojej twarzy na Iana, a potem na Fergususa. - Gavin powiedział - dodał jeszcze - że wyglądała, jakby ktoś pogonił ją do piekła i z powrotem.

- Jezu. - Ian pociągnął spory łyk piwa. Zrobiłam to samo.

Towarzystwo siedzące w kącie próbowało śpiewać Captain Thunder, ale każda próba kończyła się wybuchem bezradnego śmiechu.

Ian odstawił kufel na stół.

- Co się z nimi stało? - zapytał ze zmartwioną twarzą. - Z żoną i synem Gavina?

Wzrok Jamiego napotkał moje spojrzenie, a jego

dłoń dotknęła mojego uda. Bez jednego słowa zrozumiałam, co stało się z rodziną Hayesów. Gdyby nie odwaga i bezkompromisowość Jamiego, mnie i naszą córkę Brianne zapewne spotkałby ten sam los.

- Gavin nigdy się tego nie dowiedział - rzekł cicho. - Nigdy więcej nie słyszał o swojej żonie. Może zmarła z głodu albo z zimna, wypędzona z domu. Jego syn walczył razem z nim pod Culloden. Za każdym razem, gdy do jego celi trafiał ktoś, kto brał udział w bitwie, Gavin dopytywał się: „Może widziałeś, tam takiego śmiałego chłopaka? Nazywał się Archie Hayes i był mniej więcej tego wzrostu”. - Podniósł dłoń na wysokość jakiegoś półtora metra od podłogi, naśladując gest Hayesa. - „Wyglądał na czternaście lat, miał zielony tartan ze złotą zapinką”. Ale nie spotkał nikogo, kto mógłby powiedzieć na pewno, że go widział, żywego czy martwego.

Upił łyk piwa, zatrzymując wzrok na dwóch brytyjskich oficerach, którzy weszli do tawerny i usiedli w kącie. Na zewnątrz zapadł już zmierzch. Oficerowie najwyraźniej byli po służbie.

Skórzane pasy zwisały rozpięte z powodu ciepła. Przy sobie mieli tylko podręczną broń, lśniąca pod kurtkami. W półmroku ich sylwetki były niemal czarne, tylko tam, gdzie oświetlał ich płomień z kominka, kurtki migotały czerwienią.

- Od czasu do czasu łudził się nadzieją, że chłopak został wzięty do niewoli i trafił do transportu, tak jak jego brat.

- Ale w takim razie powinno to być gdzieś zapisane? Czy prowadzono listy jeńców? - zapytałam.

- Były takie listy - odrzekł Jamie, nie odwracając wzroku od żołnierzy. Na jego ustach pojawił się gorzki uśmiech. - Właśnie taka lista ocalała mnie po Culloden. Przed egzekucją zapytali mnie o nazwisko, żeby je zapisać. Ale ktoś taki jak Gavin nie miał dostępu do list zmarłych sporządzonych przez Anglików. A nawet gdyby mógł się tego dowiedzieć na pewno, to myślę, że wolałby tego nie robić. - Spojrzał na mnie. - Czy ty szukałabyś potwierdzenia gdyby chodziło o twoje dziecko?

Pokręciłam głową. Jamie z bladym uśmiechem ucisnął moją dłoń. Nasze dziecko było bezpieczne. Podniósł kufel, opróżnił go do dna i skinął na dziewczynę.

Przyniosła nam jedzenie, obchodząc stół dużym łukiem, by uniknąć spotkania z Rollem. Wilk leżał nieruchomo pod stołem, opierając wielki, ciężki, włochaty ogon o moje stopy. Tylko jego łeb wystawał na zewnątrz, ale żółte oczy pozostały szeroko otwarte i czujne. Gdy zatrzymały się na dziewczynie, ta cofnęła się nerwowo, zerkając na zwierzę niespokojnie, dopóki nie znalazła się w bezpiecznej odległości.

Jamie spojrzał na niego z powątpiewaniem.

- Czy on jest głodny? Może zamówię mu rybę?

- Och, nie, wujku - zapewnił go Ian. - Rollo sam sobie łapie ryby.

Jamie uniósł brwi, ale w milczeniu skinął głową i ostrożnie spoglądając na

Rolla, zdjął z tacy talerz pieczonych ostryg.

- Ach, jakie to smutne. - Duncan Innes był już całkiem pijany.

Siedział oparty o ścianę, z jednym ramieniem - tym

bez dłoni - uniesionym wyżej niż drugie. Wyglądał przez to dziwnie, jak garbus. - Taki dobry człowiek jak Gavin... że też spotkał go taki koniec. - Z niedowierzaniem kręcił głową nad kuflem piwa, jakby było to serce pogrzebowego dzwonu. - Nie zostawił żadnej rodziny, która mogłaby go opłakiwać. Sam w dzikim kraju, powieszony jak zbrodniarz, do tego jeszcze ma być pochowany w niepoświęconej ziemi i nikt nie zaśpiewa mu porządnego lamentu pogrzebowego! - Podniósł kufel i z pewną trudnością doprowadził go do ust, a po wypiciu kilku łyków z głośnym stukiem odstawił na stół. - Urządzimy mu caithris! - Popatrzył wojowniczo po kolei na Jamiego, Fergususa i Iana. - Dlaczego by nie?

Jamie nie był pijany, ale nie był również zupełnie trzeźwy.

Uśmiechnął się do Duncana i podniósł kufel w toaście.

- Rzeczywiście, dlaczego by nie? Ale ty będziesz musiał zaśpiewać, Duncanie. Oni nie znali Gavina, a ja nie jestem śpiewakiem, choć będę krzyczał razem z tobą.

Duncan uroczyście skinął głową. Zatrzymał na nas spojrzenie przekrwionych oczu, po czym bez ostrzeżenia odrzucił głowę do tyłu i wydał z siebie potworne wycie. Podskoczyłam na miejscu i wylałam na siebie pół kufła piwa, Ian i Fergus, którzy widocznie słyszeli już szkockie pieśni pogrzebowe, nawet nie mrugnęli powieką.

W sali rozległo się szuranie odsuwanych ław. Zaniepokojeni mężczyźni zrywali się na nogi i sięgali po pistolety. Barmanka z oczami jak spodki pochyliła się nad ladą. Rollo przebudził się, głośno szczechnął i obnażając zęby, niespokojnie rozejrzał się dokoła.

- Tka sinn cruinn a chaoidh ar caraid, Gabhainn Hayes - zagrzmiął Duncan ochryplym barytonem. Znałam gaelicki na tyle, że mogłam przetłumaczyć te słowa „Spotkaliśmy się, by wznosić pod niebiosa lament, oplakując stratę naszego przyjaciela, Gavina Hayesa!”.

- Eisd ris! - przyłączył się Jamie.

- Rugadh e do Sheumas Immanuel Hayes agus Louisa N'ic a Liallainn an am ath Chill - Mhartainn, ann an sgìre Dhun Domhnuill, anns a bhliadhnaeachd ceud deug agus a haon! Urodził się z Seaumaisa Emmanuela Hayesa i Louisy Maclelhin, w wiosce Kilmartin, w parafii Dodanil, w roku Pańskim tysiąc siedemset pierwszym!

- Eisd ris! - Tym razem Fergus i Ian również dołączyli do chóru ze słowami, które znaczyły mniej więcej „Słuchajcie!”.

Rollo nie wydawał się zainteresowany ani lamentem, ani refrenem. Położył uszy płasko przy głowie i zwęził oczy do dwóch szparek. Ian uspokajająco poskrobał go po łbie i zwierzę znów ułożyło się pod stołem, mamrocząc pod nosem wilcze przekleństwa.

Pozostali słuchacze zdali sobie sprawę, że nic im nie grozi, i niewątpliwie znużeni już, niskiej jakości popisami wokalnymi towarzystwa w kącie, rozsiedli się wygodniej, oczekując dobrej zabawy. Gdy Duncan zaczął wymieniać imiona wszystkich owiec, które Gavin Hayes posiadał, nim opuścił zagrodę i podążył za swym panem do Culloden, wielu gości przy sąsiednich stołach entuzjastycznie przyłączyło się do refrenu, wykrzykując Eisd ris! i waląc kufłami o blaty.

Całe szczęście, że nie mieli pojęcia, o czym

właściwie mówiły słowa pieśni. Duncan, pijany jak nigdy, z twarzą ociekającą potem, utkwił śmiałe spojrzenie w żołnierzach siedzących przy sąsiednim stole.

- A Shasunnaich na galladh, 's olc a thig e dhuibh fanaid air bas gasgaich. Gun toiren an diabhul fhein leis anns a bhas sibh, dìreach do Fhirinn!!! Przeklęte angielskie psy, padlinożercy! Źle to o was świadczy, że śmiejecie się i radujecie ze śmierci szlachetnego człowieka! Oby szatan pochwycił wasze dusze w godzinie śmierci i zaniósł je prosto do piekła!

Ian na te słowa lekko pobladł, a Jamie spojrział na Duncana ostrzegawczo, ale obaj jednak dziarsko wykrzyknęli: - Eisd ris! - razem z resztą tłumu.

Fergus w przypiływie inspiracji wstał i przeszedł po sali z kapeluszem.

Rozgrzana piwem i naszym występem publiczność hojnie wrzucała do środka miedziaki, płacąc za przywilej przyłączenia się do oszczerczej pieśni.

Miałam równie mocną głowę jak każdy z mężczyzn, ale znacznie mniejszy pęcherz. Od hałasu, zaduchu i alkoholu kręciło mi się w głowie. Wysunęłam się z za stołu, przepchnęłam przez tłum i wyszłam na świeże powietrze wczesnego wieczoru. Choć od zachodu słońca minęło już sporo czasu, nadal było gorąco i parno, jednak na zewnątrz było znacznie więcej powietrza i znacznie mniej ludzi niż w tawernie.

Użyłam pęcherzowi, a potem, oddychając głęboko, z kuflem w ręku usiadłam na pniu do rąbania drewna. Noc była pogodna. Znad przystani wznosił się srebrzysty brzeg księżycyca w kwadrze. Nasz wóz stał niedaleko, widziałam

jego zarysy w świetle dochodzącym z okien tawerny. W środku zapewne leżało owinięte prześcieradłem ciało Gavina Hayesa. Miałam nadzieję, że podobał mu się caithris.

Pieśń Duncana dobiegła końca. Teraz ponad gwarem rozmów słyhać było znajomą melodię śpiewaną przez czysty tenor, drżący nieco od alkoholu, ale mimo wszystko przyjemny dla uszu.

Anakreon na uczcie u bogów
Raz usłyszał wołanie śmiertelnych
Jego imię wzywali, o natchnienie błagali
I prosili go o dar harmonii.
Gdy usłyszał te prośby poczciwy stary Grek,
Rychło wysłał odpowiedź na ziemię:
Skrzypce, flet oraz śpiew
Miły sercu to dźwięk!
Daję wam swoje imię i wenę!

Głos śpiewaka załamał się boleśnie przy słowach „skrzypce, flet oraz śpiew”, ale pomimo śmiechów publiczności niezrażony brnął dalej. Uśmiechnęłam się do siebie ironicznie, słysząc finałowy kuplet: Uczcie się, jak przeplatać mirt Wenus Z Bachusa winnymi pędami!

Uniosłam kufel w toaście w stronę trumny na kołach, cicho powtarzając melodię ostatnich wersów śpiewaka.

O, powiedz, czy jeszcze gwiazdzisty sztandar powiewa Nad krajem ludzi wolnych, nad ojczyzną śmiałych?

Opróżniłam kufel i siedziałam nieruchomo, czekając, aż mężczyźni wyjdą z tawerny.

2. *Spotkanie z duchem*

Dziesięć, jedenaście, dwanaście... i dwa, i sześć... jeden funt, osiem szylingów, sześć i pół pensa! - Fergus uroczyście wrzucił ostatnią monetę do płóciennego woreczka, ściągnął tasiemki i podał woreczek Jamiemu. - I trzy kamienie, ale te zatrzymałem - dodał, klepiąc się po kieszeni surduta. Jamie zważył woreczek w ręku.

- Zapłaciłaś już za posiłek? - zwrócił się do mnie.

- Tak - zapewniłam. - Zostały mi cztery szylingi i sześć pensów oraz to, co zebrał Fergus.

Fergus uśmiechnął się skromnie. Białe, kwadratowe zęby błysnęły w słabym świetle dochodzącym z okna tawerny.

- W takim razie wystarczy nam pieniędzy na pogrzeb - zauważyłam. - Czy zabierzemy monsieur Hayesa do księdza już teraz, czy poczekamy z tym do rana?

Jamie zmarszczył czoło i popatrzył na wóz, stojący spokojnie na skraju podwórza.

- Myślę, że o tej porze ksiądz już śpi - powiedział, spoglądając na wschodzący księżyc. - Ale jednak...

- Wolałabym nie zabierać go z nami. Nie chciałabym być nieuprzejma - dodałam przeproszającym tonem, zwracając się w stronę wozu - ale jeśli będziemy spać w lesie, to... hmm... zapach... - Nie był przytłaczający, choć gdy już, człowiek wydostał się z zadymionego zaduchu tawerny, w pobliżu wozu dawał się wyczuć wyraźny odór. Gavin nie zginął łagodną śmiercią, a dzień naprawdę był upalny.

- Ciocia Claire ma rację - zgodził się ze mną Ian, dyskretnie przesuwając kostkami palców pod nosem. -

Lepiej nie kusić dzikich zwierząt.

- Przecież nie zostawimy tu Gavina! - zaprotestował Duncan, oburzony tą myślą, i zachwiał się niebezpiecznie. Wypity alkohol zaburzył jego i tak niepewną równowagę. - Co chcecie zrobić, zostawić go na progu tawerny w tym prześcieradle, jak podrzutka w powijkach?

Szerokie usta Jamiego drgnęły z rozbawienia. Światło księżycy odbijało się od ostrego grzbietu jego nosa.

- Nie, nie zostawimy go tutaj. - Przez chwilę przerzucał woreczek z ręki do ręki. Monety brzęczały cicho. Potem podjął decyzję i wsunął go do kieszeni. - Sami go pochowamy. Fergus, może zajrzysz do stajni i zapytasz, czy nie sprzedaliby tanio jakiegoś szpadla?

Krótki przemarsz do kościoła przez ciche ulice Charlestonu może nie był tak uroczysty jak zwykły kondukt, choć Duncan upierał się, by użyć co bardziej interesujących części lamentu pogrzebowego jako pieśni procesjonalnej.

Jamie jechał powoli, od czasu do czasu pokrzykując na konie.

Duncan szedł obok chwiejnym krokiem, ochryple zawodząc melodię lamentu i trzymając jednego z koni za uzdę, Ian zaś trzymał drugiego, by się nie spłoszyły. Fergus i ja szliśmy z tyłu, zachowując godną powagę. Fergus dzierżył nowo zakupiony szpadel w pozycji „przez pierś broń” i bez przerwy prorokował pod nosem, że wszyscy spędzimy noc w więzieniu za zakłócanie spokoju w mieście.

Kościół stał przy cichej uliczce, w pewnym oddaleniu od najbliższego domu. Z jednej strony zwiększało to szansę, że nikt nas nie zauważy, ale z drugiej oznaczało, iż na przykościelnym cmentarzu panują egipskie ciemności,

nierozświetlone blaskiem żadnej pochodni czy świecy.

Bramę ocieniały gałęzie wielkich magnolii. Skórzaste liście, zwiotczałe od upału, wraz z rzędem sosen rosnących wzdłuż muru w ciągu dnia dawały cień i osłonę przed gwarem, nocą jednak nie przepuszczały ani odrobiny światła, przez co na cmentarzu było ciemno jak... no cóż, jak w grobowcu. Idąc, miałam wrażenie, że odpycham na boki zasłony z czarnego aksamitu nasączone zapachem terpentyny pochodzącym z rozgrzanych słońcem sosen; warstwa za warstwą miękkiego, gryzącego zaduchu. Nic nie mogło być bardziej różne od chłodnej, krystalicznej czystości gór szkockich niż parna atmosfera Południa, ale gdy zobaczyłam blade smugi mgły czające się pod ciemnymi ceglanyymi murami, opowieść Jamiego o tannasq przypomniała mi się nieco zbyt wyraziście.

Jamie zsunął się z wozu i ujął mnie pod ramię.

- Poszukamy jakiegoś miejsca. Duncan, zaczekaj tutaj i pilnuj koni. Może przy murze - dodał, prowadząc mnie w stronę bramy. - Ian i ja będziemy kopać, a ty potrzy masz latarnię. Fergus może stać na straży.

- Zostawimy Duncana samego? - zapytałam, oglądając się za siebie. - Czy nic mu się tu nie stanie? - Jego wysoka, wiotka postać wtopiła się w ciemniejszą plamę złożoną z koni i wozu, ale nadal wyraźnie słyszałam jego głos.

- Będzie głównym żałobnikiem - rzekł Jamie z cieniem uśmiechu w głosie. - Uważaj na głowę, Angielko.

Odruchowo skłoniłam głowę, przechodząc pod nisko opadającą gałęzią magnolii. Nie miałam pojęcia, czy Jamie rzeczywiście zauważył ją w zupełnych ciemnościach, czy

też wyczuł instynktem, ale nigdy jeszcze nie widziałam, by się potknął, bez względu na to, jak ciemno było dokoła.

- Nie sądzisz, że ktoś zauważy świeży grób?

Na cmentarzu nie było jednak zupełnie ciemno. Gdy już wyszliśmy spod magnolii, dostrzegłam niewyraźne zarysy nagrobków.

Otoczone bladą warstewką mgły wznoszącej się nad ziemią, wyglądały niematerialnie i złowieszczo. Czułam łaskotanie w podeszwach stóp, jakby gdzieś z głębi ziemi napływały w naszą stronę fale milczącej nagany za to niestosowne zakłócenie spoczynku zmarłych. Obtarłam sobie skórę na łydce o krawędź nagrobka i przygryzłam usta, tłumiąc chęć, by przeprosić jego właściciela.

Jamie puścił moje ramię i sięgnął do kieszeni.

- Pewnie zauważą, ale skoro ksiądz chciał pieniądze za pochowanie Gavina, to chyba nie będzie mu się chciało wykopywać go za darmo, co?

Z ciemności przy moim łokciu nieoczekiwanie wyłonił się Ian.

- Wujku Jamie, tam przy północnym murze jest wolne miejsce - powiedział cicho, choć w pobliżu nie było nikogo, kto mógłby nas usłyszeć. Jego głos brzmiał nieswojo. Wypił prawie tyle samo co Jamie i Fergus, ale gdy u starszych mężczyzn alkohol spowodował przyływ wisielczego humoru, na Iana najwyraźniej podziałał przynębiająco. - Okropnie tu ciemno, nie?

- Ano ciemno. Poczekaj chwilę, zabrałem z gospody kawałek świeczki. - Cichy szelest oznaczał, że Jamie szuka krzemienia i krzesiwa.

W otaczającym mroku czułam się bezcielesna,

jakbym sama była duchem. Podniosłam głowę i zobaczyłam gwiazdy, ledwie widoczne przez zasłonę gęstego powietrza. Nie dawały światła, wzmacniały tylko wrażenie niezmiernego oddalenia i zupełnego osamotnienia.

- To jak czuwanie przed Wielką Niedzielą. - Głos Jamiego był cichy, towarzyszył mu zgrzyt krzemienia. - Byłem kiedyś na takim nabożeństwie, w Notre Dame w Paryżu. Uważaj, Ian, tam jest nagrobek! - Głuche tąpnięcie i stłumiony jęk świadczyły, że ostrzeżenie nadeszło za późno. - W kościele było zupełnie ciemno - ciągnął Jamie - ale ludzie, którzy przyszli na nabożeństwo, kupowali świece od staruszek przy drzwiach. Wyglądało to trochę jak tutaj - raczej poczułam, niż dostrzegłam, że wskazał na niebo nad naszymi głowami - wielka przestrzeń nad głowami wypełniona ciszą, która aż dzwoniła w uszach, a dokoła ze wszystkich stron tłum ludzi.

Choć było gorąco, przy tych słowach przeszył mnie zimny dreszcz.

Wyobraziłam sobie umarłych stłoczonych dokoła nas i czekających na chwilę zmartwychwstania.

- A potem, gdy już myślałem, że nie zniosę dłużej tej ciszy i tego tłumy, od strony drzwi rozległ się głos księdza. Lumen Christi - zawołał i ministranci zapalili wielką świecę, którą niósł. Od tej świecy odpalili swoje świece i rozeszli się po nawach, zapalając z kolei świece wiernych.

Dostrzegłam teraz jego dłonie w słabym blasku iskiek padających z krzemienia.

- I wtedy kościół ożywił się tysiącem małych płomyków, ale to ta pierwsza świeca przełamała ciemność.

Skrobanie ustało. Jamie osłaniał dłonią zrodzony

przed chwilą płomyk, który powiększył się szybko i oświetlił jego twarz od dołu.

Blask ognia ślizgał się po wysoko osadzonych kościach policzkowych i czole i pogrążał w cieniu głęboko osadzone oczy.

Podniósł świecę i przyjrzał się przyczajonym dokoła nagrobkom.

Wyglądały niesamowicie, jak megalitowy krąg.

- Lumen Christi - powiedział cicho, pochylając głowę w stronę granitowego słupa zwieńczonego krzyżem - et requiescat in pace, arnice. - Kpiący ton zniknął z jego głosu. Teraz mówił zupełnie poważnie. Poczułam się dziwnie podniesiona na duchu, jakby coś, co nas obserwowało, cofnęło się.

Uśmiechnął się do mnie i podał mi świecę.

- Poszukaj jakiegoś kawałka drewna, który nadawałby się na pochodnię, Angielko - poprosił. - Ian i ja będziemy kopać na zmianę.

Zdenerwowanie minęło, ale wciąż czułam się jak cmentarny rabuś. Stałam pod sosną z pochodnią w ręku, a Ian i Jamie zmieniali się przy szpadlu. Ich nagie plecy w blasku ognia lśniły od potu.

- Studenci medycyny mieli niegdyś w zwyczaju płacić za wykradanie świeżych ciał z cmentarzy - powiedziałam, podając brudną chustkę Jamieu, który właśnie wydostawał się na powierzchnię, sapiąc z wysiłku. - To był jedyny sposób, żeby się nauczyć, jak kroić ciała.

Jamie otarł twarz z potu i rzucił mi szybkie, ironiczne spojrzenie.

- Mieli w zwyczaju? Czy może mają nadal?

Na szczęście pochodnia nie dawała tyle światła, by Ian mógł dostrzec rumieniec na mojej twarzy. Nie było to moje pierwsze przejęzyczenie i zapewne nie ostatnie, ale większość takich wpadek przechodziła niezauważona, najwyżej wywoływały zdziwione spojrzenia. Nikomu nie przychodziło do głowy, jak może wyglądać prawda.

- Chyba robią to nadal - przyznałam, drżąc lekko na myśl o świeżo ekshumowanym, niezakonserwowanym ludzkim ciele, brudnym od ziemi ze zbezczeszczonego grobu. Zabalsamowane zwłoki na stole ze stali nierdzewnej również nie stanowiły szczególnie przyjemnego widoku, ale ich formalny wygląd pozwalał zachować nieco dystansu wobec zgnitego oblicza śmierci.

Oddychałam głęboko przez nos, próbując pozbyć się wyobrazonego i zapamiętanego fetoru. Przy wdychu moje nozdrza wypełniały się zapachem wilgotnej ziemi i smolną wonią sosnowej pochodni, a także słabszym i chłodniejszym aromatem żywych sosen nad naszymi głowami.

- Biorą też biedaków i przestępców z więzień. - Młody Ian, który najwyraźniej słyszał naszą rozmowę, nawet jeśli jej nie zrozumiał, to w każdym razie skorzystał z okazji, żeby zrobić sobie chwilę przerwy.

Otarł czoło i oparł się na szpadlu. - Tata opowiadał mi kiedyś, co się zdarzyło, gdy go aresztowali. Zabrali go do Edynburga i wsadzili do Tolbooth, do celi z trzema innymi więźniami. Jeden z nich miał suchoty, okropnie kaszlał i pozostali w ogóle nie mogli przez to spać.

Którejś nocy kaszel ustał i domyślili się, że nie żyje, ale byli tak zmęczeni, że tylko odmówili Ojciec nasz za jego duszę i usnęli.

Urwał i poskrobał się po nosie.

- Tata mówił, że obudził się nagle, kiedy ktoś go złapał za nogi, a ktoś inny za ręce i próbowali go podnieść. Wierzgnął nogami i zaczął krzyczeć. Ten, który trzymał go za ręce, wrzasnął i puścił, i tata uderzył głową o kamienie. Usiadł, rozcierając ciemię, i zobaczył przed sobą doktora ze szpitala i jeszcze dwóch innych. Przyszli, żeby zabrać ciało do prosektorium. - Ian uśmiechnął się szeroko i odgarnął z twarzy mokre od potu włosy. - Tata mówił, że sam nie wiedział, kto się bardziej przestraszył, on czy ci, co chcieli zabrać niewłaściwe ciało, ale mówił, że doktor bardzo żałował - powiedział, że tata byłby ciekawszym okazem, bo miał uciętą nogę i w ogóle.

Jamie roześmiał się i rozprostował ramiona, by dać odpocząć barkom. Cały wysmarowany czerwoną ziemią, z głową owiniętą chustką, wyglądał niechlujnie jak cmentarny rabuś.

- A tak, pamiętam tę opowieść. Ian mówił potem, że wszyscy doktorzy to trupojady, i nie chciał mieć z nimi nic wspólnego - uśmiechnął się do mnie. Ja też w swoich czasach byłam lekarzem - chirurgiem. Tutaj jednak uchodziłam za zwykłą znachorkę, wprawną w stosowaniu ziół. - Na szczęście ja się nie boję trupojadów - dodał i pocałował mnie szybko. Usta miał ciepłe, o smaku piwa. W kędzierzawych włosach porastających jego pierś dostrzegłam kropelki potu, sutki w przyćmionym świetle wyglądały jak dwa ciemne pączki.

Przeszedł mnie dreszcz, który nie miał nic wspólnego z chłodem ani z naszym dziwnym otoczeniem. Jamie napotkał mój wzrok, wziął głęboki oddech i

natychmiast poczułam, że gorset ciasno opina moje ciało, a piersi pod przepoconą koszulą stają się ciężkie.

Poruszył się niespokojnie i poprawił spodnie.

- A niech to - mruknął cicho i odwrócił się ze smutnym uśmiechem.

Nie spodziewałam się tego, ale rozpoznałam to uczucie. Nagły przypływ pożądania jest powszechną, nawet jeśli dość szczególną reakcją na obecność śmierci, dobrze znaną żołnierzom w chwilach wytchnienia po bitwie, a także uzdrowicielom, którzy nieustannie stykają się z walką i krwią. Może Ian miał więcej racji, niż sądziłam, uznając lekarzy za trupojadów.

Dłoń Jamiego dotknęła moich pleców. Drgnęłam i z pochodni, którą trzymałam, posypały się iskry. Wziął ją ode mnie i ruchem głowy wskazał pobliski nagrobek.

- Usiądź, Anielko. Nie powinnaś tak długo stać.

Podczas katastrofy statku pękła mi kość piszczelowa i choć zrastała się szybko, noga nadal od czasu do czasu bolała.

- Czuję się dobrze - odpowiedziałam, ale podeszłam do kamienia, po drodze ocierając się o Jamiego. Emanował ciepłem, jednak nagie ciało w dotyku było chłodne i pokryte wyczuwalną warstwą potu.

Czułam jego zapach. Spojrzałam na niego: miejsce, którego dotknęłam, pokryło się gęsią skórą. Przełknęłam ślinę, odsuwając od siebie nagłą wizję ślepego złączenia w ciemnościach, na pogniecionej trawie i nagiej ziemi.

Ujął mnie pod łokieć i posadził na kamieniu. Obok nagrobka leżał zdyszany Rollo. Kropelki jego śliny lśniły w blasku ognia. Patrzył na mnie przymrużonymi żółtymi

oczami.

- Nawet o tym nie myśl - powiedziałam głośno, również spoglądając na niego spod przymrużonych powiek.

- Tylko spróbuj mnie ugryźć, a wepchnę ci pantofel do gardła tak głęboko, że się udusisz.

- Hau - odpowiedział Rollo cicho i oparł pysk na przednich łapach, ale włochate uszy nadal miał postawione, gotowe wychwycić najlżejszy dźwięk.

Szpadel miękko zagłębiał się w ziemię u stóp Iana. Chłopak wyprostował się i wierzchem dłoni otarł pot z czoła, zostawiając na policzku czarne smugi. Odetchnął głęboko i z językiem wysuniętym z kącika ust podniósł wzrok na Jamiego, który skinął głową w odpowiedzi na tę milczącą prośbę.

- Tak, chyba już wystarczy. No to przyniosę Gavina.

Fergus niespokojnie zmarszczył brwi. Rysy jego twarzy wyostrzyły się w blasku ognia.

- Może pomóc ci w niesieniu ciała? - W jego głosie brzmiała wyraźna niechęć, ale jednak zapytał.

Jamie uśmiechnął się krzywo.

- Poradzę sobie. Gavin nie był duży. Ale możesz ponieść pochodnię.

- Ja też idę, wujku. - Młody Ian szybko wylazł z dołu. Jego chude ramiona błyszcząły od potu. - Na wypadek, gdybyś potrzebował pomocy - dodał bez tchu.

- Boisz się zostać sam w ciemnościach? - zapytał Fergus ironicznie. Wydawało mi się, że on sam czuje się tu nieswojo. Choć od czasu do czasu pokpiwał z Iana, którego uważał za młodszego brata, zwykle nie posuwał się przy tym do okrucieństwa.

- Aha, boję się - odrzekł Ian po prostu. - A ty nie?

Fergus otworzył usta, po czym znów je zamknął i bez słowa zwrócił się w stronę ziejącej czernią bramy, gdzie zniknął Jamie.

- Nie uważasz, ciociu, że to okropne miejsce? - wymamrotał Ian gdzieś przy moim łokciu. Szliśmy między majaczącymi w mroku nagrobkami w ślad za migoczącą pochodnią niesioną przez Fergususa. - Przez cały czas mam w głowie tę historię, którą opowiedział wujek Jamie. A teraz, kiedy Gavin nie żyje, może ta zimna istota... to znaczy, czy nie myślisz, że ona może po niego przyjść? - Głośno przełknął ślinę, a ja poczułam dotyk lodowatego palca u podstawy kręgosłupa.

- Nie! - powiedziałam nieco zbyt głośno i pochwyliłam go za ramię, by się przekonać, że jest istotą z krwi i kości. - Na pewno nie.

Skórę miał lepką od potu, ale dotyk chudego, muskularnego ramienia dawał mi pociechę. W półmroku jego sylwetka przypominała mi nieco postać Jamiego. Był niemal równie wysoki i prawie tak samo silny, choć wciąż jeszcze chudy i patykowato niezgrabny.

Z ulgą weszliśmy w krąg światła pochodni, które migotliwie przeświecało przez koła wozu. Ich cienie na piaszczystej drodze wyglądały jak pajęczyny.

Było tu równie gorąco i duszno jak na cmentarzu, ale z dala od drzew powietrze wydawało się lżejsze i łatwiej było oddychać.

Ku memu zdziwieniu Duncan jeszcze nie spał. Siedział na ławce wozu jak drzemiąca sowa, z głową wepchniętą między ramiona, i mrucał coś pod nosem. Na

nasz widok umilkł. Zdawało się, że podczas długiego czekania trochę wytrzeźwiał. Zsunął się z ławki, nie tracąc równowagi, i poszedł na tył wozu, by pomóc Jamiemu.

Stłumiłam ziewnięcie. Bardzo chciałam już zakończyć ten przygnębiający obowiązek i udać się na spoczynek, nawet jeśli jedyne łóżko, jakie na mnie czekało, składało się ze sterty liści.

- Ifrinn an Diabhuil! A Dhia, thoir cobhair!

- Sacree Vierge!

Gwałtownie podniosłam głowę. Wszyscy krzyтели jednocześnie.

Przestraszone konie rżały, próbując zerwać pęta. Wóz podskakiwał jak pijany żuk.

- Hau - powiedział Rollo tuż obok mnie.

- Jezu! - wykrzyknął Ian, spoglądając na wóz. - Jezu Chryste!

Powiodłam wzrokiem za jego spojrzeniem i mnie również wyrwał się okrzyk. Z trzęsącego się wozu wyłaniała się jakaś blada postać.

Nie zdążyłam zobaczyć nic więcej, bo rozpętało się piekło. Rollo przysiadł na tylnych łapach i warcząc złowrogo, rzucił się przed siebie w mrok. Równocześnie rozlegały się krzyki Jamiego i Iana oraz okropny wrzask ducha. Za sobą słyszałam stek francuskich przekleństw. Fergus biegiem rzucił się z powrotem na cmentarz, potykając się w ciemnościach i przewracając nagrobki.

Upuszczona przez Jamiego pochodnia zamigotała i przygasła z sykiem. Opadłam na kolana i pochwyciłam ją, nim zdążyła zupełnie zgasnąć. Desperacko zaczęłam na nią dmuchać, próbując ją rozpalić na nowo.

Chór krzyków i jęków narastał w crescendo. Podniosłam się z pochodnią w rękę i zobaczyłam Iana, który próbował nie dopuścić Roïła do kłębu niewyraźnych postaci walczących ze sobą w tumanie kurzu.

- Arretes, espece de cochon! - Fergus wybiegł z ciemności, wymachując szpadlem. Gdy nikt nie usłuchał jego rozkazu, podszedł o krok bliżej i jedną ręką wymierzył cios w głowę intruza. Usłyszałam tępy dźwięk.

- Cicho bądź! - zawołał do psa, wygrażając mu szpadlem. - Zamknij się w tej chwili, ty głupia bestio, bo wyłupię ci mózg!

Rollo parsknął, odsłaniając budzące respekt zęby. Moim zdaniem miało to oznaczać „no i co jeszcze?”, ale na drodze do kłótni stanął Ian, który otoczył psa ramieniem, przytrzymując go w miejscu.

- Skąd on się tu wziął? - zapytał z niedowierzaniem, wyciągając szyję, by popatrzeć na leżącą na ziemi postać, a jednocześnie nie wypuścić wilka z uchwytu.

- Z piekła - odrzekł Fergus krótko. - I myślę, że powinien tam wrócić jak najszybciej.

Cały drżał od wstrząsu i wysiłku. Odsunął z oczu kosmyk czarnych włosów, światło odbiło się od haka.

- Nie z piekła, tylko z szubienicy. Nie poznajesz go? - Jamie wstał powoli i otrzepał spodnie. Cały był brudny i oddychał ciężko, wydawało się jednak, że nie odniósł żadnych obrażeń. Podniósł z ziemi chustkę i otarł twarz, rozglądając się dokoła. - Gdzie jest Duncan?

- Tutaj, Mac Dubh - odezwał się ochryply głos z przedniej części wozu. - Koniom od początku nie bardzo podobała się obecność Gavina, a kiedy zobaczyły, że

zmartwychwstaje, porządnie się zdenerwowały. Zresztą - dodał uczciwie - ja też się trochę wystraszyłem. - Popatrzył z niechęcią na leżącego na ziemi mężczyznę i poklepał jednego z koni po karku. - Ale to tylko ten głupi łajdak, luaidh. Uspokój się już, co?

Podaliśmy pochodnię Ianowi i przyklękłam, by przyjrzeć się obrażeniom naszego gościa. Nie wyglądały na poważne, mężczyzna zaczynał się już poruszać. Jamie miał rację - to był człowiek, który wcześniej tego samego dnia uciekł spod szubienicy. Był młody, nie więcej niż trzydziestoletni, muskularny i potężnie zbudowany. Jasne włosy miał matowe i sztywne od potu i brudu. Roznosił się wokół niego zapach więzienia i ostra woń strachu. Nic dziwnego.

Podsunęłam rękę pod jego plecy i pomogłam mu usiąść.

Wymamrotał coś i przyłożył dłoń do głowy, mrużąc oczy przed światłem pochodni. - Dobrze się pan czuje? - zapytałam.

- Uprzejmie pani dziękuję. Bywało lepiej - odrzekł miękko, głębokim głosem z odrobiną irlandzkiego akcentu.

Rollo uniósł górną wargę i złowroźnie szczerząc zęby, wepchnął nos pod pachę intruza, powąchał, po czym odrzucił łeb do tyłu i donośnie kichnął. Przez cały nasz krąg przebiegł śmiech i napięcie momentalnie zelżało.

- Jak długo byłeś w wozie? - zapytał Duncan.

- Od południa. - Mężczyzna niezgrabnie podniósł się na kolana i zachwiał się. Widocznie jeszcze kręciło mu się w głowie od uderzenia. Dotknął bolesnego miejsca i jego twarz wykrzywił grymas.

- O Jeezu! Wszedłem tu zaraz po tym, jak ten Francuz przyniósł biednego Gavina. - A gdzie pan był wcześniej? - zapytał Ian.

- Schowałem się pod platformą szubienicy. Pomyślałem, że to jedyne miejsce, gdzie nie będą szukać. - Z trudem podniósł się na nogi i przymknął oczy, by odzyskać równowagę, ale zaraz znów je otworzył. W świetle pochodni wydawały się jasnozielone jak morze na płyciźnie. Przebiegł wzrokiem po wszystkich twarzach, zatrzymał spojrzenie na Jamiem i skłonił się ostrożnie. - Steven Bonnet, do usług, sir.

Nie próbował wyciągnąć ręki, Jamie również tego nie zrobił.

- Mister Bonnet - powtórzył po prostu i skinął głową z twarzą niewyrażającą niczego. Nie mam pojęcia, jak udało mu się uzyskać władczy wygląd, choć miał na sobie tylko wilgotne, pobrudzone ziemią portki, ale jakoś dokonał tej sztuki. Obrzucił tamtego wzrokiem od stóp do głów, nie pomijając żadnego szczegółu.

Bonnet był, jak to określają ludzie ze wsi, „dobrze zbudowany” - wysoki, potężny i o wypukłej piersi. Rysy twarzy miał dość toporne, ale na swój sposób był przystojny. O dobrych kilka centymetrów niższy od Jamiego, stał w swobodnej pozie, balansując na piętach, z dłońmi zwiniętymi w pięści. Sądząc po skrzywieniu nosa i niewielkiej bliźnie w kącie ust, walka nie była dla niego żadną nowością. Te drobne niedoskonałości nie niweczyły ogólnego wrażenia zwierzęcego magnetyzmu. Należał do mężczyzn, którzy z łatwością przyciągają kobiety. Niektóre kobiety, poprawiłam się w myślach, gdy obrzucił mnie

taksującym spojrzeniem.

- Za jakie przestępstwo został pan skazany, panie Bonnet? - zapytał Jamie. On również stał w swobodnej pozie, ale miał w sobie podobną czujność jak Bonnet. Przypominali w tej chwili dwa psy, które patrzą na siebie z płasko położonymi uszami, nim zdecydują, czy rozpocząć walkę.

- Za przemyt - odrzekł Bonnet.

Jamie lekko przechylił głowę na bok i pytająco uniósł brew.

- I piractwo. - W kąciку ust Bonneta zadrgał mięsień. Była to marna próba uśmiechu, a może drgnienie strachu?

- A czy zabił pan kogoś przy okazji tych przestępstw, panie Bonnet? - Twarz Jamiego była zupełnie nieprzenikniona, jednak oczy wyraźnie mówiły: zanim odpowiesz, zastanów się dwa razy, a jeszcze lepiej trzy.

- Nie zabiłem nikogo, kto wcześniej nie próbował zabić mnie - odrzekł Bonnet swobodnym, niemal beztróskim tonem, ale mocniej zacisnął dłoń w pięść.

Przyszło mi do głowy, że musi się czuć jak przed sądem, a z pewnością wcześniej już przed jednym stał. Nie mógł wiedzieć, że my mamy niewiele większą ochotę niż on na spotkanie z żołnierzami z garnizonu.

Jamie patrzył na niego przez dłuższą chwilę w migotliwym blasku pochodni, po czym skinął głową i cofnął się o pół kroku.

- W takim razie idź - powiedział cicho - nie będziemy cię zatrzymywać.

Bonnet odetchnął głośno. Jego wielka postać

rozluźniła się, ramiona pod tanią, lnianą koszulą opadły.

- Dziękuję. - Otarł twarz dłonią i jeszcze raz odetchnął głęboko.

Zielone oczy biegały między mną, Fergusem a Duncanem. - A czy moglibyście mi pomóc?

Duncan, który rozluźnił się po usłyszeniu decyzji Jamiego, chrząknął z zaskoczeniem.

- Pomóc ci? Złodziejowi?

Głowa Bonneta zwróciła się w jego stronę. Ciemny zarys żelaznej obroży na jego szyi sprawiał dziwne wrażenie, jakby odcięta głowa unosiła się kilka centymetrów ponad ramionami.

- Pomóżcie mi - powtórzył. - Dziś w nocy na drogach zaroi się od patroli. Będą mnie szukać. - Wskazał na wóz. - Możecie mnie stąd wywieźć, jeśli zechcecie. - Znów zwrócił się do Jamiego i sztywno wyprostował ramiona. - Błagam pana o pomoc, sir, w imię Gavina Hayesa, który był moim przyjacielem tak samo jak pańskim. I złodziejem, tak jak i ja.

Mężczyźni przez dłuższą chwilę patrzyli na niego w milczeniu, namyślając się. Fergus spojrział na Jamiego pytająco. Decyzja należała do niego. Jamie jednak zwrócił się do Duncana.

- Co powiesz?

Duncan zmierzył Bonneta identycznym spojrzeniem jak Jamie i w końcu skinął głową.

- Ze względu na Gavina - rzekł i poszedł do bramy.

- Niech będzie - westchnął Jamie i wsunął kosmyk włosów za ucho. - Pomóż nam pochować Gavina - zwrócił się do naszego nowego towarzysza - a potem ruszamy.

W godzinę później grób Gavina był już tylko czarnym prostokątem świeżo poruszonej ziemi, wyraźnie odcinającym się od szarych odcieni trawy dokoła.

- Trzeba zostawić tu jego nazwisko - powiedział Jamie. Powoli i z trudem wyskrobał czubkiem noża daty i nazwisko Gavina na kawałku gładkiego kamienia z plaży. Wtarłam w wyżłobione litery trochę sadzy z pochodni. Był to prymitywny kamień nagrobny, ale dało się go odczytać. Ian osadził go starannie na niewielkim kopczyku drobniejszych kamyczków, a na szczycie tego niewielkiego kurhanu postawił ogarek świecy z tawerny.

Przez chwilę staliśmy dokoła w niezręcznym milczeniu, nie wiedząc, jak pożegnać się z Gavinem. Jamie i Duncan, ze spuszczonym wzrokiem, stali obok siebie. Od czasu bitwy pod Culloden żegnali już wielu towarzyszy i często owe pożegnania były jeszcze mniej uroczyste.

W końcu Jamie skinął głową do Fergususa, ten zaś wziął suchą gałązkę sosny, odpalił ją od mojej pochodni, pochylił się i przyłożył do knota świecy.

- Requiem aeternam dona ei, et lux perpetua luceat ei... - powiedział Jamie cicho.

- Wieczny odpoczynek racz mu dać, Panie, a światłość wiekuista niechaj mu świeci - powtórzył cicho Ian z poważną twarzą.

Bez słowa odwróciliśmy się i wyszliśmy z cmentarza. Za naszymi plecami świeca płonęła równym płomieniem w nieruchomym, ciężkim powietrzu jak lampka tabernakulum w pustym kościele.

Gdy dotarliśmy do posterunku wojskowego tuż za murami miasta, księżyc był już wysoko na niebie. Choć w

kwadrze, dawał wystarczająco dużo światła, by można było dostrzec koleiny na rozciągającym się przed nami trakcie, na tyle szerokim, że dwa wozy mogły jechać obok siebie.

W drodze z Savannah do Charlestonu napotkaliśmy kilka takich posterunków. Przeważnie straż pełnili w nich znudzeni żołnierze, którzy machali nam ręką, nakazując przejazd, i nie zwracali sobie głowy, by choćby spojrzeć na przepustki, które dostaliśmy w Georgii.

Interesował ich przede wszystkim przemyt towarów, a od czasu do czasu poszukiwania kontraktowego najemnika albo niewolnika, który uciekł od swego pana. Choć byliśmy brudni i zaniedbani, nikt nie zwracał na nas szczególnej uwagi - większość podróżnych wyglądała podobnie. Kalectwo Fergusa i Duncana jasno świadczyło o tym, że nie mogą być kontraktowymi najemnikami, Jamie zaś wyrastał ponad swój strój i pomimo oberwanej kurtki nie sposób było wziąć go za służącego.

Dziś jednak sprawy miały się inaczej. Na posterunku zauważyliśmy aż ośmiu żołnierzy, a nie, jak zwykle, dwóch. Wszyscy byli uzbrojeni i w pełnej gotowości. W blasku księżyca błysnęły kolby muszkietów i z ciemności rozległ się okrzyk:

- Stać! Nazwiska i cel podróży.

Ktoś zatrzymał latarnię o dziesięć centymetrów od mojej twarzy, oślepiając mnie na chwilę.

- James Fraser. Jadę do Wilmington z rodziną i służbą - odpowiedział Jamie spokojnie. Ręce mu nie drżały, gdy podał mi wodze, a sam sięgnął do kieszeni kurtki po przepustki.

Spuściłam głowę, starając się sprawiać wrażenie

zmęczonej i zobojętniałej. Rzeczywiście zmęczenie dawało mi się we znaki tak bardzo, że mogłabym położyć się na drodze i zasnąć, ale do obojętności było mi daleko. Zastanawiałam się, jaka kara może nas spotkać za pomoc w ucieczce zbiegowi spod szubienicy. Po karku spłynęła mi kropelka potu.

- Czy spotkał pan kogoś na drodze, sir? - Słowo „sir” zostało wypowiedziane z wyraźnym oporem. W żółtym kręgu światła latarni doskonale było widać, że kurtka Jamiego i moja suknia są w pożałowania godnym stanie.

- Minął nas jakiś powóz jadący od strony miasta. Przypuszczam, że wy również go widzieliście - odrzekł Jamie. Sierżant odchrząknął, uważnie przyjrzał się przepustkom, a potem, przymrużając oczy, usiłował policzyć nas w mroku.

- Co ze sobą wieziecie?

Oddał przepustki i gestem nakazał jednemu z podwładnych przeszukać wóz. Bezwiednie szarpnęłam lejce. Konie parsknęły, potrząsając łbami. Jamie, nie patrząc na mnie, trącił mnie czubkiem buta.

- Zwykle zapasy na drogę - odrzekł, wciąż spokojnie. - Póltuszę jelenia i worek soli. I ciało.

Żołnierz, który już sięgał do plandeki wozu, zatrzymał się w pół ruchu. Sierżant gwałtownie podniósł głowę.

- I co?

Jamie wziął ode mnie lejce i nieznacznie owinął je sobie wokół przegubu. Kątem oka zauważyłam, że Duncan cofa się na skraj mrocznego lasu. Fergus, który był wprawnym kieszonkowcem, zniknął już z pola widzenia.

- Ciało człowieka, którego powieszono dziś po południu. Znałem go. Pułkownik Franklin pozwolił mi zawieźć go krewnym na północy.

Właśnie dlatego podróżujemy nocą - dodał tonem wyjaśnienia.

- Rozumiem. - Sierżant przywołał bliżej mężczyznę z latarnią.

Przez dłuższą chwilę wpatrywał się w Jamiego przymrużonymi oczami, aż w końcu skinął głową. - Pamiętam pana. To pan coś do niego wykrzyknął przed śmiercią. To był pański przyjaciel, tak?

- Znałem go kiedyś, wiele lat temu.

Nie odwracając wzroku, sierżant skinął głową na podwładnego.

- Zajrzyj tam, Griswald.

Griswald, który mógł mieć najwyżej czternaście lat, nie wydawał się zachwycony tym rozkazem, ale posłusznie podniósł plandekę i z latarnią w ręku zajrzał do środka. Z trudem powstrzymałam się, by nie patrzeć w tę stronę.

Koń po mojej stronie prychnął i rzucił łbem. Gdyby przyszło nam uciekać w pośpiechu, minęłoby kilka sekund, zanim wóz ruszyłby z miejsca. Wyczułam za swoimi plecami ruch; Ian położył rękę na hikorowej palce, która leżała za siedzeniem.

- Zgadza się, proszę pana, jest ciało owinięte całunem - doniósł Griswald. Z ulgą opuścił plandekę i głęboko odetchnął przez nos.

- Przebij je bagnetem - polecił sierżant, wciąż patrząc na Jamiego. Z moich ust musiał wydobyć się jakiś dźwięk, gdyż po chwili przesunął wzrok na mnie.

- Zabrudzicie mi wóz - zaprotestował Jamie. - Ciało leżało przez cały dzień na słońcu.

Sierzant prychnął ze zniecierpliwieniem.

- W takim razie wbij bagnet w nogę. Rób, co mówię, Griswald.

Griswald z wyraźną niechęcią nałożył bagnet na lufę muszkietu i wspinając się na palce, wymierzył kilka ciosów we wnętrze wozu. Za moimi plecami Ian gwizdał cicho szkocką piosenkę, której tytuł znaczył mniej więcej „Rankiem nadejdzie śmierć”. Uznałam to za niesmaczne.

- Nie, sir, on naprawdę nie żyje - rzekł Griswald z ulgą, opadając na pięty. - Szturchnąłem go mocno, ale nawet nie drgnął.

- W porządku. - Sierzant odesłał młodego żołnierza i skinął głową Jamiemu. - Może pan jechać, panie Fraser, ale na przyszłość radziłbym, aby staranniej dobierał pan sobie przyjaciół.

Kostki palców Jamiego zaciśnięte na lejcach pobladyły, ale wyprostował się tylko i mocniej nasadził kapelusz na głowę. Klasnął językiem i konie gwałtownie ruszyły, zostawiając za sobą kłęby kurzu widoczne w świetle latarni.

Wyjechaliśmy z kręgu światła w zupełną ciemność. Choć księżyc był na niebie, prawie nic nie widziałam. Poczułam ulgę, jaką musi czuć ścigane zwierzę, gdy znajdzie bezpieczną kryjówkę, i choć noc była parna, zaczęłam oddychać swobodniej.

Pół kilometra przejechaliśmy w zupełnym milczeniu.

- Czy jest pan ranny, panie Bonnet? - zapytał w końcu Ian głośnym szeptem, ledwo słyszalnym ponad

turkotem wozu.

- Tak. Ten przeklęty szczeniak dziabnął mnie w udo.

- Głos Bonneta był cichy, lecz spokojny. - Bogu dzięki, że poszedł sobie, zanim krew przesiąkała przez całun. Umarli nie krwawią.

- Czy jest pan poważnie ranny? Czy mam tam wejść i obejrzyć pańską nogę? - Obróciłam głowę. Bonnet odsunął plandekę i usiadł.

Jego sylwetka rysowała się blado w mroku.

- Nie, dziękuję, ma'am. Owinąłem ranę pończochą i na razie to chyba wystarczy.

Moje oczy przyzwyczajały się już do mroku. Gdy pochylił głowę, dostrzegłam błysk jasnych włosów.

- Czy może pan iść? - zapytał Jamie, zwalniając konie. W jego głosie nie było wrogości, ale to oczywiste, że wolałby jak najszybciej pozbyć się niebezpiecznego ładunku.

- Nie za bardzo. Nie, przykro mi, ale nie. - Bonnet również zdawał sobie sprawę, że Jamie chciałby pozbyć się go jak najszybciej.

Podniósł się z pewnym trudem i przyklęknął na zdrowym kolanie.

Dolna połowa jego ciała była niewidoczna w mroku, ale czułam od niego krew, zapach wyraźniejszy niż woń Gavina, którą wciąż wydzielał całun. - Pozwolę sobie coś panu zaproponować, panie Fraser. Pięć kilometrów stąd jest droga prowadząca na prom, a dwa kilometry za krzyżówką następna droga odchodzi w stronę wybrzeża.

To właściwie bardziej ścieżka niż droga, ale da się tamtędy przejechać. Doprowadzi nas nad brzeg strumienia,

który wpada do morza. Moi wspólnicy w tym tygodniu zarzucą tam kotwicę. Gdyby zostawił mi pan trochę jedzenia, mógłbym na nich poczekać w miarę bezpiecznie, a wy pojechalibyście w swoją stronę, uwolnieni od mojego towarzystwa.

- Wspólnicy? To znaczy piraci? - W głosie Iana brzmiała ostrożność. Sam został porwany przez piratów, którzy uprowadzili go ze Szkocji, toteż, w odróżnieniu od większości normalnych piętnastolatków, nie przypisywał im romantycznych cech.

- Zależy, jak na to spojrzeć, chłopcze - powiedział Bonnet z rozbawieniem. - Gubernatorzy obydwu stanów Karolina z pewnością tak by ich nazwali, ale kupcy z Wilmington i Charlestonu być może sądzą inaczej.

Jamie prychnął.

- Przemycnicy, tak? A jaki towar przemycają?

- Wszystko, co tylko opłaca się przewozić. - Do rozbawienia w głosie Bonneta dołączyła nuta cynizmu. - Czy chciałby pan jakiejś nagrody za swoją pomoc? Możemy o tym porozmawiać.

- Nie chcę nagrody - odrzekł Jamie zimno. - Ocaliłem cię ze względu na Gavina Hayesa i na własną przeszłość. Nie oczekuję nagrody za taką przysługę.

- Nie chciałem pana obrazić. - Bonnet lekko skłonił głowę w naszą stronę.

- Nie czuję się urażony - oznajmił Jamie krótko. Zsunął lejce z dłoni i owinął je na przegubie drugiej ręki.

Po tym drobnym starciu rozmowa utknęła. Bonnet wciąż jechał na kłęczkach, spoglądając ponad moim ramieniem na ciemną drogę.

Nie spotkaliśmy już więcej żołnierzy. Wszystko dokoła trwało w zupełnym bezruchu, nawet najmniejszy powiew wiatru nie potrząsał liści. Nic nie zakłócało ciszy tej letniej nocy poza okazjonalnym krzykiem jakiegoś przelatującego ptaka albo pohukiwaniem sowy.

Rytmiczne, miękkie stukanie końskich kopyt na piaszczystej drodze i turkot kół zaczęły mnie usypiać. Staralam się siedzieć prosto i obserwować czarne cienie drzew ciągnące się wzdłuż drogi, ale bezwiednie skłaniałam się w stronę Jamiego i pomimo wszelkich wysiłków powieki mi opadały.

Jamie znów przełożył lejce do lewej ręki, a prawą objął mnie i przyciągnął do swojego ramienia. Jego dotyk jak zawsze dał mi poczucie bezpieczeństwa. Moje ciało zwiotczało. Z policzkiem przyciśniętym do zakurzonej serżowej kurtki natychmiast zapadłam w niespokojny półsen, jaki zwykle nadchodzi, gdy człowiek jest zupełnie wyczerpany, a nie może się położyć.

Otworzyłam oczy i zobaczyłam wysoką, szczupłą postać Duncana Innesa. Szedł przy wozie niezmordowanym krokiem górala, z głową pochyloną nisko, jakby był pogrążony w myślach. Po chwili znów zamknęłam powieki i zapadłam w drzemkę, w której wspomnienia minionego dnia mieszały się z sennymi majakami. Śnił mi się olbrzymi skunks, który spał pod stołem w tawernie, a potem obudził się i przyłączył do chóru śpiewającego Gwiazdzisty sztandar.

Dyndający na szubienicy skazaniec podniósł bezwładną głowę i uśmiechnął się do mnie pustymi oczami. Obudziłam się, gdy Jamie łagodnie mną potrząsnął.

- Wejdz do wozu i połoz się, Angielko. Zaczynasz już chrapać.

Za chwilę spadniesz na drogę.

Niezgrabnie przelażłam przez siedzenie na tył wozu, zamieniając się miejscami z Bonnetem, i umościłam się obok pogrążonego we śnie Iana. Deski wozu śmierdziały pleśnią i czymś jeszcze gorszym. Ian głowę miał opartą na zawiniątku z niegarbowanej jeleniej skóry, w którym znajdowało się byle jak podzielone mięso. Rollo urządził się nieco lepiej: wygodnie oparł porośnięty futrem pysk na brzuchu Iana.

Ja musiałam się zadowolić skórzanym workiem z solą. Gładka skóra pod moim policzkiem była twarda, ale w każdym razie nie śmierdziała.

Klekoczące deski wozu w żadnym razie nie były wygodne, mimo to rozprostowanie nóg przyniosło mi tak wielką ulgę, że nie zważałam na podskoki i uderzenia. Obróciłam się na plecy i wpatrzyłam w bezmierne południowe niebo, gęsto usiane gwiazdami. Lumen Christi - pomyślałam i pocieszona myślą, że Gavin Hayes bezpiecznie znajdzie drogę do domu wśród tych niebiańskich światel, znów usnęłam, tym razem głębiej.

Nie wiem, jak długo spałam, spowita kokonem upału i wyczerpania. Obudziłam się, gdy wóz zwolnił. Spocona jak mysz, powoli otrząsałam się ze snu.

Bonnet i Jamie rozmawiali cicho, swobodnym tonem mężczyzn, którym udało się już przełamać początkową nieufność.

- Powiedział pan, że ocalił mi pan życie ze względu na Gavina Hayesa i na własną przeszłość - mówił Bonnet.

Jego głos był ledwo słyszalny ponad turkotem kół. - Jeśli wolno zapytać, co pan chciał przez to powiedzieć?

Jamie nie odpowiedział od razu. Już usypiałam, gdy jego odpowiedź przyłąnęła przez ciepłe, mroczne powietrze.

- Chyba nie spał pan zbyt dobrze ostatniej nocy, wiedząc, co ma przynieść dzień.

Bonnet zaśmiał się cicho bez rozbawienia. - Racja. I nie wydaje mi się, bym miał o tym szybko zapomnieć.

- Ani ja. - Jamie powiedział coś po gaelicku do koni, które w odpowiedzi zwołyły. - Przeżyłem kiedyś taką noc, wiedząc, że z samego rana mnie powieszają. A jednak przeżyłem, dzięki łasce kogoś, kto wiele zaryzykował, by mnie ocalić.

- Rozumiem - odparł Bonnet cicho. - To znaczy, że jest pan asgina ageli. - Tak? A co to takiego?

Po bokach słyszałam skrobanie gałązek i szmery liści ocierających się o wóz. Ostry, żywiczny zapach stał się naraz mocniejszy. Coś lekkiego dotknęło mojej twarzy; były to opadające z góry liście. Konie zwołyły i rytm jazdy wyraźnie się zmienił, gdy znaleźliśmy się na nierównej powierzchni. Skręciliśmy w wąską, boczną drogę, prowadzącą do strumienia, o którym mówił Bonnet.

- Angina ageli to nazwa używana przez czerwonych dzikusów, Czirokezów z gór. Jeden z nich był kiedyś moim przewodnikiem i od niego o tym usłyszałem. Oznacza półducha, kogoś, kto powinien już umrzeć, ale nadal pozostaje na ziemi. Może to być kobieta, która przeżyła śmiertelną chorobę, albo mężczyzna, który wpadł w ręce wrogów i udało mu się uciec. Mówią, że asgina ageli stoi

jedną nogą na ziemi, a drugą w świecie duchów, umie z nimi rozmawiać i widzi Nunnahee - Małych Ludzi.

- Małych Ludzi? Czy to coś podobnego do elfów? - zapytał Jamie ze zdziwieniem.

- Coś w tym rodzaju. - Bonnet poruszył się na siedzeniu i przeciągnął, deski zatrzeszczały. - Indianie mówią, że Nunnahee żyją wewnątrz górskich skał i przychodzą ludziom na pomoc w czasie wojny albo innego nieszczęścia.

- Doprawdy? O czymś podobnym opowiadają w szkockich górach. Nazywają ich Dawnym Ludem.

- Coś takiego! - Bonnet wydawał się rozbawiony. - No cóż, z tego, co słyszałem o szkockich góralach, to są takimi samymi barbarzyńcami jak czerwonoskórzy.

Jamie zupełnie nie wydawał się urażony.

- Bzdura. Czerwone dzikusy jedzą serca swoich wrogów, tak w każdym razie słyszałem. Ja wolę talerz dobrej owsianki.

Bonnet wydał dziwny dźwięk.

- Jest pan góralem? No cóż, jak na barbarzyńcę wydaje się pan całkiem cywilizowany - zapewnił Jamiego głosem nabrzmiałym śmiechem.

- Jestem panu niezmiernie zobowiązany za tę opinię - odrzekł Jamie z równą uprzejmością

Ich głosy stopiły się z rytmicznym skrzypieniem kół. Zanim zdążyłam usłyszeć coś więcej, znów usnęłam.

Gdy się zatrzymaliśmy, księżyc wisiał już nisko nad drzewami.

Obudziłam się, gdy Ian, zaspany, gramolił się przez krawędź wozu, by pomóc Jamieemu zająć się końmi.

Podniosłam głowę i zobaczyłam szerokie rozlewisko wody o zamulonych, gliniastych brzegach.

Lśniąca, czarna powierzchnia połyskiwała srebrzyście w miejscach, gdzie nurt zahaczał o przybrzeżne kamienie. Pomyślałam, że choć Bonnet, używając charakterystycznej dla Nowego Świata perspektywy, mówił o strumieniu, dla większości żeglarzy byłaby to już całkiem przyzwoita rzeka.

Mężczyźni krzatali się w milczeniu, od czasu do czasu mrużąc tylko jakieś pojedyncze słowo. Ich powolne od zmęczenia ruchy wydawały się wtapiać w noc.

- Znajdź sobie jakieś miejsce do spania, Angielko - powiedział Jamie, przystając obok, by mnie podtrzymać, gdy zeskoczyłam z wozu. - Muszę zająć się Bonnetem, zaopatrzyć go w jakieś zapasy i wysłać w dalszą drogę. Konie trzeba obetrzeć i wyprowadzić na trawę.

Temperatura od zmierzchu prawie nie spadła, ale nad wodą powietrze wydawało się świeższe i poczułam, że odżywam.

- Nie zasnę, dopóki się nie wykąpię. Czuję się okropnie - powiedziałam, odciągając przepocony gorset od piersi. Wilgotne włosy przylepiły mi się do skroni, całe ciało było brudne i swędziało.

Ciemna woda wydawała się chłodna i zachęcająca. Jamie spojrzął na nią z tęsknotą, również odsuwając od ciała pogniecioną koszulę.

- Wiem, co ci się marzy. Ale bądź ostrożna: Bonnet mówi, że rzeka pośrodku jest głęboka na tyle, że może tam płynąć kecz. To rzeka pływowa, z silnym nurtem.

- Będę się trzymać blisko brzegu. - Wskazałam na

miejsce nieco w dół strumienia, gdzie wierzby połyskiwały w świetle księżyca przyszarzałym srebrem. - Widzisz tamto miejsce? Tam powinna być zatoczka.

- Tak. Idź, tylko bądź ostrożna - powtórzył, ściskając mój łokieć.

Z mroku przede mną wychynął nagle duży, błądy kształt. Był to nasz nowy towarzysz. Nogawkę spodni poplamioną miał zaschniętą krwią.

- Jestem pani niezmiernie zobowiązany, ma'am - powiedział i pomimo rany udało mu się całkiem składnie uklonić. - Czy mam się już pożegnać?

Stał nieco zbyt blisko mnie i powstrzymałam chęć, by cofnąć się o krok.

- Tak - skinęłam głową. - Życzę panu szczęścia, panie Bonnet.

- Dziękuję za dobre słowo - odrzekł miękko - ale przekonałem się, że szczęście przeważnie zależy od nas samych. Dobranoc pani.

Skłonił się raz jeszcze i wyraźnie utykając, niczym duch kulawego niedźwiedzia, oddalił się w mrok.

Szmer strumienia zagłuszał większość odgłosów nocy.

Zobaczyłam nietoperza, który przeleciał przez smugę księżycowego światła nad wodą w poszukiwaniu owadów, tak drobnych, że nie było ich widać, i zniknął. Jeśli coś jeszcze czaiło się w ciemnościach, zachowywało się bezgłośnie.

Jamie chrząknął cicho.

- Cóż, mam pewne wątpliwości co do tego człowieka - rzekł, odpowiadając na pytanie, którego nie

zadalam. - Mam nadzieję, że pomagając mu, okazałem tylko miękkie serce, a nie słabość umysłu.

- Przecież nie mogłeś go zostawić, żeby go powiesili.

- Ależ mogłem - powiedział, ku mojemu zaskoczeniu. Zauważył moje spojrzenie i uśmiechnął się ledwo dostrzegalnie. - Korona nie zawsze wieza niewłaściwych ludzi, Angielko - wyjaśnił. - Najczęściej człowiek, który znajduje się na końcu sznura, zasłużył sobie na to, a nie chciałbym myśleć, że pomogłem w uwolnieniu złoczyńcy. - Wzruszył ramionami i odsunął włosy z twarzy. - No nic.

Zresztą stało się. Idź się wykąpać, Angielko. Dołączę do ciebie najszybciej, jak będę mógł.

Wspięłam się na palce, pocałowałam go i poczułam jego uśmiech.

Zapraszająco dotknęłam językiem jego ust, a on w odpowiedzi lekko przygryzł moją dolną wargę.

- Czy uda ci się nie zasnąć jeszcze przez jakiś czas, Angielko?

- Poczekam, ile będzie trzeba - zapewniłam go - ale pośpiesz się, dobrze?

Ziemia pod wierzbami porośnięta była gęstą trawą. Rozebrałam się powoli. Nadrzeczna bryza przyjemnie przenikała przez wilgotną koszulę i pończochy. W końcu ostatnie ubrania upadły na ziemię i zostałam naga pośrodku nocy.

Szybko weszłam do wody, zadziwiająco chłodnej w porównaniu z rozgrzanym powietrzem. Muliste dno już pół metra od brzegu przechodziło w czysty piasek.

Choć była to rzeka pływowa, znajdowaliśmy się na tyle daleko od wybrzeża, że woda była świeża i słodka. Napiłam się i ochlapałam sobie twarz, splukując kurz z gardła i nosa.

Pomna ostrzeżenia Jamiego, zanurzyłam się tylko do połowy uda.

Po skwarnym dniu i dusznym uścisku nocy chłodny dotyk na nagiej skórze przyniósł mi nieopisaną ulgę. Nabrałam zimnej wody w złożone dłonie i chlapałam nią na twarz i piersi. Kropelki spływały mi po brzuchu i łaskotały uda.

Nadchodził przypływ, woda lekko napierała na moje łydki, popychając mnie w stronę brzegu. Nie byłam jeszcze gotowa, by wyjść. Nie miałam mydła, ale przyklekłam, oplukałam włosy w przejrzystej, ciemnej wodzie i szorowałam całe ciało garściami drobnego piasku, aż skóra stała się gładka i świetlista.

W końcu wspięłam się na kamienną półkę i leżałam na niej bezwładnie, niczym syrena w blasku księżyca. Ciepłe powietrze i nasycone słońcem kamienie przyjemnie grzały wychłodzone ciało.

Przeczesałam włosy palcami, rozsiewając dokoła kropelki wody.

Mokry kamień pachniał deszczem, kurzem i łaskotał moje ciało.

Czułam się bardzo zmęczona, ale zarazem pełna życia. W stanie na wpół uśpionej świadomości, gdy myśli zwalniają, a każde wrażenie fizyczne wydaje się zwielokrotnione, powoli przesuwalam nagimi stopami po powierzchni piaskowca. To pocieranie sprawiało mi

przyjemność. Przesunęłam dłonią po wnętrzu uda i poczułam na całym ciele gęsią skórę.

Moje piersi w świetle księżyca przypominały chłodne, białe kopuły pokryte przejrzystymi kropelkami. Potarłam jeden sutek.

Patrzyłam, jak sztywnieje i unosi się niby za dotknięciem czarodziejskiej różdżki.

Magiczne miejsce, pomyślałam. Noc była cicha i spokojna, otaczała mnie leniwie i zmysłowo jak wody ciepłego morza. Z powodu bliskości wybrzeża niebo było zupełnie czyste. Gwiazdy nad moją głową lśniły jaskrawym, przesywającym blaskiem niczym diamenty.

Usłyszałam lekkie pluśnięcie i odwróciłam głowę. Nic nie poruszało się na powierzchni wody, dostrzegałam tylko blade odbicia gwiazd, jak muchy pochwycone w pajęczynę. Naraz pośrodku strumienia na powierzchnię wyłonił się wielki łeb, pozostawiając za sobą pręgę wzburzonych fal. W szczękach Rolla szamotała się ryba.

Łuski zamigotały, gdy wilk gwałtownie potrząsnął łbem, łamiąc jej kręgosłup. Powoli dopłynął do brzegu i otrząsnął się z wody, wciąż trzymając w pysku bezwładną już kolację.

Zatrzymał się na chwilę na drugim brzegu strumienia i spojrzał na mnie. Mokra, stercząca sierść otaczała ciemnym cieniem żółte oczy i błyszczącą rybę. Wyglądał jak obraz prymitywisty, coś, co mógłby namalować Rousseau - kontrast dzikości i zupełnego bezruchu.

Potem pies zniknął i na drugim brzegu strumienia widziałam już tylko drzewa. Wszystko, co mogło się

znajdować za nimi, pozostawało ukryte. Ale co mogło tam być? Jeszcze więcej drzew, odpowiedziała rozsądna część mojego umysłu.

Znacznie więcej - mruknęłam, wpatrując się w pełną tajemnic ciemność. Cywilizacja, nawet ta prymitywna, do której już przywykłam, ograniczała się do wąskiego pasa na krawędzi kontynentu. Wystarczyło oddalić się o trzysta kilometrów od wybrzeża, by znaleźć się poza zasięgiem miast i farm. A dalej leżało pięć tysięcy kilometrów - czego? Dziczy i niebezpieczeństw, oczywiście, a także przygody i wolności.

W końcu był to Nowy Świat, wolny od strachu i przepełniony radością, Jamie i ja byliśmy bowiem razem i mieliśmy przed sobą całą resztę życia. Rozstanie i smutek zostały za nami. Nawet myśl o Briannie nie wzbudzała nieznośnego żalu. Bardzo za nią tęskniłam i nieustannie o niej myślałam, ale wiedziałam, że jest szczęśliwa we własnym czasie, i ta świadomość sprawiała, że łatwiej mi było znieść jej brak.

Leżałam na plecach na kamieniu, który oddawał mojemu ciału uwięzione przez cały dzień ciepło, i cieszyłam się, że żyję. Kropelki wody wysychały na moich piersiach, zmieniły się w warstewkę wilgoci, a potem zupełnie znikły. Nad wodą krążyły obłoczki komarów. Nie widziałam ich, ale wiedziałam, że tam są, bo od czasu do czasu słyszałam plusk ryby wyskakującej nad powierzchnię, by pochwycić zdobycz w powietrzu.

Insekty były wszechobecną plagą. Każdego ranka dokładnie oglądałam całe ciało Jamiego, wydłubywałam z jego zakamarków żarłoczne kleszcze i pchły. Obficie

smarowałam wszystkich mężczyzn sokiem wyciśniętym z mięty polej i liści tytoniu. Tylko dzięki temu nie pożarły ich żywcem chmary komarów i meszek, czające się w cieniu pod drzewami. Te środki nie pomagały jednak na inne wszędobylskie gatunki, które doprowadzały ich do szału, wchodząc do uszu, oczu, nosa i ust.

Co dziwne, większość owadów pozostawiała mnie w spokoju. Ian żartował, że odstrasza je silny zapach ziół, który nieustannie unosił się dokoła mnie, ja jednak sądziłam, że przyczyna musi być inna, bo nawet gdy byłam świeżo po kąpieli, owady omijały mnie z daleka.

Przypuszczałam, że może tu chodzić o pewną ciekawostkę ewolucyjną, która chroniła mnie również od przeziębień i niezbyt poważnych chorób. Krwiożercze insekty, podobnie jak mikroby, ewoluowały w ścisłym związku z człowiekiem i były wrażliwe na subtelne sygnały chemiczne swoich żywicieli. Ja pochodziłam z innych czasów i nie emitowałam tych samych sygnałów, dlatego owady nie postrzegały mnie jako ofiary.

- A może Ian ma rację i ja po prostu śmierzę - powiedziałam głośno. Zanurzyłam palce w wodzie i prysnęłam fontanną kropel na ważkę, która przysiadła na moim kamieniu. W ciemnościach wydawała się zupełnie bezbarwna, jak przejrzysty cień.

Miałam nadzieję, że Jamie się pospieszy. Całymi dniami siedziałam na wozie tuż obok niego, obserwowałam subtelne ruchy jego ciała, grę światła na płaszczyznach twarzy, gdy coś mówił albo się uśmiechał, i to wystarczało, by wnętrza dłoni zaczynały mnie łaskotać z pragnienia. Nie kochaliśmy się już od kilku dni. Spieszyło nam się do

Charlestonu, a poza tym czułam się skrępowana, pozostając w zasięgu wzroku i słuchu tuzina mężczyzn.

Poczułam podmuch ciepłego powietrza i wszystkie włoski na moim ciele stanęły dęba. Teraz już nie musieliśmy się spieszyć, a w pobliżu nie było nikogo, kto mógłby nas usłyszeć. Powiodłam palcami po brzuchu i miękkiej skórze na wewnętrznej stronie ud, gdzie krew pulsowała powoli w rytm uderzeń serca, i zatrzymałam dłoń w miejscu nabrzmiałym wilgocią od nagłego przyływu pożądania.

Przymknęłam oczy i lekko poruszyłam palcami, poddając się narastającemu napięciu.

- Gdzie ty do diabła jesteś, Jamie? - wymruczałam.

- Tutaj - odpowiedział niskim, przyciszonym głosem.

Zaskoczona, otworzyłam oczy. Stał w strumieniu dwa metry ode mnie. Woda sięgała mu do ud. Genitalia wydawały się ciemne na tle bladej skóry. Włosy miał luźno rozpuszczone na ramionach, a twarz białą jak kość. Patrzył na mnie nieruchomym spojrzeniem, które przypominało mi spojrzenie wilka. Bezgraniczna dzikość i zupełny bezruch.

Potem poruszył się i podszedł do mnie. Intensywność pozostała, ale bezruch zniknął. Gdy mnie dotknął, jego uda miały temperaturę wody, lecz już po kilku sekundach stały się gorące. Miejsca na moim ciele, których dotykał, natychmiast pokrywały się kropelkami potu.

Moje piersi znów stały się wilgotne, nabrzmiałe i śliskie przy jego twardej piersi.

Potem jego usta odnalazły moje i niemal dosłownie wtopiłam się w Jamiego. Nie dbałam o to, że było gorąco,

nie wiedziałam, od którego z nas pochodzi wilgoć na mojej skórze, przestałam zauważać nawet chmury insektów.

Uniosłam biodra, a on wsunął się we mnie, gładki i twardy jak zimny miecz nurzający się w gorącej krwi. Resztką chłodu pozostała jeszcze w ciele Jamiego roztopiła się w moim wnętrzu. Moje dłonie ślizgały się po warstwie wilgoci na jego plecach, piersi ocierały się o jego pierś. Spływająca pomiędzy nimi strużka potu zmniejszała tarcie brzuchów i ud.

- Chryste, masz usta śliskie i słone jak srom - wymruczał, zbierając językiem słone kropelki z mojej twarzy, jakby trzepoczące skrzydła motyla obijały się o moje skronie i powieki. Czułam pod plecami twardy kamień, przenikało mnie jego ciepło nagromadzone w ciągu dnia. Szorstka powierzchnia drapała mnie w plecy i pośladki, ale nie zwracałam na to uwagi.

- Nie mogę już dłużej czekać - powiedział bez tchu, prosto do mojego ucha.

- Nie czekaj - westchnęłam, mocno zaciskając nogi wokół jego bioder. Nasze ciała stopiły się ze sobą w krótkiej chwili szaleństwa. - Słyszałam o roztopianiu się w namiętności - rzekłam zdyszana - ale to już przekracza wszelkie granice.

Podniósł głowę znad moich piersi. Wilgotna skóra jego policzka odkleiła się ode mnie z lekkim klaśnięciem. Roześmiał się i powoli zsunął się na bok.

- Boże, jak gorąco! - Odsunął przepocone włosy z czoła i głęboko odetchnął. Jego pierś falowała z wysiłku. - Jak ludzie mogą to robić przy takiej temperaturze?

- Tak samo jak ty - zauważyłam, równie zdyszana.

- To niemożliwe - odrzekł z wielką pewnością w głosie. - Nie przez cały czas, poumieraliby od tego.

- No, może robią to wolniej - przyznałam - albo pod wodą, albo czekają do jesieni.

- Do jesieni? - powtórzył. - Chyba jednak nie chcę mieszkać na południu. Czy w Bostonie jest gorąco?

- O tej porze roku tak, a w zimie piekielnie zimno. Jestem pewna, że przywykniesz do upału. I do insektów.

Strząsnął z ramienia komara szukającego żeru, oderwał ode mnie wzrok i spojrzał na strumień.

- Może i tak - westchnął - a może nie, ale na razie... - Objął mnie mocno i przetoczył się na bok. Z wdziękiem toczącej się kłody drewna zsunęliśmy się z krawędzi skalnej półki prosto do wody.

Leżeliśmy na skale, ledwie się dotykając. Ostatnie krople wody wysychały na naszych chłodnych, wilgotnych ciałach. Po drugiej stronie strumienia wierzby nurzały liście w wodzie, ich czarne korony na tle zachodzącego księżyca wyglądały jak potargane, a za nimi, akur za akrem i kilometr za kilometrem, rozciągała się nieskończona przestrzeń dziewiczego lasu. Przyczółki cywilizacji nie sięgały jeszcze w głąb kontynentu.

Jamie zauważył, w którą stronę skierowałam spojrzenie, i odgadł moje myśli.

- Teraz chyba wygląda to trochę inaczej niż wtedy, gdy byłaś tu poprzednio? - zapytał, ruchem głowy wskazując liściasty mrok.

Splotłam dłoń z jego dłonią, gładząc kciukiem wystające kłykie.

- No tak, trochę inaczej. Drogi zostaną

wyasfaltowane, nie wybrukowane kamieniami, tylko pokryte twardą, gładką substancją.

Wynalazł ją Szkot o nazwisku MacAdam.

Jamie chrząknął z rozbawieniem.

- A więc wtedy też będą Szkoci w Ameryce? To dobrze.

Zignorowałam tę uwagę i mówiłam dalej, patrząc na poruszające się cienie, jakbym dostrzegała w nich kwitnące miasta, które pewnego dnia miały tu wyrosnąć.

- W Ameryce będzie mnóstwo rozmaitych ludzi. Cały ląd zostanie zasiedlony aż do zachodniego wybrzeża, do miejsca, które nazywa się Kalifornia. Ale na razie - wzdygnęłam się, chociaż powietrze było ciepłe i wilgotne - na razie to pięć tysięcy kilometrów dziczy. Zupełnie nic tam nie ma.

- Nic oprócz tysięcy żądnych krwi dzikusów - zauważył praktycznie. - I od czasu do czasu trafi się jeszcze jakieś zwierzę.

- No, tak - zgodziłam się. Ta myśl była niepokojąca. Oczywiście wiedziałam, że lasy zamieszkane były przez Indian, niedźwiedzie i inne leśne stworzenia, ale ta czysto teoretyczna świadomość naraz została zastąpiona dziwnym, wyraźnym odczuciem, że zupełnie nieoczekiwanie możemy spotkać się twarzą w twarz z którąś z tych istot.

- A co się z nimi stanie, z tymi dzikimi Indianami? - zapytał Jamie z ciekawością i również zapatrzył się w mrok, jakby pośród ruchomych cieni próbował dojrzeć przyszłość.
- Pewnie zostaną pokonani i zepchnięci w głąb lądu?

Przeszył mnie kolejny chłodny dreszcz. Mimowolnie podwinęłam palce u nóg.

- Tak, tak się stanie. Wielu z nich zginie, wielu trafi do niewoli.

- To dobrze.

- To chyba zależy od punktu widzenia - odrzekłam sucho. - Nie sądzę, żeby Indianie też byli tego zdania.

- Przypuszczam, że nie, ale kiedy taki przekłety dzikus robi, co może, żeby odrąbać mi czubek głowy, Angielko, to nie za bardzo interesuje mnie jego punkt widzenia.

- Trudno ich za to winić - zaprotestowałam.

- Ależ oczywiście, że mogę ich za to winić - zapewnił mnie. - Jeśli któryś z tych barbarzyńców oskalpuje cię, na pewno będę go za to winił.

- Mhm - mruknęłam. Odchrząknęłam i spróbowałam jeszcze raz.

- A ty co byś zrobił, gdyby banda obcych ni stąd, ni zowąd pojawiła się na twojej ziemi, próbując cię zabić i wyrzucić z miejsca, w którym twoi przodkowie żyli od pokoleń?

- Przecież tak było - rzekł sucho. - Gdyby nie to, nadal byłbym w Szkocji, prawda?

- No tak - zmieszałam się. - Ale chodzi mi o to, że w takiej sytuacji ty też byś walczył.

Głęboko zaczerpnął powietrza i wypuścił je przez nos.

- Gdyby angielski dragon przyszedł do mojego domu i zaczął mnie prześladować - wyjaśnił precyzyjnie - to na pewno bym z nim walczył i zabiłbym go bez najmniejszego wahania, ale nie odciąłbym mu włosów i nie wymachiwałbym nimi dokoła ani nie zjadłbym jego

przyrodzenia. Nie jestem dzikusiem, Angielko.

- Przecież nie powiedziałam, że jesteś. Powiedziałam tylko, że...

- A poza tym - dodał z nieubłaganą logiką - ja wcale nie mam zamiaru zabijać Indian. Jeśli tylko nie będą wchodzić nam w drogę, to ja zupełnie nic do nich nie mam.

- Na pewno się ucieszą, kiedy się o tym dowiedzą - mruknęłam, postanawiając na razie ustąpić.

Leżeliśmy w zagłębieniu skały, wtuleni w siebie i sklejeni potem, patrząc na gwiazdy. Czułam jednocześnie nieopisane szczęście i lekki niepokój. Czy ten stan uniesienia mógł trwać długo? Raz już uwierzyłam, że to, co istnieje między nami, jest nam przeznaczone na zawsze, ale wtedy byłam młodsza.

Jeśli taka będzie wola Boża, wkrótce gdzieś się osiedlimy, znajdziemy miejsce, gdzie zbudujemy dom i gdzie będziemy żyć.

Niczego bardziej nie pragnęłam, ale jednocześnie nie potrafiłam przestać się martwić. Od mojego powrotu minęło zaledwie kilka miesięcy. Każdy nasz dotyk, każde słowo zabarwione było wspomnieniami, a jednocześnie tchnęło nowością powtórnego odkrycia. Jak to będzie, gdy już poznamy się na wylot i przywykniemy do siebie, gdy zaczniemy prowadzić życie wypełnione rutyną codziennych obowiązków?

- Czy myślisz, że mogę ci się znudzić? - zapytał Jamie cicho. - Gdy już gdzieś się osiedlimy?

- Właśnie zastanawiałam się nad tym samym. Czy ja mogę ci się znudzić?

- Nie - powiedział i usłyszałam w jego głosie

uśmiech. - Na pewno mi się nie znudzisz, Angielko.

- Skąd wiesz?

- Bo nie znudziłaś mi się wcześniej. Byliśmy małżeństwem przez trzy lata i ostatniego dnia pragnąłem cię tak samo jak pierwszego. A może nawet bardziej - dodał cicho.

Wiedziałam, że podobnie jak ja wspomina w tej chwili, jak kochaliśmy się po raz ostatni, zanim wstąpiłam do kamiennego kręgu i wróciłam do swoich czasów. Pochyliłam się i pocałowałam go. Miał świeży, czysty smak i wyzuwałam od niego ostry zapach seksu.

- Ze mną też tak było.

- W takim razie nie kłopotuj się o to, Angielko, i ja też nie będę - pogładził mnie po głowie, odsuwając mokre kosmyki z czoła. - Wydaje mi się, że kochałbym cię zawsze, nawet gdybym znał cię przez całe życie. Tak często kładziemy się razem, a mimo to potrafisz mnie zaskoczyć, tak jak dzisiaj.

- Naprawdę? A co ja takiego zrobiłam? - popatrzyłam na niego, również zaskoczona.

- No... wiesz. Nie chciałem... to znaczy... - W jego głosie niespodziewanie pojawiła się nieśmiałość, a ciało dziwnie zeszywniało.

- Mmm? - podsunęłam, całując koniuszek jego ucha.

- Ach... kiedy się na tobie położyłem... to, co robiłaś... to znaczy, czy robiłaś to, co mi się wydaje?

W ciemnościach uśmiechnęłam się do jego ramienia.

- To zależy, co ci się wydawało?

Uniósł się na łokciu, odklejając się ode mnie z lekkim kłasnieniem. Poczulałam chłód w miejscu na skórze,

które wcześniej stykało się z jego skórą. Przetoczył się na bok i uśmiechnął się do mnie szeroko.

- Bardzo dobrze wiesz, co mi się wydawało, Angielko.

Dotknęłam jego podbródka pokrytego odrastającą szczecina.

- Wiem, a ty doskonale wiesz, co robiłam, więc dlaczego pytasz?

- No bo... po prostu nie sądziłem, że kobiety też to robią.

Światło księżyca było wystarczająco jasne, bym mogła dostrzec jego uniesione w pytaniu brwi.

- Mężczyźni przecież to robią - zauważyłam. - W każdym razie ty to robisz. Sam mi mówiłeś. Opowiadałeś, że gdy byłeś w więzieniu...

- To co innego! - Jego usta drgnęły. Wyraźnie zastanawiał się, co powiedzieć. - To znaczy... wtedy nic na to nie mogłem poradzić. W końcu nie mogłem przecież...

- A nie robiłeś tego przy innych okazjach? - Usiadłam i zdmuchnęłam z twarzy włosy, spoglądając na niego przez ramię. Było zbyt ciemno, by dostrzec rumieniec, ale wydawało mi się, że jego twarz poróżowiła.

- No, tak - wymamrotał. - Chyba robiłem, no tak. - Naraz uderzyła go jakaś myśl. Spojrzał na mnie szeroko otwartymi oczami. - A czy ty robiłaś to często? - Ostatnie słowo wychrypiął, musiał urwać i odchrząknąć.

- To chyba zależy, co rozumiesz przez „często” - odrzekłam nieco kwaśnym tonem. - Wiesz przecież, że byłam wdową przez dwa lata. Potarł usta wierzchem dłoni, patrząc na mnie z zainteresowaniem.

- Ano tak, tylko że... no wiesz, nie przyszło mi do głowy, że kobiety robią takie rzeczy. - Zdziwienie w jego głosie zastępowała coraz większa fascynacja. - Potrafisz dojść do końca? To znaczy, bez mężczyzny?

Musiałam roześmiać się głośno. Echo odbiło się od drzew i od strumienia.

- Tak, ale z mężczyzną jest o wiele przyjemniej - zapewniłam i dotknęłam jego piersi, która natychmiast pokryła się gęsią skórką.

Zadrzał lekko, gdy zatoczyłam palcem kółko wokół sutka. - Znacznie lepiej - dodałam cicho.

- Ach - odpowiedział uszczęśliwionym tonem. - To dobrze, nie?

Był gorący, znacznie cieplejszy niż płynne powietrze, i w pierwszym odruchu chciałam się odsunąć, ale nie zrobiłam tego.

Miejsca, których dotykały jego ręce, natychmiast pokrywały się potem. Strużki potu spływały mi również po szyi.

- Jeszcze nigdy nie kochałem się z tobą w ten sposób - powiedział. - Jak dwa węgorze. Wyślizgujesz mi się z rąk. Jesteś śliska jak wodorosty. - Jego dłonie, z kciukami przyciśniętymi do kręgosłupa, powoli wędrowały w dół po moich plecach, aż włoski na karku stanęły mi dęba z przyjemności.

- Mmm. To dlatego, że w Szkocji jest zimno i nikt tam się nie poci jak prosię. Chociaż, jeśli się nad tym zastanowić, to czy prosię naprawdę może się spocić? Zawsze mnie to zastanawiało.

- Nie mam pojęcia. Nigdy nie kochałem się z

prosięciem - pochylił głowę i dotknął językiem mojej piersi.

- Ale ty smakujesz trochę jak pstrąg, Angielko.

- Jak co?!

- Jak pstrąg. Świeży i słodki, z odrobiną soli - wyjaśnił i podniósł na chwilę głowę, ale zaraz znów ją pochylił, nie przerywając wędrówki w dół.

- To łaskocze - poskarżyłam się. Drżałam pod jego językiem, ale nie próbowałam się odsuwać.

- Bo ma łaskotać. - Znów podniósł głowę, by złapać oddech. - Nie podoba mi się myśl, że mogłabyś sobie poradzić beze mnie.

- Nie mogłabym - zapewniłam go. - Och!

- Aha? - zapytał szybko.

Oparłam się plecami o skałę, wyginając kręgosłup w łuk.

Gwiazdy nad moją głową zaczęły wirować.

- Powiedziałam: „och” - wyjaśniłam słabym głosem, a potem przez dłuższy czas nie udawało mi się wydobyć z siebie żadnego sensownego dźwięku. W końcu Jamie opadł obok mnie, dysząc ciężko, z brodą opartą na mojej kości łonowej. Wyciągnęłam rękę i odsunęłam przepocone włosy z jego czoła, a on odwrócił twarz i pocałował wewnątrz mojej dłoni.

- Czuję się jak Ewa - powiedziałam cicho, patrząc na księżyc zachodzący za jego plecami. - Na samym skraju rajskiego ogrodu.

Usłyszałam ciche prychnięcie w okolicach mojego pępka.

- No tak. W takim razie ja chyba jestem Adamem. Tuż przy bramach raj. - Odwrócił głowę i opierając

policzek na moim brzuchu, spojrział tęsknie na drugi brzeg strumienia, w stronę nieznanego łądu. - Chciałbym tylko wiedzieć, czy wchodzę, czy wychodzę.

Mój śmiech go zaskoczył. Złapałam go za uszy i delikatnie podciągnęłam w górę po swoim śliskim, nagim ciele.

- Wchodzisz - powiedziałam. - Przecież nie widać tu żadnego anioła z ognistym mieczem.

Znów opadł na mnie. Ciało miał rozpalone jak w gorączce. - Nie?

To chyba nie przyjrzałaś się dokładnie.

W następnej chwili ognisty miecz odciął mnie od świadomości i rozpalił płomień w całym ciele. Płonęliśmy razem jak gwiazdy podczas letniej nocy, a potem opadliśmy, wypaleni i bezwładni, a przedwieczny ocean ciepłej soli, w głębi którego kiełkowało nowe życie, wchłonął nasze popioły.

CZEŚĆ DRUGA

Przeszłość niedokonana

3. Kot pastora

Boston, Massachusetts, czerwiec 1969

- Brianna?

- Tak? - Usiadła wyprostowana, z dudniącym sercem. W uszach dźwięczało jej własne imię. - Kto... co?

- Spałaś. Cholera, wiedziałem, że zadzwonię o nieodpowiedniej porze. Przepraszam. Czy mam się rozłączyć?

Dopiero na dźwięk nieco wibrującego „r” jej umysł odzyskał sprawność. Telefon. Dzwonił telefon, odebrała odruchowo, wciąż zanurzona we śnie. - Roger! - Poziom

adrenaliny, podwyższony skutek gwałtownego wyrwania ze snu, już opadał, ale serce wciąż biło jej szybciej. - Nie, nie rozłączaj się! Wszystko w porządku, już nie śpię. - Potarła twarz dłonią, próbując jednocześnie rozplątać kabel od słuchawki i wygładzić zgniecione prześcieradło.

- Tak? Na pewno? Która u ciebie godzina?

- Nie wiem, jest tak ciemno, że nie widzę zegara - odparła, wciąż otumaniona snem. Odpowiedział jej głęboki, niski śmiech.

Naprawdę mi przykro. Próbowałem obliczyć różnicę czasu, ale chyba liczyłem nie w tę stronę. Wierz mi, nie chciałem cię obudzić.

- Wszystko w porządku. I tak musiałam wstać, bo telefon dzwonił - zaśmiała się.

- No tak. Cóż... - Usłyszała w jego głosie uśmiech i oparła się wygodnie o poduszki, powoli wracając do rzeczywistości. Sen, który miała, wciąż wydawał się bardziej realny niż sypialnia pełna mrocznych kształtów.

- Dobrze znów cię słyszeć, Roger - powiedziała cicho, sama zdziwiona tym, jak wielką przyjemność jej to sprawiało. Jego głos dobiegał z daleka, a jednak wydawał się bliższy niż stłumione jęki syren i szum opon na mokrym bruku za oknem.

- Ciebie też - przyznał nieco nieśmiało. - Posłuchaj... być może pojedę na konferencję do Bostonu w przyszłym miesiącu.

Pomyślałem, że mógłbym się wybrać, gdybyś... kurczę, sam nie wiem, jak to powiedzieć. Czy masz ochotę mnie zobaczyć?

Zacisnęła dłoń na słuchawce i serce zabiło jej

mocniej.

- Przepraszam - dodał od razu, zanim jeszcze zdążyła odpowiedzieć. - Stawiam cię pod ścianą, tak? Słuchaj... jeśli wolałabyś nie, to po prostu powiedz.

- Tak. Oczywiście, że chcę cię zobaczyć!

- Aha. To znaczy, że nie masz nic przeciwko temu? Tylko że... nie odpowiedziałas na mój list. Myślałem, że może zrobiłem coś...

- Nie, nic nie zrobiłeś. Przepraszam, ja po prostu...

- Nic nie szkodzi, nie chciałem...

Zdania zderzyły się i obydwójce urwali, porażeni nagłą nieśmiałością.

- Nie chciałem naciskać...

- Nie chciałam, żebyś...

Znów zaczęli mówić jednocześnie. Tym razem to on się roześmiał. Niski dźwięk szkockiego rozbawienia przeniknął przez dzielącą ich przestrzeń, miękki i przyjazny jak dotyk.

- W takim razie wszystko w porządku - powiedział stanowczo. - Rozumiem, jasne?

Nie odpowiedziała, ale przymknęła oczy i ogarnęła ją nieokreślona ulga. Roger Wakefield był chyba jedyną osobą na świecie, która rzeczywiście potrafiła to zrozumieć. Ona sama aż do tej pory nie uświadamiała sobie do końca, jakie to ważne.

- Miałam sen - powiedziała. - W chwili, kiedy telefon zadzwonił.

- Mhm?

- Śnił mi się mój ojciec. - Za każdym razem, gdy wypowiadała to słowo, czuła ściskanie w gardle. To samo

działo się, gdy mówiła „matka”. Wciąż czuła zapach nagrzanym słońcem sosen ze snu, słyszała trzaskanie sosnowych igieł pod butami. - Nie widziałam jego twarzy. Szliśmy razem przez jakiś las. Szedł ścieżką przede mną i coś do mnie mówił, ale nie mogłam dosłyszeć, co. Spieszyłam się, żeby się z nim zrównać i usłyszeć, jednak nie udało mi się.

- Ale wiedziałaś, że to twój ojciec?

- Tak, choć może przyszło mi to do głowy dlatego, że to były góry. Chodziłam po górach z tatą.

- Naprawdę? Ja też chodziłem po górach ze swoim tatą. Jeśli wrócisz kiedyś do Szkocji, to zabiorę cię na zbieranie Munro.

- Na co?

Roześmiał się i naraz przyplętnęło do niej wspomnienie jego twarzy. Mrużąc w uśmiechu zielone jak mech oczy, odgarniał do tyłu gęste, czarne, zbyt rzadko podcinane włosy. Zdała sobie sprawę, że pociera dolną wargę koniuszkiem kciuka, i szybko odsunęła rękę od twarzy. Przy rozstaniu pocałował ją.

- Munro to każda szkocka góra, która ma ponad tysiąc metrów.

Jest ich mnóstwo i cała zabawa polega na tym, by ich zdobyć jak najwięcej. Zbiera się je jak znaczki albo pudełka po zapalkach.

- Gdzie teraz jesteś, w Szkocji czy w Anglii? - zapytała, po czym, nim zdążył odpowiedzieć, przerwała sama sobie: - Poczekaj, zobaczymy, czy zgadnę.

Jesteś w Szkocji, w Inverness.

- Zgadza się - przytaknął, wyraźnie zdziwiony. -

Skąd wiedziałaś?

Przeciągnęła się i skrzyżowała długie nogi pod prześcieradłem.

- Gdy jesteś wśród Szkotów, twoje „r” zaczyna wibrować - wyjaśniła. - Nie słyhać tego, gdy rozmawiasz z Anglikami.

Zauważyłam to, gdy... gdy byliśmy w Londynie. - Głos załamał jej się tylko odrobinę. Idzie coraz lepiej, pomyślała.

- Rrracja! A już myślałem, że masz zdolności parapsychiczne - roześmiał się. - Szkoda, że cię tu teraz nie ma - powiedziała impulsywnie.

- Naprawdę żałujesz? - Wydawał się zdziwiony i onieśmielony. - Och. No cóż... to dobrze, prawda? - Roger... nie odpisałam, bo...

- Nie przejmuj się tym - rzekł szybko. - Przyjadę za miesiąc, wtedy porozmawiamy. Bree, ja...

- Tak?

Usłyszała wstrzymany oddech i stanęło jej w pamięci żywe wspomnienie jego piersi, ciepłej i mocnej, wznoszącej się i opadającej pod jej dłońią.

- Cieszę się, że się zgodziłaś.

Odłożyła słuchawkę, ale nie była już w stanie usnąć. Zupełnie rozbudzona poszła do kuchni po szklankę mleka. Dopiero po kilku minutach wpatrywania się nieobecny wzrokiem w zakamarki lodówki uświadomiła sobie, że zamiast butelek z keczupem i otwartych puszek widzi przed sobą czarne, stojące na sztorc kamienie na tle bladego nieba o świcie.

Z okrzykiem zniecierpliwienia zatrzasnęła lodówkę i

roztarła ramiona, wychłodzone od zimnego powietrza nawiewanego przez klimatyzator. Impulsywnie wyciągnęła rękę i wyłączyła urządzenie, a potem podeszła do okna i przesunęła szybę do góry, wpuszczając do środka ciepłe, wilgotne powietrze deszczowej letniej nocy.

Powinna była napisać. Prawdę mówiąc, pisała kilkakrotnie, ale sfrustrowana wyrzucała wszystkie listy, nie kończąc ich. Wiedziała, dlaczego tak się dzieje, a w każdym razie wydawało jej się, że wie, tylko że trudno to było wytłumaczyć Rogerowi. Po części działał zwykły instynkt zranionego zwierzęcia, chęć ucieczki i ukrycia się.

To, co zdarzyło się w zeszłym roku, w żaden sposób nie było winą Rogera, pozostawał z tym jednak nierozzerwalnie związany.

Po wszystkim był dla niej czuły i dobry, traktował ją jak osobę, która właśnie została osierocona - bo tak faktycznie było. Ale to osierocenie było takie dziwne! Jej matka odeszła na dobre, ale z pewnością - a w każdym razie Brianna miała taką nadzieję - żyła. A jednak pod niektórymi względami sytuacja była identyczna jak wówczas, gdy zmarł jej ojciec. Wiara w szczęśliwe życie po życiu, nadzieja, że osoba, którą się kochało, jest bezpieczna i szczęśliwa, a jednocześnie dojmujący ból utraty i poczucie osamotnienia.

Przez park przejechał ambulans. Czerwone światło pulsowało w mroku, odległość tłumiała dźwięk syreny. Przeżegnała się z przyzwyczajenia i wymruczała pod nosem: - Miserere nobis. - Siostra Marie Romaine mówiła im w piątej klasie, że zmarli i umierający potrzebują modlitw. Tak mocno wbiła im to do głów, że żadne z dzieci

nie było w stanie przejść obok wypadku, nie odmawiając w duchu krótkiej modlitwy, która miała wspomóc zmierzające do nieba dusze.

Modliła się za nich codziennie, za matkę i ojca - czy też ojców.

To była druga część tej historii. Wuj Joe znał prawdę o jej ojcu, ale tylko Roger potrafił zrozumieć, co się stało, i tylko Roger również słyszał kamienie. Po takim doświadczeniu nikt nie mógł pozostać tym, kim był wcześniej: ani on, ani ona.

Chciał, by została z nim po odejściu Claire, ale nie mogła.

Mówiła mu, że ma tu różne rzeczy do zrobienia, sprawy, którymi musi się zająć, nieskończone studia. To wszystko prawda, ale jeszcze ważniejsze było to, że musiała oddalić się od tego miejsca, od Szkocji i kamiennych kręgów, wrócić tam, gdzie mogła odzyskać równowagę i zacząć budować swoje życie od nowa. Gdyby została z Rogerem, w żaden sposób, nawet na chwilę, nie potrafiłaby zapomnieć o tym, co się stało. I to była ostatnia część historii, ostatni kawałek trójstronnej układanki.

Chronił ją i troszczył się o nią. Matka powierzyła ją jego opiece, a on nie zawiódł zaufania. Ale czy robił to, by dotrzymać obietnicy danej Claire, czy też dlatego, że naprawdę mu na niej zależało? Tak czy owak obydwoje pozostawali przygnieceni ciężarem zobowiązania i nie był to najlepszy punkt wyjścia, by planować wspólną przyszłość.

Jeśli istniała dla nich jakaś przyszłość... ale tego właśnie nie mogła mu napisać, bo nie sposób powiedzieć

czegoś takiego tak, by nie zabrzmiało to idiotycznie i roszczeniowo.

- Odejdź, żebyś mógł wrócić i zrobić to jeszcze raz tak jak trzeba - mruknęła i skrzywiła się. Deszcz wciąż dudnił o szyby, chłodząc powietrze na tyle, że dało się swobodnie oddychać. Było tuż przed świtem, ale temperatura nie spadła znacząco i na jej twarzy zbierała się wilgoć. Jedna za drugą kropelki wody spływały po szyi, zwilżając bawełnianą koszulkę.

Pragnęła zostawić za sobą wydarzenia z ostatniego listopada, odciąć się od nich. Sądziła, że może uda im się do siebie wrócić, gdy minie wystarczająco dużo czasu, gdy już nie będą tylko statystami w dramacie życia jej rodziców, lecz odtwórcami ról w sztuce wybranej przez nich samych.

Jeśli cokolwiek miało się zdarzyć między nią a Rogerem Wakefieldem, musiało się zdarzyć z wolnego wyboru. Wyglądało na to, że szansa na ten wybór pojawia się teraz. Na tę myśl Brianna poczuła podniecenie głęboko w czeluściach brzucha.

Otarła dłonią wilgoć z twarzy i przesunęła nią po włosach, odgarniając niesforne kosmyki. Skoro i tak już nie spała, równie dobrze mogła popracować.

Zostawiła okno otwarte, nie zważając na to, że na podłodze zbiera się kałuża deszczu. Czowała się niespokojna. Nie miała ochoty siedzieć w zamkniętej klatce, chłodzonej przez sztuczne powietrze. Zapaliła lampę na biurku i wyciągnęła podręcznik do analizy matematycznej.

Dopiero po zmianie kierunku studiów odkryła, że matematyka działa na nią uspokajająco. Była to niespodziewana korzyść z tej decyzji. Po samotnym

powrocie do Bostonu i na uniwersytet inżynieria wydała jej się znacznie bezpieczniejszym wyborem niż historia: była solidna, oparta na faktach, pokrzepiająco niezmienna, a przede wszystkim poddawała się kontroli.

Wzięła do ręki ołówek, zatemperowała go powoli, czerpiąc przyjemność z tych przygotowań, a potem pochyliła głowę i przeczytała pierwsze zadanie. Powoli, jak zawsze, chłodna, nieubłagana logika cyfr zawładnęła jej umysłem, unieruchamiając wszystkie przelotne myśli, oplatając jedwabną nicią niepokojące muchy emocji. Logika rozsnuwała dokoła sedna problemu swoją sieć, uporządkowaną i piękną jak iskrzące się klejnotami dzieło pająka krzyżaka. Tylko jedna drobna myśl pozostała poza obrębem tej sieci, krążąc w jej głowie jak malutki, barwny motylek.

„Cieszę się, że się zgodziłaś” - powiedział. Ona też się cieszyła.

Lipiec 1969

- Czy on mówi tak jak Beatlesi? Och, jeśli ma głos podobny do Johna Lennona, to chyba padnę na miejscu! Pamiętasz, jak powiedział „To ja, dziadku”? Zupełny odlot!

- Rany boskie, on nie mówi jak John Lennon! - syknęła Brianna, ostrożnie wyglądając zza betonowego słupa. Bramka prowadząca do hali przylotów międzynarodowych nadal była pusta. - Nie odróżniasz liverpoolczyka od Szkota?

- Nie - odrzekła pogodnie jej przyjaciółka Gayle, strosząc jasne włosy. - Dla mnie wszyscy Anglicy brzmią tak samo. Mogłabym ich słuchać na okrągło.

- On nie jest Anglikiem! Mówiłam ci przecież, że

jest Szkotem!

Gayle spojrzała na nią wzrokiem, który sugerował, że jej przyjaciółka oszalała.

- Przecież Szkocja jest częścią Anglii. Sprawdzalam na mapie.

- Szkocja jest częścią Wielkiej Brytanii, a nie Anglii.

- A co to za różnica? - Gayle wystawiła głowę zza słupa i rozejrzała się. - Dlaczego my się tu chowamy? Przecież nas nie zauważy.

Brianna przyglądziła włosy. Stały za słupem, bo sama nie była pewna, czy chce, by je zauważył, ale niewiele to pomogło.

Rozmemłani pasażerowie, obładowani bagażami, zaczęli już wyłaniać się zza podwójnych drzwi.

Pozwoliła Gayle wyciągnąć się na środek hali. Przyjaciółka nie przestawała gadać. Język Gayle żył podwójnym życiem: choć na zajęciach potrafiła prowadzić chłodną i rozsądną dysputę, to jej główną zaletą towarzyską była umiejętność paplania o wszystkim i o niczym. To z tego powodu Bree właśnie ją przyprowadziła ze sobą na lotnisko; w obecności Gayle nie było szans na niezręczne przerwy w rozmowie.

- Robiłaś już to z nim?

Brianna gwałtownie obróciła głowę.

- Czy co z nim robiłam?

- Grałaś w pchełki. - Gayle przewróciła oczami. - Słowo daję, Bree!

Poczuła, że krew napływa jej do policzków. - Nie, oczywiście, że nie. - A zamierzasz?

- Gayle!

- No wiesz, masz przecież własne mieszkanie i w ogóle, więc nikt...

W tej chwili w drzwiach pojawił się Roger Wakefield w białej koszuli i wytartych dżinsach. Na jego widok Brianna zastygła w bezruchu. Gayle obróciła głowę, by sprawdzić, na co przyjaciółka patrzy, i westchnęła z zachwytem.

- Oooch! Czy to on? Wygląda jak pirat!

Rzeczywiście tak wyglądał i Brianna poczuła poruszenie w żołądku. Roger był, jak to nazywała jej matka, czarnym Celtem, o gładkiej, oliwkowej cerze, czarnych włosach i oczach, które wyglądały, jakby ktoś namalował je jednym pociągnięciem kciuka ubrudzonego sadzą. Gęste, czarne rzęsy otaczały tęczówki, które powinny być niebieskie, ale miały zaskakujący ciemnozielony odcień.

Długie włosy opadały na kołnierzyk koszuli. Nieuporządkowany trochę zarośnięty, wyglądał jak niebezpieczny drań i na jego widok w całym jej ciele rozległ się dzwonek alarmowy. Otarła spocone dłonie o haftowane dżinsy, zastanawiając się, czy dobrze zrobiła, że pozwoliła mu przyjechać.

W następnej chwili zauważył ją i jego twarz rozświetliła się.

Wbrew sobie Brianna poczuła, że na jej twarz również wypęła wielki, idiotyczny uśmiech. Nie dając sobie czasu na zastanowienie, pobiegła przez halę, omijając zbłąkane dzieci i wózki z bagażami.

Spotkał ją w pół drogi i obdarzył uściskiem, który zmiatał z nóg, tak mocnym, że omal nie połamał jej żeber. Pocałował ją, zawahał się i pocałował raz jeszcze, drapiąc

jej twarz zarostem. Pachniał mydłem i potem, a jego usta miały smak szkockiej whisky.

Gdy w końcu ją puścił, obydwójgu brakowało tchu.

- Yhm - rozległo się obok łokcia Brianny. Odsunęła się, odsłaniając Gayle, która uśmiechała się do Rogera anielsko spod szopy jasnych włosów i machała ręką jak dziecko, które robi „pa - pa”.

- Czeeeść - powiedziała. - Ty pewnie jesteś Roger? Bo jeśli nie, to Roger będzie w szoku, kiedy się tu pojawi. - Omiotła go od stóp do głów spojrzeniem pełnym aprobaty. - I do tego jeszcze grasz na gitarze?

Brianna nawet nie zauważyła futerału stojącego na podłodze.

Roger pochylił się, przerzucił go przez ramię i odrzekł z uśmiechem:

- No cóż, tak właśnie będę zarabiał na chleb z masłem podczas tej podróży. Gayle przycisnęła dłoń do serca w udawanej ekstazie.

- Oooch, powiedz to jeszcze raz!

- Co mam powiedzieć? - zdziwił się Roger.

- „Będę zarabiał podczas podróży” - wyjaśniła Brianna, zarzucając na ramię jedną z jego toreb. - Ona chce jeszcze raz usłyszeć, jak wymawiasz „r”. Gayle ma hopla na punkcie brytyjskiego akcentu. A właśnie, to jest Gayle - dodała z rezygnacją.

- No tak, domyśliłem się. Hmm - odchrząknął, przeszył Gayle przenikliwym wzrokiem i obniżył głos o oktawę. - Krrrół Karrrol kupił krrrółowej Karrrolinie korrrale kolorrru korrralowego. To ci na razie wystarczy?

- Czy mogłabyś przestać? - Brianna spojrzała

krzywo na przyjaciółkę, która zachwiała się dramatycznie i opadła na plastikowe krzesło. - Nie zwracaj na nią uwagi - poradziła Rogerowi, idąc do wyjścia. Rzucił ostrożne spojrzenie na Gayle, ale podążył za radą Brianny. Podniósł duże pudło obwiązane sznurkiem i poszedł za nią.

- O co ci chodziło z tym chlebem z masłem? - zapytała, próbując skierować rozmowę na zwyczajne tory.

Roześmiał się, nieco onieśmielony.

- No cóż. Sympozjum historyków płaci za przelot, ale nie pokrywa innych wydatków, podzwoniłem więc trochę i znalazłem coś w rodzaju pracy, żeby móc się tu utrzymać.

- Ta praca polega na graniu na gitarze?

- W ciągu dnia spokojny i niekonfliktowy historyk Roger Wakefield jest nieszkodliwym naukowcem z Oksfordu, ale wieczorem przywdziewa swój sekrrretny tarrntan i zmienia się w olśniewającego Rogera MacKenziego.

- W kogo?

Uśmiechnął się na widok jej zdziwienia.

- Widzisz, śpiewam trochę szkocki folk na festiwalach i ceilidh, góralskich zabawach, takie tam. Mam wystąpić na celtyckim festiwalu w górach pod koniec tygodnia, i to już wszystko.

- Śpiewasz szkockie piosenki? A czy wkładasz wtedy kilt? - Gayle znów pojawiła się po drugiej stronie Rogera.

- Pewnie, że wkładam. A skąd inaczej mieliby wiedzieć, że jestem Szkotem?

- Uwielbiam owłosione kolana - powiedziała Gayle z

rozmazaniem. - Powiedz mi jeszcze, czy to prawda, że Szkoci...

- Idź i przyprowadź samochód - rozkazała Brianna, spiesząc się rzucając jej kluczyki.

* * *

Gayle, z podbródkiem opartym na krawędzi szyby samochodowej, odprowadziła wzrokiem wchodzącego do hotelu Rogera.

- Jejku, mam nadzieję, że nie będzie się golił przed kolacją.

Uwielbiam mężczyzn z parodniowym zarostem. Jak myślisz, co on ma w tym wielkim pudle?

- Bodhran. Pytałam.

- Co?

- To celtycki bęben wojenny. Gra na nim w niektórych piosenkach. Gayle z namysłem wyduła usta.

- Nie chcesz przypadkiem, żebym zawiozła go na ten festiwal?

To znaczy, ty na pewno jesteś bardzo zajęta...

- Cha, cha. Myślisz, że pozwolę ci się zbliżyć do niego, gdy będzie w kilcie?

Gayle westchnęła żałośnie i cofnęła głowę do środka samochodu.

Brianna zapaliła silnik.

- A może tam będą jeszcze inni mężczyźni w kiltach?

- To całkiem prawdopodobne.

- Ale na pewno nie będą mieli ze sobą celtyckich bębnów wojennych. - Może nie. Gayle oparła się wygodniej

i zerknęła na przyjaciółkę z ukosa. - A więc zamierzasz to zrobić?

- Skąd mam wiedzieć? - mruknęła Brianna, czując, że krew mocniej pulsuje jej w żyłach, a ubranie naraz wydaje się za ciasne.

- Bo jeśli nie, to znaczy, że zwariowałaś - stwierdziła Gayle stanowczo.

- Kot pastora jest... androginicznym kotem. - Kot pastora jest... ataraktycznym kotem. Bree uniosła wysoko brwi i na chwilę oderwała wzrok od drogi. - Znow coś po szkocku?

- To szkocka gra - uśmiechnął się Roger. - Ataraksja - spokój ducha, obojętność. Twoja kolej. Litera „b”.

Mrużąc oczy, spojrzała przez przednią szybę na wąską, górską drogę. Poranne słońce świeciło im w twarze.

- Kot pastora jest bułanym kotem.

- Kot pastora jest błogosławionym kotem.

- To nie było trudne. Remis. No dobra, kot pastora jest... - Niemal dostrzegął kółka obracające się w jej umyśle, a potem błysk w przymrużonych niebieskich oczach, gdy poczuła przyływ inspiracji: - ...kotem cyklotymicznym.

On również przymrużył oczy, zastanawiając się, co to słowo może oznaczać.

- Ma tylko jedno oko?

Roześmiała się, hamując lekko na ostrym zakręcie.

- Kot, który ma zmienne nastroje.

- Takie słowo naprawdę istnieje?

- Aha. - Gładko przyspieszyła, wychodząc z zakrętu.

- To jeden z medycznych terminów mamy. Cyklotymia to zaburzenie maniakalno - depresyjne. Mama zawsze

twierdziła, że dostaje cyklotymii od kontaktów z administracją szpitala.

- A ja myślałem, że to jeden z twoich terminów inżynierskich.

No dobrze, w takim razie kot pastora jest kotem chimerycznym. - Uśmiechnął się, widząc, że znów uniosła brwi. - Kapryśnym.

Cyklotymicy są kapryśni z natury.

- Niech będzie, uznam to za remis. Kot pastora jest...

- Zaczekaj - przerwał jej. - Tu trzeba skrócić.

Zwolniła i zjechała z wąskiej drogi na jeszcze węższą, oznaczoną niedużą, czerwono - białą strzałką z napisem „Festiwal Celtycki”.

- Kochana jesteś, że mnie tu przywiozłaś. Gdybym wiedział, że to tak daleko, to nigdy bym cię nie prosił.

Spojrzała na niego z rozbawieniem.

- To wcale nie jest tak daleko.

- Dwieście pięćdziesiąt kilometrów! Uśmiechnęła się nieco ironicznie.

- Mój ojciec zawsze mówił, że na tym polega różnica między Amerykaninem a Anglikiem. Anglik uważa, że sto kilometrów to kawał drogi, dla Amerykanina sto lat to kawał czasu.

Roger roześmiał się z zaskoczeniem.

- Zupełna racja. W takim razie sądzę, że ty jesteś Amerykanką?

- Też tak sądzę - odrzekła, ale jej uśmiech przygasł.

Rozmowa również przygasła. Przez kilka minut jechali w milczeniu, słuchając szumu powietrza i opon. Był piękny, upalny, letni dzień. Bostońska wilgoć pozostała

daleko pod nimi. Wspinali się coraz wyżej, w czystsze powietrze gór.

- Kot pastora jest dystansującym się kotem - rzekł w końcu Roger cicho. - Czy powiedziałem coś nie tak?

Rzuciła mu szybkie, błękitne spojrzenie i lekki półuśmiech. - Kot pastora jest dumającym kotem. Nie, to nie przez ciebie. - Zacisnęła usta, zwolniła za innym samochodem i znów się rozluźniła. - Nie, nie tak. To przez, ciebie, ale to nie twoja wina. Roger obrócił się twarzą w jej stronę.

- Kot pastora jest enigmatycznym kotem.

- Kot pastora jest eufemistycznym kotem. Przepraszam, nie powinnam była nic mówić.

Roger miał tyle rozumu, by nie naciskać. Pochylił się i wyciągnął spod siedzenia termos gorącej herbaty z cytryną.

- Chcesz trochę? - Wysunął kubek w jej stronę, ona jednak pokręciła głową, krzywiąc się lekko.

- Nie, dziękuję. Nie znoszę herbaty.

- W takim razie zdecydowanie nie jesteś Angielką - rzekł i natychmiast tego pożałował, widząc, że zacisnęła dłonie na kierownicy, ale nic nie odpowiedziała. Wypił herbatę w milczeniu, patrząc na nią. Pomimo koloru włosów i dziedzictwa nie wyglądała na Angielkę. Być może sprawiał to jej strój, ale wydawało mu się, że chodzi o coś więcej. Amerykanie wydawali się znacznie bardziej... jacy? Energiczni? Intensywni? Więksi? Po prostu bardziej. Brianna Randall zdecydowanie była „bardziej”. Ruch na drodze zageścił się i przed bramą wjazdową ośrodka, w którym odbywał się festiwal, uformowała się długa kolejka

pełznących powoli aut.

- Posłuchaj - powiedziała Brianna nagle. Nie odwróciła się w jego stronę, patrzyła przez przednią szybę na tablicę rejestracyjną stojącego przed nimi samochodu, który pochodził z New Jersey. - Muszę ci to wyjaśnić.

- Nie mnie.

Uniosła rudą brew w przebłysku irytacji.

- A komu? - Zaciśnęła usta i westchnęła. - No dobrze, niech będzie, sobie też. Ale muszę.

Roger czuł w przełyku gryzący, kwaśny posmak herbaty. Czy teraz zamierzała mu powiedzieć, że przyjeżdżając tu, popełnił błąd?

Był o tym przekonany przez cały czas podróży nad Atlantykiem, gdy siedział zdrętwiały w ciasnym i niewygodnym fotelu samolotu. A potem zobaczył ją w hali przylotów i wszystkie wątpliwości zniknęły w jednej chwili.

Nie wracały przez cały ostatni tydzień. Widywał ją codziennie, choćby na krótko, a w czwartek po południu udało mu się nawet wybrać z nią na mecz bejsbolowy w Fenway Park. Nic nie rozumiał z tej gry, ale oczarował go entuzjizm Brianny. Odkrył, że wciąż liczy godziny, które pozostały mu jeszcze do wylotu, a jednak czekał na ten jeden dzień, który w całości mieli spędzić razem.

Ale to jeszcze nie oznaczało, że ona czuje to samo. Rzucił okiem na sznur samochodów: brama była już widoczna, ale mieli do przebycia jeszcze jakieś pół kilometra. Trzy minuty, żeby ją przekonać.

- Wtedy w Szkocji - powiedziała - gdy działo się to wszystko... z moją matką... zachowałeś się wspaniale, Roger, naprawdę fantastycznie. - Nie patrzyła na niego, ale

zauważył, że jej gęste, ciemnorude rzęsy zalśniły wilgocią.

- Nie zrobiłem nic wielkiego. - Musiał zwinąć dłonie w pięści, by jej nie dotknąć. - Ciekawiło mnie to, co się działo.

Zaśmiała się krótko.

- Jasne, tego jestem pewna. - Zwolniła, obróciła głowę i spojrzała mu prosto w twarz. Jej oczy, nawet gdy były szeroko otwarte, pozostawały nieco skośne, jak oczy kota. - Czy później byłeś jeszcze kiedyś przy tym kamiennym kręgu? Na Craigh na Dun?

- Nie - odrzekł krótko. Odkasznął i dodał mimochodem: - Nie jeżdżę do Inverness zbyt często. Byłem zajęty na uniwersytecie.

- Nie chcesz chyba powiedzieć, że kot pastora jest bojaźliwym kotem? - zapytała z lekkim uśmiechem.

- Kot pastora śmiertelnie boi się tego miejsca - odrzekł szczerze.

- Nie postawiłby tam łapy, nawet gdyby całe tonęło w sardynkach.

Roześmiała się na głos i napięcie między nimi wyraźnie zelzało.

- Ja też - powiedziała i wzięła głęboki oddech. - Ale pamiętam, ile zrobiłeś/zeby nam pomóc. A potem, gdy... gdy mama przeszła... - Przygryzła dolną wargę, przyciskając hamulec mocniej, niż to było konieczne. - Widzisz - dodała cicho - wystarczy, że spędzę pół godziny w twoim towarzystwie, i to wszystko wraca. Już od ponad pół roku nie rozmawiałam z nikim o swoich rodzicach, a ledwie zaczęliśmy grać w tę głupią grę, wspomniałam ich oboje w niecałą minutę. I tak było przez cały tydzień.

Odrzuciła z ramienia kosmyk rudych włosów. Gdy była czymś zdenerwowana albo podniecona, jej policzki różowiły się uroczo.

- Gdy nie odpowiedziałś na mój list, myślałem, że może chodzić właśnie o coś takiego.

- Nie tylko o to. - Znow przygryzła dolną wargę, jakby chciała cofnąć te słowa, ale było za późno. Od dekoltu jej białej, bawełnianej koszulki rozpełzła się fala jaskrawej czerwieni, nadając twarzy barwę sosu pomidorowego, którym Brianna upierała się polewać frytki.

Roger wyciągnął rękę i delikatnie odsunął włosy z jej twarzy. - Byłam tobą zauroczona - wyrzuciła z siebie, patrząc prosto przez przednią szybę - ale nie wiedziałam, czy jesteś dla mnie miły tylko dlatego, że mama cię o to prosiła, czy też...

- Czy też - przerwał i uśmiechnął się, widząc, że zaryzykowała szybkie spojrzenie na niego - zdecydowanie „czy też”.

- Och. - Rozluźniła się nieco i przestała kurczowo ścisnąć kierownicę. - Aha. To dobrze.

Miał ochotę ująć jej dłoń, ale obawiając się, by nie spowodowała wypadku, położył tylko rękę na oparciu fotela i lekko dotknął palcami jej ramienia.

- W każdym razie nie myślałam, że... no wiesz, mogłam albo rzucić ci się w ramiona, albo wysiąść w cholerę z tego dodge'a, więc tak zrobiłam, ale nie miałam pojęcia, jak ci to wyjaśnić, żeby nie wyjść na idiotkę. A gdy napisałeś, było jeszcze gorzej. No widzisz, jednak robię z siebie idiotkę.

Roger rozpiął pas.

- Czy wjedziesz w ten samochód przed nami, jeśli cię pocałuję? - Nie.

- To dobrze. - Przesunął się na fotelu, ujął dłonią jej podbródek i pocałował ją szybko. W następnej chwili statecznie wtoczyli się na parking.

Oddychała już spokojniej i kolor jej policzków niemal wrócił do normy. Wsunęła się gładko na miejsce parkingowe, zgasiła silnik i przez chwilę patrzyła prosto przed siebie, a potem odpięła pas i obróciła się do niego.

Dopiero w kilka minut później, gdy wysiedli z samochodu, Rogerowi przyszło do głowy, że choć kilkakrotnie wspomniała swoich rodziców, to rzeczywisty problem zapewne związany był z tym rodzicem, którego starannie pomijała w rozmowie.

Super, pomyślał, patrząc z roztargnionym podziwem na jej pośladki, gdy pochylała się nad otwartym bagażnikiem. Ona próbuje nie myśleć o Jamie Fraserze, a ty dokąd ją przywozisz? Spojrzał na bramę ośrodka, nad którą w letnim wietrze powiewały obok siebie dwie flagi, brytyjski Union Jack i szkocki krzyż świętego Andrzeja.

Ze zbocza wzgórza wznoszącego się za bramą dobiegał żaloszny dźwięk dud.

4. Podmuch przeszłości

Przywykł do przebierania się pod plandeką jakiegoś wozu konnego albo w męskiej toalecie w pubie, toteż niewielka klitka za kulisami, którą przydzielono mu do osobistego użytku, wydawała się niezwykle luksusową. Była czysta, zaopatrzona w haczyki na ubrania i na progu nie chrapał żaden pijany klient. Oczywiście, to jest Ameryka/pomyślał, zrzucając dzinsy na podłogę. Inne

standardy, w każdym razie jeśli chodzi o wygody materialne.

Ściągnął przez głowę koszulę z rozszerzonymi rękawami, zastanawiając się, do jakiego poziomu życia przywykła Brianna. Nie był ekspertem w sprawach kobiecych ubrań - ileż w końcu mogły kosztować niebieskie dzinsy? - ale wiedział co nieco o samochodach.

Jeździła niebieskim mustangiem, nowiutkim, prosto z fabryki. Palce go świerzbiały, by choćby dotknąć kierownicy.

Najwyraźniej rodzice zostawili jej dość pieniędzy na wygodne życie. Pod tym względem na Claire Randall można było polegać. Miał tylko nadzieję, że nie było tego aż tak wiele, by Brianna mogła przypuszczać, że interesuje się nią tylko z tego powodu. Popatrzył na brązową kopertę. Czy mimo wszystko powinien jej to dać?

Kot pastora omal nie wyskoczył ze skóry, gdy przeszli przez wejście dla artystów i stanęli twarzą w twarz z dudziarzami z Siedemdziesiątej Ósmej Góralskiej Kapeli Fraserów z Kanady, którzy ćwiczyli przy garderobach, zupełnie nie zważając na ilość emitowanych decybeli. Brianna pobladła, gdy Roger przedstawił ją kapelmistrzowi, który był jego starym znajomym. Bill Livingstone nie miał w sobie niczego, co mogło onieśmielać, chodziło o odznakę klanową Fraserów, którą miał przypiętą do piersi. Je suis prest - głosił napis. „Jestem gotów”. Ani trochę, pomyślał Roger, i miał ochotę wymierzyć sobie kopniaka za to, że ją tu przywiózł.

Zapewniła go jednak, że chętnie obejrzy sobie wszystko sama, gdy on będzie się przebierał i

przygotowywał do występu. I na tym zamierzał się teraz skupić.

Zapiął sprzączki kiltu w pasie i na biodrze i sięgnął po długie, wełniane pończochy. Jego występ zaplanowany był na wczesne popołudnie i miał trwać całe czterdzieści pięć minut, a potem czekało go jeszcze krótkie wejście solowe podczas wieczornego ceilidh. Miał już w głowie zarys programu, ale zawsze trzeba było brać pod uwagę publiczność. Kobieca widownia dobrze przyjmowała ballady, przy przewadze mężczyzn lepszy efekt dawały pieśni wojenne - Killiecrankie, Montrose, Strzelby i bębny. Rubaszne piosenki wzbudzały największy entuzjazm, gdy publiczność była już dobrze rozgrzana i miała w żyłach nieco piwa.

Schludnie wywinął górę pończoch, pod prawą wsunął sgian dhu, nóż z trzonkiem z jeleniego rogu, i szybko zasznurował buty. Chciał jeszcze znaleźć Briannę, oprowadzić ją po ośrodku, kupić jej coś do jedzenia i sprawdzić, czy ma dobre miejsce na widowni. Przerzucił tartan przez ramię, zapiął spinkę, przyczepił do pasa sztylet i sporran i był gotów. Chociaż niezupełnie. Zatrzymał się w pół drogi do drzwi.

Stare bokserki w szarooliwkowym kolorze stanowiły część żołnierskiego ekwipunku mniej więcej z okresu drugiej wojny światowej i były jedną z nielicznych pamiątek Rogera po ojcu.

Zazwyczaj nie zawracał sobie głowy bielizną, czasami jednak wkładał je pod kilt jako ochronę przeciwko zadziwiającej bezczelności niektórych kobiet na widowni. Inni muzycy ostrzegali go wcześniej, ale nigdy by nie

uwierzył, gdyby nie doświadczył tego osobiście.

Najgorsze były Niemki, znał jednak również kilka Amerykanek, które deptały im po piętach pod względem swobody zachowania w tego typu sytuacjach.

Nie sądził, by tutaj było to konieczne, publiczność wyglądała na cywilizowaną i zauważył wcześniej, że scena jest nieco oddalona od widzów. Poza tym za kulisami miała z nim być Brianna i gdyby to ona miała ochotę zachować się swobodnie... Wrzucił bokserki z powrotem do torby, przykrywając nimi brązową kopertę.

- Życz mi szczęścia, tato - szepnął i poszedł jej poszukać.

- Ooo! - Obeszła go dokoła, przyglądając się uważnie. - Roger, wyglądasz fantastycznie! Moja matka zawsze mówiła, że mężczyźni w kiltach mają nieodparty urok, i chyba miała rację. - Przełknęła ślinę z nieco krzywym uśmiechem. Miał ochotę uścisnąć ją za dzielność, ale odwróciła się już, pokazując kierunek, gdzie można było dostać coś do zjedzenia. - Czy jesteś głodny? Rozejrzałam się trochę, gdy byłeś w garderobie. Mamy do wyboru szaszłyki z ośmiornicy, rybne tacos, hot dogi z polską kiełbasą... Wziął ją za ramię i obrócił twarzą do siebie.

- Hej - powiedział miękko. - Przepraszam. Nie zabierałbym cię tutaj, gdybym wiedział, że to będzie dla ciebie szok.

- W porządku. - Jej uśmiech wyglądał już nieco lepiej. - To znaczy... cieszę się, że mnie tu zabrałeś.

- Naprawdę?

- Tak, naprawdę. Tylko że... - bezradnie wskazała ręką na otaczający ich wir barw i dźwięków, splecionych ze

sobą jak kolory w tartanie - tu jest tak... szkocko.

Miała ochotę się roześmiać. Nic nie mogło być mniej szkockie niż ta mikstura tandety dla turystów i bezczelnej wyprzedaży podrabianych tradycji. Ale zarazem miała rację, to było do gruntu szkockie, doskonały przykład odwiecznej szkockiej umiejętności przetrwania, adaptacji do każdych warunków i wyciągnięcia zysków z każdej sytuacji.

Uścisnęła ją w końcu. Jej włosy pachniały czystością jak świeża trawa. Czuł bicie jej serca pod białą koszulką.

- Przecież ty też jesteś Szkotką - powiedział prosto do jej ucha i puścił ją. Oczy wciąż jej błyszczały, ale teraz dostrzegał w nich już inne emocje.

- Chyba masz rację - odparła i uśmiechnęła się zupełnie szczerze - lecz mam nadzieję, że nie muszę jeść haggisu? Widziałam to tutaj i wolę już ośmiornicę na patyku.

Wcześniej myślał, że żartuje, ale widocznie to nie był żart. Jak wyjaśnił im jeden ze sprzedawców w budkach z jedzeniem, ośrodek opierał swój byt na etnicznych festynach.

- Polacy tańczą polki, Szwajcarzy jodlują, Jezu, przywieźli tu chyba milion zegarów z kukułką! Hiszpanie, Włosi, japońskie festiwale kwitnącej wiśni - nie uwierzylibyście, ile mieli aparatów fotograficznych, po prostu byście nie uwierzyli - potrzasał głową z rozbawieniem, podając im dwa papierowe talerze z hamburgerami i frytkami. - Co dwa tygodnie mamy tu coś nowego. Ani przez chwilę nie można się nudzić. A my po prostu robimy swoje, wszystko jedno, jakie jedzenie sprzedajemy. - Popatrzył na kilt Rogera z pewnym

zainteresowaniem. - Jest pan Szkotem czy tylko nosi pan spódnicę?

Roger, który słyszał już to uprzejme pytanie w kilkudziesięciu rozmaitych wersjach, popatrzył na niego bez wyrazu.

- Jak to mawiał mój dziadek - odrzekł z porażającym szkockim akcentem - kiedy wkładasz kilt, chłopcze, wtedy wiesz na pewno, że jesteś mężczyzną.

Sprzedawca skłonił się uprzejmie, a Brianna przewróciła oczami.

- Dowcipy o kiltach - wymamrotała. - Boże, jeśli zaczniesz opowiadać dowcipy o kiltach, to wyjadę i zostawię cię tutaj.

Przysięgam, że tak zrobię.

Roger wyszczerzył zęby.

- No nie, tego byś chyba nie zrobiła, co? Nie zostawiłabyś mężczyzny tylko dlatego, że gotów jest ci powiedzieć, co się nosi pod kiltem, nie? Jej oczy zwięziły się w dwa niebieskie trójkąci.

- Założę się, że pod tym kiltem nie nosi się niczego - skinęła głową w stronę jego sporrana. - Powiem więcej, mogę się nawet założyć, że wszystko, co masz pod spodem, działa bez zarzutu, prawda? Roger zakrzusił się frytką.

- Powinien pan odpowiedzieć: Daj mi rękę, dziewczyno, a sama się przekonasz - podsunął sprzedawca. - W tym tygodniu słyszałem to już ze sto razy.

- Jeśli on to powie - wtrąciła Brianna pośpiesznie - to wyjadę i zostawię go samego na tej górze. Jak dla mnie, może tu siedzieć i żywić się ośmiornicami. Roger napił się coca - coli i roztropnie milczał.

Mieli jeszcze czas, by pospacerować po alejkach między stoiskami, na których sprzedawano wszystko, od tartanowych krawatów po tanie gwizdki, srebrną biżuterię, klanowe mapy Szkocji, toffi i ciastka maślane, noże do otwierania listów w kształcie szkockich mieczy claymore, ołowiane figurki górali, książki, płyty i wszystko, co tylko można sobie było wyobrazić, a na czym dało się umieścić odznakę lub motto klanu.

Roger przyciągał tylko pojedyncze zaciekawione spojrzenia. Jego strój, choć lepszej jakości niż większość pozostałych, nie był tu niczym niezwykłym. Tłum w przeważającej części składał się z turystów w szortach i dzinsach, jednak tu i ówdzie pojawiał się wzór tartanu, niczym wysypka na gładkiej skórze.

- Dlaczego MacKenzie? - zapytała Brianna. Zatrzymała się przed wystawą z breloczkami do kluczy ozdobionymi symbolami klanów i przesunęła palcem po srebrnym krążku z napisem *Luceo non uro*.

Łacińskie motto otaczało rysunek przedstawiający coś na kształt wulkanu. - Czy Wakefield nie brzmi wystarczająco po szkocku? A może sądzisz, że to, co tu robisz, nie spodobałoby w Oksfordzie?

Roger wzruszył ramionami. - Po części dlatego, ale to jest również moje rodowe nazwisko. Moi rodzice obydwójce zginęli podczas wojny.

Brat dziadka adoptował mnie i dał mi swoje nazwisko, ale przy chrzcie nazywałem się Roger Jeremiaś MacKenzie. - Jeremiaś? - Nie roześmiała się głośno, lecz czubek jej nosa poróżwiał. - Tak jak Jeremiasz, ten prorok ze Starego Testamentu?

- Nie śmieję się - powiedział, ujmując ją pod ramię. - Dostałem to imię po ojcu, mówiono na niego Jerry. Kiedy byłem mały, mama nazywała mnie Jemmy. To imię ma długą tradycję w naszej rodzinie.

Zresztą mogło być gorzej. Mogli mnie nazwać Ambrose albo Conan.

Śmiech Brianny przypominał musowanie bąbelków gazu w coca - coli.

- Conan?

- To było szacowne celtyckie imię, dopóki nie dorwali się do niego autorzy fantastyki. W każdym razie zdaje się, że wybrano Jeremiaha nie bez przyczyny.

- A to dlaczego?

Zawrócili i powoli zmiierzali w stronę sceny, na której grupa dziewczynek w sztywno wykrochmalonych strojach tańczyła góralski taniec. Ich ruchy były doskonale skoordynowane, każda kokarda i zaszewka stroju znajdowała się na swoim miejscu.

- To jedna z historii, które opowiadał mi tato - to znaczy wielebny, zawsze nazywałem go tatą. Wyciągał drzewo genealogiczne i pokazywał na nim ludzi, o których mówił. „Ambrose MacKenzie, to twój pradziadek, Rog. Był szkutnikiem w Dingwall. A tu jest Mary Oliphant - mówiłem ci już, że znałem twoją prababcie Oliphant?

Dożyła dziewięćdziesięciu siedmiu lat i do ostatniego dnia miała umysł ostry jak brzytwa. Wspaniała kobieta. Miała sześciu mężów - zapewniała mnie, że wszyscy zmarli z naturalnych przyczyn - ale umieściłem tu tylko Jeremiaha MacKenziego, bo to on był twoim przodkiem i tylko z nim miała dzieci. Zawsze mnie to

zastanawiało.

W końcu kiedyś zapytałem ją o to, a ona przymknęła jedno oko, pokiwała głową i powiedziała: Is fhearr an giomach na 'bhi gun fear tighe. To stare gaelickie przysłowie - «lepiej mieć homara niż nie mieć męża». Powiedziała, że niektórzy nadawali się do małżeństwa, ale tylko Jeremiah pociągał ją na tyle, że sypiała z nim każdej nocy".

- Ciekawe, co mówiła pozostałym mężom - rzekła Brianna z zastanowieniem.

- Przecież nie zaprzeczyła, że od czasu do czasu z nimi też sypiała - zauważył Roger - tyle że nie każdej nocy.

- Raz wystarczy, by zejść w ciążę - wzruszyła ramionami Brianna. - A w każdym razie matka przekonywała o tym moją klasę w szkole średniej, podczas lekcji higieny. Rysowała na tablicy plemniki, które z lubieżnym wyrazem twarzy biegły na wyścigi w stronę ogromnego jajeczka. - Znów poróżowiła, ale tym razem wyraźnie z rozbawienia, a nie z powodu bolesnych wspomnień. Dotykali się ramionami, czuł jej ciepło przez cienką koszulkę i czując reakcję własnego ciała pod kiltem, zaczął się zastanawiać, czy popełnił błąd, nie wkładając bokserek.

- Pomijając już kwestię, czy plemniki mają twarze, to co ten konkretny temat miał wspólnego z higieną?

- Higiena to amerykański eufemizm na wszystko, co wiąże się z seksem - wyjaśniła. - To są osobne lekcje dla chłopców i dla dziewczynek. Zajęcia dla dziewczynek nazywają się „Tajemnice życia” oraz „Dziesięć sposobów, by powiedzieć chłopcu «nie»”. - A lekcje dla chłopców?

- Tego nie jestem pewna, bo nie miałam braci, którzy mogliby mi o nich opowiedzieć, ale niektóre z moich koleżanek miały braci i jeden z nich mówił, że poznawali osiemnaście synonimów słowa „erekcja”.

- To bardzo pożyteczne - zauważył Roger, zastanawiając się, po co komu więcej niż jedno określenie. Na szczęście sporran był w stanie zamaskować niejedną grzech.

- Przypuszczam, że to może się przydać do podtrzymania konwersacji w pewnych okolicznościach.

Policzki miała już całkiem czerwone. Roger czuł, że fala gorąca ogarnia jego szyję, i wydawało mu się, że zaczynają przyciągać zaciekawione spojrzenia. Od czasu, gdy skończył siedemnaście lat, żadnej dziewczynie nie udało się publicznie wprawić go w zażenowanie, ale Brianna radziła sobie całkiem nieźle. W każdym razie to ona zaczęła, więc pozwolił jej skończyć.

- Hm, nie zauważyłem, żeby w tych akurat okolicznościach istniała wielka potrzeba prowadzenia konwersacji.

- Sądzę, że dobrze o tym wiesz. - To właściwie nie było pytanie.

Z opóźnieniem uświadomił sobie, do czego ona zmierza, i mocniej przyciągnął ją do siebie.

- Jeśli pytasz o przeszłość, to tak. A jeśli o terażniejszość - to nie.

- To znaczy co? - Usta jej lekko drżały od powstrzymanego śmiechu. - Pytasz o to, czy mam w Anglii dziewczynę, tak?

- Naprawdę o to pytam?

- Nie mam, to znaczy właściwie mam, ale to nic poważnego. - Stali przed drzwiami garderoby. Czas już był pójść po instrumenty.

Zatrzymał się i zwrócił twarzą do niej. - A ty? To znaczy, czy masz chłopaka?

Była tak wysoka, że patrzyła mu prosto w oczy, i stała na tyle blisko, że gdy obróciła się w jego stronę, jej piersi otarły się o jego przedramię.

- Jak brzmiało to przysłowie twojej prababci? Is fhearr an giomach...? - ...na 'bhi gun fear tighe.

- Aha. No więc lepiej mieć homara niż nie mieć chłopaka. - Podniosła rękę i dotknęła jego zapinki. - A więc tak, są tacy, z którymi się spotykam, ale nie znalazłam jeszcze takiego, który pociągałby mnie bardziej niż inni.

Pochwycił jej palce i podniósł do ust.

- Daj sobie trochę czasu, dziewczyno - powiedział.

Publiczność zachowywała się zadziwiająco cicho, zupełnie nie jak na koncercie rockowym. Oczywiście, pomyślała Brianna, nie mogą sobie pozwolić na hałasy, nie było tu elektrycznych gitar ani wzmacniaczy, tylko nieduży mikrofon na stojaku. Choć nie wszystko potrzebowało wzmocnienia, na przykład bicie jej serca; słyszała jego dudnienie w uszach.

- Proszę - powiedział Roger, który wyłonił się niespodziewanie z garderoby z gitarą i bębniem i wręczył jej niedużą brązową kopertę. - Znalazłem to, porządkując papiery taty w Inverness, i pomyślałem, że pewnie chciałabyś je mieć.

Wiedziała, że w kopercie znajdują się zdjęcia, ale nie zaczęła ich przeglądać od razu. Słuchała występu Rogera,

czując, że koperta przepala jej kolano na wylot. Był dobry; choć co innego pochłaniało jej uwagę, wiedziała, że jest dobry. Miał zadziwiająco głęboki, pełny baryton i umiał się nim posługiwać. Nie chodziło tylko o tonację i melodię. Roger posiadał daną jedynie prawdziwym artystom umiejętność odsunięcia zasłony oddzielającej śpiewaka od publiczności. Potrafił wejrzeć w tłum, napotkać czyjś wzrok i sprawić, by ten ktoś odczuł emocje kryjące się za słowami.

Rozruszał widownię, zaczynając od The Road to the Isles, szybkiej piosenki o żywym, klaskanym rytmie, z porywającym refrenem, a potem podtrzymał zainteresowanie, przechodząc do The Gallowa' Hills, i miękko prześliznął się w The Lewis Bridal Song z uroczym, melodyjnym gaelickim refrenem. Gdy przeciągnął ostatnią nutę Vhair Me Oh, Brianna miała wrażenie, że uśmiecha się prosto do niej.

- A teraz coś z roku tysiąc siedemset czterdziestego piątego. Ta piosenka powstała po słynnej bitwie pod Prestonpans, w której armia górali szkockich Karola Stuarta pokonała znacznie większe siły angielskie dowodzone przez generała Jonathana Cope'a.

Wśród publiczności rozległ się pełen aprobaty szmer.

Najwyraźniej była to ulubiona piosenka wielu z nich. Wszyscy ucichli, gdy pałce Rogera zaczęły wygrywać marszowy rytm.

Cope wysiał posłańca spod Dunbar, Przybądź tu, Karolku, jeśliś nie tchórz, A pokażę ci, jak się walczy, Będę czekał z rana.

Pochylił głowę nad strunami i skinieniem głowy

zachęcił publiczność, by przyłączyła się do szyderczego refrenu.

Hej, Johnnie Cope, idziesz już ? Czy twoje werble grają? Będę na ciebie czekał Przy ogniu aż do rana!

Brianna poczuła, że włosy na karku stają jej dęba. Nie miało to nic wspólnego ze śpiewakiem ani z publicznością, chodziło o samą piosenkę.

Gdy Karolek spojrział na list,

Od razu miecz wyciągnął, Chodźcie za mną, dobrzy ludzie, Znajdziemy Cope'a rankiem!

Nie - szepnęła, zaciskając chłodne palce na gładkiej, brązowej kopercie. "Chodźcie za mną, dobrzy ludzie...". Oni tam byli - jej rodzice, obydwójce. Jej ojciec, z mieczem i tarczą, biegł przez pole bitwy.

...Bo ranek będzie krwawy!

Hej, Johnnie Cope, idziesz już? Czy twoje werble grają?

Głosy dokoła niej z aprobatą dołączały się do refrenu. Poczowała rosnącą panikę, gotowa uciec jak Johnnie Cope, ale ta chwila szybko minęła i Brianna pozostała na swoim miejscu, rozkołysana muzyką i emocjami.

Szczerze mówiąc, rzekł Johnnie, mam stracha, gdy pomyślę

O tych tartanach i mieczach,

Gdy znów przed nimi stanę, połamię mi nogi,

Więc życzę wam miłego dnia!

Hej, Johnnie Cope, idziesz już?

Tak, szedł. I będzie szedł, dopóki piosenka się nie skończy.

Niektórzy ludzie próbowali zachować przeszłość, a

inni usiłowali przed nią uciec. Na tym polegał największy rozdziew pomiędzy nią a Rogerem. Dlaczego nie dostrzegła tego wcześniej?

Nie wiedziała, czy Roger zauważył jej zmianę nastroju, ale porzucił zdradliwe jakobickie terytorium i zaczął śpiewać MacPherson's Lament, piosenkę, przy której tylko z rzadka dotykał strun. Kobieta siedząca obok Brianny westchnęła głęboko, wpatrując się w scenę sarnimi oczami.

Tak wesoło, tak żywo, tak radośnie szedł,

Grał i tańczył dokoła szubienicy!

Podniosła kopertę i zważyła ją w dłoni. Może powinna poczekać, aż dotrze do domu, ale ciekawość walczyła z oporem. Roger nie był pewien, czy powinien jej to dać, widziała to w jego oczach.

- ...bodhran - mówił właśnie. Była to właściwie drewniana obręcz, szeroka na jakieś dziesięć centymetrów i o średnicy czterdziestu pięciu centymetrów, z naciągniętą po jednej stronie skórą.

Roger ułożył go na palcach jednej dłoni, w drugiej trzymał dwustronną pałeczkę. - To jeden z najstarszych znanych instrumentów. Tym bębniem plemiona celtyckie napędziły stracha oddziałom Juliusza Cezara w pięćdziesiątym drugim roku przed naszą erą. - Na widowni rozległy się śmiechy. Roger dotknął pałeczką powierzchni bębna i zaczął wybijać szybki, miękki rytm przypominający bicie serca. - A teraz The Sheriffmuir Fight, z czasów pierwszego powstania jakobitów w tysiąc siedemset piętnastym roku.

Uderzenia zmieniły ton: stały się niższe, nabrały dudniących, wojennych odcieni, jak akompaniujący słowom

grzmot. Publiczność wciąż zachowywała się spokojnie, ale teraz wszyscy usiedli prosto i wyciągając szyje, wsłuchiwali się w pieśń o bitwie pod Sheriffmuir i o wszystkich klanach, które brały w niej udział.

Naprzód pobiegli w strumieniach krwi, niejeden łajdak padł, Siekli i kłuli, szczękały miecze...

Gdy piosenka dobiegła końca, Brianna wsunęła palce do koperty i wyciągnęła plik fotografii. Były to czarno - białe, zbrązowiałe już ze starości zdjęcia. Jej rodzice, Frank i Claire Randall. Obydwoje wyglądali na niedorzecznie młodych i bardzo szczęśliwych.

Zdjęcia zrobiono w jakimś ogrodzie, na drugim planie widać było ogrodowe krzesła i stół z napojami, cętkowany cieniami liści. Twarze jednak były wyraźne - roześmiane, promienne młodością, wpatrzone w siebie nawzajem.

Tu w sztywnej pozie, ramię przy ramieniu, wyraźnie kpiący z własnej formalności. Claire roześmiana, zgięta w pół ze śmiechu z powodu czegoś, co Frank powiedział, przytrzymywała obiema rękami szeroką spódnicę, którą wiatr usiłował unieść do góry. Rozwiane przez wiatr kręcone włosy. Na następnej fotografii Frank podawał Claire filiżankę, ona zaś spoglądała w jego twarz z taką nadzieją i ufnością, że na ten widok serce Brianny ścisnęło się mocno.

Spojrzała na ostatnie ze zdjęć i zdała sobie sprawę, na co patrzy.

Obydwoje stali przy stole z dłońmi na rękojeści noża i ze śmiechem wbijali go w tort, najwyraźniej domowej roboty. To był ślubny tort.

- I na koniec stara piosenka, którą bez wątpienia wszyscy znają.

Podobno pewien jakobita, którego wieziono do Londynu na egzekucję, przesłał ją swojej żonie pozostałej w górach.

Brianna rozpostarła dłonie płasko na zdjęciach, jakby chciała je ochronić przed wzrokiem obcych. Przeszedł ją lodowaty dreszcz.

Ślubne zdjęcia. Oczywiście, przecież brali ślub w Szkocji. Wielebny Wakefield nie był księdzem katolickim, toteż nie mógł poprowadzić ceremonii, ale ponieważ był jednym z najstarszych przyjaciół jej ojca, przyjęcie widocznie odbyło się na plebanii.

Tak. Zerkając pomiędzy palcami, zauważyła w tle znajome kształty starego domu. Niechętnie odsunęła rękę i jeszcze raz spojrzała na młodą twarz matki. Osiemnaście lat. Wychodząc za Franka Randalla, Claire miała osiemnaście lat. Może to wszystko wyjaśniało. Czy w tym wieku można wiedzieć, co się naprawdę czuje?

Na brzegach Loch Lomond, wśród tych wzgórz,
Gdzie słońce jasno świeci,
Gdzie zawsze chodziłem z ukochaną...

Ale Claire była pewna swoich uczuć, a w każdym razie tak jej się wydawało. Szerokie, otwarte czoło nie zdradzało żadnych wątpliwości. Wielkie, świetliste oczy wpatrywały się w świeżo poślubionego męża bez cienia obawy czy niepokoju. A jednak...

Ale nigdy już nie spotkam mojej ukochanej Na pięknych brzegach Loch Lomond.

Nie zważając na to, że depta innym po palcach,

Brianna precisięła się między rzędami krzesel i uciekła, nim ktokolwiek zdążył dostrzec w jej oczach łzy.

- Mogę z tobą zostać przez część wezwania klanów, ale mam jeszcze zaśpiewać na koniec, więc będę musiał zostawić cię samą.

Dasz sobie radę?

- Jasne, że tak - odrzekła stanowczo. - Wszystko w porządku, nie martw się o mnie.

Popatrzył na nią nieco niespokojnie, ale nie skomentował tego.

Żadne z nich nie wspomniało ani słowem jej nagłego wyjścia. Nim przedarł się przez tłum widzów, którzy pragnęli mu pogratulować i życzyć wszystkiego dobrego, i znalazł Briannę, ona już zdążyła odwiedzić łazienkę, gdzie doprowadziła się do porządku za pomocą zimnej wody.

Resztę popołudnia spędzili, wędrując po całym ośrodku. Kupili kilka drobiazgów, wyszli na zewnątrz, by popatrzeć na konkurs dudziarzy, wrócili na wpół ogluszeni i trafili na młodego człowieka, który tańczył między dwoma leżącymi na ziemi, skrzyżowanymi mieczami. Fotografie spoczywały bezpiecznie w jej torebce, poza zasięgiem wzroku.

Było już prawie całkiem ciemno. Wszyscy opuszczali stoiska z jedzeniem i zmięrzali w stronę ławek, ustawionych amfiteatralnie u podnóża góry.

Brianna przypuszczała, że rodziny z małymi dziećmi wyjadą wcześniej, i niektóre rzeczywiście tak zrobiły, ale pośród siedzących na ławkach dorosłych widać było drobne ciała i sennie opadające głowy. Zmierzając w stronę wyższych rzędów, wyminęli ojca, który trzymał w

ramionach bezwładną, mocno śpiącą dziewczynkę. Ławki otaczały płaski, pusty plac, na którym leżała wielka sterta drewna.

- Co to jest wezwanie klanów? - zapytała jakaś kobieta swojego towarzysza w rzędzie przed nimi. Ten wzruszył ramionami. Brianna spojrzała na Rogera, szukając oświecenia, ale on tylko się uśmiechnął.

- Sama zobaczysz.

Zapadła noc, ale księżyc jeszcze nie wzeszedł. Kształt góry odcinał się ciemniejszym konturem na tle rozgwieżdżonego nieba. Z tłumu dobiegł jakiś okrzyk, po nim kilka następnych, a potem w powietrzu rozległy się dźwięki dud i wszystko inne ucichło.

Pod szczytem góry pojawiło się światło. Po chwili zaczęło schodzić w dół, a za nim pojawiło się następne. Muzyka przybrała na sile. Jeszcze jedno światło rozbłysło na wierzchołku. Przez kolejne dziesięć minut napięcie rosło, muzyka stawała się coraz głośniejsza, a sznur światła coraz dłuższy, aż zmienił się w łańcuch ognia ciągnący się aż do podnóża góry.

Spomiędzy drzew rosnących u stóp zbocza wylaniała się ścieżka.

Brianna widziała ją wcześniej. Teraz na ścieżce ukazał się mężczyzna trzymający nad głową płonąca pochodnię, a za nim dudziarz. Dźwięk dud był tak silny, że przygłuszał ochy i achy publiczności. Schodzili w dół ścieżką w stronę polany i po chwili Brianna zauważyła za ich plecami długi sznur kolejnych mężczyzn w galowych strojach przywódców klanowych, każdy z pochodnią. Wyglądali wspaniale, jak barbarzyńcy, pióra głuszca,

srebrzyste miecze i sztylety widoczne między fałdami tartanów migotały czerwono w świetle pochodni.

Naraz dudy ucichły. Pierwszy z mężczyzn wszedł na polanę i zatrzymał się przed tłumem. Podniósł pochodnię wysoko nad głowę i wykrzyknął:

- Cameronowie są tutaj!

Wśród publiczności rozległy się przeciągłe okrzyki zachwytu.

Mężczyzna rzucił pochodnię na nasączony naftą stos drewna, który w jednej chwili z sykiem przemienił się w płonący, wysoki na trzy metry słup ognia.

Kolejny mężczyzna stanął na tle osłepiającej ściany płomieni i krzyknął: - MacDonaldowie są tutaj!

Rozległy się okrzyki tych, którzy potwierdzali swoje pokrewieństwo z klanem MacDonaldów, a potem...

- MacLachlanowie są tutaj! - MacGillivrayowie są tutaj!

Brianna była tak zafascynowana tym spektaklem, że prawie nie zauważała obecności Rogera. Wtem kolejny mężczyzna wyłonił się z mroku i zawołał: - MacKenzie są tutaj! - Talach Ard! - ryknął Roger.

- Co to było? - Brianna aż podskoczyła.

- To był okrzyk wojenny klanu MacKenziech - wyjaśnił z uśmiechem.

- Tak to właśnie brzmiało.

- Campbellowie są tutaj!

Musiało tu być mnóstwo Campbellów, bo odpowiedź aż wstrząsnęła ławkami. Jakby to był sygnał, na który czekał, Roger podniósł się i przerzucił tartan przez ramię.

- Spotkamy się później przy garderobie, dobrze?
Skinęła głową.

Pochylił się i pocałował ją.

- Tak na wszelki wypadek - dodał - okrzyk wojenny
Fraserów to Caisteal Dhuni!

Patrzyła za nim, gdy wspinał się po kamieniach zręcznie jak kozica. Zapach dymu z palonego drewna rozchodził się w nocnym powietrzu, mieszając się ze słabszym zapachem tytoniu z palonych na widowni papierosów.

- MacKayowie są tutaj!

- MacLeodowie są tutaj!

- Farquarsonowie są tutaj!

Brianna poczuła, że od dymu i emocji brakuje jej tchu. Te klany wyginęły przecież pod Culloden - czy naprawdę? Tak, naprawdę, nie pozostało po nich nic oprócz wspomnienia. To było tylko wywoływanie duchów. Tych ludzi, krzyczących z takim entuzjazmem, nie łączyło ze sobą żadne pokrewieństwo. Nikt z nich nie kierował się już w życiu dyktatem przywódcy i przynależności do ziemi. Ale...

- Fraserowie są tutaj!

Poczuła przypływ paniki i mocno zacisnęła dłoń na zamku torebki. Nie, pomyślała, och, nie. Ja nie.

Ale ta chwila szybko minęła i znów mogła zaczerpnąć oddechu, choć adrenalina wciąż krążyła w jej krwi.

- Grahamowie są tutaj!

- Innesowie są tutaj!

Ogilvy, Lindsayowie, Gordonowie. W końcu ucichły

echa ostatnich okrzyków. Brianna trzymała torebkę na kolanach, ściskając ją mocno w dłoniach, jakby obawiała się, że zawartość może wyparować, uciec niczym dżin z lampy.

Zastanawiała się, jak mogłaby to zrobić. A potem, na widok Rogera, który wchodził w krąg światła z bodhranem w ręku, pomyślała: jak mogłabym temu zapobiec?

5. Dwieście lat od wczoraj

- Nie włożyłeś kiltu. - Gayle z rozczarowaniem wygięła usta w podkówkę.

- Nie to stulecie - uśmiechnął się Roger. - Wieje po nogach podczas księżycowych spacerów.

Wspięła się na palce i pochyliła w jego stronę. - Musisz mnie nauczyć, jak się to robi. - Jak co się robi?

- Jak się wymawia takie „r”. - Zmarszczyła brwi i spróbowała go naśladować. Dźwięk, który wydobył się z jej ust, przypominał odgłos silnika motorówki na niskim biegu.

- Brrrrdzo dobrze - skomentował, powstrzymując wybuch śmiechu - prrróbuje dalej. Prrraktyka czyni mistrza.

- A może chociaż zabrałeś ze sobą gitarę albo ten odlotowy bębenek? - Wciąż stała na palcach, próbując spojrzeć ponad jego ramieniem.

- Jest w samochodzie - powiedziała Brianna. Schowała kluczyki i stanęła obok Rogera. - Prosto stąd jedziemy na lotnisko.

- Jaka szkoda! Myślałam, że zrobimy odlotową imprezę, żeby to uczcić. Roger czy znasz Ten kraj jest twoim krajem? A może wolisz protest songi? Ale chyba nie, bo przecież jesteś Anglikiem... och, to znaczy Szkotem. Wy tam chyba nie macie przeciw czemu protestować?

Brianna spojrzała na przyjaciółkę z lekką irytacją.

- Gdzie jest wujek Joe?

- W salonie, kopie w telewizor - wyjaśniła Gayle. - Może ja zajmę się Rogerem, a ty pójdziesz go poszukać? - Zatrzepotała rękami i wsunęła dłoń pod ramię Rogera.

- Siedzi tu połowa tego cholernego wydziału inżynierii MIT i nikt nie potrafi nareperować telewizora? - złościł się doktor Joseph Abernathy, obrzucając oskarżycielskim wzrokiem grupki młodych ludzi poroziadanych w różnych miejscach salonu.

- Tato, telewizor to jest inżynieria elektryczna - wyjaśnił z wyższością jego syn - a my wszyscy jesteśmy inżynierami mechanikami. Wymagać od inżyniera mechanika, żeby naprawił ci kolorowy telewizor, to jakbyś poprosił internistę, żeby obejrzał wrzód na twoim ku... auuu!

- Och, przepraszam - rzekł ojciec, spoglądając na syna znad okularów w złotej oprawce wzrokiem bez wyrazu. - To była twoja stopa, Lenny?

Pośród ogólnego śmiechu Lenny z wyrazem nieopisanego cierpienia na twarzy okrążył salon, skacząc na jednej nodze niczym bocian i czule obejmując dłońmi drugą stopę, obutą w wielki trampek.

- Bree, skarbie! - Doktor zauważył ją, rozpromienił się i zapomniał o telewizorze. Uścisnął ją z entuzjazmem, nie zważając na to, że była od niego o jakieś dziesięć centymetrów wyższa, a potem spojrzał na Rogera i jego twarz przybrała wyraz ostrożnej serdeczności. - To twój chłopak?

- To jest Roger Wakefield - wyjaśniła Brianna,

mrużąc oczy. - Roger, to jest Joe Abernathy.

- Mów mi Joe.

Uścisnęli sobie dłonie, wzajemnie taksując się wzrokiem.

Spojrzenie żywych, brązowych oczu doktora było ciepłe, lecz przenikliwe.

- Bree, skarbie, może ty spojrzysz na ten złom i sprawdzisz, czy nie udałoby ci się go ożywić? - Wskazał kciukiem dwudziestoczerocalowy telewizor, stojący w niemym uporze na metalowym stojaku. - Jeszcze wczoraj wieczorem działał, a dzisiaj zupełnie padł.

Brianna popatrzyła z powątpiewaniem na wielki, kolorowy odbiornik, pogrzebała w kieszeni džinsów i wyciągnęła szwajcarski szczyryk.

- Mogę w każdym razie sprawdzić wtyczki - powiedziała, wyciągając ostrze śrubokręta. - Ile mamy czasu?

- Jakieś pół godziny - zawołał przystrzyżony na rekruta student, który stał w drzwiach do kuchni i stamtąd spoglądał na tłumek zgromadzony wokół małego, czarno - białego odbiornika na stole.

Przez gwar podnieconych widzów przedarł się nieco bardziej stonowany głos komentatora telewizyjnego: - Nadal jesteśmy połączeni z kontrolą lotu w Houston. Przybliżony czas lądowania trzydzieści cztery minuty.

- Dobrze, dobrze. - Doktor Abernathy położył dłoń na ramieniu Rogera. - W takim razie mamy jeszcze mnóstwo czasu, żeby się napić.

Jest pan Szkotem, panie Wakefield?

- Proszę mi mówić po imieniu.

Abernathy hojnie nalał do szklaneczki bursztynowego nektaru.

- Sądzę, Roger, że nie dodajesz wody?

- Nie. - To był lagavulin. Zdziwiał, że natrafił na ten trunek w Bostonie. Z uznaniem pociągnął łyk.

- Dostałem to od Claire, mamy Bree - uśmiechnął się doktor. - Ta kobieta potrafiła docenić dobrą whisky. - Nostalgicznie potrząsnął głową i uniósł szklankę.

- Slainte - powiedział cicho Roger i dotknął jego szklanki swoją.

Abernathy przymknął oczy, delektując się smakiem - Roger nie był pewien, czy smakiem whisky, czy wspomnienia o matce Bree.

- Woda życia, co? Moim zdaniem ten trunek mógłby podnieść z grobu umarłego. - Z uszanowaniem odstawił butelkę do barku. Roger zastanawiał się, jak dużo Claire mu powiedziała; sądził, że sporo.

Obracając szklaneczkę w dłoniach, Abernathy obrzucił go przeciągłym, taksującym spojrzeniem.

- Ponieważ tato Bree nie żyje, to chyba ja powinienem wystąpić w jego roli. Powinno wystarczyć nam czasu na bliższe zapoznanie, zanim wylądują. A może wolisz to załatwić jak najkrócej?

Roger uniósł jedną brew.

- Chodziło o twoje intencje - wyjaśnił doktor.

- Są najzupełniej uczciwe.

- Na pewno? Dzwoniłem do Bree wczoraj wieczorem, żeby zapytać, czy pokaże się tu dzisiaj. Nie odbierała.

- Byliśmy na festiwalu celtyckim w górach.

- Aha. Dzwoniłem jeszcze raz, o jedenastej. I o północy. Też nie odebrała. - Spojrzenie doktora w dalszym ciągu było przenikliwe, ale teraz już znacznie chłodniejsze. Z lekkim stuknięciem odstawił szklankę na bok. - Bree jest sama. I samotna. I bardzo ładna. Nie chciałbym, panie Wakefield, żeby ktoś to wykorzystał.

- Ja też nie, doktorze Abernathy. - Roger dopił whisky i głośno odstawił swoją szklankę. Policzki płonęły mu i nie miało to nic wspólnego z lagavulinem. - Jeśli pan sądzi, że ja...

- Tu mówi Houston! - ryknął telewizor. - Baza Spokoju, lądowanie za dwadzieścia minut.

Ci, którzy dotychczas okupowali kuchnię, wylali się do salonu, machając butelkami z coca - colą i wiwatując. Brianna, zarumieniona od wysiłku, ze śmiechem przyjmowała gratulacje, chowając scyzoryk do kieszeni. Abernathy położył rękę na ramieniu Rogera, nie pozwalając mu odejść.

- Proszę pamiętać, panie Wakefield - powiedział tak cicho, by nikt inny nie mógł go usłyszeć - nie chciałbym się dowiedzieć, że ta dziewczyna jest przez pana nieszczęśliwa. Nigdy.

Roger ostrożnie wyswobodził ramię.

- Czy sądzi pan, że wygląda na nieszczęśliwą? - zapytał, starając się uczynić to jak najuprzejmiej.

Abernathy zakolysał się na piętach i spojrział na niego spod przymrużonych powiek.

- Niece, przeciwnie. Właśnie dlatego, że tak wygląda, wydaje mi się, że może powinienem dać ci w zęby w imieniu jej taty.

Roger nie mógł się powstrzymać, by się nie obrócić i nie zerknąć na Briannę. Abernathy miał rację. Miała ciemne kręgi pod oczami, kosmyki włosów wysuwały się z kucyka, a skóra jaśniała jak wosk zapalanej świecy. Wyglądała jak kobieta, która ma za sobą długą i bardzo przyjemną noc.

Jej głowa, jakby prowadzona radarem, obróciła się i oczy ponad głowę Gayle napotkały jego oczy. Mówiła coś dalej do przyjaciółki, ale spojrzeniem kontaktowała się bezpośrednio z nim.

Doktor odchrząknął głośno. Roger oderwał uwagę od Brianny i zauważył, że Abernathy patrzy na niego z zastanowieniem.

- Och - powiedział już innym tonem - a więc to tak.

Roger miał rozpięty kołnierzyk koszuli, ale w tej chwili odnosił wrażenie, że dusi go za ciasny krawat. Śmiało odpowiedział na spojrzenie doktora.

- Tak. Właśnie tak.

Abernathy znów sięgnął po butelkę lagavulina i napełnił obie szklanki.

- Claire mówiła, że podobasz jej się - rzekł z rezygnacją, unosząc szklankę. - Niech będzie. Slainte.

- Daj w drugą stronę, bo Walter Cronkite zrobił się pomarańczowy! Lenny Abernathy posłusznie obrócił gałkę, przebarwiając komentatora na zielono. Nieporuszony tą nagłą zmianą kolorystyki Cronkite mówił dalej:

- Za mniej więcej dwie minuty komandor Neil Armstrong i załoga statku Apollo 11 po raz pierwszy w dziejach ludzkości wylądują na Księżycu. Będziemy świadkami historycznego wydarzenia...

Salon, pełen ludzi, pogrążony był w półmroku.

Uwaga wszystkich skupiona była na dużym telewizorze, który właśnie pokazywał powtórkę ze startu Apolla.

- Jestem pod wrażeniem - szepnął Roger do ucha Brianny. - Jak ci się udało to naprawić? - Oparł się o ściankę biblioteczki i przyciągnął ją do siebie, kładąc ręce na biodrach dziewczyny, a brodę na jej ramieniu. Wzrok miała utkwiony w telewizorze, ale potarła policzkiem o jego policzek.

- Ktoś wyrwał wtyczkę z kontaktu. Włożyłam ją z powrotem.

Roześmiał się i pocałował ją w szyję. Pomimo szumiącego klimatyzatora w pokoju było gorąco. Jej skóra była wilgotna i słona.

- Masz najbardziej okrągłą pupę na świecie - szepnął. Nie odpowiedziała, ale mocniej przycisnęła się do niego biodrami.

Z ekranu dobiegał gwar głosów i zdjęcia flagi, którą astronauta mieli zostawić na Księżycu. Po drugiej stronie salonu Joe Abernathy siedział nieruchomo z twarzą spowitą blaskiem telewizyjnego ekranu, tak samo zahipnotyzowany jak wszyscy. Bezpieczny w mroku, Roger objął Briannę i poczuł na przedramieniu miękki ciężar jej piersi.

Westchnęła głęboko i oparła się o niego, mocno ściskając jego dłoń.

Żadne z nich nie zachowywałoby się tak śmiało, gdyby sytuacja niosła ze sobą jakieś niebezpieczeństwo, on jednak za dwie godziny miał wyjechać i nie było szans na ciąg dalszy. Poprzedniej nocy wiedzieli, że igrają z ogniem, i zachowywali się ostrożniej. Roger zastanawiał się, czy Abernathy rzeczywiście dałby mu w twarz, gdyby się

dowiedział, że Brianna spędziła tę noc w jego łóżku.

Wracali z gór. Roger prowadził, rozdarty między bezustannym wysiłkiem, by trzymać się prawej strony drogi, a podnieceniem, w jakie wprawiał go miękki ciężar opartej o niego Brianny. Zatrzymali się na kawę i rozmawiali niemal do rana, dotykając się nieustannie.

Ręce, uda, głowy wciąż zbliżały się do siebie. Dotarli do Bostonu przed świtem. Rozmowa zaczęła się rwać, głowa Brianny ciężko opadała na jego ramię.

Czuł, że prędej zaśnie, nim odnajdzie drogę do jej mieszkania przez labirynt nieznanymi ulic, toteż pojechał do hotelu, w którym się zatrzymał, przemycił ją na górę i położył na łóżku. Usnęła głęboko już po kilku sekundach, on zaś spędził resztę nocy na twardej podłodze, przykryty jej wehnianym swetrem. Gdy się rozjaśniło, wstał i usiadł na krześle otoczony zapachem Brianny, przyglądając się w milczeniu, jak światło kładzie się na jej uśpionej twarzy. Tak, tak to wyglądało.

- Baza Spokoju, Orzeł wylądował. - Ciszę w salonie przerwało zbiorowe, głębokie westchnienie. Roger poczuł, że włosy stają mu dęba na karku. - Jeden mały krok dla człowieka - mówił cichy głosik - i wielki skok dla całej ludzkości. - Obraz był niewyraźny, ale to nie była wina telewizora. Głowy wyciągały się naprzód, by dostrzec pękata postać, która zeszła po trapie i po raz pierwszy postawiła stopę na księżycowej glebie. Na policzku jednej z dziewcząt lśniły łzy, srebrzyste od blasku ekranu.

Nawet Brianna zapomniała o wszystkim innym. Zsunęła dłoń z jego dłoni i pochyliła się do przodu, przejęta tą chwilą.

Tego dnia dobrze było być Amerykaninem. Patrząc na nich wszystkich, bezgranicznie zapatrzonych, żarliwie dumnych, Roger poczuł ukłucie w sercu. Ona również była częścią tego wszystkiego.

To było inne stulecie. Dwieście lat od wczoraj.

Czy możliwe, by historyk i inżynier znaleźli wspólny język? On zwrócony był w stronę tajemnic przeszłości, ona w stronę oślniewającego blasku przyszłości.

Atmosfera w salonie rozluźniła się. Rozległy się radosne okrzyki i swobodna paplanina. Brianna obróciła się w jego ramionach, pocałowała go mocno i przytuliła się do niego, a on pomyślał, że może to, iż patrzą w przeciwnych kierunkach, nie ma znaczenia, dopóki patrzą na siebie nawzajem.

CZEŚĆ TRZECIA

Piraci

6. Spotykam przepuklinę

Czerwiec 1767

- Nie cierpię łodzi - powiedział Jamie przez zaciśnięte zęby. - Nie znoszę łodzi. Łodzie wzbudzają we mnie głęboki wstręt.

Wuj Jamiego, Hektor Cameron, mieszkał na plantacji o nazwie River Run, nieco nad Cross Creek. Cross Creek z kolei leżało kawałek w górę rzeki od Wilmington; właściwie to o jakieś trzysta kilometrów.

O tej porze roku, powiedziano nam, podróż łodzią może potrwać od czterech dni do tygodnia, zależnie od wiatru. Gdybyśmy zaś zdecydowali się pojechać lądem, potrzebowalibyśmy na to co najmniej dwóch tygodni, biorąc pod uwagę takie czynniki jak zalane drogi, błoto i połamane

osie.

- Na rzekach nie ma fal - zauważyłam - a pomyśl, by wlec się pieszo trzysta kilometrów przez błoto, napęlnia mnie uczuciem znacznie gorszym niż wstręt. - Ian uśmiechnął się szeroko, ale gdy Jamie zwrócił na niego groźne spojrzenie, jego twarz szybko przybrała wyraz doskonałej obojętności. - Poza tym - tłumaczyłam Jamiemu - jeśli złapie cię choroba morska, to mam swoje igły. - Poklepałam się po kieszeni, w której spoczywała szkatułka z kości słoniowej z zestawem małych, złotych igieł do akupunktury.

Jamie głośno wypuścił powietrze przez nos, ale nic nie powiedział. Po uzgodnieniu tej drobnej sprawy pozostał jeszcze główny problem, mianowicie czym mamy zapłacić za podróż łodzią.

Nie byliśmy bogaci, ale mieliśmy trochę pieniędzy, poszczęściło nam się bowiem po drodze. Trasę z Charlestonu na północ przemierzaliśmy etapami, zatrzymując się na noclegi w pewnym oddaleniu od drogi, i podczas jednego z takich postojów odkryliśmy w lesie porzucone domostwo.

Polana prawie całkiem już zarosła. Młode pędy topoli przebijały się jak włócznie między belkami zapadniętego dachu, z dużego pęknięcia w kamiennej płycie paleniska wyrastał ostrokrzew, ściany były na wpół zawalone, czarne od pleśni, pokryte zielonym mchem i rdzawym grzybem. Trudno było określić, od jak dawna to miejsce jest opuszczone, ale było jasne, że w ciągu najbliższych kilku lat roślinność pochłonie domek i polanę i nie pozostanie po nich żaden ślad oprócz kupki kamieni z

komina.

Ale pośród zachłannego leśnego poszycia znajdowały się absurdalne resztki niewielkiego sadu brzoskwiniowego. Owoce były soczyste i dojrzałe, dokoła krążyły roje pszczół. Zjedliśmy, ile tylko się dało, przespaliśmy się pod osłoną ruin, a potem wstaliśmy przed świtem i napełniliśmy wóz stertą gładkich, złocistych brzoskwiń o soczystym wnętrzu i aksamitnej skórce.

Sprzedawaliśmy je po drodze. Do Wilmington przybyliśmy z lepkiemi dłońmi i sakiewką pełną monet, głównie jednopensówek.

Nasze włosy, odzież i skóra przesiąkły przenikliwą wonią fermentacji, jakby ktoś zanurzył nas całych w brzoskwiniowej brandy.

- Weź to - powiedział Jamie, podając mi skórzaną sakiewkę z całą naszą fortuną - i kup, co się da, do jedzenia. Tylko nie kupuj brzoskwiń, co? Poszukaj jakichś ubrań, żebyśmy nie wyglądali na zupełnych żebraków, kiedy pojawimy się u mojej rodziny. I może jeszcze igły z nitką. - Uniósł brwi, wskazując na dużą dziurę w żakiecie Fergusa - pozostałość po upadku z drzewa brzoskwiniowego.

- Ja przejdę się z Duncanem i zobaczę, czy nie udałoby się sprzedać konia i wozu. Popytamy o łódź, a jeśli jest tu jakiś złotnik, to sprawdzę, ile zechciałby zapłacić za któryś z kamieni.

- Bądź ostrożny, wujku - ostrzegł go Ian, patrząc na tłum przewalający się po pobliskiej przystani. - Uważaj, żeby cię nie okradli albo nie oszukali.

Jamie z kamienną twarzą zapewnił siostrzeńca, że będzie ostrożny.

- Weź Rolla, on cię obroni - nalegał Ian.

Jamie spojrzał na wilka, który czujnie obserwował przechodzący tłum. Ta czujność sprawiała raczej wrażenie powstrzymanego apetytu niż zainteresowania o czysto towarzyskim charakterze.

- Niech będzie - zgodził się. - Chodź, piesku. - Zanim odszedł, jeszcze raz spojrzał na mnie: - To może kup jeszcze parę suszonych ryb.

Wilmington było niewielkim miastem, ale ze względu na korzystne położenie u ujścia żeglownej rzeki mogło się poszczycić nie tylko targiem dla farmerów i przystanią dla łodzi, ale również kilkoma sklepami, w których obok krajowych artykułów codziennego użytku sprzedawano luksusy sprowadzane z Europy.

- Fasola, może być - powiedział Fergus, poprawiając jutowy worek na ramieniu. - Lubię fasolę, nawet w dużych ilościach. No i chleb, rzecz jasna musimy kupić chleb. I mąkę, sól i słoninę. Solona wołowina, suszone wiśnie, świeże jabłka, dobrze, co jeszcze?

Oczywiście ryby. Rozumiem, że igła i nici też się przydadzą. Nawet szcotka do włosów - dodał, zerkając z ukosa na moje włosy, które pod wpływem wilgoci za wszelką cenę próbowały wymknąć się spod szerokiego ronda kapelusza. - No i naturalnie lekarstwa z apteki. Ale koronka? - Koronka - powtórzyłam stanowczo, wsuwając niedużą, owiniętą w papier paczuszkę zawierającą trzy metry brabantkiej koronki do dużego koszyka, który trzymał w ręku. - A także wstążka.

Ta szeroka, jedwabna. Po metrze każdego koloru - zwróciłam się do spoconej młodej dziewczyny za ladą. -

czerwona będzie dla ciebie, Fergus, więc nie narzekaj. Zielona dla Iana, żółta dla Duncana, a ta ciemnogrnatowa dla Jamiego. I nie, to nie jest ekstrawagancja. Jamie nie życzy sobie, żebyśmy wyglądali jak łachudry przy spotkaniu z jego wujem i ciotką.

- A ty, ciociu? - uśmiechnął się Ian. - Skoro nas chcesz przerobić na dandysów, to ty też nie możesz wyglądać jak szary wróbel.

Fergus gwizdnął lekko z mieszanką rozbawienia i irytacji. - Ta - wskazał na zwój szerokiej wstążki w ciemnoróżowym kolorze.

- To kolor dla młodej dziewczyny - zaprotestowałam.

- Żadna kobieta nie jest za stara na różowy kolor - stwierdził Fergus stanowczo. - Tak mówiły les mesdames, słyszałem to wiele razy. - Niejednokrotnie już Fergus przytaczał opinie pochodzące od les mesdames. Spędził w burdelu dzieciństwo, a z tego, co mówił, wynikało, że również znaczną część późniejszego życia. Miałam nadzieję, że teraz, gdy ożenił się z pasierbicą Jamiego, zmieni nawyki, było to jednak wątpliwe, dopóki Marsali wciąż siedziała na Jamajce, oczekując narodzin ich pierwszego dziecka. Fergus w końcu urodził się we Francji.

- Przypuszczam, że te damy wiedzą, co mówią. - Westchnęłam. - Dobrze, niech będzie różowa.

Obładowani koszami i workami z żywnością wyszliśmy na ulicę.

Było gorąco i parno, ale od strony rzeki wiał lekki wietrzyk i po wyjściu z dusznego sklepu powietrze wydawało się świeże i czyste.

Spojrzałam w stronę przystani, gdzie sterczące maszty łodzi kołysały się na wodzie, i zauważyłam pomiędzy budynkami wysoką sylwetkę Jamiego. Rollo szedł tuż za nim.

Ian zawołał do nich i pomachał ręką. Rollo zauważył swego pana i podbiegł do nas, machając ogonem jak wariat. O tej porze ruch był niewielki. Ci, którzy mieli coś do załatwienia na wąskiej uliczce, przywarli do ścian, by uniknąć bliższego zetknięcia ze zwierzakiem.

- O mój Boże! - odezwał się przeciągły głos gdzieś nad moją głową. - To chyba największy pies, jakiego widziałem w życiu!

Odwrociłam się i zobaczyłam mężczyznę, który odkleił się od frontowej ściany tawerny i uprzejmie uniósł kapelusz.

- Do usług, ma'am. Mam szczerą nadzieję, że ten pies nie przepada za ludzkim mięsem.

Podniosłam głowę, a potem podniosłam ją jeszcze wyżej. Miałam ochotę powiedzieć, że ze wszystkich ludzi akurat on ma najmniej podstaw, by obawiać się Rolla, ale ugryzłam się w język. Chyba nigdy nie widziałam wyższego mężczyzny. Mój rozmówca był wyższy o blisko dziesięć centymetrów nawet od Jamiego, chudy, lecz o grubych, mocnych kościach. Jego ogromne dłonie zwisały na wysokości moich łokci, a ozdobny, wyszywany koralikami skórzany pas znajdował się na poziomie moich piersi. Gdyby akurat przyszła mi na to ochota, mogłabym, nie schylając się, wetknąć nos w jego pępek.

- Nie, on je ryby - zapewniłam nowego znajomego. Widząc, że zadzieram głowę, by na niego spojrzeć,

uprzejmie przykucnął. Stawy w jego kolanach trzasnęły przy tym głośno. Teraz dopiero w moim polu widzenia znalazła się jego twarz, przesłonięta krzaczastą czarną brodą. Z tego gąszczu wystawał niedorzecznie zadarty nos, a nad nim para okrągłych, łagodnych, piwnych oczu.

- Niezmiernie się cieszę, że to słyszę. Nie bardzo widzi mi się myśl, że tak z samego rana mógłbym stracić kawałek nogi. - Zdjął obszarpany, miękki kapelusz ozdobiony zniszczonym piórem indyckim i uklonił mi się. Luźne pasma czarnych, kędzierzawych włosów opadły mu na ramiona jak węże. - John Quincy Myers, do usług, ma'am.

- Claire Fraser - odpowiedziałam zafascynowana i podałam mu rękę. Popatrzył na moje palce spod przymrużonych powiek, podniósł je do nosa, powąchał i jego twarz rozjaśnił szeroki uśmiech, czarujący mimo braku połowy zębów.

- Jest pani może zielarką?

- Tak pan myśli?

Obrócił moją dłoń i powiódł palcem po zielonych plamach dookoła paznokci.

- Dama może mieć zielone palce dlatego, że lubi pielęgnować róże, ale kobieta, której dłonie pachną sasafrasem i korą chinowca, na pewno nie zajmuje się tylko hodowlą kwiatów. Zgodzi się pan ze mną? - Zwrócił życzliwe spojrzenie na Iana, który wpatrywał się w niego z nieskrywanym zainteresowaniem.

- Och, tak - zapewnił go Ian. - Ciocia Claire jest słynną uzdrowicielką. Znachorką - spojrzał na mnie z dumą.

- Naprawdę, chłopcze? Coś takiego! - Oczy pana

Myersa zaokrągliły się z zaciekawienia i znów skupiły na mnie. - Co za piekielne szczęście, jakby od samego Lucyfera! A myślałem, że będę musiał czekać, aż wybiorę się w góry i znajdę szamana!

- Czy jest pan chory, panie Myers? - zapytałam. Nie sprawiał takiego wrażenia, trudno jednak było dostrzec coś dokładnie przez brodę, włosy i grubą warstwę tłustego, brązowego brudu, który pokrywał każdy skrawek jego skóry nieprzystłonięty odzieżą. Jedynym wyjątkiem było czoło, zwykle chronione przed słońcem przez czarny filcowy kapelusz, a teraz obnażone - płaski, biały pas czystej bieli.

- Chory to nie, tego bym nie powiedział - odrzekł.

Nieoczekiwanie wstał i zaczął podciągać koszulę z jeleniej skóry. - W każdym razie to nie jest ani tryper, ani francuska choroba, bo te już widziałem wcześniej.

To, co dotychczas uważałam za spodnie, to były długie nogawice z jeleniej skóry, zaczepione u góry do szerokiego pasa. Nie przestając mówić, pan Myers zaczął rozsupływać rzemień przytrzymujący pas na miejscu.

- Przekłęta sprawa, ni stąd, ni zowąd za jednym z moich jaj pojawiła się wielka opuchlizna. Wyobraża sobie pani chyba, jakie to niewygodne, chociaż właściwie nie boli, tylko kiedy siedzę na koniu.

Może mogłaby pani zerknąć i powiedzieć mi, co mam z tym zrobić?

- Aaach - zająknęłam się, zerkając z desperacją na Fergususa, ale ten tylko poprawił na ramieniu worek z fasolą. Wydawał się nad wyraz ubawiony.

- Czy mam przyjemność poznać pana Johna Myersa?
- zapytał uprzejmie szkocki głos ponad moim ramieniem.

Pan Myers podniósł głowę, zostawiając w spokoju pas na lędźwiach.

- Nie wiem, sir, czy to dla pana przyjemność, czy nie - odrzekł grzecznie - ale jeśli szuka pan Myersa, to właśnie go pan znalazł.

Jamie stanął taktownie pomiędzy mną a pasem lędźwiowym pana Myersa i skłonił się uprzejmie z kapeluszem pod pachą.

- James Fraser, do usług. Powiedziano mi, bym się powołał na Hektora Camerona.

Pan Myers z zainteresowaniem popatrzył na rude włosy Jamiego.

- Jest pan Szkotem? Jednym z tych górali?

- Zgadza się, jestem Szkotem i góralem.

- I krewnym starego Hektora Camerona?

- To mój wuj przez małżeństwo, choć nigdy nie miałem okazji poznać go osobiście. Powiedziano mi, że dobrze go pan zna i że być może zgodzi się pan zaprowadzić nas na jego plantację.

W czasie tej rozmowy mierzyli się wzrokiem, wzajemnie szacując swoją postawę, strój i uzbrojenie. Jamie zatrzymał pełen aprobaty wzrok na długim nożu przy pasie traper, a pan Myers z zaciekawieniem rozdał nozdrza.

- Comme deux chiens - zauważył cicho Fergus za moimi plecami. Jak dwa psy. - ...aux culs. - Za chwilę zaczną obwąchiwać sobie tyłki.

Spojrzenie pana Myersa powędrowało w stronę Fergus. W piwnych oczach pojawił się błysk rozbawienia. Może nie był zbyt cywilizowany, ale najwyraźniej znał trochę francuski. Wziąwszy pod uwagę wężowe

uzdolnienia i brak wszelkich zahamowań naszego nowego znajomego, chyba nie byłabym zdziwiona, gdyby nagle opadł na czworaki i zaczął zachowywać się w sposób, o jakim mówił Fergus. Zadowolili się jednak uważną inspekcją całej naszej grupy: Jamiego, Iana, Fergus, mnie i Rolla.

- Ładny pies - rzekł swobodnie, podstawiając mu zwiniętą, masywną pięść do obwąchania. Rollo skorzystał z zachęty i przeprowadził własną inspekcję, gorliwie obwąchując wszystkie dostępne mu rejony pana Myersa, od mokasynów po pas lędźwiowy. - Pański wuj, tak? A czy wie o waszym przybyciu?

Jamie pokręcił głową.

- Nie mam pojęcia. Miesiąc temu wysłałem mu list z Georgii, ale nie wiem, czy już go dostał.

- Sądzę, że nie - rzekł pan Myers z namysłem. Jego wzrok zatrzymał się na twarzy Jamiego, a potem znów obiegił całą naszą grupkę. - Poznałem już pańską żonę. A to pański syn? - wskazał na Iana.

- To mój siostrzeniec, Ian. I mój przybrany syn, Fergus. Jest z nami jeszcze przyjaciel, Duncan Innes, przyjdzie tu za chwilę.

Myers chrząknął, skinął głową i podjął decyzję.

- Sądzę, że mogę was poprowadzić do Camerona. Chciałem się upewnić, czy naprawdę jest pan krewnym, ale z twarzy jest pan podobny do wdowy Cameron. Chłopak trochę też.

Jamie gwałtownie drgnął.

- Do wdowy Cameron?

Przez twarz Myersa pod gęstwiną brody przemknął chytry uśmiech.

- Stary Hektor zmarł pod koniec zeszłej zimy na zapalenie gardła. Tam, gdzie jest teraz, chyba nie dostaje żadnych listów. - Porzucił temat Camerozów i decydując się powrócić do spraw, które interesowały go osobiście, znów zaczął grzebać w okolicach łędzwi. - To jest wielkie i fioletowe - wyjaśnił w moją stronę, ciągnąc za obluźowany rzemień. - Prawie tak wielkie jak jądra. Chyba nie sądzi pani, że ni stąd, ni zowąd nagle wyrosło mi trzecie?

- Raczej nie - odrzekłam, przygryzając usta. - Szczerze w to wątpię. Ruchy jego rąk były bardzo powolne, ale prawie rozwiązał już supeł rzemienia. Przechodnie zaczęli się zatrzymywać i gapić na nas.

- Proszę nie robić sobie kłopotu - powiedziałam. - Chyba wiem, co to może być. Przepuklina pachwinowa.

Okrągłe, piwne oczy stały się jeszcze okrągłejsze.

- Tak? - zapytał z podnieceniem. Ta nazwa chyba wywarła na nim spore wrażenie i sprawiła mu niejaką przyjemność.

- Musiałabym to obejrzeć, żeby się upewnić, ale nie tutaj - dodałam szybko. - Wydaje mi się jednak, że się nie mylę. Dość łatwo jest to wyleczyć chirurgicznie, lecz... - zawahałam się, patrząc na jego olbrzymią postać. - Chyba nie mogłabym... to znaczy, musiałabym pana uśpić. Musiałby pan być nieprzytomny - uprosiłam. - Rozumie pan, trzeba by to rozciąć i znowu zszyć. Może lepszy byłby pas przepuklinowy... kłamra?

Myers w zamyśleniu drapał się po brodzie.

- Nie, tego już próbowałam. To na nic. Ale z tym cięciem... Zamierzacie zatrzymać się tu na parę dni, zanim ruszycie do Cameronów?

- Niezbyt długo - odrzekł Jamie stanowczo. - Ruszemy, gdy tylko uda się znaleźć jakąś łódź.

- Och. - Olbrzym namyślał się przez chwilę, a potem rozpromienił się i skinął głową. - Znam odpowiedniego człowieka, sir.

Nazywa się Josh Freeman. Zaraz pójde i wyciągnę go z Zakątka Żeglarzy. Słońce jest jeszcze wysoko, więc nie będzie tak pijany, żeby nie mógł rozmawiać o interesach. - Skłonił się nisko przede mną, trzymając zniszczony kapelusz przy brzuchu. - Może pańska żona byłaby tak uprzejma, by pójść ze mną do tamtej tawerny - tam jest trochę przyzwoiciej niż u Żeglarzy - i obejrzeć tę... - Jego usta próbowały złożyć się do wypowiedzenia słów „przepuklina pachwinowa”, ale porzucił te wysiłki i dokończył po prostu: - No, tę opuchliznę.

Nałożył kapelusz, skinął głową Jamiemu i oddalił się niczym góra na sztywnych nogach, serdecznie pozdrawiając każdego, kogo mijał.

- Zastanawiam się, Angielko, co w tobie takiego jest - rzekł Jamie lekkim tonem, odprowadzając wzrokiem Myersa.

- Co we mnie jest jakiego?

Odwrocił się do mnie i przymrużył oko.

- Co w tobie jest takiego, że każdy mężczyzna, który cię spotyka, już po pięciu minutach ma ochotę ściągnąć portki.

Fergus zakrztusił się, a Ian poróżowiał. Ja starałam się zachować powagę.

- No cóż, jeśli ty, mój drogi, nie wiesz, to kto inny ma wiedzieć?

- Wzruszyłam ramionami. - Ale zdaje się, że znalazłam łódź. A tobie czego udało się dzisiaj dokonać?

Przedsiębiorczy jak zwykle Jamie znalazł potencjalnego kupca na klejnoty, a ponadto zdobył zaproszenie na kolację z gubernatorem.

- Gubernator Tryon jest właśnie w mieście - wyjaśnił. - Zatrzymał się w domu pana Lillingtona. Dziś rano rozmawiałem z kupcem o nazwisku MacEachern, który polecił mnie człowiekowi o nazwisku MacLeod, który...

- Który przedstawił cię MacNeillowi, który zabrał cię na drinka z MacGregorem, który opowiedział ci o swoim siostrzeńcu Bethunie, który jest kuzynem w drugiej linii chłopca, który czyści buty gubernatora - dokończyłam, znałam już bowiem bizantyjskie szlaki, jakimi odbywało się załatwianie interesów wśród Szkotów. Wystarczy posadzić w jednym pomieszczeniu dwóch górali szkockich, a po dziesięciu minutach będą znali historię swoich rodzin na przestrzeni ostatnich dwustu lat i odkryją przy tym całkiem sporą liczbę wspólnych krewnych i znajomych.

Jamie uśmiechnął się szeroko.

- To sekretarz żony gubernatora - skorygował - i nazywa się Murray. To najstarszy chłopak Maggie, kuzynki twojego taty z Loch Linnhe - dodał w stronę Iana. - Jego ojciec wyemigrował po powstaniu.

Ian skinął głową, bez wątpienia dołączając tę informację do własnego egzemplarza encyklopedii genealogicznej, gdzie miała czekać dnia, gdy okaże się przydatna.

Edwin Murray, sekretarz żony gubernatora, powitał Jamiego ciepło jako krewniaka, nawet jeśli tylko przez

małżeństwo, i zdobył dla nas zaproszenie na kolację u Lillingtona pod pretekstem zapoznania gubernatora z problemami handlu w Indiach Zachodnich.

Nam z kolei chodziło o to, by zapoznać się z baronem Penzlerem, zamożnym niemieckim szlachcicem, który również miał być tam obecny. Oprócz majątku baron miał także dobry gust oraz reputację kolekcjonera pięknych przedmiotów.

- Zdaje się, że to dobry pomysł - powiedziałam z powątpiewaniem - ale chyba lepiej będzie, jeśli wybierzesz się tam sam. Nie mogę pójść na kolację z gubernatorem w czymś takim.

- Ach, wyglądasz... - urwał i przyjrzał mi się uważnie, jakby dopiero teraz zauważył moją brudną, obszarpaną suknię, potargane włosy i szczątki czepka. Zmarszczył brwi. - Nie, chcę, żebyś tam była, Angielko. Być może będę potrzebował kogoś do odwracania uwagi.

- Skoro już mówimy o odwracaniu uwagi, to ile kwatek kosztowało cię to zaproszenie? - zapytałam, myśląc o naszych topniejących finansach.

Jamie nawet nie mrugnął okiem. Ujął mnie pod ramię i ruszył w stronę sklepu.

- Sześć, ale on zapłacił połowę. Chodź, Angielko. Kolacja jest o siódmej, musimy znaleźć ci jakiś przyzwoity strój.

- Ale nie stać nas...

- To jest inwestycja - rzekł stanowczo. - A poza tym kuzyn Edwin dał mi niedużą zaliczkę na poczet sprzedaży kamienia.

Według kosmopolitycznych standardów rodem z

Jamajki sukienka była krzykiem mody sprzed dwóch lat, ale przynajmniej była czysta, a to przede wszystkim mnie interesowało.

- Ocieka pani wodą, madame - oznajmiła zimno nieduża, drobna szwaczka w średnim wieku. Była najlepszą krawcową w Wilmington i najwyraźniej przywykła do tego, że jej osądy w sprawach mody przyjmowano bez dyskusji. Gdy odmówiłam nałożenia czepka z falbankami na korzyść świeżo umytych włosów, spojrzała na mnie złym okiem i przepowiedziała mi zapalenie opłucnej, a kiedy w dodatku zaczęłam się upierać przy zastąpieniu zwykłego, ciężkiego gorsetu lekkimi fiszbinami, które podnosiłyby tylko biust, nie uciskając go, szpilki, które trzymała w ustach, najeżyły się jak kolce jeżozwierza.

- Przepraszam - mruknęłam, chowając występny, mokry kosmyk włosów pod płócienny ręcznik, którym miałam owiniętą głowę.

Goście gubernatora zajęli już wszystkie pokoje gościnne w wielkim domu pana Lillingtona i zostałam zesłana na malutki stryżek kuzyna Edwina, który mieścił się nad stajnią. Przymiarka sukni odbywała się przy akompaniamencie tupania kopyt i przeżuwania siana na dole. Od czasu do czasu te odgłosy urozmaicało monotonne pogwizdywanie chłopca stajennego, który czyścił boksy.

Mimo wszystko nie mogłam narzekać. Stajnie pana Lillingtona były znacznie czystsze niż gospoda, w której Jamie i ja pozostawiliśmy towarzyszy, a sam gospodarz bardzo wielkodusznie przysłał mi dużą miskę gorącej wody i kawałek lawendowego mydła, który to rekwizyt uznałam za znacznie istotniejszy od świeżej sukni.

Miałam nadzieję, że nigdy w życiu nie zobaczę już brzoskwini.

Wspięłam się nieco na palce, próbując wyjrzeć przez okno i sprawdzić, czy Jamie nie nadchodzi, i wywołałam tym chrząknięcie protestu szwaczki, która właśnie skracała brzeg spódnicy.

Suknia nie była taka zła: bardzo prosta, uszyta z kremowego jedwabiu, z rękawami do łokcia, na biodrach zdobiona była tiurniurą z jedwabiu w paski w kolorze czerwonego wina. Od talii w dół bioder biegły dwa rzędy plisowanych falbanek w podobnym bordowym kolorze. Szwaczka obszyła rękawy brabancką koronką, którą kupiłam wcześniej, i wyglądało to nie najgorzej, choć materiał nie był pierwszej jakości.

W pierwszej chwili zdziwiła mnie cena, zastanawiająco niska, potem jednak zauważyłam, że jedwab nie był zupełnie gładki, gdzieniegdzie pojawiały się w nim grubsze nitki, połyskujące refleksami światła. Z zaciekawieniem potarłam materiał między palcami. Nie byłam wielką znawczynią jedwabiu, ale podczas podróży statkiem zdarzyło mi się spędzić nudne popołudnie w towarzystwie pewnego znajomego Chińczyka, który wyjaśnił mi tajniki hodowli jedwabników i subtelne różnice między rodzajami wytwarzanego przez nie surowca.

- Skąd pochodzi ten jedwab? - zapytałam. - Nie jest chiński. Czy to z Francji?

Szwaczka podniosła głowę i kwaśny wyraz jej twarzy na chwilę ustąpił miejsca zainteresowaniu.

- Ma pani rację, nie jest chiński. Pochodzi z Karoliny Południowej. Mieszka tam pewna dama, nazywa się

Pinckney, która obsadziła połowę swojej ziemi drzewami morwowymi i zaczęła hodować jedwabniki. Materiał nie jest tak dobry jak chiński - przyznała niechętnie - ale też kosztuje o połowę taniej.

Spojrzała na mnie spod przymrużonych powiek i powoli pokiwała głową.

- Leży nieźle, a te riuszki też dobrze wyglądają, ożywiają pani twarz. Wybacz pani jednak, ale muszę powiedzieć, że przydałoby się coś na szyję, bo ramiona sprawiają wrażenie nagich. Skoro nie chce pani czepka ani peruki, to może chociaż wstążka?

- Wstążka! - przypomniałam sobie. - Tak, to dobry pomysł.

Proszę poszukać w moim koszyku, mam tam kawałek wstążki, który powinien się nadać.

Wspólnymi siłami udało się nam upiąć wysoko moje włosy i przewiązać je ciemnoróżową wstążką. Nic jednak nie mogłam poradzić na to, że wilgotne, skręcone kosmyki opadały mi na uszy i czoło.

- Mam nadzieję, że nie wyglądam jak krowa przebrana za cielę? - zapytałam, tknięta nagłą obawą. Wygładziłam dłonią przód gorsetu.

Leżał dobrze, ściśle opinając talię.

- Och nie, proszę pani - zapewniła mnie szwaczka - wygląda pani bardzo dobrze, mówię zupełnie szczerze. - Zmarszczyła brwi, zastanawiając się nad czymś. - Tylko ten dekolt wydaje się trochę nagi. Nie ma pani zupełnie żadnej biżuterii?

- Tylko to. - Obydwie odwróciłyśmy się ze zdziwieniem, słysząc głos Jamiego, który wszedł do środka,

pochylając głowę pod niską framugą. Żadna z nas nie słyszała wcześniej jego kroków.

Udało mu się gdzieś wykapać i znaleźć czystą koszulę oraz fular.

Włosy miał uczesane, ściągnięte do tyłu i związane nową wstążką z granatowego jedwabiu. Jedyne przyzwoite zakiet, jaki posiadał, był wyszczotkowany i ozdobiony rzędem posrebrzanych guzików z wygrawerowanymi pośrodku kwiatkami.

- Bardzo ładne - powiedziałam, dotykając guzika.

- Pożyczyłem od złotnika - wyjaśnił. - Nie są złe.

Myślę, że to też - wyciągnął z kieszeni brudną chustkę do nosa. Gdy ją rozwinął, zobaczyłam cienki, złoty łańcuszek. - Miał mało czasu, więc oprawa jest bardzo prosta. - Zmarszczył w skupieniu czoło i zapiął łańcuszek na mojej szyi, - Ale to chyba lepiej, nie sądzisz?

Rubin zwisał nad zagłębieniem między moimi piersiami, rzucając jasnoróżowe refleksy na białą skórę.

- Cieszę się, że wybrałaś właśnie ten - powiedziałam, dotykając kamienia. Był jeszcze ciepły od ciała Jamiego. - Znacznie lepiej pasuje do tej sukienki niż szafir albo szmaragd.

Szwaczka znieruchomiała z otwartymi ustami i przeniosła wzrok z mojej twarzy na Jamiego. Widać było, jak nasza pozycja w jej oczach rośnie z chwili na chwilę.

Jamie w końcu zauważył mój strój. Obrzucił mnie powolnym spojrzeniem od stóp do głów i uśmiechnął się.

- Jesteś bardzo ozdobną oprawą klejnotu, Angielko - powiedział - W sam raz do odwracania uwagi.

Spojrzał przez okno na zamglone niebo, które

przybierało już złotobrzoskwiniowy kolor, a potem znów zwrócił się do mnie i uklonił dwornie.

- Madame, czy uczyni mi pani ten zaszczyt i zechce mi towarzyszyć przy kolacji?

7. Świetlane perspektywy najeżone niebezpieczeństwami

Znałam już osiemnastowieczną skłonność do zjadania wszystkiego, co tylko dało się fizycznie obezwładnić i zaciągnąć na stół, ale wciąż nie zachwycała mnie mania podawania dań z dziczyzny w takiej postaci, jakby przed wniesieniem do jadalni nie przeszły przez żaden proces obróbki. Dlatego też patrzyłam na dużego jesiotra, który spoczywał na stole oko w oko ze mną, z wyraźnym brakiem apetytu. Rybę zaserwowano w całości, nie tylko z oczami, ale również z łuskami, płetwami i ogonem. Miała prawie metr długości i majestatycznie spoczywała na falach ikry w galarecie, udekorowanych dużą ilością małych, ugotowanych w całości i ostro przyprawionych krabów, które artystycznie rozrzucano po półmisku.

Napiłam się wina i zwróciłam do mojego towarzysza przy stole, starając się omijać wzrokiem wytrzeszczone tuż przy moim łokciu ślepa jesiotra.

- ...niesłychany impertynent! - mówił właśnie pan Stanhope, opisując dżentelmena, którego spotkał w zajeździe pocztowym, w drodze ze swej posiadłości w pobliżu New Bern do Wilmington. - Byliśmy akurat przy posiłku, gdy zaczął mi opowiadać o swoich hemoroidach i cierpieniach, jakich przysparza mu trzęsący się dyliżans. A potem, niech mię diabli, ten grubianin wyciągnął z kieszeni chustkę, całą poplamioną krwią, i pokazał wszystkim jako

dowód! Zapewniam panią, że doszczętnie zrujnowało mi to apetyt - perorował, wpychając do ust sporą porcję potrawy z kurczaka. Żuł ją powoli, patrząc na mnie jasnymi, wyłupiastymi oczami, które nieprzyjemnie kojarzyły mi się z oczami jesiotra.

Szerokie usta Philipa Wyliego, który siedział po drugiej stronie stołu, zadrgały z rozbawienia.

- Uważaj, Stanhope, by twoje słowa nie wywarły podobnego skutku - rzekł, wskazując skinieniem głowy na mój nietknięty talerz. - Przyznaję jednak, że korzystając z transportu publicznego, nierzadko jesteśmy narażeni na grubiańskie towarzystwo.

Stanhope pociągnął nosem i strzepnął okruchy z zatkniętej pod szyją serwetki.

- Nie sadź się tak, Wylie. Nie każdy może sobie pozwolić na własnego stangreta, szczególnie przy tych podatkach, które ostatnio wprowadzono.

Doprawdy, gdzie się człowiek nie obróci, tam widzi jakiś nowy podatek! - z oburzeniem pomachał widelcem. - Tytoń, wino, brandy, doskonale, to rozumiem. Ale podatek od gazet? Kto słyszał o czymś podobnym? Najstarszy chłopak mojej siostry skończył uniwersytet Yale - Stanhope mimowolnie wypiął pierś i zaczął mówić nieco głośniej - i, wyobraźcie sobie, kazali mu zapłacić pół szylinga tylko za przystawienie urzędowego stempla na dyplomie!

- Ale teraz już tak nie jest - rzekł kuzyn Edwin cierpliwie - od czasu, gdy uchylono ustawę stemplową.

Stanhope zgarnął z półmiska małego kraba i oskarżycielsko wycelował nim w Edwina.

- Ledwie pozbędziemy się jednego podatku, a już na

jego miejscu wyrasta inny. Zupełnie jak grzyby po deszczu.
- Wepchnął kraba do ust i zaczął coś niewyraźnie mrużyć o tym, że nie zdziwi się, jeśli za chwilę będziemy musieli płacić podatek od powietrza.

- Słyszałem, pani Fraser, że niedawno wróciła pani z Indii Zachodnich? - Baron Penzler, siedzący po mojej drugiej stronie, wykorzystał chwilę względnej ciszy, by postawić tamę tym narzekaniom. - Wątpię, by interesowały panią nasze prowincjonalne aktualności - pobłażliwie pokiwał głową w stronę Stanhope'a.

- Ależ jak najbardziej. Podatki interesują wszystkich - odrzekłam, obracając się nieco, by ukazać swój biust pod najkorzystniejszym kątem. - Chyba zgodzi się pan ze mną, że podatki są ceną, jaką płacimy za cywilizację? Z drugiej strony pan Stanhope zapewne gotów byłby przyznać, że poziom tutejszej cywilizacji nie dorównuje poziomowi opodatkowania.

Stanhope zakrztusił się chlebem i prychnął okruskami.

- Cha, cha! Ach, to doskonale! Nie dorównuje, cha, cha! Nie, naturalnie, że nie!

Philip Wylie spojrział na mnie z sardonicznym uznaniem.

- Niechże pani nie mówi takich zabawnych rzeczy, pani Fraser, bo doprowadzi pani biednego Stanhope'a do zgonu.

- A jaka jest obecna stopa opodatkowania? - zapytałam, taktownie odciągając uwagę od plującego okrucami Stanhope'a.

Wylie z zastanowieniem wyjął usta. Był dandysem,

jego peruka odpowiadała najświeższej modzie, a obok ust miał przyklepioną muszkę w kształcie gwiazdki, wydawało mi się jednak, że pod warstwą pudru dostrzegam przystojną twarz i przenikliwy umysł.

- Och, doliczając wszystkie dodatkowe opłaty, powiedziałbym, że dochodzi już do dwóch procent całego dochodu, jeśli wliczymy również podatek od niewolników. A jeśli uwzględnimy też podatek od ziemi i plonów, to zapewne nieco więcej.

- Dwa procent - zakrzuszył się Stanhope i zaczął walić się pięściami w pierś. - To niegodziwe, po prostu niegodziwe!

Przed oczami stanął mi żywo ostatni formularz podatkowy, jaki wypełniłam, i zgodziłam się z pełnym zrozumieniem, że dwuprocentowy podatek to absolutne zdzierstwo, jednocześnie zastanawiając się w duchu, co się stało z walecznością amerykańskich podatników w ciągu następnych dwustu lat.

- Może jednak powinniśmy zmienić temat - zaproponowałam, widząc, że głowy gości siedzących przy drugim końcu stołu zaczynają odwracać się w naszą stronę. - W końcu rozmowa o podatkach przy stole gubernatora przypomina nieco rozmowę o sznurze w domu powieszzonego, nieprawdaż?

Tym razem pan Stanhope połknął kraba w całości i zakrzuszył się nie na żarty. Biesiadnik siedzący po jego drugiej stronie uderzył go w plecy. Mały, czarny chłopiec, zajęty tłuczeniem much przy otwartym oknie, został pospiesznie wysłany po wodę. Na wszelki wypadek szybko wypatrzyłam przy półmisku z rybami nieduży, ostry nóż,

choć miałam nadzieję, że nie będę musiała wykonywać zabiegu tracheotomii. Wolałabym raczej nie ściągać na siebie tego rodzaju uwagi.

Na szczęście tak drastyczne środki okazały się niepotrzebne. Po kolejnym szczęśliwym uderzeniu pan Stanhope wypluł kraba, i choć był purpurowy na twarzy i z trudem łapał oddech, poza tym wyszedł z tej przygody bez szwanku.

- Ktoś wspomniał o gazetach - powiedziałam, gdy misja ratownicza dobiegła końca. - Przybyliśmy tu niedawno i nie widziałam jeszcze żadnych gazet. Czy w Wilmington regularnie wychodzi jakiś tytuł?

Miałam ważne powody, by pytać. Nie chodziło tylko o to, by dać panu Stanhope'owi czas na dojście do siebie. Pośród niewielu doczesnych dóbr Jamie go znajdowała się prasa drukarska, obecnie złożona na przechowanie w Edynburgu. Okazało się, że w Wilmington jest dwóch drukarzy, ale tylko jeden z nich, niejaki Jonathan Gillette, wydawał regularną gazetę.

- Która zresztą wkrótce może przestać być regularna - powiedział pan Stanhope mrocznie. - Słyszałem, że pan Gillette otrzymał ostrzeżenie od komitetu bezpieczeństwa... ach! - Wydał z siebie krótki okrzyk i jego pulchna twarz zmarszczyła się w bolesnym zdziwieniu.

- Czy ten temat szczególnie panią interesuje, pani Fraser? - zapytał Wylie uprzejmie, rzucając przyjacielowi szybkie spojrzenie spod ściągniętych brwi. - Słyszałem, że mąż pani miał jakieś związki z drukarstwem w Edynburgu?

- Ależ tak - odrzekłam zdziwiona, że tyle o nas wie. - Jamie był właścicielem drukarni, chociaż nie wydawał

gazety, lecz książki, pamflety, sztuki i temu podobne.

Arystokratycznie wygięte brwi Wyliego uniosły się wyżej.

- Czy to znaczy, że pani mąż nie interesuje się polityką?

Rzemiosło drukarskie często bywa wykorzystywane przez ludzi, którzy lubią wyrażać swoje namiętności w druku, nawet gdy sam drukarz nie podziela tych zapatrywań.

W mojej głowie rozdzwoniły się liczne dzwonki alarmowe. Czy w dalszym ciągu była to zupełnie niewinna rozmowa przy kolacji, czy też Wylie wiedział coś o politycznych powiązaniach Jamiego w Edynburgu, w większości wywrotowych? Sądząc po uwagach Stanhope'a, gazety w umyśle ludzkim nieodłącznie wiązały się z polityką; trudno było się dziwić, zważywszy na czasy, w jakich żyliśmy.

Jamie, siedzący przy drugim końcu stołu, dosłyszał swoje imię.

Spojrzał w naszą stronę i uśmiechnął się do mnie, po czym wrócił do absorbującej rozmowy z gubernatorem, po którego prawej ręce siedział. Nie byłam pewna, czy zawdzięczał to miejsce wpływom pana Lillingtona, który siedział po lewej stronie gubernatora i słuchał tej rozmowy z inteligentnym, nieco żalonym wyrazem twarzy basseta, czy też zadziałała tu ręka kuzyna Edwina, zajmującego miejsce naprzeciwko mnie pomiędzy Philipem Wyliem a jego siostrą Judith.

- Ach, rzemieślnik - zauważyła teraz owa dama znaczącym tonem i uśmiechnęła się do mnie, pilnując, by nie pokazać zębów.

Pomyślałam, że zapewne są popsute. - A czy to - wskazała moją związaną wstążką fryzurę, porównując ją z górującym na swej głowie tortem peruki - czy to jest aktualna moda z Edynburga, pani Fraser?

Jakież to... urocz.

Jej brat spojrział na nią spod przymrużonych powiek.

- Słyszałem również, że pan Fraser jest siostrzeńcem pana Camerona z River Run - rzekł życzliwie. - Czy dobrze mnie poinformowano, pani Fraser?

Kuzyn Edwin - bez wątpienia źródło tej informacji - ze skupieniem smarował bułkę masłem. Zupełnie nie wyglądał na sekretarza, był wysokim, młodym mężczyzną o żywych, brązowych oczach. Zdawało mi się, że mrugnął do mnie ledwo dostrzegalnie.

Baron, którego gazety nudziły tak samo jak podatki, ożywił się nieco na dźwięk nazwiska Cameron.

- River Run? - powtórzył. - Czy coś panią łączy z Jokastą Cameron?

- To ciotka mojego męża. Czy zna ją pan?

- Ależ tak! Czarująca kobieta, niezwykle czarująca! - Na obwisłych policzkach barona pojawił się szeroki uśmiech. - Od wielu lat byłem bliskim przyjacielem pani Cameron i jej męża, niestety już nieżyjącego.

Baron z entuzjazmem zaczął opisywać uroki River Run, a ja skorzystałam z tej chwili i pozwoliłam nałożyć sobie na talerz kawałek zapiekanki rybnej, pełnej nie tylko ryb, ale również ostryg i krewetek w kremowym sosie. Pani Lillington nie szczędziła wysiłków, by olśnić gubernatora.

Odsunęłam się nieco od stołu, pozwalając, by lokaj dołał mi sosu, i pochwyciłam spojrzenie Judith Wylie, która

patrzyła na mnie spod przymrużonych powiek z nieskrywaną niechęcią. Rzuciłam jej promienny uśmiech, ukazując własne zęby w doskonałym stanie, i z nowym przyływem pewności siebie znów zwróciłam się do barona.

Na stryżku Edwina nie było lustra i choć Jamie zapewniał mnie, że dobrze wyglądam, jego gust różnił się nieco od powszechnie obowiązującego. Co prawda usłyszałam również liczne komplementy od dżentelmenów przy stole, mogły one jednak wypływać ze zwykłej uprzejmości. W wyższych sferach ekstrawagancka galanteria nie była niczym nadzwyczajnym. Ale panna Wylie miała dwadzieścia pięć lat mniej ode mnie, nosiła modny strój i klejnoty, a jeśli nawet trudno było ją uznać za piękność, to nie była też brzydka, uznałam zatem, że jej zazdrość jest lepszą miarą mojego wyglądu niż jakiegokolwiek lustro.

- Jaki piękny kamień, pani Fraser. Czy mógłbym go obejrzeć dokładniej? - Baron pochylił się nade mną, zwieszając pulchne palce tuż nad moim dekoltem.

- Ależ oczywiście - odrzekłam skwapliwie. Szybko odpięłam łańcuszek i włożyłam rubin w jego szeroką, wilgotną dłoń. Baron wydawał się nieco rozczarowany, że nie pozwolono mu obejrzeć kamienia in situ, ale przymrużył oczy i wpatrzył się w lśniąca łązkę z wyrazem twarzy konesera, którym chyba rzeczywiście był. Po chwili sięgnął do kieszonki kamizelki i wyjął z niej niewielki przedmiot, który okazał się połączeniem szkła powiększającego z lupą jubilerską.

Rozluźniłam się i pozwoliłam, by lokaj nałożył mi na talerz coś gorącego o ostrym zapachu, co podawano w

szklanym naczyniu. Co opętało tych ludzi, by podawać gorące dania, gdy temperatura w pokoju wynosiła co najmniej trzydzieści stopni?

- Piękny - wymruczał baron, delikatnie obracając kamień w dłoni. - Sehr schon.

W niewielu sprawach zaufałam Geillis Duncan, ale jeśli chodziło o kamienie, mogłam być pewna jej gustu. „To musi być kamień pierwszej klasy - powiedziała mi, wyjaśniając swoją teorię podróży w czasie za pomocą klejnotów - duży i absolutnie bez skazy”.

Owszem, rubin był duży, niemal tak duży jak marynowane przepiórcze jajo, które spoczywało na półmisku obok oskubanego bażanta, i nie miałam również żadnych wątpliwości co do jego czystości. Geillis sama zaufała temu kamieniowi, powierzając mu swoją podróż w przyszłość. Miałam nadzieję, że jego sprzedaż pozwoli nam dotrzeć aż do Cross Creek.

Skosztowałam potrawy, którą miałam na talerzu. Było to coś w rodzaju ragout, bardzo delikatne i aromatyczne.

- Smakuje doskonale - powiedziałam do pana Stanhope'a, niosąc do ust następny kęs. - Czy wie pan, co to takiego?

- Och, to jedna z moich ulubionych potraw - odrzekł, z rozanielonym wyrazem twarzy wdychając zapach unoszący się nad talerzem. - To marynowany świński ryj. Znakomity, nieprawdaż?

Zamknęłam za sobą drzwi do pokoju kuzyna Edwina, oparłam się o nie plecami i z ulgą rozluźniłam szczęki. Nie musiałam już dłużej się uśmiechać, mogłam

wreszcie zdjąć przyklejoną do ciała sukienkę, rozluźnić ciasny gorset i zrzucić przepocone buty.

Spokój, samotność, nagość i cisza. W tej chwili niczego więcej nie brakowało mi do szczęścia oprócz odrobiny świeżego powietrza.

Rozebrałam się i w samej koszuli podeszłam do okna, by je otworzyć.

Powietrze na zewnątrz było tak gęste, że gdybym wyskoczyła przez okno, spadałabym powoli jak kamyk wrzucony do słoika z melasą. Do płomienia świecy natychmiast zleciały się owady, żądne krwi i oszalałe od światła. Zdmuchnęłam świecę i po ciemku usiadłam na parapecie, czując na całym ciele dotyk miękkiego, ciepłego powietrza. Wciąż miałam na szyi rubin, który na tle skóry wydawał się ciemny jak kropla krwi. Dotknęłam go i zakołysałam między piersiami. Był ciepły jak moja własna krew.

Goście zaczęli już się rozjeżdżać i wzdłuż podjazdu uformował się rząd czekających powozów. Dobiegały mnie urywki pożegnań, rozmów i ciche śmiechy.

- ...wydała mi się całkiem bystra - usłyszałam przeciągły, arystokratyczny głos Philipa Wyliego.

- Ach, bystra. Oczywiście, że była bystra! - Wyższy ton jego siostry jasno dawał do zrozumienia, że bynajmniej nie uważała bystrości za zaletę towarzyską.

- Moja droga, można tolerować bystrość umysłu u kobiety, o ile stanowi ona również przyjemny widok dla oczu. I podobnie, piękna kobieta nie musi się odznaczać szczególnymi walorami umysłu, o ile tylko ma dość rozsądku, by ukrywać tę niedoskonałość, trzymając usta

zamknięte.

Pannę Wylie trudno może byłoby posądzać o przenikliwy umysł, z pewnością miała jednak wystarczająco wiele rozumu, by zauważyć haczyk w tym stwierdzeniu. Z jej ust wyrwało się nieprzystojące damie prychnięcie.

- Ona ma przynajmniej z tysiąc lat. Przyjemny widok dla oczu, rzeczywiście! Choć muszę przyznać, że miała ładną błyskotkę na szyi - dodała niechętnie.

- Bardzo ładną - odezwał się niższy głos, w którym rozpoznałam Lloyda Stanhope'a - choć moim zdaniem oprawa była bardziej uderzająca niż sam kamień.

- Oprawa? - powtórzyła panna Wylie ze zdumieniem. - Nie było żadnej oprawy. Klejnot spoczywał bezpośrednio na jej dekolcie.

- Och, rzeczywiście? - zdziwił się Stanhope. - Nie zwróciłem uwagi.

Wylie wybuchnął śmiechem, który ucichł, gdy drzwi otworzyły się i kolejni goście wyszli na zewnątrz.

- Ty może nie zwróciłeś uwagi, stary, ale inni z pewnością tak - rzekł z odcieniem lubieźności w głosie. - Chodźcie, nasz powóz podjechał.

Znów dotknęłam rubinu, patrząc za odjeżdżającym powozem Wyliech. Owszem, inni zwrócili uwagę, wciąż czułam na swoich piersiach pożądliwe spojrzenie barona. Zdawało się, że był koneserem nie tylko klejnotów.

Kamień w mojej dłoni wydawał się cieplejszy nawet od skóry, choć musiało to być złudzenie. Nie przepadałam za biżuterią i zwykle nie nosiłam niczego oprócz obrączki ślubnej. Pozbycie się choćby części naszego niebezpiecznego skarbu byłoby dla mnie ulgą, a jednak

siedziałam tu, trzymając rubin w dłoni, aż zaczęło mi się wydawać, że pulsuje jak małe serduszko, w jednym rytmie z moim tętnem.

Na podjeździe pozostał już tylko jeden powóz. Stangret czekał przy koniach. W jakieś dwadzieścia minut później pasażer wyszedł wreszcie z domu i zakończył swoje pożegnania dobrodusznym Gute Nacht. Baron. Wyszedł jako ostatni i w dobrym nastroju. Sądziłam, że to dobry znak.

Jeden z lokajów, już bez liberii, gasił pochodnie przy końcu podjazdu. Widziałam w mroku jasną plamę jego koszuli, a potem nagły rozbłysk światła na tarasie, gdy otworzył drzwi i wszedł do środka. Zniknął i dokoła zapanowała cisza nocy.

Spodziewałam się, że Jamie zaraz przyjdzie, ale mijały minuty, a na schodach nie było słyhać kroków. Spojrzałam na łóżko, lecz nie miałam ochoty jeszcze się kłaść. W końcu wstałam i znów włożyłam suknię, nie zawracając sobie głowy naciąganiem pończoch ani butów.

Otworzyłam drzwi, bosy zesłam po schodach i przez zadaszone przejście dotarłam do głównej części domu. Wsunęłam się do środka bocznym wejściem od ogrodu. Ciemność rozpraszały tylko blade kwadraty księżycowego światła wpadające przez okna. Większość służby zapewne już spała, podobnie jak goście i domownicy, przez poręcz schodów przeświecało jednak światło z jadalni na dole.

Usłyszałam stłumione męskie głosy i na palcach zbliżyłam się do źródła światła. Silny szkocki akcent Jamiego przeplatał się z angielską wymową gubernatora w intymnym tete - a - tete.

Świece w kinkietach już się dopalały, powietrze przesycone było zapachem pszczelego wosku. Wokół drzwi do jadalni snuły się chmury wonnego dymu z cygar. Starając się stąpać jak najciszej, podeszłam do drzwi i przystanąłam tuż za nimi. Z tego miejsca widziałam gubernatora, który siedział tyłem do mnie i wyciągając szyję, odpalał kolejne cygaro od ogarka świecy na stole.

Jeśli nawet Jamie mnie zauważył, to nie dał tego po sobie poznać.

Na jego twarzy malował się zwykły wyraz dobrodusznego spokoju, ale linie napięcia, które ostatnio pojawiały się dokoła jego oczu i ust, teraz były prawie niewidoczne, a po sposobie, w jaki trzymał ramiona, widziałam, że jest rozluźniony. Ulżyło mi, jego plan najwyraźniej się powiódł.

- Plantacja nazywa się River Run - mówił do gubernatora. - Leży w górach, za Cross Creek.

- Znam to miejsce - odrzekł Tryon z odrobiną zdziwienia. - Moja żona i ja w zeszłym roku spędziliśmy kilka dni w Cross Creek. Po objęciu urzędu musiałem objechać całą kolonię. River Run leży u podnóża gór, z dala od miasta, a właściwie to w pół drogi między miastem a górami. Jamie z uśmiechem popijał brandy.

- No tak - rzekł - moja rodzina to górale, sir. W górach czujemy się jak w domu.

- Ach, tak. - Nad ramieniem gubernatora wzniósł się niewielki obłoczek dymu. Tryon wyjął cygaro z ust i pochylił się w stronę Jamiego. - Skoro jesteśmy sami, panie Fraser, to chciałbym przedstawić panu pewną propozycję. Jeszcze szklaneczkę? - Nie czekając na odpowiedź, sięgnął

po karafkę.

- Dziękuję, sir.

Gubernator skupił się na wysyłaniu w powietrze chmur niebieskiego dymu, a gdy cygaro już dobrze się paliło, wyjął je z ust i powiedział:

- Edwin mówił mi, że dopiero przybyliście do kolonii. Czy jesteście świadomi warunków tu panujących?

Jamie lekko wzruszył ramionami.

- Staralem się dowiedzieć, czego mogłem, sir. O jakich warunkach pan mówi?

- Karolina Północna ma bardzo żyzne ziemie - odrzekł gubernator - a jednak dotychczas nie rozwinęła się tak dobrze jak jej sąsiedzi, przede wszystkim ze względu na brak siły roboczej, której potrzeba, by wykorzystać tutejszy potencjał. Nie mamy żadnego dużego portu, toteż niewolników trzeba sprowadzać po wysokich kosztach z Karoliny Południowej albo z Wirginii, nie możemy też konkurować z Bostonem i Filadelfią, jeśli chodzi o kontraktowych najemników. Panie Fraser, już od dawna zarówno ja sam, jak i Korona próbujemy zachęcać do zasiedlania ziemi w Karolinie Północnej inteligentne, pracowite i pobożne rodziny, które mogłyby zapewnić dobrobyt i bezpieczeństwo całej kolonii. - Podniósł cygaro do ust, zaciągnął się dymem i wydmuchiwał go powoli, robiąc przerwy, by odkaszlnąć. - W tym celu, sir, ustanowiono system nadań ziemi, na mocy którego zamożny dzentelmen, który podejmie się przekonania pewnej liczby emigrantów, by przybyli tutaj i osiedlili się pod jego patronatem i na jego koszt, może otrzymać duży obszar ziemi. W ciągu ostatnich trzydziestu lat ta polityka

doprowadziła do znacznego sukcesu. Udało się nakłonić sporą liczbę górali i ich rodzin z wysp szkockich, by tu przybyli i zamieszkali. Ja sam na początku byłem zdziwiony, widząc, że na brzegach rzeki Cape Fear aż gęsto jest od MacNeillów, Buchananów, Grahamów i Campbellów.

Gubernator znów podniósł cygaro do ust, ale tym razem ledwie dotknął go wargami. Spieszyło mu się, by dotrzeć do sedna.

- Pozostało jednak jeszcze wiele dobrej, niezasiedlonej ziemi w głębi stanu, w pobliżu gór. To dosyć odludne okolice, jednak, jak sam pan powiedział, dla ludzi przyzwyczajonych do życia w zakątkach Szkocji...

- Słyszałem o tych nadaniach, sir - przerwał mu Jamie - ale czy przepisy nie stanowią, że mogą z nich skorzystać tylko biali mężczyźni, protestanci powyżej trzydziestego roku życia, i czy te ustalenia nie mają mocy prawnej?

- To prawda, takie jest formalne brzmienie aktu. - Gubernator Tryon obrócił się nieco i teraz widziałam go z profilu. Strzepnął popiół z cygara do małej porcelanowej popielniczki i wyczekująco uniósł kącik ust. Wyraz jego twarzy przypominał mi wędkarza, który czuje pierwsze drgania żyłki.

- Ta propozycja jest niezmiernie interesująca - rzekł Jamie oficjalnym tonem - chciałbym jednak zauważyć, że nie jestem protestantem, podobnie jak większość moich krewnych.

Gubernator lekceważąco wydał usta.

- Nie jest pan ani Żydem, ani Murzynem. Sądzę, że

mogę z panem rozmawiać jak dżentelmen z dżentelmenem. Mówiąc bez ogródek, panie Fraser, istnieje prawo i istnieją sposoby jego wykonywania. - Z lekkim uśmiechem uniósł swoją szklankę. Haczyk wchodził głębiej w ciało ofiary. - Jestem przekonany, że rozumie pan to równie dobrze jak ja.

- Być może nawet lepiej - mruknął Jamie z uprzejmym uśmiechem. Gubernator rzucił mu ostre spojrzenie, ale po chwili wybuchnął krótkim, szczękającym śmiechem. Z uznaniem podniósł szklankę i pokiwał głową.

- Widzę, panie Fraser, że dobrze się rozumiemy. Jamie ledwo dostrzegalnie skłonił głowę.

- To znaczy, że nie stwarzałyby pan trudności, jeśli chodzi o osobiste przymioty ludzi, których może dałoby się przekonać do przyjęcia pańskiej oferty?

- Absolutnie żadnych - odrzekł gubernator, odstawiając szklankę na stół. - O ile tylko będą to sprawni mężczyźni, zdolni do pracy na roli, nie będę pytał o nic więcej. A tego, o co nikt nie pyta, nie trzeba wyjaśniać, prawda? - Uniósł pytająco jedną brew.

Jamie obracał szklankę w dłoniach, jakby podziwiał nasycony kolor trunku.

- Nie wszyscy, którzy brali udział w powstaniu Stuartów, mieli tyle szczęścia co ja. Mój przybrany syn stracił dłoń, inny z moich towarzyszy ma tylko jedno ramię, jednak są to ludzie o dobrym charakterze i pracowici. Nie miałbym sumienia przyjąć propozycji, z której oni również nie mogliby w jakiś sposób skorzystać. Gubernator tylko lekceważąco pomachał ręką.

- O ile tylko potrafią utrzymać się samodzielnie i nie staną się obciążeniem dla społeczności, będą tu mile

widziani. - Jakby w spóźnionej obawie, że ten nadmiar wielkoduszności może się okazać nieroztropny, usiadł prosto, zostawiając w spokoju cygaro, które dopalało się oparte o skraj popielniczki, i dodał: - A skoro już mowa o jakobitach... Pańscy ludzie będą musieli złożyć przysięgę na wierność Koronie, o ile dotychczas tego nie zrobili. Jeśli mogę zapytać, sir, wspomniał pan, że jest pan papistą...

Jamie przymrużył oczy - być może z powodu dymu, choć nie sądziłam, by to było przyczyną. Gubernator Tryon chyba też tak nie uważał. Miał zaledwie trzydzieści kilka lat, ale znał się na ludziach.

Znów obrócił się twarzą w stronę stołu, tak że widziałam tylko jego plecy, byłam jednak pewna, że wpatruje się intensywnie w Jamiego, śledząc każde poruszenie pstrąga pod powierzchnią wody.

- Nie czynię tego po to, by przypomnieć panu o przeszłych upokorzeniach - rzekł cicho - ani też po to, by urażać pańską obecną godność, jednak rozumie pan, że jest moim obowiązkiem zapytać...

Jamie uśmiechnął się sucho.

- A moim obowiązkiem jest odpowiedzieć, jak sądzę. Tak, jestem jakobitą, który uzyskał wybaczenie. I tak, złożyłem przysięgę, podobnie jak inni, którzy również musieli zapłacić tę cenę za życie.

Gwałtownym ruchem odstawił wciąż pełną szklankę. Odsunął ciężkie krzesło, wstał i skłonił się gubernatorowi.

- Robi się późno, wasza ekscelencjo. Proszę wybaczyć, ale myślę, że już pójdę.

Tryon powoli podniósł cygaro do ust i zaciągając się, popatrzył na twarz Jamiego. Skinął głową i spomiędzy

jego zaciśniętych warg wydobyła się wąska strużka dymu.

- Dobranoc, panie Fraser. Proszę się zastanowić nad moją ofertą, dobrze? Nie czekałam na odpowiedź; nie musiałam tego robić.

Przebiegłam przez hall, szelestem spódnic budząc lokaja, który przysnął w ciemnym kącie. Udało mi się dotrzeć do naszego pokoju nad stajniami, nie napotykając po drodze nikogo innego. Tuż za progiem opadłam na krzesło. Serce biło mi bardzo mocno nie tylko od biegu po schodach, ale również pod wpływem słów, które usłyszałam.

Byłam pewna, że Jamie rozważy ofertę gubernatora, cóż to bowiem była za oferta! Za jednym zamachem mógł odzyskać wszystko, co stracił w Szkocji, a nawet zdobyć jeszcze więcej.

Jamie nie urodził się jako właściciel ziemski, ale po śmierci starszego brata został spadkobiercą Lallybroch i od ósmego roku życia wychowywano go tak, by potrafił wziąć odpowiedzialność za posiadłość i za tych, którzy w niej pracowali. Nauczył się przedkładać ich dobro nad swoje. A potem nadeszły czasy Karola Stuarta i jego szaleńczego marszu do chwały; ognisty krzyż doprowadził tych, którzy za nim poszli, do ruiny i zniszczenia.

Jamie nigdy nie mówił o Stuartach z goryczą, w ogóle nie wymieniał nazwiska Karola Stuarta. Nieczęsto też wspominał o tym, co utracił.

Ale teraz mógł to wszystko odzyskać. Nowa ziemia, zdatna do uprawy i bogata w zwierzynę, zasiedlona przez rodziny pozostające pod jego opieką i patronatem. Zupełnie jak w Księdze Hioba, pomyślałam, wszyscy ci synowie,

córki, wielbłądy i domy, w jednej chwili doszczętnie zgładzone, a potem zwrócone z wielkim naddatkiem.

Ten fragment Biblii zawsze budził we mnie pewne wątpliwości.

Jeden wielbłąd do złudzenia przypomina drugiego, ale dzieci to zupełnie inna sprawa i choć Hiob mógł uznać zastąpienie jego synów i córek innymi za akt sprawiedliwości, to nie mogłam powstrzymać się od myśli, że matka zmarłych dzieci mogła mieć na ten temat zupełnie inne zdanie.

Nie byłam w stanie usiedzieć spokojnie. Znów podeszłam do okna i niewidzącym wzrokiem spojrzałam na ciemny ogród. Nie tylko podniecenie sprawiało, że serce biło mi szybko, a dłonie zaczęły się pocić; to był także strach. Biorąc pod uwagę sytuację w Szkocji po powstaniu, znalezienie chętnych do emigracji nie powinno nastęrczyć żadnych trudności. Widziałam statki, które wpływały do portów w Indiach Zachodnich i Georgii, wyrzucając z siebie potoki emigrantów, tak wyniszczonych podróżą, że wyglądali jak ofiary obozów koncentracyjnych - szkielety, żywe trupy, białe jak larwy po dwóch miesiącach spędzonych w ciemnościach ładowni pod pokładem.

Pomimo wysokich kosztów i wielkich trudów takiej podróży, pomimo cierpienia, jakie niosło ze sobą rozstanie z rodziną, przyjaciółmi i ziemią ojczystą, emigranci napływali szerokim strumieniem, w setkach i tysiącach, przywożąc z sobą dzieci, którym udało się przetrwać podróż, oraz cały dobytek w postaci niewielkich, obszarpanych tobołków. Uciekali przed biedą i beznadzieją, szukali nie fortuny, lecz jakiegokolwiek punktu zaczepienia w życiu, jakiegokolwiek

szansy.

Zeszłej zimy spędziłam w Lallybroch zaledwie kilka dni, ale to wystarczyło, by zauważyć, że niektórzy wieśniacy byli w stanie przetrwać jedynie dzięki dobroci Iana i Młodego Jamiego, ich gospodarstwa bowiem nie przynosiły wystarczających plonów, by zapewnić im przeżycie. A choć zawsze otrzymywali pomoc, jej źródła nie były niewyczerpane; skromne zasoby posiadłości często były wykorzystywane do maksimum.

Oprócz Lallybroch byli jeszcze przemytnicy z Edynburga oraz nielegalni producenci szkockiej whisky, ogromna rzesza ludzi, dla których łamanie prawa to jedyny sposób, by wykarmić rodziny. Nie, znalezienie chętnych do emigracji nie stanowiłoby dla Jamiego żadnego problemu.

Problem polegał na tym, że chcąc znaleźć odpowiednich ludzi, Jamie musiałby wybrać się do Szkocji. A w mojej pamięci wryty był widok granitowego nagrobka na przykościelnym cmentarzu w Szkocji, wysoko nad wrzosowiskami i morzem. Na nagrobku widniał napis „James Alexander Malcolm MacKenzie Fraser”, a pod nim moje własne imię: „ukochany mąż Claire”. Miałam go pochować w Szkocji, ale na kamieniu, który zobaczyłam w dwieście lat później, nie było daty; nie miałam pojęcia, kiedy miał nadejść cios.

- Jeszcze nie - szepnęłam, zaciskając dłonie na jedwabiu halki. - Dostałam go tak niedawno. Och Boże, proszę cię, jeszcze nie teraz.

Jakby w odpowiedzi drzwi otworzyły się i James Alexander Malcolm MacKenzie Fraser we własnej osobie wszedł do środka, niosąc świecę. Uśmiechnął się do mnie i

rozluźnił żabot.

- Masz bardzo lekkie kroki, Angielko. Któregoś dnia muszę cię nauczyć polowania. Byłabyś doskonała w tropieniu zwierzyny.

Nawet nie próbowałam przeproszać za podsłuchiwanie, tylko od razu pomogłam mu rozpiąć guziki kamizelki. Pomimo późnej pory i wypitej brandy spojrzenie miał jasne, a umysł trzeźwy. Jego ciało w dotyku było sprężyste i żywe.

- Lepiej zgaś tę świecę, bo owady zjedzą cię żywcem. - Strzepnęłam komara z jego szyi. Kruche ciało między moimi palcami zmieniło się w krwawą smugę. Oprócz zapachu brandy i dymu z cygara czułam od Jamiego zapach nocy i słabą woń kwiatów tytoniu.

A więc spacerował po ogrodzie. Robił to, gdy był zdenerwowany lub podniecony, a w tej chwili nie wyglądał na zdenerwowanego.

Westchnął i rozprostował ramiona. Gdy pomogłam mu zdjąć żakiet, z niechętnym pomrukiem oderwał palcami od skóry wilgotną od potu koszulę.

- Nie mam pojęcia, jak ludzie wytrzymują ten upał w takich ubraniach. Dzicy są znacznie rozsądniejsi, noszą tylko przepaski na biodra i fartuszki.

- To o wiele tańsze - zgodziłam się - choć może mniej pociągające estetycznie. Wyobraź sobie na przykład barona Penzlera w przepasce na biodra. - Baron ważył jakieś sto dwadzieścia kilogramów i miał bladą, ciastowatą skórę.

Koszula, którą Jamie właśnie ściągał przez głowę, stłumiła jego śmiech.

- Z drugiej strony ty... - Usiadłam na parapecie w

niszy okiennej, podziwiając jego ciało. Zdjął spodnie i stojąc na jednej nodze, rolował w dół pończochy. Świeca była zgaszona, ale moje oczy przywykły już do mroku i widziałam jego długie kończyny, blade na tle aksamitnej czerni nocy. - A skoro już mówimy o baronie...

- Trzysta funtów szterlingów - powiedział tonem niezmiernej satysfakcji. Rzucił zwiniętą pończochę na zydel i pocałował mnie. - W dużej mierze to dzięki tobie, Angielko.

- Masz na myśli moją wartość jako oprawy? - zapytałam sucho, przypominając sobie rozmowę rodzeństwa Wylicch.

- Nie - odparł krótko. - Dzięki temu, że zajęłaś Wyliego i jego przyjaciół podczas kolacji, ja mogłem porozmawiać z gubernatorem.

Wartość oprawy, ha, Stanhope tak się gapił w twój dekolt, że omal nie pogubił oczu, brudna świnia. Miałem ochotę wyzwać go na pojedynek, ale...

- Dyskrecja jest największą z cnót - odrzekłam, oddając mu pocałunek - choć jeszcze nigdy nie spotkałam Szkota, który by się z tym zgodził.

- Chyba że mój dziadek, stary Simon. Można powiedzieć, że to dyskrecja go wykończyła. - Pod warstewką śmiechu jego głos miał ostre brzmienie. Rzadko wspominał jakobitów i wydarzenia z czasów powstania, ale to nie znaczyło, że zapomniał. Rozmowa z gubernatorem najwyraźniej przywołała te wspomnienia.

- Powiedziałabym, że dyskrecja i oszustwo to niezupełnie to samo, a twój dziadek sam się o to prosił przez co najmniej pięćdziesiąt lat - rzuciłam cierpko.

Simon Fraser, lord Lovat, stracił życie w wieku lat siedemdziesięciu ośmiu w Tower Hill, gdzie obcięto mu głowę. Przez całe życie był niedościgłym oszustem, zarówno w sprawach osobistych, jak i politycznych. Mimo wszystko żałowałam, że stary bandyta już nie żyje.

- Yhmm... - Jamie stanął obok mnie przy oknie i głęboko odetchnął, wdychając ciężkie wonie nocy. W przyćmionym blasku gwiazd jego twarz była gładka i spokojna, ale zwrócona do wewnątrz, jakby oczy nie widziały tego, co miały przed sobą, lecz patrzyły na coś zupełnie innego. Zastanawiałam się, czy widzi przeszłość, czy przyszłość.

- Jak to brzmiało? - zapytałam nagle. - Ta przysięga, którą złożyłeś. Bardziej wyczułam, niż zobaczyłam, że wzruszył ramionami.

- Ja, James Alexander Malcolm MacKenzie Fraser, przysięgam i odpowiem za to przed Bogiem w dzień Sądu Ostatecznego, że nie mam i nie będę miał w swoim posiadaniu żadnej strzelby, miecza, pistoletu ani innej broni i nigdy też nie będę używał tartanu, pledu ani żadnej części góralskiego stroju, a jeśli to uczynię, niech będzie przeklęta moja rodzina, moje dobra i wszelkie moje przedsięwzięcia. - Głęboko zaczerpnął oddechu i ciągnął wyraźnym, dobitnym głosem: - Obym nigdy nie zobaczył swojej żony ani dzieci, ojca, matki i krewnych. Obym zginął w bitwie jako tchórz i pozbawiony został chrześcijańskiego pochówku na obcej ziemi, z dala od grobów moich przodków i krewnych. Niech to wszystko mnie spotka, jeśli złamię tę przysięgę.

- I bardzo ci to ciążyło? - zapytałam po chwili.

- Nie - odrzekł cicho, wciąż patrząc przez okno -

wtedy nie. Za niektóre rzeczy warto umrzeć albo głodować, ale nie za słowa.

- Może nie za te słowa?

Spojrzał na mnie przez mrok i w kącikach jego ust zauważyłam cień uśmiechu.

- A znasz słowa, które są tego warte?

Na nagrobku widniało jego nazwisko, ale nie było daty.

Pomyślałam, że mogłabym nie dopuścić, by wrócił do Szkocji. Nie byłam tylko pewna, czy zechcę to uczynić.

Stałam twarzą do niego, opierając się o ramę okna.

- A może „kocham cię”?

Wyciągnął rękę i dotknął mojej twarzy. Poczułam między naszymi twarzami powiew powietrza i zauważyłam, że włoski na jego ramieniu podniosły się.

- A tak - szepnął. - To może być.

Gdzieś w pobliżu odezwał się ptak. Kilka czystych nut, a potem odpowiedź - krótki świergot i cisza. Niebo wciąż było zupełnie czarne, ale gwiazdy zaczynały już błednać.

Bezsennie przewracałam się z boku na bok. Byłam naga, przykryta tylko płóciennym prześcieradłem, jednak nawet teraz, przed świtem, powietrze wciąż było ciepłe. W zagłębieniu, w którym leżałam, zbierała się wilgoć.

Próbowałam spać, ale nie mogłam. Seks, który zwykle wprawiał mnie w stan odrętwienia i błogości, tym razem pozostawił tylko niepokój i wrażenie lepkości. Podniecona rysującymi się możliwościami, a zarazem pełna obaw, nie byłam w stanie uspokoić wzburzonych emocji i pomimo bliskości ciał czułam się oddzielona od Jamiego i

osamotniona.

Znów się obróciłam, z kolei twarzą do niego. Leżał w swojej zwykłej pozycji na plecach. Zmięte prześcieradło okrywało jego biodra, ręce spoczywały na płaskim brzuchu, zwrócona na bok twarz była rozluźniona od snu. Na policzkach rysowały się długie cienie ciemnych rzęs. W przyćmionym świetle wyglądał na czternastolatka.

Chciałam go dotknąć, choć sama nie wiedziałam, czy miałyby to być pieszczota, czy szturchnięcie. Jamie rozluźnił mnie fizycznie, ale zarazem odebrał spokój umysłu. Irracjonalnie zazdrościłam mu łatwego przejścia w stan odpoczynku.

Nie zrobiłam jednak ani jednego, ani drugiego. Ułożyłam się na plecach i z przymkniętymi oczami ponuro zaczęłam liczyć owce. Były to jednak szkockie owce, które zamiast dać się policzyć, wesoło brykały po cmentarzu, beztrudnie kopiąc w nagrobki.

- Czy coś cię trapi, Angielko? - zapytał zaspany głos przy moim ramieniu. Otworzyłam oczy.

- Nie - powiedziałam, starając się nadać głosowi senną barwę. - Wszystko w porządku.

Usłyszałam lekkie prychnięcie i szelest wypełnionego sieczką siennika. Jamie obrócił się w moją stronę.

- Jesteś okropną kłamczuchą. Tak głośno myślisz, że słyszę cię nawet tutaj.

- Przecież nie możesz słyszeć niczyich myśli!

- Pewnie, że mogę. W każdym razie twoje. - Zaśmiał się i leniwie położył dłoń na moim udzie. - Co się dzieje? Może masz wzdęcia po tym przyprawianym krabie?

- Nie. - Próbowałam odsunąć nogę, ale jego dłoń przywarła jak pijawka.

- No dobrze. W takim razie o co chodzi? Może w końcu przysłała ci do głowy cięta riposta na uwagę, którą pan Wylie wygłosił na temat ostrzeg?

- Nie - odrzekłam z irytacją. - Skoro już musisz wiedzieć, to myślałam o propozycji gubernatora Tryona. Czy mógłbyś puścić moją nogę?

- Ach - mruknął. Nie cofnął ręki, lecz jego głos brzmiał już przytomniej. - No cóż, sam też się nad tym zastanawiałem.

- I co o tym myślisz? - Porzuciłam wysiłki, by odsunąć jego rękę, i oparłam się na łokciu. Okno wciąż było ciemne, ale gwiazdy wyraźnie zbladły. Zbliżał się świt.

- Przede wszystkim zastanawiałem się, dlaczego mi to zaproponował.

- Naprawdę? Wydawało mi się, że to akurat wyjaśnił. Jamie chrząknął.

- Jedno jest pewne, nie zaproponował mi ziemi tylko dlatego, że mam ładne błękitne oczy. - Otworzył wspomniane oczy i spojrzał na mnie z ukosa. - Zanim dobieję interesu, Angielko, wolę wiedzieć, co się za nim kryje, rozumiesz?

- Nie wierzysz, że powiedział ci prawdę? Nadania Korony mają służyć zasiedleniu tej ziemi. Wspominał przecież, że ten proces trwa już od trzydziestu lat. W tej sprawie chyba nie mógł cię okłamać?

- Nie, to jest prawda - zgodził się - ale pszczoła, która niesie miód, w odwłoku chowa żądło, rozumiesz? - Poskrobał się po głowie i z westchnieniem odgarnął włosy z

twarży. - Sama się zastanów, Angielko, dlaczego właśnie ja.

- Potrzebny mu jest ktoś z autorytetem - powiedziałam powoli - dobry przywódca. Widocznie kuzyn Edwin powiedział mu, że ty właśnie taki jesteś, a ponadto, jeśli uznał cię za dość bogatego człowieka...

- Nie jestem bogaty.

- Ale on o tym nie wie - zaprotestowałam.

- Na pewno? - Jamie skrzywił się cynicznie. - Kuzyn Edwin z pewnością powiedział mu wszystko, co wie, a gubernator doskonale zdaje sobie sprawę, że byłem jakobitą. Owszem, kilku z nas po powstaniu zdobyło majątek w Indiach Zachodnich, mnie również mogło to dotyczyć, ale Tryon nie ma żadnych podstaw, by tak przypuszczać.

- Wie, że masz jakieś pieniądze - zauważyłam.

- Z powodu Penzlera? - rzekł z zastanowieniem. - Co jeszcze o mnie wie?

- Wydaje mi się, że tylko tyle, ile mu powiedziałeś przy kolacji.

Nie mógł raczej słyszeć o tobie od nikogo innego, w końcu jesteś tutaj dopiero od... zaraz, a więc o tym myślisz?

- Uniosłam głos z niedowierzaniem. Jamie uśmiechnął się pośepnie. Teraz już całkiem wyraźnie dostrzegałam rysy jego twarzy.

- Ano właśnie. Jestem spokrewniony z Cameronami, którzy są nie tylko bogaci, ale i szanowani w kolonii, a z drugiej strony jestem nowym przybyszem, nie mam tu wielu powiązań ani zobowiązań.

- Oprócz zobowiązania wobec gubernatora, który oferuje ci duży kawał ziemi - powiedziałam powoli.

Nie odpowiedział od razu. Przetoczył się na plecy, w

dalszym ciągu nie puszczać mojej nogi, i wpatrzył się w majaczący biało sufit, ozdobiony girlandami i makabrycznymi amorkami.

- Znałem swego czasu paru Niemców, Angielko - powiedział w zamyśleniu i jego kciuk rozpoczął powolny ruch po miękkiej, wewnętrznej stronie mojego uda. - Żydzi czy goje, wszyscy potrafili dbać o swoje pieniądze, i choć wyglądałaś wieczorem pięknie jak biała róża, to nie sądzę, by ten dżentelmen zaproponował mi o sto funtów więcej niż złotnik wyłącznie z powodu twojego uroku.

Zatrzymał spojrzenie na mojej twarzy.

- Tryon jest żołnierzem i wie, że ja też nim byłem. A od dwóch lat mają tu kłopoty z regulatorami.

Umysł miałam tak pochłonięty rozplątywaniem zawłości zawartych w tych słowach, że prawie nie zwróciłam uwagi na poczynania jego dłoni między moimi udami.

- Z kim?

- Och, zapomniałem, że nie słyszałaś tej części rozmowy. Byłaś zajęta swoim stadem adoratorów.

Puściłam to mimo uszu, pragnąc dowiedzieć się czegoś o regulatorach. Okazało się, że było to luźne stowarzyszenie mężczyzn, w większości pochodzących ze słabiej zaludnionych części kolonii, którzy uważali zachowanie niektórych urzędników Korony, szeryfów, sędziów, poborców podatkowych i temu podobnych, za kapryśne, niesprawiedliwe, a w niektórych przypadkach wręcz nielegalne.

Przekonani, że gubernator i Zgromadzenie nie przykładają należytej wagi do ich skarg, postanowili wziąć

sprawy we własne ręce. Nastąpiły ataki na zastępców szeryfa, sędziowie pokoju zostali wypędzeni z domów i zmuszeni do rezygnacji z urzędu. Komitet regulatorów napisał do gubernatora, domagając się, by zajął się niegodziwościami, które musieli cierpieć, a Tryon - który był zarówno człowiekiem czynu, jak i dyplomata - ułagodził nastroje, usuwając jednego czy dwóch najbardziej skorumpowanych szeryfów, oraz wystosował do urzędników sądowych oficjalny list dotyczący zajęcia ich majątku ruchomego.

- Stanhope wspominał coś o Komitecie bezpieczeństwa - zauważyłam z zainteresowaniem - ale zdawało mi się, że to świeża sprawa.

Jamie wzruszył ramionami.

- Kłopoty zostały chwilowo zażegnane, ale sprawa wcale nie jest rozwiązana. Wilgotny proch może się długo tlić, Angielko, ale gdy już zaiskrzy, powoduje wielki wybuch.

Czyżby Tryon uważał, że warto kupić sobie lojalność doświadczonego żołnierza, który sam z kolei będzie miał prawo wymagać lojalności od ludzi pozostających pod jego patronatem, i umieścić ich wszystkich w odległej i kłopotliwej części kolonii? Ja sama uznałabym to za doskonały interes zrobiony niewielkim kosztem, za cenę ledwie kilkuset funtów i marnych kilku akrów królewskiej ziemi. W końcu Jego Wysokość miał tej ziemi pod dostatkiem.

- A więc zastanawiasz się nad tym. - Leżeliśmy twarzami do siebie. Moja dłoń spoczywała na jego dłoni, nie po to, by powstrzymać jej ruch, lecz z chęci okazania

zrozumienia. Jamie uśmiechnął się leniwie.

- Gdybym wierzył we wszystko, co ktoś mi mówi, Angielko, to już dawno bym nie żył. Może przyjmę wielkoduszną propozycję gubernatora, a może nie, ale zanim się na cokolwiek zdecyduję, chciałbym wiedzieć znacznie więcej.

- Owszem, to trochę dziwne, że złożył ci taką propozycję, znając cię tak krótko.

- Byłbym zdziwiony, gdyby się okazało, że jestem jedyną osobą, której to zaproponował. Ale ryzyko nie jest wielkie, nie sądzisz?

Słyszałaś przecież, jak powiedziałem mu, że jestem katolikiem.

Zupełnie nie wydawał się zdziwiony.

- To prawda. Odniosłam wrażenie, że nie uważa tego za problem.

- Bo moim zdaniem to nie byłby problem, chyba że gubernatorowi zaczęłoby na tym zależeć.

- Boże drogi! - Moja opinia o gubernatorze Tryonie zmieniała się gwałtownie, choć nie byłam pewna, czy na lepsze, czy na gorsze. - To znaczy, że gdyby coś poszło nie po jego myśli, wówczas wystarczyłoby ujawnić, iż jesteś katolikiem, i na tej podstawie sąd odebrałby ci ziemię. Jeśli zaś gubernator zdecydowałby się trzymać język za zębami...

- No tak. Jeśli będę posłusznie robił to, czego sobie zażyczy...

- On jest znacznie sprytniejszy, niż przypuszczałam - powiedziałam nie bez pewnego podziwu. - Prawie jak Szkot.

Jamie zaśmiał się i znów odgarnął włosy z twarzy.

Długie kotary w oknach, które do tej pory zwisały bezwładnie, wyduły się nagle i do środka wpadł powiew świeżego powietrza o zapachu błota i rzecznej wody, z ledwie wyczuwalnym śladem żywicznego aromatu. Świt nadchodził na skrzydłach wiatru. Jakby wiedziona tajemnym sygnałem, dłoń Jamiego poruszyła się, przekazując mi lekki dreszcz, gdy jego nagie plecy poczuły chłód.

- Wcześniej za bardzo się nie popisałem - rzekł cicho - ale jeśli jesteś pewna, że teraz już nic nie leży ci na sercu...

- Nic - odparłam, patrząc na jego głowę i kark spowite złocistym blaskiem. Usta nadal miał miękkie i łagodne, ale już nie wyglądał na czternastolatka. - W tej chwili zupełnie nic.

8. *Nie byle kto*

- Boże, nienawidzę łodzi!

Ta wypływająca ze szczerego serca deklaracja dźwięczała mi w uszach, gdy powoli wypływaliśmy na wody zatoki Wilmington.

Po dwóch dniach zakupów i przygotowań wyrusaliśmy wreszcie do Cross Creek. Pieniądze otrzymane za rubin pozwoliły nam uniknąć konieczności sprzedaży koni. Duncan pojechał wozem z cięższymi bagażami i zabrał ze sobą Myersa jako przewodnika, my zaś mieliśmy dotrzeć na miejsce szybciej i wygodniej z kapitanem Freemanem na pokładzie „Sally Ann”.

„Sally Ann” była konstrukcją dość szczególną i trudną do opisanie. Zbudowana z kwadratowych belek, długa, o niskich burtach i tępym dziobie, mogła się poszczycić małą kabiną o powierzchni około czterech

metrów kwadratowych. Na pokładzie pozostawało wąskie przejście o szerokości pół metra po obu stronach kabiny oraz nieco większa przestrzeń z przodu i z tyłu, teraz zawałona tobołkami, workami i beczkami.

Z pojedynczym żaglem zawieszonym na maszcie nad kabiną, „Sally Ann” z pewnej odległości przypominała kraba płynącego na gonicie i powiewającego białą flagą. Muliste, brązowe wody Cape Fear uderzały o burty zaledwie o dziesięć centymetrów pod relingiem.

Deski na dole były nieustannie mokre od przecieków.

Mimo wszystko czułam się szczęśliwa. Bez względu na warunki i ciasnotę dobrze było znaleźć się na wodzie i choćby tymczasowo oddalić od syrenich śpiewów gubernatora.

Jamie nie czułam się szczęśliwy. Jego niechęć do łodzi była głęboka i nieśmiertelna, a w dodatku do tego stopnia cierpiał na chorobę morską, że nawet patrząc na wodę wirującą w szklance, zieleniał na twarzy.

- Woda jest zupełnie nieruchoma - zauważyłam. - Może nie zachorujesz. Przymrużył oczy i popatrzył podejrzliwie na czekoladowobrązową wodę, a potem zacisnął powieki, gdy fala wzbudzona przez inną łódź uderzyła o burtę „Sally Ann” i zakotyła ją gwałtownie.

- Może nie - powiedział tonem, który miał wyrażać, że choć moja sugestia niosła w sobie pewną nadzieję, to jednak szanse nie były wielkie.

- Chcesz igły? Lepiej ich użyć, zanim zaczniesz wymiotować. - Z rezygnacją sięgnęłam do kieszeni spodnicy, gdzie trzymałam pudełeczko z chińskimi igłami

do akupunktury, które ocaliły mu życie, gdy płynęliśmy przez Atlantyck.

Wzdrygnął się i otworzył oczy.

- Nie, może wytrzymam. Rozmawiaj ze mną, Angielko, żebym myślał o czymś innym, nie o swoim żołądku, dobrze?

- Dobrze - zgodziłam się posłusznie. - Opowiedz mi o swojej ciotce Jokaście.

- Widziałem ją po raz ostatni, gdy miałem dwa lata, więc niewiele pamiętam - odrzekł nieobecny tonem, ze wzrokiem skupionym na tratwie, która płynęła w naszą stronę kursem zwiastującym rychłą kolizję. - Czy sądzisz, że ten czarny da sobie radę? Może powinienem mu trochę pomóc?

- Lepiej nie - odrzekłam, bacznie obserwując tratwę. - Zdaje mi się, że on wie, co robi.

Oprócz kapitana, podejrzanego, starego łajdaka śmierdzącego tytoniem, „Sally Ann” miała jeszcze jednego członka załogi. Był to starszy Murzyn, były niewolnik, który w pojedynkę sterował naszym statkiem za pomocą długiego drąga. Jego mocne mięśnie napinały się i rozluźniały w spokojnym rytmie. Na pozór nie zwracał uwagi na nadpływającą barkę. Z nisko pochyloną kędzierzawą głową płynnym ruchem zanurzał i unosił drąg, który wydawał się jego trzecią kończyną.

- Zostaw go w spokoju. To znaczy, że niewiele wiesz o swojej ciotce? - zapytałam w nadziei, że skieruję jego myśli na inne tory.

Tratwa zbliżała się do nas ociężała i nieubłagana. Miała ponad dziesięć metrów długości i była mocno

obciążona beczkami i stertami skór, przywiązany i zabezpieczony siecią. Poprzedzała ją fala ostrego smrodu piżma, krwi i zjełczałego tłuszczu, tak silna, że tłumiała wszystkie inne zapachy rzeki.

- Nie. Wyszła za Camerona z Erracht i wyjechała z Leoch na rok przed ślubem moich rodziców - tłumaczył Jamie nieobecny głosem, skupiając całą uwagę na nadciągającej barce. Kostki jego palców zbieleły, czułam, że ma wielką ochotę skoczyć do przodu, wyrwać marynarzowi drąg i odepchnąć „Sally Ann” jak najdalej w przeciwną stronę. Położyłam dłoń na jego ramieniu.

- I nigdy nie przyjechała w odwiedziny do Lallybroch?

Słońce odbijało się od żelaznych zacisków na krawędzi tratwy i od ciał trzech półnagich pomocników, mocno spoconych pomimo wczesnej pory. Jeden z nich pomachał do nas kapeluszem i z uśmiechem wykrzyczał coś, co brzmiało jak „hej, wy!”.

- John Cameron zmarł na dyzenterię i wtedy wyszła za jego kuzyna Czarnego Hugh’a Camerona z Aberfeldy, a potem... - Jamie odruchowo zamknął oczy. Wśród życzliwych okrzyków i śmiechów załogi tratwa przepłynęła o kilkanaście centymetrów od nas. Rollo czekał jak szalony, opierając przednie łapy o niski dach kabiny, aż w końcu Ian szturchnął go i kazał mu zamilknąć. Jamie otworzył jedno oko, dostrzegł, że niebezpieczeństwo minęło, otworzył drugie i dopiero teraz puścił krawędź dachu.

- No tak, Czarny Hugh. Nazywali go tak, bo miał wielką, czarną narośl na kolanie. Zginął na polowaniu, a

ciotka wyszła za Hektora Mor Camerona z Loch Eilean...

- Zdaje się, że Cameronowie przypadli jej do gustu - zauważyłam z fascynacją. - Czy ten klan ma w sobie coś szczególnego, oprócz tego, że jest podatny na wypadki?

- Chyba to, że potrafią gadać - odrzekł Jamie z ironicznym uśmiechem. - Cameronowie to poeci i błazny, a czasem jedno i drugie naraz. Pamiętasz chyba Lochiela?

Uśmiechnęłam się na to słodko - gorzkie wspomnienie. Donald Cameron z Lochiel, jeden z przywódców klanu Cameronów w czasie powstania, był przystojnym mężczyzną o uduchowionym spojrzeniu.

Jego łagodny sposób bycia i eleganckie maniery ukrywały zaiste wielki talent do tworzenia wulgarnych rymowanek, którymi często zabawiał mnie sotto voce na balach w Edynburgu, podczas krótkiego okresu chwały po powrocie Karola Stuarta.

Jamie stał oparty o dach malutkiej kabiny i czujnym wzrokiem obserwował ruch na rzece. Nie wypłynęliśmy jeszcze z portu Wilmington. Niewielkie czółna i łódki wiosłowe przemykały jak nartniki między większymi i wolniejszymi łodziami. Jamie był blady, ale jego twarz nie przybrała jeszcze zielonego odcienia.

Ja również oparłam się o dach i wyprostowałam plecy. Było gorąco, lecz promienie słońca przynosiły ulgę mięśniom zmęczonym po źle przespanej nocy. Spędziłam ją zwinięta w kłębek na twardej, dębowej ławie przy szynku nadbrzeżnej tawerny, z głową na kolanie Jamiego, który czynił ostatnie ustalenia dotyczące naszej podróży.

Przeciągnęłam się z jękiem i zapytałam:

- A Hektor Cameron był poetą czy błaznem?

- Teraz nie jest już ani jednym, ani drugim - odrzekł Jamie, odruchowo masując mi kark. - Przecież nie żyje.

- Wspaniale - zamruczałam z rozkoszy, gdy jego kciuk natrafił na szczególnie wrażliwe miejsce. - To znaczy, wspaniale jest to, co robisz, a nie to, że twój wuj zmarł. Ooch, nie przestawaj. A jak dotarł do Karoliny Północnej?

Jamie prychnął z rozbawieniem i stanął za mną tak, żeby móc dosięgnąć mojego karku i ramion obiema dłońmi. Oparłam się o niego biodrami i westchnęłam z rozkoszy.

- Jesteś strasznie hałaśliwą kobietą, Angielko. - szepnął mi prosto do ucha, pochylając się nade mną. - Gdy masuję ci kark, jęczysz tak samo jak wtedy, kiedy... - poruszył biodrami, wyjaśniając mi w dyskretny, lecz niepozostawiający wątpliwości sposób, co miał na myśli. - Hmm?

- Ymm - odpowiedziałam i równie dyskretnie kopnęłam go w łydkę. - To doskonale się składa. Jeśli ktoś mnie usłyszy zza zamkniętych drzwi, pomyśli, że masujesz mi kark. Pewnie i tak niczego więcej nie uda ci się dokonać, dopóki nie zejdziemy z tej pływającej balii. A teraz wróćmy do twojego nieżyjącego wujka.

- Ach tak. - Jamie wbił palce w moje ciało po obu stronach kości ogonowej i rozplątując kolejny zamotany supeł historii swojej rodziny, powoli przesuwiał nimi w górę i w dół. W każdym razie pozwalało mu to nie myśleć o żołądku.

Hektor Mor Cameron miał więcej szczęścia i albo był bystrzejszy, albo bardziej cyniczny niż jego słynny krewniak, udało mu się bowiem sprytnie przygotować na okoliczność katastrofy Stuartów.

Uciekł spod Culloden bez jednej rany i dotarł do domu, gdzie załadował żonę, służącą i przenośny dobytek na wóz, którym wyruszył do Edynburga, a stamtąd statkiem do Karoliny Północnej, o włos umykając przed królewskim pościgiem.

Po przybyciu do Nowego Świata zakupił duży kawał ziemi, wykarczował las, zbudował dom i tartak, kupił niewolników do pracy, obsadził ziemię tytoniem i indygo i bez wątpienia znużony własną przedsiębiorczością, w wieku lat siedemdziesięciu trzech zapadł na śmiertelne zapalenie gardła.

Najwyraźniej uznając, że do trzech razy sztuka, Jokasta MacKenzie Cameron Cameron Cameron dotychczas, wedle najlepszej wiedzy Myersa, nie wyszła za mąż po raz kolejny, lecz pozostała samotną właścicielką River Run.

- Czy sądzisz, że posłaniec z listem dotrze tam przed nami?

- Dotarłby tam przed nami, nawet gdyby czołgał się na czworakach - prychnął Ian, nieoczekiwanie wyrastając obok nas.

Popatrzył z lekką niechęcią na cierpliwego pomocnika, który wciąż zanurzał i unosił ociekający wodą drąg, i dodał: - W tym tempie podróż zajmie nam parę tygodni. Mówiłem ci, wujku Jamie, że lepiej byłoby pojechać konno.

- Nie denerwuj się, Ian - uspokajał go wuj, puszczając moją szyję. - Niedługo zmienisz go przy drągu i pewnie dasz radę dopłynąć do Cross Creek przed wieczorem, co?

Ian spojrział na wuja mrocznie i odszedł, by dręczyć kapitana Freemana pytaniami o Indian i dzikie zwierzęta.

- Mam nadzieję, że kapitan nie wyrzuci go za burtę - pokręciłam głową, widząc, że na widok zbliżającego się chłopaka Freeman obronnie ściągnął chude ramiona. - Dziękuję za masaż - dodałam, unosząc brwi.

- Odwdzięczysz mi się za tę przysługę po zmierzchu. - Jamie próbował mrugnąć, ale ponieważ nie potrafił przymknąć tylko jednego oka, nie wyszło mu to zbyt dobrze. Mimo wszystko doskonale zrozumiałam, co miał na myśli, i zatrzepotałam rzęsami.

- Oczywiście. A co mam ci pomasować po zmierzchu?

Nim Jamie zdążył odpowiedzieć, jego siostrzeniec znów stanął obok nas, wyskakując jak diabeł z pudełka.

- Po zmierzchu? Co ma się dzieć po zmierzchu?

- Utopię cię i pokroję na kawałki, na przynętę dla ryb - poinformował go wuj. - Na litość boską, Ian, czy ty nie możesz się uspokoić? Kręcisz się wte i wewte jak trzmiel w butelce. Idź i prześpij się na słońcu, jak ten twój zwierzak. Ten pies ma więcej rozumu niż ty. - Wskazał głową na Rolla, który wyciągnął się jak dywanik na dachu kabiny i patrzył przed siebie w półprzymkniętymi oczami, od czasu do czasu poruszając uchem, by odgonić muchy.

Ian popatrzył na wuja z rozbawieniem.

- Spać? Mam spać?

- Właśnie to robią normalni ludzie, gdy są zmęczeni - wyjaśniłam, tłumiąc ziewnięcie. Wzrastający upał i powolny ruch łodzi działały usypiająco po niedospanej nocy. Wstaliśmy jeszcze przed świtem. Niestety, wąskie

ławki i chropowate deski pokładu na „Sally Ann” nie wyglądały bardziej zachęcająco niż ława w tawernie.

- Ależ ciociu, ja nie jestem zmęczony! - obruszył się Ian. - Chyba przez parę dni nie usnę!

Jamie popatrzył na niego podejrzliwie.

- Zobaczymy, czy nadal tak będziesz myślał, jak trochę powiosłujesz. A tymczasem mam chyba coś, co mogłoby cię zająć.

Poczekaj chwilę. - Zniknął w kabinie, skąd po chwili zaczęły dochodzić odgłosy przewracania bagaży.

- Boże, jak gorąco - westchnął Ian, wachlując się ręką. - Czego wujek Jamie tam szuka?

- Bóg jeden wie - wzruszyłam ramionami. Rankiem Jamie wniósł na pokład dużą skrzynkę i nie chciał udzielić żadnych wyjaśnień co do jej zawartości. Poprzedniej nocy, gdy ja już zasnęłam, grał w karty, domyślałam się więc, że wygrał jakiś kłopotliwy przedmiot, którego nie chciał pokazać Ianowi, by nie narażać się na drwiny.

Ian się nie mylił, było gorąco. Miałam nadzieję, że później pojawi się bryza, ale w tej chwili żagiel nad naszymi głowami zwisał bezwładnie jak ścierka do naczyń, a wilgotna halka przyklejała mi się do nóg. Wymamrotałam coś do Iana, precyzyjnie się obok kabiny i poszłam na przód statku, gdzie była beczka z wodą.

Na dziobie, z ramionami skrzyżowanymi na piersiach, stał Fergus. Wyglądał szlachetnie i majestatycznie jak galion. Surowy profil jego przystojnej twarzy celował na wprost, w górę rzeki; gęste, ciemne włosy odgarnięte miał z czoła na tył głowy.

- Ach, milady - pozdrowił mnie, błyskając białymi

zębami - czyż to nie jest wspaniały kraj?

To, co widziałam w tej chwili, nie wydawało mi się szczególnie wspaniałe. Na pejzaż składały się rozległe, parujące w słońcu błota oraz duża ilość mew i rybitw, podnieconych czymś śmierdzącym, co znalazły przy brzegu rzeki.

- Milord mówił mi, że każdy może dostać tu pięćdziesiąt akrów ziemi, pod warunkiem że zbuduje na niej dom i zobowiąże się ją uprawiać przez dziesięć lat. Proszę sobie tylko wyobrazić, pięćdziesiąt akrów. - Z podziwem obrócił te słowa w ustach. Francuski chłop byłby szczęśliwy, gdyby miał choć pięć akrów.

- No tak - odrzekłam z powątpiewaniem - sędzę jednak, że należy wybierać te pięćdziesiąt akrów bardzo rozważnie. Nie wszystkie miejsca tutaj nadają się do uprawy. - Nawet nie próbowałam się zastanawiać, jak trudne dla Fergusa byłoby zbudowanie farmy i domu na kompletnym odludziu przy użyciu tylko jednej ręki, bez względu na to, jak żyzna byłaby ziemia. On jednak nie zwracał na mnie uwagi, wpatrywał się w przestrzeń rozmarzonym wzrokiem.

- Może udałoby mi się zbudować niewielki domek jeszcze przed Hogmanay - mrucał do siebie - a na wiosnę mógłbym sprowadzić Marsali i dziecko. - Jego dłoń odruchowo powędrowała do pustego miejsca na piersi, gdzie od dzieciństwa nosił zielonkawy medalik ze świętym Dyzmą.

Fergus dołączył do nas w Georgii, pozostawiając młodą żonę w ciąży na Jamajce pod opieką przyjaciół. Zapewnił mnie, że nie obawia się o jej bezpieczeństwo,

polecił ją bowiem opiece swego świętego patrona i surowo nakazał, by nie zdejmowała podniszczonego medalika z szyi, dopóki bezpiecznie nie urodzi. Mnie samej nigdy nie przysłoby do głowy, że sfera wpływów patrona złodziei może obejmować również niemowlęta i świeżo upieczone matki, ale Fergus przez całą młodość był kieszonkowcem i jego wiara w świętego Dyzmę była absolutna.

- Czy jeśli urodzi się chłopiec, nadasz mu imię Dyzma? - zapytałam żartem.

- Nie - odrzekł najzupełniej poważnie - nazwę go Germaine.

Germaine James Ian Aloysius Fraser. James Ian na cześć milorda i monsieur - wyjaśnił, zawsze tak bowiem nazywał Jamiego oraz jego szwagra Iana Murraya. - Marsali podoba się imię Aloysius - dodał obojętnie. Było jasne, że on sam nie miał nic wspólnego z wyborem tak zwyczajnie brzmiącego imienia.

- A jeśli to będzie dziewczynka? - zapytałam i naraz przyplęnęło do mnie wspomnienie. Przed ponad dwudziestu laty, gdy byłam w ciąży, Jamie wysłał mnie z powrotem przez kamienny krąg. Ostatnie słowa, jakie do mnie wypowiedział, przekonany, że dziecko, które noszę, jest chłopcem, brzmiały: "Nazwij go Brian, po moim ojcu".

- Och - Fergusowi najwyraźniej też nie przyszło to do głowy, ponieważ wydawał się nieco zbity z tropu, po chwili jednak rozpogodził się i rzekł stanowczo: - Genevieve, na cześć madame. - Miał na myśli Jenny Murray, siostrę Jamiego. - Genevieve Claire - dodał i znów uśmiechnął się promiennie.

- Och - zarumieniłam się, mile polechtana. - No cóż,

dziękuję, ale czy jesteś pewien, że nie powinieneś być teraz z Marsali na Jamajce?

Zdecydowanie pokręcił głową.

- Milord może mnie potrzebować. I bardziej się przydam tutaj niż tam. Niemowłeta to sprawa kobiet, a kto wie, jakie niebezpieczeństwa możemy napotkać tutaj, w tym dziwnym miejscu.

Jakby w odpowiedzi na to retoryczne pytanie rozkrzyczana chmara mew uniosła się w górę, a naszym oczom ukazało się to, co wcześniej przyciągało ich uwagę.

W przybrzeżne błoto wbity był solidny, sosnowy słup. Jego czub znajdował się o pół metra niżej od linii przyływu wyznaczonej przez ciemne wodorosty na brzegu. Teraz woda była jeszcze niska, sięgała zaledwie do połowy słupa. Nad mulistymi, przybrzeżnymi falami wisiała ludzka postać, zaczepiona o słup łańcuchem, którego drugi koniec owinięty był wokół piersi czy też tego, co kiedyś było ludzką piersią.

Nie miałam pojęcia, od jak dawna ciało tu było, ale sądząc po wyglądzie, musiało upłynąć już dość dużo czasu. Na czasce widniała wąska, biała smuga - ślad po włosach odciętych razem ze skórą. Ptaki zrobiły swoje i nie sposób było określić, jak ten człowiek wyglądał wcześniej. Fergusowi wyrwało się francuskie przekleństwo.

- Pirat - wyjaśnił kapitan Freeman lakonicznie. Zatrzymał się obok mnie i strzyknął do rzeki brązową od tytoniu śliną. - Nie wszystkich wieszają w Charlestonie, niektórych przywiązują do słupa podczas przyływu, żeby rzeka ich pochłonęła.

- Czy... czy jest tu takich więcej? - Ian również

zauważył ciało.

Był już za duży, by wziąć mnie za rękę, ale stanął tuż obok i jego twarz pod opalenizną wyraźnie pobladła.

- Nie tak dużo, teraz już nie. Marynarka Królewska pilnuje. Ale parę lat temu można było zobaczyć takich czterech albo pięciu naraz.

Ludzie płacili, żeby na to popatrzeć. Kazali się przywozić, a potem siedzieli i patrzyli, jak tamci toną. Tu jest naprawdę ładnie o zachodzie słońca, gdy woda przybiera - dodał, poruszając szczękami w powolnym, nostalgicznym rytmie. - Cała rzeka robi się czerwona.

- Patrzcie! - Ian pochwycił mnie za ramię, zapominając o swej godności. Przy brzegu rzeki coś się poruszyło i dopiero teraz przekonaliśmy się, co przepłoszyło ptaki. Długi na jakieś półtora metra stwór pokryty łuskami wsunął się do wody, pozostawiając za sobą głęboką brudę w miękkim błocie na brzegu. Pomocnik siedzący na drugim końcu łodzi wymamrotał coś pod nosem, ale nie przestał wiosłować.

- To krokodyl - powiedział Fergus z odrazą i ułożył palce w znak przedstawiający rogi diabła.

- Nie, chyba nie - odezwał się Jamie za moimi plecami.

Spojrzałam na niego: ponad dachem kabiny patrzył na nieruchomy kształt, który zbliżał się do nas, pozostawiając na wodzie ślad w kształcie litery V. W rękę miał książkę z zaznaczoną kciukiem stroną.

Pochylił nad nią głowę i dodał: - Zdaje się, że to aligator. Tu jest napisane, że żywią się padliną, nie ruszają świeżego mięsa. Gdy uda im się pochwycić człowieka albo

owcę, wciągają ofiarę pod wodę i topią, a potem zaciągają do swojej kryjówki pod ziemią i zostawiają, aż zgnije. Oczywiście - dorzucił, spoglądając posepnie na brzeg - czasami mają szczęście i trafia im się gotowy posiłek.

Wydawało mi się, że postać przy słupie zadrżała, jak gdyby coś uderzyło w nią od spodu. Ian wydał dziwny dźwięk, jakby się zakrztusił.

- Skąd masz tę książkę? - zapytałam, nie odrywając wzroku od słupa. Wierzchołek drżał, jakby coś niewidocznego próbowało go poruszyć z miejsca. Po chwili znieruchomiał i znów ujrzeliśmy ślad w kształcie litery V przesuwany się z powrotem w stronę brzegu.

Odwróciłam wzrok, nim aligator wynurzył się na powierzchnię.

Jamie podał mi książkę, wpatrując się w czarne błoto i chmarę rozwrzeszczanych ptaków.

- Dostałem od gubernatora. Powiedział, że to dzieło może nas zainteresować w czasie podróży.

Spojrzałam na płócienną okładkę. Tytuł, wybity złotymi literami na grzbiecie, brzmiał: Historia naturalna Karoliny Północnej.

- Uch! - sapnął Ian, patrząc z przerażeniem na scenę na brzegu. - Nigdy w życiu nie widziałem czegoś okropniejszego.

- Zainteresować - powtórzyłam, wpatrując się w książkę. - Tak, sądzę, że nas zainteresuje.

Fergus, w każdej sytuacji odporny na mdłości, z zaciekawieniem obserwował poruszenia gada.

- Aligator, mówicie. Ale to prawie to samo co krokodyl, tak?

- Tak - potwierdziłam, wzdrygając się mimo upału. Przeżyłam bliskie spotkanie z krokodylem w Indiach Zachodnich i nie miałam ochoty nawiązywać znajomości z żadnym z jego krewnych.

Fergus, ze wzrokiem utkwionym w tym obrzydliwym, otarł z górnej wargi kropelki potu.

- Doktor Stern opowiadał kiedyś milordowi i mnie o podróżach Francuza o nazwisku Sonnini, który był w Egipcie i opisał wszystko, co widział, a także obyczaje, o jakich mu opowiadano. Mówił, że krokodyle kopulują tam na błotnistych brzegach rzeki, w taki sposób, że samica leży na grzbiecie i nie jest w stanie podnieść się bez pomocy samca.

- Naprawdę? - Ian cały zamienił się w słuch.

- Naprawdę. Mówił, że niektórzy mężczyźni, wiedzeni zdeprawowanym impulsem, wykorzystują tę przymusową sytuację samic. Odpędzają samce i sami zajmują ich miejsce w nieludzkich objęciach gada. Podobno jest to niezwykle potężny czar, który pozwala zdobyć bogactwo i wysoką pozycję.

Tan szeroko otworzył usta.

- Chyba nie mówisz poważnie? - rzekł z niedowierzaniem i spojrzął na Jamiego. - Wujku?

Jamie z rozbawieniem wzruszył ramionami.

- Ja sam wolałbym wieść życie ubogie, lecz cnotliwe. - Uniósł brwi, zerkając w moją stronę. - A poza tym myślę, że twoja ciotka nie byłaby zbyt szczęśliwa, gdybym zamienił jej objęcia na objęcia gada.

Czarny mężczyzna, który słuchał tej rozmowy ze swojego miejsca na dziobie, potrząsnął głową i powiedział,

nie odwracając się:

- Moim zdaniem jeśli ktoś zbliża się do aligatora, aby się wzbogacić, to ma, czego chciał.

- To chyba racja - powiedziała i stanął mi przed oczami uroczy, zębaty uśmiech gubernatora. Spojrzałam na Jamiego, ale on już nie zwracał na mnie uwagi. Patrzył w górę rzeki, zapominając na chwilę zarówno o książce, jak i o aligatorze. Przynajmniej zapomniał również o morskiej chorobie.

Fala przyływu pochwyciła nas o kilometr powyżej Wilmington, uśmierając obawy Iana co do naszej prędkości. Cape Fear była rzeką pływową, przyływ sięgał prawie do dwóch trzecich jej długości, niemal tak daleko jak w Cross Creek.

Czułam, jak nurt przyspiesza. Łódź uniosła się o parę centymetrów, a potem również zaczęła przyspieszać, w miarę jak przyływ rozchodził się po zatoce i wpadał w wąski kanał rzeki.

Wyzwoleniec westchnął z ulgą i wyciągnął drąg z wody. Dopóki trwał przyływ, czyli przez jakieś pięć do sześciu godzin, nie było potrzeby popychać łodzi. Później zamierzaliśmy zacumować na noc i rannem wykorzystać kolejny przyływ albo, gdyby wiatr na to pozwolił, popłynąć dalej na żaglu. Wyjaśniono mi, że drąg był konieczny jedynie na mieliznach lub podczas bezwietrznych dni.

Uczucie senności ogarnęło cały statek. Fergus i Ian ułożyli się do snu na dziobie, a Rollo pilnował ich, leżąc na daszku kabiny z wywieszonym jęczorem i na wpół przymkniętymi oczami. Kapitan i jego pomocnik - który

miał na imię Eutroclus, choć zazwyczaj zwracano się do niego „e, Troklus” - zniknęli w kabynie i po chwili usłyszałam stamtąd melodyjne bulgotanie nalewanego płynu.

Jamie również poszedł do kabiny, by przynieść coś ze swej tajemniczej skrzyni. Miałam nadzieję, że będzie się to nadawało do picia, bo choć siedziałam na rufie ze stopami zanurzonymi w wodzie, a lekki wietrzyk poruszał mi włosy na karku, pociałam się we wszystkich zakamarkach ciała, gdzie skóra stykała się ze skórą.

Z kabiny dochodziły stłumione głosy i śmiech. Jamie wyłonił się z pomieszczenia i poszedł na rufę, ostrożnie stąpając między stertami towarów niczym ogier Clydesdale po polu pełnym żab. W ramionach trzymał spore drewniane pudełko. Położył mi je na kolanach, ściągnął buty i pończochy, usiadł koło mnie i z westchnieniem ulgi zanurzył nogi w chłodnej wodzie.

Z ciekawością powiodłam ręką po pudle.

- Co to takiego?

- Ach, to taki mały prezent. - Nie patrzył na mnie, ale koniuszki jego uszu zaczerwieniły się. - Hmm... otwórz.

Pudło było ciężkie, szerokie i głębokie, wyrzeźbione z ciemnego drewna o gęstych, cienkich słojach, poznaczone śladami intensywnego użytkowania. Wyszczerbienia i wgłębienia nie umniejszały jednak jego piękna, lecz dodawały mu patyny. Miało okucia na zamek, ale samego zamka brakowało. Pokrywa uniosła się lekko na naoliwionych, mosiężnych zawiasach, uwalniając zapach kamfory, który wydobył się ze środka niczym dżin z butelki.

W słońcu zabłyśły instrumenty lekarskie, wciąż

lśniące, choć pokryte mgiełką od długiego nieużywania, każdy we własnej przegródce, dopasowanej wymiarami i wyścielonej zielonym aksamitem. Mała piła z dużymi zębami, nożyczki, trzy skalpele - z zaokrąglonym, prostym i łyzeczkowatym ostrzem - srebrna szpatułka do gardła, haczyk chirurgiczny...

- Jamie! - Z zachwytem wzięłam do ręki hebanowy trzonek z doczepioną na końcu kulką przędzy, owiniętą wygryzionym nieco przez mole aksamitem. Widziałam coś takiego wcześniej w Wersalu, była to osiemnastowieczna wersja młoteczka neurologicznego. - Och, Jamie, jakie to piękne!

Z zadowoleniem pomachał stopami.

- Podobają ci się?

- Są cudowne! Och, zobacz, tu w wieku jest coś jeszcze, pod tą klapką... - Przez chwilę wpatrywałam się w kolekcję rurek, śrubek, płytek i lusterek, aż wreszcie mój umysł złożył je w zgrabną całość. - Mikroskop! - Dotknęłam go nabożnie. - Mój Boże, mikroskop.

- Tego jest więcej - powiedział Jamie, płonąć z niecierpliwości, by mi wszystko pokazać. - Przód się otwiera i w środku są szufladki.

Wysunęłam je i znalazłam, między innymi, miniaturową wagę z zestawem mosiężnych ciężarków, pigulnicę oraz pociemniały marmurowy mózdzierz. Tłuczek zawinięty był w kawałek tkaniny, by nie rozbił się podczas podróży. Nad szufladkami znajdowało się jeszcze kilka rzędów zakorkowanych szklanych i kamiennych buteleczek.

- Są przepiękne! - zachwyciłam się, z rewerencją biorąc do ręki skalpel. Wypolerowany drewniany trzonek

idealnie leżał w dłoni, a ostrze było znakomicie wyważone, jakby narzędzie zostało wykonane specjalnie dla mnie. - Och, Jamie, bardzo ci dziękuję!

- Jesteś zadowolona? - Uszy poczerwieniały mu z radości. - Tak myślałam, że może ci się to spodoba. Nie mam pojęcia, do czego te narzędzia służą, ale zauważyłem, że są doskonale wykonane.

Ja także nie miałam pojęcia, do czego miały służyć niektóre z instrumentów, ale wszystkie były piękne, zrobione dla kogoś, kto kochał swoją pracę.

- Jestem ciekawa, do kogo należały wcześniej? - Chuchnęłam na zaokrągloną powierzchnię soczewki i wypolerowałam ją fałdą spódnicy.

- Kobieta, która mi to sprzedała, nie wiedziała, ale właściciel pozostawił swoją książkę medyczną, więc wziąłem ją również. Może jest tam gdzieś zapisane jego nazwisko.

Pod tacą z instrumentami znajdowała się jeszcze jedna, płytsza przegroda, w której spoczywała gruba, kwadratowa książka, szeroka na jakieś dwadzieścia centymetrów i oprawiona w wytartą czarną skórę.

- Pomyślałem, że może ci się przydać taka książka. Miałaś podobną we Francji - przypomniał mi. - Robiłaś w niej rysunki i notatki o pacjentach z L'Hopital. On już trochę tu pisał, ale zostało jeszcze dużo pustych stron.

Jakaś jedna czwarta książki zapisana była gęstym, drobnym charakterem pisma. Między notatkami od czasu do czasu pojawiały się znajomo wyglądające schematyczne rysunki: owrzodziały palec u nogi, strzaskana rzepka ze schludnie odsuniętą na bok skórą kolana, groteskowo

powiększone wole, anatomiczny rysunek mięśni łydki, każdy z nich starannie podpisany.

Zajrzałam na sam początek i rzeczywiście, na pierwszej stronie wypisane było nazwisko ozdobione eleganckim zawijaszem: Dr Daniel Rawlings, Esq.

- Ciekawe, co się stało z doktorem Rawlingsem? Czy kobieta, od której kupiłeś tę skrzynkę, powiedziała coś więcej?

Jamie skinął głową i lekko zmarszczył brwi.

- Doktor zatrzymał się u niej na noc. Mówił, że przyjechał z Wirginii, bo miał tu jakąś sprawę do załatwienia. Przywiózł tę skrzynkę ze sobą. Szukał człowieka o nazwisku Garver, przynajmniej ona tak to rozumiała. Wyszedł gdzieś po kolacji i już nie wrócił.

Popatrzyłam na niego ze zdumieniem.

- Nigdy nie wrócił? I nie dowiedziała się, co się z nim stało?

Jamie pokręcił głową, odganiając chmarę muszek. Słońce już zachodziło, zabarwiając wodę na złotopomarańczowy kolor, i w miarę jak upał się zmniejszał, zaczynało się pojawiać coraz więcej owadów.

- Nie. Poszła do szeryfa i do sędziego, konstabl przeszukał całe miasto, ale doktor przepadł bez śladu. Szukali go przez tydzień, a potem się poddali. Nie powiedział gospodyni, z jakiego miasta w Wirginii pochodzi, więc nie mogli odszukać rodziny.

- Bardzo dziwne. - Otarłam kropelkę wilgoci z podbródka. - Kiedy to było?

- Mówiła, że w zeszłym roku. - Popatrzył na mnie, nieco zaniepokojony. - Nie przeszkadza ci to? To znaczy,

czy nie będziesz miała nic przeciwko używaniu jego rzeczy?

- Nie. - Zamknęłam wieko i pogładziłam je lekko. Ciemne drewno było ciepłe i gładkie. - Gdybym to ja była na jego miejscu, chciałabym, żeby ktoś używał tych narzędzi.

Przyplęnęło do mnie wyraźne wspomnienie mojej własnej torby lekarskiej, zrobionej z kurdybanu, z pozłacanymi inicjałami na ręczce.

To znaczy, były pozłacane, dopóki się nie wytarły, skóra od częstego używania również zrobiła się gładka i błyszcząca. Dostałam tę torbę od Franka, gdy ukończyłam studia medyczne, a potem oddałam ją mojemu przyjacielowi Joemu Abernathy'emu; chciałam, by używał jej ktoś, kto będzie ją cenił tak samo jak ja.

Jamie zauważył, że przez moją twarz przebiegł cień, i jego oczy również pociemniały. Wzięłam go za rękę i uścisnęłam.

- To fantastyczny prezent. Jakim cudem na nią trafiłeś?

Odpowiedział mi uśmiechem. Słońce opadło już nisko, pomarańczowa kula błysnęła na chwilę między ciemnymi wierzchołkami drzew.

- Zauważyłem tę skrzynkę, gdy wszedłem do złotnika - to jego żona ją przechowywała. Wróciłem tam wczoraj, żeby coś ci kupić, może broszkę. Żona złotnika pokazała mi różne błyskotki, rozmawialiśmy o tym i o owym, opowiedziała mi o doktorze, no i... - Wzruszył ramionami.

- Dlaczego chciałeś mi kupić biżuterię? - Spojrzałam na niego zaskoczona. Mieliśmy jeszcze trochę pieniędzy ze

sprzedaży rubinu, ale Jamie nigdy nie był rozrzutny, a zważywszy na okoliczności... - Och! Chciałeś mi wynagrodzić to, że wysłałeś pieniądze Laoghaire?

Przecież powiedziałam ci, że nie mam nic przeciwko temu.

Choć nie miał na to ochoty, zorganizował przesłanie większej części dochodu ze sprzedaży kamienia do Szkocji, wypełniając w ten sposób obietnicę złożoną Laoghaire MacKenzie - niech ją diabli - Fraser, z którą ożenił się wskutek perswazji siostry, przekonany, że nawet jeśli żyję, to w każdym razie już do niego nie wrócę. Było to całkiem logiczne założenie i moje zmartwychwstanie spowodowało sporo komplikacji, wśród których osoba Laoghaire nie była wcale najmniejszą.

- No tak, tak powiedziałaś - odrzekł, nie kryjąc cynizmu.

- Mówiłam szczerze... prawie zupełnie szczerze. - Roześmiałam się. - Przecież nie możesz pozwolić, żeby ta jędza umarła z głodu, choć to bardzo pociągająca myśl.

Jamie uśmiechnął się blado.

- Nie. Nie chciałbym jej mieć na sumieniu, i bez tego jest wystarczająco obciążone. Ale nie dlatego chciałem ci kupić prezent.

- W takim razie dlaczego? - Solidny ciężar pudła na moich kolanach sprawiał mi przyjemność, jego dotyk napełniał mnie rozkoszą. Jamie obrócił głowę i spojrzał prosto na moją twarz. Jego włosy zdawały się płonąć w zachodzącym słońcu, a twarz była jedynie ciemnym konturem.

- Dziś mijają dwadzieścia cztery lata od dnia, gdy cię

poślubiłem, Angielko - powiedział cicho. - Mam nadzieję, że nie będziesz mieć powodów, by tego żałować.

Tereny po obu stronach rzeki były zasiedlone, od Wilmington aż po Cross Creek rozciągały się plantacje, brzegi jednak porastał gęsty las. Od czasu do czasu pomiędzy drzewami dostrzegaliśmy pola uprawne, trafiały się również na wpół ukryte między listowiem drewniane przystanie.

Posuwaliśmy się powoli w górę rzeki, wykorzystując przypływ i cumując na noc, gdy nurt zmieniał bieg. Kolacje jadaliśmy przy ognisku na brzegu, ale spaliśmy na łodzi; Eutroclus wspominał o węzłach wodnych, które, jak twierdził, gnieździły się w jamach poniżej linii wody, ale lubiły z nich wychodzić i ogrzewać się przy ciałach niczego niepodejrzewających śpiących ludzi.

Krótko przed świtem obudził mnie cichy odgłos przepływającego obok statku. Poczulałam, gdy kilwater zakołysał naszym kadłubem. Od spania na pokładzie byłam zeszytniała i bolało mnie całe ciało.

Jamie poruszył się przez sen, obrócił się i przytulił mnie do siebie.

Czułam, jak jego ciało porusza się za moimi plecami w porannym, paradoksalnym pomieszaniu uśpienia i podniecenia.

Mruknął coś sennie i jego ręka powędrowała do skraju mojej pamiętej koszuli.

- Przestań - szepnęłam, odsuwając jego ramię. - Na miłość boską, nie zapominaj, gdzie jesteście!

Od strony brzegu dochodziły mnie krzyki Iana i szczekanie Rolla, biegnących w jedną i w drugą stronę. Z

kabiny słycać było odgłosy chrząkania i plucia, zwiastujące rychłe pojawienie się na pokładzie kapitana Freemana.

- Och - powiedział Jamie, przytomniejąc. - Rzeczywiście. Jaka szkoda. - Wyciągnął ręce, obiema dłońmi ścisnął moje piersi i przeciągnął się powoli, dając mi wyraźnie do zrozumienia, co tracę. - No cóż - dodał niechętnie. Rozluźnił się, ale nie wypuścił mnie z objęć. - Foeda est in coitu, hm?

- Co?

- Foeda est in coitu et breois voluptas - wyrecytował usłużnie. - Et taedat Venieis statim peractae. Czynienie tego jest przyjemnością nieczystą i krótką. A potem czujemy żal.

Popatrzyłam na pokryte plamami deski pokładu.

- Właściwie słowo „nieczysty” bardzo dobrze tu pasuje - zgodziłam się - ale...

- To nie nieczystość tego uczynku mnie martwi, Angielko - przerwał mi, krzywiąc się z niezadowoleniem na widok Iana, który wisiał na burcie, pokrzykując z zachętą do pływającego Rolla. - Tylko krótkość.

Obrzucił wzrokiem moją rozmemłaną postać i jego niezadowolenie zmieniło się w aprobatę.

- Chcę to zrobić bez pośpiechu, rozumiesz?

Wydawało się, że ten klasyczny sposób rozpoczęcia dnia znacząco wpływał na stan umysłu Jamiego. Słyszałam ich rozmowę, siedząc w popołudniowym słońcu i wertując opisy przypadków z książki Daniela Rawlingsa - jednocześnie zachwycające, zabawne i zatrważające.

Głos Jamiego wznosił się i opadał w uporządkowanym rytmie starożytnej greki. Słyszałam już

wcześniej ten fragment - pochodził z Odysei. W pewnej chwili Jamie pytająco zawiesił głos.

- Ach... - mruknął Ian.

- Co jest dalej, Ian?

- Eee...

- Jeszcze raz - rzekł Jamie z odcieniem irytacji. - Uważaj, człowieku. Nie recytuję przecież dla przyjemności słuchania własnego głosu!

Podjął recytację i eleganckie, uroczyste frazy szybko zaczęły nabierać życia. Być może jemu samemu słuchanie własnego głosu nie sprawiało przyjemności, ale mnie tak. Nie znałam greki, ale wznoszenie się i opadanie sylab wymawianych miękkim, głębokim tonem było równie kojące jak uderzenia wody o kadłub.

Pogodził się w końcu z ciągłą obecnością siostrzeńca i bardzo poważnie potraktował rolę opiekuna. Starał się wychowywać chłopaka i wykorzystywał nieliczne wolne chwile podczas podróży na nauczanie go, czy też raczej próby nauczania, podstaw gramatyki greckiej i łacińskiej oraz rozwinięcia jego umiejętności matematycznych i francuskiej konwersacji. Szczęśliwie Ian, podobnie jak jego wuj, również miał wrodzony talent do matematyki; ścianę kabiny za mną pokrywały dowody Euklidesa wypisane zwęglonym patykiem. Jednak gdy chodziło o naukę języków, znacznie trudniej było im znaleźć wspólny grunt.

Jamie był urodzonym poliglotą, przyswajał języki i dialekty bez żadnego wysiłku, a idiomy same przyczepiały się do niego jak rzepy do sierści psa ganiającego po polach. Ponadto studiował języki klasyczne na Uniwersytecie w Paryżu i choć nie we wszystkim zgadzał się z rzymskimi

filozofami, traktował Homera i Wergiliusza jak swoich bliskich przyjaciół.

Ian od urodzenia mówił po gaelicku i angielsku, a ponadto nauczył się od Fergusa trochę potocznego francuskiego, i uważał, że to w zupełności wystarczy. Dysponował również imponującym repertuarem przekleństw w sześciu czy siedmiu innych językach, przyswojonych od różnych podejrzanych indywiduów, z którymi miał okazję zetknąć się ostatnimi czasy - niestety, pod tym względem własny wuj również miał na niego nie najlepszy wpływ - ale jego pojęcie o łacińskich koniugacjach było w najlepszym wypadku bardzo mgliste. Nie widział żadnego sensu w uczeniu się języków, które nie tylko były martwe, ale również wydawały mu się zupełnie bezużyteczne. Homer nie umywał się do wrażeń, jakich dostarczał mu Nowy Świat, perspektywa przygód rozciągająca się od jednego do drugiego oceanu.

Jamie zakończył recytację i z westchnieniem, które doskonale usłyszałam, wysłał Iana po łacińską książkę, wypożyczoną z biblioteki gubernatora Tryona. Teraz już nic mnie nie rozpraszało, toteż powróciłam do studiowania książki doktora Rawlingsa.

Doktor, podobnie jak ja, posiadał pewną znajomość łaciny, ale większość notatek napisana była po angielsku, jedynie tu i ówdzie pojawiały się wtrącone łacińskie terminy.

Pan Beddoes: upuściłem pintę krwi. Nastąpiło zauważalne zmniejszenie żółciowych humorów i poprawa kolorytu cery.

Zażółcenie i gnębiące go krosty ustąpiły w

znacznym stopniu.

Zalecenia: czarne piwo dla oczyszczenia krwi

- Dureń - mruknąłam, już nie po raz pierwszy. - Nie widzisz, że ten człowiek ma problemy z wątrobą? - Zapewne była to lekka marskość. Rawlings zauważył niewielkie powiększenie i stwardnienie wątroby, lecz uznał te objawy za skutek nadmiernego wydzielania żółci. Wyglądało mi to na zatrucie alkoholowe, krosty na twarzy i klatce piersiowej były charakterystyczne dla niedożywienia, które zwykle wiązało się z nadmiernym spożyciem alkoholu. Bóg świadkiem, że była to bardzo powszechna dolegliwość.

Beddoes, o ile jeszcze żył - w co szczerze wątpiłam - zapewne wypijał dziennie nawet kwartę rozmaitych trunków i od wielu miesięcy nawet nie powąchał żadnego warzywa. Krosty, z których zniknięcia Rawlings był tak dumny, najpewniej ustąpiły dlatego, że w jego recepturze na czarne piwo składnikiem koloryzującym były liście rzepy.

Pogrążona w lekturze słyszałam po drugiej stronie kabiny głos Iana, który jękając się i zacinając, usiłował tłumaczyć De virtute Platona (Fragment, który Jamie cytuje, pochodzi z komedii Plauta Amfitrion (przyp. tłum.)). Głęboki głos Jamiego poprawiał go co drugą linijkę.

- Virtus praemium est optimus...

- Optimum.

- ...est optimum. Virtus omnibus rebus... i... eee... i...

- Anteit.

- Dziękuję, wujku. Virtus omnibus rebus anteit...

profectus?

- Profecto.

- Ach tak, profecto. Hm... Virtus?

- Libertas. Libertas salus vita res et parentes, patria et prognati... Pamiętasz, co znaczy vita, Ian?

- Życie - odrzekł Ian radośnie, dostrzegając wreszcie znajomy obiekt wśród burzliwych fal nieznanego morza.

- Tak, dobrze, ale to coś więcej niż życie. Po łacinie to słowo oznacza nie tylko bycie żywym, ale także substancję, z której stworzony jest człowiek. Posłuchaj, co jest dalej: ...libertas salus vita res et parentes, patria et prognati tutantur, servantur; virtus omnia in sese habet, omnia adsunt bona quem penest virtus. Jak myślisz, co on chce tu powiedzieć?

- Że... cnota jest dobrą rzeczą? - zaryzykował Ian.

Zapadła chwila ciszy, w której prawie słyszałam, jak ciśnienie krwi Jamiego rośnie. Wciągnął oddech z głośnym sykiem, ale najwyraźniej ugryzł się w język i wypuścił powietrze powoli i z rezygnacją.

- Mhmm. Popatrz, Ian. Tutantur, servantur. Co miał na myśli, używając tych dwóch słów razem, zamiast powiedzieć...

Przestałam zwracać na nich uwagę i wróciłam do książki, gdzie doktor Rawlings zdawał relację z następstw pojedynku.

15 maja. Zerwano mnie z łóżka o świcie, bym zajął się mężczyzną w gospodzie Pod Czerwonym Psem. Znalazłem go w złym stanie, z raną dłoni spowodowaną przez niewypał pistoletu. Kciuk i palec wskazujący zostały wyrwane przy eksplozji, środkowy palec poszarpany, a dwie trzecie dłoni poranione do tego stopnia, że dłoń zupełnie nie

przypominała ludzkiej kończyny.

Uznałem, że konieczna jest amputacja. Posłałem po gospodarza i kazałem sobie przynieść garnuszek brandy i płótna na opatrunki, jak również zapewnić pomoc dwóch silnych mężczyzn. Wszystkie moje życzenia natychmiast zaspokojono. Unieruchomiwszy pacjenta, przystąpiłem do odejmowania dłoni - na nieszczęście dla niego, była to prawa dłoń - tuż nad nadgarstkiem. Udało mi się podwiązać dwie arterie, niestety anterior interosseus po przecięciu kości zagłębił się w ciele i zmuszony byłem rozluźnić opaskę uciskową, by go odnaleźć.

Rezultatem było znaczne krwawienie, co jednak okazało się fortunnym zbiegiem okoliczności, duży wpływ krwi spowodował bowiem utratę przytomności pacjenta, ujmując mu cierpień i kładąc kres szarpaninie, która znacznie utrudniała mi pracę.

Amputacja została zakończona pomyślnie i pacjenta położono do łóżka. Pozostałem w pobliżu na wypadek, gdyby gwałtownie odzyskał przytomność i przypadkowymi ruchami uszkodził nałożone szwy.

Tę fascynującą lekturę przerwał mi nagły wybuch Jamiego, który najwyraźniej doszedł już do kresu wytrzymałości.

- Ian, twoja łacina to kompletny wstyd! A jeśli chodzi o grekę, nie potrafisz nawet odróżnić wody od wina!

- Skoro oni to piją, to nie może to być woda - wymamrotał Ian buntowniczo. Wydawało się, że za chwilę potrzebny im będzie rozjemca. Zamknęłam książkę, podniosłam się szybko i okrążyłam kabinę. Ian wydawał z siebie krótkie, szkockie pomruki niezadowolenia.

- No tak, hm, ale mnie to za bardzo nie obchodzi...

- Widzę, że cię nie obchodzi! I to właśnie jest najgorsze, że zupełnie nie wstydzisz się swojej ignorancji!

Zapanowało napięte milczenie, przerywane dochodzącym z rufy pluskiem drąga Troklusa. Wyjrzałam ostrożnie zza rogu. Jamie piorunował wzrokiem zmieszanego siostrzeńca. Ian zauważył mnie i odchrząknął.

- Wiesz co, wujku Jamie, gdyby wstyd mógł tu coś pomóc, to na pewno bym się zarumienił.

Miał tak nieszczęśliwą minę, że nie mogłam się powstrzymać od śmiechu. Jamie odwrócił się i jego złość trochę przygasła.

- Nie mam z ciebie żadnego pożytku, Angielko - powiedział. - Przecież znasz trochę łacinę? Musisz znać, skoro jesteś lekarzem.

Może zostawię tę naukę tobie?

Pokręciłam głową. Znałam łacinę na tyle, by móc czytać, koślawo i mozolnie, ale wołałam nie uszczęśliwiać Iana wbijaniem mu do głowy żalonych szczątków mojej wiedzy.

- Pamiętam tylko Arma virumque cano. - Spojrzałam na Iana i przetłumaczyłam z szerokim uśmiechem: - Pies odgryzł mi ramię.

Ian zachichotał, a Jamie rzucił mi spojrzenie pełne głębokiego rozczarowania. Westchnął i przesunął dłonią po włosach. Jamie i Ian nie byli do siebie fizycznie podobni z wyjątkiem wzrostu, ale obydwaj mieli gęste włosy, które przeczesywali ręką w chwilach wzburzenia lub zamyślenia. Wyglądało na to, że była to stresująca lekcja - obydwaj wyglądali jak przeciwnicy przez maglownicę.

W końcu Jamie uśmiechnął się do mnie krzywo, a potem popatrzył na Iana i pokręcił głową.

- No dobrze. Naprawdę przykro mi, że tak na ciebie nakrzyczałem, Ian, ale masz bystry umysł i szkoda by go było zmarnować. Boże, człowieku, w twoim wieku zaczynałem już studia na Uniwersyte w Paryżu!

Ian wpatrywał się w brązowe zmarszczki wody opływającej burty łodzi. Jego dłonie, oparte na relingu, były wielkie i zbrązowiałe od słońca.

- No tak - powiedział. - Mój ojciec w tym wieku też był we Francji. Walczył. Zaskoczyło mnie to. Wiedziałam, że starszy Ian służył w swoim czasie we Francji, ale nie wiedziałam, że poszedł do wojska w tak młodym wieku ani że służył tak długo. Młody Ian miał zaledwie piętnaście lat.

Jego ojciec od piętnastego roku życia był najemnikiem i walczył za granicą, do czasu, gdy w wieku dwudziestu dwóch lat kartacz roztrzaskał mu nogę tak paskudnie, że trzeba było ją amputować poniżej kolana. Wtedy wrócił do domu.

Jamie przez chwilę patrzył na siostrzeńca ze zmarszczonym czołem, a potem stanął obok niego, opierając dłonie o reling za plecami.

- Wiem o tym - powiedział cicho. - Bo w cztery lata później, gdy zostałem wyjęty spod prawa, poszedłem w jego ślady.

Ian podniósł głowę, zaskoczony.

- Byliście razem we Francji?

Ruch statku powodował lekki powiew, ale nadal było bardzo gorąco. Może to upał sprawił, że Jamie postanowił na razie zostawić temat nauczania w spokoju.

Skinął głową i uniósł warkocz do góry, by ochłodzić kark.

- We Flandrii, ponad rok, jeszcze zanim Ian został ranny i odesłano go do domu. Walczyliśmy w regimencie szkockich najemników Fergususa mac Leodhasa.

W oczach Iana błysnęło zainteresowanie.

- Czy nasz Fergus dostał imię po tym Fergusie?

- Tak - uśmiechnął się Jamie. - Dałem mu imię na cześć mac Leodhasa; to był dobry człowiek i do tego waleczny żołnierz. Miał dobre zdanie o Ianie. Twój tato nigdy ci o nim nie opowiadał?

Ian pokręcił głową i zachmurzył się.

- Nie, nigdy o tym nie mówił. Ja... wiedziałem tylko, że stracił nogę, walcząc we Francji. Mama mi powiedziała, gdy ją zapytałem.

On sam nigdy nie wspomniał o tym ani słowem.

Mając świeżo w pamięci opis amputacji przeprowadzonej przez doktora Rawlingsa, pomyślałam, że starszy Ian zapewne wołał nie przypominać sobie tej okoliczności.

Jamie wzruszył ramionami, odlepiając od piersi przepoconą koszulę.

- No tak. Pewnie wołał zostawić to wszystko za sobą, gdy wrócił do kraju i osiedlił się w Lallybroch. A potem... - Zawahał się, ale Ian natychmiast zapytał:

- Co było potem, wujku?

Kącik ust Jamiego powędrował do góry.

- Myślę, że nie chciał opowiadać swoim synom o wojnie i walce, żebyście za wiele o tym nie myśleli i nie zechcieli sami zostać żołnierzami. Obydwoje z twoją matką chcieli dla was lepszego życia.

Pomyślałam, że to było bardzo mądre posunięcie ze strony starszego Iana - na twarzy jego syna widać było wyraźnie, że nic na świecie nie wydaje mu się bardziej ekscytujące niż wojna i walka.

- To musiała być robota mamy - rzekł z dezaprobatą.
- Gdybym jej pozwolił, to najchętniej zawinęłaby mnie w pieluchy i przywiązała do swojej spódnicy.

Jamie uśmiechnął się.

- Gdybyś jej pozwolił, tak? A myślisz, że gdybyś w tej chwili pojawił się w domu, to obsypałaby cię całusami?

Ian porzucił pogardliwą pozę.

- Chyba nie - przyznał. - Raczej by mnie oskalpowała.

- Wiesz jednak coś o kobietach, nawet jeśli nie tak wiele, jak ci się wydaje - zaśmiał się Jamie.

Ian przeniósł sceptyczne spojrzenie na mnie i znów wrócił wzrokiem do twarzy Jamiego.

- Przypuszczam, wujku, że ty wiesz o nich wszystko?

Uniosłam brwi, czekając na odpowiedź Jamiego, ale on tylko się zaśmiał.

- Ten jest mądrym człowiekiem, kto zna granice swojej wiedzy, Ianie. - Pochylił się i pocałował moje spocone czoło, a potem dodał w stronę siostrzeńca: - Choć bardzo bym pragnął, żebyś zechciał nieco rozszerzyć swoje granice.

Ian ze znużeniem wzruszył ramionami.

- Nie zamierzam zostać dżentelmenem. W końcu Młody Jamie i Michael nie umieją czytać po grecku, a radzą sobie całkiem dobrze!

Jamie z zamyśleniem potarł nos.

- Młody Jamie ma Lallybroch. A mały Michael zadomowił się u Jareda w Paryżu. Oni mają już zapewnioną przyszłość. Zrobiliśmy dla nich, co mogliśmy, ale gdy dorastali, nie było pieniędzy na podróże i naukę. Nie mieli zbyt wielkiego wyboru.

Puścił reling i wyprostował się.

- Ale twoi rodzice chcieliby dla ciebie jak najlepiej. Chcieliby, byś był wykształconym i wpływowym człowiekiem, duine uasal.

Słyszałam już wcześniej to gaelickie wyrażenie. Dosłownie oznaczało człowieka honoru. Określano w ten sposób dzierżawców i właścicieli ziemskich, ludzi majątnych i obdarzonych władzą, nad którymi w hierarchii znajdowali się tylko przywódcy góralskich klanów. Takim człowiekiem był Jamie przed powstaniem.

- Mhm. A ty zrobiłeś to, czego chcieli twoi rodzice, wujku? - Spojrzenie, jakim Ian obrzucił Jamiego, było nieskończenie łagodne, tylko nieznaczny błysk w oku świadczył o tym, że był świadomy, po jak grząskim gruncie stąpa. Jamie miał zostać duine uasal; wedle prawa Lallybroch należało do niego, ale jedynym legalnym sposobem, żeby ocalić majątek od konfiskaty, było przekazanie go Młodemu Jamiemu.

Jamie patrzył na niego przez chwilę, pocierając górną wargę kostkami dłoni.

- Mówiłem, że jesteś bystry - mruknął. - Ale skoro pytasz... Uczono mnie, że moim obowiązkiem są dwie rzeczy: chronić ziemię i ludzi oraz dbać o rodzinę. Robiłem to najlepiej, jak potrafiłem, i nadal będę to robił. Ian

zawstydził się nieco.

- Ja, hmm, nie chciałem powiedzieć... - wymamrotał, wpatrując się w pokład.

Jamie pocieszająco poklepał go po ramieniu.

- Nie martw się, chłopcze. Nie pozwolę, byś się zmarnował, choćby tylko ze względu na twoją matkę. Nie pozwolę, choćby to miało wykończyć nas obydwu. A teraz chyba moja kolej przy wiosle.

Spojrzał przed siebie na ramiona Troklusa, umięśnione od ciężkiej pracy i lśniące jak naoliwiona miedź. Rozsznurował bryczesy - w przeciwieństwie do innych mężczyzn nie zdejmował do wiosłowania koszuli, lecz spodnie - w góralskim stylu związał poły koszuli w węzeł między udami i skinął głową do Iana.

- Zastanów się nad tym, chłopcze. To, że jesteś najmłodszym synem, nie oznacza jeszcze, że wolno ci zmarnować sobie życie.

Z olśniewającym uśmiechem wręczył mi spodnie, a potem, wciąż trzymając moją dłoń w swojej, wyprostował się i kładąc drugą dłoń na sercu, zaczął deklamować: Arno, amas, spotkałem raz Dziewczynę jak marzenie; Futurum tempus - przyszedł czas, Chyba się z nią ożenię.

Skłonił się z wdziękiem w stronę Iana, który związał się ze śmiechu, i pod niósł moją dłoń do ust, mrużąc złośliwie oczy.

Och, jakże bella moja puella, Głos dulcis jak trel słowika, Oculus śmiały i manus biały Jak czapka młynarczyka.

Pragnę jej złożyć uszanowanie W secula seculorum; Tuszę, że uxor mojaż zostanie, O dies benedictorum.

Z uroczystym mrugnięciem złożył mi ukłon i oddalił się w swojej koszuli.

9. Dwie trzecie ducha

Powierzchnia rzeki lśniła jak oliwa. Woda płynęła gładko, bez żadnej zmarszczki. Na sterburcie przy dziobie wisiała latarnia, z niskiego stołka na przednim pokładzie widziałam jej światło, nie tyle odbite w wodzie, ile uwięzione pod nią, przesuwające się powoli wraz z łodzią. Cienki sierp księżyca blade przebijał między wierzchołkami drzew. Za gęstymi drzewami na brzegach rzeki ciągnęły się mroczne, rozległe przestrzenie pól ryżowych i plantacji tytoniu. Ziemia wchłonęła upał dnia i pod powierzchnią gleby promieniowała niewidzialną energią; na bogatych, żyznych nizinach, skrytych za zasłoną sosen i ambrowców, w czarnym ciepłe zachodziła alchemiczna przemiana wody i uwięzonego słońca.

Pociliśmy się przy każdym ruchu. Ciepłe podmuchy gęstego powietrza pieściły moją twarz i ramiona.

W mroku za mną rozległ się szelest. Podniosłam rękę, nie oglądając się za siebie. Duża dłoń Jamiego delikatnie pochwyciła moją, uściśniła ją i puściła. Nawet od tak krótkiego kontaktu palce natychmiast mi zwilgotniały.

Jamie usiadł obok mnie i z westchnieniem szarpnął kołnierzyk koszuli.

- Mam wrażenie, że ostatni raz oddychałem powietrzem, gdy byliśmy w Georgii - powiedział. - Przy każdym oddechu wydaje mi się, że tonę.

Zaśmiałam się, czując łaskotanie kropelek potu spływających między piersiami.

- Wszyscy mówią, że w Cross Creek powinno być

chłodniej. - Wzięłam głęboki oddech, żeby udowodnić sobie, że jest to jednak możliwe. - Ale za to pachnie tu przepięknie.

Ciemność uwolniła mocne, zielone zapachy drzew i roślin rosnących na brzegach rzeki, mieszając je z wonią przybrzeżnego mułu i wygrzanych słońcem desek pokładu.

Jamie z westchnieniem oparł się o ścianę kabiny.

- Nadawałaś się na psa, Angielko. Nic dziwnego, że ta bestia tak cię uwielbia.

Stukot pazurów po pokładzie oznajmił przybycie Rolla. Ostrożnie zbliżył się do relingu, zatrzymał się o jakieś pół metra od niego i ułożył wygodnie na pokładzie, a potem oparł nos na łapach i głęboko westchnął. Rollo nie znosił łodzi prawie tak samo jak Jamie.

- Dzień dobry - powiedziała, dając mu do powąchania dłoń.

Uprzejmie pozwolił podrapać się za uszami. - A gdzie jest twój pan?

- W kabinie. Ćwiczy się w szulerskich sztuczkach - wyjaśnił Jamie oschle. - Bóg jeden wie, co będzie z tym chłopakiem. Jeśli nikt go nie zastrzeli ani nie da mu po głowie w jakiejś tawernie, to pewnie niedługo przyniesie do domu strusia wygranego w faro.

- Ale w górach chyba nie ma strusi ani gry w faro? Skoro nie ma tam miast, to nie ma i tawern.

- Chyba nie - zgodził się Jamie. - Ale jeśli człowiek chce skręcić na złą drogę, to wszędzie znajdzie jakiś sposób.

- Jestem pewna, że Ian nie skręci na złą drogę - powiedziała łagodnie. - To dobry chłopak.

- To już mężczyzna - poprawił mnie Jamie,

nadstawiając ucha w stronę kabiny, skąd dochodziły przytłumione śmiechy przeplatane od czasu do czasu przekleństwami. - Bardzo młody i jeszcze ma pusto w głowie. - Popatrzył na mnie ze smutnym uśmiechem. - Gdyby wciąż był małym chłopcem, łatwiej byłoby mi go upilnować, a tak... - Wzruszył ramionami. - Jest już na tyle dorosły, że sam może o siebie zadbać, a ja nie powinienem wtykać nosa w jego sprawy.

- On zawsze cię słucha - zaprotestowałam.

- Mhm. Poczekaj tylko, aż powiem coś, co mu się nie spodoba. - Oparł głowę o ścianę i przymknął oczy. Pot błyszczał na jego policzkach, mała strużka spływała po nosie. Wyciągnęłam palec i zebrałam kropelkę, nim zdążyła spaść na koszulę.

- Od dwóch miesięcy powtarzasz mu, że musi wrócić do domu, do Szkocji. To z pewnością mu się nie podoba.

Jamie otworzył jedno oko i spojrzał na mnie cynicznie.

- I co, wrócił do Szkocji?

- Nie...

- Mhmm - mruknął i znów zamknął oko.

Przez chwilę siedziałam w milczeniu, ocierając twarz brzegiem spódnicy. Znajdowaliśmy się w zwężeniu rzeki, bliższy brzeg oddalony był zaledwie o parę metrów. Usłyszałam szelest między krzakami i jakieś oczy zapłonęły na czerwono, odbijając światło naszej latarni. Rollo uniósł głowę, zastrzygł uszami i ostro szczechnął.

Jamie otworzył oczy i gwałtownie usiadł, wpatrując się w brzeg.

- Chryste! Największy szczur, jakiego widziałem w życiu!

Zaśmiałam się.

- To nie szczur, to opos. Widzisz młode na jej grzbiecie?

Jamie i Rollo obrzucili oposa identycznymi spojrzeniami, szacując jego zaokrąglone kształty i potencjalną szybkość. Z grzbietu matki, poruszając spiczastymi noskami, poważnie spoglądały na nas cztery małe oposięta. Samica najwyraźniej nie uznała łodzi za zagrożenie; spokojnie skończyła kąpiel, zawróciła i powoli wytoczyła się w zarośla. Po chwili koniuszek jej nagiego, różowego ogona znalazł się poza kręgiem światła latarni.

Dwóch myśliwych wydało z siebie identyczne westchnienia.

- Myers mówił, że są dobre do jedzenia - rzekł Jamie z tęsknotą w głosie.

Teraz ja westchnęłam. Pogrzebałam w kieszeni i podałam mu płócienny woreczek.

- Co to jest? - Zajrzał z zainteresowaniem do środka i wysypał na dłoń małe, chropowate, brązowe grudki.

- Prażone orzeszki - wyjaśniłam. - Rosną pod ziemią. Spotkałam farmera, który sprzedawał je jako karmę dla świń, i gospodyni uprzyła mi trochę. Trzeba zdjąć skorupkę. - Uśmiechnęłam się do niego z satysfakcją; przynajmniej raz wiedziałam o otoczeniu więcej niż on.

Rzucił mi nieco gniewne spojrzenie, zmiażdżył skorupkę między palcami i wydobyl z niej trzy orzeszki.

- Jestem ignorantem, Angielko - powiedział. - Ale nie głupcem.

A to jest różnica, jasne? - Włożył orzeszek do ust i ostrożnie ugryzł.

Już po chwili jego sceptycyzm zmienił się w przyjemne zaskoczenie; z rosnącym entuzjazmem wrzucał do ust kolejne orzeszki.

- Smakują ci? - Uśmiechnęłam się, zadowolona. - Jak tylko gdzieś osiadziemy i rozpakuję mój nowy mózdzierz, zrobię ci masło orzechowe.

Odpowiedział mi uśmiechem i rozgniół kolejny orzeszek.

- Muszę przyznać, że te bagna są bardzo żyzne. Jeszcze nigdy nie widziałem miejsca, gdzie wszystko rosłoby tak bujnie jak tu.

Wrzucił do ust jeszcze jeden orzeszek.

- Tak się zastanawiałem, Angielko - zaczął niepewnie, patrząc na swoje dłonie. - Co byś na to powiedziała, gdybyśmy gdzieś tu osiedli?

To pytanie właściwie nie było dla mnie niespodzianką. Już wcześniej zauważyłam, że lustruje czarne poła i bujną roślinność z błyskiem w oku, widziałam też, z jakim podziwem patrzył na konie gubernatora. Nie zanosilo się na to, byśmy mogli wkrótce wrócić do Szkocji. Ian, owszem, mógł to zrobić, ale jeśli chodziło o Jamiego i o mnie, istniały pewne komplikacje, między innymi te związane z nazwiskiem Laoghair MacKenzie.

- Nie wiem - odpowiedziałam powoli. - Tu są Indianie i dzikie zwierzęta...

- No wiesz - przerwał mi z lekkim zakłopotaniem. - Myers mówił, że nie ma z tym żadnego kłopotu, tylko trzeba się trzymać z dala od gór.

Ugryzłam się w język, by mu nie przypomnieć, że przyjęcie oferty gubernatora zaprowadziłoby nas prosto w owe góry.

- Tak, ale pamiętasz chyba, co ci mówiłam o rewolucji? Teraz mamy rok tysiąc siedemset sześćdziesiąty siódmy. Słyszałeś rozmowę przy stole u gubernatora. Jeszcze dziewięć lat, Jamie, i rozpęta się tu piekło. - Obydwoje przeżyliśmy wojnę i żadne z nas nie było w stanie zlekceważyć myśli o kolejnej. Położyłam rękę na jego ramieniu, zmuszając go, by na mnie spojrzał. - Wiesz, że przedtem miałam rację. - Wiedziałam, co wydarzy się pod Culloden, uprzedziłam go, jaki los czeka Karola Stuarta i jego ludzi, ale ani moja, ani jego wiedza nie wystarczyła, by nas uchronić. Za tą wiedzą stało dwadzieścia bolesnych lat rozłąki i duch córki, której nigdy nie miał zobaczyć.

Powoli skinął głową i uniósł rękę, by dotknąć mojego policzka.

Chmury malutkich komarów, zwabione delikatną poświatą latarni, zawirowały nagle, przestraszone tym ruchem.

- Tak, miałaś rację - powiedział miękko. - Jednak wtedy... myśleliśmy, że musimy zmienić bieg rzeczy. A przynajmniej próbować. Ale tutaj... - Odwrócił się i wskazał ręką na niewidoczną przestrzeń łądu za drzewami. - To tutaj to nie jest moja sprawa. Nie zamierzam w tym ani pomagać, ani przeszkadzać - powiedział po prostu.

Odpędziłam komara od twarzy.

- Jeśli tu zamieszkamy, to będzie twoja sprawa.

Z zastanowieniem potarł palcem usta. Na jego podbródku lśniła ruda szczecina, gdzieniegdzie przetykana

siwizną. Był wysokim, silnym i przystojnym mężczyzną w kwiecie wieku, ale wyrósł już z młodzieńczych lat i nagle uświadomiłam sobie, że bardzo się z tego cieszę.

Górali wychowywano do walki. Chłopiec stawał się mężczyzną, gdy był w stanie unieść miecz i stanąć do bitwy. Jamie nigdy nie był lekkomyślny, ale większość swojego życia spędził jako wojownik i żołnierz. Gdy miał dwadzieścia kilka lat, nic go nie mogło powstrzymać od walki, bez względu na to, czy była to jego sprawa, czy cudza. Ale teraz, gdy już przekroczył czterdziestkę, rozsądek utemperował trochę namiętności - a przynajmniej miałam taką nadzieję.

I rzeczywiście: poza nieznaną ciotką nie miał tu żadnej rodziny, żadnych więzi, które mogłyby zmusić go do zaangażowania. Może wiedza o tym, co ma nadejść, pozwoli nam uchronić się od najgorszego?

- To wielki kraj, Angielko. - Jamie patrzył ponad dziobem na czarny przestwór niewidocznego lądu. - Od wyjazdu z Georgii przemierzyliśmy już odległość większą niż Szkocja i Anglia razem wzięte.

- To prawda - przyznałam. W Szkocji nawet wysokie górskie tumie nie zapewniały bezpiecznego schronienia przed okrucieństwami wojny. Tu było inaczej; starannie wybierając miejsce do osiedlenia, mieliśmy szansę umknąć przed okiem rozszalałego Marsa.

Przechylił głowę na bok i uśmiechnął się do mnie.

- Wyobrażam sobie ciebie jako żonę plantatora, Angielko. Jeśli gubernator znajdzie kupca na pozostałe kamienie, to wystarczy mi pieniędzy, żeby wysłać Laoghaire całą obiecaną sumę, i powinno zostać jeszcze

tyle, by kupić dobre miejsce, gdzie moglibyśmy prowadzić szczęśliwe życie.

Ujął moją prawą dłoń i delikatnie potarł kciukiem srebrny pierścionek ślubny.

- Może pewnego dnia ustroję cię w jedwabie i klejnoty - powiedział miękko. - Nie mogłem dać ci wiele, poza tą srebrną obrączką i perłami mojej matki.

- Dałeś mi o wiele więcej - odrzekłam, ściskając jego kciuk. - Na przykład Briannę.

Uśmiechnął się nieznacznie, spoglądając na pokład.

- To prawda. Może ona jest prawdziwym powodem, żeby tu zostać. Przyciągnęłam go do siebie, a on oparł głowę o moje kolana.

- To jest jej miejsce, prawda? - zapytał cicho. Uniósł rękę i wskazał na rzekę, drzewa i niebo. - Tu się urodzi, tu będzie żyć.

- Tak - odpowiedziałam, gładząc go po gęstych włosach, bardzo podobnych do włosów Brianny. - To będzie jej kraj.

Skinął głową, pocierając zarostem o moją spódnicę.

- Nie chcę walczyć ani narażać cię na niebezpieczeństwa, Angielko, ale jeśli jest coś, co mogę zrobić... zbudować, sprawić, by był to dla niej dobry i bezpieczny kraj... - Wzruszył ramionami. - Sprawi mi to radość - dokończył cicho.

Przez chwilę siedzieliśmy w milczeniu, blisko siebie, patrząc na matowo połyskującą wodę i powolny ruch latarni.

- Zostawiłam jej perły - powiedziałam w końcu. - Wydawało mi się to słuszne, w końcu to pamiątka rodowa. -

Powiodłam dłonią z obrączką po jego ustach. - Obrączka zupełnie mi wystarczy.

Ujął moje obydwie ręce i pocałował - lewą, na której wciąż nosiłam złotą obrączkę z małżeństwa z Frankiem, a potem prawą, z jego własną srebrną obrączką.

- Da mi basia mille - szepnął z uśmiechem. Daj mi tysiąc pocałunków. Te słowa - krótki cytat z miłosnej pieśni Katullusa - wryte były na wewnętrznej stronie obrączki. Nachyliłam się i dałam mu jeden.

- Dein mille altera - powiedziałam. A potem jeszcze tysiąc.

Dochodziła północ, gdy zakotwiczyliśmy w pobliżu gęstego zagajnika. Pogoda się zmieniła, co prawda wciąż było gorąco i parno, ale zaczęło się zbierać na burzę. Krzewy poruszały się od lekkich powiewów wiatru albo od ruchów drobnych nocnych stworzeń, które uciekały, by się schronić przed ulewą.

Byliśmy już na granicy obszaru, gdzie nie sięgał przypyływ, odtąd mieliśmy zdać się tylko na żagiel i drąg Troklusa. Kapitan Freeman miał nadzieję, że uda się wykorzystać wiatr pod koniec burzy, a tymczasem lepiej było zatrzymać się na odpoczynek. Zwinęłam się w kłębek przy burcie, ale choć było bardzo późno, nie mogłam zasnąć.

Według szacunków kapitana mieliśmy szanse dotrzeć do Cross Creek następnego dnia wieczorem, a już z całą pewnością pojutrze.

Byłam zaskoczona, gdy zdałam sobie sprawę, z jakim utęsknieniem wyczekuję zakończenia podróży. Po dwóch miesiącach spędzonych w drodze tęskniłam za

jakimś schronieniem, choćby najbardziej tymczasowym.

Znałam już góralskie zasady gościnności i siłę więzów krwi, toteż nie miałam żadnych obaw co do tego, jak zostaniemy przyjęci. Jamie nie sądził, by fakt, iż nie widział ciotki od czterdziestu lat, był jakąkolwiek przeszkodą, ja również byłam przekonana, że zostaniemy powitani serdecznie. Jednocześnie byłam niezmiernie ciekawa Jokasty Cameron.

Stary Czerwony Jacob, który zbudował zamek Leoch, miał pięcioro dzieci. Ellen, matka Jamiego, była najstarsza, a Jokasta najmłodsza. Janet, trzecia siostra, podobnie jak Ellen zmarła na długo przed tym, zanim spotkałam Jamiego. Poznałam za to ich braci, Columa i Dougala, i właśnie dlatego nie potrafiłam przestać się zastanawiać, jaka jest ta ostatnia przedstawicielka rodu MacKenziech z Leoch.

Wysoka, pomyślałam, patrząc na Jamiego, zwiniętego na pokładzie obok mnie. Wysoka i być może ruda. Wszyscy w rodzinie byli wysocy, nawet Colum, który cierpiał na wrodzoną łamliwość kości; wszyscy byli wikingami o jasnej skórze i czerwonym zabarwieniu włosów, które przybierały różne odcienie - od płomiennej rudości Jamiego aż po rdzawobrunatną czuprynę Dougala. Tylko Colum miał naprawdę ciemne włosy.

Na myśl o Columie i Dougalu poczułam się nieswojo. Colum zmarł jeszcze przed Culloden, zabiła go choroba. Dougal zginął w wigilię bitwy, z ręki Jamiego. Było to działanie w samoobronie, a właściwie w obronie mnie, i była to tylko jedna z wielu śmierci, jakich świadkiem stał się ów krwawy kwiecień. Ciągle jednak

zastanawiałam się, co powie Jamie, gdy po pierwszych powitaniach w River Run nastąpi zwykła rodzinna rozmowa i ktoś zada mu pytanie: A kiedy ostatnio widziałeś tego czy tamtego?

Jamie westchnął i przeciągnął się przez sen. Przyzwyczajony do sypiania w najrozmaitszych warunkach, od mokrych wrzosowisk przez zatęchłe jaskinie aż po zimne kamienne posadzki więziennych cel, potrafił zasnąć na każdej powierzchni. Przypuszczałam, że drewniany pokład według jego standardów jest całkiem wygodny. Ja nie byłam tak zahartowana jak on, ale powoli ogarniało mnie znużenie i nawet ciekawość przyszłości nie mogła mnie powstrzymać przed zaśnięciem.

Zbudziło mnie jakieś zamieszanie. Było jeszcze ciemno. Zewsząd dochodził hałas, krzyki i szczekanie psa. Pokład pode mną dygotał od głośnych kroków. Zerwałam się gwałtownie, w pierwszej chwili myśląc, że jestem jeszcze na pokładzie statku, który został zaatakowany przez piratów. Gdy trochę oprzytomniałam i wzrok mi się wyostrzył, odkryłam, że to rzeczywiście byli piraci. Ostre głosy wykrzykiwały przekleństwa i rozkazy, ciężkie buty dudniły po pokładzie. Jamie zniknęła.

Przewróciłam się na czworaki, nie próbując nawet szukać ubrania. Zbliżał się świt, niebo było jeszcze ciemne, ale widać już było na jego tle zarys kabiny. Podniosłam się, przytrzymując się dachu, ale przelatujące nad kabiną ciała omal nie zmiotły mnie z nóg.

Zobaczyłam niewyraźny kłęb futer i białych twarzy z akompaniamentem krzyku, strzału i straszliwego łomotu. Ian ze spopielałą twarzą przykucnął na pokładzie nad ciężko

dyszającym Rollem. Obok z desek podnosił się na nogi jakiś obcy mężczyzna, w niekompletnym stroju i bez kapelusza.

- Niech to diabli, prawie mnie dostał! - Trzęsącą się ręką sięgnął po zapasowy pistolet i wycelował w psa, paskudnie wykrzywiając twarz.

- Zabierz to, durniu! - Drugi, wyższy mężczyzna pojawił się nie wiadomo skąd i wytrącił mu z ręki pistolet, nim tamten zdążył nacisnąć cyngiel. - Nie marnuj kuli, głupcze! - Wskazał na Troklusa i wściekłego kapitana Freemana, których właśnie przeganiano w moją stronę. - Jak chcesz ich zastraszyć niezaladowaną bronią?

Niższy mężczyzna rzucił złe spojrzenie w kierunku Rolla, ale posłusznie wycelował pistolet w brzuch Freemana.

Rollo wydawał z siebie dziwne dźwięki: niskie warknięcia pomieszane z bolesnym skamleniem. Na pokładzie pod jego drgającym ciałem zauważyłam mokrą, ciemną plamę. Ian pochylał się nad nim, bezradnie głaszcząc go po łbie. Spojrzał na mnie, policzki miał mokre od łez.

- Pomóż mi, ciociu - błagał. - Proszę, pomóż!

Odruchowo ruszyłam w tę stronę. Wyższy mężczyzna wysunął się do przodu i zagroził mi drogę.

- Chcę pomóc psu - powiedziałam.

- Co? - obruszył się niższy z napastników.

Ten wyższy miał na twarzy maskę. Po chwili, gdy moje oczy przywykły do półmroku, zauważyłam, że wszyscy mieli zasłonięte twarze. Ilu mogło ich być? Miałam wrażenie, że ten wyższy się uśmiecha, choć ze względu na maskę nie mogłam być tego pewna.

Nic nie powiedział, ale poruszył pistoletem, sygnalizując, że mogę przejść.

- Witaj, staruszk - mruknęłam cicho, przyklękając obok psa. - Tylko mnie nie ugryź. Dobry piesek. Ian, w którym miejscu jest rana?

Ian pokręcił głową, przelkując lzy.

- Gdzieś pod spodem. Nie mogę go obrócić.

Nie zamierzałam podnosić ciężkiego cielska. Chciałam sprawdzić tętno na karku, ale palce zapadły się w gęste futro. W przyływie natchnienia sięgnęłam do przedniej łapy i obmacałam ją dokładnie aż do pachwiny. Udało się: wyraźnie poczułam pod palcami stały, miarowy puls. Z przyzwyczajenia zaczęłam liczyć uderzenia, ale zaraz uświadomiłam sobie, że nie mam pojęcia, ile powinien wynosić prawidłowy puls psa. W każdym razie był równomierny, bez śladów arytmii czy migotania i nie słabł. To był dobry znak.

Drugim dobrym objawem było to, że Rollo nie stracił przytomności; wielka łapa oparta na moim ramieniu nie zwisała bezwładnie, była sprężysta i napięta. Pies pisnął przenikliwie i zaczął machać pazurami w powietrzu, próbując uwolnić łapę z mojego uchwytu.

- Chyba nie jest tak źle - powiedziałam z ulgą. - Spójrz, próbuje się podnieść.

Rollo wstał chwiejnie. Poruszył łbem, otrząsnął kudłate futro i o pokład uderzył deszcz kropelek krwi. Wielkie, żółte oczy zatrzymały się na niższym mężczyźnie; znaczenie tego spojrzenia było dla wszystkich oczywiste.

- Ej, ty! Przytrzymaj go, bo jak nie, to przysięgam, że go zastrzelę! - W głosie bandyty zabrzmiała szczerą

panika, muszka pistoletu zaczęła błędzić niezdecydowanie między grupką więźniów a warczącym Rollem. Ian gorączkowo zdarł z siebie koszulę i narzucił ją na głowę psa, oślepiając go. Rollo zawarczał i szaleńczo zarzucił łbem. Żółte płótno zabarwiło się krwią; teraz dostrzegłam, że krew pochodzi z płytkiej rany na barku, kula tylko go zadrasnęła.

Ian nie puszczał koszuli. W końcu udało mu się zmusić psa do siadu i zaczął coś do niego mrużyć przez warstwę płótna.

- Ile osób jest na pokładzie? - Przenikliwe spojrzenie wyższego bandyty zatrzymało się na kapitanie Freemanie, którego zaciśnięte usta przypominały szew na siwym zaroście. Gdy nie doczekał się odpowiedzi, przeniósł wzrok na mnie.

Znałam ten głos. Widocznie odbiło się to na mojej twarzy, bo pirat znieruchomiał, a potem uniósł głowę i pozwolił opaść chuście maskującej twarz.

- Ile? - zapytał ponownie Stephen Bonnet.

- Sześć - odpowiedziałam, nie widząc żadnego powodu, by kłamać. Na brzegu dostrzegałam Fergusa, który z uniesionymi rękoma szedł w stronę łodzi, trzymany na muszce przez trzeciego pirata.

Jamie wyłonił się z ciemności i stał obok mnie z ponurą twarzą.

- Pan Fraser - rzekł Bonnet uprzejmie na jego widok.

- Niezmiernie mi przyjemnie, że mogę odnowić naszą znajomość. Ale miał pan chyba jeszcze jednego towarzysza, jednorękiego dżentelmena?

- Nie tutaj - odrzekł Jamie zwięźle.

- Poszukam - mruknął niższy bandyta, ale Bonnet zatrzymał go gestem.

- Nie, nie wolno ci wątpić w słowo takiego dżentelmena jak pan Fraser. Nie, Roberts, ty popilnuj ich tutaj, a ja się rozejrzę. - Skinął głową i zniknął.

Zajęta Rollem, przez chwilę nie zwracałam uwagi na to, co działo się w innych częściach łodzi. Dopiero gdy z kabiny dotarły do mnie dźwięki rozbijanych przedmiotów, przypomniałam sobie o pudle z narzędziami lekarskimi i zerwałam się na równe nogi.

- Hej! Gdzie idziesz? Stój, bo cię zastrzelę! - krzyknął bandyta z desperacją, ale wyczułam w jego głosie niepewność. Nie zważając na niego, wpadłam do kabiny i zderzyłam się z czwartym rabusiem, który grzebał w moim pudle. Udało mi się nie upaść; z okrzykiem grozy złapałam go za rękę. Bezmyślnie otwierał pudełka i buteleczki, wysypywał ich zawartość i rzucał je na podłogę, na której leżała już cała masa skorup wymieszanych z resztkami lekarstw doktora Rawlingsa.

- Nie waż się tego dotykać! - krzyknęłam. Chwyciłam pierwszą z brzegu butelkę z pudła, odkorkowałam i chlusnęłam mu zawartością w twarz. Podobnie jak większość mikstur Rawlingsa, zawierała sporą dżozę alkoholu.

Wstrzymał oddech i cofnął się chwiejnie. Z jego oczu strumieniem płynęły łzy. Wykorzystałam swoją przewagę i dołożyłam mu po głowie kamienną butelką na piwo. Usłyszałam mocne łupnięcie, lecz cios był mimo wszystko za słaby. Bandyta zachwiał się, jednak nie upadł i rzucił się do przodu, próbując mnie złapać.

Zamachnęłam się jeszcze raz, ale ktoś uwięził mój przegub w żelaznym uchwycie.

- Zechce pani wybaczyć, droga pani Fraser - odezwał się uprzejmie znajomy irlandzki głos - ale naprawdę nie mogę pozwolić, by rozbiła mu pani głowę. Z pewnością nie jest zbyt dekoracyjna, ale przyda mu się do noszenia kapelusza.

- Przekłęta suka! Uderzyła mnie! - Mężczyzna, którego zdzieliłam, trzymał się za głowę, z twarzą wykrzywioną z bólu.

Bonnet wywlókł mnie na pokład, boleśnie wykręcając mi rękę za plecami. Było już prawie całkiem jasno, rzeka lśniła jak srebro.

Wpatrywałam się w twarze napastników; zamierzałam ich rozpoznać, jeśli kiedyś jeszcze ich spotkam, zamaskowanych czy nie.

Niestety, bandyci również widzieli teraz więcej. Człowiek, któremu przyłożyłam i który wyraźnie chował do mnie o to urazę, chwycił mnie za rękę i szarpnął obrączkę.

- Dawaj to!

Odsunęłam rękę z zamiarem uderzenia go w twarz, ale powstrzymało mnie znaczące kaszlnięcie Bonneta, który stał obok Iana, trzymając pistolet przy jego lewym uchu.

- Proszę mu to oddać, pani Fraser - powiedział grzecznie. - Sądzę, że pan Roberts oczekuje jakiegoś zadośćuczynienia za wyrządzone mu szkody.

Ręce trzęsły mi się ze strachu i z furii. Ściągnęłam złotą obrączkę, ale ze srebrną szło gorzej, uwięzła na kłykcium, jakby nie chciała się ze mną rozstać. Obydwie obrączki były wilgotne i śliskie od potu, metal był cieplejszy

niż moje drżące palce.

- Dawaj. - Mężczyzna szturchnął mnie w ramię i wyciągnął szeroką, brudną łapę. Niechętnie wyciągnęłam w jego stronę rękę z obrączkami i wiedziona nagłym impulsem, przycisnęłam ją do ust.

Pchnął mnie do tyłu tak mocno, że moja głowa z łoskotem uderzyła o ścianę kabiny. Zgrubiałe palce ścisnęły moje policzki i grzebały w ustach, usiłując wydostać obrączki. Odwróciłam się i przełknęłam. Usta miałam pełne śliny o metalicznym posmaku, który mógł pochodzić zarówno od metalu, jak i od krwi. Zaciśnęłam zęby i bandyta odskoczył z krzykiem. Jeden z pierścionków musiał wysunąć mi się z ust, bo usłyszałam cichy, metaliczny stuk. Zasłoniłam usta i przełknęłam; druga obrączka ześliznęła się do przełyku, twarda i okrągła.

- Suka! Rozetnę ci to pieprzone gardło! Pójdiesz do piekła bez swoich obrączek, zdradziecka dziwko! - Zobaczyłam jego twarz, wykrzywioną z wściekłości, i błysk noża. Potem coś uderzyło mnie mocno i znalazłam się na deskach pokładu, rozplaszczona pod ciałem Jamiego. Byłam zbyt ogłuszona, by się poruszyć, ale i tak nie mogłabym tego dokonać; pierś Jamiego przygniatała mi tył głowy, przyciskając twarz do desek, wilgotne płótno jego koszuli tłumilo krzyki i odgłosy zamętu. Rozległo się miękkie tąpnięcie; Jamie drgnął gwałtownie i stęknął.

O Boże, zadźgali go! - pomyślałam z przerażeniem, ale jeszcze jedno tąpnięcie i głośniejszy jęk świadczyły o tym, że Jamie otrzymał tylko kopniaka w zębra. Nie poruszył się, jedynie jeszcze bardziej przycisnął się do pokładu, rozplaszczając mnie na cienki placek.

- Zostaw! Roberts! Powiedziałem, zostaw go! - Głos Bonnetta brzmiał władczo i tak ostro, że słyszałam go wyraźnie pomimo spowijającego mnie kokonu koszuli.

- Kiedy ona... - zaczął Roberts jękliwie, ale przerwało mu mocne, soczyste klaśniecie.

- Niech pan wstaje, panie Fraser. Pańska żona jest bezpieczna, choć na to nie zasłużyła. - W ochrypłym barytonie Bonnetta pobrzmiwały nuty rozbawienia i lekkiej irytacji.

Jamie powoli podniósł się ze mnie i usiadłam. Od uderzenia w głowę byłam trochę oszołomiona i zbierało mi się na mdłości. Stephen Bonnet patrzył na mnie z wyraźnym niesmakiem jak na zapleśniałą jelenią skórę, którą zaoferowano mu do kupna. Stojący obok niego Roberts przyglądał mi się ze złością, dotykając krwawej smugi na czole.

W końcu Bonnet przeniósł wzrok na Jamiego.

- To głupia kobieta, ale panu chyba to nie przeszkadza - powiedział beznamiętnie i skłonił się z lekkim uśmiechem. - Cieszę się, że przydarzyła mi się okazja do spłacenia długu wobec pana, sir.

Życie za życie, jak mówi Pismo.

- Spłacenie długu? - oburzył się Ian. - Po tym, co dla ciebie zrobiliśmy, napadłeś nas i obrabowałeś, zraniłeś moją ciotkę i mojego psa, i masz jeszcze czelność mówić o spłacaniu długu?

Bonnet utkwiał w nim jasne oczy w kolorze winogronowego miąższu. W jednym z policzków miał głęboki dołek, jakby Bóg, stwarzając go, odcisnął tam kciuk. Jego wzrok był jednak zimny jak woda w rzece o

świcie.

- Nigdy nie czytałeś Biblii, chłopcze? - Pokręcił głową z dezaprobatą i klasnął językiem. - Cnotliwa kobieta jest cenniejsza od rubinów i warta więcej niż perły. - Wciąż z uśmiechem, otworzył dłoń; światło latarni padło na trzy kamienie - szmaragd, szafir i płonący ciemnym ogniem czarny diament. - Jestem przekonany, że pan Fraser zgodzi się ze mną, nieprawdaż, sir? - Wsunął rękę pod kurtkę, a gdy ją wyjął, dłoń była pusta. - A poza tym - dodał, znów mierząc Iana lodowatym wzrokiem - długi można spłacać na różne sposoby. - Uśmiech, który przy tych słowach pojawił się na jego twarzy, nie był zbyt sympatyczny. - Przypuszczam jednak, że jesteś jeszcze za młody, żeby wiedzieć takie rzeczy. Ciesz się, że nie mam czasu, by udzielić ci stosownej lekcji.

Odrzucił się i skinął na towarzyszy.

- Mamy to, po co przyszliśmy - oznajmił sucho. - Idziemy. - Wspiął się na reling i zeskoczył na błotnisty brzeg rzeki. Wspólnicy podążyli za nim. Roberts raz jeszcze rzucił mi złe spojrzenie i zeskoczył niezgrabnie na przybrzeżną płyciznę.

Wszyscy czterej zniknęli w zaroślach. Gdzieś w mroku usłyszałam rżenie konia. Na pokładzie zapanowała cisza. Niebo przybrało kolor węgla drzewnego. W dali rozległ się grzmot i horyzont rozjaśniła błyskawica.

- Łajdaki. - Kapitan Freeman splunął na pożegnanie przez burtę i zwrócił się do pomocnika: - E, Troklus, idź po wiosło - powiedział, a sam powlókł się ku sterowi, podciągając spodnie.

Powoli wszyscy zaczęliśmy wracać do życia. Fergus

spojrzał na Jamiego, zapalił latarnię i zniknął w kabinie. Po chwili zaczęły stamtąd dobiegać odgłosy porządków. Ian przykucnął na pokładzie z głową pochyloną nad Rollem i brzegiem koszuli ocierał krew z rany.

Wolałam nie patrzeć na Jamiego. Na czworakach podpełzłam do Iana. Rollo spojrzął na mnie nieufnie żółtymi oczami, ale nie protestował przeciwko mojej obecności.

- Jak on się czuje? - zapytałam ochryplym głosem. Obrączka utkwiała mi w przetyku. Kilkakrotnie przełknęłam ślinę, próbując usunąć przeszkodę.

Ian natychmiast podniósł na mnie wzrok. Twarz miał bladą i zaciętą, ale oczy czujne.

- Chyba nic mu nie będzie - powiedział cicho. - Ciociu, a czy tobie nic się nie stało? Nie jesteś ranna?

- Nie - odpowiedziałam, próbując się uśmiechnąć. - Wszystko w porządku. - Z tyłu głowy miałam bolesny guz, w uszach mi dzwoniło, a żółta otoczka światła wokół latarni drgała, rozciągając się i kurcząc w rytm bicia mojego serca. Policzek miałam zadrapany, łokieć posiniaczony i wielką drzazgę wbity w dłoń, ale poza tym właściwie nic mi się nie stało, w każdym razie fizycznie. Co do psychiki, miałam pewne wątpliwości.

Nie obejrzałam się, by spojrzeć na Jamiego, który znajdował się o jakieś dwa metry za mną, ale czułam jego obecność i wiedziałam, że przypomina w tej chwili burzową chmurę. Ian, który widział jego twarz ponad moim ramieniem, wydawał się nieco zaniepokojony.

Deski pokładu skrzyknęły i Ian trochę się rozluźnił. Usłyszałam głos Jamiego w kabinie. Pozornie swobodnym tonem pytał o coś Fergususa. Potem zagłuszyło go szuranie

przesuwanych mebli i odgłosy zbierania porzucanych przedmiotów. Powoli odetchnęłam.

- Nie martw się, ciociu - powiedział Ian pocieszająco. - Wujek Jamie nie podniesie na ciebie ręki. On nie jest z tych.

Zważywszy na wibracje dochodzące od Jamiego, nie byłam tego do końca pewna, ale miałam nadzieję, że Ian się nie myli.

- Czy myślisz, że jest bardzo zły? - zapytałam cicho. Ian niepewnie wzruszył ramionami.

- Ostatni raz, gdy tak na mnie patrzył, zaprowadził mnie za dom i stłukł. Ale jestem przekonany, że ciebie tak nie potraktuje - dodał szybko.

- Też tak sądzę - westchnęłam bez przekonania. Nie byłam jednak pewna, czy nie wolałabym, żeby tak zrobił.

- Ale dostać od niego połajankę też nie jest miło - dodał Ian, kręcąc głową ze współczuciem. - Ja sam wolałbym lanie.

Uciszyłam go spojrzeniem i pochyliłam się nad psem.

- Dostęci ma dzień na swoim utrapieniu (Ewangelia według św. Mateusza 6,34 (wszystkie cytaty biblijne pochodzą z Biblii Gdańskiej).)

. Już nie krwawi?

Nie krwawił. Pomijając poplamione futro, rana była zaskakująco nieznaczna, właściwie było to tylko niewielkie zadraśnięcie skóry i mięśnia przy łopatce. Rollo przetrwał te oględziny z uszami tuż przy głowie i szczerząc zęby, lecz nie protestował jawnie.

- Dobry pies - wymruczałam. Gdybym miała

możliwość znieczulenia skóry, to zszyłabym ranę, ale musieliśmy się obejść bez takich luksusów. - Trzeba by posmarować to maścią, żeby odpędzić muchy.

- Przyniosę, ciociu. Wiem, gdzie jest twoja skrzynka.

- Ian delikatnie odsunął nos Rolla ze swoich kolan i podniósł się. - To zielone, czym smarowałaś palec Fergusa, tak?

Skinęłam głową, a on zniknął w kabinie, zostawiając mnie z roztrzęsionym żołądkiem, bolącą głową i zatkanym przelykiem.

Ostrożnie dotknęłam gardła, zastanawiając się, która z obrączek tam siedzi.

Eutroclus wyszedł zza kabiny, niosąc gruby drąg z białego drewna, mocno pociemniały z jednej strony od częstego używania.

Opuścił go za burtę i oparł się na nim całym ciężarem, oddychając ciężko.

Drgnęłam z zaskoczenia, gdy Jamie wyłonił się z cienia z podobnym drągiem. Nie słyszałam go wcześniej. Nie patrząc na mnie, zrzucił koszulę i na sygnał pomocnika zanurzył swój drąg w wodzie.

Przy czwartej próbie poczułam drgania kadłuba i niewielki wstrząs, jakby coś się poruszyło. Jamie i pomocnik pchnęli jeszcze raz i nagle łódź zsunęła się z płycizny ze stłumionym jękiem rezonującego drewna, na co Roilo uniósł łeb i szczechnął ze zdziwieniem.

Z twarzą rozpromienioną pod warstwą potu, Eutroclus skinął głową do Jamiego i wziął od niego drąg. Jamie odpowiedział mu podobnym skinieniem. Z uśmiechem zgarnął swoją koszulę z pokładu i podszedł do

mnie. Zesztywniałam, a Rollo czujnie nastawił uszu, ale Jamie nie wykazywał chęci, by na mnie krzyżeć czy wyrzucić mnie za burtę. Pochylił się i ze zmarszczonym czołem przyjrzał mi się w migoczącym świetle latarni.

- Jak się czujesz, Angielko? Nie widzę, czy naprawdę jesteś taka zielona, czy to jedynie światło.

- Nic mi nie jest, tylko czuję się trochę roztrzęsiona.

- Byłam roztrzęsiona bardziej niż trochę; ręce wciąż miałam wilgotne, a kolana tak pode mną dygotały, że nawet nie próbowałam wstać. Przełknęłam ślinę, zakaszlałam i uderzyłam się w pierś. - To chyba tylko moja wyobraźnia, ale wydaje mi się, że obrączka utkwiała mi w przełyku.

Jamie przyjrzał mi się z namysłem, a potem zwrócił się do Fergus, który wyszedł z kabiny i właśnie przechodził obok.

- Fergus, zapytaj kapitana, czy może mi na chwilę pożyczyć swoją fajkę. - Odwrócił się, naciągnął koszulę przez głowę i zniknął.

Po chwili znów się pojawił z kubkiem wody. Wyciągnęłam z wdzięcznością rękę, ale nie dał mi go.

- Jeszcze nie, Angielko. Masz ją? Dziękuję, Fergus. Poszukaj jeszcze jakiegoś pustego wiadra.

Wyjął lepką od brudu fajkę z rąk zdziwionego Fergus, wsunął kciuk do poplamionej główki i zaczął zdrapywać ze ścianek wypalony, lepki osad, a następnie odwrócił fajkę do góry nogami i wytrząsnął jej zawartość do kubka z wodą. Z fajki wysypał się deszcz brązowych okruszków i resztek wilgotnego tytoniu. Jamie rozmieszał to wszystko poczeriałym kciukiem i ukończywszy przygotowania, spojrzął na mnie złowieszczo znad brzegu

kubka.

- Nie - powiedziałam. - Och, nie.

- Och, tak - odparł. - Chodź tu, Angielko, wyleczę twoje dolegliwości.

- Wolę... poczekać - odparłam, krzyżując ramiona na piersiach. - Ale dziękuję ci za troskę.

Tymczasem pojawił się Fergus z wiaderkiem i wysoko uniesionymi brwiami. Jamie wziął od niego wiaderko i postawił obok mnie.

- Robiłem to już kiedyś, Angielko - poinformował mnie - i wiem, że powstaje przy tym strasznie dużo bałaganu. Nie jest to również miłe, szczególnie na łodzi i w towarzystwie, prawda? - Położył rękę na mojej potylicy i przycisnął mi kubek do ust. - Pójdzie szybko. No, już, tylko jeden łycezek.

Zacisnęłam mocno wargi. Żołądek przewracał mi się od samego zapachu z kubka. Smród stęchłego tytoniu w połączeniu z widokiem pływających po powierzchni wody brązowych tytoniowych farfocli i zanurzonych nieco głębiej większych okruchów, a także wspomnieniem brązowej flegmy, którą kapitan Freeman wypluwał na pokład, miał piorunujące działanie.

Jamie nie zamierzał tracić czasu na dyskusje i przekonywania.

Zdjął rękę z mojej głowy, złapał mnie za nos i gdy otworzyłam usta, by zaczerpnąć powietrza, wlał mi do środka śmierdzącą zawartość kubka.

- Błłłłłłłł!

- Przełknij! - zawołał, mocno przyciskając otwartą dłoń do moich ust i nie zważając na stłumione protesty ani

na to, że rozpaczliwie próbowałam się wyrwać. Był o wiele silniejszy ode mnie i nie zamierzał mnie puścić. Mogłam przełknąć albo się udusić.

Przełknęłam.

- Zupełnie jak nowa. - Jamie skończył polerować srebrną obrączkę połą koszuli i podniósł ją do góry, podziwiając w świetle latarni.

- Szkoda, że o mnie nie można powiedzieć tego samego - odrzekłam chłodno. Leżałam bezwładnie na pokładzie i choć nurt rzeki był tu bardzo spokojny, wydawało mi się, że wciąż unoszę się i opadam. - Jesteś pierwszej klasy sadystą, dwulicowym, pieprzonym draniem!

Pochylił się nade mną i odgarnął spocone włosy z mojej twarzy.

- Sądzę, że masz rację. Jeśli jesteś w stanie mi wymyślać, to znaczy, że nie jest z tobą tak źle, Angielko. Odpocznij trochę, co?

Pocałował mnie w czoło i usiadł.

Po porannym zamęcie na pokład wracał zwykły porządek.

Mężczyźni poszli do kabiny, żeby odzyskać siły przy butelce jabłkowej brandy, którą kapitan Freeman zdołał ocalić przed piratami, wrzucając ją do beczki z wodą. Kubek tego napoju stał na pokładzie obok mojej głowy. Wciąż było mi niedobrze i nie próbowałam ryzykować, ale ciepły, owocowy zapach działał kojąco.

Płynęliśmy z żaglem. Wszystkim zależało, żeby jak najszybciej oddalić się od miejsca napaści, jakby wciąż czaiło się tam niebezpieczeństwo. Poruszaliśmy się teraz szybciej, chmury owadów, które zawsze wisiały pod

latarniami, rozpierchły się, pozostało jedynie kilka złotooków siedzących na belce. Ich delikatne zielone ciała rzucały drobne cienie. W kabinie rozległ się wybuch śmiechu, Rollo zawarczał w odpowiedzi - wszystko wracało do normy.

Lekka, przyjemna bryza osuszała moją twarz z potu i rozwiewała końce włosów Jamiego. Niewielka pozioma zmarszczka między jego brwiami i pochylona głowa świadczyły o tym, że Jamie nad czymś rozmyśla.

I nic dziwnego. W jednej chwili straciliśmy majątek - a w każdym razie potencjalny majątek - i znaleźliśmy się w nędzy, a całe nasze wyposażenie zostało zredukowane do worka fasoli i używanego pudła lekarskiego. Zależało mu, byśmy nie stanęli przed drzwiami Jokasty Cameron jak żebracy, a teraz naprawdę się nimi staliśmy.

Czułam ściskanie w gardle, gdy o tym myślałam; irytacja zmieniła się we współczucie. Nie chodziło tylko o poczucie godności Jamiego, ale również o to, że nieznanne terytorium oznaczone słowem „przyszłość” ziało teraz przerażającą pustką. Nasza przyszłość już wcześniej stanowiła znak zapytania, ale wszelkie wątpliwości łagodziła pewność, że będziemy mieli pieniądze, które pozwolą nam osiągnąć cele, jakiegokolwiek by one były. Nawet nasze dojmujące ubóstwo podczas podróży na północ miało posmak przygody, wiedzieliśmy bowiem, że posiadamy fortunę, bez względu na to, czy mogliśmy z niej korzystać, czy nie. Zawsze byłam przekonana, że nie przywiązuję wagi do pieniędzy, ale tak gwałtowna utrata poczucia bezpieczeństwa sprawiła, że kręciło mi się w głowie, jakbym spadała w głęboką, czarną studnię,

niezdolna się zatrzymać.

Jak musiało się to odcisnąć na Jamiem, który czuł się odpowiedzialny nie tylko za mnie i za siebie, ale także za pozostałych? Ian, Fergus, Marsali, Duncan, mieszkańcy Lallybroch - nawet ta piekielna zawada, Laoghaire. Nie wiedziałam, czy mam się śmiać, czy płakać, myśląc o pieniądzach, które Jamie jej wysłał; ta mściwa kreatura była teraz znacznie bogatsza od nas.

Na myśl o zemście poczułam niepokój, który przysłonił wszelkie inne obawy. Jak na Szkota, Jamie nie był szczególnie mściwy, lecz żaden góral nie przyjąłby takiej straty - nie tylko majątku, ale i honoru - z milczącą rezygnacją. Co Jamie zamierzał z tym zrobić?

Siedział z wzrokiem wbitym w ciemną wodę i mocno zaciśniętymi ustami. Czy widział w wyobraźni cmentarz, gdzie zwiedziony pijackimi sentymentami Duncana zgodził się pomóc Bonnetowi w ucieczce?

Z opóźnieniem zrozumiałam, że finansowy aspekt katastrofy nie dotarł jeszcze do świadomości Jamiego - na razie zajmowały go ponure refleksje. To on pomógł Bonnetowi uciec spod katowskiego sznura i uwolnił go, a tym samym dopuścił do tego, że tamten znów zaczął żerować na niewinnych ofiarach. Ilu jeszcze ludzi oprócz nas może przez to ucierpieć?

- To nie twoja wina - powiedziałam, dotykając jego kolana.

- A czyja? - odrzekł cicho, nie patrząc na mnie. - Wiedziałem, kim jest. Mogłem go zostawić losowi, na który sobie zasłużył, ale nie zrobiłem tego. Okazałem się głupcem.

- Okazałeś dobroć. To nie to samo.

- Prawie.

Oddechnął głęboko. W powietrzu czuć było zapach ozonu, deszcz był już bliski. Sięgnął po kubek z jabłecznikiem, napił się i wyciągnął kubek w moją Stronę, dopiero teraz na mnie spoglądając.

- Dziękuję. - Spróbowałam się podnieść. Jamie chwycił mnie pod ramiona, oparł o swoje ciało i przytrzymał kubek przy moich ustach.

Ciepły płyn miękko przesunął się po języku, a potem rozpalił przetyk, wypalając pozostałości mdłości i tytoniu i pozostawiając w zamian rumowy posmak palonej trzciny cukrowej.

- Lepiej?

Skinęłam głową i podniosłam prawą rękę. Wsunął mi na palec obrączkę rozgrzaną ciepłem własnej dłoni. Zgiął moje palce i zacisnął moją pięść w swojej.

- Czy on jechał za nami od Charlestonu? - zastanawiałam się na głos. Jamie pokręcił głową. Włosy miał wciąż rozpuszczone, ciężkie fale opadały mu na twarz.

- Nie sądzę. Gdyby wiedział o klejnotach, to zasadziłby się na nas na drodze, jeszcze przed Wilmington. Nie, myślę, że dowiedział się od kogoś ze służących Lillingtona. Wydawało mi się, że uda nam się bezpiecznie dotrzeć do Cross Creek, nim ktokolwiek usłyszy o kamieniach. Ale ktoś musiał rozgadać: może lokaj, a może ta szwaczka, która szyła twoją suknię.

Jego twarz nie zdradzała emocji, ale tak było zawsze, gdy skrywał silne uczucia. Gwałtowny poryw wiatru przeleciał przez pokład, deszcz był coraz bliżej.

Wiatr zarzucił Jamiemu włosy na twarz, a on odgarnął je z powrotem, przeczesując palcami.

- Przykro mi z powodu twojej drugiej obrączki - rzekł po chwili.

- Ach. Nic nie... - Chciałam powiedzieć „nic nie szkodzi”, ale naraz uświadomiłam sobie, co straciłam, i słowa uwięzły mi w gardle.

Nosiłam tę obrączkę przez blisko trzydzieści lat: symbol przysięgi, którą złożyłam, złamałam, odnowiłam i z której na koniec zostałam zwolniona. Symbol małżeństwa, rodziny, dużej części mojego życia. I ostatni ślad Franka, którego mimo wszystko kochałam.

Jamie nic nie powiedział, ale ujął mnie za lewą rękę i gładził kostki kciukiem. Ja też nic nie mówiłam. Westchnęłam głęboko i obróciłam twarz ku rufie. Drzewa na brzegu drżały już w zapowiedziach burzy, liście szeleściły tak głośno, że zagłuszały odgłosy łodzi.

Kropla spadła mi na policzek, ale nie poruszyłam się. Moja dłoń w jego dłoni wydawała się biała i bezwładna, niezwykle krucha; dziwnie było to zobaczyć.

Zawsze poświęcałam wiele uwagi własnym dłoniom, z tego czy innego powodu. Były moimi narzędziami pracy, narządem dotyku, mogłam leczyć dzięki temu, że były zarazem delikatne i silne. Miały w sobie pewne piękno, które podziwiałam z dystansu, ale bardziej przemawiało do mnie piękno ich siły i kompetencji, pewność ich mocy.

Teraz widziałam tę samą dłoń, bladą i o długich palcach, o nieco wystających kłykciach - dziwnie nagą bez obrączki, choć z całą pewnością była to moja dłoń. Leżała jednak w drugiej, znacznie większej i bardziej szorstkiej,

przez co wydawała się drobna i krucha.

Jego druga ręka zacisnęła się mocniej, wciskając obrączkę w ciało, przypominając mi o tym, co pozostało. W odpowiedzi uniosłam jego pięść i mocno przycisnęłam do serca. Deszcz zaczął padać dużymi kroplami, ale żadne z nas się nie poruszyło.

Lunęło. Nad łodzią i brzegiem utworzyła się iluzoryczna zasłona strug wałących w liście, pokład i wodę. Deszcz zmywał moją skórę, chwilowo łagodząc rany lęku i utraty.

Poczułam się jednocześnie straszliwie bezbronna i całkowicie bezpieczna. Ale w obecności Jamiego Frasera zawsze się tak czułam.

CZĘŚĆ CZWARTA

River Run

10. Jokasta

Cross Creek, Karolina Północna, czerwiec 1767

River Run leżało na skraju Cape Fear, powyżej zbiegu wód, od którego Cross Creek wywodziło swoją nazwę. Cross Creek z kolei było sporym miastem z zatłoczoną przystanią i kilkoma dużymi magazynami na nabrzeżu. „Sally Ann” płynęła powoli wzdłuż szlaku żeglugowego, otoczona ciężką, żywiczną wonią, którą przesycone było powietrze nad miastem i rzeką.

- Jezu, zupełnie jakbym oddychał terpentyną - wycharczał Ian, gdy ogarnęła nas kolejna fala duszącego smrodu.

- Bo właśnie tym oddychasz, chłopcze. - Eutroclus błysnął białymi zębami w rzadko widywanym uśmiechu i wskazał głową na barkę przycumowaną do pala przy

nabrzeżu. Barka była wyładowana beczkami, przez szczeliny między klepkami z niektórych wypływała czarna maź. Inne, większe beczki oznaczone były symbolami właścicieli, pod którymi widniała duża litera „T”, wypalona w sosnowym drewnie.

- Racja - zgodził się kapitan Freeman, mrużąc oczy w ostrym słońcu. Pomachał ręką przed nosem, jakby mogło to rozgonić przykry zapach. - O tej porze roku ściągają tu smolarze z prowincji. Smoła, terpentyna, dziegieć - wszystko płynie barkami do Wilmington, a potem na południe do doków w Charlestonie.

- To chyba nie tylko terpentyna - rzekł Jamie. Wytarł kark chustką i wskazał głową największy magazyn, strzeżony przez żołnierzy w czerwonych kurtkach. - Czujesz, Angielko?

Ostrożnie zacerpnęłam powietrza. Tak, wyczuwałam jeszcze jakiś inny zapach, ciepły i znajomy.

- Rum? - zapytałam.

- Oraz brandy. I odrobina porto. - Długi nos Jamiego drgał, wrażliwy niczym u mangusty. Patrzyłam na niego z rozbawieniem.

- Widzę, że nie zatraciłeś węchu. - Przed dwudziestu laty zarządzał w Paryżu interesami swego kuzyna Jareda, który był kupcem winnym. Nos i podniebienie Jamiego były obiektem zazdrości wszystkich kiperów.

Uśmiechną się szeroko.

- Wydaje mi się, że potrafię jeszcze odróżnić mozelskie od końskich szczyn, jeśli podstawisz mi jedno i drugie pod nos. Ale odróżnić terpentynę od rumu to nie jest wielki wyczyn.

Ian głęboko wciągnął oddech i wypuścił powietrze, kaszłąc.

- Dla mnie to wszystko śmierdzi tak samo - oświadczył, kręcąc głową.

- To dobrze - stwierdził Jamie. - Następnym razem, gdy będę stawał, dostaniesz terpentynę. Wyjdzie znacznie taniej. Właściwie w tej chwili i tak na nic innego nas nie stać - dodał wśród śmiechów, jakie wywołało jego poprzednie stwierdzenie. Wyprostował się i otrzepał poły żakietu. - Niedługo będziemy na miejscu. Czy wyglądam całkiem jak żebrak, Angielko?

W słońcu, które lśniło w schludnie zaplecionych włosach, jego profil wyglądał jak wytłoczony na monecie. Osobiście byłam zdania, że wygląda olśniewająco, ale wyczułam w jego głosie niepokój i dobrze wiedziałam, co ma na myśli. Nawet jeśli był bez grosza, to nie chciał, by było to po nim widać.

Obejrzałam go dokładnie. Żakiet i kamizelka, pożyczone od kuzyna Edwina, nie były rewelacyjne, ale do przyjęcia - spokojna szara wełna, dobrze skrojona i dopasowana, z guzikami, które choć nie były srebrne, to również nie drewniane ani kościane, lecz zrobione ze stopu cyny i ołowiu, jak w ubraniu zamożnego kwakra.

Reszta stroju jednak w żadnym stopniu nie upodabniała go do kwakra. Płócienna koszula była trochę brudna, ale istniała szansa, że jeśli nie będzie zdejmował żakietu, nikt tego nie zauważy, a długi koronkowy żabot, jedyna ekstrawagancja w jego stroju, zakrywał brak guzika u kamizelki. Pończochy były w porządku, z jasnoniebieskiego jedwabiu bez widocznych dziur, a białe

plócienne bryczesy obcisłe, ale nie wyglądały zbyt nieprzyzwoicie. I były w miarę czyste.

Jedynym zgrzytem w tym zestawie były buty; nie mieliśmy czasu, by zamówić nowe. Ale nie miały dziur, a ja zrobiłam, co mogłam, by zamaskować zadrapania sadzą i sadłem. Mimo wszystko były to buty farmera, a nie dżentelmena: na grubej podeszwie, z szorstkiej skóry i z tanimi rogowymi sprzączkami. Sądziłam jednak, że buty nie będą pierwszą rzeczą, na jaką ciotka Jokasta zwróci uwagę.

Stałam na palcach, poprawiłam żabot i strzepnęłam piórko z ramienia.

- Wszystko będzie dobrze - szepnęłam, uśmiechając się do niego.

- Wyglądasz pięknie.

Wydawał się zaskoczony; jego pochmurna rezerwa zmieniła się w uśmiech.

- To ty jesteś piękna, Angielko. - Pochylił się i pocałował mnie w czoło. - Jesteś zarumieniona jak jabłuszko; brrrrdzo ładnie. - Wyprostował się, spojrzął na Iana i westchnął. - A jeśli chodzi o Iana, to chyba przedstawię go jako skazańca, którego wziąłem na pastucha dla świń.

Ian należał do ludzi, na których każda odzież, nawet najlepszej jakości, wygląda jak wyciągnięta ze śmietnika. Spod zielonej wstążki wymykała się połowa włosów, kościsty łokieć sterczał przez rozdarcie w nowej koszuli, a mankiety przybrały już wyraźnie szary odcień.

- Kapitan Freeman mówi, że zaraz będziemy na miejscu! - wykrzyknął z oczami błyszczącymi z podniecenia, przechylając się przez burtę, żeby wypatrzeć

cel jako pierwszy. - Jak myślicie, co dostaniemy na kolację?

Jamie spojrzał na siostrzeńca z wyraźnym niesmakiem.

- Sądzę, że dostaniesz resztki ze stołu, razem z psami. Nie masz żakietu ani grzebienia?

- Ach, tak - odrzekł Ian, rozglądając się niepewnie dookoła, jakby oczekiwał, że któryś z tych przedmiotów zmaterializuje mu się przed nosem. - Mam żakiet. Wydaje mi się, że gdzieś tu był.

Żakiet ostatecznie odnalazł się pod ławką. Trzeba było nieco zachodu, by odebrać go Rollowi, który uznał go za swoją własność i umościł sobie na nim wygodne legowisko. Po szybkim oczyszczeniu go z psich kłaków Ian został zapakowany weń siłą i posadzony w miejscu, by można było rozczesać i zapleść mu włosy. Równocześnie Jamie wygłosił mu krótki wykład na temat dobrych manier, który właściwie ograniczał się do jednej rady: by odzywał się jak najrzadziej.

Ian życzliwie pokiwał głową.

- Czy to znaczy, że sam opowiesz ciotecznej babci Jokaście o piratach?

Jamie rzucił szybkie spojrzenie na chude plecy kapitana Freemana. Było jasne, że gdy tylko się z nim pożegnamy, ta historia obiegnie wszystkie tawerny w Cross Creek. Było kwestią kilku dni, a może nawet kilku godzin, by dotarła również do River Run.

- Powiem jej - odrzekł. - Ale nie od razu, Ian. Niech najpierw się do nas przyzwyczai.

Przystań w River Run znajdowała się nieco powyżej Cross Creek, oddzielona od hałasu i smrodu miasta

kilkukilometrowym odcinkiem spokojnej rzeki o brzegach porośniętych lasem. Widząc, że Jamie, Ian i Fergus zrobili, co mogli, by upiększyć się za pomocą wody, grzebienia i wstążek, poszłam do kabiny, zdjęłam przybrudzoną muślinową suknię, szybko umyłam się gąbką i wsunęłam się w kremowy jedwab, który miałam na sobie na kolacji u gubernatora.

Miękka tkanina była lekka i chłodna w dotyku. Suknia może była nieco zbyt strojna na popołudnie, ale Jamiemu bardzo zależało, byśmy wyglądali przyzwoicie, szczególnie teraz, po spotkaniu z piratami, a ja miałam jeszcze tylko brudny muślin i czystą, ale poprzecieraną suknię z wielbłądziej wełny, która przywędrowała ze mną z Georgii.

Niewiele mogłam zrobić z włosami, przejechałam po nich tylko grzebieniem i związałam na karku, nie przejmując się tym, że kręciły się, jak chciały. Pomyślałam z żalem, że nie muszę się kłopotać biżuterią, i wypolerowałam srebrną obrączkę, by lśniła. Wciąż jeszcze unikałam spoglądania na nagą lewą dłoń; gdy na nią nie patrzyłam, miałam wrażenie, że czuję ciężar złota.

Kiedy wyszłam z kabiny, przystań była już widoczna na horyzoncie. W porównaniu z rozklekotanymi pomostami należącymi do mijanych wcześniej plantacji, drewniany dok w River Run sprawiał wrażenie solidnego i porządnie zbudowanego. Na końcu pomostu siedział mały, czarny chłopiec i znudzony machał gołymi nogami.

Gdy dojrzał zbliżającą się „Sally Ann”, zerwał się na równe nogi i odbiegł, zapewne by obwieścić nasze przybycie.

Statek zatrzymał się przy pomoście. Zaraz za rzędem drzew zaczynała się ceglana alejka, która, ciągnąc się między licznymi trawnikami i ogrodami utrzymanymi w stylu francuskim, rozdwajała się przed klombami, na których stały pary marmurowych posągów, a potem znów zbiegała i na koniec rozszerzała się w szeroki podjazd przed imponującą piętrową rezydencją z rzędem kolumn i licznymi kominami na dachu. Z boku, obok klombów, stał miniaturowy budynek z białego marmuru - jak sądziłam, coś w rodzaju mauzoleum.

Zmieniłam zdanie co do stosowności mojego stroju i nerwowo dotknęłam włosów.

Zobaczyłam ją od razu wśród ludzi wybiegających z domu na alejkę. Nawet gdybym nie wiedziała, kim jest, natychmiast rozpoznałabym, że pochodzi z rodu MacKenziech. Miała mocną budowę, wyraźne kości policzkowe i wysokie, gładkie czoło swych braci, Columa i Dougala. I podobnie jak Jamie oraz jego siostrzeniec odznaczała się wysokim wzrostem, który wyróżniał ich wszystkich jako dziedziców jednej krwi.

O głowę wyższa od otaczającej ją gromadki czarnych służących, płynęła alejką od strony domu z ręką opartą na ramieniu lokaja, chociaż spośród wszystkich kobiet, jakie znałam, zdawało się, że ona w najmniejszym stopniu potrzebuje wsparcia.

Była wysoka i szybka, jej pewny krok kontrastował z siwymi włosami, które kiedyś mogły mieć podobny kolor jak włosy Jamiego i wciąż zachowały czerwony odcień. Jej siwizna była charakterystyczna dla osób rudych, przypominała patynę na starej złotej łyżeczce.

Jeden z chłopców na przedzie wykrzyknął coś głośno, na co dwóch innych oderwało się od grupy i pobiegło w stronę przystani, gdzie zaczęli biegać dokoła nas, ujadając jak szczeniaki. Początkowo nie rozumiałam ani słowa, dopiero gdy Ian odpowiedział im wesoło, dotarło do mnie, że krzyczeli po gaelicku.

Nie wiedziałam, czy Jamie zastanawiał się wcześniej, jak ma się zachować podczas tego pierwszego spotkania, w każdym razie po prostu stanął naprzeciw Jokasty MacKenzie i objął ją ze słowami:

- Ciociu, to ja, Jamie.

Dopiero gdy ją puścił i cofnął się, dostrzegłam jego twarz.

Malował się na niej wyraz, jakiego nigdy jeszcze nie widziałam - coś pomiędzy żarliwością, radością a czcią. Ze zdumieniem pomyślałam, że Jokasta MacKenzie musi być bardzo podobna do swej starszej siostry, matki Jamiego. Przypuszczałam, że ma takie same niebieskie oczy jak on, ale nie widziałam ich dokładnie, bo pełne były łez.

Śmiała się przez łzy, trzymała go za rękaw, dotykała policzka, odgarniała z jego twarzy nieistniejące pasma włosów.

- Jamie! - powtarzała bez ustanku. - Jamie, mały Jamie! Och, jak się cieszę, że tu przyjechałeś, chłopcze! - Po raz kolejny wyciągnęła rękę i dotknęła jego włosów z wyrazem zdumienia na twarzy. - Najświętsza Panienko, jaki to olbrzym! Jesteś co najmniej tak wysoki jak mój brat Dougal!

Twarz Jamiego nieco przygasła, ale nadal się uśmiechał. Obrócił się razem z nią tak, że stanęli

naprzeciwko mnie.

- Ciociu, czy mogę ci przedstawić moją żonę? To jest Claire.

Natychmiast wyciągnęła rękę, którą ujęłam w dłoń. Długie, silne palce wydawały mi się znajome. Choć kłykcie miała pomarszczone od wieku, skóra była miękka, a jej uścisk niepokojąco przypominał uścisk Brianny.

- Niezmiernie miło mi cię poznać, moja droga - powiedziała i przyciągnęła mnie do siebie, bym mogła pocałować ją w policzek. Jej suknia intensywnie pachniała miętą i werbeną. Poczułam się dziwnie wzruszona, jakbym nagle dostała się pod opiekę jakiegoś dobroczynnego bóstwa. - Jaka piękna! - dodała z zachwytem, gładząc długimi palcami rękaw mojej sukni.

- Dziękuję - odrzekłam tylko, bo Ian i Fergus już czekali na prezentację. Powitała ich uściskami i czułościami, i roześmiała się, gdy Fergus ucałował jej dłoń w najlepszym francuskim stylu.

- Chodźcie - powiedziała w końcu, ocierając mokre policzki wierzchem dłoni. - Wejdźcie do środka, moi drodzy, herbata i poczęstunek już czekają. Z pewnością jesteście głodni po takiej podróży. Ulissesie! - Odwróciła się, szukając lokaja, który zbliżył się z niskim ukłonem.

- Madame, sir - skłonił się przed nami. - Wszystko jest gotowe, panno Jo - dodał cicho do swojej pani i podał jej ramię.

Za ich plecami Fergus skłonił się przed Ianem, przedrżniając dworne maniery lokaja, i kpiąco podał mu ramię. Ian zręcznie kopnął go w siedzenie i ruszył przed siebie, obracając głowę na wszystkie strony, by niczego nie

przeoczyć. Jego zielona wstążka już się rozwiązała i zwisała do połowy pleców.

Jamie prychnął na te niewybredne żarty, ale uśmiechnął się mimo wszystko.

- Madame? - wyciągnął do mnie ramię. Ujęłam je i majestatycznym krokiem ruszyłam w stronę otwartych na nasze powitanie na oścież drzwi River Run.

Dom był rozległy i przestronny. Wszystkie pokoje na parterze miały wysokie sufity i szerokie, przeszklone drzwi. Gdy mijaliśmy dużą, elegancką jadalnię, pochwycałam błysk srebra i kryształów i pomyślałam, że sądząc po wystroju domu, Hektor Cameron musiał być bardzo bogatym plantatorem.

Jokasta zaprowadziła nas do swojego prywatnego salonu, który był mniejszy i przytulniejszy, choć nie gorzej wyposażony niż pozostałe pokoje. Między wypolerowanymi meblami i lśniącymi ozdobami znajdowały się tu również swojskie, domowe akcenty. Na stoliku z połyskującego drewna, obok szklanego wazonu z letnimi kwiatami i ozdobnego srebrnego dzwonka, stał duży koszyk do robótek, pełen kłębków przędzy; przy otwartych drzwiach ogrodowych, poruszany podmuchami powietrza, obracał się kołowrotek.

Lokaj zaprowadził nas do pokoju, poczekał, aż jego pani usiądzie, a następnie zatrzymał się przed komodą, na której stała imponująca kolekcja dzbanków i butelek.

- Wypijesz kieliszeczek, Jamie? Musimy uczcić twoje przybycie!

- Jokasta wskazała na butelki długą, wąską dłonią. - Pewnie od czasu wyjazdu ze Szkocji nie kosztowałaś

przyzwoitej whisky.

Jamie zaśmiał się, siadając naprzeciwko niej.

- Istotnie, ciociu. A gdzie ją tu zdobyłaś?

Wzruszyła ramionami, wyraźnie zadowolona z siebie.

- Twojemu wujowi poszczęściło się przed kilku laty. Wymienił magazyn pełen tytoniu na połowę ładunku statku, który wiozł wino i alkohole. Zamierzał to sprzedać, ale wtedy parlament uchwalił ustawę przyznającą Koronie wyłączność na sprzedaż w koloniach wszelkich alkoholi mocniejszych od piwa, i tak oto skończyliśmy z dwustoma butelkami w piwnicze!

Wyciągnęła rękę w stronę stolika, nawet nie odwracając głowy.

Nie musiała, lokaj natychmiast postawił kryształową szklankę dokładnie w miejscu, gdzie znalazły się jej palce. Zacisnęła dłoń wokół szklanki, podniosła ją do twarzy i wdychała zapach, mrużąc z rozkoszą oczy.

- Zostało tego jeszcze sporo, znacznie więcej, niż mogę sama wypić. - Otworzyła oczy, uśmiechnęła się i uniosła szklankę w toaście. - Za ciebie, siostrzeńcze, i za twoją drogą żonę - ten dom jest waszym domem! Slainte!

- Slainte mhar! - odpowiedział Jamie i wszyscy wypili. To naprawdę była dobra whisky, gładka jak jedwab i rozgrzewająca jak słoneczny promień. Czułam, jak spływa mi do żołądka i rozchodzi się wzdłuż kręgosłupa. Na Jamiego chyba zadziałała podobnie, gdyż delikatna zmarszczka między jego brwiami zniknęła i cała twarz rozluźniła się.

- Jeszcze dziś wieczorem każę Ulissesowi napisać do

twojej siostry, żeby ją powiadomić, iż dotarliście tu bezpiecznie - mówiła Jokasta. - Na pewno bardzo się martwi o swojego chłopca i rozmyśla o rozmaitych nieszczęściach, które mogły wam się przydarzyć podczas podróży.

Jamie odstawił szklanekę i odchrząknął, zbierając się do wyznania.

- Jeśli chodzi o nieszczęścia, ciociu, to niestety muszę ci opowiedzieć... Odwróciłam wzrok, nie chcąc powiększać jego skrępowania, gdy zwięźle tłumaczył żenujący stan naszego posiadania. Jokasta słuchała uważnie, wydając od czasu do czasu odgłosy przerażenia, gdy Jamie opowiadał o spotkaniu z piratami.

- Nikczemnicy, ach, nikczemnicy! - wykrzyknęła. - Tak ci odplacić za dobroć! Ten człowiek zasługuje na szubienicę!

- Tylko siebie mogę za to winić, ciociu - rzekł Jamie posępnie. - Powieszono by go, gdyby nie ja. A ponieważ od początku wiedziałem, że jest łotrem, to nie powinno mnie dziwić, że na koniec znów się nim okazał.

- Mhmm. - Jokasta zmieniła nieco pozycję i teraz, mówiąc, spoglądała nieco ponad lewym ramieniem Jamiego. - No trudno, siostrzeńcze. Powiedziałam, że River Run jest waszym domem, i mówiłam szczerze. Zawsze będziecie tu mile widziani, ty i twoi ludzie. Z pewnością znajdziemy też jakiś sposób, byście mogli odzyskać majątek.

- Dziękuję, ciociu - wymamrotał Jamie, wpatrując się w podłogę i zaciskając dłoń na szklance tak mocno, że kostki palców zbieleły.

Jego zakłopotanie nieco zmalowało, gdy rozmowa

zeszła na Jenny i jej rodzinę w Lallybroch. Zapowiedziano kolację. Wietrzyk wpadający przez otwarte drzwi niósł nad trawnikami i klombami upajające aromaty pieczonego mięsa z kuchni. Fergus taktownie podniósł się i wyszedł, natomiast Ian krążył po pokoju, brał do ręki różne przedmioty i znów je odkładał. Rollo, znudzony siedzeniem w zamknięciu, obwąchiwał próg; gorliwy lokaj obserwował go z wyraźnym niesmakiem.

Dom i meble były proste, ale starannie wykonane i piękne, a wnętrza urządzone z ponadprzeciętnym smakiem. Zdałam sobie sprawę, czyja ręka się za tym kryła, gdy Ian zatrzymał się przed dużym obrazem na ścianie.

- Ciociu Jokasto! - wykrzyknął z ożywieniem. - To ty namalowałaś? Tu jest twój podpis.

Przez jej twarz przebiegł cień, ale zaraz znów się uśmiechnęła.

- Ten górski widok? Tak, bardzo te góry kochałam. Jeździłam z Hektorem, gdy skupował skóry. Rozpalaliśmy wielkie ognisko i służący podtrzymywali je, żeby było widoczne w dzień i w nocy. Po kilku dniach z lasu zaczęli się schodzić czerwonoskórzy. Siadali przy ogniu, rozmawiali, pili whisky i dobijali targu, a ja całymi godzinami siedziałam ze szkicownikiem i węglem drzewnym rysowałam wszystko, co widziałam.

Odwróciła się i wskazała na odległy koniec pokoju.

- Spójrz na ten obraz w kącie, chłopcze, i sprawdź, czy uda ci się odnaleźć Indian, których poukrywałam między drzewami.

Skończyła swoją whisky i odstawiła szklankę. Lokaj chciał ją ponownie napełnić, ale odmownie pomachała ręką,

nie patrząc na niego. Odstawił karafkę i cicho wysunął się do holu.

- Tak, kochałam widok tych gór - powtórzyła cicho.

- Nie są takie czarne i nagie jak w Szkocji, lecz światło na skałach i mgły między drzewami czasem przypominały mi Leoch.

Pokręciła głową i uśmiechnęła się do Jamiego nieco zbyt promiennie.

- Jednak mój dom już od dawna jest tutaj, siostrzeńcze, i mam nadzieję, że uznasz go również za swój.

Nie mieliśmy co prawda żadnego wyboru, ale Jamie skłonił głowę i wymamrotał podziękowanie. Naraz Rollo uniósł łeb i gwałtownie zaszczekał.

- Co się dzieje, piesku? - zapytał Ian. - Coś wywęszyłeś?

Rollo skamlał, wpatrując się w ocienioną rabatę i niespokojnie jeżąc sierść. Jokasta zwróciła głowę w kierunku otwartych ogrodowych drzwi i pociągnęła nosem.

- To skunks - oznajmiła.

Ian spojrział na nią z przerażeniem.

- Skunks? One podchodzą tak blisko domu?

Jamie szybko podszedł do drzwi i wyjrzał do mroczniejącego ogrodu.

- Jeszcze nigdy nie widziałem skunksa - powiedział i jego dłoń odruchowo powędrowała do pasa, ale oczywiście nie znalazł sztyletu przy wizytowym ubraniu. - Ciociu, czy masz jakąś broń w domu?

Jokasta ze zdumienia otworzyła usta.

- Tak. Mnóstwo. Ale...

- Jamie - wtrąciłam z uśmiechem. - Skunks nie jest...

Zanim którakolwiek z nas zdołała dokończyć zdanie, coś poruszyło się gwałtownie w kępie lwich paszczy przy grządce z ziołami. Wysokie łądygi zakołysały się na wszystkie strony. Rollo zjeżył sierść i zaczął warczeć.

- Rollo! - Ian rozejrzał się, szukając jakiejś zaimprovizowanej broni. Chwycił pogrzebacz sprzed kominka i machając nim nad głową, pobiegł do drzwi, ale Jamie przytrzymał go za ramię.

- Zaczekaj, Ian! Popatrz. - Z szerokim uśmiechem wskazał na grądkę, gdzie spomiędzy lwich paszczy, bardzo z siebie zadowolony, wylaniał się właśnie piękny, tłusty skunks w białe i czarne paski.

- To jest skunks? - zapytał Ian z niedowierzaniem. - Przecież ten śmierdziel wygląda prawie jak tchórz! - Zmarszczył nos z miną wyrażającą zarazem rozbawienie i niesmak. - Phi! A ja myślałem, że to wielka, niebezpieczna bestia!

Beztraska skunksa była nie do zniesienia dla Rolla, który rzucił się przed siebie z krótkim, głośnym szczeknięciem. Wybiegł na taras i miotał się po nim w jedną i w drugą stronę, powarkując i podejmując próby szarżowania na skunksa, który wydawał się poirytowany tym zamieszaniem.

- Ian - powiedziała, chowając się za plecami Jamiego. - Zawołaj psa. Skunksy są niebezpieczne.

- Jednak są? - Jamie popatrzył na mnie z zaskoczeniem. - Ale co...?

- Tchórze tylko śmierdzą - wyjaśniłam. - A skunksy... Ian, nie!

Zostaw go i wracaj do środka!

Ian z ciekawości dźgnął skunksa pogrzebaczem, a ten, urażony tą poufałością, tupnął łapą i podniósł ogon do góry. Usłyszałam dźwięk odsuwanego krzesła i obejrzałam się. Jokasta podniosła się z miejsca z niespokojną twarzą, ale nie podeszła do drzwi.

- Co się dzieje? - zapytała. - Co oni robią?

Ku mojemu zaskoczeniu patrzyła w głąb pokoju, obracając głowę na wszystkie strony, jakby próbowała odszukać kogoś w ciemności.

Nagle wszystko zrozumiałam: jej dłoń wspartą na ramieniu lokaja, dotykane twarzy Jamiego podczas powitania, szklankę w zasięgu ręki i cień, który przebiegł jej przez twarz, gdy Ian zapytał o obraz. Jokasta Cameron była ślepa.

Zduszony okrzyk i przeraźliwy skowyt na tarasie zmusiły mnie do skupienia uwagi na pilniejszych kwestiach. Fala gryzącego zapachu wpadła do pokoju, odbiła się od podłogi i otoczyła mnie jak chmura po wybuchu atomowym. Dławiąc się i próbując złapać oddech, z załzawionymi oczami, po omacku szukałam Jamiego, który na wydechu mamrotał coś po gaelicku. Poprzez kakofonię wycia i jęków z tarasu dosłyszałam za plecami cieniutki dźwięk dzwoneczka Jokasty.

- Ulissesie? - rzekła z rezygnacją. - Powiedz kucharzowi, że kolacja będzie spóźniona.

- Całe szczęście, że jest lato - stwierdziła Jokasta następnego dnia przy śniadaniu. - Wyobraźcie sobie, co by było w zimie, gdybyśmy musieli pozamykać drzwi! - Roześmiała się, pokazując zęby, które, zważywszy na jej wiek, były w doskonałym stanie.

- No tak - mruknął Ian. - Czy mogę prosić jeszcze o grzanekę, ma'am? Obydwaj z Rollem zostali wymoczeni w rzece, a potem natarci świeżymi pomidorami z pędów porastających ściany wygódki za domem. Sok pomidorowy łagodził smród wydzielin skunksa, a także ludzkich, ale niestety żadnego z nich nie neutralizował zupełnie.

Ian siedział samotnie na końcu długiego stołu, obok otwartych drzwi do ogrodu, zauważyłam jednak, że służąca, która przyniosła mu grzanekę, stawiając przed nim talerz, dyskretnie zmarszczyła nos. Być może to właśnie ze względu na obecność Iana i potrzebę świeżego powietrza Jokasta zaproponowała, byśmy się wybrali do destylarni, gdzie wytwarzano terpentynę, w lesie położonym powyżej River Run.

- To jest wyprawa na cały dzień, ale sądzę, że pogoda się utrzyma. - Zwróciła się w stronę drzwi do ogrodu, nasłuchując brzęczenia pszczoł unoszących się nad obwódką grządki z nawłoci i floksów. - Słyszysz? - uśmiechnęła się do Jamiego. - Pszczoły mówią, że będzie piękny, upalny dzień.

- Ma pani doskonały słuch, pani Cameron - rzekł Fergus uprzejmie. - Ale czy zgodziłaby się pani użyczyć mi któregoś ze swych koni? Ja osobiście wolałbym wybrać się do miasta.

Wiedziałam, że nie może się już doczekać okazji, by wysłać wiadomość na Jamajkę, do Marsali. Poprzedniego wieczoru pomogłam mu napisać długi list o naszych przygodach. Zamiast czekać, aż niewolnik zabierze list wraz z całotygodniową pocztą, wołał nadać go własnoręcznie,

- Oczywiście - odpowiedziała Jokasta z uśmiechem.

- Tak jak mówiłam, traktujcie River Run jak swój dom.

Ona sama również zamierzała nam towarzyszyć. Zeszła na dół w stroju do jazdy konnej z ciemnozielonego muślinu, a dziewczyna o imieniu Fedra niosła za nią kapelusz ozdobiony zieloną aksamitną wstążką. Jokasta zatrzymała się pośrodku holu, ale nie włożyła od razu kapelusza - najpierw Fedra owinęła jej głowę pasem białego płótna, zasłaniając oczy.

- Nie widzę nic prócz światła - wyjaśniła. - W ogóle nie rozróżniam przedmiotów. Ale światło słoneczne sprawia mi ból, więc gdy wychodzę na zewnątrz, muszę chronić oczy. Jesteście gotowi, moi drodzy?

Tym samym potwierdziły się niektóre z moich domysłów dotyczących jej ślepoty, choć jeszcze nie wszystko było dla mnie jasne. Barwnikowe zwyrodnienie siatkówki? - zastanawiałam się, idąc za nią przez szeroki hol. A może zwyrodnienie plamki żółtej, choć najbardziej prawdopodobna wydawała się jaskra. Nie po raz pierwszy, i byłam pewna, że nie ostatni, moje palce zaciskały się na niewidzialnym oftalmoskopie, pragnąc zobaczyć to, czego nie dało się dostrzec gołym okiem.

Ku mojemu zdziwieniu zamiast powozu w stajni czekała na Jokastę osiodłana klacz. Talent do obłaskawiania koni był powszechny w rodzie MacKenziech; klacz na widok swej pani podniosła łeb i zarżała. Jokasta podeszła do niej z rozjaśnioną twarzą.

- Ciamar a tha tu? - zapytała, gładząc miękki rzymski nos. - To jest moja droga Corinna. Prawda, że piękna? - Wyjęła z kieszeni małe, zielone jabłko, które klacz przyjęła z wyraźną aprobatą. - Czy ktoś się zajął twoim

napiąstką, mo chridhe? - Pochyliła się, powiodła dłonią po łopatce i nodze konia aż do wewnętrznej części napiąstka i wprawnymi palcami odnalazła gojącą się bliznę. - Co powiesz, siostrzeńcze? Czy jest już zdrowa i wytrzyma dzień jazdy?

Jamie klasnął językiem i Corinna, natychmiast rozpoznając kogoś, kto mówił w zrozumiałym dla niej języku, posłusznie postąpiła w jego kierunku. Obejrzał jej nogę, chwycił za uzdę i kilkoma cichymi gaelickimi słowami zachęcił ją do zrobienia kilku kroków, po czym wskoczył na siodło i truchtem objechał dwukrotnie dziedziniec.

- Jest żwawa i chętna do jazdy - orzekł, zeskakując na ziemię. - Skąd wzięła się ta rana?

- To był wąż, sir - wyjaśnił stajenny, młody czarny chłopak, który uważnie obserwował poczynania Jamiego.

- Ale to nie jest ślad po ukąszeniu - zdziwiłam się. - Raczej rozdarcie, jakby zahaczyła o coś nogą.

Chłopak uniósł brwi, ale przytaknął z szacunkiem.

- Tak, pszepani, to prawda. To było w zeszłym miesiącu.

Usłyszałem rzenie i jakiś łomot. Tłukła się tak, że mało brakowało, a zwałyby sobie całą stajnię na łeb. Przyleciałem zobaczyć, co się stało, i znalazłem rozdeptanego w słomie wielkiego jadowitego węża.

Żłób był rozwalony na kawałki, a biedna mała trzęsa się w kącie z zakrwawioną nogą. Wbiła sobie w nią wielką drzazgę. - Spojrzał na konia z wyraźną dumą. - Była bardzo dzielna!

- Ten „wielki jadowity wąż” miał może pół metra

długości - mruknęła Jokasta ironicznie. - I był to zwykły zielony wąż ogrodowy.

Ale to głupie stworzenie na widok węża od razu traci głowę.

Śmiertelnie się ich boi. - Z uśmiechem przechyliła głowę w stronę stajennego. - Josh też za nimi nie przepada, prawda?

Chłopak uśmiechnął się szeroko.

- Nie, ma'am. Nie cierpię ich tak samo jak Corinna.

Ian, który przysłuchiwał się tej wymianie zdań, słysząc szkocki akcent chłopaka, nie potrafił już dłużej pohamować ciekawości.

- Skąd pochodzisz? - zapytał z wielkim zainteresowaniem. Josh zmarszczył czoło.

- Skąd pochodzę? Znikąd... aha, już rozumiem. Urodziłem się w posiadłości pana George'a Burnetta, w górze rzeki. Panna Jo kupiła mnie dwa lata temu, zaraz po Wielkiej Nocy.

- Można śmiało założyć, że pan Burnett urodził się niezbyt daleko od Aberdeen, prawda? - zauważył cicho Jamie.

River Run obejmowało rozległy obszar. Oprócz pól położonych wzdłuż rzeki do posiadłości należała również znaczna część lasów sosnowych pokrywających jedną trzecią kolonii. Ponadto Hektorowi Cameronowi udało się pozyskać tereny, przez które przepływał szeroki strumień, jeden z wielu dopływów Cape Fear. Dzięki temu cenne drewno, smołę i terpentynę, pozyskiwane z lasów, można było wygodnie spławiać bezpośrednio do portów. Nic więc dziwnego, że posiadłość doskonale prosperowała, choć

uprawiano tu niezbyt wiele tytoniu i indygo - z drugiej strony aromatyczne pola tytoniowe, przez które przejeżdżaliśmy, zupełnie nie sprawiały na mnie wrażenia niewielkich.

- W miejscu, gdzie strumień wpada do rzeki, stoi nieduży tartak - wyjaśniała Jokasta po drodze. - Drewno jest tam cięte i formowane, a potem deski i beczki spływają barkami do Wilmington. Rzeką jest znacznie bliżej, choć trzeba wiosłować pod prąd, ale pomyślałam, że pokażę wam okolicę. - Z wyraźną przyjemnością wciągnęła w płuca zwykłe powietrze. - Już dawno nigdzie nie wychodziłam.

Rzeczywiście, okolica była bardzo ładna. Gęste korony drzew nad głowami zasłaniały słońce i w lesie panował przyjemny chłód. Smukłe pnie wznosiły się wysoko, najniższe gałęzie pojawiały się dopiero na wysokości jakichś ośmiu lub dziesięciu metrów nad ziemią, nie zdziwiła nas zatem informacja, że większość produkcji tartaku stanowiły maszty i bomby dla Marynarki Królewskiej.

Jokasta mówiła, że River Run prowadziło rozliczne interesy z marynarką, zaopatrując ją w maszty, reje, łaty, belki, smołę, terpentynę i dziegieć. Jamie jechał u boku ciotki, uważnie słuchając wyjaśnień, Ian i ja pozostaliśmy zaś nieco z tyłu. Wyglądało na to, że Jokasta budowała River Run razem z mężem. Zastanawiałam się, jak radzi sobie z zarządzaniem posiadłością teraz, gdy została sama.

- Spójrz! - zawołał naraz Ian. - Co to takiego?

Zwolniłam i razem podjechaliśmy do drzewa, na które wskazywał. Z pnia odarto wielki kawał kory o wymiarach mniej więcej metr na metr. W białozółtym

drewnie wyżłobiony był wzór jodełki, jakby ktoś posiekał je ostrym nożem.

- To już niedaleko - odezwała się Jokasta. Jamie zauważył, że zatrzymaliśmy się, i obydwójce zbliżyli się do nas. - To, na co patrzycie, to drzewo terpentynowe, czuję je nawet stąd.

Wszyscy je czuliśmy. Zapach świeżego drewna i ostrej żywicy był tak mocny, że nawet ja mogłabym odnaleźć to drzewo z zamkniętymi oczami. Teraz, gdy się zatrzymaliśmy, usłyszałam z głębi lasu stukot siekier i nawoływania pracujących mężczyzn, wyczułam także woń dymu.

Jokasta poprowadziła Corinnę do drzewa i dotknęła zagłębienia wyżłobionego na samym dole.

- To jest zbiornik - wyjaśniła. - Tu gromadzi się spływająca żywica. Jest już prawie pełen, niedługo pojawi się niewolnik, by go opróżnić.

W tej samej chwili pomiędzy drzew wyłonił się niewolnik ubrany tylko w przepaskę na biodrach. Prowadził dużego, białego muła, który niósł dwie baryłki zaczepione na przerzuconym przez grzbiet szerokim pasie. Na nasz widok muł zatrzymał się w miejscu jak wryty, odrzucił łeb do tyłu i histerycznie zaryczał.

- To na pewno Clarence - wyjaśniła Jokasta, przekrzykując ryk zwierzaka. - Lubi towarzystwo. A kto tam jest razem z nim? Czy to ty, Pompey?

- Jaa, szepni - odpowiedział niewolnik. Złapał muła za wędzidło i wykręcił brutalnie. - Ruszeblaku!

Przetłumaczyłam to sobie w myślach na: „Rusz się, bydlaku”, a gdy mężczyzna zwrócił się twarzą w naszą

stronę, zrozumiałam, skąd bierze się jego zniekształcona wymowa: brakowało mu lewej dolnej połowy szczęki, twarz poniżej kości policzkowej miał zapadniętą i pokrytą zbliżowaną tkanką. Jokasta chyba usłyszała moje westchnienie albo domyśliła się, na co patrzę, bo skierowała na mnie niewidzące oczy.

- Wybuch smoły. Miał szczęście, że nie zginął. Chodźcie, już prawie jesteśmy na miejscu.

Nie czekając na stajennego, wprawnie zawróciła konia i ruszyła między drzewa, w kierunku, z którego dochodziła won dymu.

Destylarnia znajdowała się na dużej polanie. Kontrast z ciszą lasu był uderzający. Roilo się tu od ludzi biegających we wszystkie strony.

W większości byli to niewolnicy, prawie zupełnie nadzy, o ciałach czarnych od węgla.

- Widzisz kogoś przy szopach? - zapytała Jokasta.

Uniosłam się w strzemionach. Po drugiej stronie polany, przy rzędzie prowizorycznych budynków, zauważyłam barwną plamę: trzech oficerów w mundurach marynarki brytyjskiej i jeszcze jeden mężczyzna, ubrany w strój o kolorze butelkowej zieleni.

Jokasta zareagowała na mój opis uśmiechem zadowolenia.

- To z pewnością mój przyjaciel, Farquard Campbell. Chodź, Jamie, przedstawię cię.

Widziany z bliska Campbell okazał się mężczyzną średniego wzrostu, około sześćdziesiątki. Jego twarz starzała się w charakterystyczny dla niektórych Szkotów sposób - skóra wyglądała jak wygarbowana, niczym

skórzana tarcza, od której mógłby się odbić nawet najostrzejszy miecz. Powitał Jokastę z radością, przede mną skłonił się uprzejmie, na obecność Iana zareagował uniesieniem brwi i na koniec skupił spojrzenie szarych oczu na Jamiem.

- Niezmiernie jestem rad, widząc tu pana, panie Fraser - rzekł, wyciągając rękę. - Niezmiernie. Wiele o panu słyszałem od czasu, gdy pańska ciotka dowiedziała się, iż zamierza pan odwiedzić River Run.

Wyglądało na to, że spotkanie z Jamiem sprawiło mu szczerą radość, co wydało mi się dziwne. Nie o to chodziło, by Jamie nie sprawiał sympatycznego wrażenia - ludzie przeważnie go lubili - ale w wylewnym powitaniu Campbella można było wyczuć nutę ulgi, dziwną u człowieka, który poza tym wydawał się małowówny i pełen rezerwy. Jeśli Jamie również zauważył w tym powitaniu coś dziwnego, to w każdym razie nie dał tego po sobie poznać, skrywając się za maską uprzejmości.

- Pochlebia mi pańska uwaga, panie Campbell - uśmiechnął się i złożył ukłon oficerom. - Panowie, was również jest mi niezmiernie miło poznać.

Niski, grubawy porucznik Wolff i dwaj jego chorąży przyłączyli się do tej wymiany grzeczności, po czym natychmiast zaczęli ignorować Jokastę i mnie, koncentrując się na rozmowie o ilości zamawianego drewna. Jamie spojrział na mnie i uniósł brew, co w naszym małżeńskim systemie komunikacji oznaczało, że mam się oddalić i zabrać ze sobą Jokastę, zostawiając interesy mężczyznom.

Jokasta jednak nigdzie się nie wybierała.

- Obejrzyj sobie wszystko, moja droga - rzekła do

mnie zachęcająco. - Josh cię oprowadzi. Ja poczekam w cieniu, podczas gdy panowie będą omawiać interesy. Ten upał jest dla mnie nieznośny.

Mężczyźni siedzieli przy stole z nieheblowanych desek pod otwartą wiatą, zapewne było to miejsce, gdzie niewolnicy otrzymywali posiłki. Towarzystwo much było ceną za dopływ świeżego powietrza. Druga szopą służyła za magazyn, a trzecia, zamknięta, jak sądziłam, musiała być sypialnią. Przed szopami, bliżej środka polany, płonęło kilka wielkich ognisk, nad którymi na trójnogach stały ogromne, dymiące kotły.

- Gotuj ją terpentynę, żeby zrobić z niej smołę - wyjaśnił Josh, prowadząc mnie w stronę kotłów. - Część wlewa się do beczek od razu - wskazał na wyładowany beczkami wóz, który stał obok szopy - a resztę przerabia się na smołę. Ci panowie z marynarki przyszli złożyć zamówienie.

Na wysokim, chwiejnym stołku siedział siedmio - lub ośmioletni chłopiec i mieszał w kotle długim patykiem, drugi, wyższy, zbierał ogromną chochlą gromadzącą się na wierzchu warstwę oczyszczonej terpentyny i przelewał ją do stojącej obok beczki. Z lasu wyszedł niewolnik z obładowanym mułem. Podprowadził go do kadzi i drugi niewolnik pomógł mu zdjąć z grzbietu zwierzęcia ciężkie beczki.

Razem przelali z nich do kadzi żółtawą żywicę o gryzącym zapachu.

- Lepiej niech się pani odsunie - poradził mi Josh. - Czasem pryska i może się też zapalić. Mogłaby panią poparzyć.

Przypomniałam sobie niewolnika napotkanego w lesie i wolałam się odsunąć. Spojrzałam w stronę szopy. Jamie, pan Campbell i oficerowie nadal siedzieli przy stole, przerzucając stos papierów i podając sobie z rąk do rąk butelkę. Jokasta Cameron stała przyciśnięta do zewnętrznej ściany, poza zasięgiem ich wzroku. Przestała już udawać zmęczenie i uważnie przysłuchiwała się rozmowie.

Josh zauważył zdziwienie na mojej twarzy i również powiódł wzrokiem w tę stronę.

- Pani Jo nie lubi, kiedy coś się odbywa bez niej - powiedział z żalem. - Ja sam nigdy tego nie widziałem, ale Fedra opowiadała, jak pani się zachowuje, gdy nie może o czymś decydować - tupie nogami i szaleje, coś okropnego.

- To musi być niezwykle widok - mruknęłam. - Ale co tu może odbywać się bez jej udziału?

Z tego, co zauważyłam dotychczas, Jokasta Cameron pomimo ślepoty zarządzała domem, plantacją i ludźmi żelazną ręką. Teraz z kolei Josh wydawał się zdziwiony.

- Chodzi o tę przekłętą Marynarkę Królewską! Nie powiedziała, po co tu dziś przyjechaliśmy?

Nie udało mi się jednak zgłębić tego fascynującego tematu i dowiedzieć się, z jakich to powodów Jokasta Cameron życzyłaby sobie zarządzać marynarką Korony, dzisiaj czy któregośkolwiek innego dnia, z drugiej strony polany rozległ się bowiem przenikliwy krzyk. Obróciłam się i omal nie zostałam stratowana przez kilku półnagich mężczyzn, którzy w panice biegli do szop.

Po drugiej stronie polany znajdował się dziwny pagórek.

Zauważyłam go wcześniej, ale nie miałam jeszcze

okazji zapytać, co to takiego. Większa część polany pokryta była ubitą ziemią, pagórek natomiast porastała trawa - była to jednak dość dziwna trawa: po części zielona, po części żółta, a miejscami dawało się dostrzec martwe, brązowe łaty. W chwili, gdy uświadomiłam sobie, że pagórek pokryty jest kawałkami darni, nastąpił wybuch. Nie było odgłosu eksplozji, tylko stłumiony dźwięk przypominający głośne kichnięcie, a potem lekki podmuch, który musnął mój policzek.

Jednak to, co nastąpiło później, z pewnością wyglądało na eksplozję: na polanę spadł deszcz grud ziemi i odłamków zwęglonego drewna. Dokoła rozległy się krzyki. Jamie i jego kompani wypadli z szopy jak stado spłoszonych bażantów.

- Nic ci się nie stało, Angielko? - Jamie z niespokojną twarzą pochwycił mnie za ramię.

- Wszystko w porządku - odpowiedziałam, oszołomiona. - Co się właściwie stało?

- Nie mam pojęcia. Gdzie jest Ian?

- Nie wiem. Ale nie myślisz chyba, że to jego sprawka?,

Strzepnęłam z sukni kilka okruchów węgla drzewnego i z dekoltem pokrytym czarnymi smugami podeszłam za Jamiem do grupki niewolników, wymieniających uwagi w mieszance gaelickiego, angielskiego i rozmaitych języków afrykańskich.

Odnaleźliśmy Iana w towarzystwie jednego z chorążych.

Obydwaj z wielkim zainteresowaniem zagłądali do poczerniałej dziury w ziemi.

- Podobno to się często zdarza - powiedział oficer - ale sam jeszcze nigdy tego nie widziałem. Zadziwiająca moc wybuchu, nieprawdaż?

- Co się często zdarza? - zapytałam, zerkając ponad ramieniem Iana. Krater wypełniony był poczerniałymi pniami sosen, bezładnie porozrzucanymi siłą wybuchu. Obrys pagórka wciąż wznosił się nad otworem jak zwęglona skorupka ciasta.

- Wybuchy smoły - wyjaśnił chorąży. Był mniej więcej w wieku Iana, drobny i o czerwonych policzkach. - Rozumie pani, ma'am, rozpała się węgiel drzewny pod wielkim kotłem z żywicą, a potem przykrywa się wszystko ziemią i darnią, pozostawiając tylko niewielkie szpary, przez które dochodzi powietrze, tak żeby ogień nie wygasł. Żywica wygotowuje się do smoły i spływa przez wydrążony pień do beczki - widzi pani? - Wskazał na resztki kłody zwisające nad rozbitą beczką pokrytą warstwą czarnej, lepkiej substancji. Odór spalonego drewna i smoły przesycił powietrze. Staralam się oddychać tylko przez usta. - Cała trudność leży w odpowiedniej regulacji dopływu powietrza - ciągnął chorąży, dumny ze swej wiedzy. - Jeśli jest go zbyt mało, ogień gaśnie, a jeśli za dużo, płomień rozszerza się za bardzo i opary żywicy wybuchają, jak pani miała okazję zaobserwować, ma'am. - Pokazał mi pobliskie drzewo: jeden z kawałów darni został na nie wyrzucony z taką siłą, że owinał się wokół pnia jak wielki grzyb. - Wszystko jest kwestią precyzji - zakończył i stanął na palcach, rozglądając się dokoła. - Gdzie ten niewolnik, który miał pilnować wypalania? Mam nadzieję, że udało się biedakowi ująć z życiem.

Udało się. Podczas rozmowy uważnie lustrowałam pracowników, wypatrując obrażeń, ale wyglądało na to, że tym razem nikomu nic się nie stało.

- Ciociu! - wykrzyknął Jamie, przypominając sobie o Jokaście.

Obrócił się na pięcie i podbiegł do szopy. Wciąż tam stała, dobrze widoczna na tle ściany w swej zielonej sukni i, jak się okazało, sztywna z wściekłości. W zamieszaniu zapomniana przez wszystkich i niezdolna poruszyć się samodzielnie, słyszała, co się dzieje, ale nie była w stanie nic zrobić.

Przypomniałam sobie, co Josh mówił o jej wybuchach wściekłości, na szczęście jednak była zbyt wielką damą, by pozwolić sobie na publiczny atak furii. Josh zalewał ją potokami słów w swoim dialekcie z Aberdeen, przepraszając, że odstąpił jej boku. Uciszyła go niecierpliwie, lecz bez złości.

- Zamknij już buzię, chłopcze. Zrobiłeś, o co cię prosiłam.

Niespokojnie obracała głowę w jedną i w drugą stronę, jakby szukała czegoś wzrokiem.

- Gdzie jesteś, Farquard?

Pan Campbell zbliżył się i położył jej dłoń na swoim ramieniu.

- Nie ma dużych strat, moja droga, i nikt nie został ranny.

Straciliśmy tylko jedną beczkę smoły.

Napięcie widoczne w sylwetce Jokasty zelzało nieco.

- To dobrze. A gdzie jest Byrnes? Nie słyszę jego

głosu.

Porucznik Wolff otarł chusteczką czarne smugi z twarzy.

- Nadzorca? Właśnie sam się nad tym zastanawiałem. Gdy przybyliśmy rano, nie było tu nikogo. Na szczęście pan Campbell pojawił się w chwilę później.

Farquard Campbell odchrząknął lekko.

- Byrnes zapewne jest w tartaku. Jeden z niewolników wspominał mi, że mieli tam jakiś kłopot z piłą. Pewnie poszedł się tym zająć.

Wolff nadął się, jakby uszkodzone ostrze piły nie było wystarczającym wytłumaczeniem faktu, że nie został odpowiednio powitany. Sądząc po ponuro zaciśniętych ustach Jokasty, ona również była tego zdania.

Jamie odkaslnął i wyjął grudkę ziemi z moich włosów.

- Wydaje mi się, ciociu, że widziałem gdzieś koszyk z lunchem.

Może dotrzymasz porucznikowi towarzystwa przy posiłku, a ja tymczasem spróbuję przywrócić tu porządek?

Na te słowa nastrój porucznika natychmiast się poprawił. Twarz Jokasty również rozpozodziła się nieco. Wyprostowała ramiona i wróciła do władczygo tonu.

- Masz rację, siostrzeńcze. Poruczniku, czy zechce mi pan dotrzymać towarzystwa przy posiłku?

W trakcie lunchu dowiedziałam się, że porucznik odwiedzał destylarnię raz na kwartał, by podpisać umowę o zaopatrzenie magazynów marynarki. Do jego obowiązków należało zawieranie podobnych kontraktów z właścicielami plantacji położonych między Cross Creek a granicą

Wirginii, i Wolff zupełnie nie ukrywał, która część tego obszaru była najbliższa jego sercu.

- Jeśli istnieje jakaś dziedzina, w której nikt nie potrafi dorównać Szkotom - oświadczył pompatycznie, opróżniając trzecią z kolei szklaneczkę whisky - pewnością jest to produkcja trunków.

Farquard Campbell, który ledwo moczył usta w cynowym kubku, uśmiechnął się z lekką ironią i nic nie odpowiedział. Jokasta siedziała u jego boku na chwiejnej ławce, opierając na ramieniu mężczyzny wrażliwe jak sejsmograf palce.

Wolff bezskutecznie usiłował stłumić beknięcie, po czym z opóźnieniem skierował swe uwodzicielskie zapędy na moją osobę.

- Pod wszelkimi innymi względami - ciągnął, pochylając się konfidencjonalnie w moją stronę - rasa owa charakteryzuje się lenistwem i uporem, przez co zupełnie nie nadaje się do...

Młodszy z chorążych, purpurowy z zażenowania, przewrócił misę z jabłkami, próbując odwrócić uwagę przełożonego od rozpoczętej wypowiedzi, niestety jednak nie udało mu się zupełnie zmienić toru myśli Wolffa. Porucznik otarł pot spływający spod peruki i utkwiał we mnie spojrzenie nabiegłych krwią oczu.

- Ale pani nie jest Szkotką, chyba się nie mylę, madame? Ma pani melodyjny, arystokratyczny głos bez śladów tego barbarzyńskiego akcentu.

- Ach... dziękuję - wymamrotałam, zastanawiając się nad kaprysem niekompetencji administracyjnej, który wydelegował porucznika do prowadzenia interesów w

dolinie rzeki Cape Fear, zamieszkaney przez największe skupisko Szkotów w całym Nowym Świecie. Zaczynałam rozumieć, co miało oznaczać westchnienie Josha: „ta przekłeta marynarka!”.

Uśmiech Jokasty zdawał się przyklejony do ust. Pan Campbell, nie zmieniając surowego wyrazu twarzy, spojrzał na mnie i ledwo dostrzegalnie poruszył brwiami. Najwyraźniej nie należało wbijać porucznikowi w serce nożyka do owoców, w każdym razie dopóki nie podpisał zamówienia, toteż zrobiłam jedyną rzecz, jaka mi przyszła do głowy: sięgnęłam po butelkę z whisky i napełniłam jego kubek po brzegi.

- Jest doprawdy znakomita, czyż nie, poruczniku? Może wypije pan jeszcze kropelkę?

Whisky rzeczywiście była doskonała, gładko spływała do żołądka, rozgrzewając przełyk. Była również bardzo kosztowna.

Uśmiechnęłam się ciepło do młodszego chorążego, pozwalając, by porucznik na własną rękę odnalazł drogę do dna butelki.

Rozmowa toczyła się dalej nieco zgrzytliwie, ale bez większych zakłóceń. Obydwaj chorążcy bacznie śledzili pijackie poczynania swego przełożonego, czemu trudno było się dziwić, zważywszy na to, że ich obowiązkiem było wsadzić go na grzbiet konia i dostarczyć w całości do Cross Creek. Zaczęłam rozumieć, dlaczego przyjechało ich dwóch.

- Pan Fraser doskonale sobie tu radzi, czyż nie, poruczniku? - zauważył starszy, próbując ożywić kulejącą rozmowę.

- Co? Ach tak, niewątpliwie - mruknął Wolff, którego w tej chwili interesowało już tylko dno własnego kubka. Chorąży miał jednak rację: podczas gdy my siedzieliśmy przy stole, Jamie przy pomocy Iana zaprowadził porządek na polanie. Kotły znów znalazły się na swoich miejscach, zbieracze żywicy wyruszyli w las, a pozostałości wybuchu zostały uprzątnięte. W tej chwili Jamie, w samej koszuli i bryczesach, stał po drugiej stronie polany, pomagając umieścić w dole na wpół zwęglone kłody. Moim zdaniem było to o wiele przyjemniejsze zajęcie niż spożywanie lunchu w towarzystwie porucznika Wolffa.

- Rzeczywiście, dobrze sobie radzi - przyznał Farquard Campbell, omiatając wzrokiem polanę. Jednym szybkim spojrzeniem oszacował stan oficera i dyskretnie uściśnił dłoń Jokasty, ta zaś, nie odwracając głowy, zwróciła się do przyczajonego w kącie Josha:

- Włóż tę drugą butelkę do sakwy porucznika, chłopcze. Szkoda byłoby, gdyby się miała zmarnować.

Posłała Wolffowi czarujący uśmiech, który z powodu jej ślepoty wyglądał tym bardziej przekonująco. Pan Campbell odchrząknął.

- Ponieważ wkrótce nas pan opuści, poruczniku, to może załatwimy teraz sprawę zamówień?...

Wolff wydawał się zaskoczony informacją o swoim rychłym wyjeździe, ale chorąży żywo zerwali się na nogi i zaczęli zbierać papiery. Jeden z nich położył przed porucznikiem podręczny kałamarz i zaostrzone pióro. Pan Campbell wyciągnął z kieszeni złożony kontrakt, gotów do podpisania.

Wolff zmarszczył brwi i zachwiał się na ławie. Starszy z chorążych wsunął pióro w jego bezwładną dłoń i wskazał odpowiednie miejsce:

- Tutaj, sir.

Wolff uniósł kubek, odchylił głowę do tyłu i wysączył ostatnie krople, a potem obrzucił całe towarzystwo rozmazanym uśmiechem.

Młodszy chorąży z rezygnacją przymknął oczy.

- Och, dlaczego by nie? - wymamrotał porucznik bez troski i zanurzył pióro w kałamarzu.

* * *

- Może od razu umyjesz się i zmienisz ubranie, siostrzeńcze? - Nozdrza Jokasty zadrgały. - Okropnie cuchniesz smołą i węglem.

Miała szczęście, że go nie widziała. Oprócz tego, że cuchnęła, dłonie miał zupełnie czarne, nowa koszula wyglądała jak brudna szmata, a twarz pokryta była ciemnymi smugami, jakby czyścił kominy. Te części ciała, które nie były czarne, lśniły czerwienią; pracował bez kapelusza w samo południe i jego nos przybrał barwę gotowanego homara. Przypuszczałam jednak, że nie zawiniło tu wyłącznie słońce.

- Kąpiel może poczekać - odrzekł Jamie i utkwił przenikliwe ciemnoniebieskie spojrzenie w twarzy pana Campbella. - Najpierw chciałbym się dowiedzieć, czemu ma służyć ta intryga. Zostaję zaciągnięty do lasu pod pretekstem wążania terpentyny i zanim jeszcze mam okazję zorientować się, co się dzieje, siedzę przy stole z Marynarką Królewską, decydując o sprawach, o których nie

mam bladego pojęcia, a twój przyjaciel, ciociu, kopie mnie po kostkach jak tresowaną małpę!

Jokasta uśmiechnęła się, a Campbell westchnął. Pomimo wyczerpującego dnia na jego zakiecie nie było ani odrobiny kurzu, a niemodna peruka nie przesunęła się nawet o milimetr.

- Zechce mi pan wybaczyć, panie Fraser, że w tak niegodny sposób nadużyłem pańskiej uprzejmości. Tak się złożyło, że przybył pan tu w niezwykle fortunnym momencie, tyle że zabrakło mi czasu na stosowne wyjaśnienia. Aż do wczorajszego wieczoru przebywałem w Aversboro i gdy dowiedziałem się o pańskiej wizycie, było już za późno, bym mógł tu przyjechać i zaznajomić pana z wszelkimi okolicznościami sprawy.

- Doprawdy? Zdaje się jednak, że teraz mamy trochę czasu, może więc zechce pan udzielić mi owych wyjaśnień - odparował Jamie, zgrzytając zębami przy słowie „teraz”.

- Usiądź, siostrzeńcze - wtrąciła Jokasta z wdzięcznym ruchem dłoni. - Wyjaśnienia zabiorą sporo czasu, a mamy za sobą męczący dzień, prawda?

Nie wiadomo skąd pojawił się Ulisses z płócienną serwetką na ramieniu. Narzucił ją pańskim gestem na krzesło i wskazał je Jamiemu.

Jamie spojrzał na niego nieufnie. Rzeczywiście miał za sobą ciężki dzień. Na jego czarnych od sadzy dłoniach dostrzegalam bąble, strużki potu pozostawiły kręte ślady na twarzy i szyi. Powoli opadł na krzesło i pozwolił sobie włożyć w rękę srebrny kubek. Drugi taki kubek jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki pojawił się w mojej dłoni. Uśmiechnęłam się z wdzięcznością do lokaja; co

prawda nie dźwigałam sosnowych bali, ale długa jazda w upale mnie również zmęczyła.

Jamie przełknął spory łyk i już spokojniej zwrócił się do Campbella:

- A więc?

- Chodzi o Marynarkę Królewską... - zaczął Campbell, ale Jokasta przerwała mu prychnięciem.

- Chodzi raczej o porucznika Wolffa!

- To przecież to samo, Jo - rzekł Campbell ostro i wrócił do wyjaśnień. Większość dochodów River Run, jak już wspominała Jokasta, pochodziła ze sprzedaży drewna i produktów jego destylacji, a najpoważniejszym i generującym największy dochód klientem była Marynarka Królewska.

- Ale marynarka nie jest już tym, czym była - westchnął Campbell z zalem. - Podczas wojny z Francuzami ledwie nadążali z zaopatrywaniem okrętów i każdy właściciel tartaku szybko stawał się bogatym człowiekiem. Niestety, już od dziesięciu lat żyjemy w pokoju i okręty wojenne gniją w dokach. Od pięciu lat admiralicja nie zbudowała ani jednej szalupy!

Marynarka wciąż potrzebowała smoły, terpentyny i drewna na maszty - duże ilości smoły były niezbędne, by utrzymać przeciekające okręty w stanie nadającym się do użytku. Rynek jednak skurczył się znacząco i urzędnicy Korony mogli przebierać wśród dostawców.

Najistotniejszym czynnikiem była pewność dostaw. Kontrakty odnawiano kwartalnie i za każdym razem konieczna była inspekcja oraz aprobatą oficera marynarki - w tym wypadku Wolffa. Ten ostatni zawsze nastęrczał

kłopotów, ale Hektor Cameron, dopóki żył, potrafił sobie z nim poradzić.

- Hektor go upijał - wyjaśniła Jokasta, nie owijając w bawełnę. - A na odjeźdym zawsze wkładał mu do sakwy butelkę albo dwie.

Śmierć Hektora Camerona wywarła bardzo niekorzystny wpływ na interesy posiadłości.

- I nie tylko dlatego, że teraz jest mniej pieniędzy na łapówki - dodał Campbell, zerkając na Jokastę z ukosa.

Okazało się, że porucznik Wolff na wiadomość o śmierci Camerona przybył, w pełnym umundurowaniu oraz w asyście dwóch chorążych, by złożyć kondolencje wdowie. Następnego dnia wrócił już sam - z propozycją małżeństwa.

Jamie omal nie zadławił się whisky.

- Oczywiście to nie ja go interesowałam, tylko moje ziemie - wyjaśniła Jokasta poirytowanym tonem.

Jamie roztropnie powstrzymał się od komentarza, ale zaczął spoglądać na ciotkę z nowym zainteresowaniem.

Jokasta zapewne miała rację: żeniąc się z nią, Wolff stałby się panem dochodowej plantacji, która mogłaby się stać jeszcze bardziej dochodowa dzięki kontraktom z marynarką, jakie byłby w stanie zapewnić. Z drugiej strony, sama osoba Jokasty Cameron również stanowiła nie lada pokusę. Choć niewidoma, była jednak niezwykle kobietą. Oprócz fizycznej urody roztaczała wokół siebie atmosferę zmysłowej witalności, która zdawała się rozpalać nawet taki wyschnięty pień, jakim był Farquard Campbell.

- To wyjaśnia obraźliwe zachowanie porucznika Wolffa przy lunchu - zauważyłam z zainteresowaniem. - Nie zna piekło straszliwszej furii nad wściekłość odrzuconej

kobiety. Mężczyźni też tego nie lubią.

Jokasta, która chyba zapomniała o mojej obecności, z zaskoczeniem obróciła głowę w moją stronę. Farquard Campbell wybuchnął śmiechem.

- Święta prawda, pani Fraser! - zapewnił mnie z błyskiem w oku.

- My, biedni mężczyźni, jesteśmy niezwykle wrażliwymi istotami, a mimo to wy, kobiety, na własną zgubę igracie z naszymi uczuciami.

Jokasta prychnęła wzgardliwie.

- Uczuciami, akurat! Jedyne uczucia, jakie ten człowiek żywi, dotyczą butelki!

Jamie przyglądał się Campbellowi z zainteresowaniem.

- Skoro już mówimy o uczuciach, ciociu, to czy mogę zapytać, jaką rolę odgrywa w tej sprawie twój przyjaciel?

Pan Campbell śmiało oddał mu spojrzenie.

- Jestem żonaty, sir - rzekł sucho - i mam ośmioro dzieci.

Najstarsze z nich ma zapewne o kilka lat więcej niż pan. Hektor Cameron był moim przyjacielem przez ponad trzydzieści lat i ze względu na niego staram się pomóc, jak mogę, jego żonie.

Jokasta położyła dłoń na ramieniu Campbella. Choć nie mogła już korzystać z siły spojrzenia, dobrze wiedziała, jaki efekt wywierają opuszczone na policzki rzęsy.

- Farquard był mi wielką pomocą, Jamie - rzekła z cieniem urazy w głosie. - Bez niego nie poradziłabym sobie po śmierci biednego Hektora.

- Oczywiście - chrząknął Jamie, nie kryjąc sceptycyzmu. - Z pewnością ja również jestem panu winien wdzięczność, sir. Ale wciąż nie rozumiem, jaka jest moja rola w tej opowieści?

Campbell dyskretnie odkaslnął i podjął wątek.

Jokasta odrzuciła awanse porucznika, udając, że zasłabła od nadmiaru przykrych przeżyć. Kazała się zanieść do sypialni, z której wyszła dopiero wtedy, gdy Wolff zakończył swoje sprawy w Cross Creek i wyjechał do Wilmington.

- Byrnes zajął się wtedy kontraktami i zupełnie pokpił sprawę.

- Ach, słynny Byrnes, niewidzialny nadzorca! A gdzie on się podziewał dzisiejszego ranka?

W tej chwili pojawiła się służąca z misą ciepłej, perfumowanej wody i ręcznikiem. Bez pytania uklękła przy krześle Jamiego, wzięła go za rękę i zaczęła zmywać sadzę. Jamie wydawał się zaskoczony, ale był zbyt zaabsorbowany rozmową, by odesłać dziewczynę.

Przez twarz Campbella przemknął ironiczny uśmiech.

- Obawiam się, że pan Byrnes, choć zwykle kompetentnie wypełnia swoje obowiązki, cierpi na tę samą słabość co porucznik Wolff. Od razu posłałem po niego do tartaku, ale służący wrócił z wiadomością, że Byrnes leży bez ducha na swojej kwaterze, cuchnie alkoholem i nie można go dobudzić.

Jokasta chrząknęła z rozdrażnieniem. Campbell rzucił jej spojrzenie pełne uczucia, po czym podjął:

- Pańska ciotka jest w stanie doskonale poradzić

sobie z zarządzaniem plantacją. Ulisses pomaga jej przy dokumentach.

Jednakże, jak sam mógł się pan przekonać - wskazał na misę z wodą, która przybrała już barwę inkaustu - zarządzanie posiadłością ma również pewien aspekt... fizyczny.

- To był właśnie główny argument porucznika Wolffa - wtrąciła Jokasta, zaciskając usta. - Jego zdaniem nie poradzę sobie sama, bo jestem kobietą, a do tego niewidomą. Twierdzi również, że nie mogę polegać na Byrnesie, skoro nie jestem w stanie sprawdzić osobiście, co ten robi w tartaku... albo też czego nie robi.

- Swoją drogą, ma trochę racji - rzekł Campbell ze smutkiem. - Jest takie stare powiedzenie: „Szczęście to dorosły syn, który może pomagać w interesach”. Gdy chodzi o pieniądze albo niewolników, można mieć zaufanie jedynie do własnej krwi.

Westchnęłam i napotkałam spojrzenie Jamiego, który pokiwał głową. Wreszcie dotarliśmy do sedna.

- I tu właśnie pojawia się Jamie, czy tak? - zapytałam.

Jokasta już wcześniej zapewniła sobie pomoc Farquarda Campbella przy podpisywaniu kolejnego kontraktu, obawiając się znów pozostawić sprawy w rękach Byrnesa. Skoro jednak my przybyliśmy akurat do River Run, przyszedł jej do głowy lepszy plan.

- Wysłałam wiadomość do Farquarda, prosząc go, by zawiadomił porucznika, że mój siostrzeniec właśnie przybył, by zająć się zarządzaniem River Run. Myślałam, że w ten sposób zmuszę go do ostrożności i nie ośmieli się

szantażować mnie w obecności krewnego, który również ma udział w posiadłości.

- Rozumiem. - Wbrew sobie Jamie zaczął się dobrze bawić. - Porucznik miał uwierzyć, że to przeze mnie nie powiódł się jego plan przejścia plantacji. Nic dziwnego, że od pierwszej chwili powziął do mnie niechęć. A ja myślałem, że po prostu nie lubi Szkotów.

- Sądzę, że teraz już tak - uśmiechnął się Campbell.

Jokasta wyciągnęła rękę ponad stołem, Jamie ujął ją instynktownie.

- Wybaczysz mi, siostrzeńcze? - zapytała, kierując twarz w jego stronę. Patrząc na błagalny wyraz jej pięknych, niebieskich oczu, nikt by nie odgadł, że te oczy nie widzą. - Póki się tu nie pojawiłeś, nie miałam pojęcia, jakim jesteś człowiekiem, i nie mogłam ryzykować, że odmówisz odegrania swojej roli. Proszę, Jamie, powiedz, że nie masz mi tego za złe, choćby tylko ze względu na pamięć naszej drogiej Ellen.

Jamie delikatnie uściśnął jej dłoń i zapewnił, że nie chowa do niej urazy, przeciwnie, jest szczęśliwy, że pojawił się w porę, by jej pomóc, i że może na niego liczyć zawsze i w każdej sprawie.

Rozpromieniony pan Campbell potrząsnął dzwoneczkiem. Na ten sygnał Ulisses wniósł do saloniku najlepszą whisky oraz tacę zastawioną kryształowymi szklaneczkami i przekąskami. Wypiliśmy na pohybel Marynarce Królewskiej.

Patrząc na szlachetną, wyrazistą twarz Jokasty, przypomniałam sobie, jak Jamie kiedyś opisywał mi członków swojej rodziny: „Fraserowie są uparci jak muły. A

MacKenzie potrafią czarować jak skowronki, ale do tego są szczywani jak lisy".

- Gdzieś ty się podziewał? - zapytał Jamie, obrzucając Fergusa wymownym spojrzeniem. - Zdawało mi się, że nie masz pieniędzy, żeby robić to, co chyba robiłeś.

Fergus przyglądał potargane włosy i usiadł, wytwarzając wokół siebie atmosferę urażonej godności.

- Spotkałem w mieście dwóch francuskich handlarzy futer.

Prawie nie mówili po angielsku, a skoro znam płynnie francuski, nie mogłem im odmówić pomocy przy zawieraniu transakcji. Zaprosili mnie potem do swojej gospody na skromną kolację... - Lekceważąco uniósł jedno ramię i wyciągnął zza koszuli list. - To czekało na ciebie w Cross Creek - wyjaśnił, podając list Jamiemu. - Poczmiistrz prosił, bym ci go doręczył.

Gruby zwitek papieru z nadkruszoną pieczęcią był w nie lepszym stanie niż sam Fergus. Twarz Jamiego rozjaśniła się, ale ręce nieco mu drżały, gdy otwierał kopertę. Wypadły z niej trzy listy: na jednym rozpoznałam pismo jego siostry, dwa pozostałe zaadresowane były inną ręką.

Sięgnął najpierw po list od siostry i popatrzył nań z takim wyrazem twarzy, jakby spodziewał się, że koperta może wybuchnąć mu w rękach. Po chwili delikatnie odłożył go na stół obok misy z owocami.

- Zacznę od Iana - oznajmił z uśmiechem. - List od Jenny przeczytam, kiedy będę miał pod ręką szklaneczkę whisky.

Odlepił pieczęć czubkiem srebrnego nożyka do

owoców i przebiegł wzrokiem pierwszą stronę.

- Ciekaw jestem, czy... - nie dokończył zdania. Stałam za krzesłem i zaczęłam czytać ponad jego ramieniem. Ian Murray miał duże, wyraźne pismo, łatwe do odczytania nawet z pewnej odległości.

Drogi Bracie,

wszyscy tutaj pozostajemy w dobrym zdrowiu i dziękujemy Bogu za wiadomości o Waszym szczęśliwym przybyciu do kolonii.

Wysłałam ten list na adres Jokasty Cameron; jeśli otrzymasz go, goszcząc u niej, przekaż jej najszczerze pozdrowienia od Jenny.

Z załączonego listu przekonasz się, że żona moja przywróciła Cię do łask; przestała już łączyć Twoje imię z imieniem Złego i od jakiegoś już czasu nie słyszałam, by wspominała o kastracji, co z pewnością będzie dla Ciebie ulgą.

Ale żarty na bok. Na wieść, że Młody Ian jest bezpieczny, znacznie ulżyło jej na sercu, jak również i mnie. Sądzę, że wiesz, jak głęboko jesteśmy ci wdzięczni za opiekę nad nim, nie będę Cię więc nużył powtórzeniami, choć szczerze mówiąc, mógłbym zapisać podziękowaniami grubą księgę.

Jakoś udaje nam się wykarcić wszystkich, mimo że jęczmień tego roku mocno ucierpiał od gradu, a w wiosce panuje biegunka, która w tym miesiącu zabrała dwoje dzieci, Annie Fraser i Alasdaira Kirby'ego, ku wielkiej rozpaczy ich rodziców. Niech Bóg zmiłuje się nad ich niewinnymi duszami.

Z radośniejszych nowin, otrzymaliśmy list od

Michaela z Paryża; doskonale sobie radzi w handlu winami i myśli się wkrótce ożenić.

Z radością powiadamiam Cię o narodzinach mojego najmłodszego wnuka, Anthony'ego Briana Montgomery'ego Lyle'a, pierworodnego Maggie i Paula. Zadowolę się tym krótkim powiadomieniem, pozostawiając pełniejszy opis ręce Jenny, która świata poza małym nie widzi, jak zresztą i my wszyscy, bo to piękny chłopak. Jego ojciec, Paul, mąż Maggie, służy w wojsku, przeto Maggie i mały Anthony mieszkają z nami w Lallybroch. Paul jest teraz we Francji; modlimy się każdego wieczoru, by pozostał tam, gdzie panuje względny spokój, i by nie wysłano go w niebezpieczne miejsca, jak kolonie lub też dzicze Kanady.

W tym tygodniu gościł u nas Simon, lord Lovat, wraz z towarzyszami. Znów gromadzi rekrutów do swego regimentu górali.

Może słyszałeś o nich w koloniach, bo, jak rozumiem, zyskali tam pewną famę. Simon wiele opowiadał o ich dzielnych wyczynach w walce z Indianami i przekłętymi Francuzami; część z tych historii zapewne była prawdziwa.

Jamie uśmiechnął się i odwrócił kartkę.

Nie tylko Henry i Matthew byli oczarowani jego opowieściami, także i dziewczęta. Josephine („najstarsza córka Kitty” - wyjaśnił Jamie), przepełniona entuzjazmem, urządziła w towarzystwie kuzynów najazd na kurnik, skąd cała kompania wyłoniła się pokryta pierzem, jako farb wojennych użyli bowiem błota z pola kapusty.

Wszyscy chcieli być dzikusami, przez co Młody Jamie, mąż Kitty Geordie i ja sam zmuszeni byliśmy

odgrywać rolę regimentu szkockiego i znosić ataki przeprowadzane przy użyciu tomahawków (łyżki i chochle z kuchni). Sami również dzielnie stawiliśmy im czoła, walcząc mieczami (drewniane listewki i witki wierzbowe).

Położyłem kres tym zabawom, gdy padł pomysł, by obrzucić strzechę gołębnika płonącymi strzałami, musiałem się jednak zgodzić na oskalpowanie. Pochlebiam sobie, iż przetrwałem tę opresję w lepszym stanie niż kurczęta.

List ciągnął się dalej w tym samym tonie, pełen nowin z życia rodziny, wiadomości dotyczących gospodarstwa i relacji z wydarzeń w okolicy. Emigracja, pisał Ian, „szerzy się jak epidemia”, prawie wszyscy mieszkańcy wioski Shewglie zdecydowali się opuścić ojczyznę.

Jamie dotarł do końca i odłożył list z rozmarzonym uśmiechem, jakby zamiast wilgotnej, barwnej dżungli, która nas otaczała, widział przed sobą chłodne mgły i omszałe kamienie Lallybroch.

Drugi list również zaadresowany był ręką Iana i pod pieczęcią z błękitnego wosku opatrzony dopiskiem „Poufne”.

- Cóż to takiego? - mruknął Jamie, przełamując pieczęć.

List nie miał nagłówka i najwidoczniej miał stanowić ciąg dalszy poprzedniego.

Drogi Bracie, muszę Ci przedstawić pewną niepokojącą mnie kwestię. Piszę o tym osobno, byś mógł przeczytać tamten list Ianowi, nie wspominając mu o sprawie, o której piszę tutaj.

W swoim ostatnim liście wspominałeś, że

zamierzasz odesłać Iana statkiem z Charlestonu. Jeśli już to uczyniłeś, rzecz jasna powitamy go w domu z radością. Jednakże, o ile tak się z jakiejś przyczyny nie stało i nadal przebywa on w Twoim towarzystwie, to życzylibyśmy sobie, by z Tobą pozostał, jeśli tylko jego osoba nie jest nadmiernym ciężarem dla Ciebie i Claire.

- Jeśli nie jest mi nadmiernym ciężarem - wymamrotał Jamie i jego nozdrza zadrgały lekko, gdy podniósł wzrok do okna. Ian i Rollo mocowali się na trawniku z dwoma młodymi niewolnikami. Wszyscy razem tworzyli jeden wielki, przetaczający się po trawie kłęb. - Mhmm - mruknął i wrócił do lektury.

Wspominałem już o Simonie Traserze i o przyczynach jego obecności tutaj. Daniny na rzecz wojska przysparzały nam trosk już od jakiegoś czasu, choć sprawa nie wydawała się pilna, zważywszy na to, jak trudno jest do nas dotrzeć.

Lovatowi bez trudności udaje się nakłonić młodych chłopców do przyjęcia królewskiego żołdu; cóż ich w końcu czeka tutaj? Bieda z nędzą, bez żadnych nadziei na poprawę sytuacji. Dlaczego mieliby pozostawać w miejscu, gdzie nie czeka na nich żadne dziedzictwo, gdzie nie wolno im nosić kiltu i broni, jak przystało mężczyźnie?

Dlaczego nie mieliby skorzystać z szansy na odzyskanie męskiej godności, nawet jeśli oznacza to noszenie tartanu i miecza w służbie niemieckiemu uzurpatorowi?

Czasami wydaje mi się, że to jest najgorsze; nie dość, że padliśmy ofiarą mordu i niesprawiedliwości, bez żadnej nadziei na odplątę ani zmianę biegu rzeczy, to

jeszcze zabierają nam naszą młodość, naszą nadzieję i przyszłość, trwoniąc ją dla korzyści opresora w zamian za ochłap godności.

Jamie spojrział na mnie, unosząc brwi.

- Przypuszczałaabyś, że w duszy Iana drzemie taki poeta?

W tym miejscu Ian najwyraźniej przerwał pisanie. Gdy znów je podjął, pozostawiając kilka linijek pustych, charakter pisma, wcześniej gniewny i nierówny, ponownie stał się schludny i opanowany.

Wybacz mi, że wypełniam ten list swymi namietnościami. Nie zamierzałem pisać tak wiele, ale pokusa, by jak zawsze otworzyć przed Tobą serce, wzięła górę. Są to myśli, których wolę nie dzielić z Jenny, nawet jeśli ona o nich wie.

Robię się nadmiernie gadatliwy, wracam zatem do rzeczy. Młody Jamie i Michael na razie są bezpieczni - w każdym razie nie musimy się obawiać, że któregoś z nich skusi życie żołnierza. Jednak o Ianie nie można tego powiedzieć; znasz go i wiesz, że niesie w duszy pragnienie przygód, podobnie jak i Ty sam. Tutaj nie miałby nic do roboty. Bóg nie obdarzył go umysłem uczonego ani głową do interesów. Kim może się stać w świecie, w którym będzie miał wybór między żebranią a wojną? Tu bowiem nie ma innych możliwości.

Jeśli nie masz nic przeciwko temu, wolelibyśmy, żeby pozostał z Tobą. Może w Nowym Świecie napotka szersze możliwości niż tutaj.

A nawet jeśli nie, przynajmniej zaoszczędzi swojej matce widoku jej syna odmaszerowującego wraz z

regimentem.

Nie mógłbym życzyć sobie lepszego opiekuna dla niego niż Ty.

Wiem, że proszę Cię o wielką przysługę. Mam jednak nadzieję, że Ty również wyciągniesz z tego jakieś korzyści, oprócz rzecz jasna niewątpliwej radości, jaką niesie ze sobą towarzystwo Iana.

- Nie tylko poeta, ale też ironista - zauważył Jamie, znów kierując spojrzenie na trawnik za oknem.

W tekście następowała kolejna przerwa. Ostatnia część listu napisana była starannie, świeżo zaostrzonym piórem.

Mój Bracie, przerwałem pisanie, chcąc oczyścić umysł ze zmęczenia, nim przejdę do ostatniej sprawy. Kilkanaście już razy brałem pióro do ręki i znów je odkładałem, niepewny, czy w ogóle powinienem o tym wspominać - nie chciałbym Cię urazić, tym bardziej że w tym samym liście prosiłem Cię o przysługę. A jednak muszę o tym napisać.

Wspominałem wcześniej o Simonie Fraserze. To człowiek honoru, choć jest synem swego ojca - ale ręce ma splamione krwią.

Znam go od czasu, gdy wszyscy byliśmy dziećmi (wydaje się, jakby to było wczoraj, a tyle już lat minęło), lecz zauważam w nim teraz zmianę: stwardniał i w oczach ma stalowy błysk, którego nie było tam przed Culloden.

Co mnie martwi - a jeśli ośmielałem się o tym pisać, to tylko dlatego, że dobrze wiesz, iż moja troska powodowana jest miłością - to to, że podobną twardość widziałem w Twoich oczach, Bracie.

Znam aż za dobrze widoki, które potrafią zmrozić serce mężczyzny i utwardzić jego spojrzenie. Ufam, że wybaczysz mi szczerść, ale od czasu Cullogen wielokrotnie lękałem się o Twoją duszę. Nie rozmawiałem o tym z Jenny, ona jednak również to dostrzegła. Jest kobietą i zna Cię tak, jak ja Cię nigdy nie poznam.

Sądzę, że właśnie ten lęk skłonił ją do wepchnięcia Cię w ramiona Laoghaire. Uważałem, że nie pasujecie do siebie, ale (w tym miejscu duży kleks przykrywał kilka linijek pisma). Twoim szczęściem jest Claire.

- Mhmm... - mruknął Jamie, łypiąc na mnie spod oka.

Uścisnęłam jego ramię i pochyliłam się niżej, by doczytać do końca.

Późno już i zaczynam pisać nieskładnie. Wracając do Simona: troska o żołnierzy jest teraz jedynym uczuciem, jakie łączy go jeszcze z ludzkością. Nie ma żony ani dzieci, korzeni ani ogniska domowego; jego dziedzictwo padło łupem najeźdźcy, któremu służy. Taki człowiek ma w sobie ogień, ale nie ma serca. Mam nadzieję, że nigdy nie będę musiał powiedzieć tego o Tobie ani o Ianie.

Powierzam Was sobie nawzajem, i niech błogosławieństwo Boże - a także moje - nigdy Was nie opuszcza.

Napisz do nas, kiedy będziesz mógł. Wyczekujemy wieści od Ciebie i opisów egzotycznych okolic, w których teraz przebywasz.

Twój szczerze Ci oddany brat

Ian Murray

- Mhmm - mruknął Jamie. Starannie złożył list i

wsunął go do kieszeni.

11. Prawo przelanej krwi

Lipiec 1767

Stopniowo przywykłam do rytmu życia w River Run.

Przeszkadzała mi obecność niewolników, ale niewiele mogłam na to poradzić, starałam się jedynie jak najmniej korzystać z ich usług i gdy tylko było to możliwe, obsługiwać się samodzielnie.

River Run szczyliło się posiadaniem „zielarni”, a właściwie małego schowka, w którym przechowywano suszone zioła i lekarstwa.

Nie było tego wiele - parę słoików z korzeniami mniszka i korą wierzbową oraz kilka gotowych, zakurzonych kataplazmów. Jokasta była zachwycona, że chcę zrobić użytek z tego miejsca. Wzruszając ramionami, przyznała, że ani ona sama, ani żaden z jej niewolników nie ma talentu do leczenia.

- Mamy nową kobietę, która chyba wykazuje pewne zamiłowanie do takich rzeczy - powiedziała, ciągnąc długimi palcami nić z wirującego na kołowrotku wrzeciona.
- Ale ona nie wychowała się tutaj. Dopiero przed kilkoma miesiącami przybyła z Afryki i nie zna jeszcze języka ani nie umie się zachować. Zamierzałam ją wyszkolić, jednak skoro tu jesteś... ach, teraz nić jest za cienka, widzisz?

Podczas gdy ja codziennie siadywałam w pokoju Jokasty, próbując nauczyć się sztuki przędzenia wełny, Jamie spędzał po kilka godzin w towarzystwie Ulissesa, który oprócz tego, że zastępował Jokaście oczy i pełnił rolę majordomusa, od śmierci Hektora Camerona prowadził

również księgi rachunkowe plantacji.

- I doskonale sobie z tym radzi - powiedział mi Jamie po jednym z takich spotkań. - Gdyby był biały, ciotka nie miałaby żadnych kłopotów z prowadzeniem interesów. A tak... - wzruszył ramionami.

- A tak ma szczęście, że ty tu jesteś - dokończyłam, obwąchując go. Spędził cały dzień w Cross Creek, przeprowadzając skomplikowane transakcje dotyczące brykietów indygo, tarcicy, trzech par mułów, pięciu ton ryżu oraz pokwitowania ze składu celnego na złożony zegar, i w rezultacie do jego ubrania i włosów przyłgnęły najrozmaitsze fascynujące zapachy.

- Przynajmniej tyle mogę zrobić - powiedział. Wbił wzrok w buty, które właśnie czyścił, i zacisnął usta. - Przecież i tak nie mam nic innego do roboty, prawda?

- Uroczysta kolacja - oświadczyła Jokasta w kilka dni później. - Muszę wydać przyjęcie, żeby poznać was z sąsiadami.

Jamie podniósł wzrok znad książki.

- Nie ma takiej potrzeby, ciociu - powiedział łagodnie. - Poznałem już chyba wszystkich mieszkańców okręgu przy załatwianiu interesów w zeszłym tygodniu. A w każdym razie wszystkich mężczyzn. - Uśmiechnął się do mnie i dodał: - Ale może Claire miałaby ochotę poznać panie z okolicy.

- Nie miałabym nic przeciwko temu - przyznałam. - Co prawda nie mogę tu narzekać na brak zajęcia, ale...

- Ale nie takiego, które by cię interesowało - rzekła Jokasta z uśmiechem, który łagodził cierpkość tej uwagi. - Widzę, że nie masz zamiłowania do robótek ręcznych. - Jej

dłoń sięgnęła do dużego koszyka z kolorową wełną i wyjęła kłębek zielonej; miał to być następny kolor w szalu, który dziergała na drutach.

Każdego ranka jedna z pokojówek starannie układała barwne kłębki w tęczową spiralę, dzięki czemu Jokasta, odliczając je po kolei, mogła wybrać właściwy kolor.

- W każdym razie nie do tego rodzaju robótek ręcznych. - Jamie uśmiechnął się, zamykając książkę. - Claire wolałaby zszywać pokaleczone ciała. Tutaj pewnie zacznie się wkrótce nudzić z braku przypadków poważniejszych niż guz na głowie albo hemoroidy.

- Cha, cha - odrzekłam cierpko, ale prawdę mówiąc, miał rację.

Mieszkańcy River Run byli, ogólnie rzecz biorąc, zdrowi i dobrze odżywieni i choć cieszył mnie ten widok, to jednak jako lekarz nie miałam tu wielkiego pola do popisu. Nikomu nie życzyłam źle, ale rzeczywiście zaczynałam się już nudzić. Podobnie zresztą jak Jamie, choć o tym lepiej było w tej chwili nie wspominać.

- Mam nadzieję, że Marsali czuje się dobrze - zmieniłam temat.

Fergus dał się w końcu przekonać, że Jamie jeszcze przez jakiś czas nie będzie potrzebował jego pomocy, i poprzedniego dnia wyjechał do Wilmington, gdzie miał wsiąść na statek płynący na Jamajkę. Gdyby wszystko poszło dobrze, powinien wrócić na wiosnę razem z Marsali i - jak Bóg da - z ich nowo narodzonym dzieckiem.

- Ja też mam taką nadzieję - rzekł Jamie. - Powiedziałem Fergusowi, że...

- Ulissesie, co się dzieje? - zapytała naraz Jokasta,

spoglądając na drzwi. Nie po raz pierwszy zadziwił mnie jej czuły słuch.

Zaabsorbowana rozmową, zupełnie nie zwróciłam uwagi na kroki w korytarzu.

- Pan Farquard Campbell - powiedział cicho lokaj i odsunął się na bok. Widać było, że Farquard Campbell jest tu traktowany niemal jak domownik; nie musiał czekać, aż Ulisses wróci i zaprosi go do środka.

Wszedł do bawialni, deptając lokajowi po piętach, z kapeluszem pod pachą. Skłonił się szybko Jokaście i mnie i przywitał się z Jamiem.

Przybył tu konno i musiał jechać bardzo szybko, poły płaszcza miał bowiem mocno zakurzone, a twarz pod przekrzywioną peruką ociekała potem.

- O co chodzi, Farquardzie? Czy coś się stało? - Jokasta wyprostowała się na brzegu krzesła i na jej twarzy pojawił się niepokój.

- Tak - odrzekł Campbell szorstko. - Wypadek w tartaku.

Przyjechałem tu, żeby poprosić panią Fraser...

- Tak, oczywiście. Wezmę tylko skrzynkę. Ulissesie, poproś, żeby ktoś przyprowadził mi konia. - Podniosłam się szybko, szukając pantofli, które wcześniej zrzuciłam z nóg. Nie miałam na sobie stroju do jazdy konnej, ale z twarzy Campbella wyczytałam, że nie ma czasu na przebieranie się. - Czy to coś poważnego?

- Tak, to dość poważna sprawa. Ale nie jest pani tam potrzebna.

Gdyby pani mąż mógł wziąć ze sobą kilka lekarstw...

- Oczywiście, że pojedę - oświadczyłam.

- Nie! - zawołał kategorycznie. Widząc, że wszyscy na niego patrzymy, poszukał wzroku Jamiego i mocno zacisnął usta. - To nie jest sprawa dla dam. Ale byłbym niezmiernie zobowiązany, gdyby pan zechciał mi towarzyszyć, panie Fraser.

Nim zdążyłam zaprotestować, Jokasta zerwała się na nogi i pochwyciła go za ramię.

- O co chodzi? - zapytała ostro. - Czy to któryś z moich Murzynów? Czy Byrnes coś mu zrobił?

Była od niego wyższa o dobrych kilka centymetrów i musiał podnieść głowę, by na nią spojrzeć. Najwyraźniej wyczuła jego napięcie, bo mocniej zacisnęła palce na rękawie płaszcza z szarej serży. Campbell zerknął na Ulissesa, a później znów przeniósł wzrok na Jokastę. Lokaj, jak na umówiony sygnał, odwrócił się i bardzo cicho wyszedł z bawialni.

- Doszło do rozlewu krwi, Jo - powiedział Campbell cicho. - Nie wiem, kto ani jak, nie wiem nawet, jak poważna jest rana. Zawiadomił mnie chłopak MacNeilla. A co do tego drugiego... - urwał i wzruszył ramionami. - Takie jest prawo.

- A ty jesteś sędzią! - wybuchnęła. - Na miłość boską, czy nie możesz nic zrobić? - Potrząsała głową, próbując utkwic w nim spojrzenie niewidzących oczu i nagiąć go do swojej woli.

- Nie! - rzucił ostro i powtórzył łagodniej: - Nie. - Zdjął jej dłoń z rękawa i uściśnął. - Wiesz, że nie mogę. Gdybym mógł...

- Gdybyś mógł, to i tak nic byś nie zrobił - odrzekła

z goryczą.

Wyszarpnęła rękę z jego uścisku i stanęła plecami do niego, zaciskając pięści. - Skoro tak, to idź. Wybrali cię na sędziego; idź i sądz. - Obróciła się na pięcie i wyszła, szeleszcząc spódnicami w bezsilnej złości.

Campbell patrzył za nią i dopiero gdy z korytarza dobiegł odgłos zatraskiwanych drzwi, wypuścił oddech i z grymasem na twarzy spojrzął na Jamiego.

- Wahałem się, czy powinienem się zwrócić z tą prośbą do pana, panie Fraser, ze względu na to, że znamy się niezbyt długo, ale byłbym ogromnie wdzięczny, gdyby zechciał pan ze mną pojechać.

Ponieważ pani Cameron nie może być tam obecna, pan jako jej przedstawiciel w tej sprawie...

- Co to za sprawa, panie Campbell? - przerwał mu Jamie.

Campbell zerknął na mnie, najwyraźniej życząc sobie, bym wyszła, ale gdy nie uczyniłam żadnego ruchu, wzruszył ramionami, wyciągnął z kieszeni chustkę i otarł twarz.

- Prawo w tej kolonii stanowi, sir, że jeśli Murzyn zaatakuje białą osobę i dopuści się przy tym rozlewu krwi, musi zapłacić za to życiem. - Urwał, po czym dodał niechętnie: - Bogu dzięki, takie przypadki zdarzają się rzadko. Ale gdy już się przydarzą... - Znów urwał i zacisnął wargi. Westchnął, raz jeszcze otarł zaczerwienione policzki i schował chustkę. - Czas na mnie. Czy pójdzie pan ze mną, panie Fraser?

Jamie jeszcze przez chwilę przypatrywał się jego twarzy.

- Pójdę - rzekł szorstko. Podszedł do komody i wyciągnął górną szufladę, w której znajdowały się pistolety do pojedynków Hektora Camerona.

- Czy istnieje jakieś niebezpieczeństwo? - zwróciłam się do Campbella. Przygarbił ramiona z rezygnacją.

- Trudno powiedzieć, pani Fraser. Donald MacNeill powiedział mi tylko, że doszło do zwady w tartaku i że wchodzi w grę prawo krwi. Prosił mnie o jak najszybsze przybycie, bym mógł wydać wyrok i dopilnować egzekucji, ale nim zdążyłem zapytać go o szczegóły, pojechał dalej, by zawiadomić innych plantatorów.

- Egzekucja? Chce pan powiedzieć, że zamierzacie zgładzić człowieka, nie wiedząc nawet dokładnie, czego się dopuścił? - Ze wzburzenia przewróciłam koszyk z wełną i kolorowe kłęбки potoczyły się po dywanie.

- Wiem, czego się dopuścił, pani Fraser! - Campbell zaczerwienił się i unióśł wyżej głowę, ale udało mu się pohamować zniecierpliwienie. - Proszę wybaczyć, ma'am. Wiem, że przybyła tu pani niedawno i niektóre z naszych obyczajów mogą się pani wydawać nadmiernie surowe lub nawet barbarzyńskie, ale...

- Oczywiście, że wydają mi się barbarzyńskie! Co to za prawo, które skazuje człowieka...

- Niewolnika...

- Człowieka! Skazuje go bez procesu, nawet bez śledztwa? Co to za prawo?

- Złe prawo, madame! - prychnął. - Ale mimo wszystko jest to prawo, a moim obowiązkiem jest je wypełniać. - Włożył kapelusz i odwrócił się do Jamiego. - Czy jest pan gotów, panie Fraser?

- Tak. - Jamie upchnął w kieszeniach pistolety i naboje i wyglądził poły żakietu. - Angielko, może pójdziesz...

Podeszłam do niego i chwyciłam go za ramię.

- Jamie, proszę, nie idź! Nie bierz w tym udziału!

- Cicho. - Położył rękę na mojej dłoni i uściśnął ją mocno, uciszając mnie wzrokiem. - Ja już jestem częścią tego - powiedział cicho. - To posiadłość mojej ciotki, chodzi o jej ludzi. Pan Campbell ma rację: jestem jej krewnym i mam obowiązek tam być. - Zawahał się, jakby chciał powiedzieć coś jeszcze, ale tylko uściśnął ponownie moją dłoń.

- W takim razie idę z tobą - odpowiedziałam zupełnie spokojnie, z dziwną obojętnością, która zawsze pojawia się wraz z przeczuciem nadciągającej katastrofy.

Usta Jamiego zadrgały.

- Spodziewałem się, że pójdziesz, Angielko. Idź po swoją skrzynkę, a ja przyprowadzę konie.

Nie czekając na protesty Campbella, pobiegłam do zielarni.

Stukot moich pantofli o posadzkę przypominał niespokojne bicie serca.

Spotkaliśmy Andrew MacNeilla na drodze. Gdy usłyszał tętent kopyt, wyszedł z cienia kasztanowca, uklonił się Campbellowi i ze zmarszczonym czołem zatrzymał wzrok na mojej postaci.

- Nie powiedziałaś mu, Campbell? Panie Fraser, to nie jest sprawa dla kobiet - zwrócił się do Jamiego.

- Mówił pan, że chodzi o rozlew krwi, tak? - odparł Jamie napiętym głosem. - Moja żona jest banlighiche; była

ze mną na wojnie i dużo widziała. Skoro chcecie, bym tam był, ona pojedzie razem ze mną.

MacNeill zacisnął usta, ale nie protestował więcej. Odwrócił się i wskoczył na siodło.

Campbell zręcznie wcisnął swoją klacz między konie MacNeilla i Jamiego.

- Zapoznaj nas, MacNeill, z historią tej niefortunnej sprawy. Jak wiesz, pan Fraser przybył tu niedawno, a twój chłopak powiedział mi tylko, że chodzi o rozlew krwi. Nie wiem nic więcej.

MacNeill lekko wzruszył potężnymi ramionami. Związane w kucyk stalowoszare włosy spadały mu na plecy, rozdzielając na dwoje kołnierz kurtki. Rondo kapelusza, wciśniętego nisko na czoło, miało dokładnie tę samą szerokość co ramiona, jakby wyrównał je przymiarem ciesielskim. MacNeill był kanciasty i grubo ciosany zarówno w słowach, jak i w wyglądzie.

Historia nie była długa. Nadzorca tartaku, Byrnes, posprzeczał się z jednym ze zbieraczy terpentyny. Ten, uzbrojony w duży nóż, próbował rozstrzygnąć sprawę, pozbawiając Byrnesea głowy, chybił jednak celu i zdołał mu jedynie obciąć ucho.

- Naciął go jak sosnę - rzekł MacNeill z ponurą satysfakcją. - Odciął mu ucho i kawałek twarzy. Nie żeby to bardzo zaszkodziło urodzie tego parcha.

Zerknęłam na Jamiego; w odpowiedzi uniósł brew. Najwyraźniej Byrnes nie był ulubieńcem okolicznych plantatorów.

Nadzorca ściągnął krzykiem posiłki i przy pomocy dwóch klientów oraz kilku ich niewolników udało mu się

obezwładnić napastnika. Zamknięto go w szopie, opatrzone ranę i natychmiast wysłano młodego Donalda MacNeilla, który przyjechał zobaczyć, jak się zakłada ostrze piły, i nieoczekiwanie znalazł się w samym środku dramatu, by zawiózł wiadomość mieszkającym w pobliżu plantatorom.

- Pewnie pan o tym nie wie - wyjaśnił Campbell, odwracając się w siodle w stronę Jamiego. - Kiedy ma się odbyć egzekucja niewolnika, przyprowadza się wszystkich niewolników z pobliskich plantacji, żeby patrzyli. Ma to ich zniechęcać do podobnych uczynków w przyszłości.

- Ach tak - rzekł Jamie uprzejmie. - Sądzę, że podobnymi względami kierowała się Korona przy egzekucji mojego dziada w Tower Hill po powstaniu. Okazało się to ogrrromnie skuteczne; od tamtej pory wszyscy moi krewni zachowywali się właściwie.

Wystarczająco długo żyłam pośród Szkotów, by należycie docenić złośliwość tej riposty. Jamie spełnił prośbę Campbella, ale wnuk Starego Lisa nikomu nie podporządkowywał się łatwo ani nie darzył brytyjskiego prawa szczególną estymą.

MacNeill zrozumiał aluzję i jego kark poczerwieniał, ale Farquard Campbell wybuchnął krótkim, ironicznym śmiechem.

- Wiesz, który to niewolnik? - zapytał. MacNeill pokręcił głową.

- Donald nie mówił, który. Ale obaj wiemy, że to ten łajdak Rufus. Campbell wzruszył ramionami na znak zgody.

- Ciężki cios dla Jo - wymamrotał, kręcąc z żalem głową.

- Sama jest sobie winna - odparł MacNeill, brutalnie

zgniatając gza, który usiadł na jego łydce. - Ten Byrnes nie nadaje się nawet na świniopasa, a co dopiero na nadzorcę niewolników. Nieraz jej o tym mówiłem i ty też.

- No tak, ale to Hektor go przyjął do pracy, nie Jo. Nie mogła przecież zwolnić go z dnia na dzień. Co miałyby zrobić z tartakiem, siedzieć tam i zarządzać wszystkim osobiście?

MacNeill mruknął coś niewyraźnie w odpowiedzi i poprawił się w siodle. Jamie zachowywał pokerową twarz, kryjąc oczy w cieniu kapelusza.

- Nie ma nic gorszego od upartej kobiety - rzekł MacNeill odrobinę głośniejszym głosem, niż było to konieczne. - Jeśli takiej stanie się jakaś krzywda, nie powinna nikogo winić.

- Ale - wtrąciłam, wysuwając się naprzód i podnosząc głos na tyle, by był słyszalny ponad stukotem kopyt - jeśli winnym tej krzywdy jest mężczyzna, to możliwość obwiniania go powinna być dla kobiety wystarczającym zadośćuczynieniem, czy tak?

Jamie parsknął z rozbawieniem. Campbell zaśmiał się głośno i szturchnął MacNeilla szpicrutą w żebra.

- A to cię dopadła, Andrew! - zawołał.

MacNeill nie odpowiedział, tylko schował głowę między ramiona i jego kark poczerwieniał jeszcze bardziej. Dalszą część drogi przebyliśmy w milczeniu.

Choć ta wymiana zdań dostarczyła mi pewnej satysfakcji, nie uspokoiła mnie jednak; żołądek ścisnął mi się ze strachu na myśl o tym, co zastaniemy w tartaku. Mimo wyraźnej niechęci do Byrnesa i przekonania, że to nadzorca ponosi winę za całe zdarzenie, żaden z mężczyzn nie zasugerował, by w jakikolwiek sposób mogło to

wpłynąć na los niewolnika. „Złe prawo”, powiedział Campbell, ale jednak prawo. Poza tym to nie oburzenie ani groza na myśl o okrutnym prawie powodowała, że ręce mi się trzęsły, a wodze były śliskie od potu; zastanawiałam się, co robi Jamie. Z jego twarzy nic nie mogłam wyczytać. Siedział na koniu w swobodnej pozie, w lewej ręce trzymał wodze, a prawa opierała się luźno na udzie, w pobliżu kieszeni z pistoletem. Sama już nie wiedziałam, czy powinnam się cieszyć, że pozwolił mi pojechać ze sobą. Mogło to oznaczać, że nie spodziewa się żadnych gwałtownych działań, ale czy w takim razie zamierzał stać beczynnie i po prostu przyglądać się egzekucji?

A jeśli on...? Usta miałam wyschnięte, nos i gardło zatykał brązowy pył unoszący się chmurami spod końskich kopyt.

„Ja już jestem częścią tego” - powiedział. Czego? Klanu, rodziny - tak, ale tego? Górale gotowi byli walczyć na śmierć i życie o każdą sprawę, która miała związek z honorem lub burzyła im krew, ale zwykle pozostawali obojętni na to, co nie dotyczyło ich osobiście.

Wieki izolacji w górskich kryjówkach zniechęciły ich do mieszania się w sprawy innych - biada jednak tym, którzy próbowali mieszać się w ich sprawy!

Campbell i MacNeill wyraźnie uważali, że jest to również sprawa Jamiego - ale czy on sam też był tego zdania? Jamie nie był góralem wychowanym na odludziu. Dużo podróżował, był wykształconym, kulturalnym człowiekiem i doskonale znał moją opinię na temat aktualnych wydarzeń. Miałam jednak okropne przecucie, że tego dnia moja opinia okaże się zupełnie nieistotna.

Popołudnie było upalne i bezwietrzne, w chaszczach wzdłuż drogi głośno grały cykady, ale dłonie, w których trzymałam wodze, były zimne i zeszywniałe. Minęliśmy jedną czy dwie grupy niewolników, pieszo wędrujących w stronę tartaku. Nie podnieśli głów, by na nas spojrzeć, lecz rozsunęli się na boki, starając się wtopić w krzewy na poboczu.

Nisko zwieszająca się gałąź strąciła Jamiemu kapelusz z głowy; pochwycił go zręcznie i zaraz znów włożył, zdążyłam jednak zauważyć na jego odsłoniętej przez chwilę twarzy niepokój. Ze zdumieniem zdałam sobie sprawę, że on sam nie wie, co powinien zrobić, i to przeraziło mnie jeszcze bardziej.

Nagle znaleźliśmy się w sosnowym lesie. Żółte i zielone błyski liści olch i drzew hikorowych przeszły w ciemniejszą, chłodną zieleń, jakbyśmy zanurkowali z powierzchni oceanu w chłodniejszą i spokojniejszą głębię. Sięgnęłam do tyłu i dotknęłam przytroczonej do siodła drewnianej skrzynki. Próbowałam nie myśleć o tym, co mogło nas czekać, i przygotować się wewnątrz do jedynej roli, jaką mogłam odegrać w nadciągającej tragedii. Zapewne nie uda mi się zapobiec nieszczęściu, ale mogłam choćby po części naprawić to zło, które już zostało wyrządzone. Oczyszczenie i dezynfekcja rany - miałam butelkę spirytusu i płyn sporządzony z soku czosnkowego oraz mięty. Potem opatrunek - tak, miałam płócienne bandażę - ale najpierw chyba trzeba będzie założyć szwy?

Przerwałam te rozmyślenia, gdy zaczęłam się zastanawiać, co stało się z odcięтым uchem Byrnesea. Brzęczenie, które słyszałam, to nie były cykady. Campbell,

który jechał pierwszy, gwałtownie ściągnął wodze i zatrzymał się, nasłuchując.

Głosy w oddali, mnóstwo głosów, głębokie, rozłoszczone brzęczenie, jakby ktoś przewrócił do góry nogami ul pełen pszczół.

Potem usłyszeliśmy stłumione okrzyki i pojedynczy strzał.

Ostatnie zбочe przebyliśmy galopem i wypadliśmy prosto na polanę, wypełnioną ludźmi: niewolnicy i najemnicy, kobiety i dzieci biegali w panice między stertami tarcicy jak termyty odsłonięte przez uderzenie siekiery.

Przestałam zauważać tłum. Cała moja uwaga skupiła się na bocznej ścianie tartaku, gdzie znajdował się podnośnik z wielkim, zakrzywionym hakiem, służącym do unoszenia bali na łoże piły.

Nabity na hak czarny mężczyzna wił się przerażająco niczym robak.

Duszne powietrze przesycone było słodkawym zapachem krwi; na platformie podnośnika zebrała się już spora kałuża.

Mój koń zatrzymał się pośrodku tłumy, nerwowo przestępując z nogi na nogę. Wrzawa przycichła i tylko od czasu do czasu słychać było kobiecy krzyk. Jamie zsunął się z siodła i między napierającymi ciałami zaczął się przedzierać w kierunku platformy. Campbell i MacNeill szli za nim, ponuro odpychając zgromadzonych. Kapelusz MacNeilla zsunął się z głowy i został zdeptany.

Siedziałam w siodle jak sparaliżowana, nie mogąc się poruszyć.

Na platformie widziałam jeszcze kilku mężczyzn:

jeden z nich, niski, głowę miał owiniętą bandażami tak, że przybrała groteskowo kulisty kształt. Po jednej stronie bandaże przesiąknięte były krwią. Oprócz niego stał tam jeszcze jeden biały mężczyzna i jeden Mulat. Uzbrojeni w pałki i muszkiety, od czasu do czasu groźnie wymachiwali nimi w stronę tłumu.

Nie wyglądało zresztą na to, by niewolnicy mieli ochotę wtargnąć na platformę; przeciwnie, wydawało się, że wszyscy chcą się od niej jak najbardziej oddalić. Na twarzach dokoła mnie malowały się najrozmaitsze uczucia, od lęku po przerażenie i szok. Tylko tu i ówdzie dostrzegałam błysk gniewu lub zadowolenia.

Farquard Campbell wynurzył się z gromady, wspiał się na platformę po krzepkich ramionach MacNeilla i zbliżył się do mężczyzn z pałkami, wymachując rękami i krzycząc coś, czego nie mogłam dosłyszeć, choć wrzawa wokół mnie powoli cichła i przechodziła w pełne grozy milczenie. Jamie również wszedł na platformę, podciągając się na jej krawędź, a potem wyciągnął rękę do MacNeilla.

Campbell stanął naprzeciwko Byrnesa i jego szczupła twarz ściągnęła się gniewem.

- ...nie do opisania brutalność! - krzyczał. Pomruki i szuranie stóp ludzi stojących dokoła mnie częściowo zagłuszały jego słowa, ale widziałam, że z emfazą wyciągnął palec wskazujący w stronę ponurego ładunku zawieszzonego na haku. Niewolnik przestał już się rzucać, jego ciało zwisało teraz bezwładnie.

Nie mogłam dostrzec twarzy nadzorca, ale stał w postawie obronnej, zeszywniały ze złości. Z tłumu wynurzyło się kilku mężczyzn i podeszło bliżej,

najwyraźniej chcąc mu zaoferować wsparcie.

Jamie przez chwilę stał spokojnie, oceniając sytuację, a potem wyciągnął obydwie pistolety i sprawdził stan podsypki. Wysunął się naprzód i przystawił jeden z pistoletów do obandażowanej głowy Byrnesa. Zaskoczony nadzorca znieruchomiał.

- Zdejmij go - powiedział Jamie do najbliższego stojącego osiłka tak głośno, że było go słychać ponad pomrukami. - Bo jak nie, to odstrzelę twojemu przyjacielowi resztę twarzy. A potem... - Podniósł drugi pistolet i wycelował go w sam środek piersi mężczyzny. Wyraz jego twarzy był bardziej wymowny niż wszelkie groźby.

Mężczyzna poruszył się niechętnie, wpatrując się przymrużonymi oczyma w pistolet. Sięgnął do rączki kołowrotu i zwolnił ją. Hak obniżył się powoli, lina napinała się pod ciężarem. Gdy bezwładne ciało dotknęło platformy, z tłumy rozległo się westchnienie ulgi.

Udało mi się wreszcie przepchnąć konia naprzód. Dopiero gdy znalazłam się przy platformie, zwierzę spłoszyło się i zaczęło rzucać łbem, ale było na tyle dobrze wyszkolone, że nie stanęło dęba.

Zsunęłam się z siodła i poprosiłam najbliższego stojącego mężczyznę, by podał mi pudło.

Miałam dziwne wrażenie, że deski platformy unoszą się i opadają pod moimi stopami; podobne wrażenie odnosi się zaraz po zejściu z pokładu statku. Od leżącego ciała dzieliło mnie zaledwie kilka kroków, ale zanim do niego doszłam, wróciła mi jasność umysłu, najważniejsza cecha chirurga. Nie zwracałam żadnej uwagi na kłótnie za moimi

plecami ani na obecność licznej publiczności.

Żył jeszcze, jego pierś unosiła się w nierównym oddechu. Haki przebił żołądek, przeszedł między dolnymi żebrami i wyszedł po drugiej stronie na wysokości nerek. Skóra skazańca miała niezdrowy, szaroniebieski odcień, usta przybrały kolor gliny.

- Cicho - powiedziałam łagodnie, choć nie wydawał żadnego dźwięku oprócz świstu oddechu.

Wzrok miał pusty, źrenice rozszerzone i ciemne.

Na ustach nie zauważyłam śladów krwi, a więc płuca były całe.

Oddech miał płytki, lecz rytmiczny, przepona nie została uszkodzona.

Delikatnie powiodłam dłońmi po jego ciele. Krew sączyła się z obydwu ran, spływała po napiętych mięśniach brzucha i pleców, lśniła rubinowym blaskiem na wypolerowanej stali, ale nie był to silny krwotok; jakimś cudem udało im się ominąć aortę brzuszną i tętnicę nerkową.

Za mną rozgorzała zacięta kłótnia. Farquard Campbell usiłował przywołać do porządku kompanów Byrnese, którzy, jak się okazało, byli zaprzyjaźnionymi z nim nadzorcami z sąsiednich plantacji.

- ...ewidentne lekceważenie prawa! Możecie być pewni, panowie, że odpowiecie za to przed sądem!

- Jakie to ma znaczenie? - odparował któryś opryskliwie. - Doszło do rozlewu krwi i okaleczenia! Tu chodzi o prawa Byrnese!

- Nie wy decydujecie tu o prawach - warknął MacNeill. - Jesteście zwykłą hołotą, nie lepszą niż...

- A ty, stary, nie wtykaj swojego szkockiego nosa tam, gdzie cię nikt nie prosił!

- Czego potrzebujesz, Angielko?

Nie słyszałam, kiedy Jamie podszedł do mnie. Przykucnął obok i otworzył pudło. W jednej ręce wciąż trzymał naładowany pistolet i bacznie obserwował grupkę za moimi plecami.

- Nie wiem. - Słyszałam dochodzącą z tyłu kłótnię, ale słowa do mnie nie docierały; jedyna rzeczywistość znajdowała się pod moimi dłońmi. Powoli uświadamiałam sobie, że człowiek, którego dotykam, pomimo okropnych obrażeń raczej nie jest śmiertelnie ranny.

Wszystko wskazywało na to, że hak przebił wątrobę. Prawdopodobnie uszkodzona była prawa nerka, być może również jelito czcze i woreczek żółciowy, ale żadne z tych obrażeń nie powodowało natychmiastowej śmierci.

Jeśli miał zginąć szybko, to chyba tylko od szoku. Wyczuwałam jednak puls tętniący w śliskim od potu brzuchu, przyspieszony, ale równomierny jak bicie werbla. Stracił sporo krwi - jej zapach zagłuszał woń potu i strachu - lecz nie aż, tyle, by od tego umrzeć.

Przyszła mi do głowy niepokojąca myśl: być może udałoby mi się go uratować. Albo i nie, pomyślałam zaraz, wyobrażając sobie wszelkie możliwe komplikacje: przede wszystkim krwotok po usunięciu haka, a dalej wewnętrzne krwawienie, opóźniony szok, perforacja jelit, zapalenie otrzewnej. A jednak... Pod Prestonpans widziałam człowieka przebitego na wylot mieczem. Rana znajdowała się w bardzo podobnym miejscu jak ta. Opatrzony został jedynie bandażem, a mimo to wyzdrowiał.

- Bezprawie! - Głos Campbella przebijał się ponad odgłosami kłótni. - Żadna prowokacja nie usprawiedliwia tolerowania bezprawia!

Możecie być pewni, że wszyscy za to odpowiecie!

Nikt nie zwracał uwagi na właściwy przedmiot sporu. Miałam jeszcze zaledwie kilka sekund na działanie. Położyłam rękę na ramieniu Jamiego.

- Jeśli go uratuję, czy pozwolił mu żyć? - zapytałam bardzo cicho.

Z namysłem powiódł wzrokiem po twarzach kłócących się mężczyzn.

- Nie - odrzekł równie cicho i dostrzegłam w jego pociemniałych oczach zrozumienie.

Wyprostował nieznacznie ramiona i oparł pistolet na udzie. Nie mogłam pomóc mu dokonać wyboru ani on nie mógł pomóc mnie, ale wiedziałam, że będzie mnie chronił bez względu na to, jaką podejmę decyzję.

- Podaj mi trzecią butelkę od lewej z górnego rzędu. - Ruchem głowy wskazałam na wieko skrzynki, zawierające trzy rzędy szczelnie zakorkowanych buteleczek z przezroczystego szkła.

Miałam dwie butelki czystego spirytusu i jedną butelkę brandy.

Wsypałam sporą dawkę sproszkowanego brunatnego korzenia do butelki z brandy, wstrząsnęłam nią energicznie i przyłożyłam do ust mężczyzny. Oczywiście miał szkliste. Próbowałam pochwycić jego wzrok, chciałam, by na mnie popatrzył. Dlaczego? - zastanawiałam się, pochylając się nad nim i wołając go po imieniu. Nie mogłam go zapytać, czy taki byłby również jego wybór - musiałam wybrać za

niego, a skoro już to zrobiłam, nie mogłam pytać go o zgodę ani prosić o przebaczenie.

Przełknął jeden łyk, potem drugi. Mięśnie wokół jego pobielających ust zadrgały, kropelki brandy spłynęły po skórze. Jeszcze raz przełknął konwulsyjnie, a potem napięte mięśnie karku rozluźniły się i głowa opadła na moje ręce.

Siedziałam z zamkniętymi oczami, podtrzymując jego głowę, palcami wyczuwając puls za uchem. Zaczął się rwać, zgasł na chwilę, po czym znów się pojawił. Przez całe ciało przeszedł dreszcz, pokryta plamami skóra drgała, jakby maszerowały po niej tysiące mrówek.

Przez głowę przebiegał mi opis z podręcznika: „Odrętwienie.

Mrowienie. Wrażenie łaskotania, jakby po skórze chodziły owady.

Nudności, bóle nadbrzusza. Trudności w oddychaniu, skóra zimna i wilgotna, blada. Puls słaby i nieregularny, umysł jednak pozostaje jasny”.

Żaden z symptomów w tym opisie nie różnił się od tych, które wystąpiły już wcześniej. Bóle nadbrzusza, doprawdy.

Jedna pięćdziesiąta grana wystarczała, by uśmiercić wróbla w kilka sekund. Jedna dziesiąta grana w pięć minut zabiłaby królika.

Puchar, który Medea podała Tezeuszowi, zawierał wyciąg z tojadu.

Staralam się nic nie słyszeć, o niczym nie myśleć, niczego nie czuć oprócz uderzeń pod opuszkami palców. Całą siłą woli próbowałam odciąć się od głosów nad głową, szmerów dokoła, upału, kurzu i odoru krwi, zapomnieć,

gdzie jestem i co robię.

„Umysł jednak pozostaje jasny”.

Boże, pomyślałam. Tak było.

12. John Quincy Myers powraca

Głęboko wstrząśnięta wydarzeniami w tartaku, Jokasta nie zrezygnowała jednak z zamiaru urzędzenia przyjęcia.

- To odwróci nasze myśli od smutków - oświadczyła, krytycznie pocierając między palcami muślinowy rękaw mojej sukni. - Powiem Fedrze, żeby uszyła ci nową suknię. Ta dziewczyna jest doskonałą szwaczką.

Sądziłam, że przyjęcie i nowa suknia nie wystarczą, bym mogła zapomnieć o tym, co się stało, ale pochwycałam ostrzegawcze spojrzenie Jamiego i powstrzymałam słowa, które cisnęły mi się na usta.

Ze względu na brak czasu oraz odpowiedniego materiału Jokasta zdecydowała się przerobić dla mnie jedną ze swoich sukien.

- Jak to wygląda, Fedro? - wypytywała z twarzą zwróconą w moim kierunku, jakby czysta siła woli mogła przywrócić jej wzrok. - Może być?

- Bardzo dobrze - odpowiedziała Fedra z ustami pełnymi szpilek.

Szybko wpięła w tkaninę trzy, jedną po drugiej, przyjrzała mi się, mrużąc oczy, poprawiła zakładkę w talii i dołożyła jeszcze dwie szpilki. - Wygląda doskonale - powtórzyła, gdy już mogła mówić swobodnie. - Pani Fraser jest niższa od pani, panno Jo, i odrobinę szczuplejsza w talii. Za to trochę szersza w biuście - dodała pod nosem, rzucając

mi porozumiewawczy uśmiech.

Jokasta dosłyszała tę ostatnią uwagę.

- Tak, wiem - odrzekła cierpko. - Podetnij gorset. Możesz użyć jako wypełnienia walansjenki na podkładzie z zielonego jedwabiu.

Odetnij kawałek ze starego szlafroka mojego męża, ma akurat odpowiedni kolor. - Dotknęła rękawa w jaskrawozielone paski. - I daj szarfę z zielonego jedwabiu, to podkreśli talię. - Długie, blade palce wędrowały po moich piersiach, wskazując miejsca, w których należało przykroić suknię. Dotyk był chłodny i bezosobowy, ledwie wyczuwalny, ale z trudem powstrzymywałam się, by się nie uchylić.

- Masz zdumiewającą pamięć do kolorów - powiedziałam, zdziwiona i nieco zdenerwowana.

- Och, doskonale pamiętam tę suknię. - Lekko dotknęła bufiastego rękawa. - Pewien dżentelmen powiedział mi kiedyś, że wyglądam w niej jak Persefona, wcielenie wiosny. - Jej twarz rozświetlił lekki uśmiech, który zaraz jednak zgasł. - Jaki masz kolor włosów, moja droga? Nie przyszło mi wcześniej do głowy, żeby zapytać. Sądząc z głosu, wydaje mi się, że jesteś blondynką, ale nie mam pojęcia, czy tak jest naprawdę. Błagam, nie mów mi tylko, że masz czarne włosy i żółtawą cerę!

Uśmiechała się, lecz ten żart brzmiał jak rozkaz.

- Brązowe - odrzekłam, bezwiednie podnosząc rękę do włosów. - Trochę spłowiałe. Niektóre pasma są zupełnie jasne.

Zmarszczyła brwi, jakby się zastanawiała, czy brązowy kolor będzie odpowiedni, ale niezdolna

rozstrzygnąć tej kwestii samodzielnie, zwróciła się do pokojówki:

- Jak ona wygląda, Fedro?

Uświadomiłam sobie, że podobnie jak i inni domownicy, Fedra musiała nauczyć się opisywać wszystko jak najwierniej swojej pani.

Ciemne oczy przesunęły się po mojej sylwetce i na dłuższą chwilę zatrzymały się na twarzy. Wyjęła z ust dwie szpilki i odpowiedziała, kiwając powoli głową:

- Bardzo dobrze, panno Jo. Doskonale. Ma jasną skórę, białą jak mleko. Doskonale wygląda przy tej ostrej zieleni.

- Mmm. Ale halka jest w kolorze kości słoniowej. Jeśli ma zbyt jasną karnację, to będzie wyglądała bezbarwnie.

Nie podobało mi się, że rozmawiają o mnie, jakbym była dziełem sztuki, w dodatku nieco wybrakowanym, jednak przełknęłam swoje obiekcje. Fedra stanowczo pokręciła głową.

- Och, nie, ma'am. Nie wygląda bezbarwnie. Ma ładny układ kości twarzy, które rzucają cienie na policzki. I brązowe oczy, ale nie w kolorze błota. Pamięta pani tę książkę, tę z obrazkami dziwnych zwierząt?

- Jeśli masz na myśli Relację z wyprawy na subkontynent indyjski, to tak, przypominam ją sobie - odrzekła Jokasta. - Ulisses czytał mi ją w zeszłym miesiącu. Chcesz powiedzieć, że pani Fraser przypomina ci którąś z ilustracji? - zaśmiała się z rozbawieniem.

- Mhm. - Fedra nie spuszczała ze mnie wzroku. - Wygląda jak ten wielki kot - wyjaśniła cicho. - Jak ten

tygrys ukryty za liśćmi.

Przez twarz Jokasty przemknął wyraz zaskoczenia.

- Coś takiego - zaśmiała się, ale więcej już mnie nie dotknęła.

Stałam na dole w holu, wygładzając stanik z prążkowanego, zielonego jedwabiu. Reputacja Fedry była w pełni zasłużona - suknia przylegała do mojego ciała jak rękawiczka, szerokie wstęgi szmaragdowego atlasu lśniły na tle jedwabiu w kolorze kości słoniowej i soczystej zieleni.

Jokasta, dumna ze swych gęstych włosów, nie nosiła peruki, toteż szczęśliwie mnie również nie próbowała do niej namawiać. Fedra chciała przypudrować mi włosy mąką ryżową, ale stanowczo odmówiłam. Nie próbując ukrywać, co sądzi o moim braku wyczucia w kwestiach mody, zgodziła się jednak związać masę loków białą jedwabną wstążką i upiąć je wysoko z tyłu głowy.

Sama nie wiedziałam, dlaczego odrzuciłam wszystkie błyskotki, w które usiłowała mnie ustroić, może dlatego, że nie lubiłam pretensjonalności, a może po prostu nie chciałam być traktowana jak przedmiot, ozdabiana i wystawiana na pokaz wedle kaprysu Jokasty.

W każdym razie odmówiłam i w rezultacie nie miałam na sobie żadnych ozdób z wyjątkiem obrączki ślubnej, małych kolczyków z pereł oraz zielonej aksamitnej wstążki na szyi.

Po schodach schodził Ulisses w nienagannej liberii. Poruszyłam się; odwrócił głowę w moją stronę i w jego oczach pojawił się wyraźny podziw. Uśmiechnęłam się lekko na ten widok, on jednak naraz ostro wciągnął oddech i zacisnął dłoń na poręczy schodów tak mocno, że kostki

palców załśniły. Na jego twarzy pojawiło się przerażenie.

- Błagam o wybaczenie, madame - powiedział zduszonym głosem i na łeb na szyję rzucił się do kuchennych drzwi.

- Co, u diabła...? - powiedziałam na głos, a potem przypomniałam sobie, gdzie i w jakich czasach się znajduję. Ulisses od tak dawna przebywał w domu w towarzystwie jedynie niewidzącej pani, że zatracił zmysł ostrożności i na chwilę porzucił podstawowy i jedyny dostępny każdemu niewolnikowi środek ochronny, jakim było obojętne, pozbawione wyrazu spojrzenie, które skrywało wszelkie myśli. Nic dziwnego, że wpadł w przerażenie, gdy uświadomił sobie, co uczynił. Gdyby trafił nie na mnie, lecz na jakąkolwiek inną kobietę... Przypomniałam sobie zapach krwi i terpentyny i poczułam, że dłonie mam zimne i mokre od potu.

Ale to byłem ja, i nikt inny tego nie widział. Lokaj przestraszył się śmiertelnie, lecz nic mu nie groziło. Będę się zachowywać, jakby nic się nie stało, bo przecież nic się nie stało - a wtedy wszystko... no cóż, wszystko będzie tak samo jak wcześniej.

Z tych rozmyślań wyrwał mnie odgłos kroków na galerii.

Podniosłam wzrok i zaparło mi dech. Natychmiast zapomniałam o wszystkim innym. Szkocki góral w galowym stroju zawsze wygląda wspaniale - każdy góral, nawet jeśli jest stary, brzydki i skrzywiony.

Wysoki, prosty jak świeca i w żadnym razie nie brzydki góral w kwiecie wieku wygląda w tym stroju olśniewająco.

Nie nosił kiltu od czasów Culloden, ale jego ciało nie zapomniało, jak to się robi.

- Och! - westchnęłam.

Dopiero wtedy mnie dostrzegł i skłonił się, błyskając białymi zębami. Srebrne sprzączki u butów również rozbłysły. Wyprostował się i obrócił na pięcie, aż pled na jego ramionach zawirował, a potem powoli zszedł po schodach, nie spuszczać ze mnie wzroku.

Przez chwilę miałam wrażenie, że patrzę na niego w dniu naszego ślubu. Wzór na jego tartanie był prawie identyczny jak wtedy: czarna krata na karmazynowym tle. Pled, spięty na ramieniu srebrną broszą, opadał aż za kolano, a spod niego wyłaniała się kształtna łydka w pończosze. Koszulę i kurtkę miał teraz lepszej jakości, a rękajeść sztyletu przy pasie zdobiona była złotem. W każdym calu wyglądał na duine uasal, człowieka honoru. Jednak śmiała twarz nad koronkami była ta sama, starsza, ale przez to również mądrzejsza; lśniące włosy, pochylenie głowy, szerokie, wyraźnie zarysowane usta i skośne, przejrzyste kocie oczy wpatrzone we mnie - wszystko było takie samo.

Stał przede mną mężczyzna, który dobrze znał swoją wartość.

- Do usług, ma'am - powiedział i z promiennym uśmiechem pokonał kilka ostatnich stopni.

- Wyglądasz wspaniale - wykrztusiłam przez ściśnięte gardło.

- Sądzę, że nieźle - zgodził się bez śladu fałszywej skromności i starannie poprawił fałdę na ramieniu. - Oczywiście to zaleta pledu - nie ma kłopotu z

dopasowaniem.

- Czy to jest strój Hektora Camerona? - Czułam się niedorzecznie onieśmielona wspaniałością jego stroju i nie miałam odwagi go dotknąć. Dotknęłam tylko rękojęści sztyletu: zakończony był złotą figurką przedstawiającą lecącego ptaka.

Jamie wziął głęboki oddech.

- Teraz już mój. Ulisses przyniósł mi go z pozdrowieniami od ciotki. - Podniosłam wzrok, słysząc w jego głosie dziwny ton. Choć widać było, że włożenie kiltu sprawiło mu wielką przyjemność, coś go trapiło. Dotknęłam jego ręki.

- O co chodzi?

Jego usta drgnęły w lekkim uśmiechu, ale brwi ściągnęły się troską.

- Właściwie o nic. Tylko że...

Przerwał mu odgłos kroków na schodach. Odsunął mnie na bok, by przepuścić niewolnika niosącego stertę obrusów. W całym domu trwały ostatnie przygotowania; słyszałam zgrzyt kół na żwirze za domem, wszędzie roznosiły się apetyczne zapachy z półmisków biegiem przynoszonych z kuchni.

- Nie możemy tutaj rozmawiać - mruknął. - Angielko, bądź czujna podczas kolacji; gdy dam ci sygnał - pociągnął się za koniuszek ucha - zrób coś, by skupić na sobie uwagę gości, dobrze?

Nieważne co. Możesz rozlać wino, zasłabnąć, dźgnąć widelcem swojego sąsiada... - Jego uśmiech podniósł mnie na duchu. Cokolwiek go trapiło, nie była to sprawa życia i śmierci.

- Dobrze - zapewniłam go. - Ale co...

Na górze otworzyły się jakieś drzwi i usłyszeliśmy głos Jokasty, wydającej ostatnie polecenia Fedrze. Jamie pochylił się i pocałował mnie szybko, po czym odwrócił się i zniknął w srebrno - karmazynowym wirze między dwoma niewolnikami, którzy nieśli do bawialni tace pełne kryształowych pucharów. Patrzyłam za nim z zaskoczeniem; w ostatniej chwili udało mi się uniknąć stratowania przez służących.

- Czy to ty, moja droga Claire? - Jokasta zatrzymała się na ostatnim stopniu schodów. Głowę miała zwróconą w moją stronę, a wzrok utkwiony gdzieś ponad moim ramieniem. Był to przejmujący widok. Dotknęłam jej ręki.

- To ja.

- Twoja suknia pachnie kamforą - wyjaśniła, odpowiadając na moje niewypowiedziane pytanie, i ujęła mnie pod łokieć. - Wydawało mi się, że słyszałam głos Jamiego, czy jest tutaj?

- Nie - odrzekłam zgodnie z prawdą. - Chyba poszedł witać gości.

- Ach. - Jej westchnienie wyrażało coś pomiędzy zadowoleniem a zniecierpliwieniem. - Nie lubię rozpaczać nad tym, czego nie można zmienić, ale przysięgam, że oddałabym jedno oko, gdybym w zamian mogła odzyskać wzrok w drugim choć na krótką chwilę, żeby zobaczyć go dzisiaj ubranego w kilt!

Potrząsnęła głową i diamenty w jej uszach rozbłysły. Suknia z ciemnobłękitnego jedwabiu doskonale kontrastowała z lśniącymi, białymi włosami. Tkanina sukni haftowana była w ważki, które w świetle kinkietów i

ciężkiego kandelabru zdawały się śmigać między fałdami.

- No cóż. Gdzie jest Ulisses?

- Tutaj, madame - odezwał się, stając przy jej boku. Poruszał się tak cicho, że nie usłyszałam, kiedy nadszedł.

- Chodźmy - powiedziała, biorąc go pod ramię. Nie wiedziałam, czy to polecenie dotyczy również i mnie, ale posłusznie poszłam w ślad za szelestem jedwabiu, wymijając dwóch chłopców kuchennych, którzy nieśli główne danie - pieczonego w całości dzika. Kły w jego paszczy lśniły groźnie, soczysty zad ociekał tłuszczem, aż prosiło się wbić weń nóż. Zapach był niebiański.

Przyglądałam włosy i przygotowałam się na spotkanie gości Jokasty. Nie mogłam się pozbyć wrażenia, że ja również mam im zostać zaprezentowana na srebrnej tacy, z jabłkiem w zębach.

Gdyby w dolinie rzeki Cape Fear wydawano Kto jest kim, lista gości byłaby dokładnym odzwierciedleniem treści książki. Campbell, Maxwell, Buchanan, MacNeill, MacEachern... nazwiska z gór i wysp szkockich. MacNeill z Barra Meadows, MacLeod z Islay... nazwy wielu plantacji równie mocno jak mowa właścicieli przywodziły na myśl miejsce ich pochodzenia; od wysokiego, pokrytego sztukateriami sufitu odbijały się echa gaelickich słów.

Niektórzy mężczyźni mieli na sobie kilty lub pledy narzucone na żakiety i jedwabne bryczesy, ale żaden nie wyglądał tak wspaniale jak Jamie, którego nieobecność aż nadto rzucała się w oczy. Słyszałam, jak Jokasta wymruczała coś do Ulissesa, który natychmiast zaklaskał w dłonie, przywołując małą służącą. Wysłał ją w oświetlony lampionami półmrok ogrodu - zapewne po to, by poszukała

Jamiego.

Równie wyraźnie rzucali się w oczy nieliczni goście, którzy nie byli Szkotami: barczysty kwakier o łagodnym uśmiechu i malowniczym nazwisku Hermon Husband, wysoki, kościsty dżentelmen, który nazywał się Hunter, oraz - ku mojemu wielkiemu zdziwieniu - Philip Wylie, nienagannie ubrany, upudrowany i w peruce.

- A więc znów się spotykamy, pani Fraser - powiedział, przytrzymując moją dłoń znacznie dłużej, niżby wypadało. - Muszę wyznać, że możliwość ponownego ujrzenia pani wprawiła mnie w zachwyty!

- Skąd pan się tu wziął? - zapytałam niegrzecznie. W odpowiedzi ujrzałam zuchwały uśmiech.

- Przeprowadził mnie tu mój szlachetny i możny gospodarz, pan MacNeill z Barra Meadows, od którego właśnie nabyłem wspaniałą parę siwków. A skoro już o koniach mowa, to gdy usłyszałem, że dzisiejsze przyjęcie odbywa się na cześć pani, nawet dzikie mustangi nie mogłyby mnie powstrzymać od pojawienia się tutaj. - Obrzucił mnie taksującym wzrokiem konesera, który widzi przed sobą cenne dzieło sztuki. - Czy mogę zauważyć, ma'am, że jest pani niezmiernie do twarzy w tym odcieniu zieleni?

- Nie sądzę, by udało mi się pana przed tym powstrzymać.

- Nie wspominając już o tym, jak pięknie cera pani wygląda w blasku świateł. Szyja twoja jako wieża z kości słoniowych - zacytował, wymownie wiodąc kciukiem po wnętrzu mojej dłoni - oczy twoje jako sadzawki w Hesebon.

- Nos twój jako wieża na Libanie, która patrzy ku

Damaskowi (Pieśń nad Pieśniami 7,5.) - dorzuciłam, spoglądając na jego arystokratycznie wydłużony narząd powonienia.

Wybuchnął śmiechem, ale nie wypuścił mojej dłoni. Zerknęłam na Jokastę, stojącą o parę kroków ode mnie. Zdawała się zaabsorbowana rozmową z nowo przybyłym gościem, ale z doświadczenia wiedziałam, jak czuły ma słuch.

- Ile ma pan lat? - zapytałam, próbując dyskretnie oswobodzić dłoń.

- Dwadzieścia pięć, ma'am - odrzekł, nieco zdziwiony, i palcem wolnej ręki dotknął przyklejonej obok ust muszki w kształcie gwiazdki. - Czyżbym wydawał się nieprzyzwoicie wynędzniały?

- Nie. Chciałam się jedynie upewnić, że nie okłamię pana, jeśli powiem, że mogłabym być pańską matką!

Ta informacja w najmniejszym nawet stopniu nie zbiła go z tropu.

Podniósł moją dłoń do ust i wycisnął na niej gorący pocałunek.

- Jestem oczarowany - tchnął. - Czy mogę do pani mówić Maman?

Ulisses stał tuż za Jokastą i bacznie obserwując gości nadchodzących oświetloną aleją od strony rzeki, od czasu do czasu szeptał jej coś do ucha. Wyrwałam rękę z uchwytu Wyliego i dotknęłam ramienia lokaja.

- Ulissesie - powiedziałam, uśmiechając się do Wyliego czarująco - czy mógłbyś być tak miły i dopilnować, by pan Wylie siedział obok mnie przy kolacji?

- Oczywiście, madame - zapewnił i natychmiast

powrócił do obserwacji.

Pan Wylie skłonił się z galanterią, zadeklarował mi swą dozągonną wdzięczność i pozwolił jednemu z lokajów zaprowadzić się do domu.

Pomachałam mu ręką, myśląc o tym, że gdy nadejdzie odpowiednia chwila, z największą przyjemnością dźgnę go widelcem.

Nie wiem, czy był to łut szczęścia, czy też zaplanowane działanie, ale siedziałam przy stole między panem Wyliem a kwakrem, panem Husbandem, naprzeciwko mając pana Huntera, który również nie mówił po gaelicku. Razem tworzyliśmy angielską wysepkę na burzliwym szkockim morzu.

Jamie pojawił się w ostatniej chwili. Posadzono go u szczytu stołu, z Jokastą po prawej ręce. Po raz chyba dwudziesty zaczęłam się zastanawiać, o co tu chodzi. Nie spuszczałam z niego oka, a przy moim talerzu leżał czysty, gotowy do użycia widelec, ale byliśmy już przy trzecim daniu i dotychczas nie wydarzyło się nic nieoczekiwanego.

- Muszę przyznać, panie Husband, że zaskoczony jestem obecnością na przyjęciu dżentelmena o przekonaniach takich jak pańskie. Czy nie uwłaczają panu tak próżne rozrywki? - Wylie, któremu nie udało się skupić na sobie mojej uwagi przy dwóch pierwszych daniach, zmienił taktykę i teraz przechylał się przede mną nad stołem, od czasu do czasu ocierając się udem o moje udo.

Hermon Husband zareagował na tę zaczepkę uśmiechem.

- Nawet kwakrzy muszą coś jadać, przyjacielu Wylie.

Wielokrotnie już miałem zaszczyt korzystać z gościnności pani Cameron i nie mógłbym odmówić jej teraz z tej jedynie racji, że nie jestem jedynym gościem przy stole. - Znow zwrócił się do mnie, wracając do przerwanej rozmowy. - Pytała pani o regulatorów? - Wskazał głową na drugą stronę stołu. - Powinna pani raczej zadać to pytanie panu Hunterowi, o ile bowiem w ogóle można uznać, że regulatorzy mają jakiegoś przywódcę, z pewnością jest nim właśnie ten dżentelmen.

Pan Hunter skłonił się uprzejmie. Wysoki, kościsty i o wydatnej szczęce, choć nie był kwakrem, nosił skromniejszy strój niż pozostali goście. Przybył tu razem z panem Husbandem, obydwaj wracali z Wilmington do swoich domów w głębi kolonii. Mając w pamięci propozycję gubernatora Tryona, chciałam dowiedzieć się jak najwięcej o tym, co dzieje się w tamtych okolicach.

- Jesteśmy tylko luźną grupą - rzekł skromnie, odstawiając kieliszek z winem. - Prawdę mówiąc, nie mam podstaw do przypisywania sobie żadnych tytułów, moje domostwo jest po prostu tak szczęśliwie położone, że stanowi wygodne miejsce spotkań.

- Słyszysz się, że regulatorzy to zwykła hałastrą. - Wylie otarł wargi, uważając, żeby nie naruszyć muszki. - Działają bezprawnie i skłonni są do przemocy wobec usankcjonowanych prawem przedstawicieli Korony.

- Nie jest to prawda - przerwał pan Husband łagodnie.

Zaskoczona byłam tym, że on również deklaruje przynależność do regulatorów. Może jednak ten ruch nie opierał się na przemocy i bezprawiu, wbrew temu, co

twierdził Wylie? - Domagamy się jedynie sprawiedliwości, a tego nie da się osiągnąć, stosując przemoc, bo gdzie ta się pojawia, tam nie może być mowy o sprawiedliwości.

Wylie wybuchnął nieoczekiwanie głębokim, męskim śmiechem.

- Nie może być mowy o sprawiedliwości! Takie właśnie wrażenie odniosłem, słuchając opowieści sędziego Dodgsona, z którym rozmawiałem w zeszłym tygodniu. A może sędzia pomylił się przy określeniu tożsamości opryszków, którzy wtargnęli do jego domu, powalili go na ziemię i wywlekli siłą na ulicę? - Uśmiechnął się ujmująco do Huntera, który spurpurowiał i zacisnął palce na nóżce kieliszka. Spojrzałam z nadzieją na Jamiego, ale nie dawał mi żadnego sygnału.

- Sędzia Dodgson - powiedział Hunter odmierzonym tonem - jest lichwiarzem, złodziejem i zakałą prawniczej profesji, a...

Od dłuższego już czasu przed domu dochodziły hałasy, ale uznałam, że to zapewne jakiś kryzys w kuchni, do której prowadziło zadaszone przejście. Odgłosy stały się jednak wyraźniejsze i teraz usłyszałam znajomy głos, który zupełnie odwrócił moją uwagę od oskarżeń pana Huntera.

- Duncan! - Uniosłam się na krzesło; pozostali biesiadnicy spojrzeli na mnie z ciekawością.

Na tarasie wybuchło zamieszanie. Za otwartymi drzwiami do ogrodu przemykały jakieś cienie, słychać było krzyki, klótnie i perswazje. Rozmowa przy stole ucichła, wszyscy próbowali zobaczyć, co się dzieje. Jamie odsunął krzesło, lecz nim zdążył się podnieść, w drzwiach pojawił się upiór.

Był to John Quincy Myers, człowiek z gór. Jego postać szczerze wypełniała podwójne odrzwia od góry do dołu i od prawej strony do lewej. Miał na sobie ten sam olśniewający strój, w którym spotkałam go po raz pierwszy. Opierając się ciężko o framugę, badawczo przyglądał się zgromadzeniu przekrwionymi oczami. Twarz miał zaczerwienioną, oddech chrapliwy, a w ręce trzymał butelkę.

Na mój widok jego spojrzenie rozświetliło się, a na twarz wypełził przerażający grymas satysfakcji.

- Tu pani jess - oświadczył tonem wyrażającym głębokie zadowolenie. - Tak mmówił. Duncan mmmie nie chchsział szszłuchaśś. Mmówiłemm, pani Clairre k - kazała mi sze uupicz, zaanim mmie p - potnie. I jesztem p - pijany. Z - zalany... - Przerwał, chwiejąc się niebezpiecznie, i uniósł butelkę. - Jak skunks! - zakończył triumfalnie. Postąpił o krok do przodu i zwałił się jak kłoda, prosto na twarz.

Teraz z kolei w drzwiach stanął Duncan. Wyglądał okropnie: koszulę miał podartą, kurtka zwisała mu z ramienia, a pod okiem zaczynał się formować wielki siniec. Spojrzał na rozciągniętą u swoich stóp postać, a potem skierował przepaszające spojrzenie na Jamiego.

- Staralem się go powstrzymać, Mac Dubh.

Wysunęłam się z za stołu i dotarłam do ciała równocześnie z Jamiem. Za nim nadciągnęła gromada zaintrygowanych gości. Jamie spojrział na mnie z uniesionymi brwiami.

- No tak, mówiłaś, że ma być nieprzytomny - zauważył.

Odwrócił trapera na plecy i odciągnął do góry

powiekę, odsłaniając białko oka. - Powiedziałbym, że wyszło mu to całkiem nieźle.

- Tak, ale nie chodziło mi o to, żeby się upił do nieprzytomności!

- Przykucnęłam przy Myersie i odnalazłam tętnicę szyjną. Puls był wyraźny i silny. Ale... - Alkohol wcale nie jest dobrym środkiem znieczulającym - pokręciłam głową. - To trucizna, osłabia centralny system nerwowy. Połączenie szoku spowodowanego zabiegiem z zatruciem alkoholowym może być śmiertelne.

- To nie byłaby duża strata - zauważył któryś z gości, ale ta uszczypliwa uwaga spotkała się z falą pełnych dezaprobaty posykiwań.

- Szkoda, że zmarnowało się tyle brandy - powiedział ktoś inny, wywołując ogólny wybuch śmiechu. To był Philip Wylie, jego upudrowana, złośliwie uśmiechnięta twarz zamajaczyła ponad ramieniem Jamiego. - Wiele słyszeliśmy o pani umiejętnościach, pani Fraser. Ma pani teraz szansę wykazać się przed licznymi świadkami! - Wdzięcznym gestem dłoni wskazał na tłum otaczających nas gości.

- Och, odczep się - warknęłam.

- Słyszeliście? - wymamrotał ktoś za moimi plecami z wyraźnym podziwem. Wylie zamrugał powiekami, ale uśmiechnął się jeszcze szerzej.

- Pani życzenie jest dla mnie rozkazem, ma'am - zaszemrał i schował się w tłumie.

Podniosłam się, walcząc z wątpliwościami. To mogłoby się udać.

Technicznie zabieg nie był trudny i nie powinien

zająć więcej niż kilka minut, o ile obędzie się bez komplikacji. Konieczne było niewielkie nacięcie, bym mogła dostać się do otrzewnej, a to z kolei niosło ryzyko infekcji.

Z drugiej strony okoliczności były bardzo sprzyjające - mnóstwo alkoholu do dezynfekcji i chętnych pomocników. Nie miałam dostępu do żadnych innych środków znieczulających, a w żadnym razie nie mogłam przeprowadzić takiego zabiegu na przytomnym pacjencie. A co było najważniejsze, Myers sam mnie o to prosił.

Spojrzałam na Jamiego, szukając u niego rady. Natychmiast zrozumiał moje spojrzenie. No cóż, do diabła, sam przecież życzył sobie czegoś, co odwróci od niego uwagę gości.

- Najlepiej byłoby to zrobić, Angielko. - Rzucił okiem na bezwładne ciało. - Może mu nie wystarczy odwagi albo pieniędzy, żeby się tak upić jeszcze raz.

Pochyliłam się i znów sprawdziłam puls - był mocny i rytmiczny jak u konia pociągowego.

Pomiędzy zaciekawionymi twarzami wychylającymi się zza ramion MacNeilla pojawiła się dostojna głowa Jokasty.

- Zanieście go do salonu - powiedziała krótko i wycofała się.

Decyzja została podjęta.

Obmywając ręce octem przyniesionym z kuchni, pomyślałam, że zdarzało mi się już operować w dziwnych warunkach, ale żadne nie były dziwniejsze niż te. Myers, z obnażoną dolną połową ciała, leżał ułożony gustownie na mahoniowym stole, nieruchomy jak pieczony bażant i

niemal tak samo dekoracyjny. Zamiast półmiska miał pod sobą końską derkę. Pikowana koszula w jaskrawych kolorach i naszyjnik z pazurów niedźwiedzia wysuwały się na pierwszy plan kompozycji, dodatkową dekorację zaś stanowiły gęsto porozkładane po obrzeżach derki buteleczki, kawałki płótna i bandaże.

Nie było czasu, bym mogła się przebrać, narzuciłam tylko na suknię skórzany rzeźniczy fartuch z wędzarni, a Fedra upięła długie, falbaniaste rękawy, odsłaniając moje przedramiona. Przyniesiono dodatkowe świece: na komodzie stanął lichtarz, a nad moją głową jarzył się kandelabr. Woń pszczelego wosku nie mogła jednak zagłuszyć zapachu Myersa. Bez wahania sięgnęłam po karafkę i chlusnęłam brandy o wartości kilku szylingów na pokryte ciemnymi, kędzierzawymi włosami krocze.

- To dość kosztowna metoda tępienia wszy - zauważył ktoś krytycznie za moimi plecami, obserwując pospieszoną ewakuację insektów przed powodzią.

- Przynajmniej umrą szczęśliwie. - To był głos Iana. - Ciociu, przyniosłem ci skrzynkę. - Postawił otwarte pudło lekarskie przy moim łokciu. Sięgnęłam po cenną niebieską buteleczkę z destylowanym spirytusem i nad misą polałam nim skalpel o prostym ostrzu, jednocześnie szukając wzrokiem wśród widzów odpowiednich asystentów. Ochotników nie brakowało, publiczność dławiała się od tłumionego śmiechu i wypowiedzianych cicho komentarzy. Kolacja poszła w zapomnienie.

Z kuchni przywołano dwóch krzepkich stangretów, by trzymali pacjenta za nogi. Andrew MacNeill i Farquard Campbell zaoferowali się do trzymania ramion. Ian stanął

przy moim boku z dużym lichtarzem, a Jamie objął stanowisko głównego anestezjologa i zajął pozycję przy głowie Myersa ze szklanką whisky przytkniętą do zwiotczałych, chrapiących ust.

Sprawdziłam, czy mam pod ręką wszystkie narzędzia i igły do zszycia rany, wzięłam głęboki oddech i skinęłam na towarzyszy broni.

- Do dzieła.

Penis Myersa, speszony tak wielkim zainteresowaniem, wykonał odwrót i nieśmiało wyglądał z zarostu. Uniesiono i rozsunięto długie nogi pacjenta, po czym Ulisses delikatnie odsunął worek mosznowy i przepuklina ukazała się w całej okazałości: gładkie wyrzucenie wielkości kurzego jaja pod purpurową od ucisku skórą pachwiny.

- Chryste Panie! - wykrzyknął jeden ze stangretów, wytrzeszczając oczy. - On naprawdę ma trzy jaja!

Od strony publiczności rozległy się westchnienia i chichoty, ale byłam zbyt zajęta, by prostować nieporozumienia. Przetarłam krocze spirytusem, zanurzyłam w nim również skalpel, kilkakrotnie przesunęłam ostrze w jedną i w drugą stronę nad płomieniem świecy i szybko wykonałam cięcie. Nie było duże ani głębokie, tylko tyle, by rozsunąć skórę i dostrzec pod warstwą mięśnia połyskującą, różowoszarą pętlę jelita. Cienka strużka ciemnej krwi spłynęła na derkę.

Powiększyłam nacięcie, zanurzyłam dłoń w misie ze spirytusem, wsunęłam dwa palce w otwór i delikatnie wepchnęłam jelito do środka. Myers rzucił się konwulsyjnie, omal mnie nie przewracając, po czym

rozluźnił się równie gwałtownie. Wyprężył się jeszcze raz, unosząc pośladki z taką siłą, że moim asystentom z trudem udało się utrzymać jego nogi.

- Budzi się! - krzyknęłam do Jamiego ponad wrzawą. - Daj mu jeszcze, szybko! - Wszelkie moje wątpliwości dotyczące alkoholu jako środka znieczulającego potwierdzały się, ale było już za późno na zmianę decyzji.

Jamie przytrzymał trapera za szczękę, siłą otworzył mu usta i wlał do środka whisky. Myers krztusił się, parskał i wydawał dźwięki niczym tonący bawół, ale część alkoholu spłynęła mu do gardła i jego ciało znów się odprężyło. Mamrocąc coś niewyraźnie, zapadł w bezruch i po chwili zaczął chrapać.

Udało mi się utrzymać palce w ranie. Krwawiła mocniej, niż mogłabym sobie tego życzyć, ale na szczęście wpuklające się jelito nie opadło pod wpływem tej szamotaniny. Sięgnęłam po czysty kawałek płótna nasączony brandy i przetałam rozcięcie: teraz widziałam tkankę mięśnia, a także, choć Myers był wychudzony, cienką warstewkę żółtego tłuszczu pod skórą, wyraźnie odróżniającego się od ciemnoczerwonych włókien pod spodem.

Czułam poruszenia jego wnętrzości przy każdym oddechu.

Ciemne, wilgotne ciepło ciała otaczało moje nieosłonięte palce w tym dziwnym, jednostronnym akcie intymności, który znany jest wszystkim chirurgom. Przymknęłam oczy, odcinając się od napięcia i wyczekującego tłumu. Oddychałam powoli, zestrajając swój

oddech z odgłosem chrapania. Ponad wonią brandy i zapachami jedzenia, od których zbierało mi się na mdłości, czułam ziemiste zapachy jego ciała: zastarzałego potu, pokrytej brudem skóry, moczu i metaliczną woń krwi. Dla kogoś innego te zapachy byłyby odrażające, ale nie dla mnie, nie teraz.

To było ciało. Ani dobre, ani złe, po prostu ciało. Teraz już je znałam, należało do mnie. Wszyscy oni należeli do mnie: nieświadome ciało w moich rękach ze wszystkimi swoimi sekretami stojącymi przede mną otworem, a także mężczyźni, którzy je trzymali, nie spuszczać ze mnie wzroku. Nie zawsze się to zdarzało, ale gdy już się zdarzało, wrażenie było niezapomniane: synteza umysłów w jeden wspólny organizm. A ja kontrolowałam ten organizm, stawałam się jego częścią, zatracając siebie.

Czas się zatrzymał. Byłam przejmująco świadoma każdego ruchu, każdego oddechu, każdego pociągnięcia katgutem przy zamykaniu pierścienia przepuklinowego, ale moje dłonie nie należały do mnie.

Czystym, donośnym głosem wydawałam polecenia, które natychmiast wykonywano, a chłodny obserwator w moim umyśle z zainteresowaniem przyglądał się postępowi operacji.

A potem było już po wszystkim i czas znów ruszył. Cofnęłam się o krok i zerwałam więź, nieco oszołomiona nagłym poczuciem osamotnienia.

- Gotowe - powiedziałam i widzowie wybuchnęli głośnym aplauzem. Nadal odurzona - czyżby upojenie alkoholowe Myersa przeszło na mnie drogą osmozy? - obróciłam się na pięcie i elegancko dygnęłam przed gośćmi.

W godzinę później, po tuzinie toastów na moją cześć, byłam już naprawdę pijana. Udało mi się wymknąć na chwilę z bawialni pod pretekstem sprawdzenia stanu pacjenta. Zataczając się, wspierałam się po schodach do pokoju gościnnego, gdzie go położono. Przystanąłam na galerii, kurczowo ściskając poręcz. Z dołu dochodził gwar rozmów i śmiechu, przyjęcie wciąż, było w rozkwicie, grupki gości rozproszyły się w westybulu i w salonie. Z góry przypominało to plaster miodu: głowy w nastroszonych perukach i bombiaste suknie przeskakiwały we wszystkie strony na tle sześciokątnych płytek posadzki, brzęcząc pracowicie nad szklankami pełnymi nektaru w postaci portera i brandy.

Przeszło mi przez zamroczoną głowę, że Jamie nie mógłby sobie życzyć niczego lepszego do odwrócenia uwagi. Cokolwiek miało się wydarzyć, udało się temu zapobiec. Ale na jak długo, i cóż takiego miało się wydarzyć? Potrząsnęłam głową, bezskutecznie próbując rozjaśnić umysł, i zjrzałam do mojego pacjenta.

Nadal pogrążony był w błogim śnie. Bawełniane zasłony przy łóżku drżały od jego powolnego oddechu. Niewolnica Betty skinęła mi głową z uśmiechem.

- Wszystko w porządku, pani Claire - szepnęła. - Nawet wystrzał z pistoletu by go nie obudził.

Nie potrzebowałam sprawdzać pulsu, głowę miał obróconą na bok i widziałam wyraźnie pulsującą wielką tętnicę na szyi. Dotknęłam go: skórę miał chłodną i wilgotną, bez żadnych oznak gorączki czy szoku. Cała jego olbrzymia postać emanowała spokojem i dobrym samopoczuciem.

- Jak on się czuje? - usłyszałam nagle. Byłam na tyle pijana, że zamiast się przestraszyć, tylko obróciłam się chwiejnie. Tuż za moimi plecami stał Jamie.

- Dobrze - odparłam. - Nawet kula armatnia nie byłaby go w stanie zabić. Jest niezniszczalny, tak samo jak ty. - Oparłam się o niego, obejmując go w pasie i przyciskając rozpaloną twarz do chłodnej koszuli. Pocałował mnie w czubek głowy i przyglądał kilka kosmyków, które podczas operacji wymknęły się spod wstążki.

- Dobrze się sprawiłaś, Angielko - szepnął. - Barrrdzo dobrze, moja piękna. - Pachniał winem, woskiem, ziołami i szkocką wełną.

Przesunęłam ręce niżej, na zaokrąglone pośladki, gładkie i nagie pod kiltem. Poruszył się nieznacznie, przyciskając uda do moich. - Musimy porozmawiać. Świeże powietrze dobrze ci zrobi. Czy możesz go teraz zostawić?

Spojrzałam na chrapiącą zawartość łóżka.

- Tak, o ile Betty zostanie przy nim i będzie pilnować, by nie zadławił się wymiotami przez sen. - Spojrzałam na niewolnicę.

Wydawała się zaskoczona, że o coś proszę, ale gorliwie pokiwała głową.

- Spotkajmy się przy grządce z ziołami. Postaraj się nie spaść ze schodów i nie złamać karku, co? - Uniósł mój podbródek, pocałował mnie szybko i mocno i zostawił oszołomioną, jednocześnie trzeźwiejszą i bardziej pijaną niż przedtem.

13. Rachunek sumienia

Coś ciemnego wylądowało na ścieżce przed nami z

miękkim plaśnięciem. Zatrzymałam się, wystraszona, i pochwyciłam Jamiego za ramię.

- Żaba - powiedział spokojnie. - Słyszysz, jak śpiewają?

Ja osobiście nie nazwałabym chóru pomruków i rechotów dochodzącego z nadbrzeżnych trzciny śpiewem, Jamie jednak otwarcie przyznawał, że słoń nadepnął mu na ucho.

Wysunął stopę i czubkiem buta trącił ciemny, pękaty kształt.

- Rech rech rech, kum kum kum - powtórzył. - Rech rech rech, kum kum! - Żaba, podskakując, znikła w wilgotnych zaroślach obok ścieżki.

- Zawsze wiedziałam, że masz dar do języków - stwierdziłam z rozbawieniem. - Ale nie miałam pojęcia, że znasz żabi.

- Cóż, nie mówię nim płynnie - odrzekł skromnie. - Ale przyznaję, że mam dobry akcent.

Roześmiałam się, a on uścisnął moją dłoń. Żart rozbłysnął i zgasł, nie wystarczył jednak, by podtrzymać rozmowę. Szliśmy dalej, fizycznie blisko siebie, ale myślami oddaleni o całe kilometry.

Powinnam czuć się wyczerpana, lecz w moich żyłach wciąż krążyła adrenalina. Czułam uniesienie, jak zwykle po udanej operacji, a do tego alkohol wciąż szumił mi w głowie. To wszystko sprawiło, że chwiałam się nieco na nogach, a jednocześnie miałam wyostrzoną świadomość i wszystkie zmysły.

W cieniu pod drzewami, w pobliżu pomostu, stała ozdobna ławka, do której poprowadził mnie Jamie. Opadł na

marmurowe siedzenie i westchnął głęboko, dając mi do zrozumienia, że nie tylko dla mnie ten wieczór był pełen emocji.

Zanim usiadłam, rozejrzałam się ostentacyjnie.

- Jesteśmy sami, nikt na nas nie patrzy. Może wyjaśnisz mi wreszcie, co tu się do diabła dzieje?

- No tak. - Wyprostował się i przeciągnął. - Powinienem ci powiedzieć wcześniej, ale nie spodziewałem się, że ona może coś takiego zrobić. - W ciemnościach odnalazł moją dłoń. - Mówiłem ci już, nie chodzi o nic złego. Ale kiedy Ulisses przyniósł mi pled i broszę, powiedział, że Jokasta chce podczas kolacji ogłosić, że zamierza uczynić mnie dziedzicem... tego. - Szerokim gestem ogarnął dom, otaczające go pola i całą resztę: przystań nad rzeką, sad, ogrody, stajnie, niekończące się akry sosnowego lasu, tartak, destylarnię - a także czterdziestu niewolników, którzy przy tym wszystkim pracowali.

Ujrzałam oczami wyobraźni scenę, którą obmyśliła sobie Jokasta: Jamie u szczytu stołu, ubrany w tartan Hektora Camerona, z jego sztyletem i broszą - na broszy wygrawerowane wymowne wezwanie klanu Cameronów: „Jedność!” - a dokoła starzy znajomi i towarzysze Hektora, chętni, by powitać w swym gronie jego młodego krewniaka.

Gdyby Jokaście udało się oznajmić swoją decyzję, całe to towarzystwo wiernych Szkotów, dobrze naoliwionych doskonałą whisky świętej pamięci Hektora, z miejsca uznałoby Jamiego za pana na River Run, namaściło go sadłem dzika i ukoronowało woskowymi świecami. Taki plan mógł powstać tylko w głowie osoby z rodu

MacKenziech: beczelnie śmiały, pełen dramatyzmu i zupełnie pomijający pragnienia samych zainteresowanych. Jamie jak zwykle precyzyjnie odczytał moje myśli.

- Gdyby to zrobiła, bardzo trudno byłoby mi odrzucić ten zaszczyt.

- To prawda.

Poderwał się na nogi, zbyt niespokojny, by usiedzieć w miejscu, i w milczeniu wyciągnął do mnie rękę. Wstałam i ruszyliśmy przed siebie ścieżką prowadzącą do sadu, okrążającą francuski ogród. Zdjęto już lampiony porozwieszane na drzewach przed przyjęciem, by oszczędzić świece na następną okazję.

- Dlaczego Ulisses cię o tym uprzedził? - zastanawiałam się na głos.

- Sama sobie odpowiedz na to pytanie, Angielko. Kto jest teraz panem na River Run?

- Och? - zdziwiłam się i po chwili powtórzyłam: - Och!

- Ano właśnie - mruknął. - Moja ciotka nie widzi; kto prowadzi rachunki i zarządza domem? Ona decyduje, co należy zrobić - ale skąd może wiedzieć, czy rzeczywiście to jest zrobione? Kto jej o wszystkim opowiada, czyjemu osądowi przede wszystkim ufa?

- Rozumiem. - Z namysłem wpatrzyłam się w ziemię. - Ale nie sądzisz chyba, że on fałszuje rachunki albo dopuszcza się jakichś innych oszustw? - Miałam nadzieję, że tak nie jest. Bardzo polubiłam lokaja Jokasty i wydawało mi się, że w ich wzajemnej relacji dostrzegam sympatię i szacunek. Nie podobała mi się myśl, że Ulisses mógłby ją oszukiwać z zimną krwią.

Jamie pokręcił głową.

- Nie. Przejrzałem rejestry i księgi. Wszystko jest w najlepszym porządku. Jestem pewien, że to uczciwy człowiek i wierny służący, ale musiałby być zupełnie pozbawiony ludzkich uczuć, by z radością oddać to miejsce obcemu. Moja ciotka może być ślepa, jednak jej Murzyn widzi wszystko doskonale. Nie próbował mnie powstrzymać ani niczego perswadować, powiedział tylko, co ciotka zamierza, i pozostawił mi decyzję o tym, co ja sam powinienem zrobić. Lub czego nie zrobić.

- Czy sądzisz, że on wiedział, że ty nie... - Urwałam, bo sama nie byłam pewna, czy Jamie rzeczywiście tego by nie zrobił. Duma, ostrożność lub też jedno i drugie naraz mogły mu podpowiadać, że plan Jokasty należy zdusić w zarodku, ale to jeszcze nie oznaczało, że był zdecydowany odrzucić jej ofertę.

Gdy nie odpowiedział, poczułam na plecach zimny dreszcz.

Ujęłam go pod ramię, szukając oparcia w dotyku jego mocnego ciała, i szliśmy dalej.

Lipiec dobiegał końca. Z sadów dochodził słodki zapach dojrzewających owoców, tak intensywny, że niemal czułam w ustach cierpki smak jabłek. Pomyślałam o kuszeniu w raju i o robaku ukrytym pod lśniącą skórką.

Nie tylko dla niego była to pokusa, dla mnie również. Dla niego była to szansa, by w końcu stać się tym, do czego został stworzony i czego odmówił mu los. Wychowano go na zarządcę dużej posiadłości, opiekuna zamieszkujących ją ludzi, na człowieka wpływowego i szanowanego przez równych sobie. Jego życiowym

zadaniem było odrodzenie klanu i rodziny. „Ja już jestem częścią tego” - powiedział.

Wiedziała, że nie dba o bogactwa, nie sądziła również, by pożądał władzy. Gdyby tak było, to wiedząc to, co powiedziała mu o przyszłości, wołałby pojechać na północ i poszukać sobie miejsca wśród ojców narodu.

Kiedyś już był przywódcą. Niewiele mi opowiadał o latach spędzonych w więzieniu, ale coś, co powiedział o swoich towarzyszach niedoli, dźwięczało mi w pamięci. „Oni należeli do mnie - powiedział. - I to mnie utrzymało przy życiu”. Pamiętałam też, co Ian napisał o Simonie Fraserze: „Troska o żołnierzy jest teraz jedynym uczuciem, jakie łączy go jeszcze z ludzkością”.

Tak, Jamie potrzebował ludzi. Ludzi, którym mógłby przewodzić, o których mógłby się troszczyć, których mógłby bronić i razem z którymi mógłby walczyć. Ale nie potrzebował ludzi po to, by ich posiadać.

Wciąż w milczeniu, minęliśmy sad i szliśmy teraz ścieżką po obu stronach obrzeżoną ziołami, wśród zapachów lilii i lawendy, zawilców i róż, tak intensywnych, że idąc przez rozgrzane, duszne powietrze, miałam wrażenie, jakbym leżała na łożu wyścielonym płatkami kwiatów. Tak, River Run było ogrodem ziemskich rozkoszy - ja jednak nazywałam czarnego mężczyznę swoim przyjacielem i pozostawiłam pod jego opieką swoją córkę.

Myśli o Joem Abernathym oraz Briannie wywoływały we mnie wrażenie, jakbym widziała podwójnie albo istniała w dwóch miejscach naraz. Widziałam ich twarze oczami duszy, wyraźnie słyszałam ich głosy, a jednak moją rzeczywistością był mężczyzna w kilcie idący

obok mnie, pogrążony w niespokojnych myślach.

Moją pokusą był Jamie. Błahostki takie jak miękkie łóżka, wspaniałe pokoje, jedwabne suknie czy pozycja społeczna nie miały żadnego znaczenia. Jamie.

Jeśli nie przyjmie oferty Jokasty, będzie musiał zająć się czymś innym.

A tym „czymś innym” niewątpliwie była kusząca oferta Williama Tryona.

W pewien sposób była to lepsza perspektywa od hojnej propozycji Jokasty; to, co mógłby zbudować, należałoby tylko do niego, byłoby dziedzictwem, jakie chciał pozostawić Briannie. O ile będzie żył wystarczająco długo, by to zbudować.

Wciąż jeszcze prowadziłam podwójne życie. W jednym słyszałam szelest kiltu Jamiego ocierającego się o moją suknię, czułam wilgotne ciepło jego ciała, cieplejszego niż rozgrzane powietrze. Czułam jego piżmową woń, która sprawiała, że miałam ochotę wyrwać go z rozmyślań, wepchnąć w krzaki, rozpiąć pas i ściągnąć pled z ramion, zdjąć swój gorset i przycisnąć piersi do jego ciała, pociągnąć go na ziemię, w wilgotną zieleń, i zmusić, by zaczął myśleć o tym co ja. Ale jednocześnie czułam zapach cisów i wiatru wiejącego od morza, a moje palce dotykały nie ciepłego mężczyzny, lecz zimnego, gładkiego granitu nagrobka, na którym wyryte było jego nazwisko.

Obydwoje milczeliśmy. Zatoczyliśmy już pełny krąg i wróciliśmy nad rzekę. Szare kamienne schodki prowadziły w dół i znikwały pod falującą powierzchnią. Nawet tutaj, tak wysoko w górę rzeki, pojawiały się jeszcze ślady przypływów i odpływów.

Przy pomoście stała mała, wiosłowa łódka, w sam raz do samotnego wędkowania albo na małą wycieczkę.

- Masz ochotę popływać? - zapytał Jamie. Widocznie, podobnie jak i ja, odczuwał pragnienie, by znaleźć się jak najdalej od domu i Jokasty i pomyśleć spokojnie.

Zeszłam na dół, wspierając się na jego ramieniu, ale nim zdążyłam wsiąść do łódki, odwrócił się i pocałował mnie, a potem mocno przytulił, opierając brodę na mojej głowie.

- Nie wiem - powiedział cicho, odpowiadając na moje niewypowiedziane pytanie. Wszedł do łódki i podał mi rękę.

Gdy wypływaliśmy na środek rzeki, nie wyrzekł ani słowa. Noc była ciemna i bezksiężycowa, ale gdy już oczy przyzwyczyły się do połyskliwego falowania i cieni drzew, można było coś zobaczyć w świetle gwiazd odbitym od powierzchni wody.

- Nic nie powiesz? - zapytał w końcu,

- To nie ja mam podjąć decyzję - odrzekłam, czując ucisk w piersiach.

- Nie?

- To twoja ciotka i twoje życie. To musi być twój wybór.

- A ty będziesz tylko widzem, tak? - prychnął, wiosłując pod prąd. - A czy to nie jest i twoje życie? A może jednak nie zamierzasz ze mną zostać?

- Co chcesz przez to powiedzieć? - zapytałam ze zdumieniem.

- Może to dla ciebie za wiele. - Głowę miał

pochyloną nad wiosłami i nie mogłam dostrzec wyrazu jego twarzy.

- Jeśli mówisz o tym, co się stało w tartaku...

- Nie, nie o tym. - Wyprostował się i rzucił mi krzywy uśmiech. - Potrafisz znieść śmierć i nieszczęście, Angielko. Ale małe rzeczy, dzień po dniu... Widzę, jak się wzdrygasz, gdy czarna służąca czesze ci włosy albo kiedy chłopak zabiera twoje buty do wyczyszczenia. A ci niewolnicy przy terpentynie? To cię martwi, tak?

- To prawda. Ja nie... ja nie mogę mieć niewolników. Mówiłam ci...

- Tak, mówiłaś. - Na chwilę przestał wiosłować. Odsunął z czoła kosmyk włosów i napotkał mój wzrok. - A jeśli zdecyduję się to zrobić, Angielko... czy mogłabyś zostać ze mną, patrzeć na to i nie robić nic... bo nic się nie da z tym zrobić, dopóki moja ciotka żyje. A możliwe, że również i później.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

- Ona nie wyzwoli niewolników - jak mogłaby to zrobić? Ja również nie mógłbym tego uczynić za jej życia.

- Ale gdy już odziedziczysz plantację... - Zawahałam się.

Pomijając już fakt, że rozmowa na temat śmierci Jokasty była dość makabryczna, należało wziąć pod uwagę, że raczej nie nastąpi to w bliskiej przyszłości. Jokasta miała niewiele ponad sześćdziesiątkę i poza tym, że nie widziała, cieszyła się doskonałym zdrowiem.

Naraz zrozumiałam, co Jamie miał na myśli: czy byłabym w stanie żyć, dzień po dniu, miesiąc po miesiącu i rok po roku, jako właścicielka niewolników? Nie mogłabym

już udawać przed sobą, że tak nie jest, że jestem w tym domu tylko gościem, obcą osobą.

Przygryzłam wargi.

- A poza tym - mówił Jamie, odpowiadając na mój połowiczny argument - czy wiesz o tym, że właściciel niewolników nie może ich wyzwolić bez pisemnej zgody Zgromadzenia?

- Co? - Wpatrzyłam się w niego bezmyślnie. - Dlaczego nie może?

- Właściciele plantacji obawiają się zbrojnego powstania Murzynów. Dziwisz im się? - zapytał ironicznie.

- Niewolnicy mają zakaz noszenia broni, z wyjątkiem narzędzi takich jak noże do korowania drzew, a prawo przelewu krwi zapobiega ich użyciu. - Pokręcił głową. - Zgromadzenie nigdy nie pozwoli, żeby duże grupy wyzwolenców włóczyły się po kraju. Nawet jeśli ktoś chce wyzwolić jednego niewolnika i uzyskać na to pisemną zgodę, to wyzwoleniec musi opuścić kolonię w krótkim czasie - w przeciwnym razie każdy, kto zechce, może go pochwycić i znów zniewolić.

- Myślałeś o tym wcześniej - powiedziałam powoli.

- A ty nie?

Nie odpowiedziałam. Zanurzyłam rękę w wodzie i wpatrzyłam się w falę tworzącą się wokół nadgarstka. Nie, nie myślałam o tym, nie w taki sposób, nie chciałam świadomie stawać przed tym wyborem.

- Sądzę, że to byłaby dla ciebie wielka szansa. - Mój własny głos brzmiał nienaturalnie. - Byłbyś za wszystko odpowiedzialny...

- Moja ciotka nie jest głupia - przerwał mi napiętym

głosem. - Może mnie uczynić dziedzicem, ale nie właścicielem tego miejsca.

Będzie mnie używać do zrobienia tego, czego sama nie może zrobić, ale pozostanę tylko marionetką w jej rękach. Oczywiście będzie zasięgać mojej opinii i słuchać, co mam do powiedzenia, ale nie pozwoli mi uczynić nic, czego sama by sobie nie życzyła. - Pokręcił głową. - Jej mąż nie żyje. Bez względu na to, jakie uczucia do niego żywiła, teraz to ona jest panią tego miejsca. Za bardzo lubi władzę, by łatwo się jej wyrzec.

Miał zupełną rację w ocenie charakteru Jokasty Cameron, a właśnie z tego charakteru wywodził się jej plan. Jokasta potrzebowała mężczyzny, który poszedłby tam, gdzie ona pójść nie mogła, który prowadziłby interesy z marynarką i zajmował się rozlicznymi obowiązkami na terenie wielkiej posiadłości, których ona, ze względu na ślepotę, nie mogła wypełniać.

A jednocześnie wyraźnie nie chciała męża, kogoś, kto ograniczałby jej władzę i próbował decydować za nią. Gdyby Ulisses nie był niewolnikiem, występowałby w jej imieniu - ale choć mógł jej zastąpić oczy i uszy, nie mógł stać się jej dłońmi.

Jamie był idealnym kandydatem: silny, kompetentny mężczyzna, cieszący się szacunkiem równych sobie i narzucający posłuszeństwo podwładnym. Potrafił zarządzać ziemią i ludźmi, a do tego był związany z nią pokrewieństwem. Miałby u niej dług wdzięczności i musiałby wypełniać jej rozkazy, ale w gruncie rzeczy byłby bezsilny.

Stałby się niewolnikiem uzależnionym od jej

szczodrości, przekupionym obietnicą River Run. Jokasta Cameron zaciągnęłaby u niego dług, którego nie musiałaby spłacać aż do chwili, gdy znajdzie się poza zasięgiem ziemskich trosk.

Szukałam odpowiednich słów, czując, jak w gardle rośnie mi coraz większa kula. Nie potrafiłabym, pomyślałam. Nie mogłabym tego znieść. Ale to drugie wyjście było równie przerażające: nie mogłam namawiać Jamiego, by odrzucił propozycję Jokasty, wiedząc, że wówczas musiałby pojechać do Szkocji, gdzie czekała na niego śmierć.

- Nie potrafię ci powiedzieć, co powinieneś zrobić - wykrztusiłam w końcu głosem ledwie słyszalnym pośród uderzeń wiosł o powierzchnię wody.

Przed nami widniało rozlewisko utworzone w miejscu, gdzie wielkie drzewo runęło do rzeki, zatrzymując na swych gałęziach wszelkie śmiecie płynące z nurtem. Jamie skierował łódkę w tę stronę i wyprowadził ją na spokojną toń. Puścił wiosła i dysząc ciężko z wysiłku, otarł rękawem czoło.

Otaczała nas spokojna noc, w której słyhać było tylko plusk fal i od czasu do czasu skrobanie jakiejś zatopionej w wodzie gałęzi o dno łódki. W końcu Jamie wyciągnął rękę i dotknął mojego policzka.

- Twoja twarz jest moim sercem, Angielko - powiedział cicho - a miłość do ciebie jest moją duszą. Ale masz rację: nie możesz być moim sumieniem.

Mimo wszystko zrobiło mi się lżej na duchu, jakby ktoś zdjął mi kamień z serca.

- Bardzo się cieszę - rzekłam impulsywnie - bo to

byłby dla mnie wielki ciężar.

- Doprawdy? - Wydawał się nieco zdziwiony. - Uważasz, że jestem aż tak złym człowiekiem?

- Jesteś najlepszym człowiekiem, jakiego kiedykolwiek spotkałam. Miałam na myśli tylko to, że... bardzo ciężko jest żyć za dwoje. Próbowałam przekazać komuś swoje pojęcie o tym, co dobre... oczywiście robi się to dla dziecka, to konieczne, ale nawet wtedy jest to ogromnie trudne. Nie mogłabym robić tego dla ciebie... nie powinnam nawet próbować.

Był wyraźnie zaskoczony. Przez dłuższą chwilę siedział z twarzą odwróconą w bok.

- Czy naprawdę sądzisz, że jestem dobrym człowiekiem? - zapytał w końcu. W jego głosie brzmiała dziwna nuta, której nie potrafiłam rozszyfrować.

- Tak - odparłam bez wahania, po czym zapytałam na wpół żartem: - A nie jesteś?

Przez dłuższą chwilę milczał, a potem odpowiedział całkiem poważnie:

- Nie, nie wydaje mi się.

Patrzyłam na niego bez słowa, oszołomiona.

- Jestem brutalnym człowiekiem i dobrze o tym wiem - rzekł cicho. Rozpostarł na kolanach duże dłonie, które potrafiły władać mieczem i sztyletem, a także zdławić życie innego człowieka. - Ty też o tym wiesz, a w każdym razie powinnaś.

- Nigdy nie uczyniłeś niczego, czego nie musiałbyś uczynić!

- Nie?

- Tak sądzę - odrzekłam, ale w moim głosie słychać

było ton niepewności. Czy niektóre uczynki, nawet popełnione w obliczu najwyższej konieczności, nie pozostawiają śladu na duszy?

- Nie sądzisz, że jestem człowiekiem tego samego pokroju co, powiedzmy, Stephen Bonnet? On też mógłby powiedzieć, że działał z konieczności.

- Jeśli myślisz, że masz cokolwiek wspólnego ze Stephenem Bonnetem, to bardzo się mylisz - odpowiedziałam stanowczo.

Wzruszył ramionami ze zniecierpliwieniem i poruszył się niespokojnie na ławce.

- Jedyna różnica między Bonnetem a mną polega na tym, że ja mam poczucie honoru, a jemu tego brakuje. Cóż innego mogłoby mnie powstrzymać od złodziejstwa? Od okradania tych, których mógłbym okraść? Mam to we krwi - jeden z moich dziadków zbudował Leoch za złoto zrabowane na górskich przełęczach, a drugi zbił fortunę na ciałach kobiet, które brał siłą ze względu na ich dobra i tytuły.

Przeciągnął się, potężne ramiona odcinały się ciemnym zarysem od połyskującej wody. Nagle chwycił jedno z wiosł i rzucił je na dno łodzi z taką siłą, że podskoczyłam z wrażenia.

- Mam już ponad czterdzieści pięć lat! - zawołał. - Człowiek w tym wieku powinien już się ustatkować, nie? Powinien mieć dom, ziemię, która by go karmiła, i trochę pieniędzy odłożonych na stare lata! Co najmniej tyle. - Wziął głęboki oddech, biała koszula uniosła się na jego piersi. - A ja nie mam domu. Ani ziemi. Ani pieniędzy.

Ani zagrody, ani jednej grządki, ani krowy, ani

owcy, ani świni, ani kozy! Nie mam dachu nad głową, łóżka ani nawet nocnika, żeby się wysikać! - Uderzył pięścią w ławkę, aż zadrżała. - Nawet ubranie, które mam na sobie, nie jest moje!

Nastąpiło długie milczenie, w którym słychać było tylko granie świerszczy.

- Masz mnie - powiedziałam cicho. Nie było to zbyt wiele.

Usłyszałam dźwięk, który mógł być zarówno śmiechem, jak i szlochem.

- Tak, mam ciebie - rzekł. Głos drżał mu nieznacznie, choć nie potrafiłam określić, czy ze złości, czy z rozbawienia. - I to jest najgorsze, rozumiesz?

- Naprawdę?

Machnął ręką z głębokim zniecierpliwieniem.

- Gdybym był sam, jakie to wszystko miałoby znaczenie?

Mógłbym żyć tak jak Myers, w lasach, polując i łowiąc ryby, a na starość położyć się pod drzewem, umrzeć i pozwolić, by lisy obgryzły moje kości. Kogo by to obchodziło? - Gwałtownie wzruszył ramionami, jakby uwierała go za ciasna koszula. - Ale nie jestem sam.

Jesteś ty, jest Ian i Duncan, i Fergus, i Marsali - Boże, miej mnie w swojej opiece, muszę się troszczyć nawet o Laoghaire!

- Och, daj spokój - mruknęłam.

- Nie rozumiesz? - zapytał, bliski desperacji. - Gdybym mógł, rzuciłbym ci do stóp cały świat, Claire - a nie mogę ci dać niczego!

Naprawdę był przekonany, że to ma znaczenie.

Siedziałam, patrząc na niego i szukając odpowiednich słów. Był na wpół odwrócony ode mnie, ramiona miał przygarbione. W końcu ujęłam wielką, pokrytą odciskami dłoń i uklęknęłam na dnie łódki między jego kolanami. Oparłam głowę na jego piersi i poczułam, jak jego oddech rozwiewa mi włosy. Nie znalazłam właściwych słów, ale dokonałam wyboru.

- Gdziekolwiek pójdziesz - zacytowałam - z tobą pójdę, a gdziekolwiek mieszkać będziesz, z tobą mieszkać będę; lud twój lud mój, a Bóg twój Bóg mój. Gdzie umrzesz, tam i ja umrę, i tam pogrzebiona będę. (Księga Rut 1,16 - 17.) - Czy to będzie wzgórze w Szkocji, czy las na południu. - Rób, co musisz zrobić; ja będę przy tobie.

Pośrodku rzeki nurt był płytki i rwący. Tuż pod lśniącą powierzchnią wody widziałam głazy. Jamie również je zauważył i skierował łódkę w drugą stronę, a potem zatrzymał się na odpoczynek przy płaskim, żwirowym brzegu, w zakolu spokojnej wody otoczonym korzeniami wierzby płaczącej. Wychyliłam się z łódki, pochwyciłam gałąź i owinęłam wokół niej cumę.

Sądziłam, że wrócimy do River Run, ale ta wyprawa, oprócz rekreacyjnego, najwyraźniej miała jeszcze inny cel. Jamie znów skierował łódkę w górę rzeki, zmagając się z powolnym nurtem.

Siedziałam zatopiona w myślach, słuchając wytężonego oddechu Jamiego i zastanawiając się, jaka będzie jego decyzja. Jeśli postanowi tu zostać... no cóż, może nie będzie to aż tak trudne, jak się obawiał.

Doceniałam Jokastę Cameron, ale znałam również Jamiego. Swego czasu dwaj bracia MacKenzie, Colum i

Dougal, próbowali go nagiąć do swojej woli - i obydwaj ponieśli porażkę.

Z nagłym niepokojem przypomniałam sobie chwilę, gdy po raz ostatni widziałam Dougala MacKenziego. Bezgłośnie zlorzecząc, tonął we własnej krwi, z jego gardła sterczała rękojeść sztyletu Jamiego. „Jestem brutalnym człowiekiem - powiedział Jamie - wiesz o tym”.

Ale mimo wszystko mylił się, istniała zasadnicza różnica między nim a Stephenem Bonnetem, pomyślałam, patrząc na mięśnie jego ramion, napinające się z gracją nad wiosłami. Oprócz honoru Jamie miał jeszcze inne przymioty charakteru: dobroć, odwagę... i sumienie.

Zdałam sobie sprawę, dokąd zmierzamy, gdy skierował łódź w poprzek nurtu, w stronę ujścia szerokiego strumienia o brzegach porośniętych olchą. Nigdy jeszcze nie dotarłam tu wodą, ale Jokasta mówiła, że to niezbyt daleko. Nie byłam szczególnie zdziwiona; jeśli Jamie chciał tej nocy zmierzyć się ze swoimi demonami, było to bardzo odpowiednie miejsce.

Nieopodal ujścia strumienia majaczył ciemny, milczący zarys tartaku. Za nim widać było poświęte ze stojących w pobliżu chat niewolników. Otaczały nas zwykłe odgłosy nocy, ale pomimo szumu drzew, głosów żab i szmeru wody wydawało się, że panuje tu dziwna cisza. Choć było ciemno, wielki budynek wydawał się rzucać cień, byłam jednak przekonana, że to tylko moja wyobraźnia.

- Miejsca, w których w dzień panuje zgiełk, nocą zazwyczaj wyglądają złowieszczo - powiedziałam, by przerwać ciszę.

- Naprawdę? - odrzekł Jamie z roztargnieniem. - W

dzień to miejsce wcale nie podobało mi się bardziej.

Wzdrygnęłam się na to wspomnienie.

- Mnie też nie. Chciałam tylko powiedzieć, że...

- Byrnes nie żyje. - Nie patrzył na mnie, twarz miał zwróconą w stronę tartaku i w połowie zasłoniętą przez cień wierzby.

Z wrażenia wypuściłam koniec cumy.

- Nadzorca? Kiedy to się stało? I jak?

- Dzisiaj po południu. Najmłodszy chłopak Campbella przyniósł mi tę wiadomość tuż przed zachodem słońca.

- Jak? - powtórzyłam, miętosząc między palcami jedwab sukni.

- Szczękościsk - odrzekł spokojnie, bez dramatyzmu ani przygnębienia. - Bardzo nieprzyjemna śmierć.

Co do tego miał rację. Prawdę mówiąc, nigdy nie widziałam śmierci spowodowanej tężcem, ale dobrze wiedziałam, jakie są objawy: niepokój i trudności z przełykaniem oraz postępujące sztywnienie mięśni prowadzące do konwulsji ramion, nóg i karku.

Skurcze stają się coraz silniejsze i trwają coraz dłużej, aż w końcu ciało pacjenta staje się twarde jak drewno i wygina się w łuk. Ten stan pojawia się i mija, potem znów się pojawia i w końcu przechodzi w nieustający skurcz, od którego wybawić może tylko śmierć.

- Ronnie Campbell powiedział, że Byrnes umarł, szczerząc zęby w uśmiechu. Ale mimo wszystko jakoś mi się nie wydaje, by była to pogodna śmierć. - To był ponury żart, jednak w głosie Jamiego nie było humoru.

Choć noc była ciepła, czułam na plecach zimne

dreszcze.

- To nie jest szybka śmierć - zauważyłam i po moim umyśle rozpełzły się zimne macki podejrzliwości. - Na tęzec umiera się przez kilka dni.

- Byrnesowi zajęło to pięć dni. - Teraz już nawet nie próbował żartować.

- Widziałeś go - stwierdziłam i płomyk gniewu zaczął roztopiać mój wewnętrzny chłód. - Widziałeś go! I nic mi nie powiedziałaś?

Opatrzyłam rany Byrnese - wyglądały okropnie, ale nie zagrażały życiu - i powiedziano mi, że zostanie umieszczony w jakimś bezpiecznym miejscu, dopóki zamieszanie wokół linczu nie ucichnie.

Przybita całą tą sprawą, nie próbowałam się dowiadywać o dalsze losy ani samopoczucie nadzorcy. Czułam się winna z powodu tego zaniechania i dlatego wpadłam w złość. Zdawałam sobie z tego sprawę, ale to mi w niczym nie pomogło.

- A czy mogłabyś cokolwiek zrobić? Mówiłaś mi chyba, że na szczękościsk nic nie można poradzić nawet w twoich czasach. - Nie patrzył na mnie, na tle jaśniejszych liści widziałam ciemny kształt jego głowy zwróconej w stronę tartaku.

- Nie - odrzekłam z wysiłkiem. - Nie, nie mogłabym go uratować. Ale powinnam go była zobaczyć, może udałoby mi się przynieść mu ulgę.

Teraz na mnie spojrział. Widziałam, jak odwraca głowę, i poczułam poruszenie łódki.

- Udałoby ci się - zgodził się Jamie.

- A ty nie chciałeś, żeby... - urwałam.

Przypomniałam sobie jego tajemnicze zniknięcia w ostatnim tygodniu i wymijające odpowiedzi, gdy pytałam, gdzie się podziewał. Mogłam sobie wyobrazić tę scenę aż nazbyt dobrze: mały, duszny pokój na strychu domu Farquarda Campbella, gdzie opatrywałam rany Byrnesa.

Wymizerowana postać na łóżku, umierająca pod chłodnym spojrzeniem tych, których prawo, wbrew ich woli, uczyniło jego sprzymierzeńcami. Umierał ze świadomością ich pogardy. Znów poczułam chłód i moje ramiona pokryły się gęsią skórką.

- Nie, nie pozwoliłbym Campellowi posłać po ciebie - rzekł Jamie cicho. - Istnieje prawo, Angielko, ale istnieje też sprawiedliwość. Dobrze wiem, na czym polega różnica.

- Istnieje jeszcze coś takiego jak miłosierdzie. - Gdyby ktoś mnie o to zapytał, nazwałabym Jamiego Frasera miłosiernym człowiekiem, w każdym razie był nim kiedyś. A jednak lata, jakie minęły od tamtego czasu, nie były łatwe, a współczucie należało do tych uczuć, które łatwo jest zatracić pod wpływem okoliczności. Wciąż jednak miałam nadzieję, że nie zatracił dobroci; na myśl o tym, że mogło się tak stać, przenikał mnie dziwny ból. „Nie, nie wydaje mi się”. Czy mówił to zupełnie szczerze?

Łódka obróciła się wokół własnej osi i nisko zwisająca gałąź znalazła się teraz pomiędzy nami. Zza liści dobiegło mnie prychnięcie.

- Błogosławieni miłosierni, albowiem oni miłosierdzia dostąpią.

Byrnes nie był miłosierny, więc go nie dostąpił. A moim zdaniem, skoro Bóg sam pokazał, co o nim myśli, to

ja nie miałem prawa się wtrącać.

- Sądzisz, że to Bóg zesłał na niego tężec?

- Nie przychodzi mi do głowy nikt inny, kto mógłby coś takiego wymyślić. A poza tym - dodał z nieubłaganą logiką - od kogo innego można by oczekiwać sprawiedliwości?

Nie mogłam znaleźć właściwych słów. W końcu poddałam się i powróciłam do jedyne go argumentu, jaki miałam. Czułam się okropnie.

- Trzeba mi było powiedzieć. Nawet jeśli uważałeś, że w niczym mu nie pomogę, to nie ty powinienes decydować...

- Nie chciałem, żebyś tam szła. - Jego głos wciąż był cichy, lecz teraz pobrzmiwała w nim stalowa nuta.

- Wiem, że nie chciałeś! Ale to nie ma znaczenia, czy twoim zdaniem Byrnes zasłużył na cierpienie, czy też...

- Nie dla niego! - Łódka zakołysała się gwałtownie. Musiałam pochwycić za burty, żeby nie stracić równowagi. Jamie podniósł głos.

- Nic mnie nie obchodziło, czy Byrnes umiera lekką, czy ciężką śmiercią, jednak nie jestem potworem! Nie chciałem, żebyś tam szła, nie po to, żeby bardziej cierpiał, tylko żeby ciebie chronić.

Te słowa sprawiły mi ulgę, ale równocześnie zwiększyły złość.

- Nie ty powinienes o tym decydować. Skoro ja nie jestem twoim sumieniem, to ty też nie jesteś moim! - Gniewnie odsunęłam na bok wierzbowe witki, próbując dojrzeć jego twarz. Naraz spomiędzy liści wysunęła się ręka i pochwyciła mój przegub.

- Ale moim obowiązkiem jest dbać o twoje bezpieczeństwo!

Próbowałam wyszarpnąć się z uścisku, jednak trzymał mocno i nie zamierzał puścić.

- Nie jestem młodą dziewczyną, którą trzeba chronić, ani nie jestem całkiem głupia! Jeśli jest jakiś powód, bym czegoś nie robiła, to po prostu mi powiedz, a ja cię posłucham. Ale nie będziesz decydował, co mam robić i gdzie mogę chodzić, nie pytając mnie nawet o zdanie! Dobrze wiesz, że czegoś takiego nie zniosę!

Łódź znów się zachwiała i przy akompaniamencie głośnego szelestu głowa Jamiego wysunęła się spomiędzy wierzbowych gałązek. Jego oczy ciskały we mnie pioruny. Pod wpływem jego gwałtownych ruchów łódź znów się obróciła i wysunęła się spod zasłony gałęzi. Widziałam teraz całą jego postać, równie potężną jak zarys tartaku. Długi, prosty nos znajdował się o centymetr od mojego, zwężone oczy wydawały się niemal czarne. Patrząc w nie z tak bliska, poczułam drżenie.

Zamrugałam. On nawet nie drgnął.

Wysuwając się spomiędzy gałęzi, puścił moją rękę, a teraz pochwycił mnie za ramiona. Czułam przez ubranie ciepło jego uścisku. Dłonie miał wielkie i bardzo twarde. Naraz zdałam sobie sprawę, jak kruche są moje kości. „Jestem brutalnym człowiekiem”.

Kiedyś już zdarzyło się, że mną potrząsnął, i bardzo mi się to nie podobało. Na wypadek, gdyby teraz również zamierzał uczynić coś podobnego, wsunęłam stopę między jego nogi, gotowa uderzyć go kolanem we wrażliwe miejsce.

- Nie miałem racji - powiedział.

Przygotowana na akt przemocy zaczęłam już podnosić stopę, gdy dotarły do mnie jego słowa. Nim zdążyłam ją opuścić, zacisnął kolana, więżąc ją między swoimi udami.

- Powiedziałem, że nie miałem racji, Angielko - powtórzył ze zniecierpliwieniem. - Masz do mnie żal?

- Ach... nie - odrzekłam, oszołomiona. Spróbowałam wyswobodzić nogę, ale nie rozluźnił uścisku. - Czy nie zechciałbyś mnie puścić? - zapytałam grzecznie, wciąż z mocno dudniącym sercem.

- Nie, nie zechciałbym. Czy teraz mnie w końcu wysłuchasz?

- Chyba tak - odparłam równie grzecznie. - Zdaje się, że nie mam w tej chwili zbyt wiele do roboty.

Stałam na tyle blisko niego, że zauważyłam drgnięcie jego ust.

- Ta sprzeczka jest wyjątkowo głupia, wiesz o tym równie dobrze jak ja.

- Nie, nie wiem. - Złość już opadła, lecz nie zamierzałam puścić mu tego płazem. - Może dla ciebie to nie było ważne, ale dla mnie tak.

Nie ma w tym nic głupiego. Sam dobrze o tym wiesz, bo inaczej nie przyznałbyś, że się myliłeś.

Wziął głęboki oddech i cofnął ręce z moich ramion.

- No dobrze. Przyznaję, że może powinienem był ci powiedzieć o Byrnesie. Ale gdybym to zrobił, to poszłabyś tam, nawet jeśli bym cię uprzedził, że to jest szczękościsk - a tego byłem pewien, bo widziałem to już wcześniej. Nic nie mogłabyś dla niego zrobić, ale poszłabyś, tak?

- Tak. Nawet gdybym... tak, poszłabym. Musiałabym pójść - odpowiedziałam już łagodniej. - Jestem lekarzem, rozumiesz?

- Oczywiście, że rozumiem - odparł szorstko. - Czy ty myślisz, że ja cię w ogóle nie znam, Angielko? - Nie czekając na odpowiedź, mówił dalej: - Było dużo gadania o tym, co się stało w tartaku - to naturalne, prawda? Ale tamten człowiek umarł na twoich rękach... rozumiesz, nikt nie powiedział głośno, że go zabiłaś... ale nietrudno zauważyć, że ludzie tak myśleli. Nawet nie to, że go zabiłaś, ale że pozwoliłaś mu umrzeć, żeby oszczędzić mu stryczka.

Patrzyłam na swoje dłonie, rozpostarte na kolanach, blade jak jedwab, na którym leżały.

- Przyszło mi to do głowy.

- Dobrze o tym wiem - rzekł sucho. - Widziałem twoją twarz, Angielko.

Wzięłam głęboki oddech, by się upewnić, czy w powietrzu nie unosi się już zapach krwi. Nie poczułam jednak niczego oprócz cierpkiej, czystej woni terpentyny od strony lasu. Nagle przed oczami stanęło mi wspomnienie szpitala z unoszącym się w powietrzu sosnowym zapachem środka dezynfekującego, który tłumiał zapach choroby, lecz nie był w stanie całkiem go usunąć.

Jeszcze raz głęboko wciągnęłam w płuca czyste powietrze i spojrzałam na Jamiego.

- Ty też się zastanawiałeś, czy go zabiłam? Wydawał się nieco zaskoczony.

- Zrobiłaś to, co uznałaś za najlepsze - odpowiedział, zupełnie pomijając kwestię zabicia człowieka. - Ale nie byłoby dobrze, gdybyś była obecna przy obu śmierciach,

rozumiesz?

Rozumiałam i nie po raz pierwszy zdałam sobie sprawę z istnienia subtelnych sieci powiązań, których on był częścią w taki sposób, w jaki ja nigdy nie miałam się nią stać. W tym miejscu oboje byliśmy jednakowo obcy, ale on wiedział nie tylko, co ludzie gadają - tego mógł się dowiedzieć każdy, kto bywał w tawernie i na targu - wiedział również, co myślą.

A najbardziej irytujące było to, że wiedział, co ja myślę.

- Sama widzisz - rzekł, przyglądając mi się. - Wiedziałem, że Byrnes na pewno umrze i że nie możesz mu w niczym pomóc. Ale gdybyś usłyszała, że jest chory, poszłabyś do niego. A potem, po jego śmierci, ludzie może nie zaczęliby opowiadać, jakie to dziwne, że obydwaj umarli na twoich rękach... ale...

- Ale tak by sobie pomyśleli - dokończyłam. Drgnięcie ust przeszło w krzywy uśmiech.

- Ludzie zwracają na ciebie uwagę, Angielko.

Przygryzłam wargi. Zauważali mnie, to była prawda, i już kilkakrotnie omal nie straciłam przez to życia.

Jamie wstał, przytrzymując się gałęzi. Wyszedł z łódki i naciągnął pled na ramiona.

- Obiecałem pani Byrnes, że przyniosę z tartaku rzeczy jej męża - powiedział. - Jeśli nie chcesz, nie musisz ze mną iść.

Zarys tartaku majaczył na tle rozgwieżdżonego nieba. Nie mógł już chyba wyglądać bardziej złowieszczo. „Gdziekolwiek pójdiesz, z tobą pójdę”.

Wydawało mi się, że teraz rozumiem, co chciał

zrobić. Chciał zobaczyć wszystko, nim podejmie ostateczną decyzję, obejrzeć całą posiadłość ze świadomością, że mogłaby należeć do niego. Spacer po ogrodzie i sadzie, wyprawa łódką wzdłuż akrów potężnych sosen, wizyta w tartaku - przeprowadzał inspekcję włości, które mu oferowano, ważąc i mierząc, rozmyślając nad możliwymi komplikacjami, jakie mogły powstać, i zastanawiając się, czy chce i może przyjąć wyzwanie.

W końcu, pomyślałam kwaśno, Szatan również upierał się, by pokazać Jezusowi wszystko, co ten odrzucał. Zabrał Go na szczyt świątyni, by stamtąd obejrzał sobie wszystkie miasta świata. Jedyny problem polegał na tym, że jeśliby Jamie zdecydował się skoczyć, to nie miał przy swoim boku legionu aniołów, które powstrzymałyby go przed upadkiem wprost na płytę ze szkockiego granitu.

Miał tylko mnie.

- Zaczekaj - zawołałam, gramoląc się z łodzi. - Idę z tobą.

Na dziedzińcu tartaku wciąż leżały sterty tarcicy, od dnia, gdy byłam tu wcześniej, nikt nie ruszył z miejsca nawet najmniejszego kawałka. Ciemność zaburzała poczucie perspektywy, sterty świeżych belek zlewały się w jasne prostokąty, które wyglądały, jakby unosiły się nad niewidoczną ziemią. W pierwszej chwili wydawało się, że są bardzo daleko, a potem nieoczekiwanie wylaniały się na wyciągnięcie ręki i zaczęłam o nie suknią. Powietrze było przesycone zapachem żywicy i trocin.

Ciemność, a także szeroka suknia sprawiały, że nie widziałam gruntu pod stopami i Jamie musiał mnie podtrzymywać za ramię. On sam, oczywiście, nie potknął

się ani razu. Może fakt, że przez całe życie musiał się obywać bez żadnego oświetlenia po zachodzie słońca, sprawił, że wykształcił się w nim swego rodzaju radar, coś takiego jak u nietoperzy.

Gdzieś między chatami niewolników płonął ogień. Było już bardzo późno, większość z nich z pewnością spała. W Indiach Zachodnich przez całą noc słysząc byłoby bębny i zawodzenie, niewolnicy oplakivaliby śmierć towarzysza i ceremonie żałobne trwałyby cały tydzień. Tu nie działo się nic. Nie słysząc było żadnego dźwięku oprócz szumu sosen, nic się nie poruszało, tylko słabe światło majaczyło na skraju lasu.

- Boją się - powiedział Jamie, podobnie jak ja wsłuchany w ciszę.

- Nic dziwnego - szepnęłam. - Ja też się boję.

Mruknął coś, co mogło być oznaką rozbawienia.

- I ja - przyznał - ale nie boję się duchów.

Nim zdążyłam zapytać, czego w takim razie się obawia, ujął mnie za ramię i pchnął niewielkie drzwi w bocznej ścianie tartaku.

Cisza panująca wewnątrz wydawała się dziwnie materialna. W pierwszej chwili odniosłam wrażenie, że jest podobna do upiornej ciszy po bitwie, ale zaraz zdałam sobie sprawę, na czym polegała różnica. Ta cisza była żywa, a to coś, co się w niej znajdowało, nie leżało spokojnie. Wydawało mi się, że nadal czuję w powietrzu gęsty zapach krwi.

Wzięłam głęboki oddech i zastanowiłam się raz jeszcze. Po plecach przebiegł mi lodowaty dreszcz. Naprawdę czułam krew.

Świeżą krew.

Pochwyciłam Jamiego za ramię, ale on też już poczuł, mięśnie jego ramienia pod moimi palcami naprężyły się. Bez słowa uwolnił się z mojego uścisku i zniknął. Przez chwilę miałam uczucie, że zniknął na zawsze. W panice wyciągnęłam rękę do miejsca, gdzie jeszcze przed chwilą stał, ale moja dłoń pochwyciła tylko powietrze. Potem zrozumiałam, że po prostu narzucił sobie na głowę pled, zasłaniając jasną twarz i białą koszulę. Słyszałam jego kroki, szybkie i lekkie na zakurzonym klepisku, a potem i one ucichły.

Powietrze było gorące i nieruchome, przesycone słodkawym zapachem krwi, który pozostawiał na języku metaliczny posmak.

Wszystko było dokładnie takie samo jak tydzień wcześniej. Miałam wrażenie, że doznaję halucynacji. Wciąż mając w pamięci zimny podnośnik, odwróciłam się i wpatrzyłam w dalszą część przepastnego pomieszczenia, na wpół oczekując, że scena wyryta w mojej pamięci ponownie zmaterializuje się w mroku. Lina zwisająca z podnośnika, wielki hak, rozkołysany pod pojękującym ciężarem...

W ciemności rozległ się jęk. Prawie przegryzłam wargę na pół. W gardle rósł mi krzyk, jedynie strach przed czymś, co mogło się do mnie zbliżyć, kazał mi milczeć.

Gdzie podziewał się Jamie? Chciałam go zawołać, ale nie odważyłam się. Moje oczy przywykły już do ciemności na tyle, że rozróżniałam cień ostrza piły, bezkształtną plamę oddaloną ode mnie o kilka metrów, ale dalsza część pomieszczenia pogrążona była w mroku. Wyteżałam wzrok, by cokolwiek zobaczyć, ponieważ

zdając sobie sprawę, że w jasnej sukni byłam dobrze widoczna dla każdego, kto mógł się tu znajdować.

Jęk powtórzył się. Drgnąłam i dłonie zaczęły mi się pocić. Nie! - powtarzałam sobie gorączkowo. To nie to, to nie może być to!

Sparaliżowana strachem, dopiero po dłuższej chwili zrozumiałam, co to takiego. Dźwięk nie pochodził z ciemnego kąta, gdzie stał podnośnik wraz z hakiem, lecz gdzieś zza moich pleców.

Odwrociłam się. Drzwi, przez które weszliśmy, wciąż były otwarte - jasny prostokąt w przepastnej czerni. Nic się nie pojawiło, nic nie poruszyło się między mną a nimi. Zrobiłam szybki krok w ich kierunku i zatrzymałam się. Wszystkie mięśnie w moim ciele były gotowe do natychmiastowej ucieczki, ale nie mogłam zostawić Jamiego samego.

Znów ten sam dźwięk: zdławione westchnienie przepełnione fizycznym cierpieniem, ból, który zmusza do milczenia. Nagle przyszło mi do głowy: a jeśli to Jamie jęczy? Zapominając o ostrożności, zwróciłam się w kierunku źródła dźwięku i zawołałam go głośno, aż w pomieszczeniu rozległo się echo.

- Jamie! - zawołałam jeszcze raz. - Gdzie jesteś?

- Tutaj, Angielko. - Słyszałam jego przytłumiony głos gdzieś z mojej lewej strony, spokojny, ale stanowczy. - Podejdź tu, dobrze?

To nie był on. Drżąc z ulgi, poszłam w tę stronę. Skoro to nie był Jamie, nic mnie nie obchodziło, co lub kto wydaje te jęki. Poruszając się po omacku, uderzyłam ręką w drewnianą ścianę, lecz w końcu trafiłam na otwarte drzwi.

Był w mieszkaniu nadzorcy.

Przeszłam przez drzwi i natychmiast poczułam różnicę. Panowała tu jeszcze większa duchota i gorąco niż w pozostałych częściach tartaku. Podłoga była drewniana, ale nie słyszałam echa własnych kroków. Powietrze wydawało się zupełnie nieruchome, a zapach krwi stał się jeszcze silniejszy.

- Gdzie jesteś? - zawołałam już ciszej.

- Tutaj - zabrzmiała odpowiedź. Był tuż obok mnie. -

Przy łóżku.

Czy możesz podejść i pomóc mi? To jest dziewczyna.

Znajdował się w niewielkiej sypialni bez okien. Nie dochodziło tu żadne światło. Znalazłam ich po omacku, Jamie klęczał na drewnianej podłodze przy wąskim łóżku, na którym leżało ciało. Tak jak powiedział, to była kobieta, poznałam to od razu po dotyku. Poczułam również, że dziewczyna się wykrwawia. Policzek miała zimny i wilgotny. Wszystko inne, czego dotknęłam, było gorące i mokre: jej ubranie, pościel, nawet materac, na którym leżała. Czułam, że moja spódnica przesiąka wilgocią od miejsca, w którym przyklękałam.

Szukałam na jej szyi pulsu, ale nie mogłam go znaleźć. Pierś poruszyła się lekko pod moją dłońią, oprócz słabego westchnienia był to jedyny znak, że jeszcze żyje.

- Wszystko będzie dobrze - usłyszałam swój łagodny głos.

Wszelkie oznaki paniki zniknęły, choć szczerze mówiąc, teraz miałam po temu jeszcze więcej powodów. - Jesteśmy tutaj, nie jesteś sama.

Czy możesz mi powiedzieć, co się stało?

Przez cały czas dotykałam jej głowy, szyi, piersi i brzucha, odsuwając przesiąknięte wilgocią ubranie, szukając dziko i na oślep rany, którą mogłabym opatrzyć, by zatamować krwawienie. Nic, ani śladu przeciętej aorty, żadnego świeżego skaleczenia. A jednak przez cały czas słychać było cichutkie, ale nieustające „kap, kap, kap”, jak odgłos biegających, maleńkich stopek.

- Powiedz... - To nawet nie było słowo, lecz głośne westchnienie, które przeszło w stłumiony szloch.

- Kto ci to zrobił, dziewczyno? - Głos Jamiego był cichy i stanowczy. - Kto to był?

- Powiedz...

Sprawdziłam wszystkie miejsca na ciele, gdzie główne arterie przechodziły płytko pod skórą. Wszystkie były nietknięte. Uniosłam jej bezwładne ramię i wsunęłam rękę pod plecy. To było najcieplejsze miejsce. Ciało było wilgotne od potu, ale nie od krwi.

- Wszystko będzie dobrze - powtórzyłam. - Nie jesteś sama.

Jamie, potrzymaj ją za rękę. - Poczułam się zupełnie bezsilna.

Wiedziałam już, co mogło się stać.

- Już ją trzymam - powiedział do mnie, a do niej: - Nie martw się, dziewczyno. Wszystko będzie w porządku, słyszysz mnie? - Kap, kap, kap. Małe stópki zwolniły. - Powiedz...

Nie mogłam nic zrobić, lecz mimo to jeszcze raz wsunęłam rękę pod jej spódnicę, tym razem zagłębiając palce między bezwładnie rozsunięte uda. Była w tym

miejscu wciąż gorąca, bardzo gorąca.

Moja dłoń pokryła się krwią, spływającą między palcami, gorącą i wilgotną jak powietrze wokół nas, wartką jak woda przy śluźce w tartaku.

- Ja... umieram...

- Zostałaś zamordowana, dziecko - powiedział do niej Jamie bardzo łagodnym głosem. - Czy mogłabyś nam powiedzieć, kto to zrobił?

Jej oddech stał się głośniejszy. Zaczęła rzezić. Kap, kap. Kap, kap. Stópki stapały teraz na paluszkach.

- Sier...żant. Powiedz... mu...

Wyjęłam rękę spod ud i sięgnęłam po jej drugą dłoń, nie zważając na krew. Teraz już nie miało to najmniejszego znaczenia.

- ...powiedz... - powtórzyła z natężeniem, a potem ucichła. Cisza trwała długo. Po niej usłyszałam jeszcze jeden długi, przeciągły oddech. I znów przerwa, jeszcze dłuższa. I oddech.

- Powiem - szepnął Jamie w ciemnościach. - Powiem, obiecuję ci to. Kap.

Kap.

W szkockich górach nazywano to „kroplami śmierci”; odgłos kapiącej wody pojawiał się w domu, gdy ktoś z mieszkańców miał umrzeć. Tutaj to nie woda kapiała, ale był to pewny znak.

Z ciemności nie dobiegał już żaden dźwięk. Nie widziałam Jamiego, ale poczułam poruszenie łóżka, gdy wstał.

- Bóg ci wybaczy - szepnął w mroku. - Odejdź w pokoju.

Następnego ranka, wchodząc do mieszkania nadzorcy, usłyszałam dziwne bzyczenie. W tartaku panowała głucha cisza, przestrzeń i trociny tłumiły wszelkie dźwięki. Tutaj jednak, w tych niewielkich pomieszczeniach, każdy odgłos odbijał się od ścian, echa naszych kroków rozlegały się od podłogi aż po sufit. Idąc pomiędzy dwoma mężczyznami, czułam się jak mucha uwięziona w bębieniu i na chwilę ogarnęła mnie klaustrofobia.

Były tu tylko dwa pomieszczenia, rozdzielone przez krótki korytarzyk prowadzący od drzwi wejściowych do wnętrza tartaku. Po prawej stronie mieściła się większa izba, która służyła Byrnesom za pokój dzienny i gdzie przygotowywali posiłki, a po lewej mniejsza sypialnia. Stamtąd właśnie dochodziło bzyczenie. Jamie wziął głęboki oddech, zasłonił twarz pledem i otworzył drzwi.

Łóżko było przykryte stalowoszarym kocem w zielone cętki.

Jamie wszedł do środka i znad koca uniosła się chmara rozzłoszczonych, żarłocznych much. Stłumiłam okrzyk obrzydzenia i z pochyloną głową usiłowałam je odgonić. Ich nasycone krwią, wolno poruszające się ciała uderzały w moją twarz i ramiona, odbijając się ode mnie i zataczając leniwe kręgi w gęstym powietrzu. Farquard Campbell wydał z siebie szkocki okrzyk wyrażający obrzydzenie - brzmiało to mniej więcej jak: „heuch!” - a następnie pochylił głowę i wyminął mnie z przymrużonymi oczami i mocno zaciśniętymi ustami, ściskając palcami nos, aż stał się zupełnie biały.

Sypialnia była niewiele większa od trumny, którą się stała. Nie było okien, światło wpadało do środka tylko przez

szpary między deskami. Powietrze było gorące i wilgotne jak w oranżerii, przesycone słodkawym zapachem rozkładu towarzyszącym śmierci. Pot, który spływał mi po bokach, łaskotał mnie jak odnóża much. Staralam się oddychać tylko przez usta.

Była nieduża, zarys jej ciała był ledwie widoczny pod kocem, którym z przyzwyczajenia nakryliśmy ją zeszłej nocy. Jej głowa, w zestawieniu ze skurczonym ciałem, wydawała się wielka. Wyglądała jak postać narysowana przez dziecko - duża okrągła głowa na patykowatych kończynach.

Jamie odgarnął kilka much, tak objedzonych, że nie poruszyły się z koca, i odsłonił ciało. Koc, podobnie jak wszystko dokoła, pokryty był plamami zaschniętej krwi, a na dole przesiąknięty na wylot.

Ludzkie ciało przeciętnie zawiera pięć litrów krwi, ale gdy się ją rozleje, wydaje się, że jest jej o wiele więcej.

Widziałam jej twarz przez chwilę ostatniej nocy, martwe rysy sztucznie ożywione blaskiem ognia z sosnowej drzazgi, którą Jamie zapalił nad jej głową. Teraz była blada i wilgotna jak grzyb.

Spomiędzy brązowych włosów wylaniała się nabrzmiąca twarz. Nie sposób było określić jej wieku, ale nie była stara. Nie potrafiłam też stwierdzić, czy była atrakcyjna. Nie wydawała się piękna, lecz jej okrągła twarz i głęboko osadzone oczy, pobudzone iskrą ożywienia, być może mogły podobać się mężczyznom. A przynajmniej jednemu.

W każdym razie nie była brzydka.

Mężczyźni szepotali coś między sobą, pochyleni nad

nieruchomym ciałem. Pan Campbell odwrócił się do mnie z czołem zmarszczonym pod peruką.

- Pani Fraser, czy jest pani pewna, jaka była przyczyna śmierci?

- Tak. - Starając się nie wdychać cuchnącego powietrza, uniosłam koc i odsłoniłam nogi dziewczyny. Stopy były już lekko sine i zaczynały puchnąć. - Opuściłam jej spódnicę, ale resztę zostawiłam tak, jak ją znaleźliśmy - wyjaśniłam, Od tego dotknięcia natychmiast poczułam ucisk w żołądku. Widywałam już wcześniej martwe ciała, i to nie było wcale w najgorszym stanie, ale gorący klimat i zamknięte pomieszczenie nie pozwoliły zwłokom wystygnąć; jej uda były prawie tak samo ciepłe jak moje, lecz nieprzyjemnie zwiotczały.

Zostawiłam to tam, gdzie to znaleźliśmy - w łóżku, między jej nogami. Kuchenny szpikulec, długi na trzydzieści centymetrów, również pokryty zaschniętą krwią, lecz wyraźnie widoczny.

- Ja... hm... nie znalazłam na ciele żadnej rany - powiedziałam, starając się wyrażać jak najogłędniej.

- Tak, rozumiem. - Zmarszczka na czole Campbella wygładziła się nieco. - To znaczy, że w każdym razie nie jest to przypadek zamierzonego morderstwa.

Otworzyłam usta, żeby odpowiedzieć, ale pochwyciłam ostrzegawcze spojrzenie Jamiego. Campbell nie zauważył tego i mówił dalej:

- Pozostaje jedynie pytanie, czy ta biedna kobieta zrobiła to sama, czy też ktoś jej pomógł. Co pani o tym sądzi, pani Fraser?

Jamie mrugnął do mnie ponad ramieniem

Campbella, ale nie było to konieczne. Rozmawialiśmy o tym ostatniej nocy i doszliśmy do własnych wniosków, a także uznaliśmy, że nie należy się dzielić naszymi opiniami ze stróżami prawa i porządku w Cross Creek - w każdym razie jeszcze nie teraz. Zasłoniłam nos pod pretekstem ochrony przed smrodem, a tak naprawdę po to, by na wszelki wypadek ukryć twarz. Nie potrafiłam kłamać.

- Jestem przekonana, że zrobiła to sama - odpowiedziałam stanowczo. - W ten sposób bardzo szybko można się wykrwawić na śmierć, a jak już Jamie panu powiedział, żyła jeszcze, gdy ją znaleźliśmy. Zanim weszliśmy do tartaku, przez pewien czas staliśmy na zewnątrz, rozmawiając. Gdyby ktoś stąd wychodził, musielibyśmy go zauważyć.

Z drugiej strony ktoś z łatwością mógłby ukryć się w drugiej izbie i wymknąć się stamtąd po cichu, gdy my zajęci byliśmy umierającą kobietą. Ale jeśli panu Campbellowi taka możliwość nie przyszła do głowy, to nie widziałam powodu, by mu podsuwać ten trop.

Pan Campbell z żalem pokręcił głową.

- Ach, biedna, nieszczęśliwa dziewczyna! Pocięchą dla nas może być tylko to, że jej grzech nie obciąża nikogo poza nią samą.

- A co z ojcem dziecka, którego usiłowała się pozbyć? - zapytałam lodowatym tonem. Campbell wyglądał na zaskoczonego, ale opanował się szybko.

- Hmm... no tak - odrzekł i odkaszlnął. - Choć nie wiadomo, czy była mężatką...

- To znaczy, że nie zna pan tej dziewczyny, sir? - wtrącił Jamie, nim zdążyłam wygłosić kolejną nieroztropną

uwagę.

Pokręcił głową.

- Jestem pewien, że nie należała do służby pana Buchanana ani MacNeillów. Ani też sędziego Alderdyce'a. To jedyne plantacje w okolicy, skąd można tu dotrzeć piechotą. Choć wydaje mi się dziwne, że wybrała akurat to miejsce, by dokonać swego desperackiego czynu...

Mnie i Jamiemu również wydawało się to dziwne. Jamie odezwał się szybko, przerywając wątek:

- Powiedziała bardzo niewiele, ale wymieniła słowo „sierżant”.

„Powiedz sierżantowi”, tak brzmiały jej słowa. Czy domyśla się pan, sir, o kogo mogło jej chodzić?

- Wydaje mi się, że jest jakiś sierżant w straży królewskiego składu celnego. Tak, na pewno. - Twarz pana Campbella rozjaśniła się nieco. - Ach! Nie ma wątpliwości, że ta kobieta była w jakiś sposób związana z posterunkiem wojskowym. Może mi pan wierzyć, że to jest najbardziej prawdopodobne wyjaśnienie. Choć wciąż nie rozumiem, dlaczego ona...

- Proszę mi wybaczyć, panie Campbell, ale obawiam się, że zaczynam czuć się słabo - przerwałam, kładąc rękę na jego ramieniu.

To nie było kłamstwo, nie spałam ostatniej nocy i nic nie jadłam. Od gorąca i smrodu kręciło mi się w głowie i wiedziałam, że z pewnością jestem bardzo blada.

- Czy mógłby pan wyprowadzić moją żonę na zewnątrz, sir? - zapytał Jamie. Wskazał na żalony kształt na łóżku i dodał: - Zabiorę stąd tę biedną dziewczynę.

- Ależ proszę się tym nie kłopotać, panie Fraser -

zaprotestował Campbell, prowadząc mnie do drzwi. - Mój służący wyniesie ciało.

- Tartak należy do mojej ciotki, więc to mój obowiązek - odrzekł Jamie uprzejmie, lecz stanowczo. - Ja się tym zajmę.

Fedra czekała na zewnątrz, obok wozu.

- Mówiłam pani, że to miejsce jest nawiedzone - rzekła z ponurą satysfakcją, nie patrząc na mnie. - Jest pani biała jak prześcieradło, ma'am. - Delikatnie zmarszczyła nos i podała mi butelkę wina przyprawionego korzeniami. - Śmierdzi pani jeszcze gorzej niż wczoraj, a wczoraj wyglądała pani jak po zaszlachtowaniu świni.

Proszę spocząć tu w cieniu i wypić to. Zaraz poczuje się pani lepiej. - Spojrzała na coś ponad moim ramieniem. Powiodłam wzrokiem w tę stronę i zobaczyłam Campbella, który wszedł w cień platanów na brzegu rzeki, pogrążony w rozmowie ze służącym. - Znalazłam ją - powiedziała Fedra cicho i wzrokiem wskazała chaty niewolników, ledwie widoczne z tej strony tartaku.

- Jesteś pewna? Nie miałaś zbyt wiele czasu. - Zacerpnęłam spory łyk wina i przytrzymałam w ustach. Ostry aromat rozchodził się po gardle, oczyszczając podniebienie z posmaku śmierci.

Skinęła głową, spoglądając w stronę mężczyzn pod drzewami.

- Nie potrzebowałam wiele czasu. Przeszłam obok tych domów i zobaczyłam, że jedne drzwi są otwarte, a dookoła leżą porozrzucane różne drobiazgi, jakby ktoś wybiegł stamtąd w pośpiechu. Znalazłam jakiegoś dzieciaka i zapytałam go, kto tam mieszka. Powiedział, że Pollyanne,

ale teraz jej nie ma, bo gdzieś poszła i on nie wie gdzie.

Zapytałam, kiedy wyszła, i powiedział, że była w domu jeszcze wczoraj wieczorem, a rano już nie, i że nikt jej nie widział. - Zatrzymała wzrok na mojej twarzy, w jej oczach malowały się liczne pytania. - A teraz, skoro już pani wie, co zamierza pani zrobić?

Było to cholernie dobre pytanie, jedno z tych, na które nie miałam żadnej odpowiedzi. Przełknęłam wino i poczułam narastającą panikę.

- Wszyscy tutejsi niewolnicy na pewno już wiedzą, że zniknęła.

Ile czasu trzeba, żeby inni też się dowiedzieli? I kto teraz, po śmierci Byrnesea, zajmuje się takimi sprawami?

Fedra z wdziękiem wzruszyła ramionami.

- Każdy, kto zacznie zadawać pytania, dowie się szybko. A co do tego, kto powinien się tym zająć... - Skinęła głową w kierunku tartaku.

Zostawiliśmy drzwi do mieszkania nadzorcy otwarte. Właśnie ukazał się w nich Jamie, niosąc w ramionach owinięty w koc ciężar. - Chyba on - dokończyła.

„Ja już jestem częścią tego”. Wiedział, nawet przed wczorajszym przyjęciem, zanim jeszcze cokolwiek zostało ogłoszone oficjalnie, nim propozycja została złożona i przyjęta. Od razu wpasował się w to miejsce i w swoją rolę, niczym brakujący fragment układanki.

Właściwie był już panem River Run - o ile tylko chciał nim być.

Służący Campbella podszedł, by mu pomóc. Jamie przyklęknął na jedno kolano i delikatnie opuścił ciało na ziemię na brzegu kanału doprowadzającego wodę do

tartaku. Oddałam Fedrze butelkę.

- Czy mogłabyś pójść po rzeczy do wozu?

Zabrałam ze sobą z domu koc, wiadro, czyste płótna i słoje z ziołami. Podniosła się bez słowa, a ja podeszłam do Jamiego. Klęczał przy strumieniu, nieco powyżej miejsca, przy którym leżały zwłoki, i mył ręce. Przed tym, co zamierzałam zrobić, mycie nie miało sensu, ale siła nawyku zwyciężyła. Uklękałam obok niego i również zanurzyłam ręce w zimnej wodzie, spłukując z nich ślady po dotknięciu rozmiękłego ciała.

- Miałam rację - powiedziałam do niego cicho. - To była kobieta, nazywa się Pollyanne. Uciekła ostatniej nocy.

Z grymasem na twarzy energicznie tarł dłonie. Spojrzałam ponad jego głowę. Campbell stał teraz nad ciałem, na twarzy wciąż miał wyraz niesmaku. Jamie skupił wzrok na swoich palcach.

- Czyli wszystko jest jasne. - Pochylił się i ochlapał twarz, po czym wstrząsnął się gwałtownie, siejąc dokoła krople jak mokry pies, i otarł twarz brzegiem poplamionego pledu. - Zajmij się tą dziewczyną, Angielko, dobrze?

Zdecydowanym krokiem ruszył w stronę pana Campbella. Pled powiewał mu za plecami.

Nie było sensu oszczędzać jej ubrania, więc je po prostu poprzecinałam. Rozebrana wyglądała na jakieś dwadzieścia lat. Była niedożywiona, żebra sterczały pod skórą, ramiona i nogi miała chude jak patyki. Przy tym okazała się jednak zdumiewająco ciężka, a ze względu na stężenie pośmiertne trudno było nią manewrować.

Obydwie, Fedra i ja, spociłyśmy się potężnie, nim zrobiliśmy to, co należało zrobić.

Na szczęście mozolna praca nie sprzyjała rozmowie i mogłam się spokojnie zastanowić. Choć może „spokojnie” nie było tu najwłaściwszym słowem.

Kobieta, która chciała pozbyć się dziecka, gdyby miała to zrobić sama, wybrałaby do tego celu własny pokój i własne łóżko. A skoro zdecydowała się przyjść w takie odludne miejsce jak tartak, oznaczało to, że była tu umówiona z kimś, kto miał wykonać dla niej tę usługę, a sam nie mógł pójść do niej.

Powiedziałam Jamiemu, że musimy poszukać w okolicy tartaku niewolnicy, która cieszy się sławą akuszerki, kobiety, o której inne rozmawiają po cichu i którą polecają sobie nawzajem.

Fakt, że jak się okazało, miałam rację, nie sprawił mi satysfakcji.

Akuszerka uciekła w obawie, że pacjentka może nam zdradzić jej tożsamość. Gdyby siedziała cicho na miejscu, to Farquard Campbell może uwierzyłby w moje tłumaczenie, że ofiara uczyniła to sama - ciężko byłoby mu dowieść, że stało się inaczej. Ale jeśli ktokolwiek usłyszy o ucieczce niewolnicy Pollyanne - a oczywiście usłyszą o tym wszyscy! - i jeśli Pollyanne zostanie schwytana i przepytana, wszystko wyjdzie na jaw. I co wtedy?

Mimo upału przechodziły mnie dreszcze. Czy prawo przelewu krwi miało zastosowanie również w tym wypadku? Z pewnością powinno, pomyślałam ponuro, wylewając na rozsunięte uda kolejne wiadro wody, jakby ilość miała tu jakieś znaczenie.

Niech diabli wezmą tę kobietę, myślałam, pokrywając irytacją bezcelowe współczucie. Nie byłam w

stanie nic więcej dla niej zrobić, mogłam tylko starać się uporządkować bałagan, który zostawiła po sobie, w każdym tego słowa znaczeniu. I może jeszcze ocalić drugą uczestniczkę tragedii: niešťczęsną istotę, która z chęci pomocy dokonała niezamierzonego morderstwa i którą ten błąd mógł kosztować życie.

Zauważyłam, że Jamie wyciągnął butelkę z winem, podawali ją sobie z Farquardem Campbellem, żywo rozmawiając i od czasu do czasu wskazując gestami na tartak, rzekę lub miasto.

- Czy ma pani coś, czym mogłabym ją uczesać, ma'am?

Pytanie Fedry znów przykuło moją uwagę do tego, co robiliśmy.

Przykucnęła przy ciele i obrzuciła splełtane włosy krytycznym spojrzaniem.

- Nie można tego biednego dziecka złożyć do ziemi w takim stanie - powiedziała, kręcąc głową.

Pomyślałam, że Fedra nie jest wiele starsza od zmarłej dziewczyny - a poza tym to, jak zmarła będzie wyglądała w grobie, nie miało żadnego znaczenia. Mimo wszystko sięgnęłam do kieszeni i wyjęłam mały grzebyk z kości słoniowej. Fedra zabrała się do pracy, nucąc pod nosem.

Pan Campbell zbierał się już do odjazdu. Usłyszałam skrzywienie jego powozu i niecierpliwy stukot końskich kopyt. Skłonił się przede mną nisko, zamiatając kapeluszem ziemię. Odwdzięczyłam mu się dygnięciem i z ulgą patrzyłam, jak odjeżdża. Fedra również przerwała swoje zajęcie i patrzyła za odjeżdżającym powozem. Mruknęła coś

i splunęła na ziemię. Nie było w tym żadnej złości, po prostu odczytywała urok. Spojrzała na mnie i powiedziała:

- Dobrze byłoby, żeby pan Jamie znalazł tę Pollyanne przed zachodem słońca. W sosnowym lesie pełno jest dzikich zwierząt, a pan Ulisses mówił, że pani Jokasta kupiła ją za dwieście funtów. Ona nie zna lasów, ta Pollyanne. Przypląnęła prosto z Afryki niecały rok temu.

Bez dalszych komentarzy pochyliła głowę i wróciła do pracy. Jej ciemne palce poruszały się wśród jedwabistych włosów nieboszczki szybko jak pająk.

Ja również skupiłam się na tym, co robiłam. Z pewnym zaskoczeniem zdałam sobie sprawę, że sieć zależności oplatających Jamiego zdążyła ogarnąć również i mnie. Wbrew temu, co myślałam wcześniej, nie stałam na zewnątrz, nie miałam na to szans, choćbym najbardziej chciała uniknąć uwikłania. Fedra pomogła mi odnaleźć Pollyanne nie dlatego, że mi ufała czy że mnie lubiła, lecz dlatego, że byłam żoną pana. Pollyanne trzeba było znaleźć i ukryć. Było dla niej oczywiste, że Jamie to robi, niewolnica stanowiła przecież jego własność, czy też własność Jokasty; dla Fedry to było to samo.

Wreszcie zakończyliśmy zmagania z ciałem. Leżało teraz czyste, z uczesanymi i zaplecionymi włosami, na spranym lnianym prześcieradle, które przeznaczyłam na całun. Sięgnęłam po spory słoć wypełniony ziołami. Przyniosłam je bardziej z przyzwyczajenia niż z rzeczywistej potrzeby, ale teraz byłam z tego zadowolona; nie tyle chodziło mi o powstrzymanie rozkładu zwłok, ile o rytuał pogrzebowy.

Trudno było uwierzyć, że ta nieforemna, śmierdząca

bryła ciała jest dziewczyną, która drobną dłonią pochwyciła mnie za rękę i pełnym cierpienia szeptem błagała w ciemnościach: „Powiedz..”.

Wspomnienie jej ostatnich chwil, ostatnich kropli krwi, gorących na mojej dłoni, wydawało się żywsze i bardziej rzeczywiste niż ten widok nieruchomego ciała, nagiego w obcych rękach.

Najbliższy kapłan znajdował się w Halifaksie. Miała zostać pochowana bez żadnych obrzędów, ale właściwie czy ich potrzebowała? Obrzędy pogrzebowe służą temu, by przynieść pociechę żywym. Ta dziewczyna chyba nie zostawiła nikogo, kto by po niej rozpaczał. Gdyby miała kogoś bliskiego - rodzinę, męża czy nawet kochanka - zapewne nadal by żyła.

Nie znałam jej, wiedziałam więc, że nie będzie mi jej brakowało, ale czułam smutek ze względu na nią samą i na dziecko. Bardziej dla siebie niż dla niej uklęknęłam przy ciele i obsypałam je ziołami o intensywnym, gorzkim zapachu: liśćmi ruty, kwiatami hyzopu, rozmarynem, tymiankiem i lawendą. Bukiet kwiatów od żyjących dla umarłych, symbol pamięci.

Fedra, również klęcząc, przyglądała się temu w milczeniu.

Wyciągnęła rękę i delikatnie nasunęła całun na zastygłą twarz dziewczyny. Jamie położył ją na wozie.

Nie odezwał się ani słowem aż do chwili, gdy wspięłam się na wóz i usadowiłam obok niego, a wówczas szarpnął lejce i cmoknął.

- Jedźmy poszukać sierżanta - powiedział.

* * *

Rzecz jasna, najpierw należało załatwić kilka innych spraw.

Wróciliśmy do River Run i zostawiliśmy tam Fedrę. Jamie poszedł poszukać Duncana i zmienić poplamione ubranie, a ja musiałam zajrzeć do pacjenta i opowiedzieć Jokaście o tym, co wydarzyło się rankiem.

Okazało się jednak, że nie muszę robić ani jednego, ani drugiego.

Farquard Campbell siedział w pokoju śniadaniowym, popijając herbatę w towarzystwie Jokasty. John Myers, od pasa w dół owinięty pledem ze wzorem Cameronów, leżał wyciągnięty na pokrytym zielonym aksamitem szezlongu i wesoło przeżuwał ciepłe bułeczki.

Sądząc po niezwyklej czystości jego gołych nóg wystających spod tartanu, poprzedniej nocy ktoś wykorzystał jego chwilowy brak świadomości i urządził mu kąpiel.

- Moja droga. - Na dźwięk moich kroków Jokasta obróciła głowę z uśmiechem, ale zauważyłam na jej czole dwie bliźniacze zmarszczki. - Usiądź, dziecko, i zjedz coś. Ostatniej nocy w ogóle nie spałaś, a do tego, jak widzę, miałaś okropny poranek.

W normalnych okolicznościach poczułabym się rozbawiona lub urażona, gdyby ktoś nazwał mnie dzieckiem, ale dzisiejszego ranka te słowa sprawiły mi niezwykle ulgę. Z wdzięcznością opadłam na krzesło i przyjąłam od Ulissesa filiżankę herbaty, jednocześnie zastanawiając się, co Farquard Campbell zdążył opowiedzieć Jokaście i jak dużo sam wiedział.

- Jak się pan dzisiaj czuje? - zapytałam mojego pacjenta.

Zważywszy na ilość alkoholu, jaką wchłonął poprzedniego wieczoru, wydawał się w zaskakująco dobrej kondycji. Na twarzy miał zdrowe rumieńce i sądząc po ilości okruchów na jego talerzu, apetyt też miał zdrowy. Skinął mi serdecznie głową, nie przestając przeżuwać i przełykać, aż w końcu z pewnym wysiłkiem odpowiedział:

- Zdumiewająco dobrze, ma'am, serdecznie pani dziękuję. Ciut mnie boli w niewymownych okolicach - poklepał się czule po wspomnianym miejscu - ale nigdy w życiu nie widziałem ładniejszych szwów. Pan Ulisses był tak miły, że pożyczył mi lusterko - wyjaśnił i pokręcił głową z lekkim zdziwieniem. - Pierwszy raz w życiu widziałem własny tyłek. Mam tam tyle włosów, że można by pomyśleć, że mój tatuś był niedźwiedziem! - Wybuchnął rubasznym śmiechem.

Farquard Campbell skrył uśmiech za filiżanką z herbatą. Ulisses odwrócił się z tacą, ale zauważyłam, że drgały mu kąciki ust. Jokasta roześmiała się na głos, mrużąc z rozbawieniem niewidzące oczy.

- Johnie Quincy, powiadają, że mądre to dziecko, które zna własnego ojca. Ale ja dobrze znałam twoją matkę i nie sądzę, byś był synem niedźwiedzia.

Myers pokręcił głową i w jego oczach nad ogromną brodą zamigotały wesołe błyski.

- Moja mama lubiła włochatych mężczyzn. Mawiała, że nie ma nic lepszego na zimowe noce. - Z satysfakcją popatrzył na owłosienie wystające spod skraju koszuli przy szyi. - Może to i prawda. Indianki też to lubią, choć jeśli się

zastanowić, to pewnie dlatego, że to dla nich nowość. Ich mężczyźni mają prawie łyse jajka, nie wspominając już o zadkach.

Pan Campbell zakrztusił się bułeczką i rozkaszał w serwetkę.

Uśmiechnęłam się do siebie i pociągnęłam spory łyk herbaty. Była to mocna, aromatyczna indyjska mieszanka, która smakowała doskonale pomimo męczącego upału. Na twarzy osiadła mi lekka mgiełka potu, lecz ciepły płyn koił zmęczony żołądek, a zapach uwalniał nos od zalegających tam oparów krwi i ekskrementów. Jednocześnie pogodna rozmowa przepędzała z myśli ponure wspomnienia poranka.

Popatrzyłam tęsknie na dywanik przed kominkiem. Miałam ochotę zwinąć się na nim w kłębek i przespać cały tydzień. Nie ma odpoczynku dla znużonych, pomyślałam.

Do pokoju wszedł Jamie, już ogolony i uczesany, w ciemnym żakiecie i czystej koszuli. Bez zdziwienia skinął głową Farquardowi Campbellowi, musiał usłyszeć jego głos jeszcze w holu. Pochylił się i pocałował Jokastę w policzek, a potem uśmiechnął się do Myersa.

- Jak się czujesz, a charaid? Czy też raczej powinienem zapytać: jak one się czują?

- Jak nowo narodzone - zapewnił go Myers, przykładając dłoń do miejsca między nogami. - Ale chyba poczekam jeszcze dzień albo dwa, nim spróbuję wsiąść na konia.

- Ja bym tak zrobił - pokiwał głową Jamie i zwrócił się do Jokasty: - Ciociu, czy widziałas dzisiaj Duncana?

- A tak. Zabrał chłopaka i pojechali razem załatwić dla mnie pewną drobną sprawę. - Uśmiechnęła się,

wyciągnęła rękę i mocno zacisnęła palce wokół jego nadgarstka. - To taki dobry człowiek, ten pan Innes. Taki uczynny. I taki bystry, obrotny mężczyzna. Rozmowa z nim to prawdziwa przyjemność, nie sądzisz, siostrzeńcze?

Jamie spojrział na nią z zainteresowaniem, a potem przeniósł wzrok na Farquarda Campbella. Starszy mężczyzna popijał herbatę i z uwagą wpatrywał się w duży obraz wiszący nad kominkiem, unikając wzroku Jamiego.

- Owszem, tak - odrzekł Jamie sucho. - Duncan jest bardzo przydatny. A więc Ian pojechał razem z nim?

- Mają mi przywieźć niewielką przesyłkę - odpowiedziała jego ciotka łagodnie. - Potrzebujesz Duncana już teraz?

- Nie - odrzekł Jamie powoli, wpatrując się w nią. - To może poczekać.

Puściła rękaw jego koszuli i sięgnęła po filiżankę. Misterne uszko było precyzyjnie obrócone w jej stronę, gotowe do uchwycenia.

- To dobrze - skinęła głową. - W takim razie może zjesz śniadanie? Farquardzie, jeszcze jedną bułeczkę?

- Ach, nie. Cha ghabh mi'n corr, tapa leibh. Mam coś do załatwienia w mieście i lepiej już pojadę. - Campbell odstawił filiżankę i podniósł się, po kolei składając ukłon mnie i Jokaście. Na koniec pożegnał się z Jamiem, skłonił się raz jeszcze i wyszedł za Ulissem.

Jamie usiadł za stołem i sięgnął po grzanekę.

- Ta przesyłka, ciociu... Czy Duncan pojechał poszukać tej niewolnicy?

- Tak. - Jokasta zwróciła w jego stronę zatroskaną twarz. - Nie masz nic przeciwko temu, Jamie? Wiem, że

Duncan to twój człowiek, ale sprawa wydawała się pilna, a ja nie byłam pewna, kiedy wrócisz.

- Co powiedział ci Campbell? - Wiedziałam, o czym myślał Jamie: pan Campbell był człowiekiem sztywnym i zasadniczym, a ponadto sprawował funkcję sędziego okręgowego. Nie wydawało się prawdopodobne, by ktoś taki zechciał ruszyć choćby palcem, by zapobiec przerażającemu linczowi i chronić niewolnicę, w dodatku akuszerkę zajmującą się spędzaniem płodów. A jednak pozostał cień nadziei. Może zechciałby to zrobić, by zrekompensować zło, któremu nie potrafił zapobiec wcześniej?

Jokasta ledwie dostrzegalnie wzruszyła ramionami i opuściła kącik ust.

- Znam Farquarda Campbella od dwudziestu lat, a mhmich mo pheathar. Lepiej słyszę to, czego nie mówi, niż to, co mówi.

Myers przysłuchiwał się tej wymianie zdań z zainteresowaniem.

- Co prawda nie mogę powiedzieć, żebym miał znakomity słuch - wtrącił - ale dosłyszałem, jak pan Campbell mówił, że jakaś biedaczka zabiła się przypadkiem w tartaku, próbując pozbyć się brzucha.

Mówił, że jej nie zna.

- W takim razie można mieć pewność, że ta dziewczyna była tu obca - stwierdziła Jokasta. - Farquard zna wszystkich ludzi znad rzeki i z miasta równie dobrze jak ja swoich domowników. To znaczy, że ona nie była niczyją córką ani służącą. - Odstawiła filiżankę i z westchnieniem opadła na oparcie krzesła. - Wszystko się jakoś ułoży -

powiedziała. - Jedz, chłopcze, na pewno umierasz z głodu.

Jamie przez chwilę patrzył na nią z nietkniętą grzanką w ręce.

Pochylił się i odłożył grzankę z powrotem na talerz.

- Nie mam apetytu, ciociu. Od widoku martwych kobiet ściska mnie w żołądku. - Wstał i wygładził poły zakietu. - Może nie była niczyją córką ani służącą, ale w tej chwili leży na podwórzu i przyciąga roje much. Zanim ją pochowam, muszę się dowiedzieć, jak się nazywała. - Odwrócił się na pięcie i wyszedł cicho.

Dopiłam herbatę i z brzękiem odstawiłam filiżankę.

- Przepraszam - powiedziałam. - Ja chyba też nie jestem głodna.

Jokasta nie poruszyła się ani nie zmieniła wyrazu twarzy.

Wychodząc z pokoju, zauważyłam, że Myers wychylił się ze swojego szeszlunku i zgarnął ze stołu ostatnią bułeczkę.

Było już prawie południe, gdy dotarliśmy do składu należącego do Korony, położonego na końcu Hay Street. Usytuowany na północnym brzegu rzeki, skład miał własny pomost załadunkowy, znajdujący się nieco za miastem. W tej chwili budynek nie wymagał szczególnej ochrony. Całe otoczenie pogrążone było w bezruchu, jedynie kilka żółtych motyli, nie zważając na obezwładniający upał, pilnie oblatywało gąszcz kwitnących krzewów na brzegu rzeki.

- Co oni tu przechowują? - zapytałam Jamiego, z ciekawością patrząc na masywną budowlę. Wielkie, podwójne drzwi były zamknięte i zaryglowane, stojący przed nimi nieruchomy wartownik w czerwonej kurtce

przypominał ołowianego żołnierzyka. Na mniejszym budynku obok składu flaga angielska zwisała smętnie w stojącym, rozgrzanym powietrzu. Zapewne była to siedziba sierżanta, którego szukaliśmy.

Jamie drgnął i odpędził od czoła natrętną muchę. W miarę jak narastał upał, przyciągaliśmy ich coraz więcej, nawet w poruszającym się wozie. Dyskretnie pociągnęłam nosem, ale wyczułam tylko lekki zapach tymianku.

- Wszystko, co Korona uważa za wartościowe. Futra kupione od traperów, zapasy dla marynarki - smołę i terpentynę. Ale wartownicy są niezbędni ze względu na alkohol.

Każda gospoda warzyła własne piwo, a każdy dom korzystał ze swoich receptur na jabłkową brandy i wiśniówkę, jednak monopol na wszelkie mocniejsze trunki należał do Korony: brandy, whisky oraz rum były przywożone do kolonii w małych ilościach, pilnie strzeżone i sprzedawane z królewską pieczęcią po wygórowanych cenach.

- Chyba nie mają teraz wielkich zapasów - zauważyłam, wskazując samotnego wartownika.

- Nie, alkohol przyplywa z Wilmington tylko raz w miesiącu.

Campbell mówił mi, że za każdym razem wybierają inny dzień, żeby zmniejszyć ryzyko napadu - odrzekł Jamie z roztargnieniem.

- Jak sądzisz, czy Campbell uwierzył, że ona zrobiła to sama? - zapytałam, bezwiednie spoglądając na tył wozu.

Jamie zareagował na to pytanie gardłowym szkockim odgłosem lekceważenia.

- Oczywiście, że nie, Angielko. On nie jest głupi. Ale jest bliskim przyjacielem mojej ciotki i nie chce jej przysparzać kłopotów, dopóki nie musi. Miejmy nadzieję, że ta kobieta nie zostawiła nikogo, kto mógłby narobić zamieszania wokół całej sprawy.

- To okrutna nadzieja - zauważyłam cicho. - W jadalni u ciotki wydawało mi się, że nie patrzysz na to w ten sposób. Ale z drugiej strony masz rację: gdyby kogoś miała, to pewnie nadal by żyła.

Usłyszał gorycz w moim głosie i spojrzał na mnie.

- Nie chciałbym wydać ci się bezduszny, Angielko - odparł łagodnie - ale ta dziewczyna jest już martwa. Mogę jej zapewnić godny pochówek i tyle, przede wszystkim zaś powinienem zadbać o żywych, prawda?

Z westchnieniem ucisnęłam jego ramię. Moje uczucia były zbyt skomplikowane, by dało się je łatwo wyjaśnić. Poznałam tę dziewczynę zaledwie na kilka minut przed śmiercią i w żaden sposób nie mogłam tej śmierci zapobiec. A mimo wszystko umarła na moich rękach i przepełniała mnie zwykła u lekarza w takiej sytuacji bezsilna złość, wrażenie, że coś przeoczyłam, że pozwoliłam się przechytrzyć Czarnemu Aniołowi. Dodatkowo dręczyły mnie wyrzuty sumienia: dziewczyna była w wieku Brianny, która w podobnych okolicznościach również nie miałaby się do kogo zwrócić.

- Wiem. Tylko że... chyba w jakiś sposób czuję się za nią odpowiedzialna.

- Ja również - przyznał. - Nie martw się, Angielko, zrobimy dla niej wszystko, co możliwe. - Przywiązał konia do kasztanowca, obrócił się i podał mi rękę.

Nie było tu koszar. Campbell mówił Jamiemu, że dziesięciu wartowników strzegących składu kwaterowało w różnych domach w mieście. Urzędnik siedzący w biurze skierował nas na drugą stronę ulicy, do gospody Pod Żółtą Gęsią, gdzie sierżant miał spożywać lunch.

Dostrzegłam go już od progu: siedział przy oknie, bez pasa i w rozpiętej kurtce, zupełnie rozluźniony nad kuflem piwa i resztkami pieroga kornwalijskiego. Jamie przekroczył próg tuż za mną. Jego sylwetka na chwilę zasłoniła światło wpadające przez otwarte drzwi i sierżant podniósł głowę.

Choć w gospodzie panował półmrok, zauważyłam, że jego twarz zbieleła z szoku. Za moimi plecami Jamie zatrzymał się raptownie i wymamrotał pod nosem coś wyjątkowo wulgarnego po gaelicku, zaraz jednak wyminął mnie bez wahania.

- Sierżant Murchison - powiedział tonem łagodnego zdziwienia, jak na widok przypadkowego znajomego. - Myślałem, że nigdy więcej już pana nie zobaczę, a w każdym razie nie w tym życiu.

Wyraz twarzy sierżanta dobitnie świadczył o tym, że żywił podobne uczucia w tej materii i że wolałby raczej nie oglądać Jamiego po tej stronie rajy. Jego mięsiste, pokryte śladami po ospie policzki nabiegły krwią. Z łoskotem odsunął drewnianą ławę i wstał.

- Ty!

Jamie zdjął kapelusz i uprzejmie skłonił głowę.

- Do usług, sir. - Widziałam teraz jego twarz, wydawała się spokojna, ale w kącikach oczu czaiła się ostrożność. Choć nie pokazywał tego po sobie, byłam

pewna, że jest równie zaskoczony jak sierżant.

Murchison powoli odzyskiwał panowanie nad sobą. Na jego twarz wypłynął szyderczy uśmiech.

- Fraser. Och, proszę mi wybaczyć, pan Fraser - chyba tak powinienem się teraz do pana zwracać?

- Tak. - Choć ton sierżanta był obelżywy, Jamie starał się zachować spokój. Bez względu na to, jaki konflikt związał ich ze sobą w przeszłości, teraz nie miał ochoty przysparzać sobie kłopotów, przynajmniej dopóki ciało znajdowało się na wozie. Dyskretnie otarłam spoczone dłonie o suknię.

Sierżant powoli zapinał guziki munduru, nie spuszczać wzroku z Jamiego.

- Słyszałem, że pojawił się tu jakiś człowiek o nazwisku Fraser, żeby wyssać co się da z pani Cameron z River Run - powiedział, krzywiąc grube wargi. - To chyba o ciebie chodziło?

Spojrzenie niebieskich oczu Jamiego stało się lodowate, choć z ust nie zniknął uprzejmy uśmiech.

- Pani Cameron jest moją krewną. Przyszedłem tutaj w jej imieniu. Sierżant przechylił głowę na bok i z rozmachem podrapał się po szyi. Na tle bladej skóry z fałdami tłuszczu wyraźnie odznaczała się głęboka, czerwona blizna, jakby ktoś kiedyś próbował udusić go garotą.

- Twoja krewna. Każdy może tak powiedzieć, prawda? Ta dama jest ślepa jak kret. Nie ma męża, nie ma synów, doskonały łup dla każdego rzezimieszka, który się nawinie i przedstawi jako krewniak. - Pochylił głowę i spojrzał na mnie z drwiącym uśmieszkiem. Pewność siebie już mu wróciła. - A to, jak sądzę jest twoja współniczka?

- A to jest moja żona, pani Fraser.

Zauważyłam, że Jamie miętosi brzeg zakietu dwoma sztywnymi palcami, była to jedyna zewnętrzna oznaka jego uczuć. Podniósł głowę odrobinę wyżej i zmierzył sierżanta wzrokiem z wyrazem chłodnej ciekawości.

- A pan jest który, sir? Proszę mi wybaczyć słabą pamięć, ale muszę wyznać, że nie potrafię odróżnić pana od brata.

Sierżant, który właśnie zapinał pas, znieruchomiał w pół ruchu, jakby otrzymał postrzał.

- Idź do diabła! - wykrztusił z fioletową twarzą. Pomyślałam, że powinien zadbać o ciśnienie krwi, ale nie powiedziałam tego głośno.

Dopiero teraz sierżant zauważył, że wszyscy w gospodzie przyglądają mu się z zaciekawieniem. Potoczył wokół wściekłym wzrokiem, wcisnął na głowę kapelusz i ruszył do wyjścia, popychając mnie po drodze tak mocno, że się zachwiałam. Jamie przytrzymał mnie za ramię, po czym szybko pobiegł do drzwi. Zrobiłam to samo i zdążyłam usłyszeć, jak woła za sierżantem:

- Murchison! Muszę z tobą porozmawiać!

Tamten obrócił się na pięcie, zwijając dłonie w pięści. Był dość wysoki i potężnej budowy, pasował do munduru. W jego oczach błyszczała złość, ale udało mu się znów opanować.

- Porozmawiać? - powtórzył. - A o czym chce pan ze mną rozmawiać, panie Fraser?

- Rzecz dotyczy pańskich obowiązków służbowych, sierżancie - odrzekł Jamie lodowato i wskazał na wóz stojący pod drzewem. - Przywieźliśmy ciało.

Po raz drugi sierżant zaniemówił. Spojrzał na wóz, nad którym unosiły się chmary much i komarów.

- Rzeczywiście. - A jednak był profesjonalistą. Choć bijąca od niego wrogość nie zmalala nawet o cal, to jednak twarz przybrała normalny kolor, a pięści rozluźniły się. - Ciało? Czyje?

- Nie mam pojęcia, sir. Miałem nadzieję, że to pan będzie mógł mi powiedzieć. Zechce pan rzucić okiem?

Po chwili wahania sierżant krótko skinął głową i podszedł do wozu. Pospieszyłam za Jamiem i zdążyłam zobaczyć wyraz twarzy Murchisona, gdy uniósł brzeg prowizorycznego całunu. Nie potrafił ukrywać emocji, być może w jego profesji nie było to konieczne. Na jego twarzy odbił się szok. Jamie zauważył to równie dobrze jak ja.

- A więc znał ją pan? - zapytał.

- Ja... ona... to znaczy... tak, znałem ją, - Gwałtownie zacisnął usta, jakby się obawiał powiedzieć coś więcej. Patrzył na twarz zmarłej i jego własna twarz tężała z chwili na chwilę.

Z gospody w ślad za nami wyszło kilku mężczyzn. Zatrzymali się dyskretnie w pewnym oddaleniu, ale kilku z nich z zaciekawieniem wyciągało szyje w naszą stronę. Było oczywiste, że już wkrótce cały okręg dowie się, co się zdarzyło w tartaku. Miałam nadzieję, że Duncan i Ian zdążą na czas.

- Co się jej stało? - zapytał sierżant, wpatrując się w nieruchomą, białą twarz. Jego własna twarz była niemal równie blada.

Jamie przyglądał mu się bacznie, wcale tego nie ukrywając.

- Znał ją pan? - powtórzył.

- Ona jest... była... praczką. Lissa... nazywa się Lissa Garver. - Sierżant odpowiadał mechanicznie, patrząc na wóz, jakby nie potrafił oderwać odeń oczu. Twarz miał bez wyrazu, ale wargi mu pobieleły, a dłonie znów zacisnęły się w pięści. - Co się stało?

- Czy ona ma jakąś rodzinę? Męża?

Pytanie było zupełnie uzasadnione, zważywszy na okoliczności, ale Murchison poderwał głowę, jakby Jamie wbił mu nóż w pierś.

- To nie twoja sprawa - warknął i dokoła tęczywek jego oczu pojawiły się białka. Wyszczrzył zęby, co w innych okolicznościach można by uznać za próbę uśmiechu.

- Mów, co się jej stało.

Jamie spojrzał mu prosto w oczy.

- Próbowwała pozbyć się dziecka - powiedział cicho. - Jeśli ma męża, trzeba go zawiadomić. A jeśli nie - jeśli nie ma nikogo - to chcę jej zapewnić przyzwoity pochówek.

Murchison odwrócił głowę i jeszcze raz spojrzał na wóz.

- Ma kogoś - rzekł krótko. - Nie musisz się tym kłopotać. - Odwrócił się i mocno potarł twarz dłońmi, jakby chciał zetrzeć z niej wszelkie uczucia. - Idź do mojego biura - nakazał stłumionym głosem.

- Musisz złożyć oświadczenie. Urzędnik je spisze. Idź!

* * *

Biuro było puste, urzędnik zapewne wyszedł poszukać czegoś do zjedzenia na lunch. Usiadłam, Jamie

jednak krążył niespokojnie po niewielkiej klitce, nieustannie przenosząc spojrzenie z chorągwi regimentu wiszących na ścianie na szafę z szufladami w kącie za biurkiem.

- Cholerny pech! - mruknął pod nosem. - Że też musiał to być akurat Murchison.

- Dobrze go znasz?

Spojrzał na mnie i skrzywił się ironicznie.

- Wystarczająco dobrze. Był w garnizonie więziennym w Ardsmuir.

- Rozumiem. - A więc z pewnością nie czuli do siebie sympatii.

W małym biurze było duszno, otarłam strużkę potu spływającą między piersiami. - Jak sądzisz, skąd on się tu wziął?

- To akurat wiem doskonale. Konwojował więźniów przeznaczonych na sprzedaż. Wyobrażam sobie, że Korona nie widziała żadnego powodu, by ściągać go z powrotem do Anglii, skoro żołnierze potrzebni są tutaj. To było podczas wojny z Francuzami.

- A co to za historia z jego bratem? Jamie wydał z siebie ponure prychnięcie.

- Było ich dwóch - bliźniacy. Mały Billy i Mały Bobby, tak ich nazywaliśmy. Podobni do siebie jak dwie krople wody, nie tylko z wyglądu.

Przerwał, przywołując wspomnienia. Rzadko mówił o latach spędzonych w Ardsmuir i widziałam teraz cienie przeszłości przemykające przez jego twarz.

- Znasz ten gatunek ludzi, którzy w pojedynkę są całkiem przyzwoici, ale gdy znajdą kilku podobnych sobie, zmieniają się w sforę wilków?

- Nie ubliżaj wilkom - uśmiechnęłam się. - Pomyśl o Rollu. Ale tak, wiem, o czym mówisz.

- No to niech będą świnię. W gromadzie zmieniają się w bestie.

W armii nie brakuje takich, wszystkie armie istnieją dzięki nim.

Ludzie w tłumie robią straszne rzeczy, takie, o których w pojedynkę nawet by nie pomyśleli.

- A Murchisonowie nigdy nie działali w pojedynkę?
- domyśliłam się. Skinął głową.

- Właśnie. Zawsze było ich dwóch. Gdy jeden miał skrupuły, to drugi ich nie miał. A jeśli pojawiały się kłopoty, to nigdy nie można było ustalić, który z nich jest winien.

Ciągle chodził od ściany do ściany jak pantera zamknięta w klatce. Zatrzymał się przy oknie i wyjrzał na zewnątrz.

- Ja... więźniowie... czasem skarżyliśmy się, że źle nas traktują, ale oficerowie nie mogli karać obydwu za przewinienia jednego, a nigdy nie było wiadomo, który z Murchisonów przewrócił kogoś na ziemię kopniakiem w zębra albo powiesił na haku za kajdany i kazał mu wisieć tak długo, aż ten narobił w gacie ku radości całego garnizonu.

Utkwił wzrok w czymś, co znajdowało się za oknem. Nie kontrolował w tej chwili swojego wyrazu twarzy, widziałam na niej silne emocje. Mówił o bestiach i dostrzegłam, że te wspomnienia w nim również rozbudziły bestię. Jego oczy, w których odbijało się światło słońca, były kryształowoniebieskie i zupełnie nieruchome.

- Czy obydwaj są tutaj? - zapytałam zarówno z czystej ciekawości, jak i po to, by wyrwać go z tego stanu.

Udało się. Jamie gwałtownie odwrócił się od okna.

- Nie - odrzekł zwięźle. - Ten tutaj to Billy. Mały Bobby zmarł w Ardsmuir. - Dwoma sztywnymi palcami znów zaczął miętosić brzeg kiltu.

Zastanawiałam się rano, dlaczego nie przebrał się w bryczesy, przecież karmazynowy tartan mógł podziałać na Anglika jak czerwona płachta na byka. Teraz już wiedziałam, dlaczego.

Kiedyś już odebrali mu kilt, licząc na to, że tym samym pozbawią go dumy i męstwa. Ponieśli klęskę i Jamie chciał to podkreślić, nie zważając na to, czy postępuje rozsądnie, czy nie. Rozsądek niewiele miał wspólnego z upartą dumą, która potrafiła przetrwać lata zniewag.

Choć nie brakowało mu ani jednego, ani drugiego, teraz duma wzięła górę.

- Sądząc po reakcji sierżanta, nie była to chyba naturalna śmierć?

- Nie. - Westchnął i lekko wzruszył ramionami, skrępowanymi pod przyciasnym żakietem. - Codziennie rano maszerowaliśmy do kamieniołomu i wracaliśmy dopiero o zmierzchu. Każdego wózka pilnowało dwóch, trzech strażników. Pewnego dnia pilnował nas Mały Bobby Murchison. Wszedł razem z nami o poranku, ale wieczorem już nie wrócił. - Znów wyjrzał przez okno. - Na dole w kamieniołomie było bardzo głębokie jeziorko.

Jego beznamiętny ton zmroził mi krew w żyłach w tym samym stopniu co treść opowieści. Pomimo gorąca po plecach przebiegł mi zimny dreszcz.

- Czy ty... - zaczęłam, ale Jamie przyłożył palec do ust, wskazując głową na drzwi. Ja usłyszałam kroki dopiero w chwilę później.

Był to sierżant we własnej osobie, spocony jak mysz. Spod peruki spływały mu na twarz strużki potu, a skóra przybrała kolor wołowej wątróbki. Spojrzał na puste miejsce za biurkiem i mruknął coś niewyraźnie. Współczułam nieobecnemu urzędnikowi. Jednym ruchem ręki sierżant oczyścił biurko z panującego na nim bałaganu, zrzucając na podłogę kaskadę papierów. Chwycił cynowy kałamarz i arkusz papieru i trzasnął nimi o blat.

- Opisz wszystko - zakomenderował. - Gdzie ją znalazłeś, co się wydarzyło. - Rzucił w stronę Jamiego pochłapane inkaustem gęsie pióro. - Podpisz, oznacz datą.

Jamie wpatrywał się w niego spod przymrużonych powiek, ale nie poruszył się. Poczułam nagle gwałtowny ucisk w żołądku. Jamie był z natury leworęczny, lecz w dzieciństwie zmuszano go do pisania prawą ręką, w której potem częściowo stracił władzę. Pisanie było dla niego żmudną mordęgą, po której papier był upstrzony kleksami, poznaczony śladami potu i pomięty, a on sam nie wyglądał o wiele lepiej. Żadna siła na ziemi nie mogła go zmusić, by w taki sposób upokorzył się przed sierżantem.

- Opisz. To. Wszystko - wycedził sierżant przez zęby.

Jamie jeszcze mocniej przymrużył oczy, ale zanim zdążył się odezwać, wyciągnęłam rękę i wyjęłam pióro z ręki sierżanta.

- Ja to zrobię. Ja też tam byłam.

Nie zdążyłam jednak umoczyć pióra w kałamarzu,

bo Jamie pochwycił moją dłoń. Wyjął pióro spomiędzy moich palców i rzucił je na środek biurka.

- Twój urzędnik obsłuży mnie później, w domu mojej ciotki - rzucił krótko w stronę Murchisona. - Chodź, Claire.

Nie czekając na odpowiedź sierżanta, ujął mnie za łokieć i pociągnął do góry. Nim zdążyłam się zorientować, co się dzieje, znaleźliśmy się na zewnątrz. Wóz stojący pod drzewem był już pusty.

- No dobrze, Mac Dubh, na razie jest bezpieczna, ale co do diabła mamy z nią zrobić? - Duncan poskrobał się po zarośniętej brodzie.

Obydwaj z Ianem spędzili trzy dni w lesie na poszukiwaniach, nim udało im się odnaleźć niewolnicę Pollyanne.

- Niełatwo będzie ją stąd ruszyć - wtrącił Ian, zgarniając ze stołu kawałek bekonu. Podzielił go na połowy i jedną podał Rollowi. - Ta biedna kobieta omal nie umarła ze strachu, gdy Rollo zaczął ją obwąchiwać. Całe wieki minęły, nim udało się nam postawić ją na nogi. W ogóle nie pozwalała się wsadzić na konia, musiałem iść obok i trzymać ją przez cały czas, żeby nie upadła.

- Musimy ją wywieźć w jakieś bezpieczne miejsce. - Jokasta zmarszczyła brwi i w zamyśleniu przymknęła niewidzące oczy. - Ten Murchison wczoraj rano znów przyszedł węszyć w tartaku, a wieczorem dostałam wiadomość od Farquarda Campbella. Murchison uznał, że to było morderstwo, i wezwał wszystkich mężczyzn, by przeczesali cały okręg w poszukiwaniu niewolnika, który się tego dopuścił. Farquard był tak wściekły, że obawiałam się,

by nie dostał apopleksji.

- Czy myślicie, że ona mogła to zrobić? - Nie przerywając przeżuwania bekonu, Ian przeniósł wzrok z Jamiego na mnie. - To znaczy przypadkiem?

Choć ranek był upalny, zadrżałam na wspomnienie zimnego metalowego szpikulca.

- Są trzy możliwości: wypadek, morderstwo albo samobójstwo - odpowiedziałam. - Wierz mi, istnieje całe mnóstwo prostszych metod popełnienia samobójstwa. A nie znamy żadnego motywu morderstwa.

- Jakkolwiek było - powiedział Jamie, ucinając dyskusję - jeśli Murchison znajdzie tę niewolnicę, od razu ją powiesi albo zachłoszcze na śmierć. Nie potrzebuje do tego sądu. Nie, musimy ją wywieźć z tego okręgu. Ustaliłem już wszystko z Myersem.

Ponad wrzawę okrzyków i pytań wybił się ostry głos Jokasty:

- Co takiego ustaliłeś z Myersem?

Jamie spokojnie posmarował grzankę masłem i podał ją Duncanowi.

- Zawieziemy tę kobietę w góry - wyjaśnił. - Myers twierdzi, że Indianie przyjmą ją życzliwie. Mówi, że zna dobre miejsce dla niej.

Tam nie dopadnie jej Mały Billy Murchison.

- My? - zapytałam uprzejmie. - A kim są ci „my”? Odpowiedział mi promiennym uśmiechem.

- Myers i ja, Angielko. Muszę się rozejrzeć w tamtej okolicy, zanim nadejdą chłody, a to jest bardzo dobra okazja. Nigdzie nie znalazłbym lepszego przewodnika niż Myers.

Ani słowem nie wspomniał o tym, że on sam również powinien teraz zniknąć z obszaru wpływów Murchisona, ja jednak zauważyłam to przemilczenie.

- Zabierzesz mnie ze sobą, wujku, prawda? - Ian odgarnął z twarzy skołtunione włosy i wpatrzył się w Jamiego z nadzieją. - Wierz mi, będziesz potrzebował kogoś do pomocy przy tej kobiecie. Ona ma rozmiary beczki z melasą.

Jamie uśmiechnął się do siostrzeńca.

- Dobrze, Ian. Przypuszczam, że przyda nam się jeszcze jeden mężczyzna.

- Yhm - odchrząknęłam wymownie, rzucając mu złe spojrzenie.

- Jeśli nie do czegoś innego, to w każdym razie do pilnowania twojej ciotki - dodał gładko, odwdzięczając mi się pięknym za nadobne. - Wyjeżdżamy za trzy dni, Angielko - o ile Myers do tego czasu będzie już mógł wsiąść na konia.

Trzy dni to nie było dużo czasu, ale z pomocą Myersa i Fedry udało mi się zakończyć przygotowania na kilka godzin przed wyjazdem. W niewielkim podróżnym kufierku znalazły się moje lekarstwa i narzędzia, a żywność, koce i przybory do gotowania załadowaliśmy do juków. Pozostała jeszcze tylko kwestia stroju.

Skrzyżowałam na piersi końce długiego, jedwabnego pasa, związałam je w fantazyjny węzeł i przyjrzałam się swojemu dziełu w lustrze. Wyglądało nieźle. Wyciągnęłam ręce i na próbę zaczęłam się kiwać z boku na bok. Tak, powinno być dobrze. Chociaż gdybym przed skrzyżowaniem końców jeszcze raz owinęła pas dokoła...

- Co ty właściwie robisz, Angielko? I co, na miłość boską, masz na sobie? - Jamie, z ramionami skrzyżowanymi na piersiach, stał oparty o drzwi i przyglądał mi się ze zdumieniem.

- Próbuję stworzyć coś w rodzaju biustonosza - oświadczyłam z godnością. - Nie zamierzam przemierzać gór konno w sukni, a nie chcę, by moje piersi przez cały czas podskakiwały bez gorsetu. To bardzo nieprzyjemne uczucie.

- Wyobrażam sobie. - Wszedł do pokoju i okrążył mnie w bezpiecznej odległości, z zainteresowaniem przypatrując się moim dolnym kończynom. - A to co znowu takiego?

- Mówisz o tym? - Oparłam ręce na biodrach, prezentując sznurowane skórzane spodnie, które Fedra, zaśmiewając się histerycznie, uszyła dla mnie z jeleniej skóry dostarczonej przez znajomego Myersa z Cross Creek.

- Nie - rzekł stanowczo. - Nie możesz pojechać w... w... - Bez słowa wskazał na nie ręką.

- W spodniach - odpowiedziałam. - Oczywiście, że mogę. W Bostonie przez cały czas nosiłam spodnie. Są bardzo praktyczne.

Przez chwilę patrzył na mnie w milczeniu, a potem bardzo powoli obszedł mnie dokoła i w końcu odezwał się zza moich pleców.

- Nosiałaś je poza domem? - zapytał z niedowierzaniem. - W miejscach, gdzie ludzie mogli cię zobaczyć?

- Tak - odrzekłam z irytacją. - Podobnie jak większość kobiet.

Dlaczego by nie?

- Dlaczego by nie?! - oburzył się. - Przecież gdy je wkładasz, dokładnie widać kształt twoich pośladków, a nawet, na miłość boską, zagłębienie między nimi!

- Twoje też widać - odparowała, stając twarzą do niego. - Już od wielu miesięcy codziennie oglądam twój tyłek w spodniach, ale tylko od czasu do czasu ten widok prowokuje mnie do nieprzyzwoitych zachowań wobec twojej osoby!

Jego usta zadrgały. Nie mógł się zdecydować, czy ma się roześmiać, czy też nie. Wykorzystując sytuację, podeszła bliżej, objęła go w pasie i mocno ścisnęła pośladki.

- Prawdę mówiąc, to mam ochotę rzucić cię na ziemię i posiąść zawsze wtedy, gdy jesteś w kilcie - oznajmiła. - Ale w bryczesach również wyglądasz nie najgorzej.

Roześmiał się w końcu i zaczął mnie całować. Jego ręce starannie badały tylne partie mojego ciała, skryte pod jelenią skórą.

- Zdejmij je - powiedział, robiąc pauzę na zaczerpnięcie oddechu.

- Ale ja...

- Zdejmij je - powtórzył stanowczo. Odsunął się i rozluźnił sznurówkę przy rozporku. - Potem możesz je znów włożyć, Angielko, ale jeśli ktoś tu ma rzucać kogoś na ziemię i gwałcić, to pozwolisz, że ja się tym zajmę, jasne?

CZEŚĆ PIĄTA

Strawberry Fields Forever

14. Ucieczka przed przyszłym gniewem

Sierpień 1767

Ukryli ją w szopie do suszenia tytoniu na odległym krańcu plantacji Farquarda Campbella. Było mało prawdopodobne, by zauważył ją ktokolwiek oprócz niewolników Campbella, którzy i tak już wiedzieli o wszystkim, ale na wszelki wypadek przybyliśmy tam po zmierzchu. Lawendowe niebo mocno już poszarzało i na jego tle z trudem można było wyróżnić ciemny zarys szopy.

Wysunęła się ze środka jak duch, owinięta w płaszcz z kapturem.

Pospiesznie wsadzono ją na dodatkowego konia, niczym pakunek z kontrabandą, którą w gruncie rzeczy była. Podciągnęła wysoko nogi i w panice, zgięta wpół, uczepiła się siodła obiema rękami. Widać było, że pierwszy raz w życiu siedzi na końskim grzbiecie.

Myers próbował dać jej do ręki wodze, ale nie zwróciła na niego uwagi. Trzymała się kurczowo siodła i wydawała z siebie melodyjne jęki, które brzmiały jak pieśń cierpienia i przerażenia. Mężczyźni zaczęli się niecierpliwie, spoglądali przez ramię na puste pola, jakby oczekiwali, że w każdej chwili może wyłonić się stamtąd sierżant Murchison ze swoją gwardią.

- Niech jedzie razem ze mną - zaproponowałam. -
Może w ten sposób poczuje się bezpieczniej.

Z pewnym trudem udało im się zdjąć kobietę z siodła i posadzić na końskim zadzie za moimi plecami. Poczulałam od niej mocny, odurzający zapach świeżych liści tytoniu, a także jakąś inną, piżmową nutę. Natychmiast objęła mnie w pasie, trzymając się mocno, jak koła ratunkowego. Poglądziłam jedną z dłoni oplecionych wokół

mojego ciała i uściśnęła mnie jeszcze mocniej, ale nie poruszyła się ani nie odezwała.

Nic dziwnego, że jest przerażona, pomyślałam, kierując konia w ślad za koniem Myersa. Może nie wiedziała, że Murchison postawił na nogi cały dystrykt, jednak z pewnością nie miała złudzeń co do tego, jaki los ją czeka, jeśli zostanie schwytana. Nie ulegało wątpliwości, że była w tłumie w tartaku dwa tygodnie wcześniej.

Sądząc po tym, jak drżała na całym ciele, szukanie schronienia u czerwonoskórych dzikusów wydawało jej się tylko odrobinę lepsze od pewnej śmierci. Trzęsa się, jakby miała dreszcze, choć pogoda była upalna.

Na widok Rolla, który wysunął się zza krzaków jak leśny demon, omal nie wycisnęła ze mnie wnętrzości. Mój koń również nie był zachwycony, stanął dęba i parszając, próbował mi wyrwać wodze.

Musiałam przyznać, że było się czego przestraszyć. Rollo nawet w przyjacielskim nastroju, jak w tej chwili - uwielbiał bowiem podróże - wyglądał złowieszczo, gdy tak szczyrzył w zachwycie wszystkie zęby, wężąc w powietrzu z na wpół przymkniętymi ślepiami. Jego czarno - szare futro stapało się z mrokiem, co jeszcze potęgowało dziwne, niepokojące wrażenie, że jest emanacją ducha nocy, żywym wcieleniem Głodu. .

Gdy przebiegł tuż obok, kobieta głośno westchnęła. Poczulałam na szyi jej gorący oddech i znów pogładziłam ją po dłoni, szepcząc do niej uspokajająco, ale nie odpowiedziała. Duncan mówił, że urodziła się w Afryce i słabo zna angielski, z pewnością jednak musiała rozumieć przynajmniej niektóre słowa.

- Wszystko będzie dobrze - powtórzyłam raz jeszcze.
- Nie bój się. Zajęta koniem i pasażerką zauważyłam Jamiego dopiero w chwili, gdy pojawił się przy moim strzemieniu. Kroki miał równie lekkie jak Rollo.

- Wszystko w porządku, Angielko? - zapytał cicho, kładąc dłoń na moim udzie.

- Chyba tak - odrzekłam, ruchem głowy wskazując na zaciśnięte wokół mnie ramiona. - O ile tylko nie umrę przez uduszenie.

Spojrzał i uśmiechnął się.

- Przynajmniej nie grozi jej, że spadnie.

- Chciałabym ją jakoś pocieszyć. Biedactwo trzęsie się ze strachu. Czy ona chociaż wie, dokąd ją zabieramy?

- Chyba nie. Ja sam nie wiem, dokąd jedziemy.

Miał na sobie spodnie do konnej jazdy przewiązane po wierzchu pledem, którego wolny koniec przerzucony był przez ramię. Ciemny tartan wtapiał się w mrok lasu równie dobrze jak w cieniste szkockie wrzosowiska, dostrzegałam tylko białą plamę koszuli i jasny owal twarzy.

- Czy znasz jakieś słowa w taki - taki, które mógłbyś jej powiedzieć? Chociaż tego też może nie zrozumieć, jeśli nie przybyła tu przez Indie Zachodnie.

Odwrócił głowę i z namysłem przyjrzał się mojej pasażerce.

- Ach. No cóż, jest coś, co oni wszyscy rozumieją, bez względu na to, skąd pochodzą. - Wyciągnął rękę i mocno uściśnął stopę kobiety. - Wolność - powiedział i po chwili dodał: - Saorsa.

Rozumiesz, co mówię?

Nie rozluźniła uchwytu, ale głęboko westchnęła i

wydawało mi się, że skinęła głową.

Konie szły gęsiego jeden za drugim. Myers prowadził. Nierówna ścieżka nie była nawet drogą dla wozów, a raczej pasem, gdzie poszycie zdawało się rzadsze, ale w każdym razie pozwalała przejechać między drzewami.

Wątpiłam, by zemsta sierżanta Murchisona - o ile w ogóle wyruszył za nami w pościg - mogła dosięgnąć nas aż tutaj, lecz wciąż czuliśmy się jak zbiegowie. Mieliśmy wrażenie, że należy się spieszyć, i choć nie rozmawialiśmy na ten temat, zapadła milcząca decyzja, by dojechać tej nocy tak daleko, jak tylko się da.

Moja pasażerka albo przełamała już lęk, albo też była zbyt zmęczona, by o tym myśleć. Po północy zatrzymaliśmy się na posiłek, a potem bez protestów pozwoliła Ianowi i Myersowi wsadzić się na grzbiet konia i choć ani na chwilę nie przestała obejmować mnie w pasie, od czasu do czasu chyba zapadała w drzemkę z czołem przyciśniętym do mojego ramienia.

Ja również zaczynałam już czuć zmęczenie długą jazdą. Stukot końskich kopyt działał usypiająco, podobnie jak niekończący się szmer sosen nad naszymi głowami. Wciąż byliśmy w lesie iglastym i wysokie, proste pnie otaczały nas ze wszystkich stron jak maszty dawno zatopionych statków. Przez mój umysł przebiegały fragmenty starej szkockiej piosenki: „Ile poziomek rośnie w słonym morzu, ile statków żegluje po lesie?”. Zastanawiałam się w półprzytomnie, czy ten, kto ją napisał, szedł kiedyś przez podobny las spowity nieziemskim światłem księżycy i gwiazd, zupełnie jak ze snu. Granice żywiołów zacierały się i sama już nie wiedziałam, czy

poruszamy się po ziemi, czy też płyniemy, gdyż wznoszenie i opadanie końskiego grzbietu przypominało wznoszenie i opadanie desek pokładu, a szmer sosen brzmiał jak szum wiatru w żaglach.

Zatrzymaliśmy się o świcie. Rozsiodłaliśmy konie, spętaliśmy je i zostawiliśmy na niewielkiej, porośniętej wysoką trawą łączce.

Znalazłam Jamiego i natychmiast ułożyłam się przy nim na trawie.

Ostatnią rzeczą, jaką słyszałam przed zaśnięciem, było spokojne przeżuwanie posilających się koni.

Przespaliśmy najgorętszą część dnia i obudziliśmy się tuż przed zachodem słońca, zesztywniali, spragnieni i pokryci kleszczami.

Niezmiernie się cieszyłam, że kleszcze, podobnie jak komary, czuły niechęć do mojego ciała, ale podczas podróży na północ nauczyłam się sprawdzać Jamiego i innych za każdym razem, gdy budziliśmy się ze snu. Zawsze znajdowałam jakichś intruzów.

- Uch - powiedziałam, patrząc na szczególnie okazały egzemplarz wielkości winogrona, który znalazł sobie wygodne miejsce pośród miękkich, jasnorudych włosów pod pachą Jamiego. - A niech to. Boję się go wyciągnąć, jest tak pełny, że pęknie przy dotknięciu.

Jamie wzruszył ramionami, drugą ręką przegarniając włosy w poszukiwaniu kolejnych niechcianych gości.

- Zostaw go i zajmij się innymi. Może sam odpadnie.

- Chyba tak zrobię - zgodziłam się niechętnie. Nie miałam nic przeciwko temu, by kleszcz pękł, wolałam jednak, by nie stało się to w chwili, gdy szczęki wciąż miał

zanurzone w ciele Jamiego.

Widywałam już infekcje spowodowane przez siłą wyjęte kleszcze i nie miałam ochoty zmagać się z czymś takim w środku lasu. Zabrałam ze sobą tylko podstawowe przybory medyczne, choć na szczęście były wśród nich doskonale szczypczyki ze skrzynki doktora Rawlingsa.

Myers i Ian radzili sobie na własną rękę. Obydwaj byli nadzy do pasa. Myers niczym wielki, czarny pawian przykucnął nad chłopcem i rozgarniał palcami jego włosy.

- Tu jest taki mały. - Jamie pochylił się i odsunął włosy na bok, odsłaniając nieduży, czarny punkcik za uchem. Próbowałam go delikatnie wyciągnąć, gdy uświadomiłam sobie, że ktoś stoi przy moim łokciu.

Gdy zatrzymaliśmy się na postój, byłam zbyt zmęczona, by zwracać uwagę na naszą uciekinierkę. Sądziłam, że raczej nie oddali się nigdzie na własną rękę na tym odludziu. Ona jednak poszła do pobliskiego strumienia i wróciła z wiadrem wody. Postawiła je na ziemi, zaczerpnęła wody dłonią i wlała ją sobie do ust. Przez chwilę żuła coś intensywnie z wydętymi policzkami, po czym odsunęła mnie na bok, uniosła ramię zaskoczonego Jamiego i obficie splunęła pod jego pachę. Wyciągnęła rękę i dotknęła pasożyta delikatnie, jakby chciała go połaskotać. Z pewnością udało jej się połaskotać Jamiego, który te okolice miał bardzo wrażliwe na dotyk. Poróżowiał na twarzy i wszystkie mięśnie na jego piersiach zadrgały, dziewczyna jednak mocno przytrzymała go za przegub i po krótkiej chwili napęczniały kleszcz wpadł we wnętrze jej dłoni. Odrzuciła go ze wstrętem i spojrzała na mnie, zadowolona.

Wcześniej przypominała mi kulkę owiniętą w płaszcz. Bez płaszcza nadal wyglądała jak kulka. Była bardzo niska, mogła mieć nie więcej niż metr dwadzieścia wzrostu i niemal tyle samo wszerz.

Głowa o krótko ostrzyżonych włosach przypominała kulę armatnią, a policzki miała tak okrągłe, że oczy nad nimi wydawały się wąskie jak szparki. Z szerokimi biodrami, ciężką sylwetką i ciemną skórą w charakterystycznym dla Kongijczyków kolorze palonej kawy, tak gładką, że pod cienką warstewką potu wyglądała jak wypolerowany kamień, przypominała mi posążki afrykańskich bogiń płodności, które widziałam w Indiach Zachodnich. Wyciągnęła do mnie rękę, pokazując kilka małych przedmiotów o kształcie i wielkości suszonej fasoli limeńskiej.

- Asymina - powiedziała głosem tak głębokim, że nawet Myers odwrócił głowę i spojrzał na nią z zaskoczeniem. Ten głos był donośny, pełny, wibrujący jak dźwięk bębna. Na widok mojej reakcji uśmiechnęła się nieśmiało i powiedziała coś, czego nie zrozumiałam, choć wiedziałam, że to po gaelicku.

- Ona mówi, że nie wolno połykać tych nasion, bo są trujące - przetłumaczył Jamie, spoglądając na nią ostrożnie i ocierając pachę skrajem tartanu.

- Hau - zgodziła się Pollyanne, energicznie kiwając głową. - Tu - jonce. - Pochyliła się nad wiadrem, zaczerpnęła jeszcze jedną garść wody, wypłukała usta i wypluła wodę na kamień. Splunięcie było głośnie jak wystrzał.

- Trzeba na ciebie uważać - uśmiechnęłam się. Nie

byłam pewna, czy zrozumiała, ale uśmiech świadczył o tym, że miał to być życzliwy żart. Wsunęła do ust jeszcze dwa nasiona asyminy i przeżuwając je, skinęła na Myersa. Rozgniatane zębami nasiona trzaskały w jej ustach.

Zjedliśmy kolację i gdy zaczęliśmy się zbierać do odjazdu, Pollyanne z pewną nerwowością zdecydowała, że spróbuje pojechać sama. Jamie podprowadził ją do konia i pokazał, jak należy dać się obwąchać. Trącona wielkimi nozdrzami, zadrżała, a gdy koń parsknął, podskoczyła i wybuchnęła chichotem miękkim jak odgłos wylewającego się z dzbanka miodu, lecz pozwoliła, by Jamie i Ian podsadzili ją na siodło.

Mężczyźni wciąż ją onieśmialali, ale wkrótce zebrała się na odwagę, by porozmawiać ze mną dziwną mieszanką gaelickiego, angielskiego i własnego języka. Nie potrafiłabym przetłumaczyć słów, ale jej twarz i ciało miały w sobie tyle ekspresji, że choć ledwie jedno słowo na dziesięć brzmiało znajomo, rozumiałam większość z tego, co mówiła. Żałowałam tylko, że ja sama nie jestem równie biegła w języku ciała. Pollyanne nie rozumiała większości moich pytań i uwag, musiałam więc poczekać, aż znów się zatrzymamy i będę mogła poprosić Jamiego lub Iana o pomoc z gaelickimi słowami.

Uwolniona - przynajmniej chwilowo - od strachu, powoli zaczynała czuć się w naszym towarzystwie bezpiecznie i ukazywać swoje żywe usposobienie. Jechała obok mnie, nie przestając mówić i nie zważając na to, czy ją rozumiem. Od czasu do czasu wybuchwała niskim, huczącym śmiechem, który brzmiał jak dudnienie wiatru w otworze jaskini.

Ucichła tylko raz, gdy przejeżdżaliśmy przez dużą polanę pokrytą porośniętymi trawą wzgórkami. Miały dziwny kształt, jakby pod ziemią zagrzebany był wielki wąż. Na widok tego miejsca Pollyanne ucichła i próbowała popędzić konia, ale udało jej się tylko szarpnąć wodze i zatrzymać go w miejscu. Podjechałam do niej, by pomóc.

- Droch aite - wymruczała, kątem oka zerkając na milczące wzniesienia. Złe miejsce. - Djudju. - Wykrzywiła się i szybko wykonała ręką jakiś gest, zapewne znak odpędzający zło.

- Czy to jest cmentarz? - zapytałam Myersa, który zawrócił, by sprawdzić, dlaczego się zatrzymałyśmy. Wzgórki były rozmieszczone nierównomiernie wzdłuż skraju polany i nie przypominały żadnych naturalnych formacji. Wydawały się jednak za duże na groby, chyba że miały to być kurhany, takie jakie budowali starożytni Szkoci. Albo masowe groby, pomyślałam z niepokojem, przypominając sobie Culloden.

Myers zsunął kapelusz na tył głowy.

- Niezupełnie. Kiedyś tu była wieś, zdaje się, że Indian Tuskarora. Te wzgórki - wskazał je ręką - to ślady po zrujnowanych domach. Ten wielki, tam z boku, to był dom wodza. Trawa zarasta błyskawicznie, ale wygląda na to, że ta wieś przestała istnieć już dawno.

- A co się z nią stało? - Ian i Jamie również wrócili, by przyjrzeć się polanie. Myers z zamyśleniem poskrobał się po brodzie.

- Trudno powiedzieć. Może wygoniła ich choroba, a może Czirokezi albo Indianie Creek, chociaż jesteśmy trochę za daleko na północ od ziem Czirokezów. Ale to się

zapewne zdarzyło podczas wojny. - Pogrzebał palcami wśród kosmyków brody i wyciągnął szczątki zapomnianego kleszcza. - Nie wiem, ale nie mam ochoty zatrzymywać się tu dłużej.

Pollyanne najwyraźniej była tego samego zdania. Ruszyliśmy dalej i przed wieczorem zostawiliśmy za sobą sosny i dęby porastające pogórze. Dalej zaczynała się prawdziwa wspinaczka. Roślinność zmieniła się: mijaliśmy teraz grupy kasztanowców, spore połacie dębu i drzew hikorowych, otoczeni zielonymi falami rozproszonych tu i ówdzie dereni, persymony, niskich kasztanowców i topoli.

Powietrze też się zmieniało. Duszące, żywiczne wonie zastąpione zostały przez lżejsze, bardziej zróżnicowane zapachy. Woń liści mieszała się z aromatami krzewów i kwiatów wyrastających z każdego załomu splekanych skał. Wciąż było wilgotno i parno, ale już nie tak gorąco. Powietrze przestało przypominać ciężki koc, dało się nim oddychać, i to z przyjemnością. Przesycone było woniami gnijącej ściółki, nagranych w słońcu liści i wilgotnego mchu.

O zmierzchu szóstego dnia znaleźliśmy się już daleko w górach, otoczeni szmerem wody. Doliny poprzecinane były we wszystkie strony strumieniami, które opadały ze skalnych progów i sączyły się po stromych urwiskach, otoczone mgiełką i delikatnymi zielonymi falbankami mchu. Objechaliśmy dokoła strome wzgórze i zatrzymałam się z zadziwieniem: ze zbocza odległej góry w powietrze wzlatywał wodospad, łuk wody sięgał na dobre dwadzieścia metrów w dal i opadał w przepaść.

Ian również otworzył usta z zachwyty.

- Widzieliście kiedyś coś podobnego?

- Bardzo ładne - zgodził się Myers skwapliwie, z takim wyrazem twarzy, jakby był właścicielem tego miejsca. - To nie jest największy wodospad, jaki widziałem, ale jest bardzo ładny.

Ian spojrział na niego szeroko otwartymi oczami.

- Są jeszcze większe?

Myers zaśmiał się cichym jak oddech, ledwie słyszalnym śmiechem górala.

- Chłopcze, ty jeszcze nic nie widziałeś.

Tę noc spędziliśmy w kotłince przy brzegu strumienia, na tyle dużego, że można było spodziewać się w nim pstrągów. Jamie i Ian weszli do wody i próbowali wypłoszyć je uderzeniami witek wyciętych z czarnej wierzby. Miałam nadzieję, że im się poszczęści.

Kończyły się nam zapasy świeżej żywności, choć mieliśmy jeszcze mnóstwo mąki kukurydzianej.

Pollyanne wdrapała się na brzeg strumienia z wiadrem wody na kolejną porcję ciastek kukurydzianych, które zwykle robiło się podczas podróży. Miały podłużny kształt, świeże i gorące były całkiem smaczne, następnego dnia były jeszcze jadalne, z czasem niestety stawały się coraz mniej apetyczne, a czwartego dnia przypominały kawałki cementu. Jednak dobrze nadawały się do transportu i nie pleśniały, toteż wraz z suszoną wołowiną i soloną wieprzowiną stanowiły podstawowe pożywienie podróżnych.

Naturalna żywiolowość Pollyanne nieco przycichła. Jej okrągła twarz wydawała się pokryta cieniem. Brwi miała tak cienkie, że prawie niewidoczne, co paradoksalnie

sprawiało, że jej twarz w ruchu stawała się jeszcze bardziej ekspresyjna, a w bezruchu traciła wszelki wyraz. Gdy chciała, potrafiła wyglądać biernie jak martwy przedmiot; bardzo użyteczna cecha u niewolnika.

Przypuszczałam, że przynajmniej po części jej przygnębienie spowodowane jest tym, że miała to być ostatnia noc spędzona razem z nami. Dotarliśmy już w głąb kraju, do granicy ziem królewskich.

Nazajutrz Myers miał ruszyć na północ i przeprowadzić ją przez górski grzbiet na tereny Indian, gdzie miała szansę odnaleźć bezpieczeństwo i rozpocząć nowe życie.

Z okrągłą, ciemną głową pochyloną nad drewnianą miską mieszała krótkimi, pękatymi palcami mąkę kukurydzianą z wodą i tłuszczem. Przykucnęłam naprzeciwko niej, dokładając patyczków do malutkiego ogniska. Obok stała w pogotowiu natłuszczona blacha z kutego żelaza. Myers odszedł na bok i zapalił fajkę. Słyszałam nawoływanie Jamiego gdzieś w dole strumienia i śmiech Iana w odpowiedzi.

Zapadł już zmierzch. Zdawało się, że mrok wypełnia naszą kotlinkę, otoczoną przez posępne góry, i pełnie coraz wyżej po pniach drzew. Nie miałam pojęcia, skąd pochodzi Pollyanne - czy urodziła się w lesie, czy w dżungli, na wybrzeżu morskim czy na pustyni, ale nie sądziłam, by to miejsce choć trochę przypominało okolicę, w której teraz się znajdowaliśmy.

O czym mogła myśleć? Przetrwiała podróż z Afryki i niewolnictwo, a to, co jeszcze ją czekało, nie mogło być o wiele gorsze. Miała jednak wyruszyć w nieznaną, zapuścić się w dziki kraj, przestrzeń tak bezmierną, że przez cały czas

odnosiłam wrażenie, jakby lada chwila mogła mnie pochłonąć, jakbym mogła rozpuścić się w niej bez śladu. Nasze ognisko wydawało się ledwie drobną iskrą na tle przytłaczającej, rozległej nocy.

Rollo wszedł w krąg światła i otrząsnął się, rozpylając na wszystkie strony krople wody. Widocznie on również przyłączył się do połowu ryb. Ogień zasyczał i zatrząsał.

- Idź stąd, okropny psie - odpędziłam go, ale on oczywiście nie posłuchał. Zbliżył się do mnie i niegrzecznie trącił mnie nosem, by się upewnić, że nadal jestem tym, za kogo mnie uważa, a potem w ten sam sposób potraktował Pollyanne.

Nie zmieniając wyrazu twarzy, obróciła głowę i splunęła mu prosto w oko. Zaskowyczał, cofnął się i stał, potrząsając łbem, z wyrazem zupełnego ogłupienia na pysku. Pollyanne spojrzała na mnie i uśmiechnęła się szeroko, ukazując olśniewająco białe zęby.

Roześmiałam się i pomyślałam, że nie muszę się o nią martwić: każdy, kto potrafił splunąć w oko wilkowi, zapewne poradzi sobie również z Indianami, dziczą i wszystkim innym, co tylko może się przytrafić.

Miska była już niemal pusta, równy rząd ciastek leżał na blasze. Pollyanne wytarła palce o trawę, nie spuszczać oka z żółtego ciasta, które zaczęło skwierczeć i brązowieć od topiącego się tłuszczu.

Znad ognia rozniósł się ciepły, kojący zapach pomieszany z aromatem palącego się drewna. Zaburczało mi w brzuchu. Ogień wydawał się teraz bardziej namacalny, zapach świeżego jedzenia rozchodził się coraz dalej,

odpędzając noc.

Czy tak samo było tam, skąd pochodziła? Czy ogień i pożywienie odpędzały mrok dżungli, chroniły przed lampartami zamiast przed niedźwiedziami? Czy tam również światło i towarzystwo przynosiło jej pociechę i złudzenie bezpieczeństwa? Było to bowiem tylko złudzenie - ogień nie ochronił jej przed ludźmi ani przed ciemnością, która ją pochłonęła. Nie potrafiłam znaleźć słów, by o to zapytać.

- Jeszcze nigdy nie widziałem czegoś podobnego - powtórzył Jamie po raz czwarty z rzędu, z rozmarzonym wyrazem twarzy rozłamując parującego pstrąga w kukurydzianej panierce. - Dosłownie roili się w wodzie, prawda, Ian?

Ian skinął głową i na jego pocziwej twarzy ukazał się podobny wyraz nabożeństwa.

- Mój tata oddałby drugą nogę, żeby to zobaczyć. Same wskakiwały na haczyk, słowo daję, ciociu.

- Indianie zwykle nie zwracają sobie głowy linkami i haczykiem - wtrącił Myers, zgrabnie nadziewając kawałek ryby na nóż. - Zastawiają sidła i budują pułapki, a czasami przegradzają strumień patykami i śmieciami, żeby zatrzymać ryby, a potem stają nad brzegiem z zaostrzonym kijem i nabijają je na ostrze.

To w zupełności wystarczyło, by pobudzić zainteresowanie Iana.

Każda wzmianka o Indianach i ich sposobie życia wywoływała niekończący się potok jego pytań. Gdy już wyczerpał temat połowu ryb, znów zapytał o opuszczoną wioskę.

- Mówił pan, że to się mogło zdarzyć podczas wojny
- rzekł.

Wyciągnął kręgosłup z parującego pstrąga i potrząsał rybą, żeby ją ostudzić, a potem rzucił filet Rollowi, który połknął go bez gryzienia, nie zważając na temperaturę. - Czy chodziło o wojnę z Francuzami?

Nie wiedziałem, że tutaj na południu były jakieś walki.

Myers pokręcił głową, przeżuł i połknął, a potem odpowiedział:

- Och, nie. Mówiłem o wojnie Tuskarora. W każdym razie biali tak ją nazywają.

Wyjaśnił, że wojna Tuskarora była krótkim, lecz brutalnym konfliktem, który wybuchł przed czterdziestu laty, a spowodowany był atakiem na osadników. W odwecie gubernator kolonii wysłał oddziały wojska na wioski plemienia Tuskarora. Wynikła z tego seria krótkich bitew, które koloniści, znacznie lepiej uzbrojeni, wygrali bez trudu, tym samym wyniszczając cały naród Tuskarora.

Myers skinął głową w stronę ciemności.

- Teraz nie zostało więcej niż siedem wiosek Tuskarora i oprócz jednej żadna nie liczy więcej niż sto pięćdziesiąt dusz. Tak żałośnie osłabione plemię musiałoby wkrótce paść ofiarą sąsiadów i zniknąć z powierzchni ziemi, gdyby nie to, że zostali adoptowani przez Mohawków, a tym samym stali się częścią potężnej Ligi Irokeskiej.

Jamie wrócił do ognia z butelką wyciągniętą z sakwy przy siodle.

Była to szkocka whisky, prezent na odjazdne od Jokasty. Nalał odrobinę do kubka i podał butelkę Myersowi.

- Zdawało mi się, że kraj Mohawków jest daleko na północy - rzekł. - Jakim sposobem mogli zaofiarować ochronę swoim braciom, którzy mieszkają tutaj, otoczeni wrogimi plemionami?

Myers z przyjemnością przepłukał usta whisky.

- Mmm. Dobry trunek, przyjacielu Jamesie. To prawda, Mohawkowie mieszkają daleko stąd, ale z narodem irokeskim trzeba się liczyć, a spośród wszystkich sześciu plemion Mohawkowie są najwaleczniejsi. Nikt, biały czy czerwony, nie chce im się narażać bez potrzeby, o nie.

To było niezmiernie interesujące. Ucieszyła mnie również informacja, że terytorium Mohawków znajduje się daleko stąd.

- A dlaczego Mohawkowie zgodzili się zaadoptować Tuskarora?

- zapytał Jamie, unosząc brwi. - Skoro są tak waleczni, jak mówisz, to chyba nie potrzebowali sojuszników?

Pod wpływem dobrej whisky piwne oczy Myersa przymrużyły się w dwie rozmarzone szparki.

- Och tak, są bardzo waleczni, ale są też śmiertelni - wyjaśnił. - Wszyscy Indianie lubią rozlew krwi, a Mohawkowie najbardziej. To ludzie honoru. - Uniósł w górę gruby palec. - Zabijają z wielu powodów. Niektóre z nich są rozsądne, inne nie. Najeżdżają jedni drugich i zabijają się dla zemsty, a nic nie powstrzyma Mohawka, który poprzysiągł komuś zemstę, chyba tylko jego własna śmierć. A i wówczas będzie się miało na głowie jego brata, syna albo siostrzeńca.

Powoli oblizwał usta, delektując się posmakiem

trunku.

- Indianie czasami zabijają bez żadnego istotnego powodu, szczególnie pod wpływem alkoholu.

- To całkiem jak Szkoci - mruknęłam do Jamiego, który odpowiedział mi chłodnym spojrzeniem.

Myers powoli obracał butelkę w dłoniach.

- Każdy człowiek, który wypije nieco za dużo, zaczyna głupio postępować, ale gdy idzie o Indian, już pierwsza kropla przebiera miarę. Słyszałem o wielu masakrach, do których nigdy by nie doszło, gdyby nie wpadli w szal po pijanemu. - Pokręcił głową i wrócił do tematu: - Jakkolwiek by patrzeć, to trudne i krwawe życie. Niektóre plemiona całkiem znikają z powierzchni ziemi, a żadne nie ma nadmiaru ludzi, dlatego adoptują innych, żeby zastąpić tych, którzy zginęli w walce albo zmarli na różne choroby. Czasami biorą jeńców, przyjmują ich do rodziny i traktują jak swoich. Tak właśnie będzie z panią Pollyanne. - Ruchem głowy wskazał na dziewczynę, która cicho siedziała przy ogniu, nie zwracając uwagi na jego słowa. - Tak więc jakieś pięćdziesiąt lat temu Mohawkowie adoptowali całe plemię Tuskarora. Niewiele jest plemion, które mówiłyby dokładnie tym samym językiem, ale niektóre języki są sobie bliższe niż inne. Język Tuskarora bardziej przypomina język Mohawków niż mowę Indian Creek czy Czirokezów.

- A czy pan, panie Myers, zna język Mohawków? - Słuchając całej tej przemowy, Ian pilnie nadstawiał uszu. Podczas naszej podróży fascynował go każdy mijany kamień, drzewo i ptak, ale jeszcze bardziej fascynowały go wszelkie wiadomości o Indianach.

Myers skromnie wzruszył ramionami.

- Trochę. Każdy handlarz podłapuje po kilka słów tu i tam. Idź stąd, psie. - Rollo, który niebezpiecznie zbliżył nos do ostatniego pstrąga Myersa, zastrzygł uszami, ale nie cofnął się.

- Czy chce pan zawieźć panią Pollyanne do plemienia Tuskarora?

- zapytał Jamie, krusząc ciastko kukurydziane na mniejsze kawałki, które dawało się zjeść.

Myers skinął głową, pracowicie poruszając szczękami. Pozostało mu tylko kilka własnych zębów, toteż nawet świeże ciastka stanowiły dla niego pewne ryzyko.

- Tak. To jakieś cztery, pięć dni jazdy stąd - wyjaśnił. Spojrzał na mnie i uśmiechnął się pocieszająco. - Dopilnuję, żeby dobrze ją przyjęli, pani Claire. Nie musi się pani o nią martwić.

- Ciekaw jestem, co Indianie o niej pomyślą? - zapytał Ian, spoglądając na dziewczynę z zainteresowaniem. - Czy widzieli już kiedyś czarną kobietę?

Myers roześmiał się tylko.

- Chłopcze, wielu Tuskarora jeszcze nigdy nie widziało białego.

Widok panny Polly nie zdziwi ich bardziej niż widok twojej ciotki. - Zaczerpnął łyk wody i przepłukał usta, patrząc na Pollyanne z namysłem. Poczula na sobie jego wzrok i odpowiedziała mu nieskrępowanym spojrzeniem. - Myślę, że im się spodoba. Lubią pulchne kobiety. - Było oczywiste, że Myers również podzielał to upodobanie. W jego wzroku wędrującym po postaci Pollyanne malowało się uznanie zabarwione niewinnym pożądaniem.

Pollyanne zauważyła to i zaszła w niej niezwykła zmiana.

Właściwie nie poruszyła się, a mimo to w jednej chwili cała jej istota skupiła się na Myersie. Jej oczy, czarne i nieprzeniknione, jakby pozbawione białek, lśniły w świetle ognia. Wciąż była niska i ciężka, ale jednym, niemal niezauważalnym drgnieniem udało jej się podkreślić wcięcie w talii i szerokie biodra, których krzywizna obiecywała pełnię zmysłowości.

Myers głośno przełknął ślinę.

Oderwałam wzrok od tej sceny i zauważyłam, że Jamie również przypatruje się dziewczynie. Na jego twarzy malowało się coś pośredniego między rozbawieniem a troską. Szturchnęłam go nieznacznie i przymrużyłam oczy, starając się bez słów przekazać mu prośbę: „Zrób coś!”.

Przymrużyłam jedno oko, a ja z kolei otworzyłam swoje najszerzej, jak potrafiłam, domagając się wzrokiem: „Nie wiem co, ale coś zrób!”.

Odchrząknął, pochylił się do przodu i położył dłoń na ramieniu Myersa, wrywając wielkoluda z chwilowego transu.

- Chciałbym mieć pewność, że ta kobieta nie zostanie w żaden sposób wykorzystana - rzekł uprzejmie, wymawiając słowo „wykorzystana” na szkocką modłę, tak że mogło sugerować wszelkiego rodzaju nieprawości, i ścisnął ramię Myersa. - Czy może pan zagwarantować jej bezpieczeństwo, panie Myers?

Olbrzym spojrział na niego z niezrozumieniem. Minęła dłuższa chwila, nim w jego przekrwionych, piwnych oczach pojawił się błysk świadomości. Powoli uwolnił

ramię, podniósł kubek, dopił resztę whisky, zakaszał i otarł usta. Możliwe, że się zarumienił, choć nie sposób było tego zauważyć w gąszczu brody.

- Och, tak. To znaczy, chciałem powiedzieć, nie, absolutnie nie ma się czego obawiać. W obydwu tych plemionach, u Mohawków i wśród Tuskarora, to kobiety decydują, z kim chcą sypiać, a nawet za kogo chcą wyjść. Nie istnieje wśród nich coś takiego jak gwałt. O nie, nie, proszę pana. Nie zostanie wykorzystana, mogę to panu obiecać.

- To dobrze. Cieszę się, że to słyszę. - Jamie rozluźnił się i kątem oka rzucił mi spojrzenie, które miało oznaczać: „Mam nadzieję, że jesteś zadowolona”. Uśmiechnęłam się lekko.

Ian, który nie miał jeszcze szesnastu lat, ale był wystarczająco bystry, by nie umknęło mu nic z tej rozmowy, zakaszał znacząco na szkocki sposób.

- Wujku, pan Myers zaproponował mi, żebym pojechał razem z nim i panią Polly i obejrzał sobie wioskę Indian. Ja też dopilnuję, żeby dobrze ją potraktowano.

- Ty... - zaczął mówić Jamie, ale urwał i ponad płomieniami ogniska obrzucił siostrzeńca długim, twardym spojrzeniem. Niemal słyszałam myśli, które przebiegały przez jego głowę. Ian nie prosił o pozwolenie na podróż, tylko po prostu oświadczył, że jedzie. Gdyby Jamie zabronił mu tego, musiałby podać jakiś powód. Nie mógł powiedzieć, że to zbyt niebezpieczne, bo tym samym przyznałby, że wysłała byłą niewolnicę w niebezpieczne miejsce oraz że nie ma zaufania do Myersa i nie wierzy w jego dobre stosunki z miejscowymi Indianami.

Zdał sobie sprawę, że wpadł w bardzo zręcznie zastawioną pułapkę, i głośno wydmuchnął powietrze przez nos. Na twarzy Iana pojawił się szeroki uśmiech.

Znów spojrzałam ponad ogniem. Pollyanne nie poruszyła się, nadal siedziała tam gdzie wcześniej, ze wzrokiem utkwionym w Myersie i lekkim, zachęcającym uśmieszkiem na ustach. Jedna jej dłoń uniosła się niby mimochodem i objęła potężną pierś.

Myers patrzył na nią oszołomiony jak jeleń, któremu myśliwy zaświecił w oczy.

A czy ja zachowałabym się inaczej? - zastanawiałam się później, słuchając dyskretnych szelestów i cichych jęków dochodzących od strony posłania Myersa. Gdybym wiedziała, że moje życie zależy od mężczyzny, czy nie zrobiłabym wszystkiego, co w mojej mocy, by zapewnić sobie jego opiekę w obliczu nieznanego niebezpieczeństwa?

Zesztywniałam, gdy w krzakach nieopodal rozległy się jakieś głośne trzaski. Jamie natychmiast wysunął rękę spod mojej koszuli i sięgnął po sztylet. Rozluźnił się dopiero wtedy, gdy dotarł do nas znajomy zapach skunksa. Znów wsunął rękę pod moją koszulę, zatrzymał dłoń na piersi i zasnął, owiewając mój kark ciepłym oddechem.

Może nie było wielkiej różnicy. Czy moja przyszłość rysowała się pewniej niż jej przyszłość? I czy ja również nie zawierzyłam swojego życia mężczyźnie, z którym, przynajmniej po części, związana byłam cielesnym pożądaniem?

Pomiędzy drzewami wiał lekki wiatr. Podciągnęłam koc na ramiona. Ogień wypalił się, pozostawiając bursztynowy żar. Wysoko w górach noce były zimne.

Księżyc już zaszedł, ale niebo było bardzo czyste. Gwiazdy wydawały się bardzo bliskie i przypominały świetlistą sieć rozpiętą na szczytach gór.

Nie, jednak istniały pewne różnice. Nie znałam własnej przyszłości, ale miała ona być naszą wspólną przyszłością. Więc między mną a moim mężczyzną sięgała znacznie głębiej, poza ciało.

A największa różnica polegała na tym, że ja znalazłam się tu z własnej woli.

15. Szlachetni dzicy

Rozstaliśmy się rankiem. Jamie i Myers nieskończenie długo umawiali się na spotkanie za dziesięć dni. Patrząc na oszłamiające przestrzenie lasów i gór dookoła, nie byłam w stanie pojąć, jak ktokolwiek może trafić tu po raz drugi w to samo miejsce, pozostawało mi tylko ufać w poczucie orientacji Jamiego.

Oni pojechali na północ, a my na południowy zachód, wzdłuż strumienia, nad którym spędziliśmy ostatnią noc. Na początku czuliśmy się dziwnie samotni tylko we dwoje, ale szybko przywykłam do otaczającej nas ciszy i rozluźniona, zaczęłam się bacznie rozglądać po otoczeniu, które mogło wkrótce stać się naszym domem.

Ta myśl wprawiła mnie w niepokój. Miejsce było niezwykle piękne, pełne naturalnej obfitości, ale tak dzikie, że z trudnością przychodziło uwierzyć, iż mogą tu zamieszkać ludzie. Nie wyraziłam jednak tych obaw na głos, tylko podążałam za koniem Jamiego, coraz głębiej w góry. W końcu, późnym popołudniem, zatrzymaliśmy się na postój, by nałapać ryb na kolację.

Słońce powoli bladło i cofało się za drzewa. Grube,

omszałe pnie pograżały się w cieniu, choć korony wciąż obrzeżone były resztkami światła ukrytymi wśród liści, poruszających się w lekkim wieczornym wietrze niczym zielone cienie.

Naraz w trawie o kilka metrów od nas pojawił się maleńki, świecący punkcik, jasny i zimny. Po chwili zobaczyłam jeszcze jeden, i jeszcze, i naraz cały skraj lasu wypełnił się świetłkami, które leniwie opadały i gasły, zimne iskry w gęstniejącym mroku.

- Wiesz, że po raz pierwszy zobaczyłam świetliki dopiero w Bostonie? - powiedziałam, patrząc z przyjemnością na szmaragdowe i złote błyski w trawie. - W Szkocji chyba nie ma świetlików, prawda?

Jamie przytaknął i rozciągnął się wygodnie na trawie z głową opartą na ramieniu.

- Maleństwa - zauważył i westchnął z zadowoleniem. - To moja ulubiona pora dnia. Kiedy mieszkałem w jaskini, po Culloden, przed zmierzchem wychodziłem na zewnątrz i siadałem na kamieniu, czekając na zapadnięcie nocy.

Patrzył na świetliki spod wpełprzymkniętych powiek. Cienie wznosiły się coraz wyżej, noc wzrastała od ziemi w stronę nieba.

Jeszcze przed chwilą słońce przeświecało przez liście dębu, sprawiając, że wydawał się cętkowany jak młody jelonek, teraz światło przygasło i dąb wydawał się spowity zielonkawym blaskiem, jednocześnie mocny i niematerialny.

- O tej porze pojawiają się wszystkie małe owady - ćmy, meszki, wszystko to, co gryzie i zawisa w chmurach

nad wodą. Jaskółki i nietoperze wylatują na polowanie. Komary wykluwają się z larw i łososie przyplływają na żer, zostawiając kręgi na wodzie.

Oczy miał teraz otwarte. Wpatrywał się w falujące morze zieleni na zboczu wzgórza, wiedziałam jednak, że oczami duszy widzi powierzchnię malutkiego jeziora w pobliżu Lallybroch, pokrytą drobnymi zmarszczkami fal.

- To tylko krótka chwila, ale ma się wrażenie, że będzie trwała wiecznie. Dziwne, prawda? - rzekł z namysłem. - Wydaje ci się, że widzisz, jak światło zanika, a jednak nie ma takiego momentu, kiedy można by spojrzeć i powiedzieć: właśnie teraz zapadła noc. - Wskazał na prześwit między dębami i rozciągającą się poniżej dolinę, której zagłębienia wypełniały się mrokiem.

- Nie. - Leżałam na ciepłej, wilgotnej trawie obok niego, czując, jak ubranie z jeleniej skóry przykleja mi się do ciała. Powietrze pod drzewami było gęste i chłodne jak w kościele, mroczne i przesycone znajomym zapachem kadzidła.

- Czy pamiętasz ojca Anzelma z klasztoru? - zapytał naraz Jamie.

Podniosłam głowę. Liście dębu nad nami traciły już barwę, widać było tylko ich srebrzyste spody, szare jak futerko myszy. - Mówił, że jest taka pora dnia, kiedy ma się wrażenie, jakby czas się zatrzymał.

Ale ta pora dla każdego jest inna. On uważał, że to ta godzina, kiedy człowiek się urodził. Obróciłam głowę i spojrzałam na niego.

- Czy wiesz, kiedy się urodziłeś? - zapytałam. - To znaczy, o jakiej porze dnia?

Z uśmiechem przetoczył się na bok, zwracając się twarzą w moją stronę.

- A tak, wiem. Ojciec Anzelm może mieć rację, bo urodziłem się w porze kolacji, pierwszego maja o zmierzchu. - Odsunął przelatującego świetlika i uśmiechnął się do mnie. - Nigdy ci o tym nie opowiadałem? Moja matka postawiła na ogniu garnek z zupą, a potem pochwytyły ją bóle - tak nagle, że zupełnie zapomniała o zupie i nikt inny też o niej nie pamiętał, dopóki nie poczuli zapachu spalenizny. Zmarnowała się kolacja i garnek, a w domu nie było nic więcej do jedzenia oprócz wielkiego placka z agrestem, więc wszyscy go jedli. Tylko że mieliśmy nową dziewczynę do pomocy w kuchni i ten agrest był zielony. I potem wszyscy, oczywiście oprócz matki i mnie, przez całą noc wili się z bólu żołądka. - Pokręcił głową, wciąż się uśmiechając. - Ojciec mówił, że jeszcze przez wiele miesięcy, kiedy na mnie patrzył, czuł, jak kurczą mu się wnętrzności.

Roześmiałam się. Jamie wyciągnął rękę i wydobyl z moich włosów zeszłoroczny liść.

- A ty o jakiej godzinie się urodziłaś, Angielko?

- Nie wiem - odrzekłam i jak zwykle poczułam ukłucie żalu za utraconą rodziną. - Nie napisali tego w mojej metryce urodzenia, a jeśli nawet wujek Lamb wiedział, to nigdy mi tego nie powiedział. Ale wiem, kiedy urodziła się Brianna - dodałam już pogodniej. - Trzy minuty po trzeciej nad ranem. W sali porodowej na ścianie wisiał wielki zegar. Patrzyłam na niego.

Choć było już prawie całkiem ciemno, zauważyłam na jego twarzy zdziwienie.

- Nie spałaś? Mówiłaś mi kiedyś, że kobiety w twoich czasach usypia się, żeby nie czuły bólu.

- Przeważnie tak, ale ja nie pozwoliłam niczego sobie dać. - Patrzyłam prosto w górę. Cienie dokoła nas były już gęste, ale niebo nad głowami wciąż pozostawało jasne i czyste. Miało miękki, jaskrawoniebieski kolor.

- Dlaczego nie? - zapytał z niedowierzaniem. - Nigdy nie widziałem rodzącej kobiety, ale niejedną raz słyszałem ich krzyki i nie mieści mi się w głowie, dlaczego zdrowa na umyśle kobieta nie chce tego zrobić, jeśli tylko może...

- Widzisz - urwałam. Nie chciałam, żeby zabrzmiało to melodramatycznie, ale tak wyglądała prawda. - Widzisz - podjęłam obronnym tonem - myślałam wtedy, że umrę, a nie chciałam umierać we śnie.

Nie wydawał się zdziwiony, uniósł tylko brew i prychnął z rozbawieniem.

- Nie chciałaś?

- A ty byś chciał? - Obróciłam głowę i spojrzałam na niego.

Potańczał grzbietem nosa, wciąż rozbawiony moim pytaniem.

- No, może tak. Niewiele brakowało, by mnie powiesili, a najgorsze było czekanie. Parę razy mogłem zginąć w bitwie, ale wtedy nie bardzo mnie obchodziła śmierć, nie miałem czasu o tym myśleć.

No i potem o mało nie umarłem od ran i gorączki. To tak bolało, że wyczekiwałem śmierci. Ale w sumie, gdybym miał wybór, to chyba nie miałbym nic przeciwko temu, żeby umrzeć we śnie. Nie.

Pochylił się i pocałował mnie lekko.

- Najlepiej w łóżku, obok ciebie, ale w bardzo poważnym wieku.

- Delikatnie dotknął językiem moich ust, a potem podniósł się i strzepnął z ubrania suche liście. - Rozpalę ogień, póki jeszcze jest na tyle jasno, żeby użyć krzemienia - powiedział. - Przyniesiesz rybki?

Zostawiłam go nad krzemieniem i garścią suchej podpałki, a sama zesłam ze wzgóрка nad strumień, gdzie zostawiliśmy świeżo złapanego pstrąga, zawieszzonego na patyku i zanurzonego w lodowatej wodzie. Gdy wracałam, było już tak ciemno, że widziałam tylko zarys sylwetki przykucniętej nad kupką dymiących patyczków.

Spomiędzy jego rąk, jak z kadzielnicy, wznosiła się w górę smuga dymu.

Położyłam wypatroszoną rybę w wysokiej trawie i przysiadłam obok na piętach, patrząc, jak dokłada świeżych patyków, cierpliwie budując ognisko niczym barykadę przeciwko nadchodzącej nocy.

- Jak myślisz, jak to będzie, gdy będziemy umierać?
- zapytałam nagle. Zamyślił się, patrząc w ogień. Gałązka trzasnęła w ogniu, iskry poleciały w powietrze i zgasły, nim dotknęły ziemi.

- Wyrasta jako trawa, która dziś jest na polu, a jutro będzie w piec wrzucona (Ewangelia według św. Łukasza 12,28.); jako iskry z węgla latają w górę... (Księga Hioba 5,7.) ani go więcej pozna miejsce jego (Księga Psalmów 103,16). - zacytowałam cicho. - Czy myślisz, że po śmierci nic nie ma?

Pokręcił głową, patrząc w ogień, i jego oczy

powędrowały w stronę chłodnych, jasnych iskier świetlików, migoczących tu i ówdzie między ciemnymi pniami drzew.

- Nie wiem - rzekł w końcu cicho. Jego ramię dotknęło mojego ramienia, oparłam na nim głowę. - Tak mówi Kościół, ale... - Wciąż patrzył na świetliki, które błyskały między łodyżkami trawy. Ich blask zdawał się niewyczerpany. - Sam nie wiem. Ale może wszystko będzie jak trzeba.

Na chwilę przycisnął policzek do moich włosów, a potem wstał i sięgnął po sztylet.

- Ogień już dobrze się pali.

Ciężkie powietrze popołudnia o zmierzchu uniosło się w górę.

Teraz miękki, wieczorny wiatr odgarniał z mojej twarzy wilgotne kosmyki włosów. Siedziałam z przymkniętymi oczyma, z twarzą uniesioną do góry, upajając się chłodem po upalnym dniu. Słyszałam szelest, gdy Jamie poprawiał ogień, i szybki, miękki świst noża, gdy odzierał z kory zielone gałązki dębu, by upiec na nich rybę.

Może wszystko będzie jak trzeba. Ja też tak myślałam. Nie wiedziałam, co jest po tamtej stronie, ale wiele razy siedziałam w porze, gdy czas się zatrzymuje, bez żadnej myśli, w pokoju duszy, spoglądając w coś... w co? W coś, co nie miało ani nazwy, ani twarzy, ale wydawało się dobre i przepełnione spokojem. Jeśli tam właśnie znajdowała się śmierć...

Przechodzący za moimi plecami Jamie lekko dotknął mojego ramienia. Uśmiechnęłam się, nie otwierając oczu.

- Au! - mruknął, stając po drugiej stronie ogniska. -

Skaleczyłem się. Co za niezdara ze mnie!

Otworzyłam oczy. Stał o trzy metry ode mnie, z pochyloną głową, i ssał skaleczenie na kciuku. Naraz poczułam gęsią skórę na plecach.

- Jamie! - powiedziałam. Własny głos wydawał mi się dziwny.

Wyraźnie czułam na karku okrągły, zimny punkt, niczym środek tarczy strzelniczej.

- Tak?

- Czy tam - przełknęłam ślinę i poczułam, że włosy na przedramionach stają mi dęba. - Jamie, czy tam za mną jest ktoś... coś...?

Jego wzrok powędrował w cień ponad moim ramieniem i oczy otworzyły się szeroko. Nie oglądając się za siebie, rzuciłam się płasko na ziemię, co zapewne uratowało mi życie. Usłyszałam głośnie sapnięcie i poczułam nagle silny zapach amoniaku i ryb. Coś uderzyło mnie w plecy z taką siłą, że wyparło mi powietrze z płuc, a potem ciężko stanęło na mojej głowie, wgniatając twarz w ziemię.

Szarpnęłam się do góry, próbując złapać oddech i strząsając z oczu warstwę gnijących liści. Duży, czarny niedźwiedź, przyczajony do skoku, krążył po polanie jak kot, rozrzucając łapami płonące gałązki. Na wpół oślepiąca ziemią, nie widziałam Jamiego.

Zobaczyłam go dopiero po chwili: był pod niedźwiedziem, z jednym ramieniem oplecionym wokół karku zwierzęcia i głową wciśniętą w pachwinę tuż pod zaślinionymi szczękami. Wysunął stopę spod brzucha niedźwiedzia, kopiąc na oślep i szukając oparcia na ziemi.

Gdy rozbiliśmy obóz, Jamie zdjął buty i pończochy.

Westchnęłam głośno, widząc, jak przeciągnął nagą stopą po pozostałościach ogniska, wzniecając snop iskier. Jego ramię, ledwo widoczne w zwałach gęstego futra, było mocno napięte. Drugim, wolnym ramieniem wymierzał ciosy. Przynajmniej miał przy sobie sztylet.

Jednocześnie ze wszystkich sił próbował przygiąć do ziemi łeb niedźwiedzia, ten jednak uchylał się i machając łapą, usiłował strząsnąć uwieszony u szyi ciężar, aż w końcu stracił równowagę i rycząc z wściekłości, upadł całym ciężarem do przodu.

Usłyszałam stłumiony jęk, który chyba nie pochodził od niedźwiedzia, i desperacko rozejrzałam się dokoła, szukając czegoś, czego mogłabym użyć jako broni. Niedźwiedź znów podniósł się na cztery łapy, otrząsając się gwałtownie. Przez krótką chwilę widziałam wykrzywioną z wysiłku twarz Jamiego. Gdy mnie zauważył, szerzej otworzył oczy i wynurzył usta z futra.

- Uciekaj! - krzyknął. Potem niedźwiedź znów na niego opadł i Jamie zniknął, przywalony ciężarem stu pięćdziesięciu kilogramów futra i mięśni.

Przez głowę przelatywały mi niejasne myśli o Mowglim i „czerwonym kwiecie”. Gorączkowo czołgałam się po wilgotnej ziemi na polanie, ale znalazłam tylko kawałki zwęglonych patyków i okruchy żaru. Parzyły mnie w palce, były jednak zbyt drobne, by dało się je wygodnie wziąć w rękę.

Zawsze myślałam, że niedźwiedzie ryczą, gdy są zdenerwowane.

Ten robił wiele hałasu, ale dźwięki, jakie wydawał, przypominały raczej przenikliwe kwiki wielkiej świni

przerywane pomrukami, od których włosy stawały dęba. Jamie również robił wiele hałasu, co w tych okolicznościach było bardzo pocieszające.

Natrafiłam ręką na coś zimnego i galaretowatego. To była ryba, porzucona na skraju polany.

- Do diabła z „czerwonym kwiatem” - wymamrotałam. Złapałam pstrąga za ogon, pobiegłam przed siebie i najmocniej, jak potrafiłam, uderzyłam nim niedźwiedzia w nos. Niedźwiedź zamknął paszczę i przez chwilę patrzył na mnie ze zdziwieniem, a potem powoli obrócił głowę w moją stronę i rzucił się na mnie. Poruszał się nieprawdopodobnie szybko. Runęłam na plecy, wylądowałam na tyłku i udało mi się jeszcze raz wymierzyć cios rybą, nim zwierzę rzuciło się na mnie z Jamiem wciąż uwieszonym u szyi jak ponura śmierć.

Poczułam się jak wkręcona w maszynkę do mięsa. Na chwilę zapanował chaos punktowany mocnymi uderzeniami w moje ciało.

Miałam wrażenie, że duszę się pod wielkim, śmierdzącym, włochatym kocem. Potem niedźwiedź zniknął, zostawiając mnie na plecach w trawie, posiniaczoną i śmierdzącą niedźwiedzim moczem. Mrugając powiekami, patrzyłam na gwiazdę wieczorną, która spokojnie świeciła wprost nad moją głową.

Na ziemi było znacznie mniej spokojnie. Wołając Jamiego, przetoczyłam się na czworaki i popelzłam w stronę drzew, między którymi duża, bezkształtna masa przewalała się w jedną i drugą stronę, miażdżąc młode dębczaki oraz emitując kakofonię pomruków i gaelickich wrzasków.

Na ziemi panowały już zupełne ciemności, ale jasne

niebo pozwalało mi cokolwiek dostrzec. Niedźwiedź znów upadł, ale tym razem, zamiast podnieść się i zaszarżować po raz kolejny, przetoczył się na grzbiet i bijąc w powietrze tylnymi łapami, usiłował rozedrzeć na części uwieszony do niego ciężar. Jedna z przednich łap wymierzyła ciężki cios i usłyszałam krzyk, który nie przypominał głosu niedźwiedzia. W powietrzu rozniósł się zapach krwi.

- Jamie! - wrzasnęłam.

Nie odpowiedział, ale konwulsyjnie rzucający się na wszystkie strony kłęb ciał przetoczył się powoli na bok w głębszy, czarny cień pod drzewami i odgłosy przycichły. Teraz słyszałam tylko pomruki i westchnienia przerywane jękami.

. - Jamie!

Trzaski łamanych gałęzi przeszły w ledwo słyszalne szelesty. Coś poruszało się pod gałęziami, przetaczając się ciężko z boku na bok.

Bardzo powoli, jęcząc przy każdym spazmatycznym oddechu, Jamie wyczołgał się na polanę. Nie zważając na własne siniaki, podbiegłam i opadłam obok niego na kolana.

- Boże, Jamie! Czy wszystko w porządku?

- Nie - wyrzęził i osunął się na ziemię. Jego twarz w świetle gwiazd wyglądała jak jasna plama, a reszta ciała była tak ciemna, że niemal niewidoczna. Przekonałam się, dlaczego, gdy go dotknęłam: ubranie miał tak przesiąknięte krwią, że moje dłonie przyklejały się do ciała. Gdy uniosłam myśliwską koszulę na jego piersiach, odlepiła się od skóry z paskudnym kłaśnięciem.

- Czuć od ciebie rzeźnię - powiedziałam, szukając pulsu na jego szyi. Był szybki, co mnie nie zdziwiło, ale

przy tym silny. Poczułam ulgę. - Czy to twoja krew, czy niedźwiedzia?

- Gdyby była moja, Angielko, to już bym nie żył - rzekł ze znużeniem, otwierając oczy. - I to nie twoja zasługa, że jeszcze żyję. - Przetoczył się na bok i powoli, z jękiem podniósł się na kolana. - Co cię opętało, kobieto, by walić mnie po głowie rybą, gdy walczyłem o życie?

- Nie ruszaj się, na litość boską! - Skoro próbował uciec, to nie mógł być zbyt ciężko ranny. Przytrzymałam go za biodra i klęcząc obok, przesuwając dłońmi po jego bokach. - Masz jakieś połamane żebra?

- Nie, ale raczej nie próbuj mnie teraz łaskotać - odrzekł, po każdym słowie robiąc przerwę na zaczerpnięcie tchu.

- Nie zamierzam - zapewniłam go, sprawdzając żebra. Żadne połamane kości nie sterczały przez skórę, nie zauważyłam też podejrzanych zagłębień ani miękkich miejsc. Miał rację: żebra mogły być popękane, ale nie połamane.

Pod moim dotykiem jęknął i poruszył się niespokojnie.

- Tu boli?

- Boli - rzucił przez zęby i wstrząsnął nim dreszcz. Pobiegłam po pled i narzuciłam mu na ramiona. - Nic mi nie jest, Angielko - powtórzył, gdy chciałam mu pomóc usiąść. - Idź lepiej do koni, na pewno są zdenerwowane.

Były zdenerwowane. Spętaliśmy je w pobliżu polany, ale teraz stłumione odgłosy kopyt i rzenie dobiegały mnie ze znacznie większej odległości, widocznie oddaliły się pod wpływem strachu. Poszłam ich poszukać.

Z głębokiego cienia pod drzewami wciąż dochodziły ciche pomruki. Dźwięk był tak ludzki, że włosy na karku stanęły mi dęba.

Starannie omijając to miejsce, dotarłam do brzoźowego zagajnika o kilkadziesiąt metrów dalej, gdzie ukryły się konie. Poczwały mój zapach i zaczęły radośnie rżeć, mimo, że cała byłam pokryta niedźwiedzim moczem.

Zanim uspokoiłam konie i przyprowadziłam je z powrotem bliżej polany, żałosne dźwięki ucichły. Na polanie jaśniał ogień. Jamiemu udało się na nowo rozpalić ognisko. Siedział obok malutkiego płomyka, drżąc pod pledem. Dołożyłam patyków, żeby ogień nie zgasł, i jeszcze raz przyjrzałam mu się uważnie.

- Naprawdę nic ci nie zrobił? - zapytałam, wciąż niespokojna.

Uśmiechnął się krzywo.

- Nic takiego. Raz mocno pacnął mnie w plecy, ale chyba jakoś to przeżyję. Chcesz zobaczyć? - Wyprostował się i z grymasem obmacał sobie bok. Stałam za nim. - Ciekawe, dlaczego to zrobił? - powiedział, spoglądając w stronę, gdzie leżało niedźwiedzie truchło. - Myers mówił, że czarne niedźwiedzie zwykle nie atakują człowieka, jeśli się ich jakoś nie sprowokuje.

- Może ktoś inny go sprowokował, a potem w porę zszedł mu z drogi - zasugerowałam. Podniosłam pled i gwizdnęłam cicho pod nosem. Koszula na plecach Jamiego była porwana na strzępy, wysmarowana brudem i popiołem i przesiąknięta krwią. To była jego własna krew, nie niedźwiedzia, ale na szczęście nie było jej dużo.

Delikatnie odsunęłam na bok strzępy koszuli,

odslaniając plecy. Od łopatki aż do pachy biegły cztery długie ślady pazurów, głębokie, poszarpane rany.

- Och - powiedziałam ze współczuciem.

- No cóż. Moje plecy i tak nie prezentowały się za pięknie. - Uśmiechnął się z wysiłkiem. - Naprawdę tak źle to wygląda?

Obrócił się, próbując dostrzec rany, ale zatrzymał się w pół ruchu i jęknął, gdy poczuł ból poranionych żeber.

- Nie, ale rana jest brudna, muszę ją przemyć. - Krew zaczynała już krzepnąć. Ranę należało wyczyścić natychmiast. Przykryłam go pledem i postawiłam na ogniu naczynie z wodą, zastanawiając się, czego jeszcze mogłabym użyć. - Widziałam nad strumieniem strzałkę wodną - powiedziałam. - Chyba uda mi się ją odnaleźć. - Podałam mu butelkę piwa wyjętą z juków przy siodle i wzięłam od niego sztylet. - Nic ci się nie stanie?

Zatrzymałam się i spojrzałam na niego. Był bardzo blady i nadal drżał. Ogień rzucał czerwony blask na jego czoło, twarz wyglądała jak relief.

- Nic mi nie będzie. - Znów udało mu się blade uśmiechnąć. - Nie martw się, Angielko. Myśl o śmierci we własnym łóżku podoba mi się teraz jeszcze bardziej niż godzinę temu.

Na niebie wschodził sierp księżycy. Bez trudu odnalazłam miejsce, którego szukałam. Strumień był zimny, posrebrzony księżycowym światłem. Woda sięgała mi do połowy łydki, przyjemnie chłodziła moje stopy i dłonie. Dokoła śpiewały małe żabki. Sztywne liście pałki wodnej szeleściły cicho na wietrze.

Wszędzie panował spokój, a ja nagle zaczęłam się

trząść tak mocno, że musiałam usiąść na brzegu.

To się mogło zdarzyć w każdej chwili, błyskawicznie. Nie byłam pewna, co wydawało mi się bardziej nierealne: atak niedźwiedzia czy ta cicha, letnia noc pełna obietnic.

Oparłam głowę na kolanach, czekając, aż szok minie.

Powtarzałam sobie, że to nie ma znaczenia. To się może stać nie tylko w każdej chwili, ale też w każdym miejscu. Choroba, wypadek samochodowy, przypadkowa kula. Żadne miejsce nie gwarantowało nikomu pełnego bezpieczeństwa, jednak podobnie jak większości ludzi zwykle udawało mi się o tym nie myśleć.

Przypomniałam sobie ślady niedźwiedziich pazurów na plecach Jamiego i wzdrygnęłam się. Gdyby wolniej reagował, gdyby nie był tak silny... gdyby rany były nieco głębsze... Jeśli o to chodziło, infekcja wciąż stanowiła poważne zagrożenie, ale z tym niebezpieczeństwem przynajmniej mogłam walczyć.

Ta myśl sprawiła, że znów stałam się sobą. Poczułam w dłoni zmiażdżone liście i korzenie, mokre i zimne. Ochlapałam twarz zimną wodą i czując się już nieco lepiej, wróciłam do ogniska.

Dostrzegłam Jamiego przez zasłonę młodych drzewek. Siedział wyprostowany na tle ognia. Z pewnością ta pozycja musiała być dla niego bolesna. Zatrzymałam się nagle, zaalarmowana jego głosem.

- Claire? - powiedział spokojnie i nie czekając na moją odpowiedź, ciągnął chłodnym, opanowanym tonem: - Podejź do mnie, Angielko, stań za moimi plecami, wsuń

nóż w moją lewą rękę i zostań w tym miejscu.

Z dudniącym sercem postąpiłam o trzy kroki naprzód. Teraz już mogłam spojrzeć ponad jego ramieniem. Po drugiej stronie polany, na samym skraju kręgu światła rzucanego przez ognisko, stało trzech uzbrojonych Indian. A więc jednak niedźwiedź został sprowokowany.

Indianie przypatrywali się nam z żywym zainteresowaniem, w pełni zresztą odwzajemnionym. Było ich trzech: jeden starszy, o gęsto przetykanych siwizną włosach zaplecionych w węzeł, w który wetknięte miał ptasie pióra, i dwóch młodszych, dwudziestokilkuletnich. Pomyślałam, że to zapewne ojciec i synowie.

Byli do siebie trochę podobni, raczej z sylwetki niż z twarzy: wszyscy trzej byli dość niscy, mieli szerokie barki, krzywe nogi i długie, potężne ramiona.

Ukradkiem przyjrzałam się ich uzbrojeniu. Najstarszy trzymał w zgięciu ramienia starą francuską strzelbę z kołowym zamkiem. Brzeg sześciokątnej lufy pokryty był rdzą. Strzelba sprawiała wrażenie, jakby miała wybuchnąć mu w twarz, gdyby próbował z niej wystrzelić. Miałam nadzieję, że do tego nie dojdzie.

Jeden z młodszych mężczyzn miał w ręku łuk z nałożoną strzałą, a wszyscy trzej uzbrojeni byli w groźnie wyglądające tomahawki i zatknięte za pas noże myśliwskie. Sztylet Jamiego był dość długi, ale w porównaniu z ich arsenałem nie wydawał się imponujący. On sam najwyraźniej też doszedł do podobnego wniosku, bo pochylił się i ostrożnie położył sztylet na ziemi, a potem wyprostował się, wyciągnął przed siebie puste dłonie i wzruszył ramionami.

Indianie zachichotali. Był to tak pokojowy dźwięk, że bezwiednie uśmiechnęłam się w odpowiedzi, choć żołądek wciąż miałam zaciśnięty z napięcia.

Jamie odzyskał nieco pewności siebie i rozluźnił ramiona.

- Bonsoir, messieurs - powiedział. - Parlez - vous francais?

Indianie znów zachichotali, spoglądając na siebie ukradkiem.

Najstarszy wysunął się o krok do przodu i wyciągnął głowę w naszą stronę. Koralki w jego włosach zakołysały się.

- Fransuski... nie - powiedział.

- Angielski? - zapytałam z nadzieją. Spojrzał na mnie z zainteresowaniem, ale pokręcił głową i przez ramię powiedział coś do jednego ze swoich synów, który odpowiedział mu w tym samym niezrozumiałym języku, a potem znów spojrzął na Jamiego i zapytał o coś, pytająco unosząc brwi.

Jamie pokręcił głową, nic nie rozumiawszy. Wówczas jeden z młodszych mężczyzn wszedł w krąg światła. Ugiął kolana, przygarbił ramiona, wyrzucił głowę do przodu i zakołysał się z boku na bok. Tak doskonale imitował niedźwiedzia, że Jamie wybuchnął głośnym śmiechem. Pozostali uśmiechnęli się lekko.

Indianin wyprostował się, wskazał na zakrwawiony rękaw koszuli Jamiego i znów wydał z siebie pytający dźwięk.

- A, tak, jest tam - rzekł Jamie, wskazując na mrok pod drzewami. Wszyscy trzej natychmiast zniknęli w

ciemnościach. Po chwili dobiegły nas podniecone okrzyki i jakieś mamrotanie.

- Wszystko w porządku, Angielko - odetchnął Jamie.

- Nie zrobią nam nic złego. To tylko myśliwi. - Na chwilę przymknął oczy i zauważyłam, że jego twarz pokryta jest cienką warstewką potu. - I to dobrze, bo chyba za chwilę zasłabnę.

- Ani mi się waż. Nawet nie próbuj mdleć i zostawiać mnie tu z nimi samej. - Bez względu na to, jakie były intencje dzikusów, myśl o tym, że mogłabym zostać z nimi sama, podczas gdy Jamie leżałby tu nieprzytomny, wystarczyła, by moje wnętrzności znów skurczyły się w panice. Położyłam dłoń na jego karku i siłą wcisnęłam mu głowę między kolana. - Oddychaj - nakazałam, polewając mu kark zimną wodą wyciśniętą z chusteczki do nosa. - Później będziesz mógł sobie mdleć.

- A czy mogę zwymiotować? - zapytał głosem stłumionym przez kilt. Dosłyszałam w jego głosie nutę gorzkiego humoru i odetchnęłam z ulgą.

- Nie. Usiądź prosto, idą tu.

Wracali, ciągnąc za sobą niedźwiedzia. Jamie wyprostował się i otarł twarz mokrą chustką. Noc była ciepła. Wciąż jeszcze drżał lekko z wysiłku, ale siedział dosyć pewnie.

Starszy Indianin podszedł do nas i unosząc brwi, wskazał najpierw na sztylet, który leżał u stóp Jamiego, a potem na martwego niedźwiedzia. Jamie skromnie skinął głową.

- Ale nie myśl sobie, że to było łatwe - dodał.

Brwi Indianina uniosły się jeszcze wyżej. Pochylił

głowę i złożył ręce w geście szacunku, a potem przywołał jednego z młodszych. Ten zbliżył się do nas i odwiązał od pasa skórzany woreczek. Odsunął mnie bezceremonialnie na bok, rozerwał koszulę Jamiego przy szyi i skrzywił się na widok skaleczeń. Wysypał na dłoń trochę zbrylonego proszku, napluł do niego i ugniótł w śmierdzącą pastę, którą następnie obficie posmarował ranę.

- Teraz to już na pewno zwymiotuję - rzekł cicho Jamie, mrugając do mnie. - Co to za świństwo?

- Zgaduję, że suszony trójlist zmieszany z bardzo zjełczałym niedźwiedzim sadłem - powiedziałam, starając się nie wdychać ostrego zapachu. - Nie powinno cię to zabić. W każdym razie mam taką nadzieję.

- To już jest nas dwoje - mruknął pod nosem. - Nie, już wystarczy, dziękuję bardzo - uśmiechnął się uprzejmie do medyka, odmawiając dalszych zabiegów. Choć żartował, usta miał zupełnie białe, nawet w przyćmionym świetle ogniska. Położyłam rękę na jego zdrowym ramieniu i poczułam napięcie mięśni. - Przyniesz whisky, Angielko, bardzo jej potrzebuję.

Wyciągnęłam butelkę z juków. Jeden z Indian natychmiast ją pochwycił, ale odepchnęłam go bezceremonialnie. Chrząknął z zaskoczenia, jednak nie poszedł za mną, tylko pochylił się nad sakwą i zaczął ryć w jej zawartości jak wieprz szukający trufli. Nie próbowałam go powstrzymywać, zabrałam butelkę i wróciłam do Jamiego.

Upił niewielki łyk, potem drugi, większy, wzdrygnął się i otworzył oczy. Wziął dwa głębokie oddechy, napił się jeszcze, a potem otarł usta i zapraszająco wyciągnął butelkę

w stronę starszego Indianina.

- Czy sądzisz, że to mądre? - zapytałam cicho, przypominając sobie mrozące krew w żyłach historie Myersa o masakrach i o tym, jak działa na Indian woda ognista.

- Mogę im to dać dobrowolnie albo pozwolić, żeby mi odebrali - odrzekł ze znużeniem. - Angielko, ich jest trzech, nie?

Starszy przesunął butelkę pod nosem, rozdymając nozdrza, jakby napawał się wykwintnym bukietem. Czułam zapach whisky z miejsca, gdzie stałam, i byłam zdziwiona, że nie przepaliło mu na wylot śluzówki nosa. Na jego pomarszczonej twarzy pojawił się uśmiech niebiańskiego zadowolenia. Powiedział do swoich synów coś, co brzmiało jak „Haroo!”, i ten, który grzebał w naszych sakwach, natychmiast dołączył do brata, ściskając w ręku kilka ciastek kukurydzianych.

Starszy podniósł się z butelką w ręku, ale zamiast się napić, podszedł do martwego niedźwiedzia, który leżał nieruchomo na ziemi, czarny jak plama atramentu. Z wielkim namaszczeniem nalał nieco whisky w zagłębienie dłoni, pochylił się i wlał alkohol do na wpół otwartego pyska zwierzęcia, a potem ceremonialnie obrócił się dokoła, strząsając z palców krople, które migotały złocistym blaskiem i z sykiem wpadały do ogniska.

Jamie siedział wyprostowany i przypatrywał mu się z zainteresowaniem, zapominając o zawrotach głowy.

- Widziałaś kiedyś coś takiego?

- Co? - zapytałam, ale nie odpowiedział, zaabsorbowany zachowaniem Indianina.

Jeden z młodszych wyciągnął naszywany koralikami woreczek z tytoniem i starannie nabił małą, kamienną fajkę, a potem suchą gałązką zapalił ją od ogniska i zaciągnął się. Liście tytoniu iskrzyły i dymiły, wypełniając całą polanę gęstym aromatem. Jamie oparł się plecami o moje uda. Położyłam rękę na jego zdrowym ramieniu i poczułam, że dreszcze zaczęły ustępować, gdy whisky rozgrzała jego ciało. Nie był ciężko ranny, ale wysiłek włożony w walkę, a potem w zachowanie przytomności umysłu zaczynał go już wyczerpywać.

Starszy mężczyzna sięgnął po fajkę i kilka razy zaciągnął się głęboko, wypuszczając dym z wyraźną przyjemnością. Przyklęknął, znów napełnił płuca dymem i starannie wdmuchał go w nozdrza martwego niedźwiedzia. Powtórzył tę operację kilkakrotnie, mrużąc coś pod nosem, a potem podniósł się bez żadnych oznak zeszywnienia i wyciągnął fajkę do Jamiego.

Jamie palił tak samo jak Indianie - raz czy dwa zaciągnął się głęboko i ceremonialnie - a potem podał fajkę mnie. Zaciągnęłam się ostrożnie. Piekący dym gryzł w oczy, wypełniał nos i drapał w gardle.

Z trudem powstrzymałam odruch kaszlu i szybko oddałam fajkę Jamiemu. Czułam, że moja twarz poczerwieniała. Dym rozpełzał się po płucach, drapiąc i łaskocząc.

- Nie trzeba się tym zaciągać, Angielko - mruknął Jamie. - Tylko od razu wydmuchnąć przez nos.

- Teraz mi to mówisz - sapnęłam, starając się nie udusić.

Indianie patrzyli na mnie z zainteresowaniem.

Starszy przechylił głowę na bok i zmarszczył brwi, jakby próbował rozwikłać jakąś zagadkę. Wstał, obszedł dokoła ognisko, przykucnął nade mną i przyjrzał mi się z zaciekawieniem. Był tak blisko, że czułam dziwny, dymny zapach jego skóry. Nie nosił nic oprócz przepaski biodrowej i czegoś w rodzaju krótkiego, skórzanego fartuszka, ale jego pierś pokrywały duże, bogato zdobione naszyjniki z muszli, kamieni i zębów jakiegoś dużego zwierzęcia.

Bez ostrzeżenia wyciągnął rękę i ścisnął moją pierś. Nie było w tym geście nic lubieżnego, ale zerwałam się na nogi, a Jamie natychmiast sięgnął po sztylet.

Indianin spokojnie odchylił się do tyłu na piętach i lekceważąco pomachał ręką. Położył dłoń płasko na swojej piersi, potem uczynił taki gest, jakby znajdowało się pod nią wybrzuszenie, i wskazał na mnie. Nie miał złych intencji, chciał tylko upewnić się, czy naprawdę jestem kobietą. Wskazał na mnie, potem na Jamiego i uniósł brwi.

- Tak, jest moja - Jamie skinął głową i opuścił rękę ze sztyletem, ale nie odłożył go na bok. Patrzył na Indianina ze zmarszczonym czołem. - Uważaj, co robisz, dobrze?

Jeden z młodszych Indian, zupełnie tą sceną, powiedział coś i niecierpliwie wskazał na niedźwiedzia. Starszy, nieporuszony irytacją Jamiego, wyciągnął zza pasa nóż do oprawiania zwierząt.

- Nie, ja to zrobię - odezwał się Jamie, podnosząc się z miejsca.

Indianie spojrzeli na niego ze zdziwieniem. Wyciągnął sztylet w stronę niedźwiedzia, a potem zdecydowanie skierował go czubkiem ku własnej piersi. Nie czekając na ich reakcję, przyklęknął na ziemi obok

niedźwiedzia, przeżegnał się i unosząc ostrze nad nieruchomym zwierzęciem, powiedział coś po gaelicku. Nie rozumiałam słów, ale widziałam już kiedyś, jak to robił w drodze z Georgii, gdy zabił jelenia.

Była to modlitwa gralloch, którą poznał jako chłopiec, gdy uczono go polować w górach szkockich. Mówił mi, że to bardzo stary zwyczaj, tak stary, że niektóre słowa dawno już wyszły z użycia i popadły w zapomnienie. Należało ją odmawiać, gdy zabiło się zwierzę większe od zająca, przed podcięciem mu gardła i wyjęciem wnętrzności.

Serce niedźwiedzia już dawno przestało bić. Jamie bez wahania naciął płytko sztyletem skórę na jego piersi - ostrożnie, żeby nie zakrwawić futra, a następnie przesunął ostrze między łapy. Z wąskiej szpary otoczonej czarnym futrem wyłoniły się nabrzmiałe, blade wnętrzności.

Trzeba było zarówno siły, jak i znacznych umiejętności, by zdjąć ciężką skórę, nie uszkadzając przy tym krezki jelitowej, w której znajdował się worek otrzewnowy. Otwierałam wcześniej delikatniejsze ludzkie ciała, toteż potrafiłam docenić umiejętności chirurgiczne Jamiego, podobnie jak Indianie, którzy przyglądali mu się z krytycznym zainteresowaniem. Ale to nie jego wprawa w obdzieraniu zwierzęcia ze skóry przykuła ich uwagę, z pewnością była to powszechna tutaj umiejętność. Najbardziej zainteresowała ich modlitwa gralloch. Gdy Jamie przyklęknął nad niedźwiedziem, najstarszy z Indian szeroko otworzył oczy i popatrzył na swoich synów. Nie rozumieli słów, ale wyraz ich twarzy świadczył o tym, iż doskonale wiedzą, co to takiego; byli zdziwieni i mile

zaskoczeni.

Strużka potu spływająca z za ucha Jamiego w blasku ognia wydawała się jaskrawoczerwona. Ściąganie skóry z potężnego zwierzęcia wymaga wielkiego wysiłku. Na brudnej koszuli zaczęły się pojawiać świeże ślady krwi. Nim jednak zdążyłam zaproponować Jamiemu, że zmienię go przy pracy, przysiadł na piętach i podał sztylet rękojeścią do przodu jednemu z młodszych Indian.

- Teraz ty - powiedział, wskazując na wpół oprawionego niedźwiedzia. - Chyba nie myślicie, że sam zamierzam to wszystko zjeść.

Indianin bez wahania wziął od niego sztylet. Dwaj pozostali spojrzeli na Jamiego, a gdy skinął głową, również przyłączyli się do oprawiania niedźwiedziego cielska.

Posadziłam Jamiego na kłodzie drewna i podczas gdy przyglądał się, jak Indianie zręcznie zdejmują skórę ze zwierzęcia i dzielą mięso na części, ukradkiem oczyściłam i zabandażowałam jego ramię.

- Wiesz może, co on robił z tą whisky? - zapytałam cicho.

Skinął głową, nie odrywając wzroku od krwawych zabiegów przy ognisku.

- To jest zakłęcie. Wylewa się wodę święconą na cztery strony świata, żeby uchronić się przed złem. Wydaje mi się, że w tych okolicznościach whisky doskonale zastępuje wodę święconą.

Spojrzałam na Indian unurzanych po łokcie w niedźwiedziej krwi i pogrążonych w rozmowie. Jeden z nich zbudował przy ognisku niewielką, kwadratową platformę z gałązek opartych na kamieniach, drugi wycinał kawałki

mięsa i nadziewał je na okorowany zielony patyk.

- Od złego? Czy to znaczy, że oni się nas boją? Jamie uśmiechnął się.

- Chyba nie jesteśmy tacy straszni. Nie, to ochrona przed duchami.

Na widok Indian przeżyłam chwilę strachu i w ogóle nie przyszło mi do głowy, że oni również mogli się przestraszyć nas. Teraz jednak, gdy spjrzałam na Jamiego, zrozumiałam, że ich zdenerwowanie było w pełni uzasadnione. Przywykłam do jego widoku i rzadko uświadamiałam sobie, jakie wrażenie musi sprawiać na obcych.

Potężnie zbudowany, ze skośnymi oczami, które w świetle ognia błyszcząły błękitnym blaskiem niczym najgorętsze płomienie, wyglądał bardzo groźnie, nawet gdy był zmęczony i ranny.

Siedział rozluźniony, z dłońmi zwieszonymi między kolanami, był to jednak spokój wielkiego kota, jego oczy przez cały czas pozostawały czujne. Oprócz tego, że był duży i potężny, miał w sobie coś dzikiego i w tych lasach czuł się równie swobodnie jak niedźwiedź.

Anglicy zawsze uważali szkockich górali za barbarzyńców.

Nigdy wcześniej nie przyszło mi do głowy, że inne narody również mogą tak ich postrzegać, a jednak ci Indianie zobaczyli w Jamie groźnego dzikusa i podszli do niego z należytą ostrożnością i z bronią w gotowości. Z kolei Jamie, którego wcześniej przerażała sama myśl o dzikich czerwonoskórych, gdy zobaczył ich rytuały, które były bardzo podobne do jego własnych, natychmiast uznał

ich za swoich braci myśliwych, cywilizowanych ludzi.

Teraz też rozmawiał z nimi zupełnie swobodnie. Opowiadał im właśnie, szeroko gestykulując, o ataku niedźwiedzia i o tym, jak udało mu się go zabić. Indianie słuchali go uważnie, wydając okrzyki podziwu we wszystkich odpowiednich miejscach. Gdy podniósł z ziemi pozostałości zgniecionej ryby i pokazał, jaką rolę odegrałam w całej sytuacji, wszyscy trzej spojrzeli na mnie i zanieśli się niepowstrzymanym śmiechem.

Popatrzyłam na nich ponuro i powiedziałam:

- Kolacja podana.

Zjedliśmy posiłek złożony z na wpół upieczonego mięsa, ciastek kukurydzianych i whisky. Przez cały czas patrzyła na nas głowa niedźwiedzia, zatknięta ceremonialnie na platformie. Martwe oczy miały tępy, rozmyty wyraz.

Od alkoholu zaszumiało mi w głowie. Oparłam się o kłodę, przysłuchując się rozmowie, ale niewiele rozumiałam z wypowiedzianych słów. Jeden z synów, który był dobrym mimem, przedstawiał właśnie wielkie łowy z przeszłości, na przemian odgrywając rolę myśliwego i ofiary. Robił to tak dobrze, że nawet ja bez kłopotu odróżniałam jelenia od pantery.

W naszej znajomości posunęliśmy się aż do wymiany imion.

Moje w ich języku brzmiało jak „Klah”, co wydało im się bardzo zabawne. „Klah” - powtarzali, wskazując na mnie. „Klah, Klah, Klah, Klah, Klah!”. Potem wszyscy wybuchnęli donośnym śmiechem, rozbawieni pod wpływem whisky. Miałam ochotę odpowiedzieć im w tym samym tonie, ale nie byłam pewna, czy uda mi się wypowiedzieć

imię „Nacognaweto” chociaż raz.

Jamie powiedział mi, że Indianie należą do plemienia Tuskarora.

Ze swoim darem do języków zaczął już ich wypytywać o nazwy różnych przedmiotów. Nie miałam żadnych wątpliwości, że jeszcze przed świtem wszyscy będą sobie opowiadać nieprzyzwoite historyjki.

Już teraz Indianie próbowali z nim żartować.

Pociągnęłam go za brzeg tartanu.

- Jak się czujesz? Jestem śpiąca i nie będę w stanie nad tobą czuwać. Czy masz zamiar zasłabnąć i wpaść głową w ognisko?

- Nic mi nie będzie - zapewnił, z roztargnieniem gładząc mnie po włosach. Whisky i jedzenie pozwoliły mu odzyskać siły. Wydawało się, że walka z niedźwiedziem nie pozostawiła po sobie żadnych długotrwałych śladów. Inna sprawa, jak będzie się czuł rano, pomyślałam, ale nie miałam już siły martwić się o cokolwiek. Od adrenaliny, whisky i tytoniu kręciło mi się w głowie. Przyniosłam swój pled, zwinęłam się w kłębek u stóp Jamiego i natychmiast zaczęłam zapadać w sen, otoczona świętymi oparami dymu i alkoholu, pod tępym, lepkiem wzrokiem niedźwiedzia.

- Doskonale rozumiem, jak się czujesz - powiedziała mu i zasnęłam.

16. Pierwsza zasada termodynamiki

Tuż po pierwszym brzasku obudziło mnie delikatne klucie na czubku głowy. Zamrugałam oczami i przesunęłam ręką po włosach.

Ten ruch wystraszył dużą, szarą sójkę, która wyskubywała mi włosy z głowy. Ptak śmignął na pobliską

sosnę, wrzeszcząc histerycznie.

- Dobrze ci tak, stary - mruknęłam, rozcierając czubek głowy, choć nie mogłam powstrzymać uśmiechu. Często słyszałam, że moja fryzura z samego rana przypomina ptasie gniazdo, i chyba było w tym ziarno prawdy.

Indianie zniknęli. Na szczęście łeb niedźwiedzia zniknął wraz z nimi. Obmacałam całą czaszkę, ale wydawała się nietknięta, z wyjątkiem bolesnego miejsca, gdzie sójka pozostawiła ślady dzioba.

Albo ta whisky była wyjątkowo mocna, albo adrenalina i tytoń odurzyły mnie bardziej niż alkohol.

Grzebień był w sakiewce z jeleniej skóry, w której trzymałam rzeczy osobiste oraz kilka lekarstw, które mogły się przydać po drodze. Usiadłam ostrożnie, żeby nie obudzić Jamiego. Spał na plecach, z ramionami skrzyżowanymi na piersiach, nieruchomy niczym rzeźba na pokrywie sarkofagu, ale znacznie ciekawszy kolorystycznie. Leżał w cieniu, plama słonecznego światła pełzająca ukradkiem w jego stronę rozjarzyła jedynie końcówki jego włosów. W świeżym, porannym, chłodnym świetle wyglądał jak Adam, którego przed chwilą dotknęła ręka Stwórcy.

Jak na Adama był jednak dość mocno poobijany. Przy bliższym przyjrzeniu widać było, że jest to ujęcie zrobione już po wygnaniu z raju. Nie miał w sobie kruchej doskonałości dziecka dopiero co ulepionego z gliny ani świeżej urody młodzieńca ukochanego przez Boga. Każdy rys jego twarzy i każda linia ciała naznaczone były siłą i walką. Był w pełni uformowanym, potężnym mężczyzną, stworzonym po to, by uczynić sobie poddanym świat, na

którym miał się obudzić.

Sięgnęłam po sakiewkę, starając się poruszać jak najciszej.

Rzadko miałam okazję patrzeć na Jamiego, gdy spał. A spał jak kot, gotów zerwać się na nogi przy najlżejszym zagrożeniu. Zwykle też wstawał o pierwszym brzasku, gdy ja wciąż jeszcze unosiłam się na falach snów. Widocznie poprzedniego wieczoru wypił więcej, niż mi się wydawało, albo może zapadł w ozdrowieńczy sen i jego ciało odzyskiwało siły.

Rogowy grzebień gładko przesuwiał się po włosach. Nigdzie mi się nie spieszyło. Nie było żadnego niemowlęcia do nakarmienia, dziecka, które należałoby obudzić i wyprawić do szkoły, nie czekała na mnie praca, pacjenci ani papiery. Nic nie mogło być bardziej różne od sterylonego szpitala niż to miejsce. Ranne ptaszki szukające robaków wypełniały las radosną wrzawą. Chłodny, miękki wietrzyk wiejący przez polanę niósł lekką woń zaschniętej krwi i popiołu z wieczornego ogniska.

Może to właśnie zapach krwi przywołał do mnie wspomnienie szpitala. Od chwili, gdy weszłam do szpitala po raz pierwszy w życiu, wiedziałam, że to jest moje miejsce, moje naturalne otoczenie. A jednak, co było dziwne, tutaj, w tej dzikiej puszczy, również czułam się na swoim miejscu.

Końcówki włosów przyjemnie łaskotały mnie w nagie łopatki.

Było dość chłodno i moje ramiona pokryły się gęsią skórką, a brodawki piersi stwardniały. A więc nie wyobraziłam sobie tego, pomyślałam, uśmiechając się do

siebie. Z pewnością nie rozebrałam się sama przed pójściem spać.

Odsunęłam gruby, płócienny pled. Uda i brzuch pokryte miałam plątkami zaschniętej krwi. Poczułam wilgoć między nogami i dotknęłam jej palcem: była mleczna i miała piżmowy zapach, który nie był moim zapachem.

To wystarczyło, by przywołać wspomnienie snu, czy też tego, co wydawało mi się snem. Majaczyła nade mną wielka postać niedźwiedzia, ciemniejsza od mroku, emanująca zapachem krwi.

Leżałam bezwładnie, sparaliżowana strachem, udając martwą, niedźwiedź zaś popychał mnie łapami i trącał nosem. Czułam na skórze jego gorący zapach, na piersiach miękkie futro. Jak na dziką bestię zachowywał się zadziwiająco delikatnie.

Potem pojawił się przebłysk świadomości: zimna, a potem gorąca naga skóra, która nie była skórą niedźwiedzia, dotknęła mojej skóry i znów osunęłam się w odurzone sny. Powolne, intensywne połączenie, kulminacja płynnie przechodząca w sen... miękkie, szkockie pomruki przy moim uchu.

Zauważyłam na ramieniu truskawkowoczerwony ślad w kształcie półksiężyca.

- Nic dziwnego, że jeszcze śpisz - powiedziałam oskarżycielskim tonem.

Słońce dotknęło jego policzka i odbiło się od brwi, która w tej chwili przypominała zapaloną zapalną. Nie otworzył oczu, ale na jego twarz wypełził łagodny, zadowolony uśmiech.

Indianie zostawili nam część niedźwiedziego mięsa

owiniętą w natłuszczoną skórę i zawieszoną na gałęzi drzewa, by nie dobrały się do niej skunksy i oposy. Po śniadaniu i szybkiej kąpieli w strumieniu Jamie wyznaczył marszrutę, kierując się położeniem słońca i gór.

- W tę stronę - wskazał na odległy, błękitnawy szczyt. - Widzisz przełęcz między tym szczytem a tym niższym? Po drugiej stronie jest terytorium Indian. Granica wyznaczona przez traktat przebiega wzdłuż tego pasma.

- Czy ktoś naprawdę wyznaczył tutaj granicę? - Patrzyłam z niedowierzaniem na szczyty wznoszące się jak zęby piły z dolin wypełnionych poranną mgłą. Góry przypominały nieskończoną serię ulotnych miraży w coraz bledszych odcieniach, od czarnozielonego przez niebieski aż po fiolet. Najdalsze szczyty wyglądały jak wryte ostrą igłą na tle kryształowo czystego nieba.

- Ależ tak. - Jamie wskoczył na siodło i obrócił konia tak, by mieć słońce ponad ramieniem. - Musieli to zmierzyć, żeby wiedzieć na pewno, gdzie można się osiedlać. Sprawdzaliśmy granicę, zanim wyjechaliśmy z Wilmington. Myers mówił to samo: po tej stronie najwyższego pasma. Przyszło mi też, do głowy, żeby zapytać naszych wczorajszych gości i upewnić się, czy oni są tego samego zdania. - Spojrzał na mnie z uśmiechem. - Gotowa, Angielko?

- Gotowa - zapewniłam, ruszając za nim.

Przeplukał wcześniej w strumieniu koszulę, czy też to, co z niej pozostało. Poplamiona, płócienna szmata schła teraz, rozłożona na końskim zadzie za siodłem. Jamie był półnagi, w skórzanych nogawkach do jazdy konnej, w pasie przewiązany tartanem. Ciemne ślady niedźwiedzi

pazurów wyraźnie odznaczały się na jasnej skórze, ale zadrapania nie były zaognione i chyba nie sprawiały mu kłopotu, bo poruszał się w siodle swobodnie. Nie zauważyłam, by cokolwiek mu dolegało. Na jego twarzy jak zwykle widać było cień zmęczenia, który towarzyszył mu od dzieciństwa, ale wydawało się, że w nocy spadł z niego jakiś ciężar. Przyszło mi do głowy, że może sprawiło to nasze spotkanie z myśliwymi. Ten pierwszy kontakt dodał nam pewności siebie i chyba złagodził obawy Jamiego przed uzbrojonymi w tomahawki kanibalami czającymi się za każdym drzewem.

A może działa się tak za sprawą samych drzew albo gór? Nastrój Jamiego poprawiał się z chwili na chwilę, z każdym krokiem, który oddalał nas od nadbrzeżnej równiny. Mnie również udzielała się jego radość, ale z drugiej strony coraz bardziej obawiałam się, do czego ta radość może nas doprowadzić.

Jeszcze przed południem las zgęstniał na tyle, że nie dało się jechać dalej. Patrząc w górę, na niemal pionową skalną ścianę pokrytą splątanymi, czarnymi gałęziami upstrzonymi przez złote, zielone i brązowe cętki, zaczęłam zazdrościć koniom, które zostały u podnóża góry. Zostawiliśmy je spętane w gęstej trawie na brzegu strumienia i dalej wspinaliśmy się pieszo - coraz wyżej i wyżej, w głąb piekielnej pierwotnej puszczy.

Jak to było: potężne sosny i choiny? - zastanawiałam się, przełaząc nad płataniną korzeni przewróconego drzewa. Pnie były tak olbrzymie, że najniższe gałęzie zaczynały się dopiero o dziesięć metrów nad moją głową. Longfellow chyba nigdy czegoś takiego nie widział.

Powietrze było chłodne, wilgotne i życiodajne. Mokasyny bezgłośnie zapadały się w nagromadzone przez stulecia, gnijące warstwy poczerniałych liści. Moje własne ślady w miękkim błocie na brzegu strumienia wyglądały dziwnie i niespodziewanie, jak ślady dinozaura.

Dotarliśmy do szczytu grani. Przed nami wylał się następny łańcuch górski, a za nim jeszcze jeden. Nie wiedziałam, czego szukamy ani skąd będziemy wiedzieć, że już to znaleźliśmy. Jamie przemierzał kilometr za kilometrem niezmordowanym krokiem górala. Nic nie uchodziło jego uwagi. Włókłam się za nim, podziwiając widoki i zatrzymując się od czasu do czasu, żeby zerwać i schować do woreczka przy pasie jakąś fascynującą roślinę lub korzeń.

Przeszliśmy kawałek wzdłuż grani, po czym drogę zagroziła nam wielka kępa kalmii szerokolistnej. Z pewnej odległości wyglądała jak lśniąca, naga plama między ciemnymi iglakami, ale z bliska okazała się niemożliwym do przebycia gąszczem sprężystych gałęzi, splecionych ze sobą niczym wiklinowy koszyk. Musieliśmy się cofnąć i zejść nieco w dół, z cienia wielkich jodeł wydzielających żywiczny aromat na zbocza porośnięte macierzanką i jaskrawożółtą ostnicą, aż w końcu wróciliśmy w kojącą zieleń dębów i drzew hikorowych porastających urwisko nad niewielką, bezimienną rzeką.

W cieniu pod drzewami było chłodno. Westchnęłam z ulgą i odsunęłam włosy z karku. Jamie usłyszał moje westchnienie i odwrócił się z uśmiechem, przytrzymując sprężystą gałąź.

Nie rozmawialiśmy wiele, wspinaczka

wyczerpywała oddech, a poza tym sama góra wydawała się wymagać milczenia - pełna tajemnych, zielonych zakamarków była niczym pełnej krwi potomek pradawnych gór szkockich, gęsto porośniętych lasami, choć dwukrotnie wyższa od swych ciemnych rodziców. Atmosfera jednak była tu podobna, skłaniająca do milczenia i przesycona obietnicą czegoś czarodziejskiego.

Ziemia pokryta była grubą warstwą opadłych liści, po których szło się jak po miękkiej gąbce. Przestrzenie między drzewami wydawały się złudą, jakby między tymi ogromnymi, omszałymi pniami znajdowało się przejście w inny wymiar rzeczywistości.

Włosy Jamiego lśniły w rzadko tu docierających promieniach słonecznych niczym pochodnia prowadząca mnie przez cienisty las.

Przez lata ściemniały i teraz miały rudobrązowy kolor, na czubku głowy rozjaśniony od słońca. Zgubił gdzieś rzemyk, którym miał związane włosy. Gdy się zatrzymał i odsunął z twarzy gęste, wilgotne pasma, zauważyłam nad jego skronią białą smugę - ślad po ranie od kuli, pamiątka z jaskini Abandawe.

Chociaż dzień był ciepły, na to wspomnienie przeszedł mi po plecach zimny dreszcz. Wolałabym zapomnieć o Haiti i jej dzikich tajemnicach, ale to było niemożliwe. Czasami tuż przed zaśnięciem słyszałam głos wiatru wpadającego do jaskini i przejmujące echo myśli: „Gdzie jeszcze?”.

Wspięliśmy się na wilgotną granitową półkę porośniętą mchem i porostami, a potem schodziliśmy niżej w ślad za spływającą w dół wodą, odsuwając na boki długie

trawy, które owijały się nam dokoła nóg, i pochylając głowy pod niskimi gałęziami kalmii i rododendronów o mięsistych liściach. U swoich stóp widziałam cuda: drobne orchidee i drżące jak galaretka grzybki połyskiwały czerwono i czarno na powalonych pniach drzew. Ważki wiszące nad wodą przypominały spowite w wodną mgiełkę, nieruchome klejnoty.

Byłam olśniona tym bogactwem, obfitością życia. Twarz Jamiego miała półprzytomny wyraz, jak u człowieka, który wie, że śpi, ale nie ma ochoty się obudzić. Paradoksalnie moje samopoczucie było im lepsze, tym gorsze, czułam się jednocześnie desperacko szczęśliwa i desperacko przelękniona. To było miejsce Jamiego, z pewnością wiedział o tym równie dobrze jak ja.

Wczesnym popołudniem zatrzymaliśmy się na odpoczynek i napiliśmy się wody ze źródła bijącego na skraju naturalnej polany.

Ziemię pod klonami pokrywał gęsty dywan ciemnozielonych liści, pomiędzy którymi wymownie błyskały czerwone punkciki.

- Poziomki! - zawołałam z zachwytem.

Były drobne i ciemnoczerwone, wielkości kłykcia na moim kciuku. Według standardów dwudziestowiecznego ogrodnictwa uznano by je za zbyt kwaśne, niemal gorzkie, ale jedzone jako deser do posiłku złożonego z zimnego, niedogotowanego niedźwiedziego mięsa i twardych jak kamień ciastek kukurydzianych wydawały się znakomite. Eksplozja świeżości w ustach, ukłucia słodczy na języku.

Zgarniałam je garściami w podolek sukni, nie zważając na plamy.

Czymże była odrobina soku poziomkowego wobec plam z żywicy, sady, liści i zwykłego brudu? Wkrótce palce miałam lepkie i cierpkie od soku, żołądek przyjemnie pełny, a wewnątrz ust jak przetarte papierem ściernym od cierpkiego smaku jagód, nie mogłam się jednak powstrzymać, by nie sięgnąć po jeszcze jedną.

Jamie oparł się plecami o pień platana i przymknął powieki.

Popołudniowe światło, nieruchome i gęste, gromadziło się na polanie niczym w szklanym naczyniu.

- Jak ci się podoba to miejsce, Angielko? - zapytał.

- Bardzo tu pięknie. Tobie też się podoba?

Skinął głową, patrząc pomiędzy drzewami na łagodne zbocze, porośnięte trawą i macierzanką, które opadało, a potem znów się wznosiło aż do szeregu wierzb nad odległą rzeką.

- Tak sobie myślę - powiedział niepewnie. - Tu, w tym lesie jest źródło, a ta łąka pod nami... - Wskazał na rząd olch oddzielających skalną półkę od trawiastego zbocza. - Na początek wystarczyłoby dla kilku zwierząt, a potem można by wykarczować i obsiać ziemię w pobliżu rzeki. Ten spadek przydałby się nam przy odwadnianiu. A tutaj, popatrz... - Wstał, gestykulując z podnieceniem.

Patrzyłam uważnie. Dla mnie to miejsce niczym szczególnym nie różniło się od innych stromych, zalesionych zboczy i trawiastych dolinek, które przemierzaliśmy przez ostatnie dni, ale Jamie patrzył na nie okiem farmera: w jego wyobraźni w cieniu pod drzewami, niczym grzyby w bajce, wyrastały domy, zagrody dla bydła i pola. Szczęście zdawało się emanować z niego na

wszystkie strony jak kolce z ciała jeża. Poczułam ciężar na sercu.

- Sądzisz, że moglibyśmy się tutaj osiedlić? Przyjął propozycję gubernatora?

Spojrzał na mnie, raptownie wyrwany ze swoich wizji.

- Może - odrzekł. - O ile...

Urwał i zerknął na mnie z ukosa. Twarz miał poczerwieniałą od słońca, więc nie byłam pewna, czy się zarumienił.

- Czy wierzysz w znaki, Angielko?

- Jakie znaki? - zapytałam ostrożnie.

W odpowiedzi pochylił się, zerwał pęd poziomki i włożył mi w dłoń - okrągłe, ciemnozielone liście jak chińskie wachlarzyki, biały kwiatek na smukłej łodyżce, a na drugiej na wpół dojrzała poziomka, szkarłatna na czubku, blada u nasady.

- W takie. To nasz znak, rozumiesz? - zapytał.

- Nasz?

- To znaczy Fraserów - wyjaśnił, delikatnie dotykając poziomki dużym palcem. - Poziomki zawsze były symbolem naszego klanu. Od nich wzięliśmy nazwisko, w czasach, gdy pewien monsieur Freseliere przybył z Francji z królem Wilhelmem i w zamian za swój trud otrzymał ziemię w szkockich górach.

Król Wilhelm. Chodziło o Wilhelma Zdobywcę. Być może Fraserowie nie byli najstarszym ze szkockich klanów, mogli jednak poszczycić się nie byle jakim dziedzictwem.

- To znaczy, że od początku byliście wojownikami?

- I farmerami. - Ciężki wątpliwości w jego oczach

powoli zamieniał się w uśmiech.

Nie powiedziałam głośno tego, co przeszło mi przez głowę, ale byłam pewna, że Jamie musiał pomyśleć o tym samym. Klan Fraserów już nie istniał, pozostały tylko jego rozrzucone tu i ówdzie resztki - ci, których ocaliła ucieczka, spryt albo odrobina szczęścia.

Klany zostały rozbite pod Culloden, a ich przywódcy zginęli w bitwie albo zostali wymordowani w majestacie prawa.

A jednak Jamie stał tu, wysoki i prosty jak świeca, okryty tartanem, z góralskim sztyletem z ciemnej stali przy boku. Był jednocześnie wojownikiem i farmerem, a choć ziemia pod jego stopami nie była szkocką ziemią, oddychał tu wolnym powietrzem, a górski wiatr rozwiewał jego włosy w letnim słońcu.

Uśmiechnęłam się do niego, tłumiąc narastający niepokój.

- Freseliere, tak? Pan Poziomka? Uprawiał poziomki czy tylko lubił je jeść?

- Jedno albo drugie, albo też jedno i drugie - odrzekł Jamie sucho. - A może chodziło tylko o to, że miał czerwone włosy?

Roześmiałam się, a on opadł na ziemię obok mnie i zdjął spinę z tartanu.

- To rzadka roślina - powiedział, dotykając poziomki we wnętrzu mojej otwartej dłoni. - Kwiat, owoc i liście - wszystko jednocześnie.

Białe kwiaty oznaczają honor, czerwone owoce odwagę, a zielone liście - stałość.

- To bardzo odpowiedni symbol - rzekłam, patrząc

na niego ze ściśniętym sercem.

Pochwycił moją rękę i zacisnął palce wokół delikatnej łodyżki.

- A owoc ma kształt serca - dodał miękko i pocałował mnie.

Poczułam ukłucia pod powiekami. Jamie otarł łzę spływającą mi po policzku, a potem znów się podniósł i rozluźnił pas. Tartan opadł mu do stóp. Zdjął koszulę i spodnie i uśmiechnął się do mnie, zupełnie nagi.

- Nie ma tu nikogo - powiedział. - Nikogo oprócz nas.

Powiedziałabym, że to żaden powód, ale rozumiałam, co miał na myśli.

Już od wielu dni otaczała nas niezmierzona, pełna niebezpieczeństw przestrzeń. Tuż za bladym kręgiem ogniska czaiła się dzicz, a jednak byliśmy tu razem i sami również stanowiliśmy część tego miejsca. W jasnym świetle dnia nie trzeba było mieć się na baczności.

- W dawnych czasach mężczyźni robili to, by zapewnić żywność pól - powiedział, biorąc mnie za rękę.

- Nie widzę tu żadnych pól. - Nie byłam również pewna, czy chciałabym je kiedyś zobaczyć, ale mimo to zrzuciłam koszulę z jeleniej skóry i rozluźniłam węzeł prowizorycznego biustonosza.

Jamie popatrzył na mnie z uznaniem.

- Z pewnością będę musiał na początek ściąć kilka drzew, ale to może poczekać, prawda?

Zrobiliśmy posłanie z płaszczy i tartanu i leżeliśmy na nim nadzy, skóra przy skórze, pośród żółtych traw, zapachu balsamicznych jodeł i poziomek.

Dotykaliśmy się przez czas, który mógł być bardzo długi albo bardzo krótki. Byliśmy razem w ogrodzie ziemskich rozkoszy.

Odsunęłam od siebie myśli, które dręczyły mnie podczas wspinaczki, zdecydowana dzielić jego radość, dopóki trwała. Objęłam go mocno dłonią, a on odetchnął głęboko, wciskając się w jej wnętrze.

- Czymże byłby raj bez węża? - mruknęłam, poruszając palcami.

Jego oczy zwężyły się w dwa błękitne trójkąty, tak blisko moich oczu, że widziałam czerni źrenic.

- A czy zjesz ze mną, mo chridhe, owoc z drzewa poznania dobrego i złego? W odpowiedzi wysunęłam czubek języka i dotknęłam jego dolnej wargi.

Zadrzał pod moimi palcami, chociaż powietrze było ciepłe i wonne.

- Je suis prest - powiedziałam. - Monsieur Freseliere.

Pochylił głowę i pochwycił ustami czubek mojej piersi, nabrzmiałej jak dojrzała poziomka.

- Madame Freseliere - odszepnął. - Je suis a votre service.

A potem podzieliliśmy się kwiatem, owocem i okrywającymi wszystko zielonymi liśćmi.

Leżeliśmy spleceni w półsłnie, poruszając się tylko po to, by odgonić natrętne owady. Dopiero gdy pierwsze cienie dotknęły naszych stóp, Jamie podniósł się cicho i sądząc, że śpię, nakrył mnie płaszczem. Słyszałam szelesty, gdy się ubierał, i cichy świst trawy pod jego krokami.

Przewróciłam się na bok i otworzyłam oczy. Stał na skraju lasu, patrząc w stronę rzeki, okryty tylko

przewiązanym w pasie tartanowym pledem, pomiętym i poplamionym krwią. Ze splątanymi, rozrzuconymi na ramionach włosami w każdym calu sprawiał wrażenie dzikiego górala. To, co w moim mniemaniu stało się dla niego pułapką - rodzina, klan - było jego siłą, a to, co uważałam za własną siłę - samotność i brak więzi - okazało się moją słabością.

Zaznawszy zarówno dobrych, jak i złych stron bliskości, Jamie znalazł siłę, by ją porzucić, oddalić się od wszystkiego, co kojarzyło się z bezpieczeństwem, i samotnie ruszyć przed siebie. A ja, niegdyś tak dumna z własnej samowystarczalności, nie mogłam znieść myśli, że znów mogłabym zostać sama.

Postanowiłam nic nie mówić, żyć chwilą, przyjmując wszystko, co miało nadejść - ale ta chwila już nadeszła i nie potrafiłam jej zaakceptować. Widziałam, jak Jamie podniósł głowę w geście, który wskazywał na podjęcie decyzji, i w tej samej chwili ujrzałam jego nazwisko wyryte w zimnym kamieniu. Ogarnęło mnie przerażenie i rozpacz.

Odwrócił głowę, jakby dotarło do niego echo mojego milczącego płaczu, i na widok mojej twarzy natychmiast znalazł się obok.

- Co się dzieje, Angielko?

Nie było sensu kłamać, nie teraz, gdy na mnie patrzył.

- Boję się - wyrzuciłam z siebie.

Szybko rozejrzał się dokoła i sięgnął po sztylet, ale powstrzymałam go, kładąc mu rękę na ramieniu.

- Nie o to chodzi. Jamie, przytul mnie, proszę.

Objął mnie mocno i okrył płaszczem. Drżałam, choć

powietrze wciąż było ciepłe.

- Wszystko w porządku, a nighean donn - wymruczał. - Jestem tutaj. Czego się boisz?

- Ciebie - odrzekłam, trzymając go mocno. Tuż przy uchu słyszałam bicie jego serca, silne i równe. - Tego miejsca. Boję się myśleć o tobie, o nas, tutaj...

- Boisz się? - powtórzył. - Czego, Angielko? Gdy braliśmy ślub, obiecałem przecież, że zadbam, byś nigdy nie była głodna. - Przyciągnął mnie bliżej i wtulił moją głowę w zagłębienie ramienia. - Tamtego dnia dałem ci trzy rzeczy - dodał cicho. - Nazwisko, rodzinę i osobistą ochronę. I to zawsze będzie twoje, Angielko, dopóki obydwójce będziemy żyli. Bez względu na to, gdzie się znajdziemy, nie pozwolę, byś cierpiała głód i chłód ani by ktoś cię skrzywdził.

- Nie tego się boję! - wybuchnęłam. - Boję się, że umrzesz, a tego w żaden sposób nie mogłabym znieść, Jamie.

Odsunął się nieco i spojrzął na mnie ze zdziwieniem.

- No cóż, zrobię, co mogę, by cię zadowolili, Angielko, ale dobrze wiesz, że to nie zależy tylko ode mnie.

Twarz miał poważną, ale kącik jego ust drgnął znacząco. Ten widok przeważał szalę.

- Nie śmieję się! - zawołałam z wściekłością. - Nie waż się śmiać!

- Och, nie śmieję się - zapewnił, próbując zachować powagę.

- Śmiejesz się! - Uderzyłam go w pierś, a gdy roześmiał się na głos, uderzyłam jeszcze raz, mocniej, i nim zdałam sobie sprawę, co robię, ze wszystkich sił okładałam pięściami jego tartan. Próbował złapać mnie za rękę, ale

pochyliłam głowę i ugryzłam go w kciuk.

Krzyknął i wyrwał dłoń. Przez chwilę przyglądał się śladom po ugryzieniu, a potem znów na mnie spojrzął z wysoko uniesionymi brwiami. W jego oczach wciąż czaiła się wesołość, ale przynajmniej przestał śmiać się na głos, drań jeden.

- Angielko, już z dziesięć razy widziałas mnie, gdy byłem bliski śmierci, i nigdy nawet nie drgnęła ci powieka. Dlaczego teraz tak się tym przejmujesz, skoro nawet nie jestem chory?

- Nawet nie drgnęła mi powieka? - powtórzyłam, oniemiała z wściekłości. - Sądzisz, że się nie martwiłam?

Potał kciukiem górną wargę i przyjrzał mi się z rozbawieniem.

- Och, no cóż, oczywiście, że się martwiłaś, ale przyznaję, że nigdy nie myślałem o tym w taki sposób.

- Naturalnie, że nie. A nawet gdybyś pomyślał, to i tak nie zrobiłoby to żadnej różnicy. Ty... ty... ty Szkocie! - To było najgorsze wyzwisko, jakie przyszło mi do głowy. Nie mogłam znaleźć innych słów. Tupnęłam nogą, odwróciłam się i odeszłam.

Niestety tupanie bosą stopą na porośniętej trawą łące nie daje spektakularnych efektów. Nastąpiłam na coś ostrego, krzyknęłam i kuśtykając, przeszłam jeszcze kilka kroków, po czym musiałam się zatrzymać. Nastąpiłam na jakąś odmianę rzepienia i w nagą podeszwę stopy wbiło mi się pół tuzina złośliwych kotewek. Przy drobnych nakłuciacz zbierały się kropelki krwi.

Próbowałam je wydłubać, klnąc pod nosem i ostrożnie stąpając na jednej nodze, ale zachwiałam się i

omal nie upadłam. Mocna dłoń pochwyciła mój łokieć i podtrzymała mnie. Zaciśnęłam zęby i wyszarpnęłam twarde haczyki, po czym wyrwałam się z uchwytu Jamiego, obróciłam na pięcie i już znacznie ostrożniej podeszłam do miejsca, gdzie leżało moje ubranie.

Zrzuciłam płaszcz na ziemię i zaczęłam się ubierać, próbując ocalić resztki godności. Jamie stał z ramionami założonymi na piersiach i patrzył na mnie bez komentarza.

- Gdy Bóg wyrzucił Adama z raju, Ewa w każdym razie poszła za nim - powiedziałam, zawiązując sznurówki spodni.

- No, to prawda - zgodził się po chwili ostrożnego wyczekiwania i zerknął na mnie z ukosa, sprawdzając, czy nie zamierzam znów go uderzyć. - Mam nadzieję, że nie zjadłaś żadnej z tych roślin, które zerwałaś przed południem, Angielko? Nie, chyba nie - dodał szybko, widząc wyraz mojej twarzy. - Tak się tylko zastanawiałem. Myers mówił, że niektóre z tych roślin mogą wywoływać okropne koszmary.

- Nie mam żadnych koszmarów - odrzekłam głośniej, niż byłoby to konieczne, gdybym mówiła prawdę. Zaczynałam już mieć koszmary na jawie, choć nie miało to nic wspólnego z halucynogennymi roślinami.

Jamie westchnął.

- Czy powiesz mi wprost, o co ci chodzi, Angielko, czy też zależy ci, żebyśmy najpierw trochę pocierpiał?

Spojrzałam na niego ze złością, jak zwykle rozdarta między ochotą, by się roześmiać, a chęcią, by zdzielić go przez głowę jakimś tępym przedmiotem. Zaraz jednak ogarnęła mnie rozpacz, silniejsza zarówno od śmiechu, jak i

od złości. Bezradnie opuściłam ramiona.

- Mówię o tobie - wyjaśniłam.

- O mnie? Dlaczego?

- Bo jesteś cholernym góralem, dla którego honor, odwaga i stałość liczą się ponad wszystko, i wiem, że nic na to nie możesz poradzić. I wcale nie chcę tego zmieniać, tylko że... tylko że, niech to wszyscy diabli, przez to pojedziesz do Szkocji i zginiesz, a ja nie mogę temu zapobiec!

Spojrzał na mnie z niedowierzaniem.

- Do Szkocji? - powtórzył takim tonem, jakbym zupełnie oszalała.

- Do Szkocji! Tam, gdzie jest twój cholerny grób.

Powoli przesunął dłonią po włosach, patrząc na mnie spod opuszczonych powiek.

- Och - mruknął w końcu. - Rozumiem. Myślisz, że jeśli pojedę do Szkocji, to muszę tam zginąć, bo tam będę pochowany. O to chodzi?

Skinęłam głową, zbyt zdenerwowana, by mówić.

- Mhm. A właściwie dlaczego uważasz, że pojedę do Szkocji? - zapytał ostrożnie.

Rzuciłam mu desperackie spojrzenie i gestem wskazałam na otaczającą nas przestrzeń.

- A skąd niby weźmiesz osadników? Oczywiście, że musisz pojechać do Szkocji.

Teraz z kolei on popatrzył na mnie z desperacją.

- A jak niby, na litość boską, miałbym tego dokonać? Może bym i tak zrobił, gdybym jeszcze miał kamienie, ale teraz? Mam może z dziesięć funtów całego majątku, a i to pożyczone. Czy mam polecieć do Szkocji jak

ptak? I przyprowadzić ludzi, chodząc po wodzie?

- Coś wymyślisz - odrzekłam żałośnie. - Zawsze udaje ci się coś wymyślić.

Spojrzał na mnie dziwnie, a potem odwrócił wzrok i przez chwilę milczał.

- Nie przypuszczałem, że w twoich oczach jestem Bogiem Wszechmogącym - mruknął w końcu.

- Nie jesteś Bogiem. Najwyżej Mojżeszem - zapewniłam go. Te słowa brzmiały jak żart, ale żadne z nas nie żartowało.

Odszedł nieco dalej i splótł dłonie za plecami.

- Uważaj na kolce! - zawołałam, widząc, że zmierza wprost w miejsce, gdzie spotkało mnie nieszczęście. Zboczył nieco, ale nie odezwał się. Przez jakiś czas chodził w jedną i w drugą stronę po polanie, pogrążony w myślach, z nisko pochyloną głową, aż w końcu wrócił i stanął tuż przede mną.

- Sam nie dam rady - powiedział cicho. - Pod tym względem masz rację. Ale chyba nie muszę jechać do Szkocji po osadników.

- A skąd ich weźmiesz?

- Znajdę swoich ludzi, tych, którzy byli ze mną w Ardsmuir. Oni już tu są.

- Ale nie masz pojęcia, gdzie ich szukać - zaprotestowałam. - A poza tym przewieziono ich tu wiele lat temu i na pewno gdzieś już się osiedlili. Nie będą mieli ochoty pakować całego dobytku i przyjeżdżać tu do ciebie, na koniec świata!

- Ty zechciałaś, Angielko - uśmiechnął się z lekką ironią.

Wzięłam głęboki oddech. Lęk, który gnębił mnie przez ostatnie tygodnie, zelżał, ale przez to dopiero teraz dotarło do mnie, jak oszałamiająco trudne jest zadanie, które Jamie przed sobą postawił.

Musiał wytropić ludzi rozproszonych na terenie trzech kolonii, przekonać ich, by za nim poszli, a do tego znaleźć kapitał, który pozwoliłby sfinansować oczyszczenie ziemi i siewy. Nie wspominając już o ogromie pracy, jaką trzeba było włożyć w zbudowanie w tej dziewiczej głuszy choćby zaczątków siedliska.

- Coś wymyślę - uśmiechnął się, obserwując przemykające przez moją twarz wątpliwości i niepewność. - Zawsze udaje mi się coś wymyślić, tak?

Odetchnęłam głęboko.

- No tak. Jamie... czy jesteś pewien? Twoja ciotka Jokasta... Zbył to krótkim machnięciem ręki.

- Nie - odpowiedział. - Nigdy.

Wciąż się wahałam, ogarnięta poczuciem winy.

- Nie chcesz... czy to tylko przeze mnie? Ze względu na to, co mówiłam o zatrudnianiu niewolników?

- Nie - urwał i dostrzegłam, że dwa wykrzywione palce jego prawej dłoni drżą. On też to zauważył i palce natychmiast znieruchomiały.

- Byłem niewolnikiem, Claire - powiedział powoli z pochyloną głową - i nie mógłbym znieść myśli, że ktokolwiek na tym świecie czuje do mnie to, co ja czułem do ludzi, którym wydawało się, że są moimi właścicielami.

Nakryłam jego okaleczoną dłoń swoją i po policzkach spłynęły mi łzy, ciepłe i kojące jak letni deszcz.

- Nie opuścisz mnie? - zapytałam w końcu. - Nie

umrzesz?

Pokręcił głową i mocno uściśnił moją dłoń.

- Ty jesteś moją odwagą, a ja twoim sumieniem - szepnął. - Ty jesteś moim sercem, a ja twoim współczuciem. Żadne z nas samo nie jest całością. Przecież o tym wiesz, Angielko.

- Wiem o tym - powiedziałam drżącym głosem - i właśnie dlatego tak się boję. Nie chcę znów czuć się jak pół człowieka. Nie mogłabym tego znieść.

Odsunął kosmyk włosów z mojego mokrego policzka i przytulił mnie do siebie tak mocno, że czułam falowanie jego piersi przy oddechu. Był mocny i pełen życia, złote, kędzierzawe włoski porastały jego nagą pierś. A jednak kiedyś już tak go trzymałam, a potem straciłam.

Poczułam ciepło jego dłoni, gdy dotknął mojego wilgotnego policzka.

- Czy nie widzisz, Claire, jak mało istotnym pojęciem jest dla nas śmierć? - szepnął.

Zwinęłam dłonie w pięści tuż przy jego piersi. Nie, nie uważałam, by było to mało istotne pojęcie.

- Wtedy, gdy mnie zostawiłaś, po Culloden - przecież nie żyłem, prawda?

- Myślałam, że nie żyjesz, i właśnie dlatego... och. - Wzięłam głęboki, drżący oddech, a on skinął głową.

- Za dwieście lat od tej chwili z całą pewnością nie będę już żył, Angielko - uśmiechnął się krzywo. - Czy to będzie przez Indian, dzikie zwierzęta, zarazę, katowski sznur, czy też w błogosławieństwie starego wieku.

- Tak.

- Kiedy byłaś tam - w twoich czasach - przecież już

nie żyłem, prawda? Bez słowa skinęłam głową. Doskonale pamiętałam bezmiar rozpacz, w którą wtrąciło mnie to rozstanie i z której wydobywałam się powoli, krok po kroku. A teraz znów stałam przy nim, w rozkwicie życia, i nie byłam w stanie myśleć o jego schyłku.

Wyciągnął rękę, zerwał miękkie, zielone źdźbło trawy i roztarł je między palcami.

- Dni człowiecze są jako trawa, a jako kwiat polny, tak kwitnie (Księga Psalmów 103,15.) - zacytował cicho, łaskocząc źdźbłem kostki moich palców spoczywających na jego piersi. - Dziś jest na polu, a jutro będzie w piec wrzucona. (Ewangelia według św. Łukasza 12,28.) Podniósł zgniecioną, zieloną kulkę do ust i pocałował ją, a potem lekko przyłożył do moich warg.

- Byłem martwy, Angielko, a jednak kochałem cię przez cały czas. Przymknęłam oczy, czując na ustach łaskotanie trawy, lekkie jak dotyk słońca i powietrza.

- Ja też cię kochałam - szepnęłam. - I zawsze będę cię kochać.

Źdźbło odsunęło się. Wciąż z przymkniętymi oczami, poczułam, że Jamie pochyła się w moją stronę. Dotyk jego ust na moich był ciepły jak słońce i lekki jak powietrze.

- Dopóki żyje moje i twoje ciało, jesteśmy jednym - szepnął, dotykając moich włosów, brody, szyi i piersi. Oddychałam jego oddechem, czułam pod palcami jego mocne ciało. A potem leżałam z głową na jego ramieniu, wspierana jego siłą, słuchając dudniących miękko w jego piersi słów: - A gdy moje ciało przestanie istnieć, moja dusza nadal będzie należała do ciebie, Claire. Przysięgam na

nadzieję zbawienia, że nigdy cię nie opuszczę.

Wiatr poruszył liśćmi pobliskich kasztanowców. Otaczały nas zapachy późnego lata: aromat sosen, trawy i poziomek, nagranych słońcem kamieni i chłodnej wody, ostra woń jego ciała tuż przy moim ciele.

- Nic nie ginie, Angielko, ale wszystko się zmienia.

- To jest pierwsza zasada termodynamiki - powiedziałam, wycierając nos.

- Nie - odrzekł. - To jest wiara.

CZEŚĆ SZÓSTA

Je t'aime

17. Święta w domu

Inverness, Szkocja, 23 grudnia 1969

Po raz dwudziesty sprawdził rozkład jazdy pociągów i znów zaczął chodzić z kąta w kąt, zbyt niespokojny, by usiąść. Jeszcze godzina czekania.

Salon plebanii był już do połowy spakowany. Wszędzie piętrzyły się sterty kartonowych pudeł. Obiecał, że do Nowego Roku zabierze stąd wszystko, poza kilkoma przedmiotami, które Fiona chciała zatrzymać.

Zszedł na dół i zawędrował do kuchni. Przez chwilę nieruchomo wpatrywał się we wnętrze staroświeckiej lodówki, ale uznał, że nie jest głodny, i zamknął drzwiczki.

Żałował, że pani Graham i wielebny nie poznali Brianny, a ona ich. Uśmiechnął się do pustego stołu kuchennego, przypominając sobie rozmowy, jakie prowadził z nimi jako nastolatek, gdy wpadłszy w sidła szaleńczego i nieodwzajemnionego pożądania, którego obiektem była córka właściciela trafiki, zapytał ich, po czym się poznaje, że jest się naprawdę zakochanym.

- Chłopcze, skoro musisz się zastanawiać, czy jesteś zakochany, to znaczy, że nie jesteś - zapewniła go pani Graham, postukując łyżeczką o krawędź miski dla podkreślenia wagi swych słów. - I lepiej trzymaj ręce z dala od tej małej Mavis MacDowell, bo jej ojciec cię zamorduje.

- Gdy się zakochasz, Rog, sam będziesz o tym wiedział. Nie będziesz musiał nikogo pytać - dodał wielebny, wkładając palec w surowe ciasto. Kiedy pani Graham groźnie zamachnęła się na niego łyżką, uchylił się z udawanym przerażeniem i wybuchnął śmiechem. - A z tą małą Mavis to naprawdę uważaj. Nie czuję się jeszcze wystarczająco stary, by zostać dziadkiem.

No cóż, mieli rację. Teraz sam wiedział, nikt mu nie musiał mówić. Wiedział o tym od chwili, gdy poznał Briannę Randall. Nie był tylko pewien, czy ona czuje to samo.

Nie mógł już dłużej czekać. Dotknął kieszeni, sprawdzając, czy ma klucze, zbiegł po schodach i wyszedł na zimowy deszcz, który zaczął siąpić tuż po śniadaniu. Podobno najlepszy jest zimny prysznic, ale wtedy, z Mavis, to nie działało.

24 grudnia 1969

- Pudding śliwkowy jest w piecyku, a sos w tym małym rondelku z tyłu. - Fiona wydawała mu ostatnie instrukcje, jednocześnie wkładając puchaty, wełniany kapelusz. Kapelusz był czerwony, a Fiona niska. Wyglądała w nim jak ogrodowy krasnal. - Tylko pamiętaj, nie podkręcaj za bardzo pieca ani nie wyłączaj go całkiem, bo nie uda ci się go na nowo rozpalić. Tutaj zapisałam ci wszystko, co masz jutro zrobić z drobiem, jest już

nafaszerowany i ułożony w blaszce. Zostawiłam ci pokrojone warzywa w tej dużej, żółtej misce w lodówce, i...
- Wyciągnęła z kieszeni džinsów ręcznie zapisany skrawek papieru i wcisnęła mu w dłoń.

Pogładził ją po głowie.

- Nie martw się, Fiono - zapewnił. - Nie spalimy domu ani nie umrzemy z głodu.

Jeszcze przy drzwiach zatrzymała się na chwilę, z powątpiewaniem ściągając brwi. Jej narzeczony, który czekał w samochodzie przed domem, niecierpliwie podkręcił obroty silnika.

- No dobrze... Na pewno nie chcecie pojechać z nami? Mama Erniego nie miałaby nic przeciwko temu. Na pewno będzie nam wyrzucać, że zostawiliśmy was tu samych na święta.

- Nie martw się, Fiono - powtórzył Roger, popychając ją lekko do drzwi. - Poradzimy sobie doskonale. Życzę ci miłych świąt z Erniem i nie martw się o nas.

- No tak, myślę, że sobie poradzicie - westchnęła, ustępując z niechęcią. Na dźwięk klaksonu ze złością spojrzała w stronę samochodu. - Idę przecież, nie?

Jeszcze raz spojrzała na Rogera i naraz rozpromieniła się.

Wspięła się na palce, objęła go i mocno pocałowała w usta, a potem cofnęła się z konspiracyjnym mrugnięciem. Jej mała, okrągła twarz przybrała zabawny wyraz.

- To dla Erniego. Dobrze mu to robi - szepnęła. - Wesółych świąt, Rog! - dodała głośno. Pomachała mu ręką na pożegnanie, zeskoczyła z ganku i niespiesznie podeszła do samochodu, zaledwie odrobinę kołysząc przy tym

biodrami.

Silnik zawył w proteście i samochód wystrzelił z miejsca z piskiem opon, nim jeszcze drzwiczki zamknęły się za Fioną. Roger stał na ganku i machał ręką, zadowolony, że Ernie nie jest szczególnie postawnym facetem.

Drzwi za jego plecami otworzyły się i Brianna wytknęła głowę na zewnątrz.

- Dlaczego tu stoisz bez kurtki? Jest mróz.

Zawahał się. Miał ochotę jej powiedzieć, w końcu na Erniem wywarło to odpowiednie wrażenie, przypomniał sobie jednak, że to Wigilia. Choć niebo zaciągnięte było niskimi chmurami, a temperatura spadała szybko, było mu ciepło i czuł przyjemne podniecenie.

- Zegnałem się z Fioną - wyjaśnił, zamykając za sobą drzwi. - Może sprawdzimy, czy uda nam się podgrzać lunch i nie wysadzić przy tym kuchni w powietrze?

Udało im się bezwypadkowo przygotować kanapki. Po lunchu wrócili do gabinetu, który był już prawie pusty. Zostało jeszcze tylko kilka półek z książkami do posortowania i zapakowania.

Z jednej strony Roger czuł ogromną ulgę, że robota wreszcie dobiega końca, ale z drugiej widok ciepłego, zawsze zagraconego gabinetu, który teraz stał się pustą łupiną, napawał go smutkiem.

Wielkie biurko wielebnego zostało opróżnione i wyniesione na przechowanie do garażu. Półki sięgające od podłogi aż do sufitu, pozbawione ciężaru książek, wydawały się nagie. Ściana obita korkiem została oczyszczona z licznych warstw powiewających papierków. Proces ich zdejmowania przypominał skubanie kurczaka, a jego

rezultatem była osłepiająca, żałosna nagość, na której widok Roger miał ochotę odwrócić wzrok.

Pozostał jeszcze tylko jeden kwadracik papieru przypiętego do korka. Mieli go zdjąć na końcu.

- A co z tym? - Brianna pomachała miotełką do kurzu przy niewielkiej kupce książek leżących obok stolika. Na podłodze u jej stóp znajdowała się kolekcja otwartych pudełek, na wpół wypełnionych książkami o różnym przeznaczeniu: dla bibliotek, antykwariatów, przyjaciół wielebnego oraz do prywatnego użytku Rogera. - Są podpisane, ale bez żadnych dedykacji - powiedziała, podając mu pierwszą z wierzchu. - Masz już tamte, z dedykacjami dla twojego ojca, czy chcesz również i te? To pierwsze wydania.

Roger obrócił książkę w rękach. Była to jedna z prac Franka Randalla. Piękny druk i oprawa dorównywały elegancją uczonej zawartości.

- Myślę, że ty je powinnaś zatrzymać. - Nie czekając na odpowiedź, odłożył książkę do niewielkiego pudełka, które spoczywało na poręczy fotela. - W końcu to dzieła twojego taty.

- Ja już mam tego trochę - zaprotestowała. - Całe tony, mnóstwo pudeł.

- Ale bez autografów?

- No tak, bez. - Podniosła następną książkę, przekartkowała i otworzyła okładkę. Na skrzydełku obwoluty mocnym, pochyłym charakterem pisma nakreślone były słowa: „Tempora mutantur nos et mutamur in illis - F.W. Randall”. Lekko przesunęła palcem po podpisie i jej duże usta złagodniały. - „Czasy się zmieniają,

a my zmieniamy się razem z nimi". Roger, czy jesteś pewien, że nie chcesz tych książek?

- Oczywiście - rzekł z uśmiechem, wskazując na zasłaną tomami podłogę. - Nie martw się. Zostanie mi ich jeszcze pod dostatkiem.

Roześmiała się, włożyła książki do swojego pudełka i wróciła do pracy. Odkurzała i wycierała kupki posortowanych książek i chowała je do kartonów. Większości z nich nie dotykano od czterdziestu lat i Brianna sama była już pokryta grubą warstwą kurzu. Jej długie palce były brudne, a mankiety białej koszuli niemal zupełnie czarne.

- Nie będzie ci brakowało tego miejsca? - Odsunęła z oczu kosmyk włosów i wskazała na przestronny pokój. - Wychowałeś się tu, prawda?

- Tak i tak - odpowiedział i dźwignął następny wypełniony po brzegi karton na stertę, która miała zostać przesłana do biblioteki uniwersyteckiej. - Ale nie mam wielkiego wyboru.

- Chyba nie mógłbyś mieszkać w tym domu, skoro większość czasu spędzasz w Oksfordzie - zgodziła się z żalem. - Ale czy musisz go sprzedawać?

- Nie mogę go sprzedać. Nie należy do mnie. - Pochylił się, pochwycił wielki karton, stękając z wysiłku, przeniósł go przez pokój i z tąpnięciem umieścił na samym szczycie sterty. Z pudełek pod spodem uniosły się obłoczki kurzu. - Ufff - odetchnął głęboko. - Niech Bóg ma w swojej opiece antykwariuszy, gdy będą próbowali to podnieść.

- Co to znaczy, że nie należy do ciebie?

- To, co powiedziałem - odrzekł rzeczowo. - Dom

należy do Kościoła. Tato mieszkał tu przez prawie pięćdziesiąt lat, ale nie on był właścicielem, tylko rada parafialna. Nowy pastor nie chce tu mieszkać. Ma własne pieniądze i żonę, która lubi nowoczesne udogodnienia, więc rada postanowiła wynająć ten dom. Chcą tu zamieszkać Fiona i jej narzeczony Ernie. Niech Bóg ma ich w swojej opiece.

- Tylko we dwoje?

- Jest tani, i nie bez powodu - wyjaśnił sucho. - Fiona chce mieć mnóstwo dzieci, a tutaj zmieści się cała armia. - Dom, zaprojektowany w czasach wiktoriańskich z myślą o pastorach obdarzonych licznymi rodzinami, miał dwanaście pokoi oraz jedną staroświecką i bardzo niewygodną łazienkę. - Ślub ma się odbyć w lutym i dlatego muszę się z tym uporać w święta, żeby mogli tu wejść sprzątacze i malarze.

Przykro mi, że zagoniłem cię do roboty, chociaż masz wolne. Może w poniedziałek wybierzemy się do Fort William?

Brianna wzięła do ręki kolejną książkę, ale nie odłożyła jej od razu do pudełka.

- A więc twój dom znika na dobre - powiedziała powoli. - To nie w porządku, chociaż cieszę się, że Fiona tu zamieszka.

Roger wzruszył ramionami.

- I tak nie miałem zamiaru osiedlać się w Inverness. A poza tym nie jest to rodowa siedziba ani nic w tym rodzaju. - Wskazał na popękane linoleum, wulgarną farbę olejną i staroświecki klosz lampy przypominający kształtem miskę. - Nie da się wpisać go na listę dziedzictwa

narodowego i zgarniać po dwie gwinee za zwiedzanie.

Uśmiechnęła się i wróciła do przeglądania książek. Wydawała się pogodzona z losem, ale między jej szerokimi, rudymi brwiami pojawiła się drobna zmarszczka. W końcu włożyła do pudełka ostatnią książkę, przeciągnęła się i westchnęła.

- Wielebny miał prawie tyle książek, co moi rodzice. Medyczne książki mamy i historyczne taty wystarczyłyby do wyposażenia sporej biblioteki. Pewnie zejdzie mi z pół roku, żeby to wszystko przejrzeć, gdy wrócę do... - Przygryzła wargę, skubiąc paznokciem brzeg taśmy do pakowania. - Powiedziałam agentowi z biura nieruchomości, że może wystawić dom na sprzedaż w lecie.

- Czy właśnie to cię martwi? - zapytał powoli, patrząc na jej twarz. Miał wrażenie, że dopiero teraz zaczyna rozumieć. - Pozbywasz się domu, w którym wyrosłaś...

Wzruszyła lekko jednym ramieniem, nie podnosząc oczu znad opornej taśmy.

- Jeśli ty możesz to znieść, to ja chyba też, a poza tym nie jest tak źle. Mama zadbała prawie o wszystko. Znalazła lokatora i wynajęła dom na rok, żebym przez ten czas mogła zdecydować, co chcę z nim zrobić, i żebym nie musiała się martwić, że stoi pusty. Ale nie ma sensu go zatrzymywać. Dla mnie samej jest o wiele za duży.

- Możesz wyjść za mąż - strzelił bez zastanowienia.

Zerknęła na niego z ukosa i kącik jej ust poruszył się w czymś, co mogło być rozbawieniem.

- Pewnie może się to kiedyś zdarzyć. Ale jeśli mój mąż nie będzie chciał zamieszkać w Bostonie?

Zupełnie nieoczekiwanie przyszło mu do głowy, że być może oczami duszy widziała już siebie tutaj, w Inverness, i dlatego tak bardzo przejęła się utratą plebanii.

- Czy chcesz mieć dzieci? - zapytał nagle. Wcześniej nie przyszło mu do głowy, by o to zapytać, ale miał wielką nadzieję, że Brianna nie zaprzeczy.

Przez chwilę wydawała się oszołomiona, zaraz jednak wybuchnęła śmiechem.

- Jedynacy zwykle chcą mieć duże rodziny, prawda?

- Nie mam pojęcia - powiedział. - Ale ja chcę. - Przechylił się nad pudełkami i pocałował ją.

- Ja też - odrzekła. Gdy się uśmiechała, jej oczy stawały się skośne. Nie odwróciła wzroku, ale jej twarz pokryła się lekkim rumieńcem, z którym wyglądała jak dojrzewająca morela.

Owszem, chciał mieć dzieci, lecz w tej chwili o wiele bardziej pociągało go robienie tego, co prowadziło do ich posiadania.

- Ale może najpierw powinniśmy skończyć sprzątanie?

- Co? - Dopiero po chwili zrozumiał, co miała na myśli. - Och.

Tak, no tak. Chyba powinniśmy.

Pochylił głowę i pocałował ją raz jeszcze, tym razem powoli.

Miała fantastyczne usta, szerokie, o pełnych wargach, niemal zbyt duże jak na jej twarz, ale niezupełnie.

Jedną ręką obejmował ją w pasie, drugą wplótł w jedwabiste włosy. Kark miała gładki i ciepły. Gdy położył na nim rękę, zadrżała lekko i posłusznie rozchyliła wargi.

Miał ochotę odchylić ją do tyłu, zanieść na dywanik przed kominkiem i...

Usłyszał głośne pukanie do drzwi i szybko ją puścił, podnosząc głowę.

- Kto to? - zawołała Brianna i przyłożyła rękę do serca.

Całą jedną ścianę gabinetu zajmowały okna sięgające od podłogi aż do sufitu. Wielebny był również malarzem. Do jednego z tych okien przyciśnięta była kwadratowa, wąsata twarz z rozplaszczonym na szkło nosem.

- To listonosz - mruknął Roger przez zaciśnięte zęby. - MacBeth.

Co, do cholery, ten stary dureń tutaj robi?

MacBeth, jakby usłyszał to pytanie, odsunął się o krok, wyciągnął list z torby i pomachał nim jowialnie.

- List - wypowiedział wyraźnie samym ruchem warg, wpatrując się w Briannę. Przeniósł wzrok na Rogera i najeżył brwi w znaczącym uśmiešku.

Zanim Roger dotarł do drzwi, MacBeth z listem w ręku stał już na ganku.

- Na litość boską, dlaczego po prostu nie wrzucił pan tego listu przez szparę? - zirytował się Roger. - Proszę mi go dać.

MacBeth odsunął list poza zasięg jego dłoni, usiłując przybrać postawę urażonej godności, co jednak nie wypadło nadzwyczajnie ze względu na czynione jednocześnie wysiłki, by ponad ramieniem Rogera dojrzeć Briannę.

- Pomyślałem sobie, że to może być coś ważnego. Ze Stanów, nie? I to nie do ciebie, chłopcze, tylko do

panienki. - Wykrzywił twarz w ostentacyjnym, niedelikatnym mrugnięciu i z ramieniem wyciągniętym w stronę Brianny przecisnął się obok Rogera. - Proszę bardzo - powiedział kokieteryjnym tonem przez wąsy. - Z pozdrowieniami od poczty Jej Królewskiej Wysokości.

- Dziękuję. - Brianna wciąż była zarumieniona, ale zdążyła już przygładzić włosy i uśmiechała się do MacBetha, doskonale panując nad sobą. Wzięła od niego list i spojrzała na kopertę, jednak nie uczyniła żadnego gestu, by ją otworzyć. Roger zauważył, że adres na kopercie napisany był ręcznie, a znaczki pocztowe czerwone, lecz stał za daleko, by dostrzec adres nadawcy.

- Przyjechała pani w odwiedzinach? - zapytał MacBeth serdecznie.

- Jesteście tu tylko we dwoje, całkiem sami? - Przewrócił oczami i obrzucił Briannę spojrzeniem pełnym szczerego zainteresowania.

- Och, nie - odrzekła, nawet nie mrugnawszy powieką. Złożyła list na pół i wsunęła do tylnej kieszeni dzinsów. - Wujek Angus jest z nami. Śpi na górze.

Roger przygryzł wewnątrz policzka. Wujek Angus to był nadgryziony przez mole pluszowy szkocki terier, pamiątka z lat młodości odkopana podczas porządków. Oczarowana Brianna odkurzyła jego kraciasty kapelusz i ułożyła go na własnym łóżku w pokoju gościnnym.

Listonosz uniósł ciężkie brwi.

- Och - powiedział bezbarwnym tonem. - No tak, rozumiem. To pewnie też Amerykanin, ten wujek Angus?

- Nie, pochodzi z Aberdeen. - Twarz Brianny była uosobieniem niewinności, jedynie czubek jej nosa lekko

poróżowiał.

Pan MacBeth był oczarowany.

- Och, a więc ma pani Szkotów w rodzinie? No cóż, powinienem był się domyślić, wystarczy spojrzeć na pani włosy. Piękna, piękna dziewczyna, bez dwóch zdań. - Potrząsnął głową z podziwem i jego spojrzenie z lubieżnego zmieniło się na dobrotliwie ojcowskie - zdaniem Rogera, tylko odrobinę bardziej do przyjęcia. Odchrząknął wymownie.

- Tak, no cóż. Nie chcielibyśmy pana zatrzymywać, panie MacBeth. Na pewno ma pan jeszcze dużo pracy.

- Ależ nic nie szkodzi, nic nie szkodzi - zapewnił listonosz, wyciągając szyję, by jeszcze raz zerknąć na Briannę. - Nie ma spoczynku dla znużonych, prawda, chłopcze?

- To brzmiało inaczej: „nie masz pokoju niepobożnym” (Księga Izajasza 48,22.) - powiedział Roger z naciskiem, otwierając drzwi. - Życzę panu miłego dnia.

MacBeth zatrzymał na nim wzrok, w którym znów pojawił się cień lubieżności.

- Ja panu również, panie Wakefield. - Pochylił się bliżej, szturchnął Rogera łokciem pod żebro i szepnął ochryple: - I jeszcze lepszej nocy, o ile tylko jej wujek ma mocny sen.

- Masz zamiar przeczytać? - Podniósł kopertę ze stołu, gdzie ją rzuciła, i wyciągnął w jej stronę.

Zarumieniła się lekko i wzięła od niego list.

- To nic ważnego. Przeczytam później.

- Jeśli to coś prywatnego, to mogę wyjść do kuchni. Rumieniec na jej twarzy pogłębił się.

- Nie, to nic takiego.

Gdy Roger uniósł brwi, niecierpliwie wzruszyła ramionami, rozerwała kopertę i wyjęła pojedynczą kartkę papieru.

- W takim razie sam zobacz. Mówiłam ci, że to nic ważnego.

Akurat, pomyślał, ale nie odezwał się, tylko spojrzął na kartkę.

Rzeczywiście nie było to nic wielkiego: zawiadomienie z biblioteki uniwersyteckiej, że pozycja, której szukała, niestety nie jest dostępna w systemie wypożyczeń międzybibliotecznych, można ją jednak przejrzeć w prywatnej kolekcji Stuart Papers znajdującej się w Pawilonie Królewskim uniwersytetu w Edynburgu.

Podniósł wzrok i napotkał jej spojrzenie. Patrzyła na niego wyzywająco z ramionami skrzyżowanymi na piersiach, błyszczącymi oczami i mocno zaciśniętymi ustami.

- Trzeba mi było powiedzieć, że go szukasz - odezwał się cicho. - Mogłem ci pomóc.

Wzruszyła ramionami i przełknęła ślinę.

- Wiem, jak się prowadzi badania historyczne. Pomagałam oj... - urwała i przygryzła wargę.

- Rozumiem. - Wziął ją za ramię, zaprowadził do kuchni i posadził na krześle przy starym, zniszczonym stole. - Nastawię wodę.

- Nie lubię herbaty - zaprotestowała.

- Ale herbata dobrze ci zrobi - odrzekł stanowczo i zapalił gaz.

Palnik ostro zasyczał. Roger wyjął z kredensu

filiżanki i spodki, a po namyśle zdjął jeszcze butelkę whisky z górnej półki.

- I naprawdę nie lubię whisky - dodała Brianna, spoglądając na butelkę podejrzliwie. Chciała wstać od stołu, lecz Roger położył rękę na jej ramieniu.

- Ja lubię whisky, ale nie lubię pić sam. Dotrzymasz mi towarzystwa? - Uśmiechnął się z nadzieją, że odda mu uśmiech, i w końcu się doczekał. Jej uśmiech był niechętny, ale rozluźniła się trochę.

Usiadł naprzeciwko niej i nalał sobie pół filiżanki ostrego, bursztynowego płynu. Z przyjemnością wciągnął zapach i zamoczył usta. Mocna whisky spłynęła mu do gardła.

- Ach - westchnął. - Glen morangie. Na pewno nie chcesz? Może chociaż odrobinę do herbaty?

Pokręciła głową. Gdy czajnik zaczął gwizdać, wstała, zdjęła go z ognia i napełniła wrzątkiem przygotowany imbryk. Roger stanął za nią, obejmując ją w pasie.

- Nie ma się czego wstydzić - powiedział cicho. - Masz prawo wiedzieć. W końcu Jamie Fraser był twoim ojcem.

- Nie był... właściwie nie. - Widział niesforne zawirowanie na czubku jej pochylonej głowy. Drugie podobne miała przy czole, w miejscu, gdzie włosy wznosiły się miękką falą nad twarzą. - Miałam ojca - powiedziała przytłumionym głosem. - Mój tato, Frank Randall... to on był moim ojcem i kochałam... kocham go. Wydaje mi się, że to nie w porządku szukać kogoś innego... tak jakby on mi nie wystarczał, jakby...

- Nie o to chodzi i dobrze o tym wiesz. - Obrócił ją twarzą do siebie i podniósł jej brodę palcem. - To nie ma nic wspólnego z Frankiem Randallem ani z twoimi uczuciami do niego. Tak, był twoim ojcem i nic nie może tego zmienić. Ale to zupełnie naturalne, że jesteś ciekawa i chcesz się dowiedzieć.

- A czy ty kiedyś też chciałeś wiedzieć? - Odsunęła dłoń Rogera od twarzy, lecz zatrzymała palce na jego palcach.

Wziął głęboki oddech. Whisky pomagała.

- Tak, chciałem. Myślę, że tobie też jest to potrzebne. - Zaciśnął palce na palcach Brianny i pociągnął ją do stołu. - Usiądź, opowiem ci.

Wiedział, czym jest tęsknota za ojcem, szczególnie za nieznanym ojcem. Gdy poszedł do szkoły, przez jakiś czas obsesyjnie oglądał medale ojca. Nosił aksamitne pudełeczko w kieszeni, chwalił się przed przyjaciółmi tatą bohaterem.

- Opowiadałem o nim różne historie, wszystkie wymyślone - mówił, wpatrując się w aromatyczną głębię swojej filiżanki. - Koledzy wyśmiewali się ze mnie, bo byłem nieznośny, a nauczyciele dawali mi kary za kłamstwa.

Podniósł głowę i uśmiechnął się nieco boleśnie.

- Musiałem go sobie urzeczywistnić, rozumiesz? Skinęła głową i w jej oczach zabłysło zrozumienie.

Roger wypił jeszcze łyk whisky, tym razem nie zwracając uwagi na aromat.

- Na szczęście tato - wielebny - chyba odgadł, w czym rzecz, i zaczął mi opowiadać o moim ojcu. Prawdziwe

historie, nic szczególnie bohaterskiego. Owszem, Jerry MacKenzie był bohaterem, został zestrzelony i tak dalej, ale tato opowiadał mi, jaki był w dzieciństwie. Jak zrobił budkę dla jaskółek, ale wyciął za duży otwór i do środka dostała się kukulka. Co lubił jeść, gdy przyjeżdżał na wakacje i wybierali się razem do miasta. Jak chował do kieszeni ślimaki pobrażki znalezione na skałach, a potem zapominał o nich i smród niszczył spodnie... - Urwał i uśmiechnął się do niej z zaciśniętym gardłem. - Dzięki temu ojciec stał się dla mnie rzeczywisty. Zacząłem za nim tęsknić jeszcze bardziej, bo już wiedziałem, za czym tęsknię, ale musiałem to wiedzieć.

- Niektórzy mówią, że nie można tęsknić za tym, czego się nigdy nie miało. Że lepiej w ogóle tego nie poznać. - Brianna uniosła filiżankę i ponad krawędzią wpatrywała się w niego błękitnymi oczami.

- Tak mówią głupcy albo tchórze.

Dolał sobie whisky i przechylił butelkę w jej stronę, pytająco unosząc brwi. Bez komentarza podstawiła mu filiżankę.

- A twoja matka? - zapytała.

- Pozostało mi kilka własnych wspomnień. Miałem prawie pięć lat, gdy umarła. W garażu są pudełka - ruchem głowy wskazał na okno. - Wszystkie jej rzeczy, jej listy. Tato powiedział kiedyś: każdy potrzebuje swojej historii. Moja była dostępna. Wiedziałem, że jeśli zechcę, będę mógł dowiedzieć się więcej.

Przez długą chwilę patrzył na nią uważnie.

- Bardzo za nią tęsknisz? Za Claire?

Podniosła wzrok, krótko skinęła głową, wypila

whisky i znów wyciągnęła do niego filiżankę.

- Ale boję... bałam się szukać - wyjaśniła, wpatrując się w bursztynowy strumień. - Nie chodzi tylko o niego... o nią też. To znaczy, znam historię Jamiego Frasera. Dużo mi o nim opowiadała.

Znacznie więcej, niż mogłabym znaleźć w źródłach historycznych. - Spróbowała się blade uśmiechnąć. - Ale mama... Na początku próbowałam udawać, że po prostu wyjechała, tak jak na wycieczkę. A potem, gdy już nie byłam w stanie oszukiwać się dłużej, próbowałam wytłumaczyć sobie, że nie żyje. - Od emocji, whisky albo gorącej herbaty dostała kataru. Roger sięgnął po ścierkę wiszącą przy piecu i podał jej nad stołem. - Ale to nieprawda. - Wzięła od niego ścierkę i gniewnie wytarła nos. - W tym cały problem. Przez cały czas za nią tęsknię i wiem, że nigdy więcej jej nie zobaczę, ale ona żyje! Jak mogę ją oplakiwać, kiedy myślę - mam nadzieję - że jest szczęśliwa tam, gdzie jest, tam gdzie sama kazałam jej pójść?

Zakrztusiła się, opróżniając filiżankę, a gdy udało jej się odzyskać oddech, utkwiała w Rogerze mroczne spojrzenie niebieskich oczu, jakby to on ponosił winę za tę sytuację.

- Dlatego chcę się dowiedzieć, rozumiesz? Chcę ją znaleźć... znaleźć ich oboje, sprawdzić, czy wszystko z nią w porządku. Ale z drugiej strony myślę, że może wcale tego nie chcę, bo co będzie, jeśli się okaże, że jej tam nie jest dobrze, jeżeli odkryję coś okropnego?

Jeśli się przekonam, że ona nie żyje albo on... chociaż to by chyba nie miało wielkiego znaczenia, bo on i tak już nie żyje albo nie żył... ale muszę. Wiem, że muszę!

Głośno stuknęła filiżanką o blat stołu.

- Jeszcze

Już otwierał usta, by powiedzieć, że wypła więcej, niż to konieczne, ale spojrzał na jej twarz i zmienił zdanie. Zamknął usta i dołał jej whisky.

Nie czekając, aż dopełni filiżankę herbatą, natychmiast podniosła ją do ust i wypła duży łyk, a potem drugi. Zakaszła, zakrztusiła się i z załzawionymi oczami odstawiła filiżankę na stół.

- No więc szukam. Albo raczej: szukałam. Ale gdy zobaczyłam książki taty i jego charakter pisma... zaczęło mi się wydawać, że źle robię. Czy myślisz, że nie powinnam?

Patrzyła na niego żałośnie przez rzęsy, na których zatrzymały się łzy.

- Nie, skarbie - odpowiedział łagodnie. - Nie ma w tym nic złego.

Masz rację. Masz prawo wiedzieć. Pomogę ci. - Wstał, ujął ją pod ramiona i podniósł z krzesła. - Ale teraz chyba powinnaś się położyć.

Udało mu się przeprowadzić ją przez schody i dojść do połowy korytarza, gdy nagle wyrwała mu się i pędem wbiegła do łazienki.

Oparł się o ścianę i czekał cierpliwie. Gdy znów się pojawiła, chwiała się na nogach, a jej twarz miała identyczną barwę jak gipsowe ściany.

- Co za marnotrawstwo glen morangie - westchnął, obejmując jej ramiona i prowadząc do sypialni. - Gdybym wiedział, że mam do czynienia ze zwykłą pijaczką, dałbym ci coś tańszego.

Opadła na łóżko, pozwoliła, by zdjął jej buty i

skarpetki, i przetoczyła się na brzuch, przyciskając do siebie wujka Angusa.

- Mówiłam ci przecież, że nie lubię herbaty - wymamrotała i zasnęła w ciągu sekundy.

Przez jakąś godzinę czy dwie Roger samotnie sortował książki i owiżywał kartony sznurkiem. Popołudnie było ciemne i spokojne, ciszę zakłócał tylko miękki stuk deszczu i od czasu do czasu szum opon samochodowych na ulicy za oknem. Gdy zaczął zapadać zmrok, włączył lampy i poszedł do kuchni, żeby zmyć kurz z rąk.

Na blasze kuchenki bulgotał duży garnek mlecznobiałej zupy porowej. Co Fiona kazała mu z tym zrobić? Zwiększyć płomień?

Zmniejszyć? Wrzucić coś do środka? Z powątpiewaniem zajrzał do garnka i postanowił zostawić zupę taką, jak była.

Posprzątał pozostałości po zaimprovizowanym podwieczorku: umył filiżanki, wytarł je i starannie powiesił na haczykach w kredensie. Były to pozostałości starego serwisu, którego wielebny używał, odkąd Roger pamiętał: biało - niebieska porcelana zdobiona wzorem chińskich drzew i pagód, wymieszana z pojedynczymi, niepasującymi do siebie zdobyciami z targu staroci.

Fiona oczywiście zamierzała kupić nowe naczynia. Zmusiła ich do przeglądania magazynów ze zdjęciami porcelany, kryształów i sztuców. Brianna z uprzejmości wydawała pełne podziwu pomruki, oczy Rogera zaszyły mgłą z nudy. Przypuszczał, że wszystkie stare rzeczy wylądują gdzieś na wyprzedazy; miał nadzieję, że komuś jeszcze się

przydadzą.

Pod wpływem impulsu zdjął z haczyków dwie filiżanki, które właśnie umył, owinął je w czystą ściereczkę, zaniósł do gabinetu i włożył do pudełka z rzeczami, które przeznaczył dla siebie. Czuł się bezdennie głupio, ale jednocześnie trochę lepiej.

Rozejrzył się po gabinecie, zupełnie już nagim. Tylko jedna kartka papieru wciąż wisiała na korkowej ścianie. Twój dom zniknął na zawsze, pomyślał. No cóż, on sam przecież wyjechał stąd już jakiś czas temu.

Tak, w gruncie rzeczy przygnębiało go to znacznie bardziej, niż przyznawał przed Brianną. Właśnie dlatego uprzątnięcie rzeczy zabrało mu tak cholernie dużo czasu. Fakt, niewątpliwie było to gigantyczne zadanie, a on miał pracę w Oksfordzie, i fakt, tysiące książek trzeba było posortować bardzo starannie, ale mógł to zrobić szybciej, gdyby tylko chciał.

Gdyby dom miał stać pusty, to może nigdy nie udałoby mu się skończyć tych porządków, ale mając za sobą energiczną Fionę, a przed sobą kuszącą Briannę... Uśmiechnął się na myśl o tych dwóch kobietach: jedna drobna z kędzierzawymi, ciemnymi włosami, druga wysoka, o ognistych włosach wikingów. Wyglądało na to, że kobiety były niezbędne, by mężczyzna mógł cokolwiek zdziałać.

Ale teraz czas już był z tym skończyć.

Uroczyście wyjął pinezki z narożników pożółkłego arkusza papieru i zdjął go ze ściany. Było to jego drzewo rodzinne, wykres genealogiczny nakreślony schludnym, okrągłym charakterem pisma wielebnego. Mnóstwo MacKenziech, całe pokolenia. Ostatnio zastanawiał się nad

zmianą nazwiska na stałe. Po śmierci taty nie zamierzał wracać często do Inverness, gdzie ludzie znali go jako Wakefielda, a w końcu temu miała służyć cała ta genealogia, żeby Roger nie zapomniał, kim jest.

Tato znał historię niektórych z tych ludzi, ale większość pozostawała tylko nazwiskami, a najważniejsza postać - kobieta, której zielone oczy Roger widział każdego ranka w lustrze - nie miała nawet nazwiska. Nie było jej na liście, i nie bez powodu.

Zatrzymał palec na górze arkusza, przy nazwisku podrzutka, Williama Buccleigha MacKenziego, oddanego na wychowanie przybranym rodzicom nieślubnego potomka przywódcy klanu MacKenziech i skazanej na stos czarownicy. Dougal MacKenzie i czarownica Geillis Duncan.

Oczywiście nie była czarownicą, ale kimś jeszcze bardziej niebezpiecznym. Miał jej oczy, tak w każdym razie mówiła Claire.

Czy odziedziczył po niej coś więcej? Czy przerażająca umiejętność podróżowania w czasie ukradkiem przeniosła się przez pokolenia bogobojnych szkutników i pasterzy? Myślał o tym za każdym razem, gdy patrzył na to drzewo, i z tego powodu starał się nie patrzeć na nie często. Rozumiał rozterki Brianny, aż za dobrze zdawał sobie sprawę, jak cienka jest granica między strachem a ciekawością, potrzebą, by wiedzieć, a lękiem przed tym, czego można się dowiedzieć.

No cóż, mógł jej pomóc. A jeśli chodziło o niego samego...

Schował arkusz do teczki, a teczkę do pudełka,

zamknął je i zakleił na krzyż taśmą.

- No i już - powiedział głośno i wyszedł z pustego pokoju.

Na szczycie schodów przystanął ze zdziwieniem.

Brianna wzięła kąpiel. Odważyła się skorzystać z wiekowego piecyka z popękaną emalią i niespokojnym, huczącym płomieniem, i wyszła na korytarz, okryta tylko ręcznikiem. Nie zauważyła go. Stał nieruchomo, słuchając dudnienia własnego serca. Jego dłoń, oparta na wyslizganej poręczy, zrobiła się śliska od potu.

Ciało Brianny było przyzwoicie osłonięte; koszulki na ramiączkach i szorty, które nosiła w lecie, ukazywały znacznie więcej, ale podnieciła go niepewność jej okrycia, poczucie, że mógłby ją rozebrać jednym szybkim szarpnięciem, a także świadomość, że są zupełnie sami w domu.

Dynamit.

Postąpił o krok do przodu i zatrzymał się. Usłyszała go i również się zatrzymała, ale obróciła się dopiero po dłuższej chwili. Była boso; jej stopy miały wysokie podbicie i długie palce. Od zniszczonego chodnika na podłodze korytarza ciemno odcinały się smukłe łuki mokrych śladów. Nie powiedziała nic, tylko patrzyła na niego ciemnymi, skośnymi oczami. Za plecami miała wysokie okno na końcu korytarza. Jej sylwetka odcinała się czernią od jasnoszarego światła deszczowego dnia.

Wiedział, jaka byłaby jej skóra w dotyku: wciąż rozgrzana po kąpieli, wilgotna w zagłębieniach kolan, ud i łokci. Czuł zapach szamponu, mydła i pudru, zapach jej ciała przytłumiony przez duchy kwiatów. Rząd jej śladów

na chodniku wyglądał jak delikatny, łączący ich łańcuszek kroków. Zrzucił sandały, postawił nagą stopę na jednym ze śladów i poczuł na skórze chłód.

Kropelki wody na jej ramionach były takie same jak kropelki na szybie za jej plecami, jakby przeszła przez szybę prosto z deszczu.

Gdy się do niej zbliżył, podniosła głowę i jednym ruchem zrzuciła z niej ręcznik. Miedziane węże włosów opadły jej na ramiona i otarły się o jego policzki. Nie było to piękno Gorgony, lecz nimfy wodnej, przemieniającej się z konia o grzywie z węży w czarodziejkę.

- Kelpie. Topielica - szepnął z twarzą przy jej zarumienionym policzku. - Wyglądasz, jakbyś wyszła prosto z górskiego strumienia.

Otoczyła ramieniem jego szyję, puszczając ręcznik, który utrzymał się na miejscu tylko dlatego, że ich ciała się dotykały. Plecy miała nagie. Od strony okna napływało chłodne powietrze. Włosy na przedramieniu Rogera uniosły się, choć jej skóra grzała mu dłonie.

Chciał ją chronić, nakryć ręcznikiem i osłonić przed chłodem, a jednocześnie miał ochotę obnażyć ją i siebie, wchłonąć jej ciepło i oddać swoje - właśnie tu, w tym wilgotnym, pełnym przeciągów korytarzu.

- Para - szepnął. - Boże, ty parujesz. Jej usta drgnęły tuż przy jego ustach.

- Ty też, a przecież nie brałaś kąpieli.

Jej chłodne palce znalazły się na jego karku. Otworzyła usta, by coś jeszcze powiedzieć, ale pocałował ją, czując, jak gorąca wilgoć przenika tkaninę jego koszuli. Ręcznik frotte chronił jej piersi przed jego dłońmi, ale nie

przed wyobraźnią. Widział je oczami duszy, okrągłe i gładkie, czarodziejsko rozkołysane.

Jego dłoń powędrowała na jej nagi pośladek. Brianna zachwiała się i obydwójce upadli, niezręcznie próbując się przytrzymywać jedno drugiego. Roger uderzył kolanami o podłogę i pociągnął ją za sobą. Ze śmiechem upadła płasko na plecy.

- Hej! - Pochwyciła ręcznik, ale zostawiła go w spokoju, gdy Roger pochylił się nad nią i znów ją pocałował.

Nie mylił się co do jej piersi. Ta, na której teraz spoczywała jego dłoń, była pełna, miękka i naga.

Dynamit z zapalonym lontem.

Drugą dłoń opartą miał na jej udzie pod ręcznikiem, tak wysoko, że czuł wilgotne włosy ocierające się o jego palce. Dobry Boże, jaki miały kolor? Rudobrazowy, tak jak sobie wyobrażał? A może złocisty, miedziany, jak włosy na jej głowie? Wbrew sobie posunął palce dalej, próbując uchwycić miękka, śliską pełnię, którą wyczuwał tuż obok. Z wrażenia zakręciło mu się w głowie i zatrzymał rękę.

Brianna oparła dłoń na jego ramieniu, popychając je w dół.

- Proszę - szepnęła. - Proszę. Chcę tego.

Poczuł się pusty jak dzwon. Bicie serca odbijało się echem w jego głowie i piersi. Zamknął oczy i przycisnął dłonie do szorstkiego splotu dywanika, próbując zatrzeć wrażenie jej dotyku.

- Nie - powiedział. Własny głos wydawał mu się dziwnie chropawy. - Nie, nie tutaj, nie tak.

Usiadła, niczym syrena wynurzająca się z fałd

ciemnoniebieskiego ręcznika, który otaczał jej biodra. Zdążyła już ochłodzić i jej ciało w szarym świetle wydawało się blade jak marmur, gęsia skórka pokryła gładkie ramiona, piersi i barki.

Dotknął jej i przesunął palcem po jej ustach. Na wargach wciąż czuł smak Brianny, smak czystej skóry i pasty do zębów.

- Lepiej - szepnął. - Chcę, żeby za pierwszym razem było lepiej.

Kłęczeli, patrząc na siebie. Powietrze między nimi było gęste od niewypowiedzianych słów. Lont wciąż płonął, ale teraz bardzo powoli. Roger czuł się przykuty do miejsca. Może to jednak była Gorgona.

Naraz od strony schodów przypląnął zapach spalonego mleka.

Obydwoje zerwali się na nogi.

- Coś się przypala! - zawołała Brianna i pobiegła na schody, niezgrabnie przytrzymując ręcznik dokoła bioder. Gdy go mijała, pochwycił ją za ramię. Skórę miała chłodną, wyziębioną przez przeciąg.

- Ja się tym zajmę - powiedział. - Ty idź i ubierz się.

Rzuciła mu szybkie, błękitne spojrzenie i zniknęła w gościnnej sypialni. Usłyszał stuk zamykanych drzwi i pobiegł w dół, tam, skąd dochodził zapach katastrofy. Dłoń paliła go w miejscu, którym jej dotknął.

Zły na siebie, powycierał ślady zupy z kuchenki. Co on najlepszego narobił? Rzucił się na nią jak oszalały łoś zmierzający na tarło, zerwał z niej ręcznik i przycisnął ją do podłogi. Chryste!

Pewnie uznała, że ma do czynienia z gwałtcielem.

Ale gorąco, które wypełniało jego pierś, nie było uczuciem wstydu ani nie pochodziło od płomienia kuchenki. Było to ciepło jej skóry, które wciąż go ogrzewało. „Chcę tego” - powiedziała i mówiła zupełnie szczerze.

Wystarczająco dobrze znał język ciała, by rozpoznać pragnienie i poddanie, ale w tej krótkiej chwili, gdy jej ciało ożyło przy jego ciele, poczuł coś znacznie istotniejszego. Cały wszechświat poruszył się z lekkim, nieodwołalnym stuknięciem, i echo tego stuknięcia wciąż rozbrzmiewało w całym ciele Rogera.

Pragnął jej. Pragnął jej całej, nie tylko jej ciała i nie tylko w łóżku. Pragnął jej całej, na zawsze. Biblijne wyrażenie „jedno ciało” stało się naraz bardzo rzeczywiste i zrozumiałe. Niewiele brakowało, a staliby się tym na podłodze w korytarzu, a przez to, że zatrzymał się, nim uczynił ostatni krok, teraz czuł się dziwnie okaleczony. Nie był już kompletną osobą, lecz jedynie połówką czegoś, co jeszcze nie zaistniało w całości.

Wylał resztki spalonej zupy do zlewu. To nie miało znaczenia, kolację mogli zjeść w pubie. Lepiej wyjść z domu i oddalić się od pokusy. Kolacja, rozmowa o niczym i może spacer nad rzeką. Chciała pójść na pasterkę. A potem...

A potem zapyta ją oficjalnie. Był pewien, że ona się zgodzi, że powie „tak”. I potem...

Potem wróć do domu, ciemnego i odosobnionego. Będą tu tylko we dwoje i w tę noc sakramentu i tajemnicy, gdy miłość na nowo przychodzi na świat, Roger weźmie ją w ramiona i poniesie na górę.

W tę noc, gdy ofiara dziewictwa nie jest utratą

czystości, lecz narodzinami wiecznej radości.

Zgasił światło i wyszedł z kuchni. Za jego plecami zapomniany płomyk gazu świecił w ciemności żółtym i niebieskim blaskiem, stały i żywy jak ogień miłości.

18. Haniebne pożądliwości

Wielebny Wakefield był łagodnym i ekumenicznie nastawionym człowiekiem. Tolerował wszelkie odcienie poglądów religijnych i bez oporów rozważał doktryny, które jego trzódka uznałaby za obrazoburcze, jeśli nie wręcz heretyckie.

Mimo wszystko lata spędzone w bliskości surowego oblicza szkockiego prezbiterianizmu, z jego nieustanną podejrzliwością wobec wszystkiego, co pachniało Rzymem, sprawiły, że przekraczając próg kościoła katolickiego, Roger poczuł, iż odzywa się w nim głęboko zakorzeniony niepokój, jakby już w drzwiach miał zostać pochwycony i ochrzczony siłą przez dziwacznie ubranych totumfackich Prawdziwego Krzyża.

Jednak we wnętrzu niedużego, kamiennego budynku, do którego wszedł za Brianną, nikt nie próbował stosować wobec niego przemocy. Chłopiec w długiej, białej komży stojący na drugim końcu nawy spokojnie zapalał dwie pary wysokich świec na ołtarzu.

Powietrze przesycone było lekkim, nieznanym zapachem. Roger dyskretnie pociągnął nosem. Kadzidło?

Brianna zatrzymała się, wygrzebała z torebki kółko z czarnej koronki i wsuwkami przypięła je do czubka głowy.

- Co to jest? - zdziwił się Roger.

- Nie wiem, jak to się nazywa, ale zakłada się to do kościoła zamiast kapelusza albo woalki. Właściwie nie jest

to już wymagane, ale robiłam to przez całe życie. Wiesz, kiedyś kobietom nie wolno było wchodzić do katolickiego kościoła z odkrytą głową.

- Nie wiedziałem - powiedział z zainteresowaniem. - Dlaczego?

- Chyba przez świętego Pawła - wzduszyła ramionami.

Wyciągnęła z torebki grzebień i rozczesała końce włosów. - Uważał, że kobiety powinny zakrywać włosy, żeby nie wzbudzać haniebnych pożądliwości. Stara maruda. Mama twierdziła, że on bał się kobiet.

Uważał, że są niebezpieczne - dodała z szerokim uśmiechem.

- Bo są niebezpieczne. - Impulsywnie pochylił się i pocałował ją, ignorując spojrzenia stojących w pobliżu wiernych. Brianna wydawała się zaskoczona, ale zakołysała się na palcach i oddała mu pocałunek, szybko i miękko.

Dobiegło go pełne dezaprobaty chrząknięcie, ale nie zwrócił na nie uwagi.

- W kościele i w dodatku w Wigilię! - szepnął ktoś głośno za jego plecami.

- Właściwie, Annie, nie jesteśmy w kościele, tylko w kruchcie, nie?

- I to kto? Chłopak pastora!

- Wiesz, jak to mówią, Annie, dzieci szewca bez butów chodzą.

Pewnie to tak samo: chłopak pastora sprzymierzył się z diabłem.

Chodź, wejdziemy dalej.

Głosy oddaliły się przy akompaniamencie

postukiwania obcasów i miękkiego szurania męskich butów. Brianna cofnęła się o krok i spojrzała na Rogera. Usta jej drżały od śmiechu.

- Naprawdę sprzymierzyłeś się z diabłem?

Odwzajemnił jej uśmiech i dotknął jej rozjaśnionej twarzy. Z okazji świąt nałożyła naszyjnik po babci. Jej skóra była równie świetlista jak rzeczne perły.

- Sądzisz, że diabeł by mnie zechciał?

Nie zdążyła odpowiedzieć, bo drzwi znów się otworzyły i poczuli powiew mglistego, wilgotnego powietrza.

- Panie Wakefield, czy to naprawdę pan?

Odrzucił się i zobaczył wpatrzony w siebie dwie pary błyszczących, wścibskich oczu. Naprzeciwko niego, ramię w ramię, stały dwie starsze kobiety w zimowych paltach i małych filcowych kapelusikach, spod których wymykały się szare, utapirowane włosy.

Obydwie miały po jakieś półtora metra wzrostu i przypominały parę posążków stojących przy drzwiach.

- Pani McMurdo, pani Hayes! Wesółych świąt! - skinął głową z uśmiechem. Znał je od dziecka. Pani McMurdo mieszkała o dwa domy od plebanii i co niedzielę chodziła do kościoła razem ze swoją przyjaciółką, panią Hayes.

- Przeszedł pan na stronę Rzymu, panie Wakefield? - zapytała Chrissie McMurdo, a Jessie Hayes zachichotała z dowcipu przyjaciółki, aż czerwone wisienki na jej kapeluszu zaczęły się kołysać.

Roger dobrze wiedział, że dla pani McMurdo i pani Hayes jego obecność w tym miejscu była równie wyraźną

deklaracją jego intencji jak całostronicowe ogłoszenie w wieczornej gazecie. Żałował tylko, że Brianna nie ma o tym pojęcia.

A może jednak miała? Spojrzała na niego, skrywając uśmiech, i na krótką chwilę zacisnęła palce na jego ramieniu.

- Idzie już ten chłopiec z kadzielnicą! - zawołała pani Hayes na widok drobnej postaci w białej szacie, która wynurzyła się z zakrystii.

- Chodźmy szybciej, Chrissie, bo nie uda nam się usiąść!

- Bardzo mi miło cię poznać, moja droga - powiedziała pani McMurdo do Brianny, zadzierając głowę tak bardzo, że kapelusz omal nie zsunął jej się z włosów. - Mój Boże, jaka piękna, wysoka dziewczyna! - mrugnęła do Rogera. - Masz szczęście, że znalazłaś odpowiednio wysokiego chłopaka, prawda?

- Chrissie!

- Już idę, Jessie, już idę. Nie poganiaj mnie tak, mamy czas. - Poprawiła kapelusz ozdobiony pękiem piór cietrzewia i niespiesznie poszła za przyjaciółką.

Nad ich głowami znów rozkołysał się dzwon. Roger ujął Briannę pod ramię. Jessie Hayes odwróciła się i rzuciła im wymowny uśmiech.

Brianna zanurzyła palce w małej, kamiennej kropielnicy przy drzwiach i przeżegnała się. Ten rzymski gest wydał się Rogerowi dziwnie znajomy. Wiele lat temu, chodząc po górach, natrafili z wielebny na święte źródło skryte w zagajniku. Obok źródła znajdował się płaski, pionowo ustawiony kamień z niemal zupełnie zatartymi

pozostałościami płaskorzeźby. Z trudem można było wyróżnić zarysy ludzkiej postaci.

Ciemne jeziorko spowite było atmosferą tajemnicy. Obydwaj z wielebny przez dłuższą chwilę stali nad nim w milczeniu. W końcu wielebny pochylił się, nabrał garść wody i polał nią podnóże kamienia, jakby odprawiał jakąś milczącą ceremonię. Zaczepnął jeszcze jedną garść i ochlapał sobie twarz. Dopiero wtedy uklękli przy źródelku i napili się. Woda była chłodna i orzeźwiająca. Ponad schylnymi plecami wielebnego Roger widział kawałki płótna zawiązane na gałęziach drzewa nad źródelkiem. To były prośby, intencje modlitewne zostawione przez tych, którzy wciąż odwiedzali pradawną świątynię.

Od ilu już tysięcy lat ludzie oczyszczali się w ten sposób wodą, nim sięgnęli po to, czego pragnęło ich serce? Roger zanurzył palce w kropielnicy i niezgrabnie dotknął głowy i serca, mamrocząc pod nosem coś, co mogło być modlitwą.

Znaleźli miejsca siedzące w zatłoczonym wschodnim transepcie, obok rozmawiającej przyciszonymi głosami rodziny, zajętej moszczeniem na ławce toreb i śpiących dzieci oraz podawaniem sobie w jedną i drugą stronę płaszczy, torebek i butelek do karmienia.

Gdzieś poza zasięgiem wzroku małe, jęklive organy grały Miasteczko Betlejem.

Muzyka urwała się i po chwili wyczekiwania wybuchła na nowo, tym razem w głośnym O, pójdźcie wszyscy wierni.

Roger podniósł się wraz ze wszystkimi, gdy wzdłuż głównej nawy pojawiła się procesja kilku ministrantów w

białych komzach.

Jeden szedł z rozkołysaną kadzielnicą, wypuszczając w tłum wonny dym, drugi niósł księgę, a trzeci wysoki krucyfiks. Niezgrabna figurka na krucyfiksie poznaczona była czerwoną farbą, powtórzoną krwawym echem na złoto - szkarłatnym stroju kapłana.

Wbrew sobie Roger poczuł lekki niesmak. Ta mieszanka barbarzyńskiego pogaństwa z zawodzącym łacińskim śpiewem znacznie odstawała od jego podświadomych przekonań na temat tego, co właściwe w kościele. Dalej jednak wszystko znormalniało.

Usłyszał znajome czytania z Biblii, po których nastąpiło zwykle przejście do nieoczekiwanej przyjemnej nudy kazania. Nieuniknione chrześcijańskie zwiastowanie pokoju, dobrej woli i miłości, jak białe lilie unoszące się na powierzchni słów, pokryło jego umysł warstewką spokoju.

Nim wierni znów się podnieśli, Roger przestał już czuć się obco.

Otoczony znajomą kościelną fugą skomponowaną z pasty do podłogi, wilgotnej wełny, oparów nafty i leciutkiego zapachu whisky, którą niektórzy wierni wzmocnili się przed długą mszą, niemal przestał zwracać uwagę na słodki, duszący zapach kadzideł. Wydawało mu się, że przy głębszym oddechu wyczuwa zapach świeżej trawy dochodzący z włosów Brianny.

Jej włosy lśniły w półmroku transeptu, gęste i miękkie na tle ciemnofioletowego swetra. Miedziane błyski przyćmione półmrokiem miały kolor sierści jelenia i wzbudzały w nim podobną, bezradną tęsknotę jak jeleni spotkany nieoczekiwanie na górskiej ścieżce. Roger miał

wielką ochotę pogłaskać zwierzę i zatrzymać je przy sobie, a jednocześnie doskonale zdawał sobie sprawę, że najdrobniejszy ruch wystarczy, by je spłoszyć.

Cokolwiek by myśleć o świętym Pawle, ten facet wiedział, co mówi, jeśli chodziło o kobiece włosy. Haniebna pożądlliwość - czy tak się to nazywało? Roger przypomniał sobie pusty korytarz, parę unoszącą się z ciała Brianny i mokre, zimne węże włosów na jej skórze.

Odwrocił od niej wzrok, usiłując skupić się na ołtarzu, przy którym ksiądz podnosił właśnie do góry duży, płaski opłatek, a ministrant szaleńczo potrząsał dzwonekami. Patrzył na Briannę, gdy szła do komunii, i ze zdziwieniem uświadomił sobie, że modli się w myślach.

Rozluźnił się nieco, gdy zdał sobie sprawę, czego dotyczyła ta modlitwa. Nie było to niegodne „pozwól mi ją osiąść”, którego można by się spodziewać w tych okolicznościach, lecz pokorniejsze - i miał nadzieję, że miłsze Bogu - „pozwól mi stać się jej godnym; pozwól mi kochać ją tak, jak należy; pozwól mi zatroszczyć się o nią”.

Skinął głową w stronę ołtarza, a gdy pochwycił zaciekawione spojrzenie sąsiada, wyprostował się i odchrząknął z zażenowaniem, jakby ktoś podsłuchiwał jego prywatną rozmowę.

Wróciła z oczami szeroko otwartymi, wpatrzona w głąb własnej duszy, i z rozmarzonym uśmiechem na szerokich ustach. Gdy uklękła, przyklęknął obok niej. Jej twarz przybrała teraz łagodny wyraz, choć rysy nie były łagodne z natury: prosty nos, gęste rude brwi, które nie wydawały się ciężkie tylko dzięki temu, że były wygięte w ładny łuk, szczeka i policzek jak wycięte z białego

marmuru. Jedyne jej usta potrafiły się zmieniać z chwili na chwilę, od łagodnie miękkich do zaciśniętych w zimnym jak kamień celibacie, niczym u średniowiecznej matki przełożonej.

Tuż obok niego jakiś gruby głos, niewątpliwie naznaczony pochodzeniem z Glasgow, zaczął ryczeć My, trzej królowie. Roger drgnął i wrócił do przytomności akurat w chwili, gdy ksiądz przechodził wzdłuż nawy, otoczony przez ministrantów i chmury triumfalnego dymu.

- My, trzej królowie - śpiewała Brianna cicho, gdy wracali wzdłuż River Walk. - Zapalimy sobie. Gumowe cygaaa - ro, napełnione siaaa - rą... Wyłączyłeś gaz, tak?

- Tak - zapewnił ją. - Nie martw się. Fakt, że pomimo tej kuchenki i piecyka w łazience dom jeszcze nigdy nie stanął w płomieniach, jest niewątpliwym dowodem boskiej opatrności.

Roześmiała się.

- Czy prezbiterianie wierzą w anioła stróża?

- Oczywiście, że nie. To przesady papistów.

- Mam nadzieję, że idąc ze mną na mszę, nie naraziłeś się na wieczne potępienie. A czy prezbiterianie wierzą w piekło?

- O, zdecydowanie tak - zapewnił ją. - Równie mocno jak w niebo, o ile nie mocniej.

Nad rzeką mgła była jeszcze gęstsza. Roger cieszył się, że nie wzięli samochodu, ponieważ widoczność w gęstych, białych oparach nie przekraczała półtora metra.

Szli ramię w ramię wzdłuż rzeki Ness. Mgła tłumiała ich kroki i otaczała ich ze wszystkich stron, jakby niewidzialne miasto w ogóle nie istniało. Dokoła nie było

nikogo, inni wierni pozostali z tyłu.

Roger czuł się dziwnie obnażony, przemarznięty i bezbronny, odarty z ciepła i pewności, które czuł w kościele. To tylko nerwy, pomyślał, mocniej ujmując Briannę za ramię. Nadeszła odpowiednia chwila. Wziął głęboki oddech, wypełniając pierś zimną mgłą.

- Brianna. - Nim jeszcze zdążyła się zatrzymać, obrócił ją twarzą do siebie. Jej włosy zatoczyły ciężki łuk, lśniąc w świetle latarni nad ich głowami. Kropelki wody delikatną mgiełką pokrywały jej skórę, lśniły na włosach jak perły i brylanty. Pod grubą kurtką wyczuwał jej skórę, we wspomnieniach nagą i chłodną jak mgła pod palcami, gorącą w miejscach, których dotykało wnętrze jego dłoni. Oczy Brianny, szeroko otwarte i ciemne, przypominały powierzchnię jeziora, w którego głębi poruszały się tajemnice, na w pół widoczne, a na w pół zaledwie wyczuwalne. Z całą pewnością była topielicą, kelpie, each urisge - koniem wodnym z rozwianą grzywą i lśniącą skórą. Człowiek, który dotknie takiej istoty, jest stracony: związany z nią na wieki, zostaje ściągnięty pod wodę i tonie w jeziorze. Naraz ogarnął go lęk - nie o siebie, lecz o nią, jakby coś mogło wyłonić się z tego wodnego świata i odebrać mu ją. Pochwycił ją za rękę, palce miała chłodne i wilgotne w zderzeniu z ciepłem jego dłoni.

- Chcę cię, Brianno - powiedział cicho. - Nie umiem powiedzieć tego jeszcze jaśniej. Kocham cię. Czy wyjdiesz za mnie?

Nie odpowiedziała, ale jej twarz zmieniła się jak woda, w którą wpadł rzucony kamień. Roger patrzył na nią jak na własne odbicie w górskim stawie.

- Nie chciałaś, żebym to powiedział. - Mgła osiadła w jego piersi.

Oddychał lodem, kryształowe igielki przesywały jego serce i płuca. - Nie chciałaś tego usłyszeć?

Bez słowa pokręciła głową.

- No cóż, dobrze. - Z wysiłkiem puścił jej dłoń. - Niech tak będzie - powtórzył, zdziwiony spokojem własnego głosu. - Mam nadzieję, że nie będziesz się z tego powodu martwić?

Odwrócił się, chcąc iść dalej, ale dotknęła jego rękawa.

- Roger.

Obrócił się z wysiłkiem. Nie chciał pustych pocieszeń, nie miał ochoty słuchać nieśmiałej propozycji, by zostali przyjaciółmi.

Ogarnięty dojmującym poczuciem straty, nie sądził, by był w stanie znieść choćby spojrzenie na nią. Odwrócił się jednak i nagle poczuł ją przy sobie, dotyk jej zimnych rąk na swoich uszach. Objęła jego głowę i mocno przycisnęła usta do jego ust. Nie był to właściwie pocałunek, lecz ślepe szaleństwo, niezręczna desperacja.

Odciągnął jej ręce i odsunął się.

- W co ty grasz, na litość boską? - wykrzyczał pośrodku pustej ulicy. Gniew był lepszy od pustki.

- W nic nie gram. Powiedziałaś, że mnie chcesz. - Z trudem złapała oddech. - Ja też cię pragnę, nie wiesz o tym? Przecież powiedziałam ci to dziś po południu, tam, w korytarzu.

- Powiedziałaś - patrzył na nią. - O co ci, do diabła, chodzi?

- Chodzi mi o to, że chcę iść z tobą do łóżka - wybuchnęła.

- Ale nie chcesz za mnie wyjść?

Pokręciła głową, blada jak prześcieradło. Poczul coś pośredniego między mdłościami a furią.

- Więc nie chcesz za mnie wyjść, ale chcesz się ze mną pieprzyć?

- wybuchnęła. - Jak możesz mówić coś takiego?

- Nie odzywaj się do mnie tak wulgarnie!

- Wulgarnie? Tobie wolno coś takiego sugerować, ale mnie nie wolno tego nazwać? Jeszcze nigdy w życiu nikt mnie tak nie obraził!

Drżała. Do jej twarzy przykleiły się wilgotne kosmyki włosów.

- Nie chciałam cię urazić. Myślałam, że chcesz... Pochwycił ją za ramiona i szarpnął mocno.

- Gdybym chciał się po prostu z tobą pieprzyć, to położyłbym cię na plecach już dziesięć razy ostatniego lata.

- Akurat! - Wyrwała ramię i mocno uderzyła go w twarz.

Zaskoczony, złapał ją za rękę, pociągnął do siebie i pocałował, tak mocno i długo, jak nie całował jej nigdy wcześniej. Była wysoka, silna i bardzo zła, ale on był wyższy, silniejszy i jeszcze bardziej zły.

Kopała, wierzgała i wyrywała się, a on wciąż ją całował, dopóki nie złagodniała i nie przestała się wyrywać.

- Oczywiście, że tak - powiedział, chwytając powietrze. Otarł usta i odsunął się, drżąc. Na wierzchu dłoni zauważył krew. Ugryzła go, a on nawet tego nie poczuł.

Ona też drżała. Twarz miała białą, a usta zaciśnięte

tak mocno, że w całej twarzy widać było tylko płonące, ciemne oczy.

- Ale nie zrobiłem tego - powiedział, oddychając już spokojniej. - Nie tego chciałem i nie tego chcę teraz. - Otarł rękę o koszulę. - Ale skoro tobie nie zależy na mnie na tyle, żeby za mnie wyjść, to mnie nie zależy na tobie na tyle, żeby wziąć cię do łóżka.

- Zależy mi!

- Akurat.

- Zależy mi o wiele za bardzo i dlatego nie mogę za ciebie wyjść, ty głupi!

- Co takiego?

- Bo jeśli za ciebie wyjdę - jeśli wyjdę za męża za kogokolwiek - to ma być na zawsze, rozumiesz? Jeśli złożę taką przysięgę, to jej dotrzymam, bez względu na to, ile by to mnie miało kosztować!

Po jej twarzy spływały łzy. Wyciągnął z kieszeni chusteczkę i podał jej.

- Wytrzyj twarz, a potem wytłumacz mi, o czym ty, do diabła, mówisz? Zrobiła, co jej kazał, pociągając nosem i odsuwając wilgotne włosy z twarzy. Śmieszny, koronkowy welonik zwisał z czubka jej głowy, przytrzymywany tylko jedną wsuwką. Zdjął go i zgniół w rękę.

- Kiedy się denerwujesz, nabierasz szkockiego akcentu - powiedziała z bladym uśmiechem, oddając mu zgniecioną chustkę.

- Nic dziwnego - rzekł z desperacją. - A teraz wyjaśnij mi wreszcie, o co ci chodzi, i to w prostych słowach, bo jak nie, to za chwilę zacznę mówić po gaelicku.

- Znasz gaelicki? - Powoli odzyskiwała panowanie

nad sobą.

- Znam, i jeśli nie chcesz usłyszeć wszystkich najgorszych przekleństw w tym języku, to mów. Co ma oznaczać ta twoja propozycja? Porządna katoliczka, prosto po mszy! A ja myślałem, że jesteś dziewicą.

- Bo jestem! A co to ma do rzeczy? - Nim zdążył zareagować na tę nedorzecznosc, ona już zaatakowała go kolejną: - Tylko mi nie mów, że nie miałeś wcześniej dziewczyn, bo wiem, że miałeś!

- Miałem! Ale nie chciałem się z nimi żenić, a one nie chciały za mnie wychodzić. Nie kochałem ich i one mnie nie kochały. Ale ciebie kocham, do cholery!

Oparła się o słup latarni, złożyła ręce za plecami i spojrzała mu prosto w oczy.

- Ja chyba też cię kocham.

Dopiero wypuszczając oddech, uświadomił sobie, że wcześniej go wstrzymywał.

- Aha, kochasz mnie. - Woda zbierała się na jego włosach, lodowate strumyczki spływały po karku. - Mhm. No tak. A co jest w tym zdaniu ważniejsze: „chyba” czy „kocham”?

Rozluźniła się nieco i przełknęła ślinę.

- Jedno i drugie.

Chciał coś powiedzieć, ale uciszyła go, podnosząc dłoń.

- Tak myślę, ale nie mogę również przestać myśleć o tym, co się stało z moją matką. Nie chcę, żeby mnie się przydarzyło to samo.

- Z twoją matką? - Poczul kolejny przypływ złości. - O co chodzi? Myślisz o tym cholernym Jamiem Fraserze?

Myślisz, że nie wystarczy ci nudny historyk, że potrzebujesz wielkiej namiętności, tak jak ona, i myślisz, że ja się do tego nie nadaję?

- Nie! Nie chodzi mi o Jamiego Frasera, tylko o mojego ojca! - Wepchnęła ręce głęboko w kieszenie kurtki. Przestała już płakać, ale na czubkach jej rzęs nadal widział łzy. - Kiedy za niego wychodziła, traktowała to poważnie. Widziałam to na zdjęciach, które mi dałeś.

Powiedziała: „na dobre i na złe, w dostatku i w biedzie”, i naprawdę zamierzała tego dotrzymać. A potem... potem spotkała Jamiego Frasera i tamto przestało być ważne.

Przez chwilę bezgłośnie poruszała ustami, szukając słów.

- Ja... ja jej nie winię, właściwie nie. Długo o tym myślałam. Nic nie mogła na to poradzić. Kiedy o nim mówiła, widziałam, jak bardzo go kocha... Ale nie rozumiesz, Roger? Mojego ojca też kochała, a potem coś się zdarzyło... coś, czego się nie spodziewała. I to nie była jej wina, ale przez to złamała przysięgę. Ja tak nie zrobię za nic w świecie.

Otarła ręką nos. W milczeniu znów podał jej chusteczkę.

Zamrugnęła powiekami, by odpędzić łzy, i popatrzyła mu prosto w twarz.

- Moglibyśmy być razem dopiero za rok. Ty nie możesz zostawić Oksfordu, a ja nie wyjadę z Bostonu, dopóki nie skończę studiów.

Miał ochotę powiedzieć, że zrezygnuje z pracy, a ona może rzucić studia, ale milczał. Miała rację. Takie

rozwiązanie nie uszczęśliwiłoby żadnego z nich.

- Więc co ci z tego, jeśli teraz powiem „tak”, a potem coś się wydarzy? Jeśli... spotkam kogoś innego albo ty kogoś spotkasz? - Łzy znów zebrały się w jej oczach, jedna spłynęła po policzku. - Nie chcę ryzykować, że mogę cię zranić. Nie zrobię tego.

- Ale teraz mnie kochasz? - Delikatnie dotknął palcem jej policzka. - Bree, kochasz mnie?

Postąpiła o krok do przodu i bez słowa zaczęła rozpinąć kurtkę.

- Co ty, do diabła, robisz? - Do dotychczasowej mieszanki emocji dołączyło się oszołomienie, gdy jej długie, blade palce sięgnęły do zamka jego kurtki i pociągnęły go w dół. Poczul zimno, natychmiast zastąpione ciepłem jej ciała, gdy objęła go pod kurtką, przyciskając się do niego od szyi aż do kolan. Odruchowo splótł dłonie na jej plecach. Jej włosy pachniały zimno i słodko, resztki kadzidła uwięzione w ciężkich kosmykach mieszały się z zapachem trawy i kwiatów jaśminu. Wśród miedzianych loków błysnęła mosiężna szpilka do włosów.

Nie odzywała się i on też nic nie mówił. Czuł jej ciało przez cienką warstwę ubrania i przeszedł go dreszcz pożądania, jakby ktoś podłączył go do prądu. Ujął ją pod brodę i pocałował.

- ...widziałaś, jaki Jackie Martin miała nowy, futrzany kołnierz przy płaszczu?

- No i skąd ona bierze pieniądze na takie rzeczy? Przecież jej mąż już od pół roku nie pracuje! Mówię ci, Jessie, ta kobieta... och!

Stukot wysokich obcasów na chodniku zatrzymał

się, a po nim nastąpiło chrząknięcie tak głośne, że mogłoby obudzić umarłego.

Roger nie poruszył się, tylko mocniej objął Briannę. Ona również zacisnęła ramiona i poczuł pod swoimi ustami jej usta.

- Hmm - hmm!

- Daj spokój, Chrissie - zasyczał szeptem drugi głos.

- Lepiej zostaw ich w spokoju. Nie widzisz, że on się jej oświadcza?

- Mhm - rozległo się znów, ale już w niższej tonacji.

- Mhm, hmm. Zdaje się, że to się skończy na czym innym, ale niech tam. - Długie westchnienie przepełnione było nostalgią. - No cóż, dobrze jest być młodym, prawda?

Stukot dwóch par obcasów zbliżył się już znacznie wolniej, wyminął ich i rozplynął się we mgle.

Roger jeszcze przez chwilę stał nieruchomo. Chciał puścić Briannę, ale gdy mężczyzna dotknął już grzywy wodnego konia, nie było to łatwe. Przez głowę przebiegła mu stara rymowanka: Bądź zdrowa, Janetie, Dobrej drogi, Davie. Zatrzymasz się na noc W głębinach Loch Cavie.

- Poczekam - powiedział i w końcu ją puścił. Trzymał ją tylko za ręce i patrzył w jej oczy, teraz łagodne i czyste jak kałuże po deszczu.

- Ale posłuchaj - dodał cicho. - Chcę cię całą - albo wcale.

„Pozwól mi kochać ją tak jak należy” - modlił się wcześniej w duszy. Pani Graham powtarzała mu często: uważaj, o co prosisz, chłopcze, bo twoje życzenia mogą się spełnić.

Położył dłoń na jej miękkiej piersi.

- Nie chcę tylko twojego ciała, choć Bóg jeden wie, że bardzo go pragnę. Ale chcę cię mieć za żonę... albo wcale nie będę cię miał.

Twój wybór.

Wyciągnęła rękę i odsunęła włosy z jego czoła palcami tak zimnymi, że parzyły go jak suchy lód.

- Rozumiem - szepnęła. Znad rzeki wiał zimny wiatr. Zapiął suwak jej kurtki. Jego dłoń otarła się o kieszeń i przypomniał sobie o spoczywającej tam paczuszce. Zamierzał dać jej to przy kolacji.

- Proszę - powiedział. - Wesółych świąt. Kupiłem to ostatniego lata - wyjaśnił, patrząc na jej drżące palce, które rozwijały papier ze wzorem ostrokrzewu. - Zdaje się, że miałem jakieś przeczucie.

Trzymała w dłoniach płaską, srebrną bransoletę z wygrawerowanymi na obwodzie słowami. Wyjął bransoletę z jej ręki i założył jej na przegub. Obróciła ją powoli, czytając: Je t'aime... un peu... beaucoup... passionnement... pas du tout. Kocham cię... trochę... bardzo... namiętnie... wcale. Obróciła kółko jeszcze trochę, dopełniając krąg.

- Je t'aime - powiedział i zakręcił kółko na jej przegubie.

Zatrzymała je drugą dłonią.

- Moi aussi - powiedziała cicho, nie patrząc na bransoletę, lecz na niego. - Joyeux Noel.

CZĘŚĆ SIÓDMA

Na górze

19. Błogosławieństwo ognia

Wrzesień 1767

Noc spędzona pod księżycem i gwiazdami w

ramionach nagiego kochanka na posłaniu z futra i miękkich liści, gdy nad głową łagodnie szemrzą kasztanowce, a w dali słyhać huk wodospadu, jest niezmiernie romantyczna. Noc spędzona w prymitywnym szałasie, gdy jest się miażdżoną na wilgotną masę między dużym, mokrym mężem a jego równie dużym i równie mokrym siostrzeńcem, gdy o gałęzie nad głową dudni deszcz i przez cały czas trzeba odpędzać od siebie wielkiego, kompletnie przemoczonego psa, jest już nieco mniej romantyczna.

- Tlenu - powiedziałam, próbując usiąść i po raz setny odsuwając od twarzy ogon Rolla. - Nie mogę oddychać.

Przytłaczał mnie zapach trzech samców - piżmowy i ostry, doprawiony wonią mokrej wełny i ryb. Przetoczyłam się na czworaki i wypelzłam z posłania, starając się nikogo przy tym nie rozdeptać.

Jamie mruknął coś przez sen i zrekompensował sobie utratę swojego ciepła, zwijając się w schludną kulkę pod pledem. Ian i Rollo spali, splątani w wielką bryłę złożoną ze szmat i futra. W chłodnym powietrzu unosiła się warstewka mgły utworzona z ich połączonych oddechów.

Powietrze na zewnątrz szałasu było zimne, ale świeże - tak świeże, że gdy zaczerpnęłam spory haust, poczułam łaskotanie w gardle. Składało się w równych częściach z pary wodnej oraz czystego tlenu z domieszką ostrej woni świeżej zieleni, porastającej zbocze góry. Deszcz przestał już padać, ale kropie wciąż kapały z drzew.

Spałam w zapasowej koszuli Jamiego. Spodnie z jeleniej skóry schowałam wieczorem do juków przy siodle, żeby nie zamokły.

Zanim je włożyłam, całe moje ciało pokryło się gęsią skórką i dostałam dreszczy, ale już po kilku minutach sztywna skóra rozgrzała się i dopasowała do ciała.

Boso, ze zziębniętymi stopami i z kociołkiem pod pachą, ostrożnie poszłam na brzeg strumienia, żeby się umyć. Świt jeszcze nie nadszedł. Las wypełniony był mgłą i dziwnym szaroniebieskim półmrokiem, którym kończy się i zaczyna każdy dzień i w którym wychodzą na żer drobne, tajemnicze istoty.

W koronach drzew od czasu do czasu odzywał się nieśmiało jakiś ptak, ale w niczym nie przypominało to zwykłego, porannego chóru.

Ptaki spóźniały się z powodu deszczu. Niebo wciąż było nisko zaciągnięte. Chmury, na zachodzie całkiem czarne, stopniowo jaśniały i po wschodniej stronie nieba miały już jasnoniebieski kolor. Zdałam sobie sprawę, że rozpoznaję już porę, gdy ptaki powinny zacząć śpiewać, i sprawiło mi to przyjemność.

Jamie miał rację, nalegając, byśmy zostali na górze, zamiast wracać do Cross Creek. Był początek września i według szacunków Myersa mieliśmy przed sobą jeszcze dwa miesiące dobrej pogody - względnie dobrej, pomyślałam, patrząc na chmury - nim nadejście chłódów zmusi nas do szukania schronienia. Powinno nam wystarczyć czasu, by zbudować małą chatkę, upolować trochę mięsa i zgromadzić zapasy na nadchodzącą zimą.

- Czeka nas ciężka praca - stwierdził Jamie. Siedział na dużym kamieniu i spoglądał na rozciągającą się pod nami dolinę, a ja stałam między jego kolanami. - I jest ryzyko: śnieg może spaść wcześniej albo może się okazać, że nie

uda mi się upolować dość mięsa. Nie zostaniemy tu, jeśli nie zechcesz, Angielko. Boisz się?

To było mało powiedziane. Na samą myśl o pozostaniu w tym miejscu na zimę czułam, że żołądek wywraca mi się na lewą stronę.

Gdy zgodziłam się, byśmy się osiedlili na górze, byłam przekonana, że na zimę wrócimy do Cross Creek. Moglibyśmy bez pośpiechu zgromadzić zapasy i osadników, a wiosną wrócić całym taborem, by oczyścić teren i wspólnie wznieść budynki. Tymczasem według planu Jamiego mieliśmy tu zostać zupełnie sami, w odległości kilku dni drogi od najbliższej osady Europejczyków. Sami w głuszy przez całą zimę.

Nie mieliśmy ze sobą właściwie żadnych narzędzi ani zapasów oprócz siekiery, kilku noży, kociołka i blachy do pieczenia ciastek oraz mojej mniejszej skrzynki z lekarstwami. A jeśli coś się stanie?

Jeśli Ian albo Jamie zachorują, jeśli przydarzy się im jakiś wypadek?

Jeśli dopadnie nas głód albo zamarzniemy? Choć Jamie był pewien, że nasi indiańscy znajomi nie będą mieli nic przeciwko naszej obecności, ja obawiałam się innych, którzy również mogli tu trafić.

Tak, bałam się bardzo. A z drugiej strony żyłam już na tyle długo, by zdawać sobie sprawę, że strach z reguły nie jest śmiertelny, a w każdym razie sam nie prowadzi do śmierci. Ale trzeba było brać pod uwagę również przygodnego niedźwiedzia albo Indianina, a to zupełnie zmieniało sytuację.

Po raz pierwszy pomyślałam z tęsknotą o River Run,

o gorącej wodzie i ciepłych łózkach, regularnych posiłkach, porządku, czystości i bezpieczeństwie. Doskonale rozumiałam, dlaczego Jamie nie chce tam wracać. Życie na łasce Jokasty przez kilka jeszcze miesięcy znacznie powiększyłoby jego dług wdzięczności i przez to o wiele trudniej byłoby mu wypłacać się z jej sideł.

Wiedział jeszcze lepiej niż ja, że Jokasta Cameron wywodzi się z rodu MacKenziech. Znałam wystarczająco dobrze jej braci Dougala i Columa, by wiedzieć, że należy się wystrzegać tego klanu.

MacKenzie z Leoch nie poddawali się łatwo i żeby osiągnąć swoje cele, nie wahali się posłużyć intrygą i manipulacją. A ślepy pajak tka sieci jeszcze pewniej, może bowiem polegać tylko na dotyku.

Mieliśmy również doskonale powody, by trzymać się jak najdalej od sierżanta Murchisona, który sprawiał wrażenie człowieka pamiętliwego. A oprócz tego Farquard Campbell i cała sieć plantatorów, regulatorów, niewolników i polityki... Nie, doskonale rozumiałam, dlaczego Jamie nie ma ochoty wracać do tych wszystkich uwikłań i komplikacji, nie wspominając już o wojnie, która czaiła się tuż za horyzontem. A z drugiej strony byłam zupełnie pewna, że żaden z tych powodów nie miał wpływu na jego decyzję.

- Nie chodzi tylko o to, że nie chcesz wracać do River Run, prawda? - zapytałam, opierając się o jego ciało, przyjemnie ciepłe w chłodnym, wieczornym powietrzu. Pora roku jeszcze się nie przełamała, wciąż mieliśmy późne lato, powietrze przesycone było zapachami liści i jagód, ale tu, wysoko w górach, noce były już zimne.

Usłyszałam ciche dudnienie śmiechu w jego piersi i ciepły oddech owiał moje ucho.

- Czy to aż tak dobrze widać?

- Zupełnie dobrze. - Obróciłam się w ramionach Jamiego i oparłam czoło o jego czoło. Nasze oczy znalazły się blisko siebie.

Jego tęczyówki miały ciemnoniebieski kolor, taki sam jak wieczorne niebo nad szczytami gór.

- Sowa - powiedziałam.

Roześmiał się, zaskoczony, odsunął głowę i na chwilę przymknął powieki z długimi, rudobrązowymi rzęsami.

- Co?

- Przegrałeś - wyjaśniłam. - To gra, która nazywa się sowa.

Pierwsza osoba, która mrugnie, przegrywa.

- Aha. - Pochwycił dłońmi płatki moich uszu i znów przyciągnął moją twarz do swojej, czoło do czoła. - No dobrze, sowa. Naprawdę masz oczy jak sowa, wiesz o tym?

- Nie. Nigdy tego nie zauważyłam.

- Przejrzyste, złote i bardzo mądre. Nie mrugnęłam.

- W takim razie powiedz mi, dlaczego mamy tu zostać?

On również nie mrugnął, ale poczułam, jak jego pierś wznosi się pod moją dłońią.

- Jak mam ci to wyjaśnić? Potrzebuję swojego miejsca.

Potrzebuję poczuć śnieg pod stopami i oddech gór, które wdmuchują powietrze prosto w moje nozdrza, tak jak Bóg tchnął oddech w Adama. Potrzebuję dotyku skały pod

moją dłonią, gdy się wspinam, i widoku porostów, które trwają tu w słońcu i na wietrze.

Skończyło mu się powietrze w płucach i zrobił wdech, wciągając to, które ja wypuściłam. Wciąż przytrzymał moją twarz przy swojej dłońmi splecionymi na mojej potylicy.

- Jeśli mam żyć jak mężczyzna, to muszę mieć górę - powiedział po prostu, szeroko otwartymi oczami szukając zrozumienia w moich oczach. Nasze nosy były do siebie przyciśnięte, ale żadne z nas nie mrugało. - Czy zaufasz mi, Angielko?

- Całym swoim życiem - odrzekłam i poczułam, że się uśmiecha tuż przy moich ustach.

- A sercem?

- Zawsze - szepnęłam. Zamknęłam oczy i pocałowałam go.

Wszystko zostało ustalone. Myers miał wrócić do Cross Creek, przekazać instrukcje Jamiego Duncanowi, zapewnić Jokastę, że wszystko z nami w porządku, i kupić, co się da, za resztę naszych pieniędzy. Mieliśmy nadzieję, że uda mu się przywieźć nam zapasy jeszcze przed pierwszym śniegiem, a jeśli nie, to dopiero na wiosnę.

Ian miał zostać, potrzebowaliśmy jego pomocy przy budowie chaty i przy polowaniu.

Chleba naszego powszedniego daj nam dzisiaj - pomyślałam, przedzierając się przez mokre krzaki na brzegu strumienia - i nie wódź nas na pokuszenie.

Byliśmy względnie wolni od pokus. Tak czy owak, mieliśmy pozostawać z dala od River Run przynajmniej przez rok. Co do chleba powszedniego, dotychczas pojawiał

się z regularnością manny. O tej porze roku mnóstwo było dojrzałych owoców, orzechów i jagód, które zbierałam pracowicie jak wiewiórka. Miałam tylko nadzieję, że za dwa miesiące, gdy drzewa będą już nagie, a strumienie zamarzną, Bóg usłyszy nas jakoś wśród wycia zimowego wiatru.

Strumień przybrał po deszczach. Od poprzedniego dnia woda podniosła się niemal o pół metra. Przykłękłam na brzegu i jęknęłam cicho, gdy moje kręgi wskakiwały na swoje miejsca. Od spania na twardej ziemi ciało rankiem stawało się jeszcze bardziej sztywne.

Ochlapałam twarz zimną wodą, przepłukałam usta, napiłam się ze złożonych dłoni, jeszcze raz chlapnęłam na twarz i poczułam łaskotanie krwi w policzkach i czubkach palców.

Podniosłam ociekającą wodą twarz i na drugim brzegu, nieco w górę strumienia, zobaczyłam dwa jelenie pijące wodę z kałuży. Nie poruszałam się, by ich nie spłoszyć, one jednak wcale nie wydawały się przestraszone moją obecnością. W cieniu brzoź miały podobny jasnobłękitny odcień jak kamienie i drzewa. Same wyglądały jak cienie, ale każda linia ich ciał wyrysowana była precyzyjnie i delikatnie, jak na japońskim rysunku tuszem.

Nagle zniknęły, mimo że nie widziałam, by się odwracały czy odbiegały. Zamrugalam ze zdziwienia, ale choć wydawały się tak eteryczne, że niemal nierzeczywiste, byłam pewna, że nie wyobraziłam ich sobie. W błocie na drugim brzegu pozostały ślady ich kopyt.

Niczego nie zauważyłam ani nie usłyszałam żadnego

dźwięku, ale naraz włosy na całym ciele stanęły mi dęba. Instynktowny lęk przebiegł po ramionach i karku jak prąd elektryczny. Zastygłam, poruszając tylko oczami. Gdzie to było i co to było?

Słońce pojawiło się już na niebie. Korony drzew zazieleniły się, a skały zaczęły połyskiwać barwami. Ptaki jednak wciąż milczały. Nic się nie poruszało oprócz wody.

Był o niecałe dwa metry ode mnie, ledwo widoczny za krzakiem.

Szum strumienia zagłuszył jego kroki. Uniósł szeroką głowę i choć nie wydałam żadnego dźwięku, nadstawił w moją stronę ucho zakończone pędzelkiem. Czyżby usłyszał mój oddech?

Promień słońca padł na jego płową sierść i odbił się w złocistych oczach, które wpatrywały się we mnie z nienaturalnym spokojem.

Wiatr zmienił kierunek i teraz czułam od niego kwaśny koci odór i silniejszy zapach krwi. Ignorując mnie, podniósł plamistą łapę i zaczął ją lizać z przymrużonymi oczami, zaabsorbowany tym rytuałem.

Potań łapą ucho, przeciągnął się w plamie porannego światła - mój Boże, miał ze dwa metry długości! - a potem odbiegł, kołysząc pełnym brzuchem. Nie zdążyłam uświadomić sobie, że się boję.

Czysty instynkt i zaskoczenie pięknem kota, a także jego bliskością, kazały mi zastygnąć na miejscu. Dopiero gdy zniknął, mój centralny układ nerwowy wrócił do życia i natychmiast rozsypał się na kawałki.

Nie straciłam równowagi, ale drżałam na całym ciele. Dopiero po dłuższym czasie udało mi się podnieść z

kolan.

Ręce trzęsły mi się tak bardzo, że trzy razy upuściłam kociołek, zanim udało mi się napełnić go wodą. Powiedział, że mam mu zaufać.

Czy mu ufałam? Tak, i na wiele mi się to zdało. Chyba że następnym razem przypadkiem znalazłby się tuż przede mną.

Ale tym razem udało mi się ujść z życiem. Stałam nieruchomo z zamkniętymi oczami, wdychając świeże powietrze poranka. Czułam każdy atom własnego ciała, czułam, jak krew niesie świeże pożywienie do każdej komórki i do każdego włókienka mięśnia.

Słońce dotykało mojej twarzy, rozgrzewając zimną skórę.

Otworzyłam oczy i zobaczyłam przed sobą osłepiającą mieszaninę zielonego, żółtego i niebieskiego koloru. Dzień zaczął się na dobre. Teraz już wszystkie ptaki śpiewały.

Ruszyłam ścieżką w stronę polany, odganiając pokusę, by się obejrzeć.

Poprzedniego dnia Jamie i Ian zrabali kilka wysokich, smukłych sosen, pocięli je na kawałki o długości czterech metrów i stoczyli ze wzgórza. Teraz drewno leżało ułożone na stertach na skraju polany.

Szorstka kora lśniła czernią od wilgoci.

Gdy wróciłam z kociołkiem pełnym wody, Jamie odmierzał krokami linię prostą na mokrej trawie, a Ian rozpalał ogień na dużym, płaskim kamieniu. Nauczył się od Jamiego, by zawsze trzymać garść suchej rozpałki w sporrannie, razem z krzemieniem i kawałkiem metalu.

- To będzie tylko zwykła szopa - mówił Jamie, ze skupieniem wpatrując się w ziemię. - Postawimy ją najpierw, żeby było gdzie spać w razie deszczu, ale nie musi być zbudowana tak porządnie jak chata.

Nabierzemy przy niej wprawy, co, Ian?

- A do czego będzie służyć oprócz nabierania wprawy? - zapytałam. Podniósł głowę i uśmiechnął się do mnie.

- Dzień dobry, Angielko. Dobrze spałeś?

- Oczywiście, że źle. Po co ci ta szopa?

- Na mięso - wyjaśnił. - Wykopiemy z tyłu zagłębienie w ziemi, napełnimy je żarem i będziemy wędzić, co tylko się da. Zrobimy też półkę do suszenia. Ian widział, jak Indianie suszą mięso. Nazywają je pemikan. Musimy mieć bezpieczne miejsce, gdzie zwierzęta nie dobiorą się do naszych zapasów.

Wydawało się, że to rozsądny pomysł, zwłaszcza biorąc pod uwagę zwierzęta, które żyły w okolicy. Moje jedyne wątpliwości dotyczyły wędzenia. Widziałam w Szkocji, jak się to robi, i wiedziałam, że jest to procedura wymagająca wiele uwagi. Ktoś musiał siedzieć obok i pilnować, żeby ogień nie był zbyt duży albo żeby całkiem nie wygasł, obracać mięso i nacierać je tłuszczem, by się nie przypaliło i nie wyschło. Natychmiast odgadłam, komu przypadnie w udziale ten obowiązek, i pomyślałam, że jeśli nie uda mi się zrobić tego dobrze, wszyscy pomrzemy z powodu zatrucia ptomainami.

- No tak - mruknęłam.

Jamie zauważył mój brak entuzjazmu i uśmiechnął się.

- To dopiero pierwsza szopa, Angielko. Druga będzie twoja.

- Moja? - podniosłam głowę z ożywieniem.

- Na twoje roślinki i zioła. O ile pamiętam, zajmują sporo miejsca. - Wyciągnął rękę, wskazując na drugą stronę polany. W jego oczach błyszczała mania budowlana. - A tam będzie nasza chata. Tam spędzimy zimę.

Ku mojemu zdziwieniu ściany pierwszej szopy stały już pod koniec drugiego dnia, prowizorycznie nakryte gałęziami do czasu, gdy można będzie sobie pozwolić na luksus zrobienia porządných gontów.

Ściany były zbudowane ze smukłych, nieokorowanych bali, połączonych na wrąb, między którymi widniały wyraźne szpary i szczeliny. Szopa była wystarczająco duża, by wygodnie pomieścić nas troje i na dodatek jeszcze Rolla, a gdy rozpałiło się ogień w wyłożonym kamieniami zagłębieniu w ziemi, w środku robiło się całkiem przytulnie.

Jamie zdjął z dachu kilka gałęzi, by dym mógł swobodnie wydobywać się przez otwór. Leżałam przytulona do niego i patrząc przez otwór na wieczorne gwiazdy, słuchałam słów samokrytyki.

- Popatrz tylko - mówił z niezadowoleniem, wskazując podbródkiem oddalony kąt. - Wstawiłem krzywy słupek i przez to cała ta strona jest pochyła.

- Wydaje mi się, że jelenim tuszom nie będzie to sprawiało wielkiej różnicy - mruknęłam. - Pokaż mi rękę.

- A krokiew po jednej stronie jest o dobre piętnaście centymetrów niżej niż po drugiej - ciągnął, nie zważając na to, co mówiłam, ale pozwolił mi obejrzeć swoją lewą dłoń.

Obydwie dłonie miał pokryte odciskami i stwardniałe. Czułam na nich dotykiem świeże zadrapania i rozcięcia, a także mnóstwo wbitych w skórę drzazg.

- Dotyka się ciebie jak jeża - westchnęłam, przesuwając dłonią po jego palcach. - Przysuń się bliżej do ognia, to powyciągam te drzazgi.

Posłusznie przepelzł dokoła Iana, który, przed chwilą również pozbywszy się drzazg, zasnął z głową opartą o miękkie futro na boku Rolla. Niestety, w wyniku tej zmiany pozycji krytyczne oko Jamiego dostrzegło kolejne słabości w konstrukcji szopy.

- Po raz pierwszy w życiu budujesz szopę z bali - powiedziała, przerywając jego lamentsy na temat drzwi, i zgrabnie wyciągnęłam pęsetą dużą drzazgę z kciuka.

- Auu! Tak, ale...

- I zbudowałeś tę cholerną szopę w dwa dni, używając tylko siekiery i noża. Na litość boską, przecież tu nie ma ani jednego gwoźdźca. Naprawdę spodziewasz się, że będzie wyglądać jak pałac Buckingham?

- Nigdy w życiu nie widziałem pałacu Buckingham - odrzekł dość łagodnie i zamilkł na chwilę. - Ale rozumiem, co chcesz powiedzieć.

- To dobrze. - Pochyliłam się nad jego dłonią, mrużąc oczy, by lepiej widzieć drobne, ciemne kreseczki drzazg uwieczonych pod skórą.

- W każdym razie nie powinno się zawalić - skonstatował po dłuższej chwili.

- Ja też tak myślę. - Zwilżyłam kawałek płótna brandy, przetrłam mu lewą dłoń i zabrałam się do prawej.

Przez jakiś czas nic nie mówił. Ogień trzaskał cicho,

od czasu do czasu strzelając wyżej, gdy przez szpary między belkami do środka wpadał podmuch powietrza.

- Dom będzie stał na grani - powiedział Jamie nagle.

- Tam, gdzie rosną poziomki.

- Tak? - wymamrotałam. - To znaczy chata?

Myślałam, że chcesz ją zbudować z boku polany?

Wydłubałam już wszystkie drzazgi, które dało się wydłubać.

Pozostałe siedziały tak głęboko, że trzeba było poczekać, aż same wyjdą pod skórę.

- Nie, nie chata. Duży dom - powiedział cicho. Oparł się o chropowate belki i ponad płomieniem patrzył przez szpary w mrok na zewnątrz. - Ze schodami i szklanymi oknami.

Odłożyłam pęsetę do przegródki i zamknęłam skrzynkę.

- Będzie wspaniały.

- Będzie miał wysokie sufity i drzwi. Tak wysokie, że wchodząc do środka, nie będę uderzał głową we framugę.

- Będzie piękny. - Oparłam się o ścianę obok niego i położyłam głowę na jego ramieniu. Gdzieś w oddali słychać było wycie wilka.

Rollo podniósł głowę, warknął cicho, przez chwilę nasłuchiwał, a potem westchnął i znów się położył.

- Z destylarnią dla ciebie i biblioteką dla mnie. Z półkami na moje książki.

- Mhm. - W tej chwili posiadał jedną książkę. Była to Historia naturalna Karoliny Północnej, opublikowana w 1733 roku. Przywiózł ją ze sobą jako źródło informacji.

Ogień znów przygasa, ale żadne z nas nie poruszyło

się, by dorzucić drewna. Żar miał grzać nas przez całą noc. O świcie wystarczyło dorzucić suchych gałązek, by znów pojawił się płomień.

Jamie otoczył mnie ramieniem i razem ze mną przewrócił się na ziemię. Leżeliśmy wtuleni w siebie na grubej warstwie liści, która służyła nam za posłanie.

- I łóżko - dodałam. - Chyba potrafisz zrobić łóżko?

- Równie dobre jak łóżka w pałacu Buckingham - oświadczył.

Myers, niech Bóg błogosławi jego dobre serce i wierny charakter, wrócił po miesiącu i oprócz trzech juczych mułów obładowanych narzędziami, drobnymi przedmiotami codziennego użytku i niezbędnymi zapasami, takimi jak sól, przyprowadził ze sobą również Duncana Innesa.

- Tutaj? - Innes popatrzył z zainteresowaniem na niewielkie siedlisko, które powoli zaczynało się wyłaniać na porośniętej poziomkami grani. Stały tu już dwie solidne szopy oraz otoczona płotem z żerdzi zagroda, w której mieliśmy trzymać konie i wszelkie inne zwierzęta, jakie udałoby się nam zdobyć.

W tej chwili nasza trzoda składała się z małego, białego prosiaka, którego Jamie nabył w morawskiej osadzie oddalonej o pięćdziesiąt kilometrów w zamian za worek słodkich ziemniaków, osobiście przeze mnie zebranych, i wiązkę mioteł z gałązek wierzbowych, również mojej produkcji. Prosiak był za mały, by przebywać w zagrodzie, toteż zamieszkał razem z nami w szopie, gdzie szybko zaprzyjaźnił się z Rollem. Ja sama szczególnie za nim nie przepadałam.

- Tutaj. Tu jest dobra ziemia i dużo wody. W lesie są źródła, a obok płynie strumień.

Jamie poprowadził Duncana do miejsca, z którego widać było zachodnie zbocza za granią. Na skraju lasu znajdowały się naturalne polany, teraz porośnięte płataniną dzikich traw, ale po oczyszczeniu nadające się do uprawy.

- Widzisz? - Wskazał na zbocze rozciągające się od grani do niewielkiego urwiska, przy którym rząd platanów wyznaczał brzeg odległej rzeki. - Tutaj zmieści się co najmniej trzydzieści zagrod.

Trzeba będzie wyciąć spory kawał lasu, ale na początek to zbocze wystarczy, a ziemia jest tu tak żyzna, że każdy chłop, który jest cokolwiek wart, wykarmi rodzinę tym, co urośnie w ogródku.

Duncan był rybakiem, a nie farmerem, lecz posłusznie skinął głową, wpatrując się w horyzont, który Jamie wypełniał nieistniejącymi domami.

- Zmierzyłem to krokami - ciągnął Jamie. - Trzeba to będzie wkrótce zmierzyć porządniej, ale mam już w głowie cały plan. Może przypadkiem przywieźliście papier i inkaust?

- Tak, i parę innych rzeczy też. - Duncan uśmiechnął się do mnie.

Ten uśmiech nie do poznania zmienił jego długą, ponurą twarz. - Panna Jo przysłała pierzynę. Uznała, że bez tego się nie obejdziecie.

- Pierzynę? Naprawdę? To wspaniale! - Natychmiast uleciały mi z głowy wszelkie nieszlachetne myśli, jakie kiedykolwiek miałam na temat Jokasty Cameron. Jamie skonstruował wspaniałą, mocną ramę łóżka z dębowego

drewna i wypełnił ją sprytnie utkaną sznurową plecionką, lecz jedyną rzeczą, jaką mogliśmy na to położyć, były gałęzie cedru, aromatyczne, jednak nieprzyjemnie twarde.

Marzenia o wylegiwaniu się w pierzu przerwało mi pojawienie się Iana i Myersa, którzy wyłonili się z lasu. Ten drugi niósł przyczepiony do pasa pęk wiewiórek, z kolei Ian z dumą zaprezentował mi coś wielkiego i czarnego, co przy bliższych oględzinach okazało się indykiem, tłusto wypasionym na jesiennych ziarnach.

- Chłopak ma niezłe oko, pani Claire - powiedział Myers, kiwając głową z aprobatą. - Indyki to sprytnie ptaki. Nawet Indianie nie zawsze potrafią je złapać.

Było jeszcze za wcześnie na Święto Dziękczynienia, ale ptak - pierwszy znaczący nabytek do naszej spiżarni - wprowadził mnie w zachwyt, podobnie jak Jamiego, choć jemu największą radość sprawiły pióra z indyckiego ogona, doskonale nadające się do pisania.

- Muszę napisać do gubernatora - wyjaśnił przy kolacji. - Powiem mu, że przyjmuję propozycję, i dokładnie wyjaśnię, o które ziemie chodzi. - Sięgnął po kawałek ciasta i ugryzł w zamyśleniu.

- Uważaj na skorupki orzechów - uprzedziłam nieco nerwowo. - Wolalabym, żebyś nie złamał zęba.

Kolacja składała się z pstrąga upieczonego nad ogniem, słodkich ziemniaków upieczonych w popiele, dzikich śliwek i czegoś w rodzaju ciasta zrobionego z mąki z orzechów hikorowych rozdrobnionych w moim mózdzierzu. Podstawę naszego wyżywienia stanowiły ryby i rośliny jadalne, które udawało mi się znaleźć. Ian i Jamie, zajęci budowaniem, nie mieli czasu na polowanie. Miałam

nadzieję, że Myers zechce zostać z nami na tyle długo, by udało się upolować jelenia albo jakieś inne, większe źródło białka. Perspektywa przetrwania całej zimy na suszonych rybach była przerażająca.

- Nie bój się, Angielko - wymamrotał Jamie z ustami pełnymi ciasta. - Dobrze - dodał z uśmiechem i zwrócił się do Duncana: - Gdy skończymy jeść, może pójdziesz ze mną nad rzekę i wybierzesz sobie miejsce?

Innes popatrzył z niedowierzaniem. Dopiero po chwili zarumienił się z radości.

- Miejsce dla mnie? To znaczy ziemię? Mówisz o ziemi, Mac Dubh? - Nieświadomie poruszył ramieniem, przy którym brakowało mu ręki.

- No tak, ziemię. - Jamie nadział gorący ziemniak na zaostrzony patyk i nie patrząc na Innesa, zaczął go ostrożnie obierać ze skórki. - Potrzebuję cię, Duncanie. Chciałbym, żebyś został moim agentem, o ile się zgodzisz. Oczywiście za zapłatą. Powiem ci, jak to sobie obmyśliłem, a ty mi powiedz, czy uważasz, że to uczciwy układ.

Wystąpię w twoim imieniu o przydział ziemi, ale że ciebie tu nie będzie, to ja i Ian obsiejemy część twojego pola kukurydzą i zbudujemy tam małą zagrodę. A gdy zechcesz się tu osiedlić, będziesz miał już gotowy dom i część zebranego ziarna. Czy to ci odpowiada?

Na twarzy Duncana kolejno odbijały się najprzeróżniejsze emocje, od zdumienia, przez niedowierzanie, aż po ostrożne podniecenie. Myśl, że będzie posiadał własną ziemię, z pewnością była ostatnią, jaka mogła mu przyjść do głowy. Był bez grosza przy duszy i nie mógł zarabiać pracą rąk. W Szkocji czekałoby go życie

żebraka, o ile w ogóle udałoby mu się przeżyć.

- Ale... - zaczął, urwał jednak i przełknął ślinę. Wydatne jabłko Adama na jego szyi poruszyło się w górę i w dół. - Jasne, Mac Dubh, bardzo mi to odpowiada. - Lekki, niedowierzający uśmiech wypłynął na jego twarz i już tam pozostał, jakby Duncan nie zdawał sobie z niego sprawy. - Agent. - Znów przełknął ślinę i sięgnął po jedną z butelek piwa, które przywiózł ze sobą. - Co mam dla ciebie zrobić, Mac Dubh?

- Dwie rzeczy, Duncanie. Pierwsza to znaleźć osadników. - Jamie machnął ręką w stronę naszej nowej chaty. Na razie składała się ona z fundamentów z polnego kamienia, legarów i dużej, płaskiej kamiennej płyty, która miała być podstawą paleniska, a w tej chwili stała oparta o fundamenty. - Ja sam nie mogę się stąd teraz ruszyć. Chcę, żebyś znalazł tylu ludzi z Ardsmuir, ilu tylko zdołasz. Są rozproszeni po całym kraju, ale wszyscy przybyli tu przez Wilmington. Wielu znajdziesz w Karolinie Północnej i Południowej. Znajdź tylu, ilu zdołasz, powiedz im, co tutaj robię, i na wiosnę przyprowadź tu wszystkich chętnych.

Duncan powoli kiwał głową, zaciskając usta pod obwisłym wąsem. Niewielu mężczyzn nosiło takie ozdoby na twarzy, jemu było jednak z tym dobrze - wyglądał jak chudy, dobroduszny mors.

- Doskonale - powiedział. - A druga sprawa?

Jamie zerknął najpierw na mnie, a potem znów na Duncana.

- Moja ciotka - wyjaśnił. - Czy zgodziłbyś się jej pomóc?

Potrzebny jej jest uczciwy człowiek, który poradzi

sobie z tymi draniami z marynarki i będzie w jej imieniu prowadził interesy.

Duncan bez chwili wahania zgodził się przeczesać kilkaset kilometrów kolonii w poszukiwaniu osadników, ale myśl o załatwianiu interesów z draniami z marynarki nappełniła go głębokim niepokojem.

- Interesy? Ale ja wcale się nie znam na...

- Nic się nie bój - powiedział Jamie z uśmiechem, który działał na Duncana równie skutecznie jak na mnie. Patrzyłam, jak niepokój w jego oczach zaczyna się rozpraszać, i po raz chyba dziesięciotysięczny zaczęłam się zastanawiać, jak Jamie to robi. - Nie sprawi ci to żadnego kłopotu - ciągnął Jamie łagodnie. - Moja ciotka doskonale wie, co trzeba zrobić. Powie ci, co masz mówić i jak się zachowywać, chodzi tylko o to, że potrzebny jest do tego mężczyzna. Zawieszysz jej list ode mnie. Napiszę do niej i wyjaśnię, że z przyjemnością będziesz występował w jej imieniu.

Podczas tej rozmowy Ian grzebał w tobołkach przywiezionych przez muły. Wyciągnął z nich płaski kawałek metalu i przyjrzał mu się z zaciekawieniem.

- Co to takiego? - zapytał, nie zwracając się do nikogo konkretnego, i wyciągnął przedmiot w naszą stronę. Był to płaski, cienki kawałek metalu, z jednej strony zaostrozony jak nóż, z drugiej przecięty poprzeczką. Wyglądał jak sztylet, po którym przejechał walec parowy.

- Żelazo do paleniska. - Duncan wziął niby - sztylet od Iana i podał Jamiemu, rękojeścią do przodu. - To był pomysł panny Jo.

- Doprawdy? To miło z jej strony. - Twarz Jamiego

była ciemnobrązowa od długich dni spędzanych na świeżym powietrzu, ale zauważyłam, że jego szyja lekko poczerwieniała. Poglądził kciukiem gładką powierzchnię żelaza i podał mi je. - Schowaj to w bezpiecznym miejscu, Angielko. Pobłogosławimy nasze palenisko jeszcze przed wyjazdem Duncana.

Widziałam, że ten podarunek głęboko go wzruszył, nie do końca jednak rozumiałam, dlaczego. Dopiero Ian wyjaśnił mi, że żelazo zakopuje się pod nowym paleniskiem, by zapewnić domowi błogosławieństwo i dostatek.

To było błogosławieństwo Jokasty dla naszego przedsięwzięcia, niesłychanie wielkoduszny gest, który miał oznaczać, że zaakceptowała decyzję Jamiego i wybaczyła mu, że w jej pojęciu ją opuścił. Starannie owinęłam kawałek żelaza w chusteczkę i wsunęłam do kieszeni.

Pobłogosławiliśmy palenisko w dwa dni później, stojąc w chacie bez ścian. Myers z szacunkiem zdjął kapelusz, a Ian umył twarz. W ceremonii uczestniczył również Rollo oraz biały prosiak, któremu przyszło uosabiać nasze stada. Prosiak protestował, nie rozumiejąc, dlaczego musi zostawić żołędzie i wziąć udział w rytuale, w którym nie dostaje się niczego do jedzenia.

Ignorując przenikliwe kwiki zirytowanego prosiaka, Jamie uniósł do góry żelazny nóż, trzymając go za czubek, tak że przybrał kształt krzyża, i powiedział cicho: Panie, pobłogosław świat i wszystko, co na nim. Panie, pobłogosław moją żonę i moje dzieci. Panie, pobłogosław oko w mojej głowie. Pobłogosław dzieła moich rąk, gdy wstaję rano I gdy wieczorem udaję się na spoczynek.

Pobłogosław moje wstawanie o poranku I pobłogosław mój spoczynek.

Wyciągnął rękę i dotknął żelazem najpierw mnie, potem Iana, a potem jeszcze Rolla i prosiaka, po czym mówił dalej.

Panie, chroń mój dom i zagrodę.

Panie, uświęć moje dzieci i ich matkę.

Panie, miej w opiece stada i ich młode.

Nie opuszczaj ich i dbaj o nie.

Na pastwiskach w górach i dolinach,

I w porze spoczynku.

Na pastwiskach w górach i dolinach,

I w porze spoczynku.

Niech ogień Twojego błogosławieństwa wiecznie w nas płonie, Panie.

Przyklęknął przy palenisku, umieścił żelazo w niewielkim, specjalnie wykopanym zagłębieniu, nakrył je ziemią i równo uklepał, a potem obydwój, ja i on, ujęliśmy wielki kamień za krawędzie i starannie ułożyliśmy na miejscu.

Ta ceremonia powinna mi się wydawać absurdalna. Staliśmy w domu, który nie miał ścian, w towarzystwie wilka i prosiaka, pośrodku głuszy, przedrzeźniani przez ptaki przedrzeźniacze, i wykonywaliśmy rytuał, który co najmniej w połowie był pogański.

Wcale jednak nie wydawało mi się to absurdalne.

Jamie wyciągnął do mnie rękę i stanęłam obok niego. Patrząc na leżący przed nami kamień, pomyślałam nagle o opuszczonym domostwie, które napotkaliśmy podczas podróży na północ. Stały mi przed oczami

zawalone belki dachu i popękana płyta paleniska, spod której wyrastały pędy żywokostu. Czy nieznanym założycielom tego domostwa przyszło do głowy, by je pobłogosławić, i czy mimo to spotkała ich klęska?

Dłoń Jamiego zacisnęła się na mojej, bezwiednie dodając mi odwagi.

Duncan zajął się rozpalaniem małego ogniska na płaskim kamieniu obok chaty. Myers pomagał mu, trzymając krzesiwo. Gdy ogień już płonął, zapalili od niego gałązkę. Trzymając ją w swojej jedynej dłoni, Duncan obszedł fundamenty chaty zgodnie z kierunkiem ruchu słońca, głośno śpiewając przy tym po gaelicku.

Jamie tłumaczył mi słowa:

Niech chroni cię moc Fionna mac Cumhalla, Niech chroni cię moc urodziwego Cormaca, Niech chroni cię moc Conna i Cumhalla, Od wilków i ptactwa, Od wilków i ptactwa.

Przerywał śpiew, gdy dochodził do punktów wyznaczających cztery strony świata, i kłaniając się czterem wiatrom, zataczał przed sobą łuk płonąca gałęzią. Rollo, pełen dezaprobaty wobec tych piromańskich rytuałów, zawarczał gardłowo, ale Ian natychmiast go uciszył.

Niech chroni cię tarcza króla Fianna, Niech chroni cię tarcza króla słońca, Niech chroni cię tarcza króla gwiazd, W niebezpieczeństwie i trwodze, W niebezpieczeństwie i trwodze.

To była długa pieśń, Duncan okrążył dom trzy razy. Dopiero gdy dotarł do ostatniego punktu i zatrzymał się przy świeżo położonej płycie paleniska, uświadomiłam sobie, że Jamie ustawił chatę tak, by palenisko znajdowało

się po północnej stronie. Poranne słońce ogrzewało moje lewe ramię, kierując nasze połączone cienie w stronę zachodu.

Niech król królów ma cię w swojej pieczy, Niech Jezus Chrystus ma cię w swojej pieczy, Niech Duch Uzdrawielski ma cię w swojej pieczy, Niech cię strzegą od zła i waśni, Od złego psa i czerwonego psa.

Duncan zatrzymał się przy palenisku, zerknął na Rolla i podał gałąź Jamiemu, który pochylił się i rozpałił przygotowaną kupkę gałązek. Gdy ogień strzelił do góry, Ian wydał z siebie gaelicki okrzyk i wszyscy wybuchnęliśmy aplauzem.

Później pożegnaliśmy Duncana i Myersa. Zmierzali nie do Cross Creek, lecz ku górze Helicon. Szkoci zamieszkali w tej okolicy zbierali się tam każdej jesieni, by podziękować Bogu za udane zbiory, wymienić się nowinami, pozałatwiać interesy, świętować małżeństwa i chrzciny. Pozwalało to utrzymać kontakty między rozproszonymi członkami klanu i rodziny.

Jokasta i jej domownicy również mieli tam być, podobnie jak Farquard Campbell i Andrew MacNeill. To było najlepsze miejsce dla Duncana, by zacząć zwoływać rozproszonych ludzi z Ardsmuir.

Zgromadzenie na górze Helicon było największe ze wszystkich, Szkoci ściągali tam nawet z Karoliny Północnej i Wirginii.

- Wróć tu na wiosnę, Mac Dubh - obiecał Duncan, wsiadając na konia. - Przyprawdżę tylu ludzi, ilu uda mi się zebrać. I możesz być pewien, że dostarczę twoje listy. - Poklepał sakwę przy siodle i ściągnął kapelusz na czoło,

osłaniając oczy przed mocnym wrześnieowym słońcem. - Czy mam coś przekazać od ciebie ciotce?

Jamie zastanawiał się przez chwilę. Napisał już do Jokasty list.

Czy chciał dodać coś jeszcze?

- Powiedz jej, że nie zobaczę jej na zgromadzeniu w tym roku ani być może w następnym, ale za dwa lata będę tam na pewno, razem z moimi ludźmi. Z Bogiem, Duncanie.

Klepnął konia Duncana w zad, stanął obok mnie i razem patrzyliśmy na dwóch jeźdźców znikających za granicą. Ich wyjazd napełnił mnie dziwnym poczuciem osamotnienia. Duncan był naszym ostatnim i jedynym łącznikiem z cywilizacją. Teraz zostaliśmy naprawdę sami.

No cóż, nie do końca. Mieliśmy Iana, nie wspominając już o Rollu, prosiaku, trzech koniach i dwóch mułach, które Duncan nam zostawił, mogły się bowiem przydać przy wiosennej orce. W gruncie rzeczy była to już spora osada. Ta myśl podniosła mnie na duchu. W ciągu miesiąca chata miała zostać ukończona, będziemy mieli solidny dach nad głową, a potem...

- Zła wiadomość, ciotciu - powiedział mi Ian prosto do ucha. - Prosiak zjadł resztę twoich orzechów.

20. Biały kruk

Październik 1767

- „Ciało, dusza, rozum - tłumaczył Jamie, chwytając za koniec kolejnej przyciętej belki. - Do ciała należą wrażenia, do duszy popędy, do rozumu zasady. Jednak zdolność odbierania wrażeń ma bydło, i dzikie zwierzęta, i obojnaki ulegają popędom, i nawet ci, którzy w bogów nie wierzą i ojczyznę zdradzają, i...”. Uważaj, człowieku!

Ostrzeżony w porę Ian przestąpił nad trzonkiem siekiery i obrócił się w lewo, ostrożnie wymijając, wraz ze swoim końcem belki, narożnik na w pół wzniesionej ściany.

- „...i działają tylko przy drzwiach zamkniętych, mogą iść za przewodem rozumu ku temu, co się wydaje obowiązkiem - Jamie ciągnął Rozmyślania Marka Aureliusza - jeżeli więc...” - daj wyżej, dobra, teraz dobrze - „jeżeli więc, według tego, co powiedziałem, to jest wspólne, to pozostaje jako swoista cecha człowieka dobrego.

Miłować i z chęcią przyjmować to, co mu się zdarza i co los mu zsyła, demona w piersi mieszkającego nie plamić ani nie niepokoić tłumem wyobrażeń..”. (Marek Aureliusz, Rozmyślania, przełożył Marian Reiter,). Dobra, teraz: raz, dwa i... uff!

Twarz poczerwieniała mu z wysiłku, ale udało im się ułożyć belkę w odpowiedniej pozycji i wspólnymi siłami wnieść ją na wysokość ramienia. Teraz należało wpasować uparty kawał drewna we wręby położonych wcześniej poprzecznych belek. Zbyt zaabsorbowany, by ciągnąć recytację Marka Aureliusza, Jamie udzielał siostrzeńcowi wskazówek ruchami głowy i jednowyrazowymi komendami na wydechu.

- Uleganie popędom, tak? - Ian odgarnął pasmo włosów ze spoconej twarzy. - Czuję jakieś popędy w brzuchu. Czy to znaczy, że jestem dzikim zwierzęciem?

- Moim zdaniem o tej porze dnia jest to najzupełniej normalne odczucie - zauważył Jamie i z lekkim stęknieniem przesunął belkę jeszcze o centymetr. - Odrobinę na lewo, Ian.

Belka wpadła we wręby i obydwaj jednocześnie

odsunęli się od ściany, wzdychając z zadowoleniem. Ian uśmiechnął się szeroko.

- To znaczy, że ty też jesteś głodny?

Jamie odpowiedział uśmiechem, lecz nim zdążył otworzyć usta, Rollo podniósł łeb, nadstawił uszu i z jego piersi wydobył się niski warkot. Ian odwrócił głowę i znieruchomiał z uniesioną do twarzy połą koszuli.

- Mamy towarzystwo, wujku - powiedział, ruchem głowy wskazując na las. Jamie zeszywniał. Nim jednak zdążył się odwrócić lub sięgnąć po broń, zrozumiałam, co Rollo i Ian dostrzegli w rozproszonym przez liście świetle.

- Nie ma powodów do obaw - powiedziałam z rozbawieniem. - To twój kompan od butelki w wizytowym stroju. Sądzę, że chce ci w ten sposób okazać wdzięczność za miłe przyjęcie.

Nacognaweto czekał grzecznie w cieniu kasztanowców i dopiero gdy zyskał pewność, że go dostrzeżliśmy, powoli wyszedł spod drzew. Tym razem nie przyprowadził ze sobą syna, lecz trzy kobiety.

Dwie z nich niosły na plecach duże tobołki. Jedna była młodą dziewczyną, najwyżej trzynastoletnią, druga mogła mieć jakieś trzydzieści kilka lat i najwyraźniej była matką tej pierwszej. Trzecia kobieta, która im towarzyszyła, była znacznie starsza. Na widok jej pochylonej postaci i siwych włosów uznałam, że nie jest babcią, lecz może prababcią.

Rzeczywiście przyszli z wizytą, w odświętnych strojach.

Nacognaweto miał skórzane mokasyny, luźne muślinowe nogawice i wyrzuconą na wierzch koszulę z

farbowanego na różowo płótna, przepasaną wspianiałym pasem nabijanym kolcami jeżozwierzą i kawałkami muszli w białym i lawendowym kolorze. Na koszuli miał skórzaną kamizelkę obrzeżoną koralikami, a na rozpuszczonych włosach coś w rodzaju luźnego turbanu z błękitnego perkalu. Zza ucha sterczały mu dwa krucze pióra. Całości dopełniała biżuteria z muszli i srebra: kolczyk, kilka naszyjników, klamra u pasa oraz drobne ozdoby przypięte do włosów.

Ozdoby kobiet nie były tak olśniewające, ale najwyraźniej one też przywdziały najlepsze stroje: luźne suknie sięgające kolan, spod których widać było miękkie, wysokie buty i skórzane nogawice. Na sukniach miały fartuszki z jeleniej skóry, malowane we wzory. Dwie młodsze kobiety również nosiły ozdobne kamizelki. Wszystkie trzy zatrzymały się pośrodku polany.

- Mój Boże - wymamrotał Jamie - to ambasadorzy. - Otarł twarz rękawem i szturchnął Iana pod żebro. - Ian, załatw za mnie ukłony powitalne. Ja zaraz wrócę.

Nieco oszołomiony Ian wyszedł na powitanie Indian, uroczyście machając dużą dłonią. Jamie pochwycił mnie za ramię i zaciągnął za róg, do wnętrza na wpół wzniesionego domu.

- Co... - zaczęłam z niepokojem.

- Ubierz się - przerwał mi i pchnął w moją stronę skrzynię z odzieżą. - Włóż wszystko, co masz najjaskrawszego, inaczej uznają to za brak szacunku.

Słowem „jaskrawe” trudno byłoby określić którąkolwiek część mojej obecnej garderoby, ale zrobiłam, co mogłam. Pospiesznie owiązałam się w pasie żółtą,

plócienną spódnicą i zmieniałam zwykłą, białą chustę na głowę na haftowaną w wiśnie, którą przysłała mi Jokasta. Uznałam, że to wystarczy, w końcu funkcje reprezentacyjne należały przede wszystkim do mężczyzn.

Jamie zrzucił nogawice. W rekordowo szybkim tempie owinął się w pasie karmazynowym tartanem. Spiał go spinką z brązu, wyciągnął spod łóżka butelkę i zanim zdążyłam się uczesać, wybiegł z domu przez brakującą ścianę.

Doszłam do wniosku, że czesanie to daremny wysiłek, porzuciłam więc grzebień i pospieszyłam za nim.

Kobiety patrzyły na mnie z równą fascynacją jak ja na nie, ale czekały w milczeniu, gdy Jamie i Nacognaweto odprawiali powitalną ceremonię, która obejmowała również rozlewanie i dzielenie się brandy. Ian został dopuszczony do tego rytuału. Dopiero gdy skończyli, Nacognaweto przywołał gestem drugą kobietę. Wysunęła się do przodu z nieśmiało opuszczoną głową.

- Bonjour, messieurs, madame - odezwała się cicho. Jej wzrok przesunął się po naszych twarzach i zatrzymał na mojej. Z wyraźną ciekawością wchłaniała każdy szczegół mojego wyglądu, toteż nie miałam oporów, by podobnie gapić się na nią. Mieszana krew, pomyślałam, może z francuską? - Je suis sa femme - powiedziała, z wdziękiem skłaniając głowę w stronę Nacognaweto. Te słowa potwierdziły moje domysły co do jej pochodzenia. - Je m'appelle Gabrielle.

- Hm... je m'appelle Claire - odrzekłam, z nieco mniejszym wdziękiem wskazując na siebie. - S'il vous plait.
- Pomachałam ręką w stronę sterty belek, zapraszając ich,

by usiedli, i zastanawiając się jednocześnie, czy gulaszu z wiewiórki wystarczy dla wszystkich.

Jamie tymczasem zerkał na Nacognaweto z mieszanką rozbawienia i irytacji.

- Aha, nie mówisz po francusku? - powiedział. - Pewnie ani słowa. Indianin popatrzył na niego, nic nie rozumiejąc, i skinął głową żonie, by dopełniła prezentacji.

Najstarsza z kobiet miała na imię Nayawenne. Nie była babcią Gabrielle, jak wcześniej przypuszczałam, lecz raczej Nacognaweto.

Była drobnokoścista, szczupła i zgięta od reumatyzmu, ale oczy miała przejrzyste i błyszczące jak oczy wróbla, którego bardzo przypominała. Na szyi nosiła skórzany woreczek ozdobiony nieoszlifowanym, zielonym kamieniem, który przewiercono na wylot, by przeciągnąć przezeń rzemyk, oraz nakrapianymi piórami z ogona dzięcioła. Większą, płócienną torbę miała przywiązaną do pasa.

Zauważyła, że przyglądam się zielonym plamom na tkaninie, i uśmiechnęła się, pokazując dwa żółte, wystające przednie zęby.

Dziewczyna, tak jak przypuszczałam, była córką Gabrielle, ale chyba nie córką Nacognaweto. Zupełnie go nie przypominała i traktowała z onieśmieleniem. Nosiła dość niedorzeczne imię - Berthe - i mieszaną krew widać było po niej jeszcze wyraźniej niż po matce.

Miała czarne, jedwabiste włosy o ciemnobrązowym odcieniu i okrągłą twarz o świeżej cerze Europejki oraz powieki z typową dla Indian zmarszczką nakątną.

Gdy już dopełniliśmy oficjalnej prezentacji,

Nacognaweto skinął na Berthe, która posłusznie rozwinęła u moich stóp duży tobolek.

Wyjęła z niego kosz dyń w pomarańczowe i zielone paski, sznur suszonych ryb, mniejszy koszyk słodkich ziemniaków oraz sporą kupkę indiańskiej kukurydzy, łuskanej i suszonej w kolbach.

- Mój Boże - wymamrotałam - powrót Squanto!

Wszyscy popatrzyli na mnie, nic nie rozumiejąc. Uśmiechnęłam się szybko i zaczęłam wydawać zupełnie szczerze okrzyki zachwytu i radości z otrzymanych darów. Nie było tego aż tyle, by wystarczyło na całą zimę, ale wystarczająco dużo, by wzbogacić naszą dietę przez dobre dwa miesiące.

Nacognaweto wyjaśnił za pośrednictwem Gabrielle, że ma to być drobny i nic nieznaczący rewanż za niedźwiedzia, którego podarował im Jamie i który został przyjęty w wiosce z entuzjazmem, odważny wyczyn Jamiego (w tym momencie kobiety zwróciły na mnie oczy i zaczęły coś między sobą świergotać, widocznie słyszały również o epizodzie z rybą) stał się zaś tematem ogólnego podziwu.

Jamie, który czuł się zupełnie swobodnie, prowadząc tego typu dyplomatyczne rozmowy, skromnie zaprzeczał, wyrzekał się jakichkolwiek pretensji do odwagi i uznawał całe to zdarzenie za zwykły przypadek.

Gabrielle zajęta była tłumaczeniem, staruszka natomiast zignorowała wymianę komplementów i podpełzła do mnie bokiem niczym krab. Bez ceremonii obmacała mnie ze wszystkich stron, sprawdziła między palcami jakość moich ubrań i uniosła spódnicę, by przyjrzeć się moim

butom, przez cały czas gadając do siebie cichym, zachrypniętym głosem.

Jej mamrotanie stało się głośniejsze i pojawiły się w nim tony zdumienia, gdy doszła do włosów. Posłusznie wyjęłam z nich szpilki i potrząsnęłam głową, by opadły na ramiona. Wzięła kosmyk między palce, pociągnęła mocno, a potem puściła i patrząc, jak zwija się w spiralkę, wybuchnęła dudniącym śmiechem, przypominającym echo w pustej studni.

Mężczyźni spojrzeli w naszą stronę, ale Jamie był już na etapie pokazywania Nacognaweto budowy domu. Komin był już ukończony, zbudowany z kamieni polnych, podobnie jak fundamenty, podłoga też leżała na swoim miejscu, ale ściany z ociosanych na kwadratowo belek o średnicy około dwudziestu centymetrów wznosiły się zaledwie na wysokość ramienia. Jamie nalegał, by Ian pokazał, jak się okorowuje bale siekierą, poruszając się w równym tempie do tyłu wzdłuż pnia i przy każdym uderzeniu narażając się na utratę palców u nóg.

Ponieważ tego rodzaju męska rozmowa nie wymagała tłumacza, Gabrielle podeszła do mnie. Jej francuski miał dziwny akcent i pełen był nietypowych idiomów, ale rozumiałyśmy się bez problemu. W dość krótkim czasie dowiedziałam się, że Gabrielle jest córką francuskiego faktora i kobiety z plemienia Huron oraz drugą żoną Nacognaweto, który również był jej drugim mężem. Pierwszy mąż, ojciec Berthe, był Francuzem i zginął przed dziesięciu laty w wojnie Francuzów z Indianami.

Mieszkali w wiosce, która nazywała się Anna Ooka (przygryzłam sobie policzek od środka, by się nie

roześmiać, ale z pewnością nazwa New Bern dla nich też brzmiałaby dziwnie), o jakieś dwa dni drogi na północny zachód. Gabrielle wskazała kierunek pełnym wdzięku ruchem głowy.

Zaabsorbowana rozmową z Gabrielle i Berthe, od czasu do czasu pomagając sobie gestykulacją, dopiero po dłuższym czasie uświadomiłam sobie, że jednocześnie odbywa się komunikacja innego rodzaju między mną a staruszką. Nie powiedziała nic do mnie bezpośrednio, chociaż od czasu do czasu mamrotała coś do Berthe, wyraźnie domagając się tłumaczenia moich słów, ale jej przenikliwe, ciemne oczy cały czas wpatrywały się we mnie i odczuwałam to spojrzenie w bardzo szczególny sposób. Miałam dziwne wrażenie, że mówi do mnie, a ja do niej, choć nie padło między nami ani jedno słowo.

Po drugiej stronie polany Jamie zaoferował Nacognaweto butelkę z resztką brandy. Najwyraźniej nadeszła pora, by odwdzińczyć się prezentami za prezenty. Dałam Gabrielle haftowaną chustkę, a Berthe spinkę do włosów zdobioną sztucznymi diamencikami. Jedno i drugie wywołało okrzyki zachwytu. Ale dla Nayawenne miałam coś innego.

Przed tygodniem poszcęściło mi się i znalazłam cztery duże korzenie žen-szenia. Przyniosłam teraz wszystkie cztery ze skrzyneczki z lekarstwami i wcisnęłam z uśmiechem w jej dłonie.

Popatrzyła na mnie, uśmiechnęła się szeroko, odwiązała od pasa płócienną torbę i rzuciła ją do mnie. Nie musiałam nawet zaglądać do środka, od razu wyczułam przez tkaninę cztery długie, bulwiaste kształty.

Roześmiałam się w odpowiedzi. Tak, zdecydowanie mówiliśmy tym samym językiem.

Wiedziona ciekawością i nieokreślonym impulsem, zapytałam Gabrielle o amulet staruszki z nadzieją, że nie jest to niewybaczalne naruszenie dobrych manier.

- Grandmere est... - zawahała się, szukając odpowiedniego słowa, ale ja już wiedziałam.

- Pas docteur - dokończyłam - et pas sorciere, magicienne. Elle est... - ja też się zawahałam, jednak we francuskim nie było na to odpowiedniego słowa.

- My mówimy, że jest śpiewaczką - wtrąciła Berthe nieśmiało po francusku. - Nazywamy to „szaman”. Jej imię znaczy „Być może; to się zdarzy”.

Staruszka powiedziała coś, kiwając głową w moją stronę.

Młodsze kobiety wydawały się zaskoczone. Nayawenne pochyliła głowę, zsunęła woreczek z szyi i włożyła w moją dłoń. Był tak ciężki, że omal go nie upuściłam. Zdumiona zacisnęłam na nim palce. Skóra była ciepła od jej ciała, gładki kształt wypełniał moją dłoń. Przez krótką chwilę odniosłam dziwne wrażenie, że to coś w środku jest żywe.

Na mojej twarzy musiało się odbić zaskoczenie, bo staruszka zgięła się w pół ze śmiechu i wyciągnęła rękę. Pospiesznie oddałam jej amulet. Gabrielle powiedziała grzecznie, że babcia jej męża chciałaby pokazać mi pożyteczne rośliny, które rosną w pobliżu, o ile zechcę z nią pójść.

Natychmiast przyjąłam zaproszenie. Staruszka ruszyła przed siebie pewnym, szybkim krokiem,

niepasującym do jej lat. Patrzyłam na jej drobne stopy w butach z miękkiej skóry i miałam nadzieję, że w jej wieku również będę w stanie maszerować dwa dni przez las, a potem jeszcze mieć ochotę na wycieczkę po okolicy.

Przez jakiś czas podążałyśmy wzdłuż brzegu strumienia.

Gabrielle i Berthe szły za nami, zachowując pełen uszanowania dystans, i zbliżały się tylko wtedy, gdy zostały poproszone o tłumaczenie.

- Każda z tych roślin jest lekarstwem na jakąś chorobę - wyjaśniła staruszka przy pomocy Gabrielle. Odłamała gałązkę z krzaka rosnącego przy ścieżce i podała mi ją z bystrym spojrzeniem. - Gdybyśmy tylko znali je dokładnie!

Przeważnie udawało nam się porozumieć za pomocą gestów, ale gdy doszłyśmy do dużej zatoczki, gdzie Jamie i Ian łowili pstrągi, Nayawenne zatrzymała się i pomachała ręką, znów przywołując do siebie Gabrielle. Powiedziała coś do niej i Gabrielle spojrzała na mnie z lekkim zdziwieniem.

- Babcia mojego męża mówi, że miała sen o tobie w czasie pełni księżyca, dwa księżycy temu.

- O mnie?

Gabrielle skinęła głową. Nayawenne położyła mi rękę na ramieniu i z natężeniem wpatrzyła się w moją twarz, jakby czekała na reakcję.

- Opowiadała nam ten sen. Mówiła, że widziała kobietę z... - jej usta zadrgały, lecz opanowała się szybko i delikatnie dotknęła końców swoich długich, prostych włosów. - W trzy dni później mój mąż i jego synowie

wrócili z lasu i opowiedzieli o spotkaniu z tobą i z Pogromcą Niedźwiedzi.

Berthe również patrzyła na mnie z zainteresowaniem, owijając na palcu pasmo ciemnobrązowych włosów.

- Ta, która uzdrawia, od razu powiedziała, że musi się z tobą zobaczyć, więc gdy usłyszałyśmy, że jesteś tutaj...

Zdziwiłam się nieco. Nie wyczułam wcześniej, byśmy byli obserwowani, a jednak ktoś musiał zauważyć naszą obecność na górze i zanieść nowiny do Nacognaweto.

Nayawenne, najwyraźniej znudzona tymi błahostkami, szturchnęła żonę swojego wnuka i powiedziała coś, wskazując palcem wodę u naszych stóp.

- Babcia mojego męża mówi, że śniłaś jej się właśnie w tym miejscu. - Gabrielle wskazała na zatoczkę i spojrzała na mnie bardzo poważnie. - Zobaczyła cię tu w nocy, gdy księżyc był w wodzie.

Zmieniłaś się w białego kruka, przeleciałaś nad wodą i połknęłaś księżyc.

- Och. - Miałam nadzieję, że nie było to nic złego.

- Biały kruk przyleciał z powrotem i złożył jajko w jej dłoni.

Skorupka pękła i ze środka wyłonił się błyszczący kamień. Babcia mojego męża wiedziała, że to potężne czary i że ten kamień może leczyć choroby.

Nayawenne kilkakrotnie skinęła głową i sięgnęła do woreczka na szyi.

- Następnego dnia babcia mojego męża poszła nakopać korzeni kinnea i po drodze zobaczyła coś niebieskiego, co wystawało z błota na brzegu rzeki.

Nayawenne wyjęła z woreczka jakiś mały przedmiot i wsunęła go w moją dłoń. Był to kamień, chropowaty i nieoszlifowany, choć bez wątpienia szlachetny. Przywarły do niego kawałki kamiennej matrycy, ale w środku miał intensywny, niebieski odcień.

- O mój Boże! To przecież szafir!

- Szafir? - Gabrielle obróciła to słowo w ustach, smakując je. - My nazywamy to... - zawahała się - ...pierre sans peur.

- Pierre sans peur? - Nieulękniony kamień?

Nayawenne skinęła głową i znów zaczęła coś mówić. Berthe przetłumaczyła, zanim jej matka zdążyła to zrobić.

- Babcia mojego ojca mówi, że taki kamień sprawia, iż ludzie nie czują lęku, a przez to wzmacnia się ich duch i łatwiej ich uleczyć. Ten kamień uzdrowił już dwoje ludzi z gorączki i wyleczył chorobę oczu mojego brata.

- Babcia mojego męża chce ci podziękować za ten dar - Gabrielle gładko przejęła rozmowę.

- Ach, powiedzcie jej, że nie ma za co. - Serdecznie skinęłam głową w stronę staruszki i oddałam kamień. Wrzuciła go do woreczka i mocno zacisnęła rzemień na szyi. Potem przyjrzała mi się z bliska, wyciągnęła rękę i znów pochwyciła pasmo moich włosów. Pocierając je między palcami, mówiła dalej.

- Babcia mojego męża mówi, że już teraz masz moc uzdrawiania, ale będziesz miała jeszcze większą. Gdy twoje włosy staną się tak białe jak jej włosy, wtedy osiągniesz swoją największą moc.

Staruszka puściła moje włosy i przez chwilę patrzyła

mi w oczy.

Wydawało mi się, że w wyblakłych głębinach jej oczu dostrzegam wielki smutek. Odruchowo wyciągnęłam rękę, by jej dotknąć.

Odsunęła się i powiedziała coś jeszcze. Gabrielle popatrzyła na mnie dziwnie.

- Ona mówi, że nie powinnaś się martwić. Chorobę zsyłają bogowie. To nie będzie twoja wina.

Zaskoczona popatrzyłam na Nayawenne, ale ona już się odwróciła.

- Co nie będzie moją winą? - zapytałam, lecz nie powiedziała mi nic więcej.

21. Noc na śnieżnej górze

Grudzień 1767

Zima jeszcze przez jakiś czas trzymała się z dala, ale nocą dwudziestego ósmego listopada zaczął padać śnieg i gdy się obudziliśmy, świat przywitał nas odmieniony. Każda szpilka na wielkim, srebrnym świerku za chatą pokryta była szronem, a z płataniny łądyg dzikich malin zwisały postrzępione sople.

Śnieg nie był głęboki, ale jego nadejście zmieniło naszą codzienność. Skończyły się moje wędrówki po lesie, oprócz krótkich wypraw do strumienia po wodę i po ocalałe jeszcze przed lodem resztki rosnącej wzdłuż brzegów zielonej rukwi. Jamie i Ian przerwali wyrąb drzew i oczyszczanie polany i zajęli się wyrobem gontów.

Zima zbliżała się do nas, a my z kolei cofaliśmy się przed chłodem, kryjąc się w pomieszczeniach.

Nie mieliśmy świec, tylko kaganki łożowe i pochodnie oraz ogień na palenisku, który płonął przez cały

czas, pokrywając belki dachu czarną sadzą. Wstawaliśmy o pierwszym brzasku i kładliśmy się po kolacji w takim samym rytmie jak leśne stworzenia.

Nie mieliśmy jeszcze owiec, nie było więc wełny do przędzenia i gęplowania ani tkanin, które trzeba by utkać i ufarbować. Nie mieliśmy też uli, toteż nie trzeba było topić wosku ani wyrabiać świec.

Nie było zwierząt, którymi musielibyśmy się zajmować, oprócz koni, mułów i prosiaka, który stawał się coraz większy i coraz bardziej kapryśny i w rezultacie został zesłany do prywatnej przegródki w kącie prymitywnej stajni zbudowanej przez Jamiego. Właściwie była to duża szopa bez przedniej ściany, nakryta dachem z gałęzi.

Myers przywiózł nam worek metalowych narzędzi, do których należało dorobić drewniane trzonki. Nie było ich wiele, ale okazały się bardzo użyteczne: ciesak, siekiera drwalska, lemiesz pługa do wiosennych zasiewów, świdry, strugi, dłuta, mała kosa do trawy, dwa młotki, ręczna piłka, dziwaczny dwuostrzowy toporek - Jamie powiedział, że to do wycinania otworów na czopy, ośnik, czyli zaokrąglone ostrze z uchwytemi po obu stronach, używane do wygładzania drewna, dwa małe, ostre noże, zwykły toporek, coś, co przypominało średniowieczne narzędzie tortur, ale okazało się przybijakiem do gwoździ, oraz ostrze do rozłupywania drewna na gonty.

Przed pierwszym śniegiem Jamie i Ian zdołali przykryć chatę dachem, szopy były mniej ważne. Przy ogniu przez cały czas stał kawał drewna z wbitym ostrzem, by w każdej wolnej chwili dało się odłupać kilka gontów. Cały jeden kąt przy palenisku służył obróbce drewna. Ian

sporządził prymitywny, lecz nadający się do użytku stółek, który stał pod jednym z okien, gdzie było dobre światło. Wióry można było wrzucać od razu do ognia, płonącego dniem i nocą.

Dla mnie Myers przywiózł kilka narzędzi kobiecych: duży koszyk do szycia, dobrze zaopatrzony w igły, szpilki, nożyczki i kłębki nici, a także trochę płótna, muślinu i wełny. Choć szycie nie należało do moich ulubionych zajęć, przyjąłam ten prezent z ogromną wdzięcznością. Jamie i Ian nieustannie przedzierali się przez gęste krzaki i czołgali po dachach, drąc ubrania na łokciach, kolanach i ramionach.

- Jeszcze jeden. - Jamie usiadł na łóżku obok mnie.

- Co jeszcze jeden? - zapytałam sennie, otwierając jedno oko. W chacie było bardzo ciemno. Ogień na palenisku zmienił się już w żar.

- Jeszcze jeden przekłęty przeciek. Kapnęło mi na ucho, niech to diabli. - Wskoczył z pościeli, podszedł do paleniska i dorzucił świeżą gałąź, a gdy pochwyliła ogień, wziął ją do ręki i wspiął się na ramę łóżka. Uniósł pochodnię i popatrzył pochmurnie na dach, szukając wrogiego przecieku.

- Hmm. - Ian, śpiący na niskiej wysuwanej pryczy, obrócił się na bok i mruknął coś pytająco. Rollo, który upierał się spać razem z nim, sapnął krótko, po czym znów zmienił się w kłęb szarego futra i zaczął głośno chrapać.

- Przeciek - powiedziałam do Iana, bacznie obserwując pochodnię Jamiego. Nie zamierzałam dopuścić do tego, by moja cenna pierzyna zapaliła się od przypadkowej iskry.

- Och - Ian zasłonił twarz ramieniem. - Czy znów

padał śnieg?

- Widocznie tak. - Okna zasłonięte były arkuszami nasączonej olejem jeleniej skóry i z zewnątrz nie dobiegał żaden dźwięk, ale powietrze wydawało się dziwnie przytłumione.

Śnieg nadchodził po cichu. Gromadził się na dachu, a potem zaczynał się topić od nagranych gontów. Kropelki wody staczały się po dachu, zamarzając na krawędzi w długie, zębate sople. Od czasu do czasu spływająca woda znajdowała pęknięty gont albo złącze, gdzie nachodzące na siebie krawędzie wypaczyły się, i wtykała swoje lodowe palce do środka.

Jamie traktował wszelkie takie przypadki jak osobistą obrazę i rozprawiał się z nimi niezwłocznie.

- Zobacz! - wykrzyknął. - Tam! Widzisz?

Przeniosłam zaspane spojrzenie z owłosionych kostek, które miałam tuż przed nosem, na dach nad naszymi głowami.

Rzeczywiście, w świetle pochodni widać było na jednym z gontów czarne pęknięcie, od którego rozchodziła się ciemniejsza plama wilgoci. Kolejna kropla uformowała się na moich oczach, zamigotała czerwonym blaskiem w świetle ognia i spadła na poduszkę obok mnie.

- Moglibyśmy trochę przesunąć łóżko - zaproponowałam bez wielkiej nadziei, już to bowiem przerabialiśmy. Wszelkie sugestie, że naprawa dachu może poczekać do rana, spotykały się ze zdumieniem i odmową. Jamie dawał mi do zrozumienia, że żaden prawdziwy mężczyzna nie zgodziłby się tolerować czegoś podobnego.

Zszedł z łóżka i stopą trącił Iana pod żebro.

- Wstań. Zastukasz w miejsce, gdzie jest to pęknięcie, a ja zajmę się tym od zewnątrz. - Zgarnął nowy gont, młotek, toporek i torebkę gwoździ i poszedł do drzwi.

- Nie wychodź w tym na dach! - zawołałam, siadając gwałtownie. - To twoja najlepsza wełniana koszula!

Zatrzymał się przy drzwiach, spojrzał na mnie szybko i odłożył narzędzia z wyrazem twarzy męczennika z pierwszych wieków chrześcijaństwa. Zdjął koszulę, rzucił ją na ziemię, znów sięgnął po narzędzia i wyszedł, z determinacją zaciskając pośladki.

Przesunęłam ręką po opuchniętej od snu twarzy i mruknęłam coś pod nosem.

- Nic mu nie będzie, ciociu - zapewnił mnie Ian. Ziewnął szeroko, nie zwracając sobie głowy zasłanianiem ust, i niechętnie wypelzł z ciepłego łóżka.

Stukanie w dach, które z całą pewnością nie pochodziło od kopyt ośmiu malutkich reniferów, obwieściło, że Jamie jest już na miejscu.

Z rezygnacją zesłam z łóżka, robiąc miejsce Ianowi, który stanął na ramie i postukał polanem w wilgotną plamę, by Jamie mógł odnaleźć właściwy gont.

Nastąpiły stuki i łomoty. Jamie obluzował uszkodzony gont, wyjął go i zastąpił nowym. Przeciek został tymczasowo zlikwidowany i jedynym dowodem jego istnienia była kupka śniegu, który wpadł do chaty przez dziurę w dachu.

Z powrotem w łóżku, Jamie owinał mnie swoim zmarzniętym ciałem, przyciągnął do lodowatego brzucha i natychmiast zasnął z satysfakcją mężczyzny, któremu udało się ochronić ognisko domowe przed wszelkimi

zagrożeniami.

Masze siedlisko na górze było kruche i niepewne, ale było.

Mieliśmy niewiele mięsa, bo zabrakło czasu, by upolować coś większego od wiewiórek i królików, a teraz te użyteczne gryzonie zapadły już w zimowy sen. Zgromadziliśmy jednak sporo suszonych warzyw, od słodkich ziemniaków przez dynie po dziką cebulę i czosnek, a także dwa kosze orzechów i niewielki zapas ziół, które udało mi się zebrać i ususzyć. Posiłki były skąpe, ale przy oszczędnym zarządzaniu mogliśmy na tym przeżyć do wiosny.

Niewiele było teraz do zrobienia na zewnątrz. Mieliśmy czas, żeby rozmawiać, snuć różne opowieści i śnić. Oprócz pożytecznych przedmiotów, jak miski i łyżki, Jamie wyrzeźbił drewniane szachy i teraz ciągle próbował namówić mnie albo Iana, żebyśmy z nim zagraли.

Ian i Rollo jednakowo cierpieli z powodu zamknięcia w chacie i często chodzili w odwiedziny do Anna Ooka, a czasami wybierali się na dłuższe polowania z młodymi mężczyznami z wioski, którzy witali ich towarzystwo z przyjemnością.

- Ten chłopak znacznie lepiej zna język Indian niż łacinę i grekę - zauważył Jamie z goryczą przed jedną z takich wypraw, przysłuchując się, jak Ian wymienia serdeczne obelgi ze swym indiańskim przyjacielem.

- No cóż, gdyby Marek Aureliusz pisał o tym, jak się tropi jeżozwierze, to sądzę, że Ian czytałby go znacznie chętniej - odpowiedziałam łagodząco.

Choć bardzo kochałam Iana, nie miałam nic

przeciwko jego częstym nieobecnościom. Są takie chwile, kiedy trzy osoby to już tłum.

Nie ma w życiu nic przyjemniejszego niż pierzyna i otwarty ogień, chyba że pierzyna, na której leży ciepły i czuły kochanek. Gdy Iana nie było, nie zawracaliśmy sobie głowy pochodniami, lecz szliśmy do łóżka zaraz po zmroku i leżeliśmy wtuleni w siebie, rozmawiając do późnej nocy, śmiejąc się, snując opowieści, dzieląc się wspomnieniami, planując przyszłość i od czasu do czasu zatrzymując się między tymi wszystkimi słowami, by w milczeniu nacieszyć się teraźniejszością.

- Opowiedz mi o Briannie. - To były ulubione opowieści Jamiego: historie z dzieciństwa Brianny. Co mówiła, jakie ubrania nosiła, co robiła, jak wyglądała, wszystkie jej osiągnięcia i upodobania.

- Czy mówiłam ci już, jak zaproszono mnie do jej szkoły, żebym opowiedziała o zawodzie lekarki?

- Nie. - Przesunął się i ułożył wygodniej na boku, dopasowując się do kształtu moich pleców. - Czemu to miało służyć?

- To się nazywa dzień zawodu. Nauczyciele zapraszają osoby różnych zawodów, żeby przyszły i opowiedziały o tym, co robią.

Chodzi o to, żeby wyjaśnić dzieciom, czym zajmuje się prawnik albo strażak.

- Wydaje mi się, że to akurat całkiem oczywiste.

- Cicho. Albo weterynarz, to taki lekarz dla zwierząt. Albo dentysta. To specjalny lekarz, który zajmuje się tylko zębami.

- Zębami? A co można zrobić z zębem oprócz tego,

że można go wyrwać?

- Zdziwiłbyś się. - Odsunęłam włosy z twarzy. - W każdym razie ja zawsze byłam zapraszana, bo w tamtych czasach niewiele było kobiet lekarzy.

- Myślisz, że teraz jest ich więcej? - roześmiał się. Kopnęłam go lekko w łydkę.

- Wkrótce potem stało się to bardziej popularne, ale wtedy jeszcze nie. Kiedy już powiedziałam wszystko, co miałam do powiedzenia, i czekałam na pytania, jakiś nieznośny chłopak wstał i oznajmił, że zdaniem jego matki kobiety, które pracują, są nie lepsze od prostytutek. Powinny siedzieć w domu i zajmować się rodziną, zamiast odbierać pracę mężczyznom.

- Wydaje mi się, że jego matka nie знаła wielu prostytutek.

- Nie, sądzę, że nie. Ani wielu pracujących kobiet. Ale gdy to powiedział, Brianna również wstała i odpowiedziała bardzo głośno: „Lepiej się ciesz, że moja mama jest lekarzem, bo za chwilę będziesz potrzebował pomocy!”, i uderzyła go w głowę książką do arytmetyki.

Chłopak przewrócił się, a wtedy ona skoczyła mu na brzuch i przyłożyła pięścią w zęby.

Pierś i brzuch Jamiego przy moich plecach zdrząły.

- To dzielna dziewczyna! Ale czy nie dostała za to chłosty od nauczyciela?

- Nie bije się dzieci w szkole. Musiała napisać list z przeprosinami do tego małego potwora, ale on z kolei musiał napisać taki list do mnie, uznała więc, że to sprawiedliwa wymiana. Najgorsze jednak było to, że jego ojciec, jak się okazało, też był lekarzem, jednym z moich

kolegów ze szpitala.

- I pewnie się okazało, że dostałaś posadę, o którą on zabiegał?

- Jak to odgadłeś?

- Hmm.

Czułam na karku jego ciepły, łaskoczący oddech. Wyciągnęłam rękę i pogładziłam go po owłosionym udzie.

- Mówiłaś, że jest na uniwersytecie i studiuje historię, jak Frank Randall. Czy nigdy nie chciała być lekarzem jak ty? - Duża dłoń objęła mój pośladek i zaczęła go ugniatać.

- Chciała, kiedy była mała. Czasami zabierałam ją do szpitala.

Fascynowały ją wszystkie urządzenia. Lubiła bawić się moim stetoskopem i otoskopem, to taki przyrząd do zagłądania w uszy. Ale potem zmieniła zdanie. Zresztą zmieniała je z dziesięć razy, podobnie jak większość dzieci.

- Dzieci naprawdę tak robią? - To była dla niego zupełnie nowa myśl. W jego czasach dzieci przejmowały zawód po rodzicach albo były oddawane do terminu, by nauczyć się zawodu, który wybrali dla nich rodzice.

- No tak. Zaraz, niech sobie przypomnę. Przez jakiś czas chciała być tancerką w balecie, jak większość małych dziewczynek. To taka tancerka, która tańczy na czubkach palców - wyjaśniłam i Jamie roześmiał się ze zdziwieniem. - Potem, kiedy nasz śmieciarz przewiózł ją śmieciarką, chciała zostać śmieciarzem, a potem nurkiem głębinowym, listonoszem i...

- Co to, na litość boską, jest nurek głębinowy, nie wspominając już o śmieciarzu?

Zanim zdążyłam przejść przez skrócony katalog dwudziestowiecznych zawodów, leżeliśmy już twarzami do siebie, z wygodnie splecionymi nogami, a ja podziwiałam jego sutek, który zeszytywniał i uniósł się pod moim kciukiem.

- Nigdy nie byłam pewna, czy ona naprawdę chciała zajmować się historią, czy też robiła to głównie po to, by sprawić przyjemność Frankowi. Bardzo go kochała, a on był z niej dumny. - Urwałam i zamyśliłam się. Dłoń Jamie go powędrowała w dół po moich plecach.

- Jeszcze w szkole średniej zaczęła chodzić na zajęcia z historii na uniwersytecie. Mówiłam ci chyba, jak wygląda system szkolny? A potem, po śmierci Franka, ciągnęła tę historię pewnie tylko dlatego, że sądziła, że on by tego chciał.

- To bardzo lojalne z jej strony.

- Tak. - Wsunęłam rękę w jego włosy i wyczułam twarde, okrągłe kości czaszki. - Nie mam pojęcia, po kim ma tę cechę.

Prychnął krótko i przygarnął mnie mocniej.

- Naprawdę nie wiesz? - Nie czekając na odpowiedź, ciągnął: - Jeśli nadal zajmuje się historią, to czy sądzisz, że nas znajdzie? To znaczy coś, co o nas napisano?

Szczerze mówiąc, nie przyszło mi to wcześniej do głowy. Przez chwilę leżałam bez ruchu, a potem przeciągnęłam się i z niezbyt wesołym śmiechem oparłam głowę o jego ramię.

- Nie sądzę, chyba że zrobimy coś, co okaże się godne wzmianki w gazetach. - Ruchem głowy wskazałam na ścianę chaty, za którą znajdowała się bezmierna głusza. -

Tu nie ma na to wielkich szans.

Tak czy owak, musiałyby specjalnie szukać.

- Myślisz, że poszuka?

Przez chwilę milczałam, wdychając jego piżmowy zapach.

- Mam nadzieję, że nie - powiedziałam wreszcie cicho. - Powinna zająć się swoim życiem i nie marnować czasu na oglądanie się do tyłu.

Wziął mnie za rękę i wsunął ją pomiędzy nasze ciała, wzdychając głęboko.

- Jesteś bardzo inteligentną kobietą, Angielko, ale krótkowzroczną, chociaż może to tylko skromność.

- Dlaczego tak myślisz? - zapytałam z odrobiną ciekawości.

- Sama powiedziałaś, że dziewczyna jest lojalna. Kochała ojca na tyle, że nawet po jego śmierci zrobiła ze swoim życiem to, czego on dla niej pragnął. Czy sądzisz, że ciebie kochała mniej?

Odwrociłam głowę i wszystkie włosy opadły mi na twarz.

- Nie - odparłam po chwili głosem stłumionym przez poduszkę.

- Sama widzisz. - Pochwycił mnie za biodra, obrócił i powoli wtoczył się na mnie. Nie rozmawialiśmy już więcej. Granice naszych ciał zaczęły się roztopiać, aż w końcu zniknęły.

Wszystko wydawało się powolne, senne i spokojne. Jego ciało było moim dałem, a moje ciało było jego ciałem. Oplotłam stopę dokoła jego nogi, czując jednocześnie gładką podeszwę i owłosioną łydkę, wewnątrz dłoni pokryte

odciskami i miękką skórę. Byłam zarazem nożem i pochwą. Nasze ciała poruszały się w rytm bicia jednego serca.

Ogień trzaskał cicho, rzucając czerwone i żółte blaski na drewniane ściany naszego przytulnego schronienia. Leżeliśmy w spokojnym milczeniu, nie zwracając sobie głowy rozstrzygnięciem, do kogo należy która kończyzna. Już zasypiałam, gdy poczułam ciepły oddech Jamiego na szyi.

- Poszuka - powiedział z pewnością w głosie.

W dwa dni później nadeszła krótka odwilż. Jamie, który nie mógł już znieść zamknięcia, postanowił skorzystać z okazji i wybrać się na polowanie. Na ziemi leżały jeszcze cienkie splachetki śniegu, ale sądził, że podejście na zbocze powinno być dosyć łatwe.

Ja nie byłam tego taka pewna. Późnym rankiem zebrałam do koszyka trochę śniegu do topienia. Pod krzewami leżało go jeszcze sporo, miałam jednak nadzieję, że Jamie się nie myli. Pozostało nam już niewiele zapasów, a mięsa nie jedliśmy w ogóle od ponad tygodnia. Nawet wnyki, które Jamie zastawił, skryły się pod śniegiem.

Wniosłam śnieg do chaty i wysypałam do dużego kociołka.

Czułam się przy tym jak czarownica.

- Buchaj, ogniu! Kotle, wrzej! (William Shakespeare, Makbet, przełożył Józef Paszkowski.) - wymamrotałam, patrząc, jak białe grudki z sykiem zamieniają się w wodę.

Miałam jeden duży kocioł, który nieustannie bulgotał na ogniu i zawierał zapas wody nie tylko do mycia, ale również do gotowania wszystkiego, czego nie dało się

upiec, usmażyć albo udusić. Gulasze i inne potrawy do gotowania wkładałam do kamiennych garnczków, zamykałam i opuszczałam na sznurku do bulgoczącej wody, od czasu do czasu wyciągając, by sprawdzić stan zawartości. W ten sposób udawało mi się przyrządzić cały posiłek w jednym kociołku i na koniec zostawała jeszcze gorąca woda do mycia.

Wrzuciłam do drewnianej miski drugi koszyk śniegu i zostawiłam, by powoli topniał. To miała być woda do picia na ten dzień. Potem, ponieważ nic miałam niczego pilnego do zrobienia, z zapasem pończoch do cerowania usiadłam nad lekarską księgą Daniela Rawlingsa i wyciągnęłam stopy w kierunku ognia.

Na początku nie martwiłam się, gdy Jamie nie wracał. To znaczy martwiłam się, zawsze się martwiłam, gdy wybierał się gdzieś na dłużej, ale martwiłam się tylko odrobinę, ukrywając to przed sobą.

Jednak przed zachodem słońca, gdy cienie na śniegu nabierały już fioletowego odcienia, zaczęłam wyczekiwać jego kroków z coraz większym niepokojem.

Robiłam swoje, nieustannie nasłuchując okrzyku czy skrzypienia śniegu pod butami, gotowa wybiec i pomóc mu, jeśli przyniósł indyka albo jakąś inną mniej lub bardziej jadalną rzecz, którą trzeba byłoby oskubać lub inaczej oczyścić. Napoiłam i nakarmiłam muły i konie, przez cały czas spoglądając w kierunku góry. Zapadał już zmierzch i moje wyczekiwanie zbladło w nadzieję.

W chacie robiło się coraz chłodniej. Wysłałam, żeby przynieść więcej drewna. Było pewnie niewiele po czwartej, ale cienie pod krzaczkami jagód stawały się już zimne i

niebieskie. Za godzinę zapadnie zmrok, a za dwie godziny będzie całkiem ciemno.

Sterta drewna była przyprószona śniegiem, polana leżące na zewnątrz zawilgotniały, ale wyciągnęłam duży kawałek hikorowego drewna z boku sterty i udało mi się sięgnąć do środka przez powstały otwór. Należało przy tym uważać na węże, skunksy i wszelkie inne stworzenia, które mogły znaleźć sobie schronienie wśród polan.

Pociągnęłam nosem, ostrożnie zajrzałam w otwór i na koniec, jako ostateczne zabezpieczenie, wsunęłam w szparę długi patyk. Nie usłyszałam żadnego szurania, drapania ani innych alarmujących dźwięków, toteż z większą już pewnością sięgnęłam do środka ręką i szukałam, aż moje palce natrafiły na chropowaty kawałek grubego pniaka sosnowego. Chciałam dziś wieczorem rozpałi ć gorący, szybko płonący ogień. Po całym dniu spędzonym na śniegu Jamie na pewno będzie przemarznięty.

Gruba sosna jako podstawa ognia i trzy mniejsze kawałki wolniej palącego się drewna hikorowego z zewnętrznej, mokrej warstwy.

Mogłam je położyć na palenisku, by schły, gdy ja będę przygotowywać kolację, a potem, gdy pójdziemy do łóżka, dołożę do ognia wilgotną hikorę, która utrzyma żar do rana.

Cienie zmieniły kolor na indygo, a potem wtopiły się w szary, zimowy zmierzch. Lawendowe niebo pokryte było ciężkimi, śniegowymi chmurami. Czułam w powietrzu zimną wilgoć i wiedziałam, że śnieg spadnie zaraz po zmroku, wraz ze spadkiem temperatury.

- Ty cholerny mężczyzno - powiedziałam na głos. - Co ty tam robisz, zastrześliłeś łosia? - Gęste powietrze tłumilo mój głos, ale na myśl o łosiu poczułam się lepiej. Gdyby rzeczywiście pod koniec dnia trafiło mu się coś większego, to mógłby się zdecydować na rozbięcie biwaku przy tuszy. Rozbieranie dużego zwierzęcia to wyczerpująca i żmudna praca, a mięso było zbyt cenne, by zostawiać je na żer drapieżników.

Gulasz jarzynowy bulgotał na ogniu. Chatę wypełnił ostry aromat cebuli i dzikiego czosnku, lecz nie miałam apetytu i przepchnęłam kociołek na tył paleniska. Można będzie z łatwością znów go podgrzać, gdy Jamie wróci. Kątem oka pochwyciłam jakiś zielony błysk. Zatrzymałam się i spojrzałam uważniej. Malutka salamandra, wypłoszona ze swego zimowego schronienia w szparze między belkami. Była jaskrawo ubarwiona, zielono - czarna, jak malutki klejnot. Zgarnęłam ją, zanim zdążyła wpaść w panikę i wbiec prosto w ogień, i wyniosłam na zewnątrz. Wiła się w mojej dłoni jak szalona.

Wsunęłam ją między polana u podnóża sterty.

- Uważaj, bo następnym razem możesz mieć mniej szczęścia - powiedziałam.

Zatrzymałam się przed wejściem do chaty. Było już ciemno, ale dostrzegałam jeszcze pnie drzew wokół polany, kredowobiałe i szare na tle złowrogiej, czarnej góry. Między drzewami nic się nie poruszało. Z jasnorożowego nieba spadło kilka dużych, wilgotnych płatków śniegu, natychmiast topniejąc na nagiej ziemi przy progu.

Zamknęłam drzwi na zasuwę, zjadłam kolację, nie czując żadnego smaku, przytłumiłam ogień wilgotną hikorą

i położyłam się spać. Może spotkał jakichś ludzi z Anna Ooka i biwakował razem z nimi.

Powietrze przesycone było zapachem dymu hikorowego. Białe smużki unosiły się nad paleniskiem. Belki dachu zupełnie szerniały od sadzy, choć paliliśmy ogień zaledwie od dwóch miesięcy. Z drewna nad moją głową wciąż wypływała świeża żywica, małe złote krople, świetliste jak miód, ostro pachnące terpentyną. W świetle ognia widać było na drewnie ślady siekiery. Przypomniałam sobie szerokie plecy Jamiego pokryte potem, gdy machał siekierą, obrabiając belkę dokoła zgodnie z ruchem wskazówek zegara. Ostrze siekiery opadało parę centymetrów od jego stóp.

Było bardzo łatwo źle trafić siekierą albo toporkiem. Może rąbał drewno na ognisko i skaleczył się w rękę albo w nogę? Moja wyobraźnia, zawsze w gotowości, od razu rozsunęła przede mną krystalicznie czystą wizję krwi tętniczej tryskającej na biały śnieg.

Obróciłam się na bok. Jamie potrafił sobie dać radę w lesie. Na litość boską, przecież przez siedem lat żył w jaskini!

Ale to było w Szkocji, odrzekła moja wyobraźnia cynicznie. Tam największym drapieźnikiem jest kot wielkości kota domowego, a największym zagrożeniem angielscy żołnierze.

- Bzdury! - odpowiedziałam, znów przewracając się na plecy. - Jest dorosłym mężczyzną uzbrojonym po zęby i z pewnością wie, co należy robić, gdy pada śnieg.

A cóż właściwie może zrobić? - zastanowiłam się.

Przypuszczałam, że poszuka jakiegoś schronienia

albo sam je sobie zbuduje. Przypomniałam sobie prymitywny szałas, który postawił dla nas, gdy po raz pierwszy nocowaliśmy na grani, i poczułam się nieco lepiej. Jeśli nie jest ranny, to raczej nie zamrznie na śmierć.

Jeśli nie jest ranny. Niedźwiedzie powinny być już najedzone i spać głęboko, ale wilki polowały przez całą zimę. No i koty.

Przypomniałam sobie tego, którego spotkałam przy strumieniu, i choć leżałam ciepło przykryta, przeszedł mnie dreszcz.

Przewróciłam się na brzuch, naciągając kołdrę na ramiona. W chacie było ciepło, w łóżku jeszcze cieplej, ale dłonie i stopy wciąż miałam lodowate. Moja instynktowna tęsknota za Jamiem nie miała nic wspólnego z rozsądkiem. Bliskość Jamiego była błogosławieństwem, przygodą i oznaczała pełne zaangażowanie.

Samotność bez niego była... samotnością.

Słyszałam szepty śniegu przy nasączonej olejem skórze w oknie obok mojej głowy. Jeśli śnieg będzie dalej padał, do rana zasypie jego ślady. A jeśli coś mu się stało?

Odrzuciłam przykrycie i ubrałam się szybko, nie zastanawiając się zbyt wiele nad tym, co robię. I tak już za dużo czasu straciłam na myślenie. Włożyłam wełnianą bieliznę, spodnie z jeleniej skóry i dwie pary pończoch. Podziękowałam Bogu, że buty miałam świeżo natłuszczone sadłem wydry. Śmierdziały jak ryba, ale powinny mnie uchronić od wilgoci przez dość długi czas.

Jamie zabrał ze sobą toporek. Musiałam przerąbać następny kawałek grubej sosny maczetą i łomem, przeklinając własną powolność. Teraz, gdy już

zdecydowałam się działać, każde, nawet najdrobniejsze opóźnienie irytowało mnie nieznośnie. Drewno łupało się łatwo i po chwili miałam już pięć przyzwoitych szczap. Cztery związałam rzemieniem, koniec piątej zanurzyłam w dymiącym żarze na palenisku i poczekałam, aż dobrze się rozpali.

Przywiązałam do pasa nieduży woreczek z lekarstwami, sprawdziłam, czy mam ze sobą krzemień i rozpałkę, narzuciłam na ramiona płaszcz, zabrałam tobolek i pochodnię i wyruszyłam w padający śnieg.

Nie było tak źle, jak się obawiałam. Gdy już zaczęłam się ruszać, zrobiło mi się całkiem ciepło pod warstwami ubrań. Noc była bezwietrzna i cicha, szept sypiącego się z nieba śniegu zagłuszał zwykłe odgłosy lasu. Wiedziałam, że Jamie zamierzał sprawdzić wszystkie pułapki na zwierzynę, które zastawił wcześniej. Jeśli po drodze natrafił na coś, co wyglądało obiecująco, na pewno za tym poszedł. Gdzieniedzie leżały jeszcze płyty wcześniejszego śniegu, ale ziemia była mokra, a Jamie był dużym mężczyzną. Byłam pewna, że odnajdę jego ślady, jeśli na nie natrafię, a jeśli znajdę jego samego i okaże się, że znalazł schronienie na noc w pobliżu swojej zdobyczy, tym lepiej. W takim zimnie w dwie osoby śpi się bardziej komfortowo niż w pojedynkę.

Minęłam nagie kasztanowce, które otaczały naszą polanę od zachodu, i zaczęłam się wspinać w górę. Nie miałam zbyt dobrej orientacji w terenie, ale /. całą pewnością potrafiłam określić, gdzie jest góra, a gdzie dół. Jamie nauczył mnie również znajdować kierunki według dużych, nieruchomych znaków orientacyjnych. Spojrzałam

w stronę wodospadu. Biała kaskada z tej odległości była tylko jaśniejszą plamą. Nie słyszałam huku spadającej wody, widocznie wiatr przy wodospadzie wiał w przeciwnym kierunku.

„Gdy polujesz, lepiej mieć wiatr w twarz - wyjaśniał mi Jamie. - Wtedy jelen czy zając cię nie wyczuje”.

Zastanawiałam się niespokojnie, co może kryć się w ciemnościach, wyczuwając mnie w mroźnym powietrzu. Nie miałam żadnej broni z wyjątkiem pochodni. Ogień rzucał czerwone refleksy na skorupę ubitego śniegu, odbijał się od lodu pokrywającego każdą gałązkę. Jamie powinien mnie zauważyć z odległości pół kilometra.

Pierwsze sidła były zastawione w niewielkiej dolince w świerkowym zagajniku, o niecałe dwieście metrów w górę od chaty.

Towarzyszyłam Jamiemu, gdy je zastawiał, ale to było w dzień. Nocą nawet z pochodnią wszystko wyglądało dziwnie i nieznajomo.

Chodziłam w jedną i w drugą stronę, nisko pochylona, z pochodnią tuż przy ziemi. Musiałam kilkakrotnie przemierzyć dolinkę, zanim wreszcie zauważyłam to, czego szukałam: ciemne wgłębienie, ślad stopy na spłachetku śniegu między dwoma świerkami. W następnej chwili znalazłam puste wnyki. Albo nic się nie złapało, albo Jamie zabrał zdobycz i założył nowe.

Siady opuszczały polanę i znów wiodły w górę, a potem ginęły na nagim kawałku ziemi pokrytym gnijącymi liśćmi. Poczulałam panikę.

Szukałam jakiegoś wgniecenia, które mogłoby być śladem buta, ale nic nie znalazłam. Warstwa liści była gruba

chyba na pół metra, sprężysta i elastyczna jak gąbka. Zauważyłam jednak świeżo przewróconą kłodę drewna. W miejscu, gdzie leżała wcześniej, pozostała czarna, mokra bruzda, a mech z boku był zdarty. Ian mówił, że w norach pod kłodami zimują czasem wiewiórki i pęgowce.

Bardzo powoli, wciąż gubiąc ścieżkę i wracając po własnych śladach, szłam od jednych wnyków do drugich. Padał coraz gęściejszy śnieg i zaczynałam się niepokoić. Jeśli śnieg przysypie ślady Jamiego, zanim go znajdę, to jak trafię z powrotem do chaty?

Spojrzałam za siebie, ale zobaczyłam tylko długie, zdradzieckie zbocze pokryte gładkim śniegiem i opadające prosto w dół aż do ciemnej linii nieznanego mi strumienia, z którego sterczały zęby skał.

Ani śladu wesołego dymu i iskier z naszego komina. Powoli obróciłam się dokoła, lecz wodospadu też nie było już widać.

- Świetnie - mruknęłam pod nosem. - Zgubiłaś się. I co teraz? - Surowo zabroniłam sobie wpadać w panikę. Stałam nieruchomo, próbując się zastanowić. Nie zgubiłam się, tylko po prostu nie wiedziałam, gdzie jestem, a to nie było to samo. Mogłam iść dalej po śladach Jamiego, dopóki śnieg ich nie przykryje. Wiedziałam, że jeśli go znajdę, to on na pewno będzie potrafił wrócić do chaty.

Pochodnia wypaliła się już niemal do końca. Wyciągnęłam następną drzazgę spod płaszcz, odpaliłam ją od pierwszej i wyrzuciłam żar w śnieg w chwili, gdy zaczął już parzyć mi palce.

Zastanawiałam się, czy oddalam się od chaty, czy też idę wokół niej.

Wiedziałam, że wnyki zastawione są mniej więcej w kręgu, ale nie miałam pojęcia, ile ich dokładnie jest. Do tej pory znalazłam trzy, wszystkie puste i nienaruszone.

Czwarty nie był pusty. W świetle pochodni zalśniły kryształki lodu, który osadził się na sierści dużego zająca, wyprężonego pod zamarzniętym krzewem. Podniosłam go i ściągnęłam pętlę z jego szyi.

Był sztywny, nie wiedziałam, czy z zimna, czy od stężenia pośmiertnego. Nie żył już od jakiegoś czasu. Co mogłam z tego wywnioskować na temat poczynań Jamiego?

Spróbowałam pomyśleć logicznie, nie zważając na to, że stopy zaczęły mi marznąć, a twarz i palce miałam coraz bardziej zdrętwiałe.

Zając leżał na śniegu. Widziałam ślady jego łap i te, które pozostawił, gdy szamotał się, walcząc o życie. Nie było jednak śladów Jamiego, a to oznaczało, że nie dotarł do tej pułapki.

Stałam bez ruchu. Białe obłoczki oddechu otaczały moją głowę i czułam, jak w nozdrzach tworzą się kryształki lodu. Było coraz zimniej. Jamie musiał zejść ze ścieżki gdzieś między poprzednią pułapką a tą. Ale w którym miejscu i dokąd poszedł?

Szybko cofnęłam się po własnych śladach, szukając ostatnich śladów Jamiego. Sporo czasu mi zeszło, nim je znalazłam. Ziemia niemal wszędzie była już pokryta cienką, iskrzącą się warstwą śniegu.

Druga pochodnia wypaliła się do połowy, zanim wreszcie udało mi się odszukać bezkształtną plamę w błocie na brzegu strumienia. Trafiłam na wnyki z królikiem tylko dlatego, że poszłam w kierunku, w którym, jak mi się

wydawało, ten ślad wskazywał. Widocznie jednak było inaczej. Dokąd poszedł Jamie?

- Jamie! - zawołałam.

Wołałam go kilka razy, ale śnieg tłumił mój głos. Nasłuchiwałam, nie usłyszałam jednak nic oprócz bulgotania wody u swoich stóp. Nie było go za mną, musiał więc znajdować się przede mną. Ale na lewo czy na prawo?

- Pałka, zapalka, dwa kije - mruknęłam i zaczęłam schodzić w dół, bo tak było łatwiej. Od czasu do czasu pokrzykiwałam.

Przystanąłam, nasłuchując. Czy ktoś odkrzyknął w odpowiedzi?

Zawołałam raz jeszcze, ale tym razem nic nie usłyszałam. Zerwał się wiatr i gałęzie drzew nad moją głową zaczęły postukiwać.

Zrobiłam jeszcze jeden krok, trafiłam na oblodzony kamień i ześlizgnęłam się po błotnistym zboczu. Po drodze natrafiłam na kępę kiścienia. Przeleciałam przez nią na wylot, w dłoni została mi garść oblodzonych gałązek.

Serce zabiło mi mocniej, gdy zobaczyłam u swoich stóp krawędź skalnego urwiska. Przytrzymując się krzaka, żeby się nie pośliznąć, przysunęłam się bliżej i spojrzałam w dół. Tak jak mi się wydawało, urwisko nie było wysokie, miało najwyżej półtora metra, i to nie z tego powodu serce podeszło mi do gardła, lecz z powodu tego, co zobaczyłam.

U stóp skały znajdowało się zagłębienie w ziemi, wypełnione liśćmi, które teraz były porozrzucane na wszystkie strony i nieprzyjemnie skojarzyły mi się ze śladami pozostawionymi w śniegu przez zajaca, który wisiał bezwładnie przy moim pasie. Coś dużego szamotało się tam

na dole i zostało odciągnięte dalej. Wyraźna, szeroka bruzda nikła w mroku pod drzewami.

Nie zważając na niebezpieczeństwo, zlazłam bokiem na dół.

Bruzda prowadziła pod nisko zwisające gałęzie jodły balsamicznej. W mdłym świetle migoczącej pochodni okrążyłam stertę kamieni, potem kępę zimozielonych roślin, i...

Leżał u stóp dużego kamienia, na wpół przysypany liśćmi, jakby coś próbowało go tu zagrzebać. Nie był zwinięty w kłębek, tak aby zachować ciepło; leżał płasko na twarzy i w ogóle się nie poruszał.

Fałdy jego płaszcza i podeszwy zabłoconych butów pokryte były grubą warstwą śniegu.

Upuściłam pochodnię i z okrzykiem grozy rzuciłam się na jego ciało.

Wydał z siebie jęk, od którego krew ścięła mi się w żyłach, i drgnął spazmatycznie. Odsunęłam się szybko, rozdarta między przerażeniem a ulgą. Żył, ale był ranny. Gdzie i jak ciężko?

- Gdzie? - zapytałam, zmagając się z jego płaszczem oplątanym wokół ciała. - Gdzie jesteś ranny? Krwawisz? Masz coś złamanego?

Nie widziałam żadnych plam krwi, jednak pochodnia wcześniej wysunęła mi się z ręki i zgasła w zetknięciu z mokrymi liśćmi.

Różowe niebo i padający śnieg otaczały wszystko świetlistym blaskiem, lecz to nie wystarczało, by zauważyć szczegóły.

Chociaż palce miałam odrętwiałe od śniegu, jego

ciało w dotyku było przerażająco zimne. Obawiałam się, że jest wyziębiony. Poruszał się niezbornie, jęcząc i pomrukując. Wydawało mi się, że wymamrotał słowo „plecy”. W końcu udało mi się odsunąć płaszcz na bok i bezlitośnie wyrwałam mu koszulę ze spodni.

Jęknął głośniejsze. W panice wsunęłam rękę pod tkaninę, szukając rany po kuli, przekonana, że ktoś postrzelił go w plecy. Otwór wlotowy nie krwawiłby bardzo, ale którądy kula wyleciała i czy w ogóle wyleciała? Jakaś część mojego umysłu zastanawiała się, czy ten, kto go postrzelił, znajduje się jeszcze w pobliżu.

Nie wyczułam żadnej rany. Jego ciało było zimne jak blok marmuru, porysowane pajęczyną starych blizn, ale gładkie i nieokaleczone. Sprawdziłam jeszcze raz, powoli i uważnie wiodąc dłońmi po całych plecach, od karku aż do pasa. Nic.

Może niżej? Na siedzeniu spodni miał ciemne smugi, jednak wydawało mi się, że to błoto. Wsunęłam rękę pod jego brzuch, znalazłam troczki, rozwiązałam je i ściągnęłam spodnie w dół.

To było błoto. Jego pośladki lśniły przede mną białe i mocne, pięknie zaokrąglone i bez żadnej rany. Ścisnęłam je mocno, nie wierząc własnym oczom.

- Czy to ty, Angielko? - zapytał sennym głosem.

- Tak, to ja. Co ci się stało? - zapytałam z oburzeniem. - Mówiłeś, że postrzelono cię w plecy!

- Nie, nie mogłem tak mówić, bo mnie nie postrzelono - zauważył z nieodpartą logiką. Wydawał się spokojny i śpiący, mowę miał nieco niewyraźną. - Po plecach gwizdże mi bardzo zimny wiatr.

Czy mogłabyś mnie przykryć?

Mruknął coś, gdy podciągałam mu spodnie.

- Co się z tobą, do diabła, dzieje?

Był już nieco przytomniejszy. Z trudem obrócił głowę i popatrzył na mnie.

- A nic, nic takiego. Tylko nie mogę się za bardzo ruszyć.

- Dlaczego? Skręciłeś kostkę, złamałeś nogę?

- Ach, nie. - Wydawał się nieco onieśmielony. - Ja...

Zwicznałem sobie krzyż.

- Co takiego?!

- Kiedyś już tak miałem. To mija po paru dniach.

- Pewnie nie przyszło ci do głowy, że nie wytrzymasz dłużej niż dzień lub dwa, leżąc na ziemi, przysypany śniegiem?

- Przyszło - odpowiedział sennym głosem. - Ale nic nie mogłem na to poradzić.

Naraz zrozumiałam, że ja też nic nie mogę na to poradzić. Był ode mnie cięższy o dobre trzydzieści kilogramów. Nie było mowy o tym, bym zaniosiła go do domu. Nie mogłam ciągnąć go zbyt daleko po wzgórzach, kamieniach i jarach, a zbocze było zbyt strome dla konia. Może udałoby mi się przekonać muła, by zechciał tu przyjść, ale najpierw musiałabym po ciemku odnaleźć drogę powrotną do chaty, a potem, również w ciemnościach, wrócić w to samo miejsce.

Tymczasem padający śnieg powoli zmieniał się w śnieżycę. A może udałoby mi się zbudować tobogan z trzech gałęzi, pomyślałam z desperacją, i zjechać na dół po ośnieżonym zboczu, siedząc na ciele Jamiego?

- Och, weź się w garść, Beauchamp - powiedziałam głośno.

Otarłam ciekący nos brzegiem płaszcza i spróbowałam się zastanowić, co dalej.

Miejsce było osłonięte. Znajdowaliśmy się u podnóża wielkiej skały. Patrząc w górę, widziałam płatki śniegu wirujące przy jej krawędzi, ale na dole nie było wiatru i śnieg prawie tu nie docierał. Na moją zwróconą do góry twarz spadło zaledwie kilka płatków.

Włosy i ramiona Jamiego były lekko przyprószone śniegiem.

Wirujące płatki osiadały na jego nagich udach. Okryłam go brzegiem płaszcza i starłam śnieg z jego twarzy. Jego policzek miał prawie ten sam kolor co wielkie, mokre płatki, a ciało wydawało się sztywne w dotyku. Uświadomiłam sobie, że być może przemarzł znacznie bardziej, niż sądziłam wcześniej, i ogarnęło mnie przerażenie. Oczywiście miał przymknięte i choć było bardzo zimno, prawie nie miał dreszczy.

To było cholernie niebezpieczne. Nieruchome mięśnie nie wytwarzały ciepła, a to ciepło, które jeszcze pozostało w ciele, powoli wyciekało.

Jego płaszcz stał się ciężki od wilgoci. Wiedziałam, że jeśli dopuszczę do tego, by jego ubranie przemokło na wylot, to Jamie może umrzeć z wyziębienia na moich oczach.

- Obudź się! - zawołałam, mocno potrząsając go za ramię.

Otworzył oczy i uśmiechnął się do mnie sennie. - Ruszaj się! - powtarzałam, szturchając go. - Jamie, musisz

się ruszać!

- Nie mogę - odrzekł spokojnie. - Przecież ci mówiłem.

Złapałam go za ucho i wbiłam paznokcie w miękki płatek.

Chrząknął i szarpnął głową.

- Ruszaj się, słyszysz mnie? Rusz się w tej chwili!
Ruszaj się, do cholery! Daj mi rękę.

Nie czekałam, aż usłucha, lecz sięgnęłam pod płaszcz, pochwyciłam jego dłoń i zgmiotłam z całej siły w swoich. Znów rozchylił powieki i zmarszczył czoło.

- Czuję się dobrze - zapewnił mnie. - Ale jestem trochę zmęczony, rozumiesz?

- Ruszaj ramionami! - nakazałam, machając ręką. - Uderzaj nimi w górę i w dół. Czy możesz w ogóle poruszyć nogami?

Westchnął ze znużeniem, jakby wydobywał się z grząskiego błota, i pod nosem wymamrotał coś po gaelicku, ale bardzo powoli zaczął poruszać ramionami w przód i w tył. Po chwili udało mu się również poruszyć nogami w kostkach i z wielkim oporem zaczął kiwać stopami. Każdy dalszy ruch powodował kolejne skurcze w plecach.

Wyglądał jak żaba, która próbuje latać, ale nie byłam w nastroju do śmiechu. Nie wiedziałam, czy naprawdę grozi mu zamarznięcie, jednak nie zamierzałam ryzykować. Udało mi się zmusić go do ruchu nieustannym szturchaniem pod zebro, aż w końcu rozbudził się zupełnie i zaczął drżeć. Był w bardzo złym nastroju, lecz zupełnie się tym nie przejmowałam.

- Ruszaj się! - powtarzałam. Podniosłam się z

trudem., zeszywniała od długiego przykucania. - Rusz się, mówię! - dodałam ostrzej, gdy zaczął wiotczeć. - Jeśli przestaniesz się ruszać, to przysięgam, że stanę na twoich plecach.

Rozejrzałam się dokoła zamglonym wzrokiem. Śnieg nadal padał i widoczność ograniczała się do kilku metrów. Potrzebowaliśmy jakiegoś schronienia, lepszego niż to, którego dostarczała skała.

- Świerk - mruknął Jamie przez zaciśnięte zęby. Spojrzałam na niego. Wskazał głową na kępę drzew w pobliżu. - Weź toporek. Duże gałęzie. Dwumetrowe. Zetnij cztery - wydyszał ciężko. Jego twarz nabrała odrobinę koloru. Pomimo moich gróźb przestał się poruszać, ale ucieszyłam się, widząc, że szczęka zębami.

Znów sięgnęłam pod jego płaszcz, tym razem szukając toporka, który miał za pasem. Nie mogłam się powstrzymać i wsunęłam rękę w rozcięcie wełnianej koszuli myśliwskiej. Bogu dzięki, ciało było ciepłe, nie wyziębił się zupełnie. Pierś Jamiego tylko zewnętrznie wychłodziła od kontaktu z mokrą ziemią, ale w dalszym ciągu pozostawała cieplejsza niż moje palce.

- Dobrze - powiedziałam, podnosząc się na nogi z toporkiem w rękę. - Świerk, dwumetrowe gałęzie, tak?

Skinął głową, wstrząsany dreszczami. Bez zwłoki ruszyłam w stronę drzew.

W cichym zagajniku natychmiast otoczył mnie zapach świerków i cedrów - mieszanka żywicy i terpentyny, zimny, ostry aromat, świeży i pobudzający. Niektóre drzewa były olbrzymie, ich najniższe gałęzie zaczynały się dobrze nad moją głową, ale tu i ówdzie rosły też mniejsze

egzemplarze. Od razu zrozumiałam, na czym polegają zalety świerków: nie było pod nimi śniegu. Wachlarzowato rozpostarte gałęzie chwytaly płatki jak parasol.

Ścinałam niższe gałęzie, rozdarta między potrzebą pośpiechu a bardzo realną groźbą, że odrąbię sobie przypadkiem kilka palców.

Dłonie miałam zgrabiące, a ruchy niezręczne. Drewno było zielone i elastyczne. Całe wieki minęły, nim udało mi się przerząbać twarde, sprężyste włókna, ale w końcu zebrałam cztery spore gałęzie, zbudowane z licznych wachlarzyków gęstych igieł. Na tle białego śniegu wydawały się miękkie i czarne jak wielkie wachlarze albo pióra. Gdy ich dotknęłam, zdziwiło mnie, że igły są twarde, kłujące i zimne.

Zaciągnęłam je w pobliże skały. Jamiemu udało się tymczasem nagarnąć sporą kupę liści. Wtopiony w dużą, szaroczną plamę u stóp skały był prawie niewidoczny.

Kierując się jego urywanymi wskazówkami, oparłam gałęzie o skałę czubkami do góry, wbijając odrąbane końce w ziemię pod kątem, tak że pod spodem powstało coś w rodzaju trójkątnego szałas.

Znów wzięłam toporek, narąbałam naręcze drobnych gałązek sosny i świerka, nazbierałam suchej trawy i przysypałam tym wszystkim świerkową ścianę. W końcu, dysząc z wyczerpania, wczołgałam się do środka obok Jamiego i ułożyłam się na liściach między jego ciałem a skałą. Nakryłam nas oboje płaszczem, mocno objęłam go ramionami i dopiero wtedy zaczęłam drzeć - nie z zimna, lecz z ulgi i lęku.

Wyciągnął rękę i poklepał mnie pocieszająco.

- Wszystko będzie dobrze, Angielko - powiedział. -
We dwoje damy sobie radę.

- Wiem. - Oparłam czoło o jego plecy. Sporo czasu minęło, nim wreszcie przestałam drżeć. - Jak długo tu leżałeś? - zapytałam w końcu.

Znów zaczął się trząść. Po chwili jęknął i znieruchomiał.

- Dość długo. Było niewiele po południu, gdy zeskoczyłem ze skały. Nie była wysoka, miała może z półtora metra, ale wylądowałem na jednej nodze, coś mi strzeliło w plecach i upadłem twarzą na ziemię. Czułem się tak, jakby ktoś wbił mi sztylet w kręgosłup.

W naszym schronieniu w żadnym razie nie było ciepło. Wilgoć z liści przesączała się przez tkaniny, a skała za moimi plecami emanowała lodowatym chłodem, lecz mimo wszystko było tu mniej zimno niż na zewnątrz. Znów zaczęłam się trząść, tym razem wyłącznie z fizjologicznych powodów.

Jamie podniósł rękę do gardła.

- Czy możesz rozwiązać mój płaszcz, Angielko?
Przykryj się nim.

Wymagało to sporo manewrów. Z ust Jamiego, który próbował się przesunąć, wydobyło się kilka stłumionych przekleństw, ale w końcu udało mi się rozpiąć płaszcz i okryć nas oboje. Ostrożnie położyłam dłoń na jego plecach, podciągnęłam koszulę i dotknęłam zimnego, nagiego ciała.

- Powiedz mi, gdzie boli? - Miałam nadzieję, że nie wypadł mu dysk. Przez umysł szybko przebiegła mi straszna myśl o tym, że mógłby zostać inwalidą na zawsze. Zastanawiałam się również, jak mam go znieść z tej góry.

Czy będę musiała zostawić go tu i przynosić mu codziennie posiłki, dopóki nie wyzdrowieje?

- Tutaj. - Syknął ostro i wciągnął oddech. - Tak, tutaj. Tu mnie zakłuło. Gdy się poruszę, ból promieniuje na nogę jak od gorącego żelaza.

Bardzo ostrożnie dotknęłam tego miejsca obydwoma rękami i naciskając lekko, prosiłam go, by próbował poruszyć najpierw jedną nogą, potem drugą. A teraz kolano... nie?

- Nie - pokręcił głową. - Ale nie martw się, Angielko. Wtedy było tak samo. To przejdzie.

- Tak, mówiłeś, że kiedyś już ci się to przydarzyło. Kiedy to było?

Drgnął i z cichym jękiem przycisnął plecy do moich dłoni.

- Och, niech to diabli! To boli! W więzieniu.

- Wtedy bolało w tym samym miejscu?

- Tak.

Po prawej stronie kręgosłupa wyczuwałam twardy węzeł mięśni tuż pod nerką oraz wypukłość w prostowniku grzbietu. Sądząc z jego opisu, byłam całkiem pewna, że to tylko ostry skurcz mięśni.

Właściwym sposobem leczenia było ciepło, odpoczynek i środki przeciwzapalne. Pomyślałam ponuro, że właśnie tego wszystkiego jesteśmy pozbawieni.

- Chyba mogłabym spróbować akupunktury - zastanawiałam się głośno. - Mam igły pana Willoughby'ego w torbie i...

- Angielko - rzekł Jamie równym, odmierzonym tonem. - Mogę znieść to, że mnie boli, że jest mi zimno i że

jestem głodny. Ale nie zniosę, jeśli moja własna żona będzie mnie klęła w plecy. Czy nie mogłabyś raczej zaoferować mi nieco współczucia i pociechy?

Roześmiałam się i objęłam go ramieniem, przyciskając się do jego pleców. Przesunęłam dłoń nieco w dół, pod pępek, i zatrzymałam ją tam z delikatną sugestią.

- Hmm, jakiego rodzaju pociechę masz na myśli?

Szybko pochwycił mnie za przegub, nie pozwalając dłoni zsunąć się niżej.

- Nie taką.

- To pozwoliłoby ci oderwać myśli od bólu. - Zachęcająco poruszyłam palcami. Jamie jeszcze mocniej zacisnął palce na moim przegubie.

- Z pewnością - odrzekł sucho. - Coś ci powiem, Angielko. Jak już dotrzemy do domu i będę leżał w ciepłym łóżku z gorącą kolacją w brzuchu, wtedy może ten pomysł spodoba mi się bardziej. A teraz na samą myśl... na litość boską, kobieto, czy ty nie zdajesz sobie sprawy, jakie masz zimne ręce?

Przytuliłam policzek do jego pleców i roześmiałam się. Czułam, że Jamie również drży, chociaż nie mógł roześmiać się głośno, nie wywołując bólu.

Leżeliśmy w milczeniu, słuchając padającego śniegu. Pod gałęziami świerka było ciemno, ale moje oczy przyzwyczały się do mroku i przez zasłonę igieł nad głową dostrzegałam plamy dziwnego blasku. Malutkie płatki wpadały do środka przez szczeliny między gałęziami. Czułam zimne łaskotanie, gdy opadały mi na twarz.

Jamie był tylko ciemnym, bulwiastym kształtem, choć dostrzegałam jaśniejsze miejsce między koszulą a

związanymi włosami, które leżały na mojej twarzy, gładkie i zimne. Gdy poruszyłam odrobinę głową, mogłam dotknąć ich ustami.

- Jak sądzisz, która godzina? - zapytałam. Ja sama nie miałam pojęcia. Wyszłam z domu już dobrze po zmroku i wydawało mi się, że przez całą wieczność szukałam go na górze.

- Jest późno - odpowiedział. - Ale do świtu zostało jeszcze dużo czasu. Jest tuż po przesileniu zimowym. To jedna z najdłuższych nocy w roku.

- To fantastycznie. - W żadnym razie nie było mi ciepło i wciąż nie czułam palców u nóg, ale przestałam już się trząść i zaczynałam popadać w okropny letarg. Zmęczenie i zimno obezwładniały mięśnie.

Miałam wizję, jak obydwójce spokojnie zamarzamy, zwinięci jak jeże w stercie liści. Podobno to przyjemna śmierć, ale nie uśmiechała mi się taka perspektywa.

Oddech Jamiego zwalniał i pogłębiał się. Niespokojnie szturchnęłam go w pachę.

- Nie usypiaj!

- Au! - przycisnął ramię mocno do boku. - Dlaczego nie?

- Nie wolno nam usnąć, bo zamarzniemy na śmierć.

- Nie zamarzniemy - odrzekł, krzywiąc się. - Pada śnieg.

Wkrótce nas zasypie.

- Wiem o tym - powiedziałam zirytowana. - A co to ma do rzeczy?

Próbował odwrócić głowę, by na mnie spojrzeć, ale nie udało mu się.

- Śnieg jest zimny w dotyku - wyjaśnił, siląc się na cierpliwość. - Ale izoluje od zimna jak koc. W domu zasypanym śniegiem jest znacznie cieplej niż w takim, który stoi bezpośrednio wystawiony na wiatr. A jak twoim zdaniem niedźwiedziom udaje się przetrwać zimę?

Przesypiają ją i nie zamarzają.

- Mają na sobie grubą warstwę tłuszczu - przypomniałam mu. - Zawsze mi się wydawało, że to je chroni przed zimnem.

- Cha, cha - mruknął. Z pewnym wysiłkiem sięgnął ręką do tyłu i mocno pochwyił mnie za pośladek. - W takim razie nie masz się o co martwić.

Bardzo powoli ściągnęłam niżej kołnierz jego kurtki, wyciągnęłam szyję i polizałam go po karku jednym długim ruchem, od ramion aż po linię włosów.

- Ach! - Zadrżał tak gwałtownie, że z gałęzi nad nami posypał się śnieg. Puścił mój tyłek i podrapał się po karku. - To było okropne! - rzekł z wyrzutem. - A ja leżę tu bezradny jak kłoda drewna!

- Akurat. - Przysunęłam się bliżej. - Naprawdę jesteś pewien, że nie zamarzniemy tu na śmierć?

- Nie jestem pewien, ale nie wydaje mi się to prawdopodobne.

- Hmm - mruknęłam, znów pochwycona w sidła wątpliwości. - To może na wszelki wypadek na razie nie zasypiajmy?

- Nie mam zamiaru znowu machać rękami - oświadczył stanowczo. - Tu nie ma na to miejsca i przysięgam, że jeśli znów wsadzisz swoje lodowate macki w moje spodnie, to uduszę cię bez względu na ból pleców.

- Dobrze, dobrze - powiedziałam łagodząco. - To może w zamian opowiem ci jakąś historię?

Szkoci uwielbiali historie, a Jamie nie był wyjątkiem.

- O, tak - ucieszył się. Wydawał się już znacznie szczęśliwszy. - A o czym będzie ta historia?

- To będzie świąteczna opowieść - wyjaśniłam, wpasowując się w krzywizny jego ciała. - O pewnym skąpcu, który nazywał się Ebenezer Scrooge.

- Przypuszczam, że to był Anglik?

- Tak. Cicho bądź i słuchaj.

Mówiąc, słyszałam własny oddech i widziałam biały obłoczek w nieprzejrzystym, zimnym powietrzu. Na zewnątrz śnieg sypał mocno.

Gdy przestawałam mówić, słyszałam szept płatków ocierających się o gałęzie świerka i daleki jęk wiatru w koronach drzew.

Znałam tę historię bardzo dobrze. To była część naszego bożonarodzeniowego rytuału - Franka, Brianny i mojego. Od czasów, gdy Bree miała pięć albo sześć lat, co roku czytaliśmy jej przed snem Opowieść wigilijną, zaczynając tydzień lub dwa przed świętami.

Frank i ja czytaliśmy na przemian.

- I duch powiedział: „Jestem Duchem Minionych Świąt..”.

Może nie zamarzałam na śmierć, ale zimno miało dziwne, hipnotyczne działanie. Przestałam już odczuwać dyskomfort, teraz miałam wrażenie, jakbym była bezcielesna. Wiedziałam, że dłonie i stopy mam lodowato zimne, a ciało na wpół wyziębione, ale to już nie miało

znaczenia. Unosiłam się w spokojnej, białej mgle, a słowa wirowały dokoła mojej głowy jak płatki śniegu.

- I tam, wśród świateł i muzyki, zobaczył kochanego starego Fezziwiga... Sama nie wiedziałam, czy po trochu tajam, czy marznę coraz bardziej.

Czułam ogólne rozluźnienie i dziwne wrażenie déjà vu, jakbym już kiedyś została pogrzebana pod osłoną śniegu, w przytulnym miejscu, na zupełnym odludziu.

Gdy doszłam do Boba Cratchita i jego nędznego indyka, napłynęły wspomnienia i ciągnąc opowieść zupełnie mechanicznie, duchem znalazłam się na przednim fotelu starego oldsmobila z 1956 roku. Przednia szyba pokryta była śniegiem. Jechaliśmy w odwiedzinach do starszej krewnej Franka, gdzieś na północy stanu Nowy Jork.

Śnieżyca dopadła nas w połowie drogi. Wicher świstał po oblodzonych drogach i zanim zdążyliśmy się zorientować, co się dzieje, ześlizgnęliśmy się z asfaltu i wjechaliśmy do rowu.

Wycieraczki bezskutecznie usiłowały walczyć z gromadzącym się śniegiem.

Nic nie dało się zrobić, musieliśmy czekać do rana na ratunek.

Mieliśmy ze sobą kosz piknikowy i stare koce. Posadziliśmy Briannę między sobą na przednim siedzeniu i okryci kurtkami i kocami sączyliśmy letnie kakao z termosu, starając się żartować, by odgonić od niej lęk. Robiło się coraz później i coraz zimniej. Zsunęliśmy się bliżej siebie. Chcąc zająć czymś uwagę Brianny, Frank zaczął opowiadać jej Dickensa, licząc, że uzupełnię brakujące fragmenty.

Żadne z nas samo nie potrafiłoby opowiedzieć całej książki, ale we dwójkę poradziłyśmy sobie całkiem dobrze. Zanim pojawił się złowieszczy Duch Przyszłych Świąt, Brianna spała już mocno pod warstwą kurtek, oparta ciężarem ciepłego ciała o mój bok.

Nie było potrzeby opowiadać historii do końca, ale zrobiliśmy to.

Mówiliśmy do siebie nawzajem z dłońmi splecionymi pod warstwą koców. Przypomniałam sobie ręce Franka, silne i ciepłe, jego kciuk gładzący wnętrze mojej dłoni, obrysowujący zarys palców. Frank zawsze bardzo lubił moje dłonie.

Samochód wypełniała para wodna z naszych oddechów, krople wody spływały po zaparowanych na biało szybach. Głowa Franka przypominała ciemną kameę na białym tle. W końcu pochylił się w moją stronę. Nos i policzki miał zimne, ale jego usta na moich były ciepłe. Szeptem wypowiedział ostatnie słowa.

- Niech Bóg błogosławi nas wszystkich - dokończyłam. Leżałam cicho, czując żal przeszywający serce niczym drzazga lodu. W naszym schronieniu było spokojnie i jeszcze ciemniej niż przedtem: śnieg przykrył wszystkie szczeliny.

Jamie dotknął mojej nogi.

- Wsuń ręce pod moją koszulę, Angielko - powiedział miękko.

Wsunęłam dłonie pod jego koszulę i oparłam jedną na piersi, a drugą na plecach. Blizny po uderzeniach bicia sprawiały wrażenie nici na skórze.

Położył dłoń na mojej i przycisnął ją mocno do

swojej piersi. Był bardzo ciepły. Serce biło mu powoli i mocno.

- Śpij, a nighean donn - powiedział. - Nie pozwolę ci zamarznąć.

Dłoń Jamiego ścisnęła moje udo, wrywając mnie z drzemki.

- Cicho - szepnął. W naszym schronieniu nadal panował półmrok, ale światło zmieniło się. Był już ranek. Gruba warstwa śniegu nie przepuszczała słońca, jednak dziwna eteryczność nocnego mroku zniknęła.

Cisza również zniknęła. Z zewnątrz dochodziły stłumione dźwięki. Tak samo jak Jamie usłyszałam odległe echo głosów i poderwałam się z podnieceniem.

- Cicho - szepnął znowu, mocniej ściskając moją nogę.

Głosy były coraz bliżej i prawie mogłam już rozróżnić słowa.

Prawie. Choć ze wszystkich sił wyęczałam słuch, nie rozumiałam, co mówią. Dopiero po chwili uświadomiłam sobie, że po prostu nie znam tego języka.

Indianie. To był jeden z języków indiańskich. Wydawało mi się jednak, że nie jest to język Tuskarora: intonacja była podobna, ale rytm nieco inny.

W rozterce odgarnęłam włosy z oczu. Oto nadeszła pomoc, której bardzo potrzebowaliśmy. Sądząc po głosach, w grupie znajdowało się kilku mężczyzn, którzy mogli bezpiecznie przenieść Jamiego. Z drugiej strony, czy naprawdę chcieliśmy zwracać na siebie uwagę grupy obcych Indian, którzy mogli się okazać rabusiami?

Sądząc po zachowaniu Jamiego, było jasne, że on

wolałby tego nie robić. Z pewnym trudem uniósł się na łokciu i wyciągnął nóż, trzymając go w gotowości w prawej ręce. W zamyśleniu poskrobał się w brodę czubkiem ostrza i z pochyloną głową uważnie wsłuchiwał się w głosy.

Garść śniegu spadła z krawędzi naszego szałasu i z lekkim plaśnięciem wylądowała na mojej głowie. Ten ruch poruszył cały dach, śnieg zaczął sypać się do środka roziskrzoną kaskadą, przyprószając głowę i ramiona Jamiego białym puchem.

Jamie ścisnął moje udo tak mocno, że zapewne zostawił siniaki, ale nie poruszyłam się ani nie wydałam żadnego dźwięku. Z ażurowo utkanych gałęzi świerka zsunął się splachetek śniegu, pozostawiając liczne szpary, przez które udało mi się wyrzeć na zewnątrz.

Zbocze obok naszego szałasu opadało o metr bądź dwa aż do poziomu zagajnika, w którym poprzedniego wieczoru ścinałam gałęzie. Wszystko pokrywała gruba warstwa białego puchu. W ciągu nocy musiało spaść przynajmniej dziesięć centymetrów. Świt już nadszedł, pierwsze promienie wschodzącego słońca zabarwiały czarne sylwetki drzew na czerwono i złoto i iskrzyły się na śniegu. Pojawił się wiatr, zwiastun śnieżycy. Chmury luźnego śniegu osypywały się z gałęzi, drzewa wydawały się dymić.

Indianie byli po drugiej stronie zagajnika. Teraz słyszałam ich głosy wyraźnie, kłócili się o coś. Nagle coś mi przyszło do głowy: jeśli przejdą przez zagajnik, to zobaczą miejsce, gdzie odrąbywałam gałęzie świerka. Nie starałam się zachowywać schludnie i na pewno pozostawiłam na ziemi mnóstwo igieł i kawałków kory. Czy śnieg przykrył je na tyle, by ukryć ślady moich działań? Poczułam na

ramionach gęsią skórę.

Między drzewami coś zamigotało i po chwili zobaczyłam, jak wychodzą spomiędzy świerków niczym wyrastające ze śniegu zęby smoka. Mieli na sobie zimowe stroje podróżne - futrzane czapki, nogawice, miękkie buty, futra i skórzane ubrania, a niektórzy dodatkowo wełniane płaszcze i kurtki. Wszyscy nieśli zawiniątka z kocami i żywnością, a większość miała na ramionach rakietę śnieżną.

Widocznie śnieg nie był tu na tyle głęboki, by uznali za konieczne ich użyć.

Byli uzbrojeni. Dostrzegłam kilka muszkietów, tomahawki i pałki przy pasach. Sześciu, siedmiu, ośmiu - liczyłam w milczeniu, w miarę jak wyłaniali się spomiędzy drzew. Szli gęsiego, każdy podążał po śladach poprzednika. Jeden z nich, idący pod koniec szeregu, zawołał coś ze śmiechem, a ten, który szedł przed nim, odpowiedział coś przez ramię, ale słowa zginęły za zasłoną śniegu i wiatru.

Wzięłam głęboki oddech i poczułam zapach Jamiego - ostry zapach świeżego potu, wyraźnie przebijający przez jego zwykły, piżmowy zapach snu. Ja też się spociłam, choć było zimno. Czy mieli psy? Czy będą potrafiły nas wywęszyć pomimo zapachu świerka?

Uświadomiłam sobie, że wiatr wieje w naszą stronę, niosąc ze sobą ich głosy. Nie, nawet psy nie mogły nas tu wytropić. Ale czy dostrzegą gałęzie, z których zbudowane było nasze schronienie? Gdy się nad tym zastanawiałam, duży płat śniegu zsunął się z szelestem po ścianie szalasu i wylądował z miękkim plaśnięciem tuż obok.

Jamie szybko wciągnął oddech. Pochyliłam się nad jego ramieniem, żeby lepiej widzieć. Ostatni mężczyzna

wyszedł już pomiędzy drzew, osłaniając twarz ręką, by uchronić oczy przed śniegiem niesionym przez wiatr.

To był jezuita. Miał na sobie krótką pelerynę z niedźwiedziej skóry, skórzane nogawice i mokasyny, ale dostrzegłam czarny habit, podciągnięty do góry, i czarny kapelusz z szerokim rondem i płaskim denkiem, który trzymał w rękę, osłaniając się nim od wiatru. Miał twarz pokrytą jasnym zarostem i cerę tak jasną, że nawet z tej odległości widziałam jego zaczerwienione policzki i nos.

- Zawołaj ich - szepnęłam prosto do ucha Jamiego. - Skoro jest z nimi ksiądz, to muszą być chrześcijanami. Nic nam nie zrobią.

Powoli pokręcił głową, nie spuszczać z nich wzroku. Znikali już z naszego pola widzenia za przysypaną śniegiem skałą.

- Nie - powiedział cicho. - Może to i chrześcijanie, ale... - Znów pokręcił głową, tym razem bardziej stanowczo. - Nie.

Nie było sensu się z nim kłócić. Przewróciłam oczami z mieszkanką frustracji i rezygnacji.

- Jak tam twoje plecy?

Przeciągnął się gorliwie i naraz znieruchomiał ze stłumionym okrzykiem.

- Nie najlepiej, co? - powiedziałam ze współczuciem przetykanym sarkazmem. Spojrzał na mnie spode łba, bardzo powoli opadł na posłanie ze zgniecionych liści i z westchnieniem zamknął oczy. - Oczywiście wymyśliłeś już jakiś genialny sposób, żebyśmy mogli dostać się na dół? - zapytałam uprzejmie.

Otworzył jedno oko.

- Nie - odpowiedział i znów je zamknął. Jego pierś pod myśliwską koszulą z frędzlami wznosiła się i opadała w szybkim oddechu. Wyglądał w tej chwili jak uosobienie spokoju.

Dzień był zimny, ale jasny. Słońce wpychało do naszej chwilowej świątyni iskrzące się, świetliste palce. Grudki śniegu spadały dokoła jak śliwki z drzewa. Wzięłam jedną do ręki i dyskretnie wsunęłam mu za kołnierz koszuli.

Syknął przez zęby, otworzył oczy i popatrzył na mnie zimno.

- Właśnie myślałem - poinformował mnie.

- Och, w takim razie najmocniej przepraszam, że ci przeszkodziłam. - Wyciągnęłam się obok niego i narzuciłam na nas płaszcze. Wiatr zaczynał przedzierać się przez otwory między gałęziami i pomyślałam, że Jamie miał rację, mówiąc o ochronnych właściwościach śniegu. Ale wyglądało na to, że dzisiaj wieczorem śnieg już nie będzie padał.

Pozostawała do rozważenia kwestia jedzenia. Mój żołądek protestował już od jakiegoś czasu, a teraz usłyszałam głośne burczenie od strony Jamiego. Przymrużył oczy i popatrzył z wyrzutem na swój brzuch.

- Cicho - mruknął po gaelicku, wznosząc oczy do nieba. W końcu westchnął i popatrzył na mnie. - No dobrze, poczekamy jeszcze chwilę, by się upewnić, że te dzikusy są już daleko, a potem pójdziesz do chaty...

- Nie wiem, jak tam trafić. Westchnął z desperacją.

- To jak mnie znalazłaś?

- Po śladach - odrzekłam z dumą i przez szpary między igłami popatrzyłam na białe pustkowia na zewnątrz.

- Ale teraz już mi się nie uda.

- Och! - Wydawało się, że zrobiłam na nim pewne wrażenie. - No cóż, to było bardzo sprytne z twojej strony, Angielko, ale nie martw się. Powiem ci, jak trafić.

- Dobrze, a co potem?

Wzruszył jednym ramieniem. Śnieg, który wrzuciłam mu za koszulę, stopniał mu na piersi. Koszula przemokła i w zagłębieniu szyi zebrała się mała kałuża czystej wody.

- Przynieś mi trochę jedzenia i pled. Za parę dni pewnie będę już mógł się ruszyć.

- Mam cię tu zostawić? - Teraz ja spojrzałam na niego z desperacją.

- Nic mi nie będzie - rzekł spokojnie.

- Wilki cię zjedzą.

- Raczej nie. Przypuszczam, że będą wołały zająć się łosiem.

- Jakim łosiem?

Wskazał głową na świerkowy zagajnik.

- Tym, którego zastrzeliłem wczoraj. Trafiłem go w szyję, ale nie padł od razu, dobiegł aż tutaj. Szedłem za nim i wtedy właśnie uszkodziłem sobie plecy. - Potarł dłonią srebrno - rudy zarost na podbródku. - Nie mogłem odejść daleko. Przypuszczam, że śnieg przykrył tuszę, bo inaczej nasi przyjaciele by go znaleźli. Właśnie stamtąd szli.

- Zastrzeliłeś łosia, który przyciągnie wilki jak muchy, a teraz zamierzasz leżeć tu na mrozie i czekać, aż do ciebie przyjdą? Chyba że zakładasz, że zanim nabiorą apetytu na drugie danie, ty będziesz już tak odrętwiała, że nawet nie zwrócisz uwagi, gdy zaczną obgryzać ci stopy!

- Nie krzycz - upomniał mnie. - Dzikusy mogą być jeszcze w pobliżu. Otworzyłam usta, zamierzając wygłosić jeszcze kilka uwag na ten temat, ale Jamie przyłożył dłoń do mojego policzka.

- Claire - powiedział spokojnie. - Nie ruszysz mnie stąd. Nie możesz zrobić nic innego.

- Mogę - odrzekłam, powstrzymując drżenie głosu. - Zostanę z tobą. Przyniosę ci pled i jedzenie, ale nie zostawię cię tu samego.

Przyniosę drewno i rozpalimy ognisko.

- Nie trzeba. Dam sobie radę - upierał się.

- Ale ja sobie nie dam - warknęłam przez zęby. Doskonale pamiętałam, jak się czułam w chacie podczas tych długich, duszących godzin czekania. Odmrażanie sobie tyłka w śniegu przez kilka dni nie było zachęcającą perspektywą, jednak lepszą od siedzenia w domu.

Zauważył, że mówię poważnie, i uśmiechnął się.

- No dobrze. To przynieś też whisky, jeśli jeszcze trochę zostało.

Od razu poczułam się szczęśliwsza.

- Jest pół butelki. Przyniosę.

Objął mnie i pociągnął w zagłębienie swojego ramienia. Choć na zewnątrz wiał wiatr, pod płaszcami było całkiem przytulnie. Jego skóra pachniała ciepło i słono. Nie mogłam się oprzeć: podniosłam głowę i przyłożyłam usta do wilgotnego wgłębienia na jego szyi.

- Ach - zadrzał. - Nie rób tego.

- Nie podoba ci się?

- Nie, nie podoba mi się. Jak mogłoby mi się podobać? Dostaję od tego gęsiej skórki.

- Ale mnie się podoba - oświadczyłam. Popatrzył na mnie ze zdumieniem.

- Naprawdę?

- Ależ tak - zapewniłam go. - Uwielbiam, kiedy skubiesz moją szyję.

Przymrużył oko i przyjrzał mi się z powątpiewaniem, a potem delikatnie pociągnął mnie za ucho tak, że musiałam obrócić głowę na bok, i językiem dotknął mojej szyi. Podniósł głowę i bardzo delikatnie zacisnął zęby na skórze.

- Eee - powiedziałam, drżąc niepoohamowanie. Cofnął głowę i popatrzył na mnie ze zdumieniem.

- A niech mnie, ty naprawdę to lubisz. Masz gęsią skórę i piersi ci stwardniały jak wisienki. - Przesunął po nich dłonią. Wychodząc na swoją niespodziewaną wyprawę, nie zwracałam sobie głowy wkładaniem prowizorycznego biustonosza.

Zarumieniłam się lekko.

- Przecież ci mówiłam. Przypuszczam, że któryś z moich przodków został kiedyś ugryziony przez wampira.

- Przez co?

Mieliśmy mnóstwo czasu, toteż opowiedziałam mu pokrótce o życiu i czasach księcia Drakuli. Wydawał się rozbawiony i zdjęty grozą, ale jego dłoń nie ustawała w wysiłkach, przesunęła się pod moją koszulę z jeleniej skóry i wędrowała coraz niżej. Palce miał zimne, ale nie przeszkadzało mi to.

- Niektórzy ludzie uważają, że to bardzo podniecające - zakończyłam.

- To najbardziej obrzydliwa rzecz, o jakiej w życiu

słyszałem.

- Wszystko mi jedno - uśmiechnęłam się. Wyciągnęłam się obok niego i odchyliłam głowę do tyłu, zachęcająco wystawiając szyję. - Zrób to jeszcze raz.

Wymamrotał pod nosem coś po gaelicku, ale udało mu się podciągnąć na łokciu i przetoczyć w moją stronę. Usta miał ciepłe i miękkie i bez względu na to, czy akceptował to, co robił, robił to doskonale.

- Och! - powiedziałam, wstrząsając się w ekstazie, gdy jego zęby delikatnie zagłębiły się w płatku mojego ucha.

- Hm, skoro to aż tak działa - westchnął z rezygnacją. Sięgnął po moją rękę i wsunął ją sobie między uda.

- Rany boskie - mruknęłam. - A ja myślałam, że zimno...

- Zaraz tu będzie gorąco - zapewnił mnie. - Zdejmij to, dobrze?

Moje ruchy były niezgrabne ze względu na ciasnotę. Poza tym musiałam przez cały czas pozostawać pod przykryciem, żeby niczego sobie nie odmrozić. Jamie mógł mi pomóc tylko w najbardziej podstawowych sprawach, ale mimo wszystko efekty były całkiem zadowalające.

Byłam dosyć zaabsorbowana sytuacją, lecz podczas chwilowej przerwy w akcji nagle poczułam się nieswojo, jakby ktoś mnie obserwował. Uniosłam się na rękach i wyrzałam przez zasłonę gałęzi, jednak zobaczyłam tylko zagajnik i pokryte śniegiem zbocze.

Jamie jęknął głośno.

- Nie przestawaj - wymruczał z przymkniętymi

oczami. - Co się dzieje?

- Zdawało mi się, że coś słyszałam - powiedziałam, znów opadając na jego pierś.

I wtedy naprawdę coś usłyszałam. Śmiech, niski, ale wyraźny, tuż nad moją głową.

Stoczyłam się z niego, płacząc się w ubraniach i jelenich skórach, Jamie zaś zaklął i sięgnął po pistolet. Odsunął gałgę z głośnym szelestem i wycelował go w górę.

Ze szczytu skały spoglądało na nas kilka twarzy, wszystkie szeroko uśmiechnięte. Ian i czterech jego kumpli z Anna Ooka.

Indianie mruczeili coś do siebie, prychnąc śmiechem, najwyraźniej niezmiernie rozbawieni.

Jamie odłożył pistolet i wykrzywił się do siostrzeńca.

- A co ty tu do diabła robisz, Ian?

- No jak to? Wracam do domu na święta, wujku - odrzekł Ian z rozpromienioną twarzą.

Jamie popatrzył na niego groźnie.

- Święta - mruknął. - Bzdura!

Łoś zamarzył przez noc. Widok lodowych kryształków na jego oczach sprawił, że zadrżałam. Nie z powodu widoku śmierci, ten był bowiem piękny: wielkie ciało, zupełnie nieruchome, oszronione śniegiem, lecz na myśl, że gdybym nie posłuchała podszeptów niepokoju i nie wyszła w noc szukać Jamiego, to scena przede mną mogłaby równie dobrze przedstawiać nie zamarzniętego łosia i kłócących się Indian, lecz martwego Szkota na śniegu.

Dogadali się w końcu i Ian poinformował mnie, że postanowili wrócić do Anna Ooka, ale w zamian za część mięsa najpierw odstawią nas bezpiecznie do domu.

Tusza nie zamarzała jeszcze na kość. Wypatroszyli zwierzę, rzucając stygnące wnętrzności na szaroniebieską stertę poplamioną czarną krwią, odrąbali mu łeb, by zmniejszyć ciężar, i dwóch z nich poniosło tuszę zahaczoną związanymi nogami o drąg. Jamie patrzył na nich mrocznie, najwyraźniej obawiając się, że on sam również zostanie tak potraktowany, lecz Ian zapewnił, że uda im się coś wymyślić. Byli pieszo, ale przyprowadzili ze sobą jednego silnego muła jucznego, by niósł skóry upolowanej zwierzyny.

Pogoda poprawiła się. Śnieg na otwartych przestrzeniach stopniał już zupełnie i choć powietrze nadal było zimne i ostre, niebo miało oślepiająco niebieski kolor, a od strony lasu dochodziły wonie świerku i jodły balsamicznej.

Gdy przechodziliśmy przez zagajnik, zapach świerku przypomniiał mi o początkach tej przygody i o tajemniczej grupie Indian, którą widzieliśmy.

- Ian - powiedziałam, równając się z nim. - Tuż przed tym, zanim ty i twoi przyjaciele znaleźliście nas na górze, widzieliśmy grupę Indian w towarzystwie jezuity. Chyba nie byli z Anna Ooka? Znasz ich może?

- Tak, ciociu, wiem. - Dłonią w rękawicze otarł zaczerwieniony nos. - Znaleźliśmy was, idąc po ich śladach.

Powiedział, że obcy Indianie byli Mohawkami z dalekiej północy.

Plemię Tuskarora jakieś pięćdziesiąt lat wcześniej

zostało przyjęte do Ligi Irokeskiej, co doprowadziło do zbliżenia z Mohawkami i częstych wzajemnych wizyt, zarówno formalnych, jak i nieformalnych. Obecna wizyta łączyła w sobie obydwie elementy.

Grupa młodych Mohawków przyszła szukać żon. W ich wiosce brakowało młodych kobiet w wieku stosownym do małżeństwa, toteż postanowili udać się na południe i zobaczyć, czy nie uda się znaleźć odpowiednich partnerek wśród Indian Tuskarora.

- Rozumiesz, kobieta musi pochodzić z odpowiedniego klanu - wyjaśnił Ian. - Jeśli pochodzi z niewłaściwego klanu, to nie mogą zawrzeć małżeństwa.

- Tak jak Donaldowie i Campbellowie? - wtrącił Jamie z zainteresowaniem.

- Coś w tym rodzaju - przyznał Ian z uśmiechem. - Ale właśnie dlatego przyprowadzili ze sobą księdza. Gdyby znaleźli kobiety, mogliby od razu wziąć ślub i nie musieliby spać samotnie przez całą drogę do domu.

- A więc są chrześcijanami? Ian wzruszył ramionami.

- Niektórzy. Jezuici są z nimi już od dawna i sporo Huronów przeszło na chrześcijaństwo. Ale wśród Mohawków chrześcijan jest mniej.

- To znaczy, że wcześniej byli w Anna Ooka? - zapytałam z ciekawością. - Dlaczego ty i twoi przyjaciele szliście za nimi?

Ian prychnął i mocniej zacisnął na szyi szalik z wiewiórczych skórek.

- Może to i sprzymierzeńcy, ciociu, ale to nie ma znaczenia. To nie znaczy, że Nacognaweto i jego bracia im

ufają. Nawet inne narody z Ligi Irokeskiej obawiają się Mohawków, bez względu na to, czy są chrześcijanami, czy nie.

Słońce już zachodziło, gdy na horyzoncie pojawiła się chata.

Byłam zmęczona i zmarznięta, ale na widok domostwa nastrój znacznie mi się poprawił. Jeden z naszych mułów, Clarence, zauważył nas i entuzjastycznie zaczął tupać kopytami, przez co reszta koni stłoczyła się przy żerdziach zagrody, czekając na jedzenie.

- Wygląda na to, że z końmi wszystko w porządku - powiedział Jamie. Jak prawdziwy hodowca przede wszystkim zainteresował się losem zwierząt. Mnie bardziej interesował stan nas samych. Chciałam wejść do chaty, rozgrzać się i jak najszybciej coś zjeść.

Zaprosiliśmy przyjaciół Iana w gościnę, ale odmówili. Zostawili Jamiego przy drzwiach i szybko zniknęli, by dalej podążać za oddalającymi się Mohawkami.

- Oni nie chcą zostawać w domu białego człowieka, ciociu - wyjaśnił Ian. - Uważają, że śmierdzimy.

- Coś takiego! - powiedziałam z irytacją, przypominając sobie pewnego starszego dżentelmena, którego spotkałam w Anna Ooka, a który przed nadejściem zimy smarował się od stóp do głów niedźwiedzim tłuszczem, a potem zaszywał w ubranie. Przyganiał kociół garnkowi, pomyślałam.

Uczciliśmy Boże Narodzenie kolejką whisky i w końcu leżeliśmy we własnym łóżku, patrząc na płomienie świeżo rozpalonego ognia i słuchając spokojnego chrapania Iana.

- Dobrze być znów w domu - powiedziałam miękko.

- Dobrze - westchnął Jamie i przyciągnął mnie bliżej, tak że moja głowa znalazła się w zagłębieniu jego ramienia. - Kiedy spałem tam, na zimnie, miałem bardzo dziwne sny.

- Tak? - przeciągnęłam się, rozkoszując się miękkością pierzyny.

- Co ci się śniło?

- Różne rzeczy. - Wydawał się nieco onieśmielony. - Ciągle śniła mi się Brianna.

- Doprawdy? - zdziwiłam się. Mnie również w naszym śnieżnym schronieniu śniła się Brianna, chociaż rzadko widywałam ją w snach.

- Zastanawiałem się... - zapytał Jamie z wahaniem. - Czy ona ma zamię, Angielko? A jeśli tak, to czy mówiłaś mi o tym?

- Ma - odpowiedziałam powoli i z namysłem. - Wydaje mi się, że nigdy ci o tym nie mówiłam. Przeważnie w ogóle go nie widać i sama już od lat go nie zauważałam. Wygląda jak...

Uciszył mnie, zaciskając dłoń na moim ramieniu.

- Mały, brązowy ślad w kształcie diamentu, tuż za lewym uchem, zgadza się?

- Zgadza się. - W łóżku było ciepło i przytulnie, ale poczułam nagle chłód na karku i przeszył mnie dreszcz. - Widziałeś to we śnie?

- Pocałowałem ją w to miejsce - powiedział cicho.

22. Iskra pradawnego płomienia

Oksford, wrzesień 1970

- O Jezusie. - Roger wpatrywał się w litery, aż straciły

wszelki sens i stały się tylko zwykłymi zygzakami na papierze, ale nawet uciekając się do tej sztuczki, nie zdołał wymazać słów, które już wryły się w jego umysł. - O Boże, nie! - zawołał głośno. Dziewczyna siedząca w sąsiedniej przegródce poruszyła się z irytacją i hałaśliwie przesunęła krzesło po podłodze.

Pochylił się nad książką, nakrył ją przedramieniem i zamknął oczy. Było mu niedobrze, dłonie miał zimne i spocone. Siedział tak przez kilka minut, walcząc z prawdą, która jednak nie chciała zniknąć.

Chryste, przecież to już się zdarzyło, dawno temu. I nie można było zmienić przeszłości.

W końcu przełknął kulę goryczy w gardle i popatrzył jeszcze raz.

To wciąż tam było. Niewielka notatka z gazety wydrukowanej trzynastego lutego 1776 roku w amerykańskiej kolonii Karolinie Północnej, w mieście Wilmington.

Z głębokim żalem przyjęliśmy wiadomość o śmierci Jamesa MacKenziego Frasera i jego żony Claire Fraser w pożarze, który w nocy 22 stycznia strawił ich dom w osadzie Fraser's Ridge. Pan Fraser, siostrzeniec nieżyjącego już Hektora Camerona, właściciela plantacji River Run, urodzony w Broch Tuarach w Szkocji, był człowiekiem powszechnie znanym i szanowanym w kolonii. Nie pozostawił żyjących dzieci.

A jednak pozostawił.

Na chwilę uchwycił się przelotnej nadziei, że może nie chodziło o nich, w końcu mogło istnieć wielu Jamesów Fraserów, to było dość popularne nazwisko. Ale nie

Jamesów MacKenziech Fraserów, w dodatku z żoną o imieniu Claire. I nie urodzonych w Broch Tuarach w Szkocji.

Nie, to byli oni. Mdląca pewność wypełniła jego pierś i ścisnęła gardło żalem. Oczy zaczęły go piec i ozdobna osiemnastowieczna czcionka znów się rozmyła.

A więc Claire go znalazła. Znalazła swojego dzielnego górala i przeżyła z nim przynajmniej kilka lat. Miał nadzieję, że były to dobre lata. Bardzo lubił Claire Randall. Nie, to za mało powiedziane. Jeśli miał być szczerzy, kochał ją, zarówno ze względu na samą Claire, jak i na jej córkę.

Co więcej, bardzo pragnął, by znalazła Jamiego Frasera i by żyła z nim szczęśliwie do końca swoich dni. Świadomość, czy też raczej nadzieja, że tak się stało, była dla niego jak talizman, oznaczała, że istnieje nieprzemijająca miłość, miłość wystarczająco silna, by przetrwać rozłąkę i przeciwności losu, by zwyciężyć czas. A jednak ciało było śmiertelne i żadna miłość nie mogła tego zmienić.

Zacisnął palce na krawędzi stołu, próbując opanować emocje.

Głupi, powiedział sobie, zupełny głupiec. A jednak czuł się tak samo jak po śmierci wielebnego - jakby na nowo został osierocony.

Kolejny cios nadszedł, gdy uświadomił sobie, że nie może pokazać tego Bree. Oczywiście zdawała sobie sprawę z ryzyka, ale z pewnością nic takiego nie przyszło jej do głowy.

Znalazł to zupełnym przypadkiem. Szukał tekstów

starych ballad, które chciał dołączyć do swego repertuaru, i przeglądał książkę z ludowymi piosenkami. Natrafił na ilustrację przedstawiającą reprodukcję oryginalnej strony gazety, w której po raz pierwszy opublikowano jedną z ballad. Leniwie przerzucając kartki, zerknął na wiadomości zamieszczone na tej samej stronie gazety i jego wzrok pochwycił nazwisko „Fraser”.

Powoli zaczynał oswajać się z tą myślą, ale żal usadowił się w jego żołądku i ssał go jak wrzód. Był naukowcem i synem naukowca, wyrósł w otoczeniu książek, od dzieciństwa wpajano mu szacunek do drukowanego słowa. Sięgając po scyzoryk i otwierając go ukradkiem, czuł się jak morderca. Rozejrzał się dookoła, by się upewnić, że nikt na niego nie patrzy.

To był bardziej instynkt niż rozsądek, ten sam instynkt, który każe człowiekowi uprzętać pozostałości po wypadku, przykryć czymś ciała, usunąć z zasięgu wzroku widoczne ślady katastrofy, choć nie da się odwrócić samej tragedii.

Gdy złożona w kilkoro kartka leżała już w jego kieszeni jak obcięty kciuk, wyszedł z biblioteki na deszczowe ulice Oksfordu.

Spacer uspokoił go, pozwolił pomyśleć racjonalnie, stłumić na razie uczucia, by zaplanować działanie. Musiał ochronić Briannę przed rozpacą, która byłaby głębsza i dłuższa niż jego żal.

Sprawdził informacje bibliograficzne w książce: została opublikowana w 1906 roku przez małe brytyjskie wydawnictwo, nie mogła zatem być zbyt szeroko dostępna, ale mimo wszystko Brianna mogła się na nią natknąć w

trakcie własnych poszukiwań.

Logicznie rzecz biorąc, nie było to źródło tego rodzaju, jakich poszukiwała Brianna, ale książka nosiła tytuł Osiemnastowieczne pieśni i ballady, a Roger dobrze znał ten rodzaj ciekawości, który prowadził historyka do impulsywnego szperania w najmniej prawdopodobnych miejscach. Brianna również знаła te impulsy, a co więcej, wiedział, że miała w sobie dziecinny głód wiedzy, każdej wiedzy, i ten głód mógł ją doprowadzić do poszukiwania czegokolwiek, co wiązało się z tą epoką i co mogło jej pomóc w wyobrażeniu sobie otoczenia swoich rodziców, stworzeniu wizji życia, którego nie mogła zobaczyć ani z nimi dzielić.

Szanse nie były wielkie, ale wciąż zbyt duże. Potrącił go jakiś przechodzień i Roger uświadomił sobie, że już od kilku minut stoi oparty o balustradę mostu i patrzy na krople deszczu wpadające do rzeki, w ogóle ich nie widząc. Powoli ruszył przed siebie, nie zwracając uwagi na sklepy i stada parasolek przypominających grzyby.

Nie było sposobu, by zagwarantować, że Brianna nigdy nie zobaczy egzemplarza tej książki. Być może był to jedyny egzemplarz, a może były ich setki i może wszystkie leżały jak bomby zegarowe w rozmaitych bibliotekach rozsianych po całych Stanach Zjednoczonych.

Ucisk w jego żołądku stawał się coraz mocniejszy. Był już zupełnie przemoczony i przemarznięty, a kolejna myśl sprawiła, że znów ogarnęła go fala wewnętrznego chłodu. Co Brianna robi, jeśli się dowie? Z pewnością byłaby zrozpaczona, porażona żalem, ale co później? On sam był przekonany, że przeszłości nie można zmienić, a to,

co mówiła Claire, jeszcze go w tym mniemaniu utwierdziło.

Obydwoje z Jamiem Fraserem starali się nie dopuścić do jatki pod Culloden, ale ich wysiłki na nic się nie zdały. Próbowwała ocalić swego przysłego męża Franka, ratując życie jego przodkowi, Jackowi Randallowi - to również się nie powiodło, przekonała się jednak, że Jack nie był przodkiem Franka, lecz po śmierci młodszego brata ożenił się z jego ciężarną kochanką, by dać nazwisko dziecku.

Nie, przeszłość wiła się wokół siebie samej jak wąż, ale nie można było jej zmienić. Nie był jednak przekonany, czy Brianna również podziela ten pogląd.

Pytała go, jak się oplakuje kogoś, kto podróżuje w czasie. Gdyby pokazał jej tę notatkę, zyskałaby pewność i mogłaby przeżyć prawdziwą żalobę. Ta wiedza bardzo by ją zraniła, ale z czasem rana zagoiłaby się i Brianna mogłaby zostawić przeszłość za sobą. Gdyby.

Gdyby nie kamienie na Craigh na Dun. Kamienny krąg i przerażająca możliwość, która się w nim kryła.

Claire weszła do kamiennego kręgu na Craigh na Dun i przemieściła się w czasie podczas starożytnego święta ognia Samhain, pierwszego dnia listopada, niemal dwa lata temu.

Roger zadrzał, ale nie z zimna. Za każdym razem, gdy sobie to przypominał, włosy na karku stawały mu dęba. Był to pogodny, jesienny poranek, wigilia dnia Wszystkich Świętych. Nic nie zakłócało spokoju na trawiastym wzgórzu, strzeżonym przez kamienny krąg, aż do chwili, gdy Claire dotknęła wielkiego, pękniętego kamienia i znikła w przeszłości.

Potem miał wrażenie, że ziemia roztapia mu się pod stopami.

Powietrze nabrzmiało rykiem, który odbił się echem w jego głowie jak wystrzał armatni. Oślepił go nagły wybuch światła i ciemności. Tylko wspomnienia z poprzedniego razu powstrzymały go przed zupełną paniką.

Odruchowo mocniej uściśnął dłoń Brianny, choć w tej chwili nie czuł zupełnie nic. Miał wrażenie, że spada z wysokości trzystu metrów do lodowato zimnej wody, a zawroty głowy i szok były tak intensywne, że nie czuł niczego więcej. Ogłuszony i oślepiiony, pozbawiony świadomości i wszystkich zmysłów, pamiętał tylko dwie ostatnie myśli - resztki świadomości, która gasła jak płomień świecy podczas huraganu. Umieram, pomyślał z lodowatym spokojem, a potem: nie puszczaj.

Wschodzące słońce rzucało jasną smugę przez rozszczepiony kamień. Wzdłuż tej smugi odeszła Claire. Gdy Roger w końcu poruszył się i podniósł głowę, słońce późnego popołudnia lśniło na lawendowozłotym niebie za kamieniem, który na jego tle wydawał się czarny.

Leżał na Briannie, chroniąc ją swoim ciałem. Była nieprzytomna, ale oddychała. Jej twarz przy ciemnorudych włosach wydawała się rozpaczliwie blada. Roger czuł się wyczerpany; nie było mowy, by mógł ją znieść po stromym zboczu do samochodu. Nieodrodna córka swojego ojca, miała niemal metr osiemdziesiąt wzrostu, tylko trochę mniej niż on.

Przykucnął nad nią, wziął jej głowę na kolana i drżąc, gładził ją po twarzy aż do zachodu słońca. Wtedy otworzyła oczy, ciemnoniebieskie jak błędące niebo, i

szeptnęła:

- Poszła?

- Wszystko w porządku - odszepnął Roger. Pochylił się i pocałował jej zimne czoło. - Wszystko w porządku. Zajmę się tobą.

Szczerze chciał to uczynić. Ale jak?

* * *

Gdy wrócił do siebie, już się ściemniało. Słyszał szcęk naczyń z jadalni, czuł zapach gotowanej szynki i fasolki, ale myślami był bardzo daleko od kolacji.

Wszedł do swojego pokoju, rzucił mokre ubranie na podłogę, wytarł się i usiadł nago na łóżku, z zapomnianym ręcznikiem w rękę, wpatrując się w biurko i w drewnianą skrzyneczkę, w której przechowywał listy Brianny.

Zrobiłby wszystko, by zaoszczędzić jej cierpienia; zrobiłby jeszcze o wiele więcej, by ochronić ją przed zagrożeniem związanym z kamiennym kręgiem.

Claire wróciła, jak miał nadzieję, z roku 1968 do 1766, a zmarła w 1776. Teraz był rok 1970. Osoba, która zechciałaby przejść teraz, zapewne wylądowałaby w 1768. Był jeszcze czas. To było właśnie najgorsze: był jeszcze czas.

Nawet gdyby Brianna myślała tak jak on albo gdyby potrafił ją przekonać, że przeszłości nie da się zmienić, to czy zdołałaby przeżyć kolejne siedem lat, wiedząc, że przestrzeń możliwości przez cały czas się zawęża, że jej jedyna szansa, by poznać ojca i znów zobaczyć matkę, kurczy się z dnia na dzień? Łatwiej było o tym nie myśleć, gdy się nie wiedziało, gdzie są ani co się z nimi stało, ale

mieć to przed oczami czarno na białym i nie zrobić nic - to było zupełnie co innego.

Znał Briannę już ponad dwa lata, z czego tylko kilka miesięcy spędzili razem, a jednak pod niektórymi względami znali się bardzo dobrze. Jak mogliby się nie znać, skoro przeszli razem przez takie doświadczenie? No i były jeszcze listy, tuziny listów, w każdym tygodniu dwa, trzy albo cztery. I rzadkie, krótkie wakacje, rozdarte między oczarowaniem a frustracją, po których za każdym razem od nowa cierpiał z bolesnej tęsknoty.

Tak, znał ją. Była spokojna, ale miała w sobie ognistą determinację, która w przekonaniu Rogera nie pozwoliłaby jej poddać się rozpaczom bez walki. I choć była ostrożna, to gdy już podjęła jakąś decyzję, działała z bezwzględnością, od której włos jeżył się na głowie. Gdyby zdecydowała się zaryzykować przejście, nie potrafiłby jej zatrzymać.

Zacisnął dłonie na zwiniętym ręczniku. Na wspomnienie kręgu i otchłani, która niemal ich pochłonęła, znów poczuł mdłości. Jediną rzeczą, która przerażała go jeszcze bardziej, była myśl, że mógłby utracić Briannę, gdy jeszcze nie zaczęła prawdziwie do niego należeć.

Nigdy jej nie okłamał, ale szok i żal powoli zaczęły przygasać i w jego umyśle zaczął się formować plan. Wstał i owinał się ręcznikiem w pasie.

Wiedział, że nie da się tego załatwić jednym listem. Musi to być długi, powolny proces sugestii, delikatnego zniechęcania, ale sądził, że powinno się udać; przez rok poszukiwań w Szkocji nie znalazł prawie nic, oprócz relacji o splotnięciu drukarni Frasera w Edynburgu.

Na myśl o płomieniach wzdrygnął się mimowolnie. Teraz oczywiście rozumiał, dlaczego tak było: musieli wyemigrować niedługo później, zaraz po pożarze, choć nie odnalazł ich nazwisk na listach pasażerów statków.

Zamierzał jej napisać, że czas już zostawić przeszłość w spokoju.

Niech umarli grzebią swoich umarłych. Kontynuowanie poszukiwań, przy braku jakichkolwiek dowodów, graniczyłoby z obsesją. Chciał jej subtelnie zasugerować, że to patrzyenie w przeszłość jest niezdrowe; jeśli nie chce spędzić całego życia na bezowocnych poszukiwaniach - a tego żadne z jej rodziców Z pewnością by sobie nie życzyło - to nadszedł już czas, by zacząć patrzeć w przyszłość.

Prawie nie zauważał chłodu panującego w pokoju.

- Zajmę się tobą - powiedział, i rzeczywiście zamierzał to zrobić.

Czy ukrywanie niebezpiecznej prawdy było tym samym co kłamstwo?

No cóż, jeśli nawet tak, to gotów był skłamać. Od najwcześniejszego dzieciństwa słyszał, że zgoda na zło jest grzechem. Niech będzie; z wielką radością zamierzał zaryzykować dla niej zbawienie własnej duszy.

Pogrzebał w szufladzie i znalazł długopis. Naraz znieruchomiał i wsunął dwa palce do kieszeni przemokniętych dzinsów. Papier był przetarty i mokry, już na wpół zniszczony. Palce mu nie drżały, gdy darł kartkę na drobne skrawki, ale po twarzy spłynęły strużki zimnego potu.

23. Naga czaszka

Powiedziałam Jamiemu, że nie mam nic przeciwko życiu z dala od cywilizacji. Wszędzie, gdzie są ludzie, znajdzie się zajęcie dla uzdrowiciela.

Duncan dotrzymał słowa i wrócił wiosną 1768 roku w towarzystwie ośmiu byłych więźniów z Ardsmuir i ich rodzin, gotowych osiedlić się we Fraser's Ridge, jak teraz nazywano to miejsce. Wraz z pojawieniem się trzydziestu dusz natychmiast wzrosło zapotrzebowanie na moje nieco zardzewiałe umiejętności.

Musiałam zszywać rany, leczyć gorączkę, przecinać nabrzmiałe ropnie i skrobać zainfekowane dziąsła. Dwie kobiety były w ciąży i z radością przyjęłam zdrowe dzieci, chłopca i dziewczynkę. Obydwoje urodzili się wczesną wiosną.

Moja sława - jeśli można użyć tego słowa - jako uzdrowicielki szybko przekroczyła granice naszej osady. Wzywano mnie w coraz dalsze miejsca do leczenia dolegliwości mieszkańców odległych farm na wzgórzach, rozproszonych na odludziu w promieniu pięćdziesięciu kilometrów. Poza tym od czasu do czasu wybierałam się w towarzystwie Iana do Anna Ooka, by się spotkać z Nayawenne, i wracałam stamtąd zaopatrzona w kosze i słoje pełne pożytecznych ziół.

Na początku Jamie upierał się, bym jeździła do dalej położonych domów w towarzystwie Iana lub jego samego, ale wkrótce okazało się, że żaden z nich nie może sobie pozwolić na takie podróże.

Nadszedł już czas pierwszych siewów, trzeba było zaorać ziemię, posiać kukurydzę i jęczmień, nie wspominając już o zwykłych, codziennych obowiązkach na

farmie. Oprócz koni i mułów mieliśmy teraz małe stado kurcząt, czarnego knura o zdeprawowanym wyglądzie, który miał zaspokajać towarzyskie potrzeby świni, oraz luksus nad luksusami: dojną kozę. Całe to towarzystwo musieliśmy karmić, poić i ogólnie rzecz biorąc pilnować, żeby nie pozabijało się wzajemnie albo nie padło łupem niedźwiedzi i panter.

Coraz częściej wyjeżdżałam więc sama, gdy jakiś obcy człowiek pojawiał się niespodziewanie w drzwiach, pytając o uzdrowicielkę albo akuszerkę. W księdze Daniela Rawlingsa przybyły nowe wpisy, a spiżarnia wzbogaciła się o dary w postaci szynek, udźców jelenich, worków zboża i koszy jabłek, którymi pacjenci odwdzięczali się za moją pomoc. Nigdy nie prosiłam o zapłatę, ale zawsze coś mi dawano, a byliśmy tak biedni, że każdy dar był mile widziany.

Moi pacjenci pochodzili z wielu różnych miejsc. Wielu z nich nie mówiło ani po angielsku, ani po francusku. Byli wśród nich niemieccy luteranie, kwakrzy, Szkoci, mieszańcy szkocko - irlandzcy oraz duża grupa braci morawskich w Salem, posługujących się dziwnym językiem, który, jak mi się wydawało, musiał być czeskim. Zwykle jednak jakoś sobie radziłam. Przeważnie znajdował się ktoś, kto mógł dla mnie tłumaczyć, a w najgorszym wypadku mogłam polegać na mowie rąk i ciała. Pytanie „gdzie boli?” jest łatwe do zrozumienia w każdym języku.

Sierpień 1768

Byłam przemarznięta do szpiku kości. Choć starałam się jak najszczelniej owinąć płaszczem, wiatr odrywał tkaninę od ciała i poły powiewały za mną jak żagle. Głowa

chłopca, który szedł obok mnie, kołysała się na boki, a ja sama chwiałam się w siodle od silnych podmuchów. Pod powiewające poły płaszczka przedostawały się lodowate igielki deszczu. Jeszcze zanim dotarliśmy do Mueller's Creek, moja suknia i halka przemokły na wylot.

Strumień przelewał się przez brzegi, niosąc za sobą wyrwane z korzeniami drzewka, kamienie i gałęzie. Powierzchnia wody pokryta była pianą.

Tommy Mueller popatrzył na rwący nurt, unosząc ramiona tak wysoko, że niemal dotknęły runda kapelusza naciągniętego nisko na uszy. Cała jego postać wyrażała wątpliwości. Pochyliłam się i zawołałam mu do ucha, starając się przekrzyczeć wiatr:

- Zostań tutaj!

Pokręcił głową i odpowiedział coś, czego nie dosłyszałam. Ja również energicznie pokręciłam głową i wskazałam na brzeg. Był błotnisty i niebezpieczny, na moich oczach nurt wyrwał z brzegu duże kawały czarnej ziemi.

- Wracaj! - wykrzyknęłam.

Z emfazą wskazał palcem na siebie, a potem w stronę farmy i sięgnął po wodze konia. Chyba chciał mi powiedzieć, że droga jest zbyt niebezpieczna, i proponował, bym wróciła razem z nim i przeczekała burzę.

Z pewnością miał trochę racji. Z drugiej strony jednak widziałam, jak strumień przybiera na moich oczach, żarłocznie wygryzając z brzegów wielkie kawały miękkiej ziemi. Wiedziałam, że już wkrótce nikt nie będzie w stanie go przejść przez wiele dni. Po takich powodziach poziom wody pozostawał wysoki nawet przez tydzień, gdyż deszcze

z wyższych partii gór spływały w dół, zasilając strumienie.

Myśl o utknięciu na tydzień w czteroizbowym domu z dziesięciorgiem Muellerów zupełnie wystarczyła, bym poważyla się na lekkomyślność. Wyrwałam wodze z ręki Tommy'ego i zawróciłam gwałtownie. Koń zarzucił łbem w deszczu i ostrożnie wszedł na śliskie błoto.

Znajdowaliśmy się na wyższej części zbocza. Tu jeszcze gruba warstwa liści stwarzała jakieś oparcie dla kopyt. Obróciłam konia, gestem kazałam Tommy'emu cofnąć się i rzuciłam się przed siebie jak w wyścigu, wbijając łokcie w przywiązany przede mną do siodła worek jęczmienia, zapłatę, jaką otrzymałam za leczenie.

To przesunięcie środka ciężkości zupełnie wystarczyło. Koń miał nie większą ochotę pozostać tutaj niż ja. Poczulałam nagle pchnięcie do przodu, gdy za rzucił zadem i pomknął w dół po zboczu jak bezpieczeństwa tobogan. Wylecieliśmy w powietrze i przez chwilę unosiliśmy się swobodnie, a potem rozległ się plusk i znalazłam się do połowy ud w lodowatej wodzie.

Ręce miałam tak zgrabiałe, że nawet gdybym chciała, nie potrafiłabym wypuścić wodzów, jednak w żaden sposób nie byłam w stanie pokierować koniem. Opuściłam bezwładnie ramiona, dając mu wolną rękę. Czułam pod nogami rytmiczne poruszenia wielkich mięśni i jeszcze potężniejsze uderzenia wody przepływającej dookoła nas. Nurt ciągnął za sobą moje spódnice, obawiałam się, by mnie nie porwał.

W końcu kopyta zazgrzytały o dno i wyjechaliśmy na drugi brzeg, ociekając wodą jak durszłak. Obróciłam się w siodle i zobaczyłam Tommy'ego Muellera. Stał na drugim

brzegu z ustami szeroko otwartymi pod osłoną kapelusza. Nie mogłam puścić wodzów, by pomachać mu na pożegnanie, ale skłoniłam się ceremonialnie w jego stronę, a potem wbiłam pięty w boki konia i ruszyłam do domu.

Przy skoku kaptur mojego płaszcza zsunął się z głowy, lecz nie sprawiło mi to wielkiej różnicy, i tak nie mogłam być już bardziej przemoczona. Odsunęłam pasmo włosów z oczu i skierowałam konia na ścieżkę wiodącą pod górę, z ulgą myśląc, że zbliżamy się do domu.

Spędziłam w chacie Muellerów trzy dni przy pierwszym porodzie osiemnastoletniej Petronelli, która twierdziła, że ten poród będzie zarazem jej ostatnim. Jej siedemnastoletni mąż, który w południe drugiego dnia nieśmiało zajrzał do izby, usłyszał od niej taką wiązanekę niemieckich inwektyw, że z płonącymi z upokorzenia uszami natychmiast uciekł z powrotem do stodoły, w której schronili się mężczyźni.

Mimo wszystko w kilka godzin później zobaczyłam, jak onieśmielony Freddy, który wyglądał na znacznie mniej niż siedemnaście lat, klęczy przy łóżku żony. Twarz miał bielszą niż jej koszula. Z wahaniem wyciągnął brudny palec, odsunął kocyk, którym nakryta była jego córka, i popatrzył tępo na okrągłą główkę pokrytą miękkim, czarnym meszkiem, a potem przeniósł wzrok na żonę, jakby czekał na odpowiedź.

- Ist sie nicht wunderschön? - zapytała cicho Petronella.

Freddy powoli skinął głową, a potem położył głowę na jej brzuchu i rozpłakał się. Wszystkie kobiety uśmiechnęły się do niego i wróciły do przygotowywania

kolacji.

I była to nie byle jaka kolacja. Jedzenie było jedną z najlepszych stron wizyt u Muellerów. Nawet teraz jeszcze mój żołądek z lubością trawił okrągłe kluski i smażoną kaszankę, a pozostały w ustach smak jajek i masła stanowił niejaką pociechę w obecnej sytuacji.

Miałam nadzieję, że Jamiemu i Ianowi udało się pod moją nieobecność przygotować coś przyzwoitego do jedzenia. Lato miało się już ku końcowi, ale nie nadszedł jeszcze czas żniw i półkom w spiżarni daleko było do obfitości, jaka, miałam nadzieję, stanie się ich udziałem jesienią. Mieliśmy jednak ser, na podłodze stała duża kamionkowa dzieża z solonymi rybami, a obok worki z mąką, kukurydzą, ryżem, fasolą, jęczmieniem i płatkami owsianymi.

Jamie potrafił gotować, a w każdym razie potrafił rozebrać dziczyznę i upiec ją nad ogniem, a ja wcześniej robiłam, co mogłam, by zapoznać Iana z sekretami przygotowywania owsianki. Ale byli to mężczyźni, toteż przypuszczałam, że nie zawracali sobie głowy gotowaniem i zdecydowali się przetrwać do mojego powrotu na surowej cebuli i suszonym mięsie. Nie byłam pewna, czy chodzi tylko o to, że po całym dniu spędzonym na męskich zajęciach, takich jak ścinanie drzew, oranie pól i przenoszenie tusz jelenich przez góry, naprawdę byli zbyt zmęczeni, by pomyśleć o przygotowaniu porządnego posiłku, czy też robili to specjalnie, żebym ja czuła się potrzebna.

Znalazłam się pod osłoną grani. Wiatr przycichł, ale deszcz nadal siekł. Ścieżka pod kopytami konia była

zdradliwa. Rozmiękle błoto przykrywała warstwa opadłych liści, zdradziecka jak piasek na wydmach. Kopyta konia ślizgały się przy każdym kroku, czułam jego niepokój.

- Dobry chłopiec - przemawiałam do niego kojąco. - Idź dalej, wszystko w porządku.

Koń lekko zastrzygł uszami, ale nie podniósł łba, stąpając ostrożnie.

- Ślizgacz - powiedziałam. - Jak ci się to podoba?

Koń dotychczas nie miał imienia, a właściwie miał, ale go nie znałam. Mężczyzna, od którego Jamie go kupił, nazywał go niemieckim słowem, które zdaniem Jamiego było zupełnie nieodpowiednie dla kobiety. Gdy poprosiłam o tłumaczenie, zacisnął tylko usta i przybrał swój szokowy wyraz twarzy, stąd wydedukowałam, że musiało to być coś wulgarnego. Zamierzałam zapytać o to słowo starą panią Mueller, ale wyjeżdżając w pośpiechu, zupełnie o tym zapomniałam.

Jamie twierdził, że z biegiem czasu koń sam ujawni nam swoje prawdziwe lub przynajmniej dające się wymówić imię, toteż wszyscy obserwowaliśmy go bacznie w nadziei, że odkryjemy jego charakter.

Po jeździe próbnej Ian zasugerował, by nazwać go Królik, ale Jamie tylko pokręcił głową i powiedział: „Nie, to nie to”.

- Iskra? - zaproponowałam. - Śmigły? A niech to.

Koń zatrzymał się nagle, i nie bez powodu. Deszczowy strumień spływał ze zbocza i radośnie bulgotał u podnóża, przepływając między skałami. Był piękny, o rwącym, przejrzystym jak kryształ nurcie pod zielonymi liśćmi, ale niestety zmył resztki ścieżki, która osunęła się po

zboczu urwiska.

Siedziałam w siodle nieruchomo, ociekając wodą. Nie było żadnego sposobu, by objechać strumień. Po mojej prawej stronie wznosiło się niemal pionowe zbocze góry. Spomiędzy popękanych kamieni sterczały krzewy i młode drzewka. Po lewej otwierała się przepaść tak stroma, że próba zjazdu w dół równałaby się samobójstwu. Zakląłam pod nosem, zawróciłam bezimiennego konia i pojechałam z powrotem.

Gdyby nie wezbrany strumień, wróciłabym do Muellerów, pozostawiając Jamiego i Iana własnemu losowi jeszcze na kilka dni, ale w tej sytuacji nie miałam wyboru. Mogłam poszukać innej drogi do domu albo zostać tutaj i utonąć.

Ze znużeniem wróciliśmy po własnych śladach. Wydawało mi się, że niecałe pół kilometra przed wyrwą zauważyłam miejsce, gdzie grzbiet góry obniżał się, tworząc siodłowate zagłębienie między dwoma granitowymi wierzchołkami. Takie formacje skalne były tu pospolite, podobna znajdowała się na sąsiedniej górze, która dzięki temu zyskała nazwę Diabelskiego Szczytu. Gdyby udało mi się przedostać przez to siodło na drugą stronę wzgórza i objechać je dołem, po jakimś czasie wróciłabym na ścieżkę, która przecinała grań, prowadząc na południe.

Przez chwilę wyraźnie widziałam podnóża gór i błękitną nieckę doliny za nimi. Po drugiej stronie o szczyty gór ocierały się chmury, czarne i nabrzmiące od deszczu, od czasu do czasu rozjaśniane błyskawicą. Po tej stronie wiatr już przycichł, ale ulewa jeszcze się wzmogła, o ile to w ogóle było możliwe. Zatrzymałam się na chwilę, oderwałam

zimne palce od wodzów i nasunęłam na głowę kaptur płaszcz.

Po tej stronie wzgórza grunt pod nogami był pewniejszy - kamienisty, lecz niezbyt stromy. Przejeżdżaliśmy przez zagajniki jarzębiny pokrytej czerwonymi owocami i większe stanowiska dębów.

Zwróciłam uwagę na dużą kępę jeżyn, starając się zapamiętać to miejsce do przyszłego użytku, jednak nie zatrzymałam się. I tak już miałam niewielkie szanse, by dotrzeć do domu przed zmierzchem.

Aby zapomnieć o zimnych strumykach spływających mi po karku, w myślach zaczęłam przeprowadzać inwentaryzację spiżarni.

Co przyrządę na kolację, gdy wrócę? Coś szybkiego, pomyślałam, trzęsąc się z zimna, i gorącego. Przygotowanie gulaszu trwałoby za długo, podobnie jak zupy. Jeśli w spiżarni znajdzie się królik albo wiewiórka, to można je upiec w panierce z jajka i mąki kukurydzianej, a jeśli nie, to może polewka zbożowa z odrobiną bekonu do smaku i jajecznica ze szczypiorkiem?

Pochyliłam głowę i skrzywiłam się. Kaptur i gęste włosy nie chroniły mnie przed kroplami deszczu, które były mnie po czaszce z siłą kulek gradowych. Dopiero po chwili zdałam sobie sprawę, że to rzeczywiście jest grad. Małe, białe kuleczki odbijały się od końskiej szyi i stukały o liście dębu. Po kilku minutach miały już wielkość kulek do gry i były tak gęste, że ich stukot o warstwę liści pokrywających polanę przypominał odgłos kanonady karabinu maszynowego.

Koń zarzucił łbem i energicznie potrząsnął grzywą,

próbując uniknąć kłujących kuleczek. Szybko ściągnęłam wodze i poprowadziłam go pod osłonę dużego kasztanowca. Było tu głośno, ale korona drzewa chroniła nas od gradu.

- No dobrze - powiedziałam. Z pewnym trudem oderwałam jedną rękę od wodzów i poklepałam koński kark. - Uspokój się. Nic nam nie będzie, o ile nie trafi w nas piorun.

Tym stwierdzeniem najwyraźniej wywołałam wilka z lasu.

Czarne niebo za górą Roan rozjaśniło się oślepiającym światłem i zaraz potem głucho dudnienie zagłuszyło stukot gradu o liście nad naszymi głowami.

Daleko po drugiej stronie gór rozbłysła kolejna błyskawica, a potem jeszcze następna. Coraz więcej ich prześlizgiwało się przez niebo i po każdej następował coraz głośniejszy grzmot. Grad znów zamienił się w deszcz, równie mocny jak wcześniej. Dolina pod nami zniknęła w chmurach i mgle, a rozjaśniane błyskawicami nagie szczyty gór wyglądały jak kości na zdjęciu rentgenowskim.

- Jeden hipopotam, dwa hipopotamy, trzy hipopotamy, cztery hipo... - Łup!!!

Koń zarzucił łbem i nerwowo wierzgnął kopytami.

- Doskonale wiem, jak się czujesz - powiedziałam, wpatrując się w głąb doliny. - Spokojnie, spokojnie.

Kolejny błysk rozświetlił ciemną grań, wypalając na mojej siatkówce zarys postawionych końskich uszu.

- Jeden hipopotam, dwa hipopo... - Przysięgłabym, że ziemia się zatrzęsła. Koń zarżał piskliwie i gdy ściągnęłam mocniej wodze, zarył się w miejscu kopytami, zapadając się w miękkie liście. W powietrzu czuć było

ozonem.

Błysk.

- Jeden... - powiedziałam przez zęby. - A niech cię, wio. Jeden hip... Błysk.

- Jeden... Błysk.

- Wio, wio!

W ogóle nie zarejestrowałam upadku ani nawet uderzenia o ziemię. W jednej chwili ciągnęłam za wodze, czując, jak półtonowy, spanikowany koń rozsypuje się pode mną na kawałki i próbuje się wyrwać we wszystkie strony naraz, a już w następnej leżałam na plecach i patrząc na wirujące, czarne niebo, siłą woli próbowałam zmusić przeponę do pracy.

Echa upadku przechodziły przeze mnie falami. Rozpaczliwie próbowałam wpasować się we własne ciało. Udało mi się w końcu wziąć oddech i okazało się, że cała się trzęsę. Szok powoli mijał, zaczęłam podejrzewać, że coś sobie uszkodziłam.

Leżałam nieruchomo z zamkniętymi oczami, koncentrując się na oddychaniu, i w myślach przeprowadzałam inwentaryzację. Deszcz walił prosto w moją twarz, zbierał się w zagłębieniach oczu i spływał do uszu. Twarz i dłonie miałam odrętwiałe, lecz mogłam poruszać rękami i oddychałam już nieco swobodniej.

Nogi. Lewa bolała, ale nie było to nic groźnego, tylko stłuczone kolano. Ciężko przewróciłam się na bok, pokonując opór baloniastych, mokrych ubrań. A jednak to właśnie gruba odzież ocaliła mnie od poważniejszych obrażeń.

Pomiędzy jednym a drugim grzmotem usłyszałam

nad głową niepewne rzenie. Podniosłam wzrok i zobaczyłam koński łeb, wystający z krzaków prusznika o jakieś dziesięć metrów nad moją głową. Długi ślad na stromym, kamienistym zboczu wskazywał miejsce, gdzie spadłam i stoczyłam się, nim znalazłam się tu, gdzie właśnie zaległam.

Staliśmy wcześniej praktycznie na krawędzi urwiska, którego nie widziałam, bo zasłaniały je gęste zarośla. Koń w panice doszedł do samego skraju, ale najwyraźniej wyczuł niebezpieczeństwo i zatrzymał się tuż przed krawędzią, ja jednak poleciałam w dół.

- Ty cholerny draniu - powiedziałam, zastanawiając się, czy tajemnicze niemieckie słowo miało jakieś podobne znaczenie. - Omal nie złamałam sobie karku! - Drżącą ręką otarłam błoto z twarzy i rozejrzałam się, sprawdzając, czy uda mi się wdrapać z powrotem.

Nie wyglądało na to. Urwisko ciągnęło się jeszcze dalej za moimi plecami, a trochę niżej pojawiały się na nim ostre odłamki granitu.

Tuż przed moją twarzą kończyło się gwałtownie, jak ucięte nożem, a niżej znajdowała się kotlinka. Zbocze, na którym stałam, również prowadziło do tej samej kotlinki, opadając przez kępy zawilców i sumaka aż do brzegów niewielkiego strumienia o jakieś dwadzieścia metrów niżej.

Stałam nieruchomo, próbując się zastanowić. Nikt nie wiedział, gdzie jestem - jeśli o to chodziło, ja sama nie wiedziałam, gdzie jestem - a co gorsza, jeszcze przez jakiś czas nikt nie będzie mnie szukał. Jamie pomyśli, że deszcz zatrzymał mnie u Muellerów.

Muellerowie oczywiście nie będą mieli żadnego

powodu, by przypuszczać, że nie dotarłam bezpiecznie do domu, a nawet gdyby mieli jakieś wątpliwości, to wezbrany strumień nie pozwoli im za mną pojechać. Zanim ktokolwiek odnajdzie zmytą deszczem ścieżkę, ulewa zairze wszystkie ślady mojego przejazdu.

W każdym razie nic mi się nie stało i to już było coś. Byłam sama, pieszo, bez jedzenia, nie bardzo wiedząc, gdzie jestem, a w dodatku doszczętnie przemoczona. Jediną pewną rzeczą było to, że nie zginę z pragnienia.

Na niebie wciąż tu i ówdzie pojawiały się trójzęby błyskawic, ale grzmoty stopniowo ucichły i zamieniły się w odległe pomruki. Nie bałam się już teraz, że trafi mnie piorun - prędzej uderzyłby w drzewa, które wznosiły się nade mną - mimo wszystko jednak znalezienie schronienia wydawało się dobrym pomysłem.

Krople deszczu staczały się po czubku mojego nosa z monotonną regularnością. Utykając z powodu stłuczonego kolana i klnąc jak szewc, zesłam po śliskim zboczu i dotarłam do brzegu strumienia.

Ten strumień również wezbrał od deszczu. Z wody wystawały czubki zatopionych krzewów, szybki nurt niósł bezwładne liście. Właściwie nie było tu żadnego brzegu. Przedzierałam się między szponami ostrokrzewu i czerwonego cedru w stronę skalistego urwiska na południe w nadziei, że znajdę tam jakąś jaskinię albo zagłębienie, które zapewni mi coś w rodzaju schronienia.

Nie znalazłam jednak niczego prócz luźnych kamieni, poczerniałych od wilgoci i utrudniających przejście. Ale nieco dalej zobaczyłam coś, co wyglądało zachęcająco.

Woda wypłukała glebę spod korzeni wielkiego czerwonego cedru, który przewrócił się w poprzek strumienia. Rósł po mojej stronie i upadając, trafił na urwisko. Gęsta korona rozpostarła się na wodzie i kamieniach, pień zanurzył się w nurcie pod niewielkim kątem. Po swojej stronie widziałam płataninę obnażonych korzeni z wielką bryłą ziemi i krzewami, które w niej rosły. Wyrwa pod spodem może nie była ziemianką w pełnym tego słowa znaczeniu, ale na pewno zapewniała lepsze schronienie niż otwarta przestrzeń albo krzewy.

Nawet nie przyszło mi do głowy, że jama mogła przyciągnąć niedźwiedzie, dzikie koty albo inną nieprzyjazną faunę. Na szczęście nie było tam nikogo.

Wyrwa miała jakieś półtora metra długości i tyle samo szerokości, była wilgotna, ciemna i duszna, z sufitem z wielkich, splecionych korzeni uszczelnionych piaszczystą ziemią, niczym w norze borsuka. Ale był to solidny sufit. Podłoga z ubitej ziemi była wilgotna, lecz nie błotnista i po raz pierwszy od wielu godzin deszcz nie padał mi na głowę.

Wyczerpana, wczołgałam się w najdalszy kąt, postawiłam obok siebie mokre buty i usnęłam. Przemoczone ubranie sprawiło, że nawiedziły mnie wyraźne sny, splecione wizje krwi i porodu, drzew, kamieni i deszczu; wielokrotnie budziłam się półprzytomna i w ciągu kilku sekund znów zasypiałam.

Śniło mi się, że rodzę. Nie czułam bólu, lecz widziałam wyłaniającą się główkę, tak jakbym stała między własnymi udami i była jednocześnie matką i akuszerką. Wzięłam w ramiona nagie dziecko, wciąż brudne od naszej wspólnej krwi, i podałam je ojcu. To była dziewczynka.

Podalam ją Frankowi, ale to Jamie zdjął czepek z jej twarzy i powiedział: „Jest śliczna”.

Obudziłam się i ponownie zasnęłam. Błąkałam się między skałami i wodospadami, niecierpliwie szukając czegoś, co zgubiłam.

Znów obudziłam się i zasnęłam; tym razem coś przerażającego i nieznanego ścigało mnie w lesie. Obudziłam się i zasnęłam: miałam w ręku nóż, czerwony od krwi, ale nie wiedziałam, czyja jest ta krew.

Obudziłam się na dobre, poczułam zapach spalenizny i natychmiast usiadłam. Deszcz przestał padać i przyszło mi do głowy, że to cisza wyrwała mnie ze snu. Wciąż czułam wyraźny zapach dymu: to mi się nie przyśniło.

Wystawiłam głowę z mojej dziury jak ślimak, który ostrożnie wygląda ze skorupki. Niebo miało szarofioletowy odcień, nad górami przecięty przez pomarańczowe smugi. Nieruchomy las dookoła ociekał kroplami. Było tuż przed zmierzchem, mrok zaczynał już się zbierać w zagłębieniach.

Wypełzłam z dziury i rozejrzałam się. Strumień za moimi plecami rwał przed siebie jak szalony. Jego bulgotanie było jedynym dochodzącym do mnie dźwiękiem. Teren przede mną wznosił się i wyżej formował w niewielką grań, na której szczycie rosła duża topola balsamiczna. To ona była źródłem dymu. Trafił w nią piorun; w połowie wciąż była pokryta zielonymi liśćmi, rysującymi się wyraźnie na tle bladego nieba, a druga połowa, łącznie z masywnym pniem, była poczerniała i zwęglona. Wydobywające się z niej smugi białego dymu wyglądały jak duszki uciekające z niewoli czarodzieja. Od

czasu do czasu pod poczerniałą skorupą pojawiały się czerwone kreski płomienia.

Rozejrzałam się za butami, ale w półmroku nie mogłam ich znaleźć. Nie zwracając sobie tym głowy, podeszłam do spalonego drzewa. Dotarłam do niego, dysząc z wysiłku. Wszystkie mięśnie miałam zeszywniałe od snu i zimna i sama czułam się jak drzewo, ledwo świadome, potykające się na powyginanych, niewygodnych korzeniach.

W powietrzu unosił się zapach popiołu i sadzy, ale z topoli emanowało cudowne, błogosławione ciepło. Podeszłam tak blisko, jak tylko się dało, szeroko rozpostarłam płaszcz i stałam tak przez długi czas, parując. Nie próbowałam myśleć o niczym, czułam tylko, jak zmarznięte ciało topnieje i mięknie, znów przybierając ludzką postać.

Jednak gdy krew zaczęła szybciej krążyć w moich żyłach, poczułam ból sińców, a także ssanie w żołądku; od śniadania minęło już mnóstwo czasu.

Pomyślałam ponuro, że zapewne jeszcze więcej czasu dzieli mnie od kolacji. Ciemność wypełzała z zakamarków, a ja wciąż nie wiedziałam, gdzie jestem. Spojrzałam na zbrocze naprzeciwko, ale nie było tam ani śladu tego cholernego konia.

- Zdrajca - wymamrotałam. - Pewnie uciekł i przyłączył się do stada łosi.

Roztarłam dłonie. Ubranie już podeszło, lecz temperatura spadała i zanosilo się na chłodną noc. Zastanawiałam się, czy lepiej spędzić ją tutaj, przy spalonym drzewie, czy też powinnam wrócić do swojej dziury, dopóki jeszcze jest wystarczająco jasno.

Decyzję pomogło mi podjąć trzaśnięcie w krzakach za moimi plecami. Drzewo stygło i choć zwęglona powierzchnia pnia nadal była gorąca w dotyku, ogień się wypalił i nic już nie odstraszało nocnych łowców. Bez ognia i broni mogłam zrobić tylko to, co robiły wszystkie ofiary drapieżników: przeczekać noc w ukryciu, jak myszy i króliki. No cóż, i tak musiałam wrócić po buty.

Niechętnie oddaliłam się od resztek ciepła i wróciłam do powalonego drzewa. Wpełzłam do dziury i na tle ciemniejszej ziemi w kącie zauważyłam jakąś jasną plamę. Wyciągnęłam rękę, ale zamiast miękkiej skóry mokasynów z jelenia poczułam coś gładkiego i twardego.

Zanim jeszcze mój umysł odnalazł właściwe słowo, instynktownie zrozumiałam, co to takiego, i szybko cofnęłam rękę.

Przez chwilę siedziałam nieruchomo z głośno bijącym sercem, a potem ciekawość przewyciężyła atawistyczny lęk i zaczęłam odgarniać piasek.

To była czaszka, kompletna, z dolną szczęką, przytrzymywaną w miejscu przez resztki wyschniętych ścięgien. W otworze wielkim grzechotał kawałek złamanego kręgosłupa.

- Jak długo człowiek musi leżeć w ziemi, żeby zgnić? - wymamrotałam, obracając czaszkę w rękę. Kość była wilgotna, zimna, nieco szorstka od erozji. W ciemności nie mogłam dostrzec szczegółów, ale wyczuwałam wyraźne wypukłości na czole i gładkie szkliwo na kłach. Zapewne należała do mężczyzny, i to dość młodego.

Większość zębów znajdowała się na swoim miejscu i o ile mogłam wyczuć kciukiem, nie były też nadmiernie

starte.

Jak długo? Osiem, dziewięć lat - tak powiedział grabarz do Hamleta. Nie miałam pojęcia, czy Szekspir znał się na medycynie sądowej, ale wydawało mi się to rozsądne. W takim razie dłużej niż dziewięć lat.

Skąd on się tu wziął, jak zginął? Gwałtowną śmiercią - odpowiedział mój instynkt, choć umysł nie pozostał daleko w tyle.

Wędrowiec zapuszczający się na nieznaną teren mógł umrzeć na chorobę zakaźną, z głodu albo mogły go zabić warunki atmosferyczne. Szybko odepchnęłam od siebie tę ostatnią myśl, próbując zapomnieć o burczeniu w żołądku i przemoczonym ubraniu.

Ale w takim razie nie zostałby pogrzebany pod drzewem.

Czirokezi i Tuskarora grzebali swoich zmarłych, jednak nie w ten sposób, nie samotnie i w zagłębieniu i również nie w kawałkach.

Złamany kawałek kręgosłupa natychmiast opowiedział mi całą historię: krawędzie były zmiażdżone, powierzchnia przekroju gładka, niepotrzaskana.

- Ktoś cię naprawdę nie lubił, co? - powiedziałam. - Nie wystarczył mu skalp, odrąbał ci całą głowę.

Zaczęłam się zastanawiać, czy reszta ciała również się tu znajduje, Z namysłem potarłam twarz dłonią, ale w końcu i tak nie miałam nic lepszego do roboty. Nigdzie się nie wybierałam przed świtem, a prawdopodobieństwo, że zasnę, znacznie zmalało w chwili, gdy przekonałam się, że mam towarzystwo. Ostrożnie odłożyłam czaszkę na bok i zaczęłam kopać.

Zapała już noc, lecz nawet najciemniejsza noc pod gołym niebem rzadko jest zupełnie czarna. Niebo wciąż pokrywały chmury i odbite przez nie światło docierało nawet do mojej płytkiej jamy.

Piaszczysta ziemia okazała się miękka. Wkopywałam się w nią bez trudu, ale po kilku minutach kostki i czubki palców miałam już starte do krwi. Wypełzałam na zewnątrz i znalazłam kij. Wbiłam go kilka razy w ziemię i wyczułam coś twardego. Tym razem nie była to kość, nie był to też metal. Przesunęłam palcami po ciemnym owalu i stwierdziłam, że to kamień. Chyba jednak nie był to zwykły kamień rzeczny. Na gładkiej powierzchni znajdowała się jakaś inskrypcja, choć mój dotyk nie był wystarczająco wyczulony, by rozpoznać znaki.

Kopałam jeszcze przez jakiś czas, ale nic nie znalazłam. Albo reszty Yorika tu nie było, albo zagrzebano ją gdzieś głębiej, tak głęboko, że nie miałam szansy go znaleźć. Wsunęłam kamień do kieszeni, przysiadłam na piętach i wytarłam zapiaszczone dłonie o spódnicę. Dzięki temu ćwiczeniu znów zrobiło mi się ciepło.

Usiadłam z czaszką na kolanach. Jakkolwiek ponure, było to jednak swego rodzaju towarzystwo i odwracało moją uwagę od własnego losu. Doskonale zdawałam sobie sprawę, że wszystko, co robiłam w ciągu ostatniej godziny, miało na celu odwrócenie uwagi, zwalczanie paniki, która już zaczęła się formować w głębi mojego umysłu, czekając na chwilę, w której uda jej się przebić na powierzchnię. Zanosilo się na długą noc.

- No dobrze - powiedziała głośno do czaszki. - Czytałeś ostatnio jakąś dobrą książkę? Nie, przypuszczam,

że nie wychodziłeś stąd zbyt często. A może wiersz? - Odchrząknęłam i zaczęłam recytować Keatsa. Na rozgrzewkę poszło Z niechęci do pospolitych przesądów, a ciąg dalszy stanowiła Oda do Urny Greckiej.

- „...Zawsze ją będziesz kochał, ona piękną będzie!” (John Keats, Oda do Urny Greckiej, przełożył Maciek Froński.) - deklamowałam. - Jest jeszcze coś dalej, ale nie pamiętam co. Całkiem niezłe, prawda? A może masz ochotę na Shelleya? Oda do Wiatru Zachodniego jest niezła. Myślę, że ci się spodoba.

Zaczęłam się zastanawiać, dlaczego tak sędzę. Nie miałam żadnego powodu, by przypuszczać, że Yorik był Indianinem, a nie Europejczykiem, ale uświadomiłam sobie, że tak właśnie myślę - może ze względu na kamień, który przy nim znalazłam. Wzruszyłam ramionami i wróciłam do recytacji, w nadziei, że wielka angielska poezja odstraszy niedźwiedzie i pantery nie gorzej niż ognisko.

Uczyń mnie swoją lirą, choć masz już gałęzie: Czyż nie mogą me liście opaść, jak te w lesie? Grzmienie twoich harmonii z obu wydobędzie Głęboki ton jesienny, niech się wszędzie niesie, Słodki, choć smutny. Bądźże, niespokojny duchu, Moim duchem! Mną bądźże, porywczy bezkresie!

Me martwe myśli ponad świata zawieruchą Unieś, noszenie liści przecież cię nie trudzi, I czarem tej poezji, miłej, wierzę, uchu,

Rozrzuc po świecie moje słowa pośród ludzi Jak z niewygaszonego pieca iskry chyże! Przez me usta bądź ziemi, którą trzeba zbudzić, Trąbą proroctwa, Wietrze! (Percy Bysshe Shelley, Oda do Wiatru Zachodniego, przełożył Maciek Froński,)

Ostatnia zwrotka zamarła na moich ustach. Na grani pojawiło się światełko, iskierka, która po chwili powiększyła się do rozmiarów płomienia. W pierwszej chwili pomyślałam, że jakaś grudka żaru w spalonym drzewie znów wybuchła płomieniem, ale potem światło się poruszyło i zaczęło się powoli zsuwać w dół zbocza w moim kierunku, płynąc ponad krzewami.

Zerwałam się na nogi i dopiero teraz uświadomiłam sobie, że nie mam na nogach butów. Zaczęłam desperacko ich szukać, ale na próżno, moje buty zniknęły.

Pochwyciłam czaszkę i stanęłam boso, twarzą do światła.

Patrzyłam, jak światło się przybliży, płynąc w dół wzgórza niczym nasienie dmuchawca, i w moim sparaliżowanym umyśle kołatał się przypadkowy wers z Shelleya: „Wyrzekam się ciebie, zły duchu! z czystym, skupionym umysłem”. Przemknęło mi przez myśl, że Shelley musiał mieć znacznie silniejsze nerwy niż ja. Przycisnęłam czaszkę do siebie; nie była to może broń w pełnym tego słowa znaczeniu, ale jakoś nie wydawało mi się, by to, co nadchodziło, miało się wystraszyć noży czy pistoletów.

Było zupełnie niemożliwe, by ktokolwiek szedł przez las z płonąca pochodnią przy tej wilgoci, ale nie tylko o to chodziło. To światło nie przypominało sosnowej pochodni ani lampy olejowej, nie migotało, świeciło miękkim, równym blaskiem.

Płynęło jakieś półtora metra nad ziemią, na takiej wysokości, na jakiej idący człowiek niósłby przed sobą pochodnię, i zbliżało się powoli w tempie ludzkich kroków.

Widziałam, jak porusza się w górę i w dół, w stałym marszowym rytmie.

Zsunęłam się w głąb jamy, próbując się ukryć za zwałem ziemi i połamanymi korzeniami. Ciało miałam skostniałe z zimna, ale po bokach spływał mi pot i czułam zapach własnego strachu. Zdrętwiałe palce u nóg drgały nerwowo z chęci ucieczki.

Widziałam już wcześniej ognie świętego Elma na morzu. Były dziwne, ale ich płynne, niebieskie migotanie zupełnie nie przypominało zbliżającego się do mnie bladego światła. Nie iskrzyło ani nie miało żadnego koloru, było widmowe. Gazy bagienne - mówili ludzie w Cross Creek, gdy ktoś wspomniał o światłach w górach.

Ha, powiedziałam do siebie bezgłośnie. Gazy bagienne, akurat.

Światło przesunęło się pomiędzy kępą wiązów i wypłynęło na polanę przede mną. To z pewnością nie gaz bagienny.

Był wysoki i nagi. Oprócz przepaski na biodrach nie miał na sobie żadnego ubrania, tylko farbę. Długie pasy czerwieni biegły wzdłuż ramion, nóg i tułowia, a jego twarz od podbródka aż po czoło była zupełnie czarna. Włosy miał natłuszczone i postawione w grzebień, z którego sztywno sterczały do góry dwa indycze pióra.

Pozostawałam niewidoczna, schowana w mroku mojej kryjówki.

Miękkie światło pochodni odbijało się od jego gładkiej piersi i ramion i rzucało cienie na twarz. Ale on wiedział, że ja tu jestem.

Nie ośmieliłam się poruszyć. Własny oddech

brzmiał mi w uszach boleśnie głośno. Stał tam, o jakieś cztery metry ode mnie, i wpatrywał się w ciemność, dokładnie w miejsce, w którym się znajdowałam, z taką precyzją, jakby to był środek jasnego dnia.

Światło, które niósł, płonęło równo i bezgłośnie, blade jak światło gromnicy, nie spalając drewna.

Nie wiem, jak długo tak stałam, zanim przyszło mi do głowy, że już się nie boję. Wciąż było mi zimno, ale serce zaczęło bić w zwykłym tempie, a palce nóg wyprostowały się.

- Czego chcesz? - zapytałam i dopiero wtedy uświadomiłam sobie, że już od jakiegoś czasu prowadzę z nim coś w rodzaju rozmowy. Choć niewątpliwie doszło między nami do kontaktu, odbywał się on bez słów.

Lekki wiatr zaczął rozpraszać chmury i pomiędzy krążącymi cirrusami zaczęły się pojawiać smugi ciemnego, pokrytego gwiazdami nieba. W lesie panowała cisza, którą przerywały tylko zwykłe nocne odgłosy: skrzypienie i westchnienia wysokich drzew, szelest krzewów poruszanych przez niezmordowany wiatr, a w tle nieustający szum płynącej wody.

Wzięłam głęboki oddech i naraz poczułam się w pełni żywa.

Powietrze było gęste, przesycone oddechem zielonych roślin, zapachem ziół i gnijących liści, z którymi przeplatały się wonie burzy - mokre skały, wilgotna ziemia, wznosząca się mgła i ostry ślad ozonu, gwałtowny jak błyskawica, która trafiła w drzewo.

Ziemia i powietrze, pomyślałam naraz. A także ogień i woda.

Stałam tutaj, pośród wszystkich czterech żywiołów, zdana na ich łaskę.

- Czego chcesz? - zapytałam znów bezradnie. - Nic nie mogę dla ciebie zrobić. Wiem, że tam jesteś, widzę cię, ale to wszystko.

Nic się nie poruszyło, nie padło żadne słowo, ale naraz w moim umyśle pojawiła się wyraźna myśl, wypowiedziana głosem, który nie należał do mnie.

- To wystarczy - usłyszałam.

Bez pośpiechu odwrócił się i odszedł. Nie przeszedł jeszcze nawet dwudziestu kroków, gdy światło jego pochodni zniknęło - po prostu przestało istnieć, roztopiło się jak ostatnie zorze wieczorne.

- Och - powiedziałam z otępieniem. - Mój Boże!

Nogi mi drżały. Usiadłam, wciąż przyciskając do brzucha czaszkę, o której niemal zdążyłam już zapomnieć, i siedziałam tak długo, patrząc i nasłuchując, ale nic więcej się nie wydarzyło.

Otaczały mnie ciemne, nieprzeniknione góry. Pomyślałam, że być może rankiem odnajdę drogę do ścieżki. Wędrówka w ciemnościach mogłaby doprowadzić tylko do jakiegoś nieszczęścia.

Nie bałam się już, strach opuścił mnie podczas spotkania z tym czymś, cokolwiek to było. Nadal jednak dokuczał mi chłód i byłam bardzo, bardzo głodna. Odłożyłam czaszkę na bok i zwinęłam się przy niej w kłębek, okryta wilgotnym płaszczem. Długo trwało, nim zasnęłam. Leżałam w płytkiej jamie, patrząc na wieczorne gwiazdy, które wirowały nad moją głową w szczelinach między chmurami, i próbowałam zrozumieć, co się

właściwie wydarzyło podczas ostatniej półgodziny. Tak naprawdę nie było czego rozumieć, bo właściwie nic się nie wydarzyło, a jednak on tu był. Poczucie jego obecności pozostało ze mną i przyniosło mi dziwną pociechę. W końcu usnęłam, z policzkiem opartym na kupce zwiędłych liści.

Z powodu zimna i głodu znów miałam niespokojne sny: ujrzałam serię niepowiązanych ze sobą obrazów. Drzewa trafione piorunem, płonące jak pochodnie, drzewa wyrwane z ziemi, idące przed siebie na korzeniach okropnym, złowieszczym krokiem.

Leżałam na deszczu z podciętych gardłem. Ciepła krew falami wypływała na pierś, rozgrzewając stygnące ciało. Palce miałam odrętwiałe, nie mogłam nimi poruszyć. Deszcz walił w moją skórę, każda zimna kropla była niczym uderzenie młotka. A potem deszcz na twarzy zaczął wydawać się ciepły i miękki. Pochowano mnie żywcem.

Czarna ziemia sypała się na moje otwarte oczy.

Obudziłam się z dudniącym sercem. Był środek nocy, niebo nad moją głową było czyste i bezkresne, ja zaś leżałam w niecce ciemności. Po jakimś czasie znów zasnęłam, dręczona przez sny.

Wycie wilków w oddali. Uciekałam w panice przez las białych wiązów pokrytych śniegiem. Czerwona żywica lśniła niczym krwawe klejnoty na białych jak papier pniach. Pośród krwawiących drzew stał jakiś mężczyzna. Wszystkie włosy z głowy miał wyrwane, oprócz sterczącego, czarnego i natłuszczonego grzebienia pośrodku.

Widziałam głęboko osadzone oczy i dziwny uśmiech. Krew na jego piersi była bardziej jaskrawa niż żywica drzew.

Wilki. Znacznie bliżej. Wyły i szczekały. Czułam w nozdrzach woń krwi. Biegłam z całym stadem, a potem oddzieliłam się od niego.

Biegłam. Łapy miałam porośnięte sierścią, zęby białe. Czułam posmak krwi, kręciło mnie w nosie. Głód. Ścigaj, pochwyć, zabij i krew. Dudniące serce, dudnienie krwi, panika ściganego.

Poczułam, jak kość w moim ramieniu pęka z trzaskiem niczym sucha gałąź. Smak ciepłego, słonego szpiku na języku.

Coś otarło się o moją twarz. Spośród czarnej sierści wilka o białych zębach wielkie, żółte oczy patrzyły prosto w moje.

Krzyknęłam i zamachnęłam się. Bestia cofnęła się ze zdziwionym szczeknięciem.

Poderwałam się i uklęknęłam, chwając się na boki. Był świt. Na niebie pojawiało się nowe, delikatne światło. Przed sobą zobaczyłam wyraźnie czarną sylwetkę Rolla.

- O Jezu Chryste, co ty tu do diabła robisz? Ty cholerna, okropna... wstrętne bestio! - Może w końcu wzięłabym się w garść, ale Jamie pojawił się pierwszy. Wielkie dłonie wyciągnęły mnie z kryjówki i obmacały niespokojnie całe moje ciało, szukając zranień.

Przy twarzy czułam miękką wełnę jego tartanu. Pachniał wilgocią i mydłem oraz własnym zapachem, który wdychałam jak tlen.

- Czy nic ci się nie stało? Na litość boską, Angielko, czy nic ci się nie stało?

- Nie. Tak - odparłam i zaczęłam płakać.

To były łyzy ulgi; nie płynęły długo. Próbowałam

wytłumaczyć to Jamiemu, ale nie chciał mnie słuchać. Wziął mnie w ramiona, choć byłam okropnie brudna, i poniosł w stronę strumienia.

- Cicho - powiedział, przyciskając mnie mocno do siebie. - Cicho, mo chirdhe. Wszystko jest już dobrze. Jesteś bezpieczna.

Wciąż byłam oszołomiona z zimna i od dziwnych snów. Tak długo nie słyszałam żadnych głosów oprócz własnego, że głos Jamiego wydawał mi się nierealny i z trudnością przychodziło mi go zrozumieć. Jednak ciepło i siła jego uścisku były prawdziwe.

- Zaczekaj - zawołałam, ciągnąc go za koszulę. - Zaczekaj, muszę...

- Jezu, wujku Jamie, spójrz na to!

Jamie obrócił się, trzymając mnie na rękach, Ian stał u wejścia do kryjówki, otoczony przez zwisające korzenie. W rękę trzymał czaszkę. Poczulałam, że mięśnie Jamiego napięły się na ten widok.

- Boże święty, Angielko, a co to takiego?

- Chyba raczej: kto - powiedziałam. - Nie wiem, ale to miły facet.

Nie dopuść do niego Rolla, nie byłby z tego zadowolony.

Rollo obwąchiwał czaszkę w skupieniu. Jego czarne nozdrza rozděły się z zainteresowaniem. Jamie spojrział na mnie i lekko zmarszczył czoło.

- Czy jesteś pewna, że dobrze się czujesz, Angielko?

- Nie - odrzekłam, choć rozum już mi wracał i coraz bardziej przytomniałam. - Jest mi zimno i jestem strasznie głodna. Nie przynieście ze sobą przypadkiem żadnego

śniadania? - zapytałam tęsknie. - Mogłabym pochłonąć cały półmisek jajeczniczy.

- Nie - odpowiedział. Postawił mnie na ziemi i pogrzebał w sporraniu. - Nie miałem czasu zawracać sobie głowy jedzeniem, ale mam tu trochę brandy. Masz, Angielko, to ci dobrze zrobi. A potem opowiesz mi, skąd do diabła wzięłaś się tutaj, pośrodku kompletnej dziczy.

Opadłam na kamień i z wdzięcznością napiłam się brandy.

Drzenie rąk szybko ustępowało, w miarę jak ciemnobursztynowy płyn przenikał bezpośrednio przez ściany pustego żołądka do krwi.

Jamie stał za mną, opierając rękę na moim ramieniu.

- Jak długo tu jesteś, Angielko? - zapytał łagodnie.

- Całą noc - odpowiedziałam i znów zadrzałam. - Od wczorajszego południa, gdy ten cholerny koń, zdaje się, że ma na imię Judasz, zrzucił mnie z grani.

Wskazałam grań głową, „Kompletna dzicz” to było dobre określenie tego miejsca, jak też każdej innej z tysiąca bezimiennych dolin w tych górach. Naraz przyszło mi do głowy coś, o czym powinnam pomyśleć już znacznie wcześniej, gdybym tylko nie była taka zmarznięta i oszołomiona.

- Jak mnie, do diabła, znaleźliście? Czy któryś z Muellerów za mną pojechał? Czy... Tylko nie mów mi, że ten cholerny koń doprowadził was do mnie jak Lassie!

- To jest ogier, ciociu - rzekł Ian z urazą w głosie - nie żadna Lassie, ale nie, w ogóle nie widzieliśmy twojego konia. Rollo nas do ciebie przyprowadził. - Rozpromienił się i z dumą popatrzył na psa, który przyjął to z obojętną

godnością, jakby robił takie rzeczy codziennie.

- Ale skoro nie widzieliście konia - zastanawiałam się oszołomiona - to skąd wiedzieliście, że wyjechałam od Muellerów? I jakim sposobem Rollo... - urwałam, widząc, że Jamie i Ian patrzą na siebie wymownie.

Ian lekko wzruszył ramionami i skinął głową, pozostawiając decyzję Jamiemu, ten zaś przysiadł na ziemi obok mnie, uniósł skraj mojej spódnicy i dużymi, ciepłymi dłońmi objął moje nagie stopy.

- Stopy masz przemarznięte, Angielko - powiedział cicho. - Gdzie gubiłaś buty?

- Są tam - wskazałam głową na wyrwane drzewo. - Muszą gdzieś tam być. Zdjęłam je, żeby przejść przez strumień, a potem odłożyłam na bok i po ciemku nie mogłam ich już znaleźć.

- Nie ma ich tam, ciociu - odezwał się Ian głosem tak dziwnym, że ze zdumieniem podniosłam na niego wzrok. Wciąż trzymał w rękach czaszkę i obracał ją z zainteresowaniem.

- Nie, nie ma. - Jamie pochylił głowę nad moimi stopami.

Poranne światło przydawało miedzianego blasku jego włosom, tak potarganym, jakby dopiero co wstał z łóżka. - Byłem w łóżku i spałem - wyjaśnił, jakby usłyszał moje myśli - gdy ta bestia nagle oszalała. - Nie podnosząc wzroku, wskazał na Rolla. - Zaczął szczeakać, wyć i rzucać się na drzwi, jakby sam diabeł stał na zewnątrz.

- Krzyczałem na niego, próbowałem go złapać za obrozę i potrząsnąć, żeby się uspokoił - wtrącił Ian - ale on nie chciał przestać, bez względu na to, co robiłem.

- Szalał tak, że piana płynęła mu z pyska. Byłem pewny, że zupełnie zwariował. Bałem się, że zrobi nam krzywdę, więc kazałem Ianowi otworzyć drzwi i wypuścić go. - Jamie przysiadł na piętach. Ze zmarszczonym czołem popatrzył na moje stopy i zdjął z podeszwy suchy liść.

- I cóż, czy za drzwiami rzeczywiście stał diabeł? - zapytałam lekkim tonem. Jamie pokręcił głową.

- Przeszukaliśmy całą polanę, od zagrody aż do źródła, i nikogo nie znaleźliśmy, tylko to. - Sięgnął do sporranu i z twarzą pozbawioną wszelkiego wyrazu wyjął moje buty. - Stały na progu. Jeden przy drugim - dodał, patrząc na mnie uważnie.

Wszystkie włosy na ciele stanęły mi dęba. Sięgnęłam po butelkę i wypiałam resztę brandy.

- Rollo pognął przed siebie jak chart - powiedział Ian, podejmując wątek - ale w chwilę później wrócił. Zaczął obwąchiwać twoje buty, piszczeć i wyć.

- Ja też miałem ochotę tak zrobić. - Jamie uniósł kącik ust w uśmiechu, ale w jego ciemnych oczach nadal czaił się strach.

Przełknęłam ślinę, lecz usta miałam zbyt wyschnięte, by się odezwać. Brandy nie pomogła.

Jamie nałożył mi jeden but, a potem drugi. Były wilgotne, ale ogrzane ciepłem jego ciała.

- Myślałem, że już nie żyjesz, Kopciuszkę - wyznał cicho, pochylając głowę, by ukryć twarz.

Ian nie zauważył tego i z podnieceniem opowiadał dalej:

- Mój bystry piesek rwał się do przodu, tak samo jak wtedy, gdy wyczuje królika, więc złapaliśmy tartan i

poszliśmy za nim, zatrzymując się tylko na chwilę, żeby zapalić pochodnie od ognia w palenisku. Nieźle nas przegonił, prawda, mały? - Z uczuciem poskrobał psa za uszami. - No i jesteśmy.

Brandy szumiała mi w uszach. Miałam wrażenie, że ktoś zawinał mój mózg w gruby koc, ale zostało mi jeszcze tyle przytomności umysłu, by zrozumieć, że Rollo musiał mieć jakiś ślad, by do mnie trafić. Ktoś przeszedł całą drogę w moich butach.

- Czy widzieliście coś po drodze? - zapytałam. Odzyskałam już trochę głos i udało mi się mówić prawie bez chrypy.

- Nie, ciciu - rzekł Ian, poważniejąc nagie. - A ty?

Jamie podniósł głowę i teraz zobaczyłam, jakie spustoszenie na jego twarzy poczyniło zmartwienie i wyczerpanie. Wyraźne kości policzkowe rysowały się ostro pod skórą. Nie tylko ja miałam za sobą długą i trudną noc.

- Tak - skinęłam głową - ale opowiem wam o tym później. Teraz jestem ledwo żywa. Wracajmy do domu.

Jamie przyprowadził konie, ale nie było sposobu, by sprowadzić je do doliny. Musieliśmy zejść wzdłuż brzegu rwącego strumienia, przedostać się na drugą stronę po płyciźnie i żmudnie wspiąć na skaliste zbocze, do skalnej półki, przy której zwierzęta stały spętane.

Nogi miałam jak z gumy i nie byłam im wielką pomocą, ale Jamie i Ian potraktowali to wyrozumiale i przenosili mnie nad przeszkodami, podając sobie nawzajem jak dużą, nieporęczną paczkę.

- Naprawdę nie powinno się dawać alkoholu osobom z hipotermią - powiedziałam słabym głosem, gdy

zatrzymaliśmy się na odpoczynek i Jamie znów przyłożył butelkę do moich ust.

- Wszystko jedno, na co się uskarżasz, ale będziesz czuła się lepiej, gdy się napijesz - odrzekł. Choć po deszczu nadal panował chłód, twarz miał zaczerwienioną od wspinaczki. - A poza tym - dodał, ocierając czoło skrajem tartanu - jeśli uśniesz, to będzie łatwiej cię nieść. Chryste, to całkiem jak wyciąganie cielaka z krowy.

- Przykro mi - mruknęłam. Leżałam na ziemi z zamkniętymi oczami, mając nadzieję, że nie zwymiotuję. Niebo kręciło się w jednym kierunku, a mój żołądek w drugim.

- Odejdź, psie - powiedział Ian.

Otworzyłam jedno oko, żeby zobaczyć, co się dzieje. Ian odpędzał Rolla od czaszki, którą kazałam mu zabrać ze sobą. W świetle dnia nie wydawała się przerażająca. Zaplamiona i odbarwiona przez ziemię, w której leżała, z pewnej odległości przypominała kamień wygładzony przez wiatry i deszcze. Kilka zębów było złamanych lub wyszczerbionych, ale poza tym kości nie miały żadnych innych uszkodzeń.

- Co zamierzasz zrobić z tym królewiczem? - zapytał Jamie, zerkając na mój nabytek krytycznym okiem. Rumieniec zniknął już z jego twarzy i udało mu się odzyskać oddech. Spojrzał na mnie, wyciągnął rękę i z uśmiechem odsunął włosy z moich oczu. - Lepiej się czujesz, Angielko?

- Lepiej - zapewniłam go i usiadłam. Krajobraz wokół mnie nie przestał wirować, ale za sprawą brandy płynącej w moich żyłach ten ruch wydawał się całkiem

przyjemny, jak ruch drzew przemykających za oknem wagonu kolejowego.

Ian popatrzył na czaszkę z powątpiewaniem.

- Chyba powinniśmy go zabrać do domu i pochować po chrześcijańsku.

- Nie sędzę, by mu się to podobało. Wydaje mi się, że on nie był chrześcijaninem. - Odsunęłam od siebie wspomnienie mężczyzny, którego widziałam w dolinie. Choć niektórzy Indianie zostali nawróceni przez misjonarzy, ten konkretnie nagi dżentelmen, z twarzą pomalowaną na czarno i piórami we włosach, wywarł na mnie wrażenie zupełnego poganina. - To było pochowane razem z nim. - Sięgnęłam do kieszeni spódnicy odrętwiałymi, sztywnymi palcami i wyjęłam płaski kamień. Miał brudnobrązowy kolor i kształt nieregularnego owalu wielkości połowy mojej dłoni. Po jednej stronie był spłaszczony, a po drugiej zaokrąglony i gładki, jakby pochodził z dna strumienia. Obróciłam go w dłoni i wstrzymałam oddech.

Tak jak mi się wydawało, płaską stronę pokrywały wyrzeźbione inskrypcje. Znak miał kształt zwijającej się spirali. Ale to nie inskrypcja przykuła uwagę Jamiego i Iana.

Nasze głowy niemal się stykały. Gładka powierzchnia była w jednym miejscu odłupana i kamień w środku błyszczał własnym ogniem. Zielone, pomarańczowe i czerwone płomyki walczyły ze sobą o okruchy światła.

- Mój Boże, co to jest? - zapytał Ian z podziwem.

- To opal. Wyjątkowo wielki - odrzekł Jamie i postukał w kamień palcem wskazującym, jakby chciał sprawdzić, czy jest prawdziwy.

Był.

Przejechał dłonią po włosach, a potem spojrzął na mnie.

- Mówią, że opale przynoszą nieszczęście, Angielko.

- Myślałam, że żartuje, ale na jego twarzy zobaczyłam prawdziwy niepokój. Wiele podróżował i był wykształcony, pozostał jednak góralem.

Wiedziałam, że jest głęboko przesądny, choć nieczęsto dawało się to zauważyć.

Ha, pomyślałam. Spędziłaś noc w towarzystwie ducha, a twierdzisz, że to on jest przesądny.

- Nonsens - powiedziałam z przekonaniem, którego wcale nie czułam. - To tylko kamień.

- Wujku Jamie, to nie jest tak, że przynoszą nieszczęście - wtrącił Ian. - Moja mama ma pierścionek z opalem, który dostała od swojej matki, chociaż tamten wygląda zupełnie inaczej - dotknął kamienia z szacunkiem. - Mówiła, że opal przejmuje coś ze swojego właściciela, więc jeśli wcześniej należał do dobrego człowieka, to wszystko jest w porządku i wtedy kamień przynosi szczęście, ale jeśli nie... - wzruszył ramionami.

- Niech będzie - rzekł Jamie sucho i wskazał głową na czaszkę. - Jeśli kamień należał do tego dżentelmena, to zdaje się, że nie przyniósł mu wiele szczęścia.

- W każdym razie wiemy, że nikt go nie zabił dla kamienia - zauważyłam.

- Może go nie chcieli, bo wiedzieli, że przynosi nieszczęście - zasugerował Ian, patrząc na opal ze zmarszczonym czołem. - Ciociu, może powinniśmy go odłożyć tam z powrotem?

Potarłam nos i spojrzałam na Jamiego.

- Zapewne jest dość cenny.

- Ach. - Obydwoj popadli w zadumę, rozdarcie między przesądem a pragmatyzmem. - No dobrze - rzekł Jamie w końcu. - Przypuszczam, że nic się nie stanie, jeśli zatrzymamy go przez jakiś czas. - Uniósł w uśmiechu kącik ust. - Daj mi go, Angielko. Ja go wezmę. Jeśli trafi we mnie piorun, to odniesiesz go z powrotem.

Wstałam niezgrabnie, przytrzymując się jego ramienia, żeby nie stracić równowagi. Zachwiałam się i zamrugałam oczami, ale udało mi się utrzymać w pionie. Jamie wyjął kamień z ręki i wsunął do sporranu.

- Pokażę to Nayawenne. Może ona będzie wiedziała, co znaczy ta inskrypcja.

- Dobra myśl, Angielko - zgodził się Jamie. - A jeśli ten królewicz był jej krewnym, to może go sobie zabrać, z moim błogosławieństwem. - Wskazał głową na kępę klonów o sto metrów dalej. Zielone liście zabarwione były zaledwie odrobiną żółci. - Konie są przywiązane za tamtymi drzewami. Możesz iść?

Spojrzałam na swoje stopy. Wydawało mi się, że są znacznie dalej niż zwykle.

- Nie bardzo - powiedziałam. - Chyba jestem całkiem pijana.

- Och nie, ciociu - zapewnił mnie Ian dobrodusznie. - Mój tato zawsze mówił, że człowiek nie jest pijany, dopóki potrafi utrzymać się podłogi.

Jamie roześmiał się i przerzucił przez ramię koniec tartanu.

- A mój tato mówił, że człowiek nie jest pijany, dopóki potrafi obiema rękami trafić do własnego tyłka. -

Uniósł brwi i zerknął na moje plecy, ale na szczęście nie powiedział już nic więcej.

Ian zakrztusił się śmiechem.

- To już niedaleko, ciociu. Jesteś pewna, że dojdiesz?

- Ja w każdym razie nie będę znów zbierał jej z ziemi - rzekł Jamie, nie czekając na moją odpowiedź. - Nie chciałbym sobie nadwężyć pleców. - Zabrał czaszkę z rąk Iana, przytrzymał ją czubkami palców i delikatnie położył na moich kolanach. - Poczekaj tutaj razem ze swoim przyjacielem, Angielko. Ian i ja przyprowadzimy konie.

Dotarliśmy do Fraser's Ridge wczesnym popołudniem. Byłam zmarznięta, przemoczona, nie jadłam nic od prawie dwóch dni i mocno kręciło mi się w głowie. Sytuację pogarszały jeszcze kolejne porcje brandy oraz moje próby wyjaśnienia wydarzeń poprzedniej nocy Ianowi i Jamiemu. W świetle dnia cała ta noc wydawała się nierealna.

Ale wtedy prawie wszystko wydawało mi się nierealne, widziane przez mgłę wyczerpania, głodu i lekkiego upojenia alkoholowego.

Gdy wjechaliśmy na polanę, w pierwszej chwili pomyślałam, że dym z komina to halucynacja, dopóki nie poczułam ostrego zapachu drewna hikorowego,

- Mówiłeś chyba, że wygasileś ogień - powiedziałam do Jamiego.

- Całe szczęście, że nie spaliłeś domu. - Takie wypadki zdarzały się często. Słyszałam o niejednej drewnianej chacie, która spłonęła aż do fundamentów, ponieważ nie pilnowano ognia na palenisku.

- Przygasilem - odrzekł krótko, zsuwając się z siodła.
- Ktoś tu jest. Znasz tego konia, Ian?

Ian uniósł się w strzemionach i zajął do zagrody.

- To ta bestia cioci - zauważył ze zdumieniem - a razem z nim wielki deresz. I rzeczywiście, Judasz, który właśnie otrzymał to imię, stał w zagrodzie, rozsiodłany, w towarzystwie szarego ogiera o szerokiej piersi.

- Czy wiesz, do kogo należy ten koń? - zapytałam, nie zsiadając z siodła. Co kilka minut chwyciła mnie kolejna fala zawrotów głowy i musiałam się przytrzymywać grzbietu obydwoma rękami. Miałam wrażenie, że ziemia pod kopytami konia unosi się i opada, jak fale oceanu.

- Nie, ale to z pewnością przyjaciół. Nakarmił zwierzęta i wydoił kozę. - Jamie wskazał głową na żłób w zagrodzie wypełniony sianem dla koni i na drzwi domu, przy których stała ławka, a na niej cebrzyk z mlekiem, przykryty kawałkiem płótna dla ochrony przed muchami. - Chodź, Angielko - objął mnie w pól. - Położymy cię do łóżka i zaparzemy herbatę.

Ten ktoś, kto był w domu, usłyszał nasz przyjazd. Drzwi chaty otworzyły się i w progu stanął Duncan Innes.

- Ach, jesteś, Mac Dubh! Co tu się dzieje? Przyjechałem rano i patrzę, a twoja koza szaleje tak, że mogłaby obudzić umarłego.

Wymię miała tak nabrzmiąte, że omal nie pękło. - Dopiero teraz mnie zauważył i na widok mojej poobijanej, wyplamionej błotem postaci jego twarz ściągnęła się zdziwieniem. - Pani Claire! Czy miała pani jakiś wypadek? Trochę się zacząłem martwić, gdy zobaczyłem konia luzem na zboczu góry z pani torbą przy siodle. Rozglądałem się

dokoła i wołałem, ale nie było po pani żadnego śladu, więc przyproceedziłem go do domu.

- Tak, miałam wypadek - powiedziałam, usiłując stanąć na ziemi o własnych siłach. - Ale nic mi się nie stało - dodałam, chociaż nie byłam tego do końca pewna. Wydawało mi się, że głowę mam trzy razy większą niż normalnie.

- Do łóżka - powiedział Jamie stanowczo, chwytając mnie za ramiona, zanim zdążyłam się przewrócić. - Już.

- Najpierw kąpiel.

Odwrócił głowę w stronę strumienia.

- Zamarzniesz albo się utopisz, albo jedno i drugie. Na litość boską, Angielko, zjedz coś i idź się położyć. Umyjesz się jutro.

- Teraz. Gorąca woda, kociołek. - Nie miałam sił na długie kłótnie, lecz byłam zdecydowana. Nie zamierzałam kłaść się do łóżka w takim stanie i prać potem prześcieradeł.

Jamie spojrział na mnie z desperacją.

- Gorąca woda, kociołek, teraz, potem - przedrzeźniał mnie. - Dobrze, niech będzie. Ian, przynieś trochę drewna, a potem weź Duncana i zajrzyjcie do świń, a ja wyszoruję twoją ciotkę.

- Sama dam radę.

- Akurat.

Miał rację. Palce miałam tak zesztyniałe, że nie potrafiłam nawet rozpiąć haftek gorsetu. Rozebrał mnie jak małe dziecko, rzucił porwaną spódnice i zabłocone halki do kąta, po czym zdjął koszulę i gorset, który miałam na sobie tak długo, że szwy pozostawiły na ciele głębokie, czerwone ślady. Roztarłam je i czując, jak krew zaczyna znowu

krążyć w moim uciśnionym tułowiu, jęknęłam zarazem z bólu i przyjemności.

- Usiądź - powiedział Jamie, podsuwając mi stółek. Narzucił mi na ramiona pled, postawił przede mną talerz, na którym leżało półtora wyschniętego placka owsianego, i zaczął grzebać w kredensie, szukając mydła, myjki i płóciennych ręczników.

- Poszukaj zielonej butelki - poprosiłam, skubiąc suche ciasto. - Muszę umyć włosy.

- Yhmm. - Coś zaszczękało i po chwili Jamie odwrócił się z naręczem różnych przedmiotów, wśród których był ręcznik oraz butelka z szamponem mojej produkcji. Nie chcąc myć włosów ługowym mydłem, wymyśliłam szampon z korzenia mydlnicy, oleju łubinowego, liści orzecha i kwiatów nagietka. Postawił to wszystko na stole obok mojej największej miski do ciasta i ostrożnie napełnił ją gorącą wodą z kociołka. Zostawił ją, by trochę ostygła, zanurzył w niej szmatkę i przyklęknął, by umyć mi stopy.

Ciepły dotyk na moich obolałych, na wpół odmrożonych stopach doprowadził mnie do stanu bliskiego ekstazie. Zmęczona i lekko pijana, miałam wrażenie, że roztapiam się cała, gdy Jamie delikatnie, lecz dokładnie mył mnie od stóp do głów.

- Skąd to masz, Angielko?

Wyrwana z półsnu, niepewnie spojrzałam na opuchnięte lewe kolano, które od wewnętrznej strony przybrało purpurowoniebieski kolor gencjany.

- Spadłam z konia.

- Postąpiłaś bardzo nierozważnie - upomniał mnie

ostro. - Mówiłem ci przecież, żebyś była ostrożna, szczególnie z nowym koniem. Nie można im ufać, dopóki dobrze ich nie poznasz, a nie jesteś tak silna, by dać sobie radę z koniem, który jest uparty albo płochliwy.

- Me chodziło o zaufanie - wyjaśniłam, mimowolnie podziwiając jego szerokie ramiona i grę mięśni pod płócienną koszulą, gdy czyścił moje posiniaczone kolano gąbką. - Przestraszył się błyskawicy i spadłam z dziesięciometrowego urwiska.

- Mogłaś sobie złamać kark.

- Przez chwilę myślałam, że złamałam. - Przymknęłam oczy i zachwiałam się lekko.

- Powinnaś być mądrzejsza, Angielko. Przede wszystkim nie powinnaś w ogóle znaleźć się po tej stronie urwiska, a co dopiero...

- Nic na to nie mogłam poradzić - powiedziałam, otwierając oczy. - Woda zmyła ścieżkę, musiałam objechać wzgórze dokoła.

Popatrzył na mnie pochmurnie, mrużąc oczy w dwie granatowe szparki.

- Przede wszystkim nie powinnaś wyjeżdżać od Muellerów w taki deszcz. Nie masz rozumu i nie wiesz, jak wtedy wygląda droga?

Wyprostowałam się z wysiłkiem, przyciskając pled do piersi.

Jamie był bardzo zirytowany, trochę mnie to zdziwiło.

- No... nie - wyjąkałam, z trudem zachowując przytomność umysłu. - Skąd mogłam wiedzieć? A poza tym...

Przerwał mi, wrzucając myjkę do miski z takim impetem, że woda chlapnęła na stół.

- Cicho bądź. Nie zamierzam się z tobą kłócić.

Podniosłam na niego wzrok.

- A co do diabła zamierzasz robić? I co chcesz osiągnąć, krzycząc na mnie? Nie zrobiłam niczego złego.

Głęboko wciągnął powietrze przez nos. Wstał, wyjął myjkę z miski, wycisnął ją starannie, po czym znów przyklęknął przede mną i zrećnie oczyścił mi twarz.

- Nie, nie zrobiłaś nic złego - zgodził się i jeden kącik jego ust zadrgał niebezpiecznie - ale wystraszyłaś mnie śmiertelnie, Angielko, i dlatego teraz mam ochotę urządzić ci awanturę. Nieważne, czy na to zasługujesz, czy nie.

W pierwszej chwili miałam ochotę się roześmiać, ale na widok jego twarzy poczułam wyrzuty sumienia. Rękaw koszuli miał zabłocony, pończochy pokryte rzepami i ostrymi kłosami traw. Przez całą noc szukał mnie po ciemnych górach, nie wiedząc, gdzie jestem i czy żyję. Naprawdę wystraszyłam go śmiertelnie.

Chciałam go jakoś przeprosić, jednak język miałam równie otumaniony jak umysł. W końcu wyciągnęłam rękę i wyjęłam z jego włosów żółtą, puchatą bazę.

- Może nakrzyczysz na mnie po gaelicku? Ulży ci tak samo, a ja zrozumieję z tego tylko połowę.

Szkockim zwyczajem prychnął pogardliwie. Położył mi rękę na karku i wepchnął moją głowę do miski. Gdy ją podniosłam, rzucił mi ręcznik i zaczął trzeć moje włosy dużymi, mocnymi dłońmi, jednocześnie przemawiając do mnie oficjalnym, złowróbnym tonem, niczym pastor

piętnujący grzechy zza pulpitu.

- Ty głupia kobieto - powiedział po gaelicku - masz tyle rozumu co mucha. - W kolejnych zdaniach wyłapałam słowa „głupia” i „niezgrabna”, lecz szybko przestałam go słuchać. Zamknęłam oczy i poddałam się przyjemności, jaką było wycieranie i czesanie włosów.

Dotyk Jamiego był pewny i delikatny. Pomyślałam, że widocznie nabrał wprawy przy pielęgnacji końskich ogonów. Widziałam, jak przemawiał do koni takim samym tonem, jakim teraz mówił do mnie.

Brzmienie gaelickich słów było kojącym akompaniamentem do ruchów grzebienia, zgrzebła i szczotki. Przypuszczałam jednak, że konie traktował uprzejmiej.

Przelotnie dotykał szyi, nagich pleców i ramion, przywracając do życia moje świeżo odtajające ciało. Poczulałam dreszcz, ale gdy pled opadł mi na kolana, nie podciągnęłam go na ramiona. Ogień buzował na palenisku, płomienie tańczyły wokół boków kociołka i w chacie zrobiło się całkiem ciepło.

Jamie opisywał teraz miłym, spokojnym tonem różne rzeczy, które chciałby mi zrobić, zaczynając od pobicia mnie kijem, aż stanę się cała sinoczarna. Dalej było jeszcze ciekawiej. Gaelicki to bogaty język, a Jamiemu nie brakowało wyobraźni, zarówno w sprawach przemocy, jak i seksu. Pomyślałam, że to chyba dobrze, że nie rozumiem wszystkiego, choć nie wiedziałam, czy właśnie na tym mu zależało.

Piersi rozgrzewało mi ciepło ognia, a plecy ciepło Jamiego. Gdy się pochylił, by sięgnąć po butelkę stojącą na

półce, luźne płótno jego koszuli otarło się o moją skórę i znów przeszył mnie dreszcz.

Zauważył to i na chwilę przerwał tyradę.

- Zimno ci?

- Nie.

- To dobrze. - Poczulałam ostry zapach kamfory i nim zdążyłam się poruszyć, jedna duża dłoń pochwyliła moje ramię, przytrzymując mnie w miejscu, a druga wtarła śliski olejek w moje piersi.

- Przestań, to łaskocze! Mówię ci, przestań!

Nie przestał. Wyrывałam się jak szalona, ale był znacznie większy ode mnie.

- Nie ruszaj się - ostrzegł. Nieubłagane palce wcierały kamforę w moje żebra, kości obojczyka i okolice piersi. Natłuszczał mnie jak prosiaka przed nabiciem na rożen.

- Ty draniu! - wykrzyknęłam, kiedy wreszcie mnie puścił. Od śmiechu i szarpaniny nie mogłam złapać tchu. Śmierdziałam miętą i kamforą, skóra paliła mnie od szyi aż do brzucha.

Uśmiechnął się do mnie szeroko, nasycony zemstą i bez śladu poczucia winy.

- Ty zawsze mi to robisz, kiedy mam gorączkę i dreszcze - rzekł z satysfakcją, wycierając ręce. - Co dobre dla gąsiora, dobre i dla gęsi.

- Ale ja nie mam gorączki. Nie mam nawet kataru. Klasnął językiem z dezaprobatą jak szkocka chłopka.

- Przypuszczam, że będziesz miała, po całej nocy w mokrym ubraniu.

- A czy tobie nigdy się to nie zdarzyło? Ile razy

łapałeś przeziębienie, gdy spałeś pod gołym niebem! Dobry Boże, przecież przez siedem lat mieszkałeś w jaskini!

- I przez trzy lata kichałem. A poza tym ja jestem mężczyzną - dodał z pełnym brakiem logiki. - Chyba powinnaś włożyć nocną koszulę, Angielko. Jesteś zupełnie goła.

- Zauważyłam to. Mokre ubranie i zimno nie powodują chorób - poinformowałam go, sięgając pod stół po pled, który zsunął mi się z kolan.

- Doprawdy? - uniósł brwi.

- Doprawdy - odparowałam spod stołu. - Przecież mówiłam ci, że choroby są wywoływane przez zarazki. Jeśli nie zetknęłam się z żadnymi zarazkami, to nie zachoruję.

- Ach, zarrazki - powiedział, wymawiając „r”, jakby miał kamyki w ustach., - Boże, jaki ty masz piękny, tłusty tyłek. W takim razie czemu ludzie częściej chorują w zimie niż na wiosnę? Czy w zimie zarazki lepiej rosną?

- Niezupełnie. - Ogarnięta absurdalnym skrępowaniem rozpostarłam pled, ale nim zdążyłam okryć ramiona, Jamie pochwycił mnie za rękę i przyciągnął do siebie.

- Chodź tu - powiedział zupełnie niepotrzebnie. Zręcznie wymierzył mi klapsa w pośladek, obrócił i mocno pocałował. Gdy mnie puścił, o mało nie upadłam. Objęłam go, a on przytrzymał mnie w pasie, przywracając równowagę. - Wszystko mi jedno, czy to przez zarazki, czy przez zimną noc, czy Bóg jeden wie przez co jeszcze - oświadczył, mierząc mnie surowym spojrzeniem. - Masz nie chorować, i to wszystko, co mam na ten temat do powiedzenia. A teraz wskakuj w koszulę i do łóżka.

W jego objęciach czułam się doskonale. Gładkie płótno koszuli przyjemnie chłodziło moje rozgrzane, wysmarowane piersi, a choć wełna kiltu trochę drapała w uda i brzuch, zupełnie mi to nie przeszkadzało. Otarłam się o niego powoli, jak kot o drewniany słupek.

- Do łóżka - powtórzył jeszcze raz, ale już nieco mniej surowo.

- Mhmm - wymruczałam, wyraźnie dając mu do zrozumienia, że nie zamierzam iść tam sama.

- Nie - zaprotestował, poruszając się niespokojnie. Chyba chciał odsunąć się ode mnie, ale ponieważ go nie puściłam, ten ruch zaognił sytuację między nami.

- Mhmm - dodałam, trzymając go mocno. Wciąż byłam oszołomiona, ale docierało do mnie, że Duncan na pewno będzie spał w nocy na podłodze przy ogniu, a Ian na wysuwanym łóżku. I choć w tej chwili nie miałam żadnych zahamowań, byłam pewna, że ten stan nie potrwa długo.

- Mój ojciec mówił mi, żebym nigdy nie wykorzystywał kobiety, która źle się czuje po whisky - powiedział. Już wcześniej przestał się wyrywać. Teraz poruszał się, ale już znacznie wolniej.

- Nie czuję się gorzej, tylko lepiej - zapewniłam go i ja również zaczęłam się wić powoli i grzesznie przy jego ciele. - A poza tym mówiłeś chyba, że człowiek nie jest pijany, dopóki trafia obiema rękami do własnego tyłka.

Popatrzył na mnie z uznaniem.

- Bardzo mi przykro, Angielko, ale muszę ci powiedzieć, że to, co trzymasz, to nie jest twój tyłek, tylko mój.

- Nic nie szkodzi - zapewniłam go. - Jesteśmy

małżeństwem i mamy się dzielić wszystkim. Jesteśmy jednym ciałem. Ksiądz tak powiedział.

- Może popełniłem błąd, smarując cię tym tłuszczem - mruknął jakby do siebie - ale na mnie to nigdy tak nie działało.

- No cóż, ty jesteś mężczyzną.

Z uprzejmości spróbował jeszcze raz.

- Może powinnaś coś zjeść, dziewczyno? Na pewno umierasz z głodu.

- Mhmm. - Ukryłam twarz w jego koszuli i ugryzłam go lekko. - Umieram z głodu.

Mówi się o earlu Montrose, że kiedyś znaleziono go na polu bitwy ledwo żywego z głodu i wychłodzenia. Młoda kobieta, która go znalazła, zdjęła but, wymieszała w nim jęczmień z zimną wodą i powstałą breją nakarmiła earla, ratując mu w ten sposób życie.

Miałam wrażenie, że w kubku przed moim nosem znajduje się ta sama życiodajna substancja, z tą drobną różnicą, że moja była ciepła.

- Co to takiego? - zapytałam, spoglądając na blade ziarna, pływające brzuchem do góry po powierzchni wodnistej cieczy.

Wyglądało to, jakby kubek pełen był utopionych larw.

- Polewka z jęczmienia - wyjaśnił Ian, patrząc na kubek z dumą, jakby to było jego pierworodne dziecko. - Sam to zrobiłem, z tego zboża, które przywozłaś od Muellerów.

- Dziękuję - rzekłam i ostrożnie pociągnęłam łyk. Pomimo zatęchłego zapachu domyślałam się, że jednak nie

mieszał tego w bucie. - Bardzo dobre. Jak to miło z twojej strony, Ian.

Poróżował z zadowolenia.

- To nic takiego. Jest tego jeszcze mnóstwo, ciociu. A może przynieść ci kawałek sera? Mogę odkroić to zielone z brzegu.

- Nie, nie, to zupełnie wystarczy - podziękowałam pospiesznie. - Ian, może weźmiesz strzelbę i zobaczysz, czy nie udałoby ci się upolować wiewiórki albo królika? Jestem pewna, że zaraz poczuję się lepiej i będę mogła ugotować coś na kolację.

Rozpromienił się i uśmiech zupełnie przeobraził jego długą, kościstą twarz.

- Cieszę się, że to słyszę, ciociu. Szkoda, że nie widziałas, co wujek Jamie i ja jedliśmy, kiedy cię tu nie było.

Zostawił mnie na poduszkach i wyszedł. Zastanawiałam się, co mam zrobić z kubkiem polewki. Nie miałam ochoty tego pić, ale czułam się jak kałuża roztopionego masła, a wstanie z łóżka wydawało się wymagać olbrzymiej energii.

Jamie bez dalszych protestów zaniósł mnie do łóżka i tam dopełnił połajaniek. Cieszyłam się, że nie wybiera się na polowanie z Ianem; śmierdział kamforą tak samo jak ja, zwierzęta wyczułyby go na kilometr. Nakrył mnie troskliwie kołdrami i zostawił, żebym się przespała, a sam wyszedł przed chatę, by ponownie, tym razem oficjalnie, powitać Duncana i zaoferować mu gościnę. Słyszałam teraz ich głosy na zewnątrz. Siedzieli na ławce przy drzwiach, ciesząc się resztkami popołudniowego słońca. Długie blade

promienie wpadały ukośnie przez okno, rozświetlając drewno i cynę we wnętrzu.

Słońce dotknęło również czaszki. Leżała po drugiej stronie izby, na moim stole do pisania, tworząc przyjemną martwą naturę wraz z glinianym dzbankiem wypełnionym kwiatami oraz moją książką lekarską.

Na widok książki lekarskiej wyrwałam się z odrętwienia. Poród na farmie Muellerów wydawał mi się teraz odległy i nieistotny.

Pomyślałam, że powinnam zanotować szczegóły, dopóki jeszcze cokolwiek pamiętam. Wiedziona poczuciem zawodowego obowiązku przeciągnęłam się, jęknęłam i usiadłam. Wciąż kręciło mi się w głowie i dzwoniło w uszach. Bolały mnie prawie wszystkie części ciała, niektóre bardziej niż inne, ale ogólnie rzecz biorąc, nadawałam się do użytku. Zaczynałam jednak odczuwać głód.

Miałam nadzieję, że Ian przyniesie jakieś mięso zdadne do ugotowania. Wypełnianie skurczonego żołądka serem i słoną rybą było bardzo niewskazane, ale pyszny wzmacniający rosółek z wiewiórki, przyprawiony szczypiorkiem i suszonymi grzybami, z pewnością zyskałby uznanie lekarza.

Na myśl o rosole niechętnie wysunęłam się z łóżka. Podeszłam do paleniska i wylałam zimną zupę jęczmienną z powrotem do kociołka.

Ian ugotował tego tyle, że starczyłoby dla całego regimentu wojska, nawet gdyby był to regiment Szkotów. Żyjąc w kraju, w którym rzeczy jadalne były trudno dostępne, nauczyli się przyrządzać ohydne packi ze zbóż, nieskażone niczym, co choć trochę przypominałoby

przyprawę czy aromat. Ja jednak wywodziłam się ze słabszej rasy i nie czułam się na siłach tego jeść.

Obok kominka stał otwarty worek wilgotnego jęczmienia. Trzeba było wysypać i wysuszyć ziarno, by nie zgniło. Nie zważając na protesty posiniaczonego kolana, przyniosłam duży płaski kosz upleciony z trzciny, przyklęłam i rozsypałam wilgotne ziarno cienką warstwą na dnie.

- Czy on ma miękki pysk? - zapytał Jamie za oknem. Skórzana zasłona była uniesiona, by wpuścić do środka trochę świeżego powietrza. Poczulałam zapach tytoniu z fajki Duncana. - To duże i silne zwierzę, ale wydaje się łagodny.

- To bardzo dobry koń - odrzekł Duncan z dumą w głosie. - I ma miękki pysk, tak. Stajenny panny Jo wybrał go na jarmarku w Wilmington. Nakazała mu znaleźć konia, którego da się poprowadzić jedną ręką.

- Uhm, to dobrze. To ładny koń. - Drewniana ławka skrzypnęła, któryś z nich się poruszył. Wiedziałam, jaki tok rozumowania krył się za komplementem Jamiego, i zastanawiałam się, czy Duncan też wie.

Po części była to tylko uprzejmość. Jamie wychował się na końskim grzbiecie. Będąc urodzonym jeźdźcem, uważał, że do jazdy konnej ręce w ogóle nie są potrzebne, i patrzył z lekceważeniem na tych, którzy sądzili inaczej. Widziałam, jak prowadził konia samym naciskiem kolan i ud, widziałam też, jak galopował przez zatłoczone pole bitwy: wodze owinięte były wokół końskiej szyi, a Jamie trzymał w rękach pistolet i miecz.

Duncan jednak nie był ani jeźdźcem, ani żołnierzem, lecz rybakim spod Ardrossan, którego powstanie, podobnie

jak wielu innych, oderwało od sieci i łodzi i wysłało pod Culloden na stracenie.

Jamie był na tyle taktowny, że nie wytykał Duncanowi niedoświadczenia, z którego ten i tak doskonale zdawał sobie sprawę, chciał jednak zwrócić mu uwagę na coś innego. Czy Duncan to zauważył?

- Ona chce ci pomóc, Mac Dubh, i ty sam dobrze o tym wiesz - odrzekł Duncan sucho. A więc doskonale zrozumiał, o co chodziło Jamiemu.

- Przecież nie mówię, że nie, Duncanie - odrzekł Jamie spokojnie.

- Mhm.

Uśmiechnęłam się. W ich rozmowie wyczuwało się napięcie, ale Duncan był równie biegły w góralskiej sztuce komunikacji pozawerbalnej jak Jamie. Ten konkretny dźwięk wyrażał jednocześnie lekką urazę do Jamiego, który dawał do zrozumienia, że Duncan postąpił niewłaściwie, przyjmując od Jokasty konia w podarunku, oraz obietnicę przyjęcia przeprosin wyrażonych podobnym dźwiękiem.

- Zastanowiłeś się już? - Ławka skrzypnęła i Duncan nagle zmienił temat. - Sinclair czy Geordie Chisholm?

Nie zostawiając Jamiemu czasu na odpowiedź, mówił dalej, choć z jego tonu jasno wynikało, że powtarza wszystkie argumenty już nie po raz pierwszy. Zastanawiałam się, czy Duncan usiłuje przekonać Jamiego albo siebie, czy też chce tylko pomóc im obydwu w podjęciu decyzji, powtarzając wszystkie związane ze sprawą fakty.

- To prawda, Sinclair jest bednarzem, ale Geordie to dobry człowiek, dobry robotnik i do tego ma dwóch małych

synów. Sinclair nie jest żonaty, więc nie potrzebuje wiele pomocy przy osiedlaniu się, ale...

- Ale potrzebowałyby narzędzi, żelaza i wysuszonego drewna - przerwał mu Jamie. - Owszem, mógłby spać w warsztacie, jednak najpierw musiałyby mieć warsztat, a kupno wyposażenia kosztowałoby bardzo drogo. Geordie potrzebowałyby tylko trochę jedzenia dla rodziny, a na początek wystarczyłoby mu parę zwykłych narzędzi. Ma chyba siekierę, co?

- Tak, dostał siekierę przy kontrakcie, ale teraz jest sezon na siewy, Mac Dubh.

- Dobrze o tym wiem - odrzekł Jamie ze znużeniem - przecież sam miesiąc temu obsiałem pięć akrów kukurydzą i najpierw musiałem je wykarczować. - W tym czasie Duncan dobrze się bawił w River Run, przesiadując w tawernach i ujeżdżając nowego konia.

Usłyszałam to w głosie Jamiego, Duncan również to usłyszał.

Nastąpiła chwila ciszy, równie wymownej jak słowa.

Znów rozległo się skrzypnięcie ławki i znów Duncan odezwał się łagodnym tonem:

- Twoja ciotka Jo przysłała ci prezent.

- Doprawdy? - Irytacja w głosie Jamiego stała się jeszcze wyraźniej wyczuwalna. Miałam nadzieję, że Duncan ma dość rozumu, by to zauważyć.

- Butelkę whisky - odrzekł z uśmiechem. Jamie również roześmiał się niechętnie.

- Rzeczywiście? - powiedział już innym tonem. - To bardzo miło z jej strony.

- Chciała być miła. - Rozległo się skrzypienie i

szuranie, Duncan podnosił się na nogi. - Chodź ze mną, Mac Dubh, i weź ją sobie.

Przyda ci się coś na rozluźnienie.

- Nic z tego - rzekł Jamie żałośnie. - Nie spałem w nocy i jestem zły jak niedźwiedzica w czasie rui. Musisz mi wybaczyć moje maniery, Duncanie.

- Nie ma o czym mówić. - Usłyszałam miękkie plaśnięcie.

Duncan poklepał Jamiego po ramieniu, po czym poszli razem przez podwórze. Popatrzyłam na nich przez okno. Włosy Jamiego lśniły ciemnorudo w zachodzącym słońcu. Z głową pochyloną na bok słuchał Duncana, który wyjaśniał coś, gestykulując. Ruchy jedynej ręki wybijały Duncana z rytmu, więc jego kroki były kanciaste jak u marionetki.

Zastanawiałam się, co by się z nim stało, gdyby Jamie nie wziął go pod swoje skrzydła. W Szkocji nie było miejsca dla jednorękiego rybaka. Nie pozostałoby mu nic oprócz żebrania, chyba że powolna śmierć z głodu albo życie złodzieja. A wtedy czekałaby go śmierć na sznurze jak Gavina Hayesa.

Ale tutaj był Nowy Świat i choć życie było ryzykowne, zawsze dawało jakąś szansę przetrwania. Nic dziwnego, że Jamie zastanawiał się, kto ma większe szanse - bednarz Sinclair czy farmer Geordie Chisholm. Bednarz stanowiłby cenny nabytek, zaoszczędziłby miejscowym długich podróży do Cross Creek czy Averagesboro po beczki na smołę i terpentynę, solone mięso i cydr. Ale urządzenie warsztatu było kosztowne, nawet gdyby wyposażyć go tylko w najbardziej podstawowe narzędzia. Z drugiej strony

trzeba było wziąć pod uwagę, w jakich warunkach żyje teraz nieznaną żonę i małe dzieci Chisholma i co się z nimi stanie, jeśli nikt nie udzieli im pomocy.

Duncan odnalazł do tej pory trzydziestu ludzi z Ardsmuir. Gavin Hayes był pierwszy. Dla niego zrobiliśmy wszystko, co było można - bezpiecznie oddaliśmy go niebiosom. O dwóch innych wiadomo było, że nie żyją; jeden zmarł na gorączkę, a drugi utonął. Trzech odsłużyło już kontrakty i uzbrojeni tylko w siekiere i komplet ubrań, które najemnicy dostawali na koniec, zdołali znaleźć sobie miejsce w życiu: zgłosili prawa do ziemi i zbudowali niewielkie siedliska.

Spośród pozostałych dotychczas udało się nam sprowadzić dwudziestu, którzy pod patronatem Jamiego osiedlili się na dobrej ziemi nad rzeką. Jeszcze jeden był słaby na umyśle, ale zarabiał na utrzymanie, pracując jako najemny parobek.

Aby tego wszystkiego dokonać, wykorzystaliśmy już wszystkie nasze zasoby, zużyliśmy niewielki zasób gotówki, wystawiliśmy weksle na wartość plonów, które jeszcze nie wyrosły, a także odbyliśmy jedną podróż do Cross Creek, na której wspomnienie włosy stawały mi dęba.

Jamie odwiedził wszystkich swoich znajomych. Pożyczał od każdego niewielką sumę i zabierał te pieniądze do nadbrzeżnych tawern, gdzie w ciągu trzech bezsennych nocy udało mu się pomnożyć je czterokrotnie. Później dowiedziałam się, że omal nie zadźgano go przy tym nożem. Na widok długiego, poszarpanego rozcięcia na dole kurtki zaniemówiłam i dopiero po dłuższej chwili wychrypiłam:

- Co się...?

Wzruszył ramionami. Wyglądał na bardzo zmęczonego.

- To nieważne - powiedział. - Już po wszystkim.

Potem ogolił się, umył i znów objechał wszystkich właścicieli plantacji, zwracając im pieniądze z podziękowaniem i z niewielkim procentem. Zostało nam jeszcze tyle, że udało się kupić kukurydzę na siewy, dodatkowego muła do orania, kozę i parę prosiaków.

Nie pytałam go o nic więcej. Zszyłam kurtkę i po powrocie z objazdu zapakowałam go do łóżka. Siedziałam przy nim długo, patrząc na wyczerpaną twarz, która rozluźniła się nieco we śnie.

Podniosłam jego dłoń, bezwładną i ciężką, i powiodłam palcem po głębokich liniach na pokrytej odciskami wewnętrznej stronie. Linie głowy, serca i życia miał długie i mocne. W tych liniach spoczywał los wielu ludzi. Ilu dokładnie? Mój własny, osadników, Fergusa i Marsali, którzy właśnie wrócili z Jamajki, przywożąc ze sobą Germaine'a, pulchnego, jasnowłosego aniołka, który owinał sobie swojego niepoprawnego ojca wokół pulchnego paluszka.

Bezwiednie wyjrzałam przez okno. Jamie i Duncan wrócili z butelką whisky, słyszałam ich swobodną rozmowę przy zagrodzie.

Napięcie między nimi na razie znikło.

Wysypałam cały jęczmień do koszyka i przesunęłam go w kąt paleniska, by sechł, a potem podeszłam do stołu, odkręciłam butelkę z inkaustem i otworzyłam księgę lekarską. Opisanie szczegółów towarzyszących przybyciu

na świat najmłodszej Muellerówny nie zajęło mi dużo czasu. Poród był długi, ale poza tym zupełnie zwyczajny i bez komplikacji. Jediną niezwykłą cechą był czepek na głowie dziecka.

Przerwałam pisanie i pokręciłam głową. Wciąż myśląc o Jamie, przez chwilę nie mogłam się skupić. Dziecko Petronelli nie urodziło się w czepku. Wyraźnie przypominałam sobie jego ciemiączko - błyszczącą, czerwoną płamę dokoła niewielkiej kępki czarnych włosów. Dotknęłam go i poczułam drobniutki puls tuż pod skórą. Na palcach została mi wilgoć, jakbym dotknęła świeżo wyklutego kurczaka.

To ten sen, pomyślałam. Gdy spałam w jamie, pomieszały mi się wydarzenia z dwóch różnych porodów: z tego i z porodu Brianny. To Brianna urodziła się w czepku.

Szkoci nazywają to „głupim kapturkiem” - kapturkiem szczęścia, zwiastunem dobrego losu. Twierdzą, że czepek chroni przed utonięciem, a niektóre dzieci urodzone w czepku pobłogosławione są zdolnością dostrzegania tego, co niewidzialne. Spotkałam w życiu kilka osób obdarzonych zdolnością widzenia trzecim okiem, ale wątpiłam, czy tę cechę można jednoznacznie uznać za błogosławieństwo.

Bez względu na to, czy czepek przynosił szczęście, czy nie, cieszyłam się, że Brianna nigdy nie wykazywała żadnych oznak tego dziwnego celtyckiego „wiedzenia”. Była to pewnego rodzaju wiedza o rzeczach, które miały dopiero nadejść, i nikomu nie życzyłam komplikacji, jakich to przysparzało w życiu.

Na pół świadomie zaczęłam szkicować w księdze

doktora Rawlingsa dziewczęcą głowę: gęste, kędzierzawe włosy, ledwo zaznaczony długi, prosty nos. Pozostałych rysów twarzy brakowało.

Nie byłam artystką, nauczyłam się co prawda wykonywać proste kliniczne rysunki, wiernie oddawać kończyny i kształty ciała, ale nie potrafiłam ożywić tych linii, z czym tak dobrze radziła sobie Brianna. Szkic, który leżał przede mną, miał tylko wspomóc moją pamięć; patrząc na niego, potrafiłam przywołać we wspomnieniach jej twarz, ale gdybym spróbowała dokonać czegoś więcej, wyczarować twarz na papierze, zniszczyłabym wszystko, ryzykując, że stracę również wspomnienie, które niosłam w sercu.

Gdybym mogła to uczynić, czy przywołałabym ją tutaj cieleśnie?

Nie, tego bym nie zrobiła. Tysiąc razy bardziej wolałam myśleć, że jest bezpieczna i prowadzi wygodne życie we własnych czasach. Nie chciałam, by musiała zmagać się z trudnymi warunkami i niebezpieczeństwami tego życia, ale to nie oznaczało, że za nią nie tęsknię.

Po raz pierwszy poczułam współczucie dla Jokasty Cameron i zrozumiałam jej pragnienie, by mieć spadkobiercę, kogoś, kogo mogłaby pozostawić po sobie, by zajął jej miejsce, świadectwo, że jej życie nie minęło na próżno.

Za oknem zaczęło się zmierzchać. Mrok nadciągał znad pól, lasów i rzeki. Ludzie mówią, że zmrok zapada, ale tak naprawdę mrok wynurza się z ziemi, wypełniając najpierw zagłębienia, potem zbocza, wspinając się niedostrzegalnie po pniach drzew i słupkach płotu. Noc

połyka ziemię i wznosi się w górę, by się połączyć z potężniejszą ciemnością usianego gwiazdami nieba nad głową.

Siedziałam, patrząc przez okno, obserwując światło padające na konie w zagrodzie. Światło właściwie nie bladło, lecz zmieniał się zupełnie; wygięte w łuk szyje, okrągłe zady, nawet pojedyncze źdźbła trawy zyskiwały ostry, wyraźny rysunek. Rzeczywistość na krótką chwilę wyzwalała się z iluzji dnia, słońca i cienia.

Nie patrząc na rysunek, wiodłam palcem po liniach, raz za razem.

W miarę jak mrok wznosił się dokoła mnie, rzeczywistość mojego serca zaczęła rysować się wyraźnie w przyćmionym świetle. Nie, nie chciałam, żeby Brianna była tutaj, ale to nie znaczyło, że za nią nie tęsknię.

Skończyłam zapiski i przez chwilę siedziałam w milczeniu.

Wiedziałam, że powinnam wstać i zacząć przygotowania do kolacji, ale wciąż czułam się wyczerpana i nie miałam ochoty się ruszać.

Bolały mnie wszystkie mięśnie, siniak na kolanie pulsował. Tak naprawdę miałam ochotę wpełznąć z powrotem do łóżka.

Ale nie zrobiłam tego, tylko wzięłam do ręki czaszkę, która leżała na stole obok książki lekarskiej, i lekko powiodłam palcami po zaokrągleniach kości. Musiałam przyznać, że była to dość makabryczna ozdoba na biurko, mimo wszystko jednak czułam się do niej przywiązana. Kości zawsze wydawały mi się piękne, czy to kości ludzi, czy zwierząt - surowe, pełne wdzięku pozostałości życia

srowadzonego do fundamentów.

Naraz przyplłynęło do mnie wspomnienie sprzed wielu lat: mały, ciemny pokój w Paryżu, ukryty za apteką, ściany od góry do dołu pokryte półkami jak plastry miodu, a w każdej komórce wypolerowana czaszka. Najrozmaitsze zwierzęta, od sów do wilków, od myszy do niedźwiedzi.

Z dłonią na głowie nieznanego przyjaciela usłyszałam głos mistrza Raymonda tak wyraźnie, jakby stał obok mnie.

- Współczucie? - powtórzył, gdy dotknęłam wypolerowanej czaszki łosia. - To dość niezwykle uczucie wobec kości, Madonno.

Ale rozumiał, o czym mówię, byłam pewna, że rozumie, bo gdy zapytałam go, po co trzyma te czaszki, uśmiechnął się i powiedział:

- To swego rodzaju towarzystwo.

Ja też rozumiałam, o czym mówi. Z pewnością mężczyzna, którego czaszkę trzymałam, towarzyszył mi w bardzo ciemnym i samotnym miejscu. Nie po raz pierwszy zaczęłam się zastanawiać, czy miał coś wspólnego z widzeniem, jakiego doznałam na górze, z obrazem Indianina z pomalowaną na czarno twarzą.

Duch, jeśli to był duch, nie uśmiechał się ani nie powiedział nic głośno. Nie widziałam jego zębów, a to był jedyny element, który mogłam porównać z czaszką. Trzymałam ją w ręku, pocierając kciukiem krawędź popękanego siekacza. Podniosłam czaszkę do światła i przyjrzałam jej się uważnie w miękkich promieniach zachodzącego słońca.

Zęby po jednej stronie były roztrzaskane, popękane

w drzazgi, jakby ktoś mu wymierzył mocny cios w usta, może kamieniem albo pałką. Albo kolbą karabinu. Po drugiej stronie zachowały się całe i w bardzo dobrym stanie. Nie byłam ekspertem, ale wydawało mi się, że jest to czaszka dorosłego człowieka, trzydziestokilku-, najwyżej czterdziestokilkuletniego. Wziąwszy pod uwagę, że indiańska dieta składała się w dużym stopniu z kukurydzy zgniatanej między płaskimi kamieniami, przez co zawierała sporo zmielonych okruchów kamienia, mężczyzna w tym wieku powinien mieć już dość zużyte zęby.

Ale kły i siekacze po zdrowej stronie prawie nie były zużyte.

Obróciłam czaszkę, by ocenić stopień wytarcia zębów trzonowych, i zrobiło mi się zimno.

Bardzo zimno, choć za moimi plecami płonął ogień. Tak samo zimno jak tam, gdy byłam zagubiona w ciemnościach, samotna na górze z głową zmarłego mężczyzny. Pod moją dłońią rozbłyły ostatnie promienie słońca, odbite od srebrnej obrączki ślubnej oraz od srebrnych plomb w ustach mojego towarzysza.

Przez chwilę wpatrywałam się w nie nieruchomo, a potem obróciłam czaszkę i delikatnie położyłam ją na biurku, jakby była zrobiona ze szkła.

- Mój Boże - powiedziałam, zapominając o zmęczeniu. - Mój Boże - powtórzyłam w stronę pustych oczu i krzywego uśmiechu. - Kim byłeś?

- Jak myślisz, kto to mógł być? - Jamie dotknął czaszki.

Mieliśmy dla siebie tylko kilka chwil. Duncan poszedł do wychodka, a Ian nakarmić prosiaka, ale nie

mogłam się już powstrzymać, musiałam komuś o tym powiedzieć.

- Nie mam najmniejszego pojęcia. Tylko tyle, że oczywiście musiał to być ktoś taki jak ja. - Wstrząsnął mną gwałtowny dreszcz.

Jamie popatrzył na mnie i zmarszczył czoło.

- Chyba się nie przeziębiłaś, Angielko?

- Nie - uśmiechnęłam się słabo - tylko poczułam się, jakby ktoś przeszedł po moim grobie.

Zdjął mój szal wiszący na haczyku przy drzwiach i narzucił mi na ramiona, zatrzymując na nich przez chwilę ciepłe ręce.

- Z tego wynika coś jeszcze - powiedział cicho. - To znaczy, że istnieje jeszcze jedno takie miejsce. Może niedaleko stąd.

Kolejny kamienny krąg albo coś w tym rodzaju. Ja też o tym pomyślałam i na tę myśl znów się wzdrygnęłam. Jamie popatrzył na czaszkę z namysłem, wyjął z rękawa chustkę do nosa i delikatnie zasłonił nią puste oczodoły.

- Zakopię go po kolacji - powiedział.

- Aha, kolacja - przypomniałam sobie i spróbowałam zebrać myśli. - Zobaczę, może uda mi się znaleźć parę jajek. Tak byłoby najszybciej.

Jamie zjrzał do kociołka nad paleniskiem.

- Nie kłopotz się, Angielko. Możemy zjeść to.

Tym razem wzdrygnęłam się z prawdziwego wstrętu. Jamie uśmiechnął się do mnie szeroko.

- Nie smakuje ci polewka z jęczmienia?

- O ile można to nazwać polewką - skrzywiłam się z niesmakiem, zaglądając do kociołka. - Śmierdzi bardziej jak

zacier. - Zimna zupa, zrobiona z zimnego ziarna, zbyt krótko gotowana i pozostawiona sama sobie, zaczęła już wydzielać drożdżowy zapach fermentacji. - A skoro już o tym mówimy - dodałam, trącając otwarty worek z wilgotnym jęczmieniem czubkiem palca u nogi - trzeba to rozsypać, żeby wyschło, bo zacznie pleśnieć. O ile już nie zaczęło.

Jamie wpatrywał się w obrzydliwą zupę ze zmarszczonym czołem.

- Tak? - rzekł z roztargnieniem i dopiero po chwili ocknął się z zamyślenia. - Ano tak, zrobię to. - Zawiązał worek i zarzucił go sobie na ramię. W drodze do drzwi zatrzymał się i jeszcze raz spojrzął na okrytą chustką czaszkę.

- Mówiłaś, że chyba nie był chrześcijaninem. - Popatrzył na mnie dziwnym wzrokiem. - Dlaczego tak myślisz?

Zawahałam się, ale nie miałam teraz czasu, by opowiadać mu swój sen. O ile to był sen. Duncan i Ian zbliżali się już do domu, słyszałam ich rozmowę.

- Bez żadnego szczególnego powodu - wzruszyłam ramionami.

- Niech będzie - odrzekł. - W takim razie rozstrzygniemy wątpliwości na jego korzyść.

24. Pisanie listów: wielka sztuka miłości

Oksford, marzec 1971

Roger przypuszczał, że w Inverness pada tak samo jak w Oksfordzie, ale na północy deszcz jakoś nigdy mu nie przeszkadzał.

Zimny, szkocki wiatr hulający po Moray Firth

wprawiał go w euforię, a ulewa pobudzała i odświeżała ducha.

Ale to było w Szkocji, gdy towarzyszyła mu Brianna. A teraz ona znajdowała się w Ameryce, a on w Anglii. Oksford był zimny i nudny, wszystkie ulice i budynki miały szarą barwę popiołu z wygasłych ognisk. Deszcz moczył ramiona togi Rogera, który przemykał przez dziedziniec, osłaniając popelinowymi fałdami naręcze papierów. Zatrzymał się pod osłoną portierni i otrząsnął jak pies, strącając deszcz kropel na kamienną posadzkę.

- Są jakieś listy? - zapytał.

- Chyba tak, panie Wakefield, zaraz sprawdzę - odpowiedział Martin i zniknął w swojej wewnętrznej świątyni, pozostawiając Rogera przy wejściu, obok kamiennej tablicy z wyrytymi nazwiskami pracowników i studentów college'u, którzy zginęli na wojnie.

„George Vanlandingham, Esq. Szacowny Phillip Menzies, Joseph William Roscoe”. Nie po raz pierwszy Roger zastanawiał się, jacy byli ci niezwykli bohaterowie. Od czasu, gdy poznał Briannę i jej matkę, przekonał się, że przeszłość często miewa niepokojąco ludzką twarz.

- Proszę bardzo, panie Wakefield. - Rozpromieniony Martin wychylił się zza blatu, podając mu stosik listów. - Jeden jest ze Stanów - dodał z szelmowskim mrugnięciem.

Na twarz Rogera wypełził szeroki uśmiech, a po całym ciele rozlało się ciepło, przepędzając chłód deszczu.

- Czy zobaczymy tu wkrótce pańską młodą damę? - Martin wyciągał szyję, bez zażenowania gapiąc się na list z amerykańskimi znaczkami. Poznał Briannę przed Bożym Narodzeniem i natychmiast znalazł się pod jej urokiem.

- Mam taką nadzieję. Może w lecie. Dziękuję!

Skręcił w stronę klatki schodowej, starannie chowając listy w rękawie togi i szukając klucza. Na myśl o lecie czuł zdumienie i euforię. Powiedziała, że przyjedzie w lipcu, ale do lipca zostały jeszcze cztery miesiące. Czasami wydawało mu się, że nie przetrwa nawet czterech kolejnych dni.

* * *

Złożył list i wsunął go do wewnętrznej kieszeni przy sercu. Pisała co kilka dni, czasem tylko krótkie wiadomości, a czasem długie epistoły. Każdy z jej listów był jak malutki płomyk, który zwykle trwał aż do chwili, gdy pojawił się następny.

Ale z drugiej strony od pewnego czasu miał wrażenie, że czegoś mu w tych listach brakuje. Wciąż były przepełnione ciepłem i uczuciem, zakończone słowem „całuję”, zawsze pisała, że tęskni do niego i chce być przy nim, ale nie czuł w tym żaru, który przepala papier.

Mogło to być naturalne zjawisko, zwykła kolej rzeczy. Znali się coraz dłużej, a nikt przecież nie jest w stanie pisać listów przepełnionych namiętnością dzień po dniu. Nie byłoby to szczerze.

Wydawało mu się, że w ostatnich listach Brianna zaczęła się nieco od niego odsuwać. Ale to musiała podpowiadać mu wyobraźnia.

Nie potrzebował przecież ekscesów, do jakich posuwała się dziewczyna jednego z jego kolegów, która wkładała obcięte włosy łonowe do koperty, chociaż doceniał uczucie kryjące się za tym gestem.

Ugryzł kanapkę i zaczął ją przeżuwać z roztargnieniem, myśląc o ostatnim artykule, który przysłała mu Fiona. Jako świeżo upieczona mężatka, Fiona uważała się za eksperta we wszelkich sprawach matrymonialnych i wykazywała siostrzane zainteresowanie wyboistym romansiem Rogera. Wciąż przysyłała mu pocztą pożyteczne wskazówki wycięte z pism kobiecych. Ostatni artykuł pochodził z tygodnika „My Weekly” i był zatytułowany „Jak zaintrygować mężczyznę”. „Coś dla gąsiora” - napisała Fiona na marginesie.

„Podzielaj jego zainteresowania - brzmiała jedna ze wskazówek. - Jeśli twoim zdaniem piłka nożna jest beznadziejnym sportem, ale on jest zagorzałym kibicem, siedź obok niego i wypytuj o szanse Arsenalu w tym tygodniu. Futbol może jest nudny, ale on z pewnością nie!”.

Roger uśmiechnął się ponuro. Owszem, podzielał zainteresowania Brianny, o ile śledzenie historii jej cholernych rodziców, od której włosy stawały dęba, można uznać za hobby. Tyle tylko, że nie mógł dzielić się z nią wszystkim, czego się dowiedział.

„Zachowuj dystans - brzmiała kolejna ze wskazówek. - Nic nie rozbudza zainteresowania mężczyzny skuteczniej niż pewna rezerwa.

Nie pozwól mu zbliżyć się do siebie za bardzo ani zbyt szybko”.

Roger zaczął się zastanawiać, czy Brianna czytała podobne porady w amerykańskich magazynach, ale po chwili machnął ręką.

Nie była ponad czytanie magazynów o modzie, widział, że od czasu do czasu to robi, ale wydawała się

równie niezdolna do prowadzenia tego rodzaju głupich gier jak on sam.

Nie, nie odsunęłaby go tylko po to, by rozniecić jego zainteresowanie. Po cóż więc miałyby to robić? Z pewnością wiedziała, jak bardzo mu na niej zależy.

Ale czy rzeczywiście wiedziała? Poczłł się nieswojo, gdy przypomniał sobie kolejną wskazówkę z „My Weekly”: „Nie zakładaj, że on potrafi czytać w twoich myślach. Daj mu do zrozumienia, co naprawdę czujesz”.

Znów ugryzł kanapkę i żuł, nie mając pojęcia, co jest w środku.

Owszem, dawał jej to do zrozumienia, wręcz obnażał swoją duszę bez reszty, a ona spokojnie wskoczyła do samolotu i zwiła do Bostonu.

- Nie bądź zbyt agresywny - wymamrotał, cytując wskazówkę numer czternaście, i prychnął. Kobieta siedząca obok odsunęła się nieco.

Roger westchnął i z niechęcią odłożył nadgryzioną kanapkę na plastikową tacę. Sięgnął po kubek płynu, który w tutejszej jadalni nazywano kawą, ale nie pił, tylko siedział i trzymał go w rękach, wchłaniając ciepło.

Kłopot polegał na tym, że choć wydawało mu się, iż z powodzeniem odwrócił uwagę Brianny od przeszłości, sam nie był w stanie tej przeszłości zignorować. Claire i ten jej cholerny góral stali się jego obsesją, zupełnie jakby byli jego własną rodziną.

„Zawsze postępuj uczciwie” - wskazówka numer trzy. Gdyby rzeczywiście postępował wobec niej uczciwie, gdyby pomógł jej dowiedzieć się wszystkiego, to może duch Jamiego Frasera zaznałby wreszcie spokoju, podobnie jak

sam Roger.

- A idź do diabła - mruknął pod nosem.

Kobieta obok niego rzuciła kubek na tacę i podniosła się gwałtownie.

- Sam niech pan idzie do diabła - warknęła i odeszła.

Roger odprowadził ją spojrzeniem.

- Nie ma obawy, chyba już to zrobiłem.

25. Wejście węża

Październik 1768

Z zasady nie miałam nic przeciwko węzom. Zjadały szczury, co bardzo im się chwaliło, niektóre były ładne, a większość wystarczająco mądra, by schodzić mi z drogi. Moja główna zasada życiowa brzmiała: żyj i pozwól żyć innym.

Z drugiej strony to tylko teoria, w praktyce bowiem miałam mnóstwo zastrzeżeń do wielkiego węża, który zwinął się w kłębek na siedzeniu w wygodce. Nie dość, że było mi to w tej chwili poważnie nie na rękę, to wąż nie zajmował się pożytecznym zjadaniem szczurów ani nie dostarczał satysfakcji estetycznej - był szary z ciemniejszymi plamami.

Ale najbardziej przeszkadzał mi fakt, że był to grzechotnik. Po części szczęśliwie się złożyło, bo tylko brzęczenie jego grzechotki sprawiło, że nie usiadłam na nim o pierwszym brzasku.

Na pierwszy dźwięk zastygłam w miejscu, tuż za progiem malutkiej wygodki. Cofnęłam stopę, próbując wymacać próg, ale wężowi nie spodobał się mój ruch i ostrzegawcze brzęczenie stało się głośniejsze. Znieruchomiałam, patrząc na wibrujący koniec jego ogona,

który wylaniał się spomiędzy spiralnych zwojów i sterczał do góry jak gruby, żółty palec.

Usta wyschły mi na pergamin. Ugryzłam się od wewnątrz w policzek, próbując sprowokować ślinienie. Ile mógł mieć długości?

Przypominałam sobie, jak Brianna mówiła mi, że grzechotniki potrafią zaatakować na odległość równą jednej trzeciej długości ich ciała. Ta wiedza pochodziła z jej podręcznika dla harcerek. Moje uda, osłonięte tylko koszulą nocną, oddzielało od paskudnej, płaskiej głowy z oczami bez powiek najwyżej pół metra.

Czy miał półtora metra długości? Nie sposób było to określić, ale spiralne sploty wydawały się nieprzyjemnie masywne. Zaokrąglone ciało było grube od napiętych mięśni. To był cholernie wielki wąż i lęk, że jeśli się poruszę, ukąsi mnie w krocze, stanowił wystarczający powód, bym znieruchomiła.

Ale nie mogłam tak stać przez całą wieczność. Pomijając już wszystko inne, szok na widok węża zupełnie nie wpłynął na pilność moich potrzeb fizjologicznych.

Kołatało mi się po głowie, że wężę są głuche. Może mogłabym zawołać o pomoc. Ale jeśli nie są głuche? W jednym z opowiadań o Sherlocku Holmesie pojawiał się wąż, który odpowiadał na gwizdnięcie. Może ten wąż uznałby gwizdanie za nieszkodliwe?

Ostrożnie wydełam usta i dmuchnęłam, ale nie wyszedł z nich żaden dźwięk.

- Claire! - zawołał zdziwiony głos za moimi plecami.
- Co ty tu, do diabła, robisz?

Drgnęłam gwałtownie. Wąż też drgnął, a w każdym

razie poruszył się nieoczekiwanie, napinając mięśnie w sposób, który zdawał się zapowiadać natychmiastowy atak. Przywarłam do framugi i wąż przestał się poruszać, tylko jego grzechotki nieustannie drgały, wydając dźwięk przypominający irytujące brzęczenie budzika, którego nie można wyłączyć.

- Tu jest cholerny wąż - powiedziałam przez zęby, starając się nie poruszać ustami.

- Dlaczego tam stoisz? Odsuń się, to go wyciągnę. - Za plecami słyszałam zbliżające się kroki Jamiego. Wąż też go usłyszał i grzechotki zaczęły poruszać się szybciej. A więc jednak nie był głuchy. - Ach - powiedział Jamie już innym tonem. Usłyszałam szelest, gdy stawał za mną. - Nie ruszaj się, Anielko.

Nie miałam czasu, by odpowiedzieć na tę dobrą radę. Ciężki kamień przeleciał w powietrzu obok mojego biodra i trafił węza w połowie długości. Gad rozplaszczyl się w coś przypominającego węzeł gordyjski, zadrgał konwulsyjnie i z paskudnym pluśnięciem wpadł do dziury.

Nie czekałam, by pogratulować zwycięskiemu wojownikowi, lecz odwróciłam się i pobiegłam w stronę najbliższego skrawka lasu.

Mokry od rosy skraj koszuli nocnej plątał mi się koło kostek.

Gdy wróciłam w kilka minut później, już spokojniejsza, zastałam Jamiego i Iana wciśniętych razem do wychodka. Wziąwszy pod uwagę ich rozmiary, było tam bardzo ciasno. Ian przykucnął na siedzisku z sosnową pochodnią w rękę, a Jamie pochylał się nad dziurą i próbował coś dojrzeć w środku.

- Czy one umieją pływać? - zapytał Ian, usiłując zobaczyć coś ponad głową Jamiego i jednocześnie nie podpalić włosów wuja.

- Nie wiem - odrzekł Jamie z powątpiewaniem - chyba tak. Mogą umieć. Ale bardziej mnie interesuje, czy potrafią skakać.

Ian cofnął się gwałtownie, a potem zaśmiał się nerwowo, nie do końca pewien, czy to miał być żart.

- Nic tu nie widzę. Daj mi to światło. - Jamie wyciągnął rękę, odebrał od Iana sosnową drzazgę i opuścił ją nad otworem. - Jeśli ogień nie zgaśnie od smrodu, to za chwilę spalimy wychodek - wymamrotał, pochylając się nisko. - Zaraz, gdzie do diabła...

- Tam jest, widzę go! - wykrzyknął Ian. Obydwie głowy drgnęły i zderzyły się ze sobą z dźwiękiem, jaki wydaje rozłupywany melon.

Upuszczona przez Jamiego pochodnia wpadła do dziury i zgasła. Znad krawędzi otworu, niczym z kadzielnicy, uniosły się cienkie smużki dymu.

Jamie wyszedł z wychodka chwiejnym krokiem, z dłonią przy czole i mocno zaciśniętymi oczami. Ian oparł się o wewnętrzną ścianę, dla odmiany przyciskając dłonie do ciemienia, i mamrotał coś gwałtownie i bez tchu po gaelicku.

- Czy on jeszcze żyje? - zapytałam niespokojnie. Jamie otworzył jedno oko i popatrzył na mnie spomiędzy palców.

- Moja głowa jest cała, dziękuję. Mam nadzieję, że w uszach przestanie mi dzwonić już w przyszłym tygodniu.

- No już dobrze, dobrze - powiedziałam

uspokajająco. - Trzeba by użyć młota kowalskiego, żeby uszkodzić twoją czaszkę. Daj, obejrzę. - Odsunęłam jego palce i zaczęłam obmacywać czaszkę przez gęstwinę włosów. Tuż nad czołem miał niewielkiego guza, ale nie krwawił.

Pocałowałam Jamiego w to miejsce i poklepałam po głowie.

- Nie umrzesz - zapewniłam go - a w każdym razie nie od tego.

- To doskonale - odrzekł sucho. - Wolałbym umrzeć od ukąszenia węża przy najbliższej okazji, kiedy usiądę tutaj, żeby zrobić swoje.

- To trujący wąż, prawda? - zapytał Ian. Odsunął ręce od głowy i wyszedł z wychodka, po czym głęboko napełnił płuca świeżym powietrzem.

- Jadowity - poprawił go Jamie. - Jeśli chorujesz, gdy wąż cię ugryzie, to jest jadowity, a jeśli ty go ugryziesz i chorujesz, to jest trujący.

- No dobra - mruknął Ian, nie zważając na tę pedanterię - ale to zły wąż, tak?

- Bardzo zły - wzdrygnęłam się lekko i zwróciłam się do Jamiego. - Co zamierzasz z nim zrobić?

Uniósł jedną brew.

- Ja? Dlaczego miałbym coś z nim robić?

- Przecież nie możesz pozwolić, żeby tu został.

- Dlaczego nie? - uniósł drugą brew.

Ian z roztargnieniem poskrobał się po głowie i skrzywił się, gdy natrafił na guza pozostałego po kolizji z Jamiem.

- No, ja nie wiem, wujku Jamie - rzekł z

powątpiewaniem. - Jeśli ty masz ochotę wywieszać jaja nad dziurą, w której czai się jadowita żmija, to twoja sprawa, ale mnie na taką myśl skóra cierpnie. Jak duże to było?

- Muszę przyznać, że całkiem spore - Jamie wygiął przegub i wyprostował całe ramię.

- Uff - sapnął Ian.

- Ale nie jesteś pewny, że nie potrafią skakać - podsunęłam życzliwie.

- Jestem - Jamie spojrzał na mnie cynicznie - choć przyznaję, ta myśl wystarczy, by nabrać trochę ostrożności. Ale jak chcesz go stamtąd wyciągnąć?

- Mógłbym go zastrzelić z twojego pistoletu - oświadczył Ian, rozjaśniając się na myśl, że dostałby do rąk jeden z cennych pistoletów Jamiego. - Gdyby udało się go zabić, to nie trzeba by go stamtąd wyciągać.

- Czy on jest... widoczny? - zapytałam delikatnie.

Jamie potarł podbródek. Nie ogolił się jeszcze i ciemnorudy zarost zaszeleścił pod kciukiem.

- Nie za bardzo. Tam nie jest głęboko, ledwie kilkanaście centymetrów, ale moim zdaniem nie widać go na tyle dobrze, żeby porządnie wycelować, a nie chciałbym marnować kuli.

- Moglibyśmy zaprosić na kolację wszystkich Hansenów, podać im piwo i zatopić go - podsunęłam żartem. Hansenowie byli mieszkającą w pobliżu, bardzo liczną rodziną kwakrów.

Ian wybuchnął chichotem. Jamie spojrzał na mnie z udawaną surowością i odwrócił się w stronę lasu.

- Coś wymyślę - obiecał - ale po śniadaniu.

Śniadanie na szczęście nie stanowiło wielkiego

problemu, bo kury zaopatrzyły mnie w dziewięć jajek, a chleb urósł w polu. Masło było niedostępne, znajdowało się bowiem na samym końcu spiżarni, strzeżone przez maciorę, która właśnie się oprosiła, ale Ianowi udało się wśliznąć do środka i ściągnąć garnuszek dżemu z półki, podczas gdy ja stałam obok i dziobałam miotłą w wyszczerzone kły maciory, która próbowała szarżować na nogi Iana.

- Potrzebna mi nowa miotła - powiedziałam, zerkając na żalodne, połamane szczątki. - Może pójde po śniadaniu nad strumień, do wierzbowego zagajnika.

- Mhmm. - Jamie wyciągnął rękę i po omacku macał nią po stole, szukając talerza z chlebem. Całą uwagę skupił na lekturze książki.

Była to Historia naturalna Karoliny Północnej Bricknella.

- Jest - powiedział - byłem pewien, że widziałem tu fragment o grzechotnikach.

Znalazł wreszcie chleb, odkłamał kawałek i użył go zamiast łyżki do nabrania sporej porcji jajeczniczy. Przełknął wszystko i zaczął czytać głośno, trzymając książkę w jednej ręce, a drugą macając po blacie stołu.

- „Indianie często wyciągają zęby węzom, aby nie mogły już uczynić żadnego zła. Aby to łatwo przeprowadzić, należy przywiązać kawałek czerwonej, wełnianej szmatki do górnego końca długiej, pustej w środku trzciny i tym instrumentem prowokować grzechotnika do ukąszenia, a potem nagle odsunąć trzinę od niego; wówczas zęby utkwią głęboko w szmatce, stając się wyraźnie widoczne dla wszystkich obecnych”.

- Czy mamy jakąś czerwoną szmatkę, ciciu? -

zapytał Ian, popijając jajecznicę kawą z cykorii.

Pokręciłam głową i nadziałam na widelec ostatnią kiełbaskę, zanim znalazła ją pełzająca po stole dłoń Jamiego.

- Mamy niebieskie, zielone, żółte, szare, białe i brązowe. Nie mamy nic czerwonego.

- To niezła książka, wujku Jamie - stwierdził Ian z aprobatą. - Czy jest tu coś więcej o węzach? - Głodnym wzrokiem obrzucił cały stół, szukając czegoś jeszcze do zjedzenia. Bez komentarza sięgnęłam do kredensu, wyjęłam talerz kukurydzianych muffinów i postawiłam przed nim. Westchnął uszczęśliwiony i zajął się jego zawartością, Jamie zaś przewrócił stronę.

- Tu jest coś o tym, jak grzechotniki hipnotyzują wiewiórki i króliki. - Jego wyciągnięta dłoń napotkała tylko gładką powierzchnię talerza. Pchnęłam w jego stronę muffiny. - „Zadziwiająca jest rzeczą, jak węże potrafią przyciągać i hipnotyzować wiewiórki, króliki, przepiórki i wiele innych małych zwierząt i ptaków, które potem szybko pożerają. Siła ich przyciągania jest tak wielka, że widuje się wiewiórkę albo przepiórkę, która zauważyła węża, gdy przeskakuje lub przelatuje z gałęzi na gałąź, a w końcu wbiega lub wskakuje mu prosto do paszczy, bezsilna wobec wroga, który nawet nie drgnie, póki nie dopadnie swej ofiary”.

Ręka Jamiego, wciąż szukająca jakiegoś punktu zaczepienia, natrafiła na muffiny. Podniósł jednego i spojrzał na mnie.

- Nigdy w życiu czegoś takiego nie widziałem. Czy sądzisz, że to możliwe?

- Nie - odrzekłam, odsuwając włosy z czoła. - A czy w tej książce są jakieś pomocne wskazówki, jak sobie radzić ze złymi świniami?

Z roztargnieniem pomachał do mnie ręką, w której trzymał resztę muffina.

- Nic się nie bój - mruknął - dam sobie radę z tą świnią. - Oderwał wzrok od książki i zatrzymał go na pustych naczyniach. - Nie ma już jajek?

- Są, ale chcę je zanieść naszemu gościowi w szopie na kukurydzę. - Dołożyłam do koszyka jeszcze dwie kromki chleba i butelkę mikstury, która naciągała przez noc. Był to napar z mieszanki nawłoci alpejskiej, górskiego balsamu i bergamotki. Miał czarnozielony kolor i zapach wypalanego pola, ale mógł pomóc, a w każdym razie nie powinien zaszkodzić. Pod wpływem impulsu zabrałam jeszcze amulet ze związanych piór, który dała mi stara Nayawenne. Może on doda choremu otuchy. Podobnie jak lekarstwo, nie mógł zaszkodzić.

Nasz niespodziewany gość był obcym Indianinem Tuskarora.

Pochodził z jednej z wiosek na północy i pojawił się na naszej farmie przed kilkoma dniami. Przyszedł tu z grupą myśliwych z Anna Ooka, którzy tropili niedźwiedzia. Kilku spośród myśliwych było przyjaciółmi Iana. Zaprosiliśmy ich na posiłek, podczas którego zauważyłam, że jeden z nich wpatruje się w swój kubek zamglonym wzrokiem. Przy bliższych oględzinach okazało się, że jest chory.

Moim zdaniem była to odra, w tych czasach bardzo groźna choroba.

Upierał się, by odejść ze wszystkimi, ale w kilka

godzin później dwóch towarzyszy przyprowadziło go z powrotem. Potykał się i majaczył. Było oczywiste, że to choroba zakaźna. Urządziłam mu wygodne posłanie w nowo wybudowanej i dotychczas pustej szopie na kukurydzę, a potem zmusiłam jego towarzyszy, by umyli się w strumieniu. Uznali to za bezsensowną czynność, ponieważ jednak zostawiali swego towarzysza w moich rękach, chcieli mi sprawić przyjemność i spełnili moje życzenie.

Indianin leżał na boku, zwinięty w kłębek pod kocem. Nie odwrócił się, chociaż musiał słyszeć moje kroki na ścieżce. Ja również go słyszałam, rżenie w jego płucach słyhać było z odległości sześciu kroków, nie potrzebowałam nawet używać prowizorycznego stetoskopu.

- Comment ca va? - zapytałam, przyklękając przy nim. Nie odpowiedział, ale nie było to konieczne. Grzechoczący kaszel w zupełności wystarczał, by stwierdzić zapalenie płuc, a jego wygląd wyraźnie potwierdzał tę diagnozę. Oczy miał otępiełe, twarz zapadniętą, wyżartą do kości przez płomień gorączki.

Próbowałam go namówić, by coś zjadł - bardzo potrzebował wzmocnienia - ale nawet nie odwrócił twarzy. Butelka na wodę przy jego boku była pusta. Przyniosłam mu więcej wody, ale nie dałam mu od razu, w nadziei, że pragnienie skłoni go do przełknięcia lekarstwa.

Wypił trochę, lecz zaraz przestał połykać i z kącików ust pociekły czarnozielone strużki. Próbowałam namówić go po francusku do przełknięcia mikstury, ale nie rozumiał ani słowa w tym języku i w ogóle nie zwracał na mnie uwagi; ponad moim ramieniem wpatrywał się w poranne niebo.

Jego chude ciało zapadło się z rozpaczy. Najwyraźniej uważał, że zostawiono go tu, by umarł wśród obcych. Z niepokojem pomyślałam, że być może ma rację. Byłam pewna, że jeśli nie zażyje żadnego lekarstwa, to umrze.

W każdym razie napił się wody. Pił łączywie i osuszył całą butelkę. Poszłam jeszcze raz do strumienia, by ją ponownie napełnić, a po powrocie wyciągnęłam z kosza amulet i przytrzymałam przed jego twarzą. Wydawało mi się, że pod na wpół przymkniętymi powiekami dostrzegam błysk zdumienia - nie tak wyraźny, by można nazwać go nadzieją, w każdym razie jednak była to pierwsza rzecz, która przyciągnęła jego uwagę.

W przyływie inspiracji opadłam na kolana. Nie miałam pojęcia, jak powinna wyglądać właściwa ceremonia, ale byłam lekarzem już wystarczająco długo, by wiedzieć, że choć siła sugestii nie może zastąpić antybiotyków, z pewnością jest lepsza niż nic. Unosząc do góry amulet z piór kruka, zwróciłam twarz do nieba i uroczyście, podniosłym tonem zaintonowałam pierwsze słowa, jakie przyszły mi do głowy. Przypadkiem była to receptura leku na syfilis, spisana przez doktora Rawlingsa po łacinie. Nalałam na dłoń nieco olejku lawendowego, zanurzyłam w nim pióro i posmarowałam skronie i gardło pacjenta, jednocześnie śpiewając niskim, złowieszczym głosem *Blow the Man Down*. Olejek mógł złagodzić ból głowy.

Oczy Indianina wędrowały za ruchem piór. Czuję się jak grzechotnik, czekający nieruchomo, aż zahipnotyzowana wiewiórka wbiegnie mu prosto do gardła.

Wzięłam go za rękę, wsunęłam w nią zwilżony

olejkiem amulet i zamknęłam na nim jego palce, a potem sięgnęłam po słoik z niedźwiedzim sadłem z domieszką mentolu i malowałam na jego piersi mistyczne wzory, starając się jak najmocniej wetrzeć maść w skórę. Poczułam, że od zapachu oczyszczają mi się zatoki; miałam nadzieję, że mentol oczyści również drogi oddechowe Indianina.

Zakończyłam rytuał uroczystym błogosławieństwem, wygłoszonym nad butelką z lekarstwem: - In nomine Patris, et Filii, et Spiritus Sancti. Amen - i przyłożyłam butelkę do ust pacjenta.

Wydawał się nieco zahipnotyzowany. Otworzył usta i posłusznie wypił resztę.

Okryłam jego ramiona pledem, zostawiłam jedzenie obok posłania i wyszłam, rozdarta między nadzieją a poczuciem, że dopuściłam się oszustwa.

* * *

Szłam powoli wzdłuż strumienia, jak zawsze czujnie wypatrując czegokolwiek, co mogło się okazać użyteczne. Pora roku była jeszcze zbyt wczesna na zbieranie większości roślin leczniczych: im starsza i mocniejsza roślina, tym lepsza - kilka lat walki z insektami zapewnia wyższe stężenie aktywnych składników w korzeniach i łodygach.

Wiele roślin gromadzi pożyteczne substancje w kwiatach, owocach lub nasionach. Widziałam kępy żółwika i lobelii kielkujące w błocie wzdłuż ścieżki, ale było już o wiele za późno na zbieranie nasion. Starannie zapamiętałam to miejsce na przyszłość i szłam dalej.

Rosło tu mnóstwo rukwi wodnej, wszędzie przy

brzegach strumienia widać było ciemnozielone plamy, unoszące się na wodzie między kamieniami. Zobaczyłam jedną z takich połaci tuż przed sobą, a obok rosła spora kępa skrzypu! Przyszłam tu boso, wiedząc, że po chwili i tak będę brodzić w wodzie. Podciągnęłam spódnicę i z nożem w rękę i koszykiem na ramieniu ostrożnie weszłam do lodowato zimnej wody.

Już po chwili zupełnie straciłam czucie w stopach, ale nie zważałam na to. Zupełnie zapomniałam o wężu w wychodku, świni w spiżarni i Indianinie w szopie na kukurydzę, bez reszty zaabsorbowana dotykiem płynącej wody na skórze, zapachem mokrych łądyżek i aromatycznych liści.

W słońcu nad płyciznami wisiały ważki, obok mnie śmigały jaskółki, chwytając owady tak malutkie, że trudno było je dostrzec.

Gdzieś dalej, w górze strumienia, rozlegał się krzyk zimorodka polującego na większą zdobycz. Ptaki rozproszyły się na mój widok, ale zaraz znów zbiły się w stado: srebrzystoszare, zielone, złote, czarne z białymi smugami, równie niematerialne jak unoszące się na wodzie cienie zeszlórocznych liści. Ruchy Browna, pomyślałam, patrząc na kępy sitowia unoszące się dokoła moich kostek, schronienie dla ryb.

Wszystko, aż po najmniejsze molekuly, pozostawało w nieustannym ruchu, który paradoksalnie stwarzał wrażenie bezruchu; mały lokalny chaos ustępował przed iluzją większego porządku. Ja również się poruszałam, brałam udział w jasnym tańcu strumienia, czułam, jak światło i cienie przesuwają się po moich ramionach, a palce

stóp szukają oparcia między śliskimi, na wpół widocznymi kamieniami. Dłonie i stopy miałam odrętwiałe od wody, czułam się, jakbym była zrobiona z drewna, a mimo to pełna życia, jak srebrna brzoza, która lśniła nad moją głową, albo wierzby zanurzające mokre liście w wodzie.

Przyszło mi do głowy, że może stąd właśnie wywodzą się legendy o zielonych ludziach i mity o nimfach: nie od drzew, które ożyły i zaczęły chodzić, ani od kobiet zamienionych w drewno, lecz od zanurzenia ciepłego ludzkiego ciała w chłodniejszą zmysłowość roślin, od spowolnienia świadomości.

Serce biło mi powoli, pulsowanie krwi w palcach było niemal bolesne, soki wznosiły się coraz wyżej. Poruszałam się w jednym rytmie z wodą i wiatrem, bez pośpiechu i bez świadomych myśli, wtapiając się w powolny, doskonały porządek wszechświata.

Zupełnie zapomniałam o lokalnych ogniskach chaosu.

Dochodząc do zakrętu, przy którym rosły wierzby, usłyszałam zza drzew głośny pisk. Wiele gatunków zwierząt, od kotów aż po orły, mogło wydawać podobne dźwięki, ale potrafiłam jeszcze rozpoznać ludzki głos. Wybiegłam ze strumienia i przeciśnęłam się przez gąszcz splątanych gałęzi na polanę za wierzbami. Na wysokim brzegu nade mną jakiś chłopak wykonywał dziwny taniec: jak szalenięc skakał z miejsca na miejsce, wałąc się rękami po nogach i wyjąc.

- Co...? - wykrztusiłam.

Podniósł na mnie wzrok i w jego błękitnych oczach pojawiło się zdumienie, ale z nas dwojga to ja byłam

bardziej zaskoczona.

Mógł mieć jedenaście lub dwanaście lat, był wysoki i szczupły jak młoda sosna, z potarganą szopą gęstych, brązoworudych włosów.

Znad nosa z garbkiem, którego kształt był mi równie dobrze znajomy jak kształt własnych dłoni, patrzyły na mnie skośne, niebieskie oczy.

Serce podeszło mi wysoko do gardła i poczułam chłód rozprzestrzeniający się po całym ciele. To niemożliwe, powtarzałam sobie, a jednocześnie wiedziałam, że tak właśnie jest. Potrafiłam zachować zimną krew pomimo szoku, toteż zdołałam zauważyć pozostałe elementy jego powierzchowności - koszulę i spodnie dobrej jakości, choć w tej chwili przemoczone, oraz długie, blade łydki pokryte czarnymi naroślami, przypominającymi grudki błota.

- To tylko pijawki - stwierdziłam z zawodowym spokojem. - Nie zrobią ci krzywdy.

- Wiem, co to jest! - zawołał i znów uderzył się w łydkę, wzdrygając się z odrazy. - Proszę je ze mnie zdjąć, są obrzydliwe!

Powoli zaczynałam odzyskiwać kontrolę nad emocjami.

- Nie tak całkiem obrzydliwe. Są również pożyteczne.

- Nic mnie to nie obchodzi! - zawył chłopak, tupiąc nogami z frustracji. - Nienawidzę ich, proszę je ze mnie zdjąć!

- To przestań w nie walić - odrzekłam ostro. - Usiądź, a ja się tym zajmę.

Zawahał się, patrząc na mnie podejrzliwie, ale usiadł na kamieniu i wyciągnął przed siebie pokryte pijawkami nogi.

- Proszę je natychmiast zdjąć - powtórzył.

- W swoim czasie - odrzekłam. - Skąd przyjechałeś?

Popatrzył na mnie bez wyrazu.

- Nie mieszkasz w tej okolicy - stwierdziłam z absolutną pewnością. - Skąd przybyłeś?

Poczynił wyraźny wysiłek, by wziąć się w garść.

- Hm... trzy dni temu nocowaliśmy w miejscu, które nazywa się Salem. To było ostatnie miasto, jakie widziałem.

- Znów pomachał nogami. - Proszę je wreszcie zdjąć!

Istniało kilka metod pozbycia się pijawek, przy czym niektóre z nich mogły wyrządzić większe szkody niż same pijawki. Obejrzałam je z bliska. Na jednej nodze miał cztery, a na drugiej trzy. Jedna z nich była już napęczniała i okrągła, błyszcząca od napięcia. Wsunęłam pod nią paznokieć kciuka i oderwałam od nogi. Została mi na dłoni - okrągła jak kamyk i ciężka od krwi.

Chłopiec popatrzył na nią, pobladł pod opalenizną i wzdrygnął się.

- Nie chcę jej zmarnować - powiedziałam spokojnie i poszłam po koszyk, który zostawiłam pod gałęziami drzew.

W pobliżu na ziemi zobaczyłam jego porzucony żakiet, buty i pończochy. Sprzączki na butach były proste, lecz srebrne, nie cynowe.

Materiał nie był ostentacyjnie efektowny, lecz dobrej jakości, a krój bardziej stylowy niż ten, który można było spotkać gdziekolwiek na północ od Charlestonu. Właściwie nie potrzebowałam potwierdzenia, ale oto miałam je przed

oczami.

Zgarnęłam garść błota, delikatnie wcisnęłam weń pijawkę i owinęłam wszystko w mokre liście. Dopiero wtedy zauważyłam, że ręce mi drżą. Co za dureń, podstępny, złośliwy intrygant! Co go tu, do diabła, przywiodło? I, Boże drogi, co zrobi Jamie?

Wróciłam do chłopca, który z nisko pochyloną głową wpatrywał się w pozostałe pijawki z wyrazem nieopisanego wstrętu. Jeszcze jedna gotowa była odpaść; ledwie przed nim przyklęłam, zrobiła to i zakołysała się lekko na wilgotnej ziemi.

- Błee - wykrzywił się chłopak.

- Gdzie jest twój ojczym? - zapytałam bez wstępow. Niewiele rzeczy mogło w tej chwili oderwać jego uwagę od pijawek, ale pytanie zadziałało. Poderwał głowę i popatrzył na mnie ze zdumieniem. Choć dzień był chłodny, zauważyłam na jego twarzy kilka kropelek potu. Twarz miał węższą w policzkach i skroniach, a usta zupełnie inne. Być może podobieństwo nie było aż tak wyraźne, jak mi się wcześniej wydawało.

- Skąd pani mnie zna? - zapytał z godnością, która w innych okolicznościach wydawałaby się niezmiernie zabawna.

- Wiem tylko tyle, że masz na imię William. Czy się nie mylę?

Dłonie przy bokach same zwinęły mi się w pięści. Miałam nadzieję, że się mylę. Jeśli to był William, to wiedziałam o nim nieco więcej.

Zapomniał o pijawkach i z zaróżowioną twarzą przebiegał po mnie wzrokiem, zdumiony familiarnością, z

jaką zwraca się do niego kobieta, która... naraz uświadomiłam sobie, że spódnicę wciąż mam owiniętą dookoła ud i wyglądam jak niechlujna wiedźma. Albo był tak dobrze wychowany, albo też rozdźwięk między moim głosem a wyglądem nakazał mu ostrożność, bo przełknął pierwszą odpowiedź, jaka cisnęła mu się na usta.

- Tak, to prawda - odrzekł krótko - jestem William, wicehrabia Ashness, dziewiąty earl Ellesmere.

- Mój Boże, aż tyle tego? - zapytałam grzecznie. Chwyciłam jedną z pijawek między kciuk i palec wskazujący i lekko pociągnęłam.

Rozciągnęła się jak gruba gumka, ale nie puściła. Razem z nią wyciągnęło się blade ciało chłopaka. William wydał z siebie dziwny dźwięk, jakby się dusił.

- Proszę ją puścić - powiedział - bo przerwie ją pani i pięknie na pół.

- To możliwe - przyznałam. Wstałam, opuściłam spódnicę i wyciągnęłam do niego rękę. - Chodź ze mną, zabiorę cię do domu.

Trzeba je posypać solą, wtedy natychmiast odpadną.

Nie przyjął mojej ręki, ale podniósł się na nogi i drżąc nieco, rozejrzał się dokoła, jakby kogoś szukał.

- Tato - wyjaśnił na widok mojego wyrazu twarzy. - Zgubiliśmy się i kazał mi poczekać przy strumieniu, a sam poszedł poszukać drogi. Nie chciałbym, by się niepokoił, gdy mnie tu nie znajdzie po powrocie.

- Nie martw się o to - odrzekłam. - Sądzę, że do tej pory sam już znalazł dom. To nie jest daleko.

Nasz dom był jedyny w okolicy i znajdował się na końcu dobrze wydeptanej ścieżki. Najwidoczniej lord John

zostawił chłopca nad strumieniem, a sam poszedł naprzód, by ostrzec Jamiego. To było bardzo rozsądne z jego strony. Bezwiednie zacisnęłam usta.

- Czy to dom Fraserów? - zapytał chłopiec. Szedł, rozsuwając szeroko nogi, by łydki nie ocierały się o siebie. - Przyjechaliśmy w odwiedziny do Jamesa Fräsera.

- Nazywam się Fraser - uśmiechnęłam się do niego. Mogłam dodać: „I jestem twoją macochą” - ale nie zrobiłam tego. - Chodź ze mną.

Szedł za mną do domu w takim pośpiechu, że niemal deptał mi po piętach. Nie patrzyłam pod nogi i co chwilę potykałam się o korzenie i zagrzebane w ziemi kamienie, przez cały czas walcząc z chęcią, by się obrócić i patrzeć na niego. William, wicehrabia Ashness, dziewiąty earl Ellesmere, był chyba ostatnią osobą, jaką spodziewałam się kiedykolwiek ujrzeć na naszym odludziu w Karolinie Północnej.

Chyba tylko widok króla Jerzego na progu naszego domu mógłby zdziwić mnie bardziej.

Co opętało tego... tego... Nie mogłam się zdecydować, jaki epitet najlepiej określałby lorda Johna Greya. W końcu porzuciłam te rozważania i zaczęłam się zastanawiać, co na litość boską powinnam teraz zrobić, ale ten temat również nie był zbyt obiecujący, nie mogłam bowiem zrobić zupełnie nic.

William, wicehrabia Ashness, dziewiąty earl Ellesmere. W każdym razie był przekonany, że nim jest. I co poczniesz, pomyślałam wrogo pod adresem lorda Johna Greya, jeśli chłopak się dowie, że tak naprawdę jest nieprawym synem szkockiego kryminalisty? A jeszcze

istotniejsze było pytanie: co wtedy zrobi ów szkocki kryminalista?

Albo co poczuje?

Zatrzymałam się. William musiał gwałtownie wyhamować i potknął się.

- Przepraszam - wymamrotałam. - Wydawało mi się, że widzę węża.

Ruszyłam dalej. Myśl, która zatrzymała mnie w pół kroku, wciąż leżała mi ciężarem na żołądku jak funt niedojrzałych jabłek. Czyżby lord John przywiózł tu chłopca dlatego, że chciał wyjawić mu prawdę o jego pochodzeniu? Czy chciał go tu zostawić z Jamiem, z nami?

Ten pomysł był niepokojący, lecz zupełnie nie pasował do człowieka, którego poznałam na Jamajce. Miałam swoje powody, by nie lubić Johna Greya. W każdych okolicznościach z trudnością przyszedłoby mi zdobyć się na życzliwe uczucia wobec mężczyzny, który żywił wyraźną skłonność do mojego męża, ale musiałam przyznać, że w charakterze Greya nie dostrzegałam lekkomyślności ani okrucieństwa. Przeciwnie, sprawił na mnie wrażenie dobrego, wrażliwego i uczciwego człowieka, w każdym razie dopóki nie dowiedziałam się o jego uczuciach wobec Jamiego.

Czy coś się wydarzyło? Może chłopcu coś groziło i lord John zaczął się obawiać o jego bezpieczeństwo? Z pewnością nie chodziło o to, że ktoś poznał prawdę o pochodzeniu Williama, o tym bowiem wiedzieli tylko lord John i Jamie. No i oczywiście ja, dodałam po chwili w myślach. Bez dowodu w postaci fizycznego podobieństwa - znów powstrzymałam chęć, by się odwrócić i przyjrzeć

dokładnie - nie było najmniejszych powodów do podejrzeń.

Ale jeśli staną obok siebie... no cóż, wkrótce miałam sama się przekonać. Na tę myśl poczułam dziwną pustkę w piersi, coś pośredniego między lękiem a wyczekiwaniem. Czy podobieństwo rzeczywiście było tak duże, jak mi się wydawało?

Prowadziłam go nieco okrężną drogą, przez kępę dereni o nisko zwieszających się gałęziach, dzięki czemu zyskałam pretekst, by się odwrócić i na niego poczekać. Wszedł spomiędzy drzew i pochylił się niezgrabnie, by podnieść but ze srebrną sprzączką, który spadł mu z nogi.

Nie, pomyślałam, przyglądając mu się ukradkiem, gdy się prostował z zarumienioną twarzą. Podobieństwo nie rzucało się w oczy aż tak, jak wydawało mi się w pierwszej chwili, choć było widać, że w przyszłości układ jego twarzy upodobni się do układu twarzy Jamiego - zarysy kości były podobne, choć cała reszta na razie zupełnie inna. Zapowiadał się na bardzo wysokiego mężczyznę. Już teraz był mniej więcej tego wzrostu co ja, chudy i niezgrabny.

Kończyny miał bardzo długie i tak szczupłe, że wydawały się kruche.

Był również znacznie ciemniejszy od Jamiego. Jego włosy, połyskujące rudo w plamach słońca między drzewami, miały ciemnokasztanowy kolor, zupełnie inny od rudozłotych włosów Jamiego, a skóra od słońca przybrała miękki, złocistobrazowy odcień, również niepodobny do ciemnego brązu na twarzy ojca.

Miał jednak skośne, kocie oczy Fraserów, można było także dostrzec pewne podobieństwo w sposobie trzymania głowy, pochyleniu szczupłych ramion. Właśnie to

podobieństwo sprawiło, że pomyślałam o...

O Bree. Poczułam szok, jakby poraził mnie prąd elektryczny.

Owszem, William był trochę podobny do Jamiego, ale gdy go zobaczyłam, poznałam go od razu, bo przypomniła mi się Brianna.

Był od niej tylko o dziesięć lat młodszy i dziecięce rysy jego twarzy znacznie bardziej przypominały jej twarz niż twarz Jamiego.

Na chwilę pozostał z tyłu, zajęty wyplątywaniem pasma długich włosów spomiędzy gałęzi.

- Czy jeszcze daleko? - zapytał, zrównując się ze mną. Twarz miał ożywioną od wysiłku, ale wciąż wydawał się trochę nieswój i starał się omijać wzrokiem własne nogi.

- Nie. - Wskazałam na kępę kasztanowców. - To tam. Popatrz, widać już dym z komina.

Nie czekał, aż go poprowadzę, lecz szybko ruszył naprzód, pragnąc jak najprędzej pozbyć się pijawek. Ja również przyspieszyłam kroku. Nie chciałam, by dotarł do chaty przede mną. Mieszały się we mnie najrozmaitsze niepokojące uczucia: przede wszystkim lęk o Jamiego, następnie złość na Johna Greya, jeszcze dalej ciekawość, a na samym spodzie, tak głęboko ukryte, że prawie udawało mi się go nie zauważać, ukłucie silnej tęsknoty za córką. Sądziłam, że już nigdy nie zobaczę jej twarzy.

Gdy zbliżyliśmy się do domu, Jamie i lord John siedzieli na ławce przy drzwiach. Jamie miał czas, by się przygotować. Prześlizgnął się wzrokiem po chłopcu i zwrócił się do mnie:

- Widzę, Claire, że znalazłaś naszego drugiego

gościa. Wysłałem Iana po ciebie. Pamiętasz chyba lorda Johna?

- Jak mogłabym zapomnieć? - odrzekłam, rzucając jego lordowskiej mości szczególnie promienny uśmiech. Usta Greya drgnęły lekko, ale nie zmienił wyrazu twarzy i skłonił się nisko. Nie potrafiłam pojąć, jakim sposobem potrafił się zdobyć na nienaganne maniery po kilku dniach spędzonych na końskim grzbiecie i kilku nocach przespanych w lesie.

- Do usług, pani Fraser - rzekł. Spojrzał na chłopca i na widok jego stanu lekko zmarszczył czoło. - Pozwoli pani przedstawić sobie mojego pasierba, lorda Ellesmere. Williamie, widzę, że poznałeś już naszą gospodynię. Zechcesz również przywitać się z naszym gospodarzem, kapitanem Fraserem.

Chłopiec przestępował niepewnie z nogi na nogę, widać było, że najchętniej stanąłby na czubkach palców.

- Do usług, kapitanie - skłonił się Jamiemu i rzucił mi spojrzenie przepełnione cierpieniem.

- Wybaczcie nam, panowie - rzekłam uprzejmie. Wzięłam chłopca pod ramię, poprowadziłam do chaty i zamknęłam drzwi tuż przed zaskoczonymi twarzami mężczyzn. William natychmiast usiadł na stołku, który mu wskazałam, i drżąc, wyciągnął przed siebie nogi.

- Szybciej - powiedział. - Och, proszę się pospieszyć.

Nie było zmielonej soli. Wzięłam nóż i w pośpiechu odrąbałam z dużego bloku kawałek, który następnie wrzuciłam do moździerza i kilkoma szybkimi uderzeniami tłuczka rozbiłam na mniejsze grudki.

Posypałam pijawki solą, rozkruszając grudki między palcami.

- To dość brutalny dla nich sposób, ale skuteczny - wyjaśniłam, przyglądając się, jak pierwsza z pijawek zaczyna się zwijać w kulkę.

Puściła i stoczyła się z nogi Williama, a za nią potoczyły się następne, wijąc się na podłodze w powolnej agonii. Zgarnęłam ich malutkie ciała i wrzuciłam do ognia, a potem przyklękłam przed chłopcem z taktownie pochyloną głową, czekając, aż odzyska panowanie nad sobą. - Pozwól, że zajmę się śladami. - Po nogach chłopca spływały cienkie strużki krwi. Otarłam je czystą szmatką, a potem przemyłam octem i naparem z dziurawca, żeby powstrzymać krwawienie.

Osuszyłam jego łydki i usłyszałam głębokie westchnienie ulgi.

- To nie to, że boję się krwi - rzekł nonszalanckim tonem, który wyraźnie świadczył o czymś przeciwnym. - Ale to takie obrzydliwe stworzenia.

- Tak, są paskudne - zgodziłam się. Zanurzyłam w wodzie kawałek czystego płótna i otarłam jego brudną twarz, a potem, nie pytając go o zgodę, sięgnęłam po szczotkę i zaczęłam rozczesywać splątane włosy.

Wydawał się kompletnie zaskoczony moją bezceremonialnością, ale choć w pierwszej chwili usztywnił się nieco, nie protestował, a gdy zaczęłam czesać mu włosy, westchnął cicho i rozluźnił ramiona. Skóra na jego głowie, przyjemnie ciepła jak skóra zwierzęcia, rozgrzewała moje wciąż zziębnięte palce. Kasztanowe włosy były bardzo gęste i trochę falujące. Na czubku głowy miał gniazdo, delikatny

wir, na którego widok zakręciło mi się w głowie. Jamie miał takie samo gniazdo w tym samym miejscu.

- Zgubiłem wstążkę - powiedział, rozglądając się dokoła niepewnie, jakby sądził, że wstążka lada chwila wyłoni się ze skrzyni na chleb albo z kałamarza z inkaustem.

- To nic, pożyczę ci inną. - Związałam mu włosy kawałkiem żółtej wstążki. Wzbudzał we mnie dziwną opiekuńczość.

Dowiedziałam się o jego istnieniu zaledwie przed kilku laty i jeśli przez ten czas w ogóle o nim myślałam, powodowało mną tylko uczucie ciekawości zabarwione odrobiną niechęci. Ale teraz coś - być może podobieństwo do mojego własnego dziecka lub do Jamiego, albo po prostu fakt, że w jakiś sposób zaopiekowałam się nim - wzbudziło we mnie dziwne uczucie przynależności i troski.

Usłyszałam wybuch śmiechu przed domem i moja irytacja na Johna Greya wróciła z całą siłą. Dlaczego narażał Jamiego i Williama na takie ryzyko, po co przyjechał w tę głuszę, która zupełnie nie pasowała do człowieka jego pokroju?

Drzwi otworzyły się i Jamie wsunął głowę do środka.

- Nic ci nie będzie? - zapytał, zatrzymując wzrok na chłopcu. Na jego twarzy malowało się uprzejme zainteresowanie, lecz dłoń oparta o framugę drzwi była mocno zaciśnięta, a mięśnie napięte jak struna harfy; gdybym go dotknęła, pewnie wydałby z siebie jęśliwy dźwięk.

- Wszystko w porządku - odparłam zyczliwie. - Czy

sądziysz, że lord John miałby ochotę coś zjeść?

Nastawiłam wodę na herbatę i wzdychając w duchu, wyciągnęłam ostatni kawałek chleba, którego zamierzałam użyć do następnej rundy eksperymentów z penicyliną. Wyjęłam z kredensu ostatnią butelkę brandy, odnosząc wrażenie, że sytuacja tego wymaga. Postawiłam na stole garnuszek z dżemem i wyjaśniłam, że masło niestety znajduje się pod kuratelą świni.

- Świni? - zdziwił się William.

- W spiżarni - odrzekłam, wskazując głową na zamknięte drzwi.

- Dlaczego trzymacie... - zaczął, ale nagle wyprostował się i zamknął usta. Widocznie ojczym, który właśnie uśmiechał się szeroko znad brzegu kubka, kopnął go pod stołem.

- Bardzo dziękujemy za gościnne przyjęcie, pani Fraser - oznajmił lord John, rzucając pasierbowi ostrzegawcze spojrzenie. - Przepraszam za ten niespodziewany najazd. Mam nadzieję, że nie sprawiamy wam zbyt wiele kłopotu.

- Absolutnie żadnego - odrzekłam, zastanawiając się, gdzie mam ich położyć spać. William mógł pójść do szopy z lanem, nie było to gorsze niż spanie pod gołym niebem, jednak myśl o dzieleniu łóżka z Jamiem, podczas gdy lord John miałby spać na wysuwanej pryczy na wyciągnięcie ręki od nas...

Ale właśnie w tej chwili pojawił się Ian, który zawsze nieomylnie wyczuwał pory posiłków. Został przedstawiony gościom, po czym wśród zamętu wyjaśnień i ukłonów przewrócił kociołek z wodą. Pod pretekstem tej

niewielkiej katastrofy wysłałam Iana, by pokazał Williamowi atrakcje w postaci lasu i strumienia, dałam im paczkę kanapek z dżemem i butelkę cydru, a potem, uwolniona od ich krępującej obecności, nalałam brandy do kubków, usiadłam i popatrzyłam badawczo na Johna Greya.

- Co pan tu robi? - zapytałam bez wstępów.

Bardzo szeroko otworzył jasnoniebieskie oczy, potem opuścił długie rzęsy i z rozmysłem zatrzepotał nimi w moją stronę.

- Zapewniam panią, że nie przybyłem tu z zamiarem uwiedzenia pani męża.

- John! - Jamie uderzył pięścią w stół tak mocno, że kubki zagrzechotały. Policzki miał czerwone, a cała twarz wyrażała zażenowanie i wściekłość.

- Przepraszam. - Grey dla odmiany pobladł, poza tym wydawał się zupełnie spokojny. Po raz pierwszy przyszło mi do głowy, że czuje się równie skrępowany tym spotkaniem jak Jamie.

- Najmocniej panią przepraszam, madame - rzekł z krótkim skinieniem głowy. - To było niewybaczalne. Chciałbym jednak zauważyć, że od pierwszego naszego spotkania patrzy pani na mnie takim wzrokiem, jakby znalazła mnie pani w rynsztoku obok jakiegoś przybytku dla pederastów. - Przez jego twarz przeleciał szybki płomień.

- Przepraszam - westchnęłam. - Proszę następnym razem uprzedzić mnie nieco wcześniej, a postaram się przeciwyczyć swoje zachowanie.

Podniósł się i stanął przy oknie, zwrócony plecami do wnętrza chaty, z dłońmi opartymi o parapet. Nastąpiła chwila niezręcznej ciszy. Nie chciałam patrzeć na Jamiego,

wolałam udawać wielkie zainteresowanie butelką nasion kopru, która stała na stole.

- Moja żona zmarła - rzekł nagle - na statku płynącym z Anglii na Jamajkę. Zamierzała do mnie dołączyć.

- Przykro mi to słyszeć - rzekł Jamie cicho. - Czy chłopak był z nią?

- Tak. - Lord John odwrócił się i oparł plecami o parapet.

Wiosenne słońce otaczało aureolą jego schludną głowę. - Willie był bardzo przywiązany do Isobel. To jedyna matka, jaką znał od urodzenia.

Prawdziwa matka Williego, Geneva Dunsany, zmarła przy porodzie, a jego rzekomy ojciec, earl Ellesmere, zginął tego samego dnia w wypadku. Tyle wiedziałam od Jamiego. Wiedziałam również, że osieroconym chłopcem zaopiekowała się siostra Genevy, Isobel, z którą John Grey ożenił się, gdy Willie miał około sześciu lat. Mniej więcej w tym samym czasie Jamie przestał pracować u Dunsanych.

- Bardzo mi przykro - powiedziałam szczerze i nie dotyczyło to tylko śmierci jego żony.

Zerknął na mnie i ledwie dostrzegalnie skinął głową.

- Moja kadencja jako gubernatora dobiegała już końca i pomyślałem, że może osiedlę się na wyspie, o ile klimat będzie odpowiadał mojej rodzinie, ale przy tym stanie rzeczy... - wzruszył ramionami. - Willie był w rozpacz po stracie matki i wydawało mi się, że dobrze będzie zwrócić jego umysł ku czemuś innemu. Okazja pojawiła się niemal natychmiast: majątek mojej żony obejmował dużą posiadłość w Wirginii, która przypadła w

spadku Williamowi. Po śmierci Isobel otrzymałem list od faktora z plantacji, który oczekiwał instrukcji.

Odsunął się od okna i powoli podszedł do stołu.

- Nie mogłem podjąć żadnych decyzji co do losu plantacji, nie obejrzawszy jej najpierw, toteż postanowiłem, że popłyniemy do Charlestonu, a stamtąd łądem dotrzemy do Wirginii. Miałem nadzieję, że nowe doświadczenia pozwolą Williamowi zapomnieć o rozpaczce, i z przyjemnością zauważam, że chyba tak się stało. W ciągu ostatnich tygodni w znacznym stopniu odzyskał pogodę ducha.

Otworzyłam usta, by zauważyć, że Fraser's Ridge leży mimo wszystko w znacznej odległości od jego trasy, ale po zastanowieniu nie powiedziałam nic. Grey chyba jednak odgadł, o czym myślę, uśmiechnął się bowiem do mnie ironicznie. Przyszło mi do głowy, że naprawdę powinnam coś zrobić ze swoją twarzą. To, że Jamie zwykle czytał w moich myślach, właściwie mi nie przeszkadzało, ale gdy obcy ludzie wchodzili do domu i dokładnie wiedzieli, co myślę, to było całkiem co innego.

- Gdzie jest ta plantacja? - zapytał Jamie nieco bardziej taktownie, choć miał na myśli to samo co ja.

- Najbliższą osadą jest Lynchburg nad rzeką James. - Lord John wciąż patrzył na mnie cierpko, lecz odzyskiwał już dobry humor. - W gruncie rzeczy musieliśmy zboczyć z drogi zaledwie o kilka dni, by was odwiedzić. - Skupił uwagę na Jamiem i lekko zmarszczył czoło. - Powiedziałem Williemu, że jesteś moim starym znajomym z wojska.

Mam nadzieję, że nie masz nic przeciwko temu drobnemu kłamstwu?

Jamie pokręcił głową, unosząc kącik ust.

- Kłamstwo, tak? Wydaje mi się, że w tych okolicznościach nie mógłbym żywić do ciebie urazy, jakkolwiek byś mnie nazwał. A ten akurat opis jest wystarczająco prawdziwy.

- On chyba cię nie pamięta? - zapytałam, wiedząc, że po powstaniu jakobitów Jamie, jako jeniec wojenny, był koniuszym w rodzinie Williego.

Zawahał się, ale po chwili zaprzeczył ruchem głowy.

- Raczej nie. Miał zaledwie sześć lat, gdy wyjechałem z Helwater. Dla takiego chłopaka to połowa życia i drugi koniec świata.

Nie ma żadnego powodu, by przypomniał sobie koniuszego o nazwisku MacKenzie, a tym bardziej połączył to nazwisko ze mną.

Willie z całą pewnością nie poznał Jamiego, ale był zbyt zaabsorbowany pijawkami, by zwracać uwagę na kogokolwiek. Naraz coś mi przyszło do głowy.

- Proszę mi powiedzieć - zwróciłam się do lorda Johna, który bawił się wyjętą z kieszeni tabakierką - nie chciałabym pana przygnębiać, ale czy wie pan dokładnie, na co zmarła pańska żona?

- Na co? - Wydawał się zaskoczony tym pytaniem, jednak opanował się natychmiast. - Zmarła na krwawą gorączkę. Tak powiedziała jej pokojówka - skrzywił usta. - Sądzę, że to nie była lekka śmierć.

Aha, pomyślałam. Krwawa gorączka. To mogło oznaczać wszystko, od czerwonki wywołanej przez amebę aż po cholereę.

- Czy był na pokładzie lekarz albo ktoś inny, kto się

nią zajmował?

- Był - odrzekł Grey nieco ostro. - Co chce pani powiedzieć?

- Nic - wzruszyłam ramionami. - Zastanawiałam się tylko, czy to tam Willie widział, jak się używa pijawek.

Przez jego twarz przeleciał błysk zrozumienia.

- Ach, tak. Nie pomyślałam...

W tym momencie zauważyłam Iana, który niepewnie stał w drzwiach, najwyraźniej nie chcąc nam przeszkadzać w rozmowie, choć po jego twarzy widać było, że ma jakąś pilną sprawę.

- Potrzebujesz czegoś, Ian? - zapytałam, przerywając lordowi Johnowi. Pokręcił głową, zarzucając brązowymi włosami.

- Nie, ciociu, dziękuję, tylko że... - rzucił bezradne spojrzenie na Jamiego - bardzo mi przykro, wujku, wiem, że nie powinienem mu na to pozwolić, ale...

- Co się stało? - Zaalarmowany tonem Iana, Jamie zerwał się na równe nogi. - Coś ty zrobił?

Chłopak z zażenowaniem splótł wielkie dłonie, wyłamując kostki.

- Rozumiesz, wujku, jego lordowska mość pytał o wychodek, więc powiedziałem mu o wężu i że lepiej będzie, jeśli pójdzie do lasu.

I poszedł. Ale potem chciał zobaczyć tego węża i...

- Chyba nie ukąsił go wąż? - przeraził się Jamie. Lord John, który wyraźnie zamierzał zapytać o to samo, spojrzał na niego szybko.

Na twarzy Iana odbiło się zdziwienie.

- Och, nie. Zaczęło się od tego, że nie mogliśmy go

dostrzec, bo pod spodem było za ciemno, więc podnieśliśmy ławkę, żeby lepiej widzieć. No i zobaczyliśmy go, i trochę poszturchaliśmy go długą gałęzią, aż zaczął się rzucać w jedną i w drugą stronę, ale wyglądało na to, że nie ma zamiaru gryźć, i... - Ian zaryzykował spojrzenie na lorda Johna i z trudem przełknął ślinę. - To przeze mnie - rzekł bohatersko, prostując ramiona, by godniej przyjąć na siebie winę. - Powiedziałem, że wcześniej myślałem o tym, żeby go zastrzelić, ale nie chcieliśmy tracić prochu. A wtedy jego lordowska mość powiedział, że przyniesie z juków przy siodle pistolet swojego taty i załatwi to od razu.

- Ian - wycodził Jamie przez zęby - w tej chwili przestań pleść i powiedz mi od razu, co zrobiłeś z chłopakiem. Mam nadzieję, że nie zastrzeliłeś go przez pomyłkę.

- Oczywiście, że nie! - wykrzyknął Ian z urazą.

Lord John zakaszłał uprzejmie, kładąc kres dalszym wyrzutom.

- Może byłbyś tak miły i powiedział mi, co się w tej chwili dzieje z moim synem?

Ian wziął głęboki oddech i wyraźnie polecił swoją duszę Bogu.

- Jest na dnie wychodka - wyjaśnił. - Wujku Jamie, czy masz kawałek sznura?

Z godną podziwu oszczędnością słów i ruchów Jamie w dwóch krokach dopadł do drzwi i zniknął, a lord John poszedł w jego ślady.

- Czy on tam jest razem z węzem? - zapytałam, szybko przerzucając zawartość kosza na bieliznę w poszukiwaniu czegoś, czego można by użyć jako opaski

uciskowej.

- Ależ nie, ciociu - zapewnił mnie Ian. - Chyba nie myślisz, że bym go zostawił, gdyby wąż wciąż tam był? Pójdę im pomóc - dodał i również zniknął.

Wybiegłam za nim. Jamie i lord John stali ramię w ramię w drzwiach wychodka, prowadząc konwersację z wnętrzem. Wspięłam się na palce, by spojrzeć ponad ramieniem lorda Johna, i zauważyłam koniec długiego, hikorowego drąga, sterczący na kilkanaście centymetrów nad brzegiem podłużnego otworu. Wstrzymałam oddech. Próbując wydostać się z pułapki, lord Ellesmere poruszył całą zawartość wychodka; odór sparaliżował rżęski mojej służówki w nosie.

- Mówi, że nic mu się nie stało - zapewnił mnie Jamie. Odwrócił się od dziury i zdjął z ramienia zwój liny.

- To dobrze, ale gdzie jest wąż? - Zajrzałam nerwowo do środka, jednak nie zobaczyłam nic prócz srebrzystych cedrowych desek i ciemnej głębi otworu.

- Uciekł tędy - wyjaśnił Ian, wskazując na ścieżkę, którą przyszłam. - Jego lordowskiej mości nie udało się strzelić czysto, więc szturchnąłem go trochę gałęzią i ten drań rzucił się na mnie.

Przestraszył mnie tak, że wrzasnąłem i puściłem gałąź i zderzyłem się z jego lordowską mością, no i właśnie tak się to stało - dokończył bezradnie. Unikając wzroku Jamiego, podszedł do dziury, pochylił się nad nią i wykrzyknął: - Hej! Cieszę się, że nie złamałeś sobie karku!

Spojrzenie, które rzucił mu Jamie, wyraźnie mówiło, że jeśli ktoś wyjdzie z tego ze złamanym karkiem... Powstrzymał się jednak od dalszych uwag i skupił się na

wyciągnięciu Williama z pułapki. Tym razem poszło gładko i przyszyły snajper wydostał się na zewnątrz, czepiając się liny jak gąsienica na sznurku.

Na szczęście warstwa odchodów była wystarczająco gruba, by zamortyzować upadek. Sądząc po tym, jak wyglądał, dziewiąty earl Ellesmere wylądował twarzą w dół. Lord John przez chwilę stał w milczeniu, mierząc wzrokiem stojące przed nim zjawisko. Otarł usta wierzchem dłoni, próbując ukryć uśmiech albo może zatkać nos, i jego ramiona zaczęły się trząść.

- Co nowego w podziemiach, Persefono? - zapytał drżącym głosem, niezdolny powstrzymać śmiechu.

Spod brązowej maski na twarzy jego lordowskiej mości łypnęła na niego złowrogo para skośnych, niebieskich oczu. Było to spojrzenie tak typowe dla Fraserów, że na ten widok przeszył mnie dreszcz. Ian, stojący obok, drgnął i szybko przeniósł wzrok z earla na Jamiego, a potem popatrzył na mnie i przybrał wyraz doskonałej, nienaturalnej obojętności.

Jamie powiedział coś po grecku, na co lord John odpowiedział w tym samym języku, i naraz obydwaj zaczęli się śmiać jak szaleni.

Podchwyciłam spojrzenie Jamiego. Wciąż trzęsąc się z śmiechu, uznał za stosowne mnie oświecić.

- Epicharm - wyjaśnił. - W wyroczni delfickiej ci, którzy szukali oświecenia, wrzucali do przepaści martwego pytona, a potem krążyli dokoła, wdychając zapach rozkładającego się węża.

- Dusza w stronę niebios, a ciało do ziemi - zadeklamował lord John z szerokim gestem.

William odetchnął głęboko przez nos, tak samo jak Jamie w chwilach, gdy już nie mógł czegoś wytrzymać. Ian znów drgnął.

Dobry Boże, pomyślałam, znów zdenerwowana, czy ten chłopak niczego nie wzięł po matce?

- Czy w rezultacie swojego ostatniego doświadczenia m - mistycznego uzyskałeś jakiś wgląd duchowy, Williamie? - wyjąkał lord John, bezskutecznie usiłując zapanować nad śmiechem. Obydwaj z Jamiem byli mocno czerwoni. Sądziłam, że pewien wpływ na to miało również rozładowanie napięcia oraz brandy.

Jego lordowska wysokość, ciskając pioruny z oczu, ściągnął z szyi żabot i z chlupotem rzucił go na ziemię. Ian zaczął nerwowo chichotać. Moje mięśnie brzucha również drżały od napięcia, ale zauważyłam, że fragmenty odkrytej skóry pod kołnierzem Williama przybrały kolor dojrzałych pomidorów. Wiedząc aż zbyt dobrze, co się zwykle dzieje z Fraserem, którego zirytowano do tego stopnia, doszłam do wniosku, że czas już przerwać tę zabawę.

- Uhm - odchrząknęłam. - Pozwólcie, panowie... choć nie jestem biegła w greckiej filozofii, to jednak znam na pamięć pewien epigram.

- Podalam Williamowi garnek ługowego mydła, które przyniosłam zamiast turnikietu, i oznajmiłam: - Nie ma to jak woda. Pindar.

Na jego brudnej twarzy błysnęło coś w rodzaju wdzięczności.

Jego lordowska mość złożył mi elegancki ukłon, rzucił złe spojrzenie Ianowi i pomknął przez trawę w stronę strumienia. Wyglądało na to, że zgubił buty.

- Biedny chłopak - powiedział Ian, ze smutkiem kręcąc głową. - Minie dużo czasu, zanim przestanie śmierdzieć.

- Bez wątpienia. - Usta lorda Johna wciąż drżały, ale ochota do deklamowania greckiej poezji chyba już mu przeszła i na jej miejsce pojawiły się bardziej przyziemne troski. - Czy wiesz może, co się stało z moim pistoletem - z tym, którego William użył przed swoim niefortunnym wypadkiem?

- Och. - Ian z zakłopotaną twarzą wskazał na wychodek. - Ja... ach... no cóż, obawiam się, że...

- Rozumiem. - Lord John potarł nienagannie ogolony podbródek.

Jamie przygwoździł Iana długim spojrzeniem.

- Ach - wymamrotał Ian, cofając się o krok.

- Wyciągnij go - rzekł Jamie tonem niedopuszczającym sprzeciwu.

- Ale... - wyjąkał Ian.

- Już - nakazał wuj i rzucił mu do stóp oślizłą linę.

Jabłko Adama na szyi Iana poruszyło się w górę i w dół. Spojrzał na mnie oczami okrągłymi jak u królika.

- Zdejmij najpierw ubranie - powiedziała z troską.

- Po co je niepotrzebnie palić.

26. Zaraza i pomór

Wysłałam z domu tuż przed zachodem słońca, żeby zajrzeć do pacjenta w szopie na kukurydzę. Nie poprawiło mu się, ale też wyraźnie nie pogorszyło. Przez cały czas miał ciężki oddech i wysoką gorączkę. Tym razem, gdy stanęłam w drzwiach, jego zapadnięte oczy napotkały moje spojrzenie i nie opuszczały mojej twarzy aż do końca

badania.

Wciąż ściszał w dłoni amulet z piór kruka. Dotknęłam go i uśmiechnęłam się, a potem dałam mu się napić. Nadal nie chciał jeść, ale wypił nieco mleka i bez protestu przełknął kolejną porcję lekarstwa. Podczas badania i karmienia leżał bez ruchu, lecz gdy wyżymałam gorący kompres, który chciałam położyć mu na piersi, nagle wyciągnął rękę i pochwycił mnie za ramię.

Kciukiem drugiej ręki postukał się w pierś i wydał z siebie dziwne mruczenie. Przez chwilę zastanawiałam się, co to ma być, aż pojęłam, że on nuci.

- Och, tak? - Sięgnęłam po paczkę ziół do nasączenia kompresu i zawinęłam ją w szmatkę. - No dobrze, poczekaj, zastanowię się.

Zaczęłam nucić Naprzód, żołnierze Chrystusa. Wydawało mi się, że podoba mu się ta melodia. Musiałam zaśpiewać całość trzy razy, nim wreszcie opadł z zadowoleniem na koc i zakaszłał, spowity oparami kamfory.

Zatrzymałam się obok szopy i starannie oczyściłam ręce zabranym z domu alkoholem. Byłam pewna, że się nie zarażę - przeszłam odrę w dzieciństwie - ale nie chciałam ryzykować, że zarażę kogoś innego.

- Podobno w Cross Creek panuje epidemia odry - zauważył lord John, gdy opisywałam Jamiemu stan naszego gościa. - Czy to prawda, pani Fraser, że dzikusy z natury ciężiej przechodzą infekcje niż Europejczycy, podczas gdy afrykańscy niewolnicy są na nie jeszcze bardziej odporni niż ich panowie?

- To zależy od infekcji - odrzekłam. Zajrzałam do kociołka i ostrożnie postukałam w butelkę z naparem. -

Indianie są znacznie bardziej odporni na choroby roznoszone przez pasożyty, jak na przykład malaria, powodowane przez tutejsze organizmy. Z kolei Afrykanie lepiej radzą sobie z gorączką tropikalną, która przybyła razem z nimi z Afryki. Ale Indianie mają bardzo małą odporność na europejskie choroby zakaźne, takie jak ospa i syfilis.

Z satysfakcją zauważyłam, że lord John wydawał się zaskoczony.

Widocznie pytał tylko z grzeczności, nie oczekując, że będę potrafiła udzielić sensownej odpowiedzi.

- To fascynujące - odrzekł ze szczerym zainteresowaniem. - Mówi pani o organizmach? Czy w takim razie wyznaje pani teorię istot miazmatycznych Evana Huntera?

Teraz ja z kolei popadłam w zmieszanie.

- Nie... niezupełnie - odrzekłam i zmieniłam temat.

Wieczór minął dość przyjemnie. Jamie i lord John opowiadali sobie anegdoty myśliwskie i rybackie i komentowali zadziwiające bogactwo łądu, który nas otaczał, ja zaś cerowałam pończochy.

Willie i Ian grali w szachy. Ten drugi wygrał, ku swej wyraźnej satysfakcji. Jego lordowska mość ziewnął potężnie, a potem, chwytając karcące spojrzenie ojca, z opóźnieniem próbował zasłonić usta i rozluźnił się z sennym uśmiechem zadowolenia. Po obfitej kolacji we dwóch z Ianem wykończyli jeszcze na deser całe ciasto porzeczkowe.

Jamie spojrzał wymownie na Iana, który posłusznie wstał i pociągnął jego lordowska wysokość za sobą, do szopy z ziołami.

Dwóch z głowy, pomyślałam, konsekwentnie omijając wzrokiem łóżko. Zostało nas jeszcze troje.

Delikatny problem rozlokowania na noc został w końcu rozwiązany w ten sposób, że ja pierwsza opuściłam towarzystwo, spowita w skromność, a w każdym razie w koszulę nocną, Jamie i lord John zaś przejęli szachownicę, racząc się resztkami brandy przy ogniu z paleniska.

Lord John był znacznie lepszym szachistą niż ja - tak w każdym razie wydedukowałam z faktu, że gra zajęła im dobrą godzinę. Jamie zazwyczaj wygrywał ze mną w dwadzieścia minut. Grali w milczeniu, od czasu do czasu tylko wymieniając kilka zdań.

W końcu lord John poruszył się, oparł wygodnie i przeciągnął, jakby właśnie podjął jakąś decyzję.

- Przypuszczam, że do tego górskiego schronienia nie dociera większość zawirowań politycznych? - zapytał mimochodem, wpatrując się w szachownicę przymrużonymi oczami. - Zazdroszczę ci, Jamie, tego oddalenia od drobnych uciążliwości, które prześladują kupców i szlachtę na nizinach. Twoje życie niewątpliwie ma swoje trudne strony, ale zapewne pociechą jest ci świadomość, że twoje wysiłki są istotne i heroiczne.

Jamie krótko prychnął.

- Ach tak, bez wątpienia, niezmiernie heroiczne. W tej chwili przedmiotem moich najbardziej heroiczych zmagañ jest świnia w spizarni. - Uniósł brew i wskazał na szachownicę. - Naprawdę chcesz zrobić ten ruch?

Grey spojrział na niego spod przymrużonych powiek, a potem opuścił wzrok na szachownicę i wyduł usta.

- Tak - odpowiedział stanowczo.

- Niech to diabli - westchnął Jamie i z szerokim uśmiechem rezygnacji zdjął z planszy swojego króla.

Grey roześmiał się i sięgnął po butelkę z brandy.

- Niech to diabli - powiedział z kolei on, gdy zobaczył, że butelka jest pusta. Jamie roześmiał się głośno i podszedł do kredensu.

- Spróbuj odrobinę tego. - Usłyszałam dźwięczne bulgotanie cieczy nalewanej do kubka.

Grey podniósł kubek do nosa, powąchał i kichnął donośnie.

Kropelki trunku rozprysnęły się po stole.

- To nie jest wino, John - zauważył Jamie łagodnie. - To się pije, a nie wacha.

- Zauważyłem. Chryste, co to takiego? - Grey jeszcze raz pociągnął nosem, teraz już znacznie ostrożniej, i delikatnie umoczył usta. Zakrzusił się, ale dzielnie przełknął. - Chryste! - powtórzył ochryple. Zakaszał, odchrząknął i odstawił kubek na stół, patrząc nań takim wzrokiem, jakby zawartość miała wybuchnąć.

- Tylko mi nie mów - rzekł. - Pozwól, że sam zgadnę. Czy to ma być szkocka whisky?

- Może za jakieś dziesięć lat - odrzekł Jamie, nalewając sobie odrobinę. Zamoczył usta, obrócił trunek w ustach i przełknął, potrząsając głową. - W tej chwili to jest alkohol, tylko tyle mogę o tym powiedzieć.

- Owszem, to się zgadza - stwierdził Grey, ostrożnie pociągając kolejny łyk. - Skąd to wzięłeś?

- Zrobiłem - odrzekł Jamie z umiarkowaną dumą wytrawnego destylatora. - Mam tego dwanaście beczek.

Jasne brwi Greya powędrowały do połowy czoła.

- Zakładam, że nie zamierzasz czyścić tym butów, więc czy mogę zapytać, co chcesz zrobić z dwunastoma beczkami tego rodzaju płynu?

Jamie roześmiał się.

- Sprzedać - wyjaśnił. - Najszybciej, jak będę mógł. Podatek celny i licencja na pędzenie trunków należą do tych drobnych politycznych uciążliwości, którymi nie muszę się przejmować dzięki temu, że mieszkam na odludziu - dodał ironicznie.

Lord John chrząknął, wypił jeszcze odrobinę i odstawił kubek.

- Przyznaję, że może uda ci się uniknąć podatku. Najbliższy agent znajduje się w Cross Creek. Mimo wszystko nie wydaje mi się to bezpieczne. Czy mogę zapytać, komu sprzedajesz ten niezwykle trunk? Mam nadzieję, że nie dzikusom?

Jamie wzruszył ramionami.

- Tylko bardzo małe ilości. Butelkę albo dwie naraz. Daję im w prezencie albo wymieniam na coś, ale zawsze najwyżej tyle, ile trzeba, żeby upić jednego człowieka. Nigdy więcej.

- Bardzo mądrze czynisz. Przypuszczam, że słyszałeś już różne historie. Rozmawiałem z pewnym człowiekiem, który uszedł cało z masakry w Michilimackinac podczas wojny z Francuzami. Przyczyną tej masakry, a w każdym razie jedną z przyczyn, było to, że wielka ilość alkoholu wpadła w ręce dużego zgromadzenia Indian w forcie.

- Ja też o tym słyszałem - zapewnił go Jamie sucho. - Ale pozostajemy w dobrych stosunkach z Indianami, którzy

mieszkają w pobliżu, a poza tym nie ma ich tu tak wielu. No i, jak już wspominałem, jestem ostrożny.

- Hmm. - Lord Grey upił jeszcze łyk i wykrzywił się.
- Moim zdaniem bardziej ryzykujesz, że otrujesz kogoś, niż że upije się tym cały tłum. - Odstawił kubek i zmienił temat. - Słyszałem w Wilmington o buntownikach nazywanych regulatorami, którzy terroryzują prowincję i wywołują zamieszki. Czy spotkałeś się z czymś podobnym tutaj?

Jamie prychnął.

- A kogo mieliby terroryzować? Wiewiórki? Prowincja to jedno, John, a dzicz to zupełnie co innego. Z pewnością jadąc tutaj, zauważyłeś prawie zupełny brak osad ludzkich.

- Owszem, zwróciłem na to uwagę - przyznał lord John. - A jednak słyszałem plotki, że twoja obecność tutaj miała służyć walce z szerzącym się bezprawiem.

Jamie roześmiał się.

- Myślę, że jeszcze sporo czasu minie, zanim pojawi się tu jakiegokolwiek bezprawie, z którym trzeba będzie walczyć. Chociaż raz posunąłem się do tego, że uderzyłem pewnego starego Niemca, farmera, który obraził młodą kobietę w młynie na rzece. Twierdził, że nie daważyła mu zboża, co nie było prawdą, ale nie mogłem go przekonać, że się myli. Dotychczas była to moja jedyna próba utrzymania porządku publicznego.

Grey roześmiał się i podniósł przewróconego króla.

- Cieszę się, że to słyszę. Czy masz ochotę odzyskać honor przy jeszcze jednej partyjce? W końcu nie mogę liczyć na to, że ta sama sztuczka uda mi się dwukrotnie.

Odwrociłam się twarzą do ściany i wpatrzyłam się w belki. Blask ognia migotał na śladach siekiery, regularnych jak zmarszczki na piasku plaży. Próbowałam zignorować rozmowę toczącą się za moimi plecami i zatracić się we wspomnieniach. Przypominałam sobie Jamiego, który korował i ociosywał belki, spanie w jego ramionach pod na wpół wzniesionymi ścianami, uczucie, że dom pnie się coraz wyżej, ogarniając mnie swoim ciepłem i bezpieczeństwem niczym trwałe ucieleśnienie uścisku Jamiego. Ta wizja zawsze mnie uspokajała i dawała poczucie bezpieczeństwa. Nawet gdy byłam sama na górze, wiedziałam, że chroni mnie dom, który Jamie dla mnie zbudował. Ale tego wieczoru wspomnienie straciło moc.

Leżałam nieruchomo, zastanawiając się, co się ze mną dzieje, a raczej nie „co”, lecz „dlaczego”. Teraz już wiedziałam, co to takiego: to była zazdrość. Byłam zazdrosna. Już od lat to uczucie było mi zupełnie obce i jego ponowne pojawienie napełniło mnie zdumieniem i grozą. Przewróciłam się na plecy i przymknęłam oczy, próbując odciąć się od szmeru rozmowy.

Lord John traktował mnie niesłuchanie uprzejmie, a co więcej, był inteligentny, miał głębokie przemyślenia i w gruncie rzeczy był absolutnie czarującym człowiekiem. Słuchając jego inteligentnej, przemyślanej i czarującej rozmowy z Jamiem, poczułam ściskanie w żołądku. Pod koldrą zwinęłam dłonie w pięści. Jesteś głupia, powtarzałam sobie. Co się z tobą dzieje?

Spróbowałam się rozluźnić, głęboko oddychając przez nos.

Oczywiście po części chodziło o Williego. Jamie był

bardzo ostrożny, ale dostrzegłam wyraz jego twarzy, gdy patrzył na chłopca, sądząc, że nikt go nie obserwuje. Całe jego ciało emanowało skrywaną radością, dumą i onieśmieniem. Serce mi się ścisnęło na myśl, że nigdy nie popatrzy na Briannę, swoją pierworodną; nigdy w ogóle jej nie zobaczy. To nie jego wina, a jednak było to niesprawiedliwe. Z drugiej strony nie mogłam mieć mu za złe, że widok syna sprawia mu radość; powtarzałam sobie stanowczo, że wcale nie mam mu tego za złe. To, że widok śmiałej, przystojnej twarzy chłopca, tak podobnej do twarzy siostry, wzbudzał we mnie ogromną tęsknotę, to był tylko mój problem. Nie miało to nic wspólnego z Jamiem, Williem ani z Johnem Greyem, który przywiózł tu chłopaka.

Ale po co go przywiózł? Głowiłam się nad tym od pierwszej chwili, gdy ich tu zobaczyłam, i nadal nie znałam odpowiedzi. O cóż, do diabła, chodziło temu człowiekowi?

Historyjka o posiadłości w Wirginii mogła być prawdziwa, a mogła też być tylko wymówką. Ale nawet jeśli była prawdziwa, to lord Grey musiał znacznie zboczyć z drogi, by zahaczyć o Fraser's Ridge. Po co zadawał sobie tyle kłopotu? Wiele ryzykował. Willie najwyraźniej nie zauważył podobieństwa, na które nawet Ian zwrócił uwagę, ale gdyby stało się inaczej? Czy dla Greya tak ważne było potwierdzenie zobowiązań Jamiego wobec niego?

Przewróciłam się na drugi bok i rozchyliłam nieco powieki. Dwie głowy, ruda i jasna, pochylały się nad szachownicą. Obydwaj byli zaabsorbowani grą. Grey przesunął skoczką i roztarł kark, uśmiechając się do siebie. Był przystojnym mężczyzną: szczupły, drobnokościsty, ale o wyraźnych rysach twarzy, miał piękne, wrażliwe usta,

których bez wątpienia zazdrościło mu wiele kobiet.

Grey potrafił kontrolować wyraz twarzy jeszcze lepiej niż Jamie.

Ani razu jeszcze nie dostrzegłam w jego wzroku oskarżenia. Spojrzał tak na mnie kiedyś na Jamajce, nie miałam wówczas wątpliwości, że chodziło o jego uczucia wobec Jamiego.

Z drugiej strony nie miałam również żadnych wątpliwości co do uczuć samego Jamiego. Ucisk w sercu zelżał nieco i odetchnęłam swobodniej. Choćby siedzieli nad tą szachownicą nawet do rana, pijąc i rozmawiając, Jamie w końcu i tak przyjdzie do mojego łóżka.

Rozluźniłam pięści i rozcierając wnętrza dłoni o uda, naraz zrozumiałam, dlaczego lord John wzbudza we mnie tak silne emocje.

We wnętrzu moich dłoni pozostały półksiężycowate ślady paznokci. Przez wiele lat rozcierałam podobne półksiężyce każdego wieczoru, gdy Frank do późna pozostawał w biurze. Przez wiele lat leżałam sama w podwójnym łóżku, nie mogąc zasnąć, wbijając paznokcie w dłoń i czekając, aż wróci.

I wracał. Trzeba przyznać, że zawsze wracał przed świtem.

Czasami napotykał plecy zwrócone w jego stronę z zimnym lekceważeniem, a czasami pełną furii prowokację ciała domagającego się bez słów, by zaprzeczył podejrzeniom i udowodnił swoją niewinność na polu bitwy. Zwykle przyjmował wyzwanie, ale to w niczym nie pomagało.

A jednak nigdy nie rozmawialiśmy o tym w dzień. Ja

nie mogłam, nie miałam prawa. Frank nie chciał, bo to była jego zemsta.

Czasami między takimi epizodami mijały miesiące, nawet rok lub więcej, kiedy żyliśmy razem w pokoju, ale potem znów się to powtarzało. Milczące telefony, zbyt gorliwie usprawiedliwane nieobecności, późne powroty. Nigdy nic oczywistego, jak perfumy innej kobiety czy szminka na kołnierzyku. Potrafił być dyskretny, ale kimkolwiek była ta inna kobieta, zawsze czułam jej obecność; nieokreślona, pozbawiona twarzy Ona.

Wiedziałam, że nie ma znaczenia, kim ona jest. Było ich kilka.

Liczyło się tylko to, że ona nie była mną, a ja leżałam bezsennie, zaciskając pięści. Ślady paznokci wyglądały jak ślady ukrzyżowania.

Szmer rozmowy przy ogniu prawie ucichł, słyszeć było tylko przesuwanie figur na szachownicy.

- Czy jesteś zadowolony? - zapytał naraz lord John.

Jamie przez chwilę nie odpowiadał.

- Mam wszystko, czego mężczyzna może pragnąć - rzekł w końcu cicho. - Swoje miejsce, godną pracę, żonę przy swoim boku.

Wiem, że mój syn jest bezpieczny i ma dobrą opiekę. - Dopiero wtedy podniósł wzrok na Greya. - I mam dobrego przyjaciela - wyciągnął rękę, uściśnął dłoń lorda Johna i puścił ją zaraz. - Niczego więcej nie pragnę.

Zamknęłam oczy i zaczęłam liczyć owce.

Tuż przed świtem obudził mnie Ian przykucnięty przy moim łóżku.

- Ciociu - powiedział cicho, kładąc rękę na moim

ramieniu. - Lepiej chodź. Ten człowiek w szopie czuje się bardzo źle.

Zanim jeszcze mój umysł zaczął świadomie funkcjonować, odruchowo podniosłam się na nogi, owinęłam płaszczem i bosą poszłam za Ianem. Nie trzeba tu było wielkich umiejętności diagnostycznych. Już z odległości kilku metrów słyszałam charczący oddech.

Willie krążył przy drzwiach. Jego szczupła twarz w szarym świetle była blada i przestraszona.

- Idź stąd! - powiedziałam ostro. - Nie zbliżaj się do niego. Ty, Ian, też. Obydwaj idźcie do domu. Przynieście mi gorącej wody z kociołka, moją skrzynkę i czyste płótna.

Willie ruszył natychmiast, z ulgą oddalając się od przerażających dźwięków, które dochodziły z szopy. Ian ociągał się nieco dłużej.

- Myślę, ciociu, że nie możesz mu już pomóc - powiedział cicho, patrząc mi w oczy z zupełnie dorosłym zrozumieniem.

- Zapewne nie - odpowiedziałam w tym samym tonie. - Ale nie mogę nic nie robić.

Wziął głęboki oddech i skinął głową.

- Tak, ale myślę... - zawahał się, a gdy skinęłam głową, mówił dalej: - Myślę, że nie powinnaś go dręczyć lekarskami. Przeznaczone mu jest umrzeć, ciociu. W nocy słyszeliśmy sowę. On też ją słyszał.

Dla nich to jest znak śmierci.

Spojrzałam na ciemny kształt drzwi i przygryzłam usta. Oddechy stawały się coraz płytsze, a przerwy między nimi alarmująco długie.

Przeniosłam wzrok na Iana.

- Co robią Indianie, kiedy ktoś umiera?

- Śpiewają - odrzekł natychmiast. - Szaman maluje farbą twarz i śpiewem odprowadza duszę w bezpieczne miejsce, by nie porwały jej demony.

Zawahałam się. Instykt, który kazał mi robić cokolwiek, walczył z przekonaniem, że moje działania będą daremne. Czy miałam jakiegokolwiek prawo zakłócać spokój tego człowieka w chwili śmierci?

A jeśli przerazi się, myśląc, że moja pomoc może doprowadzić jego duszę do zatraty?

Ian jednak nie czekał na rezultaty moich rozważań. Przykucnął, zgarnął garść ziemi, napluł na nią i rozgniół na błoto, a potem bez słowa zanurzył w nim palec wskazujący i nakreślił na mojej twarzy linię od czoła w dół.

- Ian.

- Cii - wymamrotał, marszcząc brwi w skupieniu. - Chyba tak to było. - Dorysował jeszcze dwie linie w poprzek policzków oraz zygzak po lewej stronie szczęki. - O ile pamiętam, mniej więcej tak to wyglądało. Widziałem to tylko raz, z daleka.

- Ian, to nie jest...

- Cii - powtórzył, kładąc rękę na moim ramieniu, by powstrzymać protesty. - Idź do niego, ciociu. Nie przestraszy się.

Przyzwyczyił się już do ciebie, prawda?

Otarłam kroplę spływającą z czubka nosa. Czułam się idiotycznie, ale nie było czasu na kłótnie. Ian pchnął mnie lekko do drzwi.

Weszłam w mrok szopy, pochyliłam się i położyłam rękę na ciele mężczyzny. Skórę miał gorącą i suchą, dłoń

zupełnie bezwładną.

- Ian, czy możesz z nim porozmawiać? Zawołaj go po imieniu.

Powiedz mu, że wszystko jest w porządku.

- Nie wolno wymawiać jego imienia, ciociu, bo to przywoła demony. Odchrząknął i powiedział kilka słów w gardłowym języku.

Dłoń w mojej

dłoni drgnęła lekko. Wzrok przyzwyczał mi się już do ciemności i dostrzegałam twarz Indianina. Gdy zauważył moje malunki, pojawiło się na niej lekkie zdziwienie.

- Zaśpiewaj mu, ciociu - odpowiedział Ian cicho. - Może Tantum ergo, to była trochę podobna melodia.

Nic innego nie mogłam zrobić, zaczęłam więc bezradnie śpiewać.

- Tantum ergo sacramentum...

Po kilku sekundach mój głos nabrał melodii. Przysiadłam na nagich piętach i śpiewałam powoli, trzymając go za rękę. Gęste brwi rozluźniły się i w zapadniętych oczach chorego pojawił się wyraz spokoju.

Byłam już przy wielu śmierciach, spowodowanych wypadkami, wojną, chorobami i naturalnymi przyczynami. Widziałam, jak ludzie umierali na różne sposoby, z filozoficzną akceptacją albo gwałtownie protestując. Ale nigdy jeszcze nie widziałam, żeby ktoś umierał w taki sposób jak ten człowiek.

Po prostu czekał, nie spuszczać ze mnie oczu, aż dośpiewałam do końca. Potem zwrócił twarz w stronę drzwi i kiedy padły na nią pierwsze promienie wschodzącego słońca, opuścił swoje ciało bez żadnego drgnienia mięśni

ani ostatniego oddechu.

Siedziałam bez ruchu, trzymając bezwładną dłoń, aż w końcu zdałam sobie sprawę, że ja też wstrzymuję oddech.

Powietrze dokoła mnie wydawało się dziwnie nieruchome, jakby czas zatrzymał się na chwilę. Ależ oczywiście, że tak było, pomyślałam, zmuszając się do wzięcia oddechu. Dla niego czas zatrzymał się na zawsze.

- Co z nim zrobimy?

Nie można było już nic zrobić dla naszego gościa. W tej chwili jedyne pytanie brzmiało, co powinniśmy uczynić z jego doczesnymi szczątkami.

Dyskretnie zamieniłam kilka słów z lordem Johnem i po chwili zabrał Williego na szczyt grani, gdzie rosły późne poziomki. Śmierć Indianina nie miała w sobie niczego ponurego, wołałam jednak, by Willie na to nie patrzył; nie był to odpowiedni widok dla dziecka, które zaledwie kilka miesięcy wcześniej widziało śmierć swojej matki.

Lord John również wydawał się poruszony. Świeże powietrze i słońce powinno dobrze zrobić im obydwu.

Jamie potarł twarz dłonią. Nie ogolił się jeszcze, zarost zachrząścił lekko.

- Wydaje mi się, że powinniśmy go pochować.

- No cóż, przecież nie zostawimy go w szopie, ale czy jego ludzie nie będą mieli nic przeciwko temu? Ian, czy wiesz coś o tym, jak oni traktują swoich zmarłych?

Ian wciąż był trochę blady, ale zadziwiająco opanowany. Pokręcił głową i napił się mleka.

- Nie wiem zbyt wiele, ciociu, ale jak ci mówiłem, widziałem śmierć jednego. Owinęli go w skórę jelenia, ze

śpiewem obnieśli dokoła wioski, a potem zabrali ciało do lasu, położyli na platformie nad ziemią i pozostawili, by wyschło.

Perspektywa trzymania mumii na drzewach w pobliżu farmy wyraźnie nie przypadła Jamiemu do gustu.

- Sądzę, że najlepiej byłoby przyzwoicie owinąć ciało i zabrać je do wioski, żeby jego ludzie mogli się nim odpowiednio zająć.

- Nie, tego nie możemy zrobić. - Zdjęłam z naczynia z żarem blachę ze świeżymi muffinami, wyciągnęłam patyczek z miotły i wetknęłam w pulchne, brązowe ciasto. Patyczek był suchy, postawiłam więc blachę na stole i usiadłam, patrząc w dzbanek z miodem, błyszczący złotem w słońcu przedpołudnia. - Kłopot w tym, że od tego ciała można się jeszcze zarazić. Ian, mam nadzieję, że w ogóle go nie dotykałeś?

Ian z powagą zaprzeczył ruchem głowy.

- Nie, ciociu. Nie po tym, jak tu zachorował. Wcześniej nie pamiętam. Byliśmy wszyscy razem na polowaniu.

- A niech to. Ty nie chorowałeś na odrę. - Wsunęłam palce we włosy. - A ty? - zapytałam Jamiego.

Ku mojej wielkiej uldze skinął głową.

- Tak, kiedy miałem pięć lat albo coś koło tego. Mówiłaś, że człowiek nie może dwa razy zachorować na tę chorobę, więc nic mi się nie stanie, jeśli dotknę ciała.

- Nie. Mnie też nic się nie stanie. Ale nie możemy zabrać go do wioski. Nie mam pojęcia, jak długo wirus odry - to taki rodzaj zarazka - może przeżyć na ciele albo na ubraniu. Trudno byłoby wyjaśnić jego ludziom, że nie

wolno go dotykać ani zbliżać się do niego, a nie możemy ryzykować, że się pozarazają.

- Najbardziej martwi mnie to - wtrącił Ian nieoczekiwanie - że on nie pochodził z Anna Ooka, tylko z wioski na północy. Jeśli pochowamy go tutaj, jego ludzie mogą się o tym dowiedzieć i pomyśleć, że w jakiś sposób zawiniliśmy jego śmierci, a potem zakopaliśmy go, żeby to ukryć.

Ta możliwość nie przyszła mi wcześniej do głowy. Poczulałam się tak, jakby ktoś położył mi zimną dłoń na karku.

- Nie sądzisz chyba, że mogą tak pomyśleć?

Ian wzruszył ramionami, rozerwał gorącego muffina i polał parujące wnętrze miodem.

- Ludzie Nacognaweto ufają nam, ale Myers mówił, że jest wielu innych, którzy nie będą nam ufać. Mają sporo powodów do podejrzliwości, nie?

Zważywszy na to, że większa część plemienia Tuskarora została wybita w okrutnej wojnie z osadnikami z Karoliny Północnej zaledwie pięćdziesiąt lat wcześniej, to owszem, sądziłam, że mają do tego prawo. Niemniej nie pomagało nam to rozwiązać obecnego problemu.

Jamie przełknął resztę muffina i z westchnieniem odchylił się do tyłu.

- No dobrze. W takim razie najlepiej będzie, jeśli zawiniemy go w jakiś całun i położymy w jaskini na wzgórzu. Postawiłem już słupki przy wejściu, bo chciałem tam zbudować stajnię. To powinno go ochronić przed dzikimi zwierzętami. Potem Ian albo ja pójdziemy do Anna Ooka i wyjaśnimy wszystko Nacognaweto. Może on przyśle

tu kogoś, kto będzie mógł obejrzeć ciało i zapewnić plemię tego człowieka, że nie spotkała go z naszej strony żadna krzywda. Wtedy będziemy mogli go pochować.

Nie zdążyłam odpowiedzieć na tę propozycję, bo za drzwiami rozległy się szybkie kroki. Zostawiłam drzwi uchylone, by wpuścić do chaty światło i powietrze. Gdy teraz spojrzałam w ich stronę, zobaczyłam w szparze bladą, zdenerwowaną twarz Williego.

- Pani Fraser. Proszę, czy może pani przyjść? Tato jest chory.

- Czy zaraził się od tego Indianina? - Jamie patrzył na lorda Johna ze zmarszczonymi brwiami. Rozebraliśmy go do koszuli i położyliśmy do łóżka. Twarz miał na przemian zaczerwienioną i bladą; wcześniej składałam te objawy na karb zdenerwowania.

- Nie, to niemożliwe. Okres inkubacji wynosi tydzień do dwóch tygodni. Gdzie wtedy byliście? - zapytałam Williego, ale zaraz wzruszyłam ramionami, uznając pytanie za nieistotne. Byli w podróży. Nie sposób określić, gdzie lub kiedy Grey miał kontakt z wirusem. W gospodach podróżni zwykle spali po kilku w jednym łóżku, a pościel rzadko zmieniano. Można było zarazić się tam wszystkim, od odry aż po zapalenie wątroby.

- Mówił pan, że epidemia odry panuje w Cross Creek. - Położyłam rękę na czole Greya. Miałam dużą wprawę w odczytywaniu gorączki dotykiem. Miał jakieś trzydzieści dziewięć i pół stopnia, całkiem sporo.

- Tak - rzekł ochryple i zakaszłał. - Czy złapałem odrę? Musicie trzymać Williego z dala ode mnie.

- Ian, zabierz Williego na dwór, dobrze? -

poprosiłam, przygotowując kompres. Zmoczyłam go w naparze z czarnego bzu i otarłam szyję i twarz Greya. Nie miał jeszcze wysypki, ale gdy kazałam mu otworzyć usta, zauważyłam na śluzówce wyraźne plamki Koplika. - Tak, ma pan odrę - potwierdziłam. - Od jak dawna czuje się pan chory?

- Wczoraj wieczorem, gdy kładłem się do łóżka, kręciło mi się trochę w głowie - powiedział i znów zakaszłał. - W środku nocy obudziłem się z silnym bólem głowy, ale myślałem, że to tylko skutek tej tak zwanej whisky Jamiego... - Uśmiechnął się blado. - A rano... - Kichnął. Szybko znalazłam świeżą chustkę.

- Tak, rozumiem. Cóż, proszę teraz odpocząć. Nastawiłam napar z kory wierzbowej. To pomoże na ból głowy.

Podniosłam się i skinęłam na Jamiego, by wyszedł ze mną na zewnątrz.

- Nie możemy dopuszczać do niego Williego - powiedziała cicho, obydwoj chłopcy stali bowiem przy zagrodzie i widłami wrzucali do żłobu siano dla koni. - Ani Iana. On teraz zaraża.

Jamie zmarszczył czoło.

- No tak. Ale mówiłaś, że inkubacja...

- Tak. Ian mógł się zarazić od Indianina, a Willie w tym samym miejscu co lord John. Możliwe, że obydwoj są już chorzy, ale na razie nie mają żadnych objawów. - Popatrzyłam na nich. Obaj na pozór byli zdrowi jak konie, które karmili. - Sądzę - rzekłam z wahaniem, bo w głowie zaczął mi się rysować niejasny plan - że najlepiej będzie, jeśli spędzisz dzisiejszą noc z chłopcami na zewnątrz.

Możecie spać w szopie z ziołami albo rozbić obóz w zagajniku. Poczekaście tam dzień lub dwa. Jeśli Willie zaraził się w tym samym miejscu co lord John, to przez ten czas powinny wystąpić jakieś objawy. Jeśli nie, to zapewne nie zachoruje, a w takim razie możesz go zabrać do Anna Ooka, żeby opowiedzieć Nacognaweto o zmarłym.

- A Ian może zostać tutaj, żeby zająć się tobą. - Jamie zastanowił się i skinął głową. - Myślę, że to dobry pomysł.

Odwrócił się i spojrzał na Williego. Choć potrafił kontrolować emocje, znałam go na tyle dobrze, że zauważyłam szybki błysk, który przemknął mu przez twarz. W jego oczach pojawiła się troska.

Z pewnością martwił się o Johna Greya, być może również o mnie i Iana, ale chodziło jeszcze o coś innego. Jamie odczuwał niepokój na myśl o kilku dniach sam na sam z chłopcem.

- Jeśli dotychczas tego nie zauważył, to już nie zauważy - powiedziałam cicho, kładąc rękę na jego ramieniu.

- Chyba nie - mruknął i odwrócił się plecami do zagrody. - Wydaje mi się, że to dosyć bezpieczne.

- Mówią, że to zły wiatr, który nikomu nie przynosi korzyści - odrzekłam. - Będziesz mógł z nim porozmawiać, nie wzbudzając żadnych podejrzeń. - Po chwili dodałam: - Ale zanim wyruszyście, chciałabym, żebyś coś dla mnie zrobił.

Położył mi rękę na dłoni i uśmiechnął się.

- Dobrze, a co takiego?

- Proszę, zabierz tę świnię ze spiżarni.

27. Łowienie pstrągów w Ameryce

Wyprawa zaczęła się pechowo. Po pierwsze, padał deszcz. Po drugie, nie miał ochoty zostawić Claire, szczególnie w tak trudnej sytuacji. Po trzecie, bardzo martwił się o Johna. Nie podobał mu się jego wygląd. Gdy wyjeżdżali, John był na wpół przytomny i rzeźił jak wieloryb, a twarz miał do tego stopnia pokrytą wysypką, że trudno było ją rozpoznać.

A po czwarte, dziewiąty earl Ellesmere dał mu w szczękę. Jamie na to mocno złapał chłopaka za kołnierz i potrząsnął tak, że zęby mu zagrzechotały.

- No już - powiedział i puścił go. Willie zachwiał się, stracił równowagę i z rozmachem usiadł na tyłku przy zagrodzie dla koni.

Jamie popatrzył na niego groźnie. Prowadzili ten sam spór z przerwami od dwudziestu czterech godzin i miał już serdecznie dosyć.

- Doskonale pamiętam, co powiedziałaś. Ale ja powiedziałem, że jedziesz ze mną. Wyjaśniłem ci też, dlaczego, i koniec dyskusji.

Twarcz chłopaka wykrzywiła się złością. Niełatwo było go onieśmielić, ale chyba też rzadko się zdarzało, by ktokolwiek próbował, tak w każdym razie przypuszczał Jamie.

- Nigdzie nie jadę - powtórzył William. - Nie zmusisz mnie. - Podniósł się i z zaciśniętymi zębami ruszył w stronę chaty.

Jamie wyciągnął rękę, znów pochwycił go za kołnierz i przyciągnął z powrotem. Widząc, że chłopak szykuje się do wymierzenia mu kopniaka, zacisnął pięść i

celnie uderzył go w żołądek. Williamowi oczy wyszły na wierzch. Zgiął się wpół, trzymając się za brzuch.

- Nie kop - upomniał Jamie łagodnie - dobre wychowanie na to nie pozwala. A jeśli chodzi o to, czy mogę cię zmusić, to oczywiście, że mogę.

Twarz earla była jaskrawoczerwona. Na przemian zamykał i otwierał usta jak zdziwiona złota rybka. Kapelusz spadł mu z głowy, mokre od deszczu włosy przyklejały się do czaszki.

- To bardzo ładnie, że chcesz zostać ze swoim ojczymem - ciągnął Jamie, ocierając twarz - ale nie możesz mu pomóc, możesz tylko sam zachorować, więc nie zostaniesz tutaj. - Kątem oka zauważył, że nasączona olejem skóra przesłaniająca okno chaty odsunęła się na bok, a potem znów opadła na miejsce. Claire z pewnością zastanawiała się, dlaczego jeszcze nie wyjechali.

Wziął earla za ramię i poprowadził w stronę jednego z osiodłanych koni. Tym razem chłopak nie stawiał oporu.

- Wsiadaj - powiedział. Ku jego satysfakcji, Willie niechętnie wsunął stopę w strzemień i wskoczył na konia. Jamie rzucił mu kapelusz, włożył na głowę swój i również wskoczył na siodło, na wszelki wypadek jednak trzymając w ręku wodze obydwu koni.

- Jest pan zwykłym łajdakiem, sir - usłyszał za plecami wypowiedziane bez tchu słowa.

Poczuł irytację, a jednocześnie zachciało mu się śmiać, lecz nie pokazał po sobie ani jednego, ani drugiego. Zerknął przez ramię i zauważył, że William niebezpiecznie przechyla się na bok, zwieszając się z siodła.

- Nie próbuj tego - poradził. Chłopak wyprostował

się gwałtownie i zatrzymał na nim chmurne spojrzenie. - Nie chciałbym przywiązywać ci nogi do strzemienia, ale jeśli będę musiał, to możesz być pewien, że to zrobię.

Oczy chłopaka zwięzły się w dwa jasnoniebieskie trójkąciki, najwyraźniej jednak uwierzył Jamiemu na słowo i przyjął do wiadomości chwilową porażkę. Wciąż mocno zaciskał zęby, ale nieco rozluźnił ramiona.

Przez niemal całe przedpołudnie jechali w milczeniu. Deszcz spływał im po karkach i przesiąkał przez płaszcze. Willie pogodził się z porażką, ale nie zrobił tego z godnością. Kiedy zsiadli z koni, by coś zjeść, w dalszym ciągu pozostawał w ponurym nastroju, jednak bez protestów poszedł po wodę i spakował resztę jedzenia, gdy Jamie poił konie.

Jamie obserwował go ukradkiem, ale chłopak nie miał żadnych objawów choroby. Na twarzy nie pokazywała się wysypka i choć z czubka nosa spływały mu krople wody, zdawało się, że jest to tylko skutek deszczu.

- Jak to daleko? - Dopiero późnym popołudniem ciekawość Williama zwyciężyła nad uporem. Jamie już dawno oddał mu wodze.

Teraz już nie obawiał się, że chłopak spróbuje zawrócić konia i pojechać z powrotem.

- Jakies dwa dni drogi. - Teren między Fraser's Ridge a Anna Ooka był górzysty i podróż na końskim grzbiecie trwała niemal tyle samo co pieszo, ale dzięki temu, że jechali konno, mogli zabrać ze sobą kociołek, zapasy jedzenia i kilka wędek domowej roboty, a także drobne upominki dla Indian, wśród których znajdował się antałek domowej whisky na osłodę złych wiadomości.

Nie mieli powodów do pośpiechu, a nawet przeciwnie, Claire oznajmiła bowiem stanowczo, że Willie ma nie wracać co najmniej przez sześć dni. Do tego czasu John przestanie już zarażać i albo poczuje się znacznie lepiej, albo umrze.

Claire starała się sprawiać wrażenie pewnej siebie i zapewniała Williego, że jego ojczym wyzdrowieje, Jamie jednak zauważył w jej wzroku troskę i poczuł pustkę w okolicy serca. Może lepiej było wyjechać? I tak nie mógł pomóc, a choroba zawsze wzbudzała w nim poczucie bezradności, co z kolei napełniało go jednocześnie lękiem i złością.

- Ci Indianie... czy są przyjaźnie nastawieni? - Usłyszał w głosie Williego cień wątpliwości.

- Tak. - Czuł, że chłopak czeka, by dodał „milordzie”, i powstrzymał się od tego z przewrotną satysfakcją. Sprowadził konia na bok ścieżki i zwolnił. Było to zaproszenie, by Willie się z nim zrównał. Gdy chłopak pojawił się obok niego, Jamie uśmiechnął się. - Znamy ich już ponad rok. Gościliśmy w ich domach. Tak, mieszkańcy Anna Ooka są bardziej gościnni i uprzejmi niż większość ludzi, których spotkałem w Anglii.

- Mieszkał pan w Anglii? - zapytał chłopak ze zdziwieniem.

Jamie przeklął własną nieostrożność, ale na szczęście Williego bardziej interesowali czerwonoskórzy niż życiorys Jamesa Frasera, toteż udało się go zbyć krótką, niejasną odpowiedzią.

Z zadowoleniem zauważył, że chłopak porzucił ponury nastrój i zaczął interesować się otoczeniem. Jamie

starał się podtrzymać jego ciekawość. Opowiadał mu historie o Indianach, wskazywał ślady zwierząt i po jakimś czasie z satysfakcją zauważył, że Willie odtajał i zaczął się zachowywać uprzejmie.

Jemu samemu zmiana tematu rozmowy też zrobiła dobrze. Zbyt wiele rzeczy go dręczyło i źle się czuł w ciszy. Jeśli zdarzy się najgorsze, jeśli John umrze, co stanie się wówczas z Williem? Z pewnością wróci do Anglii, do swojej babci, i Jamie nigdy więcej o nim nie usłyszy.

John był jedyną osobą oprócz Claire, która знаła prawdę o pochodzeniu Williego. Możliwe, że babcia chłopca podejrzewała prawdę, ale za żadne skarby świata nie przyznałaby, że jej wnuk może być nieprawym potomkiem jakobickiego zdrajcy, a nie prawowitym synem nieżyjącego earla.

Odmówił modlitwę do świętej Brygidy za zdrowie Johna Greya i próbował przestać się martwić. Podróż zaczęła sprawiać mu przyjemność. Deszcz ucichł i przeszedł w lekką mżawkę, las pachniał wilgocią, świeżymi liśćmi i gnijącą, żyzną ściółką.

- Widzisz te zadrapania na pniu drzewa? - Wskazał ruchem głowy na duże drzewo hikorowe, którego kora zwisała w strzępach, pocięta długimi, równoległymi białymi śladami. Niektóre z nich znajdowały się na wysokości dwóch metrów.

- Tak. - Willie zdjął kapelusz, uderzył nim o udo, strząsając krople wilgoci, pochylił się do przodu i przyjrzał uważniej. - To ślady jakiegoś zwierzęcia?

- Niedźwiedzia - odrzekł Jamie. - Są świeże, żywica jeszcze nie wyschła.

- Czy ten niedźwiedź jest blisko? - Chłopiec rozejrzał się, bardziej zaciekawiony niż zaniepokojony.

- Nie bardzo blisko, bo konie by się spłoszyły, ale też niezbyt daleko. Rozglądaj się uważnie, pewnie dostrzeżemy jego ślady albo odchody.

Gdyby John zmarł, wątła więź łącząca go z Williamem zostałyby zerwana. Już dawno pogodził się z sytuacją i przyjmował ją bez skarg, ale czułby się osierocony, gdyby odra zabrała mu nie tylko najbliższego przyjaciela, ale także jedyną istniejącą więź z synem.

Deszcz przestał padać. Otoczyli stok góry i wjechali w dolinę.

Willie z okrzykiem zachwytu poprawił się w siodle. Na tle ciemnych deszczowych chmur ze zbocza odległej góry wyrastał łuk tęczy i opadał na dno doliny nisko pod nimi.

- Och, jaka wspaniała! - zawołał Willie i uśmiechnął się do Jamiego szeroko, zapominając o wszelkich nieporozumieniach. - Czy widział pan wcześniej coś podobnego, sir?

- Nigdy - odrzekł Jamie, odpowiadając mu uśmiechem. Przyszło mu do głowy, że tych kilka dni spędzonych na odludziu może być jego ostatnią okazją do spotkania z synem. Miał tylko nadzieję, że nie będzie musiał znów go uderzyć.

W lesie zawsze sypiał lekko i dźwięk obudził go natychmiast.

Przez chwilę leżał nieruchomo, niepewny, co to takiego. Potem usłyszał cichy, zdławiony odgłos i rozpoznał stłumiony szloch.

Powstrzymał natychmiastową chęć, by podejść do chłopaka i położyć rękę na jego głowie. William próbował ukryć swój płacz, i zasługiwał na to, by nie odbierać mu godności. Leżał więc nieruchomo, patrząc na przestwór nocnego nieba nad głową i nasłuchując.

To nie był strach. William nie okazywał żadnego lęku przed spaniem w ciemnym lesie, a gdyby w pobliżu znajdowało się jakieś duże zwierzę, na pewno by mu o tym powiedział. Może był chory?

Odgłos był niewiele głośniejszy od wytężonego oddechu. Może coś go bolało, a był zbyt dumny, by się poskarżyć?

Ta myśl sprawiła, że Jamie zdecydował się odezwać. Jeśli to odra, to nie ma ani chwili do stracenia, trzeba natychmiast zawieźć chłopaka do Claire.

- Milordzie? - zapytał cicho. Szloch ustał raptownie. Jamie usłyszał odgłos przetykania i lekkie szuranie, gdy Willie ocierał twarz rękawem.

- Tak? - odrzekł, siłąc się na spokój, chociaż zdradzał go pogrubiony głos.

- Czy źle się czujesz? - Już wiedział, że nie o to chodzi, ale to był dobry pretekst. - Może masz skurcze żołądka? Czasem można się rozchorować od suszonych jabłek.

Usłyszał po drugiej stronie ogniska głębokie westchnienie i odgłos pociągania nosem. Ognisko przygasło już, pozostało tylko kilka żarzących się węgli, ale to wystarczało, żeby mógł dostrzec ciemny kształt, który podniósł się i usiadł.

- Ja... ach... tak, chyba... to chyba coś w tym rodzaju.

Jamie również usiadł. Pled osunął mu się z ramion.

- To nic takiego - powiedział kojącem tonem. - Mam lekarstwo, które leczy wszelkie choroby żołądka. Leż przez chwilę spokojnie, milordzie. Przyniosę wody.

Podniósł się na nogi i odszedł, starannie omijając chłopca wzrokiem. Zanim wrócił od strumienia z pełnym wody kociołkiem, Willie zdążył już wydmuchać nos i otrzeć twarz. Siedział teraz z kolanami podciągniętymi do piersi.

Przechodząc obok, Jamie nie potrafił się powstrzymać od lekkiego muśnięcia głowy chłopca. Włosy Williego były miękkie w dotyku, ciepłe i nieco wilgotne od potu.

- Boli cię żołądek? - zapytał uprzejmie, stawiając kociołek na ogniu.

- Mhm - odrzekł Willie głosem stłumionym przez pled, którym był okryty.

- To szybko minie. - Jamie sięgnął do sporranu, przejrzał jego zawartość i w końcu wyciągnął mały, płócienny woreczek, w którym znajdowała się przygotowana przez Claire mieszanka suchych liści i kwiatów. Nie miał pojęcia, skąd wiedziała, że mu się to przyda, ale już od dawna przestał kwestionować cokolwiek, co robiła jako uzdrowicielka, bez względu na to, czy uzdrawiała ciało czy duszę.

Poczuł do niej bezmierną wdzięczność. Widział, jak patrzyła na chłopca, i zdawał sobie sprawę, jak musiała się czuć. Oczywiście wiedziała o wszystkim, ale rozumiał, co musi przeżywać żona, która widzi na własne oczy dowód, że jej mąż dzielił łóżko z inną kobietą.

Nic dziwnego, że ciągle wtykała Johnowi jakies

szpilki.

- Woda zaraz się zagotuje. - Roztarł w palcach wonną mieszankę i wrzucił do drewnianego kubka, tak jak to zawsze robiła Claire.

Pomyślał, że nie czyniła mu żadnych wyrzutów, i przypomniał sobie jej zachowanie, gdy dowiedziała się o Laoghaire. Rzuciła się wtedy na niego z pazurami jak kotka. A jednak kiedy później dowiedziała się o Genevie Dunsany... może chodziło tylko o to, że matka chłopca już nie żyła.

Uświadomił sobie to nagle i poczuł się, jakby otrzymał cios w samo serce. Matka chłopca nie żyła. Nie tylko prawdziwa matka, która zmarła przy jego urodzeniu, ale również kobieta, którą przez całe życie nazywał matką. A teraz ojciec - czy też człowiek, którego nazywał ojcem, pomyślał Jamie i kącik jego ust mimowolnie zadrgał - leżał złożony chorobą, która kilka dni wcześniej na oczach chłopca zabiła innego człowieka.

Nie, to nie z lękiem chłopak zmagał się samotnie w ciemnościach, lecz z rozpaczą. Jamie Fraser, który sam również stracił matkę w dzieciństwie, powinien był to zrozumieć od samego początku. To nie upór ani nie lojalność kazała Williemu upierać się przy pozostaniu we Fraser's Ridge. To była miłość do Johna Greya i lęk, że może go utracić. Ta sama miłość doprowadziła chłopca do płaczu w środku nocy. Desperacko martwił się o ojca.

W sercu Jamiego zakiełkowało niezwykle dla niego uczucie zazdrości, kłujące jak oset. Zgniótł je w zarodku. W gruncie rzeczy powinien być wdzięczny losowi, że jego syn kochał swojego ojczyrna.

Kiełkujące ziarno zostało rozdeptane, Jamie jednak miał wrażenie, że w jego sercu pozostała niewielka, bolesna rana. Czuł ją przy oddechu.

Woda w kociołku zaczęła wrzeć. Zalał nią starannie mieszankę ziół i z kubka uniosła się aromatyczna para. Waleriana, mówiła Claire, kocimiętka, korzeń męczennicy nasączony miodem i drobno zmielony oraz na samym końcu słodki, lekko duszący zapach lawendy.

- Tylko ty sam tego nie pij - ostrzegła mimochodem, dając mu mieszankę - w tym jest lawenda.

Nie przeszkadzało mu to, jeśli wiedział wcześniej. Tylko od czasu do czasu, gdy poczuł zapach nieoczekiwanie, chwytaly go fale mdłości. Claire przekonała się na własne oczy, jak działa na niego lawenda, toteż pamiętała, że powinien się jej wystrzegać.

- Proszę. - Pochylił się i podał chłopcu kubek. Zastanawiał się, czy po tej nocy Willie również nabierze urazy do lawendy, czy też zapach zacznie działać na niego kojąco. To zależy od tego, czy John Grey przeżyje, czy umrze, pomyślał.

Napar pomógł Williemu wziąć się w garść, lecz na jego twarzy wciąż malował się smutek. Jamie uśmiechnął się do niego, skrywając własną troskę. Dobrze znał zarówno Johna, jak i Claire, toteż jego lęk był mniejszy niż lęk chłopca, ale był i uwierał go jak cierń wbity w podeszwę stopy.

- To ci pomoże - powiedział, wskazując na kubek. - Moja żona przygotowała te zioła. Jest bardzo dobrą uzdrowicielką.

- Naprawdę? - Chłopiec głęboko wciągnął parę

unoszącą się z kubka i ostrożnie dotknął gorącego płynu językiem. - Widziałem, jak robiła różne rzeczy z tym Indianinem, który umarł. - Oskarżenie w jego głosie było wyraźne. Robiła różne rzeczy, a on i tak umarł.

Ani Claire, ani Ian nie rozmawiali o tym wiele. Jamie również nie był w stanie zapytać jej, co się właściwie zdarzyło. Uniosła tylko brwi i rzuciła mu szybkie spojrzenie, oznaczające, że nie należy rozmawiać o tym w obecności Williego, który wrócił razem z nią z szopy na kukurydzę, błady i przerażony.

- Tak? - zapytał z ciekawością. - Jakie rzeczy?

Co ona, do diabła, mogła tam robić? Z pewnością nic, co przyczyniłoby się do śmierci chorego. Gdyby coś takiego się zdarzyło, od razu by to zauważył. Nie czuła się w żaden sposób winna ani bezradna. Niejednokrotnie wcześniej trzymał ją w ramionach, pocieszając, gdy opłakiwała tych, których nie była w stanie uratować.

Tym razem była cicha i spokojna, podobnie jak Ian. Nie wydawała się wzburzona, raczej zaskoczona i zamyślona.

- Miała błoto na twarzy i śpiewała mu. Wydaje mi się, że śpiewała papistowską piosenkę. To było po łacinie, coś o sakramentach.

- Doprawdy? - Jamie starał się nie okazać zaintrygowania. - No cóż, może chciała tylko dać mu odrobinę pociechy, jeśli widziała, że nie może mu pomóc. Indianie są o wiele bardziej podatni na odrę niż my. Umierają na infekcje, od których biały człowiek nawet nie mrugnąłby okiem. Ja sam przeszedłem odrę jako dzieciak i nie stała mi się od tego żadna krzywda. - Uśmiechnął się i

przeciągnął, demonstrując swój kwitnący stan zdrowia.

Napięte rysy chłopca rozluźniły się nieco. Ostrożnie upił łyk gorącego naparu.

- Pani Fraser też tak powiedziała. Mówiła, że tata wyzdrowieje.

Dała mi na to słowo.

- W takim razie możesz na niej polegać - rzekł Jamie stanowczo.

- Pani Fraser jest honorową kobietą. - Zakaszłał i podciągnął pled wyżej na ramiona. Noc nie była zimna, ale z góry dochodziły porywy wiatru. - Czy ten napój trochę ci pomaga?

Willie popatrzył na niego, nie zrozumiał pytania, a potem przeniósł wzrok na kubek.

- Och, tak. Tak, dziękuję, jest bardzo dobry. Czuję się już znacznie lepiej. Może to jednak nie były te suszone jabłka?

- Może nie - zgodził się Jamie i pochylił głowę, by ukryć uśmiech. - Mam nadzieję, że jutro znajdziemy coś lepszego na kolację. Przy odrobinie szczęścia może uda nam się złapać pstrąga.

Zdołał skupić na sobie uwagę chłopaka. Willie podniósł głowę z wyraźnym zainteresowaniem.

- Pstrąga? Będziemy łapać ryby?

- Czy często chodziłeś na ryby w Anglii? Tamtejsze strumienie nie mogą się równać z naszymi, ale wiem, że w Krainie Jezior zdarzają się dobre połowy. Tak w każdym razie mówił mi twój ojciec.

Wstrzymał oddech. Co go podkusiło, by o to pytać? Sam przecież zabierał pięcioletniego Williama na połów

palii w jeziorze w pobliżu Ellesmere, gdy odrabiał tam wyrok. Czy naprawdę chciał, by chłopiec sobie to przypomniał?

- Tak, w Krainie Jezior jest bardzo przyjemnie, ale zupełnie inaczej niż tutaj - Willie pomachał ręką w stronę strumienia. Jego twarz się wygładziła i w oczach pojawił się żywy błysk. - Nigdy jeszcze nie byłem w takim miejscu. Tu jest zupełnie inaczej niż w Anglii.

- Oczywiście - zgodził się Jamie z rozbawieniem - ale czy nie tęsknisz za Anglią?

Willie zastanawiał się przez chwilę, dopijając resztę naparu.

- Chyba nie - powiedział i zdecydowanie pokręcił głową. - Tęsknię czasem za babcią i za moimi końmi, ale za niczym więcej.

Przez cały czas miałem tylko prywatnych nauczycieli, lekcje tańca, łacinę i grekę, uff! - Zmarszczył nos i Jamie musiał się roześmiać.

- Nie lubisz tańczyć?

- Nie, bo tańczyć trzeba z dziewczynami. - Rzucił Jamiemu spojrzenie spod długich, ciemnych rzęs. - Czy pan lubi muzykę, panie Fraser?

- Nie - uśmiechnął się Jamie - ale lubię dziewczyny. - Popatrzył na szerokie ramiona Williego, długie nogi, długie ciemne rzęsy nad niebieskimi oczami, i pomyślał, że dziewczyny będą go lubiły.

- No tak, pani Fraser jest bardzo ładna - powiedział earl uprzejmie i jeden kącik jego ust powędrował do góry - chociaż z tym błotem na twarzy wyglądała zabawnie.

- Pewnie tak. Masz ochotę jeszcze się napić,

milordzie?

Claire mówiła, że ta mikstura ma działanie uspokajające.

Wydawało się, że działa. Jeszcze przez chwilę rozmawiali o Indianach i ich dziwnych wierzeniach. Wkrótce powieki Williama zaczęły opadać i kilkakrotnie ziewnął. Jamie wyciągnął rękę i wyjął z jego dłoni pusty kubek.

- Noc jest chłodna, milordzie. Może położysz się obok mnie i przykryjemy się obydwoma pledami?

Noc była chłodna, ale z pewnością nie zimna, okazało się jednak, że jego przypuszczenia były słuszne. Willie natychmiast skorzystał z pretekstu. Jamie nie mógł wziąć lorda w ramiona, by go pocieszyć, ani też młody earl nie mógłby przyznać, że pragnie takiej pociechy, mogli jednak leżeć blisko siebie po to, by się ogrzać.

Willie zasnął natychmiast, przytulony do boku Jamiego, Jamie zaś jeszcze przez długi czas czuwał, otaczając ramieniem uśpione ciało syna.

- Teraz to malutkie nakrapiane. Na wierzch. Przytrzymaj palcem.

- Owinął nicią mikroskopijny zwitek białej wełny tuż obok palca Williiego i udało mu się zahaczyć koniec piórka z puchu dzięcioła tak, że puszyste promyki uniosły się do góry, drżąc w rozświetlonym powietrzu. - Widzisz? Wygląda jak mały żuczek, który zrywa się do lotu.

Willie skinął głową, ze skupieniem wpatrując się w muchę. Dwa malutkie, żółte piórka leżały gładko pod puchem, udając rozstawione łuski pokrywy żuczka.

- Widzę. Co jest ważniejsze, kolor czy kształt?

- Jedno i drugie, ale myślę, że bardziej kształt - uśmiechnął się Jamie. - A największe znaczenie ma to, czy ryby są głodne. Jeśli dobrze wybierzesz porę, to wezmą na wszystko, nawet na goły haczyk. A spróbuj łowić o niewłaściwej porze - równie dobrze mógłbyś je łapać na brud z pępka. Ale takich rzeczy nie trzeba mówić wędkarzowi muchowemu. Oni zawsze sobie przypisują całą zasługę, a zupełnie pomijają udział ryby.

Willie nie roześmiał się, bo w ogóle śmiał się rzadko, uśmiechnął się jednak i wziął do ręki wierzbowe wędzisko ze świeżo przywiązaną muchą.

- Czy myśli pan, panie Fraser, że to odpowiednia pora? - Osłonił dłonią oczy i popatrzył na wodę. Stali w cieniu wierzb. Słońce było jeszcze nad horyzontem, nadając wodzie metaliczny połysk.

- Tak, pstrągi żerują o zachodzie słońca. Widzisz te zmarszczki na wodzie? Budzą się do życia.

Powierzchnia wody była niespokojna, ale rozbiegało się po niej mnóstwo drobniutkich, nachodzących na siebie zmarszczek. Kręgi światła i cienia rozchodziły się i przełamywały w niekończących się sekwencjach.

- Te kręgi? Widzę. Czy to ryby?

- Nie, jeszcze nie. To owady wykluwają się z larw. Wychodzą z kokonów i przebijają się na powietrze. Pstrągi widzą je i przypluwają na zer.

Naraz srebrna smuga wyskoczyła w powietrze i z pluskiem opadła do wody. Willie wstrzymał oddech.

- A to była ryba - wyjaśnił Jamie zupełnie niepotrzebnie. Szybko przeciągnął linkę przez wyrzeźbione w drewnie przelotki, przywiązał do niej muchę i postąpił o

krok do przodu. - Przyglądaj się teraz.

Cofnął ramię, rozkołysał przegub, z każdym obrotem ramienia wydłużając linkę, i zarzucił koniec w sam środek wielkiego, leniwie rozpełzającego się kręgu. Mucha pomknęła w dół niczym krążący nad wodą komar. Jamie czuł na sobie spojrzenie chłopca i był zadowolony, że rzut się udał.

Przez chwilę obserwował muchę unoszącą się na roziskrzonej powierzchni strumienia, a potem powoli zaczął ściągać linkę. Mucha błyskawicznie zniknęła pod wodą. Zanim jeszcze dokoła rozeszły się kręgi, Jamie mocno szarpnął linkę i poczuł wyraźny opór.

- Złapał się, złapał się! - Willie tańczył z podniecenia na brzegu, Jamie jednak nie zwracał na niego uwagi, zaabsorbowany rybą.

Nie miał kołowrotka, tylko gałązkę, na której zahaczał nadmiar linki. Odgiął do tyłu czubek wędziska, pozwolił mu znów opaść i zebrał nadmiar linki jednym szarpnięciem dłoni. Jeszcze raz zebrał linkę, a potem ryba ostro szarpnęła i linka znów poszybowała w powietrze.

Nie widział nic oprócz rozbłysków światła na wodzie, ale szarpnięcia linki prowadziły go lepiej niż wzrok, drżące i energiczne, jakby trzymał wyrwijącą się, walczącą o życie rybę bezpośrednio w dłoniach.

Naraz linka zwiotczała. Przez chwilę nie poruszał się, wsłuchany w ostatnie wibracje cichnące w mięśniach ramion. Odetchnął głęboko i dopiero teraz zdał sobie sprawę, że walcząc z rybą, przez cały czas wstrzymywał oddech.

- Uciekł! Co za pech, sir! - Willie zbiegł do brzegu z

wędziskiem w rękę i twarzą pełną współczucia.

- Raczej szczęście dla ryby. - Wciąż pobudzony po walce Jamie uśmiechnął się szeroko i otarł twarz mokrą dłonią. - Chcesz spróbować? - Zbyt późno przypomniał sobie, że powinien zwracać się do chłopca tytułem, ale Willie był zbyt przejęty, by zaprzętać sobie tym głowę.

Z twarzą wykrzywioną w grymasie determinacji chłopiec cofnął ramię, popatrzył na strumień spod przymrużonych powiek i z całej siły zarzucił. Wędka wysunęła mu się z palców i z wdziękiem poszybowała do wody. Patrzył za nią, nie rozumiejąc, co się stało, a potem przeniósł zdumiony wzrok na Jamiego, który nawet nie próbował powstrzymać śmiechu. Młody lord był kompletnie osłupiały i niezadowolony, ale po chwili jeden kącik jego ust uniósł się lekko.

Wskazał na wędkę unoszącą się na wodzie o jakieś trzy metry od brzegu.

- Czy nie wypłoszę ryb, jeśli po nią pójde?

- Wypłoszysz. Weź moją, tamtą przyniosę później.

Willie przesunął językiem po ustach i zacisnął zęby. Mocno uchwycił nową wędkę, pomachał nią w różne strony, a potem stanął twarzą do brzegu i mocno zarzucił. Czubek wędziska zatrzymał się w idealnym przedłużeniu ramienia, luźna linka opadła na głowę chłopaka.

- Bardzo ładny rzut, milordzie - powiedział Jamie, ocierając usta grzbietem dłoni - ale wydaje mi się, że najpierw trzeba założyć nową muchę.

- Och. - Willie popatrzył na Jamiego z onieśmieleniem. - Nie pomyślałem o tym.

Zbity z tropu niepowodzeniem, nie protestował, gdy

Jamie przymocował do linki nową muchę, a potem wziął go za rękę i zademonstrował prawidłowy rzut.

- Coś się nie zgadza - zauważył Willie. - Pan rzuca lewą ręką, widziałem.

- Tak, ale ja jestem mańkutem, milordzie. Większość ludzi rzuca prawą.

- Mańkutem? - Usta Williego wygięły się w uśmiechu.

- Większość rzeczy wygodniej jest mi robić lewą ręką niż prawą, milordzie.

- Tak przypuszczałem. Ze mną jest tak samo. - Willie wydawał się jednocześnie zadowolony i nieco zawstydzony. - Moja matka uważała, że tak się nie robi i że powinienem nauczyć się używać drugiej ręki, jak wszyscy dżentelmeni, jednak tata powiedział, że nie, i pozwolił mi pisać lewą ręką. Mówił, że to nie ma znaczenia, jeśli będę dziwnie wyglądał z piórem, ale za to będę miał przewagę w walce mieczem.

- Twój ojciec jest mądrym człowiekiem. - Serce Jamiego ścisnęło się z zazdrości i wdzięczności; wdzięczność jednak przeważała.

- Ojciec był żołnierzem. - Willie ściągnął ramiona z mimowolną dumą. - Walczył w Szkocji. Och... - Zerknął na kilt Jamiego i uświadomił sobie, że rozmawia z przegranym z tamtej bitwy.

Odkasznął i jego twarz poczerwieniała. Przez chwilę obracał wędkę w dłoniach, nie wiedząc, gdzie podziąć oczy.

- Tak, wiem, tam właśnie go poznałem. - Jamie bardzo się starał nie okazać rozbawienia. Miał ochotę

opowiedzieć chłopcu o okolicznościach tego pierwszego spotkania, ale byłaby to kiepska odpłata dla Johna za jego bezcenny dar - tych kilka dni spędzonych w towarzystwie własnego syna. - Był doskonałym żołnierzem i miał rację co do lewej i prawej ręki. Czy zacząłeś już uczyć się fechtunku?

- Tylko trochę. - Przejęty nowym tematem Willie zapomniał o swoim zakłopotaniu. - Miałem małą szpadę od ósmego roku życia i nauczyłem się parować ciosy i robić uniki. Tata mówi, że kiedy dotrzemy do Wirginii, dostanę prawdziwą szpadę, bo jestem już wystarczająco wysoki.

- Aha. No cóż, jeśli trzymałeś szpadę w lewej dłoni, to myślę, że nie będziesz miał kłopotu z utrzymaniem w niej wędki. Spróbujmy jeszcze raz, jeśli mamy zjeść jakąś kolację.

Przy trzeciej próbie mucha pomknęła gładko, ale nie utrzymała się w powietrzu nawet przez sekundę, natychmiast bowiem wyskoczył do niej z wody niewielki, lecz głodny pstrąg. Willie wykrzyknął z podniecenia i szarpnął wędką tak mocno, że zaskoczony pstrąg przeleciał łukiem nad jego głową i z plaśnięciem wylądował na brzegu.

- Udało się, udało się! Złapałem rybę! - Willie machał wędką i biegał w kółko, krzycząc i podskakując, zupełnie zapominając o godności, jakiej wymagał jego wiek i tytuł.

- Ano złapałeś. - Jamie podniósł pstrąga, który od pyska do ogona mierzył jakieś piętnaście centymetrów, i z uznaniem poklepał earla po plecach. - Dobra robota, chłopcze. Wygląda na to, że biorą.

Zarzućmy jeszcze parę razy.

Pstrągi rzeczywiście brały. Nim słońce schowało się za odległymi czarnymi górami i srebrna woda przybrała szary cynowy odcień, mieli już spory połów. Obydwaj byli przemoczeni od stóp do głów, wyczerpani, oślepieni słońcem i bezgranicznie szczęśliwi.

- To najlepsza rzecz, jaką jadłem w życiu - powiedział Willie rozmarzonym tonem. Był nagi, owinięty tylko w pled. Przemoczona koszula, spodnie i pończochy wisiały na gałęzi drzewa. Z zadowolonym westchnieniem ułożył się na plecach i cicho beknął.

Jamie poprawił swój wilgotny pled rozłożony na krzaku i dorzucił do ognia jeszcze kawałek drewna. Bogu dzięki, pogoda była dobra, ale po zachodzie słońca, gdy zrywał się wieczorny wiatr, robiło się chłodno. Stał blisko ognia, rozkoszując się ciepłym powietrzem, które wchodziło pod koszulę i rozgrzewało jego uda, piersi i brzuch, niosąc pocięchę prawie taką jak dłonie Claire.

Przez dłuższą chwilę stał nieruchomo, ukradkiem obserwując chłopca. William był ładnym dzieckiem, choć trochę za szczupłym - widać mu było wszystkie żebra, ale kończyny, choć chude, były muskularne i dobrze uformowane. Odwrócił głowę, zapatrzył się w ogień i teraz Jamie mógł mu się przyglądać swobodniej. Sosnowa żywica strzelała w ogniu, zalewając twarz chłopca złocistym światłem.

Stał zupełnie nieruchomo, słuchając bicia własnego serca, zapatrzony w syna. Była to jedna z tych dziwnych chwil, które pojawiały się czasem i zostawały z nim już na zawsze, odcisnięte w sercu i w pamięci tak wiernie, że

potrafił je przywołać co do najdrobniejszego szczegółu. Trudno powiedzieć, dlaczego te chwile były inne od całej reszty, lecz potrafił je rozpoznać, gdy nadchodziły.

Miał wiele doświadczeń bardziej ponurych, ale i piękniejszych, po których pozostało tylko przelotne wspomnienie, lecz te - te nieruchome chwile, jak je nazywał w duchu, nadchodziły bez ostrzeżenia i odciskały w jego mózgu pozornie przypadkowy obraz najprostszych wydarzeń. Były jak fotografie, które pokazywała mu Claire, tylko że ich treść nie ograniczała się do obrazu.

Miał takie wspomnienie swojego ojca, siedzącego na murku przy oborze dla krów, brudnego i ubłoconego, z ciemnymi włosami rozwianymi przez zimny szkocki wiatr. Potrafił przywołać ten obraz; czuł wtedy zapach suchego siana i nawozu, czuł własne palce wyziębione od wiatru i jego serce rozgrzewało się od światła widocznego w oczach ojca.

Miał takie obrazy Claire, swojej siostry, Iana... krótkie wycinki czasu, doskonale zachowane za sprawą jakiejś dziwnej alchemii pamięci, utrwalone w umyśle jak owad w bursztynie. A teraz doszedł do tego jeszcze jeden.

Wiedział, że dopóki będzie żył, będzie potrafił przywołać tę chwilę. Czuł zimny wiatr na twarzy, łaskotanie na wpół opalonych przez ogień włosów na udach, czuł zapach pstrąga usmażonego w kukurydzianej mące i drobne ukłucie cienkiej jak włos ości, która utkwiała mu gdzieś w gardle. Słyszał mroczną ciszę lasu za plecami, cichy szum strumienia i wiedział, że na zawsze zapamięta złote odbłaski ognia na śmiałej twarzy swego syna.

- Deo gratias - wymruczał i dopiero gdy zaskoczony

chłopiec zwrócił na niego twarz, uświadomił sobie, że powiedział to głośno.

- Co takiego?

- Nic. - By pokryć zmieszanie, odwrócił się i zdjął z krzaka wilgotny jeszcze pled. Szkocka wełna, nawet przemoczona na wylot, zatrzymywała ciepło i chroniła od chłodu. Usiadł i okrył się mokrym pledem. - Powinieneś się przespać, milordzie - powiedział. - Jutro czeka nas ciężki dzień.

- Nie jestem śpiący. - Jakby chcąc to udowodnić, Willie podniósł się i energicznie przeciągnął dłońmi po włosach. Gęsta rdzawobrzazowa szopa otoczyła jego czaszkę jak końska grzywa.

Jamie poczuł nagły niepokój. Natychmiast rozpoznał ten gest jako swój. Prawdę mówiąc, przed chwilą miał ochotę zrobić dokładnie to samo.

Przełknął kulę w gardle i sięgnął do sporranu. Nie, z pewnością Williamowi nigdy nie przysłoby to do głowy. Chłopcy w tym wieku nie zwracali uwagi na nic, co starsi mówili czy robili, ani też nie przyglądali im się zbyt uważnie. Niemniej jednak było to wielkie ryzyko dla wszystkich. Wyraz twarzy Claire powiedział mu wystarczająco jasno, jak uderzające jest ich podobieństwo.

Odetchnął głęboko i wyjął ze sporranu kilka zawiniątek, w których przechowywał materiały do produkcji much. Zużyli już wszystkie gotowe muchy i jeśli chciał złapać coś na śniadanie, to musiał przygotować kilka nowych.

- Czy mogę pomóc? - Nie czekając na odpowiedź, Willie obszedł dokoła ognisko i usiadł obok. Jamie bez

słowa podsunął mu drewniane pudełeczko z ptasimi piórami i haczyk zaczepiony o kawałek korka.

Przez jakiś czas pracowali w milczeniu, przerywając tylko na chwilę, by podziwiać ukończonego gotowego silver doctora czy broom - eye, albo gdy Jamie radził coś chłopakowi czy pomagał mu związać nić. Żmudna praca wkrótce zmęczyła Williego. Odłożył w połowie ukończonego green whiskera i zaczął zadawać niezliczone pytania o łowienie ryb, polowanie, o lasy i o Indian, których mieli zobaczyć.

- Nie - rzekł Jamie w odpowiedzi na jedno z tych pytań - nigdy nie widziałem żadnego skalpu w wiosce. To bardzo mili ludzie, w każdym razie większość z nich, ale pamiętaj, jeśli skrzywdzisz kogoś, to potrafią szybko się zemścić. - Uśmiechnął się sucho i dodał: - Pod tym względem przypominają mi trochę górali szkockich.

- Babcia mówi, że Szkoci mnożą się jak...

Jamie podniósł wzrok i zobaczył, że chłopak, z twarzą czerwienią niż żar w ognisku, wpatruje się intensywnie w trzymaną w palcach muchę.

- Jak króliki? - podpowiedział z ironicznym uśmiechem. Willie zerknął na niego niepewnie. - Tak, szkockie rodziny czasami są duże.

- Jamie wyjął z pudełka pióro kosa i delikatnie położył je na haczyku.

- Uważamy dzieci za błogosławieństwo.

Policzki Williego powoli odzyskiwały normalną barwę.

- Rozumiem. A czy pan ma dużo dzieci, panie Fraser? Jamie upuścił trzymany w ręku puch.

- Nie, niezbyt dużo - odrzekł, wpatrując się w liście pod stopami.

- Przepraszam. Nie pomyślałem... To znaczy...

Jamie podniósł wzrok i zobaczył, że William znów poczerwieniał.

Jego palce zgniatały na wpół ukończoną muchę.

- O czym nie pomyślałeś? - zapytał zdziwiony. Willie wziął głęboki oddech.

- No cóż, choroba, odra... Nie widziałem żadnych dzieci, ale nie pomyślałem o tym, gdy to mówiłem. To znaczy, że może miał pan jakieś, ale...

- Ach, nie. - Jamie uśmiechnął się do niego pocieszająco. - Moja córka jest już dorosła. Od dawna mieszka daleko stąd, w Bostonie.

Willie z ulgą wypuścił oddech.

- Ma pan tylko ją?

Puch, który opadł na ziemię, poruszył się na wietrze. Jamie podniósł go delikatnie między kciukiem a palcem wskazującym.

- Nie, mam jeszcze syna - powiedział ze wzrokiem utkwionym w haczyk, który jakimś cudem zaczepił mu się o kciuk. Dokoła lśniącego metalu zebrała się kropelka krwi. - To dobry chłopak i bardzo go kocham, ale teraz nie ma go w domu.

28. Gorączkowa dysputa

Wieczorem Ian miał szklisty wzrok i był rozpalony. Usiadł na łóżku z rozbieranym spojrzeniem i zachwiał się niepokojąco. Nie miałam najmniejszych wątpliwości, ale dla pewności zajrzałam mu do gardła. Na tle ciemnoróżowej śluzówki dostrzegłam oczywiście drobne, białe plamki

Koplika. Choć skóra na szyi była jeszcze jasna, zaczynała się na niej pojawiać z pozoru niegroźna wysypka w postaci różowych plamek.

- No tak - powiedziałam z rezygnacją - złapałeś chorobę. Chodź lepiej do domu, łatwiej mi się będzie tobą zająć.

- Mam odrę? Czy to znaczy, że umrę? - zapytał ze średnim zainteresowaniem, skupiony na jakiejś wewnętrznej wizji.

- Nie - odrzekłam rzeczowo w nadziei, że się nie myślę - ale pewnie czujesz się paskudnie?

- Głowa mnie trochę boli - przyznał. Widziałam, że mówi prawdę. Brwi miał ściągnięte i mrużył oczy nawet w tym marnym świetle, jakiego dostarczała moja świeczka.

Mógł jednak iść. I całe szczęście, pomyślałam, patrząc, jak niepewnie schodzi po drabinie ze stryszku. Choć chudy i patykowaty, był również o dobre dwadzieścia centymetrów wyższy ode mnie i co najmniej o piętnaście kilogramów cięższy.

Do chaty było nie więcej niż dwadzieścia metrów, ale zanim tam dotarł, drżał z wyczerpania. Gdy weszliśmy, lord John usiadł na łóżku i uczynił ruch, jakby chciał wstać, lecz pomachałam w jego kierunku ręką.

- Proszę tam zostać - powiedziałam, sadzając Iana na stołku - dam sobie radę.

Spałam na wysuwanej pryczy. Wszystko było już przygotowane na noc: prześcieradło, materac i poduszka. Ściągnęłam z Iana spodnie i pończochy i natychmiast go położyłam. Twarz miał zaczerwienioną i wilgotną i wyglądał znacznie gorzej niż na mrocznym stryszku.

Napar z kory wierzby, który przygotowałam, był już ciemny i aromatyczny, gotów do picia. Ostrożnie przelałam go do kubka i zerknęłam na lorda Johna.

- To miało być dla pana, ale jeśli może pan poczekać...

- Ależ oczywiście, proszę dać to chłopcu - odparł natychmiast - ja naprawdę mogę poczekać. Czy nie mógłbym w czymś pomóc?

Miałam ochotę powiedzieć, że jeśli rzeczywiście chce mi ulżyć, to mógłby używać wychodka zamiast nocnika, który potem musiałam opróżniać, ale widziałam, że nie jest jeszcze wystarczająco zdrowy, by samotnie wychodzić na zewnątrz w nocy. Nie miałam też ochoty wyjaśniać później Williamowi, że pozwoliłam, by jego jedyny pozostały przy życiu rodzic, czy też człowiek, którego uważał za rodzica, został zjedzony przez niedźwiedzie albo dostał zapalenia płuc. Dlatego uprzejmie pokręciłam głową i przyklęknęłam przy posłaniu, by napoić Iana lekarstwem. Czuł się na tyle dobrze, że krzywił się i narzekał na smak, co podniosło mnie na duchu. Mimo wszystko głowa mocno go bolała. Zmarszczka na czole wyostrzyła się i wyglądała jak wycięta nożem.

Usiadłam na brzegu posłania, położyłam sobie jego głowę na kolanach, delikatnie rozmasowałam skronie, a potem kciukami przycisnęłam gałki oczne tuż przy krawędzi brwi. Jęknął z niechęcią, ale po chwili rozluźnił się i jego głowa bezwładnie opadła na moje uda.

- Oddychaj - powiedziałam - i nie przejmuj się, jeśli na początku będzie trochę bolało, bo to oznacza, że trafiłam we właściwy punkt.

- Wszystko w porządku - wymamrotał nieco zatartym głosem.

Podniósł rękę i zamknął dłoń na moim przegubie. Jego dłoń była duża i bardzo ciepła. - To sposób tego Chińczyka, tak?

- Tak. On ma na myśli Yi Tien Cho, czyli pana Willoughby'ego - wyjaśniłam lordowi Johnowi, który patrzył na tę scenę ze zmarszczonym czołem. - To sposób, by ulżyć w bólu, przyciskając pewne punkty na ciele. Ten punkt jest dobry na ból głowy. Chińczyk nauczył mnie, jak to robić.

Czułam pewien opór przed mówieniem o Chińczyku, podczas naszego ostatniego spotkania na Jamajce lord John wysłał bowiem jakichś czterystu żołnierzy i marynarzy, by przeczesał całą wyspę w poszukiwaniu pana Willoughby'ego, którego podejrzewano o popełnienie szczególnie okrutnego morderstwa. Poczułam się zobowiązana, by dodać:

- On tego nie zrobił, wie pan. Lord John uniósł brwi.

- To dobrze - rzekł sucho - bo i tak go nie złapaliśmy.

- O, bardzo się cieszę. - Popatrzyłam na Iana, przesunęłam kciuki o centymetr na zewnątrz i znów przycisnęłam. Jego twarz skurczyła się z bólu, ale wydawało mi się, że bladeść w kącikach ust zaczęła nieco ustępować.

- Ja... hm... sądzę, że nie wie pani, kto naprawdę zabił panią Alcott? - zapytał lord John obojętnie. Podniosłam na niego wzrok, ale pokryta czerwonymi plamami twarz nie zdradzała nic prócz zwykłej ciekawości.

- Owszem, wiem - odrzekłam z wahaniem - ale...

- Wiesz? Morderstwo? Kto to zrobił? Co się stało, ciociu? Och! - Ian otworzył szeroko oczy, lecz gdy spojrzał na światło, zamknął je szybko z grymasem bólu.

- Nie ruszaj się - nakazałam, wbijając kciuki w mięśnie przy uszach - jesteś chory.

- Au - jęknął, ale rozluźnił się posłusznie. Siennik wypełniony łuskami kukurydzy zaszeleścił głośno pod jego szczupłym ciałem. - Dobrze, ciociu, ale kto to był? Wspominasz o czymś i sądzisz, że zasnę, dopóki nie dowiem się całej reszty? Prawda, że tak się nie robi?

- Otworzył jedno oko, odwołując się do lorda Johna, który uśmiechnął się tylko w odpowiedzi.

- Nie jestem już odpowiedzialny za tę sprawę - zapewnił mnie i zwrócił się stanowczym tonem do Iana: - Jednak powinieneś się zastanowić, zanim zapytasz, jest bowiem możliwe, że ta historia obciąża kogoś, kogo twoja ciotka wolałaby chronić, a w takim wypadku nietaktownie byłoby domagać się szczegółów.

- Och, nie, nie chodzi o to - zapewnił go Ian. - Wujek Jamie nikogo by nie zamordował, chyba że miałby porządny powód.

Kątem oka dostrzegłam, że lord John drgnął z zaskoczeniem.

Najwyraźniej nigdy w życiu nie przyszło mu do głowy, że mordercą mógł być Jamie.

- Nie - zapewniłam, widząc, że ściągnął jasne brwi. - To nie on.

- No i ja też nie - dodał gładko Ian - a kogo jeszcze ciocia mogłaby chronić?

- Pochlebiasz sobie, Ian - rzekłam sucho - ale skoro

nalegasz...

W gruncie rzeczy moja dyskrecja miała chronić Iana. Nikomu innemu ta historia nie wyrządziłaby krzywdy. Morderca już nie żył, a z tego, co wiedziałam, pan Willoughby również zginął w dżungli na wzgórzach Jamajki, choć miałam nadzieję, że jednak udało mu się przeżyć.

Ale w tej historii brał udział ktoś jeszcze - kobieta, którą najpierw poznałam jako Geillis Duncan, a później jako Geillis Abernathy i na której zlecenie Ian został porwany ze Szkocji, uwięziony na Jamajce i doświadczył okropieństw, o których zaczął nam opowiadać dopiero o wiele później.

Mimo wszystko zdawało się, że nie mam wyboru. Ian domagał się wyjaśnień jak dziecko, które chce, by poczytać mu przed snem, a lord John siedział na łóżku z błyskiem zainteresowania w oczach, niczym wiewiórka czekająca na orzeszki.

I tak oto, czując makabryczną pokusę, by zacząć od słów „pewnego razu...”, oparłam się o ścianę i z głową Iana na kolanach zaczęłam opowiadać historię o Rose Hall i jego pani, wiedźmie Geillis Duncan, wielebnym Archibaldzie Campbellu i jego dziwnej siostrze Margaret, wrogu z Edynburga i proroctwie Fraserów oraz o nocy ognia i krokodylej krwi, gdy niewolnicy z sześciu plantacji położonych nad rzeką Dallas powstali i wymordowali swych panów, podżegani przez hounšana Ismaela.

Nie wspominałam nic o późniejszych wydarzeniach w jaskini Abandawe na Haiti; Ian był tam osobiście, a te zdarzenia nie miały nic wspólnego z zamordowaniem Miny Alcott.

- Krokodyl - wymruczał Ian. Oczy miał przymknięte, a twarz rozluźniała się pod moimi palcami, choć historia, którą opowiadałam, była ponura. - Naprawdę widziałś krokodyla, ciociu?

- Nie tylko widziałam, ale nadepnęłam na niego - zapewniłam go - a raczej odwrotnie, najpierw na niego nadepnęłam, a potem go zobaczyłam. Gdybym zobaczyła go wcześniej, to od razu uciekłabym w drugą stronę.

Od strony łóżka rozległ się głośny śmiech.

- Po tych przygodach w Indiach Zachodnich tutejsze życie musi wydawać się pani dość nudne, pani Fraser.

- Nie mam nic przeciwko odrobinie nudy od czasu do czasu - rzekłam z żalem i mimowolnie spojrzałam na zamknięte na zasuwę drzwi, o które oparłam muszkiet Iana. Jamie zabrał ze sobą strzelbę, ale zostawił mi pistolety, leżały teraz na komodzie naładowane i gotowe do użytku, a obok spoczywało pudełko z nabojami i róg z prochem.

W chacie było przytulnie. Ogień migotał złoto i czerwono na okorowanych ścianach. W powietrzu roznosił się ciepły zapach gulaszu z wiewiórki i chleba z dyni, zaprawiony goryczą naparu z wierzby. Przesunęłam palcami po szczęce Iana. W tym miejscu skóra była jeszcze wolna od wysypki, lecz napięta i gorąca, wciąż bardzo gorąca pomimo wierzbowego naparu.

Opowiadanie o Jamajce w każdym razie pozwoliło mi oderwać myśli od choroby Iana. Zwyczajny ból głowy przy odrze nie był niczym groźnym, ale silny i przedłużający się ból głowy - tak. Zapalenie opon mózgowych i zapalenie mózgu były niebezpiecznymi i dość częstymi powikłaniami przy tej chorobie.

- Jak tam twoja głowa? - zapytałam.

- Trochę lepiej. - Zakaszłał i nieco uchylił powieki. Jego oczy przypominały dwie ciemne, błyszczące szparki. - Okropnie mi gorąco, ciociu.

Zsunęłam się z pośłania, przyniosłam ręcznik zamoczony w zimnej wodzie i otarłam mu twarz. Drgnął i znów przymknął oczy.

- Pani Abernathy dawała mi ametyst do picia na ból głowy - wymamrotał sennie.

- Ametyst? - Poczulałam zdziwienie, ale starałam się mówić spokojnym, cichym głosem. - Piłeś ametyst?

- Zmielony w occie - wyjaśnił - i jeszcze perły w słodkim winie.

Mówiła, że to dobre na kobiety. - Jego twarz była czerwona i nabrzmiała. Przyłożył policzek do chłodnej poduszki, szukając ulgi. - Ta kobieta doskonale знаła się na kamieniach. Spaliła sproszkowany szmaragd w płomieniu czarnej świecy i natarła mi kuśkę diamentem, żeby zawsze była twarda.

Od strony łóżka dobiegł słaby dźwięk. Podniosłam głowę i zobaczyłam, że lord John przysłuchuje się rozmowie oparty na łokciu, z szeroko otwartymi oczami.

- I czy ten ametyst działał? - zapytałam.

- Diament zadziałał. - Ian spróbował roześmiać się beztrąsko, ale skończyło się na ochryłym, gardłowym kaszlu.

- Obawiam się, że nie mam ametystu, ale jeśli chcesz, to jest wino.

Chciał. Pomogłam mu się napić, uprzednio dobrze rozcieńczywszy je wodą, a potem znów ułożyłam go na

poduszkach, zarumienionego i z ciężkimi powiekami.

Lord John również się położył. Leżał z otwartymi oczami, rozpuszczone jasne włosy rozsypały się na poduszce obok jego głowy.

- Tego właśnie chciała od chłopców, wiesz - powiedział Ian.

Oczy miał mocno zaciśnięte w obronie przed światłem, najwidoczniej jednak widział coś we mgle pamięci. Przesunął językiem po ustach, które zaczynały już wysychać i pękać, zaczynało mu też ciec z nosa. - Powiedziała, że chce mieć kamień, który rośnie w brzuchu chłopców.

Mówiła, że to musi być chłopak, który jeszcze nigdy nie był z dziewczyną i że to ważne, bo jeśli już był, to ten kamień nie będzie dobry, o ile w ogóle go tam znajdzie... - urwał, zaniósł się kaszlem i pociekło mu z nosa. Podałam mu chusteczkę.

- Po co był jej potrzebny ten kamień? - Na twarzy lorda Johna malował się wyraz współczucia. Doskonale wiedział, jak czuje się w tej chwili Ian, lecz ciekawość zwyciężyła. Nie protestowałam, bo ja też chciałam się dowiedzieć.

Ian pokręcił głową, ale zaraz znieruchomiał i jęknął.

- Ach! O Boże! Głowa mi zaraz pęknie! Nie wiem, nie powiedziała. Tylko że jest jej potrzebny, że musi go mieć. - Z trudem wypowiedział ostatnie słowo, a potem znów zaniósł się atakiem kaszlu, najgorszym do tej pory. Brzmiało to jak szczekanie psa.

- Lepiej nic nie mów - ostrzegłam, ale przerwało mi ciche stukanie do drzwi. Zastygłam w miejscu z mokrym

plótnem w ręku.

Lord John wychylił się zrzęcznie z łóżka i wyjął pistolet z jednego z wysokich skórzanych butów, które stały obok na podłodze. Przyłożył palec do ust i wskazał na pistolety Jamiego. Po cichu podeszłam do komody i wzięłam jeden z nich do ręki. Jego gładki, solidny ciężar dodawał mi pewności siebie.

- Kto tam? - zapytał lord John zadziwiająco mocnym głosem.

Nikt nie odpowiedział, rozległo się tylko coś w rodzaju drapania i ciche skamlenie. Westchnęłam i odłożyłam pistolet, rozdarta między irytacją, ulgą a rozbawieniem.

- To ten twój przeklęty pies, Ian.

- Jest pani pewna? - zapytał lord John cicho, wciąż trzymając pistolet wymierzony w drzwi. - To może być indiańska sztuczka.

Ian przewrócił się z wysiłkiem na bok, twarzą do drzwi.

- Rollo - zawołał ochryplym głosem.

Ochryply czy nie, Rollo poznał głos swego pana. Za drzwiami rozległo się głębokie, radosne szczekanie, a potem szaleńcze drapanie na wysokości jakiegoś metra od ziemi.

- A to bestia! - zawołałam, biegnąc, by otworzyć. - Natychmiast przestań, bo przerobię cię na dywanik!

Nie zważając na moje pogrożki, Rollo wpadł do chaty.

Nieprzytomny z radości odbił się całym swoim siedemdziesięciokilowym ciężarem od środka podłogi i wskoczył na wysuwane łóżko, które zatrzęsło się

niebezpiecznie, a następnie, ignorując stłumiony okrzyk Iana, zaczął lizać go jak szalony po twarzy i ramionach.

- Niedobry pies - powiedział Ian, bezskutecznie próbując zepchnąć Rolla z piersi i wbrew sobie chichocząc.

- Niedobry pies, mówię. Siadaj! Natychmiast, siad!

- Natychmiast, siad! - zawtórował surowo lord John. Rollo zbliżył się do niego z uszami przy głowie, obnażył zęby i ukazał jego lordowskiej mości pełen widok swojej szczęki. Lord John drgnął i bezwiednie podniósł pistolet wyżej.

- Siad, a dhiobhuil! - zawołał Ian, przyciskając zad Rolla do podłogi. - Zabieraj swój włochaty tyłek z mojej twarzy, ty przeklęta bestio!

Rollo natychmiast zapomniał o lordzie Johnie i zaczął kręcić się w kółko po łóżku. Obrócił się trzy razy w jedną i drugą stronę, starannie udeptał posłanie, a potem położył się obok swego pana, polizał go po uchu i z głębokim westchnieniem oparł nos na poduszce między zabłoconymi łapami.

- Chcesz, żebym go stąd zabrała, Ian? - zapytałam, spoglądając wymownie na łapy. Nie byłam jednak pewna, jakim sposobem miałabym usunąć z łóżka psa o wielkości i temperamencie Rolla, chyba że postrzeliłabym go pistoletem Jamiego i ściągnęła z łóżka jego truchło, toteż poczułam ulgę, gdy Ian pokręcił głową.

- Nie, ciociu, niech zostanie - powiedział, lekko chrypiąc - to dobry pies, prawda, a charaid? - Położył rękę na karku Rolla i odwrócił jego łeb tak, że policzek chłopca oparł się o gęste kudły.

- Niech będzie. - Poruszając się powoli i zerkając

ostrożnie w stronę żółtych ślepi, podeszłam do łóżka i pogładziłam włosy Iana.

Czoło miał nadal gorące, ale zdawało mi się, że temperatura nieco opadła. Gdyby spadła w nocy, jak mogło się zdarzyć, to później nastąpiłby atak gwałtownych dreszczy i wtedy bliskość ciepłego futra Rolla mogła się bardzo przydać. - Spij dobrze.

- Oidhche mhath - wymamrotał, odpływając w gorączkowe majaki.

Poruszałam się cicho po pokoju, uprzątając pozostałości dzisiejszych zajęć: koszyk świeżo zebranych orzeszków ziemnych, które należało umyć, wysuszyć i złożyć w spiżarni, wiązkę suchych trzcin, które leżały rozłożone, pokryte warstwą smalcu i które miały potem służyć jako pochodnie. Zajrzałam do spiżarni, pomieszałam zacier na piwo fermentujący w kociołku, odcisnęłam ser, wepchnęłam do dzieży rosnący powoli słony chleb, z którego należało ulepić bochenki i upiec rankiem, gdy mały pojemnik na żar, wbudowany z boku paleniska, nagrzej się wystarczająco przez noc.

Gdy wróciłam do chaty, Ian spał już mocno. Rollo również miał zamknięte oczy, chociaż gdy weszłam, uchylił jedną powiekę.

Spojrzałam na lorda Johna. Nie spał, ale nie patrzył na mnie.

Usiadłam przy ogniu i wyciągnęłam duży koszyk z wełną, ozdobiony czarno - zielonym indiańskim wzorem. Gabrielle nazywała ten wzór „pożeracz słońca”.

Od wyjazdu Jamiego i Williego minęły już dwa dni. Tyle czasu zajmowało dotarcie do wioski Tuskarora, drugie

tyle podróż powrotna. O ile nie zdarzy się nic, co mogłoby ich zatrzymać w drodze.

- Bzdura - mruknęłam pod nosem - nic ich nie zatrzyma, niedługo wrócą do domu.

Koszyk wypełniony był kłębkami ufarbowanej wełny i lnianymi nićmi. Niektóre dostałam od Jokasty, inne uprzedłam sama. Różnica była wyraźna, ale nawet grube i nierówne nici mojej produkcji mogły się do czegoś przydać. Może nie nadawały się do robienia pończoch albo swetrów, ale przyszło mi do głowy, że zrobię pokrowiec na czajnik. Ta forma wydawała mi się dostatecznie bezkształtna, by ukryć wszystkie niedostatki moich wytworów.

Jamie był zdumiony i rozbawiony, gdy się dowiedział, że nie umiem robić na drutach. Ta sprawa nigdy nie wyszła na jaw w Lallybroch, gdzie Jenny i inne kobiety zaopatrywały wszystkich w dzianiny. Ja zajmowałam się ogrodem i destylarnią i oprócz najprostszych napraw nigdy nie brałam igły do ręki.

- W ogóle nie umiesz dziergać? - zapytał z niedowierzaniem. - To skąd brałaś zimowe pończochy w Bostonie?

- Kupowałam w sklepie.

Rozejrzał się ostentacyjnie po polanie, na której siedzieliśmy, podziwiając na wpół ukończoną chatę.

- Nie widzę tu dokoła żadnych sklepów, więc myślę, że chyba jednak będziesz musiała się nauczyć.

- Też mi się tak wydaje - stwierdziłam, patrząc z powątpiewaniem na kosz na robótki, który dostałam od Jokasty. Był dobrze wyposażony. Znajdowały się tam między innymi trzy komplety długich, połączonych ze sobą

drutów w różnych rozmiarach oraz jeden komplet krótkich, dwustronnie zaokrąglonych, zrobionych z kości słoniowej i cienkich jak sztylety. Te wydawały mi się szczególnie złowróżbne. Wiedziałam, że w jakiś tajemniczy sposób używa się ich do wyrabiania pięt w pończochach,

- Następnym razem, kiedy będziemy w River Run, poproszę Jokastę, żeby pokazała mi, jak to się robi. Może w przyszłym roku.

Jamie prychnął. Sięgnął po drut i kłębek przędzy.

- To nic trudnego, Angielko. Patrz, tak zaczynasz rząd. - Przeciągając nitkę przez zaciśniętą pięść, zrobił pętelkę dokoła kciuka, wsunął ją na drut i szybkimi, wprawnymi ruchami w ciągu kilku sekund utworzył cały rząd podobnych pętelek, a potem podał mi drugi drut i jeszcze jeden kłębek wełny. - Spróbuj sama.

Popatrzyłam na niego kompletnie ogłuszona.

- Umiesz robić na drutach? - zapytałam z niedowierzaniem.

- No pewnie, że umiem - odrzekł, równie zaskoczony. - Nauczyłem się, kiedy miałem siedem lat. Czy w twoich czasach niczego już się nie uczy dzieci?

- No wiesz - mruknęłam. Czułam się trochę głupio. - Czasami uczy się takich rzeczy dziewczynki, ale chłopców nie.

- Widzę, że ciebie jakoś nie nauczyli. A poza tym to nie jest żaden skomplikowany haft, Angielko, to tylko zwykłe robienie na drutach! Zobacz, musisz zgiać kciuk, o, tak, i...

I tak oto Jamie i Ian, który, jak się okazało, również posiadał tę umiejętność i omal nie przewrócił się ze śmiechu

na widok mojej tępoty, wprowadzili mnie w podstawy robienia prawych i lewych oczek. Parskając lekceważąco nad moimi pierwszymi wysiłkami, wyjaśnili, że w Szkocji uczy się robótek wszystkich chłopców i że jest to bardzo pożyteczne zajęcie na długie godziny spędzane przy pilnowaniu owiec albo bydła na pastwiskach.

- Gdy mężczyzna jest dorosły, ma żonę i syna, który pilnuje owiec, to nie musi już sam robić sobie pończoch - wyjaśnił Ian.

Sprawnie wykończył piętę i oddał mi robótkę. - Ale nawet mali chłopcy umieją to robić, ciociu.

Rzuciłam okiem na mój aktualny wytwór. Był to wełniany szal, długi mniej więcej na dwadzieścia pięć centymetrów. Leżał zwinięty w kłębek na samym dnie koszyka. Nauczyłam się podstaw, ale robienie na drutach wciąż było dla mnie ciężką walką ze splątaną nicią i śliskimi drutami, a nie przyjemną, uspokajającą rozrywką jak dla Jamiego i Iana. Druty tylko migwały w ich wielkich dłoniach, gdy siedzieli przy ogniu, a ich stukanie było równie uspokajające jak głos świerszcza za kominem.

Nie, nie dzisiaj, pomyślałam. Dziś nie miałam na to siły.

Potrzebowałam raczej czegoś, co zupełnie nie wymaga myślenia, jak na przykład zwijanie wełny w kłębki. Na to mogłam się zdobyć.

Odłożyłam na bok na wpół skończoną parę pończoch w paski, które Jamie robił dla siebie - kto by pomyślał, że taki z niego dandys - i sięgnęłam po ciężkie pasmo świeżo ufarbowanej niebieskiej wełny.

Wciąż czuć ją było mocnym zapachem barwników.

Zwykle lubiłam zapach świeżej przędzy. Miała zapach oleisty jak owce, ziemny jak indygo, a do tego dołączała się ostra woń octu, który utrwał barwę. Dzisiaj jednak ten zapach wydał mi się gryzący w połączeniu z dymem i woskiem ze świecy, ostrym zapachem męskich ciał i fetorem choroby, który sam z kolei był mieszanką woni przepoconych prześcieradeł i używanych nocników. Wszystko to razem mieszało się w zatęchłym powietrzu chaty.

Położyłam motek przędzy na kolanach i na chwilę przymknęłam oczy. Niczego bardziej nie pragnęłam niż tego, by móc się rozebrać i umyć dokładnie w chłodnej wodzie, a potem wsunąć się nago między czyste prześcieradła i leżeć w łóżku bez ruchu, pozwalając, by świeże, chłodne powietrze wpadające przez otwarte okna chłodziło moją twarz, podczas gdy ja osuwałabym się w zapomnienie.

Ale w jednym z moich łóżek leżał spocony Anglik, a w drugim brudny pies, nie wspominając już o nastolatku, który miał przed sobą ciężką noc. Prześcieradeł nie prano już od wielu dni, a pranie było mordęgą złożoną z gotowania, podnoszenia i wykręcania. Moim posłaniem na tę noc, o ile w ogóle będzie mi dane się położyć, miała być złożona kołdra, a za poduszkę miał mi służyć worek z wyczesaną wełną. Przez całą noc miałam oddychać zapachem owiec.

Opieka nad chorymi to ciężka praca i nagle poczułam się cholernie zmęczona. Chciałam, by oni wszyscy stąd znikli.

Otworzyłam oczy i popatrzyłam z niechęcią na lorda

Johna. Leżał na plecach, jedną rękę miał wyciągniętą nad głową i z poważną twarzą wpatrywał się w sufit. Może to tylko złudzenie wywołane przez migocący płomień, ale wydawało mi się, że dostrzegam na jego twarzy niepokój i żal, a w oczach widzę poczucie straty.

Natychmiast zawstydziłam się swojego nastroju. To prawda, nie zapraszałam go tutaj, byłam zła, że jak intruz pojawił się w moim życiu i że jego choroba zrzuciła na moje barki ciężar dodatkowych obowiązków. W jego obecności, podobnie jak w obecności Williama, czułam się nieswojo. Obydwaj jednak mieli wkrótce wyjechać. Jamie wróci do domu, Ian wyzdrowieje, a ja odzyskam spokój, szczęście i czyste prześcieradła. Natomiast to, co zdarzyło się jemu, było już na zawsze.

John Grey stracił żonę, cokolwiek dla niego znaczyła. Trzeba było nie lada odwagi, by przywieźć tu Williama i wysłać go na kilka dni w góry w towarzystwie Jamiego, a to, że zachorował, nie było przecież jego winą.

Odłożyłam wełnę na bok, wstałam i postawiłam czajnik z wodą na ogniu, myśląc, że wszystkim nam dobrze zrobi filiżanka herbaty.

Lord John odwrócił głowę, najwyraźniej moje ruchy wyrwały go z zamyślenia.

- Herbata - wyjaśniłam. Po tym, co myślałam przed chwilą, czułam się skrępowana, patrząc mu w oczy. Niepewnie wykonałam ręką zapraszający gest. Uśmiechnął się blado i skinął głową.

- Dziękuję, pani Fraser.

Wyjęłam z kredensu pudełko z herbatą oraz dwa kubki i łyżeczki.

Po chwili namysłu dołożyłam jeszcze cukierniczkę. To nie był wieczór na melasę.

Przygotowałam herbatę i usiadłam przy łóżku. Przez chwilę obydwójce piliśmy w milczeniu. Pojawiło się między nami dziwne skrępowanie. W końcu odstawiłam kubek i odchrząknęłam.

- Przykro mi. Zamierzałam złożyć panu kondolencje z powodu straty żony - oświadczyłam oficjalnym tonem.

Wydawał się zdziwiony. Po chwili skłonił głowę równie oficjalnym gestem.

- Cóż za zbieg okoliczności, że właśnie teraz pani o tym wspomniała - odparł. - Właśnie o niej myślałem.

Przywykłam już do tego, że większość ludzi, patrząc na mnie, natychmiast odgadywała, o czym myślę, i teraz poczułam dziwną satysfakcję, że tym razem to mnie udało się odgadnąć czyjeś myśli.

- Czy bardzo panu jej brakuje? - Zawahałam się przed zadaniem tego pytania, ale on zdaje się nie uznał go za zbyt osobiste. Sam również chyba się nad tym zastanawiał, odpowiedział bowiem natychmiast, nie szukając słów:

- Właściwie sam nie wiem. Czy to brzmi, jakbym był człowiekiem bez serca? Spojrzał na mnie i uniósł brwi.

- Nie mam pojęcia - odrzekłam nieco cierpko. - Powinien pan chyba wiedzieć lepiej ode mnie, czy żywił pan do niej jakieś uczucia, czy też nie.

- Owszem, żywiłem. - Oparł głowę o poduszkę, gęste włosy rozsypały się wokół jego ramion. - Albo może nadal żywię. Dlatego tu przyjechałem, rozumie pani?

- Nie, nie rozumiem.

Usłyszałam kaszel Iana i podniosłam się, by na niego spojrzeć, ale on tylko obrócił się we śnie. Leżał teraz na brzuchu z jedną ręką zwieszoną w dół. Podniosłam jego dłoń - była wciąż gorąca, jednak nie niebezpiecznie gorąca - i położyłam na poduszce obok jego twarzy. Włosy wpadały mu w oczy. Odsunęłam je delikatnie.

- Doskonale pani sobie z nim radzi. Czy ma pani własne dzieci?

Podniosłam głowę, zaskoczona. Lord John patrzył na mnie z brodą opartą na zwiniętej pięści.

- Mam... to znaczy mamy córkę - powiedziałam. Otworzył szeroko oczy.

- My? - zapytał ostro. - To dziewczyna Jamiego?

- Proszę nie nazywać jej dziewczyną - odrzekłam z niepotrzebną irytacją. - Ma na imię Brianna i tak, jest córką Jamiego.

- Bardzo przepraszam - rzekł sztywno. - Nie chciałem pani urazić - dodał po chwili, już łagodniej. - Byłem zaskoczony.

Zbyt zmęczona, by przejmować się taktem, popatrzyłam mu prosto w oczy.

- I być może również nieco zazdrosny?

Miał twarz dyplomaty. Pod maską przyjaznego wyrazu mogło się dziać niemal wszystko. Patrzyłam na niego przez dłuższy czas i w końcu maska znikła, a w jasnoniebieskich oczach pojawił się błysk świadomości zabarwiony niechętnym humorem.

- A więc jest to jeszcze jedna rzecz, która nas łączy.

Właściwie jego przenikliwość nie powinna mnie dziwić, ale poczułam się zaskoczona. Zawsze głupio jest się

przekonać, że wszyscy bez trudu widzą uczucia, które uważaliśmy za bezpiecznie ukryte.

- Tylko proszę mi nie mówić, że nie pomyślał pan o tym, gdy zdecydował się pan tu przyjechać. - Kubek był już pusty. Odsunęłam go na bok i znów sięgnęłam po przedzę.

Grey przez chwilę przyglądał mi się spod przymrużonych powiek.

- To prawda, myślałem o tym - powiedział w końcu. Opuścił głowę na poduszkę i wpatrzył się w belki sufitu. - Widocznie mimo wszystko pozostały we mnie jeszcze jakieś ludzkie uczucia. Albo może jestem na tyle małostkowy, by przyszło mi do głowy, że przywożąc tu Williama, mogę urazić uczucia pani. Chciałbym jednak, by pani uwierzyła, że nie było to moim celem.

Odłożyłam zwinięty kłębek wełny do koszyka i rozciągnęłam następane pasmo przedzy na oparciu wiklinowego krzesła.

- Wierzę panu - rzekłam, nie odrywając oczu od wełny - choćby dlatego, że taka podróż wymaga jednak dość dużo zachodu. A jaki był cel pańskiego przyjazdu?

Wyczułam, że wzruszył ramionami, bo pościel lekko zaszeleściła.

- Oczywiście. Chciałem, by Jamie mógł zobaczyć chłopca.

- I druga oczywistość: pan z kolei chciał zobaczyć Jamiego.

Zapadła znacząca cisza. Nie odrywałam wzroku od wełny.

Obracałam w rękach kłębek, przesuwając go nad oparciem krzesła w jedną i w drugą stronę, do góry i na dół,

z lewa na prawo, w skomplikowanym krzyżowym wzorze, który miał doprowadzić do powstania doskonałej kuli.

- Jest pani niezwykłą kobietą - rzekł Grey. Nie podniosłam wzroku.

- Doprawdy? A dlaczegoż to? Znow usłyszałam szelest pościeli.

- Nie jest pani ani podejrzliwa, ani ostrożna w mowie. Chyba nigdy nie spotkałem nikogo bardziej bezpośredniego, mężczyzny ani kobiety.

- No cóż, to nie jest mój wybór. - Dotarłam do końca nici i wepchnęłam ją w głąb kłęбка. - Taka się już urodziłam.

- Podobnie jak ja - rzekł bardzo cicho.

Nie odpowiedziałam, wydawało mi się, że nie mówił do mnie.

Podeszłam do kredensu i wyjęłam trzy słoiki: kocimiętka, waleriana, dziki imbir. Sięgnęłam po marmurowy moździerz i wsypałam do środka suche liście i kawałki korzenia. Kropla wody wykypiała z kociołka na płytę paleniska i z sykiem zmieniała się w parę.

- Co pani robi? - zapytał lord John.

- Napar dla Iana - odrzekłam - ten sam, który dawałam panu cztery dni temu.

- Słyszeliśmy o pani w drodze z Wilmington - powiedział Grey swobodnym tonem. - Zdaje się, że pani umiejętności są szeroko znane w okolicy.

- Mhm. - Rozdrobniłam zioła w moździerzu. Chatę wypełnił zapach dzikiego imbiru.

- Mówią, że jest pani szamanką. Co to takiego?

- To może być wszystko, od akuszerki po lekarza,

zaklinacza albo jasnowidza. Zależy, kto to mówi.

Dźwięk, który usłyszałam, przypominał nieco śmiech, a potem na dłuższą chwilę zapadła cisza.

- Pani zdaniem są bezpieczni - stwierdził, ale tak naprawdę było to pytanie.

- Tak. Jamie nie zabrałby ze sobą chłopca, gdyby sądził, że może im się przydarzyć coś złego. Zna go pan przecież, powinien pan o tym wiedzieć.

- Nie znam go - odrzekł.

- Doprawdy? Przez chwilę milczał.

- Znam go wystarczająco dobrze, tak mi się w każdym razie wydaje, by zaryzykować wysłanie Williama w góry w jego towarzystwie. Jestem również pewien, że nie powie Williamowi prawdy.

Przesypałam żółtozielony proszek na kwadracik bawełnianej gazy i zwinęłam całość w schludny pakunek.

- Ma pan rację. Nie powie mu.

- A pani?

Podniosłam wzrok, zaskoczona.

- Naprawdę sądzi pan, że mogłabym to zrobić?

Przez chwilę przypatrywał mi się uważnie, po czym uśmiechnął się.

- Nie - powiedział cicho. - Dziękuję.

Prychnęłam i wrzuciłam zawiniątko z lekarstwem do imbryka.

Odstawiłam do kredensu pojemniki z ziołami i znów usiadłam nad tą cholerną wełną.

- Zachował się pan bardzo wielkodusznie, pozwalając Williamu pojechać z Jamiem. To wymagało odwagi - dodałam niechętnie.

Podniosłam wzrok. Patrzył na ciemne okno, jakby dostrzegał za nim dwie postacie idące obok siebie przez las.

- Moje życie już od wielu lat znajduje się w rękach Jamiego - rzekł cicho - mogę więc zawierzyć mu również życie Williama.

- A co będzie, jeśli Willie przypomni sobie stajennego o nazwisku MacKenzie? Albo jeśli przyjrzy się uważnie swojej twarzy i twarzy Jamiego?

- Dwunastoletni chłopcy nie są zwykle tak spostrzegawczy - rzekł Grey sucho. - Skoro chłopiec przez całe życie wierzył, że jest dziewiątym earlem Ellesmere, to nigdy nie przyjdzie mu do głowy, że tak naprawdę może być nieprawym synem szkockiego stajennego, a nawet gdyby przyszło, to szybko by tę myśl odrzucił.

Zwijalam wełnę w milczeniu, wsłuchując się w trzaskanie ognia.

Ian znów zakaszłał, ale nie obudził się. Pies za to zmienił pozycję i teraz leżał przy jego nogach. Zwinięty w kłębek, wyglądał jak ciemna kula futra.

Skończyłam zwijać drugi kłębek włóczki i zaczęłam trzeci.

Jeszcze jeden i napor naciągnie. Jeżeli Ian nie będzie potrzebował mojej pomocy, to potem będę mogła się położyć.

Grey milczał tak długo, że gdy znów się odezwał, z zaskoczeniem podniosłam wzrok. Nie patrzył na mnie, lecz w górę, po raz kolejny szukając natchnienia między poczerniałymi od dymu belkami.

- Powiedziałem już, że żywiłem uczucia do mojej żony - rzekł cicho - bo tak było. Przywiązanie, lojalność,

serdeczność. Zналиśmy się przez całe życie. Nasi ojcowie przyjaźnili się, znałem jej brata, mogła być moją siostrą.

- A czy jej wystarczyło, że traktuje ją pan jak siostrę?

W spojrzeniu, które mi rzucił, złość mieszała się z zainteresowaniem.

- Życie z panią chyba nie jest zbyt kojące. - Zamknął usta, ale nie mógł na tym poprzestać. Niecierpliwie wzruszył ramionami. - Tak, sądzę, że była zadowolona z życia, jakie prowadziła. W każdym razie nigdy nie powiedziała mi, że jest inaczej.

Nie odpowiedziałam, lecz głośno wypuściłam oddech. Grey wzruszył ramionami i podrapał się po obojczyku.

- Byłem dla niej odpowiednim mężem - rzekł obronnym tonem. - To, że nie mieliśmy własnych dzieci, nie było moją...

- Naprawdę nie chcę o tym słuchać.

- Och, czyżby? - Nadał mówił cicho, żeby nie obudzić Iana, ale z jego głosu zniknęły łagodne tony i teraz wyraźnie przebijała przezeń złość. - Zapytała mnie pani, dlaczego tu przybyłem, kwestionowała pani moje motywacje, oskarżyła mnie pani o zazdrość. Może nie chce pani wiedzieć, bo gdyby się pani dowiedziała, nie mogłaby pani już dłużej myśleć o mnie tak jak dotychczas, tak jak pani wygodniej.

- A skąd pan, do diabła, wie, jak jest mi wygodniej o panu myśleć?

Jego usta drgnęły w grymasie, który na mniej przystojnej twarzy sprawiałby wrażenie pogardliwego.

- A nie wiem?

Przez dłuższą chwilę patrzyłam mu prosto w twarz, nie starając się niczego ukrywać.

- Wspomniała pani o zazdrości - rzekł cicho po chwili.

- Owszem. Pan też.

Odwrócił głowę, ale zaraz znów zaczął mówić.

- Gdy usłyszałem, że Isobel nie żyje... nic to dla mnie nie znaczyło. Żyliśmy razem od lat, jednak nie widzieliśmy się już prawie od dwóch. Dzieliliśmy łóżko, dzieliliśmy życie, tak sądziłem.

Powinienem chyba coś poczuć, ale nic nie poczułem.

Wziął głęboki oddech i pościel na jego łóżku znów się poruszyła.

- Wspominała pani o wielkoduszności. To nie to. Przyjechałem, żeby przekonać się, czy potrafię jeszcze coś czuć. - Wciąż wpatrywał się w ciemne, zakryte skórą okno.

- Czy to moje uczucia zmarły, czy tylko Isobel.

- Tylko Isobel? - powtórzyłam. Przez chwilę nie poruszał się.

- W każdym razie potrafię jeszcze czuć wstyd - wyznał wreszcie bardzo cicho.

Zrobiło się już późno. Ogień prawie się wypalił i ból mięśni powiedział mi, że już dawno powinnam znaleźć się w łóżku. Ian zaczynał kręcić się niespokojnie i mruzczyć coś przez sen. Rollo podniósł się i trącił go nosem, skamłając cicho. Podeszłam do niego i jeszcze raz otarłam mu twarz, poprawiłam poduszkę i wygładziłam prześcieradło, mrużąc coś kojąco. Był na wpół uśpiony.

Podtrzymałam mu głowę i dałam do wypicia ciepły

napar.

- Rano poczujesz się lepiej.

Na jego szyi w rozcięciu koszuli widać było wyraźne plamy, ale gorączka zaczęła już spadać i zmarszczka na czole wygładziła się.

Jeszcze raz otarłam mu twarz i ułożyłam go na poduszce. Przyłożył policzek do chłodnego płótna i od razu zasnął.

Zostało jeszcze mnóstwo naparu. Przełałam część do kubka i podałam lordowi Johnowi. Zdziwiony usiadł i wziął kubek z moich rąk.

- A teraz, skoro już pan tu przyjechał i zobaczył go, czy ma pan jeszcze jakieś uczucia? - zapytałam.

Przez chwilę patrzył na mnie szeroko otwartymi oczami.

- Tak, mam. - Dłoń nawet mu nie drgnęła, gdy podniósł kubek i wypił. - Niech Bóg ma mnie w swojej opiece - dodał lekkim tonem.

Ian miał ciężką noc, ale przed świtem zapadł w niespokojną drzemkę. Mnie samej również udało się trochę odpocząć i przespać kilka godzin na podłodze, zanim obudził mnie głośny ryk muła Clarence'a.

Clarence był towarzyskim stworzeniem i zawsze z zachwytem witał zbliżanie się czegokolwiek, co uważał za przyjaciela, zaliczając do tej kategorii wszystko, co miało cztery nogi. Swoją radość objawiał głośnym rykiem, który odbijał się echem od gór. Rollo, urażony, że ktoś śmie w ten sposób zastępować go w roli psa stróżującego, zeskoczył z łóżka Iana, poszybował nade mną i wyleciał na zewnątrz przez otwarte okno, wyjąc jak wilkołak.

Wyrwana ze snu, podniosłam się niepewnie. Lord John, siedzący przy stole w samej koszuli, również wydawał się zaskoczony, choć nie wiedziałam, czy powodem było zamieszanie, czy mój wygląd.

Wysłam z chaty, pospiesznie przeczesując palcami potargane włosy.

Serce biło mi szybciej w nadziei, że może to Jamie wraca.

Niestety, nie był to Jamie ani Willie, jednak moje rozczarowanie szybko zmieniło się w zdumienie, gdy zobaczyłam, kim jest nasz gość. Był to pastor Gottfried, przywódca Kościoła luterńskiego w Salem. Spotykałam go od czasu do czasu w domach parafian, do których mnie wzywano, ale byłam bardzo zdziwiona, widząc go tutaj.

Jazda z Salem do Fraser's Ridge zajmowała prawie dwa dni, a najbliższa farma niemieckich luteran oddalona była od nas o co najmniej dziesięć kilometrów i nie prowadziła do niej żadna droga.

Pastor nie był dobrym jeźdźcem: błoto i kurz na jego czarnym płaszczu świadczyły o tym, że po drodze niejedną raz lądował w kałuży. Musiała go tu przywieść jakaś bardzo pilna potrzeba.

- Siad, przeklęty psie! - zawołałam do Rolla, który warczał na przybysza z obnażonymi zębami, wprawiając w niepokój konia pastora. - Cicho bądź, mówię!

Rollo spojrział na mnie żółtymi oczami i wycofał się z wyrazem urażonej godności, jakby chciał powiedzieć, że skoro ja życzę sobie wpuszczać złoczyńców do domu, to on nie ma zamiaru odpowiadać za konsekwencje.

Pastor był niskim, przysadzystym mężczyzną. Jego

zazwyczaj rozpromienione oblicze za wielką, kędzierzawą, siwą brodą przypominało słońce wyłaniające się zza burzowych chmur. Tego ranka jednak nie promieniał. Okrągłe policzki miały kolor baraniego łoju, nabrzmiałe usta były blade, a oczy podkrążone zmęczeniem.

- Meine Dame - powitał mnie, zdejmując kapelusz o szerokim rondzie i kłaniając się w pas. - Ist Euer Mann hier?

Znałam tylko kilka słów w łamanym niemieckim, ale z łatwością zrozumiałam, że szuka Jamiego. Pokręciłam głową, wskazując niejasno na las.

Pastor popadł w jeszcze większe przygnębienie. Niemal zaczął wykręcać ręce z rozpacz. Powiedział coś po niemiecku nagłym tonem, a widząc, że go nie rozumiem, powtórzył to raz jeszcze, wolniej i wyraźniej, próbując zobrazować coś ruchami przysadzistego ciała i zmusić mnie do zrozumienia siłą woli. Ja jednak tylko bezradnie kręciłam głową.

Naraz za moimi plecami odezwał się ostry głos.

- Was ist los? - zapytał lord John, stając w progu. - Was habt Ihr gesagt?

Z zadowoleniem zauważyłam, że włożył spodnie, chociaż nadal był boso, a włosy opadały mu luźno na ramiona.

Pastor spojrział na mnie z oburzeniem, zapewne myśląc o najgorszym, ale gdy lord John wypowiedział kilka kolejnych zdań po niemiecku z szybkością karabinu maszynowego, uspokoił się i przepaszając skłonił w moją stronę. Potem zwrócił się do Anglika i zaczął opowiadać swoją historię, machając rękami i jękając się.

- Co on mówi? - zapytałam, udawało mi się bowiem

wyłąpać zaledwie pojedyncze słowa z tej teutońskiej powodzi.

John spojrział na mnie posepnie.

- Czy zna pani rodzinę o nazwisku Mueller?

- Tak - odrzekłam, zdjęta nagłym niepokojem. - Trzy tygodnie temu asystowałam przy narodzinach dziecka Petronelli Mueller.

- Ach. - Grey oblizał poszarzałe usta i wbił wzrok w ziemię.

Widziałam, że nie ma ochoty mówić dalej. - To... to dziecko nie żyje.

Podobnie jak matka.

- Och, nie! - Opadłam na ławkę przy drzwiach, nie mogąc uwierzyć, że to naprawdę się stało. - Nie, to niemożliwe!

Grey potarł usta dłonią i skinął głową pastorowi, by mówił dalej.

Herr Gottfried podjął opowieść, z przejęciem wymachując drobnymi, pulchnymi dłońmi.

- On mówi, że to Masern. Wydaje mi się, że to to, co my nazywamy odra. - Flecken, so ahnlich wie diese? - zapytał, wskazując na resztki wysypki na swojej twarzy.

Pastor energicznie pokiwał głową, powtarzając: - Flecken, Masern, ja - i poklepując się po policzkach.

- Ale do czego potrzebny mu jest Jamie? - zapytałam, nic nie rozumiejąc.

- On chyba uważa, że Jamie potrafiłby przemówić do rozumu temu człowiekowi, Herr Muellerowi. Czy oni się przyjaźnią?

- Niezupełnie... nie. Zeszłej wiosny Jamie uderzył

Gerharda Muellera w twarz i powalił go na ziemię przed młynem.

W policzku lorda Johna zadrgał mięsień.

- Rozumiem. W takim razie sądzę, że on użył wyrażenia „przemówić do rozumu” w nieco innym znaczeniu.

- Muellerowi nie przemówi do rozumu nic bardziej wyrafinowanego niż trzonek od siekiery - wyjaśniłam - ale co takiego trzeba mu wytłumaczyć?

Grey zmarszczył czoło. Zrozumiał mnie, chociaż w tym kontekście zdziwiło go słowo „wyrafinowany”. Zawahał się, po czym znów zwrócił się do pastora i zapytał o coś jeszcze, a potem uważnie wsłuchiwał się w zalew niemczyzny.

Krok po kroku, wciąż przerywając sobie wzajemnie i z dużą pomocą gestykulacji, udało się przetłumaczyć całą historię.

Jak już lord John powiedział nam wcześniej, w Cross Creek wybuchła epidemia odry, która rozszerzyła się na prowincję i dotknęła kilka domów w Salem. Muellerowie mieszkali dość daleko od sąsiadów i aż do tej pory nie odczuwali jej skutków.

Jednak na dzień przed pojawieniem się pierwszych symptomów choroby pod farmę Muellerów podjechała nieduża grupa Indian, prosząc o coś do jedzenia i picia. Mueller, którego zdanie na temat Indian doskonale znałam, przepędził ich w bardzo obraźliwy sposób.

Urazeni Indianie odjechali, rzekomo czyniąc przy tym tajemnicze znaki w kierunku domu.

Gdy następnego dnia w rodzinie pojawiła się

choroba, Mueller był przekonany, że sprowadził ją urok, który na jego dom rzucili Indianie. Natychmiast wymalował na ścianach symbole, które miały odczynić urok, i wezwał pastora z Salem, by odprawił egzorcyzmy.

- Chyba to właśnie chciał powiedzieć - dodał lord John niepewnie - choć nie wiem, co właściwie miał na myśli.

- Mniejsza o to - przerwałam mu niecierpliwie. - Proszę mówić dalej.

Te sposoby okazały się jednak nieskuteczne. Gdy Petronella i jej nowo narodzona córka również zachorowały, stary Mueller stracił resztki rozumu. Poprząsił zemstę dzikusom, którzy sprowadzili nieszczęście na jego rodzinę, i zmusił swych synów i zięciów, by wyruszyli razem z nim w las.

Wrócili z tej wyprawy przed trzema dniami. Synowie byli bladzi i milczący, a stary płonął z zimnej satysfakcji.

- Ich war dort. Ich habe ihn gesehen - powiedział Herr Gottfried i po jego policzkach spłynął pot. „Byłem tam, widziałem”.

Wezwany histeryczną wiadomością przez kobiety pastor wjechał na podwórze przy stajni i zobaczył na drzwiach stodoły dwa długie skalpy ciemnych włosów, poruszające się lekko na wietrze nad koślawo wymalowanym napisem Rache.

- To znaczy „zemsta” - przetłumaczył lord John.

- Wiem. - Usta wyschły mi tak, że ledwie mogłam mówić. - Czytałam Sherlocka Holmesa. To znaczy, że...

- Najwidoczniej tak.

Pastor wciąż coś mówił. Pochwycił mnie za ramię i potrząsnął, próbując podkreślić wagę swych słów. Wzrok Greya wyostrzył się.

Przerwał pastorowi jakimś pytaniem i tamten w odpowiedzi gorączkowo pokiwał głową. Grey zwrócił się do mnie z niepokojem na twarzy.

- On tu jedzie. Mueller.

Bardzo zdenerwowany widokiem skalpów pastor zaczął szukać Herr Muellera i dowiedział się, że patriarcha przybił swoje ponure trofea do drzwi stodoły, a potem znów opuścił farmę, mówiąc, że zmierza do Fraser's Ridge, żeby zobaczyć się ze mną.

Gdyby nie to, że już siedziałam, chyba bym upadła. Czulałam, jak cała krew odpływa z moich policzków. Byłam pewna, że jestem równie blada jak pastor Gottfried.

- Dlaczego? - zapytałam - Czy on...? Chyba nie... chyba to niemożliwe? Chyba nie myśli, że zrobiłam coś złego Petronelli albo dziecku? - Spojrzałam z przerażeniem na pastora, który zanurzył pulchną, drżącą dłoń w posiwiałych włosach, niszcząc starannie wypomadowaną fryzurę.

- Duchowny nie wie, co Mueller myśli ani w jakim celu chce tu przyjechać - wyjaśnił lord John, patrząc z zainteresowaniem na bezpretensjonalną postać pastora.

Trzeba było przyznać pastorowi, że wyruszył sam za Muellerem i znalazł go w dwie godziny później nieprzytomnego na skraju drogi.

Stary farmer najwyraźniej od wielu już dni nic nie jadł, skupiony wyłącznie na zemście. Nieumiarkowanie nie jest częstą przywarą luteran, ale pod wpływem zmęczenia i

emocji Mueller po powrocie pochłonął ogromną ilość piwa, które go zamroczyło. Choć był zmorzony, jakoś udało mu się spętać muła, a potem owinął się w płaszcz i usnął wśród zarośli przy drodze.

Znając dobrze temperament Muellera i zakładając, że stary raczej nie złagodniał pod wpływem alkoholu, pastor nie próbował go budzić, lecz wskoczył na konia i popędził przed siebie najszybciej, jak mógł, z nadzieją, że opatrność pozwoli mu dotrzeć tutaj na czas, by nas ostrzec. Nie miał żadnych wątpliwości, że mój Mann poradzi sobie z Muellerem bez względu na intencje tamtego, ale skoro Jamiego nie było...

Pastor Gottfried przeniósł bezradne spojrzenie z mojej twarzy na lorda Johna i z powrotem.

- Vielleicht solten Sie gehen? - zapytał, ilustrując swoje słowa skinieniem głowy w stronę zagrody dla koni.

- Nie mogę wyjechać - pokręciłam głową, wskazując na dom. - Mein... - Chryste, jak jest po niemiecku: „siostrzeniec”? - Mein junger Mann ist nicht gut.

- Ihr Neffe ist krank - poprawił szybko lord John. - Haben Sie jemals Masern gehabt?

Pastor zaprzeczył ruchem głowy i do jego przygnębienia dołączył się wyraźny niepokój.

- On nie chorował na odrę - przetłumaczył lord John.
- Nie może tu zostać, bo inaczej on również narazi się na niebezpieczeństwo, czy tak?

- Tak. - Pierwszy szok zaczął już ustępować, powoli dochodziłam do siebie. - Tak, powinien odjechać stąd jak najszybciej.

W pańskim towarzystwie jest bezpieczny, pan już

nie zaraża, ale Ian owszem.

Lord John powiedział coś autorytatywnym tonem do małego pastora i ciągnąc go za rękaw, popychał w stronę konia. Gottfried protestował, lecz coraz słabiej. Jeszcze raz spojrział na mnie ze zmartwioną twarzą. Próbowałam uśmiechnąć się do niego pocieszająco, choć czułam się nie lepiej niż on. Na myśl o skalpach na drzwiach stodoły Muellera włosy stawały mi dęba z przerażenia.

- Danke - powiedziałam. - Proszę mu przekazać, że wszystko będzie dobrze - zwróciłam się do lorda Johna - bo inaczej stąd nie odjedzie.

Grey krótko skinął głową.

- Już mu to mówiłem. Powiedziałem też, że jestem żołnierzem i nie pozwolę, żeby stała się pani jakaś krzywda.

Pastor przez chwilę stał nieruchomo z dłonią na uździe konia, mówiąc coś z zaangażowaniem do lorda Johna. Potem puścił wodze, podszedł do mnie i łagodnie położył rękę na mojej głowie.

- Seid gesegnet - powiedział. - Benedicite.

- On mówi... - odezwał się lord John.

- Rozumiem.

Staliśmy w milczeniu w drzwiach, patrząc za Gottfriedem, który odjeżdżał przez kasztanowy zagajnik. Wszystko dokoła wydawało się niedorzecznie spokojne. Miękkie jesienne słońce grzało moje ramiona, ptaki nad naszymi głowami zajmowały się swoimi sprawami.

Usłyszałam dalekie stukanie dzięcioła i śpiewny duet przedrzeźniaczy, które mieszkały na wielkim srebrnym świerku. Nie było słyhać sów, ale przecież nie nadeszła ich pora, było zaledwie przedpołudnie.

- Kto? - zastanowiłam się dopiero teraz. Kto padł ofiarą ślepej zemsty Muellera? Farma Muellerów oddalona była o kilka dni jazdy od gór, które oddzielały terytorium Indian od domów osadników, ale zależnie od obranego kierunku mógł dotrzeć do kilku wiosek Tuskarora albo Czirokezów.

Czy dotarł do wioski? A jeśli tak, jaki był rozmiar masakry, którą urządzili? I jeszcze gorzej: jaka masakra mogła z tego wyniknąć?

Pomimo ciepłego słońca wzdrygnęłam się. Mueller nie był jedynym człowiekiem, który wierzył w zemstę. Rodzina, klan, wioska tych, których zamordował, również będzie szukać zemsty i nawet jeśli znają tożsamość morderców, mogą nie poprzestać na Muellerach.

A jeśli nie znają? Jeśli wiedzą tylko, że mordercy byli biali?

Znów się wzdrygnęłam. Słyszałam już wiele opowieści o masakrach i dobrze wiedziałam, że ofiary bardzo rzadko zrobiły cokolwiek, by sprowokować swój los. Po prostu miały pecha, znajdując się w niewłaściwym miejscu o niewłaściwym czasie. Fraser's Ridge leżało bezpośrednio na linii między farmą Muellerów a wioskami Indian.

Trudno było w tej chwili o gorsze miejsce.

- O Boże, chciałabym, żeby Jamie tu był. - Nie uświadamiałam sobie, że powiedziałam to głośno, dopóki nie usłyszałam odpowiedzi lorda Johna,

- Ja też - rzekł - choć zaczynam myśleć, że William jest znacznie bezpieczniejszy z nim, niż byłby tutaj, i to nie tylko z powodu choroby.

Spojrzałam na niego i dopiero teraz uświadomiłam sobie, że wciąż jest bardzo słaby. Po raz pierwszy od tygodnia wstał z łóżka.

Twarz pod resztkami wysypki miał zupełnie białą i przytrzymał się drzwi, żeby nie upaść.

- W ogóle nie powinien pan wstawać - zawołałam, podtrzymując go za ramię. - Proszę natychmiast wracać do łóżka.

- Czuję się już dobrze - odrzekł z irytacją, ale nie wrywał się ani nie protestował, gdy zaprowadziłam go z powrotem do chaty.

Przyklekłam przy łóżku Iana, który rzucał się niespokojnie na posłaniu, rozpalony gorączką. Oczy miał zamknięte, twarz opuchniętą i zniekształconą od wysypki, gruczoły szyi powiększone i twarde jak jajka.

Rollo wetknął ciekawski nos pod mój łokieć, lekko szturchnął swojego pana i zaskamlał.

- Wyzdrowieje - powiedziałam stanowczo. - Może wyjdiesz na zewnątrz i będziesz wypatrywał gości, co?

Pies zignorował tę radę i cierpliwie przyglądał się, jak wyżymam kompres w zimnej wodzie i obmywam Iana. Szturchnęłam go, żeby nieco się rozbudził, a potem uczesałam mu włosy, dałam nocnik i wmusiłam w niego syrop z miodu, przez cały czas nasłuchując stukotu podków i głosu Clarence'a, oznajmającego przyjazd gości.

* * *

To był długi dzień. Przez kilka godzin wzdrygałam się na każdy dźwięk i oglądałam się przez ramię na każdy krok. W końcu zabrałam się do codziennych obowiązków.

Zajęłam się Ianem, który wciąż miał gorączkę i czuł się nieszczęśliwie. Nakarmiłam zwierzęta, wyplewiłam ogród, przeflancowałam młode sadzonki ogórków i posadziłam lorda Johna, który miał ochotę mi pomóc, do łuskania fasoli.

Idąc z wychodka do zagrody dla kur, z tęsknotą spoglądałam na las. Wiele bym dała za to, by zanurzyć się w jego chłodnej, zielonej głębi. Jednak kolejne godziny mijały spokojnie, jesienne słońce rozświetlało Fraser's Ridge, a Gerharda Muellera nigdzie nie było widać.

- Proszę mi opowiedzieć o tym Muellerze - powiedział lord John.

Wracał mu już apetyt i zjadł dokładkę smażonej papki z ziaren, chociaż odsunął na bok sałatkę z mniszka i szkarłatki.

Wyciągnęłam z miski delikatną łyżkę szkarłatki i zaczęłam ją pogryzać. Miała ostry smak.

- Jest głową dużej rodziny. To niemieccy luteranie, jak bez wątpienia już się pan domyślił. Mieszkają o jakieś dwadzieścia pięć kilometrów stąd, w dolinie rzeki.

- Tak?

- Gerhard jest wielkim i bardzo upartym mężczyzną, o czym pan również już wie. Prawie nie mówi po angielsku, zna tylko kilka słów.

Jest stary, ale ogromnie silny. - Zobaczyłam oczami duszy obraz starego człowieka, który żyłastymi, umięśnionymi ramionami wrzucał na wóz dwudziestokilogramowe worki mąki, jakby były wypełnione pierzem.

- A ta bójka z Jamiem... Czy on sprawia wrażenie

człowieka, który długo chowa urazy?

- Z pewnością Mueller długo chowa urazy, ale nie w tym przypadku. To właściwie nie była bójka. - Pokręciłam głową, szukając odpowiedniego określenia. - Czy wie pan cokolwiek o mułach?

Grey podniósł jasne brwi i uśmiechnął się. - Owszem, co nieco.

- No cóż, Gerhard Mueller jest mułem. Właściwie nie jest zły ani głupi, ale gdy raz wbije sobie coś do głowy, wszystko inne przestaje dla niego istnieć i trzeba wielkiej siły, by odwrócić jego uwagę.

Nie było mnie przy sprzeczce w młynie, lecz Ian opowiadał mi o tym wydarzeniu. Stary wbił sobie do głowy, że Felicia Woolam, jedna z trzech córek młynarza, nie dowążyła mu mąki i jest mu winna jeszcze jeden worek. Felicia na próżno próbowała mu wytłumaczyć, że przywiózł jej pięć worków pszenicy, ona zaś zmeła ją i wsypała powstałą mąkę do czterech worków. Różnica brała się stąd, że podczas mielenia odpadły łuski i śmiecie. Pięć worków pszenicy dawało cztery worki mąki.

- Funf - powtarzał Mueller, machając jej przed twarzą rozpostartą dłonią. - Es gibt funf! - Nie dało się mu wytłumaczyć. Przeklinając głośno po niemiecku, wepchnął dziewczynę do kąta.

Ian bez powodzenia próbował odwrócić jego uwagę i w końcu wybiegł na zewnątrz po Jamiego, który rozmawiał z panem Woolamem. Obydwaj z pośpiechem wpadli do młyna, ale podobnie jak Ianowi nie udało im się przekonać Muellera, że nie został oszukany. Ignorując ich wyjaśnienia, Mueller napierał na Felicię, najwyraźniej

zdecydowany wziąć siłą dodatkowy worek mąki ze sterty za jej plecami.

- W końcu Jamie dał sobie spokój z przekonywaniem i uderzył go - wyjaśniłam.

Na początku nie chciał tego robić, bo Mueller miał prawie siedemdziesiąt lat, ale zmienił zdanie, gdy zobaczył, że jego pierwszy cios odbił się od szczęki Muellera, jakby była zrobiona z dębowego drewna.

Stary zwrócił się w jego stronę niczym rozdrażniony niedźwiedź.

Na to Jamie uderzył go najpierw w żołądek, a potem w usta, najmocniej jak potrafił. Mueller przewrócił się, a Jamie pokaleczył sobie kostki palców o jego zęby.

Szybko zamienił kilka słów z Woolamem, który był kwakrem, a tym samym sprzeciwiał się wszelkiej przemocy, pochwycił ogłuszonego Muellera za nogi i wyciągnął go na zewnątrz, gdzie jeden z synów Muellera czekał cierpliwie na wozie. Jamie złapał starego za kołnierz, przycisnął go do wozu i trzymał tak, przemawiając do niego uprzejmie po niemiecku, aż do chwili, gdy pan Woolam, który szybko przesywał mąkę w pięć mniejszych worków, wyniósł je i załadował na wóz pod baczным spojrzeniem starego.

Mueller przeliczył worki dwukrotnie, po czym zwrócił się do Jamiego i powiedział z godnością: - Danke, mein Herr. Następnie wszedł na wóz, usiadł obok zdumionego syna i odjechał.

Grey z uśmiechem poskrobał się po resztkach wysypki.

- Rozumiem. Wygląda na to, że on nie czuje żadnej urazy.

Pokręciłam głową, przeżuając sałatkę.

- Absolutnie nie. Gdy potem byłam u nich na farmie przy porodzie dziecka Petronelli, traktował mnie bardzo miło.

Na myśl, że Petronella i jej dziecko już nie żyją, ścisnęło mi się gardło, a listki mniszka naraz wydały się gorzkie.

- Proszę - Grey przysunął mi dzbanek z piwem.

Napiłam się. Zimne, kwaśne piwo na chwilę stłumiło gorycz.

Odstawiłam dzbanek i przez chwilę siedziałam z zamkniętymi oczami.

Przez okno wpadał do środka świeży wietrzyk, ale blat stołu pod moimi dłońmi był ciepły, nagrany słońcem. Wszystkie drobne radości fizycznego istnienia wciąż do mnie należały; odczuwałam je jeszcze wyraźniej na myśl, że zostały odebrane innym, również tym, którzy ledwo zdążyli ich posmakować.

- Dziękuję - powiedziałam i otworzyłam oczy. Grey patrzył na mnie z głębokim współczuciem na twarzy. - Wydawałoby się, że nie powinnam tego tak przeżywać - westchnęłam, czując nagłą potrzebę wyjaśnień. - Tutaj śmierć nie jest niczym niezwykłym, zwłaszcza śmierć dzieci. Widziałam to już wielokrotnie i rzadko mogłam pomóc.

Poczułam coś ciepłego na policzku. Za zdumieniem zauważyłam, że to łza. Grey sięgnął do rękawa i podał mi chusteczkę. Nie była szczególnie czysta, ale nie przeszkadzało mi to.

- Czasami zastanawiałem się, co Jamie w pani widzi

- rzekł rozmyślnie lekkim tonem.

- Och, doprawdy? Pochlebia mi to - pociągnęłam nosem,

- Gdy zaczął o pani opowiadać, obydwaj myśleliśmy, że pani nie żyje - zauważył - i choć bez wątpienia jest pani przystojną kobietą, nigdy nie mówił o wyglądzie.

Ku memu zdumieniu wziął mnie za rękę i przytrzymał ją lekko.

- Ma pani jego odwagę. Roześmiałam się bez przekonania.

- Gdyby pan tylko wiedział...

Nic nie odrzekł, lecz uśmiechnął się blado i przesunął lekko kciukiem po kostkach mojej dłoni. Jego palce były lekkie i ciepłe.

- On nie powstrzymuje się przed niczym ze strachu, że porani sobie kostki - powiedział. - Myślę, że pani też nie.

- Nie mogę. - Wzięłam głęboki oddech i wytarłam nos. Łzy przestały płynąć. - Jestem lekarzem.

- To prawda - rzekł cicho i urwał na chwilę. - Nie podziękowałam pani jeszcze za moje życie.

- To nie moja zasługa. W takich przypadkach jak choroba zakaźna niewiele mogę zrobić. Mogę tylko być przy chorym.

- Robi pani nieco więcej - rzekł sucho i puścił moją rękę. - Napije się pani jeszcze piwa?

Zaczęłam rozumieć, co Jamie widział w Johnie Greyu.

Popołudnie mijało spokojnie. Ian rzucał się na posłaniu i jęczał, ale przed wieczorem wysypka była już w

pełnym rozkwicie, a gorączka zaczęła nieco opadać. Wiedziałam, że nie będzie czuł głodu, ale miałam nadzieję, że może uda mi się namówić go na odrobinę gorącego mleka. Na tę myśl przypomniałam sobie, że czas już wydoić kozy. Wstałam, wymamrotałam coś do lorda Johna i odłożyłam robótkę.

Otworzyłam drzwi chaty i znalazłam się twarzą w twarz z Gerhardem Muellerem, który stał po drugiej stronie.

Miał brązowe oczy o czerwonym odcieniu, które zawsze wydawały się płonąć wewnętrznym ogniem, a teraz, gdy były mocno podkrążone, ich wyraz stał się jeszcze bardziej intensywny. Utkwił we mnie spojrzenie i skinął głową raz, a potem drugi.

Od czasu, gdy widziałam go po raz ostatni, skurczył się i schudł.

Wciąż był wysoki i potężny, ale teraz więcej w nim było kości niż mięśni. Wydawał się bardzo stary, u schyłku swoich dni. Nie odrywał oczu od mojej twarzy. Jego własna przypominała pomięty pergamin.

- Herr Mueller - zaczęłam. Mój głos wydawał mi się spokojny, miałam nadzieję, że jemu również. - Wie geht es Euch?

Stał przede mną, chwiejąc się na nogach. Wydawało się, że może go przewrócić byle powiew wiatru. Nigdzie nie było śladu konia ani muła; nie wiedziałam, czy stracił konia, czy zostawił go gdzieś pod granią.

Postąpił o krok do przodu. Cofnęłam się mimowolnie.

- Frau Klara - powiedział i usłyszałam w jego głosie błagalny ton. Zatrzymałam się. Miałam ochotę zawołać

lorda Johna, ale zawahałam się.

Gdyby chciał mi zrobić krzywdę, nie zwracałby się do mnie po imieniu.

- Oni nie żyją - powiedział - Mein Madchen. Mein Kind. - W jego podkrążonych oczach nieoczekiwanie wezbrały łzy i popłynęły powoli po pokrytej zmarszczkami, ogorzałej twarzy. Rozpacz w tych oczach była tak wielka, że wyciągnęłam rękę i ujęłam ogromną, pokrytą odciskami dłoń.

- Wiem - powiedziałam. - Tak mi przykro.

Znów skinął głową i poruszył ustami. Pozwolił mi posadzić się na ławce przy drzwiach. Opadł na nią gwałtownie, jakby nogi nagle się pod nim ugięły.

Drzwi otworzyły się i wyszedł z nich John Grey z pistoletem w ręku. Pokręciłam głową w jego kierunku i natychmiast schował pistolet pod koszulę. Stary pociągnął mnie za rękę, zmuszając, bym usiadła obok niego.

- Gnadige Frau - powiedział. Naraz odwrócił się i objął mnie, przyciskając do swojej brudnej kapoty. Wstrząsnął nim bezgłośny szloch. Wiedziałam, co zrobił, ale mimo wszystko otoczyłam go ramionami. Śmierdział okropnie: czymś kwaśnym, starością i rozpaczą, piwem, potem i brudem, a gdzieś pod tymi wszystkimi zapachami wyczuwałam odór zaschniętej krwi. Wzdrygnęłam się, pochwycona w sieć współczucia, przerażenia i odrazy, ale nie potrafiłam się od niego oderwać.

W końcu puścił mnie i wydawało się, że dopiero teraz zauważył Johna Greya, który krążył w pobliżu niepewny, czy powinien interweniować, czy nie. Na jego widok stary drgnął.

- Mein Gott! - wykrzyknął z przerażeniem. - Er hat Masern!

Słońce opadło już nisko i drzwi wydawały się skąpane w krwistym świetle. Ostatnie promienie trafiły prosto na twarz Greya, podkreślając ciemne plamy na jego twarzy i zabarwiając skórę na czerwono.

Mueller zwrócił się do mnie i gorączkowo pochwycił moją twarz między swoje wielkie, kościste łapy. Przesunął kciukami po moich policzkach i w jego zapadniętych oczach pojawił się wyraz ulgi, gdy zauważył, że moja skóra jest czysta.

- Gott sei Dank - powiedział. Puścił moją twarz i zaczął szukać czegoś w kieszeniach kurtki, mówiąc coś szybko i niewyraźnie po niemiecku. Udawało mi się wyłapać tylko pojedyncze słowa.

- On mówi, że bał się, że przyjedzie za późno, i cieszy się, że zdążył - wyjaśnił Grey, widząc oszołomienie na mojej twarzy. Patrzył na starego farmera podejrzliwie i z niechęcią. - Mówi, że przywiózł coś pani, jakiś amulet, który ma odpędzić klątwę i ocalić panią od choroby.

Stary wyciągnął z przepastnych głębin kapoty coś zawiniętego w szmatkę i położył to na moich kolanach, wciąż gadając po niemiecku.

- On chce podziękować pani za pomoc, jakiej udzieliła pani jego rodzinie. Uważa, że jest pani dobrą kobietą i jest mu pani droga jak synowa. Tak powiedział.

Mueller drżącymi rękami rozwinął szmatkę i słowa zamarły w gardle Greya.

Otworzyłam usta, ale nie wydałam żadnego dźwięku. Musiałam jednak nieświadomie drgnąć, bo

szmatka upadła na ziemię i wysunął się z niej kosmyk posiwiałych włosów, do których wciąż przypięta była srebrna ozdoba. Obok leżał skórzany woreczek ozdobiony poplamionymi krwią piórami dzięcioła.

Mueller wciąż coś mówił, a Grey próbował tłumaczyć, ale do mnie nic nie docierało. W uszach dźwięczało mi echo słów, które usłyszałam przed rokiem nad strumieniem, słów wypowiedzianych miękkim głosem Gabrielle, która tłumaczyła mowę Nayawenne.

Jej imię oznaczało „Być może; to się zdarzy”. Teraz już się zdarzyło, a na pociechę pozostały mi tylko jej słowa: „Ona mówi, że nie powinnaś się martwić. Chorobę zsyłają bogowie. To nie będzie twoja wina”.

29. Kostnice

Jeszcze zanim wioska pojawiła się na horyzoncie, Jamie wyczuł dym. Willie zauważył jego napięcie i sam również zeszywniał, rozglądając się uważnie.

- O co chodzi? - zapytał szeptem. - Co się dzieje?

- Nie wiem - odrzekł Jamie równie cicho, chociaż w pobliżu nie było nikogo widać. Zsiadł z konia, podał wodze Williemu i wskazał głową porośnięte dzikim winem urwisko, u którego podnóża rosły gęste krzewy. - Zabierz konie za to urwisko. Tam jest ścieżka wydeptana przez jelenie, która prowadzi do zagajnika świerkowego.

Schowaj się między drzewa i poczekaj na mnie. - Zawahał się; nie chciał straszyć chłopca, ale nic nie mógł na to poradzić. - Jeśli nie wrócę przed zmrokiem, natychmiast stąd odjeżdżaj, nie czekaj do rana. Wróc do tego strumyka, który przekroczyliśmy wcześniej, skręć w lewo i jedź wzdłuż nurtu, aż dotrzesz do wodospadu. Usłyszysz go

nawet po ciemku. Za wodospadem jest jaskinia. Indianie korzystają z niej podczas polowań.

Dokoła błękitnych tęczywek chłopaka pojawiły się białka. Jamie uściśnął jego nogę nad kolanem i poczuł, że przez ciało Williego przebiegł dreszcz.

- Poczekaj tam do rana - ciągnął - a jeśli się nie pojawię, wracaj do domu. Jedź tak, żebyś miał słońce po lewej stronie przed południem, a po prawej po południu. Po dwóch dniach możesz zdać się na konia. Będziesz już blisko domu i myślę, że sam znajdzie drogę.

Wziął głęboki oddech, zastanawiając się, co jeszcze mógłby powiedzieć, ale nic mu nie przychodziło do głowy.

- Z Bogiem, chłopcze - uśmiechnął się do Williego, próbując dodać mu otuchy. Klepnął konia w zad i ruszył w kierunku, z którego dochodził zapach spalenizny.

To nie był zwykły zapach ognisk we wsi ani nawet wielkich ceremonialnych stosów, na których, jak opowiadał mu Ian, palono pośrodku wioski całe kłody drewna. Ian mówił, że stosy były wielkości ognisk w Beltane. Jamie wiedział, jak wygląda taki ogień, ale ten był jeszcze znacznie większy.

Zatoczył wielki krąg i dotarł na wzgórze, z którego rozciągał się widok na całą wieś. Zobaczył to zaraz po wyjściu z lasu. Znad zwęglonych szczątków domów wznosiły się wielkie chmury szarego dymu. Gruba, brązowawa zasłona rozciągała się nad lasem aż po horyzont. Zakaszczał i szybko zakrył twarz brzegiem tartanu, jednocześnie żegnając się drugą ręką. Znał zapach spalonych ciał, przypomniał sobie stosy pogrzebowe pod Culloden i oblał go zimny pot.

Przejęty grozą na widok zniszczenia, uważnie przepatrywał pozostałości wioski, mrużąc oczy w gryzącym powietrzu i szukając jakiegoś śladu życia pośród ruin. Nic się jednak nie poruszało oprócz kłębow dymu, srebrzystych pasm, które wiatr rozwiewał między poczerniałymi domami. Czy to Czirokezi albo Indianie Creek najechali wioskę od południa? A może któreś z ostatnich pozostałych plemion Algonkinów z północy, Indianie Nanticoke albo Tuteloe?

Poryw wiatru uderzył go prosto w twarz, niosąc ze sobą zapach zwęglonych ciał. Pochylił się i zwymiotował, próbując odepchnąć od siebie głęboko wyryte wspomnienie spalonych domostw i wymordowanych rodzin. Wyprostował się, otarł usta rękawem i usłyszał w dali szczekanie psa.

Odwrócił się i szybko zszedł ze wzgórza, kierując się w stronę głosu. Serce biło mu szybciej. Najeźdźcy nie zabieraliby psów. Jeśli ktoś ocalał z masakry, na pewno zabrał je ze sobą. Mimo wszystko starał się poruszać jak najciszej i nie odważył się zawołać. Ogień nie płonął dłużej niż dzień, zdążył strawić ściany dopiero do połowy.

Ktokolwiek podpalił wioskę, z pewnością był jeszcze niedaleko.

Duży, żółty kundel wybiegł mu na spotkanie. Jamie rozpoznał go: pies należał do Onakary, przyjaciela Iana. Nie znajdował się na swoim zwykłym terytorium, więc nie szczekał ani nie próbował go odstraszyć, tylko stał nieruchomo w cieniu sosny, kładąc uszy płasko na łbie i warcząc cicho. Jamie podszedł do niego powoli i wyciągnął przed siebie zaciśniętą pięść.

- Balach math - wymruczał - masz. Gdzie są twoi

ludzie?

Pies napiął mięśnie i wciąż warcząc, obwąchał wyciągniętą rękę.

Gdy rozpoznał znajomy zapach, jego nozdrza zadrgały i rozluźnił się nieco.

Jamie raczej wyczuł, niż zauważył, obecność człowieka. Podniósł oczy i zobaczył przed sobą właściciela psa. Onakara miał pomalowaną twarz. Białe pasy biegły od włosów aż do podbródka, a spomiędzy nich patrzyły martwe oczy.

- Jaki wróg to uczynił? - zapytał Jamie łamanym językiem Tuskarora. - Czy twój wuj jeszcze żyje?

Onakara nie odpowiedział. Odwrócił się i odszedł do lasu, a pies pobiegł za nim. Jamie ruszył ich tropem i po półgodzinie znalazł się na niewielkiej polanie, gdzie ocaleni urządzili sobie tymczasowy obóz. Zauważył znajome twarze. Niektórzy również zauważyli jego, inni wpatrywali się w przestrzeń niewidzącym wzrokiem, który Jamie dobrze znał; widzieli przed sobą bezgraniczną rozpacz i smutek. Zbyt wielu jednak brakowało.

Widywał już takie sceny wcześniej. Duchy wojny i ludobójstwa nieustannie podążały za jego krokami. Widział w Szkocji młodą kobietę, która siedziała na progu dymiącego domu, z ciałem męża u stóp. Na jej twarzy odbijał się zdumiony wyraz, taki sam jak na twarzy młodej Indianki siedzącej pod platanem.

Po chwili jednak uświadomił sobie, że coś tu wygląda inaczej.

Polana upstrzona była wigwamami, rzeczy leżały poskładane na stertach pod drzewami, a pośród drzew

zauważył spętane konie i kuce.

To nie był pospieszny exodus ludzi napadniętych i uciekających, by ocalić życie, lecz zorganizowany odwrót. Większość dobytku została schludnie spakowana. Cóż, na litość boską, stało się tego dnia w Anna Ooka?

Nacognaweto był w wigwamie po drugiej stronie polany. Onakara podniósł płachtę przy wejściu i gestem zaprosił Jamiego do środka.

W oczach starca pojawił się nagły błysk, który jednak na widok twarzy przybysza szybko zgasł. Twarz Indianina znów przybrała wyraz smutku. Wódz na chwilę zamknął oczy, a gdy je otworzył, był już zupełnie opanowany.

- Nie spotkałeś tej, która uzdrawia, ani kobiety, w której domu mieszkałem?

Jamie znał indiańskie zwyczaje i wiedział, że niegrzecznie było wymawiać czyjekolwiek imię na głos w innych celach niż rytualne; zrozumiał, że wódz mówi o Gabrielle i o starej Nayawenne. Pokręcił głową, wiedząc, że tym gestem gasi ostatnią iskierkę nadziei Nacognaweto. Choć nie była to żadna pociecha, wyjął z pasa butelkę brandy i podał ją wodzowi, w milczeniu przepraszając za to, że nie przynosi dobrych wiadomości.

Nacognaweto przyjął butelkę i ruchem głowy przywołał jedną z kobiet. Indianka pogrzebała w zawiniątku przy skórzanej ścianie i wyciągnęła czarkę z tykwy. Wódz wlał do niej solidną porcję alkoholu, która zadziwiłaby nawet Szkota, i napił się, a potem podał tykwę Jamiemu.

Jamie z uprzejmości wypił niewielki łyk i oddał naczynie.

Nieuprzejmie było natychmiast wyjawiać cel swojej wizyty, ale nie miał czasu na towarzyskie pogawędki i widział, że Nacognaweto również nie ma do tego serca.

- Co się stało? - zapytał bez ogródek.

- Choroba - odrzekł cicho Nacognaweto i jego oczy zalśniły od łez. - Jesteśmy przekłęci.

Między jednym a drugim łykiem brandy Jamie usłyszał całą historię. W wiosce wybuchła epidemia odry i rozprzestrzeniała się jak ogień. Jedna czwarta ludzi zmarła już po pierwszym tygodniu, a teraz zaledwie jedna czwarta pozostała przy życiu.

Na początku Nayawenne śpiewała nad ofiarami, ale gdy chorych przybywało, poszła do lasu, by poszukać... Jamie zbyt słabo znał język Tuskarora i nie rozumiał tego słowa. Być może był to jakiś amulet, może roślina, a może uzdrowicielka szukała wizji, która powiedziała by im, co mają zrobić, jak zadośćuczynić złu, które sprowadziło na nich chorobę, lub poznać imię wroga, który ich przeklął. Gabrielle i Berth poszły z nią, ponieważ była stara i nie powinna iść sama. Żadna z nich trzech nie wróciła.

Nacognaweto kołysał się lekko z tykwą w dłoniach. Kobieta pochyliła się nad nim, próbując odebrać mu naczynie, lecz gdy odsunął ją bezceremonialnie, zostawiła go w spokoju.

Szukali kobiet, ale nie było po nich żadnego śladu. Może zaatakowali je jacyś rabusie, a może one również zachorowały i zmarły w lesie. W każdym razie wioska pozostała bez szamana, który mógłby w ich imieniu rozmawiać z bogami, toteż bogowie nie chcieli ich słuchać.

- Jesteśmy przekłęci - powiedział Nacognaweto

zatartym głosem i tykwa niebezpiecznie przechyliła mu się w rękach. Kobieta przyklęła za nim i położyła dłonie na jego ramionach, by go podtrzymać.

- Zostawiliśmy zmarłych w domach i podpaliliśmy je - powiedziała do Jamiego. Jej oczy również były pociemniałe ze smutku, ale tliło się w nich jeszcze życie. - Teraz zmierzamy na północ, do Oglanethaka. - Zacisnęła dłonie na ramionach Nacognaweto i skinęła głową Jamiemu. - Idź już.

Poszedł. Smutek tego miejsca przywarł do niego jak dym, którym przesiąknięte miał włosy i ubranie. Gdy opuszczał obóz, w jego zwęglonym sercu zakiełkował drobny zielony pęd egoizmu i ulgi; ta rozpacz nie była jego rozpaczą. Jego kobieta wciąż żyła. Jego dzieci były bezpieczne.

Podniósł wzrok na niebo i zobaczył przytłumiony blask zachodzącego słońca, rozmyty przez chmurę dymu. Przyspieszył kroku i szedł dalej marszem górala, który pochłaniał kilometr za kilometrem. Nie miał wiele czasu. Zmierzch zapadał szybko.

CZEŚĆ ÓSMA

BEAUCOUP

30. Zniknięcie

Oksford, kwiecień 1971

- Nie - odmówił stanowczo Roger. Obrócił się na krześle, by spojrzeć przez okno na zachmurzone niebo, równocześnie przytrzymując przy uchu słuchawkę telefonu. - Nie ma mowy.

Mówiłem ci, że w przyszłym tygodniu wyjeżdżam

do Szkocji.

- Daj spokój, Rog - głos pani dziekan zabrzmiał uwodzicielsko. - To coś akurat dla ciebie. I wcale ci tak bardzo nie pokrzyżuje planów.

Za miesiąc o tej porze będziesz już w górach polować na jelenie.

Zresztą sam mi mówiłeś, że twoja dziewczyna przyjeżdża dopiero w czerwcu.

Roger zazgrzytał zębami, słysząc udawany szkocki akcent dziekan, i otworzył usta, by raz jeszcze odmówić, lecz nie zdążył.

- To przecież Amerykanie, Rog - powiedziała. - A ty tak dobrze sobie z nimi radzisz. Także z dziewczynami - dodała, chichocząc.

- Słuchaj, Edwino... - Roger silił się na cierpliwość. - Mam już ustalone plany urlopowe. I nie obejmują one ciągnięcia amerykańskich turystów po londyńskich muzeach.

- Nie, nie - zapewniła go natychmiast. - Najęliśmy ludzi, którzy zajmą się stroną turystyczną, do ciebie należałyby jedynie sprawy konferencji.

- Ale i tak...

- Pieniądze, Rog - zamruczała do telefonu, wyciągając tajną broń.

- Jak powiedziałam, to Amerykanie. I wiesz, co to oznacza... - Zawiesiła głos, dając mu czas, by policzył, jakie wynagrodzenie otrzyma za poprowadzenie tygodniowej konferencji dla grupy amerykańskich uczonych, których oficjalny Opiekun się rozchorował.

W porównaniu z jego zwykłą pensją była to suma astronomiczna.

- Ach... - Czuł, że jego opór słabnie.

- Podobno planujesz niedługo ślub, Rog. Przyda ci się na dodatkowy haggis na weselu, nie?

- Ktoś ci kiedyś powiedział, jaka jesteś subtelna, Edwino? - spytał.

- Nigdy. - Zachichotała, jednak zaraz znów przybrała oficjalny ton. - No dobrze, to do zobaczenia w następnym poniedziałek na spotkaniu przygotowawczym. - Rozłączyła się.

Z trudem oparł się chęci rzucenia słuchawką.

Może nawet tak będzie lepiej - pomyślał ponuro. Prawdę mówiąc, nie dbał zbyt wiele o pieniądze, ale zaplanowanie i poprowadzenie konferencji wypełni mu przynajmniej czas i myśli. Rozprostował mocno pomięty list, leżący koło telefonu, i przebiegł wzrokiem po zawartych w nim słowach przeprosin, właściwie ich jednak nie czytając.

Bardzo jej przykro - napisała. Specjalne zaproszenie na konferencję na Sri Lance (rany, czy tego lata wszyscy Amerykanie biorą udział w konferencjach?), cenne kontakty, rozmowy o pracy (o pracy? Jezu, tak, dobrze czuł, nie miała zamiaru wrócić), nie może tam nie pojechać. Strasznie jej przykro. Do zobaczenia we wrześniu.

Napisze. Uściski.

- Tak, akurat - mruknął. - Uściski.

Zwinął kartkę w kulkę i cisnął na komodę. Odbiła się od srebrnej ramki zdjęcia i spadła na podłogę.

- Dlaczego mi wprost nie powiedziałaś? - spytał na głos. - Znalazłaś sobie jednak kogoś innego, miałaś wtedy rację, nie? Ty byłaś mądra, a ja głupi. Ale czy nie mogłaś

przynajmniej być uczciwa, ty kłamliwa suko?

Starał się nakręcić, wzbudzić w sobie złość - cokolwiek, byle tylko nie czuć wewnętrznej pustki. Nic z tego.

Ujął fotografię w srebrnej ramce, chcąc ją rozwalić na kawałki, chcąc ją przytulić do serca. W końcu jednak tylko zapatrzył się na nią, stojąc nieruchomo, by po długiej chwili odłożyć delikatnie, zdjęciem do dołu.

- Strasznie ci przykro... - mruknął. - Tak, mnie też.

Maj 1971

Gdy wrócił do college'u po ostatnim dniu konferencji, zgrzany, zmęczony, mając absolutnie dość wszystkich Amerykanów, w portierni czekały na niego skrzynie. Było ich pięć - wielkich, drewnianych pak z naklejkami wskazującymi, iż przybyły z zagranicy.

- Co to takiego? - Roger usiłował równocześnie podpisać formularz podsunięty mu przez tragarza i znaleźć w kieszeni napiwek.

- A skąd mam to wiedzieć? - odparł zadziornie mężczyzna i upuścił ostatnią skrzynię na pozostałe z głośnym trzaskiem. - Dalej niech pan się sam tym zajmuje.

Roger popchnął lekko górną pakę. Zawierała zapewne książki - albo ołów. Spod niej wystawała jakaś koperta. Z pewną trudnością oderwał ją i otworzył.

„Powtórzyłeś mi kiedyś słowa Twego ojca, że każdemu potrzebna jest historia. Tu znajduje się moja. Czy zachowasz ją ze swoją?“. Nie było ani nagłówka, ani pozdrowień na końcu, jedynie pojedyncza litera „B“, napisana wyraźnym, kanciastym pismem.

Przez chwilę przyglądał się kartce, następnie złożył

ją i wsunął do kieszeni koszuli. Objął najwyższą skrzynię i przysiadając lekko, uniósł ją w górę. Rany boskie, musiała ważyć co najmniej trzydzieści kilogramów! Udało mu się donieść ją do mieszkania i postawić na podłodze. Z komody wyciągnął śrubokręt, uzbroił się jeszcze w butelkę piwa, a następnie zabrał do otwierania paki. Starał się opanować podniecenie, ale nie potrafił. „Czy zachowasz ją ze swoją?”. Dziewczyna nie wysyłałaby chyba połowy swojego majątku facetowi, z którym zamierza zerwać?

- Historia, co? - mruknął. - Zapakowałaś to tak, jakby to były eksponaty muzealne.

Skrzynia była podwójna, między zewnętrzną a wewnętrzną ścianą znajdowała się warstwa wełny drzewnej. Gdy otworzył pakunek, ujrzał różne niekształtne, owinięte w gazety przedmioty i mniejsze paczki. Wyjął pudełko po butach i zajrzał do środka: zdjęcia, stare fotografie o ząbkowanych brzegach, i nowsze - kolorowe i lśniące.

Spod spodu wystawał kant dużej fotografii portretowej. Wyciągnął ją - przedstawiała Claire Randall, taką jak wtedy, gdy widział ją po raz ostatni. Jej bursztynowe oczy patrzyły ciepło, a nad nimi piętrzyły się jedwabiste, brązowe włosy. Uśmiechała się lekko. Roger włożył fotografię z powrotem do pudełka, czując się jak morderca, i dalej badał zawartość.

Z gazetowych opakowań wynurzały się bardzo różne rzeczy.

Szmaciana lalka o twarzy tak spłowiałej, że zostały na niej wyłącznie oczy z guzików. Miała podartą, ale starannie zacerowaną sukienkę, miękkie ciało było poplamione, lecz najwyraźniej uprane. Następne zawiniątko

zawierało nieco sfatygowany kapelusz Myszki Miki z różową, gąbkową kokardą tkwiącą między dużymi uszami. Roger wyciągał kolejno: tanią pozytywkę, wciąż jeszcze grającą Over the Rainhow; pluszowego, wyłysiałego psa z syntetycznego futra; spłowiałą czerwoną męską bluzę w rozmiarze M, która zapewne pasowałaby na Briannę, ale Roger czuł instynktownie, że należała do Franka; podniszczony szlafrok z pikowanego, brązowego jedwabiu.

Kierując się impulsem, przycisnął do niego nos. Claire. Jej zapach - lekki zapach piżma i ziół - przywołał ją na moment do życia.

Wstrząśnięty, upuścił szlafrok.

Pod warstwą podobnych drobiazgów znalazł bardziej solidny skarb. Ciężar skrzyni wynikał głównie z zawartości dużych, płaskich pudeł ułożonych na jej dnie. W każdym pomieszczono srebrną zastawę stołową, starannie opakowaną w szary materiał zapobiegający czernieniu. W każdym też znajdowała się napisana na maszynie notatka, podająca pochodzenie i historię srebra.

Francuski serwis ze złoconego srebra z dekoracją sznurową, znak producenta „DG”, nabyty przez Williama S. Randalla w 1842 roku.

Angielski wzór z czasów Jerzego III, kupiony w 1776 roku przez Edwarda K. Randalla. Serwis z ornamentem muszelkowym, zaprojektowany przez Charlesa Boytona, nabyty w 1903 roku przez Quentina Lamberta Beauchampa, prezent ślubny dla Franklina Randalla i Claire Beauchamp. Srebra rodzinne. Z rosnącym zdziwieniem Roger wyjmował kolejne przedmioty i układał je na podłodze - i te cenne, i te codzienne, które składały się na

historię Brianny Randall. Historię... dlaczego tak to nazwała?

Nagle w zdziwienie wdarł się lęk, bo przysłała mu do głowy niepokojąca myśl. Złapał za pokrywę skrzyni i sprawdził adres: Oksford - tak, rzeczywiście przysłała je tutaj. Dlaczego tutaj, skoro wiedziała, że zamierza spędzić całe lato w Szkocji? Byłby tam, gdyby nie konferencja, która wypadła w ostatnim momencie, a o konferencji nie zdążył jej powiedzieć...

W najdalszym rogu znalazł jeszcze szkatułkę na biżuterię, niewielką, ale dość ciężką. Zawierała kilka pierścionków, broszki, kilka par kolczyków, naszyjniki i łańcuszki; była tam też broszka z kwarcu, którą podarował jej na urodziny. Brakowało dwóch rzeczy: srebrnej bransoletki, prezentu od niego - i pereł jej babki.

- Jezus Maria! - Spojrzał raz jeszcze, żeby się upewnić. Wyrzucił na łóżko całą zawartość szkatułki. Ani śladu pereł. Na pewno nie było tam barokowych, szkockich pereł rozdzielanych złotymi tarczkami, naszyjnika, którego przecież nie wzięłaby ze sobą na konferencję na Sri Lance! Te perły uważała za klejnot rodzinny, a nie biżuterię.

Rzadko je nosiła. Łączyły ją z...

- Nie, nie zrobiłaś tego - powiedział głośno. - Powiedz mi, że tego nie zrobiłaś!

Upuścił szkatułkę na łóżko i rzucił się po schodach na dół do telefonu. Wieki trwało, zanim dodzwonił się do centrali międzynarodowej, jeszcze dłużej musiał wysłuchiwać różnych elektronicznych bzyczeń, gwizdów i innych dźwięków, zanim w końcu z drugiej strony linii dobiegło go ciche buczenie. Jeden dzwonek, drugi,

następnie kliknięcie... Odetchnął z ulgą. Jest w domu.

- Przepraszamy - powiedział bezosobowy damski głos. - Ten numer został odłączony i nie jest już w użytku.

Boże drogi, przecież nie mogła tego zrobić! A może jednak? Tak, do cholery! Lekkomyślna dziewczyna, gdzie do diabła jest?

Nerwowo postukiwał palcami o biodro, zdenerwowany, podczas gdy linia transatlantycka klikała, mruczała, gdy odbierano połączenie, gdy musiał radzić sobie z nieskończonymi opóźnieniami, głupotą operatorów centrali telefonicznej w szpitalu i sekretarek. W końcu jednak usłyszał znajomy głos, głęboki i dźwięczny.

- Joseph Abernathy.

- Doktor Abernathy? Mówi Roger Wakefield. Czy wie pan, gdzie jest Brianna? - spytał bez wstępów.

Głęboki głos zdradzał zdziwienie.

- Z panem, czyż nie?

Rogera przebiegł zimny dreszcz. Mocniej uchwycił słuchawkę, jak gdyby mógł ją w ten sposób zmusić do udzielenia innej odpowiedzi.

- Nie. - Starał się opanować. - Zawiadomiła mnie, że przyjedzie na jesieni, po egzaminie magisterskim i jakiejś konferencji.

- Nie, nie, to nie tak. Zrobiła dyplom w końcu kwietnia.

Zabrałem ją nawet na obiad, żeby to oblać. Powiedziała wówczas, że jedzie prosto do Szkocji, nie czekając nawet na uroczyste rozdanie dyplomów. Zaraz, niech pomyślę. No tak, mój syn Lenny zawiózł ją na lotnisko. Kiedy to było? Mmm... wtorek, dwudziestego

siódmego.

Czy to znaczy, że nie dotarła na miejsce? - Doktor Abernathy wyraźnie się zdenerwował.

- Nie wiem, czy dotarła, czy nie. - Wolna dłoń Rogera zwinęła się w pięść. - Nie zawiadomiła mnie o przyjeździe. - Zmusił się do spowolnienia oddechu. - Czy pamięta pan, dokąd leciała? Do jakiego miasta, Londynu czy do Edynburga? - Mogło się zdarzyć, że chciała go zaskoczyć niespodziewanym przyjazdem. Rzeczywiście byłby zdziwiony, wątpił jednak, by taki był jej zamiar.

Przez głowę przelatywały mu różne wizje: porwania, napadu, zamachu bombowego IRA... Niemal wszystko mogło się przydarzyć w wielkim mieście podróżującej samotnie dziewczynie. I niemal wszystko, co mogło się jej przytrafić, byłoby lepsze niż to, co - czuł instynktownie - zdarzyło się naprawdę. Niech ją diabli wezmą!

- Inverness - usłyszał głos doktora Abernathy'ego. - Z Bostonu do Edynburga, a potem pociągiem do Inverness.

- O Jezu! - Było to i przekleństwo, i modlitwa. Jeżeli wyleciała z Bostonu we wtorek, to zapewne dotarła do Inverness gdzieś w czwartek, piątek zaś był trzydziestym dniem kwietnia, wigilią Beltane - starożytnego święta ognia, w które na wzgórzach Szkocji rozpalano niegdyś ogniska dla oczyszczenia i płodności, w które być może wrota na wzgórze elfów Craigh na Dun stały najszerzej otwarte.

Dotarło do niego, że Abernathy domaga się wyjaśnień. Zmusił się do skupienia.

- Nie - wydusił z pewną trudnością. - Nie, nie przyjechała, a ja jestem ciągle w Oksfordzie, nie miałem pojęcia...

Powietrze między nimi wibrowało, ciężkie milczenie wypełniał strach. Musiał zapytać. Odetchnął ponownie z wyraźnym wysiłkiem i przełożywszy słuchawkę do drugiej ręki, wytarł spoconą dłoń o nogawkę spodni.

- Panie doktorze - powiedział niepewnie - istnieje możliwość, że Brianna udała się do swojej matki, do Claire. Proszę mi powiedzieć, czy wie pan, gdzie ona przebywa?

Tym razem poczuł emanującą ze słuchawki nieufność.

- Ach... nie. - Abernathy mówił powoli i bardzo ostrożnie. - Nie, niestety nie wiem. Niezbyt dokładnie.

„Niezbyt dokładnie”. Świetnie to ujął. Roger przesunął dłońią po twarzy, wyczuwając zarost opuszkami palców.

- Może spytam inaczej - powiedział, ważąc słowa. - Czy kiedykolwiek słyszał pan nazwisko Jamie Fraser?

Zapanowało milczenie, a potem do Rogera dobiegło głębokie westchnienie.

- O Jezusie, Mario i wszyscy święci - jęknął doktor Abernathy. - Zrobiła to.

„A pan nie?”. Tak właśnie zapytał Joe Abernathy pod koniec ich długiej rozmowy, a teraz pytanie to objęło mu się w głowie, gdy jechał na północ, niemal nie zauważając rozmazanych w deszczu znaków drogowych. „A pan nie?”.

- A ja tak - stwierdził Abernathy. - Gdyby nie znał pan swego ojca, gdyby pan go nigdy nie znał, a nagle dowiedziałby się pan, gdzie on się znajduje? Czy nie chciałby pan go spotkać, poznać, stwierdzić, jaki jest w rzeczywistości? Ja osobiście byłbym ciekaw.

- Nie rozumie pan - odrzekł Roger, pocierając ręką czoło. - To nie jest taka sytuacja jak z kimś adoptowanym, kto nagle dowiaduje się, jak nazywa się jego prawdziwy ojciec, i po prostu pojawia się na jego progu.

- A moim zdaniem to właśnie tak. - Głęboki głos zdradzał chłód.

- Bree została adoptowana, prawda? Myślę, że poszłaby już wcześniej, gdyby nie uważała tego za nielojalność wobec Franka.

Roger pokręcił głową, ignorując fakt, że Abernathy nie może go widzieć.

- Nie o to mi chodzi. Chodzi o to pojawienie się przed drzwiami.

To... ta droga przez... To, jak poszła przez... Czy Claire panu opowiadała...?

- Tak, opowiadała - przerwał mu Abernathy z pewnym zakłopotaniem. - Tak, mówiła, że nie przypomina to raczej przejścia przez drzwi obrotowe.

- Mówiąc oględnie. - Sama myśl o kamiennym kręgu na Craigh na Dun sprawiła, że Rogerowi zaschło w gardle.

- „Mówiąc oględnie”? Czy to znaczy, że pan wie, jak to jest? - Odległy głos zdradzał zainteresowanie.

- Tak, do cholery, wiem. - Znów głęboko odetchnął. - Przepraszam, to nie jest... Nie umiem tego wytłumaczyć, nie sądzę, by ktokolwiek umiał. Te kamienie... Najwyraźniej nie każdy je słyszy.

Ale Claire tak, Bree też, i ja także, a dla nas...

Claire przekroczyła kamienny krąg na Craigh na Dun w starożytne święto ognia Samhain pierwszego dnia listopada, dwa i pół roku wcześniej. Roger zadrżał. Ilekroć o

tym myślał, włosy stawały mu dęba.

- Więc nie każdy może przejść, ale pan tak? - W głosie Abernathy'ego słycać było ciekawość i coś w rodzaju zazdrości.

- Nie wiem. - Roger przesunął dłonią po włosach. Oczy go paliły, piekły, jakby nie kładł się przez całą noc. - Możliwe. Chodzi o to - mówił powoli, starając się kontrolować głos i strach - chodzi o to, że nawet jeśli przeszła, nie wiadomo, dokąd ani w jaki czas trafiła.

- Rozumiem. - Głęboki głos Amerykanina zdradzał coraz głębszą troskę. - I o Claire także nie wiadomo, czy jej się udało?

Roger pokręcił głową. Znów zapomniał o tym, że doktor Abernathy nie może go widzieć; wydawało mu się, że czuje jego wzrok. Doktor Abernathy był mężczyzną zaledwie średniego wzrostu, krępy, czarnym mężczyzną w okularach o złożonych ramkach.

Cechowała go jednak taka powaga i emanował taką władczością, że samo przebywanie w jego obecności przynosiło ufność i spokój.

Roger stwierdził ze zdumieniem, że działa to również przez telefon.

Był za to bardzo wdzięczny.

- Nie! - odrzekł głośno. Lepiej nie wchodzić na razie w szczegóły, nie zamierzał dyskutować o tym przez telefon z mało znanym sobie człowiekiem. - Jest kobietą, w tamtych czasach nie notowano zbyt dokładnie, co robiły poszczególne kobiety, chyba że zdarzyło się coś niezwykłego. Na przykład jeśli któraś została spalona na stosie, powieszona za morderstwo albo zamordowana.

- Cha, cha - powiedział Abernathy, ale nie było mu do śmiechu. - Udało jej się jednak co najmniej raz. Poszła i wróciła.

- To prawda. - Roger starał się znaleźć pociechę w tym fakcie, jednak musiał liczyć się ze zbyt wieloma innymi możliwościami. - Nie wiemy jednak, czy Brianna też cofnęła się do tamtych czasów, czy może jeszcze dalej. A nawet jeśli przeżyła podróż przez kamienie i pojawiła się we właściwej epoce... Czy ma pan pojęcie, jak niebezpieczny był osiemnasty wiek?

- Nie - odrzekł sucho Abernathy - ale, jak rozumiem, pan tak?

Claire jednak dawała sobie radę.

- Przeżyła - zgodził się Roger. - Nie wykorzystałbym jednak tej historii jako reklamy miejsca na wakacje. „Jeśli będziesz miał szczęście, wrócisz żywy”. Przynajmniej raz.

Abernathy roześmiał się, lecz jego głos zdradzał zdenerwowanie.

Odkasznął.

- Tak, no cóż, chodzi o to, że Bree najwyraźniej gdzieś pojechała, i sędzę, że ma pan rację, zgadując dokąd. W każdym razie, gdyby chodziło o mnie, ja bym pojechał. A pan nie?

„A pan nie?”. Skręcił w lewo, wyminął ciężarówkę i włączył światła, bo mgła robiła się coraz gęstsza. „A ja tak”. Ta pewność w głosie Abernathy'ego...

Zauważył drogowskaz „Inverness 30” i ostro skręcił kierownicą maleńkiego morrisa w prawo, o mały włos nie wpadając w poślizg na mokrej nawierzchni. Deszcz lał tak mocno i gęsto, że nad asfalem pojawiła się mgiełka.

„A pan nie?“. Dotknął kieszeni koszuli, gdzie na sercu znajdowała się sztywna tekturka - fotografia Brianny. Był tam też mały, okrągły przedmiot - medalion matki, który złapał w ostatniej chwili na szczęście.

- Tak, może ja też - mruknął, usiłując coś dojrzeć przez deszcz zalewający mu przednią szybę. - Ale wyjawilibym ci, co zamierzam zrobić. Na litość boską, kobieto, dlaczego nic mi nie powiedziałaś?!

31. Powrót do Inverness

W holu ciężką chmurą wisały połączone zapachy pasty do podłogi, wosku do mebli, świeżej farby i odświeżacza powietrza.

Jednak nawet te wyczuwalne świadectwa gorliwości Fiony w pracach domowych nie były w stanie przytłumić przepysznych aromatów płynących z kuchni.

Roger wciągnął je głęboko w nozdrza, odstawiając w holu walizki. Stare domostwo znalazło się niewątpliwie pod nowym zarządem, ale nawet przekształcenie z prywatnej rezydencji w pensjonat nie zdołało zmienić jego odwiecznego charakteru.

Fiona przywitała go z entuzjazmem, Ernie z nieco mniejszym.

Roger rozgościł się w swym dawnym pokoju na szczycie schodów i od razu podjął działania detektywistyczne. Nie było to trudne. Przede wszystkim górali zazwyczaj ciekawili obcy, a do tego kobieta mająca metr osiemdziesiąt wzrostu i rude włosy do pasa musiała zwracać na siebie uwagę.

Przybyła do Inverness z Edynburga - to wiedział na pewno, ponieważ widziano ją na dworcu. Wiedział także na

pewno, że wysoka rudowłosa kobieta wynajęła samochód z kierowcą i kazała zawieźć się na wieś. Kierowca nie miał właściwie pojęcia, dokąd jechali, powiedział tylko, że ni stąd, ni zowąd kobieta oświadczyła: „O! To jest to miejsce, tu wysiądę”.

- Wyjaśniła, że umówiła się tu z przyjaciółmi na wyprawę pieszą przez wrzosowiska - powiedział kierowca, wzruszając ramionami. - Miała ze sobą plecak i niewątpliwie ubrana była do wędrowki. Był to okropnie mokry dzień jak na spacer po wrzosowiskach, ale wie pan, że ci amerykańscy turyści to wariaci.

Roger wiedział w każdym razie, że wariatką jest ta konkretna Amerykanka. Niech diabli wezmą jej upór! Jeśli musiała to zrobić, dlaczego mu nie powiedziała? Bo nie chciała, żebyś wiedział - pomyślał ponuro i wołał nie rozważać przyczyn.

Na razie dobrnął aż tu - i był tylko jeden sposób, żeby podążyć za nią dalej.

Według Claire to coś, co umożliwiałoby przejście, najszerzej otwierało się w starożytne święta słońca i ognia. I jak się wydaje, rzeczywiście tak było. Ona sama przeszła po raz pierwszy w Beltane - pierwszego maja, za drugim razem w Samhain - pierwszego listopada, a teraz Brianna najwyraźniej poszła śladami matki, przechodząc w Beltane.

Cóż, nie zamierzał czekać do listopada. Bóg jeden wie, co może jej się przytrafić w ciągu pięciu miesięcy. Beltane i Samhain były świętami ognia, natomiast między nimi przypadało święto słońca.

Najbliższym świętem było letnie przesilenie - dwudziestego czerwca, za cztery tygodnie. Zazgrzytał

zębami, że musi aż tyle czekać. Najbardziej chciałby ruszyć od razu i niech diabli wezmą niebezpieczeństwo, jednak nie pomógłby Briannie, gdyby zginął, zanim jeszcze zdoła ruszyć jej na pomoc. Nie miał złudzeń co do kamiennego kręgu - nie po tym, co widział i słyszał dotychczas.

Bardzo spokojnie rozpoczął przygotowania. Wieczorami, gdy mgła znad rzeki dochodziła aż do domu, szukał rozrywki, grając w warcaby z Fioną, chodząc do pubu z Erniem, a również od czasu do czasu usiłując coś zrobić z tuzinem pudeł, które wciąż wypełniały stary garaż.

Z garażem wiązał się jakiś ponury cud, bo pudła wydawały się mnożyć jak chleb i ryby. Ilekroć otworzył drzwi, było ich więcej.

Zapewne uda mu się skończyć przeglądanie rzeczy po zmarłym ojcu dopiero tuż przed własną śmiercią. Jednak w tym momencie ta nudna praca okazała się zbawieniem, bo na tyle zajmowała mu myśli, że przestawał się denerwować czekaniem. W niektóre noce nawet udawało mu się zasnąć.

- Masz na biurku zdjęcie. - Fiona nie odrywała wzroku od zmywanych naczyń.

- Mam wiele zdjęć. - Roger nadpił herbaty; była gorąca i świeża, lecz nie parzyła mu języka. Jak ona to robi? - Czy jest tam jakieś, które chciałabyś mieć? Wiem, że mam tam kilka zdjęć twojej babci.

Proszę cię bardzo, weź je, ale jedno chciałbym zatrzymać.

Uniosła wzrok, nieco zaskoczona.

- Tak? Babci? Na pewno tato chciałby je zobaczyć. Ale ja teraz mówię o tym dużym.

- O dużym? - Roger starał się przypomnieć sobie, o

które zdjęcie może jej chodzić. Większość stanowiły stare czarno - białe fotografie, zrobione przez wielebnego starym aparatem Brownie. Było tam jednak parę większych zdjęć portretowych jego rodziców, a także jedno babki wielebnego, która wyglądała jak pterodaktyl w czarnej sukni. Zrobiono je w setną rocznicę jej urodzin. Fionie nie mogło chodzić o żadne z nich.

- Mówię o tej, która zabiła męża i odeszła. - Fiona zacisnęła usta.

- O tej, która... Ach... - Roger łyknął herbaty. - Chodzi ci o Gillian Edgars?

- Tak. Dlaczego masz jej zdjęcie?

Roger odstawił filiżankę i przysunął do siebie poranną gazetę.

Zastanawiał się, co odpowiedzieć.

- Ktoś mi je dał.

- Kto?

Fiona bywała uparta, ale rzadko w tak bezpośredni sposób. O co jej chodzi?

- Pani Randall. Doktor Randall. Dlaczego pytasz?

Fiona nie odpowiedziała, zacisnęła usta. Gazeta przestała Rogera interesować, złożył ją starannie.

- Znałaś ją? - zapytał. - Znałaś Gillian Edgars?

Fiona nie odpowiedziała wprost; obróciła się bokiem, bawiąc się kapturkiem na czajnik.

- Byłeś przy kamieniach na Craigh na Dun. Joycie powiedziała, że jej Albert jechał do Drumnadrochit w czwartek i widział, jak schodzisz.

- Tak, byłem tam. To chyba nie przestępstwo? - starał się zażartować, jednak Fiona nie zmieniła wyrazu

twarzy.

- Wiesz, że to dziwne miejsce. Wszystkie kręgi takie są. I nie mów mi, że poszedłeś tam podziwiać widoki.

- Nie, tego bym ci nie powiedział.

Opadł na oparcie krzesła i przyglądał jej się uważnie. Czarne, kręcone włosy miała rozburzone. Gdy się denerwowała, przeczesawała je palcami, a teraz najwyraźniej była zdenerwowana.

- Znasz ją? Tak, przecież Claire mówiła, że ją spotkałaś. - Iskierka ciekawości, która mignęła na wspomnienie Gillian Edgars, rozpałała się w płomień podniecenia.

- Nie mogę jej znać, nie? Przecież nie żyje. - Fiona sprzątnęła ze stołu kieliszek po jajku, nie odrywając oczu od resztek skorupki. - A może nie?

Roger wyciągnął rękę i przytrzymał ją za ramię.

- Żyje czy nie?

- Wszyscy uważają, że nie. Policja nie znalazła żadnego śladu. - W jej miękkiej wymowie „policja” zabrzmiało jak „polisia”.

- Być może szukają w niewłaściwych miejscach.

Z zarumienionej jasnej twarzy Fiony odpłynęła cała krew. Roger zacisnął dłoń na jej ramieniu, choć nie starała się wyrwać. Ona wie, do diabła, ona wie! Tylko - co takiego wie?

- Powiedz mi, Fiona, proszę, powiedz! Co wiesz o Gillian Edgars i kamieniach?

Odsunęła się od niego, ale nie odeszła. Stała po prostu, obracając w dłoniach kieliszek po jajku, jakby to była miniaturowa klepsydra.

Roger wstał, a ona cofnęła się, rzucając mu przestraszone spojrzenie.

- Zawrzyjmy więc pakt. - Starał się mówić spokojnie, by jej nie przestraszyć jeszcze bardziej. - Powiedz mi, co wiesz, a ja ci powiem, dlaczego doktor Randall dała mi to zdjęcie. I dlaczego poszedłem na Craigh na Dun.

- Muszę pomyśleć. - Pochyliła się i złapała tacę z brudnymi naczyniami. Zniknęła w drzwiach, zanim zdołał ją zatrzymać.

Powoli znów usiadł. Było to dobre śniadanie - wszystkie posiłki przygotowywane przez Fionę były niezwykle smaczne - ale teraz zalegało mu w żołądku jak kamienie, ciężkie i niestrawne. Nie powinien tak się spieszyć - powiedział sobie - bo może go czekać rozczarowanie. Ostatecznie co takiego Fiona może wiedzieć? A jednak każde wspomnienie kobiety, która nazywała się Gillian, a potem Geillis, wystarczyło, by przykuć jego uwagę. Wypił resztkę herbaty, nie czując właściwie smaku. A jeśli dotrzyma swojej strony paktu i wszystko jej opowie? Nie tylko o Claire Randall i Gillian, ale i o sobie i Briannie?

Myśl o Bree była jak kamień upuszczony w staw jego serca.

Kręgi strachu rozbiegły mu się po całym ciele. „Ona nie żyje - powiedziała Fiona o Gillian - prawda?”. Żyje - odpowiedział, wciąż widząc przed oczami kobietę o zielonych oczach i jasnych włosach, unoszonych gorącym wiatrem od ognia, gotową uciec przez wrota czasu. Nie, nie umarła.

W każdym razie nie wtedy, ponieważ Claire spotkała ją jeszcze później. Spotka ją? Wcześniej? Później? Nie umarła, ale czy była martwa? Musi już być martwa, prawda? A jednak... Och, jakie to poplątane. Nie jest w stanie nawet myśleć logicznie.

Zbyt niespokojny, by tkwić w jednym miejscu, wstał i przeszedł przez hol aż do drzwi kuchni. Fiona stała przy zlewie i patrzyła w okno, trzymając w dłoni nieużywaną ściereczkę. Usłyszała go i odwróciła się. Na jej zaczerwienionej twarzy malowało się zdecydowanie.

- Nie wolno mi mówić, ale to zrobię. Muszę. - Odetchnęła głęboko i uniosła głowę. Wyglądała teraz nieco jak pekińczyk stojący przed lwem. - Mama Bree, ta miła doktor Randall, pytała mnie o babcię. Wiedziała, że babcia była... no... tancerką.

- Tancerką? Chodzi ci o kamienie? - Roger był zaskoczony.

Claire powiedziała mu to, gdy się poznali, lecz nigdy do końca jej nie uwierzył. Trudno było sobie wyobrazić stateczną panią Graham, w majowy poranek dokonującą skomplikowanych obrzędów na zielonych wzgórzach.

Fiona wypuściła powietrze.

- Więc wiesz? Tak sądziłem.

- Nie, nie wiem. Wiem jedynie to, co powiedziała mi Claire... doktor Randall. Ona i jej mąż widzieli kobiety tańczące w kamiennym kręgu o świcie w Beltane. A twoja babcia była jedną z nich.

Fiona pokręciła głową.

- Nie, nie jedną z nich. Nie. Babcia była wzywającą.

Roger wszedł do kuchni i wyjął jej z nieruchomej

dłoni ściereczkę.

- Chodź, usiądź - poprosił, prowadząc ją do stołu - i powiedz mi, kim jest wzywająca?

- To ta, która wzywa słońce. - Usiadła, nie opierając się.

Zauważył, że podjęła decyzję: zamierzała mu powiedzieć. - W jednym ze starych języków. Śpiewa pieśń słońca. Niektóre słowa przypominają nieco gaelicki, ale nie wszystkie. Najpierw tańczymy w kręgu, potem wzywająca zatrzymuje się twarzą do rozłupanego kamienia i... Nie, to nie jest tak naprawdę śpiew, ale też i nie mówienie. Trochę tak, jak ksiądz w kościele. Trzeba zacząć dokładnie we właściwym momencie, gdy pierwszy promień światła pojawia się nad morzem. A w chwili, gdy się kończy pieśń, słońce wynurza się zza kamienia.

- Czy pamiętasz jakieś słowa? - Na moment w Rogerze obudził się uczone i ciekawość wzięła górę.

Fiona nie przypominała zanadto swojej babci, jednak spojrzenie, jakie mu rzuciła, było tak samo bezpośrednie jak wzrok pani Graham.

- Znam je wszystkie - powiedziała. - Teraz ja jestem wzywającą.

Zdał sobie sprawę, że siedzi z otwartymi ustami. Sięgnęła po pudełko z herbatnikami i postawiła przed nim.

- Ale o tym nie musisz wiedzieć - stwierdziła rzeczowo - więc ci nie powiem. Natomiast powinieneś więcej wiedzieć o tamtej.

Fiona rzeczywiście poznała Gillian Edgars. Gillian była jedną z tancerek, choć dość nową. Zadawała pytania starszym kobietom i chciała się dowiedzieć wszystkiego, co

tylko mogła. Chciała nawet nauczyć się pieśni słońca, ta jednak była tajemnicą. Tylko wzywająca i jej następczyni znały słowa. Niektóre starsze kobiety - te, które słyszały tę pieśń co roku od wielu lat - zapamiętywały jakieś fragmenty, ale nie całość. Nie znały też tajemnicy, kiedy zacząć i jak wymierzyć czas trwania pieśni, by zakończyła się równo ze wschodem słońca.

Fiona przerwała, wpatrzona w swoje złożone dłonie.

- To tylko kobiety, wyłącznie kobiety. Mężczyźni nie mają w tym udziału i nic im nie mówimy, nigdy.

Położył rękę na sercu.

- Masz rację, że mi mówisz - powiedział bardzo cicho. - Powiedz mi resztę, proszę, muszę wiedzieć.

Odetchnęła głęboko i wysunęła dłoń spod jego ręki. Spojrzała mu prosto w oczy.

- Czy wiesz, gdzie ona poszła? Gdzie poszła Brianna?

- Tak sądzę. Tam, gdzie i Gillian. Prawda?

Fiona nie odpowiedziała, ale nie spuszczała z niego wzroku.

Nagle zdał sobie sprawę z nierzeczywistości całej sytuacji. Nie może przecież siedzieć tutaj, w wygodnej, dość zaniedbanej kuchni, którą zna od dzieciństwa, popijając herbatę z kubka, na którym namalowana jest twarz królowej, rozmawiając z Fioną o świętych kamieniach i podróżach w czasie. Nie z Fioną! Na litość boską, przecież jej zainteresowania ograniczają się do Ernego i prowadzenia kuchni - tak w każdym razie sądził dotychczas. Uniósł kubek, wypił herbatę do końca i odstawił z lekkim stuknięciem.

- Muszę za nią pójść, Fiono, jeśli zdołam. Pokręciła głową, najwyraźniej pełna obaw.

- Nie potrafisz powiedzieć, czy możesz. Wiem tylko o kobietach.

Może tylko kobiety są w stanie przejść.

Dłoń Rogera zacisnęła się na solniczce. Była to jedna z rzeczy, których się obawiał.

- Jest tylko jeden sposób, żeby się przekonać, prawda? - powiedział, pozornie niefrasobliwie. W głowie natychmiast zrodził mu się obraz wysokiego, rozłupanego kamienia, stojącego jak groźba na tle miękkiego nieba świtu.

- Mam jej książeczkę - wyrzuciła nagle z siebie Fiona.

- Co takiego? Czyją, Gillian? Ona coś pisała?

- Tak. Jest takie miejsce... - rzuciła mu spojrzenie - trzymamy tam nasze rzeczy, żeby mieć je pod ręką. Włożyła tam książkę, a... a ja ją potem zabrałam. - Roger zrozumiał, że zabrała ją, gdy mąż Gillian został znaleziony zamordowany w kamiennym kręgu. - Wiem, że zapewne powinnam była oddać to policji - mówiła dalej Fiona - ale, no, nie chciałam im tego dawać, a poza tym uznałam, że to przecież nie ma nic do rzeczy, nic wspólnego z zabójstwem. Gdyby to było naprawdę ważne, nie mogłabym schować tego zeszytu, a jednak... - Spojrzała na Rogera, prosząc go wzrokiem o zrozumienie. - Widzisz, to był jej własny zeszyt, to było jej pismo, a skoro zostawiła go w tamtym miejscu...

- To był sekret - pokiwał głową Roger. Fiona przytaknęła i zaczerpnęła powietrza.

- Więc przeczytałam, co zapisała.
- I to dzięki temu wiesz, że odeszła - westchnął cicho

Roger.

Fiona westchnęła i uśmiechnęła się słabo.

- Cóż, ten zeszyt nie pomoże policji, tego jestem pewna.

- A czy pomoże mnie?

- Mam nadzieję - powiedziała po prostu i zwracając się do kredensu, wyciągnęła szufladę, a z niej niewielką książeczkę oprawioną w zielone płótno.

32. Księga czarów

To „Księga czarów” czarownicy Geillis. To jest imię czarownicy i przyjmuję je za własne. Nieważne, czym się urodziłam, ważne tylko, co z sobą zrobię i czym się stanę.

A czym będę? Nie potrafię jeszcze powiedzieć, bo dopiero tworząc, znajduję, co stworzyłam. Do mnie należy droga władzy.

Władza absolutna korumpuje absolutnie. Tak. A jak? Przez samo założenie, że władza może być absolutna, bo nigdy nie może.

Jesteśmy bowiem śmiertelnikami, i ty, i ja. Patrz, jak ciało kurczy się i wysycha na kościach, wyczuj czaszkę przez coraz cieńszą skórę, wymacaj zęby, schowane za miękkimi wargami rozciągniętymi w ponurym uśmiechu wiedzy.

A jednak w granicach ciała wiele rzeczy jest możliwych. Czy są one możliwe poza tymi granicami? To dziedzina innych, nie moja. I na tym polega różnica między innymi a mną. Tymi innymi, którzy poszli przede mną, by zbadać czarne królestwo, tymi, którzy szukają władzy przez

magię i wzywanie demonów.

Ja idę ciałem, nie duszą. A odrzucając duszę, nie daję władzy żadnej sile, oprócz tych, które sama kontroluję. Nie szukam łask u diabła ani Boga. Odrzucam ich. Jeśli bowiem nie ma duszy, nie ma śmierci, nad którą można by się zastanawiać, to nie rządzi ani Bóg, ani diabeł. Ich wojna nie ma znaczenia dla kogoś, kto żyje tylko ciałem.

Rządzimy przez chwilę, a jednak przez wieki. Krucha sieć, utkana, by złapać i ziemię, i przestrzeń. Dane jest nam tylko jedno życie, a jednak jego czas można spędzić w wielu epokach. Jak wielu?

Jeśli posiadasz władzę, musisz wybrać i czas, i miejsce. Bo wrota przeznaczenia naprawdę otwierają się tylko wtedy, gdy cień kamienia sięga twoich stóp.

- To niewątpliwie wariatka - mruknął Roger. - Nie wspominając już o koszmarnym stylu tej prozy. - W kuchni nikogo nie było, mówił, by dodać sobie samemu odwagi, ale nie pomagało. Przewracał ostrożnie strony, przebiegając uważnie wzrokiem wiersze wyraźnego, okrągłego pisma.

Po pierwszym fragmencie następowała część zatytułowana „Święta słońca i święta ognia” z ich listą: Imbolc, Alban Eilir, Beltane, Litha, Lughnassadh, Alban Elfed, Samhain, Alban Arthuan.

Po każdej nazwie pojawiał się paragraf notatek, a obok ciąg małych krzyżyków. Co to miało oznaczać?

Zatrzymał oko na Samhain, przy którym widniało sześć krzyżyków.

To pierwsze ze świąt zmarłych. Na długo przed Chrystusem i jego zmartwychwstaniem, w noc Samhain z grobów wstawały dusze zmarłych bohaterów. Niewielu ich

było, tych bohaterów. Któż się rodzi, gdy układ gwiazd jest właściwy? Nie wszyscy, którzy się wtedy rodzą, mają odwagę, by chwycić władzę, która do nich należy.

Nawet w tym niewątpliwie szaleńczym stylu wyraźnie widać było metodę i porządek, dziwną mieszankę chłodnej obserwacji i poetyckich wzlotów. Główna część książki nosiła tytuł „Przypadki” i o ile przy czytaniu pierwszej Rogerowi jeżyły się włosy na głowie, ta mroziła mu krew w żyłach. Była to starannie sporządzona lista ciał znalezionych w pobliżu kamiennych kręgów, z podaniem daty i miejsca. Każdy taki przypadek został odnotowany, pod każdym opisem widniało kilka słów rozważań.

14 sierpnia 1931, Sur - le - Meine, Bretania. Ciało mężczyzny, niezidentyfikowane, wiek czterdzieści parę lat. Znaleziony przy północnym obrzeżu kamiennego kręgu. Brak wyraźnej przyczyny śmierci, ale widoczne głębokie oparzenia na rękach i nogach. Ubranie opisane jako strzępy, brak fotografii.

Możliwa przyczyna niepowodzenia: 1. mężczyzna,
2.

niewłaściwa data, dwadzieścia trzy dni od najbliższego święta słońca.

2 kwietnia 1650, Castlerigg, Szkocja. Ciało kobiety, niezidentyfikowane, wiek około piętnastu lat. Znaleziona poza kręgiem. Odnotowano głębokie rany, być może wilki wyciągnęły ją z kręgu. Brak opisu ubrania.

Możliwa przyczyna niepowodzenia: 1. niewłaściwa data, dwadzieścia osiem dni przed świętem ognia, 2. brak przygotowania.

5 lutego 1953, Callanish, Isle of Lewis. Ciało

mężczyzny zidentyfikowanego jako John McLeod, poławiacz homarów, wiek dwadzieścia sześć lat. Przyczyna śmierci zdiagnozowana jako udar.

Prowadzono dochodzenie z powodu wyglądu ciała: oparzeń drugiego stopnia na twarzy i kończynach, oraz osmalonego ubrania. Werdykt coronera: śmierć na skutek uderzenia pioruna. Możliwe, ale mało prawdopodobne. Domniemane przyczyny niepowodzenia: 1.

mężczyzna, 2. blisko Imbolc, ale nie dość blisko, 3. niewłaściwe przygotowanie. Uwaga: zdjęcie w gazecie ukazuje ofiarę z rozpiętą koszulą. Na piersi widnieje oparzenie w kształcie krzyża Bridhe, ale zbyt niewyraźne, by stwierdzić na pewno.

1 maja 1963, Tomnahurich, Szkocja. Ciało kobiety zidentyfikowanej jako Mary Walker Willis. Dochodzenie coronera na skutek licznych obrażeń na ciele i osmalonego ubrania. Śmierć na skutek ataku serca - pęknięcie aorty. Notatki z dochodzenia wskazują, że panna Walker była ubrana w dziwne ubranie; nie podano szczegółów. Niepowodzenie. Ta wiedziała, co robi, ale jej się nie udało; być może nie złożyła właściwej ofiary.

Lista ciągnęła się długo, a każde nazwisko przyprowadzało Rogera o dreszcze. Były tu w sumie dwadzieścia dwa przypadki z okresu od połowy siedemnastego do połowy dwudziestego wieku, w miejscach rozrzuconych po Szkocji, północnej Anglii i Bretanii. Wszystkie one znane są ze szczątków prehistorycznych budowli. W kilku przypadkach wyraźnie chodziło o ludzi, którzy po prostu weszli do kręgu, nie podejrzewając niczego, i nie wiedzieli, co ich spotkało. Jak się wydawało,

kilka osób - jedynie dwie czy trzy - były przygotowane i miały odpowiednie ubranie. Być może przechodzili już przedtem i próbowali znów, tylko tym razem nie zadziałało. Żołądek Rogera zwinął się w małego, zimnego ślimaka. Claire miała rację, nie przypominało to przejścia przez obrotowe drzwi.

* * *

W osobnym rozdziale umieszczono zniknięcia, dokładnie opisane co do daty, płci i wieku, z podaniem tyłu okoliczności, ile się dało.

Ach, to o to chodziło przy krzyżykach - wskazywały, ile osób zniknęło przy okazji danego święta. Więcej było tych, którzy zniknęli, niż tych, którzy zginęli, ale oczywiście mniej było danych. Przy większości widniały znaki zapytania - Roger podejrzewał, że dlatego, iż trudno było określić, czy zniknięcie w pobliżu kręgu było z tym kręgiem związane.

Obrócił stronę i nagle poczuł, jakby dostał cios w żołądek.

1 maja 1945, Craigh na Dun, hrabstwo Inverness, Szkocja. Claire Randall, dwadzieścia siedem lat, gospodyni domowa. Ostatni raz widziana wczesnym rankiem; oznajmiła, że zamierza zwiedzić krąg w poszukiwaniu niezwykłych ziół. Nie wróciła aż do zmierzchu. U stóp wzgórza znaleziono zaparkowany samochód. Żadnych śladów w kręgu, żadnych śladów zbrodni.

Przewrócił stronę ostrożnie, jakby spodziewał się, że wybuchnie mu ona w dłoni. Więc także i Claire niechcący dała Gillian Edgars część dowodów, które doprowadziły

Gillian do jej własnego eksperymentu. Czy Geilie znalazła doniesienia o powrocie Claire trzy lata później? Nie, najwyraźniej nie - stwierdził, przejrzawszy wszystkie strony do końca i z powrotem; albo, jeśli wiedziała o tym powrocie, to go tu nie odnotowała.

Gdy zasiadł z księgą, Fiona przyniosła mu herbatę i talerz ciepłych jeszcze, imbirowych ciasteczek. Nie tknął ich, od kiedy zaczął czytać. Wziął teraz jedno, bardziej z poczucia obowiązku niż głodu, ale ostre okruszki podrażniły mu gardło i zaczął kaszleć.

Ostatnia część książki zatytułowana była „Technika i przygotowania”. Zaczynała się następująco:

Coś tu leży, co jest starsze od człowieka, a kamienie zachowują swoją władzę. Dawne zaklęcia mówią o liniach ziemi i potędze, która przez nie przepływa. Celem kamieni jest coś związanego z tymi liniami. Tego jestem pewna, ale czy kamienie odchylają linie władzy, czy są jedynie ich znacznikami?

Kawałek ciasteczka najwyraźniej utkwiał mu w gardle, mimo że nieustannie popijał herbatę. Czytał coraz szybciej, przeskakując niektóre fragmenty, nieraz całe strony, a w końcu zamknął książkę i odchylił się na oparcie. Resztę przeczyta później - i to nie raz. Teraz jednak musiał wyjść gdzieś na świeże powietrze. Nic dziwnego, że ta książka zdenerwowała Fionę.

Maszerował szybko w kierunku rzeki, nie zwracając uwagi na lekki deszcz. Było późno. Dzwony kościelne wzywały na wieczorne nabożeństwo, nasilały się wędrówki do pubów przez mosty. Jednak jemu w głowie rozbrzmiewały ostatnie słowa, które przeczytał.

Zupełnie jakby mówiła wprost do niego:

Czy mam cię pocałować, dziecko, czy mam cię pocałować, mężczyzno? Poczuj zęby za moimi wargami, gdy całuję. Mogę cię zabić tak łatwo, jak cię obejmuję. Smak władzy to smak krwi. Żelazo w moich ustach, żelazo w mojej dłoni. Potrzebna jest ofiara.

33. Letnie przesilenie

20 czerwca 1971

W dzień letniego przesilenia na szkockim niebie widać równocześnie słońce i księżyc. To święto Litha, Alban Eilir. Zbliżała się północ, światło było mlecznobiałe, stłumione, ale jednak pozostawało światłem.

Wyczuwał krąg na długo, zanim go zobaczył. Claire i Geillis miały rację - pomyślał - data ma znaczenie. Już podczas poprzednich wizyt uważał kamienie za niesamowite, ale wówczas milczały. Teraz je słyszał, nie uszami, lecz skórą. Niski, buczący dźwięk, jakby muzyka dud.

Pokonali szczyt wzgórza i zatrzymali się kilka metrów od kręgu.

Poniżej, pod wschodzącym księżycem, rozciągało się tajemnicze, ciemne pastwisko. Usłyszał, jak Fiona wciąga powietrze, i przyszło mu do głowy, że naprawdę się boi.

- Słuchaj, nie musisz tu być - powiedział. - Jeśli się boisz, zjeżdż na dół, ja sobie dam radę.

- Nie o siebie się boję, głupi - mruknęła, wciskając w kieszenie zaciśnięte pięści. Odwróciła się i pochylając głowę niczym mały byczek, ruszyła ścieżką. - No chodź.

Przy ramieniu zaszeleściły mu olszyny; wzdrygnął

się, czując dreszcz, mimo że ubrany był bardzo ciepło. Strój wydał mu się nagle bezsensowny. Długi płaszcz i kamizela z grubej wełny, pasujące do tego pludry i robione na drutach pończochy. Krawcowi, u którego zamówił ubranie, wyjaśnił, że to kostium do sztuki, która będzie grana w college'u.

- To prawda, jestem głupcem - mruknął pod nosem.

Fiona pierwsza weszła do kręgu. Nie pozwoliła mu iść za sobą, nie pozwoliła mu też patrzeć. Posłusznie odwrócił się tyłem, pozwalając jej robić to, co zamierzyła. Miała z sobą plastikową torbę, jak na zakupy - zapewne niosła w niej przedmioty potrzebne do obrzędu. Spytał nawet, co tam ma, ale warknęła, że to nie jego interes.

Była chyba tak samo zdenerwowana jak on.

Buczenie działało mu na nerwy; nie słyszał go uszami, jednak wyczuwał ciałem, pod skórą, w kościach. Długie kości ramion i nóg zachowywały się jak struny, dźwięk drażnił mu też krew, nieustannie prowokując do drapania. Fiona tego nie słyszała - zanim pozwolił jej sobie pomóc, spytał ją o to, by być pewnym, że jest bezpieczna.

Miał nadzieję, że rzeczywiście tylko ci, którzy słyszą kamienie, mogą przez nie przejść. Nigdy by sobie nie wybaczył, gdyby coś przydarzyło się Fionie, choć, jak zauważyła, była już w kręgu wielokrotnie w święta ognia, bez żadnej szkody. Spojrzał przez ramię, zobaczył niewielki płomień u stóp dużego, rozdwojonego kamienia i natychmiast odwrócił głowę.

Śpiewała coś miękkiem, wysokim głosem, nie był w stanie zrozumieć słów. Wszyscy inni podróżnicy, o których wiedział, to kobiety. Czy w jego przypadku ta próba okaże

się udana? Być może - pomyślał - jeśli zdolność przechodzenia przez kamienie jest genetyczna, jeśli jest czymś w rodzaju zdolności do zwinięcia języka w trąbkę albo do rozróżniania kolorów, to czemu nie? Claire podróżowała, Brianna tak samo. Brianna była córką Claire, on zaś był potomkiem innej podróżniczki w czasie - czarownicy Geillis.

Zatupał w miejscu i otrząsał się, jak koń pragnący pozbyć się much - on natomiast próbował pozbyć się buczenia. Miał wrażenie, że mrówki pożerają go żywcem. Czy śpiew Fiony to pogarszała, czy też tylko tak mu się wydawało?

Podrapał się po piersiach, próbując zapobiec swędzeniu, i pod ręką wyczuł okrągły wisiołek matki, który zabrał na szczęście i dlatego że był ozdobiony granatami. Nie do końca wierzył rozważaniom Geillis, nie zamierzał próbować upuścić krwi, choć Fiona zapewniła mu ogień, ale ostatecznie drogie kamienie nie mogły zaszkodzić, a gdyby pomogły... Na litość boską, czy Fiona nie może się pospieszyć? Wiercił się i drapał, jakby chciał wydostać się nie tylko z ubrania, ale i z własnej skóry.

Chcąc zająć czymś myśli, poklepał się znów po kieszeni na piersiach, w której schował wisiołek. Jeśli się uda, jeśli zdoła... Był to pomysł, który dopiero niedawno przyszedł mu do głowy, gdy możliwości otwarte przez kamienie zmieniły się w konkretny plan.

Ale jeśli się uda... Obracał w palcach niewielki, okrągły kształt, w wyobraźni widząc sylwetkę Jerry'ego MacKenzie.

Brianna poszła, by znaleźć ojca. Czy może zrobić to

samo? Boże, w efekcie działań Fiony jego ciało czuło się coraz gorzej. Bolały go już nawet korzenie zębów, a skóra płonęła. Gwałtownie potrząsnął głową, ale skutek był jeszcze gorszy, odniósł wrażenie, że kości czaszki zaczynają mu się rozstępować.

I nagle obok pojawiła się nieduża postać, złapała go za rękę i mówiąc coś nagłym tonem, prowadziła go do kręgu. Nie słyszał jej, bo hałas wewnątrz był znacznie gorszy, wypełniał mu uszy, głowę, utrudniał widzenie. Zaczęły go boleć kręgi kręgosłupa. Zaciskając zęby, zamrugał, by odpędzić od siebie pełną dźwięków ciemność, i zdołał utkwic wzrok w okrągłej, pełnej łęku twarzy Fiony.

Pochylił się i pocałował ją w usta.

- Nie mów Erniemu - powiedział. Odwrócił się od niej i przeszedł przez kamień.

Letni wiatr przyniósł mu zapach spalenizny. Przechylił głowę, by lepiej go wyczuć. Rzeczywiście, na niedalekim wzgórzu paliło się ognisko. Róża ognia letniego przesilenia.

Nad głową widział ledwo widoczne gwiazdy, dodatkowo zasłonięte przez przepływającą chmurę. Nie chciało mu się ani ruszać, ani myśleć. Miał wrażenie, że jest bezcielesny, że niebo go obejmuje, a umysł może dążyć, gdzie chce, odbijając oświetlone gwiazdami obrazy jak unoszący się na falach szklany bębenek w spławiku wędkarza. Otaczało go miękkie, muzyczne mruzcando, jakby daleki śpiew syrenich gwiazd - a także zapach kawy. W wypełniający go spokój wdarło się nagle poczucie, że coś się nie zgadza; poczucie to atakowało jego umysł, budząc drobne, bolesne iskry niezrozumienia.

Chciał się tego pozbyć, chciał tylko tak leżeć w świetle gwiazd, ale właśnie to pragnienie go przebudziło. Nagle znów miał ciało, i to ciało obolałe.

- Roger! - rozległ się w jego uchu głos gwiazdy.

Szarpnął się, poczuł w piersi ostry ból i przykrył dłonią ranę. Coś złapało go za przegub i odciągnęło rękę, zdążył jednak poczuć na piersi coś mokrego, a także chyba popiół. Czyżby krwawił?

- Ooo, budzisz się! Dzięki Bogu. No, tak, tak, budź się, chodź tu do mnie - to chmura mówiła, nie gwiazda. Zamrugał nieco zagubiony i chmura zmieniła się w kształt głowy Fiony, ciemny na tle nieba.

Szarpnął się i usiadł; była to raczej konwulsja niż świadomy ruch.

Jego ciało odpowiedziało ostrym bólem, poczuł się strasznie chory.

Nozdrza wypełniał mu okropny zapach kawy i spalonego ciała.

Obrócił się na czworakach, wymiotując, a potem opadł na trawę. Była mokra i chłodna, co przynosiło ulgę jego oparzonej twarzy.

Fiona dotykała go łagodnie i kojąco, ocierając twarz i usta.

- Wszystko w porządku? - spytała po raz chyba już setny. Tym razem zebrał siły, by jej odpowiedzieć.

- Tak - szepnął. - Wszystko w porządku. Dlaczego...? Kręciła głową.

- Nie wiem. Zniknąłeś, nie było cię, a potem nagle buchnął gwałtowny ogień i pojawiłeś się w kręgu. Twój płaszcz płonął, musiałam ugasić ogień kawą z termosu.

To wyjaśniało zapach kawy i fakt, że był mokry. Uniósł dłoń i pomacał się po piersi - tym razem Fiona mu pozwoliła. Na mokrym materiale płaszcz wyczuwał wypalony pas szerokości niecałych dziesięciu centymetrów. Ciało na piersiach miał oparzone, przez dziurę w ubraniu czuł i dziwną drętwotę, i ostry ból pulsujący ze spalonego miejsca. Wisiorka matki nie było.

- Co się stało, Rog? - Fiona przykucnęła obok. Ledwo mógł dostrzec jej twarz, widział jednak błyszczące ślady łez. To, co uważał za rozpalone w letnie przesilenie ognisko, było jedynie płomieniem trzymanej przez nią świeczki, wypalonej już niemal całkowicie. Boże drogi, jak długo był nieprzytomny?

- Ja... - chciał powiedzieć, że nie wie, ale przerwał. - Poczekaj, niech pomyślę - oparł głowę na kolanach, wciągając zapach mokrej trawy i spalonego materiału.

Skoncentrował się na oddechu, pozwolił mu się wyrównać.

Właściwie nie musiał myśleć, wszystko miał w głowie, widział to w myślach wyraźnie, ale jak można coś takiego opisać? Nie było nic widać, a jednak miał przed oczami obraz - wizerunek swojego ojca.

Nie było dźwięku, nie było dotyku, a jednak i słyszał, i czuł, tak jakby ciało samo tłumaczyło sobie różne rzeczy i różne zjawiska na coś konkretnego.

Uniósł głowę i głęboko odetchnął, próbując znów poczuć się we własnym ciele.

- Myślałem o moim ojcu - powiedział. - Gdy przeszedłem przez kamień, pomyślałem: jeśli to działa, czy mogę wrócić i go odnaleźć? I ja... odnalazłem.

- Naprawdę, twego ojca? Czy to był duch? - Raczej wyczuł, niż zobaczył, ruch jej dłoni, gdy robiła gest odczyniający urok.

- Nie, właściwie nie. Nie jestem w stanie tego wyjaśnić, Fiono, ale spotkałem go, zobaczyłem go. - Poczucie spokoju nie całkiem go jeszcze opuściło, wciąż lekko wypełniało tył jego mózgu. - A potem nastąpiło coś w rodzaju eksplozji. Tylko tak jestem w stanie to opisać.

Coś mnie uderzyło, tutaj - dotknął palcami spalonego miejsca na piersiach. - Siła tego uderzenia wypchnęła mnie... Tak, wypchnęła. I to wszystko, co wiedziałem, aż się obudziłem. - Dotknął lekko jej twarzy. - Dzięki, Fiono, uratowałaś mnie przed spaleniem.

- Ach, daj spokój - zrobiła niecierpliwy gest ręką, przysiadła na piętach i w zadumie pocierała się po brodzie. - Myślę, Rog... To, co było w tej książeczce... że może potrzebne jest jakieś zabezpieczenie, że może jeśli masz jakiś klejnot, to jest on dla ciebie zabezpieczeniem.

W wisiorcu twojej mamy były małe kamyczki, prawda? - Usłyszał, jak przełyka ślinę. - Może gdybyś ich nie miał, już byś nie żył. Ona opisała takich, którzy nie przeżyli, zostali spaleni, a twoje oparzenie znajduje się dokładnie tam, gdzie był wisiołek.

- Tak, to możliwe. - Roger zaczynał się czuć bardziej sobą.

Spojrzał na Fionę z ciekawością. - Zawsze mówisz „ona”, czemu nie wypowiadasz jej imienia?

Poranny wiatr rozburzył kędziory Fiony, gdy odwróciła się, by na niego spojrzeć. Było już na tyle widno, że wyraźnie widział jej oczy i jej niepokojąco szczery wyraz

twarzy.

- Nie nazywa się imieniem czegoś, czego się nie chce przywołać - powiedziała. - Przecież musisz to wiedzieć, skoro twój ojciec był pastorem.

Czuł, jak na przedramionach jeżą mu się włosy, a skóra pokrywa się gęsią skórką.

- Teraz, jak to powiedziałaś... - starał się mówić lekkim tonem, ale mu się nie udawało - ja chyba nie całkiem wzywałem imię mego ojca, ale może... Doktor Randall mówiła, że gdy wracała, myślała o swoim mężu.

Fiona pokiwała głową i zmarszczyła brwi. Wyraźnie widział jej twarz i zdał sobie nagle sprawę, że robi się coraz jaśniej. Był już prawie świt, niebo no wschodzie przybrało łososiowy kolor.

- Boże, już prawie rano, muszę iść.

- Iść? - Oczy Fiony zrobiły się okrągłe z przerażenia.

- Nie chcesz chyba próbować jeszcze raz?

- Chcę, muszę iść. - W ustach czuł jakby suchą watę i żałował, że Fiona wykorzystała całą kawę do ugaszenia jego ubrania. Zwalczył to uczucie i wstał; kolana się pod nim ugięły, ale był w stanie iść.

- Czyś ty zwariował, Rog? Tym razem cię zabije! Pokręcił głową, wpatrzony w wysoki, rozłupany kamień.

- Nie - odrzekł i miał nadzieję, że ma rację. - Wiem, gdzie popełniłem błąd, i więcej tego nie zrobię.

- Nie możesz wiedzieć, nie możesz wiedzieć na pewno!

- A jednak. - Ujął w dłonie jej rękę, spoczywającą na jego ramieniu. Była drobna i zimna. Uśmiechnął się, choć miał wrażenie, że twarz ma zupełnie nieruchomą. - Mam

nadzieję, że Ernie nie wrócił do domu, bo wysze za tobą policję. Lepiej wracaj.

Wzruszyła ramionami z niecierpliwością.

- Och, nie. Pojechał na ryby z kuzynem Neilem, nie wróci przed wtorkiem. O czym ty mówisz, że to się więcej nie zdarzy, i dlaczego?

To było jeszcze trudniejsze do wyjaśnienia niż cała reszta. Musiał jednak spróbować.

- Gdy powiedziałem, że myślałem o moim ojcu, myślałem o nim zgodnie z tym, co o nim wiedziałem - miałem jego zdjęcia w mundurze lotnika albo z moją matką. Chodzi o to, że ja w tym czasie już byłem na świecie. Rozumiesz? - Wpatrzył się w jej drobną, okrągłą buzię i zobaczył, jak mruga ze zrozumieniem. Westchnęła lekko, ze strachem i podziwem.

- Więc spotkałeś nie tylko swojego ojca, tak? - spytała cicho.

Pokręcił głową, nie znajdując słów. Nie było żadnego widoku, żadnego dźwięku ani zapachu, ani dotyku, nie było żadnych obrazów, które mogłyby przekazać, jak to było spotkać samego siebie.

- Muszę iść - powtórzył cicho i uściśnął jej rękę. - Fiono, nie wiem, jak ci dziękować.

Patrzyła na niego przez chwilę, wysuwając dolną wargę, w oczach błyszczały jej łzy. Potem odsunęła się i ściągnęła z palca pierścioneł zaręczynowy. Położyła mu go na dłoni.

- To malutki kamień, ale prawdziwy brylant - powiedziała - więc może się przyda.

- Nie mogę tego wziąć! - Chciał jej oddać

pierścionek, ale zrobiła krok do tyłu i schowała za sobą rękę.

- Nie bój się, Ernie zawsze pilnuje, żeby wszystko ubezpieczać. - Próbowwała się uśmiechnąć, ale po twarzy wciąż spływały jej łzy. - Ja też.

Nie zostało już nic do powiedzenia. Włożył pierścionek do kieszeni płaszcza spojrzął na wielki rozłupany kamień. W promieniach słońca w jego czarnych ścianach zaczęły połyskiwać odrobinki miki i nitki kwarcu. Wciąż słyszał huczenie, jednak teraz było to bardziej pulsowanie jego krwi, coś wewnątrz niego.

Nie potrzebowali słów. Dotknął jej twarzy pożegnalnym gestem i ruszył ku kamieniowi; lekko się chwiejąc. Wszedł między dwie jego części.

Fiona nic nie usłyszała, lecz nieruchome, czyste powietrze w dzień letniego przesilenia rozbłysło echem imienia.

Długo czekała, aż słońce ozłociło szczyt kamienia.

- Slan leat, a charaid choir - powiedziała cicho. -
Dużo szczęścia, drogi przyjacielu.

Powoli zesza ze wzgórza, nie oglądając się.

34. Lallybroch

Szkocja, czerwiec 1769

Kasztan nazywał się Brutus, ale na szczęście imię to nie miało związku z jego charakterem. Bez żadnych podstępów i sztuczek parł naprzód, silny i wierny a jeśli nie wierny, to w każdym razie zrezygnowany. Pokonywał zielone łąki i skaliste wąwozy, nie potykając się ani razu. Niósł ją coraz wyżej i wyżej, po dobrych drogach, zbudowanych pięćdziesiąt lat wcześniej przez angielskiego generała Wade'a, i po złych drogach, do których władza

generała nie sięgnęła. Przedzierał się przez zarośla i wspinał na miejsca, gdzie drogi zamieniały się w wiodącą przez wrzosowisko ścieżkę jeleni.

Brianna odłożyła wodze na szyję Brutusa, pozwalając mu odpocząć po ostatniej wspinaczce, i siedząc nieruchomo, wpatrywała się w leżącą poniżej niewielką dolinę. Pośród bladozielonych pól owsa i jęczmienia stał duży, biały dom. Okna i kominy wykończono szarym kamieniem. Wokół ogrodzonego ogrodu warzywnego skupiły się liczne budynki, jak kurczęta wokół dużej, białej kokoszki.

Nigdy wcześniej nie widziała tej doliny, ale nie miała wątpliwości, gdzie jest. Dość często wysłuchiwała opowieści matki o Lallybroch. Poza tym był to jedyny większy dom na przestrzeni wielu kilometrów; w ciągu ostatnich trzech dni mijała jedynie niewielkie, kamienne chałupy dzierżawców. Wiele z nich było opuszczonych, z niektórych zostały tylko pocernione ogniem ruiny.

Z komina stojącego niżej domu unosił się dym, ktoś więc tam był.

Zbliżało się południe, być może wszyscy zebrali się przy posiłku.

Przełknęła z trudem, bo w gardle jej wyschło z podniecenia i lęku. Kto tam będzie? Kogo pierwszego spotka - Iana czy może Jenny? I jak przyjmą jej pojawienie się, jej wyjaśnienia?

Postanowiła po prostu powiedzieć prawdę, jeśli chodzi o to, kim jest i po co przybyła. Matka mówiła, że bardzo przypomina ojca, więc będzie musiała liczyć na rodzinne podobieństwo. Jej dziwny akcent i wygląd budziły

nieufność dotychczas spotykanych górali, być może Murrayowie też jej nie uwierzą? Dotknęła kieszeni płaszcz - nie, uwierzą, ma przecież dowód. Od myśli, która nagle przysła jej do głowy, aż zaparło jej dech. Czy to możliwe, by tu teraz byli - Jamie Fraser i jej matka? Była tak przekonana, że są w Ameryce, iż nigdy o tym nie pomyślała, ale przecież wie jedynie, że będą w Ameryce w roku 1776. Teraz zaś mogą przebywać wszędzie!

Brutus uniósł głowę i głośno zarżał. Z tyłu odpowiedziało mu rzenie innego konia, Brianna zebrała więc wodze i odwróciła się razem z wierzchowcem. Brutus parsknął, z zainteresowaniem przyjmując pojawienie się ładnego gniadosza. Jechał na nim wysoki, ubrany na brązowo mężczyzna.

Jeździec i koń wynurzyli się zza zakrętu, na jej widok na moment przyhamowali, następnie mężczyzna uderzył konia butem i powoli ruszył naprzód. Widziała, że jest młody i mimo kapelusza głęboko opalony - najwyraźniej dużo czasu spędza na dworze. Płaszcz miał pomięty, a pończochy pokryte kurzem i rzepami.

Zbliżał się do niej nieufnie; znalazłszy się w zasięgu głosu, uklonił się lekko. Widziała, jak nagle zeszywniał ze zdumienia, i uśmiechnęła się pod nosem - właśnie zauważył, że jest kobietą.

Męskie ubranie nie mogło zmylić nikogo, kto podszedł blisko, bo jej figura niewątpliwie nie była chłopięca. Strój jednak dobrze spełniał swoje zadanie; wygodnie było w nim jechać, a biorąc pod uwagę jej wzrost, z pewnej odległości wyglądała jak mężczyzna na koniu.

Przybysz zdjął kapelusz i uklonił się, wyraźnie

zaskoczony. Nie był właściwie przystojny, miał jednak miłą twarz o silnej szczęce i szerokich brwiach, obecnie uniesionych wysoko, i jasnobrązowe oczy pod kręconymi, czarnymi włosami.

- Madame - spytał - czy mogę pani w czymś pomóc? Też zdjęła kapelusz i uśmiechnęła się.

- Mam nadzieję - powiedziała. - Czy ten dom to Lallybroch?

Kiwnął głową, a do zaskoczenia znowu wkradła się rezerwa: usłyszał jej dziwny akcent.

- Tak, czy tam pani podąża?

- Tak - potwierdziła zdecydowanie - właśnie tam. - Wyprostowała się w siodle i głęboko odetchnęła. - Jestem Brianna... Fraser. - Dziwnie było usłyszeć to głośno; nigdy wcześniej nie używała tego nazwiska, równocześnie jednak wydawało się ono na miejscu.

Rezerwa malująca się na jego twarzy złagodniała, ale zdziwienie nie minęło. Ostrożnie skinął głową.

- Do usług pani, jestem Jamie Fraser Murray - przedstawił się oficjalnie - z Broch Tuarach.

- Młody Jamie! - wykrzyknęła, zaskakując go. - Jesteś Młodym Jamiem!

- Tak mnie nazywa rodzina - potwierdził sztywno, dając do zrozumienia, że szczególnie podoba mu się to imię w ustach dziwnej kobiety w nieodpowiednim stroju.

- Tak się cieszę - powiedziała, wcale niezbita z tropu.

Wyciągnęła do niego rękę, pochylając się w siodle. - Jestem twoją kuzynką.

Brwi, które zdążyły już wrócić na swoje miejsce,

znów powędrowały w górę. Spojrzał na jej wyciągniętą dłoń, a potem, niedowierzająco, na twarz.

- Moim ojcem jest Jamie Fraser - wyjaśniła.

Otworzył usta i przez chwilę po prostu gapił się na nią niedowierzająco. Totem zmierzył ją wzrokiem, dokładnie, od głowy do pięt. Szczególnie uważnie wpatrywał się w jej rysy - i po chwili szeroki uśmiech powoli rozjaśnił mu twarz.

- Do cholery, rzeczywiście. - Ucisnął jej dłoń tak mocno, że poczuła chrzęszczące o siebie kości. - Rany boskie, wyglądasz zupełnie jak on! - Roześmiał się z radością. - Jezus Maria! Moja mama chyba zwariuje z radości!

Rosnący przy drzwiach wielki krzew dzikiej róży pokryty był setkami maleńkich, zielonych pączków, z których właśnie rozwijały się listki. Podążając za Jamiem, Brianna uniosła wzrok i spojrzała na nadproże.

Na podniszczonym drewnie wyrzeźbiono napis „Fraser 1716”. Na ten widok stanęła i przez chwilę wpatrywała się w wycięte litery, opierając się o ogrzaną słońcem futrynę.

- Wszystko w porządku, kuzynko? - Młody Jamie zatrzymał się i odwrócił, patrząc na nią pytająco.

- Oczywiście. - Pospieszyła za nim do środka, automatycznie pochylając głowę, choć nie było takiej potrzeby.

- Poza mamą i małą Kitty wszyscy jesteśmy wysocy - zauważył Młody Jamie z uśmiechem. - Mój dziadek - to także twój dziad - zbudował ten dom dla swojej żony, która była wyjątkowo wysoką kobietą. To jedyny dom w górach,

gdzie można wejść przez drzwi bez pochylania się albo rozbijania sobie głowy.

„To także twój dziad”. Od tych słów ogarnęło ją nagle ciepło, mimo że w holu wejściowym panował chłód i półmrok.

Frank Randall był jedynakiem, tak samo jak Claire. Brianna nie miała więc bliskiej rodziny - tylko jakieś starsze cioteczne babki w Anglii, jakichś odległych kuzynów w Australii. Wyruszyła w podróż, myśląc jedynie o odnalezieniu ojca. Nie zdawała sobie sprawy, że odkryje równocześnie całą nową rodzinę.

I to liczną. Po drugiej stronie holu otwarły się drzwi, przez które wypadła czwórka małych dzieci, a za nimi wybiegła wysoka, młoda kobieta o brązowych, kręconych włosach.

- Uciekajcie, uciekajcie, rybki! - wołała dziewczyna, biegnąc z wyciągniętymi rękoma i robiąc w powietrzu szczypiące ruchy palcami. - Zły krab zaraz was zje!

Chichocząc i piszcząc, dzieci przemknęły przez hol, oglądając się przez ramię w strachu, ale i radości. Jeden z maluchów, niewielki, czteroletni może chłopiec, dostrzegł Briannę i Młodego Jamiego, stojących w drzwiach wejściowych. Natychmiast skręcił i jak lokomotywa ruszył w ich kierunku, krzycząc: „Tato, tato, tato”, by rzucić się w ramiona ojca. Ten złapał go zgrabnie i uniósł w górę.

- No, Matthew, co to za maniery? Czy tak cię ciocia Janet uczyła? Co twoja nowa kuzynka sobie pomyśli, jeśli będziesz tak biegać i krzyczeć?

Chłopczyk zachichotał głośniej, niezrażony reprimendą.

Uchwycił wzrok Brianny i natychmiast schował twarz na ramieniu ojca. Powoli jednak znów uniósł głowę i spojrzał raz jeszcze, szeroko otwierając oczy.

- Tato, czy to pani? - zapytał.

- Oczywiście, powiedziałem ci, to twoja kuzynka.

- Ale ona ma portki. - Matthew wyglądał na zaszokowanego. - Panie nie noszą portek.

Wyraz twarzy młodej kobiety świadczył, że raczej podziela tę opinię, przerwała mu jednak zdecydowanie i uwolniła Jamiego od słodkiego ciężaru.

- Jestem pewna, że ma ku temu ważne powody. Poza tym to nieładnie robić o kimś uwagi w jego obecności. A teraz biegnij i umyj się, dobrze? - Postawiła go na podłodze, odwróciła ku drzwiom i lekko popchnęła. Nie ruszył się jednak i odwrócił znów, by utkwic w Briannie zafascynowany wzrok.

- Gdzie jest babcia, Matt? - spytał ojciec.

- W bawialni z tyłu, z dziadkiem, jakąś panią i jakimś panem - odpowiedział Matthew. - Wypili już dwa dzbanki kawy, zjedli całą tacę biszkoptów i całe ciasto. Mama mówi, że czekają z nadzieją, że dostaną jeszcze obiad. Ale się nie najedzą, bo dzisiaj jest tylko owsianka i kawałek golonki. I prędzej ją diabli wezmą, oooo... - zasłonił usta dłonią, rzucając ojcu pełne niepokoju spojrzenie. - I że na pewno nie da im ani kawałka ciasta agrestowego, niezależnie od tego, jak długo będą siedzieć.

Młody Jamie zmrużył oczy i popatrzył pytająco na siostrę.

- Pani i pan?

Janet zrobiła minę pełną niechęci.

- Zręda i jej brat - powiedziała.

Młody Jamie jęknął, rzucając Briannie spojrzenie.

- No, to chyba mama się ucieszy z wymówki, by na chwilę się od nich oderwać. - Kiwnął na Matthew. - Pobiegnij i przyprowadź babcię. Powiedz, że przybył gość, którego rada zobaczy. I uważaj, jak mówisz, co? - Odwrócił Matthew ku dalszej części domu i lekko klepnął po pupie.

Chłopiec ruszył, ale powoli, nieustannie oglądając się na Briannę.

- To mój najstarszy - wyjaśnił Młody Jamie, uśmiechając się. - A to - wskazał młodą kobietę - jest moja siostra Janet Murray. Janet, pozwól, oto Brianna Fraser.

Brianna nie wiedziała, czy powinna wyciągnąć rękę, czy nie, zadowolona się więc jedynie skinieniem głowy i uśmiechem.

- Bardzo się cieszę z tego spotkania - zapewniła ciepło.

Janet szeroko otworzyła oczy ze zdumienia - czy ze względu na słowa Brianny, czy jej akcent. Młody Jamie roześmiał się, widząc zaskoczenie siostry.

- Nigdy nie zgadniesz, kim jest, Jan - powiedział. - Nigdy nie zgadniesz, nawet za tysiąc lat.

Janet uniosła jedną brew i spojrzała na Briannę przez zmrużone oczy.

- Kuzynka... - mruknęła, bez żenady mierząc gościa wzrokiem. - Niewątpliwie wygląda jak MacKenzie, ale mówisz, że nazywa się Fraser... - Nagle szeroko otworzyła oczy. - Och, to niemożliwe! - zwróciła się do Brianny. - Nie możesz przecież być... - Jej twarz rozjaśnił szeroki uśmiech, podobieństwo do brata stało się jeszcze wyraźniejsze. - Nie

możesz przecież...

Młody Jamie roześmiał się, w tym momencie jednak rozległo się stuknięcie wahadłowych drzwi i lekkie kroki po drewnianej podłodze holu.

- Tak, Jamie? Matthew mówi, że mamy gościa... - Miękki głos nagle zamarł. Brianna uniosła wzrok, czując, że serce podchodzi jej do gardła.

Jenny Murray była bardzo drobna - miała może z metr pięćdziesiąt wzrostu - i delikatnie zbudowana. Zatrzymała się w pół kroku, wpatrzona w Briannę z lekko otwartymi ustami. Jej oczy miały kolor głębokiego błękitu, jeszcze bardziej uderzający przez to, że zbladła jak ściana.

- Och jej - powiedziała cicho - och jej... - Brianna uśmiechnęła się nieśmiało i skinęła głowę przed ciotką, przyjaciółką jej matki, ukochaną jedyną siostrą ojca. Och, proszę - pomyślała, nagle czując, jak ogarnia ją ogromna, choć niespodziewana tęsknota - proszę, polub mnie. Proszę, uciesz się z mojego przybycia.

Młody Jamie uklonił się elegancko przed matką.

- Mamo, mam honor przedstawić ci...

- Jamie Fraser! Wiedziałam, że wrócił. Mówiłam ci, Jenny Murray! - Ten głos, wysoki i oskarżający, dobiegł z końca holu. Z cienia wynurzyła się jakaś kobieta. - Amyas Kettrick powiedział mi, że widział twego brata jadącego konno niedaleko Balriggeran. Ale nie, nie chciałaś tego przyjąć do wiadomości, co, Jenny? Mówiłaś mi, że jestem głupia, mówiłaś, że Amyas jest ślepy, a Jamie jest w Ameryce.

Jesteście kłamcami, i ty, i Ian. Staracie się chronić tego obrzydliwego tchórza. Hobart! - zawołała, odwracając

się za siebie. - Hobart, chodź tutaj natychmiast!

- Cicho bądź, Laoghaire - powiedziała Jenny ze zniecierpliwieniem. - Naprawdę jesteś głupia. - Pociągnęła kobietę za rękaw, zmuszając ją do odwrócenia się. - A jeśli chodzi o to, kto jest ślepy, to spójrz. Czy już tak ci się zamąciło w głowie, że nie potrafisz odróżnić dorosłego mężczyzny od dziewczyny w spodniach, na litość boską? - Ani przez chwilę nie spuszczała oczu z Brianny.

- Dziewczyny?

Nowo przybyła odwróciła się i przyjrzała Briannie, mrużąc oczy jak typowy krótkowidz. Zamrugła raz i drugi, a na jej okrągłej twarzy w miejsce gniewu pojawiło się zaskoczenie. Złapała oddech i przeżegnała się.

- Matko święta, kimże ty na Boga jesteś?

Brianna zaczerpnęła powietrza, przenosząc wzrok z jednej kobiety na drugą. Starła się, by głos jej nie drżał.

- Nazywam się Brianna, jestem córką Jamiego Frasera.

Obie kobiety otworzyły szeroko oczy. Kobieta zwana Laoghaire zaczerwieniła się i wydawała się puchnąć. Otwierała i zamykała usta, na próżno szukając słów. Jenny dała krok naprzód i chwyciła Briannę za ręce. Wpatrywała się intensywnie w jej twarz. Na jej policzki wypłynął rumieniec, co natychmiast odjęło jej lat.

- Jamiego? Naprawdę jesteś córką Jamiego? - Uścisnęła rękę Brianny w swych dłoniach.

- Tak mówi moja matka.

Brianna czuła, że też uśmiecha się w odpowiedzi. Ręce Jenny były chłodne, ale i tak płynęło z nich ciepło, docierając aż do jej piersi i wypełniając ją całą. Poczwała

lekki, korzenny zapach pieczenia w fałdach sukni Jenny - i coś jeszcze, coś bardziej ziemnego i przenikliwego. Wydawało jej się, że jest to zapach owczej wełny.

- Ach tak? - Laoghaire odzyskała i głos, i opanowanie, postąpiła krok naprzód i zmrużyła oczy. - Mówisz, że Jamie Fraser to twój ojciec, tak? A kimże jest twoja matka?

Brianna zeszywniała.

- Jego żoną - powiedziała. - Kimże by innym?

Laoghaire odrzuciła głowę do tyłu i roześmiała się, ale w jej śmiechu nie było wesołości.

- Kimże by innym - przedrzeźniała Briannę - rzeczywiście, kimże by innym, dziewczyno. A o której to żonie mówisz?

Brianna poczuła, jak z twarzy odpływa jej krew, a dłonie w uścisku Jenny sztywnieją. Nagle zdała sobie sprawę, że przecież minęło ponad dwadzieścia lat. Ty idiotko - powtarzała sobie - ty głupia idiotko, oczywiście, że ożenił się ponownie. Oczywiście.

Wszystko jedno, jak bardzo kochał mamę. I zaraz przysła jej do głowy kolejna myśl, jeszcze straszniejsza: czy ona go znalazła? Czy znalazła go z nową żoną, a on ją odesłał? Och Boże, gdzie ona jest?

Obróciła się na ślepo, chcąc uciec, nie wiedząc, w którą stronę się zwrócić, co robić, czując jedynie, że musi się stąd wydostać i ruszyć na poszukiwanie matki.

- Na pewno chętnie usiądziesz, kuzynko. Chodźmy do bawialni, dobrze? - Młody Jamie zdecydowanie ujął ją w pasie, obrócił i poprowadził przez hol ku otwartym drzwiom na jego końcu.

Ledwo słyszała głosy wokół, biegnące we wszystkich kierunkach wyjaśnienia i oskarżenia. Dostrzegła niedużego, starannie ubranego mężczyznę o twarzy bardzo zaskoczonego białego królika, i drugiego, znacznie wyższego, który wstał na jej widok i podszedł bliżej. Jego sterana, miła twarz wyrażała niepokój.

To ten wysoki mężczyzna uspokoił wszystkich i przywołał do porządku, wyłuskując z licznych głosów słowa wyjaśniające jej obecność.

- Córka Jamiego? - Spojrzał na nią z zainteresowaniem, ale nie z takim zaskoczeniem jak wszyscy pozostali. - Jak masz na imię, a leannan?

- Brianna. - Była zbyt wstrząśnięta, by się uśmiechnąć, lecz najwyraźniej nie sprawiło mu to różnicy.

- Brianna. - Usiadł ostrożnie na fotelu, wskazując jej krzesło naprzeciwko, i sztywno wyciągnął w bok nogę. Brianna zobaczyła, że jest drewniana. Ujął jej dłoń i uśmiechnął się, a cieplejsze światło w jego brązowych oczach sprawiło, że poczuła się bezpieczniejsza. - Jestem twoim wujem Ianem, dziewczyno. Witaj w domu. - Odruchowo zacisnęła dłoń na jego dłoni, wykorzystując ochronę, jaką wydawał się oferować. Nie cofnął się. Przyjrzał się jej tylko uważnie, najwyraźniej rozbawiony jej wyglądem. - Spalaś na wrzosowisku, tak? - spytał, widząc na ubraniu brud i plamy z trawy. - Przebyłaś długą drogę, by nas znaleźć, bratanico.

- Twierdzi, że jest twoją bratanicą - wtrąciła się Laoghaire.

Doszła już do siebie i zerknęła nad głowę Iana, a na jej okrągłej twarzy rysowała się niechęć. - Pewnie przybyła

jedynie zobaczyć, co może dostać.

- Przyganiał kocioł garnkowi, Laoghaire - powiedział łagodnie Ian, odwracając się ku niej. - Czy to nie ty i Hobart przed półgodziną próbowaliście ze mnie wycisnąć pięćset funtów?

Laoghaire zacisnęła wargi, co pogłębiło zmarszczki wokół jej ust.

- To moje pieniądze i dobrze o tym wiesz. Tak było ustalone, a ty poświadczyłeś porozumienie.

Ian westchnął. Najwyraźniej nie po raz pierwszy słyszał dzisiaj te słowa.

- To prawda - westchnął cierpliwie. - I dostaniesz swoje pieniądze, jak tylko Jamie zdoła je przysłać. Obiecał, a jest człowiekiem honoru. Ale...

- Człowiek honoru, co? - Laoghaire wydała z siebie nieprzystające damie parsknięcie. - Czy człowiek honoru dopuszcza się bigamii, zostawia żonę i dzieci? Kradnie moją córkę i doprowadza ją do ruiny? Człowiek honoru, też coś! - Spojrzała na Briannę oczami jasnymi i twardymi jak stal. - Pytam raz jeszcze, dziewczyno. Jak się nazywa twoja matka?

Brianna wpatrywała się w nią tylko, niezdolna wydusić ani słowa.

Chustka, którą owiązaną miała szyję, wydawała się ją dusić. Dłonie w uścisku Iana były lodowato zimne.

- Twoja matka - powtórzyła niecierpliwie Laoghaire. - Kim ona była?

- To nie ma znaczenia, kim... - zaczęła Jenny, lecz Laoghaire odwróciła się ku niej gwałtownie, a na jej twarzy malowała się wściekłość.

- O, ma znaczenie. Jeśli ją spłodził z jakąś wojskową dziwką albo jakąś kurwą pokojówką, gdy był w Anglii, to co innego. Ale jeśli...

- Laoghaire!

- Siostro!

- Ty ordynarna babo!

Brianna przerwała te okrzyki, po prostu wstając. Była tak wysoka jak mężczyźni, a na kobiety patrzyła z góry. Laoghaire szybko cofnęła się o krok. Wszyscy obecni w pokoju wpatrywali się w nią, niektórzy z wrogością, niektórzy z sympatią lub po prostu ciekawością.

Chłodno, choć wcale się tak nie czuła, Brianna sięgnęła do wewnętrznej kieszeni płaszcza, do ukrytej kieszeni, którą wszyła tam zaledwie przed tygodniem. Wydawało się, jakby od tego czasu minął cały wiek.

- Moja matka ma na imię Claire - powiedziała i położyła naszyjnik na stole.

W pokoju panowała cisza, jedynie torf w kominku syczał miękko.

Naszyjnik z pereł lśnił, a wiosenne słońce wpadające przez okno odbijało się iskierkami od złotych, ażurowych tarczek.

Pierwsza odezwała się Jenny. Ruszając się jak lunatyk, wyciągnęła rękę i dotknęła jednej z pereł. Były to perły słodkowodne, zwane barokowymi ze względu na niezwykle, nieregularne, unikatowe kształty.

- O Boże - powiedziała cicho Jenny. Uniosła głowę i spojrzała Briannie prosto w twarz. W lekko skośnych, niebieskich oczach lśniły chyba łzy. - Tak bardzo się cieszę, że cię widzę, bratanico.

- Gdzie jest moja matka, wiecie? - Brianna przenosiła wzrok z twarzy na twarz, a serce biło jej mocno. Laoghaire nie patrzyła na nią.

Nie była w stanie oderwać wzroku od pereł.

Jenny i Ian wymienili spojrzenia, następnie Ian wstał i zachwiał się, opierając się na drewnianej nodze.

- Jest z twoim ojcem - oznajmił cicho, dotykając ręki Brianny. - Nie denerwuj się, dziewczyno, są bezpieczni.

Brianna z ulgi o mało nie osunęła się na krzesło. Zamiast tego powoli wypuściła powietrze, czując, jak kamień w żołądku zaczyna jej się rozpuszczać.

- Dziękuję - powiedziała. Chciała uśmiechnąć się do Iana, ale miała wrażenie, że ma twarz z gumy. Bezpečni i razem, och - myślała, czując wypełniającą ją wdzięczność.

- Według prawa należą do mnie. - Laoghaire wskazała pereły. Nie była już wściekła, ale lodowato opanowana. Teraz, gdy złość nie zniekształcała jej rysów, Brianna widziała, że kiedyś musiała być bardzo ładna. Wciąż była przystojną kobietą, wysoką jak na Szkotkę, o ruchach pełnych wdzięku. Cechował ją delikatny, dziewczęcy koloryt, który zazwyczaj szybko znika w miarę dojrzewania.

Przybrała na wadze, ale wciąż trzymała się prosto. Ciało miała jędrne, a na twarzy malowała się duma kobiety świadomej swojej urody.

- Nieprawda, wcale nie - powiedziała Jenny z nagłą złością. - Należały do mojej matki. Ojciec dał je Jamiemu dla jego żony.

- A to ja jestem jego żoną - przerwała Laoghaire. Rzuciła Briannie zimne, oceniające spojrzenie. - Jestem jego

żoną. Wysłałam za niego za męża w dobrej wierze, a on obiecał mi zapłacić za krzywdę, jaką mi wyrządził. - Spojrzała teraz na Jenny. - Już od ponad roku nie widziałam ani pensa. Czy mam sprzedać buty, by nakarmić córkę? Tę jedną, którą mi zostawił? - Uniosła głowę i spojrzała wprost na Briannę. - Skoro jesteś jego córką, to jego długi są też twoimi długami. Powiedz jej, Hobart.

Hobart wyglądał na zakłopotanego.

- Ależ siostrzo... - Położył jej dłoń na ramieniu, starając się ją uspokoić. - Nie myślę, żeby...

- Nie, nie myślisz i nie myślałeś od urodzenia. - Strząsnęła w irytacji jego dłoń i sięgnęła po perły. - Są moje.

Brianna zadziałała odruchowo. Chwyciła perły i zacisnęła je w dłoni, zanim zdążyła świadomie podjąć jakąkolwiek decyzję. Złote tarczki chłodziły jej skórę, ale perły były ciepłe. Matka powiedziała jej kiedyś, że po tym rozpoznaje się prawdziwą perłę.

- Zaraz, chwileczkę. - Zaskoczyła ją siła i chłód własnego głosu.

- Nie wiem, kim jesteś. Nie wiem, co zdarzyło się między tobą a moim ojcem, ale...

- Jestem Laoghaire MacKenzie, a twój cholerny ojciec ożenił się ze mną cztery lata temu. Powinnam dodać, że w złej wierze. - Laoghaire złość nie minęła, chyba tylko głębiej się ukryła. Kobieta miała napiętą twarz, lecz nie krzyczała, a jej miękkie, okrągłe policzki nie były już czerwone.

Brianna nabrała powietrza, starając się uspokoić.

- Tak, ale teraz, skoro moja matka jest z moim

ojcem...

- Opuścił mnie.

Te słowa zostały wypowiedziane spokojnie, padły jak kamienie w nieruchomą wodę, budząc kręgi bólu i zdrady. Młody Jamie otworzył usta, jakby chciał się odezwać, ale patrząc na Laoghaire, zamknął je znów.

- Powiedział, że nie jest w stanie tego dłużej znieść.

Mieszkania ze mną w tym samym domu, dzielenia ze mną łoża - mówiła spokojnie, jak gdyby recytowała coś, czego nauczyła się na pamięć, wciąż nie odrywając oczu od miejsca, w którym wcześniej leżały perły. - I odszedł. A po jakimś czasie wrócił z czarownicą. Pokazywał się z nią przede mną, spał z nią pod moim nosem. - Powoli uniosła wzrok i spojrzała na Briannę, przyglądając jej się intensywnie, szukając tajemnicy na jej twarzy. Pokiwała głową. - To ona - powiedziała z pewnością, która przez swój spokój brzmiała dość niesamowicie. - To ona rzuciła na niego czar. Już pierwszego dnia, gdy przybył do Leoch. Rzuciła czar na mnie. Sprawiała, że stałam się niewidoczna. Od dnia, w którym się pojawiła, przestał mnie dostrzegać.

Brianna poczuła dreszcz, mimo że od torfowego ognia w kominku było ciepło.

- A potem zniknęła. Mówili, że umarła, że zginęła w powstaniu, a on, gdy skończyła się wojna, wrócił do domu z Anglii. - Lekko potrząsnęła głową, nie odrywając wzroku od twarzy Brianny. Brianna wiedziała jednak, że Laoghaire już jej nie widzi. - Ale ona nie umarła, a on nie był wolny. Wiedziałam, zawsze to wiedziałam. Nie można zabić czarownicy stałą. Czarownica musi spłonąć. - Bładoniebieskie oczy Laoghaire spoczęły teraz na Jenny. -

Zobaczyłaś ją na moim ślubie, widziałaś jej widmo między mną a nim. Widziałaś ją, ale nic nie powiedziałaś. Usłyszałam o tym dopiero później, gdy powiedziałaś jasnowidzącej Maisri. Powinnaś była mi powiedzieć wcześniej. - Było to nie tyle oskarżenie, ile stwierdzenie faktu.

Jenny znów pobladła, w skośnych oczach coś mignęło - może strach? Oblizła wargi i chciała odpowiedzieć, ale Laoghaire przeniosła już uwagę na Iana.

- Ty lepiej uważaj, Ianie Murray - powiedziała rzeczowym tonem. Wskazała głową Briannę. - Dobrze się jej przyjrzyj. Czy kobieta może być tak zbudowana, wyższa niż większość mężczyzn, ubrana jak mężczyzna, o dłoniach szerokich jak talerze? Łatwo nimi może udusić jedno z twoich małych, gdyby zechciała.

Ian nie odpowiedział, ale na jego długiej miłej twarzy pojawił się niepokój. Młody Jamie zacisnął jednak pięści i zęby. Laoghaire dostrzegła to, w kąciku jej ust pojawił się uśmiezek.

- Jest dzieckiem czarownicy i wiecie o tym wszyscy. - Rozejrzała się po pokoju, przenosząc wzrok z twarzy na twarz. - Powinni byli spalić jej matkę w Cranesmuir, tylko że rzuciła miłosny czar na Jamiego Frasera. Tak, powtarzam, uważajcie, co i kogo wprowadziliście do domu.

Brianna głośno i gwałtownie uderzyła dłonią w stół. Zebrani aż podskoczyli.

- Bzdury! - krzyknęła. Czują, jak krew napływa jej do twarzy, lecz nic jej to nie obchodziło. Wszyscy patrzyli na nią z otwartymi ustami, ona jednak widziała tylko Laoghaire MacKenzie. - Bzdury - powtórzyła i wycelowała

palec w tę kobietę. - Jeśli jest ktoś, na kogo powinni uważać, to na ciebie, ty bezwstydną morderczyni!

Laoghaire otworzyła usta szerzej niż inni, ale nie wydała żadnego dźwięku.

- Nie opowiedziałas im wszystkiego o Cranesmuir, prawda?

Moja matka powinna była, ale tego nie zrobiła. Uważała, że byłaś za młoda, by wiedzieć, co czynisz, ale nie byłaś, prawda? Jak to było?

- O czym... - powiedziała Jenny słabym głosem.

Młody Jamie rzucił okiem na ojca, który stał jak skamieniały, wpatrzony w Briannę.

- Próbowiała zabić moją matkę. - Brianna z trudem kontrolowała głos, załamywał się jej i drżał, ale mówiła dalej. - Prawda?

Próbowiałaś ją zabić. Powiedziałaś jej, że Geillis Duncan jest chora i ją wzywa. Wiedziałaś, że pójdzie, bo zawsze szła do chorych.

Ostatecznie jest lekarką. Wiedziałaś, że zamierzali aresztować Geilie Duncan za czary, a gdyby moja matka tam wtedy była, zabraliby także i ją. Sądziłaś, że ją spalą, a wtedy będziesz go mogła mieć. Będziesz mogła mieć Jamiego Frasera.

Twarz Laoghaire oblekła się śmiertelną bledością i przybrała kamienny wyraz, nawet w oczach nie było życia. Wydawały się puste i twarde jak kamienie.

- Czułam, że ona jest z nim w naszym łóżku - szepnęła - że leży między nami i go dotyka. Wtedy on sztywniał i wołał ją przez sen.

Była czarownicą, zawsze o tym wiedziałam.

W pokoju panowała cisza, przerywana jedynie sykiem kamieni i śpiewem ptaka gdzieś za oknem. W końcu ruszył się Hobart MacKenzie. Ujął siostrę za ramię.

- Chodź, a leannan - powiedział cicho. - Odprowadzę cię do domu.

Kiwnął głową Ianowi, który również się skłonił. W tym małym geście mieściło się i współczucie, i żal. Laoghaire pozwoliła bratu prowadzić, ale przy drzwiach zatrzymała się i spojrzała za siebie.

Brianna wciąż stała, nie była w stanie się ruszyć.

- Jeśli jesteś córką Jamiego Frasera - oświadczyła Laoghaire zimno i dobitnie - a to możliwe, biorąc pod uwagę, jak bardzo go przypominasz, to wiedz o jednym: twój ojciec to łgarz, oszust, dziwkarz i rajfur. Życzę wam powodzenia. - Poddała się naciskowi dłoni Hobarta i drzwi się za nią zatrzasnęły.

Wściekłość, która wypełniała Briannę do tej pory, nagle zniknęła.

Brianna pochyliła się i oparła na dłoniach o stół, pod jedną wciąż trzymając zimny i twardy naszyjnik. Włosy wymknęły się z upięcia, gruby kosmyk spadł jej na twarz. Zamknęła oczy, starając się zwalczyć zawrót głowy. Raczej poczuła, niż dostrzegła, dłoń, która czule odgarnęła jej włosy z twarzy.

- Ciągle ją kochał - szepnęła, bardziej do siebie niż do kogokolwiek innego. - Nie zapomniał jej.

- Oczywiście, że jej nie zapomniał. - Otworzyła oczy i zobaczyła długą twarz i życzliwe, brązowe oczy Iana tuż przy swoich. Szeroka, zniszczona pracą ręka opierała się na jej dłoni, ciepła i mocna, jeszcze większa niż jej. - My też

nie zapomnieliśmy.

- Czy zjesz jeszcze kawałek, kuzynko Brianno? - Joan, żona Młodego Jamiego, uśmiechnęła się przez stół, w ręce zachęcająco trzymając łyżkę. Przestrzeń między nimi zajmowały pokruszone pozostałości gigantycznego ciasta agrestowego.

- Och, nie, dziękuję, nie jestem w stanie już nic zjeść - powiedziała Brianna, uśmiechając się w odpowiedzi. - Jestem pełna.

Na te słowa Matthew i jego mały braciszek Henry zachichotali głośno, ale stalowe spojrzenie rzucone przez babcię natychmiast ich uciszyło. Patrząc wokół stołu, Brianna widziała jednak tłumiony śmiech na wszystkich twarzach. I dorośli, i małe dzieci najwyraźniej uważali, że każde jej słowo jest niezwykle zabawne.

Wydawało jej się, że nie chodzi tu ani o jej dziwny strój, ani o samą ekscytację wynikającą z zobaczenia obcej osoby - nawet tak bardzo obcej. Było tu coś jeszcze; członków rodziny łączył prąd radości, niewidzialny, ale żywy jak elektryczność. Powoli zdawała sobie sprawę z tego, o co chodzi. Dopiero rzucona przez Iana uwaga sprawiła, że zrozumiała.

- Nie sądziliśmy, że Jamie kiedykolwiek będzie miał własne dziecko. - Uśmiech Iana był tak ciepły, że stopiłby lód. - A ty nigdy go nie widziałaś, prawda?

Pokręciła głową, przełykając ostatni kęs, uśmiechając się szeroko mimo pełnych ust. To o to chodzi - pomyślała - cieszą się nie tyle z powodu niej samej, ile z powodu Jamiego. Kochają go i są szczęśliwi nie ze względu na siebie, ale ze względu na niego. Ta myśl sprawiła, że do

oczku napłynęły jej łzy. Oskarżenia rzucone przez Laoghaire wstrząsnęły nią, były niesprawiedliwe. Z ulgą zdała sobie sprawę, że dla tych wszystkich ludzi, którzy dobrze go znali, Jamie Fraser nie jest ani kłamcą, ani złym człowiekiem - jest takim człowiekiem, za jakiego uważała go jej matka.

Młody Jamie źle odczytał jej emocje i uznał, że Brianna się zakrztusiła, więc na wszelki wypadek uderzył ją w plecy.

- Czy napisałaś do wuja Jamiego, żeby go poinformować o swoim do nas przyjeździe? - spytał, nie zwracając uwagi na jej kaszel.

- Nie - powiedziała niewyraźnie. - Nie wiem, gdzie jest. Brwi Jenny powędrowały w górę.

- Ach, tak, mówiłaś, zapomniałam.

- Czy wiecie, gdzie są teraz, on i moja mama? - Brianna pochyliła się, by strzepnąć okruszki z żabotu.

Jenny uśmiechnęła się i wstała.

- Tak, wiemy, mniej więcej. Jeśli nie chcesz już więcej jeść, chodź ze mną, pokażę ci jego ostatni list.

Brianna wstała, by ruszyć za Jenny, ale przy drzwiach nagle się zatrzymała. Już przedtem zauważyła obrazy na ścianach bawialni, ale nie przyglądała im się dokładnie, bo poddała się emocjom i temu, co się działo. Teraz miała przed oczami jeden z nich.

Obraz przedstawiał dwóch chłopców o złotorudych włosach, stojących obok wielkiego psa z wywieszonym językiem, ze skupionym wyrazem twarzy. Wyglądali poważnie w kiltach, kurtkach i białych koszulach z koronką. Starszy chłopiec był wysoki i przystojny, siedział wyprostowany, dumnie unosząc brodę. Jedną rękę trzymał

na głowie psa, drugą na ramieniu mniejszego brata, stojącego między jego kolanami. To na tym młodszym Brianna skupiła spojrzenie. Miał okrągłą buzię i zadarty nos, policzki rumiane jak jabłuszka. Duże, niebieskie oczy, lekko skośne, spoglądały spod nienaturalnie gładko uczesanych włosów. Stał w sztucznej pozie, tak typowej dla osiemnastego wieku, ale w tej niewielkiej postaci było coś, co wywołało na jej twarzy uśmiech. Wyciągnęła rękę i dotknęła palcem jego twarzy.

- Strasznie jesteś słodki - powiedziała cicho.

- Jamie był słodkim chłopcem, ale upartym jak osioł - usłyszała głos Jenny. - Można go było bić albo prosić, bez różnicy - jeśli się na coś uparł, to nie dało się nic z tym zrobić. Chodź ze mną, jest jeszcze jeden obraz, który pewnie chętnie zobaczysz.

Drugi portret wisiał na podeście schodów i wydawał się tam zupełnie nie na miejscu. Z dołu Brianna widziała bogato złoconą ramę, której wymyślne rzeźbienia nie pasowały do solidnego, nieco zniszczonego, ale wygodnego urządzenia domu. Przypominała jej raczej obrazy w muzeach. Gdy wchodziła za Jenny na podest, światło padające z okna zniknęło, a powierzchnia obrazu stała się płaska i wyraźna. Brianna z trudem złapała powietrze. Czuła, jak ramiona pokrywają jej się gęsią skórką.

- Wspaniały, prawda? - Jenny przeniosła wzrok z obrazu na Briannę i z powrotem. Na jej twarzy malowało się coś w rodzaju dumy i podziwu.

- Wspaniały - przytaknęła Brianna, z trudem przełykając ślinę.

- Widzisz, dlatego od razu cię rozpozналиśmy -

mówiła dalej ciotka, opierając dłoń na rzeźbionej ramie.

- Tak, tak, rozumiem.

- To moja matka, twoja babcia - Ellen MacKenzie.

- Tak, wiem. - Drobinki kurzu krążyły w powietrzu, wyraźnie widoczne we wpadającym przez okno popołudniowym świetle.

Brianna miała wrażenie, że ona też wraz z nimi wiruje w powietrzu, zupełnie oderwana od rzeczywistości.

Za dwieście lat poszła - pójdzie? - obejrzeć ten obraz w Narodowej Galerii Portretu w Londynie. Wówczas odrzuciła prawdę, którą pokazywał.

Ellen MacKenzie patrzyła na nią teraz tak jak wówczas. Miała długą szyję i królewską postawę, w skośnych oczach widać było uśmiech, który nie obejmował ust. Nie było to bynajmniej lustrzane odbicie Brianny. Ellen miała wyższe i węższe czoło, okrągłą, a nie trójkątną brodę, twarz ogólnie miększą, delikatniejsze rysy, ale podobieństwo było wystarczająco widoczne, by zaskakiwało. Te same szerokie kości policzkowe i gęste rude włosy. Na szyi nosiła naszyjnik z pereł. Złote tarczki rozdzielające perły lśniły w miękkim, wiosennym słońcu.

- Kto to namalował? - spytała w końcu Brianna, choć nie musiała usłyszeć odpowiedzi. W muzeum przy obrazie widniała tabliczka „artysta nieznany”, jednak portret dwóch chłopców na dole wszystko wyjaśniał. Ten obraz zdradzał może mniejsze doświadczenie, był wcześniejszą próbą, ale to ta sama ręka oddała te włosy i tę skórę.

- Moja mama, sama - odrzekła Jenny, a w jej głosie słychać było dumę. - Znakomicie rysowała i malowała, zawsze żałowałam, że nie odziedziczyłam po niej tego daru.

Brianna poczuła, że palce zwijają jej się wbrew woli, zupełnie jakby chwyciły pędzel. Wrażenie to było tak żywe, że przysięgłaby, iż trzyma gładkie drewno pędzla. To stąd - pomyślała z lekkim dreszczem i usłyszała niemal na jawie ciche „klik”, jakby małeńki kawałek jej przeszłości znalazł się na właściwym miejscu - to stąd mam ten talent.

Frank Randall żartował zawsze, że nie potrafi narysować jednej prostej kreski, Claire mówiła, że rysuje wyłącznie takie, Brianna jednak miała talent do linii i krzywizn, do światła i cienia. Teraz poznała również źródło tego daru.

I co jeszcze - pomyślała nagle - co jeszcze ma takiego, co niegdyś należało do kobiety z obrazu, do chłopca tak uparcie przechylającego głowę?

- Ned Gowan przywiózł mi to z Leoch - mówiła Jenny, z szacunkiem dotykając ramy. - Uratował ją, gdy Anglicy rozwalali zamek po powstaniu. - Uśmiechnęła się słabo. - Ned bardzo dba o rodzinę. Jest z nizin koło Edynburga, nie ma własnej rodziny, ale przyjął MacKenziech za swój klan, choć teraz klanu już nie ma.

- Nie ma? - wyrzuciła z siebie Brianna. - Wszyscy umarli? - Przerażenie w jej głosie sprawiło, że Jenny rzuciła jej zdziwione spojrzeenie.

- Och, nie, nie o to mi chodzi, ale nie ma Leoch... A ostatni przywódca: Colum i jego brat Dougal... zginęli dla Stuartów.

Wiedziała to przecież, bo Claire jej mówiła, zaskoczyła ją natomiast niespodziewana fala smutku i żalu za tymi obcymi, ale przecież należącymi do nowo odnalezionej krwi. Z pewnym wysiłkiem przełknęła to coś,

co ścisnęło jej gardło, i podążyła za Jenny po schodach.

- Czy Leoch był wielkim zamkiem? - spytała. Jej ciotka zatrzymała się z ręką na balustradzie.

- Nie wiem - odpowiedziała, obróciła się i spojrzała na obraz Ellen z żalem w oczach. - Nigdy go nie widziałam. A teraz go już nie ma.

Sypialnia na piętrze przypominała podwodną jaskinię. Pokój był nieduży, tak samo jak wszystkie pozostałe, z niskimi belkami, poczerniałymi od lat palenia torfem w kominkach, ale ściany miał świeże i białe. Wypełniało go zielonkawe, migoczące światło, wpadające przez dwa duże okna i przefiltrowane przez liście dzikiej róży.

Gdzieś tam błyszczało coś jasnego, jak ryba w rafie koralowej: malowana lalka przed kominkiem, zostawiona tam przez jakieś dziecko, chiński koszyk z monetą z dziurką, przywiązana do pokrywki jako dekoracja, mosiężny lichtarz na stole, niewielki obrazek na ścianie. Głębokie, nasycone kolory na tle białych ścian.

Jenny od razu podeszła do dużej szafy, stojącej pod jedną ze ścian, wspięła się na palce, by ściągnąć sporą, pokrytą skórą skrzynkę, zniszczoną już przez lata używania. Gdy ją otworzyła, Brianna zauważyła błysk metalu i coś w rodzaju iskierki - jakby światło padło na klejnoty.

- Oto i on - Jenny wyjęła gruby, złożony, brudnawy papier, który przywędrował z daleka i najwyraźniej był wielokrotnie czytany.

Włożyła list Briannie w dłoń. Niegdyś był opieczętowany, na brzegu jednej kartki wciąż widniała

odrobina wosku. - Znajdują się w kolonii Karolina Północna, ale nie mieszkają w pobliżu żadnego miasta - wyjaśniła Jenny. - Jamie pisze po trochu, wieczorami, gdy ma czas, i trzyma kartki przy sobie, aż on albo Fergus pojedą do Cross Creek albo gdy przejeżdża ktoś, kto może zabrać list. To mu odpowiada, niełatwo przychodzi mu pisanie, szczególnie od czasu, gdy złamał rękę.

Brianna wzdrygnęła się przy tym zdaniu, lecz spokojna twarz jej ciotki nie zdradzała żadnych uczuć.

- Siadaj, dziewczyno. - Machnęła ręką, dając Briannie do wyboru stołek albo łóżko.

- Dzięki - mruknęła Brianna, siadając na stołku. Czyżby Jenny nie wiedziała nic o Jamiem i Czarnym Jacku Randallu? Sam pomysł, że może wiedzieć coś o tym niewidzianym nigdy człowieku, czego nie wie nawet jego ukochana siostra, był w jakiś sposób niepokojący. By nie myśleć o tym więcej, pospiesznie otworzyła list. Leżały przed nią kartki wypełnione czarnymi i żywymi słowami. Widziała już to pismo - ciasne, z trudem kreślone litery, z dużymi ogonkami - ale widziała je na dokumencie liczącym dwieście lat, gdzie atrament zbrązowiał i spłówał, a samo pismo zdradzało oficjalny charakter i głębokie namaszczenie. Tutaj pisał swobodnie, litery biegły przez kartkę w górę lub w dół, jak pijane. Nie było to porządne pismo, jednak dawało się czytać.

Fraser's Ridge, poniedziałek, 19 września

Moja najdroższa Jenny,

wszyscy tu jesteśmy w dobrym zdrowiu i duchu, i ufam, że list ten dotrze do wszystkich w Twoim domu równie zadowolonych.

Twój syn śle Ci serdeczne pozdrowienia i prosi, by przekazać je również jego ojcu, braciom i siostram. Prosi, byś powiedziała Matthew i Henry'emu, że przesyła im załączony przedmiot, a jest to zakonserwowana czaszka zwierzęcia zwanego jeżozwierzem, z powodu długich kolców, choć nie przypomina ono w ogóle małych jeży, które na pewno znasz. Jest albowiem znacznie większy i mieszka na szczytach drzew, gdzie karmi się młodymi pędami. Powiedz Matthew i Henry'emu, że nie wiem, dlaczego zwierzę to ma pomarańczowe zęby; niewątpliwie uważa je za ozdobę.

Załączam również drobny prezent dla Ciebie. Wzór został wyszyty kolcami tego samego jeżozwierza. Indianie farbują je sokami kilku roślin, a następnie splatają w pomysłowy sposób, jak sama widzisz.

Claire ostatnio interesuje się bardzo rozmową - jeśli można użyć tego słowa na sposób porozumiewania się składający się z gestów i min (twierdzi, że nie robi min, na co ja odpowiadam, że lepiej jestem w stanie to osądzić, ponieważ widzę twarz, o którą chodzi, a ona nie) - rozmową ze starą kobietą, od Indian, bardzo szanowaną na tym obszarze jako uzdrowicielka, która dała Claire wiele roślin. Dlatego też jej palce są obecnie fioletowe, a ja uważam to za niezwykle dekoracyjne.

Wtorek, 20 września

Dziś przez cały dzień zajmowałem się naprawą i wzmacnianiem ogrodzenia, w którym trzymamy w nocy kilka naszych krów, świń i tak dalej, by chronić je przed niedźwiedziami, których jest tu obfitość.

Tego ranka, idąc do wygódki, zauważyłem w glinie

duży odcisk łapy długości niemal takiej jak moja własna stopa. Zwierzęta wydawały się zdenerwowane i poruszone, i trudno je o to winić.

Proszę jednak, byś nie denerwowała się z naszego powodu, czarne niedźwiedzie tu mieszkające nieufnie odnoszą się do ludzi i nie zbliżają się nawet do pojedynczego człowieka. Ponadto nasz dom jest mocny, ja zaś zabroniłem Ianowi wychodzić na dwór po ciemku, chyba że będzie dobrze uzbrojony.

Jeśli chodzi o naszą broń, sytuacja się znacznie poprawiła. Fergus przywiózł z High Point doskonałą strzelbę nowego rodzaju i kilka znakomitych noży.

A także duży kocioł do gotowania. Jego nabycie uświęciliśmy wielką ilością smacznej zupy, ugotowanej z dziczyzną, dzikimi cebulami z lasu, suchą fasolą, a także owocami pomidora ususzonymi w lecie. Żadne z nas nie umarło ani nie cierpiało na żadne złe skutki po zjedzeniu tej zupy, więc Claire zapewne ma rację, że pomidory nie są trujące.

Środa, 21 września

Niedźwiedź pojawił się znowu. W świeżo przekopanej ziemi ogrodu Claire znalazłem dzisiaj jego duże ślady. Zwierzę na pewno chce utyc przed zimowym snem i szuka robaków w świeżej ziemi.

Przeniosłem maciorę do spiżarni, ponieważ niedługo ma się oprosić. Ani Claire, ani maciorze się ten układ specjalnie nie podobał.

Jednak zwierzę to jest cenne, zapłaciłem za nią trzy junty panu Quillanowi.

Dzisiaj przybyło czterech Indian, należących do plemienia

zwanego Tuskarora. Spotkałem już tych ludzi kilkakrotnie i uznałem, że są niezwykle życzliwi.

Dzicy wyrazili chęć zapolowania na naszego niedźwiedzia, podarowałem im więc nieco tytoniu i nóż, z czego wydawali się zadowoleni.

Przez większość ranka siedzieli pod okapem domu, paląc i rozmawiając między sobą, koło południa wyruszyli na polowanie.

Spytałem, czy nie byłoby lepiej, by myśliwi ukryli się gdzieś w pobliżu, w nadziei, że zwierzę tu powróci, ponieważ najwyraźniej lubi nasze towarzystwo.

Poinformowano mnie z wielką życzliwością i wyższością, na migi, że wystąpienie odchodów zwierzęcia wskazuje ponad wszelką wątpliwość, iż opuściło ono ten teren i udało się gdzieś na zachód.

Nie zamierzałem dyskutować na ten temat z takimi doświadczonymi praktykami, życzyłem im więc szczęścia i pożegnałem. Nie poszedłem z nimi, ponieważ miałem tu pilne roboty, ale Ian i Rollo udali się z nimi, jak to już wcześniej czynili.

Załadowałem moją nową strzelbę i zostawiłem pod ręką, na wypadek gdyby nasi przyjaciele źle odczytali zamiary niedźwiedzia.

Czwartek, 22 września

Ostatniej nocy ze snu obudził mnie okropny hałas, słyszałem drapanie, które przenosiło się po drewnianych belkach ścian, a towarzyszyło mu tupanie i głośne zawodzenie. Wskoczyłem z łóżka przekonany, że dom się zaraz zawali.

Maciora, wyczuwszy w pobliżu wroga, wywalila

drzwi spiżarni, które - przyznaję - nie były zbyt mocne, i schowała się pod naszym łóżkiem, kwicząc w przerażający sposób. Uznawszy, że pojawił się niedźwiedź, złapałem nową strzelbę i wybiegłem. Była to noc księżycowa i choć księżyc chował się za mgiełką, wyraźnie widziałem mego przeciwnika: wielki, czarny kształt, który gdy stanął na tylnych nogach, był niemal tak wysoki jak ja; co więcej, w moim niespokojnym oku wydawał się trzykrotnie ode mnie szerszy.

Strzeliłem do niego, a wówczas opadł on na cztery łapy i ze zdumiewającą prędkością odbiegł pod osłonę pobliskiego lasu, znikając, zanim byłem w stanie przeładować i strzelić ponownie. W świetle dziennym przeszukałem ziemię, czy nie został tam ślad krwi.

Nic nie znalazłem, więc nie mogę powiedzieć, że trafiłem do celu. Z jednej strony domu mamy ozdobę w postaci kilku długich zadrapań, takich jakie można by wykonać ostrą siekierą albo dłutem.

Mieliśmy pewną trudność, by przekonać maciorę (to biała maciora, niezwykle wielkości, niezwykle uparta i wyposażona w zęby), by opuściła nasze łóżko i wróciła do spiżarni. Niechętnie się do tego odnosiła, ale w końcu przekonaliśmy ją połączeniem rozrzuconego ziarna i mnie samego pchającego ją z tyłu i uzbrojonego w potężną miotłę.

Poniedziałek, 26 września

Ian powrócił ze swymi czerwonoskórymi towarzyszami. Ich zdobycz uciekła im w lasach. Pokazałem im zadrapania na boku domu, wywołało to w nich wielkie podniecenie, zaczęli rozmawiać w takim tempie, że nie

byłem w stanie zrozumieć ich słów.

Następnie jeden z mężczyzn odczepił duży ząb z naszyjnika i podarował mi go uroczyście, mówiąc, że dzięki temu duch niedźwiedzia mnie rozpozna i ochroni od złego. Przyjąłem ten dar z całą powagą, a następnie musiałem w zamian podarować mu plaster miodu, by wszyscy zachowali się jak należy. .

Zwróciliśmy się do Claire, by przyniosła plaster miodu, a ponieważ zwykle łatwo dostrzega takie sprawy, tym razem też zobaczyła, że jeden z naszych gości źle się czuje. Miał podpuchnięte oczy, kaszlał i ogólnie wyglądał niedobrze. Claire mówi, że ma on gorączkę, choć nie jest to oczywiste, gdy się na niego patrzy, jest zbyt chory, by podążać ze swymi towarzyszami. Położyliśmy go więc na pryczy w spichlerzu.

Macióra prosiła się w spiżarni. Mamy teraz tuzin prosiąt, wszystkie zdrowe i obdarzone żywym apetytem, za co Bogu niech będą dzięki. Nasz apetyt na razie musi zostać niezaspokojony, ponieważ macióra atakuje każdego, kto otwiera drzwi do spiżarni, z wściekłością kwiczy i pokazuje zęby. Dostałem na kolację jedno jajko i informację, że więcej nie dostanę, o ile nie wymyślę rozwiązania tej trudności.

Sobota, 1 października

Dziś mamy niespodziankę, przybyło dwóch gości...

- To jakieś dzikie miejsce.

Brianna zaskoczona podniosła wzrok. Jenny wskazała głową list, nie odrywając od niej oczu.

- Dzicy, niedźwiedzie, jeżozwierze i tak dalej. Jamie powiedział mi, że to zaledwie mała chatka, w dodatku

zupełnie samotna, wysoko w górach. Bardzo tam musi być dziko. - Spojrzała na Briannę nieco niepewnie. - A ty wciąż chcesz tam jechać?

Brianna zdała sobie nagle sprawę, że Jenny obawia się, iż nie wyjedzie, bo przestraszy się myśli o długiej podróży i dzikim miejscu na jej końcu - dzikim miejscu, które nagle ożyło dzięki słowom napisanym na kartkach trzymanyh w rękę. Jednak jeszcze bardziej realny stał się mężczyzna, który te słowa napisał.

- Pojadę - zapewniła ciotkę - jak tylko zdołam najwcześniej.

Jenny rozpogodziła się.

- Och, to dobrze - powiedziała. Wyciągnęła rękę i pokazała Briannie niewielki skórzany woreczek, ozdobiony wzorem z pofarbowanych na czarno igieł jeżozwierz. Tu i tam kilka kolców zostawiono w naturalnym szarawym kolorze. - To prezent, który mi przysłał.

Brianna wzięła woreczek do ręki i z przyjemnością pomacała miękką skórę jelenia.

- Jest piękny.

- To prawda. - Jenny odwróciła się i zajęła niepotrzebnym porządkowaniem drobnych ozdób, stojących na półce z książkami.

Brianna właśnie zaczęła ponownie czytać, gdy Jenny znów się odezwała. - Ale zostaniesz na trochę?

Brianna uniosła wzrok.

- Mam zostać?

- Tylko na dzień czy dwa. - Jenny ponownie się odwróciła.

Światło z okna stworzyło wokół niej aureolę, lecz

twarz pozostawała w cieniu. - Wiem, że pragniesz jechać, ale tak bardzo chciałabym z tobą przez chwilę porozmawiać.

Brianna spojrzała na nią zaskoczona. Nie była w stanie niczego wyczytać w bladych, regularnych rysach i skośnych oczach, do złudzenia przypominających jej własne.

- Dobrze, oczywiście zostanę, jeśli chcesz - powiedziała powoli.

Kącik ust Jenny uniósł się w uśmiechu. W jej czarnych włosach widniały pasma siwizny.

- To dobrze - powiedziała cicho, z uśmiechem. - Dobry Boże, tak bardzo przypominasz mego brata!

Pozostawiona samej sobie, Brianna wróciła do listu. Przeczytała jeszcze raz początek, pozwalając, by pokój wokół niej zniknął, odsłaniając Jamiego Frasera. Wewnętrznym uchem tak żywo słyszała jego głos, jak gdyby stał tuż przed nią, z rudymi włosami rozjaśnionymi słońcem.

Sobota, 1 października

Dziś wielka niespodzianka, z Cross Creek przybyło dwóch gości. Pewnie pamiętasz, jak opowiadałem Ci o lordzie Johnie Greyu, którego poznałem w Ardsmuir. Nie mówiłem Ci natomiast, że spotkałem go później na Jamajce, gdzie był gubernatorem z ramienia Korony.

Jest chyba ostatnią osobą, jakiej mogłem się spodziewać w tym zagubionym w górach miejscu, tak odległym od cywilizacji, nie mówiąc już o luksusowych biurach i wyposażeniu, do których jest przyzwyczajony. Byliśmy głęboko zdumieni jego pojawieniem się na naszym

progu, choć oczywiście chętnie go powitaliśmy.

Przykro mi powiedzieć, że przywiodło go tu smutne wydarzenie.

Jego żona, która płynęła do niego z Anglii razem z synem, zachorowała podczas drogi na gorączkę tropikalną i zmarła na oceanie. Obawiając się, by miazmaty tropików nie okazały się tak tragiczne w skutkach dla chłopca jak dla jego matki, lord John podjął decyzję, że młody człowiek pojedzie do Wirginii, gdzie rodzina lorda Johna ma duże posiadłości. Postanowił odwiedzić go tam osobiście, szczególnie że chłopiec był głęboko przygnębiony stratą matki.

Wyraziłem zdumienie, ale i wdzięczność, że zechcieli tak zmienić trasę swej podróży, by odwiedzić nasz dom. Jego lordowska mość powiedział jednak, że życzy sobie, żeby chłopiec zwiedził różne kolonie i mógł dzięki temu docenić bogactwo i różnorodność tej ziemi. Chłopiec pragnie spotkać Indian, co przypomina mi Iana nie tak dawno temu.

To przystojny chłopiec, wysoki i dobrze zbudowany jak na swoje lata, a chyba ma ich dwanaście. Wciąż poddaje się napadom melancholii po śmierci matki, potrafi jednak prowadzić interesującą rozmowę, ma dobre maniery, no i jest earlem (lord John jest chyba jego ojczymem, jego ojcem był earl Ellesmere). Na imię ma William.

Brianna odwróciła kartkę, oczekując, że na drugiej stronie będzie dalszy tekst, jednak ten fragment w tym miejscu się kończył.

Następny zapisek pochodził z czwartego października.

Wtorek, 4 października

Indianin, którego umieściliśmy w spichlerzu, zmarł tego ranka, mimo wysiłków Claire. Twarz, ciało i kończyny pokryte miał okropną wysypką, co nadawało mu straszny wygląd.

Claire uważa, że chorował na odrę, i bardzo się tym martwi, ponieważ jest to paskudna choroba, która szybko się rozprzestrzenia i jest bardzo zakaźna. Nie chciała, by ktokolwiek dotykał ciała poza nią samą. Mówi, że ona jest od tej choroby chroniona, dzięki jakimś czarom. Wszyscy jednak zebraliśmy się w południe, a ja odczytałem odpowiedni tekst z Biblii. Odmówiliśmy modlitwę za jego duszę.

Mam nadzieję, że nawet nieochrzczony dziki znajdzie ukojenie w miłosierdziu Pana.

Nie jesteśmy pewni, co należy zrobić z ziemskimi szczątkami tego biedaka. Normalnie posłałbym Iana, by wezwał jego przyjaciół, ci zaś pochowałiby go w sposób przyjęty wśród Indian. Claire mówi jednak, że nie możemy tego zrobić, bo nawet ze zmarłego może pochodzić zaraza, która dotknie lud tego człowieka. A on przecież by sobie tego nie życzył. Radzi więc, by ciało spalić albo pochować. Ja jednak niechętnie podjąłbym takie działanie, ponieważ towarzysze tego człowieka z łatwością mogliby uznać, że w ten sposób staramy się ukryć jakiś nasz udział w jego śmierci.

Nie mówiłem nic o tym naszym gościom, jeśli niebezpieczeństwo okaże się bliskie, będę musiał ich odesłać. Równocześnie nie chcę pozbawić się ich towarzystwa, bo żyjemy tu bardzo samotnie, jak na razie

złożyliśmy ciało w niewielkiej, suchej jaskini, na wzgórzu powyżej domu. Zamierzałem tam przedtem zbudować stajnię albo magazyn.

Wybacz mi proszę, że tak obciążam Cię moimi troskami, myślę, że wszystko się dobrze skończy, ale jak na razie, przyznaję, nieco się martwię. Jeśli niebezpieczeństwo - czy ze strony Indian, czy choroby - okaże się realne, wyślę ten list od razu, powierzając go naszym gościom, by na pewno do Ciebie dotarł.

A jeśli wszystko będzie dobrze, wkrótce do Ciebie znów napiszę.

Twój kochający brat Jamie Traser

Brianna miała sucho w ustach, z trudem przełknęła ślinę. List miał jeszcze dwie kartki, które skleiły się i przez dłuższą chwilę opierały próbom rozdzielenia.

PS. 20 października

Wszyscy jesteśmy bezpieczni, choć sposób, w jaki uratowaliśmy się, jest bardzo smutny. Opowiem Ci o tym później, w tej chwili nie mam serca do tej sprawy.

Ian zachorował na odrę, tak samo lord John, ale już dochodzą do siebie. Claire zaś prosi, bym Ci doniósł, że Ian jest w dobrej formie i nie powinnaś się o niego martwić. Sam zresztą pisze, żebyś poznała prawdę.

J.

Ostatnią kartkę papieru pokrywało inne pismo, porządne i staranne, równo pochylone, choć gdzieś widać było kleksy - zapewne w wyniku choroby piszącego albo marnej jakości pióra.

Droga Mamo,

byłem chory, ale jestem już zdrowy. Miałem

gorączkę i bardzo dziwne sny, w których działy się niezwykle rzeczy. Był tam wielki wilk, który mówił do mnie ludzkim głosem. Ale ciocia Claire mówi, że to pewnie był Rollo, który nie opuszczał mego boku przez cały czas choroby. To bardzo dobry pies i nieczęsto gryzie.

Odra wystąpiła w postaci małych krostek pod skórą i strasznie swędziała, myślałem, że siedzę na mrowisku albo że wszedłem w gniazdo szerszeni. Miałem wrażenie, że mam głowę dwukrotnie większą niż zwykle, i okropnie kichałem.

Dziś na śniadanie zjadłem trzy jajka i owsiankę, sam też już dwukrotnie poszedłem do wygodki, więc czuję się dobrze, choć początkowo obawiałem się, że na skutek choroby oślepię. Gdy wyszedłem na dwór, nic nie widziałem, tylko bardzo jasne światło, ale ciocia powiedziała, że to szybko ustąpi, i rzeczywiście tak się stało.

Później napiszę jeszcze. Teraz Fergus czeka, żeby zabrać list.

Twój posłuszny i oddany syn

Ian Murray

PS. Czaszka jeżozwierza jest dla Henry'ego i Mattiego, mam nadzieję, że im się spodoba.

Brianna przez jakiś czas siedziała na stołku. Biała ściana chłodziła jej plecy. Prostowała dłonią strony listu i wpatrywała się nieświadomie w biblioteczkę. Stały tam w szeregu książki oprawne w płótno i skórę. Zauważyła Robinsona Crusoe, tytuł wypisany był złotymi literami na grzbiecie.

To dzikie miejsce - powiedziała Jenny.

Niebezpieczne miejsce, gdzie życie potrafi w mgnieniu oka przejść z zabawnej trudności z maciorą w spiżarni do groźby śmierci.

- A ja sądziłam, że tu jest prymitywnie - mruknęła, rzucając spojrzenie na torf palący się w kominku.

* *

Wcale nie tak znowu prymitywnie - pomyślała, idąc za Ianem przez podwórze i koło zabudowań. Wszystko było dobrze utrzymane i czyste. Kamienne ściany i budynki były w dobrym stanie, choć nieco już stare. Kurczęta zamknięto na ich własnym podwórku, wielka chmura much za stodołą wskazywała zaś na miejsce dyskretnie ukrytej gnojówki, oddalonej od domu.

Jedyna prawdziwa różnica między tym gospodarstwem a współczesnymi, które widywała, polegała na braku rdzewiejących narzędzi rolniczych. O ścianę stodoły oparto łopatę, dwa lub trzy zniszczone pługi leżały w mijanej komórce; nie było tu ani rozpadającego się traktora, ani kawałków drutu czy rozrzuconych ścinków metalu.

Zwierzęta też były zdrowe, choć nieco mniejsze niż ich współczesne odpowiedniki. Głośne beczenie ogłaszało, że w zagrodzie na zboczu wzgórza znajduje się niewielkie stado owiec.

Gdy Brianna pojawiła się przy ogrodzeniu, owce podbiegły, kręcąc zadami, a ich żółte oczy lśniły w oczekiwaniu.

- Strasznie są rozpuszczone - powiedział Ian, uśmiechając się. - Uważają, że jak ktoś tu przychodzi, to tylko po to, żeby je nakarmić.

Moja żona - dodał, zwracając się do Brianny - daje im wszystko, co się nie nadaje do jedzenia z ogrodu warzywnego, więc o mało nie pękną.

Majestatyczny baran z wielkimi, zakręconymi rogami wysunął głowę nad ogrodzenie i wydał z siebie głośnie beeeee, natychmiast podchwycone przez wierną gromadę.

- Daj spokój, Hughie - skarcił go Ian - nie jesteś jeszcze baraniną, ale ten dzień nadejdzie. - Machnął ręką do barana i zwrócił się w górę zbocza. Brianna została krok z tyłu, z fascynacją przyglądając się, jak idzie. Ian nosił kilt w sposób, do jakiego nie była przyzwyczajona. Nie był to dla niego kostium ani mundur, wydawało się, że jest to część ciała, a nie część ubioru, tak naturalnie się w nim poruszał.

Mimo to wiedziała, że nie zawsze go nosił. Jenny szeroko otworzyła oczy, gdy zszedł na śniadanie, a potem pochyliła głowę, by ukryć uśmiech. Młody Jamie na widok ojca uniósł brew. Ten jednak spojrział na nich obojętnie i z lekkim wzruszeniem ramion usiadł, by zjeść kiełbasę. Wydał też z siebie jedno z tych głębokich, drobnych mruknięć, tak typowych dla szkockich mężczyzn.

Tartan był stary, wiedziała, że spłowieł na załamaniach i był znoszony na brzegu, ale najwyraźniej starannie zachowany. Po Culloden musiał zostać ukryty, tak samo jak pistolety i pałasze, dudy i pisana na nie muzyka - wszystkie symbole dumy zostały pokonane.

Nie, nie całkiem pokonane, pomyślała z lekkim bólem serca.

Przypomniała sobie Rogera Wakefielda, który kucał koło niej pod szarym niebem na polu bitwy pod Culloden.

Jego twarz, szczupła i ciemna, i jego oczy mówiły, że wie o leżących tu poległych.

- Szkoci mają długą pamięć - powiedział wówczas - i nie należą do tych łatwo wybaczących. Jest tam kamień klanu z wyrytym nazwiskiem MacKenzie. Wielu moich krewnych pod nim leży. - Uśmiechnął się wówczas, lecz niewesoło. - Nie biorę tego tak bardzo do serca jak niektórzy, ale ja też nie zapomniałem.

Nie, nie zostali pokonani ani przez tysiąc lat zdrad i walk, ani teraz. Może ich rozproszono, może ich pobito, ale wciąż żyją. Tak jak Ian - okaleczony, ale prosto się trzymający. Jak jej ojciec - na wygnaniu, ale wciąż góral.

Z pewnym wysiłkiem postarała się przestać myśleć o Rogerze i pospieszyła za Ianem.

Gdy poprosiła, by oprowadził ją po Lallybroch, jego szczupła twarz rozjaśniła się z radości. Ustalono, że za tydzień Młody Jamie odprowadzi ją do Inverness, by bezpiecznie wsadzić na statek płynący do kolonii. Zamierzała jak najpełniej wykorzystać czas spędzony w Szkocji.

Szli - w dobrym tempie mimo drewnianej nogi Iana - przez pola, ku niewysokim wzgórzom ograniczającym dolinę od północy i przełęczą prowadzącej przez czarne urwiska. To piękne miejsce - pomyślała. Bładozielone pola owsa i jęczmienia rozjaśnione zmiennym światłem, chmury biegnące przez niebo i chwilami zasłaniające wiosenne słońce, popędzane bryzą, która chyliła młode trawy... Jedno pole pokrywały długie, ciemne, niczym nieporośnięte bruzdy. Z brzegu leżały wielkie kamienie.

- Czy to kurhan? - spytała Iana, zniżając głos z

szacunkiem.

Kurhany były rodzajami kopców upamiętniających zmarłych, mówiła jej matka, czasami bardzo dawnymi. A każdy przechodzący dodawał nowy kamień.

Spojrzał na nią zaskoczony, ujrzał, w którym kierunku patrzy, i roześmiał się.

- Ach, nie, dziewczyno. To kamienie, które wykopaliliśmy na wiosnę. Co roku wykopujemy kamienie i co roku pojawiają się nowe.

Nie mam pojęcia, skąd się biorą - dodał, kręcąc głową z rezygnacją. - Chyba kamienne wróżki przychodzą i sieją je nocami.

Nie wiedziała, czy to żart, czy nie, więc niepewna, czy się śmiać, wołała zadać pytanie.

- A co tu zasadzicie?

- O, już zasadziliśmy. - Ian osłonił ręką oczy i spojrzał na długie pole. - To pole kartofli, pod koniec miesiąca pojawią się rośliny.

Brianna spojrzała z nowym zainteresowaniem.

- Tak, mama mi o tym mówiła.

- Tak, to był pomysł Claire. I bardzo dobry. Nieraz już kartofle uchroniły nas od głodowania. - Jego twarz rozjaśnił przelotny uśmiech, ale nic więcej nie powiedział i ruszył dalej, w kierunku dzikich wzgórz za polami. Był to długi spacer. Wiał wiatr, jednak było ciepło i gdy się w końcu zatrzymali, Brianna poczuła, jak spływa po niej pot. Wąska ścieżka wiodąca przez wrzosowiska w tym miejscu zwężała się niebezpiecznie; z jednej strony wznosiło się strome zbocze, z drugiej coraz bardziej stroma skała schodziła do niewielkiego źródła.

Ian zatrzymał się, otarł czoło rękawem i wskazał jej jeden z granitowych głazów. Widać stąd było całą dolinę. Zagroda wydawała się mała i zagubiona, a otaczające ją pola - słabym akcentem cywilizacji w dziczy złożonej ze skał i wrzosu.

Z torby wyciągnął kamionkową butelkę i wyjął zębami korek.

- To także dzięki twojej matce - powiedział z uśmiechem, podając jej butelkę. - Znaczy to, że mam zęby. - Przesunął językiem po zębach i pokręcił głową. - Twoja matka cały czas mówiła o jedzeniu roślin i nikt się nie odważał sprzeciwić. Połowa mężczyzn w moim wieku jest w stanie jeść już tylko owsiankę.

- Gdy byłam mała, zawsze mi kazała zjadać wszystkie jarzyny i myć zęby po każdym posiłku. - Brianna przechyliła butelkę do ust.

Piwo było mocne i gorzkie, ale przyjemnie chłodne po długim spacerze.

- Gdy byłaś mała, tak? - Rozbawiony Ian przesunął wzrokiem po jej ciele. - Rzadko widuje się tak wysoką dziewczynę. Powiedziałbym, że twoja matka wiedziała, co robi, nie?

Uśmiechnęła się w odpowiedzi i oddała mu butelkę.

- Wiedziała w każdym razie, że powinna wyjść za wysokiego mężczyznę - powiedziała.

Ian roześmiał się i wytarł usta grzbietem dłoni. Przyglądał jej się ciepło.

- Ach, dobrze cię widzieć, dziewczyno. To prawda, że bardzo go przypominasz. Boże, czego bym nie dał, żeby być świadkiem tej sceny, gdy Jamie cię ujrzy.

Spojrzała pod nogi i przygryzła wargę. Zbocze porastały wielkie paprocie. Ścieżka w górę wzgórza była jednak wyraźnie widoczna, bo zielone liście, które na niej rosły, zostały zdeптane i rozsunięte.

- Nie wiem, czy on o mnie wie - wyrzuciła z siebie. - Nie mówił wam? Ian zakolysał się lekko i zmarszczył brwi.

- Nie, nie mówił - powiedział powoli - ale może nie miał czasu, nawet jeśli wiedział. Nie był tu zbyt długo tym ostatnim razem, gdy przyjechał z Claire. Wtedy panowało takie zamieszanie... Wszystko, co się działo... - przerwał, wyduł wargi i spojrzał na nią. - Twoja ciocia się tym bardzo martwi - westchnął. - Obawia się, że możesz mieć jej za złe.

- Co mam mieć jej za złe? - Patrzyła na niego, nie rozumiejąc.

- Laoghaire.

Na wspomnienie bladych, zimnych oczu i nienawistnych słów tej kobiety Briannę przebiegł dreszcz. Uznała, że to po prostu złość, ale w jej głowie wciąż tłukły się słowa „dziwkarz i oszust”.

- A co ciocia Jenny ma wspólnego z Laoghaire? Ian westchnął i odrzucił włosy.

- To ona doprowadziła do tego, że Jamie ożenił się z tą kobietą.

Chciała dobrze - powiedział ostrzegawczym tonem. - Naprawdę uważaliśmy, że Claire od lat nie żyje.

W jego tonie pobrzmiwało pytanie, ale Brianna kiwnęła tylko głową i odwróciła wzrok. To był niebezpieczny temat, lepiej nic nie mówić. Po chwili Ian kontynuował.

- Dopiero gdy wrócił do domu z Anglii... Po

powstaniu był tam więźniem przez kilka lat...

- Wiem.

Ian uniósł brwi w zdumieniu, ale powstrzymał się od komentarza.

Pokiwał tylko głową.

- No właśnie. Gdy wrócił, był inny. Cóż, nic dziwnego, prawda?

- Uśmiechnął się przelotnie i też opuścił wzrok, palcami gniołąc materiał kiltu. - Rozmowa z nim była jak mówienie do ducha. Patrzył na mnie, uśmiechał się, odpowiadał, ale w gruncie rzeczy był nieobecny. - Odetchnął głęboko i zmarszczył brwi, zastanawiając się.

- Przedtem, po Culloden, było inaczej. Był ranny i stracił Claire - zerknął na nią, lecz nie zareagowała, mówił więc dalej - ale wówczas nastąpiły straszne czasy, bardzo wiele osób zginęło na skutek walk, chorób lub głodu. W kraju stacjonowali angielscy żołnierze, wszystko palili i zabijali. Gdy sprawy przybierają taki obrót, nie myśli się o umieraniu, dlatego że walka o życie i utrzymanie rodziny wypełnia cały czas. - Przez usta Iana przebiegł uśmiešek, wywołany wspomnieniem. - Jamie ukrywał się - powiedział, wskazując gestem zbocze nad nimi. - Tam jest jaskinia, za tym wielkim krzakiem kolcolistu, w połowie wysokości. To dlatego tu cię przyprowadziłem.

Spojrzała w miejsce, które wskazywał, wysoko na zboczu pokrytym kamieniami i porośniętym wrzosem, a gdzieś tam maleńkimi kwiatkami. Nie widać było żadnej jaskini, ale krzew kolcolistu rozkwitał żółtymi kwiatami, jasny jak pochodnia.

- Przyszędłem tu kiedyś z jedzeniem, miał wtedy

atak gorączki.

Powiedziałem mu, że musi zejść do domu, że Jenny boi się, iż umrze tutaj w samotności. Otworzył jedno oko, błyszczące od gorączki, a głos miał tak zachrypnięty, że ledwo go rozumiałem. Powiedział, żeby Jenny się nie martwiła, choć wszystko na świecie najwyraźniej się sprzysięgło, by go zabić, nie zamierza się poddać. A potem zamknął oko i zasnął. Uważałem, że nie do niego należy decyzja, czy umrze, czy nie, więc zostałem z nim przez całą noc. Ale ostatecznie miał rację, jest bardzo uparty. - W jego głosie zabrzmiał ton przeprosin.

Brianna kiwnęła głową, ale gardło miała zbyt ściśnięte, by mówić. Wstała nagle i podążyła w górę. Ian nie zaprotestował, został na dole, śledząc ją wzrokiem.

Była to stroma wspinaczka; niewielkie, cierniste rośliny wbijały się jej w pończochy. W pobliżu jaskini musiała iść na czworakach, by zachować równowagę na stromym, granitowym zboczu. Wejście do jaskini wyglądało jak pęknięcie w skale i tylko na samym dole rozszerzało się w niewielki trójkąt. Przyklękła i wsunęła do środka głowę i ramiona. Natychmiast poczuła chłód, na policzkach osiadła jej wilgoć. Dopiero po chwili, gdy wzrok przyzwyczaił się do ciemności, zdołała coś zobaczyć. Jaskinia miała jakieś dwa i pół metra długości i dwa metry szerokości. Było to ponure miejsce z ubitą ziemią zamiast podłogi, a sufit schodził tak nisko, że można było wstać jedynie przy samym wejściu. Przebywanie tam przez dłuższy czas musiało przypominać pogrzebanie żywcem. Wyciągnęła szybko głowę i zaczerpnęła świeżego, wiosennego powietrza. Serce zabiło jej mocniej. Siedem lat. Mieszkał tu

siedem lat, w chłodzie i głodzie. Ja nie przetrwałabym tu siedmiu dni - pomyślała.

Naprawdę? - odezwała się inna część jej mózgu. Znowu miała wrażenie, że coś rozpoznaje, tak samo jak wtedy, gdy spojrzała na portret Ellen, a jej ręce objęły niewidoczny pędzel.

Odwróciła się powoli i usiadła plecami do jaskini. Tu wysoko panował spokój - spokój wzgórz i lasów. Spokój, który nie oznaczał ciszy, ale składał się z nieustannych drobnych dźwięków. W pobliskim krzewie kolcolistu buczały pszczoły, osypane pyłkiem z żółtych kwiatów. Z dołu dobiegał plusk strumienia, jakby unisono z wiatrem, który wiał powyżej, poruszając liście i gałązki, wzdychając przy głązach. Siedziała nieruchomo, wsłuchiwała się i zrozumiała, co Jamie Fraser tu znalazł - nie osamotnienie, ale samotność. Nie cierpienie, tylko wytrwałość. Odkrył pokrewieństwo ze skałami i z niebem. I znalazł tu trudny spokój, który był ważniejszy niż cielesne wygoły. Ukojenie dla zadanych duszy ran.

Być może uznał jaskinię nie za grobowiec, ale schronienie. Może czerpał siłę ze skał, niczym Anteusz dotykający ziemi, bo to miejsce było częścią jego samego, jego, który się tu urodził, było częścią również jej - a przecież nigdy go przedtem nie widziała.

Ian cierpliwie czekał na dole; objąwszy ręką kolana, wpatrywał się w dolinę. Wyciągnęła rękę i ostrożnie ułamała gałązkę kolcolistu, pamiętając o kolcach. Położyła ją przy wejściu do jaskini i przycisnęła niewielkim kamieniem, a potem wstała i powoli zeszła na dół. Ian musiał słyszeć, jak schodzi, ale nie odwrócił się. Usiadła

obok niego.

- Czy możesz to już bezpiecznie nosić? - spytała nagle, wskazując jego kilt.

- Ach, tak - odrzekł, głaszcząc miękki, znoszony materiał. - Już od kilku lat nie widzieliśmy żołnierzy. Ostatecznie cóż tu zostało? - Wskazał ręką dolinę. - Zabrali wszystko, co mogli znaleźć, a co miało jakąś wartość. Zniszczyli to, czego nie mogli zabrać. Niewiele zostało poza ziemią, prawda? A ta ich nieszczęśliwie interesowała.

Zauważyła, że coś go niepokoi. Miał bardzo wyrazistą twarz.

Przyglądała mu się przez chwilę.

- Wciąż tu jesteście. I ty, i Jenny - powiedziała cicho.

Jego ręka znieruchomiała na tartanie. Przymknął oczy. Steraną, pobrużdżoną twarz uniósł do słońca.

- Tak, to prawda - odparł w końcu, znów otworzył oczy i spojrzał na nią. - I ty też. Twoja ciocia i ja rozmawialiśmy trochę ostatniej nocy. Gdy odnajdziesz Jamiego i wszystko się między wami ułoży, spytaj go, proszę, co chciałby, żebyśmy zrobili.

- Zrobili? Z czym?

- Z Lallybroch. - Machnął ręką, obejmując nią dolinę i dom.

Odwrócił się ku niej z niepokojem w oczach. - Może wiesz, a może nie, że przed Culloden twój ojciec zapisał to miejsce Młodemu Jamiemu, jeśli on sam polegnie albo jeśli zostanie uznany za zdrajcę.

To było jednak, zanim ty się urodziłaś, zanim wiedział, że będzie miał własne dziecko.

- Tak, wiem o tym. - Nagle uświadomiła sobie, do czego zmierza, i położyła mu rękę na ramieniu, zaskakując go tym gestem. - Nie po to przyjechałam, wuju - powiedziała cicho. - Lallybroch nie należy do mnie i nie chcę go. Chcę jedynie zobaczyć mego ojca i moją matkę.

Długa twarz Iana rozpogodziła się, przykrył jej dłoń swoją. Przez chwilę nic nie mówił, potem lekko uściśnął jej rękę i puścił.

- Dobrze, ale i tak mu powiedz. Jeżeli będzie chciał...

- Nie będzie - przerwała mu zdecydowanie.

Ian spojrział na nią z lekkim, rozjaśniającym oczy uśmiechem.

- Wiele wiesz, co zrobi, jak na dziewczynę, która go nigdy nie widziała. Uśmiechnęła się, czując, jak wiosenne słońce grzeje jej ramiona.

- Może i tak.

- No tak, twoja matka na pewno wiele ci mówiła, a ona go rzeczywiście знаła, mimo że to Angielka. Tyle że... Twoja matka zawsze była szczególna.

- Tak - zawahała się chwilę, chcąc usłyszeć coś więcej o Laoghaire, nie wiedząc jednak, jak o to spytać. Zanim coś przyszło jej do głowy, wstał, strzepnął kilt i ruszył ścieżką w dół. To zmusiło ją do powstania i ruszenia za nim. - Co to było za widmo, wujku Ianie? - spytała tył jego głowy. Zajęty schodzeniem, które szło mu z trudnością, nie odwrócił się. Zauważyła jednak, że lekko się potknął, a drewniana noga zagłębiła się w luźnej ziemi. Na dole wzgórza czekał na nią, opierając się na kiju.

- Myślisz o tym, co powiedziała Laoghaire? - spytał.

Nie czekając na potwierdzenie, odwrócił się i ruszył naprzód wzdłuż zbocza, ku wielkiemu strumieniowi płynącemu przez skały. - Widmo to jakby obraz osoby, która jest gdzieś daleko - wyjaśnił. - Czasami chodzi o osobę, która zmarła daleko od domu. Zobaczenie czyjegoś widma przynosi pecha, ale jeszcze bardziej pechowe jest zobaczenie własnego widma. Bo jeśli tak się zdarzy - umierasz.

Rzeczowy ton jego głosu sprawił, że po kręgosłupie przebiegł jej dreszcz.

- Mam nadzieję, że tak się nie stanie - powiedziała - ale ona, Laoghaire... - Potknęła się na wymowie imienia.

- L'heery - poprawił ją Ian. - No tak, to na jej ślubie z Jamiem Jenny zobaczyła widmo twojej matki. Wiedziała już wówczas, że ten związek okaże się nieudany, było już jednak za późno.

Przyklęknął niezręcznie na zdrowym kolanie i wodą ze strumyka obmył twarz. Brianna zrobiła to samo, połknęła też kilka łyków zimnej, smakującej torfem zimnej wody. Nie mając ręcznika, wyciągnęła ze spodni koniec koszuli i wytarła twarz. Dostrzegłszy zgorszone spojrzenie Iana na jej nagi brzuch, natychmiast puściła koszulę. Zarumieniła się.

- Miałeś mi wyjaśnić, dlaczego mój ojciec się z nią ożenił - powiedziała, by ukryć zmieszanie.

Zaczerwieniony Ian pospiesznie odwrócił wzrok.

- Tak jak ci mówiłem, gdy Jamie wrócił z Anglii, wyglądał, jakby opuściła go chęć do życia, i nie było niczego, co mogłoby tę iskrę energii znów rozpaścić. Nie wiem, co zdarzyło się w Anglii, ale coś tam mu się przytrafiło, tego jestem absolutnie pewien. - Wzruszył

ramionami. - Po Cullogen był ranny, ale czekała nas jeszcze walka, swego rodzaju, a to trzymało go przy życiu. Gdy wrócił z Anglii, nie było tu dla niego nic - ciągnął spokojnie, opuściwszy oczy, przyglądając się kamiennej ziemi. - Więc Jenny namówiła go na małżeństwo z Laoghaire. - Spojrzał na nią jasnymi, przenikliwymi oczyma. - Może jesteś już dość dorosła, by to wiedzieć, choć nie jesteś jeszcze mężatką - to, co kobieta może zrobić dla mężczyzny, albo on dla niej, jak sądzę. Może go uzdrowić, może wypełnić jego pustkę. - Z nieobecnym wyrazem twarzy dotknął drewnianej nogi. - Jamie chyba ożenił się z Laoghaire z litości - a gdyby ona naprawdę go potrzebowała... No cóż. - Wzruszył ponownie ramionami i uśmiechnął się do niej. - Nie ma co teraz rozważać, co by było gdyby, prawda?

Ale powinnaś wiedzieć, że odszedł od Laoghaire i opuścił jej dom, jeszcze zanim twoja matka wróciła.

Brianna poczuła, jak zalewa ją fala ulgi.

- Och, cieszę się, że to mówisz. A moja mama... Kiedy wróciła...

- Bardzo się ucieszył na jej widok - powiedział po prostu Ian.

Tym razem uśmiech rozjaśnił mu całą twarz. - I ja też.

35. Bon voyage

Miała nieprzyjemne wrażenie, że znalazła się w bostońskim schronisku dla psów. Duży, mroczny hol rozbrzmiewał szczekaniem, a powietrze przesiąknięte było zapachami zwierząt. Wielki budynek przy rynku w Inverness mieścił wielu przedsiębiorców: sprzedawców

żywności, bydła i świń, agentów ubezpieczeniowych, agentów zaopatrzenia statków i oficerów rekrutujących do służby w Marynarce Królewskiej. Wrażenie schroniska dla zwierząt szczególnie jednak pogłębiała stłoczona w jednym kącie grupa mężczyzn, kobiet i dzieci.

Niektórzy spośród nich stali równo, z podniesioną głową i wyprostowanymi ramionami, demonstrując dobre zdrowie i energię; jednak większość tych, którzy oferowali siebie samych na sprzedaż, patrzyła na przechodzących niepewnie, rzucając im spojrzenia, w których nadzieja mieszała się ze strachem. Zanadto przypominało jej to oczy psów w schronisku, gdzie ojciec zabrał ją raz czy dwa, by wybrała sobie ulubieńca.

Było tam również kilka rodzin. Dzieci trzymały się matek albo stały z pustym wyrazem twarzy obok rodziców. Starła się na nie nie patrzeć - szczeniaczki w schronisku zawsze łamały jej serce.

Młody Jamie powoli obchodził tę grupę wokół. Kapelusz trzymał przy piersi, by tłum go nie zgniótł, i półprzymkniętymi oczyma przyglądał się ofercie. Wuj Ian poszedł do biura żeglugi, by opłacić jej przejazd do Ameryki, kuzynowi Jamiemu zaś zlecił wybranie służącego, który będzie jej towarzyszyć w podróży. Na próżno protestowała, że nie potrzebuje towarzystwa; ostatecznie - o ile wiedzieli - sama przybyła do Szkocji z Francji i nic jej się nie stało.

Mężczyźni kiwali głowami, uśmiechali się, słuchali z uprzejmą uwagą - a jednak znalazła się tutaj, drepcząc za Młodym Jamiem przez tłum jak jedna z owiec cioci Jenny. Zaczynała rozumieć, co matka miała na myśli, mówiąc, że

Fraserowie są uparci jak osły.

Mimo otaczającego ją gwaru i irytacji z powodu krewnych płci męskiej, na myśl o matce serce podskoczyło jej w piersi. Dopiero teraz, gdy wiedziała, że Claire jest bezpieczna, potrafiła przyznać przed sobą, jak bardzo za nią tęskni. A także za ojcem, tym nieznanym góralem, który tak nagle i żywo stanął jej przed oczyma, gdy czytała jego listy. Fakt, że wciąż dzielił ich ocean, wydawał się już tylko drobną przeszkodą.

Kuzyn Jamie przerwał bieg jej myśli, ujmując ją za ramię i pochylając się, by krzyknąć jej wprost do ucha.

- Ten zezujący człowiek... - Wskazał ruchem głowy dzentelmena, o którego mu chodziło. - Co o nim myślisz, Brianno?

- Myślę, że wygląda jak dusiciel z Bostonu - mruknęła pod nosem, natomiast głośniej, wprost w ucho kuzyna, powiedziała: - Wygląda jak wół. Nie!

- Jest silny i robi wrażenie uczciwego.

Brianna uważała, że wygląda na zbyt głupiego, by mógł być nieuczciwy, powstrzymała się jednak od powiedzenia tego na głos.

Pokręciła tylko zdecydowanie głową.

Młody Jamie filozoficznie wzruszył ramionami i na nowo podjął ogląd oferujących się na sprzedaż ludzi. Tych, którzy budzili jego szczególne zainteresowanie, obchodził dookoła i przyglądał im się dokładnie. Takie zachowanie uważałaby za bardzo ordynarne, gdyby nie fakt, że robiło tak jeszcze kilku innych potencjalnych pracodawców.

- Bridie, gorące bridie! - Przez gwar i hałas sali niósł się wysoki głos. Brianna odwróciła się i zobaczyła starą

kobietę, przepychającą się zdecydowanie przez tłum, z wiszącą jej na szyi tacą wypełnioną parującymi kawałkami ciasta i drewnianą łopatką w dłoni.

Boski aromat świeżego, gorącego ciasta i ostro doprawionego mięsa przebił się przez inne zapachy wypełniające salę. Od śniadania minęło dużo czasu, Brianna poczuła więc, jak ślina napływa jej do ust.

Ian poszedł z jej sakiewką, by opłacić przejazd, w kieszeni miała jednak dwie czy trzy monety. Wyciągnęła jedną i pomachała nią w powietrzu. Sprzedawczyni zobaczyła błysk srebra i od razu skierowała się w jej stronę, przepychając przez rozgadany tłum. Zatrzymała się przed Brianna i sięgnęła po pieniądz.

- Matko Boska chroń nas! Olbrzymka! - wykrzyknęła, odchylając głowę, by spojrzeć w górę na Briannę, i ukazując mocne, żółte zęby. - Lepiej weź dwa, kochaniutka. Jeden nie wystarczy takiej wielkiej dziewczynie jak ty.

Roześmiane twarze zwróciły się w ich stronę. Brianna rzeczywiście o pół głowy przerastała większość otaczających ją mężczyzn. Nieco zażenowana uwagą sąsiadów, rzuciła zimne spojrzenie najbliższemu młodemu człowiekowi, który jednak najwyraźniej uznał to za grę. Zatoczył się do tyłu i padł w ramiona przyjaciela, łapiąc się za pierś i udając trafionego.

- Mój Boże, spojrzała na mnie, zabrała mi serce!

- Och, daj spokój - rugał go przyjaciel, stawiając na nogi. - To na mnie spojrzała! Kto patrzyłby na ciebie, gdy ja jestem obok?

- Wcale nie - zaprotestował pierwszy. - Chodziło o

mnie, prawda, kochanie? - Przysunął się do niej, robiąc maślane oczy i przyjmując tak śmieszny wyraz twarzy, że wybuchnęła śmiechem razem z tłumem wokół.

- A co byś z nią robił, gdybyś ją dostał, co? Potrzeba jej dwóch takich jak ty. A teraz uciekaj stąd - powiedziała sprzedawczyni, dając młodemu człowiekowi klapsa drewnianą łopatką. - Ja tu pracuję, a młoda dama będzie głodować, jeśli nie przestaniesz udawać błazna i nie pozwolisz jej kupić obiadu!

- Wydaje mi się, że ma sporo ciała, babciu! - Wielbiciel Brianny zignorował i klapsa, i naganę, i bezwstydnie jej się przyglądał. - A jeśli chodzi o resztę, to... przynieś drabinę, Bobby! Nie boję się wysokości.

Wśród wybuchów śmiechu przyjaciele odciągnęli młodego człowieka, który jednak wciąż oglądał się przez ramię i przysyłał Briannie pocałunki. Brianna przyjęła resztę w miedzianych monetach i wycofała się do kąta, by zjeść gorące bridie. Wciąż czuła na twarzy rumieniec, wywołany śmiechem i zażenowaniem.

Ostatni raz była tak świadoma swego wzrostu, gdy w siódmej klasie wystrzeliła ponad wszystkie koleżanki. Wśród wysokich kuzynów czuła się swobodnie. Prawdą jednak było, że tutaj rzucała się w oczy i wyraźnie odstawała od otoczenia, mimo że poddała się naleganiom Jenny i męski strój zmieniła na sukienkę należącą do kuzynki Janet. Sukienkę pospiesznie przedłużono i poszerzono.

Poczucie zażenowania pogłębiał jeszcze fakt, że sukience towarzyszyła jedynie koszula - bez jakiegokolwiek bielizny.

Najwyraźniej nie uznawano jej za konieczną. Brianna była jednak bardzo świadoma niezwykłego uczucia pustki i powietrza wokół intymnych części ciała. Nagie uda ocierały się o siebie, ponieważ jedwabne pończochy sięgały zaledwie nad kolano.

Ale i zażenowanie, i brak bielizny poszły w zapomnienie, gdy Brianna wgrzyła się w pierwsze bridie. Było to gorące ciasto w kształcie półksiężyca, faszerowane mieloną wołowiną i tłuszczem, cebulą i przyprawami. Usta wypełnił jej gorący, pożywny sos i kruche ciasto. Przymknęła oczy w czystym błogostanie.

„Jedzenie było albo strasznie złe, albo strasznie dobre - powiedziała kiedyś Claire, opisując swoje przygody w przeszłości. - To dlatego, że nie ma jak przechowywać produktów. Dlatego też wszystko, co jesz - jeśli nie jest na wpół zgniłe - albo zostało zasolone, albo zalane tłuszczem. Zdarza się też świeżutkie, wprost z rzeźni czy z ogrodu, a w tym wypadku jest cholernie pyszne”.

Bridie było cholernie pyszne - stwierdziła Brianna, mimo że okruszki leciały jej za dekolt. Otrzepała się, starając się to robić dyskretnie, ale uwaga tłumu skierowała się już w inną stronę i nikt na nią nie patrzył.

A w każdym razie prawie nikt. U jej łokcia zmaterializował się nagle drobny, jasnowłosy mężczyzna. Nieśmiało, nerwowe ruchy wskazywały, że chciałby dotknąć jej ramienia, ale nie śmie.

Niepewna, czy to żebrak, czy kolejny adorator, spojrzała na niego podejrzliwie i z wyższością.

- Tak?

- Pani... Czy pani potrzebuje służby?

Zdała sobie sprawę, że mężczyzna zapewne należy do tłumu osób oferujących się na sprzedaż.

- Cóż, nie powiedziałabym, że potrzebuję, ale wygląda na to, że i tak nie do mnie należy decyzja w tej sprawie. - Zerknęła na Młodego Jamiego, który rozmawiał teraz z krępyim człowiekiem o krzaczastych brwiach i ramionach jak wiejski kowal. Pojęcie Młodego Jamiego o idealnym służącym najwyraźniej ograniczało się do mięśni. Przeniosła wzrok na stojącego przed nią drobnego mężczyznę. Według standardów Młodego Jamiego nie był wiele wart, ale według jej własnych...

- Czy interesuje pana to stanowisko? - spytała.

Wyraz przygnębienia i zdenerwowania nie zniknął z jego twarzy, ale w oczach mignęła iskierka nadziei.

- To... Ja... To znaczy... Nie, nie ja, ale może pani... Może pani pozwoli... Czy przyjmie pani na służbę moją córkę? - wydusił z siebie nagle. - Proszę!

- Pańską córkę? - Brianna spojrzała na niego zaskoczona, zapominając o trzymanym w ręku na wpół zjedzonym bridie.

- Błagam panią! - Ku jej zaskoczeniu oczy mężczyzny wypełniły się łzami. - Nawet sobie pani nie wyobraża, jak bardzo panią błagam i jak nieskończenie będę pani wdzięczny!

- Ależ... - Brianna strząsnęła okruszki, które przykleiły jej się do brody. Czuli się niezręcznie.

- To silna dziewczyna, mimo że na to nie wygląda, i bardzo chętna do pracy. Będzie robiła wszystko, co pani jej każe... jeśli tylko pani kupi jej kontrakt!

- Ale dlaczego... Zaraz, zaraz, na czym polega

problem? - spytała, zapominając o skrępowaniu, kierowana teraz ciekawością i litością. Ujęła mężczyznę za ramię i wciągnęła w róg, gdzie było nieco ciszej. - Dlaczego tak panu zależy, żebym przyjęła pana córkę na służbę?

Z trudem przełknął ślinę.

- Jest taki mężczyzna. On... jej pragnie, nie jako służącej, tylko jako... jako... konkubiny - wydusił z siebie ochryplym szeptem, a twarz zalał mu czerwony rumieniec.

- Mmmmm - powiedziała Brianna, odkrywając przydatność tego niezobowiązującego pomruku. - Rozumiem, ale przecież nie musi pan się na to godzić, prawda?

- Nie mam wyboru! - Widać było, że cierpi. - Jej kontrakt kupił pan Ransom, makler. - Ruchem głowy wskazał mężczyznę, wyglądającego na twardziela w peruce, który akurat rozmawiał z Młodym Jamiem. - Może go oddać, komu zechce, więc sprzedaje ją bez wahania temu... temu... - Nie był w stanie mówić dalej, bo rozpacz ścisnęła mu gardło.

- Zaraz, niech pan to weźmie. - Brianna pospiesznie zdjęła szeroką chustkę, przykrywającą jej dekolt. Nie wyglądała teraz szczególnie skromnie, ale trudno - to najwyraźniej była wyjątkowa sytuacja.

On też chyba tak uważał. Wytarł na ślepo twarz, upuścił chustkę i złapał jej dłoń w obie swoje.

- Jest poganiaczem bydła. Teraz pojechał na targ, by sprzedać zwierzęta. Kiedy to zrobi, wróci z pieniędzmi na jej kontrakt i zabierze do domu w Aberdeen. Gdy usłyszałem, jak to mówi Ransomowi, wpadłem w rozpacz. Modliłem się żarliwie do Pana, żeby ją uratował, i wtedy... -

Złapał powietrze. - I wtedy zobaczyłem panią, taką dumną, szlachetną i wyglądającą życzliwie. I miałem wrażenie, że moje modlitwy zostały wysłuchane. Och, pani, błagam, niech pani nie odmawia prośbie ojca, niech pani ją weźmie!

- Ależ ja wyjeżdżam do Ameryki, pan nigdy... - przygryzła wargę. - Chcę powiedzieć, że nie zobaczy jej pan przez bardzo długi czas.

Na te słowa nieszczęsny ojciec zbladł jak ściana, zamknął oczy i zachwiał się lekko.

- Do kolonii? - wyszeptał, lecz zaraz otworzył oczy i zacisnęła szczęki. - Lepiej żebym miał jej nigdy więcej nie widzieć, niż żeby spotkała ją taka hańba!

Brianna nie miała pojęcia, co odpowiedzieć. Spojrzała bezradnie nad głową mężczyzny, w kłębiący się tłum.

- No... Pana córka... która...

Iskierka nadziei w jego oczach nagle rozpalila się wielkim płomieniem.

- Niech Bóg panią błogosławi! Zaraz ją przyprowadzę.

Ścisnął jej rękę i rzucił się w tłum, zostawiając Briannę samą. Po chwili bezradnie wzruszyła ramionami i pochyliła się po rzuconą na ziemię chustkę. Jak to się stało? Co, na litość boską, powiedzą jej wuj i kuzyn, jeśli...

- Oto Elizabeth - rozległ się zadyszany głos. - Ukłoń się pani, Lizzie. Brianna spojrzała w dół i stwierdziła, że nie ma wyboru.

- O mój Boże - jęknęła na widok równego przedziałka na środku drobnej główki, pochylonej w głębokim ukłonie. - Szczeniaczek...

Główka uniosła się, ukazując szczupłą, wygłodniałą twarz, której połowę zajmowały przerażone, szare oczy.

- Do usług, pani - powiedziały drobne, białe usteczka, a w każdym razie tak się Briannie wydawało. Dziewczyna mówiła tak cicho, że jej głos nie przebijał się przez gwar tłumu.

Niespokojny głos ojca był bardziej słyszalny. Spojrzała na niego.

Ojciec i córka byli bardzo do siebie podobni. Oboje mieli miękkie, cienkie włosy, szczupłe, wylęknione twarze i niemal ten sam wzrost, choć dziewczynka była tak krucha, że wydawała się cieniem swego ojca.

- Hmm... Dzień dobry - Brianna uśmiechnęła się, starając się ją uspokoić. Ta jednak odchyliła głowę do tyłu, spojrzała w górę, wyraźnie przełknęła ślinę i oblizała wargi.
- Ach... Ile masz lat, Lizzie? Mogę nazywać cię Lizzie?

Drobna główka pochyliła się na szyi, która przypominała nogę grzyba - była długa, biała i niezwykle krucha. Dziewczyna szepnęła coś, czego Brianna nie usłyszała, spojrzała więc pytająco na ojca.

Odpowiedział natychmiast.

- Czternaście, pani, ale doskonale gotuje i szyje. Jest czysta i nie znajdzie pani drugiej tak posłusznej i chętnej do pracy dziewczyny.

Staął za córką, oparł dłonie na jej ramionach i ścisnął tak mocno, że aż palce mu pobieleały. Jego wzrok spotkał spojrzenie Brianny.

Poruszył ustami - nie wyszedł z nich żaden dźwięk, ale i tak wyraźnie usłyszała błaganie. Nad jego głową Brianna widziała wuja, który właśnie wszedł do sali i

rozmawiał z Młodym Jamiem. Gładka głowa i kędzierzawa czupryna pochyliły się ku sobie w cichej rozmowie. Za chwilę zaczął ją szukać.

Zaczerpnęła powietrza i wyprostowała się. No dobrze, jeśli o to chodzi - pomyślała - jest tak samo Fraserem jak jej kuzyn.

Zobaczmy, jak uparty potrafi być osioł. Uśmiechnęła się do dziewczynki i wyciągnęła rękę, podając jej drugie, nienapoczęte jeszcze bridie.

- Umowa stoi, Lizzie. Czy przypieczętujemy to, razem jedząc?

- Jadła moje jedzenie - powiedziała Brianna z taką pewnością, na jaką było ją stać. - Należy do mnie.

Ku jej zaskoczeniu to stwierdzenie w końcu położyło kres kłótni.

Kuzyn wyglądał co prawda, jakby zamierzał dalej drażnić sprawę, lecz wuj położył mu uspokajająco rękę na ramieniu. Zdumienie na twarzy Iana zastąpiło coś w rodzaju szacunku.

- Ach, tak - spojrzał na Lizzie, chowającą się za Brianną, i ściągnął wargi. - Hmm, cóż, więc nie ma nic więcej do powiedzenia.

Młody Jamie najwyraźniej nie podzielał zdania ojca - miał jeszcze wiele do powiedzenia.

- Ale taka dziewczynka jest bezużyteczna! - Machnął ręką i zmarszczył brwi. - Nie jest nawet dość duża, by nosić bagaże, nie mówiąc już o...

- Ale ja jestem dość duża, żeby nosić własne bagaże, wielkie dzięki - przerwała mu Brianna. Zmarszczyła brwi i rzuciła kuzynowi niechętne spojrzenie, prostując się, by

podkreślić swój wzrost.

Młody Jamie się nie poddawał.

- Kobieta nie powinna podróżować sama.

- Nie będę sama, będę miała Lizzie.

- A już na pewno nie do takiego miejsca jak Ameryka, przecież to...

- Mówisz, jakby Ameryka była gdzieś na końcu świata, a nawet jej nie widziałeś - zdenerwowała się Brianna. - Ja się przecież urodziłam w Ameryce, na litość boską!

Wuj i kuzyn gapili się na nią z identycznym wyrazem zaszokowania. Wykorzystała ich chwilowe oszołomienie.

- To moje pieniądze, moja służąca i moja podróż. Dałam słowo i go dotrzymam.

Ian przesunął dłonią po górnej wardze, kryjąc uśmiech, i pokręcił głową.

- Mówią, że mądre dziecko rozpozna swego ojca. A ja uważam, że nie ma żadnych wątpliwości, kto jest twoim, dziewczyno. Długie ciało i rude włosy mogłaś odziedziczyć po wielu, ale taki upór to niewątpliwie spuścizna Jamiego Frasera.

Zarumieniała się z zażenowaniem, ale jednocześnie poczuła coś w rodzaju satysfakcji. Młody Jamie, zdenerwowany wymianą zdań, spróbował jeszcze raz.

- Kobieta nie powinna głosić swojego zdania tak swobodnie, kiedy ma mężczyzn, którzy o nią dbają - powiedział sztywno.

- Uważasz, że kobiety nie powinny wypowiadać swojego zdania?

- spytała Brianna słodko.

- Zdecydowanie nie.

Ian rzucił synowi przeciągłe spojrzenie.

- Jak długo jesteś żonaty, osiem lat? - Pokręcił głową. - No cóż, twoja Joan to taktowna kobieta. - Ignorując ponure spojrzenie Jamiego, odwrócił się do Lizzie. - No dobrze. Idź i pożegnaj się z ojcem, dziewczyno, a ja zajmę się papierami. - Popatrzył za odbiegającą Lizzie, pokręcił głową pełen wątpliwości i znów odwrócił się do Brianny. - Cóż, może będzie dla ciebie lepszym towarzystwem niż mężczyzna, ale twój kuzyn ma rację co do jednego - nie zapewni ci ochrony. To raczej ty będziesz musiała o nią dbać.

Brianna wyprostowała ramiona i uniosła głowę, demonstrując tyle pewności siebie, ile zdołała, mimo nagłego uczucia pustki.

- Dam sobie radę - powiedziała.

Zwinęła mocno dłoń, zaciskając trzymany w niej kamień. Mogła go trzymać w chwili, gdy Moray Firth rozszerzał się, łącząc z morzem, a wybrzeże Szkocji zaczynało się oddalać.

Dlaczego czuje tak silny związek z miejscem, które ledwo zna?

Lizzie, urodzona i wychowana w Szkocji, nie rzuciła nawet jednego spojrzenia ku niknącemu w dali lądowi. Od razu poszła na dół, by zająć się ich przestrzenią i niewielką ilością bagażu.

Brianna nigdy nie myślała o sobie jako o Szkotce. Do niedawna nie wiedziała nawet, że nią jest. A jednak opuszczając ludzi i miejsca, które przez ten krótki czas

poznała, czuła żal tak głęboki jak wówczas, gdy odeszła jej matka czy umarł jej ojciec. Może po prostu zaraziła się smutkiem od innych pasażerów. Wielu stało tak jak ona, przy burcie, niektórzy otwarcie płakali. Zapewne w grę wchodził także strach przed długą podróżą. Wiedziała jednak dobrze, że w jej przypadku przyczyna była inna.

- Wszystko gotowe, jak mi się wydaje - Lizzie pojawiła się mimo wszystko u jej boku, by rzucić ostatecznie spojrzenie na wybrzeże. Na jej drobnej, bladej twarzyczce nie malowały się żadne uczucia, ale Brianna wiedziała, że obojętne spojrzenie nie oznacza ich braku.

- Tak, wyruszyliśmy w drogę. - Kierując się impulsem, Brianna przyciągnęła dziewczynkę przed siebie, by ochronić ją i przed coraz chłodniejszym wiatrem, i przed przepychającymi się pasażerami i marynarzami. Lizzie była co najmniej trzydzieści centymetrów niższa od Brianny i miała drobne kości, delikatne jak u jaskółek latających wokół masztów.

O tej porze roku słońce właściwie nie zachodziło, wisiało tylko nisko nad ciemnymi wzgórzami. Powietrze pochłodziło. Dziewczyna miała na sobie jedynie cienką sukienkę, zadrżała więc i przytuliła się nieświadomie do Brianny, szukając ciepła. Otulona niebieskim, wełnianym arisaid - prezentem od Jenny - Brianna ogarnęła dziewczynę ramionami i szalem, szukając w tym uścisku pocieszenia także dla siebie.

- Wszystko będzie dobrze - powiedziała tyleż do siebie, co do Lizzie.

Jasna główka pochyliła się lekko, ale Brianna nie wiedziała, czy to potaknięcie, czy tylko Lizzie próbuje

pozbyć się włosów, które wiatr nawiał jej na twarz. Z grubego warkocza Brianny też wysunęły się kosmyki i łopotały w słonej bryzie jak echo ogromnych żagli nad ich głowami. Mimo drążącego ją niepokoju Brianna czuła, że wiatr niesie nową energię. Przeżyła już wiele rozstań, przeżyje także i to. To chyba dlatego to odejście było takie trudne, że straciła już ojca, matkę, ukochanego i przyjaciół. Była sama z konieczności, ale także z wyboru. Nie spodziewała się, że w Lallybroch znajdzie i dom, i rodzinę. Dałaby niemal wszystko, by móc zostać odrobinę dłużej.

Musiła jednak dotrzymać obietnicy i wypełnić zadanie - potem powróci do Szkocji... i do Rogera.

Poruszyła ręką, by poczuć cienką, srebrną bransoletkę, która rozgrzała się na jej przegubie pod szalem. Un peu... beaucoup... Drugą ręką trzymała razem końce szala i gdyby nie było tak zimno, być może nie zwróciłaby uwagi na ciepłą kroplę, która nagle spadła na grzbiet jej dłoni.

Lizzie stała sztywno jak kij, obejmując się ramionami. Miała duże, sztywne, odstające jak u myszy uszy i przylegające jej do czaszki cienkie, rzadkie włosy. Brianna uniosła dłoń i otarła łzy dziewczynki. Zacisnąwszy usta, patrzyła na ład nad głową Lizzie suchymi oczami. Jednak chłodna buzia i drżące wargi, które czuła przy dłoni, równie dobrze mogłyby należeć do niej.

Przez chwilę obie stały w milczeniu, aż ład zniknął za horyzontem.

36. Nie ma powrotu do domu

Inverness, lipiec 1769

Roger wędrował powoli przez miasto, rozglądając

się na boki z mieszanką zafascynowania i radości. Inverness zmieniło się nieco w ciągu tych dwustu lat z okładem, a jednak było to wyraźnie to samo miasto. Znacznie mniejsze, niewątpliwie, z błotnistymi, niebrukowanymi ulicami - a jednak przecież znał tę, po której szedł.

Przemierzył ją już setki razy.

Była to ulica Huntly; choć większość budynków i sklepików była mu obca, po drugiej stronie rzeki wznosił się stary - teraz nie tak bardzo - kościół. Jego przysadzista wieża kończyła się tępo jak zawsze. W środku pani Dunvegan, żona pastora, na pewno układa kwiaty w prezbiterium na niedzielą mszę. Nie, nie układa. Pani Dunvegan jeszcze się nie urodziła, jeszcze nie nosi grubych, wełnianych swetrów i nie gotuje okropnego gulaszu, którym prześladuje chorych w parafii męża. Jednak mały, kamienny kościół stoi tam, solidny i znajomy, tyle że prowadzony przez nieznanego człowieka.

Kościół jego ojca nie było, został - zostanie? - zbudowany w 1837 roku. Tak samo plebania, która zawsze wydawała się taka stara i zniszczona, powstała dopiero w początkach dwudziestego wieku.

Minął właśnie przeznaczone jej miejsce, teraz rósł tam jedynie pięciornik i żarnowiec, a także jedna niewielka jarzębina, której liście trzepotały w lekkiej bryzie.

W powietrzu wyczuwało się ten sam wilgotny i świeży chłód.

Zniknął przenikający wszystko smród spalin, zastąpiony przez smród kloaki. Najbardziej jednak uderzał Rogera brak kościołów. Tam, gdzie na obu brzegach rzeki pewnego dnia powstanie szlachetna wielość iglic i wież, nie

było teraz nic, poza stojącymi tu i ówdzie niewielkimi budynkami.

Tylko jeden kamienny most dla pieszych spinał brzegi rzeki Ness, sama rzeka natomiast właściwie nic się nie zmieniła. Woda płynęła nisko, na kamieniach siedziały te same mewy, pokrzykując do siebie i wyłapując drobne rybki tuż pod powierzchnią wody.

- Wszystkiego najlepszego, kolego - powiedział do grubej mewy, siedzącej na moście, i przeszedł na drugą stronę rzeki, do miasta.

Tu i tam pośrodku obszernego terenu wznosiła się ładna rezydencja, wielka dama rozkładająca spódnicę, ignorująca obecność motłochu. W dali widział Mountgerald, duży dom, który wyglądał dokładnie tak samo jak za jego pamięci, tyle tylko, że wielkie czerwone buki, rosnące wokół domu, nie zostały jeszcze zasadzone.

Zamiast tego wzdłuż muru ogrodu ciągnął się rząd słabowitych włoskich cyprysów, których wygląd wskazywał, że tęsknią za swoją słoneczną ojczyzną.

Mimo elegancji Mountgeralda mówiono, że został zbudowany w ten najstarszy ze starych sposobów - na fundamentach wylanych na ciało złożonego w ofierze człowieka. Podobno zwabiono jednego z robotników do piwnicy, tam zaś upuszczono na niego wielki kamień ze szczytu nowo zbudowanej ściany, rozbijając mu czaszkę.

Pochowano go w fundamentach, tam, na miejscu - a przynajmniej tak mówiła miejscowa legenda. Jego krew posłużyła za okup dla głodnych duchów ziemi, które - zadowolone - pozwoliły budynkowi stać przez lata bez większych przygód.

Teraz ten dom ma dwadzieścia czy trzydzieści lat - pomyślał Roger. Na pewno są w mieście ludzie, którzy pracowali przy jego budowie, którzy wiedzą dokładnie, co przydarzyło się w tej piwnicy, komu i dlaczego. Miał jednak do załatwienia pilniejsze sprawy.

Mountgerald i jego duch zachowają swój sekret. Z lekkim żalem minął wielki dom i skręcił w drogę prowadzącą do doków w dole rzeki.

Z uczuciem, które można opisać tylko jako *deja vu*, pchnął drzwi pubu. Wejście w ścianie z pruskiego muru z kamiennymi obramowaniami było takie samo jak to, które widział tydzień wcześniej - i dwieście lat później; znajomy aromat chmielu i drożdży ukoił jego duszę. Nazwa się zmieniła, ale nie zapach piwa.

Łyknął z drewnianego kubka i o mało się nie zakrztusił.

- Wszystko w porządku, człowieku? - Niosący wiadro z piaskiem karczmarz zatrzymał się w pół ruchu i przyjrzał się Rogerowi.

- Wszystko w porządku - zachrypiał Roger, gdy już był w stanie wydać z siebie głos. - Wszystko w porządku.

Karczmarz kiwnął głową i powrócił do rozrzucania piasku. Nie spuszczał jednak z Rogera oka - na wypadek gdyby zachciało mu się zwymiotować na świeżo zamiecioną i wypiaszkowaną podłogę.

Roger zakaszał i odchrząknął, a potem raz jeszcze wziął do ust mały łyk. Piwo było smaczne, nawet bardzo, zaskoczyła go natomiast wysoka zawartość alkoholu. Ten napój zwał z nóg znacznie szybciej niż jakiegokolwiek współczesne piwo. Claire wspominała, że w tamtym okresie

alkoholizm był powszechny, i Roger zrozumiał już, dlaczego.

Niemniej jednak, jeśli pijaństwo to największe z czekających go niebezpieczeństw, da sobie z nim radę.

Siedział spokojnie przy kominku, popijając, rozkoszując się ciemnym, gorzkim smakiem, równocześnie zaś przyglądał się i słuchał.

Był to bar portowy, i to licznie uczęszczany, bo znajdował się blisko doków nad Moray Firth. Zbierali się tu kapitanowie i kupcy, a także marynarze z okrętów cumujących w porcie i robotnicy portowi z pobliskich magazynów. Nad poplamionymi piwem blatami licznych małych stolików prowadzono różnego rodzaju interesy.

Jednym uchem Roger wysłuchiwał warunków kontraktu na przewóz trzystu bali taniego drogiętu z Aberdeen do kolonii, gdzie miał on zostać wymieniony na ładunek ryżu i indygo z Karolin. Sto sztuk bydła z Galloway, sześć cetnarów blachy miedzianej, beczki siarki, melasy i wina. Ilości i ceny, daty dostarczenia i warunki przepływały przez gwar i opary piwa w pubie jak gęste, niebieskie chmury dymu tytoniowego, unoszące się pod sufitem.

Targowano nie tylko towar. W jednym kącie siedział kapitan statku, wyróżniający się krojem długiego, pełnego płaszcza i czarnego, trój graniastego kapelusza, który odłożył na stół.

Obsługiwał go urzędnik, wyposażony w księgę rachunkową i szkatułkę z pieniędzmi. Kapitan przepytywał podchodzących nieustannie ludzi - emigrantów pragnących wyjechać do kolonii z rodzinami.

Roger ukradkiem przyglądał się tym działaniom. Statek płynął do Wirginii. Wysłuchawszy kilku rozmów, zrozumiał, że koszt przejazdu dla jednego mężczyzny - dzentelmena - wynosił dziesięć funtów i osiem szylingów. Dla tych, którzy godzili się podróżować w pomieszczeniu ogólnym, ściśnięci jak beczki czy bydło w niższych ładowniach, koszt przejazdu wynosił cztery funty i dwa szylingi od osoby, z tym że trzeba było mieć własne jedzenie na sześciotygodniową podróż. Świeżą wodę, jak zrozumiał Roger, zapewniał kapitan. Tym, którzy pragnęli wyjechać, ale nie mieli pieniędzy, pozostawały inne sposoby.

- Kontrakt najemny dla ciebie, twojej żony i dwóch starszych synów? - Kapitan przechylił głowę i przyjrzał się stojącej przed nim rodzinie. Drobny, żylasty mężczyzna miał zapewne nieco ponad trzydzieści lat, ale wyglądał na znacznie starszego, bo był zaniedbany i zgarbiony od ciężkiej pracy. Jego żona była może nieco młodsza; stała za mężem, z oczami wbitymi w podłogę, mocno trzymając za ręce dwie dziewczynki. Jedna z dziewczynek trzymała z kolei braciszka, trzy - czy czteroletniego chłopczyka. Starsi chłopcy stali koło ojca, starając się wyglądać dojrzałe. Roger uznał, że - jeśli weźmie się poprawkę na ich niewielki wzrost na skutek niedożywienia - pewnie mają jakieś dziesięć, dwanaście lat.

- Ty i chłopcy tak, w porządku - powiedział kapitan, po czym zmarszczył brwi, patrząc na kobietę, która nie odrywała wzroku od podłogi. - Nikt nie kupi kobiety z taką ilością dzieci. Jedno może zatrzymać, ale będziesz musiał sprzedać dziewczynki.

Mężczyzna obejrzał się na rodzinę. Zona trzymała głowę spuszczoną, nie ruszała się i na nic nie patrzyła. Jedna z dziewczynek wierciła się i szarpała, narzekając, że matka za mocno ścisła jej dłoń.

Ojciec odwrócił się z powrotem do kapitana.

- Dobrze - zgodził się cicho. - Czy mogą... czy da się tak zrobić, żeby zostały razem?

Kapitan otarł dłonią usta i obojętnie kiwnął głową.

- Chyba tak.

Roger nie czekał. Nie chciał być świadkiem ustalania szczegółów transakcji. Wstał i wyszedł z pubu, ciemne piwo straciło smak.

Zatrzymał się na ulicy i wymacał w kieszeni kilka monet. Tylko tyle zdołał zebrać w niedługim czasie, jaki miał do dyspozycji. Wydawało mu się, że będzie to dość. Był silny i wierzył w swoje zdolności. A jednak scena, którą ujrzał w pubie, wstrząsnęła nim do głębi.

Dorastał, chłonąc historię szkockich gór. Wiedział, co zmuszało rodziny do tak desperackich kroków, że godziły się na stałe rozdzielenie i stan poddaństwa jako cenę za przeżycie. Wiedział wszystko o sprzedaży ziemi, która zmusiła drobnych dzierżawców do opuszczenia gospodarstw i pól uprawianych przez ich rodziny od setek lat. Wiedział wszystko o strasznych warunkach, głodzie i nędzy w miastach. O trudnym do zniesienia życiu w Szkocji w tamtych czasach. A jednak lata zdobywania tej wiedzy nie przygotowały go na wyraz twarzy kobiety, która nie odrywała wzroku od świeżo wypiąskowanej podłogi i mocno trzymała dłonie córek.

Dziesięć funtów i osiem szylingów albo cztery funty

i dwa szylingi plus koszt jedzenia. On zaś miał dokładnie czternaście szylingów i trzy pensy, a do tego garść miedziaków i dwie ćwierć pensówki. Poszedł powoli ścieżką prowadzącą wzdłuż wybrzeża, przyglądając się statkom cumującym przy drewnianych dokach. W większości były to rybackie kecze, niewielkie galery i brygi, prowadzące handel wzdłuż Firth albo, w najlepszym razie, płynące przez kanał do Francji z ładunkiem i pasażerami. Tylko trzy większe statki zarzuciły tu kotwicę - być może są dość duże, żeby zdecydować się na przepłynięcie Atlantyku.

Oczywiście mógł popłynąć do Francji i tam się zaokrętować albo pojechać łodem do Edynburga, który był znacznie większym portem niż Inverness. Wtedy jednak pora roku stanie się już za późna na żeglugę. Brianna i tak wyprzedziła go o sześć tygodni. Nie wolno mu tracić czasu, musi ją odnaleźć. Bóg jeden wie, co może się tu przytrafić samotnej kobiecie.

Cztery funty, dwa szylingi. Cóż, oczywiście może pracować. Nie mając żony ani dzieci na utrzymaniu, zdoła zaoszczędzić większość zarobków. Biorąc jednak pod uwagę, że przeciętny urzędnik zarabiał coś w rodzaju dwunastu funtów rocznie i że łatwiej byłoby mu znaleźć pracę przy czyszczeniu stajni niż przy prowadzeniu rachunków, nie miał wiele szans na zaoszczędzenie pieniędzy na przejazd w rozsądnym czasie.

- Wszystko po kolei - mruknął. - Upewnij się, dokąd popłynęła, zanim postarasz się samemu tam dotrzeć.

Wyjął rękę z kieszeni i zwrócił się w prawo, w wąski zaułek między dwoma magazynami. Energia, która rozpieła go rano, niemal zniknęła, teraz jednak humor mu

się lekko poprawił, gdy zobaczył, że odgadł właściwie: biuro kapitanatu portu było tam, gdzie - jak zgadywał - musiało być: w tym samym przysadzistym, kamiennym budynku, gdzie wciąż się miało znajdować dwieście lat później. Roger uśmiechnął się pod nosem; Szkoci nie lubili zmian dla samych zmian.

Wewnątrz kłębił się tłum. Czterech zmęczonych urzędników kręciło się za zniszczonym, drewnianym kontuarem. Coś pisali i przybijali pieczęcie, przynosili ryzy papieru, pobierali pieniądze i znikali z nimi w wewnętrznym biurze, stamtąd zaś wynurzali się, niosąc poświadczenia na cynowych tacach.

Do kontuaru pchał się tłum niecierpliwych mężczyzn. Każdy z nich starał się głosem i posturą dać do zrozumienia, że jego sprawa jest pilniejsza niż innych czekających w kolejce. Gdy Rogerowi udało się w końcu ściągnąć uwagę jednego z urzędników, okazało się, że nie ma problemu z przejściem rejestru statków, które wypłynęły z Inverness w ciągu ostatnich kilku miesięcy.

- Zaraz, poczekaj - zwrócił się do młodego człowieka, który przesuwał ku niemu wielką, oprawną w skórę księgę.

- Tak? - Urzędnik był zarumieniony z pośpiechu, miał smugę atramentu na nosie, jednak zatrzymał się uprzejmie w pół ruchu.

- Ile tu zarabiasz? - spytał Roger.

Jasne brwi urzędnika powędrowały w górę, ale zbyt się spieszył, by się obruszyć czy obrazić.

- Sześć szylingów na tydzień - odrzekł zwięźle i natychmiast zniknął, przynaglony zirytowanym okrzykiem

„Munro!", który dobiegł z biura leżącego za kontuarem.

Roger ponownie przepchnął się przez tłum, niosąc rejestr statków na mały stolik przy oknie, z dala od głównego strumienia przechodniów. Poznawszy warunki, w jakich pracowali urzędnicy, Roger był pod wrażeniem czytelności pisanych ręcznie rejestrów.

Przygotował się na archaiczną ortografię i ekscentryczną interpunkcję, choć te dokumenty, z którymi miewał do czynienia, były zawsze poźółkłe, kruche i groziły, że się rozpadną. Tkwiącego w nim historyka nie mógł nie poruszyć widok świeżej, białej kartki, a tuż dalej urzędnika, który siedział przy wysokim stole, kopiując tak szybko, jak tylko był w stanie.

„Wykręcasz się - przemówił zimny głosik w środku mózgu. - Jest tu albo jej nie ma, a obawa przed zajrzeniem nie zmieni niczego. Do dzieła".

Roger odetchnął głęboko i otworzył duży rejestr. Na szczycie każdej strony starannie wypisano nazwy statków, a dalej nazwiska ich właścicieli i matów, główny ładunek oraz daty wypłynięcia.

„Arianna", „Polifem", „Wesoła Wdówka", „Tiburon"... Mimo niechęci podziwiał nazwy statków, przeglądając rejestr strona po stronie.

Pół godziny później przestał rozwódzić się nad poetyką i malowniczością, i ledwo zauważał nazwę statku, przesuując palec strona po stronie, coraz bardziej zdenerwowany. Nie tutaj, nie było jej tu... Ale musi być! - klócił się sam z sobą. Musiała wsiąść na statek, by dopłynąć do kolonii! Gdzież jeszcze mogłaby być? Chyba że nie znalazła jednak kartki... Poczucie dyskomfortu pod żebrami

zapewniło go, że znalazła. Nic innego nie skłoniłoby jej do ryzyka przejścia przez kamienie.

Odetchnął głęboko i zamknął oczy, które zaczynały boleć na skutek czytania ręcznego pisma. Zamrugał, wrócił do pierwszego rejestru i zaczął czytać ponownie, uparcie mrużąc każde nazwisko, by na pewno żadnego nie pominąć.

Pan Phineas Forbes, dżentelmen.

Pani Wilhelmina Forbes.

Joshua Forbes.

Pani Josephine Forbes.

Pani Eglantine Forbes.

Pani Charlotte Forbes...

Uśmiechnął się na myśl o panu Phineasie Forbesie otoczonym kobietami. Wiedząc nawet, że „pani” używano i dla kobiet zamężnych, i niezamężnych, wyobraził sobie Phineasa maszerującego zdecydowanie przed szeregiem czterech żon. Pan Joshua niewątpliwie zamykał ten pochód.

Pan William Talbot, kupiec. Pan Peter Talbot, kupiec. Pan Jonathan Bicknell, lekarz. Pan Robert MacLeod, farmer. Pan Gordon MacLeod, farmer. Pan Martin MacLeod...

Także tu nie było żadnych Randallów, ani na „Persefonie”, ani na „Zemście Królowej”, ani na „Phoebe”. Potarł bolące oczy i zaczął przeglądać rejestr „Phillipa Alonzo”. Nazwa była hiszpańska, ale port macierzysty - szkocki. Statek wypłynął z Inverness pod dowództwem kapitana Patricka O'Briana.

Nie poddawał się jeszcze, ale zaczął już myśleć, co zrobi, jeśli nie znajdzie jej w rejestrach. Oczywiście

powinien pojechać do Lallybroch; był tam już raz, oglądał opuszczoną i zrujnowaną posiadłość. Czy zdołałby ją znaleźć teraz, bez pomocy dróg i drogowskazów?

Bieg jego myśli zatrzymał się jednak, gdy palec wodzący po spisie nazwisk dotarł niemal na sam dół strony. Nie Brianna Randall, nie nazwisko, którego szukał, ale nazwisko, które było mu znajome.

Fraser, pan Brian Fraser. Nie, nie Brian i nie pan. Pochylił się niżej, wpatrując w ściśnięte czarne litery.

Zamknął oczy, czując, jak serce wali mu w piersiach, a poczucie ulgi uderza do głowy niemal tak jak ciemne piwo w pubie. Pani, nie pan, a to, co w pierwszej chwili wydało mu się eleganckim ogonkiem litery „n” w imieniu Brian, z bliska okazało się dość niestarannie napisanym „a”.

Tak, to ona, to musiała być ona. Nosila niezwykle imię. W całym rejestrze nie widział żadnych innych Briann, nazwisko Fraser zaś w pewnym sensie było zrozumiałe. Przecież wyruszyła, by znaleźć ojca, przyjęła więc jego nazwisko. To, do którego miała prawo z racji urodzenia.

Zamknął rejestr, jak gdyby chciał zapobiec jej ucieczce z tych stron, i przez chwilę siedział, głęboko oddychając. Zobaczył, że jasnowłosy urzędnik zerka na niego ciekawie nad kontuarem, otworzył więc rejestr ponownie.

„Philip Alonzo”, wypłynął z Inuerness 4 lipca roku Pańskiego 1769 do Charlestonu w Karolinie Południowej.

Zmarszczył brwi, nagle niepewny. Do Karoliny Południowej?

Czy rzeczywiście tam chciała dotrzeć, czy też żaden

statek nie płynął bliżej jej miejsca przeznaczenia? Szybkie przejrzanie rejestru wskazało, że w lipcu nie było statków do Karoliny Północnej. Być może wsiadła na pierwszy, zmierzający do południowych kolonii, planując kontynuować podróż łodem?

A może się myli? Przebiegł go dreszcz, który nie miał nic wspólnego z wiatrem od rzeki, przeciskającym się przez nieszczelne okno. Jeszcze raz spojrzął na stronę i upewnił się. Nie, nie podano żadnego zawodu, a podawano go przy wszystkich mężczyznach.

Niewątpliwie była to pani, a zatem Briana, a jeśli Briana - to Brianna.

Po prostu to wiedział. Wstał i oddał księgę jasnowłosemu urzędnikowi.

- Dzięki - powiedział własnym, miękkim akcentem. - Powiedz proszę, czy jest w porcie jakiś statek odpływający do kolonii amerykańskich?

- Och, tak. - Urzędnik zrećźnie odkładał jedną ręką rejestr, a drugą przyjmował list przewozowy od klienta. - Jest „Gloriana”, wypływa pojutrze do Karolin. - Zmierzył wzrokiem Rogera. - Emigrant czy marynarz?

- Marynarz - odpowiedział Roger natychmiast. Ignorując uniesione brwi swego rozmówcy, machnął ręką w stronę portu, widocznego przez witrażowe okno. - Gdzie mam iść, żeby się zaciągnąć?

Urzędnik wskazał głową drzwi.

- Jej kapitan, gdy jest w porcie, przesiaduje „U Braci”. Zapewne jest tam teraz, nazywa się Bonnet. - Nie powiedział głośno tego, co jednak wyraźnie mówił jego sceptyczny wyraz twarzy: jeśli Roger jest marynarzem, to

on, urzędnik, jest afrykańską papugą.

- Dobrze, mo ghille, dzięki - Roger uniósł rękę w geście pożegnania i odwrócił się w stronę drzwi. Urzędnik wciąż za nim patrzył, ignorując innych, niecierpliwych klientów.

- Życz mi szczęścia! - zawołał Roger z uśmiechem.

W uśmiechu urzędnika było coś na kształt podziwu i trochę smutku.

- Życzę szczęścia, człowieku! - zawołał i pomachał na pożegnanie. Zanim drzwi się zamknęły, pogrążył się już w rozmowie z kolejnym klientem, trzymając w ręku przygotowane pióro.

Znalazł kapitana Bonnetta w pubie, tak jak mu powiedziano.

Kapitan siedział w rogu pod gęstą, niebieską chmurą dymu i palił cygaro.

- Jak się nazywasz?

- MacKenzie - powiedział Roger, kierując się nagłym impulsem.

Jeśli mogła to zrobić Brianna, on też może.

- MacKenzie. Jakieś doświadczenie, panie MacKenzie?

Na twarz kapitana padło światło słoneczne, więc zmrużył oczy i wycofał się w cień. Zmarszczki wokół jego oczu wygładziły się.

Roger stwierdził, że jest przedmiotem dość nieprzyjemnego oglądu.

- Swego czasu łowiłem śledzie w Minch.

Nie było to kłamstwo. Rzeczywiście, jako nastolatek spędził kilka letnich wakacji na łodzi łowiącej śledzie. Jej

kapitan był znajomym wielebnego. Po tym doświadczeniu zostały mu przydatne mięśnie, upodobanie do śpiewnej wymowy z wysp i zdecydowana niechęć do śledzi. W każdym razie wiedział, co zrobić z liną trzymaną w rękach.

- No, jesteś dość wysoki, ale rybak to nie to samo co marynarz. - Miękka, irlandzka wymowa nie wskazywała, czy jest to pytanie, stwierdzenie czy prowokacja.

- Wydaje mi się, że to zajęcie nie wymaga szczególnych umiejętności. - Z jakiegoś nieuchwytnego powodu kapitan Bonnet wywoływał u Rogera gęsią skórę.

Zielone oczy spojrzały ostro.

- Chyba więcej, niż myślisz, ale niewątpliwie nie jest to nic, czego człowiek nie może się nauczyć. Dlaczego jednak mężczyzna twojego pokroju chce nagle wyruszyć na morze?

W mroku tawerny mignęły iskierki w oczach Bonneta; ocenił go.

„Twojego pokroju”, o co mu chodzi? - zastanawiał się Roger. Na pewno nie o wymowę. Bardzo starannie usunął z niej wszelkie ślady uczonego z Oksfordu i przyjął śpiewny akcent z wysp. Czy okazał się zbyt dobrze ubrany jak na marynarza, a może chodziło o osmalony kołnierz i ślady spalenizny na płaszczu?

- To nie pańska sprawa, moim zdaniem - odpowiedział spokojnie. Z pewnym wysiłkiem trzymał ręce luźno opuszczone u boków.

Bladozielone oczy przyglądały mu się obojętnie, nie mrugając.

Jak gepard śledzący przebiegającą antylopę - pomyślał Roger - i zastanawiający się, czy warto wziąć

udział w polowaniu.

Ciężkie powieki zakryły oczy. Nie warto - na razie.

- O zmierzchu staw się na pokładzie - powiedział Bonnet. - Pięć szylingów za miesiąc, mięso trzy dni w tygodniu, pudding śliwkowy w niedzielę. Dostaniesz hamak, ale ubranie musisz mieć własne.

Wolno ci będzie zejść ze statku po rozładunku towaru, nie wcześniej.

Wszystko jasne?

- Wszystko jasne - potwierdził Roger, nagle czując, że wyschły mu wargi. Dużo dałby za szklankę piwa, ale nie teraz, nie tutaj, nie pod tym bladezielonym spojrzeniem.

- Gdy wejdiesz na pokład, spytaj o pana Dixona, jest płatnikiem.

- Bon net odchylił się do tyłu, wyjął z kieszeni niewielką, oprawną w skórę książeczkę i otworzył. Audiencja skończona.

Roger odwrócił się i wyszedł, nie oglądając się za siebie. U nasady czaszki czuł małe, zimne miejsce. Wiedział, że gdyby się obejrzał, zobaczyłby nad brzegiem książki ten świetlistozielony wzrok, doszukujący się słabości.

To zimne miejsce - pomyślał - jest tam, gdzie schodzą się zaciskające się zęby.

37. „Gloriana”

Przed zaokrętowaniem na „Glorianę” Roger uważał, że jest w całkiem dobrej formie fizycznej. W porównaniu z większością niedożywionych, pokręconych przykładów rodzaju ludzkiego, którzy składali się na resztę załogi, wygładał na dobrze przygotowanego.

Wystarczyło jednak czternaście godzin - długość dniówki - by wybić mu z głowy takie przekonanie.

Wiedział oczywiście, że zrobią mu się pęcherze, że będą go bolały mięśnie. Podnoszenie skrzyń i drzewców czy ciągnięcie lin nie było niczym nowym, choć rzeczywiście nie robił tego już od dłuższego czasu.

Nie pamiętał natomiast o głębokim zmęczeniu, wynikającym zarówno z nieustannego zimna na skutek przemoczonego ubrania, jak z wysiłku. Z przyjemnością witał ciężką pracę w ładowni, ponieważ chwilowo go rozgrzewała, wiedział jednak, że gdy tylko wyjdzie na pokład, poczucie ciepła zmieni się w nieustanne dreszcze, wiatr sięgnie bowiem lodowatymi palcami przez przemoczone ubranie.

Szorstkie i podrapane mokrą konopną liną ręce bolały, ale tego należało oczekiwać. Pod koniec pierwszego dnia dłonie miał czarne od smoły, a skórę na palcach popękaną i krwawiącą. Zaskoczeniem natomiast był skręcający kiszki głód; nie sądził, że można być aż tak głodnym.

Pracujący obok niego człowiek - na imię miał Duff - też był przemoczony, ale najwyraźniej ten stan mu nie przeszkadzał. Z wystającego nad kołnierzem starej kurtki długiego, ostrego, siniego na końcu nosa wciąż kapowało, jednak jasne oczy nie traciły ostrego spojrzenia, a usta szeroko się uśmiechały, ukazując zęby koloru wody w zatoce.

- Nie załamuj się, człowieku, żarcie za dwie szklanki. - Duff przyjacielsko szturchnął go łokciem pod żebra i zręcznie zbiegł po zejściówce. Spod pokładu

dochodziły bluźniercze okrzyki i głośne uderzenia.

Roger powrócił do rozładunku, podniesiony na duchu perspektywą kolacji.

Ładownia na rufie była już w połowie napełniona. Beczki z wodą załadowano, ustawiając jedną na drugiej w półmroku; każda trzystuosiemdziesięciolitrowa beczka ważyła ponad trzysta pięćdziesiąt kilogramów. Natomiast ładownia dziobowa wciąż pozostawała pusta. Nieustanna procesja tragarzy i dokerów ciągnęła się wzdłuż nabrzeża jak sznur mrówek, składając tam tyle skrzyń i beczek, zwojów i zawiniątek, że trudno było sobie wyobrazić, iż da się to wszystko zmieścić na statku.

Załadunek trwał dwa dni: beczułki soli, role materiału, wielkie skrzynie z przedmiotami żelaznymi, które trzeba było opuszczać na linach ze względu na ich ciężar... W tym wypadku wzrost Rogera okazał się pomocny. Trzymał koniec liny owinięty wokół kabestanu i równoważył ciężar zawieszony na drugim końcu skrzyni. Napinając mięśnie do granic wytrzymałości, popuszczał powoli linę, a dwóch mężczyzn w coraz bardziej zatłoczonej ładowni mogło złapać skrzynię i wprowadzić ją na miejsce.

Pasażerowie weszli na pokład późnym popołudniem: emigranci obciążeni torbami, zawiniątkami, kurczętami w klatkach i dziećmi.

Stanowili ładunek tej części ładowni, która została oddzielona przegrodą, i przynosili taki sam zysk jak towary w tylnej ładowni.

- Niewolni i najemnicy na kontraktach - powiedział mu Duff, mierząc przybyszów doświadczonego okiem. - Warci są piętnaście funtów każdy na plantacjach, a dzieci

trzy lub cztery. Niemowlęta przy piersi podróżują za darmo, z matkami. - Marynarz zakaszał i splunął flegmą tuż obok burty, pokręcił głową, przyglądając się posuwającej się kolejce. - Niektórzy są w stanie zapłacić, ale niewielu.

Musieli podjąć jakąś pracę, by zdobyć trochę pieniędzy na jedzenie dla rodziny podczas podróży.

- Więc kapitan ich nie karmi?

- Och, tak - Duff znów odcharknął i splunął. - Ale nie za darmo - zaśmiał się, wytarł usta i wskazał głową trap.

- Idź im pomóż, chłopaku. Nie chcielibyśmy, by zyski kapitana wpadły do wody, prawda?

Rogera zaskoczyła miękkość dziewczynki, którą przeniósł z trapu na pokład. Przyjrzał się dokładniej i stwierdził, że wiele kobiet wygląda na tęgie tylko dlatego, że mają na sobie kilka warstw ubrania - najwyraźniej wszystko, co posiadały. Do tego zawiniątka z osobistymi rzeczami, skrzynki z jedzeniem odłożonym na podróż i chude dzieci, dla których zdecydowały się na ten desperacki krok.

Roger przykucnął i uśmiechnął się do przestraszonego dzieciaka, trzymającego się matczynych spódnic. Dziecko miało może dwa lata; wciąż nosiło sukienkę, głowę pokrywała masa blond loków, a małe usteczka zacięły się w wyrazie lęku i niechęci do wszystkiego, co je otaczało.

- No, chodź - powiedział delikatnie Roger, wyciągając zapraszająco dłoń. Nie musiał już specjalnie kontrolować swego akcentu - nabyty akcent oksfordzki ustąpił łagodniejszej wymowie, z którą dorastał, a do której teraz powrócił bez świadomej myśli. - Twoja mama nie

może cię teraz trzymać, chodź ze mną.

Chłopczyk, wyraźnie nieufny, szurał nogami i patrzył na niego niechętnie, ale pozwolił oderwać się od spódnicy matki. Roger przeniósł go przez pokład, a kobieta podążała za nimi w milczeniu.

Gdy pomagał jej zejść po drabinie, uniosła wzrok i spojrzała na niego; po chwili jej twarz zniknęła w ciemności, jak biały kamień rzucony w studnię. Odwrócił się z pewnym niepokojem, jak gdyby zostawił kogoś, by utonął.

Wrócił do pracy. Wpadła mu w oko idąca po nabrzeżu młoda kobieta. Należała do tych dziewcząt, które - choć nie piękne, ale pełne życia i ładnie zbudowane - przyciągają wzrok. Być może chodziło tylko o jej figurę - szła wyprostowana jak łodyga kwiatu wśród przygiętych, przygarbionych ludzi. Na jej twarzy malował się lęk i niepewność, ale także ciekawość. Ta jest śmiała - pomyślał i poczuł przypływ otuchy, zgaszonej uprzednio przez liczne, przygnębione twarze emigrantów.

Dziewczynie towarzyszył młody, jasnowłosy mężczyzna, niosący w ramionach niemowlę. Na widok statku i otaczającego go tłumu zawahała się, on jednak dotknął uspokajająco jej ramienia. Uniosła na niego wzrok i odpowiedziała uśmiechem, który rozjaśnił jej twarz. Na ten widok Roger poczuł coś, co można by określić zawiścią.

- Ty, MacKenzie! - krzyk bosmana wyrwał go z rozważań.

Bosman pchnął go ku rufie. - Tam czeka ładunek i nie wejdzie na pokład sam.

Przez kilka tygodni podróż przebiegała bez przygód.

Sztormowa pogoda, towarzysząca im przy opuszczaniu Szkocji, szybko zmieniła się w dobre wiatry i spokojne morze. Choć większość pasażerów cierpiała na chorobę morską, także i ta dolegliwość z czasem minęła.

Smród wymiotów z ładowni osłabł, został jedynie drobną nutą w symfonii odorów na pokładzie „Gloriany”.

Roger od urodzenia miał czuły węch. W ciasnocie cecha ta okazała się obciążeniem. Jednak nawet najdelikatniejszy nos z czasem się przyzwyczaja, więc po dniu czy dwóch przestał zwracać uwagę na zapachy, chyba że pojawiał się jakiś nowy. Na szczęście on sam nie chorował, choć doświadczenia z rybakami nauczyły go znaczenia pogody. Wiedział, że życie może zależeć od tego, czy danego dnia świeci słońce.

Jego nowi towarzysze z załogi nie byli nastawieni przyjaźnie, ale też nie odnosili się do niego wrogo. Nie wiedział, czy chodziło o jego akcent z wysp - większość załogi „Gloriany” stanowili Anglicy z Dingwall lub Peterhead - czy też dziwne rzeczy, jakie zdarzało mu się mówić, czy po prostu jego wzrost. W każdym razie traktowali go z pewnym ostrożnym dystansem. Nie otwartym antagonizmem - na to był za wielki - ale z dystansem.

Roger nie przejmował się tym chłodem, cieszył się raczej, że zostawiono go własnym myślom. Gdy ciało zajmowało się codzienną rutyną obowiązków na pokładzie, jego umysł bujał w przestworzach.

Miał wiele rzeczy do przemyślenia.

Przed zaciągnięciem się na „Glorianę” nie zasięgnął opinii o kapitanie ani o samym statku. Zgodziłby się

wypląć nawet z samym kapitanem Ahabem (Kapitan Ahab - bohater powieści Hermana Melville'a Moby Dick (przyp. tłum.)), gdyby tylko ten zmierzał do Karoliny Północnej. Z rozmów marynarzy wysnuł jednak wniosek, że Stevena Bonneta uznawano za dobrego kapitana. Był twardy, ale sprawiedliwy, a jego podróże zawsze przynosiły zysk. Dla marynarzy, których wielu pracowało za udział w zyskach, a nie tygodniowe wynagrodzenie, było to niewątpliwie najważniejsze i równoważyło wszelkie inne niedoskonałości charakteru czy postępowania.

Roger nie zauważył jawnych dowodów takich niedoskonałości, zwrócił jednak uwagę, że Bonnet zawsze był sam - jakby otaczał go niewidzialny krąg i niewiele osób odważało się ten krąg przekroczyć.

Bezpośrednio do kapitana odzywali się jedynie pierwszy oficer i bosman; członkowie załogi schylali głowy, gdy przechodził. Roger pamiętał zimne, zielone jak u lamparta oczy, które mierzyły go w pubie. Nic dziwnego, że nikt nie pragnął przyciągnąć uwagi kapitana.

Rogera bardziej interesowali pasażerowie niż załoga czy kapitan.

Zazwyczaj nie widywało się ich na pokładzie, jedynie dwa razy dziennie wolno im było wyjść i odetchnąć świeżym powietrzem, wylać przez burtę nocniki - toaleta na statku była zdecydowanie niewystarczająca dla tak wielu - i zabrać na dół niewielką ilość wody, przydzieloną każdej rodzinie. Roger z góry cieszył się na te krótkie spotkania i gdy pasażerowie pojawiali się na krótki spacer, starał się w miarę możliwości znaleźć sobie jakieś zajęcie na końcu pokładu.

Jego zainteresowanie wyrastało z pobudek i zawodowych, i osobistych. Obecność tych ludzi budziła jego instynkt historyka, natomiast znajome dźwięki ich mowy łagodziły jego samotność. Oto załazek nowego kraju i spuścizna starego. To, co ci biedni emigranci wiedzieli i co cenili, przetrwa i zostanie przekazane następnym pokoleniom.

Roger myślał, że gdyby ktoś wybierał najważniejsze elementy szkockiej kultury, zapewne nie przyszłyby mu do głowy takie rzeczy jak przepis na usuwanie brodawek, podsluchany, gdy starsza kobieta rugała znoszącą to ze stoickim spokojem synową („mówiłam ci przecież, Katie Mac, a dlaczego postanowiłaś zostawić moją dobrą, suchą ropuchę, a zmieściłaś te wszystkie śmieci, na których siedzimy, to ja tego nie rozumiem..“). Ale to też miało przetrwać, razem z ludowymi piosenkami, modlitwami, tkaną wełną i celtyckimi motywami.

Spojrzał na własną dłoń. Żywo pamiętał, jak pani Graham pocierała dużą kurzajkę na jego środkowym palcu czymś, co nazywała suszoną ropuchą. Zaśmiał się i przesunął kciukiem po dawno zapomnianym miejscu - najwyraźniej zadziałało, bo nigdy nie pojawiła się inna.

- Panie... - usłyszał cichy głosik. - Panie, czy możemy pójść i dotknąć żelaza?

Opuścił wzrok i uśmiechnął się do dziewczynki trzymającej za ręce dwóch małych braciszków.

- Tak, a leannan - powiedział - idź, ale pilnuj swoich mężczyzn.

Pokiwała głową i cała trójka ruszyła przed siebie, rozglądając się niespokojnie, by nikomu nie przeszkadzać.

W końcu znalazła się przed masztem i dotknęła na szczęście przyczepionej tam podkowy.

Podkowa oznaczała ochronę i zdrowie, matki często wysyłały czujące się kiepsko dzieci, by jej dotknęły.

Lepszy efekt przyniosłoby żelazo przyjmowane wewnątrznie, myślał Roger, widząc wysypkę na bladych twarzyczkach i słysząc narzekania na swędzące wrzody, ruszające się zęby i gorączkę. Zabrał się znów do roboty, odmierzając chochlą wodę do wiader i naczyń, które podtykali mu emigranci. Żywili się głównie owsianką, od czasu do czasu gotowali suszony groch i żuli twarde suchary. Z tego składało się ich zaopatrzenie na drogę. Mimo to nie słyszał narzekań; woda była czysta, suchary niespleśniałe, a choć przydział zboża nie był specjalnie hojny, nie był też skąpy. Załoga dostawała lepsze jedzenie, ale głównie mięso i węglowodany, od czasu do czasu jakąś cebulę. Przesunął językiem po zębach, sprawdzając ich stan; robił to co kilka dni. Niemal stale miał w ustach lekki smak żelaza, a dziąsła zaczynały krwawić z braku świeżych warzyw. Zęby jednak trzymały się mocno. Nie puchły mu też stawy, a paznokcie nie podbiegały krwią, jak u kilku innych członków załogi. Sprawdził to wszystko podczas tygodni czekania. Zwykły dorosły osobnik płci męskiej, w dobrym zdrowiu, powinien wytrzymać od trzech do sześciu miesięcy, zanim pojawią się pierwsze objawy. Jeśli utrzyma się dobra pogoda, wystarczą im dwa.

- Jutro będzie dobra pogoda, prawda? - Wydawało się, że ktoś odczytał jego myśli. Uniósł wzrok i zobaczył brązowowłosa dziewczynę, którą podziwiał na nadbrzeżu w Inverness. Mówiono do niej Morag.

- Mam nadzieję - powiedział, biorąc od niej wiadro i uśmiechając się w odpowiedzi. - Skąd pani to wie?

Kiwnęła głową, wskazując coś za jego ramieniem.

- Tam jest księżyc w nowiu w ramionach starego. Skoro oznacza to dobrą pogodę na lądzie, to na morzu powinno być tak samo, prawda?

Obejrzał się, by spojrzeć na blade sierp srebrnego księżyca, w którego ramionach widniała lśniąca kula. Księżyc stał wysoko, na nieskończonym, wieczornym niebie o barwie bladego fioletu, a jego odbicie unosiło się na falach w kolorze indygo.

- Nie marnuj czasu na pogawędki, dziewczyno, poproś go! - Odwrócił się, słysząc te słowa wyszczone nad ramieniem Morag przez kobietę w średnim wieku. Morag rzuciła jej niechętnie spojrzenie.

- Bądźcie cicho - powiedziała gniewnie. - Nie zrobię tego, powiedziałam już, że tego nie zrobię!

- Uparta z ciebie dziewczyna, Morag - stwierdziła starsza kobieta, dając krok naprzód - i skoro nie chcesz sama poprosić, zrobię to za ciebie.

Położyła szeroką dłoń na ramieniu Rogera i uśmiechnęła się do niego czarująco.

- A jak to się nazywasz, chłopaku?

- MacKenzie - odparł Roger z szacunkiem, powstrzymując uśmiech.

- Ach, MacKenzie. Popatrz, Morag, być może jest jakimś krewnym twojego męża i będzie szczęśliwy, że zdoła ci usłużyć. - Kobieta obróciła się tryumfująco do dziewczyny, a potem z powrotem do Rogera. - Karmi niemowlę i umiera z pragnienia. Gdy kobieta karmi, musi

dużo pić, inaczej jej mleko wysycha. Wszyscy to wiedzą, ale ta głupia dziewczyna nie potrafi zmusić się, by poprosić o trochę więcej wody. Przecież nikt jej tego nie pożałuje, prawda? - spytała retorycznie, rzucając surowe spojrzenie innym stojącym w kolejce kobietom. Nic dziwnego, że wszystkie głowy pokręciły się z lewa w prawo i z powrotem, jak nakręcane zabawki.

Ściemniało się już, lecz Morag wyraźnie się zaróżowiła.

Zacisnęła wargi i przyjęła pełne wiadro wody, dziękując krótkim skinieniem.

- Dziękuję, panie MacKenzie - mruknęła, nie podnosząc wzroku, póki nie doszła do zejściówki. Tam zatrzymała się i obejrzała się na niego z uśmiechem tak pełnym wdzięczności, że zrobiło mu się ciepło, mimo że zimny wieczorny wiatr przewiewał koszulę i kurtkę.

Z przykrością zobaczył, jak ostatni emigranci biorą od niego wodę i schodzą na dół, za nimi zaś zapada kłapa, zamykająca na noc zejście. Wiedział, że dla zabicia czasu opowiadali sobie historie i śpiewali. Wiele by dał, żeby to usłyszeć - nie tylko z ciekawości, ale i z tęsknoty. Nie czuł litości dla ich biedy ani nie martwił się o ich niepewne jutro - zazdrościł im tego, że są razem.

W sumie jednak kapitan, załoga, pasażerowie i - najważniejsza ze wszystkiego - pogoda zajmowali jedynie niewielką część myśli Rogera. Przede wszystkim w dzień, w nocy, mokry czy suchy, głodny czy najedzony myślał o Briannie.

Na sygnał kolacji zszedł na dół i zjadł, co mu dano, nie zwracając właściwie uwagi na zawartość miski. Miał

drugą wachtę, po jedzeniu poszedł więc do hamaka, decydując się na samotność i wypoczynek, a nie na towarzystwo na dziobie.

Samotność była oczywiście iluzją. Kołysząc się lekko w hamaku, czuł każdy ruch leżącego obok mężczyzny, a spocone, gorące, śpiące ciało przywierało do jego własnego przez grubą, bawełnianą siatkę.

Każdemu należało się niecałe pół metra szerokości do spania i Roger był świadom, że gdy leży na plecach, jego ramiona wykraczają poza ten przydział o dobre parę centymetrów z każdej strony. Po dwóch nocach snu przerywanego obijaniem się i mrużanymi obelgami członków załogi zamienił się miejscami i wylądował przy burcie, gdzie tylko z jednej strony miał towarzystwo. Nauczył się leżeć na boku, z twarzą tuż przy drewnianym przepierzeniu, zwrócony plecami do towarzyszy, i skupiać się na dźwiękach statku, a nie odgłosach wydawanych przez otaczających go mężczyzn.

Statek to bardzo muzyczna rzecz - liny i reje śpiewały na wietrze, drewno trzaskało przy każdym wzniesieniu i opadnięciu statku na fali; słyszał słabe uderzenia i pomruki po drugiej stronie grodzi, w ciemnych zakamarkach zajmowanej przez pasażerów ładowni.

Wpatrywał się w ciemne drewno, oświetlone kiwającą się, zawieszoną u sufitu latarnią i zaczynał ją odtwarzać - rysy twarzy, włosy, ciało ożywały w ciemnościach, były aż nazbyt żywe.

Bez problemu przychodziło mu wyobrazić sobie jej twarz, więcej trudności miał z tym, co kryła.

Odoczynek też był tylko iluzją. Przechodząc przez

kamienie, zabrała z sobą spokój jego duszy. Żywił się mieszanką gniewu i strachu, przyprawioną bólem zdrady, wcieranym jak pieprz w ranę. Te same pytania krążyły mu po mózgu bez odpowiedzi: dlaczego odeszła? Co teraz robi? Dlaczego mu nie powiedziała?

Trudność znalezienia odpowiedzi na pierwsze z tych pytań męczyła go, więc nieustannie je rozważał, jak gdyby odpowiedź mogła dać mu klucz do całej tajemnicy Brianny. Tak, był samotny, doskonale wiedział, jak to jest nie mieć nikogo na świecie. Nikogo, kto przynależy albo do kogo się przynależy. I dlatego przecież właśnie tak dobrze się zgadzali, on i Brianna. Claire także to wiedziała - pomyślał nagle. Była sierotą, potem straciła wujka, oczywiście wtedy wyszła już za męża, w czasie wojny jednak nie przebywała z mężem... Tak, dużo wiedziała o tym, co to jest samotność, i dlatego właśnie postarała się nie zostawiać Bree samej, najpierw upewniła się, że jej córka jest kochana. Cóż, starał się kochać ją we właściwy sposób, cały czas się starał - myślał ponuro, wierząc się w hamaku. W czasie dnia praca tłumiała rosnące potrzeby jego ciała, w nocy jednak Brianna w jego pamięci była aż nazbyt żywa.

Nie zawahał się, od pierwszej chwili wiedział, że musi za nią podążyć. Czasami jednak nie był pewien, czy przybywa, by ją uratować - czy zniewolić. Wszystko jedno - chodziło tylko o to, by sprawa między nimi została raz na zawsze rozwiązana. Powiedział, że zaczeka, ale czekał już zbyt długo. Najgorsza w tym jest nie samotność - myślał, przewracając się z boku na bok - ale wątpliwość.

Wątpliwość co do jej i jego własnych uczuć, panika, że tak naprawdę jej nie zna. Po raz pierwszy od przejścia

przez kamienie zdał sobie sprawę, dlaczego mu odmówiła - i uznał jej wahanie za mądrość. Ale czy naprawdę była to mądrość, a nie tylko strach? Gdyby nie przeszła przez kamienie, czy zwróciłaby się w końcu do niego, bezwarunkowo, czy też odeszłaby, ciągle szukając czegoś innego? Był to wyraz wiary - rzucić serce przez wodę i mieć nadzieję, że ktoś je złapie. Jego własne wciąż leciało przez pustkę, nie mając pewności, ale wciąż leciało.

Dźwięki po drugiej stronie grodzi ucichły, jednak teraz słyszał inne, ciche i rytmiczne; dobrze znajome. Kimkolwiek byli, znów to robili, niemal każdej nocy, gdy innych zmorzył sen. Początkowo te dźwięki uświadamiały mu tylko własne odosobnienie, zakłócanie jedynie obecnością palącego ducha Brianny. Trudno było sobie wyobrazić prawdziwe ludzkie ciepło, połączenie serc i umysłów - to zaledwie zwierzęce zaspokojenie ciała, pragnącego przytulić się w ciemnościach. Czy mężczyzna mógł oczekiwać czegoś więcej?

Potem jednak zaczął słyszeć i inne rzeczy: jakieś urwane słowa czułości, jakieś drobne dźwięki potwierdzenia. W ten sposób w jakimś sensie uczestniczył w ich miłości. Nie mógł wiedzieć na pewno, oczywiście to mógł być każdy, to mogło być nawet przypadkowe spotkanie ciał. A jednak przypisał twarze tej nieznannej parze.

Wyobrażał sobie wysokiego, jasnowłosego mężczyznę i brązowowłosą dziewczynę o promiennym spojrzeniu. Wyobrażał sobie, że patrzą na siebie tak jak wówczas na nadbrzeżu - i oddałby duszę, by zaznać takiej pewności.

38. Za tych, co na morzu

Nagła nawałnica przez trzy dni trzymała pasażerów pod pokładem, a marynarzy na posterunkach. Mieli jedynie kilka chwil w ciągu dnia, by odpocząć czy chwycić coś do jedzenia. Pod koniec tego okresu, gdy „Gloriana” płynęła na wysokich jeszcze falach, a niebo o świcie pokrywały szybko przemykające chmury, Roger z trudem zszedł na dół do hamaka, zbyt wyczerpany, nawet by zmienić mokre ubranie.

Wymięty, wilgotny, pokryty solą, czując się okropnie i marząc jedynie o gorącej kąpieli i śnie przez kolejny tydzień, zerwał się na gwizdek bosmana po czterech godzinach, by na nowo podjąć obowiązki. O zmierzchu czuł się tak zmęczony, że mięśnie mu drżały, gdy wyciągał z ładowni baryłkę ze świeżą wodą. Siekierą wbił pokrywę, niepewny, czy uda mu się rozlać przydział, nie wpadając samemu do beczki. Chlapnął chłodną, świeżą wodą w twarz, mając nadzieję, że ulży to jego piekącym oczom, i łyknął całą zawartość chochli, ignorując ograniczenia narzucone przez tę nieustanną, nieuniknioną sprzeczność morza, gdzie wody zawsze było i za dużo, i za mało.

Ludzie podchodzący z bańkami i wiadrami wyglądali, jakby czuli się jeszcze gorzej niż on. Byli szarzieloni, posiniaczeni, bo miało nimi w ładowni jak kulami bilardowymi, śmierdzący na skutek choroby morskiej i wylewających się nocników. Na tle ogólnego wrażenia bladeści i złego samopoczucia zdecydowanie wyróżniała się jedna z jego dawnych znajomych. Skakała wokół, śpiewając monotonnie piosenkę, która coraz bardziej go drażniła.

Siedem śledzi nakarmi łososia,

siedem łososi nakarmi fokę,
siedem fok nakarmi wieloryba,
a siedem wielorybów nakarmi Cirein Croina.

Zachwycona swobodą i świeżym powietrzem dziewczynka skakała szaleńczo wokół, skłaniając Rogera do uśmiechu mimo zmęczenia. Zatrzymała się przy burcie, wspięła na palce i zerknęła ostrożnie na zewnątrz.

- Panie MacKenzie, myśli pan, że to Cirein Croin wywołał tę burzę? Dziadek mówi, że pewnie tak. Machają wielkimi ogonami - poinformowała go - i dlatego fale są takie wielkie.

- A mnie się nie wydaje. Gdzie twoi bracia, a leannan?

- Mają gorączkę - odpowiedziała obojętnie dziewczynka. Nie było to nic niezwykłego, połowa emigrantów stojących w kolejce kaszlała i kichała. Trzy dni w zupełnych ciemnościach i wilgotnych ubraniach nie wpłynęły dobrze na ich zdrowie. - Czy widział pan Cirein Croina? - spytała, wychylając się za burtę i osłaniając dłonią oczy. - Czy naprawdę jest tak wielki, że może połknąć statek?

- Nie widziałem - Roger upuścił chochlę i złapał ją za fartuszek, ściągając zdecydowanie z burty. - Uważaj, dobrze? Bo żeby ciebie połknąć, dziewczyno, wystarczy szprotka.

- Tam! - krzyknęła, wychylając się dalej, mimo że ją przytrzymał. - Tam, tam jest, jest!

Przyciągnięty strachem w jej głosie i samymi słowami, Roger wychylił się nad burtą. Tuż pod powierzchnią widać było ciemny kształt, gładki i czarny,

pełen wdzięku, długości niemal połowy kadłuba. Przez chwilę stworzenie dotrzymywało kroku pędzącemu statkowi, potem zostało w tyle.

- Rekin - powiedział Roger, wstrząśnięty do głębi. Potrząsał lekko dziewczynką, by uspokoić jej krzyki. - To tylko rekin, słyszysz?

Wiesz, co to jest rekin, prawda? Jedliśmy rekina w zeszłym tygodniu.

Przestała krzyczeć, ale usteczka wciąż jej drżały w bladej buzi.

- Jest pan pewien? - wyjąkała. - To... to nie był Cirein Croin?

- Nie - uspokoił ją Roger i podsunął chochlę z wodą, by się napiła. - To tylko rekin. - Największy, jakiego kiedykolwiek widział, emanujący ślepą dzikością, przez którą ciało pokryło mu się gęsią skórką, ale tylko rekin. Gdy statek zwalniał, zawsze się pojawiały, mając nadzieję na wyrzucane śmieci i wylewane nocniki.

- Isobeal! - Jego towarzyszkę wezwano do pomocy przy obowiązkach rodzinnych. Pociągając nogami i wydymając usta, Isobeal poszła pomóc matce z wiadrami wody i zostawiła Rogera, by skończył swoją pracę bez dalszych przerw.

Teraz mógł się zająć bez reszty tym, co kłębiło mu się w głowie.

Najczęściej udawało mu się zapomnieć, że „Gloriana” nie miała pod sobą nic prócz wielu mil wody, że statek wbrew pozorom nie był małą, solidną wyspą, lecz jedynie kruchą łupiną na łasce żywiołów, które mogły ją zgnieść w kilka chwil, razem ze wszystkimi na pokładzie.

Czy „Phillip Alonzo” dotarł do portu bezpiecznie? Statkom całkiem często zdarzało się tonąć, czytał wiele raportów na ten temat.

Po ostatnich trzech dniach mógł się jedynie zdumiewać, że ocean nie pochłonął także i ich. W tej sprawie jednak nic nie mógł zrobić - mógł się tylko modlić.

Boże, pomóż tym, co na morzu dziś są, I chroń tych, co mogą nie przeżyć.

Nagle zrozumiał, co miał na myśli człowiek, który napisał te słowa.

Skończywszy rozdzielać wodę, wrzucił do środka chochlę i sięgnął po pokrywę, by położyć ją na otwartą beczkę, bo inaczej czasami topiły się w niej szczury. Gdy się odwracał, jakaś kobieta chwyciła go za ramię. Wskazała marudzącego chłopca trzymanego w ramionach.

- Panie MacKenzie, czy kapitan może potrzeć mu oczy pierścieniem? Gibbiego bolą oczy od przebywania w ciemności przez tak długi czas.

Roger zawahał się, ale zaraz sam z siebie zakpił. Podobnie jak reszta załogi starał się unikać Bonneta, nie było jednak powodu, by odmówić prośbie kobiety. Kapitan już uprzednio zgadzał się użyć swego złotego pierścienia - był to popularny sposób niesienia ulgi bolącym oczom i zapaleniom.

- Tak, jasne - powiedział, na chwilę zapominając o doborze właściwych słów. - Proszę za mną. - Kobieta zamrugnęła zdziwiona, ale posłusznie ruszyła za nim. Kapitan stał na dolnym pokładzie, rozmawiając z matem. Roger wskazał kobiecie, by zaczekała, ona zaś skinęła głową i skromnie schowała się za nim.

Kapitan, z głęboko pobrużdżoną twarzą, wyglądał na tak samo zmęczonego jak inni. Lucyfer po tygodniu kierowania piekłem, gdy już stwierdził, że nie jest to wcale zabawa - pomyślał Roger z ponurym rozbawieniem.

- ...uszkodzone skrzynie z herbatą? - pytał Bonnet.

- Tylko dwie i nie są całkiem przemoczone - odpowiedział Dixon. - Może trochę da się uratować albo pozbędziemy się tego potem w górze rzeki, w Cross Creek.

- Tak, w Edenton i New Bern są bardziej wybredni, tam jednak dostaniemy najlepsze ceny. Trzeba sprzedać, co się da, zanim dopłyniemy do Wilmington.

Bonnet odwrócił się i zauważył Rogera. Ściągnął brwi, ale wypogodził się ponownie, gdy usłyszał, o co chodzi. Nic nie mówiąc, wyciągnął rękę i złotym pierścieniem, który nosił na małym palcu, potarł zamknięte oczy małego Gilberta. Roger zauważył, że pierścień był po prostu szeroką, złotą obrączką. Wyglądała niemal na ślubną, choć była znacznie mniejsza, może należała do kobiety. Wielki Bonnet z pamiątką miłości? Być może. Roger pomyślał, że na niektóre kobiety może działać wyczuwalna w kapitanie gwałtowność.

- Mały jest chory - stwierdził Dixon. Za uszami chłopca widać było czerwone krostki, a na białych policzkach wykwitły czerwone plamy gorączki.

- To gorączka mleczna - wyjaśniła kobieta, przyciągając dziecko do piersi. - Poza tym wyrzyna mu się nowy ząb.

Kapitan obojętnie kiwnął głową i obrócił się. Roger odprowadził kobietę do kuchni, by wyżebrać kawałek suchara dla zębującego malca, a potem wysłał ją z innymi

do przedniej ładowni i natychmiast zapomniał o działkach małego Gilberta. Gdy wspinał się po drabinie na górny pokład, rozważał podsłuchaną rozmowę.

Przystanki w New Bern i Edenton przed Wilmington.

Najwyraźniej Bonnet się nie spieszył. Będzie chciał uzyskać dobre ceny za ładunek, trochę potrwa, zanim sprzeda kontrakty pasażerów, więc mogą minąć tygodnie, zanim dotrą do Wilmington.

Nic z tego - pomyślał Roger. Bóg jeden wie, gdzie Brianna zdoła dotrzeć i co może się jej przytrafić. Mimo burzy „Gloriana” szybko pokonała Atlantyk; jeśli Bóg pozwoli, a wiatr się utrzyma, dopłyną do Ameryki po ośmiu tygodniach. Nie chciał poświęcić tak zyskanego cennego czasu na pałętanie się po portach Karoliny Północnej.

Postanowił więc, że zejdzie z „Gloriany” w pierwszym porcie, do jakiego przybiją, a dalej podąży na południe jak się da. Co prawda dał słowo, że zostanie na statku, póki cały ładunek nie zostanie sprzedany, ostatecznie jednak nie pobierze wynagrodzenia - w sumie wydawało mu się to dość sprawiedliwe.

Świeże, zimne powietrze na pokładzie nieco go otrzeźwiło. Wciąż miał wrażenie, że głowę wypełnia mu mokra wata, a gardło bolało od soli. Jeszcze trzy godziny wachty. Ruszył przed siebie po kolejny łyk wody, mając nadzieję, że pomoże mu to przetrwać.

Dixon opuścił już kapitana i szedł między pasażerami, witając mężczyzn, zatrzymując się, by powiedzieć coś kobiecie z dziećmi. To dziwne - pomyślał Roger. Mat nie był człowiekiem, który spędzałby czas z

załogą, nie mówiąc już o pasażerach, uważał ich bowiem za niewygodny rodzaj ładunku.

Na wspomnienie o ładunku coś poruszyło mu się w pamięci, coś nieprzyjemnego, ale nie był w stanie sobie uświadomić, o co chodzi.

To coś wisiało gdzieś w cieniu wyczerpania, nieuchwytnie, choć bliskie. Tak, miało to coś wspólnego z zapachem, ale co...

- MacKenzie! - Jeden z marynarzy wołał go z pokładu rufowego, by przyszedł i pomógł naprawiać rozdarte przez burzę żagle. Wielkie płachty złożonego płótna leżały na deskach jak brudne zasy, a ich górne warstwy wydymały się na wietrze. Roger jęknął i wyciągnął bolące ręce, napinając mięśnie. Wszystko jedno, co stanie się w Karolinie Północnej, ucieszysz się, gdy będzie mógł w końcu zejść z tego statku.

Dwie noce później w głęboki sen Rogera wdarły się krzyki.

Zeskoczył na podłogę i ruszył biegiem do zejściówki, zanim uświadomił sobie, że już nie śpi. Złapał drabinę, ale natychmiast runął do tyłu, kopnięty w pierś.

- Zostań, gdzie jesteś, głupcze - usłyszał głos stojącego na wyższych szczeblach Dixona. Widział głowę mata na tle rozgwieżdżonego kwadratu otwartego luku.

- Co się dzieje, o co chodzi? - Potrząsnął głową, by oprzytomnieć, jednak to, co się działo, nie było już snem. W ciemnościach, obok niego, gromadzili się inni. Starał się wstać, oni zaś potykali się o jego ciało. Hałas dochodził z góry, tupot stóp na pokładzie, krzyki i wrzaski, jakich jeszcze nigdy nie słyszał.

- Mordercy! - Przez hałas przebił się wysoki, kobiecy głos. - Mor... - Głos zamarł nagle, a na pokład upadło coś ciężkiego.

- Co się dzieje? - Roger zdołał wstać i przecisnął się przez otaczających drabinę mężczyzn. - Co się dzieje, czy to atak? - Jego słowa utonęły w krzykach dochodzących z pokładu, w wysokich wrzaskach kobiet i dzieci, przekleństwach mężczyzn.

Gdzieś na górze mignęło czerwone światło. Czy statek się pali?

Przecisnął się przez gromadę ludzi, złapał drabinę, sięgnął i chwycił Dixona za nogę.

- Wynoś się! - Noga wyrwała się i wymierzyła kopniaka w głowę Rogera. - Zostań tam! Na litość boską, człowieku, chcesz się zarazić ospą?

- Ospą? Co tam się, do diabła, dzieje? - Oczy Rogera przyzwyczyły się już do ciemności, złapał więc raz jeszcze Dixona za nogę i gwałtownie pociągnął. Nieprzygotowany na taką ewentualność, Dixon puścił drabinę i spadł, obsuwając się po głowie Rogera na stojących niżej mężczyzn. Ignorując okrzyki wściekłości i zaskoczenia, Roger wspiął się na pokład. Przy przedniej zejściówce stała grupa mężczyzn, na olinowaniu wisiały latarnie. Rzucane przez nie czerwone, białe i żółte światło odbijało się w ostrzach noży.

Rozejrzał się szybko za drugim statkiem, ocean jednak był czarny i pusty. Nikt ich nie atakował, nie widział żadnych piratów. Cała walka toczyła się przy zejściówce, gdzie zgromadziło się pół załogi uzbrojonej w noże i pałki.

Bunt - pomyślał. Ale nad tłumem wynurzała się

głowa Bonneta, bez kapelusza. Jasne włosy lśniły w świetle latarni. Roger wcisnął się w tłum, brutalnie rozpychając mniejszych posturą marynarzy. Z ładowni dochodziły krzyki, widać było miganie światła. Z dołu podano jakieś zawiniątko, przekazano szybko z rąk do rąk, zniknęło za ruszającą się ludzką masą. Rozległ się głośny plusk, po chwili kolejny.

- O co chodzi, co się dzieje? - wrzasnął do ucha bosmanowi trzymającemu latarnię przy zejściówce.

- Nie miałeś chyba ospy, wracaj na dół! - Uwaga Hutchinsona skupiała się na otwartym włazie.

- Owszem, miałem, co to ma do rzeczy... Bosman odwrócił się ku niemu, zaskoczony.

- Miałeś ospę i nie zostały ślady? Ach, wszystko jedno, to schodź na dół, przydasz się tam.

- Do czego? - Roger pochylił się, by przekrzyczeć dochodzący z dołu hałas.

- Ospa! - wrzasnął bosman, wskazując w głąb ładowni, skąd wynurzył się właśnie marynarz trzymający pod pachą słabo wierzgające dziecko. Z dołu wyciągnęły się ręce, bijące mężczyznę po zgiętych plecach, i dobiegł pełen przerażenia kobiecy głos.

Kobieta chwyciła marynarza za bluzę. Roger widział, jak wspina się po ciele mężczyzny, ściągając go z powrotem na dół. Krzyczała i orała mu paznokciami plecy, drąc materiał i raniąc ciało, równocześnie próbując wyrwać mu dziecko. Marynarz krzyknął i zamachnął się, by ją odepchnąć. Drabina była mocno przytwierdzona, ale mając tylko jedną wolną rękę, stracił równowagę, zachwiał się i na twarzy odmalowało mu się przerażenie, bo poślizgnął się na

szczeblu.

Roger instynktownie rzucił się naprzód i złapał dziecko jak piłkę w chwili, gdy marynarz rozłożył ręce, starając się uratować. Razem z kobietą, splątani jak kochankowie, spadli w otwór zejściówki. Rozległ się trzask i jeszcze głośniejszy krzyk - a potem nagle cisza. Po paru sekundach krzyki wybuchły ponownie. Roger starał się uspokoić płaczące dziecko, poklepując je niezgrabnie po plecach. Wydawało mu się dziwnie bezwładne. Mimo warstw ubrania czuł, że jest rozpalone. Bosman podniósł wysoko latarnię i oświetlił Rogera.

Patrzył na dziecko z niechęcią.

- Mam nadzieję, że naprawdę chorowałeś na ospę, MacKenzie.

Był to mały Gilbert, chłopiec, którego bolały oczy, jednak w ciągu dwóch dni zaszła w nim taka zmiana, że Roger ledwo go rozpoznał. Wychudł, okrągła buzia zapadła się tak, że widoczne były kości czaszki, a jasna skóra zniknęła pod masą ropiejących krost, tak licznych, że oczy wydawały się wąskimi szparkami w chwiejącej się główce. Ledwo zdążył zauważyć to wszystko, a już wyciągnęły się ręce i odebrały mu rozpalone ciało. Jeszcze nie zrozumiał naglej pustki w ramionach, gdy rozległ się kolejny plusk za burtą.

Okręcił się w tamtą stronę, instynktownie zwijając ręce w pięści, ale zaraz z powrotem spojrział w głąb ładowni, bo tam znów wybuchły krzyki. Pasażerowie doszli do siebie po zaskoczeniu nagłym atakiem.

Mężczyźni rzucili się w górę po drabinie, uzbrojeni we wszystko, co zdołali złapać, i rzucili się na marynarzy,

przewracając ich samą siłą ataku.

Ktoś wpadł na Rogera, ten upadł i potoczył się na bok, bo noga od stołka uderzyła o pokład tuż koło jego głowy. Uniósł się na rękach i kolanach, dostał kopniaka w żebra, uchylił się, został popchnięty, odbił się od jakiejś przeszkody i korzystając z chwilowej okazji, rzucił się na ślepo na parę nóg przed sobą. Nie miał pojęcia, czy walczy z członkiem załogi, czy z pasażerem, chciał jedynie wstać i odetchnąć.

Z ładowni dochodził smród choroby, słodkawego, gnijącego odór, silniejszy niż codzienne zapachy niemytych ciał i nieopróżnionych nocników. Latarnia chwiała się na wietrze. Światła i cienie dzieliły scenę na fragmenty, więc tu i tam widać było jakąś twarz o dzikim wyrazie oczu, tam podniesione ramię, gdzieś nagą stopę, która znikwała w ciemności, a na jej miejsce pojawiały się łokcie, noże, kolana.

Pokład wydawał się pokryty kawałkami ciał. Panował hałas tak potężny, że Roger sam czuł się rozbity na kawałki. Spojrzał na lewe ramię, które wydało mu się bez czucia - miał wrażenie, że je stracił.

Było jednak na miejscu, więc instynktownie je podniósł, by odeprzeć uderzenie.

Ktoś złapał go za włosy. Wyrwał się, odwrócił, uderzył mocno łokciem w czyjeś żebra i znów się odwrócił, trafiając w powietrze.

Przypadkiem znalazł się poza polem walki. Z trudem łapał oddech.

Przed nim, w cieniu burty, przykucnęły dwie postacie. Gdy potrząsnął głową, by dojść do siebie, wyższa

z postaci skoczyła na niego.

Cofnął się pod naporem ataku; chwycił atakującego, uderzyli razem o maszt i razem upadli. Toczyli się po pokładzie, okładając na ślepo, ale zajadle. Ogłuszony hałasem, oszołomiony ciosami pięści, nie zwracał uwagi na wpadające mu w uszy pojedyncze słowa.

Potem poczuł kopniaka, a gdy rozluźnił chwyt, dwóch członków załogi rozdzieliło jego i atakującego go człowieka. Ktoś chwycił drugiego mężczyznę i postawił go na nogi. Roger zobaczył w świetle latarni bosmana, że jego przeciwnikiem był wysoki, jasnowłosy pasażer, mąż Morag MacKenzie; jego zielone oczy były teraz ciemne z wściekłości. MacKenzie był mocno poturbowany - Roger też, co odkrył, przesuwał dłońią po twarzy i wyczuwając rozbite wargi - ale skórę miał czystą.

- Może być - powiedział Hutchinson i mężczyznę bezceremonialnie popchnięto ku zejściówce.

Towarzysze pomogli Rogerowi stanąć na nogi i zostawili go chwiejącego się, oszołomionego i zapomnianego. Oni zaś kończyli swoje dzieło. Opór był krótki. Choć napędzani wściekłością i rozpaczą, chorzy i wygłodniali pasażerowie nie mieli sił po sześciu tygodniach spędzonych w ładowni. Co silniejszych pałkami zmuszono do posłuszeństwa, słabszych odepchnięto, natomiast tych, którzy zdradzali objawy ospy...

Roger spojrział przez burtę na rozświetloną księżycem powierzchnię wody, chwycił poręcz i wymiotował. Wymiotował tak długo, aż nie miał już czym; żółć paliła mu gardło i nos. Woda poniżej była czarna i pusta. Wykończony, trzęsąc się z wysiłku, powoli przeszedł

przez pokład. Marynarze, których mijał, milczeli, ale przez otwarty właz do przedniej ładowni wydobywało się zawodzenie, niekończący się płacz, który najwyraźniej nie miał zamiaru ustać.

Niemal spadł po drabinie do pomieszczenia załogi. Ruszył do hamaka, ignorując wszystkie pytania, i zarzucił sobie koc na głowę, starając się odciąć od zawodzenia, od wszystkiego. Nie znalazł jednak zapomnienia w duszących go wełnianych fałdach, zerwał więc przykrycie. Serce waliło mu mocno, a tak żywo wydawało mu się, że się topi, iż łapał powietrze, póki nie zakręciło mu się w głowie. Wciąż jednak oddychał głęboko, jak gdyby musiał oddychać za tych, którzy już nie mogli robić tego sami.

- Tak jest najlepiej - powiedział mu Hutchinson z szorstką sympatią, mijając go, gdy wymiotował przez burtę. - Ospa rozprzestrzenia się jak ogień, gdybyśmy nie usunęli chorych, nikt w tej ładowni nie dożyłby portu.

Czy tak było lepiej, niż umierać powoli z gorączki i ropiejących wrzodów?

Nie dla tych, którzy zostali. Zawodzenie trwało, przechodząc przez drewno, docierając do serca. W głowie migały mu pojedyncze obrazy, jakieś sceny, jak gdyby uchwycone w blasku niewidzialnego flesza. Twarz marynarza, który spadał do ładowni, na wpół otwarte usta chłopca, całe pokryte ropiejącymi krostami, Bonnet stojący nad zamieszaniem z twarzą upadłego anioła, i ciemna, głodna woda, pusta w świetle księżycy.

Coś uderzyło miękko w burtę statku, on zaś zwinął się w drżący kłębek, nie zwracając uwagi ani na panujący w ładowni duszny upał, ani na narzekanie leżącego obok

mężczyzny. Nie, ta woda nie była pusta - słyszał, jak marynarze mówią, że rekiny nigdy nie śpią.

- O Boże - westchnął głośno. - O Boże. - Powinien modlić się za zmarłych, ale nie potrafił. Znów się wiercił, kręcił, starał się uciec myślami, aż w echu bezradnej modlitwy znalazł wspomnienie.

Usłyszał kilka gorączkowych słów, wypowiedzianych wprost w jego ucho w tych chwilach szaleństwa na pokładzie.

„Na miłość boską, człowieku - wyszeptał wtedy jasnowłosa mężczyzna. - Na miłość boską, puść ją wolno!”.

Wyprostował się i leżał skąpany zimnym potem. Dwie postacie w cieniu i otwarty luk do ładowni, jakieś sześć metrów dalej.

- O Boże - powiedział znów, ale tym razem była to modlitwa.

Dopiero w połowie psiej wachty następnego dnia Roger znalazł chwilę, żeby zejść do ładowni. Nie starał się z tym ukrywać, bo zdążył się już nauczyć, że na tak niewielkiej przestrzeni nic nie zwraca uwagi bardziej niż próba zrobienia czegoś ukradkiem. Gdyby ktoś pytał, miał gotową odpowiedź - usłyszał jakiś hałas i wydawało mu się, że ładunek się przesunął. Nie było to znów tak bardzo odległe od prawdy.

Nie opuścił drabiny, tylko zawisł na rękach, trzymając się brzegu luku, i zeskoczył. Wylądował twardo, aż zaboląły go kości. Jeśli ktoś jest tu, na dole, na pewno go usłyszał, zarazem jednak Roger będzie wiedział, gdyby ktoś za nim zeskoczył.

Chwilę trwało, zanim doszedł do siebie po upadku.

Po chwili zaczął poruszać się ostrożnie wśród spiętrzonego ładunku. Wszystko wydawało mu się nieco rozmazane, i nie chodziło tylko o niewystarczające światło; miał wrażenie, że wszystko w ładowni lekko wibruje, poddaje się drzeniu rufy. Gdy się skupił, mógł to nawet usłyszeć - była to najniższa nuta w pieśni statku.

Przeciskał się wąskimi przejściami między pakami i wielkimi brzuchami beczek na wodę. Powietrze wypełniał zapach mokrego drewna i słaby zapach herbaty. Słyszał szelesty i przeciągłe skrzywienia, różne dziwne dźwięki, ale nie widział żadnego śladu obecności człowieka. Mimo to był pewien, że ktoś tu jest.

I czemu tu jesteś? - pomyślał. Co zrobi, jeśli rzeczywiście jeden z pasażerów się tu schronił? Jeśli ktoś tu jest, zapewne ma ospę, a Roger i tak nie jest w stanie nic dla niego zrobić. Więc po co szuka?

Odpowiedź brzmiała - bo nie może nie szukać. Nie obwinał się, że nie udało mu się uratować dotkniętych ospą pasażerów. I tak nic by im nie pomogło, może szybka śmierć przez utonięcie nie była gorsza niż powolna agonia na skutek choroby. W każdym razie chciałby w to wierzyć. Poprzedniej nocy nie zdołał jednak zasnąć, bo tamte wydarzenia napełniły go takim przerażeniem i takim poczuciem gniewnej bezradności, że nie potrafił znaleźć odpoczynku. Bez względu na to, czy uda mu się teraz komuś pomóc, czy nie, musiał coś zrobić - a przynajmniej zobaczyć.

W głębi, w mroku ładowni, poruszyło się coś małego. Szczur - pomyślał i odwrócił się instynktownie, by go zdeptać. Ten ruch go uratował; jakiś ciężki przedmiot

przeleciał mu koło ucha i wylądował z pluskiem w stojącej pod nogami wodzie. Schylił głowę i rzucił się w kierunku, z którego go zaatakowano, spodziewając się, że za chwilę otrzyma kolejny cios. Nie było gdzie uciekać i właściwie nie było też gdzie się ukryć. Znów zobaczył ruch, rzucił się do przodu i chwycił za ubranie, szarpnął i złapał czyjeś ciało. Doszło do krótkiej walki w ciemności, jakiegoś okrzyku i nagle stwierdził, że do burty statku przyciska Morag MacKenzie.

- Co do diabła! - Kopała i próbowała go ugryźć, ale zignorował to, złapał ją solidnie za kark i wyciągnął z cienia w niewyraźne światło ładowni. - Co ty tu robisz?

- Nic, puść mnie, proszę mnie puścić, proszę, błagam, panie. - Nie zdoławszy uwolnić się siłą, bo ważyła pewnie nie więcej niż połowę tego co on, zaczęła prosić. Słowa wylewały się jej z ust, szeptane, pełne rozpacz. - Zaklinam na duszę pańskiej matki, nie może pan tego zrobić, proszę, niech pan nie pozwoli im go zabić, proszę!

- Nie zamierzam nikogo zabijać. Na litość boską, bądź cicho! - Potrząsnął nią lekko.

Z najczarniejszego cienia, zza łańcucha kotwicznego, dobiegł go wysoki, cienki płacz dziecka. Morag spojrzała na niego gorączkowo, zrozpaczona.

- Usłysz go. Na litość boską, człowieku, pozwól mi do niego iść. - Była tak zdesperowana, że udało jej się wyszarpnąć z uchwytu Rogera i rzucić w kierunku płaczu. Pięła się po wielkich, zardzewiałych ogniwach łańcucha, nie zwracając uwagi na brud.

Ruszył za nią wolniej. Nie mogła uciec, nie miała dokąd. Znalazł ich w najciemniejszym miejscu, schowanych

za wielkimi wręgami usztywniającymi kadłub. Między szorstkimi deskami kadłuba a łańcuchem kotwicznym była wolna przestrzeń szerokości może trzydziestu centymetrów. Tam właśnie się wcisnęła.

- Nie skrzywdzę cię - powiedział cicho. Cię wydawał się cofać, ale nic nie odpowiedziała.

Oczy Rogera powoli przyzwyczajały się do ciemności. Nawet tutaj z dalekiego luku docierało nieco światła. Zobaczył jaśniejszy fragment: odsłoniła pierś, karmiąc dziecko. Słyszał ciche mlaskanie.

- Co tu, do diabła, robisz? - spytał, choć przecież wiedział.

Żołądek ścisnął mu się, nie tylko ze względu na panujący tu smród.

Przykucnął koło niej,

z trudem mieszcząc się na tej niewielkiej przestrzeni.

- Ukrywam się - odparła dziko. - Chyba to widać.

- Czy dziecko jest chore?

- Nie - pochyliła się nad niemowlęciem, odsuwając się równocześnie od Rogera, jak najdalej mogła.

- Więc dlaczego...

- To tylko wysypka, wszystkie dzieci ją mają. Tak mówiła mama.

- Słyszał strach w jej głosie, choć zaciekle protestowała.

- Czy jesteś pewna? - powiedział jak najłagodniej. Wyciągnął rękę ku ciemnemu zawiniątku, które trzymała w ramionach.

Zamachnęła się na niego niezręcznie jedną ręką. Odskoczył do tyłu z sykiem bólu.

- Jezu, dźgnęłaś mnie nożem!

- Nie zbliżaj się. Mam sztylet mego męża - ostrzegła go. - Nie pozwolę ci go zabrać, prędzej cię zabiję, przysięgam.

Wierzył jej, uniósł dłoń do ust i na języku poczuł słodką i słoną krew. Było to zaledwie zadrapanie, ale wierzył jej - zabiłaby go albo sama by umarła. Gdyby ktoś z załogi ją znalazł, to drugie było bardziej prawdopodobne.

Nie - pomyślał - była warta pieniądze. Bonnet by jej nie zabił, wyciągnąłby ją tylko na pokład i zmusił do patrzenia, jak wydarł z jej ramion dziecko zostaje wrzucone do morza. Pamiętał czarne cienie płynące za statkiem i wzdrygnął się, ale nie z zimna.

- Nie zabiorę go, ale jeśli to ospa...

- Nie, przysięgam na Najświętszą Pannę, to nie jest ospa. - Z cienia wysunęła się drobna dłoń i złapała go za rękaw. - Jest tak, jak ci mówię, to tylko wysypka mleczna. Widziałam to, człowieku, już setki razy, jestem najstarsza z dziewięciorga rodzeństwa. Doskonale wiem, kiedy dziecko jest chore, a kiedy po prostu wyrzynają mu się zęby.

Zawahał się, lecz zaraz podjął postanowienie. Jeśli się myli, jeśli dziecko naprawdę ma ospę, to zapewne także i ona jest zarażona.

Zaprowadzenie jej do ładowni z emigrantami oznaczałoby ponowne rozprzestrzenianie choroby. A jeśli to Morag ma rację? Wiedział, tak samo jak ona, że nie miało to znaczenia. Każda wysypka zostanie uznana za ospę, a dziecko zabite. Czuł, jak dziewczyna drży, bliska hysterii. Chciał ją dotknąć, uspokoić, ale zmienił zdanie. Nie zaufa mu i trudno się dziwić.

- Nie wydám cię - szepnął.

To stwierdzenie spotkało się z pełną podejrzliwości ciszą.

- Potrzebujesz pożywienia, prawda? I świeżej wody. Bez tego wkrótce stracisz mleko i co będzie z dzieckiem?

Słyszał, jak oddycha z trudem przez zatkany nos. Była chora, jednak niekoniecznie na ospę. Wszyscy pasażerowie z ładowni kaszleli i kichali, bo wilgoć od dawna już tkwiła w ich płucach.

- Pokaż mi go.

- Nie. - Jej oczy lśniły w ciemności, pełne strachu, jak u szczura zagonionego do kąta.

- Przysięgam, że ci go nie zabiorę, ale muszę zobaczyć.

- Na co przysięgasz?

Szukał w pamięci odpowiedniego celtyckiego zaklęcia, ale zrezygnował i powiedział to, co mu przyszło do głowy.

- Na życie mojej kobiety i głowy nienarodzonych jeszcze synów.

Wyczuł jej wątpliwość, a potem pewne odprężenie. Kolano przyciśnięte do jego nogi lekko się poruszyło. W łańcuchach kotwicy usłyszał szelest - tym razem były to szczury.

- Nie mogę go tu zostawić samego, gdy kradnę jedzenie. - Dostrzegł, że głową wskazuje w kierunku szelestów. - Zjadłyby go żywcem. Już i tak mnie ugryzły, gdy zasnąłam.

Wyciągnął ręce, przez cały czas świadom dochodzących z pokładu dźwięków. Nikt tu raczej nie

zejdzie, ale za chwilę zaczną go szukać.

Wciąż się wahała, w końcu jednak wsunęła palec wzdłuż piersi w usta dziecka, które zaprotestowało cicho i poruszyło się, gdy Roger brał je na ręce. Nie miał w tym wielkiego doświadczenia, więc poczuł się zaskoczony, że brudne zawiniątko było niby nieruchome, ale pełne życia, miękkie, ale mocne.

- Uważaj na jego głowę.

- Wszystko w porządku. - Obejmując ciepłą czaszkę jedną dłonią, cofnął się o krok czy dwa, by buzia dziecka znalazła się w niewyraźnym świetle.

Policzki małego pokrywały czerwone krosty z białymi szczytami.

Roger uważał, że wyglądają dokładnie tak jak krosty ospy. Poczuł, że dłonie mu drżą z obrzydzenia. Choć powinien być odporny na tę chorobę, dotknięcie zakażonego wymagało odwagi. Przyjrzał się dziecku, a potem ostrożnie rozwinął je, ignorując syczące protesty matki. Wsunął dłoń pod sukienkę, najpierw wyczuwając mokrą szmatę między nogami chłopczyka, a potem gładką, jedwabistą skórę na piersi i brzuchu. Mały w gruncie rzeczy nie wydawał się chory, oczy miał czyste, spojrzenie wyraźne i choć z pewnością miał gorączkę, nie był tak rozpalony jak dzieci, które widział poprzedniej nocy. Wiercił się i płakał, ale równocześnie kopał nogami całkiem energicznie i mocno. Nie był to słaby spazm umierającego dziecka.

„Najmłodszy umierają szybko - powiedziała kiedyś Claire. - Nie masz pojęcia, w jakim tempie rozprzestrzenia się choroba, gdy nie ma czym jej zwalczać”.

Po ostatniej nocy miał już pewne pojęcie.

- W porządku - szepnął. - Być może masz rację. -
Raczej wyczuł, niż zobaczył, że opuściła rękę. Trzymała
sztylet w pogotowiu.

Niezręcznie podał jej dziecko, czując równocześnie
ulgę i niechęć.

Spadła też na niego przerażająca świadomość
odpowiedzialności, jaką na siebie przyjął. Morąg uspokajała
synka, przytulając go do piersi i pospiesznie owijając.

- Jemmy, mój słodki, tak, bądź miły, cicho, maluchu,
cicho, wszystko będzie dobrze, mama jest z tobą.

- Jak długo? - szepnął Roger, kładąc jej dłoń na
ramieniu. - Jeśli to wysypka od mleka, jak długo potrwa?

- Może cztery, może pięć dni - odszepnęła. - Ale za
jakieś dwa będzie już wyglądać inaczej, zmniejszy się i
wyraźnie będzie widać, że to nie ospa. Wtedy będę mogła
wyjść.

Dwa dni. Jeśli to ospa, za dwa dni dziecko nie będzie
już żyło, a jeśli nie, może się udać.

- Czy możesz tak długo nie spać? Szczury...

- Tak, mogę - powiedziała zaciekle. - Zrobię to, co
muszę. A zatem... pomożesz mi?

Odetchnął głęboko, ignorując panujący tu smród.

- Tak, pomogę. - Wstał i podał jej rękę. Po
chwilowym wahaniu przyjęła ją i również wstała. Była
drobna, sięgała mu zaledwie do ramienia, a jej dłoń w jego
dłoni była nie większa niż dziecka. W cieniu wyglądała jak
dziewczynka tuląca lalkę. - Ile masz lat? - spytał nagle.

Dostrzegł błysk zdziwienia w jej oczach.

- Wczoraj miałam dwadzieścia dwa - odpowiedziała
sucho. - Dzisiaj mam chyba sto.

Wysunęła drobną dłoń z jego uścisku i zniknęła w ciemnościach.

39. Hazardzista

W nocy nadciągnęła mgła. O świcie statek znalazł się w tak gęstej chmurze, że z pokładu nie było widać nawet powierzchni morza.

Jedynie plusk wywołany przez tnący fale kadłub wskazywał, że „Gloriana” wciąż płynie po wodzie, nie w powietrzu. Nie dało się dostrzec słońca, a wiatr wiał słabo, żagle wisiały więc nieruchomo, od czasu do czasu tylko drżąc w zabłąkanym podmuchu. Przygnębieni faktyczną ślepotą ludzie chodzili po pokładach jak duchy, wynurzając się z ciemności tak nagle, że nawzajem się zaskakiwali.

Ta ciemność dobrze Rogerowi służyła, mógł więc niemal niezauważenie przejść przez statek i wsunąć się do ładowni. W koszuli schował resztki jedzenia, które zaoszczędził podczas własnych posiłków.

Mgła wdarła się także i tutaj. Lepkie białe nitki dotykały mu twarzy, snuły się między beczkami z wodą i wokół jego stóp. Było tu ciemniej niż przedtem.

Szarzłoty mrok zmienił się w czarnobrazową ciemność zimnego, mokrego drewna.

Dziecko spało. Roger dostrzegał jedynie zarys policzka, wciąż pokryty czerwonymi krostami. Wydawały się zaognione. Morag zauważyła, że Roger znów nabrał wątpliwości. Nic nie mówiąc, ujęła go za dłoń i przycisnęła do karku niemowlęcia.

Poczuł pod palcem tętno, równo odmierzające przepływ krwi.

Delikatna skóra była ciepła, ale wilgotna.

Uspokojony uśmiechnął się do Morag, a ona w odpowiedzi nawet lekko uniosła kąciki ust. Po przeszło miesiącu spędzonym w ładowni była chuda i brudna.

Ostatnie dwa dni wycisnęły jej na twarzy zmarszczki, podkrążone oczy wciąż mówiły o strachu. Splątane włosy, tłuste i aż gęste od wszy, wisiały strąkami wokół twarzy. Otaczał ją odór fekaliów i uryny, skwaśniałego mleka i starego potu. Wargi miała ściągnięte, blade jak reszta twarzy. Roger ujął ją delikatnie za ramiona, pochylił się i pocałował w usta.

Na szczycie drabiny obejrzał się - stała wciąż, patrząc za nim, trzymając w ramionach dziecko.

Na pokładzie panowała cisza, jedynie od steru dobiegały głosy sternika i bosmana. Roger wsunął pokrywę luku na miejsce. Serce zaczęło wracać do równego rytmu. Dotknięcie ciała dziewczyny wciąż ogrzewało mu ręce. Dwa dni, może trzy... może im się uda. Uwierzył w każdym razie, że Morag ma rację, że to nie ospa. W najbliższej przyszłości nikt nie powinien zapuścić się do ładowni. Zaledwie poprzedniego dnia wyciągnięto stamtąd beczkę ze świeżą wodą. Uda mu się zanościć jej jedzenie, tylko czy ona zdoła nie spać? W tym momencie mgłą przebił ostry dźwięk dzwonu okrętowego, przypominając o czasie, który wydawał się już nie istnieć, unicestwiony przez brak zmiany światła i ciemności. Roger ruszył ku rufie, gdy we mgle usłyszał nagle, głośnie szszsz... tuż za burtą, bardzo blisko. W tej samej chwili statek lekko zadrżał, bo coś wielkiego otarło się o kadłub.

- Wieloryb! - krzyknięto z bocianiego gniazda. Widział dwóch mężczyzn przy głównym maszcie, ich

niewyraźny zarys we mgle. Na ten okrzyk zamarli w miejscu. Zdał sobie sprawę, że i on stoi sztywno, nasłuchując.

Tuż obok rozległo się kolejne szszsz... i jeszcze jedno, nieco dalej. Załoga „Gloriany” stała w milczeniu. Każdy w głowie rysował mapę, na której statek dryfował pomiędzy ruszającymi się górami inteligentnych ciał.

Jak są duże - czy na tyle, by uszkodzić statek? Usiłował coś wypatrzeć, wyteżał wzrok, starając się przebić mgłę.

Po chwili znowu usłyszał uderzenie, tak mocne, że reling pod jego dłońmi zadrżał. Potem zaś długie ciało otarło się o kadłub, wprawiając w drżenie deski. Z dołu dobiegły stłumione okrzyki strachu. Ludziom stłoczonym w ładowni musiało się wydawać, że coś się dzieje tuż obok nich, coś, od czego oddzielają ich jedynie deski poszycia. Nagłe uderzenie - i morze zacznie się wdzierać do środka.

Dębowe deski grubości trzech cali zdawały się cienkie jak papier wobec wielkiej bestii, płynącej obok i oddychającej we mgle.

- Pąkle - powiedział miękki irlandzki głos we mgle za jego plecami. Roger aż podskoczył. Z mgły wyłonił się niewyraźny kształt.

Bonnet. Kapitan trzymał w zębach cygaro, a papier zapalony od ognia w kokpicie oświetlał mu twarz na czerwono. Deski znów zadrżały. - Drapią się, by zerwać ze skóry pasożyty - dodał tonem konwersacji. - Jesteśmy dla nich czymś w rodzaju pływającego kamienia. - Zaciągnął się mocno, aż rozżarzył się koniuszek cygara, następnie wydmuchał pachnący dym, a płonący papier wyrzucił za

burtę. Zniknął we mgle jak spadająca gwiazda.

Roger wypuścił powietrze tylko trochę ciszej niż wieloryb. Jak blisko stał Bonnet - czy widział go wychodzącego z ładowni?

- A zatem nie uszkodzą statku? - powiedział, dostosowując się do swobodnego tonu kapitana.

Bonnet przez chwilę palił w milczeniu, koncentrując się na cygarze. Nieoświetlony już płomieniem, stał się znów cieniem, wyznaczonym jedynie przez rozżarzony koniuszek cygara.

- Kto to wie? - powiedział w końcu, wypuszczając dym. - Każda z tych bestii może nas zatopić, jeśli zechce być złośliwa. Widziałem raz statek, a raczej to, co z niego zostało, rozwalony na kawałki przez rozgniewanego wieloryba. Jakaś deska, kilka unoszących się na wodzie rzeczy. Utonął ze wszystkimi, było tam dwieście osób.

- Nie wydaje się pan przejęty taką możliwością? Bonnet znów wydmuchał dym.

- Martwienie się na zapas to niepotrzebna strata sił. Mądry człowiek zostawia bogom to, czego nie może kontrolować, i modli się, by Danu mu sprzyjała. - Kapitan zwrócił się ku niemu. - Słyszał pan o Danu, prawda, MacKenzie?

- Danu - powtórzył Roger głupawo, a potem nagle coś mu zaskoczyło w pamięci. Stara wyliczanka, zapamiętana głęboko w dzieciństwie, coś, czego nauczyła go pani Graham. - Przyjdź do mnie, Danu, zmień mój los, daj mi odwagę, miłość i trzos.

Dobiegł go pomruk rozbawienia.

- Ach, a przecież nie jest pan nawet Irlandczykiem.

Jednak od początku wiedziałem, że jest pan człowiekiem wykształconym, MacKenzie.

- Znam Danu, która daje szczęście - Roger miał nadzieję, że ta celtycka bogini była także dobrym żeglarzem i opowie się po jego stronie. Cofnął się o krok, zamierzając odejść, ale Bonnet chwycił go za przegub i mocno przytrzymał.

- Człowiek wykształcony - powtórzył cicho, lecz już bez rozbawienia - ale niemądry. Czy kiedykolwiek się pan modli, MacKenzie?

Roger spał się, jednak czując siłę uścisku Bonneta, nie starał się wyrwać. Mięśnie kończyn przygotowały się, ciało wiedziało wcześniej niż on, że nadszedł czas walki.

- Powiedziałem, że mądry człowiek nie zawraca sobie głowy rzeczami, nad którymi nie panuje, ale na tym statku, MacKenzie, ja panuję nad wszystkim. - Dłoń na przegubie zacisnęła się jeszcze mocniej. - I nad każdym.

Roger szarpnął się i uwolnił rękę. Wiedział, że nie ma co liczyć na pomoc czy ucieczkę. Poza statkiem świat nie istniał, a na statku... Bonnet miał rację, wszystko podlegało jego władzy. Jeśli zginie, nie pomoże to Morag, ale ten wybór nie należał już do niego.

- Czemu? - spytał Bonnet bez większego zainteresowania. - Kobieta nie jest specjalnie ładna. Człowiek tak wykształcony... Czy wystawisz na niebezpieczeństwo mój statek i całe przedsięwzięcie tylko dla jednego ciepłego ciała?

- Nie ma niebezpieczeństwa. - Zachrypnięty głos z trudem wydobywał się przez zaciśnięte gardło. „No, rzuć się na mnie - myślał, zwijając dłonie w pięści. - Rzuć się na

mnie i daj mi szansę zabrać cię ze sobą". - Dziecko nie ma ospy, tylko niewinną wysypkę.

- Wybaczysz, że przedłożę własne zdanie nad twoim, MacKenzie, ale to ja tu jestem kapitanem. - Głos wciąż był cichy, jednak trudno było nie usłyszeć zawartego w nim jadu.

- Przecież to dziecko, na litość boską.

- No właśnie, nie ma wartości.

- Może dla pana.

Zapanowała cisza, przerywana odległym szszsz... w mleczej bieli.

- A jaką wartość ma dla ciebie? - spytał bezlitosny głos. - Dlaczego?

Dla ciepłego ciała, tak, dla tego też. Dla odrobiny ludzkich uczuć, dla wspomnienia czułości, dla upartego trwania przy życiu w obliczu śmierci.

- Z litości - powiedział. - Jest biedna, nie miał kto jej pomóc.

Dopłynął do niego głęboki, aromatyczny dym cygara. Wciągnął go w płuca, czerpiąc z tego siłę.

Bonnet poruszył się, Roger także, przygotowując się. Nie musiał jednak odierać żadnego ciosu. Cień wsunął dłoń do kieszeni, wyjął garść drobiazgów, które w rozproszonym świetle lampy okazały się monetami, odrobinami śmieci i chyba jakimś klejnotem. Kapitan wyszukał srebrnego szylinga, a resztę wrzucił z powrotem do kieszeni.

- Ach, litość - westchnął. - Czy pan uprawia jakiś hazard, MacKenzie? Wyciągnął szylinga i upuścił go. Roger złapał monetę, czysto instynktownie.

- A zatem o życie tego małego - powiedział Bonnet, znów tonem rozbawienia. - Nazwijmy to zakładem dżentelmenów. Orzeł - dziecko żyje, reszka - dziecko umiera.

Moneta, którą trzymał w dłoni, była ciepła i twarda, nie pasowała do tego świata chłodu i mgły. Ręce Rogera lepiły się od potu, a jednak umysł zachował zimny i ostry.

Orzeł - żyje, reszka - umiera, pomyślał spokojnie i nie chodziło mu o dziecko na dole. Wyzначzył wysokość gardła i krocza Bonnet.

Złapać, szarpnąć, uderzyć... reling był tuż obok, a dalej puste królestwo wielorybów. W tych obliczeniach nie było miejsca na strach. Zobaczył, jak moneta leci, obracając się, zupełnie jakby wyrzuciła ją inna ręka, a następnie pada na pokład. Napiął mięśnie.

- Najwyraźniej Danu dziś panu sprzyja. - Miękki, irlandzki głos Bonnety wydawał się dobiegać z oddali. Kapitan pochylił się i podniósł monetę. Roger ledwo zaczął uświadamiać sobie, co się stało, gdy kapitan złapał go za ramię i obrócił. - Trochę pospacerujemy, MacKenzie.

Coś stało się kolanom Rogera - przy każdym kroku miał wrażenie, że nogi się pod nim załamują, a jednak trzymał się prosto i dotrzymywał kroku cieniowi. Statek milczał. Pokład pod jego stopami wydawał się oddalony o milę, natomiast morze było żywe i oddychało. Czuł ten oddech we własnych płucach, jak unosi się i opada razem z ruchem pokładu. Miał wrażenie, że jego ciało nie ma granic - mogło być drewnem pod stopami czy wodą, nic nie czuł.

Dopiero po chwili dotarło do niego, co Bonnet mówi, i z pewnym zadziwieniem zdał sobie sprawę, że

spokojnym, rzeczowym tonem kapitan opowiada mu swoje życie.

Został sierotą jako dziecko w Sligo. Szybko musiał nauczyć się walczyć o swoje. Pracował jako chłopiec okrętowy na statkach handlowych. Pewnej zimy jednak, gdy statków nie było zbyt wiele, znalazł pracę w Inverness na łądzie, przy kopaniu fundamentów wznoszonego pod miastem wielkiego domu.

- Miałem tylko siedemnaście lat - mówił Bonnet. - Byłem najmłodszy ze wszystkich robotników. Nie wiem, dlaczego mnie znienawidzili. Może chodziło o moje ordynarne zachowanie się - nie byłem dobrze wychowany. Może zazdrościli mi wzrostu i siły, bo oni w większości byli zastraszeni i bladzi. Może chodziło o to, że dziewczyny się do mnie uśmiechały. A może po prostu o to, że byłem tam obcy. W każdym razie wiedziałem, że mnie nie lubią. Nie wiedziałem jednak do jakiego stopnia, póki nie nadszedł dzień, gdy ukończyliśmy piwnicę i można było zacząć wznosić mury.

Bonnet przerwał i pociągnął cygaro. Kącikami ust wypuścił dym, który białymi smugami przepłynął mu obok głowy i zlał się z białą mgłą.

- Wykopaliśmy fundamenty - mówił dalej, trzymając w rękach cygaro - i zaczęliśmy budować mury. Wielki kamień węgielny był już na miejscu. Poszedłem zjeść kolację i akurat wracałem tam, gdzie sypiałem, gdy ku memu zaskoczeniu przyłączyło się do mnie dwóch chłopaków, z którymi pracowałam. Zdążyli już coś wypić, mieli butelkę, siedli na murze i namawiali, bym się z nimi napił.

Powinienem był być mądrzejszy, bo zachowywali się przyjacielsko, a nie robili tego nigdy wcześniej. Napilem się jednak, najpierw trochę, potem więcej i po krótkim czasie byłem kompletnie pijany. Nie miałem mocnej głowy, bo zawsze brakowało mi pieniędzy na mocny alkohol. Zanim się ściemniło, nie bardzo już wiedziałem, co się ze mną dzieje, nie przyszło mi więc do głowy, by się wyrwać, gdy ujęli mnie za ramiona i poprowadzili zaułkiem. Tam mnie złapali, przerzucili przez będącą w budowie ścianę i nagle, ku memu zaskoczeniu, znalazłem się na wilgotnej ziemi piwnicy, którą pomogłem wykopać. Wszyscy robotnicy tam byli i jeszcze jakiś człowiek. Jeden z robotników miał latarnię i w jej świetle widziałem, że to Głupek Joey. Głupek Joey był żebrakiem, mieszkał pod mostem, nie miał zębów, jadł zgniłe ryby i śmieci, które zdołał wyłowić z rzeki. Śmierdział potwornie. Byłem tak oszołomiony po whisky i upadku, że leżałem, nie ruszając się, i tylko trochę docierało do mnie to, o czym mówili. A właściwie się kłócili, bo ich szef złościł się na tych dwóch za przyprowadzenie mnie. Głupek wystarczy, powiedział, dla niego to miłosierdzie. Ale ci, którzy mnie przyprowadzili, mówili: nie, lepiej ten, ktoś może zauważyć, że nie ma żebraka, mówili.

Wtedy ktoś się roześmiał i powiedział: tak, co więcej, nie będą musieli mu zapłacić za ostatni tydzień. Wtedy zorientowałem się, że zamierzają mnie zabić. Już przedtem podczas pracy mówili, że fundamenty wymagają ofiary, by ziemia nie drżała i mury się nie zawaliły. Nie słuchałem jednak, zresztą nawet gdybym słuchał, nie przyszyłoby mi do głowy, że mówią o czymś więcej niż

odcięcie głowy kogutowi, bo zwykle tak to robiono.

Opowiadając to wszystko, Bonnet nie patrzył na Rogera, tylko wpatrywał się w mgłę, jak gdyby te wydarzenia znów rozgrywały się gdzieś za białą zasłoną.

Rogeroi ubranie przywarło do ciała, mokre z powodu mgły i zimnego potu. W żołądku miał zimną kulę, a smród dochodzący z ładowni z pasażerami równie dobrze mógłby być smrodem Głupka Joeya w piwnicy.

- Więc trochę się kłócili - mówił dalej Bonnet. - A żebrak zaczął się awanturować, bo chciał jeszcze pić. W końcu szef oznajmił, że nie warto tyle o tym mówić, po prostu rzuci monetę. Wyjął monetę z kieszeni i powiedział, śmiejąc się do mnie: To jak, człowieku, chcesz być orłem czy reszką? Zbyt mnie mdliło, bym zdołał wydusić z siebie choć słowo. Czarne niebo wirowało nade mną, a na granicy mego wzroku pojawiały się iskierki światła, jak spadające gwiazdy. Wybrał więc za mnie. Jeśli orzeł - będę żyć, jeśli reszką - umrę. I rzucił szylinga w powietrze. Moneta spadła na ziemię koło mojej głowy, ale nie miałem siły, by się odwrócić i popatrzeć. Pochylił się, stęknął i już więcej nie zwracał na mnie uwagi.

Spacer po pokładzie zaprowadził ich na rufę. Bonnet zatrzymał się tam, trzymając dłonie na relingu i w milczeniu paląc. W końcu wyjął cygaro z ust.

- Zaciągnęli Głupka Joeya pod mur, ten, który był wówczas budowany, i posadzili go na ziemi pod ścianą. Pamiętam głupi wyraz jego twarzy. Dostał pić i śmiał się razem z nimi, otwierał usta szeroko, wargi miał rozciągnięte i mokre jak cipa starej kurwy. W następnej chwili ze szczytu muru spuścili mu kamień na głowę i rozwalili mu ją.

Na włosach na karku Rogera zbierały się kropelki wilgoci. Czuł, jak spływają jedna za drugą wzdłuż kręgosłupa.

- Przekręcili mnie na brzuch i pobili - ciągnął rzeczowym tonem Bonnet. - Gdy doszedłem do siebie, leżałem na dnie łodzi rybackiej.

Rybak wysadził mnie na brzeg koło Peterhead i powiedział, że radzi mi znaleźć jakiś statek, bo jak widzi, nie powinienem żyć na ładzie. - Bonnet uniósł cygaro i lekko postukał palcem, by spadł popiół. - A jednak dali mi pieniądze za pracę. Znalazłem w kieszeni szylinga.

Ach, niewątpliwie, to byli uczciwi ludzie.

Roger oparł się o poręcz, ściskając drewno, jakby to była jedyna konkretna rzecz na świecie.

- Wrócił pan na ład? - spytał głosem tak nienormalnie spokojnym, jak gdyby należał do kogoś innego.

- Chodzi ci o to, czy ich odszukałem? - Bonnet odwrócił się i oparł o barierkę, zwrócony twarzą do Rogera. - Och, tak, po latach, kolejno każdego. Wszystkich znalazłem. - Otworzył dłoń, w której trzymał monetę, i wysunął ją przed siebie, kołyszac lekko, aż srebro zaśniło w świetle latarni.

- Orzeł - żyjesz, reszka - umierasz. Czy twoim zdaniem to sprawiedliwe, MacKenzie?

- Dla nich?

- Dla ciebie.

Miękki, irlandzki głos mówił tak obojętnie, jakby komentował pogodę.

Niby we śnie Roger poczuł, że szyling raz jeszcze

znalazł się w jego dłoni. Słyszał plusk wody przy burcie, słyszał nawoływania wielorybów, także oddech Bonnet'a, palącego cygaro. „Siedem wielorybów nakarmi Cirein Croina”.

- To sprawiedliwe - powiedział Bonnet. - Poprzednio miałeś szczęście, MacKenzie. Zobaczymy, czy Danu znów cię wspomogę, czy też tym razem spotkasz Pożeracza Dusz.

Mgła nad pokładem jeszcze zgęstniała, nie było widać nic oprócz żarzącego się czubka cygara Bonnet'a, jakby oka cyklopa. Być może ten człowiek jest samym diabłem i zamknął jedno oko na ludzkie nieszczęście, a drugie otworzył na ciemność. Roger stał, dosłownie, między diabłem a głębokim oceanem, jego los zaś lśnił mu srebrzyście na dłoni.

- To moje życie, więc ja rzucam - odezwał się i ze zdumieniem stwierdził, że głos ma spokojny i obojętny. - Reszka. Reszka należy do mnie. - Rzucił, złapał, klepnął mocno jedną ręką o grzbiet drugiej, chowając pod nią monetę i jej nieznany wyrok. Zamknął oczy i pomyślał o Briannie.

„Tak mi przykro” - powiedział do niej w myślach i uniósł dłoń. Nad skórą poczuł ciepły oddech, a potem chłodne miejsce po monecie. Nie ruszył się jednak, nie otworzył oczu. Dopiero po chwili zdał sobie sprawę, że jest sam.

CZĘŚĆ DZIEWIĄTA

Passionnement

40. Dziewicza ofiara

**Wilmington, kolonia Karolina Północna, 1
września 1769**

Był to już trzeci atak choroby Lizzie.

Po pierwszym uderzeniu gorączki doszła jakoś do siebie, a dodatkowy odpoczynek umożliwił dalszą podróż. Zdążyły jednak oddalić się zaledwie o dzień drogi od Charlestonu, a choroba zaatakowała ponownie. Brianna pętała konie i pospiesznie rozbiła obóz nad strumieniem. W nocy, po ciemku, musiała wielokrotnie zsuwać się z bagnistego brzegu i wdrapywać na niego ponownie, by przynieść wodę w niewielkim naczyniu. Wlewała ją między zaciśnięte zęby Lizzie i chłodziła jej rozgrzane ciało. Nie bała się ciemnego lasu ani zwierząt, natomiast sama myśl o tym, że Lizzie może umrzeć tu gdzieś w dziczy, daleko od jakiegokolwiek pomocy, była tak przerażająca, że Brianna rozważała powrót do Charlestonu, gdy tylko chora zdoła utrzymać się na koniu.

Nad ranem jednak gorączka spadła i choć Lizzie była słaba i blada, mogła jechać. Brianna wahała się, w końcu jednak postanowiła ruszyć dalej do Wilmington, nie zawracając. Kierował nią teraz dodatkowy impuls: musiała znaleźć matkę, nie tylko dla siebie, ale także i dla Lizzie.

Przez większą część szkolnego życia, spędzoną w ostatnich ławkach i w ostatnim rzędzie na fotografiach klasowych, Brianna żałowała, że jest wyższa od wszystkich koleżanek. Jednak w miarę dorastania zaczęła cenić korzyści wynikające ze wzrostu i siły. Im więcej czasu spędzała w tym nieszczęsnym miejscu, tym więcej ich dostrzegała.

Teraz oparła się ręką o łóżko, a drugą wyciągnęła nocnik spod białych pośladków Lizzie. Dziewczyna była drobna, ale zaskakująco ciężka. Półprzytomna, niespokojnie

jęczała i rzucała się po łóżku, aż nagle opanowały ją konwulsje, wywołane atakiem gorączki. Po chwili drgawki zaczęły stopniowo ustępować, choć Lizzie wciąż zaciskała zęby tak mocno, że ostre kości szczęki wydawały się przebijać przez skórę. Malaria - pomyślała Brianna nie wiadomo który już raz. To musi być malaria, skoro ataki wracają. Na karku Lizzie widać było kilka drobnych różowych kropek - pozostałość po komarach, które nękały ich, od kiedy „Phillip Alonzo” znalazł się blisko wybrzeża.

Dopłynęli do lądu zbyt daleko na południe i zmarnowali trzy tygodnie, krążąc po płytkich, przybrzeżnych wodach, zanim zawinęli do Charlestonu. Przez cały ten czas ściagały ich żadne krwi istoty.

- No jak, czujesz się trochę lepiej?

Lizzie słabo kiwnęła głową i próbowała się uśmiechnąć.

Wyglądała teraz jak biała myszka, która połknęła truciznę.

- Woda, kochanie, spróbuj choć łyżeczek. - Brianna uniosła kubek do ust Lizzie. Miała dziwne wrażenie deja vu i zdała sobie sprawę, że jej głos, ton i słowa są echem głosu, tonu i słów jej matki. Przyniosło jej to dziwną ulgę - jakby matka stała obok i przemawiała przez nią.

Gdyby to jednak była matka, za chwilę pojawiłaby się aspiryna o smaku pomarańczowym, mała pastylka, którą należało ssać i która była tyleż przysmakiem, co lekarstwem. Gorączka i ból ustępowały wówczas tak szybko, jak pastylka rozpuszczała się na języku. Brianna rzuciła ponure spojrzenie na złożone w kącie juki - oczywiście ani śladu aspiryny. Jenny włożyła jej co prawda

niewielkie zawiniątko czegoś, co nazywała rzeczami podstawowymi, ale podane Lizzie rumianek i mięta sprowokowały jedynie wymioty. Na malarię potrzebna była chinina, Brianna nie miała jednak pojęcia, czy jest to tu w ogóle nazywane chininą ani jak się ją podaje. Jednak malaria była starą chorobą, chinina zaś to lekarstwo pochodzenia roślinnego, więc lekarz powinien chyba czymś dysponować - niezależnie od tego, jak się to nazywa.

Jedynie nadzieja znalezienia pomocy lekarskiej sprawiła, że po drugim ataku Lizzie ruszyły dalej. Brianna bała się ponownie zatrzymywać, posadziła więc dziewczynę na koniu przed sobą i objęła ją ramionami. W ten sposób jechały razem, a koń Lizzie szedł obok.

Lizzie na zmianę trzęsła się, rozpalona gorączką, lub drżała od lodowatych dreszczy. Obie dotarły do Wilmington całkowicie wyczerpane.

Znalazły się tu w końcu, ale - jak się okazało - równie daleko od prawdziwej pomocy jak w lesie. Zaciskając wargi, Bree spojrzała na stolik przy łóżku, gdzie leżała szmata pokryta plamami krwi.

Gospodyni w tawernie rzuciła na Lizzie jedno spojrzenie i wezwała aptekarza. Choć matka opowiadała jej o prymitywnym poziomie medycyny i niedouczeniu tych, którzy ją praktykowali, na widok przybysza Brianna odczuła coś w rodzaju ulgi. Aptekarz był schludnie ubranym, młodym człowiekiem o pełnym życzliwości spojrzeniu, miał też czyste ręce. Stan jego wiedzy medycznej, jeśli chodzi o gorączkę, zapewne nie był gorszy niż jej. Co więcej, poczuła, że w opiece nad Lizzie nie jest już zdana tylko na siebie.

Skromność kazała jej wyjść z pokoju, gdy aptekarz ściągał prześcieradło, by zbadać pacjentkę. Dopiero słysząc słaby okrzyk, otworzyła drzwi i zobaczyła aptekarza trzymającego w dłoni lancet. Z ramienia Lizzie ciekła krew.

Dziewczyna była już biała jak kreda.

- Ależ trzeba usunąć humory, proszę pani - tłumaczył aptekarz, starając się osłonić siebie i ciało pacjentki. - Czy pani nie rozumie, trzeba usunąć humory! Jeśli tego nie zrobię, gorąca żółć zatruje jej organy i całkowicie wypełni ciało, a to spowoduje nieodwracalny uszczerbek na zdrowiu.

- Sam pan poniesie nieodwracalny uszczerbek na zdrowiu, jeśli pan nie wyjdzie - wycodziła Brianna przez zaciśnięte zęby. - Proszę się stąd w tej chwili wynosić!

Dbając bardziej o własną integralność cielesną niż zdrowie pacjentki, młody mężczyzna wyszedł z taką godnością, na jaką go było stać. Dopiero u stóp schodów zatrzymał się i zaczął wykrzykiwać ostrzeżenia.

Ostrzeżenia te rozbrzmiewały jej w uszach, gdy schodziła na dół, by z kotła w kuchni zaczerpnąć wody. Większość słów aptekarza, to, co mówił o humorach i złej krwi, świadczyła o całkowitej ignorancji.

Kilka jednak wracało, bo rozpoznawała w nich nieprzyjemną prawdę.

- Jeśli nie przyjmie pani rady, skaże pani swoją pokojówkę na śmierć! - wołał aptekarz, unosząc głowę ku podestowi schodów. - Nie wie pani, jak się nią zajmować!

Rzeczywiście nie wiedziała, nie wiedziała nawet na pewno, na co właściwie Lizzie choruje. Aptekarz mówił o gorączce malarycznej, gospodyni natomiast o

„przystosowaniu”. Nowi emigranci często chorowali, ponieważ zostali wystawieni na nieznanym przedtem zestaw nowych zarasków. Z uwag gospodyni Brianna wywnioskowała również, że emigranci często nie przeżywali tego okresu.

Miska przechyliła się, a gorąca woda chlusnęła jej na dłoń.

Tylko to miała do dyspozycji. Nie wiedząc, czy w studni za zajazdem woda jest czysta, Brianna uznała, że lepiej używać wrzątku, a następnie go schładzać, mimo że trwa to dłużej. W dzbanku zostało jeszcze trochę chłodnej wody, więc wlała odrobinę między suche, spękane wargi Lizzie, a potem położyła dziewczynę znów na łożku.

Obmyła jej twarz i szyję, ściągnęła kołdrę i zmoczyła lnianą koszulę nocną. Lizzie uśmiechnęła się słabo; powieki miała ciężkie, zamknęła więc oczy i zasnęła. Jej ciało rozluźniło się jak u szmacianej lalki.

Brianna miała wrażenie, że też jest pusta w środku. Przyciągnęła do okna jedyny stół i usiadła, opierając się na parapecie i bezskutecznie próbując zaczerpnąć świeżego powietrza. Od Charlestonu klimat był ciężki, panowała duchota, nic dziwnego, że biedna Lizzie tak łatwo poddała się chorobie.

Podrapała ugryzienie na własnym udzie; choć insekty nie atakowały jej tak bardzo jak Lizzie, też została ugryziona w kilku miejscach. Malaria jej nie groziła, bo wcześniej się na nią zaszczepiła, tak samo jak na tyfus, cholera i wszystko, co tylko przyszło jej do głowy. Nie było jednak szczepionek na takie choroby jak denga czy kilkanaście innych, kłębiących się w gęstym powietrzu jak

złośliwe duszki. Ile z nich było przenoszonych przez owady? Przymknęła oczy i oparła głowę o drewnianą framugę. Fałdami koszuli wytarła kropelki potu z dekoltu. Czowała własny zapach. Od jak dawna już nosi to ubranie? To nie miało znaczenia. Niewiele spała przez ostatnie dwie doby i czuła się zbyt zmęczona, by się rozebrać, nie mówiąc już o myciu się.

Gorączka Lizzie wydawała się ustępować, ale na jak długo? Jeżeli będzie powracać, z czasem zabije małą służącą. Już straciła wszystko, co przybrała na wadze podczas podróży statkiem, a jej jasna cera zaczynała wyglądać żółtawo. W Wilmington nie było co liczyć na pomoc. Brianna wyprostowała się, przeciągnęła i poczuła, jak kości jej trzeszczą. Zmęczona czy nie, musi zrobić jedno - jak najszybciej odnaleźć matkę.

Sprzedaj konie i znajdzie łódź, która zabierze je w górę rzeki.

Nawet jeśli gorączka powróci, na łodzi zdoła zajmować się Lizzie tak samo dobrze jak w tym gorącym i śmierdzącym pokoiku, a równocześnie będą zbliżać się do celu. Wstała i chlapnęła sobie wodą w twarz, przepoczone włosy podniosła do góry, zdjęła spodnie, cały czas na pół przytomnie robiąc plany. Łódź na rzece... na rzece przecież będzie chłodniej. Dostyc jeżdżenia konno. Po czterech dniach w siodle bolały ją mięśnie ud. Popłyną do Cross Creek i odnajdą Jokastę MacKenzie.

- Ciotka - mruknęła. Chwiejąc się lekko, sięgnęła po lampkę olejną. - Cioteczna babka Jokasta. - Wyobraziła sobie miłą, siwą staruszkę, która powita ją tak samo radośnie, jak powitano ją w Lallybroch. Rodzina. Dobrze

będzie znów mieć rodzinę. W jej myśli wdarł się Roger - często to robił ostatnio - ale nie zamierzała się nim teraz zajmować. Będzie miała czas o nim pomyśleć, gdy zakończy misję.

Nad płomieniem lampki zebrała się niewielka chmura muszek, na pobliskiej ścianie siedziały ćmy i ważki, odpoczywając po polowaniu.

Zgasiła lampkę palcami - płomień był niewiele gorętszy niż powietrze w pokoju - i po ciemku ściągnęła koszulę przez głowę.

Jokasta będzie dokładnie wiedziała, gdzie znajdują się Jamie Fraser i Claire.

Pomoże jej do nich dotrzeć. Po raz pierwszy od przejścia przez kamienie myślała o Jamiem Fraserze bez ciekawości i bez lęku. Teraz nic nie miało znaczenia - oprócz odnalezienia matki. Mama będzie wiedziała, co zrobić z Lizzie, mama będzie wiedziała, co zrobić ze wszystkim.

Rozłożyła na podłodze kołdrę i położyła się na niej nago. Zasnęła natychmiast. Śniły jej się góry pokryte czystym, białym śniegiem.

Następnego wieczoru sytuacja wyglądała lepiej. Gorączka rzeczywiście ustąpiła, tak samo jak przedtem, zostawiając Lizzie wyczerpaną i słabą, ale przytomną i na tyle chłodną, na ile to było możliwe w tym klimacie. Brianna, wzmocniona nocnym odpoczynkiem, umyła głowę i resztę ciała w misce, następnie zapłaciła gospodyni, by czuwała nad Lizzie, sama zaś, ubrana w spodnie i płaszcz, wyszła szukać transportu.

Zanim sprzedała konie za cenę, która wydawała jej

się godziwa, minęła większa część dnia. Przez cały ten czas musiała znosić zdumione spojrzenia mężczyzn, którzy z niejakim opóźnieniem zdawali sobie sprawę z jej płci. Usłyszała o człowieku nazwiskiem Viorst, który za opłatą przewoził pasażerów między Wilmington a Cross Creek. Nie znalazła go jednak przed zmrokiem, a mimo spodni nie zamierzała pałętać się po porcie w nocy. Wystarczy, jak zrobi to rano.

Pocieszające było również to, że gdy o zachodzie słońca wróciła do tawerny, znalazła Lizzie na dole. Gospodyni rozpieszczała ją, karmiąc kawałkami puddingu i potrawy z kurczaka.

- Czujesz się lepiej! - wykrzyknęła Brianna. Lizzie potaknęła, zadowolona.

- Tak, jest mi lepiej. Czuję się dobrze, a pani Smoots była tak miła, że pozwoliła mi wyprać całe nasze ubranie. Och, jak miło znów czuć się czysto! - Dotknęła chustki, najwyraźniej świeżo wyprasowanej.

- Nie powinnaś prać i prasować - rugała ją Brianna, siadając na ławie obok. - Zmęczysz się i znów rozchorujesz.

Lizzie spuściła wzrok, a w kącikach ust pojawił się nieco zarozumiały uśmiezek.

- Cóż, sądziłam, że nie będzie pani chciała spotkać swego taty w tak brudnym ubraniu. Od tego, co ma pani na sobie, lepsza byłaby suknia. - Wzrok małej pokojówki spoczął potępiająco na spodniach Brianny. Nie popierała upodobania swojej pani do męskiego przebrania.

- Jak spotkam mego tatę, co... Lizzie, czy coś słyszałaś? - Nagłym płomieniem rozpałała się w niej nadzieja.

Lizzie wyglądała na zadowoloną z siebie.

- Słyszałam, i to właśnie dlatego, że robiłam pranie.

Mój tata zawsze mówił, że cnota niesie nagrodę.

- Nie wątpię - powiedziała sucho Brianna. - Czego się dowiedziałas i jak?

- Cóż, właśnie rozwieszałam pani halkę, tę ładną z koronką...

Brianna chwyciła dzbanuszek z mlekiem i z groźnym wyrazem twarzy uniosła nad głową Lizzie. Ta zachichotała i odsunęła się lekko.

- Już dobrze, już mówię, mówię.

Gdy prała, jeden z gości zajazdu wyszedł na dwór wypalić fajkę i nawiązał z Lizzie rozmowę, chwając jej umiejętności. Następnie okazało się, że ten pan, który nazywał się Andrew MacNeill, nie tylko słyszał o Jamesie Fraserze, ale nawet dobrze go zna.

- Naprawdę? I co mówił? Czy ten MacNeill ciągle tu jest? Lizzie wyciągnęła rękę i robiła krótkie, uspokajające ruchy.

- Opowiadam tak szybko, jak mogę. Nie, nie ma go już.

Próbowałam go skłonić, by zaczekał, ale spieszył się na łódź, która odpływała do New Bern, i nie mógł zostać. - Była niemal tak podniecona jak Brianna; policzki co prawda zachowały bladość, ale czubek nosa się zarumienił. - MacNeill zna pani tatę i pani cioteczną babkę Cameron. Mówił, że to wielka dama, bardzo bogata, która ma wielki dom, dużo niewolników i...

- To teraz nieważne! Co mówił o moim ojcu? Czy wspomniał moją mamę?

- Claire - powiedziała Lizzie z tryumfem. - Pani mówiła, że tak ma na imię, prawda? Spytałam, a on odpowiedział, że tak, pani Fraser ma na imię Claire. Powiedział, że jest znakomitą uzdrowicielką, a czy pani nie mówiła, że pani mama jest doskonałym lekarzem?

Powiedział, że widział, jak operowała jakiegoś człowieka. Położyła go na stole, odcięła mu jaja, a potem przyszyła z powrotem. I to tam na miejscu. A wszyscy, którzy jedli na tym stole obiad, siedzieli i patrzyli.

- Tak, to na pewno moja mama. - W kącikach oczu zebrały jej się łzy, może od śmiechu. - Czy u nich wszystko w porządku? Czy widział ich ostatnio?

- Och, to najlepsza część moich wiadomości - Lizzie pochyliła się, a oczy zrobiły jej się wielkie, tak była przejęta znaczeniem swoich słów. - Pani tato, pan Fraser, jest w Cross Creek. Człowiek, którego zna, jest tam sądzony za napad i pani tata przyjechał, by za nim świadczyć. - Otarła chustką drobne kropelki potu ze skroni. - Pan MacNeill mówił, że sąd zbierze się dopiero w następnym poniedziałek, bo sędzia zachorował i inny musi przyjechać z Edenton, więc proces nie może się toczyć, dopóki tamten się nie pojawi.

Brianna odgarnęła opadające na twarz włosy i wypuściła oddech.

Nie miała odwagi uwierzyć w swoje szczęście.

- Następnym poniedziałek, a dziś jest sobota. Ciekawa jestem, jak długo potrwa podróż w górę rzeki?

Lizzie była niemal równie podniecona.

- Nie wiem, ale pani Smoots mówi, że jej syn już tam płynął, możemy go spytać.

Brianna okręciła się na ławie i spojrzała w głąb pokoju. Po zmroku do tawerny zaczęli napływać mężczyźni i chłopcy, zatrzymując się tu na drinka albo kolację w drodze z pracy do łóżka.

Na niewielkiej przestrzeni było ich już piętnastu czy dwudziestu.

- I który to młody Smoots? - spytała Brianna, wyciągając szyję.

- Ten tam, ten chłopak o miłych, brązowych oczach.

Przyprowadzę go tutaj, dobrze? - Lizzie z nową odwagą wysunęła się z za stołu i przepchnęła przez tłum.

Brianna wciąż trzymała dzbanuszek z mlekiem, ale nie naląła z niego do kubka. Gardło miała tak ściśnięte, że nic nie mogła przełknąć. Niewiele ponad tydzień!

Wilmington to małe miasto - pomyślał Roger. W ilu miejscach będzie musiał jej szukać? Oczywiście jeśli w ogóle tu jest. Uznał, że istnieje taka szansa. Pytania zadawane w tawernach w porcie New Bern pozwoliły uzyskać cenną informację, że „Phillip Alonzo” bezpiecznie dopłynął do Charlestonu zaledwie dziesięć dni przed przybiciem „Gloriany” do brzegu w Edenton.

Droga z Charlestonu do Wilmington mogła Briannie zająć od dwóch dni do dwóch tygodni, zakładając, że rzeczywiście tam właśnie zmierzała.

- Jest tutaj - mruknął. - Do diabła, wiem, że tu jest. - Czy jego przekonanie wynikało z dedukcji, intuicji, nadziei czy po prostu uporu, trzymał się go jak tonący marynarz wiosła.

Jemu samemu dość łatwo udało się przejechać z Edenton do Wilmington. Zatrudniony przy rozładunku

towaru z luku „Gloriany”, przeniósł skrzynie z herbatą do magazynu, postawił na ziemi, podszedł do drzwi i zajął się poprawianiem przepoconej chustki, owiniętej wokół głowy. Gdy tylko minął go kolejny tragarz, wyszedł na nadbrzeże, skręcił w prawo zamiast w lewo i w ciągu paru sekund znalazł się na wąskiej, brukowanej uliczce, prowadzącej od portu do miasta. Już następnego ranka znalazł pracę jako ładowacz na małym statku towarowym, przewożącym towary z Edenton do głównego składu w Wilmington, skąd miały trafić na większy statek, płynący do Anglii. W Wilmington znów bez chwili wahania zniknął ze statku.

Nie miał czasu do stracenia, musiał znaleźć Briannę.

Wiedział, że tu jest. Fraser's Ridge leżało w górach, więc będzie potrzebowała przewodnika, a o takiego najłatwiej w Wilmington. Jeśli tu jest, ktoś ją zauważył, mógł się o to założyć. Miał tylko nadzieję, że nie zauważył jej ktoś, kto nie powinien.

Szybki rekonesans wzdłuż głównej ulicy i w porcie pozwolił mu zliczyć dwadzieścia trzy tawerny. Boże, ci ludzie pili jak smok.

Istniała również możliwość, że wynajęła pokój w prywatnym domu.

Należało jednak zacząć od tawern.

Do wieczora sprawdził dziesięć z nich. Opóźniała go konieczność unikania byłych kompanów ze statku. Widząc tyle rzeczy do picia, a równocześnie nie mając zbędnego pensa, by sobie na to pozwolić, cierpiał pragnienie, poza tym nic nie jadł. Równocześnie jednak właściwie nie zwracał uwagi na ten fizyczny dyskomfort. W piątej tawernie spotkał człowieka, który ją widział. Pewna kobieta

w siódmej również wiedziała, o kogo pyta. Mężczyzna powiedział: „wysoki człowiek o rudych włosach”. Kobieta natomiast oznajmiła: „wielka dziewczyna ubrana w męskie spodnie” (było widać, że nie aprobeuje tego stroju), „szła ulicą na widoku wszystkich, z płaszczem przerzuconym przez ramię, każdy mógł sobie obejrzeć jej tyłek”.

Roger pomyślał ponuro, że gdyby to on miał szansę zobaczenia tego tyłka, wiedziałby, co z nim zrobić. Poprosił kobietę o kubek wody i ruszył dalej z nową determinacją.

Zanim się ściemniło, zdążył odwiedzić pięć kolejnych tawern.

Były teraz pełne ludzi, łatwo więc stwierdził, że wysoka, ruda dziewczyna w męskim ubraniu od niemal tygodnia stanowiła temat rozmów. Ton niektórych uwag sprawił, że ze wściekłości krew napłynęła mu do głowy. Nie rzucił się na nikogo tylko dlatego, że bał się aresztowania.

I tak zresztą z piętnastej tawerny wyszedł po gniewnej wymianie słów z dwoma pijakami. Rozpierała go wściekłość. Czy ta kobieta nie ma za grosz rozsądku, czy nie ma pojęcia, do czego bywają zdolni mężczyźni?

Staął na środku ulicy i wytarł twarz rękawem, zastanawiając się, co robić dalej. Musiał kontynuować, choć jeśli wkrótce nie znajdzie czegoś do jedzenia, padnie na twarz na ulicy.

„Pod Niebieskim Bykiem” - stwierdził. Gdy wcześniej tamtędy przechodził, zajrzał do stodoły i zobaczył wysoki stos czystego siana.

Wyda pensa czy dwa na obiad, to może właściciel pozwoli mu przespać się w stajni, kierowany chrześcijańskim miłosierdziem.

Zawracając, zauważył szyld po drugiej stronie ulicy, widniał na nim napis: „«Wilmington Gazetteer», właściciel - Jno. Gillette". Jedna z niewielu gazet w kolonii Karolina Północna. Jedna ze zbyt wielu - zdaniem Rogera. Zwalczył chęć złapania za kamień i rzucenia w okno Jno. Gillette'a. Zamiast tego zerwał przepoconą chustkę z głowy i starając się nadać sobie nieco bardziej przyzwoity wygląd, skręcił ku rzece oraz tawernie „Pod Niebieskim Bykiem".

Była tam.

Siedziała przy kominku, pogrążona w rozmowie z młodym człowiekiem, którego uśmiech Roger chętnie zmaszałby pięścią.

Związane włosy rzucały błyski, odbijając światło płomieni. Roger zatrzasnął za sobą drzwi tak głośno, że odwróciła się, zaskoczona.

Ruszył w jej kierunku, Brianna zaś patrzyła na brodatego nieznajomego. Po sekundzie w jej oczach dostrzegł błysk rozpoznania, potem radość, a w końcu uśmiechnęła się szeroko.

- Och, to ty - powiedziała i w tym samym momencie wyraz jej oczu się zmienił - zdała sobie nagle sprawę z tego, kogo widzi.

Krzyknęła. Był to głośny krzyk, pełnymi płucami. Wszyscy pijący w tawernie odwrócili się nagle w jej stronę.

- Niech cię diabli! - Pochylił się przez stół i złapał ją za ramię. - Co ty do diabła wyprawiasz?

Zbladła jak prześcieradło, w okrągłych oczach malował się szok.

Szarpnęła się próbując się uwolnić.

- Puść mnie!

- Nie ma mowy! Chodź ze mną, i to już! Przepisnął się obok stołu, złapał ją za drugie ramię, szarpnięciem postawił na nogi, okręcił i pchnął przed sobą ku drzwiom.

- MacKenzie. - Do diabła, był to jeden z marynarzy ze statku towarowego. Roger spojrział na niego niechętnie, nakazując mu wzrokiem, by się nie wtrącał. Na szczęście mężczyzna był i mniejszy, i starszy niż Roger. Zawahał się, jednak nie ustąpił, szczególnie że czuł poparcie zgromadzonych. - Co robisz tej dziewczynie, MacKenzie? Zostaw ją. - W tłumie dało się wyczuć poruszenie.

Mężczyźni odstawiali na kontuar swoje kubki i zbliżali się, przyciągnięci kłótnią. Musiał się stąd wydostać od razu, bo za chwilę nie będzie już mógł.

- Powiedz im, że wszystko w porządku. Powiedz im, że mnie znasz - szepnął Briannie do ucha.

- Wszystko w porządku - powtórzyła za nim Brianna, głosem zachrypłym na skutek szoku, ale dość głośno, by przebił się przez narastający gwar. - Wszystko w porządku, znam go. - Marynarz cofnął się nieco, wyraźnie pełen wątpliwości. Chuda dziewczyna, siedząca w kącie przy kominku, skoczyła na równe nogi. Widać było, że jest przerażona, jednak odważnie złapała kamionkową butelkę od piwa i najwyraźniej zamierzała cisnąć nią w Rogera. Jej wysoki głos przebił się przez podejrzliwe pomruki zgromadzonych.

- Panno Bree, przecież nie pójdzie pani z tym czarnym złoczyńcą!

Brianna wydała z siebie dźwięk, który mógł być śmiechem, lecz także objawem hysterii. Podniosła rękę i wbiła paznokcie w grzbiet dłoni Rogera. Zaskoczony

rozluźnił uchwyt, ona zaś wyrwała się z jego uścisku.

- Wszystko w porządku - powtórzyła bardziej zdecydowanie do zgromadzonych. - Znam go. - Drobnym gestem pokazała dziewczynie, żeby odeszła. - Lizzie, idź do łóżka, ja... ja wrócę trochę później. - Okręciła się na pięcie i ruszyła bardzo szybko ku drzwiom. Roger posłał zgromadzonym groźne spojrzenie, by nikt nie odważył się wtrącać, i podążył za nią. Czekala tuż za drzwiami. Natychmiast wbiła mu palce w ramię z taką siłą, że raczej nie był to objaw radości. - Co ty tu robisz?! - niemal krzyknęła.

Oderwał jej dłoń i mocno ścisnął palce.

- Nie tutaj - rzucił. Ujął ją za ramię i pociągnął wzdłuż drogi w cień dużego kasztanowca. Niebo wciąż nie było całkiem ciemne, ale nisko zwieszające się gałęzie, sięgające niemal ziemi, pozwalały schować się w cieniu przed wzrokiem ciekawskich.

Gdy tylko znaleźli się pod drzewem, obróciła się ku niemu gwałtownie.

- Co ty tu robisz, na litość boską?

- Szukam ciebie, głupia. I co, na litość boską, ty tutaj robisz? I to w takim stroju! - Zdążył rzucić tylko krótkie spojrzenie na jej spodnie i koszulę, ale to wystarczyło.

W ich czasach ubrania były tak luźne, że często nie zdradzały płci. Teraz jednak, po miesiącach oglądania kobiet wyłącznie w długich spódnicach i arisaid, jej wyraźnie zarysowane nogi - długie uda, łuk łydek - wydawały mu się tak nieprzyzwoite, że chciałby ją okręcić jakimś prześcieradłem.

- Ty cholerna kobieto, równie dobrze mogłabyś

chodź po ulicy nago!

- Nie bądź idiotą. Co ty tu robisz?

- Powiedziałem ci. Szukam cię.

Złapał ją za ramiona i mocno pocałował. Strach, gniew i ulga, że ją jednak odnalazł, zlały się w jedno - w potężne pragnienie. Aż się trząsł. Ona także przywarła do niego, drżąc w jego ramionach.

- Wszystko w porządku - szepnął. Schował twarz w jej włosach. - Wszystko w porządku, jestem tu, zajmę się tobą.

Szarpnęła się, wysunęła z jego ramion.

- Wszystko w porządku?! - zawołała. - Jak możesz tak mówić?

Na litość boską, przecież jesteś tutaj!

Trudno było nie usłyszeć przerażenia w jej głosie. Złapał ją za ramię.

- A gdzie, do diabła, miałbym być, skoro uciekłaś w tę cholerną pustkę?! Rzykujesz głowę i... dlaczego to zrobiłaś?

- Szukam rodziców, cóż innego miałabym tu robić?

- To wiem, na litość boską. Chodzi mi o to, dlaczego nie powiedziałas mi, co zamierzasz?

Ponownie wyszarpnęła ramię z uścisku i mocno uderzyła go w pierś.

- Bo nie pozwoliłbyś mi pójść! Dlatego. Starałbyś się mnie zatrzymać, co więcej...

- Masz cholerną rację, że starałbym się. Boże drogi, zamknąłbym cię w pokoju albo związał. Ze wszystkich idiotycznych pomysłów...

Uderzyła go otwartą dłonią w policzek.

- Zamknij się!

- Ty cholerna kobieto, czy naprawdę sądzisz, że pozwoliłbym ci odejść w pustkę, a sam zostałbym w domu, czekając cierpliwie, gdy ty przechadzasz się z gołym brzuchem po rynku? Za kogo ty mnie masz?

Raczej wyczuł jej ruch, niż dostrzegł, i złapał ją za przegub, zanim zdążyła uderzyć ponownie.

- Nie jestem w nastroju, dziewczyno. Uderz mnie raz jeszcze i, na Chrystusa, stłukę cię na kwaśne jabłko!

Zwinęła drugą rękę w pięść i uderzyła go w brzuch, szybko jak atakująca żmija. Chciał jej oddać, ale zamiast tego wsunął dłoń w jej włosy i pocałował jak tylko potrafił najmocniej. Usiłowała się wywinąć, walczyła z nim, wydając siebie zduszone okrzyki, lecz nie odpuszczał. Po chwili zaczęła oddawać mu pocałunki. Razem opadli na kolana; objęła go ramionami za szyję, on zaś przycisnął ją ciałem do wysłanej liśćmi ziemi pod drzewem. Po chwili płakała w jego ramionach, dusząc się i łapiąc powietrze. Łzy spływały jej po twarzy.

Trzymała go mocno w objęciach.

- Dlaczego? - szlochała. - Dlaczego musiałeś za mną pójść? Czy nie zdawałeś sobie sprawy? Co my teraz zrobimy?

- Zrobimy z czym? - Nie był pewien, czy płacze ze złości, czy strachu. Wydawało mu się, że z jednego i drugiego naraz.

Spojrzała na niego przez rozrzucone włosy.

- Mówię o powrocie! Musisz mieć kogoś, żeby wrócić, kogoś, na kim ci zależy. Jesteś jedyną osobą, którą tam kochałam. Byłeś jedyną osobą. Jak teraz mogę wrócić,

jeśli jesteś tu, i jak ty możesz wrócić, jeśli i ja jestem tutaj?

Zamarł nieruchomo, zapominając o strachu i gniewie. Złapał ją mocno za przeguby, by nie uderzyła go ponownie.

- To dlatego mi nie powiedziałaś? Ponieważ mnie kochasz? Jezus Maria!

Puścił jej ręce i przycisnął do ziemi własnym ciałem. Objął jej twarz dłońmi i próbował ponownie pocałować. Nagle szarpnęła biodrami, objęła go nogami i ścisnęła, niemal łamiąc mu zebra.

Przetoczył się na plecy, pociągając ją za sobą. Wsunął jej dłoń we włosy i przyciągnął w dół.

- Przestań. Co to ma być, zapasy?

- Puść moje włosy - pokręciła głową, próbując się wyzwolić. - Nienawidzę, jak ktoś mnie ciągnie za włosy.

Puścił ją, zamiast tego przesunął dłonią wzdłuż jej karku, dotknął pulsującej żyły na szyi. Puls walił jej jak młot pneumatyczny, tak samo jak jemu.

- A lubisz, jak cię ktoś dusi?

- Nie.

- Ja też nie, więc zabierz mi ramię z szyi, dobrze?

Cofnęła się bardzo powoli. Wciąż trudno mu było oddychać, ale nie dlatego, że go dusiła. Po prostu nie chciał puszczać jej szyi. Nie dlatego, że bał się, że znów mu ucieknie. Po prostu musiał jej dotykać.

Zbyt wiele czasu upłynęło. Złapała go za przegub, jednak nie odepchnęła jego ręki. Czuł, jak przełyka.

- Powiedz to, chcę to usłyszeć - szepnęła.

- Kocham cię - wycedziła przez zaciśnięte zęby. - Zrozumiałeś?

- Tak, zrozumiałem. - Ujął delikatnie dłońmi jej twarz i przyciągnął do siebie. Poddała się, opuszczając się na drżących ramionach. - Jesteś pewna?

- Tak. I co my teraz zrobimy? - Zaczęła płakać.

„My”. Powiedziała „my”. Powiedziała, że jest pewna. Roger leżał na ziemi w kurzu, brudny i głodny, trzymając kobietę, która drżała i szlochała na jego piersi, a od czasu do czasu uderzała go pięścią.

Nigdy w życiu jeszcze nie czuł się tak szczęśliwy.

- Ciii - szeptał, kołysząc ją lekko. - Wszystko w porządku, jest inny sposób. Wrócimy, nie martw się, zaopiekuję się tobą.

W końcu zmęczyła się płaczem i leżała w zgięciu jego ramienia, ciągnąc nosem i walcząc z czkawką. Na koszuli miał dużą, mokrą plamę. Ukryte na drzewie cykady, które przedtem milczały przestraszone hałasem, teraz ostrożnie podjęły pieśń.

Brianna uwolniła się i usiadła, szukając czegoś w ciemności.

- Muszę wysmarkać nos - oznajmiła zduszonym głosem. - Masz może chusteczkę?

Podał jej wilgotną szmatkę, którą związywał włosy. Zaczęła wycierać nos, on zaś uśmiechnął się w ciemności.

- To brzmi, jakbyś wyciskała krem do golenia.

- A kiedyż to widziałeś krem do golenia po raz ostatni? - Znów się na nim położyła, chowając głowę w łuku jego ramienia, i podniosła dłoń, by dotknąć jego szczęki. Golił się dwa dni wcześniej, od tamtej pory nie było ani czasu, ani okazji. Jej włosy lekko pachniały trawą, choć już nie sztucznymi kwiatami. Najwyraźniej był to jej naturalny

zapach.

Westchnęła głęboko i zacisnęła ramię wokół Rogera.

- Tak mi przykro - powiedziała. - Nie chciałam, żebyś za mną szedł, ale... ale, Roger, strasznie się cieszę, że tu jesteś.

Pocałował ją w skroń. Była wilgotna i słona od potu i łez.

- Ja też - zapewnił i przez chwilę wszystkie niebezpieczeństwa i ciężkie chwile minionych dwóch miesięcy wydały mu się mało ważne. Poza jednym. - Jak długo to planowałaś? - spytał. Właściwie mógł sam jej to powiedzieć, niemal co do dnia. Od kiedy jej listy zaczęły się zmieniać.

- Och, jakieś sześć miesięcy - potwierdziła jego domysły. - Od ferii wielkanocnych, gdy pojechałam na Jamajkę.

- Tak? - Na Jamajkę, a nie do Szkocji. Prosiła, by jej towarzyszył, ale odmówił, głupio dotknięty, że nie uważała za oczywiste przyjechać do niego.

Odetchnęła głęboko.

- Ciągle miałam sny - powiedziała. - O moim ojcu. Ojcach. O obu.

Sny były zaledwie fragmentami. Jakieś obrazy twarzy Franka Randalla, od czasu do czasu dłuższe fragmenty, w których widziała matkę. A czasami wysoki, rudy mężczyzna, który - jak wiedziała - jest jej ojcem. Nieznanym i nigdy niewidzianym.

- Był szczególnie jeden taki sen... - Śniła o nocy gdzieś w tropikach, na polach wysokich, zielonych roślin, które mogły być trzciną cukrową. A na horyzoncie coś się

palilo. - Słyszałam bębny, wiedziałam, że coś się ukrywa, coś czeka w trzcinie, coś okropnego.

Moja matka tam była, piła herbatę z krokodylem. - Roger jęknął i Brianna powiedziała ostro: - To był sen, pamiętaj. A potem wyszedł spomiędzy trzcin. Nie mogłam dobrze zobaczyć jego twarzy, bo było ciemno. Widziałam jednak, że ma rude włosy. Gdy poruszał głową, odbijały się w nich miedziane iskierki.

- Czy to on był tą straszną rzeczą w trzcinie? - spytał Roger.

- Nie. - Słyszał szelest jej włosów, gdy pokręciła głową. Zapadła już noc, Brianna zaś była jedynie ciężarem, słodkim ciężarem na jego piersi, miękkim głosem obok, odzywającym się z cienia. - Stał między moją mamą a tą okropną rzeczą. Nie widziałam jej, ale wiedziałam, że tam jest, że czeka. - Brianna wzdrygnęła się, a Roger objął ją mocniej.

- Potem wyczułam, że mama zamierza wstać i pójść wprost ku tej rzeczy. Starłam się ją zatrzymać, ale nie słyszała mnie, nie widziała mnie. Zwróciłam się więc do niego i krzyknęłam, by szedł razem z nią, uratował ją od tego, co tam jest. I on mnie zobaczył. - Dłoń spoczywająca na ramieniu Rogera zacisnęła się mocno. - Naprawdę zobaczył mnie i usłyszał... i wtedy się obudziłam.

- Tak? - Roger był sceptyczny. - I dlatego pojechałaś na Jamajkę i...

- Zaczęłam myśleć - przerwała mu ostro. - Szukałeś i po tysiąc siedemset siedemdziesiątym szóstym roku nie mogłeś ich znaleźć nigdzie w Szkocji. Nie mogłeś znaleźć ich w żadnym spisie emigrantów do kolonii. To wtedy

powiedziałaś, że twoim zdaniem powinniśmy się poddać, że niczego więcej już się nie dowiemy.

Roger cieszył się, że ciemność ukryła jego rumieniec winy.

Szybko pocałował ją w czubek głowy.

- Ale ja się zastanawiałam. To miejsce, gdzie widziałam ich we śnie, znajdowało się w tropikach. Może pojechali do Indii Zachodnich?

- Szukałem - powiedział Roger. - Sprawdziłem listy pasażerów wszystkich statków, które wypłynęły z Edynburga lub Londynu pod koniec lat sześćdziesiątych i na początku siedemdziesiątych osiemnastego wieku. Statków płynących gdziekolwiek, mówiłem ci przecież - dodał.

- Wiem, ale jeśli nie byli pasażerami? Dlaczego ludzie płynęli wtedy do Indii Zachodnich - dlaczego teraz płyną, znaczy się? - Głos jej się lekko załamał, gdy zdała sobie sprawę z tego, co mówi.

- Głównie chodziło o handel.

- No właśnie, więc może popłynęli na statku handlowym? Wtedy ich nazwisko nie znalazłoby się na liście pasażerów.

- Okej - powiedział powoli. - To prawda, nie znalazłoby się, ale jak wtedy ich szukać?

- Rejestry magazynów portowych, księgi rachunkowe plantacji, listy przewozowe... Całe lato spędziłam w bibliotekach i muzeach. I znalazłam ich. - Głos się jej załamał.

Boże, widziała tę informację.

- Tak? - przynaglił ją, starając się zachować spokój. Zaśmiała się nieco drżąco.

- Niejaki kapitan James Fraser ze statku „Artemida” sprzedał pięć ton guana plantatorowi w Montego Bay drugiego kwietnia tysiąc siedemset sześćdziesiątego siódmego roku.

Roger parsknął śmiechem, jednocześnie jednak zaprotestował.

- Kapitan statku? Po tym, co twoja matka mówiła o chorobie morskiej twego ojca? Nie chciałbym odbierać ci odwagi, ale muszą być setki Jamesów Fraserów. Skąd wiesz, że...

- To prawda, ale pierwszego kwietnia kobieta nazwiskiem Claire Fraser kupiła niewolnika na targu niewolników w Kingston.

- Co takiego?

- Nie wiem, dlaczego, ale jestem pewna, że miała ku temu jakiś powód - powiedziała Brianna zdecydowanym tonem.

- Oczywiście, ale...

- Papiery podawały, że niewolnik nazywał się Temeraire i miał tylko jedną rękę, więc był dość charakterystyczny, prawda? W każdym razie zaczęłam szukać w starych gazetach, nie tylko z Indii Zachodnich, ale wszystkich południowych kolonii. Szukałam tego imienia. Moja matka nie trzymałaby niewolnika. Gdyby go kupiła, to na pewno by go jakoś uwolniła, natomiast w lokalnych gazetach czasami drukowano imiona wyzwolenców. Liczyłam, że znajdę, gdzie go uwolniono.

- I znalazłaś?

- Nie - zamilkła na chwilę. - Znalazłam... znalazłam coś innego.

Wiadomość o ich... śmierci. Moich rodziców.

Choć wiedział, że musiała to znaleźć, doznał szoku, słysząc to z jej ust. Przyciągnął ją mocno do siebie i objął ramionami.

- Gdzie, jak?

Powinien był wiedzieć. Nie słuchał teraz jej zduszonych wyjaśnień, bo cały czas przeklinał w głowie siebie samego. Powinien był wiedzieć, że jest zbyt uparta, by dać za wygraną. Wtrącając się, osiągnął jedynie to, że uciekła w tajemnicy, a on za to zapłacił miesiącami zmartwienia.

- Ale mamy czas - powiedziała. - W wiadomości podano rok tysiąc siedemset siedemdziesiąty szósty, zdążymy ich znaleźć. - Westchnęła. - Tak się cieszę, że tu jesteś. Martwiłam się, że odkryjesz moją nieobecność, zanim zdążę wrócić. Nie wiedziałam, co wtedy zrobisz.

- To, co rzeczywiście zrobiłem... Wiesz - podjął po chwili lekkim tonem - znam faceta, który ma dwuletnie dziecko. Mówi, że nigdy w życiu nie znalazłby usprawiedliwienia dla maltretowania dzieci, ale, na Boga, rozumie, dlaczego niektórzy ludzie tak postępują. Mam podobne uczucia na temat bicia żon.

Ciężar na jego piersi roześmiał się cicho.

- O co ci właściwie chodzi?

Przesunął dłonią po jej plecach i mocno złapał jeden pośladek.

Pod luźnymi spodniami nie nosiła bielizny.

- Chodzi mi o to, że gdybym był człowiekiem tej epoki, a nie mojej własnej, nic nie sprawiłoby mi większej przyjemności niż przejechanie ci pasem po tyłku.

Najwyraźniej nie uznała tego za poważną groźbę. Co więcej, wydawało mu się, że ją to bawi.

- Ale skoro nie jesteś z tej epoki, to tego nie zrobisz? Czy też zrobiłbyś, ale nie sprawiłoby ci to przyjemności?

- Och, sprawiłoby - zapewnił ją. - Bardzo by mi się podobało walnięcie cię kijem.

Rzeczywiście się śmiała. Nagle odsunął ją i usiadł.

- O co ci tym razem chodzi?

- Sądziłem, że znalazłaś kogoś innego. Twoje listy w ostatnich miesiącach... a potem ten ostatni. Byłem pewien. To dlatego chętnie bym cię stłukł, nie za to, że kłamałaś czy odeszłaś, nic mi nie mówiąc.

Tylko za to, że przez ciebie nabrałem przekonania, że cię straciłem.

Przez chwilę milczała. Z ciemności wysunęła się dłoń, która bardzo delikatnie dotknęła jego twarzy.

- Przepraszam - powiedziała cicho. - Nie chciałam, żebyś tak myślał. Chodziło mi tylko o to, żebyś się nie dowiedział przedwcześnie. - Obróciła głowę w jego kierunku. - A właściwie skąd się dowiedziałeś?

- Twoje skrzynie. Przesłano je do Oksfordu.

- Co? Przecież mówiłam, żeby wysłali je dopiero pod koniec maja, kiedy będziesz w Szkocji.

- I byłbym, gdyby nie fakt, że w ostatniej chwili wyskoczyła mi konferencja i zatrzymała w Oksfordzie. Paki przysłano dzień przed moim wyjazdem.

Drzwi tawerny otworzyły się nagle z hałasem i przez jasny prostokąt wejścia na dwór wysypała się grupa ludzi. Tuż obok ich schronienia rozbrzmiały rozmowy i odgłosy kroków. Ani Roger, ani Brianna nie odezwali się, póki

wszystkie dźwięki nie ucichły. W ciszy, która znów zapanowała, słyhać było, jak kasztan spada przez liście i odbija się od pobliskiej gałęzi.

Brianna odezwała się lekko zachrypniętym głosem.

- Sądziłeś, że znalazłam sobie kogoś innego, a jednak podążyłeś za mną? Westchnął. Gniew zniknął tak nagle, jak się pojawił.

- Ruszyłbym za tobą, nawet gdybyś została żoną króla Syjamu, cholerna kobieto.

W ciemnościach widział jedynie bladą sylwetkę, która pochyliła się po kasztan i siedziała cicho, bawiąc się nim. W końcu Brianna odetchnęła głęboko i powoli wypuściła powietrze.

- Mówiłeś coś o biciu żony? Zamarł na chwilę, tak samo jak cykady.

- Powiedziałaś, że jesteś pewna. Mówiłaś poważnie?

Znów zapadła cisza, długa jak uderzenie serca, długa jak wieczność.

- Tak - odrzekła miękko.

- W Inverness powiedziałem...

- Powiedziałeś, że chcesz mnie całą albo wcale, a ja powiedziałam, że rozumiem. Jestem pewna.

Podczas szamotaniny jej koszula wysunęła się ze spodni, a teraz powiewała lekko w słabym, gorącym wietrze. Dotknął nagiej skóry, która pod jego ręką pokryła się gęsią skórką. Przyciągnął Briannę blisko, przesunął dłońmi pod koszulą po nagich plecach i nagich ramionach, schował twarz w jej włosach, w jej szyi, pytając bez słów, czy naprawdę mówi poważnie.

Chwyciła go za ramiona i odchyliła się do tyłu,

nalegająco. Tak, naprawdę. Odpowiedział nadal bez słów, rozpinając jej koszulę, rozsuwając na boki. Miała białe, miękkie piersi.

- Proszę - powiedziała. Zsunęła dłoń na jego kark, przyciągając go bliżej. - Proszę.

- Jeśli wezmę cię teraz, to na zawsze - wyszeptał.

Z trudem oddychała, ale siedziała nieruchomo, pozwalając mu swobodnie błądzić dłońmi.

- Tak - odrzekła.

Drzwi tawerny znów się otwały, a oni, zaskoczeni, odsunęli się od siebie. Roger puścił Briannę i wstał. Wyciągnął dłoń, by pomóc jej się podnieść, a potem czekał, trzymając jej dłoń w swojej, aż głosy umilkną w oddali.

- Chodź - poprosił i schylając się, przeszedł pod nisko zawieszonymi gałęziami.

Ciemna, spokojna szopa znajdowała się w pewnej odległości od tawerny. Zatrzymali się na zewnątrz, czekając, ale z zajazdu nie dochodziły żadne dźwięki. Wszystkie okna na piętrze były ciemne.

- Mam nadzieję, że Lizzie poszła spać.

Zastanowił się przez chwilę, kim jest Lizzie, ale nic go to nie obchodziło. Teraz widział wyraźnie twarz Brianny, choć noc zmyła kolor jej skóry. Wygląda jak Arlekin - pomyślał. Białe płaszczyzny policzków przecinały cienie, rzucane przez liście, twarz obrzeżona była ciemnymi włosami, a oczy miały kształt czarnych trójkątów nad ostro zarysowanymi, szerokimi ustami. Ujął jej dłoń.

- Czy wiesz, na czym polega małżeństwo zwyczajowe?

- Niezupełnie. To jakiś rodzaj nieformalnego

związku?

- Nie całkiem. Na wyspach i w co bardziej odległych rejonach gór, skąd było daleko do najbliższego kapłana, mężczyzna i kobieta mogli zawrzeć taki związek zwyczajowy, ślubując być razem przez rok i dzień. Pod koniec tego okresu znajdowali kapłana i zawierali małżeństwo sakramentalne albo się rozstawali.

Zacisnęła rękę na jego dłoni.

- Nie chcę niczego przejściowego.

- Ja też nie, nie sądzę jednak, by łatwo udało nam się znaleźć księdza. Nie ma tu jeszcze kościołów. Najbliższy jest zapewne w New Bern. - Uniósł ich złączone dłonie. - Powiedziałem, że chcę cię całą, i jeśli nie kochasz mnie dość, by wyjść za mnie...

Ścisnęła palce.

- Kocham.

- W porządku.

Odetchnął głęboko i zaczął:

- Ja, Roger Jeremiaś, biorę sobie ciebie, Brianno Ellen, za małżonkę. Mymi dobrami cię obdarzam, moim ciałem cię wielbię... - Czuł, jak ręka Brianny drgnęła. Ktoś, kto ułożył tę przysięgę, doskonale rozumiał požądanie. - ...w zdrowiu i w chorobie, w dobrej i złej doli, dopóki śmierć nas nie rozłączy. - „Jeśli składam taką przysięgę, to jej dotrzymam, niezależnie, ile mnie to będzie kosztowało”. Czy ona też teraz o tym myśli?

Opuściła dłoń, wciąż trzymając palce splecione z palcami Rogera, i przemówiła zdecydowanie:

- Ja, Brianna Ellen, biorę sobie ciebie, Rogerze Jeremiaśu... - Jej głos był niemal tak cichy jak bicie jego

serca, ale usłyszał każde słowo. Bryza, która nadleciała od morza, zaszeleściła liśćmi na drzewie, uniosła jej włosy. - ...dopóki śmierć nas nie rozłączy.

To zdanie znaczyło teraz dla nich obojga znacznie więcej - pomyślał - niż znaczyłoby jeszcze kilka miesięcy wcześniej. Przejście przez kamienie musiało każdemu uświadomić, jak kruche jest życie.

Zapadła cisza, przerywana jedynie szelestem liści i odległym gwarem głosów, dobiegającym z zajazdu. Uniósł jej dłoń do ust i pocałował w palec serdeczny, gdzie pewnego dnia, jeśli Bóg pozwoli, znajdzie się obrączka.

Była to raczej duża szopa niż stodoła, choć na końcu, za przegrodą, ruszało się jakieś zwierzę - koń albo muł. Powietrze wypełniał silny, czysty aromat chmielu, który tłumił słabszy zapach siana i odór gnoju. W tawernie „Pod Niebieskim Bykiem” warzono własne piwo. Roger czuł się pijany, ale nie na skutek alkoholu. W środku było bardzo ciemno, a zdejmowanie z Brianny ubrania niosło tyleż frustracji, co rozkoszy.

- A ja sądziłem, że ślepi całymimi latami rozwijają w sobie zmysł dotyku - mruknął.

Ciepły oddech jej śmiechu przesunął mu się po policzku i dalej, drażniąc włoski na karku.

- Jesteś pewien, że to nie jest jak w tym wierszu o pięciu ślepcach i słoniu? - spytała. Jej dłonie również prowadziły poszukiwania.

Znalazły rozpięcie koszuli wsunęły się do środka. - „Nie, to zwierzę jest jak mur” - zacytowała. Z ciekawością badała palcami wrażliwą skórę wokół jego sutków. - I to owłosiony. Co więcej, mur z gęsią skórą.

Znów się roześmiała, on zaś pochylił się i od razu znalazł jej usta, bezbłędnie jak nietoperz, który chwyta w powietrzu ćmę.

- Amfora - mruknął, nie odrywając się od jej warg. Przesunął dłońmi po szerokich, słodkich biodrach, delektując się ich chłodną i twardą gładkością, ponadczasową i pełną wdzięku jak starożytna ceramika, jak grecka waza. - Boże, masz najpiękniejszą w świecie pupę.

Drżała przy nim. Śmiech przewędrował z jej warg w jego krwiobieg, jak wirus. Przesunęła mu dłońmi po biodrach i wróciła do góry. Długie palce znalazły zapięcie spodni, zawahały się, a potem z coraz większą pewnością wyszarpały mu koszulę zza pasa.

- Przestań się śmiać.

- „Nie, to zwierzę jest jak lina”... o...

- Hej, do diabła, przestań się śmiać!

- ...jak wąż... nie... no, może kobra... Cholera, jak go można nazwać?

- Znałem raz faceta, który nazywał go Szczęściarzem - powiedział, czując, że kręci mu się w głowie - ale jak na mój gust to zbyt wyrafinowane. - Złapał ją za ramiona i znów pocałował, długo, by zapomniiała o porównaniach.

Wciąż drżała, tym razem jednak nie był to chyba śmiech. Objął ją i przytulił, jak zwykle zaskoczony jej wzrostem - zaskoczony jeszcze bardziej teraz, gdy była naga, a skomplikowane płaszczyzny mięśni i kości przekładały się w jego ramionach na bezpośrednie doznanie.

Musiał odetchnąć. Me był pewien, czy bardziej przypomina mu to topienie się, czy wspinaczkę wysokogórską, ale niezależnie od wszystkiego potrzebował

tlenu.

- Nigdy dotychczas nie udało mi się całować dziewczyny bez pochylania się - powiedział, równocześnie starając się zaczerpnąć powietrza.

- Och, to dobrze, nie chcielibyśmy, żeby ci zeszywniała szyja. - W jej głosie znów słyszał drzenie. Tym razem zdecydowanie był to śmiech, choć wynikał zapewne w równej mierze z rozbawienia, co ze zdenerwowania.

- Cha, cha. - Piersi miała wysokie i krągłe. Przyciskały mu się do torsu z tą mieszanką miękkości i twardości, która go tak intrygowała.

Wsunęła dłoń między ich ciała, ale wycofała się.

Nie mógł się zmusić do oderwania od niej warg na tyle długo, by rozebrać się do końca, ale odchylił się, by mogła zsunąć mu spodnie.

Były luźne, więc po prostu opadły mu z bioder, a on wystąpił z nich, nie puszczając jej ani na chwilę. Jęknął tylko, gdy znów poczuł na sobie jej dłoń.

Na obiad musiała jeść cebulę. Niemożność dostrzeżenia czegokolwiek wyostrzyła nie tylko zmysł dotyku, ale także smaku i zapachu. Czuł pieczone mięso, piwo i chleb, a także jakiś słaby, słodki smak, którego nie był w stanie zidentyfikować, a który kazał mu myśleć o zielonych, rozgrzanych słońcem łąkach. Czy rzeczywiście był to smak, czy zapach jej włosów, nie potrafił powiedzieć. Granica między zmysłami rozmywała się, tak samo jak granica między nimi.

Oddychał jej oddechem, czuł bicie jej serca jak własnego. Trzymała go nieco za mocno, więc w końcu

odsunął się od niej, ciężko oddychając.

- Czy puściłabyś go na chwilę? Rzeczywiście nadaje się jako uchwyt, ale ma też lepsze zastosowania. - Zamiast puścić, osunęła się na kolana. Roger cofnął się, zaskoczony.

- Czy jesteś pewna, że tego chcesz? - Sam nie wiedział, czy ma na to ochotę. Czuł, jak jej włosy łaskoczą mu uda, nie chciał jednak jej przestraszyć ani wzbudzić w niej obrzydzenia.

- A ty? - Przesuwała mu dłońmi po udach, badając, łaskocząc; czuł każdy włos na swoim ciele, od kolan po pas. Miał wrażenie, że zmienił się w satyra.

- Nie myłem się od wielu dni - powiedział, niezręcznie próbując się odsunąć.

Brianna zdecydowanie wetknęła mu nos w brzuch, głęboko oddychając. Skórę pokrywała jej gęsia skórka, a jej drżenie nie miało nic wspólnego z panującą w szopie temperaturą.

- Dobrze pachniesz - szepnęła. - Jak duży samiec.

Wsunął palce w jej gęste, jedwabiste włosy i mocno przyciągnął.

- Masz rację - szepnął i rozluźnił uścisk. Czuł, jak jej włosy ocierają się o jego brzuch, członek i uda, a potem przestał w ogóle myśleć, bo cała krew odpłynęła mu z głowy.

- Czy robię wszystko jak trzeba?

- Och... co? - Roger z trudem zebrał myśli. - Tak... tak mi się wydaje.

- Wydaje ci się? Nie wiesz? - Brianna najwyraźniej dochodziła do siebie w takim samym tempie, w jakim on tracił przytomność.

Słyszał śmiech w jej głosie.

- No... nie. To znaczy ja... No... nikt nigdy... Tak, tak sądzę. - Wydawało mu się, że Brianna mruczy, że gdzieś z jej trzewi wydobywa się jakiś dźwięk, ale być może była to jego własna krew pędząca w żyłach i bulgocąca na gwałtownych zakrętach. Odsunął się i zanim zdążyła zaprotestować, podniósł ją, a następnie położył na sianie, gdzie przedtem rzucił jej ubranie.

Oczy przyzwyczyły mu się już do ciemności, ale światło gwiazd padające przez okno było wciąż tak słabe, że widział jedynie zarys jej ciała, białego jak marmur, lecz bynajmniej nie zimnego. Absolutnie nie zimnego. Zabrał się do dzieła z mieszkanką podniecenia i ostrożności. Nie miał dużego doświadczenia, próbował tylko raz.

Wtedy spotkał się z zestawem kobiecych środków higienicznych, które pachniały jak kwiaty w kościele jego ojca w niedzielę, i absolutnie nie był to zapach zachęcający. Brianna nie była higieniczna. Pachniała tak, że najchętniej dałby sobie spokój z całą grą wstępną i dał się ponieść czystej żądzy. Zamiast tego odetchnął głęboko i pocałował ją tuż nad ciemną kępką włosów.

- Cholera!

- O co chodzi? - Usłyszał niepokój w jej głosie. - Czy bardzo śmierdzą? Zamknął oczy i wciągnął powietrze. W głowie kręciło mu się lekko od połączenia pożądania i śmiechu.

- Nie. Tylko że od ponad roku zastanawiam się, jakiego koloru masz tu włosy. A teraz, gdy mam je przed oczyma, wciąż nie mogę rozróżnić barwy.

Zachichotała, aż brzuch zdrzął jej lekko pod jego

dłonią.

- Czy mam ci powiedzieć?

- Nie. Niech to będzie poranna niespodzianka. - Pochylił głowę, zaskoczony wielością tak różnych faktur na tak małej przestrzeni: gładkości szkła, łaskoczącej szorstkości, elastyczności i tej nagłej śliskości, w której łączyło się piżmo i sól. Po chwili poczuł, jak Brianna lekko opiera dłonie na jego głowie, jakby w błogosławieństwie. Miał nadzieję, że nieogolone policzki nie ranią, ale najwyraźniej jej to nie przeszkadzało. Jęknęła tylko cicho, a brzuch i biodra zdrząły. - Czy robię to jak należy? - spytał żartobliwie, podnosząc głowę.

- Och tak, niewątpliwie. - Wsunęła mu palce we włosy.

Znów opuścił głowę, ale natychmiast podniósł ją gwałtownie, patrząc wzdłuż białej linii jej ciała ku twarzy.

- A skąd ty to właściwie możesz wiedzieć? - zapytał.

Odpowiedziała jedynie śmiechem. Już leżał koło niej, nie mając pojęcia, jak się tam właściwie znalazł. Wargi na wargach, ciało przyciśnięte do ciała... był świadom jedynie emanującego z niej ciepła.

Już znają nawzajem swój smak. Nie potrafił się dłużej powstrzymać... A jednak się zmusił. Była chętna, ale niedoświadczona. Próbowwała unieść biodra. Dotykała go zbyt szybko, zbyt lekko. Ujął jej dłonie i oparł sobie o tors. Sutki mu stwardniały.

- Słuchaj mego serca - wyszeptał z trudem. - Powiedz mi, jeśli przestanie bić.

Nie zamierzał właściwie żartować, zaskoczyło go więc, że się roześmiała nerwowo, ale zaraz zamilkła, gdy ją

dotknął. Zaciśnęła dłonie na jego piersi, a potem odprężyła się i otworzyła dla niego.

- Kocham cię - wymruczał - och, Bree, tak bardzo cię kocham!

Nie odpowiedziała. Uniosła tylko dłoń i dotknęła delikatnie jego policzka. Nie zabrała jej, gdy w nią wchodził, a drugą ręką wciąż trzymała jego serce.

Czuł się jeszcze bardziej pijany niż przedtem. Nie śpiący jednak czy nieprzytomny - wręcz przeciwnie, zmysły miał wyostrzone. Czuł własny pot. Czuł jej pot. Czuł nawet odrobinę strachu, która towarzyszyła jej pragnieniu. Zamknął oczy i oddychał. Zaciśnął dłonie na jej ramionach, nacisnął lekko. Poczul, jak się otwiera, i przygryzł wargę. Wstrzymał się, ale wbiła mu paznokcie w pierś.

- Dalej! - szepnęła.

Jedno mocne pchnięcie - i znalazł się w niej. Tak został, z zamkniętymi oczyma, oddychając ciężko, na granicy rozkoszy tak ostrej, że niemal bolesnej. Nieprzytomnie zastanawiał się, czy ten ból był jej bólem.

- Czy bardzo cię boli?

- Nie, właściwie nie. Tylko... czy możesz się przez chwilę nie ruszać?

- Przez chwilę, przez godzinę. Przez całe życie, jeśli chcesz. - Wydawało mu się, że brak ruchu go zabije, ale umierałby chętnie.

Przesunęła powoli dłońmi po jego plecach. Dotknęła jego pośladków.

Zadrzał i opuścił głowę. Z zamkniętymi oczyma, w myślach pokrywając jej twarz tuzinem pocałunków.

- Już dobrze - szepnęła mu do ucha, a on zaczął się

poruszać jak automat, możliwie jak najwolniej, dostosowując się do nacisku jej dłoni na plecach. Sztywniała lekko i odprężała się. Sztywniała i odprężała się. Wiedział, że ją przyprawia o ból, że powinien przestać, ale uniosła ku niemu biodra, on zaś wydał z siebie głęboki, zwierzęcy dźwięk. Teraz, to musiało być teraz, musiał...

Drżąc i łapiąc powietrze jak wyrzucona na brzeg ryba, uwolnił się od jej ciała i położył obok, czując na piersiach jej piersi.

Znieruchomiał, już nie pijany, ale spowity pełnym winy spokojem.

Czuł, jak ogarnia go ramionami, a jej szept owiewał mu ucho ciepłem.

- Kocham cię - powiedziała chrapliwie w przesiąkniętą zapachem chmielu ciemność. - Zostań ze mną.

- Całe życie - odrzekł i przyciągnął ją do siebie.

Leżeli spokojnie obok siebie, połączeni wspólnym potem, wsłuchując się w swoje oddechy. Roger w końcu uniósł twarz, zanurzoną dotychczas w jej włosach. Miał wrażenie, że jego ręce i nogi są równocześnie lekkie jak piórko i ciężkie jak ołów.

- Wszystko w porządku, kochanie? - szepnęła. - Czy cię nie boli?

- Boli, ale to mi nie przeszkadza. - Przesunęła mu lekko dłonią wzdłuż pleców. Zadrżał mimo upału. - Czy wszystko było w porządku? Czy zrobiłam to tak jak trzeba?

- Och Boże! - Pochylił głowę i pocałował ją, długo i namiętnie.

Lekko się spięła, ale po chwili jej usta zmiękły.

- Czyli wszystko było w porządku?

- O Jezu!

- Jak na syna duchownego to dużo kniesz - powiedziała z nutą oskarżenia. - Może te stare damy w Inverness miały rację - rzeczywiście poszedłeś do diabła?

- To nie bluźnierstwo - zaprotestował. Oparł czoło o jej ramię.

Wdychał jej - ich - głęboki zapach. - To modlitwa dziękczynna.

To ją rozbawiło.

- A więc wszystko było w porządku - odetchnęła z wyraźną ulgą.

Uniósł głowę.

- Chryste, oczywiście! - wykrzyknął, co znów doprowadziło ją do śmiechu. - Jak mogłaś myśleć, że nie?

- Cóż, nic nie mówiłeś. Po prostu leżałeś, jakby ktoś walnął cię w głowę. Myślałam, że może się czujesz rozczarowany.

Teraz to on się roześmiał.

- Nie - powiedział w końcu i odetchnął głęboko. - Jeśli mężczyzna zachowuje się, jakby ktoś pozbawił go kręgosłupa, możesz uznać, że jest usatysfakcjonowany. Nie jest to może po dżentelmeńsku, ale przynajmniej uczciwie.

- Och! Okej! - Przyjęła to wyjaśnienie. - W książce nic o tym nie mówiono, ale to nic dziwnego. Nie opisywano, co się dzieje później.

- O jakiej książce mówisz? - Poruszył się ostrożnie, a ich skóry odkleiły się od siebie z młaśnięciem. - Przepraszam. - Sięgnął ręką po koszulę i podał jej.

- Zmysłowy mężczyzna. - Wzięła od niego koszulę i wytarła się.

- Było tam dużo o kostkach lodu i bitej śmietanie. To wydawało mi się dość ekstremalne, ale dobrze opisywali takie rzeczy jak fellatio i...

- Nauczyłaś się tego z książki? - Roger wydawał się tak zgorszony jak panie z kongregacji jego ojca.

- No, nie sądzisz chyba, że robię to z każdym, z kim się umawiam. - Wydawała się naprawdę zaszokowana.

- Piszą książki, mówiące młodym kobietom, jak... To okropne!

- A co w tym takiego okropnego? Skąd inaczej wiedziałabym, co robić?

Roger przesunął dłonią po twarzy, nie wiedząc, co powiedzieć.

Godzinę wcześniej zdecydowanie stwierdziłby, że opowiada się za równością seksualną. Jednak pod powłóczką nowoczesności najwyraźniej tkwiła w nim duża dawka syna prezbiteriańskiego duchownego, bo czuł, że miła młoda kobieta w noc poślubną naprawdę powinna być zupełnie niewprowadzona w temat.

Zdecydowanie odsuwając od siebie ten wiktoriański punkt widzenia, Roger przesunął dłonią po gładkich, białych krzywiznach biodra i brzucha, aż po miękką, pełną pierś.

- Nie, nie - powiedział - tylko jest w tym coś więcej.
- Pochylił głowę, by dotknąć ustami jej ust, i lekko przygryzł jej dolną wargę.

Poruszyła się nagle i przytuliła całym ciałem, aż zadrżał.

- To mi pokaż - szepnęła i ugryzła go w ucho.

Gdzieś w pobliżu zapał kogut. Brianna obudziła się z lekkiej drzemki i skarciła się za ten sen. Czowała się

wytrącona z równowagi, zmęczona, lekko kręciło jej się w głowie. Miała wrażenie, że unosi się kilkanaście czy kilkadziesiąt centymetrów nad ziemią. Równocześnie jednak nie chciała stracić ani chwili.

Roger poczuł jej ruch i również się przebudził. Wyciągnął rękę, objął ją ramieniem i przetoczył się, wpasowując się za jej leżące ciało.

Kolana za kolanami, brzuch za pośladkami. Odsunął z twarzy jej włosy.

Kochali się trzykrotnie. Była obolała i bardzo szczęśliwa.

Wyobrażała to sobie tysiące razy i za każdym razem wyobrażała sobie niewłaściwie. Po prostu nie sposób było wyobrazić sobie tej przerażającej potrzeby oddania się, wykroczenia poza granice ciała, pozwolenia na wejście. Nie mogła też wcześniej wyobrazić sobie poczucia mocy, jaką to niosło.

Spodziewała się, że będzie bezradna, że będzie przedmiotem pożądania. Zamiast tego trzymała go, czuła, jak drży, jak panuje nad swoją siłą, bojąc się ją zranić. Ona zaś była władna przełamać jego obronę, mogła go dotykać i podniecać, wzywać i nim rządzić. Nie sądziła też nigdy, że może istnieć taka czułość jak wtedy, gdy krzyknął i drzał w jej ramionach, przytulając czoło do jej czoła, zawierzając się jej w tej chwili, gdy jego siła tak nagle zamieniła się w bezradność.

- Przepraszam - szepnął jej do ucha.

- Za co? - Też sięgnęła, by dotknąć jego uda. Mogła to teraz zrobić. Mogła wszędzie go dotykać, badać fakturę i smak jego ciała.

Nie mogła się doczekać światła dnia, by obejrzeć go nagiego.

- Za to. - Uczynił drobny ruch ręką, obejmując otaczającą ich ciemność, twarde siano pod spodem. - Powinienem był zaczekać.

Chciałem, by było ci dobrze.

- Było mi bardzo dobrze - zapewniła cicho. Roześmiał się nieco żałośnie.

- Chciałem, byś miała prawdziwą noc poślubną, miękkie łóżko, czystą pościel. Byłoby lepiej jak na twój pierwszy raz.

- Miewałam już miękkie łóżka i czystą pościel - zaprotestowała. - Nie miałam natomiast tego. - Obróciła się w jego ramionach, sięgnęła w dół i ujęła w dłonie jego męskość, tę fascynującą, zmienną masę między jego nogami. Na moment zeszywniał, ale pozwolił jej dotykać się, jak chciała. - Nie mogłoby być lepiej - powiedziała miękko i pocałowała go.

Oddał jej pocałunek delikatnie i leniwie, badając jej usta, pozwalając jej na to samo. Jęknął lekko i odsunął jej dłoń.

- Zabijesz mnie, Bree.

- Przepraszam - powiedziała niespokojnie. - Czy zbyt mocno naciskałam? Nie chciałam sprawić ci bólu.

Roześmiał się.

- Nie o to chodzi, ale pozwól biedakowi trochę odpocząć, co?

- Roger?

- Tak?

- Chyba nigdy nie byłam tak szczęśliwa.

- Naprawdę? To dobrze. - Miał senny głos.

- Nawet jeśli... nawet jeśli nie wrócimy, to jeśli będziemy razem...

- Wrócimy. Mówiłem ci, jest inny sposób. - Objął dłonią jej pierś.

- Naprawdę?

- Tak sędzę. - Opowiedział jej o księdze czarów, tej mieszance starannych notatek i bezsensownych słów, a także o własnym przejściu przez kamienie na Craigh na Dun. - Za drugim razem myślałem o tobie - powiedział cicho i przesunął palcem po jej twarzy.

- Przeżyłem i pojawiłem się we właściwej epoce, ale diament, który dała mi Fiona, został mi w kieszeni tylko w postaci rozmazanej sadzy.

- A zatem można to jakoś kontrolować? - Brianna nie potrafiła ukryć nuty nadziei w głosie.

- Być może - zawahał się. - Był tam, w tej księdze... to chyba jakiś wiersz, a może to miało być zaklęcie. - I wyrecytował:

Wznoszę mój sztylet ku północy,
gdzie znajduje się dom mojej siły,
ku zachodowi,
gdzie znajduje się dom mojej duszy,
ku południu,
gdzie chroni się przyjaźń i ucieczka,
ku wschodowi,
skąd wstaje słońce.

Potem kładę ostrze na ołtarzu, który zbudowałam.
Siadam wśród trzech płomieni.

Trzy punkty określają płaszczyznę, a ja jestem

nieruchoma.

Cztery punkty określają ziemię, i do mnie należy jej pełność.

Pięć to liczba ochrony, niech żaden demon mnie nie powstrzyma.

Moja lewa ręka pokryta jest złotem
i trzyma moc słońca.

Moja prawa ręka. pokryta jest srebrem
i księżyc pogodny króluje.

Zaczynam.

Granaty miłośnie obejmują mi szyję.

Będę wierna.

Brianna usiadła i otoczyła kolana ramionami. Przez chwilę nic nie mówiła.

- To jakieś wariactwo - odezwała się w końcu.

- Fakt, że ktoś jest nienormalny, niestety nie stanowi o tym, że nie ma racji - powiedział Roger. Przeciągnął się, jęknął i usiadł po turecku na sianie. - Część z tego to tradycyjny rytuał, tak mi się wydaje. Biorąc pod uwagę, że tradycja pochodzi od starożytnych Celtów, ten fragment o kierunkach dotyczy czterech wiatrów, które pojawiają się w celtyckich legendach. Jeśli zaś chodzi o ostrze, ołtarz i płomień, to po prostu czary.

- Dźgnęła męża w serce i podpaliła go - Brianna wciąż tak samo jak on pamiętała smród benzyny i palonego ciała w kręgu Craigh na Dun. Wzdrygnęła się, choć w szopie było gorąco.

- Mam nadzieję, że nie będziemy musieli składać ludzkiej ofiary.

- Roger zaśmiał się, próbując nieskutecznie obrócić

to w żart. - Ale metal i klejnoty... Czy miałś z sobą jakąś biżuterię, gdy przechodziłaś?

Skinęła głową.

- Bransoletkę od ciebie i perły mojej babci w kieszeni, ale perłom nic się nie stało, dobrze zniosły podróż.

- Perły to nie kamienie - przypomniał jej. - Są organiczne, jak ludzie. - Potarł twarz dłonią. Miał za sobą długi dzień, zaczynała go boleć głowa. - Natomiast srebro i złoto... Miałś srebrną bransoletkę, a w naszyjniku oprócz pereł jest złoto. Ach, a twoja mama też nosiła srebro i złoto, prawda? Miała obrączki.

- Tak, ale trzy punkty określają płaszczyznę, cztery punkty wyznaczają ziemię, pięć to liczba opieki... - Brianna mruzczała cicho. - Czy to oznacza, że potrzeba kamieni szlachetnych, by zrobić to, co ona próbowała? Czy to są te punkty?

- To możliwe, miała rysunki trójkątów i pentagramów, a także listy różnych kamieni szlachetnych z przypisanymi do nich rzekomo magicznymi właściwościami. Nie przedstawiała swoich teorii szczegółowo. Nie musiała, bo przecież spisywała to dla siebie. Ale ogólna koncepcja była taka, że istnieją linie sił, które przecinają Ziemię. Od czasu do czasu linie te zbliżają się gdzieś do siebie i tworzą coś na kształt węzłów. W miejscu, gdzie powstaje taki węzeł, czas właściwie nie istnieje.

- Więc jeśli wchodzi się w węzeł, można z niego wyjść w dowolnym momencie.

- W to samo miejsce, ale w inny czas. A jeśli się wierzy, że kamienie szlachetne mają własną siłę, która może

niecio odchylić tę linię...

- Czy to może być dowolny kamień szlachetny?

- Bóg jeden wie - powiedział Roger. - Ale tylko taką mamy szansę, prawda?

- Tak - przytaknęła po chwili Brianna. - Ale gdzie mamy je znaleźć? - Machnęła ręką w kierunku miasta i portu. - Nie widziałam tu nic takiego. Ani w Inverness, ani tu. Pewnie trzeba by pojechać do dużego miasta, do Londynu, może Bostonu czy Filadelfii. No i... ile masz pieniędzy, Roger? Mnie udało się zgromadzić dwadzieścia funtów i wciąż mam większość tej sumy, ale to nie wystarczy na...

- No właśnie - przerwał jej. - Myślałem o tym, gdy spałaś.

Wiem... wydaje mi się, że wiem, gdzie mogę znaleźć przynajmniej jeden kamień szlachetny. Chodzi o to... - zawahał się. - Musiałbym pojechać po niego od razu, by go znaleźć. Człowiek, który go ma, jest teraz w New Bern, ale nie będzie tam długo. Jeśli dasz mi trochę pieniędzy, rano znajdę statek i pojutrze będę już w New Bern.

Najlepiej chyba jednak, żebyś tu została, wtedy...

- Nie mogę tu zostać.

- Czemu nie? - Sięgnął po nią w ciemność. - Nie chcę, żebyś ze mną jechała. A raczej chcę - poprawił się - wydaje mi się jednak, że tu jest dla ciebie bezpieczniej.

- Nie o to mi chodzi, czy chcę z tobą jechać, tylko o to, że nie mogę tu zostać. - Chwyciła go za rękę. Niemal zapomniała, ale teraz całe podniecenie, wynikające z odkrycia, znów do niej wróciło. - Roger, znalazłam go, znalazłam Jamiego Frasera!

- Frasera? Gdzie? Tutaj? - Zaskoczony, zwrócił się ku drzwiom.

- Nie, jest w Cross Creek i wiem, gdzie będzie w poniedziałek.

Muszę jechać. Roger, nie rozumiesz? Jest tak blisko, a ja przyjechałam z tak daleka... - Nagle irracjonalnie zachciało jej się płakać na samą myśl, że znów zobaczy matkę.

- Tak, rozumiem - w głosie Rogera był lekki niepokój. - A nie mogłabyś poczekać kilka dni? Morzem do New Bern to tylko jeden dzień i tyle samo, żeby wrócić. Wydaje mi się, że uda mi się zrobić to, co muszę, w ciągu dnia czy dwóch.

- Nie, nie mogę - powiedziała. - Chodzi o Lizzie.

- Kto to jest Lizzie?

- Moja pokojówka, widziałeś ją. Zamierzała dać ci po głowie butelką. - Brianna roześmiała się na to wspomnienie. - Lizzie jest bardzo odważna.

- No, tak, niewątpliwie - przytaknął Roger sucho. - Ale jednak...

- Ona jest chora - przerwała mu Brianna. - Nie zauważyłeś, jak bardzo jest blada? Wydaje mi się, że to malaria. Ma ataki strasznej gorączki na zmianę z napadami dreszczy. Atak trwa mniej więcej dzień, potem ustępuje na parę dni, i znów wraca. Muszę jak najszybciej znaleźć mamę, po prostu muszę.

Czuła, jak walczy sam z sobą. Wyciągnęła w ciemności rękę i pogłaskała go po twarzy.

- Muszę - powtórzyła miękko i poczuła, że Roger ustępuje.

- W porządku - zgodził się. - W porządku. Przyjadę do ciebie, jak zdołam najszybciej, ale zrób coś dla mnie, dobrze? Proszę, noś suknię.

- Nie podobają ci się moje spodnie? - Roześmiała się. Nagle przerwała, bo coś przyszło jej do głowy. - Roger, co ty właściwie zamierzasz zrobić? Ukraść ten kamień?

- Tak - powiedział po prostu.

- Nie rób tego. Nie rób tego, Roger.

- Nie martw się o człowieka, który go ma. Mogę się założyć, że on z kolei ukradł go komuś innemu.

- Nie o niego się martwię, tylko o ciebie.

- Och, nic mi nie będzie - zapewnił ją, udając dzielność.

- Roger, w tych czasach wieszali ludzi za kradzież!

- Nie złapią mnie. - Jego dłoń wyszukała w ciemności jej dłoń i ścisnęła. - Wrócę, zanim się zorientujesz, że mnie nie ma.

- Ale to nie...

- Wszystko będzie dobrze - rzekł uspokajająco. - Powiedziałem, że się tobą zajmę, i tak będzie.

Podniósł się na łokciu i uniemożliwił dalszą rozmowę, zamykając jej usta swoimi. Bardzo powoli przyciągnął ją do siebie. Przełknęła, a ramiona nagle pokryły jej się gęsią skórą.

- Mmm - wymruczał przy jej ustach i nie czekając na odpowiedź, pociągnął ją w dół na siano i przetoczył się na nią, wsuwając jej kolano między nogi.

- Wiesz - odezwał się Roger jakiś czas później sennym głosem - wydaje mi się, że właśnie ożeniłem się z moją cioteczną babką w szóstej linii. Tak mi to przyszło do

głowy.

- Co takiego?

- Nie martw się, to nie tak bliskie pokrewieństwo, by można mówić o kazirodztwie.

- O, to dobrze - odrzekła z wyraźnym sarkazmem. - Naprawdę mnie to nękało. Jak, na litość boską, mogę być twoją cioteczną babką?

- Cóż, jak powiedziałem, właśnie na to wpadłem. Przedtem nie zdawałem sobie z tego sprawy, ale wujem twojego ojca był Dougal MacKenzie, a to wywołał cały problem, robiąc dziecko Geillis Duncan, prawda?

Rogeroi przyszło to do głowy w kontekście nieskutecznej metody antykoncepcyjnej, jaką był zmuszony zastosować, uznał jednak, że taktowniej będzie teraz o tym nie wspominać. Biorąc wszystko pod uwagę - pomyślał - dobrze, że Dougal MacKenzie nie przejmował się takimi sprawami, bo w przeciwnym razie Rogera nie byłoby na świecie.

- No, chyba nie byłaby to tylko jego wina. - Brianna też miała rozespany głos. Zbliżał się już chyba świt, bo ptaki na dworze zaczynały szczebiotać, powietrze zaś robiło wrażenie świeższego, bo od strony portu napłynął wiatr. - Więc jeśli Dougal jest moim stryjecznym dziadkiem, a twoim prapraprapradziadkiem... nie, nie masz racji. Jestem twoją kuzynką w szóstej czy siódmej linii, a nie twoją ciotką.

- Nie, byłabyś kuzynką, gdybyśmy byli w tym samym pokoleniu, licząc od przodków, ale nie jesteśmy. Wyprzedzasz mnie o jakieś pięć... w każdym razie od strony ojca.

Brianna nie odpowiedziała, starała się bowiem ułożyć to sobie w głowie, poddała się jednak i przetoczyła z lekkim jękiem. Wsunęła pupę w łuk utworzony przez jego brzuch i uda.

- Do diabła z tym wszystkim. Skoro jesteś pewien, że to nie kazirodztwo... Przycisnął ją do siebie, lecz rozespany umysł nie chciał odpuścić.

- W gruncie rzeczy przedtem wcale o tym nie myślałem, ale wiesz, co to oznacza? Że jestem także spokrewniony z twoim ojcem.

Co więcej, wydaje mi się, że jest on moim jedynym żyjącym krewnym. - To odkrycie obudziło w Rogerze zażenowanie i wzruszenie. Już dawno pogodził się z myślą, że nie ma żadnej bliskiej rodziny. Nie znaczy to co prawda, że cioteczny dziadek w siódmej linii jest bliską rodziną, jednakże...

- Nie, nie jest - mruknęła Brianna.

- Czym nie jest?

- Nie jest jedynym. Jest też Jenny, jej dzieci i wnuki. Moja ciotka Jenny jest twoją... Hmm, może jednak masz rację, ponieważ skoro jest moją ciotką, to jest twoją jakąś tam cioteczną babką w n - tej linii, więc może jestem twoją... och - oparła głowę na ramieniu Rogera, a jej włosy rozsypały mu się na pierś. - Powiedziałeś im, że kim jesteś?

- Komu?

- Jenny i Ianowi - przeciągnęła się. - Gdy pojechałeś do Lallybroch.

- Nigdy tam nie byłem. - Też się poruszył, przytulając się do jej ciała. Jego dłoń znalazła sobie miejsce na talii Brianny i znów zapadł w drzemkę, dając sobie

spokój z abstrakcyjną złożonością drzewa genealogicznego.

- No, ale w takim razie... - zamilkła. Rozespany i wyczerpany rozkoszą Roger nie zwrócił na to uwagi. Przytulił się tylko mocniej.

Chwilę później jednak jej głos przeciął jego drzemkę jak nóż masło. - To skąd wiedziałeś, gdzie jestem? - Okręciła się nagle, wrywając z jego ramion. Ciemne oczy, wypełnione podejrzliwością, pojawiły się kilka centymetrów od jego oczu. - Skąd wiedziałeś, gdzie jestem? - powtórzyła powoli, a każde słowo było jak sopel lodu. - Skąd wiedziałeś, że wyjechałam do kolonii?

- A... ja... czemu... - Zdał sobie sprawę z niebezpieczeństwa zdecydowanie za późno.

- Nie mogłeś wiedzieć, że wyjechałam ze Szkocji - powiedziała - jeśli nie byłeś w Lallybroch, bo tylko oni mogli ci powiedzieć, dokąd się udałam. Ale ty nie byłeś w Lallybroch.

- Ja... - Gorączkowo szukał jakiegoś wyjaśnienia, jakiegokolwiek, ale nie było żadnego. Była tylko prawda. Ona najwyraźniej też na to wpadła, bo zeszywniała.

- Wiedziałeś - stwierdziła. Jej głos był zaledwie szeptem, ale wywarł taki efekt, jakby krzyczała mu prosto w ucho. - Wiedziałeś, prawda?

Siedziała teraz nad nim niczym jedna z erynii.

- Widziałeś tę informację o ich śmierci, wiedziałeś, wiedziałeś cały czas, prawda?

- Nie! - Próbował zebrać myśli. - To znaczy tak, ale...

- Od jak dawna wiedziałeś? Dlaczego mi nie powiedziałeś? - krzyknęła. Wstała i szarpnęła ubrania, na

których leżeli.

- Czekaj - prosił. - Bree, pozwól mi wytłumaczyć...

- No to się wytłumacz. Chcę usłyszeć, co masz do powiedzenia. - Aż jąkała się z wściekłości, przestała jednak na moment się szarpać i czekała na wyjaśnienia.

- Słuchaj! - Sam już był na nogach. - Rzeczywiście znalazłem, na wiosnę, ale ja... - Odetchnął głęboko, rozpaczliwie szukając słów, by ją przekonać. - Wiedziałem, że cię to zaboli. Nie chciałem ci tego pokazać, bo wiedziałem, że nie możesz nic zrobić, a nie było sensu, żebyś rozpacziała z powodu...

- Co to znaczy, że nie mogę nic zrobić? - Gwałtownie wciągnęła koszulę przez głowę i patrzyła na niego z wściekłością.

- Nie można niczego zmienić, Bree. Nie wiesz? Twoi rodzice próbowali. Wiedzieli o Cullogen i robili wszystko, co w ich mocy, by powstrzymać Karola Stuarta, ale nie mogli, prawda? Nie udało im się.

Geillis Duncan próbowała uczynić Stuarta królem - nie udało jej się.

Nikomus się nie udało. - Dotknął delikatnie jej ramienia. Była sztywna jak posąg. - Nie możesz im pomóc, Bree - powiedział spokojnie. - To część historii, to część przeszłości, nie pochodzisz z tych czasów, nie możesz zmienić tego, co ma się zdarzyć.

- Tego nie wiesz. - Wciąż była sztywna, wydawało mu się jednak, że słyszy cień wątpliwości w jej głosie.

- Wiem. - Otarł pot z twarzy. - Słuchaj, gdybym myślał, że jest najmniejsza szansa... ale nie. Boże, Bree, nie mógłbym znieść myśli, że cierpisz.

Stała nieruchomo, oddychając ciężko przez nos. Gdyby miała taką możliwość, był pewien, że ziałaby ogniem.

- Nie powinieneś być podejmować za mnie decyzji - wycodziła przez zaciśnięte zęby. - Niezależnie od tego, co myślałeś. I to jeszcze w tak ważnej sprawie. Roger, jak mogłeś mi coś takiego zrobić?

Nie mógł znieść tonu zawodu w jej głosie.

- Do cholery, bałem się, że jeśli ci powiem, zrobisz właśnie to, co zrobiłaś! - wybuchnął. - Zostawisz mnie, spróbujesz sama przejść przez kamienie. I zobacz, co z tego wynikło. Teraz oboje jesteśmy w tym zakazanym...

- Oskarżasz mnie o to, że tu jesteś? Podczas gdy robiłam wszystko, co w mojej mocy, by powstrzymać cię przed idiotyzmem podążenia w moje ślady?

Miesiące pracy i strachu, dni zmartwienia i bezowocnego poszukiwania spowodowały, że Roger nie zdzierzył.

- Idiotycznego? I tak mi dziękujesz za to, że mało nie zginąłem, by tylko cię odnaleźć? Za to, że ryzykowałem życie, by cię chronić? - Wstał, chcąc ją złapać, sam nie wiedząc, czy zamierza nią potrząsnąć, czy znów rzucić na siano. Nie dała mu jednak szansy. Uderzyła go tak mocno, że stracił równowagę i padł do tyłu.

Skakała na jednej nodze i przeklinała, starając się włożyć spodnie.

- Ty... ty... cholerny... arogancki... niech cię diabli, Roger! Niech cię diabli! - Wciągnęła gwałtownie spodnie, a pochylając się, złapała buty i pończochy. - Idź sobie, do cholery, idź sobie! Idź i się powieś, jeśli chcesz. Ja

zamierzam znaleźć moich rodziców i zamierzam ich uratować!

Okręciła się na pięcie, skoczyła ku drzwiom i otworzyła je, zanim zdołał ją złapać. Zatrzymała się na moment - ciemniejsza sylwetka w jaśniejszym prostokącie drzwi. Jej włosy rozwiane przez wiatr wydawały się żywe niczym włosy Meduzy.

- Ja idę. Przyjdź albo nie przychodź, wszystko mi jedno. Wracaj do Szkocji. Wracaj sam przez kamienie, nic mnie to nie obchodzi.

Ale, na Boga, nie zatrzymasz mnie. - I znikła.

Lizzie aż podskoczyła na łóżku, gdy gwałtownie otwarte drzwi uderzyły o ścianę. Nie spała - jak mogłaby spać? - tylko leżała z zamkniętymi oczyma. Wyplątała się z pościeli i wymacała pudełko siarczników.

- Wszystko w porządku, panno Bree?

Nie wyglądało na to. Brianna miotła się po pokoju, sycząc przez zęby jak wąż. Kopnęła szafę, a po chwili Lizzie usłyszała dwa kolejne, głuchoe odgłosy. Przy niepewnym świetle zapalonej właśnie świecy widziała, że Brianna zrzuciła z nóg buty, które uderzyły o ścianę i spadły na podłogę.

- Wszystko w porządku? - powtórzyła Lizzie niepewnie.

- Doskonale - warknęła Brianna.

W ciemnym powietrzu za oknem rozległ się głos.

- Brianna, przyjdę po ciebie, słyszysz?! Przyjdę!

Jej pani nie odpowiedziała. Podeszła tylko do okna, złapała okiennice i zamknęła je z trzaskiem, który odbił się echem w pokoju.

Odwróciła się jak pantera i cisnęła lichtarzem o ziemię. Pokój pograżył się w dusznej ciemności.

Lizzie wycofała się na łóżko i leżała sztywno, bojąc się ruszyć czy odezwać. Słyszała, jak Brianna zrywa z siebie ubranie w milczącej wściekłości, jak ciężko oddycha i tupie bosymi stopami po drewnianej podłodze. Z zewnątrz, przez zamknięte okiennice, dobiegały przekleństwa, a potem zapadła cisza.

Przez chwilę widziała twarz Brianny w świetle - białą jak papier i zaciętą. Jej łagodna, życzliwa pani zniknęła, rozwiała się jak dym, a na jej miejscu pojawiła się deamhan - diablca. Lizzie była dziewczyną z miasta, urodzoną długo po Culloden. Nigdy nie widziała dzikich członków klanów ani górali rozwścieczonych do nieprzytomności. Słyszała jednak stare opowieści, a teraz przekonała się, że mówiły prawdę. Ktoś, kto tak wygląda, jest zdolny do wszystkiego.

Starła się oddychać, jak gdyby spała, ale powietrze wychodziło jej przez usta zduszonymi westchnieniami. Brianna najwyraźniej nie zwracała na to uwagi. Chodziła po pokoju szybkimi, mocnymi krokami. Nalała wody do dzbanka i chlapanęła sobie na twarz, a potem wsunęła się w pościel i leżała sztywna jak deska. Zebrawszy się na odwagę, Lizzie odwróciła głowę ku swojej pani.

- Czy dobrze się pani czuje, a bann - sielhheadair? - spytała tak cicho, że Brianna mogła udawać, iż nie słyszała.

Przez chwilę wyglądało na to, że Brianna ją zignoruje, potem jednak Lizzie usłyszała „tak” wypowiedziane pozbawionym wszelkiej emocji głosem.

- Śpij.

Oczywiście nie spała. Nie sposób zasnąć, leżąc przy kimś, kto za chwilę może zmienić się w urysq. Oczy Lizzie ponownie przyzwyczyły się do ciemności, ale bała się spojrzeć, by rozrzucone po poduszce rude włosy nie zmieniły się nagle w grzywę, a delikatna twarz - w pysk z zębami, które będą rwać i gryźć. Po chwili Lizzie zdała sobie sprawę, że jej pani drży. Nie szlocha - to nie był szloch - lecz trzęsie się tak, że aż pościel szeleści.

Ty głupia - napomniała się - to przecież twoja pani i przyjaciółka, której przydarzyło się coś strasznego. A ty tu leżysz i boisz się własnych myśli!

Kierowana impulsem, przetoczyła się ku Briannie i sięgnęła po jej rękę.

- Bree - powiedziała cicho - czy mogę w czymś pomóc? Brianna krótko i mocno ścisnęła jej palce i wypuściła.

- Nie - odpowiedziała bardzo cicho. - Śpij, Lizzie, wszystko będzie dobrze.

Lizzie raczej w to wątpiła, ale nie odezwała się więcej, leżała tylko i spokojnie oddychała. Minęło dużo czasu, nim długie ciało Brianny zadrżało lekko i rozluźniło się. Brianna zasnęła. Lizzie nie zdołała zapaść w sen; gdy ustępowała gorączka, zawsze czuła się pobudzona. Miała wrażenie, że kołdra ją dusi, a przy zamkniętych okiennicach powietrze w małym pokoju nie nadawało się niemal do oddychania. W końcu, nie mogąc dłużej tego wytrzymać, wysunęła się cicho z łóżka. Nasłuchując, czy Brianna się nie rusza, podeszła do okna i otworzyła okiennice.

Na zewnątrz wciąż było gorąco i wilgotno, jednak ze świtem nadleciała bryza od morza. Ciemne niebo także

zaczęło się już lekko rozjaśniać. Widziała linię drogi, na szczęście pustej.

Nie wiedząc, co robić, zajęła się tym co zawsze, gdy nękał ją niepokój - czyli zaczęła sprzątać. Chodziła cicho po pokoju. Podniosła ubranie, tak gwałtownie odrzucone przez Briannę, i wytrząsnęła.

Wszystkie rzeczy były brudne, pokrywały je plamy ziemi i liści, przyczepiły się również kawałki trawy i siana - mogła je już dostrzec w słabym świetle, wpadającym przez okno. Co Brianna robiła, tarzała się po ziemi? Wyobraziła sobie tę scenę tak żywo, że aż zamarła w miejscu. Brianna przytrzymywana na ziemi, walcząca z czarnym diabłem, z którym przedtem wyszła. Jej pani była dużą kobietą, ale MacKenzie był wielkim, wysokim mężczyzną. Mógł nawet... Tu przerwała, nie chcąc sobie dalej wyobrażać, lecz nie potrafiła odegnać obrazów, które tłoczyły jej się w głowie.

Z wielką niechęcią podniosła koszulę i powąchała ją. Tak, niewątpliwie śmierdziała mężczyzną. Był to silny, kwaśny zapach, jak odór capa. Myśl o tym człowieku, który przytulał się do ciała Brianny, ocierał o nią, zostawiał na niej swój zapach, spowodowała, że aż wstrząsnęła się z obrzydzenia. Drżąc, podniosła z podłogi spodnie i pończochy, i wszystko razem wrzuciła do miski. Wypierze, wypłucze MacKenziego razem z brudem i plamami trawy, a jeśli ubranie będzie zbyt mokre, by jej pani mogła je rano włożyć, to i lepiej.

Wciąż zostało jej trochę miękkiego, żółtego mydła, które gospodyni dała jej do prania. Wystarczy. Zmoczyła spodnie wodą, namydliła, zaczęła trzeć i wyduszać pianę.

Na dworze robiło się coraz jaśniej. Rzuciła okiem przez ramię na swoją panią, ale Brianna oddychała powoli i regularnie. Dobrze, jeszcze przez jakiś czas się nie obudzi.

Spojrzała w miskę i zamarła, czując, jak przebiega ją zimny dreszcz, zimniejszy niż ten, który towarzyszył gorączkom. Piana pokrywająca jej ręce była ciemna, a w wodzie pojawiły się niewielkie, ciemne plamy, jakby z atramentu. Nie chciała patrzeć, ale było za późno, by udawać. Ostrożnie odwróciła spodnie i rzeczywiście zobaczyła dużą, ciemną plamę, barwiącą materiał dokładnie w miejscu, w którym szwy spotykały się w kroczu.

Wschodzące słońce rzuciło nagle czerwoną lunę na niebo, zmieniając kolor wody w misce, powietrza w pokoju i całego świata na kolor świeżej krwi.

41. Koniec podróży

Brianna miała ochotę krzyczeć, poklepała jednak Lizzie po plecach i odezwała się łagodnym tonem.

- Nie przejmuj się, wszystko będzie dobrze. Pan Viorst obiecał, że na nas zaczeka. Gdy tylko się lepiej poczujesz, zaraz wyjedziemy.

A na razie nie martw się o nic, tylko odpoczywaj.

Lizzie kiwnęła głową, ale nie była w stanie odpowiedzieć.

Szczękała zębami, mimo że leżała pod trzema kocami, a przy stopach miała gorącą cegłę.

- Zaraz przyniosę ci coś do picia, kochanie, a ty odpoczywaj - powtórzyła Brianna. Wstała i wyszła z pokoju.

Nie była to oczywiście wina Lizzie - myślała Brianna - ale atak nastąpił w najgorszym możliwym

momencie. Po okropnej scenie z Rogerem Brianna spała długo i niespokojnie. Po przebudzeniu stwierdziła, że jej ubranie zostało uprane i rozwieszona, buty wypolerowane, pończochy złożone, pokój wysprzątnany i uporządkowany, a Lizzie leży, drżąc, przy pustym kominku.

Po raz chyba tysiącny policzyła dni - osiem dni do poniedziałku.

Jeśli atak choroby Lizzie będzie przebiegać tak jak dotychczas, pojutrze będą mogły wyruszyć w drogę. Sześć dni - według młodego Smootsa i Hansa Viorsta o tej porze roku wyprawa w górę rzeki trwała pięć do sześciu dni.

Nie może minąć się z Jamiem Fraserem, po prostu nie może.

Musi być w Cross Creek w poniedziałek, choćby nie wiem co. Kto wie, jak długo potrwa proces i czy Jamie nie wyjedzie, jak tylko się skończy. Dałaby wszystko, by móc wyruszyć natychmiast. Ta potrzeba działania i podróży opanowała ją tak bez reszty, że zniwelowała wszystkie inne potrzeby i bóle jej ciała, a nawet serce bolące na skutek zdrady Rogera. Ale trudno, nic nie da się zrobić.

Rozpoczną podróż dopiero, gdy Lizzie poczuje się lepiej.

W tawernie było pełno. W ciągu dnia do portu wpłynęły dwa nowe statki, a teraz wieczorem ławy wypełniali marynarze, grając w karty i głośno rozmawiając. Brianna przepchnęła się w błękitnych chmurach dymu tytoniowego, ignorując gwizdy i rzucane pod swoim adresem uwagi. Roger chciał, by nosiła suknię, tak? Niech go diabli!

Spodnie zazwyczaj trzymały mężczyźni na

bezpieczną odległość, ale Lizzie je uprała i wciąż były za wilgotne, by Brianna mogła je włożyć.

Jednemu mężczyźnie, który wyciągnął rękę, by złapać ją za pupę, rzuciła takie spojrzenie, że zatrzymał się w pół gestu i cofnął lekko.

Ona zaś przesunęła się obok i przez drzwi weszła do kuchni. W drodze powrotnej niosła dzbanek z wrzącą herbatą miętową, owinięty w ścierkę, by jej nie parzył. Wołała pójść inną drogą, by uniknąć tamtego człowieka. Gdyby jej dotknął, wylałaby mu na nogi wrzątek.

I choć na to właśnie zasłużył i dzięki temu dałaby upust swoim wzburzonym uczuciom, byłoby to marnotrawstwo herbaty, której Lizzie tak bardzo potrzebowała.

Ostrożnie przesuwiała się między głośną grupą, grającą w karty, a ścianą. Na stole leżały rozrzucone monety i inne drobne, cenne rzeczy: guziki złote i cynowe, tabakierka, srebrny nóż i zapisane kawałki papieru, pewnie potwierdzające pożyczki. Jeden z mężczyzn poruszył się, odsłaniając mimowolnie jakiś złoty przedmiot.

Spojrzała, odwróciła wzrok i spojrzała ponownie. Była to obrączka, zwykła złota obrączka, tyle że szersza niż zazwyczaj. To nie tylko złoto przyciągnęło jej wzrok. Obrączka leżała blisko lichtarza i choć światło nie było mocne, świeca oświetlała wewnętrzną część złotego kółka. Brianna nie zdołała przeczytać wyrytych tam liter, знаła jednak je tak dobrze, że same z siebie pojawiły się w jej myślach.

Położyła dłoń na ramieniu mężczyzny, do którego należała obrączka, przerywając mu w pół zdania. Odwrócił

się, zmarszczył brwi, ale natychmiast rozpogodził się na jej widok.

- Co, kotku, przysłaś mi pomoc? - Był dużym mężczyzną o przystojnej, choć ciężkiej twarzy, szerokich ustach i złamanym nosie.

Patrzył na nią jasnozielonymi oczami, oceniając jej sylwetkę.

Zmusiła się do uśmiechu.

- Mam nadzieję - powiedziała. - Może potrę waszą obrączkę na szczęście? - Nie czekając na pozwolenie, chwyciła obrączkę i potarła o rękaw. Następnie podniosła ją, jakby chciała sprawdzić, czy się już błyszczy. Wyraźnie zobaczyła napis w środku: „Od F. dla C. z miłością. Na zawsze”.

Oddała obrączkę drżącą ręką.

- Bardzo ładna - oceniła. - Skąd ją macie?

Spojrzał zaskoczony, potem nieufny. Brianna pospiesznie dodała:

- Jest za mała dla mężczyzny. Czy żona nie będzie się gniewać, jeśli zgubicie jej obrączkę? - „Jak? - myślała nerwowo. - Skąd on to ma i co stało się z moją mamą?”.

Pełne wargi wygięły się w uroczym uśmiechu.

- Gdybym miał żonę, kotku, zostawiłbym ją dla ciebie. - Przyjrzał jej się uważnie, chowając oczy za długimi rzęsami. Dotknął ją w pasie gestem zaproszenia. - Teraz jestem zajęty, kotku, ale później... co?

Dzbanek parzył przez ścierkę, jednak palce Brianny były lodowate. Serce ścisnęło jej się w przerażoną kulkę.

- Jutro - powiedziała - w ciągu dnia.

Spojrzał na nią zaskoczony, a potem odrzucił w tył

głowę i roześmiał się.

- Słyszałem, jak ludzie mówią, że lepiej nie spotkać mnie po nocy, ale kobiety raczej to lubią - przesunął palcem po ramieniu Brianny. - A zatem w świetle dziennym, skoro taka twoja wola.

Przyjdź na mój statek. „Gloriana”, stoi blisko stoczni.

- Wielkie nieba! Jak dawno nic nie jadłaś? - Panna Viorst spojrzała na pustą miseczkę Brianny z życzliwym niedowierzaniem.

Była solidnie zbudowaną, spokojną Holenderką, mniej więcej w wieku Brianny, ale jej matczyzny sposób zachowania się sprawiał, że wydawała się znacznie starsza.

- Jadłam chyba wczoraj. - Brianna chętnie przyjęła drugą porcję klusek i zupy, i kolejną kromkę chleba posmarowanego świeżym białym masłem. Och, dziękuję. - Jedzenie jakoś wypełniało pustkę, którą czuła w sobie, rozgrzewało ją wewnątrz.

Gorączka Lizzie wróciła w drugim dniu podróży w górę rzeki.

Tym razem atak trwał dłużej i był cięższy. Brianna poważnie obawiała się, że Lizzie umrze na środku rzeki Cape Fear. Cały dzień i noc siedziała więc pośrodku kanoe i polewała wodą głowę Lizzie, równocześnie otulając ją we wszystkie dostępne koce i płaszcze, i modląc się, by dziewczyna nie przestała oddychać. Viorst i jego partner wiosłowali jak szaleni.

- Jeśli umrę, zawiadomi pani mego ojca? - szepnęła do niej Lizzie w zapadającym mroku.

- Ja tak, ale ty nie, więc się nie przejmuj - stwierdziła

Brianna zdecydowanie. Udało jej się - Lizzie roześmiała się z tej próby żartu.

Drobna, wychudła rączka złapała jej dłoń i trzymała mocno, póki nie przyszedł sen.

Przerażony stanem Lizzie Viorst zabrał je do domu, który dzielił z siostrą nieco poniżej Cross Creek. Przeniósł otuloną kocami dziewczynę od rzeki do niewielkiej chaty. Lizzie i tym razem przetrwała atak, Brianna obawiała się jednak, że to słabe ciało nie znieśie więcej takich doświadczeń. Przekroiła pierożka i jadła powoli, delektując się pożywnym, ciepłym sokiem kurczęcia i cebuli. Była brudna, zmęczona podróżą, wygłodzona i wyczerpana, bolały ją wszystkie kości. Dotarła tu jednak, znalazła się w Cross Creek, a poniedziałek był dopiero jutro. Gdzieś w pobliżu przebywał Jamie Fraser - i jeśli Bóg pozwoli, to także i Claire.

Dotknęła spodni i wymacała sekretną kieszeń wszytą w szew - wciąż był tam jej mały, okrągły talizman. Mama żyła i tylko to miało znaczenie. Po jedzeniu raz jeszcze poszła zobaczyć, jak czuje się Lizzie. Hanneke Viorst siedziała przy łóżku, cerując skarpetki.

Kiwnęła Briannie głową i uśmiechnęła się.

- Już jest gut.

Brianna spojrzała na wychudzoną twarzączkę śpiącej i pomyślała, że nie bardzo gut. Ale gorączka minęła, czoło Lizzie było chłodne i wilgotne, a na wpół pusta miseczka na stole świadczyła, że dziewczyna próbowała trochę zjeść.

- Pani też odpocznie. - Hanneke podniosła się i pokazała, że może wyciągnąć drugie posłanie.

Brianna z tęsknotą spojrzała na czystą kołdrę i puchatą poduszkę, ale pokręciła głową.

- Jeszcze nie, dziękuję. Chciałabym natomiast, jeśli mogę, pożyczyć pani muła.

Nie miała pojęcia, gdzie znajduje się teraz Jamie Fraser. Viorst powiedział jej, że River Run dzieli od miasta spora odległość. Może tam się zatrzymał, a może w Cross Creek, żeby było wygodniej. Nie sposób było zostawić Lizzie na tak długo, żeby dojechać aż do River Run, chciała jednak zajrzeć do miasta i odszukać budynek sądu, w którym następnego dnia miał odbyć się proces. Nie mogła sobie pozwolić, by minąć się z Jamiem Fraserem tylko dlatego, że nie będzie wiedziała, dokąd iść.

Muł był duży i nie pierwszej młodości, ale nie miał nic przeciwko temu, by przespacerować się po biegnącej wzdłuż rzeki drodze. Szedł wolniej, niżby szła sama, ale nie miało to znaczenia, bo i ona przestała się spieszyć.

Mimo zmęczenia poczuła się nieco lepiej. Obolałe, zeszywniałe ciało wydawało się odprężać w rytmie powolnego truchtu zwierzęcia.

Dzień był gorący i wilgotny, jednak niebo czyste i niebieskie. Rosnące wzdłuż drogi wiązy i hikory ocieniały ją przed słońcem. Rozdarta między myślami o chorobie Lizzie a własnymi bolesnymi wspomnieniami nie zapamiętała nic z drugiej połowy podróży rzeką.

Nie zwracała uwagi na zmianę krajobrazu. Teraz miała wrażenie, że we śnie została przeniesiona i obudziła się w innym miejscu. Odsunęła wszystko na bok, postanawiając zapomnieć o ostatnich dniach i o tym, co się w ciągu nich zdarzyło. Miała znaleźć Jamiego Frasera.

Zniknęły piaszczyste drogi, sosnowe laski i trzęsawiska wzdłuż wybrzeża. Ich miejsce zajęły chłodne, zielone zagajniki wysokich drzew o grubych pniach i rozłożystych koronach, a także bladopomarańczowa ziemia, która miejscami - tam, gdzie leżały opadłe liście - zmieniała się w niemal czarną. Powietrze wypełniały nie okrzyki mew i jaskółek, lecz stłumiona gadanina sójek, z lasu zaś dobiegała miękka piosenka lelka.

Jak to będzie - zastanawiała się już setki razy i za każdym razem wyobrażała sobie inną scenę. Co ona powie, co on powie, czy się ucieszy na jej widok? Miała taką nadzieję, a jednak... będzie przecież dla niej obcym człowiekiem. Prawdopodobnie w niczym nie będzie przypominać tego, którego sobie wyobraża. Z pewną trudnością odsunęła od siebie wspomnienie głosu Laoghaire: „kłamca i oszust”.

Jej matka była innego zdania.

- Dostyćci ma dzień na swoim utrapieniu - mruknęła pod nosem.

Wjechała już do miasteczka Cross Creek. Rozrzucone dotychczas zabudowania zaczęły się zagęszczać, polna droga zmieniła w brukowaną ulicę, wzdłuż której stały większe domy ze sklepami na parterze. Kręciło się nieco ludzi, ale była to najgorętsza część popołudnia, ciężkie powietrze wisiało nieruchomo, kto więc mógł, chronił się wewnątrz, w cieniu. Ulica biegła łukiem wzdłuż rzeki. Za niewielkim tartakiem Brianna zobaczyła tawernę. Tam postanowiła zapytać o drogę; poza tym było gorąco, chciała więc się czegoś napić.

Poklepała się po kieszeni, upewniając się, czy ma

pieniądze, jej dłoń trafiła jednak na kłującą skorupę kasztana, toteż odsunęła rękę szybko, jak gdyby się oparzyła. Znów, mimo jedzenia, poczuła pustkę w środku. Zaciśnęła wargi, przywiązała muła i weszła w cień tawerny.

Nikogo w niej nie było, jedynie za kontuarem drzemał właściciel.

Słyszając kroki, obudził się, spojrzął na Briannę, wybałuszając oczy, podał jej piwo i wytłumaczył, jak dojechać do gmachu sądu.

- Dziękuję. - Rękawem otarła pot z czoła. Nawet wewnątrz było strasznie duszno.

- Przyjechała pani na proces? - spytał gospodarz, wciąż przyglądając jej się z ciekawością.

- Tak. Nie, właściwie nie. Czyj to proces? - Nagle zdała sobie sprawę, że nie ma pojęcia.

- Ach, to proces Fergus Fräsera - powiedział tonem, który zakładał, że wszyscy wiedzą, kim jest Fergus Fräser. - Napadł na oficera Korony, gdy ten pełnił swoje obowiązki, ale zostanie uniewinniony - ciągnął rzeczowo. - Jamie Fräser przybył z gór, by za nim świadczyć.

Brianna zakrztusiła się piwem.

- Pan zna Jamiego Fräsera? - spytała bez tchu, wycierając pianę z rękawa. Gospodarz uniósł brwi.

- Proszę chwilę zaczekać, to pani też go pozna. - Ruchem głowy pokazał cynowy kufel na pobliskim stole. Nie zwróciła na niego przedtem uwagi. - Wyszedł tylnymi drzwiami akurat, gdy pani wchodziła. On... Hej! - cofnął się. Z okrzykiem zdziwienia, bo Brianna upuściła własny kufel na podłogę i pędem wybiegła przez tylne drzwi.

Po mroku panującym w tawernie światło słoneczne

ją oślepiło.

Zamrugwała, a do oczu napłynęły jej łzy, bo promienie słońca przedarły się przez liście wprost w jej źrenice. Po chwili jednak dostrzegła ruch przy drzewie.

Stał w cieniu klonu, na wpół obrócony do niej plecami, z pochyloną głową, i siusiał. Wysoki mężczyzna, długonogi, szczupły i zgrabny, o szerokich ramionach pod białą koszulą. Miał na sobie znoszony kilt w jasnozieloną i brązową kratę. Skończywszy, pozwolił kiltowi opaść i zawrócił ku tawernie. Zauważył ją, wpatrzoną w niego, i lekko się spiął, natychmiast jednak dostrzegł, że to nie mężczyzna.

Spojrzenie pełne nieufności i podejrzliwości ustąpiło zdziwieniu.

Od pierwszej chwili nie miała żadnych wątpliwości. Czuła równocześnie zaskoczenie - i brak zaskoczenia. Nie całkiem tak go sobie wyobrażała; wydawał się mniejszy, wielkości przeciętnego człowieka, ale jego twarz miała rysy jej twarzy: długi, prosty nos, upartą szczękę i lekko skośne, kocie oczy. Ruszył ku niej, wynurzając się z cienia; słońce rozjaśniło mu głowę miedzianymi iskrami. Na wpół świadomie uniosła dłoń i odsunęła opadające włosy, kątem oka zauważając taki sam złotorudy kolor.

- Czego tu szukasz, dziewczyno? - spytał ostro, ale nie nieprzyjaźnie. Głos miał głębszy, niż sobie wyobrażała, a szkocki akcent z gór słaby, lecz wyraźny.

- Ciebie - wyrzuciła z siebie. Serce podeszło jej do gardła, z trudem wydusiła to jedno słowo.

Był już tak blisko, że czuła słaby odór jego potu i świeży zapach drewna. Na podwiniętych rękawach lnianej

koszuli widziała złote punkty drewnianych opiłków. Zmrużył oczy rozbawiony i zmierzył ją wzrokiem, uniósł jedną brew i pokręcił głową.

- Przykro mi, dziewczyno - powiedział z półśmiechem. - Jestem żonaty.

Zrobił ruch, jakby chciał ją wyminąć, ona zaś wydała z siebie cichy dźwięk i wyciągnęła rękę, nie odważyła się jednak dotknąć jego ramienia. Zatrzymał się i przyjrzał jej się uważnie.

- Nie, mówię prawdę, mam w domu żonę, a do domu niedaleko. - Najwyraźniej pragnął być uprzejmy. - Ale... - przerwał. Z bliska dostrzegł jej brudne ubranie, dziurę w rękawie płaszcza i poszarpaną chustkę na dekolcie. - Och! - powiedział innym tonem i sięgnął po niewielką skórzaną sakiewkę, przytroczoną do pasa. - Czy jesteś głodna, dziewczyno? Zapłacę, jeśli chcesz jeść.

Z trudem oddychała. Miał ciemnoniebieskie oczy, w tej chwili pełne życzliwości. Utkwiła wzrok w rozpiętym kołnierzu jego koszuli, gdzie widać było kręcone włosy.

- Pan... pan jest Jamie Fraser, prawda?

Spojrzał na nią ostro.

- Tak, to ja - potwierdził. Na twarzy znów pojawiła się ostrożność, zmrużył oczy. Obejrzał się szybko za siebie, ku tawernie, ale w otwartych drzwiach nikogo nie było. Zbliżył się ku niej o krok. - A kto pyta? Czy masz dla mnie jakąś wiadomość, dziewczyno?

Ogarnęło ją absurdalne pragnienie śmiechu. Czy ma dla niego wiadomość?

- Mam na imię Brianna - odparła. Zmarszczył brwi, niepewny, ale w jego oczach coś zamigotało. Znał to imię,

słyszał je już i coś dla niego znaczyło. Przełknęła z trudem, czując, jak palą ją policzki. - Jestem twoją córką - oznajmiła zduszonym głosem. - Brianną.

Stał nieruchomo, nie zmieniając wyrazu twarzy. Usłyszał jej słowa, bo zbladł, a potem twarz i szyję zalał mu głęboki rumieniec.

Taki sam jak jej. Na len widok ogarnęła ją radość, jakby ten nagły przyływ krwi potwierdzał ich pokrewieństwo. Czy drażniło go, że tak się czerwieni? - zastanowiła się nagle. Czy tak samo jak ona nauczył się zachowywać nieruchomą twarz, by zamaskować ten zdradziecki rumieniec? Uśmiechnęła się do niego nieśmiało.

Zamrugał i w końcu oderwał wzrok od jej twarzy, powoli przyglądając się dokładnie całej postaci.

- Mój Boże! - wyrwało mu się z nową świadomością, jakby lękliwie. - Jesteś wielka!

Rumieniec zdołał już zniknąć z twarzy Brianny, teraz jednak powrócił.

- A czyjaż to wina, twoim zdaniem? - warknęła. Wyciągnęła się i wyprostowała ramiona, rzucając mu niechętnie spojrzenie. Stojąc tak blisko, mogła patrzeć mu prosto w twarz.

Szarpnął się do tyłu i wyraz jego twarzy zmienił się - maska zniknęła, bez niej wydawał się młodszy. Wyczytała na jego twarzy szok, zdumienie i rodzący się wyraz niemal bolesnej tęsknoty.

- Och, nie, dziewczyno - wykrzyknął. - Nie chodziło mi o to, nie, wcale, tylko... - przerwał, patrząc na nią z fascynacją. Uniósł dłoń niemal wbrew sobie i w powietrzu wykonał ruch wzdłuż jej policzka, szczęki, szyi i ramienia,

jakby bał się jej dotknąć wprost. - Czy to prawda? - szepnął.
- Czy to ty, Brianno? - wymówił jej imię z dziwnym akcentem - „Brijanno” - a ją przebiegł dreszcz.

- To ja - potwierdziła cicho. Znów próbowała się uśmiechnąć. - Czy tego nie widzisz?

Usta miał szerokie, o pełnych wargach, lecz inne niż jej. Miały odważniejszy kształt i wydawały się chować w kącikach uśmiech.

- Tak - powiedział. - Tak, widzę.

Dopiero wtedy odważył się jej dotknąć, palcami lekko musnął jej twarz, odgarnął rude włosy ze skroni i ucha, przesunął po delikatnej linii szczęki. Znów zadrżała, choć jego dotyk był ciepły.

- Nie myślałem o tobie jak o dorosłej - wyjaśnił, niechętnie opuszczając rękę. - Widziałem obrazki, ale... ale jednak zawsze myślałem o tobie jak o dziecku, mojej dziewczynce. Nie oczekiwałem... - Głos mu zamarł. Wpatrywał się w nią oczami niebieskimi jak jej, z gęstymi rzęsami.

- Obrazki - powtórzyła, z trudem łapiąc oddech, bo wypełniało ją szczęście. - Widziałeś obrazki... więc mama cię znalazła. Gdy powiedziałeś, że masz żonę...

- Claire - przerwał. Szerokie usta rozciągnęły się w uśmiechu, który rozjaśnił mu oczy jak słońce liście na drzewie. Złapał ją za ramiona tak nagle, że ją zaskoczył. - Więc jej nie widziałeś? Boże, oszaleje z radości!

Myśl o matce przelatała czarę. Łzy, którym od wielu dni nie pozwalała płynąć, obmyły jej policzki. Były to łzy ulgi. Śmiała się i płakała równocześnie.

- Zaraz, dziewczyno, nie płacz! - wykrzyknął

przerażony. Puścił jej ramię i z rękawa wyciągnął dużą, pomiętą chustkę. Ostrożnie wytarł jej policzki. - Nie płacz, a leannan, nie martw się - mrucał. - Wszystko w porządku, m'annsachd, wszystko w porządku.

- Ja wiem, wszystko jest w porządku, po prostu jestem szczęśliwa - powiedziała. Wzięła od niego chustkę, wytarła oczy i wysmarkała nos. - Co to znaczy a leannan i to drugie, co powiedziałaś?

- Nie znasz więc gaelickiego? - spytał i pokręcił głową. - Nie, oczywiście nie mogła się tego nauczyć - mruknął jakby do siebie.

- Nauczę się - stwierdziła zdecydowanie i znów wytarła nos. - A leannan?

Na jego twarz znów wypląnął uśmiech.

- To znaczy „kochanie” - wyjaśnił cicho. - M'annsachd - „moje błogosławieństwo”.

Słowa zawisły między nimi w powietrzu, migocąc jak liście. Stali nieruchomo, oboje nagle ogarnięci nieśmiałością, nie potrafiąc odwrócić od siebie wzroku, nie potrafiąc znaleźć innych słów.

- Ta... - Brianna odezwała się, ale przerwała. Nagle ogarnęły ją wątpliwości, jak ma do niego mówić. Nie „tatusiu”. Przez całe życie tatusiem był dla niej Frank Randall. Zdradą byłoby używanie tego zwrotu wobec innego mężczyzny, jakiegokolwiek innego mężczyzny.

„Jamie” - nie mogłaby. Mimo że jej pojawienie się wytrąciło go z równowagi, czuła w nim wielką godność, która nie dopuszczała do takiej poufałości. „Ojciec” wydawało się odległe i surowe, a Jamie Fraser niewątpliwie taki nie był.

Dostrzegł, że Brianna waha się i rumieni, i zrozumiał, o co chodzi.

- Możesz mówić do mnie „tato” - powiedział. Głos miał nieco zachrypnięty. Odchrząknął. - Jeśli chcesz, oczywiście.

- Tato - powtórzyła i poczuła, jak łatwo się tym razem uśmiecha, bez łez. - Tato.

Odpowiedział uśmiechem.

- Tak jest najprościej.

I nagle wszystko stało się proste. Wyciągnął ku niej ramiona, ona zaś wsunęła się w nie i stwierdziła, że nie miała racji: był tak duży, jak sobie to przedtem wyobrażała, a mocny uścisk jego ramion spełniał jej wszystkie nadzieje.

To, co zdarzyło się później, Brianna pamiętała jak przez mgłę.

Emocje i zmęczenie wzięły górę. Wspominała później ten dzień jak zbiór obrazów, jak kolejne klatki filmu, a nie jak płynny ciąg wydarzeń.

Lizzie, mrugająca w nagłym świetle, drobna i blada, w ramionach potężnego czarnego lokaja o niemożliwym szkockim akcencie. Wóz wyładowany szkłem i pachnącym drewnem, lśniące zady koni, trzeszczenie drewnianych kół. Głos ojca, głęboki i ciepły, opisujący dom, który zamierzał zbudować wysoko w górach. Wyjaśniający, że okna są niespodzianką dla jej matki.

- Ale nie taką niespodzianką jak ty, dziewczyno. - I śmiech głębokiej radości, który wydawał się odbijać echem w jej kościach.

Długa jazda pylistymi drogami, sen z głową opartą o ramię ojca i w jego objęciu, wdychanie nieznanego zapachu

jego skóry, jego dziwne, długie włosy muskające jej twarz, gdy obracał głowę. A potem chłodny luksus wielkiego, przewiewnego domu, wypełnionego zapachem wosku i kwiatów. Wysoka kobieta o białych włosach i twarzy Brianny, i niebieskie spojrzenie, które błędziło niepokojąco gdzieś za nią. Długie, chłodne dłonie, które dotykały jej twarzy i gładziły po włosach z abstrakcyjną ciekawością.

- Lizzie - powiedziała Brianna, i ładna kobieta pochyliła się nad Lizzie, mrużąc „kora jezuitów”. Jej czarne dłonie pięknie rysowały się na tle żółtawoporcelanowej twarzy Lizzie.

Dłonie, tyle dłoni... Wszystko spełniało się w czarodziejski sposób. Mrużąc miękko, przekazywano ją z ręki do ręki. Zdjęto z niej ubranie i wykąpano, zanim zdołała zaprotestować. Oblewano ją pachnącą wodą, mocne, delikatne palce masowały jej głowę, na której pienilo się lawendowe mydło. Lniane ręczniki i mała, czarna dziewczynka, która osuszyła jej stopy i obsypała mąką ryżową.

Świeża bawełniana suknia i bosa stopy na wypolerowanej podłodze.

Oczy ojca pojaśniały na jej widok. Jedzenie: ciastka, słodkie desery, galaretki i herbatniki, a także gorąca, słodka herbata, która wydawała się zastępować krew w jej żyłach.

Ładna blond dziewczyna, marszcząca brwi, która wydawała się znajoma. Ojciec nazywał ją Marsali. Lizzie umyta, owinięta kocem, trzymająca w słabych dłoniach kubek z pachnącym napojem i wyglądająca jak zdeptyany kwiat, który nareszcie podlano. Rozmowa, nowi ludzie i dalsza rozmowa. Ale tylko od czasu do czasu jakieś zdanie

przebijało się przez otaczającą ją mgłę.

- Farquard Campbell ma więcej rozsądku.

- A Fergus, tato? Widziałeś go, czy z nim wszystko w porządku?

Tato? Myślała nieco zdziwiona i nieco oburzona, że ktoś może go tak nazywać, ponieważ... ponieważ...

Głos ciotki, dochodzący z wielkiej dali, mówiący: „To biedne dziecko śpi na siedząco, słyszę, jak chrapie. Ulissiesie, zanieś ją do łóżka”.

A potem silne ramiona, które podniosły ją bez wysiłku, ale nie był to woskowy zapach czarnego kamerdynera, tylko zapach lnu i pyłu drzewnego jej ojca. Przestała walczyć i zasnęła z głową na jego piersi.

Nazwisko Fergus Fraser brzmiało, jakby był członkiem szkockiego klanu, wyglądał jednak jak francuski arystokrata; a dokładniej jak francuski arystokrata w drodze na gilotynę - poprawiła się Brianna w myśli. Ciemny, przystojny, o drobnej budowie, niezbyt wysoki, swobodnie wszedł za barierkę na ławie oskarżonych i odwrócił się twarzą do sali, unosząc długi nos nieco ponad jego zwykły poziom. Nieporządne ubranie, nieogolone policzki i duży, fioletowy siniak nad okiem nie szkodziły jego arystokratycznemu wyglądowi. Nawet metalowy hak, który miał zamiast jednej ręki, jedynie potęgował wrażenie podejrzanego uroku. Na jego widok Marsali westchnęła, zacisnęła usta i przechyliła się przez Briannę, by szepnąć do Jamiego:

- Co oni mu zrobili, ci łajdacy?

- Nic, co miałoby znaczenie. - Nieznacznym ruchem ręki kazał jej usiąść, osunęła się więc na krzesło, patrząc

wrogo na szeryfa i jego pomocnika.

Mieli szczęście, że dostali miejsca siedzące, bo tłum szczerlnie wypełniał niewielki budynek. Ludzie przepychali się z tyłu i mruczeli; jedynie obecność żołnierzy w czerwonych kurtkach przy drzwiach narzucała jaki taki porządek. Dwóch żołnierzy stało na baczność z przodu sali, koło ławy sędziego, a za nimi w kącie krył się jakiś oficer.

Brianna zauważyła, że oficer uchwycił wzrok Jamiego Frasera, a na jego twarzy pojawił się wyraz złośliwej satysfakcji, niemal tryumfu. Na ten widok przebiegł ją dreszcz niepokoju, ale ojciec bez lęku spojrział na tego człowieka, a potem obojętnie się obrócił.

Sędzia wkroczył na salę, zajął miejsce i po rozpoczynających proces ceremoniach przystąpiono do przesłuchania świadków.

Najwyraźniej nie powołano ławy przysięgłych, występowali jedynie sędzia i jego pomocnicy.

Brianna niewiele rozumiała z toczącej się poprzedniego wieczoru rozmowy, ale przy śniadaniu udało jej się rozpoznać kilka osób. Młoda czarna kobieta nazywała się Fedra i była jedną z niewolnic Jokasty. Wysoki chłopiec o dość pospolitej urodzie i uroczym uśmiechu to bratanek Jamiego - Ian. Kuzyn - pomyślała z tym samym dreszczem, który czuła w Lallybroch. Ładna blondynka Marsali była żoną Fergususa, sam Fergus zaś to oczywiście francuski sierota, którego Jamie nieformalnie zaadoptował w Paryżu, przed powstaniem Stuartów.

Sędzia Conant, schludny dżentelmen w średnim wieku, poprawił sobie perukę i żakiet, i zażądał odczytania aktu oskarżenia. Akt ten mówił, że czwartego sierpnia roku

Pańskiego 1769 niejaki Fergus Claudel Fraser, mieszkaniec hrabstwa Rowan, napadł na niejakiego Hugh Berowne'a, zastępcę szeryfa tegoż hrabstwa, i ukradł mu własność Korony, będącą wówczas prawnie w posiadaniu owego zastępcy szeryfa.

Tenże Hugh, wezwany na podium dla świadków, okazał się niezręcznym, nerwowym, mniej więcej trzydziestoletnim człowiekiem. Podczas składania zeznań wiercił się i jękał. Stwierdził, że spotkał oskarżonego na Buffalo Trail Road, gdzie on, Berowne, wypełniał swoje obowiązki. Oskarżony zwymyślał go po francusku, a gdy świadek próbował odejść, ruszył za nim, uderzył w twarz i zabrał własność Korony, będącą pod opieką Berowne'a, czyli konia z uprzężą i siodłem. Zachęcony przez sędziego, świadek otworzył usta i krzywiąc się, pokazał po prawej stronie złamany ząb, co rzekomo miało być wynikiem szamotaniny. Sędzia Conant popatrzył z zainteresowaniem na resztkę zęba i zwrócił się do więźnia.

- Czy teraz, panie Fraser, możemy usłyszeć, co pan ma do powiedzenia na temat tego nieszczęsnego zdarzenia?

Fergus opuścił lekko nos, rzucając sędziemu spojrzenie, jakim mógłby obdarzyć na przykład karalucha.

- Ten obrzydliwy kawałek gówna - zaczął spokojnym tonem - zatrzymał...

- Oskarżony powstrzyma się od obraźliwych słów - przerwał chłodno sędzia Conant.

- Zastępca szeryfa - mówił Fergus, absolutnie niezbity z tropu - zatrzymał moją żonę, która wracała konno z młyna, trzymając na siodle przed sobą synka. Ten... zastępca zawołał ją, a następnie bez ceremonii ściągnął z

siodła i poinformował, że zabiera konia i jego ekwipunek w zamian za należny podatek. Zostawił ją z dzieckiem, pieszo, osiem kilometrów od domu, w upalnym słońcu. - Spojrzał wściekle na Berowne'a, który w odpowiedzi zmrużył oczy.

Siedząca obok Brianny Marsali parsknęła przez nos.

- O jakim podatku mówił zastępca szeryfa?

Na policzki Fergususa wypłynął ciemny rumieniec.

- Nic nie jestem winien. To on twierdził, że z mojej ziemi powinienem płacić roczny czynsz w wysokości trzech szylingów, ale tak nie jest. Moja ziemia została zwolniona z tego podatku na podstawie nadania, podpisanego na rzecz Jamesa Frasera przez gubernatora Tryona. Powiedziałem to temu śmierzącemu salaud, gdy odwiedził mnie w domu i domagał się pieniędzy.

- Nic nie słyszałem o takim nadaniu - powiedział Berowne ponuro. - Ci ludzie powiedzą wszystko, żeby tylko nie płacić. Oni wszyscy to obiboki i oszuści.

- Oreilles en feuille de chou!

Zgromadzeni w sali zachichotali, niemal zagłuszając napomnienie sędziego. Szkolny francuski akurat wystarczył Briannie do przetłumaczenia tych słów na „uszy kalafiory”, przyłączyła się więc do ogólnego rozbawienia. Sędzia uniósł głowę i spojrzał w głąb sali.

- Czy James Fraser jest obecny?

- Jestem, Wysoki Sądzie. - Jamie wstał i uklonił się z szacunkiem.

- Proszę zaprzysiąc świadka.

Jamie został zaprzysiężony, a następnie stwierdził, że w rzeczy samej jest właścicielem nadania ziemskiego, które otrzymał od gubernatora Tryona. Warunki nadania

obejmowały dziesięcioletnie zwolnienie z podatku na rzecz Korony, który to okres zakończy się za dziewięć lat. Oświadczył dalej, że Fergus Fraser ma dom i uprawia ziemię w granicach nadanego terytorium, za zezwoleniem jego samego, czyli Jamesa Alexandra Malcolma MacKenziego Frasera.

Brianna początkowo wpatrywała się wyłącznie w ojca. Nie mogła się na niego napatrzeć. Był najwyższym człowiekiem na sali; w białej, lnianej koszuli i kurtce w kolorze głębokiego błękitu, która podkreślała jego skośne oczy i płomienne włosy, skupiał uwagę ogółu. Po chwili jednak jej wzrok przyciągnął ruch w kącie. Oficer, którego przedtem zauważyła, nie patrzył już na jej ojca, tylko na Hugh Berowne'a. Berowne lekko skinął głową i usiadł, by doczekać końca zeznań Frasera.

- Wygląda na to, że twierdzenie pana Frasera, iż jest zwolniony z podatku, jest prawdą, panie Berowne - powiedział spokojnie sędzia. - A zatem muszę uznać go za uwolnionego od zarzutu...

- Nie może tego udowodnić - wyrzucił z siebie Berowne. Zerknął na oficera, jakby szukając moralnego wsparcia, i zacisnął zęby. - Nie ma żadnego dowodu. Tylko słowo Jamesa Frasera.

Przez salę ponownie przebiegł szmer, ale ten nie był przyjazny.

Brianna bez trudu wyczuła, z jakim zdumieniem i oburzeniem przyjęto kwestionowanie słowa jej ojca. Wypełniła ją duma. Jamie jednak nie okazał gniewu. Wstał ponownie i uklonił się sędziemu.

- Jeśli Wysoki Sąd pozwoli... - Sięgnął do

wewnętrznej kieszeni kurtki i wyjął złożony pergamin z przyczepioną do niego pieczęcią na czerwonym wosku. - Wysoki Sąd niewątpliwie zna pieczęć gubernatora - powiedział, kładąc papier na stole przed panem Conantem. Sędzia uniósł jedną brew, ale przyjrzał się starannie pieczęci, następnie złamał ją, przeczytał dokument i odłożył. - To poświadczona kopia pierwotnego nadania - oznajmił. - Podpisana przez jego ekscelencję Williama Tryona.

- Skąd to masz? - zaatakował Berowne. - Nie było czasu, by pojechać do New Bern i wrócić! - Z twarzy odpłynęła mu cała krew.

Brianna zerknęła na oficera. O ile Berowne zrobił się blady, o tyle ten spurpurowiał.

Sędzia rzucił mu tylko ostre spojrzenie.

- Biorąc pod uwagę, że ten dokument stanowi obecnie dowód, uznajemy, że oskarżony nie jest winien kradzieży, ponieważ własność, o którą chodziło, należała do niego. Jeśli natomiast chodzi o napad... - W tym momencie zauważył, że Jamie nie usiadł, tylko wciąż stoi przed ławką. - Tak, panie Fraser? Czy chce pan powiedzieć Sądowi coś jeszcze? - Sędzia Conant wytarł strumyczek potu, który spływał mu po głowie spod peruki. Ludzie tak szczerze wypełniali salę, że było w niej jak w tureckiej łaźni.

- Proszę Wysoki Sąd o zaspokojenie mojej ciekawości. Czy pierwotne oskarżenie złożone przez pana Berowne'a zawiera opis ataku?

Sędzia uniósł brwi, ale szybko przejrzał leżące przed nim papiery i podał jeden woźnemu sądowemu, wskazując miejsce na stronie.

- Oskarżyciel stwierdził, że niejaki Fergus Fraser

uderzył go w twarz pięścią, na skutek czego oskarżyciel upadł na ziemię, oskarżony zaś złapał konia za uzdę, wskoczył na niego i odjechał, wykrzykując obraźliwe uwagi w języku francuskim. Oskarżyciel...

Głośny kaszel z ławy oskarżonych sprawił, że oczy wszystkich skierowały się na oskarżonego, który uśmiechnął się uroczo do sędziego Conanta. Wyjął z kieszeni chustkę i starannie wytarł sobie twarz, używając haka na końcu lewego ramienia.

- Ach! - powiedział sędzia i rzucił zimne spojrzenie na krzesło dla świadków, na którym wiercił się Berowne. - Czy mógłby nam pan wyjaśnić, jak został pan uderzony w prawą stronę twarzy lewą ręką mężczyzny, który jej nie posiada?

- No właśnie, crottin - odezwał się wesoło Fergus. - Wyjaśnij to.

Czując być może, że próby wyjaśnienia ze strony Berowne'a lepiej wysłuchać gdzie indziej, sędzia Conant wytarł szyję i zakończył proces, zwalniając Fergusa Frasera bez żadnej skazy na reputacji.

- To byłem ja! - powiedziała dumnie Marsali, trzymając ramię męża podczas uczty po procesie.

- Ty? - Jamie rzucił jej rozbawione spojrzenie. - To ty walnęłaś pięścią tego człowieka w twarz?

- Nie pięścią, tylko nogą - poprawiła go. - Gdy ten obrzydliwy salaud próbował ściągnąć mnie z konia, kopnęłam go w szczękę.

Nigdy by mu się nie udało - dodała, wciąż oburzona na to wspomnienie - gdyby nie wyszarpnął mi z ramion Germaine'a, więc oczywiście musiałam zejść, by go

odebrać. - Poklepała po blond główce małego chłopczyka, który trzymał się jej spódnicy, gniotąc w garści kawałek biszkopta.

- Nie rozumiem - odezwała się Brianna. - Czy pan Berowne nie chciał przyznać, że to kobieta go uderzyła?

- Ach, nie - powiedział Jamie, podając jej kubek piwa - to tylko sierżant Murchison próbował zepsuć mi humor.

- Sierżant Murchison to ten, który był na procesie? - spytała.

Łyknęła odrobinę piwa z uprzejmości. - Ten, który wygłąda jak niedopieczony prosię?

Jamie roześmiał się, słysząc ten opis.

- Tak, to on, bardzo mnie nie lubi - wyjaśnił. - Nie pierwszy i nie ostatni raz próbował coś zrobić, by mi utrudnić życie.

- Ale nie mógł liczyć, że mu się to uda, przy tak śmiesznym zarzucie - włączyła się Jokasta, pochylając się i wyciągając rękę.

Stojący obok Ulisses podsunął talerz z plackami owsianymi.

Bezbłędnie chwyciła jeden i zwróciła nie widzące oczy ku Jamiemu. - Czy naprawdę musiałeś skorumpować Farquarda Campbella? - spytała potępiająco.

- Tak, musiałem - odrzekł Jamie. Widząc niezrozumienie w oczach Brianny, wyjaśnił: - Farquard Campbell to sędzia w tym okręgu. Gdyby nie zachorował tak wygodnie - zaśmiał się znowu, a w oczach zamigotały mu złośliwe iskierki - to proces odbyłby się tydzień temu. Taki był plan Murchisona i Berowne'a. Chcieli postawić

zarzuty Fergusowi, zaarrestować go i zmusić mnie do zejścia z gór w środku zniw. Pod tym względem im się udało, do cholery! Liczyli jednak, że nie zdołam uzyskać kopii nadania z New Bern przed procesem. I rzeczywiście nie udałooby mi się, gdyby odbywał się tydzień temu - uśmiechnął się do Iana. Chłopiec, który popędził po ten dokument do New Bern, zarumienił się i schował twarz w misie ponczu. - Farquard Campbell jest przyjacielem, ciociu - mówił dalej Jamie do Jokasty - ale wiesz tak samo jak ja, że jest przedstawicielem prawa. To nie miałoby znaczenia, że zna moje warunki nadania tak samo dobrze jak ja. Gdybym nie był w stanie przedstawić dowodów w sądzie, czułby się zmuszony wydać wyrok przeciwko mnie. A gdyby tak się stało - zwrócił się znów do Brianny - musiałbym złożyć apelację od werdyktu. Oznaczałoby to, że Fergus powędruje do więzienia w New Bern i tam odbędzie się kolejny proces. Efekt byłby taki sam, ale i Fergus, i ja byłibyśmy zajęci gdzie indziej przez niemal cały sezon zniw. To zaś kosztowałoby mnie więcej w płacach robotników, niż przyniosą same plony.

Spojrzał nagle na Briannę nad brzegiem kubka z poważnym wyrazem twarzy.

- Mam nadzieję, że nie uważasz mnie za bogacza?

- W ogóle o tym nie myślałam - odrzekła zaskoczona.

- To dobrze - uśmiechnął się - bo choć mam sporo ziemi, niewielka tylko jej część jest, jak na razie, uprawiana. Mamy ledwie tyle, by obsiać pola i mieć dość do jedzenia dla nas samych i jeszcze coś dla bydła. I choć twoja matka jest bardzo zdolna - uśmiech rozjaśnił mu twarz - nie jest w

stanie sama zebrać kukurydzy i jęczmienia z trzydziestu akrów. - Odstawił pusty kubek i wstał. - Ian, czy dopilnujesz wszystkiego i przyprowadzisz wóz z Fergussem i Marsali? Dziewczyna i ja chyba pojedziemy przodem. - Rzucił Briannie pytające spojrzenie. - Jokasta zajmie się twoją pokojówką.

Nie masz nic przeciwko wyruszeniu tak szybko?

- Nie - odpowiedziała, odstawiając kubek i też wstając. - Czy możemy jechać już dziś?

Wymowałam z szafy buteleczki, jedną po drugiej, od czasu do czasu otwierając którąś, by powąchać zawartość. Jeśli zioła o grubszych liściach przed schowaniem nie będą zupełnie suche, zaczną gnić w butelce i pokryją się pleśnią. Myśl o pleśni sprawiła, że raz jeszcze zaczęłam zastanawiać się nad hodowlą penicyliny. A raczej tym, co - miałam nadzieję - pewnego dnia się nią stanie, jeśli mi się uda i jeśli będę czujna. Penicillium było tylko jedną z wielu pleśni, które łatwo porastały wilgotny, stary chleb. Jakie miałam szanse, że zarodnik akurat tej cennej pleśni pojawi się na którejś z wykładanych przeze mnie co tydzień kromek chleba? Jakie miałam szanse, że kawałek chleba przetrwa dość długo, by w ogóle znalazł go jakikolwiek zarodnik? I w końcu jakie są szanse, że go rozpoznam, jeśli się pojawi?

Próbowałam już od roku, ale dotychczas nie odniosłam sukcesu.

Choć otoczyłam chleb nagiętkami i krwawnikiem, nie byłam w stanie zatrzymać robactwa: myszy, szczurów, mrówek, karaluchów.

Pewnego dnia znalazłam w spiżarni nawet

pożywiającej się wiewiórki, które rozrzuciły kukurydzę i pogryzły połowę moich kartofli sadzeniaków.

Jedynym sposobem było zamknięcie wszystkiego, co nadawało się do jedzenia, w wielkim kredensie, który zbuduje Jamie, albo w tęgich drewnianych skrzyniach czy słojach z przykrywkami. Te oparłyby się zębom czy pazurom. Jednak zamknięcie jedzenia przed czteronożnymi złodziejami oznaczało zamknięcie go również przed powietrzem, a tylko powietrzem mogła przybyć pewnego dnia prawdziwa broń przeciwko chorobom.

„Każda roślina ma w sobie antidotum na jakąś chorobę - gdybyśmy tylko wiedzieli jaką”. Znów ścisnęło mi się serce, gdy pomyślałam o Nayawenne. Tęskniłam nie tylko za nią, ale i za jej wiedzą. Nauczyła mnie zaledwie ułamka rzeczy, które wiedziała, i tego niezwykle żałowałam - choć nie tak bardzo jak utraty przyjaciółki. Wiedziałam jednak o jednym, czego nie wiedziała ona: o licznych cnotach tej najmniejszej z roślin - pogardzanej pleśni. Trudno będzie ją znaleźć, jeszcze trudniej rozpoznać i wykorzystać, lecz nie wątpiłam, że gra jest warta świeczki. Zostawienie chleba w otwartym miejscu w domu oznaczało przyciągnięcie do wnętrza myszy i szcurków. Kiedyś ułożyłam kromki na kredensie, jednak Ian zjadł połowę mojego zaczątku inkubatora antybiotyków, a myszy i mrówki uporały się z resztą, gdy nie było mnie w domu. Po prostu ani w lecie, ani na wiosnę, ani na jesieni nie można było zostawić chleba niezapakowanego i niepilnowanego; tak samo nie można było zostać w domu, żeby go dozorować, bo na dworze było zbyt wiele do zrobienia, zbyt wiele wezwań do narodzin czy chorób, zbyt wiele okazji do

szukania żywności. W zimie oczywiście całe robactwo zniknęło, by złożyć jaja w oczekiwaniu na wiosnę i przetrwać pod zwiędłymi liśćmi, ale też i powietrze było zimne, zbyt zimne, by przynieść mi żywe zarodniki. Wyłożony chleb albo się zwijał i wysychał, albo robił się zakalcowaty - w zależności od tego, jak daleko leżał od ognia. Tak czy inaczej, pojawiała się na nim tylko od czasu do czasu pomarańczowa lub różowa obwódka - to zaś były pleśnie mieszkające w porach ludzkiego ciała. „Spróbuję raz jeszcze na wiosnę” - pomyślałam, wachając buteleczkę z suchym majerankiem. Był dobry, piżmowy jak kadzidło, pachnący snem.

Nowy dom na szczycie już powstawał. Fundamenty zostały zbudowane, pokoje wyznaczone. Od drzwi chaty widziałam szkielet domu, rysujący się czarno na tle jasnego, wrześnieowego nieba. Do wiosny zostanie ukończony. Będę miała tynkowane ściany i dębowe podłogi, szklane okna o mocnych framugach, które zatrzymają myszy i mrówki, a także miły, przytulny, słoneczny gabinet, w którym będę mogła prowadzić badania medyczne.

Marzenia przerwało mi wesołe porykiwanie z zagrody dla zwierząt. To Clarence ogłaszała, że ktoś przybywa. Między ekstatycznymi rykami Clarence'a słyszałam głosy w oddali, szybko zaczęłam więc odstawiać na miejsce korki i buteleczki. To na pewno Jamie wraca z Fergusiem i Marsali - a w każdym razie miałam taką nadzieję.

Jamie nie wątpił w wynik procesu, ale ja i tak się martwiłam.

Wychowana w przekonaniu, że brytyjskie prawo to

jedno z największych osiągnięć cywilizacji, widziałam już zbyt wiele jego konkretnych zastosowań, by przestać mu zawierzać. Z drugiej strony miałam wiele wiary w Jamiego.

Porykiwania Clarence'a zmieniły się w gulgotanie, którego używał dla kameralnej rozmowy, ale głosy ucichły. To dziwne - być może jednak nie wszystko poszło tak jak trzeba. Wrzuciłam ostatnie butelki do szafy i podeszłam do drzwi. Na podwórzu nikogo nie było.

Na mój widok Clarence ryknął entuzjastycznie, lecz nic poza tym się nie ruszało. Ktoś jednak przybył, bo kurczęta rozpierzchły się w krzaki.

Przebiegł mnie dreszcz. Okręciłam się, starając się równocześnie patrzeć przed siebie i przez ramię. Nic. Kasztanowce za domem zaszeleściły w lekkim wietrze, a słońce przebijało się przez ich żółknące liście. Wiedziałam bez cienia wątpliwości, że nie jestem sama. Do diabła, zostawiłam nóż na stole, w środku!

- Angielko! - Serce niemal mi zamarło na dźwięk głosu Jamiego.

Odwróciłam się w jego stronę, a ulgę w szybkim tempie zastępowało zniecierpliwienie. Co on sobie wyobraża, że...

Przez ułamek sekundy wydawało mi się, że widzę podwójnie.

Siedzieli na ławie przy drzwiach, obok siebie, a popołudniowe słońce rozświetlało im włosy. Skupiłam wzrok na rozradowanej twarzy Jamiego, a potem spojrzałam w prawo.

- Mama! - Na jej twarzy malował się ten sam wyraz tęsknoty i radości. Nie miałam czasu pomyśleć, a już była w

moich ramionach, ja zaś wleciałam w powietrze, dosłownie i w przenośni. - Mama!

Nie mogłam oddychać. Powietrze, które zostało mi jeszcze w płucach po szoku, wycisnął z nich mocny uścisk.

- Bree - udało mi się szepnąć. Postawiła mnie na ziemi, choć nie wypuściła z ramion. Podniosłam niedowierzająco oczy, ale była prawdziwa. Spojrzałam na Jamiego. Stał tuż obok. Nic nie mówił, uśmiechał się jednak od ucha do ucha.

- Ja... Ach... Nie spodziewałam się... - powiedziałam idiotycznie.

Brianna uśmiechnęła się szeroko jak jej ojciec. Oczy lśniły jej jak gwiazdy, wypełnione szczęściem.

- Nikt się nie spodziewa hiszpańskiej inkwizycji! („Nikt się nie spodziewa hiszpańskiej inkwizycji” - tytuł znanego skeczu z programu Monty Pythona (przyp. tłum.)).

- Co takiego? - Jamie nic nie rozumiał.

CZĘŚĆ DZIESIĄTA

Trudne relacje

42. Światło księżycy

Wrzesień 1769

Ktoś dotknął jej ramienia; natychmiast przebudziła się ze snu, podniosła na łokciu i zamrugowała. Z trudem rozróżniała nad sobą twarz Jamiego. Ogień wypalił się niemal całkowicie i w chacie panowała absolutna ciemność.

- Idę w góry na polowanie, chcesz się ze mną wybrać? - szepnął.

Potarła oczy, starając się zebrać rozespiane myśli, i przytaknęła.

- Dobrze. Włóż spodnie. - Wstał cicho i wyszedł,

wpuszczając przez otwarte drzwi przenikliwie słodkie, zimne powietrze.

Ledwo zdążyła wciągnąć spodnie i pończochy, a już wrócił, poruszając się równie cicho, mimo że niósł całe narzędzie polan. Kiwnął jej głową i przyklęknął, by rozpalic ogień. Narzuciła kurtkę i wyszła do wygodki.

Świat na zewnątrz był czarny i rozmarzony. Gdyby nie było tak chłodno, mogłaby uznać, że wciąż śni. Na niebie jarzyły się zimne, ale jasne gwiazdy. Wydawały się zawieszane dziwnie nisko, jak gdyby za chwilę miały spaść z nieba i sycząc, zgasnąć w wilgotnych, zamglonych drzewach na grzbietach. Która to godzina? - zastanawiała się, drżąc od dotyku wilgotnego drewna na rozgrzanych snem udach. Gdzieś przed świtem, niewątpliwie słońce nieprędko jeszcze wstanie. Panowała cisza, nie bzycały jeszcze owady w ogrodzie matki ani nic nie szeleściło - nawet sucha kukurydza, która została na polu.

Powietrze w chacie wydawało się niemal gęste, niosło w sobie zapach dymu, smażonego jedzenia i śpiących ciał. Z kolei powietrze na dworze było słodkie, lecz rzadkie. Musiała oddychać głęboko, by zadowolić płuca.

Jamie był gotów. Do pasa przytroczył skórzaną torbę, siekierę i rozek z prochem. Na ramieniu wisiał mu płócienny worek. Nie weszła; zatrzymała się w drzwiach, patrząc, jak pochyla się szybko i całuje jej śpiącą jeszcze matkę. Wiedział oczywiście, że czeka; był to zresztą tylko lekki pocałunek w czoło, ale i tak poczuła się jak intruz, jak podglądacz, szczególnie gdy długa, blada dłoń Claire wynurzyła się spod kołdry i dotknęła twarzy Jamiego z czułością, od której ścisnęło jej się serce. Claire wymruczała

coś, czego Brianna nie zrozumiała, bo odwróciła się szybko, czując, że twarz ją pali mimo chłodnego powietrza. Gdy wyszedł z chaty, stała na granicy polany.

Zamknął za sobą drzwi i zaczął na odgłos zasuwanego rygla. Niósł strzelbę z długą lufą, niemal tak długą jak on sam.

Nie odezwał się, uśmiechnął się tylko i ruchem głowy pokazał las. Podążyła za nim, łatwo dotrzymując mu kroku na niewyraźnej ścieżce, biegnącej przez zagajniki jodeł i kasztanowców. Rosa na trawie znikła pod jego stopami, zostawiając ciemny ślad w morzu lśniącego srebra.

Ścieżka wiła się tu i tam, biegła niemal równo przez dłuższy czas, potem zaczęła się wspinać. Brianna raczej to wyczuła, niż zobaczyła, bo wciąż było bardzo ciemno. W następnej chwili ptak z pobliskiego zagajnika przerwał panującą dotychczas ciszę i zaraz całe zbocze góry ożyło, rozśpiewało się, rozgwizdało i rozpiszczało. Tuż pod progiem słyszalności dawało się wyczuć ruch, trzepotanie skrzydeł i drapanie.

Jamie zatrzymał się, słuchając.

Brianna również się zatrzymała, patrząc na niego. Światło zmieniało się tak powoli, że niemal nie była tego świadoma. Jej oczy przyzwyczyły się do ciemności, dobrze widziała w świetle gwiazd.

Zrozumiała, że zaczyna się świt, dopiero gdy podniosła wzrok i ujrzała mocny kolor włosów ojca.

Niósł w torbie jedzenie. Usiedli na zwałonym pniu, dzieląc się chlebem i jabłkami. Napila się ze strumyczka, który ściekał ze skalnej półki, napełniając jej dłonie zimną, krystaliczną wodą. Obejrzała się, lecz nie widziała już ani

ślądu zabudowań. Domy i pola zniknęły, jak gdyby góra w milczeniu zwarła lasy, pokrywając wszystko drzewami.

Wytarła dłonie o poły kurtki, wyczuwając w kieszeni kłujący kasztan. Na tych zadrzewionych zboczach nie rosły europejskie kasztanowce. Ten owoc pochodził z angielskiego drzewa, zasadzonego przez jakiegoś emigranta w nadziei, że będzie żywym ogniwem, przypominającym o domu, łączącym z innym życiem. Na moment objęła go dłonią, zastanawiając się, czy jej własne więzy zostały już całkowicie przecięte, ale zaraz podążyła za ojcem w górę zbocza.

Początkowo serce jej łomotało, a mięśnie ud bolały, nieprzyzwyczajone do wspinaczki. Potem jednak ciało znalazło właściwy rytm. Jeszcze nie rozjaśniło się na dobre, ale przestała się potykać. Gdy wyszli na szczyt stromego zbocza, jej stopy tak lekko opierały się o gąbczaste liście, że wydawało jej się, iż może odlecieć w niebo, oderwać się od ziemi.

Przez krótką chwilę żałowała, że nie potrafi. Jednak ogniwa łańcucha, który trzymał ją przy ziemi: matka, ojciec, Lizzie... i Roger - wciąż były mocne. Wstawało poranne słońce, wielka ognista kula nad górami. Musiała na moment przymknąć oczy, bo ją osłepiło.

To właśnie było miejsce, do którego chciał ją przyprowadzić. U stóp wysokiej skarpy odpadła część skalnej ściany, tworząc rumowisko. Obrosło już mchem i porostami, a małe drzewka wysuwały się jak pijane z pęknięć w skale. Przechylił głowę i gestem pokazał, by za nim szła. Między wielkimi głazami prowadziła ścieżka, niezbyt dobrze widoczna, ale jednak dość wyraźna. Poczul,

że się zawahała, więc się obejrzał.

Uśmiechnęła się i ręką wskazała skałę. Oderwał się od niej duży kawał wapienia i pękł na dwie części. Jamie stał między nimi.

- Wszystko w porządku - powiedziała cicho. - Tak mi się tylko przypomniało.

Jemu też; poczuł gęsią skórkę na ramionach. Musiał się zatrzymać i patrzeć, gdy przechodzi, po prostu dla pewności.

Ostrożnie przesunęła się między głazami i dołączyła do niego. Chciał jej dotknąć, by się upewnić, wyciągnął więc rękę i poczuł mocny uchwyt palców.

Dobrze wymierzył czas. Gdy wychodzili na otwartą przestrzeń na szczycie, nad najdalszą granią wstawało właśnie słońce. Pod nimi rozciągały się grzbiety górskie i doliny, tak wypełnione mgłą, że wydawało się, że gotuje się w nich dym. Z góry naprzeciwko spadał wodospad, cienką, białą strugą, znikającą we mgle.

Zatrzymał się w miejscu, gdzie w gęstej trawie leżały rozrzucone głazy.

- Odpocznijmy chwilę. - Choć powietrze wciąż było chłodne, wspinaczka go rozgrzała. Usiadł na płaskiej skale i wyciągnął nogi, by powietrze dostało się pod kilt. Z ramion ściągnął pled.

- Tak tu inaczej... - Westchnęła, odsuwając z twarzy miękkie, rude włosy, których kolor rozgrzewał go bardziej niż słońce.

Obejrzała się i uśmiechnęła. - Wiesz, o czym mówię? Przejechałam konno z Inverness do Lallybroch przez Great Glen i był to bardzo dziki krajobraz. -

Wzdrygnęła się lekko na to wspomnienie. - Ale nie tak jak ten.

- Nie - powiedział. Doskonale wiedział, o co jej chodzi. Dzikość łąk i wrzosowisk była zamieszкана, inna niż dzikość tego miejsca, lasów i wodospadów. - Wydaje mi się... - zaczął i przerwał. Czy nie uzna go za głupka?

Ale patrzyła na niego, czekała na jego słowa. - Duchy, które tam mieszkają - podjął nieco niezręcznie - są stare i widziały ludzi, od tysięcy lat. Dobrze nas znają, nie boją się tak bardzo ludziom pokazać.

Natomiast to, co mieszka tu... - Oparł dłoń o pień kasztanowca, wznoszącego się na trzydzieści metrów nad nimi i mającego około dziesięciu metrów obwodu. - To, co żyje tutaj, nie widziało dotychczas niczego takiego jak my. Pokiwała głową, wcale nie zaskoczona.

- Ale są ciekawe, prawda? Przynajmniej niektóre - dodała i odchyliła głowę, by spojrzeć w splątane gałęzie nad głową. - Czy nie czujesz, jak zerkają na nas, od czasu do czasu?

- Od czasu do czasu.

Usiadł na skale obok niej i razem patrzyli, jak światło rozjarza się powoli nad górami, docierając do odległych wodospadów i krzesząc w nich iskry, jak mgła napelnia się perłowym blaskiem, a potem powoli znika. Razem przyglądali się, jak zbocza gór rozjaśniają się w świetle dnia. On zaś dziękował w głębi duszy duchowi tego miejsca. Nawet jeśli duch nie znał gaelickiego, niewątpliwie i tak mógł zrozumieć, o co chodzi.

Wyciągnęła długie nogi, wdychając zapach poranka.

- W gruncie rzeczy to ci nie przeszkadzało, prawda?

- mówiła cicho, nie odrywając oczu od doliny poniżej, nie spoglądając na niego.

- To życie w jaskini koło Broch Mhorda.

- Nie - odparł. Słońce ogrzewało mu piersi i twarz, napelniając spokojem. - Nie, nie przeszkadzało mi to.

- Gdy o tym usłyszałam, myślałam, że to musiało być okropne.

Zimno, brudno i samotnie. - Dopiero teraz spojrzała na niego, a w jej oczach odbijało się poranne niebo.

- Tak było - powiedział, uśmiechając się lekko.

- Ian... wuj Ian zaprowadził mnie tam, by pokazać.

- Naprawdę? W lecie, gdy rosną te żółte kwiaty, nie jest tam tak ponuro.

- Nie, ale nawet gdy... - zawahała się.

- Nie, nie miałem nic przeciwko temu. - Zamknął oczy i pozwolił słońcu ogrzać twarz.

Początkowo wydawało mu się, że samotność go zabije. Ale gdy stwierdził, że jest w stanie z nią żyć, zaczął sobie cenić pustkę gór.

Nawet przez zamknięte powieki mógł wyraźnie widzieć słońce, wielką, czerwoną kulę płonącą na brzegach. Czy Jokasta tak właśnie je dostrzegła ślepyimi oczyma?

Przez długi czas żadne z nich się nie odzywało. Słuchali w spokoju. Na pobliskiej jodle pracowały jakieś ptaszki. Wisiały głową w dół z gałęzi, polowały na robaki i rozmawiały o tym, co znalazły.

- Roger... - odezwała się nagle. Serce przeszła mu strzała zazdrości, tym bardziej bolesna, że nieoczekiwana. Czy nie miał jej mieć dla siebie nawet na tak krótki czas? Otworzył oczy i postarał się wyglądać na zainteresowanego.

- Próbowałam mu kiedyś opowiedzieć, jak to jest być samemu. Że myślę, iż to może nie taka zła rzecz. - Westchnęła, ściągając brwi. - Wydaje mi się, że nie rozumiał.

Chrząknął.

- Wydawało mi się... - zawahała się. Spojrzała na niego i odwróciła wzrok. - Myślałam, że to dlatego... że to dlatego ty i mama... - Miała tak jasną skórę, że widział, jak napływa do niej krew.

Odetchnęła głęboko, trzymając w ręku kawałek skały. - Ona też taka jest. Nie przeszkadza jej, że jest sama.

Zerknął na nią, chcąc wiedzieć, dlaczego to mówi. Jakie było życie Claire w ciągu tych lat, które spędzili osobno, że zyskała taką wiedzę? Tak rzeczywiście było, Claire знаła smak samotności.

Samotność była chłodna jak wiosenna woda i nie wszyscy mogli ją pić. Wielu nie odświeżała, tylko przejmowała śmiertelnym chłodem.

Claire jednak żyła z mężem. Jak napiła się tyle samotności, by zyskać tę wiedzę? Być może Brianna mogłaby mu powiedzieć, ale nie chciał pytać. Ostatnie imię, jakie chciałby usłyszeć w tym miejscu, to Frank Randall.

Zamiast tego zakaszłał.

- Tak, to może prawda - przytaknął ostrożnie. - Widziałem kobiety, a czasami i mężczyzn, którzy nie mogli znieść brzmienia własnych myśli. Być może nie są dobrą parą dla tych, którzy mogą.

- Rzeczywiście - powiedziała smutno - może nie są.

Zazdrość zelzała. A więc miała wątpliwości co do Wakefielda.

Opowiedziała jemu i Claire wszystko o swoich poszukiwaniach. O notatce w gazecie na temat ich śmierci, o podróży ze Szkocji, o odwiedzinach w Lallybroch - niech diabli wezmą Laoghaire - i o tym mężczyźnie, Wakefieldzie, który podążył za nią. Nie mówi o nim wszystkiego, ale to i dobrze - myślał wówczas. Nie chciał słyszeć.

Mniej go dręczyła perspektywa nagłej śmierci w ogniu niż zbliżający się koniec idylli z odnalezioną córką.

Podciągnął kolana i siedział w milczeniu. Choć bardzo chciał odzyskać poczucie spokoju, nie był w stanie usunąć Randalla z myśli.

Wygrał. Claire należała do niego, tak samo to piękne dziecko. Ta młoda kobieta - poprawił się, patrząc na nią. Ale Randall opiekował się nimi przez dwadzieścia lat. Niewątpliwie wywarł na nie wpływ.

Tylko jaki?

- Spójrz - szepnęła Brianna, ściskając mu ramię.

Podążył wzrokiem za jej spojrzeniem i zobaczył dwie łanie stojące w cieniu drzew, może z siedem metrów od nich. Nie ruszył się, oddychał spokojnie. Brianna, siedząca obok, również zamarła.

Łanie ich zauważyły. Podniosły delikatne głowy, a ciemne, wilgotne nozdrza rozszerzyły się, by wyczuć ich zapach. Po chwili jedna łania zgrabnie, nerwowo wysunęła się do przodu, zostawiając ślady na zmoczonej rosą trawie. Druga łania poszła ostrożnie za nią.

Pały się na trawie między skałami, od czasu do czasu podnosząc głowy i rzucając spokojne spojrzenia na dziwne, lecz niegroźne stworzenia siedzące na skalnej

pólce.

W Szkocji nie zdołałby podejść nawet na kilometr do jelenia, bo ten dobrze wiedział, czym jest człowiek.

Przyglądał się pasącym się łaniam, niewinnym jak doskonała dzikość, i czuł, jak słońce błogosławi mu głowę. To nowe miejsce.

Cieszył się, że jest tu sam - z córką.

- Na co polujemy, tato? - Stał nieruchomo i zmrużywszy oczy, wpatrywał się w horyzont, ale była pewna, że nie wypatruje żadnego zwierzęcia. Mogła mówić, nie obawiając się, że mu psuje polowanie.

W ciągu dnia widzieli wiele zwierząt; oprócz dwóch łani o świcie, zauważyli rudego lisa, który przyglądał im się ze skały, wylizując czarne pazury, a gdy zbliżyli się, zniknął jak zdmuchnięty płomień.

Wiewiórki - kilkadziesiąt wiewiórek pokrzykujących do siebie z czubków drzew i bawiących się w chowanego. A nawet stado dzikich indyków, gdzie dwa samce szły, nadąwszy się i rozwinąwszy ogony.

Żadne z nich nie było zamierzoną zdobyczą i cieszyła się z tego.

Nie miała nic przeciwko zabijaniu dla zdobycia jedzenia, ale przykro by jej było, gdyby krew splamiła piękny dzień.

- Na pszczoły - odparł.

- Pszczoły? Jak się poluje na pszczoły?

Chwycił strzelbę i uśmiechnął się, ruchem głowy wskazując żółtą plamę na zboczu.

- Musimy szukać kwiatów.

Niewątpliwie w kwiatach owadów nie brakowało.

Zbliżywszy się, słyszała ich bzyczenie. Było ich kilka rodzajów: duże, czarne trzmiele, drobniejsza odmiana z czarno - żółtymi paskami i osy o gładkich, wydłużonych kształtach) zakończonych ostrymi żądlami.

- Musimy im się bacznie przyglądać, żeby zobaczyć, w którym kierunku lecą pszczoły - powiedział jej ojciec, powoli okrążając kępę kwiatów. - I nie dać się użądlić.

Kilkanaście razy stracili z oczu maleńkich posłańców, za którymi szli: gdzieś w rozproszonym świetle nad strumieniem, gdzieś w krzakach zbyt gęstych, by się przez nie przedzierać. Za każdym razem Jamie znajdował nową kępę kwiatów.

- Tam są - zawołała, wskazując jasnoczerwony zagon w pewnej odległości. Jamie jednak pokręcił głową.

- Nie, nie czerwone - powiedział. - To małe kolibry lubią czerwone kwiaty, ale pszczoły wolą żółte i białe. Najlepiej żółte. - Schylił się, zerwał stokrotkę i podał jej. Na płatkach widać było żółty pyłek. Przyjrząwszy się dokładnie, zobaczyła maleńkiego żuczka, nie większego niż główka szpilki, który wydostał się ze środka, cały pokryty złotym pyłkiem. - Kolibry piją z kwiatów, które są długie, mają długie kielichy - wyjaśnił. - Natomiast pszczoły nie mogą się dostać tam do środka, więc wolą szerokie, płaskie kwiaty. Takie jak ten. I takie, które rosną całymi kępami. Siadają na nich i tarzają się, aż żółty pyłek całkowicie je pokryje.

Przemierzali zbocze w górę i w dół, śmiejąc się i uchylając przed atakami rozwścieczonych trzmieli, wypatrując kęp żółtych i białych kwiatów. Pszczoły lubiły górskie drzewa laurowe, ale wiele zagajników było zbyt

wysokich i zbyt gęstych, by przez nie przejść.

Dopiero późnym popołudniem znaleźli to, czego szukali: złamany pień - pozostałość dużego drzewa, z połamanymi gałęziami i korą, która częściowo odpadła, ukazując srebrne drewno pod spodem. W drewnie było pęknięcie, przez które przepychały się pszczoły, a czekając na swoją kolejkę, unosiły się wokół.

- Och, dobrze - powiedział Jamie z wyraźną satysfakcją. - Czasami zakładają ul w szczelinach skalnych, a wtedy niewiele można z tym zrobić. - Odpiął siekierę od pasa, zsunął torby i wskazał Briannie pobliską skałę. - Musimy poczekać, aż się zacznie ściemniać.

Wtedy cały rój znajdzie się w środku. A tymczasem możemy coś zjeść.

Podzielili się resztą jedzenia. Rozmawiali od czasu do czasu, przyglądając się, jak światło na pobliskich górach ciemnieje. Na jej prośbę pozwolił jej strzelić z długiego muszkietu. Pokazał, jak załadować, wyczyścić lufę, włożyć kulę, wepchnąć ją na miejsce, zapakować i podsypać prochem, a resztę prochu wsypać pod skałę.

- Całkiem nieźle strzelasz, dziewczyno! - wykrzyknął zaskoczony. Pochylił się po kawałek drewna, który następnie ustawił na dużej skale jako cel. - Spróbuj jeszcze raz.

Spróbowała kilkakrotnie, przyzwyczajając się do ciężaru muszkietu, znajdując najlepsze wyważenie, by jak najmniej czuć odrzut. Czarny proch nie miał takiej siły jak współczesna broń.

Dwukrotnie trafiła w skałę, ale za trzecim razem kawałek drewna zniknął, rozbity na drzazgi.

- Bardzo dobrze - pochwalił Jamie, unosząc brew. - Gdzie, na Boga, nauczyłaś się tak strzelać?

- Mój ojciec ćwiczył strzelanie do celu. - Opuściła strzelbę, zarumieniona z radości. - Nauczył mnie strzelać z pistoletu i strzelby, także ze śrutówki - zarumieniła się. - No tak, ale ty nie znasz śrutówki.

- Nie, raczej nie znam - powiedział z nieruchomą twarzą.

- Jak zamierzasz przenieść ul? - spytała, by zmienić niewygodny temat.

- Gdy pszczoły pójdą spać, wpuszczę do środka trochę dymu, by je oszołomić. Potem odrąbię tę część pnia, w której rój mieszka, podsunę pod spód płaski kawałek drewna i owinę szalem. W domu przybiję od góry i od dołu klocki, by ustawić ul - uśmiechnął się. - A jak rano pszczoły wylecą na zewnątrz, rozejrzą się i skierują do najbliższych kwiatów.

- Nie będą zdawać sobie sprawy, że to nie to samo miejsce?

Wzruszył ramionami.

- A nawet jeśli, to co z tego? Nie są w stanie znaleźć drogi z powrotem. I nie mają już domu, do którego mogą wrócić. Nie, będą zadowolone w nowym miejscu. - Sięgnął po muszkiet. - Teraz go wyczyszczę, bo światło nie nadaje się już do strzelania.

Siedzieli w milczeniu jakieś pół godziny, przyglądając się, jak ciemność wypełnia doliny. Jakby niewidzialny przypływ przybierał z minuty na minutę, okrywając pnie drzew, tak że zielone korony wydawały się pływać na ciemnym jeziorze. W końcu odchrząknęła,

czując, że musi coś powiedzieć.

- Czy mama się nie będzie niepokoić, że tak długo nas nie ma?

Pokręcił głową, ale nie odpowiedział, siedział tylko, bawiąc się źdźbłem trawy. Nad drzewami wypląnął księżyc, duży i złoty.

- Twoja matka powiedziała mi kiedyś, że ludzie zamierzali polecieć na Księżyc - odezwał się nagle. - Gdy odchodziła, jeszcze tego nie zrobili, ale zamierzali. Czy wiesz coś o tym?

Kiwnęła głową, nie spuszczając z oczu księżycyca.

- Tak, zrobili to. To znaczy, zrobią - uśmiechnęła się lekko. - Rakietę, która ich zabrała, nazwali „Apollo”.

Widziała jego uśmiech. Księżyc był już tak wysoko, że rozświetlał polanę. Jamie przechylił głowę, zastanawiając się.

- I co o tym opowiadali ci, którzy tam poleciecieli?

- Nie musieli niczego opowiadać. Przysłali obrazy. Czy opowiadałam ci o telewizji?

Wydawał się zaskoczony. Wiedziała, że nie rozumiał większości rzeczy z jej czasów, o których mu opowiadała; nie rozumiał przenoszenia się w przestrzeni ani na czym polega kino, nie mówiąc już o tym, że można przysyłać obrazy drogą powietrzną.

- Tak? I ty widziałaś te obrazy? - spytał nieco niepewnie.

- Tak. - Zakołysała się lekko, obejmując rękami kolana. Księżyc otaczało słabe halo, a dalej doskonały pierścień - jakby duży, czarny kamień upadł w czarny staw i zamarł w chwili, gdy pojawił się pierwszy krąg.

- Jutro będzie dobra pogoda - powiedział.

- Naprawdę? - Wszystko, co ich otaczało, widziała niemal tak wyraźnie jak w dzień. Tyle tylko, że zniknął kolor zastąpiony przez czerń i szarość, jak w obrazach, o których mówiła. - Musieliśmy czekać długie godziny. Nikt nie był w stanie przewidzieć, jak długo będzie trwało lądowanie i wyjście w kombinezonach. Wiesz, że na Księżycu nie ma żadnego powietrza? - Uniosła pytająco brew, on zaś kiwnął głową jak grzeczny uczeń.

- Tak, Claire mi mówiła - mruknął.

- Kamera - ta rzecz, która robi obrazy - była wysunięta z boku statku. Widzieliśmy więc podporę samego statku, która opadła w pył, a ten podniósł się tak jak wtedy, gdy koń uderza podkową w piaszczystą drogę. Tam, gdzie statek wylądował, było płasko.

Równinę pokrywał miękki proch, tylko tu i tam rozrzucone były niewielkie kamienie. A potem kamera przesunęła się, a może to inna zaczęła przesyłać obrazy, i mogliśmy zobaczyć, że w pewnej odległości znajdują się skały. To jałowa ziemia: nie ma tam żadnych roślin, żadnej wody, żadnego powietrza. Ale w dość niesamowity sposób piękna.

- To brzmi jak Szkocja - powiedział. Roześmiała się z tego żartu, choć wydało jej się, że słyszy w jego głosie tęsknotę za tymi nagimi górami.

Pragnąc odwrócić jego uwagę, machnęła ręką ku gwiazdom, które coraz jaśniej świeciły w aksamitnym niebie.

- Gwiazdy to w rzeczywistości słońca, takie jak nasze. Tylko że są tak bardzo daleko, że wydają się

maleńkie. Są tak daleko, że ich światło potrzebuje długich lat, by do nas dotrzeć. Czasami gwiazda już zgasła, a my ciągle widzimy jej światło.

- Claire mi o tym opowiadała, dawno temu. - Siedział przez chwilę nieruchomo, ale zaraz wstał, podjąwszy decyzję. - Chodź - powiedział. - Zabierzmy ul i ruszajmy do domu.

Noc była tak ciepła, że odsunęliśmy zasłaniające okna skóry, zgadzając się tym samym, że od czasu do czasu będą nam wpadać chrząszcze czy ćmy. Oczywiście przyciągał je blask ognia w kominku.

Jednak chłodne, pachnące liśćmi powietrze było tego warte.

Pierwszej nocy Ian uprzejmie odstąpił Briannie wysuwane łóżko i poszedł spać z Rollem na posłaniu w komórcie z ziołami, zapewniając ją, że odpowiada mu taka prywatność. Wychodząc z przerzuconą przez ramię kołdrą, klepnął Jamiego potężnie w plecy i ścisnął mu ramię w zaskakująco dorosłym, gratulacyjnym geście. Musiałam się uśmiechnąć.

Jamie też się uśmiechnął. Co więcej, od kilku dni uśmiechał się właściwie bez przerwy. W tej chwili był poważny, choć na jego twarzy malowała się czułość i zaduma. Na niebo wypłynął księżyc, jeszcze nie całkiem w pełni, i przez okno wpadało dość światła, bym go widziała, gdy leżał na plecach koło mnie.

Dziwiło mnie, że jeszcze nie śpi. Wstał przed świtem i spędził cały dzień z Brianną w górach. Wrócili długo po zmierzchu, niosąc w kawałku pnia owinięte w pled, otumanione dymem pszczoły. Gdy pszczoły obudzą się rano

i odkryją, co się z nimi stało, będą zapewne nieźle zirytowane. Pomyślałam, że powinnam trzymać się z daleka od tego końca ogrodu, gdzie stał rząd pni z ulami. Zaraz po przeprowadzce pszczoły najczęściej najpierw żądliły, a dopiero potem zadawały pytania.

Jamie westchnął potężnie, a ja przetoczyłam się ku niemu i wpasowałam w łuk jego ciała. Noc nie była chłodna, ale ze względu na Briannę włożył do łóżka koszulę nocną.

- Nie możesz spać? - spytałam cicho. - Czy światło księżyca ci przeszkadza?

- Nie. - Patrzył jednak na księżyc, wznoszący się wysoko nad granią. Jeszcze nie w pełni, ale na tyle jasny, że całe niebo lśniło.

- To nie księżyc, to coś innego. - Potarłam go lekko po brzuchu i objęłam palcami szeroki łuk jego bioder.

Znów westchnął i ścisnął mi dłoń.

- Och, to tylko głupi żal, Angielko. - Odwrócił głowę ku łóżku, gdzie ciemna masa włosów Brianny zaścielała rozświetloną księżycem poduszkę. - Tak mi smutno, że musimy ją stracić.

- Mmm. - Położyłam mu dłoń na piersiach. Wiedziałam, że to nastąpi - i to, że zda sobie z tego sprawę, i to, że będziemy musieli się rozstać. Nie chciałam jednak o tym mówić, by nie mącić chwilowego czaru, który połączył naszą trójkę. - Nie można stracić dziecka - powiedziałam cicho, obrysowując palcem lekkie zagłębienie pośrodku jego piersi.

- Ona musi wrócić, Angielko. Wiesz to tak samo jak ja. - Poruszył się niecierpliwie, ale nie odsunął. - Spójrz na

nią. Jest jak wielbłąd Ludwika. Prawda?

Mimo że też ogarnął mnie żal, na to wspomnienie musiałam się uśmiechnąć. Król Francji Ludwik miał w Wersalu piękną menażerię.

W ładne dni niektóre zwierzęta były wyprowadzane przez opiekunów i przechadzały się po ogrodach, ku zaskoczeniu i radości spacerujących. Pewnego dnia my też spacerowaliśmy w parku. Za którymś zakrętem zobaczyliśmy zbliżającego się ku nam ścieżką wielbłąda, wspaniałego i poważnego, w uprzęży ze złota i srebra, górującego z chłodną pogardą nad tłumem gapiów. Niezwykle egzotycznego i zupełnie niepasującego do sztywnych, białych posągów.

- Tak - potwierdziłam, choć niechętnie. - Tak, oczywiście musi wrócić. Jej miejsce jest tam.

- Ja to wiem. - Przykrył moją dłoń swoją, lecz wciąż odwracał głowę, patrząc na Briannę. - Nie powinienem czuć żalu z tego powodu, ale wciąż czuję.

- Ja też. - Oparłam czoło o jego ramię, wdychając czysty, męski zapach. - To jednak prawda, to, co powiedziałam. Nie można tak zupełnie utracić dziecka. Czy... czy pamiętasz Faith?

Mój głos zadrżał lekko. Od lat nie rozmawialiśmy o naszej pierwszej córeczce, która urodziła się martwa we Francji.

Objął mnie mocniej ramieniem i przyciągnął do siebie.

- Oczywiście, że pamiętam. Myślisz, że mógłbym kiedykolwiek zapomnieć?

- Nie. - Łzy płynęły mi po twarzy, choć właściwie

nie szlochałam, był to jedynie nadmiar uczuć. - O to właśnie mi chodzi.

Nigdy ci nie mówiłam... Gdy byliśmy w Paryżu, by spotkać się z Jaredem, poszłam do Hopital des Anges. Widziałam tam jej grób.

Zaniosłam jej różowy tulipan.

Przez chwilę milczał.

- A ja zanieśm jej fiołki - powiedział tak cicho, że niemal niesłyszalnie. Znieruchomiałam, zapomniawszy o łzach.

- Nie mówiłeś mi.

- Ty mnie też nie. - Przesunął palcami w górę i w dół po kręgach mojego kręgosłupa.

- Obawiałam się, że będziesz czuć... - Zamilkłam. Bałam się, że będzie się czuć winny. Że będzie się martwić, iż go oskarżam - tak jak niegdyś, dawno - o tę stratę. Dopiero co spotkaliśmy się na nowo. Nie chciałam wystawiać na szwank czułych więzów między nami.

- Ja też.

- Żałuję, że nigdy jej nie widziałeś - powiedziałam w końcu i poczułam, jak wzdycha. Obrócił się ku mnie i objął ramionami, dotykając wargami mojego czoła.

- To nie ma znaczenia, prawda? Tak, to prawda, co mówisz, Angielko. Ona była... i zawsze będziemy ją mieć. Briannę też. Jeśli... kiedy odejdzie, wciąż będzie z nami.

- Tak, to nie ma znaczenia, co się zdarzy. Nie ma znaczenia, dokąd dziecko odchodzi, na jak długo ani jak daleko. Nawet jeśli na zawsze. Nigdy się go nie traci. Po prostu nie sposób.

Nie odpowiedział, tylko zacisnął wokół mnie

ramiona i raz jeszcze westchnął. Lekki wiatr, jak anielskie skrzydła, poruszał powietrze nad nami. Powoli zasnęliśmy razem, a światło księżyca skąpało nas odwiecznym spokojem.

43. Whisky

Nie lubiłam Ronniego Sinclaira od samego początku. Nie podobała mi się jego niby przystojna twarz, jego lisi uśmiezek ani sposób, w jaki na mnie patrzył. Tak wprost, tak otwarcie uczciwie, że po prostu wiedziałam, że coś ukrywa, nawet gdy niczego nie ukrywał.

A szczególnie nie podobał mi się sposób, w jaki patrzył na moją córkę.

Odchrząknęłam tak głośno, że aż podskoczył. Uśmiechnął się do mnie, ukazując ostre zęby i kręcąc w rękach metalową obręcz od beczki.

- Jamie mówi, że do końca miesiąca będzie potrzebować jeszcze tuzin małych beczulek na whisky. Ja zaś chcę - gdy tylko uda ci się ją zdobyć - dużą beczkę z drzewa hikory na wędzone mięso.

Kiwnął głową i na kawałku wiszącej na ścianie sosnowej deski zrobił kilka znaczków. Sinclair - co dziwne jak na Szkota - nie potrafił pisać. Miał jednak coś w rodzaju własnego kodu, który umożliwiał mu śledzenie zamówień i rachunków.

- Tak, pani Fraser, coś jeszcze?

Zastanowiłam się, czego jeszcze mogę potrzebować od bednarza, zanim spadnie śnieg. Będę musiała zasolić ryby i mięso, ale lepiej trzymało się ono w słojach z kamionki. W drewnianych beczkach nabierało smaku terpentyny. Miałam już przygotowaną beczulekę na jabłka i

drugą na kabaczki. Kartofle przechowamy na półkach, by niegniły.

- Nie - stwierdziłam. - To wszystko.

- Dobrze, proszę pani - zawahał się, szybciej kręcąc obręczą. - Czy pan pojawi się tu, zanim beczki będą gotowe?

- Nie. Musi zwieźć jęczmień i zająć się rzeźnią, a także destylarnią. Wszystko w tym roku jest spóźnione z powodu procesu. - Uniosłam brew. - Ale dlaczego pytasz? Czy masz dla niego jakąś wiadomość?

Warsztat bednarski mieścił się u wylotu kotlinki, najbliższej drogi, którą ciągnęły wozy, był to więc pierwszy budynek odwiedzany przez większość ludzi, a tym samym miejsce, w którym najczęściej słyszało się plotki spoza Fraser's Ridge.

Sinclair przechylił jasną głowę i zastanowił się.

- Och! To pewnie nic ważnego. Tyle tylko, że słyszałem, iż jakiś nieznajomy rozpytuje się w okolicy o Jamiego Frasera.

Kątem oka dostrzegłam, że Brianna gwałtownie uniosła głowę.

Natychmiast porzuciła kontemplację pił, młotków, siekier i przebijaków na ścianie. Odwróciła się, a jej spódnica zaszeleściła na wiórach drzewnych, którymi podłoga była wysypana aż po kostki.

- Czy zna pan nazwisko tego obcego - spytała niespokojnie - albo wie, jak wygląda?

Sinclair rzucił jej zdziwione spojrzenie. Miał dziwne proporcje.

Wąskie ramiona, ale muskularne ręce. Dłonie tak

wielkie, że mogły należeć do człowieka znacznie wyższego. Szerokim kciukiem bezmyślnie gładził metalową obręcz, powoli ją obracając.

- Nie mogę nic powiedzieć o jego wyglądzie, pani - odrzekł uprzejmie, jednak z tak głodnym spojrzeniem w oczach, że chętnie odebrałabym mu tę obręcz i wcisnęła na głowę. - A jeśli chodzi o nazwisko, to mówił, że nazywa się Hodgepile.

Z twarzy Brianny zniknęła nadzieja, choć słysząc to nazwisko, uśmiechnęła się lekko.

- To raczej nie jest Roger - mruknęła do mnie.

- Raczaj nie - przytaknęłam - nie miałby powodu używać fałszywego nazwiska - odwróciłam się do Sinclaira. - A nie słyszał pan przypadkiem o człowieku nazwiskiem Wakefield? Roger Wakefield?

Sinclair zdecydowanie pokręcił głową.

- Nie, pani. Pan już mówił, że gdyby ktoś taki się pojawił, należy go zaraz przyprowadzić do Fraser's Ridge, więc jeśli ten Wakefield pojawi się w hrabstwie, usłyszy pani o tym razem ze mną.

Brianna westchnęła, najwyraźniej rozczarowana. Minęła już połowa października i choć nic nie mówiła, najwyraźniej jej niepokój pogłębiał się z dnia na dzień. Nie tylko jej zresztą. Powiedziała nam, co Roger zamierzał zrobić, a myśl o rozlicznych nieszczęściach, które mogły mu się przytrafić, wystarczyła, by odebrać mi sen w nocy.

- ...o whisky - mówił Sinclair, znów budząc moją uwagę.

- Whisky? Hodgepile pytał o Jamiego i o whisky? Sinclair przytaknął i odłożył metalową obręcz.

- W Cross Creek. Oczywiście nikt się ani słowem nie zająknął, ale człowiek, który mi o tym opowiadał, powiedział, że uważano tam, iż Hodgepile to żołnierz. Trudno do końca wycesać sobie mąkę z włosów.

- Ale nie był ubrany jak żołnierz? - Żołnierze piechoty czesali włosy w ciasny, złożony ogon, owinięty wokół pasma owczej wełny i upudrowany mąką ryżową. W tym klimacie, gdy mąka mieszała się z potem, szybko zmieniała się w coś w rodzaju ciasta.

- Och, nie. Twierdził, że handluje futrami, ale chodził, jakby miał kij w zadku, a w jego mowie słychać było chrzęst rzemienia. Tak mówił Geordie McClintock.

- To pewnie jeden z ludzi Murchisona. Powiem Jamiemu, dziękuję. Wyszłam z Brianną z warsztatu bednarskiego, zastanawiając się, jakie kłopoty ten Hodgepile może na nas sprowadzić. Pewnie niewielkie, bo sama odległość od cywilizacji i trudny dostęp do Fraser's Ridge chroniły nas przed natrętami. Była to jedna z przyczyn, dla których Jamie wybrał to miejsce. Niedogodności samotnego położenia miały być zrównoważone przez korzyści, gdy przyjdzie do wojny. Byłam pewna, że pod Fraser's Ridge nie dojdzie do żadnej bitwy.

I wszystko jedno, jak bardzo Murchison nienawidzi Jamiego ani jak dobrych ma szpiegów, nie sądziłam, by jego zwierzchnicy pozwolili mu na zbrojną wyprawę w góry na odległość ponad stu kilometrów, tylko po to, by znaleźć nielegalną destylarnię, produkującą niecałe czterysta litrów rocznie.

Na zewnątrz czekali na nas Lizzie i Ian. Zajmowali

się zbieraniem opalu ze śmietnika przy warsztacie Sinclaira. Bednarz produkował ogromne ilości wiórów, ścinków i niepotrzebnych kawałków drewna i kory. Warto więc było je pozbierać, by oszczędzić sobie rąbania polan w domu.

- Czy ty i Ian możecie załadować beczki, kochanie? - poprosiłam Briannę. - Chcę przyjrzeć się Lizzie w słońcu.

Brianna kiwnęła głową, wciąż zagubiona w myślach, i poszła pomóc Ianowi włożyć na wóz pół tuzina beczulek stojących przed sklepem. Były niewielkie, ale ciężkie.

To właśnie umiejętność produkowania tych beczulek przyniosła Ronniemu Sinclairowi dochód, umożliwiający kupno ziemi i warsztatu, a także zapewniający mu klientów mimo nieszczególnie ujmującej powierzchowności. Nie każdy bednarz wiedział, jak wypalić wewnątrz dębowej beczulki, by nadawała piękny, bursztynowy kolor i głęboki wędzony aromat łagodnie starzejącej się w środku whisky.

- Chodź tu, kochanie, i pokaż mi oczy. - Lizzie posłusznie wybałuszyła oczy i pozwoliła mi odciągnąć dolną powiekę. Wciąż była strasznie chuda, ale nieładne, żółte zabarwienie po żółtaczce zniknęło już z jej skóry, oczy zaś miała niemal całkiem białe. Łagodnie objęłam palcami jej szyję. Węzły chłonne były tylko troszkę powiększone. To też mówiło o poprawie.

- Dobrze się czujesz? - spytałam. Uśmiechnęła się nieśmiało i kiwnęła głową. Znalazła się na dworze po raz pierwszy od przybycia z Ianem przed trzema tygodniami. Wciąż brakło jej sił i chwiała się na nogach jak nowo narodzone cielątko. Pomogły jej napary z kory jezuitów. W ostatnim tygodniu nie zdarzył się ani jeden atak gorączki.

Miałam nadzieję, że wkrótce uda mi się oczyścić jej

wątrobę.

- Proszę pani... - powiedziała, a ja aż podskoczyłam, zaskoczona jej głosem. Była tak nieśmiała, że rzadko kiedy odważała się powiedzieć coś do mnie czy do Jamiego. Zazwyczaj mruzczała do Brianny, a Brianna przekazywała to mnie.

- Tak, kochanie?

- Ja nie mogłam nie słyszeć, co mówił ten bednarz... O tym, jak pan Fraser prosił, żeby rozpytać o męża panny Brianny, i zastanawiałam się... - Opanowała ją taka nieśmiałość, że zamilkła, a na policzkach pojawił się lekki rumieniec. - Czy mógłby zapytać także o mego ojca? - wyrzuciła z siebie i zarumieniła się jeszcze mocniej.

- Och! Lizzie, przepraszam. - Brianna skończyła już z beczułkami, podeszła i przytuliła swoją małą pokojówkę. - Nie zapomniałam, ale i nie myślałam o tym. Zaraz pójdę i powiem panu Sinclairowi. - Z szelestem spódnic zniknęła w chłodnej głębi warsztatu bednarza.

- O twego ojca? Czy go zgubiłaś? - spytałam. Dziewczyna kiwnęła głową i zacisnęła zęby, by jej nie drżały.

- Miał tu przybyć jako najemnik kontraktowy. Nie wiem tylko dokąd. Oprócz tego, że do południowych kolonii.

Cóż, to ograniczało poszukiwania do paruset tysięcy kilometrów kwadratowych - pomyślałam. Nie zaszkodzi jednak, by Ronnie Sinclair rozpytywał także i o niego. Gazety i inne drukowane materiały rzadko pojawiały się na południu. Większość wiadomości wciąż przekazywano sobie z ust do ust, w sklepach i tawernach, albo przenoszono

między rozproszonymi plantacjami za pośrednictwem niewolników czy służby.

Myśl o gazecie coś mi przypomniała. Drgnęłam, ale siedem lat wydawało mi się bardzo odległe, Brianna zaś niewątpliwie ma rację - wszystko jedno, czy dom ma się spalić dwudziestego pierwszego stycznia, czy nie, niewątpliwie uda nam się tego dnia w nim nie przebywać.

Pojawiła się mocno zaczerwieniona Brianna, wskoczyła na wóz i złapała lejce, wyraźnie pragnąc jak najprędzej odjechać. Widząc jej zarumienioną twarz, Ian zmarszczył brwi i rzucił spojrzenie ku warsztatowi.

- Co się stało, kuzynko? Czy ten człowiek powiedział ci coś nieprzystojnego? - Zacisnął pięści niemal tak wielkie jak Sinclaira.

- Nie - rzuciła sucho - ani słowa. Czy możemy już jechać?

Ian podniósł Lizzie i postawił na wozie, wyciągnął rękę i pomógł mi wspiąć się na kozioł koło Brianny. Spojrzał na lejce w rękach kuzynki. Sam nauczył ją powozić mułami i teraz z dumą patrzył, jak sobie radzi.

- Uważaj na to bydlę po lewej - przestrzegł ją. - Nie będzie ciągnął swojej części, chyba że od czasu do czasu przejedziesz mu batem po zadzie.

Wskoczył na wóz i umościł się koło Lizzie. Słyszałam, jak opowiada jej nieprawdopodobne historie, a ona chichocze cicho w odpowiedzi. Ian, najmłodszy z rodziny, poddał się urokowi Lizzie.

Traktował ją jak młodszą siostrę, na zmianę jak pieszczocha albo utrapienie.

Obejrzałam się przez ramię na warsztat, a potem

spojrzałam na Briannę.

- Co takiego zrobił? - spytałam cicho.

- Nic, przerwałam mu - powiedziała z pogłębiającym się rumieńcem na szerokich kościach policzkowych.

- Co, na litość boską, robił?

- Rysował nagie kobiety na kawałku deski. Roześmiałam się, w równej mierze zaszokowana i rozbawiona.

- Cóż, nie ma żony i pewnie nieprędko jakąś zdobędzie. Kobiet w kolonii w ogóle jest niewiele, a tu w górach jeszcze mniej. Chyba nie należy się dziwić.

Niespodziewanie ogarnęło mnie współczucie dla Ronniego Sinclaira. Od bardzo dawna był sam. Jego żona zmarła w tych strasznych dniach po Culloden, on natomiast spędził ponad dziesięć lat w więzieniu, zanim zesłano go do kolonii. Jeśli miał tam jakieś związki, to nie przetrwały. Był samotnym człowiekiem. Nagle w innym świetle zobaczyłam jego plotkarstwo, przyglądanie się, nawet wykorzystanie Brianny jako inspiracji artystycznej. Wiedziałam, co to znaczy samotność.

Zmieszanie Brianny zniknęło. Gwizdała cicho pod nosem, pochylona nad lejcami. To chyba była melodia piosenki Beatlesów, choć nigdy nie byłam w stanie rozróżnić tych wszystkich grup. W głowie zagnieździła mi się pewna myśl, która nie chciała zniknąć.

Jeśli Roger się nie pojawi, Brianna nie będzie długo sama, ani tu, ani gdy powróci do przyszłości. Ale to śmieszne. Oczywiście, że się pojawi, a jeśli nie...

Myśl, której starałam się do siebie nie dopuścić, wyminęła bariery obronne i przybrała formę konkretnego

pytania: a jeśli postanowi nie przychodzić? Wiedziałam, że się o coś pokłócili, choć Brianna niewiele o tym mówiła. Czy był tak wściekły, że wrócił bez niej?

Wydawało mi się, że ta możliwość także i jej przyszła do głowy.

Przestała tak wiele mówić o Rogerze, widziałam jednak niespokojne światło w jej oczach, ile razy Clarence ogłaszał przybycie gościa. I widziałam, jak gaśnie ono, ilekroć gość okazywał się tylko jednym z dzierzawców Jamiego lub przyjaciół Iana z plemienia Tuskarora.

- Pospiesz się - mruknęłam pod nosem. Brianna dosłyszała i trzepnęła lejcami po zadzie lewego muła.

- Pospiesz się - krzyknęła i wóz potoczył się szybciej, podskakując na wąskiej drodze do domu.

- Daleko temu do destylarni w Leoch - powiedział Jamie, smętnie wskazując prowizoryczną destylarnię na małej polance - daje jednak swego rodzaju whisky.

Choć mówił z lekceważeniem, Brianna widziała, że jest dumny z zaczątku destylarni. Mieściła się ona ponad trzy kilometry od chaty, bliżej domu Fergusa, więc Marsali mogła pojawiać się tu kilka razy dziennie, by mieć oko na to, co się dzieje. W zamian za to ona i Fergus otrzymywali nieco większy udział w whisky niż pozostali farmerzy z Fraser's Ridge, którzy dostarczali jęczmień i pomagali w dystrybucji alkoholu.

- Nie, kochanie. Nie będziesz tego jadł. To jest be - oświadczyła zdecydowanie Marsali, złapała syna za rękę i zaczęła odchyłać palce, jeden za drugim, starając się uwolnić dużego, szaleńczo wiercącego się robaka, którego mały oczywiście chciał zjeść. Marsali rzuciła karalucha na

ziemię i przydeptała.

Germaine, krępe dziecko o stoickim charakterze, nie rozplakał się z powodu utraty przysmaku, ale spojrzął wrogo spod blond grzywki.

Karaluch, mimo brutalnego potraktowania, odbiegł pod liście, chwiejąc się lekko.

- O, chyba nic by mu się nie stało - powiedział rozbawiony Ian. - Jadałem je od czasu do czasu u Indian. Chociaż szarańcza jest lepsza, szczególnie wędzona.

Marsali i Brianna wydały z siebie pełne obrzydzenia parsknięcia, co wywołało jeszcze szerszy uśmiech na twarzy Iana. Dźwignął kolejny worek jęczmienia i wysypał grubą warstwę do płaskiego kosza. Dwa kolejne karaluchy, nagle wyrzucone na światło dzienne, usiłowały szaleńczo wspiąć się po ściankach kosza. Spadły na ziemię i popędziły przed siebie, by zniknąć pod krawędzią zbudowanej z desek podłogi.

- Powiedziałam, że nie! - Marsali mocno trzymała Germaine'a za kołnierz, nie pozwalając mu poczołgać się za karaluchami. - Zostań tutaj, czy też chcesz być uwędzony?

Przez szczeliny w drewnianej podłodze unosiły się smużki przezroczystego dymu, wypełniając całą polanę zapachem prażonego ziarna. Brianna poczuła ssanie w żołądku. Była już prawie pora kolacji.

- Może należy je zostawić w środku? - zażartowała. - Może wędzone karaluchy dodałyby dobrą nutę do whisky?

- Zapewne by jej nie zaszkodziły - zgodził się Jamie, podchodząc. Wytrzeł twarz chustką, spojrzął na nią i skrzywił się na widok ciemnych smug, zanim wepchnął chustkę do rękawa. - W porządku, Ian?

- Tak, wystarczy. Tylko jeden worek jest w całości zepsuty, wujku Jamie. - Ian trzymał tacę z surowym jęczmieniem. Kopnął pęknięty worek, w którym niebieska pleśń i czarne plamy zgnilizny świadczyły o wilgoci. Na brzegu drewnianej podłogi czekały jeszcze dwa otwarte już worki, w których górna część uległa zepsuciu i została usunięta.

- To kończmy - powiedział Jamie. - Jestem bardzo głodny. - Razem z Ianem złapali worki i wysypali świeży jęczmień grubą warstwą na czyste miejsce na podłodze, używając płaskiej, drewnianej łopaty, by rozgrabić i przerzucić ziarno.

- Jak długo to potrwa? - Brianna nachyliła się nad krawędzią kotła, w którym Marsali mieszała fermentujące ziarno z ostatniego wędzenia. Zacier dopiero zaczynał się tworzyć. W powietrzu czuć było tylko słaby zapach alkoholu.

- O, to trochę zależy od pogody. - Marsali doświadczonym okiem rzuciła na niebo. Było późne popołudnie, zaczęło się już nieco ściemniać, a w każdym razie niebo przybrało kolor czystego granatu.

Tylko tu i tam nad horyzontem unosiły się białe chmury. - Ponieważ jest tak pogodnie, sądzę, że... Germaine! - Pupa Germaine'a okazała się jedyną widoczną częścią jego ciała, bo wszystko, co powyżej, zniknęło pod pnem.

- Zaraz go wydostanę. - Brianna dała trzy kroki i wyciągnęła malucha. Germaine zaprotestował głośno przeciwko takiemu mieszaniu się w jego sprawy i zaczął kopać piętami o jej uda. - Au! - Brianna postawiła go na

ziemi i roztarła ciało dłonią.

Rozdrażniona Marsali upuściła łyżkę.

- A teraz co wyciągnąłeś, ty paskudo?

Nauczony poprzednim doświadczeniem, Germaine błyskawicznie włożył znaleźisko do ust i gwałtownie przełknął. Jego twarz natychmiast przybrała fioletową barwę. Dziecko zaczęło się krztusić.

Z okrzykiem niepokoju Marsali padła na kolana i próbowała otworzyć mu usta. Germaine dusił się, rzeził i rzucił do tyłu, kręcąc głową.

Niebieskie oczy wyszły mu na wierzch, a z ust ciekła strużka śliny.

Brianna złapała chłopca za ramię, oparła plecami o siebie, zwinęła obie dłonie w pięści, przyłożyła mu do żołądka i gwałtownie, mocno nacisnęła. Germaine wydał z siebie głośny okrzyk, a z ust wystrzeliło mu coś małego i okrągłego. Złapał powietrze, zabulgotał i zaczął zanosić się płaczem. W kilka sekund kolor jego twarzy znów się zmienił - z ciemnofioletowego na zdrowo czerwony.

- Czy on się dobrze czuje? - Jamie przyjrzał się niespokojnie chłopcu, płaczącemu w ramionach matki, i usatysfakcjonowany przeniósł wzrok na Briannę. - To było szybkie, dziewczyno. Dobra robota!

- Dzięki. Cieszę się, że zadziałało.

Brianna czuła się nieco roztrzęsiona. Wystarczyło kilka sekund - od życia do śmierci i z powrotem - zaledwie kilka sekund. Jamie dotknął jej ramienia, ucisnął lekko i natychmiast ogarnął ją spokój.

- Lepiej zabierz małego do domu - powiedział Marsali - daj mu kolację i połóż do łóżka. My tu

skończymy.

Marsali kiwnęła głową; też robiła wrażenie wstrząśniętej.

Odgarnęła z oczu jasne włosy i starała się uśmiechnąć do Brianny.

- Dziękuję, dobra siostró.

Na te słowa Briannę wypełniło zaskakujące poczucie radości.

Odwzajemniła uśmiech.

- Cieszę się, że nic mu nie jest.

Marsali zgarnęła z ziemi torbę i kiwnąwszy głowę Jamiemu, zaczęła ostrożnie schodzić stromą ścieżką, trzymając w ramionach chłopca, który wplątał jej we włosy tłuste łapki.

- To była dobra robota, kuzynko. - Ian skończył rozgrabianie jęczmienia i zeskoczył z platformy, by jej pogratulować. - Gdzie się tego nauczyłaś?

- Od mamy.

Ian pokiwał głową, najwyraźniej pod wrażeniem. Jamie pochylił się, przeszukując grunt.

- Co takiego ten mały połknął?

- To. Wygląda jak guzik. - Brianna wyciągnęła pomiędzy liści niewielki przedmiot. Wyglądał jak krzywe kółko, niezręcznie wyrzeźbione z drewna, ale niewątpliwie był to guzik, z przewierconymi dziurkami na nici.

- Niech popatrzę. - Jamie wyciągnął rękę. - Nie brakuje ci żadnych guzików, Ianie? - spytał, marszcząc brwi nad niewielkim przedmiotem na dłoni.

Ian zerknął Jamiemu przez ramię i pokręcił głową.

- Może to Fergus? - powiedział.

- Może, chociaż nie sądzę. Nasz Fergus jest takim dandysem, że nie nosiłby czegoś takiego. Wszystkie guziki przy płaszczu ma z polerowanego rogu. - Pokręcił powoli głową, wciąż marszcząc brwi, a w końcu wzruszył ramionami. Włożył guzik do sporrana. - Cóż, popytam, czyje to może być. Czy skończysz tutaj, Ianie? Niewiele już zostało do zrobienia. - Uśmiechnął się do Brianny i ruchem głowy pokazał ścieżkę. - Chodź, dziewczyno. Spytamy Lindseyów w drodze do domu.

Jak się okazało, Kenny'ego Lindseya nie było w domu.

- Niecałą godzinę temu przyszedł po niego Duncan Innes - wyjaśniła pani Lindsey, osłaniając dłonią oczy przed wieczornym słońcem. - Jestem właściwie pewna, że są u was. Może wejdziecie z dziewczyną do środka, Mac Dubh, i coś przekąsicie?

- Ach, nie, dziękuję, pani Kenny. Moja żona na pewno czeka na nas z kolacją. Może jednak mi pani powie, czy ten drobiazg nie pochodzi z kurtki Kenny'ego?

Pani Lindsey spojrzała na guzik i pokręciła głową.

- Nie, na pewno. Właśnie mu skończyłam przyszywać cały nowy zestaw guzików, które wyrzeźbił z kości jelenia. Najśliczniejsze rzeczy, jakie pan kiedykolwiek widział - pochwaliła się, dumna ze zdolności męża. - Na każdym guziku jest mała buzia, która śmieje się jak diablik, a każda inna.

Przesunęła wzrokiem po Briannie z namysłem.

- Kenny ma brata, wie pan? - powiedziała. - Ma ładny dom, niedaleko Cross Creek. Dwadzieścia akrów tytoniu i dobry strumień.

Będzie na Zgromadzeniu pod górą Helicon. Może wy też przyjedziecie, Mac Dubh?

Jamie pokręcił głową, uśmiechając się na tę sugestię. W kolonii nie było wielu kobiet, a choć Jamie powiadomił wszystkich, że Brianna została już przyrzeczona, nie położyło to kresu próbom swatania.

- Niestety, nie w tym roku. Może za rok. Teraz jednak po prostu nie mam czasu.

Pożegnali się uprzejmie i zawrócili ku domowi. Zachodzące słońce rzuciło ich długie cienie na ścieżkę.

- Czy myślisz, że ten guzik ma znaczenie? - spytała Brianna z ciekawością. Jamie wzruszył ramionami. Lekki wiatr rozwiewał mu włosy na czubku głowy i szarpał za rzemień, którym je związał.

- Nie potrafię powiedzieć. Może nic nie znaczyć, a może coś znaczyć. Twoja matka powtórzyła mi, co mówił Ronnie Sinclair o człowieku w Cross Creek, który pytał o whisky.

- O Hodgépil'u? - Brianna uśmiechnęła się na wspomnienie tego nazwiska. Jamie odpowiedział uśmiechem, ale zaraz spoważniał.

- Tak, jeśli guzik należy do kogoś z Fraser's Ridge... Oni wszyscy wiedzą, gdzie jest destylarnia. Mogą przychodzić, by popatrzeć, i nic z tego nie wynika. Ale jeśli to jakiś obcy... - Spojrzał na nią i wzruszył ramionami. - Człowiekowi nie jest tu łatwo pozostać niezauważonym, chyba że celowo się kryje. Każdy, kto przychodzi tu z niewinnego powodu, zatrzyma się w którymś domu, coś zje i wypije, a ja tego samego dnia będę o tym wiedział. Ale niczego takiego nie było. Ten guzik nie należy także do

Indianina, bo nie używają ich w swoich ubraniach.

Powiew wiatru zakręcił brązowymi i żółtymi liśćmi na ścieżce.

Zwrócili się w górę zbocza ku chacie. Szli w milczeniu, wsłuchując się w coraz cichsze lasy. Ptaki wciąż śpiewały wieczorne pieśni, ale cienie pod drzewami wydłużały się. Północne zbocze góry po drugiej stronie doliny już ściemniało i umilkło.

Jednak polanę, na której stała chata, wciąż rozświetlało słońce, przesączaając się przez żółte liście kasztanowców. Claire pracowała w otoczonym palisadą ogrodzie. Na jednym biodrze trzymała miskę, drugą ręką zrywała fasolę. Jej szczupła postać z wielką aureolą złotych włosów rysowała się czarną sylwetką na tle słońca.

- Innisfree - powiedziała odruchowo Brianna, zatrzymując się na ten widok.

- Innisfree? - Jamie zerknął na nią, nie rozumiejąc. Zawahała się, ale musiała wyjaśnić.

- To wiersz, a raczej część wiersza. Tatusz zawsze go recytował, gdy po powrocie do domu znajdował mamę w ogrodzie. Mówił, że gdyby tylko mogła, toby tam zamieszkała. Żartował, że któregoś dnia mama nas zostawi i odejdzie do takiego miejsca, gdzie będzie mogła mieszkać sama, tylko ze swoimi roślinami.

- Aha. Jak brzmi ten wiersz?

Serce jej się ścisnęło, gdy go recytowała:

Wstanę teraz, by pójść ku wyspie Innisfree, Chatka z gliny i łóz na środku wyspy stanie: W dziewięciu rzędach groch i ul, i pszczoły, i Mieszkanie będę miał na pełnej pszczoł polanie.

(Wiersz Williama Butlera Yeatsa w tłumaczeniu Leszka Engelkinga.)

Krzaczaste rude brwi ściągnęły się lekko.

- To zatem wiersz. A gdzie jest Innisfree?

- Może w Irlandii. Poeta był Irlandczykiem - wyjaśniła Brianna.

Tuż na granicy lasu pnie drzew z ulami stały solidnie wsparte na kamieniach. Koło nich, w słodko pachnącym powietrzu migały maleńkie, złoto - czarne iskierki. To pszczoły wracały do domu z pól.

Jamie nie zrobił żadnego ruchu. Stał milcząco u jej boku, przyglądając się Claire zbierającej fasolę, czarno - złotej wśród liści.

Nie jest jednak sama, pomyślała, ale w piersi wciąż czuła pewien ucisk, choć nie był to właściwie ból.

Kenny Lindsey łyknął nieco whisky, zamknął oczy i posmakował ją na języku jak zawodowy kiper. Ściągnął brwi, koncentrując się, następnie przełknął.

- Ho... - odetchnął głośno i wstrząsnął się - to ci wyczyści flaki.

Jamie uśmiechnął się, słysząc ten komplement, i nalał kolejny nieduży kieliszek, podając go Duncanowi.

- Tak, jest lepsza niż w zeszłym roku - przytaknął, wachając ostrożnie, zanim sam spróbował. - Ta nie zdejmuje ci skóry z języka.

Lindsey wytarł usta grzbietem dłoni i kiwnął potakująco głową.

- No, znajdę jej dobry dom. Woolam chce beczułkę. Wystarczy mu to na cały rok, bo kwakrzy piją oszczędnie.

- Zgodziliście się co do ceny?

Lindsey kiwnął głową, pociągając nosem, bo Lizzie postawiła przed nim talerz z plackami owsianymi.

- Cetnar jęczmienia za beczułkę i kolejny, jeśli podzielisz się z nim pół na pół whisky, jaką z niego zrobisz.

- To uczciwe - Jamie wziął jeden placek i przez chwilę jadł go w zamyśleniu. Następnie zwrócił się do Duncana, siedzącego po drugiej stronie stołu. - Spytasz McLeoda w Naylor's Creek, czy pójdzie z nami na taki sam układ? Będziesz tamtędy jechał do domu, prawda?

Duncan przytaknął z pełnymi ustami, a Jamie uniósł ku mnie kieliszek w milczącym toaście. Oferta Woolama sprawiała, że mieliśmy czterysta kilogramów jęczmienia, uzyskanych dzięki wymianie i obietnicom. Więcej niż to, co mogliśmy zebrać ze wszystkich pól należących do Fraser's Ridge. Surowiec na whisky w przyszłym roku.

- Beczułka dla każdego z domów we Fraser's Ridge, dwie dla Fergusa, dwie może dla Nacognaweto, jedną zatrzymamy na starzenie... Tak, być może dla Zgromadzenia będziemy mogli przeznaczyć jakiś tuzin, Duncanie.

Przybycie Duncana było bardzo szczęśliwe. Choć Jamiemu udało się wymienić surową whisky ze zbiorów pierwszego roku z Morawianami w Salem za narzędzia, tkaniny i inne rzeczy, których tak rozpaczliwie potrzebowaliśmy, niewątpliwie zamożni szkoccy plantatorzy na Cape Fear będą lepszym rynkiem zbytu.

Nie mogliśmy zostawić domu na tak długo, by pojechać na Zgromadzenie pod górę Helicon, bo droga w jedną stronę trwała tydzień. Gdyby jednak Duncan zabrał whisky i ją sprzedał... Już sporządzałam w głowie listy. Na

Zgromadzenie każdy przywoził rzeczy na sprzedaż: wełnę, materiały, narzędzia, żywność, zwierzęta.

Bardzo potrzebowałam niewielkiego, miedzianego imbryczka, sześć długości muslinu na koszule i...

- Czy uważacie, że należy dawać alkohol Indianom?

- Pytanie Brianny wyciągnęło mnie z pełnych chciwości marzeń.

- Czemu nie? - spytał Lindsey z wyraźną dezaprobatą. Jego zdaniem dziewczyna nie powinna się wtrącać. - Ostatecznie nie zamierzamy im tego dać, dziewczyno. Mają nieco srebra, ale płacą skórami, i to dobrze.

Brianna poszukała wzrokiem wsparcia u mnie, a potem u Jamiego.

- Ale Indianie nie... To znaczy, słyszałam, że nie potrafią pić alkoholu. Wszyscy trzej mężczyźni spojrzeli na nią, nie rozumiejąc jej słów. Duncan wpatrzył się w swoją szklaneczkę, obracając ją w ręku.

- Nie potrafią pić?

- Chodzi mi o to, że łatwo się upijają.

Lindsey też wpatrzył się w swoją szklaneczkę, a następnie spojrzął na Briannę i potarł dłonią łysiejący czubek głowy.

- Chcesz coś powiedzieć, dziewczyno? - spytał mniej więcej uprzejmie. Pełne wargi Brianny zacisnęły się, by po chwili się rozluźnić.

- Chodzi mi o to - wyjaśniła - że nie jest dobrze zachęcać ludzi do picia, jeśli wiemy, że nie potrafią przestać pić, gdy raz zaczną. - Spojrzała na mnie nieco bezradnie. Pokręciłam głową.

- Nie ma jeszcze takiego słowa jak „alkoholik” - powiedziałam - to nie jest jeszcze choroba, tylko słaby charakter.

Jamie spojrzał na nią pytająco.

- Cóż, powiem ci, dziewczyno, że widywałem wielu pijaków.

Nie widziałem jednak jeszcze nigdy, żeby butelka zeskoczyła ze stołu i sama wylała się komuś do gardła.

Rozległy się powszechnie pochrząkiwania, bo mężczyźni z nim zgadzali, i zaraz zmieniono temat.

- Hodgepile? Nie, nie widziałem go. Choć chyba słyszałem to nazwisko. - Duncan zakręcił resztką whisky w szklaneczce i odstawił ją. - Chcesz, żebym się popytał na Zgromadzeniu?

Jamie kiwnął głową i wziął kolejny placek. Lizzie stała pochylona nad ogniem, mieszając zupę na kolację. Widziałam, jak naprężyła ramiona, była jednak zbyt nieśmiała, by się odezwać przy tylu mężczyznach. Brianna nie miała takich zahamowań.

- Ja też chciałam prosić, by pan o kogoś spytał. - Pochyliła się nad stołem do Duncana Innesa, patrząc na niego z prośbą w oczach. - Czy zgodzi się pan rozpytać o człowieka nazwiskiem Roger Wakefield?

- Och, oczywiście. Oczywiście zapytam. - Duncan zarumienił się z powodu bliskości piersi Brianny i w pomieszeniu wypił resztki whisky Kenny'ego. - Czy jest coś jeszcze, co mogę dla was zrobić?

- Tak - powiedziałam, stawiając świeżą szklaneczkę przed niezadowolonym Lindseyem. - Gdy będzie pan rozpytywał o Hodgepile'a i młodego człowieka Bree, czy

może pan zapytać również o niejakiego Josepha Wemyssa? To najemnik kontraktowy. - Kątem oka dostrzegłam, jak szczupłe ramiona Lizzie opadają z ulgą.

Duncan przytaknął i oprzytomniał nieco, gdy Brianna zniknęła w spiżarni, by przynieść masło. Kenny Lindsey popatrzył za nią z zainteresowaniem.

- Bree? Czy tak nazywacie swoją córkę? - spytał.

- Tak - przytaknęłam. - A co?

Przez twarz Lindseya przemknął uśmiech. Spojrzał na Jamiego, zakaszłał i schował uśmiech w szklaneczce.

- To szkockie słowo, Angielko - powiedział Jamie z dość kwaśnym uśmiechem. - Bree znaczy tyle co wielkie zamieszanie.

44. Trójstronna konwersacja

Październik 1769

Zamachnął się siekierą i poczuł, jak drzenie wywołane uderzeniem przebiega mu po mięśniach ramion. W rytmie zrodzonym z długiej praktyki wyszarpnął ją z pieńka, podniósł i ponownie opuścił z głośnym trzaskiem rozszczepianego drewna. Przesunawszy opartą o pień stopę, raz jeszcze z wielką precyzją opuścił siekierę. Ostry metal zagłębił się w drewnie zaledwie pięć centymetrów od jego nogi.

Mógł zlecić rąbanie drewna Ianowi i samemu pojechać po mąkę z niewielkiego młyna w Woolam's Point, chłopak jednak zasłużył sobie na odwiedzinę u trzech niezamężnych córek Woolama, które pracowały razem z ojcem. Były to kwakierki, ubrane ponuro jak jaskółki, ale o ładnych buziach i żywym usposobieniu. Ian był ich ulubieńcem, zawsze częstowały go piwem i pasztecikami z

mięsem.

Lepiej, by chłopak flirtował z cnotliwymi kwakierkami niż z indiańskimi dziewczynami o śmiałych oczach - myślał nieco ponuro.

Nie zapomniał, co opowiadał Myers: że indiańskie kobiety biorą do łóżka mężczyzn, ilekroć mają ochotę.

Razem z Ianem wysłał dziewczynę, uznawszy, że ostre, jesienne powietrze wywoła może nieco koloru na jej policzki. Lizzie miała cerę tak białą jak Claire, ale o niezdrowym odcieniu chudego mleka. Claire natomiast jakby lśniła, a jej cera przypominała jedwabiście biały rdzeń topoli.

Pień był już niemal przerąbany. Jeszcze jedno uderzenie, skręcenie siekiery i dwa dobre polana odpadły, gotowe do włożenia do kominka, pachnące ostro żywicą. Ułożył je na stosie przy ścianie spiżarni i na miejsce między nogami przetoczył kolejny pniak.

Prawda była taka, że lubił rąbać drzewo. Różniło się to od nieprzyjemnego wycinania torfu, podczas którego ubranie robiło się wilgotne, kręgosłup bolał, a stopy niemal zamarzały. Dawało natomiast tę samą głęboką satysfakcję, że ma dobry zapas drewna na zimę. Uczucie to znają tylko ci, którzy spędzili zimę, drząc w cienkich ubraniach. Ułożone starannie polana sięgały już niemal okapu domu.

Były to kawałki sosny i dębu, hikory i klonu. Ten widok ogrzewał mu serce tak samo, jak drewno będzie ogrzewać mu ciało.

Jak na koniec października, dzień był naprawdę ładny i ciepły.

Koszula już przykleiła mu się do ramion. Wytarł

twarz rękawem i krytycznie spojrzął na smugę wilgoci. Jeśli przepoci koszulę, Brianna będzie się upierać, by ja znów uprać - mimo jego protestów, że pot jest czysty. Zrobi minę pełną dezaprobaty, zmarszczy nos jak opos i rozszerzy nozdrza. Kiedy pierwszy raz zobaczył ten wyraz twarzy, roześmiał się na głos, tyleż z zaskoczenia, co z rozbawienia.

Jego matka zmarła dawno temu, gdy był jeszcze dzieckiem, i choć od czasu do czasu w snach pojawiała się jakieś wspomnienie na jej temat, w pamięci jej obecność wyrażała się statycznymi obrazami przechowanymi przez mózg. Ona jednak tak samo marszczyła długi nos, gdy wracał z dworu brudny. Przypomniało mu się to nagle, gdy zobaczył tę samą minę na twarzy Brianny.

Jakaż tajemnicą jest krew! Jak to możliwe, że drobny gest czy ton głosu trwa przez pokolenia tak samo jak prawda ciała? Dostrzegał to wielokrotnie, przyglądając się, jak dorastały jego siostrzenice i siostrzeńcy, i bez dyskusji przyjmował echo dziadka czy innego przodka, które pojawiało się na krótki moment - cień twarzy, przekazany przez lata, wnikający w czyjąś współczesną twarz.

Teraz jednak, gdy zobaczył to u Brianny... Mógł się jej przyglądać godzinami. Przypominała mu siostrę, pochylającą się z fascynacją nad każdym kolejnym noworodkiem. Może dlatego rodzice patrzyli na swoje maleństwa w takim zachwyceniu - pomyślał - że znajdowali w nich drobne więzi, ogniwa łańcucha życia, łączące jedno pokolenie z kolejnym.

Wzruszył ramionami i ściągnął koszulę. Ostatecznie był u siebie.

Nikt nie zobaczy śladów na jego plecach, a jeśli

nawet ktoś je dostrzeże, to nie będzie to jego interes. Powietrze nagłym chłodem owiało wilgotną skórę, ale kilka uderzeń siekierą znów rozgrzało mu krew w żyłach.

Głęboko kochał wszystkie dzieci Jenny - szczególnie Iana, którego mieszanka głupoty i upartej odwagi przypominała mu jego samego w tym wieku. Ostatecznie byli z tej samej krwi. Ale Brianna... Brianna była nie tylko z jego krwi, ale i z jego ciała.

Niewypowiedziana obietnica, złożona własnym rodzicom. Jego dar dla Claire i jej dar dla niego.

Nie po raz pierwszy zastanawiał się nad Frankiem Randallem. Co myślał Randall, trzymając dziecko innego mężczyzny, mężczyzny, którego nie miał powodu kochać? Może Randall był lepszym człowiekiem? Może troszczył się o dziecko ze względu na jego matkę, a nie siebie? Może patrzył na twarz Brianny, ciesząc się jedynie jej pięknem, a nie dlatego, że widział tam siebie samego? Ogarnął go niewyraźny wstyd, spuścił więc siekierę z większą siłą, by pozbyć się tego uczucia. Jego mózg nie uczestniczył w działaniach, zajęty myślami, lecz siekiera, gdy jej używał, stanowiła tak samo część jego ciała jak trzymające ją ramiona. Tak jak skurcz w nadgarstku czy łokciu natychmiast dawał mu znać, że coś sobie uszkodził, tak samo jakaś lekka wibracja, jakieś delikatne przemieszczenie ciężaru siekiery zatrzymało go w połowie ruchu. Dzięki temu obluźowane ostrze przeleciało przez polanę, nie robiąc nikomu krzywdy, i nie wbiło mu się w stopę.

- Deo gratias - mruknął, ale w jego głosie nie było dziękczynienia. Przeżegnał się zdawkowo i poszedł szukać ostrza. To przez tę suchą pogodę. Nie padało od blisko

miesiąca; wyschnięty trzonek siekiery był mniejszym zmartwieniem niż pochylone głowy roślin w przydomowym ogrodzie Claire. Rzucił okiem na nie do końca wykopaną studnię i wzruszył ramionami z irytacją. To kolejna rzecz, którą trzeba zrobić, a na którą nie ma czasu. Będzie musiała poczekać. Wodę mogą przynosić ze strumienia albo topić śnieg, natomiast bez drewna zamarzną albo umrą z głodu, a najpewniej jedno i drugie.

W otwartych nagle drzwiach pojawiła się Claire. Zarzuciła na siebie pelerynę, by chronić się przed chłodem jesieni, w ręce trzymała koszyk. Za nią szła Brianna. Na ich widok zapomniał o zdenerwowaniu.

- Coś sobie zrobiłeś? - spytała natychmiast Claire, widząc, że trzyma w ręce ostrze siekiery. Przyjrzała mu się szybko, szukając krwi.

- Nie, jestem cały - zapewnił ją - muszę tylko naprawić trzonek.

Idziecie do lasu? - Ruchem głowy wskazał kosz Claire.

- Pomyślałam, że poszukamy grzybów w górze strumienia.

- Tak? Tylko nie odchodźcie daleko, dobrze? Indianie polują w górach. Czuję ich dzisiaj na grani.

- Czuleś ich? - powtórzyła Brianna, unosząc pytająco jedną rudą brew.

Zobaczył, jak Claire przenosi wzrok z Brianny na niego i uśmiecha się lekko do siebie. To był jeden z jego odruchów. Teraz więc, patrząc na Claire, również uniósł brew, wywołując na jej twarzy szerszy uśmiech.

- Jest jesień, więc suszą dziczyznę - wyjaśnił

Briannie. - Jeśli wiatr wieje we właściwym kierunku, można poczuć dym z wędzarni z bardzo daleka.

- Nie pójdziemy daleko - zapewniła Claire - tylko trochę za stawek z psągami.

- Cóż, dobrze. Tam powinno być bezpiecznie. - Z pewną niechęcią pozwalał im się oddalić, nie mógł jednak przecież trzymać ich w domu tylko dlatego, że w pobliżu pojawili się dzicy. Indianie niewątpliwie zajmowali się tak pokojowymi czynnościami jak on, przygotowując się do zimy.

Gdyby wiedział na pewno, że są to ludzie Nacognaweto, nie miałby się czym przejmować. Prawda jednak była taka, że myśliwi często zapuszczali się daleko. Mogli to więc być Czirokezi albo nawet to niewielkie plemię, które nazywało siebie Ludem Psa. Została ich już tylko jedna wioska i bardzo podejrzliwie traktowali białych. Nie bez powodu.

Oczy Brianny spoczęły na chwilę na jego nagiej piersi, na splątanych śladach blizn, nie okazała jednak ani obrzydzenia, ani ciekawości. Oparła mu rękę na ramieniu i pocałowała w policzek na do widzenia. Wiedział, że musiała wyczuć pod dłonią zagojone szramy.

Zapewne Claire opowiedziała jej o Jacku Randallu i czasach sprzed powstania - ale może nie wszystko. Przebiegł go dreszcz, niemający nic wspólnego z chłodem. Cofnął się nieco, choć wciął się do niej uśmiechał.

- Chleb jest w kredensie, a w garnku trochę zupy dla ciebie, Iana i Lizzie. - Claire wyciągnęła rękę i wytrzepała mu z włosów kawałek drewna. - Nie jedz puddingu ze spiżarni, trzymam go na kolację.

Złapał jej palce i uniósł do warg. Spojrzała zaskoczona, a jej skórę rozjaśnił lekki rumieniec. Wspięła się na palcach i pocałowała go w usta, potem zaś pospieszyła za Brianną, która czekała już na granicy lasu.

- Bądźcie ostrożne! - zawołał za nimi. Pomachały mu i zniknęły między drzewami. Wciąż czuł na twarzy ich pocałunki. - Deo gratias - mruknął znów, tym razem jednak z prawdziwą wdzięcznością. Patrzył za nimi, aż zgasł ostatni błysk płaszcza Brianny.

Siedział na pieńku z garścią gwoździ o kwadratowych główkach i niewielkim młotkiem starannie wbijał jeden po drugim w koniec siekiery. Suche drewno pękało i rozsuwało się, nie rozlatywało się jednak, tkwiąc w żelaznej obręczy główki siekiery.

Poruszył ostrzem, stwierdził, że trzyma się mocno, wstał więc i na próbę uderzył potężnie w pieńek. Siekiera była jak nowa. Zmarzł już nieco, siedząc, wciągnął więc znów koszulę. Był też głodny, ale zaczeka na młodych. Co prawda pewnie już się nieźle najedli - pomyślał cynicznie. Niemal czuł w ustach smak pasztecików pieczonych przez Sarę Woolam. Ich intensywny aromat połączył się w jego wspomnieniu z jesiennym zapachem opadłych liści i wilgotnej ziemi.

Wrócił do pracy, wciąż myśląc o pasztecikach, ale także o zimie.

Indianie powiedzieli, że w tym roku będzie ona ciężka, nie taka jak poprzednia. Czy uda mu się polować w głębokim śniegu? W Szkocji oczywiście też padał śnieg, często jednak leżał na ziemi tylko cienką warstwą, na której wyraźnie było widać ślady jeleni.

Ostatnia zima była lekka, jednak w tej dziczy niczego nie sposób przewidzieć. Słyszał o zamieciach, które zostawiały za sobą dwumetrową pierzynę, o dolinach, gdzie człowiek mógł wpaść w zaspę powyżej głowy, i o lodzie, który tak grubą warstwą zamarzał na strumieniach, że był w stanie utrzymać ciężar niedźwiedzia. Na myśl o niedźwiedziu uśmiechnął się nieco ponuro. Gdyby udało mu się upolować jeszcze jednego, mieliby co jeść przez całą zimę. Skóra też by się przydała. Powoli jego myśli dostosowywały się do rytmu pracy.

Część jego mózgu usiłowała przywołać słowa piosenki Tata poszedł zapolować, druga zaś wciąż zajęta była żywym obrazem białej skóry Claire, bladej i tak upajającej jak reńskie wino na tle czarnego, niedźwiedziego futra. „Zapolować poszedł tata, by mieć w co owinąć brata”, zamruczał pod nosem bez melodii.

Zastanawiał się, ile właściwie Claire powiedziała Briannie. Taka trójstronna rozmowa była dziwna, ale całkiem miła. On i dziewczyna ciągle traktowali się z pewną nieśmiałością i osobiste sprawy powierzali raczej Claire, wierząc, że przekaże najważniejszy ich sens.

Claire była ich tłumaczką w tym nowym, niezręcznym języku serca.

Choć był wdzięczny za cud córki, chciałby znów kochać się z żoną we własnym łóżku. Na dworze robiło się już zbyt chłodno, by kochać się w szopie z ziołami albo w lesie, przyznawał jednak, że tarzanie się nago w wielkich zaspach żółtych liści kasztanowca miało pewien urok, choć brakowało mu godności.

- No cóż - mruknął, uśmiechając się do siebie - a

kiedyż to mężczyzna martwił się o swoją godność, gdy to robi?

Spojrzał z namysłem na stos długich, prostych pni sosnowych leżących po jednej stronie polany, a potem na słońce. Jeśli Ian wróci szybko, może przed zachodem słońca zdążyć jeszcze kilkanaście okorować. Odłożył na chwilę siekiere. Poszedł do domu i zaczął wymierzać nową izbę, którą planował dobudować do chaty do tymczasowego użytku, póki budował się duży dom. Brianna była dorosłą kobietą i powinna mieć jakieś miejsce dla siebie, gdzie mogłaby mieszkać z pokojówką. A jeśli to przywróciłoby prywatność jemu i Claire, to jeszcze lepiej.

Ktoś szedł po suchych liściach na podwórzu. Nie odwrócił się jednak. Usłyszał cichy kaszel.

- Panno Lizzie - powiedział, nie odrywając oczu od ziemi - czy przejażdżka była przyjemna? Mam nadzieję, że wszyscy Woolamowie dobrze się czują? - „A gdzie jest Ian i wóz?” - zastanawiał się. Nie słyszał go na drodze.

Nie odezwała się, ale wydała z siebie dźwięk, który spowodował, że odwrócił się, zaskoczony. Była blada, miała ściągniętą buzię i wyglądała jak przestraszona mała myszka. Nie było w tym nic niezwykłego. Wiedział, że sam jego wzrost i głęboki głos ją peszą.

Mówił więc do niej łagodnie i powoli, jakby przemawiał do zbitego psa.

- Czy mieliście jakiś wypadek? Czy coś się stało wozowi albo koniom? Pokręciła głową bez słów. Oczy miała niemal okrągłe, szare jak brzeg jej spranej sukienki. Czubek nosa zarumienił się.

- Czy z Ianem wszystko w porządku? - Nie chciał jej

denerwować, ale jej zachowanie budziło w nim niepokój. Coś się stało, niewątpliwie.

- Wszystko w porządku, wuju. Koniom też nic się nie stało. - Ian ukazał się zza rogu chaty, idąc cicho jak Indianin. Stał koło Lizzie, oferując jej wsparcie swoją obecnością. Niemal automatycznie ujęła go za ramię. Jamie przeniósł wzrok z jednego na drugie. Ian wydawał się spokojny, ale widać było, że w środku się gotuje.

- Co się stało? - spytał ostrzej, niż zamierzał. Dziewczyna aż się cofnęła.

- Lepiej mu powiedz, bo możemy nie mieć zbyt wiele czasu - Ian dotknął zachęcająco jej ramienia, a ona zdawała się czerpać z tego siłę. Wyprostowała się i uniosła głowę.

- Ja... tam był... widziałam przy młynie mężczyznę.

Próbowała mówić dalej, ale była zbyt zdenerwowana. Z trudem wysunęła język przez zęby, jednak nie potrafiła wydusić z siebie słów.

- Znała go, wuju - powiedział Ian. Wydawał się poruszony, lecz nie przestraszony. Raczej podniecony w dość niezwykły sposób. - Widziała go już wcześniej, z Brianną.

- Tak? - starał się, by zabrzmiało to zachęcająco, ale ogarniało go złe przeczucie.

- W Wilmington - wydusiła z siebie Lizzie. - Nazywa się MacKenzie. Słyszałam, jak jeden marynarz tak do niego mówił.

Jamie rzucił spojrzenie na Iana, który potrząsnął głową.

- Nie mówił, skąd jest, ale nie znałem w Leoch

nikogo takiego jak on. Widziałem go i słyszałem, jak mówi. Być może jest z gór, ale powiedziałbym, że uczył się na południu. To wykształcony człowiek.

- Czy ten MacKenzie znał moją córkę? - spytał.

Lizzie pokiwała głową, marszcząc brwi w skupieniu.

- Och, tak, panie. I ona też go знаła, bała się go.

- Bała się, dlaczego? - odezwał się ostro. Zbladła, ale ponieważ zaczęła już mówić, słowa płynęły - z wahaniem i niepewnie, ale płynęły.

- Nie wiem, panie. Ale na jego widok zbladła i krzyknęła, potem zrobiła się czerwona, blada, potem znów czerwona. Och, była bardzo zdenerwowana. Wszyscy to widzieli.

- I co on zrobił?

- No wtedy nic. Podszedł do niej, złapał za ramiona i powiedział, że musi z nim wyjść. Wszyscy w tawernie patrzyli. Wyrwała mu się, blada jak moja koszula, ale powiedziała, że wszystko w porządku, mam poczekać, a ona wróci - i wtedy z nim wyszła.

Lizzie odetchnęła szybko i wytarła koniec nosa.

- A ty jej pozwoliłaś? Mała służąca aż się skuliła.

- Och, powinnam była za nią pójść, wiem, że powinnam, panie - zawołała z nieszczęśliwą miną. - Ale tak się bałam, panie, niech Bóg mi wybaczy.

Z pewnym wysiłkiem Jamie postarał się roz pogodzić i odezwać bardzo spokojnie.

- No dobrze, i co się potem stało?

- Potem poszłam na górę, jak mi kazała. I położyłam się do łóżka, panie. Cały czas się modliłam.

- Cóż, jestem pewien, że to niezwykle pomogło.

- Wuju... - Ian mówił cicho, lecz bez wahania, nie spuszczać brązowych oczu z Jamiego. - Wuju, to jest młoda dziewczyna.

Zrobiła, co jej kazano.

Jamie podrapał się w głowę.

- Tak, przepraszam. Nie chciałem tak na ciebie naskoczyć.

Możesz mówić dalej?

Na policzkach Lizzie wystąpiły różowe plamy.

- Ona wróciła dopiero tuż przed świtem i... i...

Jamie tracił cierpliwość i najwyraźniej widać to było na jego twarzy.

- Czułam na niej jego zapach - szepnęła niemal niesłyszalnie. - Jego nasienie.

Zupełnie niespodziewanie załazała go wściekłość. Jakby piorun przeszył mu pierś i brzuch. O mało się nie zadławił, zmusił się jednak do opanowania.

- Więc wziął ją do łóżka. Jesteś tego pewna?

Przerażona tak bezpośrednim postawieniem sprawy, mała służąca zdobyła się tylko na kiwnięcie głową. Mięła w dłoniach sukienkę. Jej bladość ustąpiła gorącemu rumieńcowi, wyglądała teraz jak jeden z pomidorów Claire. Nie była w stanie na niego patrzeć, więc zwiesiła głowę i wbiła wzrok w ziemię.

- Och, panie, ona spodziewa się dziecka. Czy pan tego nie widzi?

To musi być jego. Była dziewczyną, gdy ją wziął. Teraz przyszedł jej szukać, a ona się go boi.

Nagle rzeczywiście to dostrzegł. Poczuli, jak na ramionach jeżą mu się włosy. Jesienny wiatr przewiał go

zimnem przez koszulę i skórę, a wściekłość zastąpiły mdłości. Wszystkie drobne rzeczy, które na wpół zauważał i na wpół myślał, nie pozwalając im, by przyjęły skończony kształt, nagle ułożyły się w logiczny wzór.

To jak wyglądała i jak się zachowywała... W jednej chwili ożywiona, w kolejnej pogrążona w myślach. I blask na jej twarzy, który nie pochodził tylko od słońca. Wiedział, jak wygląda kobieta w ciąży. Gdyby znał ją wcześniej, zauważyłby zmianę, ale...

* * *

Claire. Claire wiedziała. Był o tym zupełnie przekonany. Znała swoją córkę i była lekarzem. Musi wiedzieć... i nie powiedziała mu.

- Czy jesteś tego pewna?

Chłód zmroził jego wściekłość; czuł, jak tkwi mu w piersi, niczym niebezpieczny, ostry przedmiot, kłujący we wszystkich kierunkach.

Lizzie skinęła głową i zarumieniła się jeszcze bardziej, choć nie wydawało się to możliwe.

- Jestem jej służącą, panie - szepnęła, nie odrywając wzroku od ziemi.

- Chodzi o to, że od dwóch miesięcy Brianna nie ma okresu - wyjaśnił Ian rzeczowo. Miał kilka starszych siostr, nie był więc tak delikatny jak Lizzie. - Jest pewna.

- Nie mówiłabym nic, panie - odezwała się nieszczęsna dziewczyna - ale gdy zobaczyłam tego człowieka...

- Sądzisz, że przyjechał ją zabrać, wuju? - przerwał Ian. - Musimy go powstrzymać. - Był wyraźnie

rozniewany i podniecony.

Jamie odetchnął głęboko, dopiero wówczas zdając sobie sprawę, że wstrzymywał oddech.

- Nie wiem - powiedział zaskoczony spokojem własnego głosu.

Ledwo miał czas przetrwać te wiadomości, nie mówiąc już o wyciąganiu wniosków. Ale chłopak ma rację - z tym niebezpieczeństwem należało sobie poradzić.

Jeśli MacKenzie tego zechce, może zażądać Brianny jako żony na podstawie prawa zwyczajowego, a będące w drodze dziecko będzie dowodem, że ma podstawy do tego żądania. Sąd niekoniecznie zmusiłby kobietę, by wyszła za mąż za gwałciciela, ale każdy urzędnik podtrzyma prawo mężczyzny do żony i dziecka, niezależnie co żona będzie o tym sądzić.

Jego rodzice pobrali się właśnie w taki sposób; uciekli i ukryli się w górach, dopóki matka nie zaszła w ciążę. Jej bracia więc musieli zaakceptować niechciane małżeństwo. Dziecko stanowiło więc między mężczyzną a kobietą, zresztą sam dobrze o tym wiedział.

Spojrzał na ścieżkę, prowadzącą przez lasy.

- Czy nie pojawi się tu za chwilę? Woolamowie przecież musieli pokazać mu drogę?

- Nie - powiedział Ian w zamyśleniu. - Raczej nie. Zabraliśmy mu konia. - Nagle uśmiechnął się do Lizzie, która w odpowiedzi zachichotała cicho.

- Naprawdę? A co go powstrzyma przed zabranie wozu bądź jednego z mułów?

Ian uśmiechnął się jeszcze szerzej.

- Zostawiłem na wozie Rolla - wyjaśnił. - Sądzę, że

raczej przyjdzie na piechotę, wujku Jamie.

Jamie musiał się na to uśmiechnąć.

- Szybko myślisz, Ian.

Ian skromnie wzruszył ramionami.

- Cóż, nie chciałem, by ten łotr nas zaskoczył.

Ostatnio nie słyszałem, by kuzynka Brianna mówiła o swoim chłopaku, o tym Wakefieldzie, i uznałem, że nie będzie chciała zobaczyć MacKenziego. Szczególnie jeśli...

- Moim zdaniem pan Wakefield zanadto zwleka z przybyciem - powiedział Jamie. - Szczególnie jeśli...

Nic dziwnego, że przestała oczekiwać przybycia Wakefielda, gdy zdała sobie sprawę ze swego stanu. Ostatecznie jak kobieta może wyjaśnić rosnący brzuch mężczyźnie, który zostawił ją dziewicą?

Powoli, z wysiłkiem woli rozprostował palce. Będzie na to czas później. Na razie należało się zająć bieżącą sprawą.

- Przynieś z domu moje pistolety - powiedział do Iana. - A ty, dziewczyno - postarał się uśmiechnąć do Lizzie, sięgając po kurtkę wiszącą na stosie drewna - zostań tutaj i czekaj na swoją panią.

Powiedz mojej żonie... powiedz, że poszedłem pomóc Fergusowi z kominem. I nie zdradź niczego ani mojej żonie, ani córce, bo zrobię sobie podwiązki z twoich flaków. - Ta ostatnia groźba miała być żartem, ale dziewczyna zbladła, jakby zrozumiała to dosłownie.

Lizzie opadła na pień do rąbania drewna, bo kolana się pod nią ugięły. Poszukała małego medalionu, który nosiła na szyi, usiłując odnaleźć pociechę w dotyku zimnego metalu. Patrzyła za panem Fraserem, który ruszył

ścieżką, groźny jak wielki, rudy wilk. Jego cień padał daleko przed nim, a późnojesienne słońce rozpalilo ogniem jego czuprynę.

- Matko Święta - jęknęła. - Matko Święta, co ja najlepszego zrobiłam?

45. Pół na pół

Suche, dębowe liście trzeszczały pod stopami, a kolejne nieustannie spadały z rozłożystych kasztanowców. Powolny, suchy deszcz, pokrywający suchą ziemię.

- Czy to prawda, że Indianie potrafią wędrować przez las tak, że ich w ogóle nie słychać? Czy też to tylko coś, co opowiadają w harcerstwie? - Brianna kopnęła niewielką kupkę liści. W szerokich spódnicach i halkach, które zaczepiały o liście i gałazki, robiłyśmy hałas jak stado słońi.

- Nie, nie potrafią tego robić przy tak suchej pogodzie. Chyba że wiszą na drzewach jak szympany. Podczas mokrej wiosny to coś zupełnie innego. Nawet ja wtedy potrafię chodzić cicho, bo ziemia jest jak gąbka.

Uniosłam spódnicę i owinęłam wokół nóg, by nie zaczepić nią o krzak czarnego bzu. Pochyliłam się, by przyjrzeć się owocom. Były ciemnoczerwone, ale jeszcze nie czarne, tak jak prawdziwie dojrzałe owoce.

- Jeszcze dwa dni - powiedziałam. - Gdybyśmy miały wykorzystać je na lekarstwa, zebrałybyśmy teraz. Ja jednak chcę zrobić na nich wino i wysuszyć jak rodzynki. W tym celu muszę mieć dużo cukru. Czeka się więc, aż właściwie same odpadają od lodygi.

- Rozumiem. Jaki tu jest punkt orientacyjny? - Brianna rozejrzała się i uśmiechnęła. - Nie, nie mów. Czy to

ta duża skała, która wygląda jak głowa z Wyspy Wielkanocnej?

- Bardzo dobrze - pochwaliłam ją. - Głaz wygląda zawsze tak samo, niezależnie od pory roku.

Na brzegu niewielkiego strumienia rozdzieliłyśmy się i wędrowałyśmy powoli po przeciwnych brzegach. Poprosiłam Briannę, by zebrała rzeżuchę, ja natomiast rozglądałam się wśród drzew za jadalnymi grzybami. Równocześnie przyglądałam jej się ukradkiem.

Jedno oko patrzyło na ziemię, jedno na nią. Podciągnęła spódnicę i stała po kolana w wodzie, pokazując długie, muskularne udo.

Wędrowała powoli, nie spuszczać wzroku z powierzchni wody.

Coś było nie tak, i to już od wielu dni. Początkowo zakładałam, że jej napięcie wynika z oczywistego stresu, związanego z nową sytuacją. Jednak po wielu tygodniach ona i Jamie nawiązali relacje, które choć po obu stronach wciąż naznaczone nieśmiałością, wyraźnie się ocieplały. Cieszyli się sobą nawzajem, ja zaś cieszyłam się, widząc ich razem.

Coś ją jednak niepokoiło. Opuściłam ją trzy lata wcześniej.

Cztery lata minęły, od kiedy ona opuściła mnie, by zamieszkać osobno. Zmieniła się w tym czasie, wyrosła na kobietę. Nie potrafiłam już odczytywać jej myśli tak łatwo jak kiedyś. Odziedziczyła po Jamiem umiejętność ukrywania głębokich uczuć za maską spokoju.

Dobrze to znałam u nich obojga. Zorganizowałam tę wyprawę na grzyby częściowo dlatego, by porozmawiać z

nią sam na sam. W domu ciągle ktoś się kręcił: Jamie, Ian czy Lizzie, wciąż pojawiali się dzierżawcy i goście, i trudno było porozmawiać na osobności. Jeśli zaś to, co podejrzewałam, jest prawdą, wołałabym, żeby naszej rozmowy nikt nie usłyszał.

Nie napełniłam jeszcze nawet połowy koszyka grubymi, mięsistymi, jadalnymi grzybami, gdy Brianna wynurzyła się ze strumienia. Ociekając wodą, niosła koszyk pełen mokrej zielonej rzeżuchy i skrzypu, z którego mieliśmy zrobić knoty do świec.

Wytrzeła stopy o brzeg halki i dołączyła do mnie pod wielkim kasztanowcem. Podałam jej butelkę z cydrem i zaczęłam, aż się napije.

- Czy chodzi o Rogera? - spytałam bez żadnych wstępów.

Spojrzała na mnie z wyraźnym zaskoczeniem w oczach.

Zauważyłam jednak, że po chwili napięta linia jej ramion opadła.

- Ciekawa byłam, czy wciąż to potrafisz.

- Co potrafię?

- Czytać moje myśli. W gruncie rzeczy miałam nadzieję, że tak. - Jej szerokie wargi zadrżały, próbując się uśmiechnąć.

- Dawno tego nie ćwiczyłam, ale daj mi chwilę. - Wyciągnęłam rękę i odgarnęłam jej włosy z twarzy. Patrzyła niby na mnie, lecz jednak gdzieś w dal, zbyt spłoszona, by spotkać mój wzrok. W zielonym cieniu śpiewał lelek. - Wszystko w porządku, dziecinko - powiedziałam spokojnie. - Który to miesiąc?

Wypuściła powietrze, a na jej twarzy odmalowała się ulga.

- Drugi.

Teraz spojrziała mi w oczy. Poruszyła mnie zmiana, jaka w niej nastąpiła. Zdarzało mi się to nie po raz pierwszy od jej przybycia.

Dawniej jej ulga była jak u dziecka - zwierzała mi się z lęków i na wpeł uspokajała, wiedząc, że jakoś się tym zajmę. Teraz jednak była to jedynie ulga wynikająca z podzielenia się nieznośną tajemnicą; nie oczekiwała, że czemuś zaradzę. Świadomość, że i tak nie byłabym w stanie niczego zrobić, nie zmniejszyła irracjonalnego poczucia straty.

Uścisnęła mi dłoń, jak gdyby chciała mnie uspokoić, oparła się plecami o pień drzewa i wyciągnęła przed siebie bosc nogi.

- Czy już wiedziałaś?

Usiadłam koło niej niezręcznie.

- Pewnie tak, ale nie wiedziałam, że wiem, jeśli rozumiesz, o co mi chodzi. - Patrząc na nią teraz, widziałam to jasno: bladość jej cery, drobna zmiana w kolorze, przelotne spojrzenie gdzieś do wewnątrz.

Zauważyłam to wszystko, ale przypisywałam te zmiany napięciu i zagubieniu, różnym emocjom, związanym z tym, że mnie znalazła, spotkała Jamiego, niepokoiła się chorobą Lizzie i martwiła o Rogera.

To konkretne zmartwienie przybrało teraz nowy wymiar. - O Boże, Roger! - Siedziała blada, w żółtym cieniu liści kasztanowca.

- To już blisko dwa miesiące. Powinien już tu być,

chyba że coś mu się stało.

Obliczałam w myśli.

- Dwa miesiące, a jest już prawie listopad. - Liście leżały pod nami grubą warstwą. Żółte i brązowe, opadłe z hikory i kasztanowców. Nagle ścisnęło mi się serce. - Bree, musisz wracać.

- Co takiego? - Uniosła gwałtownie głowę. - Dokąd wracać?

- Do kamieni. - Machnęłam ręką, poruszona. - Do Szkocji, i to już!

Wpatrywała się we mnie ze ściągniętymi brwiami.

- Teraz? A po co?

Odetchnęłam głęboko, czując, jak walczą we mnie różne uczucia: troska o Bree, lęk o Rogera, współczucie dla Jamiego, który tak szybko będzie musiał znów się z nią rozstać - i dla mnie samej.

- Możesz przejść w ciąży. To wiemy. Zrobiłam to, będąc w ciąży z tobą. Ale, kochanie, nie możesz przenieść dziecka przez to... to... Po prostu nie możesz - czułam się bezradna. - Wiesz, jak to jest. - Trzy lata minęły od mego przejścia, ale wciąż żywo pamiętałam to doświadczenie. - Nie możesz przenieść dziecka - powtórzyłam, starając się opanować i myśleć logicznie. - To by było jak skok z Niagary z dzieckiem w ramionach. Musisz wrócić, zanim się urodzi, albo... - przerwałam, obliczając. - Już niemal listopad. Statki nie pływają od końca listopada do marca. Nie możesz czekać do marca, bo musiałybyś wyruszyć w dwumiesięczną podróż przez Atlantyk w szóstym czy siódmym miesiącu ciąży. Gdybyś nawet nie urodziła na statku - a to zapewne oznaczałoby śmierć dla dziecka, albo

dla ciebie, albo dla was obojga - to i tak musiałybyś jeszcze pokonać pięćdziesiąt kilometrów do kręgu. A potem przejść, znaleźć drogę do jakiejś pomocnej duszy po drugiej stronie... Brianno, nie możesz tego zrobić.

Musisz jechać teraz, jak najszybciej się da.

- A jeśli przejdę teraz, skąd będę pewna, że znajdę się we właściwym czasie?

Mówiła spokojnie, ale szarpała palcami spódnice.

- Ty... myślę... no, ja przeszłam - powiedziałam, a panika zaczęła ustępować przed racjonalnym myśleniem.

- Ty miałas po drugiej stronie tatusia. - Spojrzała na mnie ostro. - Czy chciałaś do niego wracać, czy nie, wiązały cię z nim silne uczucia. On cię ciągnął, albo mnie, ale już go tam nie ma. - Spochmurniała, lecz zaraz się rozluźniła. - Roger wie jak - poprawiła się. - W księdze czarów Geillis Duncan napisała, że można wykorzystać kamienie szlachetne do ochrony i nadania właściwego kierunku.

- Ale ty i Roger tylko zgadujecie - upierałam się. - Tak samo jak ta cholerna Geilie Duncan. Być może nie potrzeba ani klejnotów, ani silnego związku. W dawnych bajkach, gdy ludzie wchodziłi do bajecznego kręgu, a potem wracali, zawsze mijało dwieście lat. Jeśli tak się zazwyczaj dzieje, to...

- Zaryzykowałabyś sprawdzenie, czy tak jest naprawdę? A tak nie jest. Geilie Duncan cofnęła się więcej niż dwieście lat.

Z pewnym opóźnieniem przyszło mi do głowy, że ona sama już o tym wszystkim myślała. Nic, co mówiłam, nie stanowiło zaskoczenia.

To zaś znaczyło, że doszła również do własnych

wniosków, a statek do Szkocji do nich nie należał. Potarłam dłonią czoło, starając się uspokoić. Myśl o Geillis przywołała inne wspomnienie, takie jednak, o którym wolałabym zapomnieć.

- Jest inna droga - powiedziałam, starając się opanować. - To znaczy inne przejście. Na Haiti. Teraz nazywają tę wyspę Hispaniola.

W dżungli są kamienie stojące na wzgórzu, ale pęknięcie... przejście... jest pod spodem, w jaskini.

Powietrze w lesie było chłodne, jednak to nie ono sprawiło, że ramiona pokryły mi się gęsią skórką. Potarłam ręce, starając się ogrzać. Bardzo chętnie starłabym również wspomnienie jaskini Abandawe. Próbowałam, ale nie sposób było się go pozbyć.

- Byłaś tam? - Pochyliła się do przodu, zainteresowana.

- Tak, to okropne miejsce, ale Indie Zachodnie są znacznie bliżej niż Szkocja, i statki pływają między Charlestonem a Jamajką niemal cały rok. - Odetchnęłam głęboko, czując się nieco lepiej. - Nie będzie łatwo przejść przez dżunglę, ale daje ci to trochę więcej czasu. Tyle żebyśmy zdążyli znaleźć Rogera. - Jeśli wciąż można go znaleźć, pomyślałam, lecz nie powiedziałam tego głośno. Z tym lękiem poradzę sobie później.

Liść kasztanowca spłynął spiralnie na kolana Brianny, ostro żółty na tle spódnicy z samodziału. Podniosła go i bezmyślnie prostowała powierzchnię kciukiem. Spojrzała na mnie błękitnymi oczyma.

- I to miejsce działa tak samo jak to drugie?

- Nie wiem, jak którekolwiek z nich działa. Dźwięk

był inny - dzwon, a nie buczenie. Ale niewątpliwie było to przejście.

- Byłaś tam - powiedziała powoli, patrząc na mnie zmrużonymi oczyma. - Dlaczego? Czy chciałaś wrócić, jak już go znalazłaś? - W jej głosie słyszałam lekkie wahanie. Wciąż nie bardzo potrafiła mówić o Jamiem „mój ojciec”.

- Nie, to miało coś wspólnego z Geillis Duncan. To ona znalazła ten krąg. Brianna szeroko otworzyła oczy.

- Ona tu jest?

- Nie, nie żyje.

Oddechnęłam głęboko, czując raz jeszcze zapamiętany ból i szok, przebiegające mi ramię po uderzeniu siekiery. Czasami myślałam o niej, o Geillis, gdy byłam sama w lesie. Wydawało mi się, że słyszę za sobą jej głos - odwracałam się wtedy szybko, widziałam jednak tylko poruszone wiatrem gałązki szaleju. Od czasu do czasu miałam wrażenie, że przygląda mi się zielonymi, jasnymi oczyma.

- Zdecydowanie nie żyje - powiedziałam stanowczo i zmieniłam temat. - Jak to się zresztą stało?

Nie udawała, że nie wie, o czym mówię. Spojrzała na mnie wprost, unosząc brew.

- Ty tu jesteś lekarzem. Na jak wiele sposobów to się może stać?

Odwzajemniłam spojrzenie.

- Czy nie przyszło wam do głowy, żeby się zabezpieczyć?

Ściągnęła brwi.

- Nie planowałam, że będę tu się kochać. Złapałam się za głowę, wsuwając palce we włosy.

- Sądzisz, że ludzie to planują? Dobry Boże! Ile razy przychodziłam do twojej szkoły, żeby wygłosić pogadankę na temat...

- Nieustannie, co roku. Moja matka - encyklopedia seksu. Czy masz pojęcie, jakie to było dla mnie potwornie żenujące, że moja własna matka stoi przed całą szkołą i rysuje penisy?

Na to wspomnienie zarumieniała się jak jesienny liść klonu.

- Najwyraźniej nie robiłam tego dobrze - odparłam kwaśno - skoro nie rozpoznałaś penisa, gdy go zobaczyłaś.

Spojrzała na mnie ponuro, ale rozluźniła się, gdy zdała sobie sprawę, że żartuję. A w każdym razie próbuję.

- Cóż, w formie trójwymiarowej wygląda to trochę inaczej - odcięła się. Zaskoczona, roześmiałam się. Po chwili wahania przyłączyła się do mnie.

- Wiesz, o czym mówię? Przed wyjazdem dałam ci receptę.

- Tak. Nigdy w życiu nie byłam tak zaszokowana. Sądziłaś, że gdy tylko wyjedziesz, natychmiast pobiegnę, żeby kochać się z każdym, kto mi się nawinie?

- Sugerujesz, że to tylko moja obecność cię powstrzymywała?

Kącik jej ust zadrżał.

- Nie, nie tylko to - przyznała. - Ale miałaś z tym coś wspólnego.

Ty i tatuś. To znaczy... nie chciałam was rozczarować. - Drżący kącik wskazywał, że za chwilę usłyszę szloch.

Przygarnęłam ją więc do siebie i objęłam mocno.

- Nie mogłabyś, kochanie - mruknąłam, kołysząc ją lekko. - Nigdy nie mogłabyś przynieść nam rozczarowania. Nigdy.

Czułam, jak napięcie i zmartwienie powoli ją opuszczają. W końcu odetchnęła głęboko i puściła mnie.

- Może nie ciebie ani nie tatusia - powiedziała - ale co z... - Ruchem głowy pokazała w kierunku niewidocznego domu.

- On... - zaczęłam, ale przerwałam. Prawda była taka, że nie wiedziałam, co Jamie może zrobić. Z jednej strony uważał, że Brianna potrafi wszystko, że to ona umieściła księżyc na niebie. Z drugiej strony jego opinii na temat honoru i seksu można określić - z oczywistych przyczyn - jedynie mianem staroświeckich. Co więcej, wyrażał je wprost i bez skrępowania. Był człowiekiem światowym, wykształconym, tolerancyjnym, zdolnym do współczucia.

Bynajmniej jednak nie oznaczało to, że podzielał czy rozumiał współczesny sposób myślenia. To wiedziałam na pewno i nie sądziłam, by potraktował Rogera wyrozumiale.

- Cóż, nie zdziwię się, jeśli zechce dać Rogerowi w nos lub coś takiego. Ale nie martw się, kocha cię - dodałam, widząc strach na jej twarzy.

Wstałam i strzepnęłam liście ze spódnicy.

- Mamy więc nieco czasu, ale nie możemy go zmarnować. Jamie powinien zaczerpnąć języka w dole rzeki. Poprosić, by rozglądano się za Rogerem. A mówiąc o Rogerze... - zawahałam się, zrzucając kawałek suchej paproci z rękawa - on zapewne o tym nie wie?

Brianna odetchnęła głęboko i zmięła trzymany w

dłoni liść.

- Widzisz, z tym jest pewien problem. - Podniosła na mnie wzrok i nagle znów była moją małą dziewczynką. - To nie jest dziecko Rogera.

- Co takiego? - spytałam głupio.

- To nie jest dziecko Rogera - powtórzyła przez zaciśnięte zęby.

Ponownie opadłam na ziemię. Zmartwienie Brianny nagle przybrało nowy wymiar.

- A czyje? - spytałam. - Tu czy tam? - Mówiąc, obliczałam. To musiał być ktoś tutaj, w przeszłości. Gdyby kochała się z mężczyzną w swoim własnym czasie, ciąża byłaby bardziej zaawansowana.

Zatem nie tylko w przeszłości, ale wręcz tutaj, w koloniach.

Nie planowała seksu, nie, oczywiście, że nie. Nie mówiła Rogerowi, bo bała się, że za nią podąży. Był jej kotwicą, był jej kluczem do przyszłości, ale w takim razie...

- Tutaj - odrzekła, potwierdzając moje obliczenia. Wsunęła dłoń w kieszeń spódnicy, coś z niej wyjęła i podała mi. Automatycznie wyciągnęłam rękę.

- Jezus Maria. - W słońcu błysnęła znoszona złota ślubna obrączka, a ja automatycznie zamknęłam ją w dłoni. Była ciepła, ja jednak czułam, jak palce zamieniają mi się w sople lodu.

- Bonnet? - spytałam. - Stephen Bonnet? Przełknęła z trudem, kiwając potakująco głową.

- Nie zamierzałam ci mówić. Nie mogłam. Nie wtedy, gdy Ian opowiedział mi, co się zdarzyło na rzece. Początkowo nie wiedziałam, co tato może zrobić.

Obawiałam się, że będzie mnie obwiniać. A potem, kiedy go trochę lepiej poznałam, zrozumiałam, że postara się odnaleźć Bonneta. To samo zresztą zrobiłby także tatuś. Nie mogłam mu na to pozwolić. Poznałaś tego człowieka, wiesz, jaki jest. - Siedziała w słońcu, ale zadrzała. Zaczęła rozcierać sobie ramiona, jakby było jej zimno.

- Wiem - powiedziałam sztywnymi wargami. Słyszałam ciągle w uszach jej słowa: „Nie planowałam seksu. Nie wiedziałam. Bałam się, że będzie mnie obwiniać”.

- Co on ci zrobił? - spytałam i z zaskoczeniem usłyszałam własny spokojny głos. - Czy cię zranił, dziecinko?

Skrzywiła się i podciągnęła kolana do piersi, obejmując je ciasno.

- Nie mów tak do mnie, dobrze? Nie teraz.

Wyciągnęłam dłoń, by jej dotknąć, ale zwinęła się w kłębek jeszcze ciaśniej. Opuściłam rękę.

- Czy chcesz mi o tym opowiedzieć? - Nie chciałam tego słyszeć, też wolałam udawać, że nic się nie zdarzyło.

Spojrzała na mnie, zaciskając usta.

- Nie, nie chcę, ale chyba powinnam.

Weszła na pokład „Gloriany” w środku dnia, ostrożnie, ale czując się bezpiecznie, bo wokół było wielu ludzi: ładowaczy, kupców, służących. Na nabrzeżu toczyło się życie. Marynarzowi na pokładzie powiedziała, po co przyszła. Zniknął gdzieś w głębi statku i chwilę potem pojawił się Stephen Bonnet.

Miał na sobie to samo ubranie co poprzedniego wieczoru. W świetle dziennym widziała, że jego rzeczy są

dobrej jakości, ale brudne i pomięte. Na jedwabnym mankencie kurtki miał tłusty wosk ze świecy, a żabot pełen był okruchów. Sam Bonnet był w lepszym stanie niż jego ubranie; świeżo ogolony, patrzył na nią z zainteresowaniem bladezielonymi, czujnymi oczyma.

- Wczoraj wieczorem, przy blasku świecy, wydawałaś mi się ładna - powiedział, ujmując jej dłoń i unosząc do ust. - Wiele dziewczyn tak jednak wygląda, gdy się człowiek napije. Znacznie trudniej jest znaleźć kobietę, która piękniejsza jest w słońcu niż w świetle księżyca.

Brianna starała się uwolnić dłoń z jego uścisku, uśmiechając się uprzejmie.

- Dziękuję. Czy wciąż ma pan obrączkę? - Serce biło jej mocno.

Może jej opowiedzieć o tej obrączce, o jej matce, nawet jeśli ją stracił podczas gry. Bardzo jednak chciałyby ją odzyskać. Poczuć ją w dłoni.

Zdusiła lęk, który prześladował ją przez całą noc - że obrączka może być wszystkim, co zostało po matce. To niemożliwe. Nie, jeśli tamta notatka w gazecie mówiła prawdę, ale...

- Och, tak. Danu przyniosła mi szczęście ostatniej nocy. I najwyraźniej wciąż mnie nie opuściła. - Uśmiechnął się do niej uroczo, nie puszczać dłoni.

- Chciałam spytać, czy sprzedałby mi pan tę obrączkę? - Wzięła z sobą niemal wszystkie pieniądze, jakie posiadała. Nie miała jednak pojęcia, ile może kosztować złota obrączka.

- Dlaczego?

To pytanie ją zaskoczyło.

- Wygląda jak obrączka, którą miała moja matka - odpowiedziała, niezdolna wymyślić innej odpowiedzi niż prawda. - Skąd pan ją ma?

Coś mignęło w jego oczach, choć wciąż się do niej uśmiechał.

Pokazał gestem ciemną zejściówkę i wsunął sobie jej dłoń w zgięcie łokcia. Był od niej wyższy. Ostrożnie próbowała uwolnić dłoń, ale trzymał ją mocno,

- Więc chcesz obrączkę. Chodź do mojej kajuty, kotku.

Zobaczmy, czy się dogadamy.

Na dole nalał jej brandy; ledwo nadpiła swoją, on jednak wychylił kieliszek jednym haustem i nalał sobie kolejny.

- Skąd ją mam? - powiedział, gdy nie ustępowała. - Ach, dżentelmen nie powinien opowiadać o swoich damach, prawda? - mrugnął do niej. - To dowód miłości - szepnęła.

Uśmiech na jej twarzy zamarł, a łyk brandy palił jej żołądek.

- Dama, która to panu dała... Czy dobrze się czuje? Gapił się na nią z lekko otwartymi ustami.

- Pech - powiedziała pospiesznie. - Noszenie biżuterii należącej do kogoś, kto nie żyje, przynosi pecha.

- Naprawdę? - Znów się uśmiechnął. - Osobiście nie zauważyłem. - Odstawił kieliszek i beknął. - Mogę cię jednak zapewnić, że dama, od której mam tę obrączkę, w chwili pożegnania żyła i dobrze się czuła.

Pałace uczucie w żołądku nieco zelżało.

- Och, cieszę się. A zatem... sprzeda mi ją pan?

Kołysał się na krześle i nie spuszczał z niej wzroku,

uśmiechając się.

- A co mi za nią zaofერujesz, kotku?

- Piętnaście funtów szterlingów. - Serce zaczęło znów bić jej mocniej, gdy wstał. Może się zgodzi. Gdzie go trzymał?

Wstał, wziął ją za rękę i podniósł z krzesła.

- Mam dość pieniędzy, kotku - stwierdził. - Jakiego koloru masz włosy między nogami?

Wyszarpnęła się z jego uścisku i szybko odsunęła pod ścianę kajuty.

- Źle mnie pan zrozumiał - zaprotestowała. - Nie chodziło mi o...

- Może nie - przerwał, ukazując w uśmiechu zęby - ale mnie tak.

I to raczej ty mnie źle rozumiałaś, kotku.

Ruszył ku niej. Złapała ze stołu butelkę brandy i zamachnęła się, by uderzyć go w głowę. Uchylił się zręcznie, wyszarpnął jej butelkę z dłoni i mocno uderzył dłonią w twarz.

Zachwiała się, na wpół oślepią nagłym bólem. Złapał ją za ramiona i zmusił, by uklękła. Wsunął palce w jej włosy tuż przy skórze i mocno szarpnął. Trzymał jej głowę przechyloną pod niewygodnym kątem, drugą ręką zaś rozpinał spodnie. Mruknął z zadowolenia i podszedł jeszcze bliżej, wysuwając biodra do przodu.

- Poznaj LeRoi - powiedział.

LeRoi był nieobrzezany i nieumyty. Potężnie czuć go było nieświeżym moczem. Czują, jak do gardła podchodzą jej wymioty.

Starła się odsunąć głowę, on jednak brutalnie

szarpnął ją za włosy, aż zdusiła okrzyk bólu.

- Wysuń no języczek i pocałuj nas, kotku - mówił tonem swobodnej konwersacji, cały czas mocno trzymając ją za włosy.

Zanim zdołała się wyswobodzić, złapał ją za ucho. - Spróbuj mnie tylko ugryźć, kotku, a z twojej twarzy zostanie jedynie płaska masa.

Rozumiesz? - Przesunął jej pod nosem ściśniętą pięść. Następnie złapał ją za drugie ucho i unieruchomił głowę. Starła się skupić na smaku krwi z rozciętej wargi i na bólu. Pod zamkniętymi oczyma widziała smak, sól i metal, spatynowaną miedź, świecącą w ciemności pod powiekami. Jeśli zwymiotuje, udusi się. Udusi się, a on nie zauważy. Umrze, a on nie przestanie. Oparła dłonie na jego biodrach i wbiła palce w mocne mięśnie, odpychając się, jak mogła najmocniej, by przestał ją maltretować. Mruczał pod nosem: „Z Ushant do Scilly - trzydzieści pięć mil”. Czują na wargach włosy jak druty. A potem LeRoi zniknął. Bonnet puścił jej uszy i cofnął się o krok. Straciła równowagę i padła na czworaki, kaszląc i plując. Jej ślina była różowa od krwi. Jeszcze raz zakaszła i splunęła, i raz jeszcze, starając się oczyścić usta z obrzydliwego smaku. Wargi miała spuchnięte i pulsujące w rytm bicia serca. Uniósł ją bez trudu i pocałował, wsuwając głęboko język i trzymając mocno za głowę, by się nie odsunęła. Smakował mocną brandy i zepsutymi zębami. Drugą dłonią przesunął powoli w dół i złapał za pośladki. - Mm - westchnął z przyjemnością. - Teraz łóżeczko, co, kotku?

Opuściła głowę i mocno uderzyła go czołem w twarz, trafiając na kość. Krzyknął z zaskoczeniem i

rozluźnił uścisk. Wyrwała się i pobiegła; spódnicą zaczepiła o drzwi, szarpnęła się jednak, wybiegając w ciemny korytarz. Marynarze siedzieli przy obiedzie - dwudziestu mężczyzn przy długim stole w mesie na końcu korytarza.

Dwadzieścia twarzy zwróciło się ku niej z wyrazem zaskoczenia bądź zainteresowania. To kucharz ją zatrzymał, podstawiając nogę, gdy przebiegała obok kokpitu. Uderzyła o podłogę całym ciężarem.

- Lubisz się pobawić, co, kotku? - usłyszała głos Bonneta, cały czas tak samo jowialny. Para rąk uniosła ją z łatwością. Okręcił ją twarzą do siebie i odwrócił się. Uderzyła go w nos, z którego teraz ciekła krew, zabarwiając na czerwono jego uśmiech i zęby.

Przytrzymał ją mocniej, ale w jasnozielonych oczach wciąż widziała wesole iskierki. - Wszystko w porządku, kotku, LeRoi lubi zabawę.

Prawda, LeRoi? - Spojrzał w dół, a ona podążyła za jego wzrokiem.

W kajucie zdążył już zdjąć spodnie, więc teraz stał na wpół nagi.

Złapał ją za łokieć i kłaniając się uprzejmie, wskazałabinę.

Bezmyślnie dała krok naprzód. On zaś pchnął ją dalej, nonszalancko pokazując białe pośladki całej zgromadzonej załodze.

- Potem... nie było już tak źle - słyszała własny głos, nienaturalnie spokojny, jakby należał do kogoś innego. - Już z nim przestałam walczyć.

Nie próbował nawet jej rozebrać, zdjął jej tylko chustkę. Suknię miała uszytą zgodnie z modą - z niskim

dekoltem, piersi wysokie i okrągłe. Wystarczyło tylko szarpnąć, a wyskoczyły jak dwa jabłuszka.

Przez chwilę je ugniatał i szczypał, a potem pchnął ją na łóżko.

Poplamiona pościel śmierdziała starymi perfumami i winem, a przede wszystkim samym Bonnetem. Podciągnął jej spódnicę, cały czas mruczając pod nosem „...żegnajcie hiszpańskie damy”.

Wyobrażała sobie, jak go odpycha, zrywa się z łóżka i biegnie do drzwi. Jak leci lekko jak mewa ciemnym korytarzem w górę ku zejściówce, na pokład, ku wolności. Mogła niemal czuć drewniane deski pod bosymi stopami. I gorące, prawie oślepiające słońce.

Tymczasem leżała w mrocznej kabinie, sztywna jak posąg, skupiając się na smaku krwi w ustach. Dwie minuty, może trzy i było po wszystkim. Bonnet padł na nią ciężko, spocony, lewą ręką wciąż gniotąc jej pierś. Czuła na policzku jego włosy, a gorący, wilgotny oddech na szyi. Przynajmniej przestał mruczeć. Leżała jak skamieniała, wpatrzona w sufit, na którym tańczyły odbite od wody słoneczne plamy. W końcu Bonnet westchnął i stoczył się na bok.

Uśmiechał się i w rozmarzeniu drapał po nagim, owłosionym udzie.

- Nieźle, kotku, choć miewałem już weselsze schadzki.

Następnym razem ruszaj trochę dupą, co? - Usiadł, ziewnął i zaczął się doprowadzać do porządku. Przesunęła się na brzeg łóżka, pewna, że więcej jej nie zatrzyma. Stoczyła się na podłogę i po chwili wstała.

Brakowało jej powietrza i kręciło jej się w głowie. Poruszając się jak we śnie, podeszła do drzwi. Były zamknięte. Walczyła z zasuwą, starając się odsunąć ją drżącymi dłońmi, gdy usłyszała, że coś za nią mówi. Odwróciła się zdumiona.

- Co takiego?

- Powiedziałem, że obrączka jest na biurku - powtórzył, prostując się z pończochami w dłoni. Usiadł na łóżku i zaczął je naciągać, machając niedbale ręką ku sekretarzykowi, który stał pod ścianą. - Są tam też pieniądze, weź, ile chcesz.

Sekretarzyk przypominał gniazdo sroki, tyle tam było drobiazgów, kałamarzy, biżuterii, papierów, piór, srebrnych guzików i zgniecionego ubrania. A także monety: srebrne, brązowe, miedziane i złote, z kilku kolonii i kilku krajów.

- Proponujesz mi pieniądze?

Spojrzał na nią, unosząc brwi.

- Płacę za swoje przyjemności. Sądziłaś, że ci nie zapłacę?

Miała wrażenie, że wszystko w kabinie widzi niezwykle wyraziście. Dostrzegła wszystkie szczegóły, jak we śnie; każdy przedmiot z osobna. Na pewno rozwieją się po przebudzeniu.

- Nic nie sądziłam - odrzekła bardzo wyraźnie, ale jakby z oddali.

Jej chustka leżała na podłodze, gdzie ją rzucił, koło sekretarzyka.

Podeszła tam ostrożnie, starając się nie myśleć o czymś ciepłym i lepkiem, co obklejało jej uda.

- Jestem uczciwym człowiekiem, jak na pirata - zaśmiał się.

Wsunął nogi w buty, przepchnął się koło niej i jedną ręką łatwo odsunął zasuwę. - Weź, co chcesz, kotku - powiedział, znów machnięciem ręki wskazując sekretarzyk, gdy wychodził z kabiny. - Byłaś tego warta.

Słyszała jego kroki oddalające się wzdłuż korytarza, wybuch śmiechu i stłumioną wymianę uwag. A potem zmianę w jego głosie.

Nagle wyraźnie i ostro zaczął wykrzykiwać komendy; nad jej głową zatupotały nogi, biegnące z powrotem do pracy.

Obrączka leżała w miseczce zrobionej z rogu, razem ze zbiorem kościanych guzików, sznurków i innego śmiecia. To jak on sam - pomyślała z dziwną jasnością. Zdobycz dla samej zdobyczy. Dzika, brutalna rozkosz zabierania, bez wiedzy o tym, jaką wartość ma to, co się kradnie. Z pewnym zdziwieniem zobaczyła, że ręka jej drży.

Starła się chwycić obrączkę, nie udało jej się, więc się poddała; złapała całą miseczkę i wysypała jej zawartość do kieszeni. Przeszła ciemnym korytarzem, mocno trzymając kieszeń niczym talizman.

Wszędzie dookoła kręcili się marynarze, zbyt jednak zajęci, by pozwolić sobie na więcej niż obleśne spojrzenie. Na stole w mesie stały jej buty. Włożyła je i równym krokiem wspięła się po drabinie, przecięła pokład i trap, i zeszła na nadbrzeże. Cały czas czuła w ustach smak krwi.

- Początkowo sądziłam, że uda mi się udawać, iż to wszystko się nie zdarzyło. - Odetchnęła głęboko i spojrzała na mnie. Ręce złożyła na brzuchu, jakby chciała go

schować. - Ale to się nie uda, prawda?

Przez chwilę milczałam, myśląc. To nie była pora na delikatność.

- Kiedy? - spytałam. - Jak długo po... no, po Rogerze?

- Dwa dni.

Uniosłam brwi.

- Dlaczego jesteś pewna, że to nie Rogera? Przecież najwyraźniej nie używałaś pigułek. I założę się, o co chcesz, że Roger nie miał niczego, co w tych czasach uważa się za przerwatwę.

Niemal się uśmiechnęła i lekko zarumieniła.

- Nie, on... no... on...

- Ach, coitus interruptus.

Kiwnęła głową. Odetchnęłam głęboko i wypuściłam powietrze przez zaciśnięte zęby.

- Jest takie słowo na określenie ludzi, którzy polegają na tej konkretnej metodzie kontroli urodzeń.

- Jakie? - spytała nieufnie.

- Rodzice - odrzekłam.

46. Obcy przybywa

Roger pochylił głowę i napił się ze złożonych rąk. Miał szczęście, że mignęło mu coś zielonego w promieniu słońca, który przebił się przez liście drzew. Bez tego nie dostrzegłby źródła, tak daleko było ono od szlaku. Czysty strumyczek, wypływający z pęknięcia w skale, chłodził mu dłonie i twarz. Sama skała była gładka, czarno - zielona, a ziemia wokół bagnista, poprzebijana korzeniami drzew i porośnięta szmaragdowym mchem.

Świadomość, że niedługo, może za niecałą godzinę,

zobaczy Briannę, skutecznie łagodziła jego zdenerwowanie, tak jak chłodna woda łagodziła wyschnięte gardło. Skoro już ukradziono mu konia, mógł się pocieszyć faktem, że cel jego wędrówki jest w zasięgu pieszej wyprawy.

Sam koń był już bardzo stary i właściwie nie wiadomo, po co ktoś go kradł. Roger pocieszał się, że przynajmniej miał dość rozsądku, by wszystkie cenniejsze rzeczy trzymać przy sobie, a nie w jukach przy siodle. W szwie spodni na udzie wymacał niewielki, twardy przedmiot. Poza samym koniem stracił pistolet, niemal równie stary jak koń i nawet nie w połowie tak godny zaufania, nieco jedzenia i skórzany bukłak na wodę. To właśnie utrata tego bukłaka sprawiła, że przez ostatnie kilka kilometrów drogi w upale i kurzu męczyło go pragnienie. Teraz jednak zaradził tej drobnostce.

Stopy zagłębiły się w wilgotną ziemię. Wstał, zostawiając ciemne smugi na szmaragdowym mchu. Cofnął się o krok i otarł błoto z butów na dywanie suchych liści i połamanych igieł. Potem najlepiej jak mógł wytrzepał poły kurtki i wyprostował brudną chustkę, którą miał owiązane gardło. Wyczuł ostry zarost. Niestety brzytwa została w jukach przy siodle. Musiał przyznać, że wygląda na opryszka. Nie najlepiej zaprezentuje się teściom, w gruncie rzeczy jednak nie bardzo przejmował się tym, co pomyśli o nim Claire czy Jamie Fraser.

Zależało mu wyłącznie na Briannie. Odnalazła rodziców; mógł mieć jedynie nadzieję, że ich spotkanie przebiegło pomyślnie i że zechce mu wybaczyć zdradę. Boże, jaki był głupi.

Wrócił na ścieżkę, brnąc przez miękką warstwę liści.

Był głupi, bo nie docenił jej uporu; był głupi, bo nie był z nią uczciwy - poprawił się w myśli. Był głupi, bo zmusił ją do przygotowań w tajemnicy, bo starał się zachować ją bezpiecznie w przyszłości. Nie, to akurat wcale nie było głupie - pomyślał, wykrzywiając się na wspomnienie wszystkiego, co w ostatnich miesiącach widział i słyszał.

Odsunął na bok nisko zwieszającą się gałąź sosny, a następnie uchylił się Z okrzykiem niepokoju, bo coś czarnego przeleciało mu tuż koło głowy. Chrapliwe „kraaa” oznajmiło, że napadł go kruk. W pobliskich drzewach rozległy się podobne krakania i w ciągu kilku sekund kolejny czarny pocisk przemknął tuż koło jego ucha.

- Hej, odczep się! - wykrzyknął, znów uchylając się przed atakującą bombą. Najwyraźniej znalazł się w pobliżu gniazda i krukowi wcale się to nie podobało.

Pierwszy kruk wrócił, by spróbować jeszcze raz. Tym razem udało mu się zrzucić na ziemię kapelusz Rogera. Sytuacja była denerwująca, a wrogość ptaków zupełnie nieproporcjonalna do ich wielkości. Zaatakował go kolejny, łapiąc szponami ramię, aż trzasnęła kurtka. Roger złapał kapelusz i puścił się biegiem. Sto metrów dalej na ścieżce zwolnił i rozejrzał się. Ptaków nie było już widać, najwyraźniej minął ich gniazdo.

- I gdzież jest Alfred Hitchcock, gdy go potrzebujemy? - mruknął do siebie, próbując wyzbyć się poczucia niebezpieczeństwa.

Jego głos pochłonęła gęsta roślinność, zupełnie jakby mówił w poduszkę. Oddychał ciężko, czuł, że twarz ma czerwoną. W lesie zapanowała cisza. Gdy tylko skończyły się wrzaski kruków, wszystkie inne ptaki również

umilkły. Nic dziwnego, że Szkoci uważali kruki za ptaki zapowiadające nieszczęście. Jeśli spędzi tu więcej czasu, powrócą do niego wszystkie dawne opowieści, które dotychczas traktował jedynie jak ciekawostki.

Choć pobyt tu wiązał się z niebezpieczeństwami, brudem i niewygodą, musiał przyznać, że z fascynacją osobiście doświadcza rzeczy, o których dotychczas tylko czytał. Przedmioty znane mu z muzeów widział w codziennym użytku. Gdyby nie chodziło o Briannę, być może nie żałowałby całej przygody, mimo Stephena Bonnetta i przeżyć na pokładzie „Gloriany”.

Raz jeszcze pomacał się po udzie. Miał więcej szczęścia, niż się spodziewał. Bonnet posiadał nie jeden kamień szlachetny, ale dwa.

Czy rzeczywiście zadziałają? Znow się pochylił pod gałęziami i w ten sposób dał kilka kroków, zanim ponownie zdołał się wyprostować.

Trudno uwierzyć, że ludzie tu mieszkają. Tyle że ktoś tę ścieżkę przygotował i musi ona dokądś prowadzić.

„Nie może pan nie trafić” - zapewniła go dziewczyna w młynie, i rozumiał już dlaczego. Po prostu nie było żadnej innej drogi.

Osuł dłońią oczy i spojrzał w górę, ale nisko zwieszające się gałęzie sosny i klonu wszystko zasłaniały. Miał przed sobą jedynie cienisty, tajemniczy tunel wśród drzew. Trudno powiedzieć, ile jeszcze czasu zajmie mu wspinanie się na grań.

„Bez problemu dotrze pan tam przed zmierzchem” - powiedziała mu dziewczyna. Teraz było późne popołudnie, przedtem jednak miał konia. Nie chcąc, by ciemności

dopadły go na zboczu, przyspieszył, wypatrując jakiegoś rozświetlonego słońcem miejsca przed sobą, które sygnalizowałoby polanę na końcu ścieżki.

Myśli, oczywiście, biegły przed nim. Zastanawiał się, jak poszło spotkanie Brianny z rodzicami. Co sądzi o Jamiem Fraserze? Czy był takim człowiekiem, jakiego wyobrażała sobie przez ostatni rok, czy też jedynie bladym odbiciem wizerunku, który namalowała na podstawie opowieści matki? W każdym razie zna swego ojca - pomyślał i serce ścisnęło mu się bólem na wspomnienie letniego przesilenia i jasnego światła podczas przejścia przez kamienie.

Jest! Na końcu ścieżki gęsty, zielony cień rozjaśniał się, a słońce rozświetlało jesienne liście pomarańczowym i żółtym płomieniem.

Oślepiło go na chwilę, gdy wynurzył się z zielonego tunelu. Zamrugał i stwierdził, że nie stoi na grani, jak sądził, ale na niewielkiej polanie, obrośniętej szkarłatnymi klonami i żółtymi dębami. Polana wyglądała jak wypełniona słońcem filiżanka, otoczona za wszystkich stron ciemnym lasem. Odwrócił się, szukając dalszego biegu ścieżki, gdy nagle usłyszał rżenie konia i ujrzał własnego starego wałacha, szarpiącego głową i przywiązanego do drzewa na granicy polany.

- A niech mnie! - krzyknął zdumiony. - Jak się tu, do diabła, dostałeś?

- Tak samo jak ty - odpowiedział mu głos. Zza drzew obok konia wynurzył się wysoki, młody mężczyzna i wycelował w Rogera pistolet. Jego własny, jak zauważył z oburzeniem i niepokojem.

Odetchnął głęboko i stłumił strach.

- Masz mego konia i moją broń - powiedział chłodno. - Czego jeszcze byś chciał, mego kapelusza? - Wyciągnął sfatygowany, trój graniasty kapelusz. Rabuś nie mógł wiedzieć, co jeszcze miał przy sobie; nigdy ich nikomu nie pokazał. Młody człowiek, który, mimo wzrostu, był wciąż nastolatkiem - stwierdził Roger - nie uśmiechnął się.

- Czegoś więcej. - Po raz pierwszy młody człowiek odwrócił wzrok, patrząc w bok. Roger podążył za jego wzrokiem i poczuł, jakby trafił go piorun. Nie zauważył przedtem mężczyzny, stojącego na brzegu polany, choć musiał tam być cały czas. Nie ruszał się. Miał na sobie spłowiały, myśliwski kilt, którego brązy i zielenie zlały się z trawą i krzewami, jego rude włosy zaś nie odróżniały się od rozświetlonych liści. Wyglądał, jakby wyrósł w lesie.

Roger nie był w stanie się odezwać, nie tylko zaskoczony nagłością pojawienia się mężczyzny, ale także jego wyglądem. Co innego było słyszeć, że Jamie Fraser przypomina swoją córkę, a co innego zobaczyć rysy Brianny, przekształcone przez upływ lat, i stanąć twarzą w twarz z człowiekiem nie tylko niezwykle męskim, ale i najwyraźniej dzikim.

Zupełnie jakby podniósł rękę, by pogłaskać pięknego, rudego kota, i stwierdził, że patrzy w oczy tygrysowi. Z trudem powstrzymał się, by się nie cofnąć. Równocześnie myślał, że Claire ani trochę nie przesadziła w opisie Jamiego Frasera.

- Pan to zapewne MacKenzie - odezwał się mężczyzna. Nie było to pytanie; miał głęboki głos i choć nie

mówił głośno, Roger bez trudu go słyszał.

- Tak, to ja - powiedział, dając krok w przód. - A pan to, ach... Jamie Fraser? - Wyciągnął rękę, ale szybko ją opuścił. Dwie pary oczu patrzyły na niego zimno.

- Tak - odpowiedział rudy mężczyzna. - Zna mnie pan? - Ton jego pytania był zdecydowanie nieprzyjazny.

Roger odetchnął głęboko, przeklinając w duszy swój nieporządny wygląd. Nie wiedział, jak Brianna opisała go ojcu, lecz najwyraźniej oczekiwano tu kogoś bardziej imponującego.

- Cóż, wygląda pan... Jest pan bardzo podobny do córki. Młody człowiek parsknął głośno, ale Fraser nie odwrócił wzroku.

- A czego pan chce od mojej córki? - Fraser poruszył się po raz pierwszy, wychodząc z cienia drzew. Nie, Claire nie przesadziła.

Naprawdę był wysoki, o kilka centymetrów wyższy niż sam Roger.

Roger poczuł niepokój i zmieszanie. Co takiego Brianna im nagadała? Nie mogła przecież być aż tak zła, by... Cóż, dowie się, gdy ją zobaczy.

- Przybyłem do mojej żony - powiedział dzielnie.

Coś zmieniło się w oczach Frasera. Roger nie wiedział, co, ale sprawiło to, że upuścił kapelusz i na w pół uniósł obie ręce.

- Och nie, wcale nie - tym razem odezwał się chłopiec, dziwnym tonem satysfakcji.

Roger spojrział na niego i przeraził się jeszcze bardziej na widok dużej dłoni chłopaka na kolbie pistoletu.

- Uważaj, nie chciałbyś chyba, żeby wystrzelił

przypadkowo - powiedział.

- Jeśli wystrzeli, nie będzie to przypadek. - Młody człowiek wygiął usta pogardliwie.

- Ian - Fraser nie podniósł głosu, ale chłopak niechętnie opuścił pistolet. Fraser natomiast dał kolejny krok w przód. Nie spuszczał oczu z Rogera. Głęboko niebieskie i skośne, były takie same jak Brianny. - Spytam tylko raz i chcę usłyszeć prawdę - oświadczył spokojnie. - Czy zabrałeś mojej córce dziewictwo?

Roger czuł, jak do twarzy napływa mu gorąca krew. Boże, co opowiedziała ojcu? I, na litość boską, dlaczego? Ostatnia rzecz, której się spodziewał, to rozwścieczony ojciec, który szuka zemsty za cnotę córki.

- To... ach... cóż, to nie tak, jak pan myśli - wyrzucił z siebie. - To znaczy my, to znaczy zamierzamy...

- Tak czy nie? - Twarz Frasera znajdowała się może pół metra od jego twarzy. Była bez wyrazu, jedynie oczy płonęły.

- Zaraz... do diabła, tak! Przecież chciała...! Fraser uderzył go tuż poniżej żeber.

Roger zgiął się wpół i zatoczył do tyłu, łapiąc powietrze. Nie bolało go jeszcze, ale czuł siłę uderzenia aż po kręgosłup. Przede wszystkim jednak wypełniało go zdumienie z domieszką gniewu.

- Proszę przestać - jęknął, starając się złapać powietrze, by móc mówić. - Proszę przestać, na litość boską. Powiedziałem, że...

Fraser trafił go ponownie, tym razem w szczękę. To zabolalo.

Uderzenie zdarło mu skórę i przemieściło żuchwę.

Roger szarpnął się do tyłu, a strach szybko zmieniał się we wściekłość. Ten cholerny człowiek chciał go zabić! Fraser wymierzył kolejny cios, ale nie trafił, bo Roger uchylił się i odwrócił. Zatem do diabła z dobrymi stosunkami rodzinnymi! Cofnął się do tyłu i ściągnął kurtkę. Ku jego zaskoczeniu Fraser nie rzucił się na niego, tylko stał i czekał. Krew tętniła Rogerowi w uszach, widział wyłącznie Frasera. Jeśli chce walczyć, to będą walczyć. Przykucnął, uniósł dłonie i czekał.

Zaskoczono go, ale nie pozwoli się więcej zaatakować. Nie był zabijaką, miał jednak za sobą sporo walk w pubie. Pasowali do siebie pod względem wysokości i długości rąk, on zaś był ponad piętnaście lat młodszy. Zauważył cios z prawej, uchylił się i odpowiedział.

Poczuł, że jego pięść dotknęła koszuli Frasera z boku, lecz w tym samym momencie cios z lewej trafił go w oko. W głowie wybuchły mu krwawe gwiazdy i światło, po policzku zaś pociekły łzy. Rzucił się na Frasera, krzycząc. Uderzył go, czuł, że jego pięści trafiają w ciało, ale wydawało się, że nie wywierają żadnego efektu. Przez jedno widzące oko dostrzegał szeroką twarz, wciąż spokojną jak u wikinga.

Wymierzył cios, twarz zniknęła, pojawiła się znowu, wymierzył kolejny cios, trafił w ucho. Otrzymał uderzenie w ramię, które go niemal przewróciło, odzyskał jednak równowagę i rzucił się głową do przodu.

- Ona jest moja - wydusił przez zaciśnięte zęby. Trzymał Frasera w uścisku i czuł, jak żebra mu trzeszczą. Zmiażdży go jak orzech. - Moja, słyszysz?

Fraser uderzył go z tyłu w kark, dość mocno, by

pozbawić go czucia w lewym ramieniu. Roger rozluźnił uścisk, przykucnął i prawym ramieniem trafił w pierś Frasera, starając się go przewrócić, ten jednak dał krok do tyłu i trafił go sierpowym - ale nie w ciało pod żebrami, lecz w same żebra. Mimo to Roger jęknął i szarpnął się do tyłu. Przykucnął, by się osłonić. Fraser pochylił głowę i ruszył wprost na niego. Roger poleciał do tyłu i twardo uderzył o ziemię. Z nosa do ust leciała mu krew, ściekała po brodzie. Przyglądał się, jakby z pewnej odległości, czerwonym kroplom spadającym na koszulę.

Przetoczył się na bok, by uniknąć kopniaka, ale nie dość daleko. Gdy próbował odtoczyć się w drugą stronę, przyszło mu do głowy, że choć jest piętnaście lat młodszy od swego przeciwnika, Jamie Fraser zapewne przez tychże piętnaście lat cały czas fizycznie walczył. Na moment znalazł się poza zasięgiem Frasera. Złapał powietrze i oparł się na dłoniach i kolanach. Z każdym oddechem przez rozbity nos wypływała krew. W gardle czuł smak metalu.

- Dość - wydyszał. - Nie. Dość.

Jakaś ręka złapała go za włosy i szarpnęła głowę do tyłu.

Niebieskie oczy błyszczały kilka centymetrów dalej. Czuł na twarzy gorący oddech mężczyzny.

- Wcale nie dosyć - powiedział Fraser i uderzył go kolanem w usta. Roger upadł, przetoczył się i starał się wstać. Polana wydawała się jedną pomarańczowożółtą plamą. Tylko instynkt kazał mu podnieść się i ruszać. Walczył o życie i był tego świadom. Rzucił się ślepo na chwiejną postać przed sobą. Złapał Frasera za koszulę i walnął w żołądek jak potrafił najmocniej. Materiał rozerwał

się, a pięść trafiła w kość. Fraser wymknął się jak wąż, przesunął dłonią między nimi, złapał Rogera za jądra i z całej siły ścisnął.

Roger stał nieruchomo, aż upadł, jakby złamano mu kręgosłup.

Przez ułamek sekundy, zanim zalał go ból, zanim stracił przytomność, głowę wypełniła mu ostatnia myśl. Zimna i wyraźna jak sople lodu.

Mój Boże - pomyślał - umrę, zanim się urodziłem.

47. Pieśń ojca

Jamie wrócił do domu późno. Było już ciemno, a ja miałam nerwy napięte jak postronki; mogłam sobie tylko wyobrażać, co czuła Brianna. Zjadłyśmy kolację, a raczej powinnam powiedzieć, że podano kolację; żadna z nas nie miała ochoty ani na jedzenie, ani na rozmowę. Nawet Lizzie, zwykle tak żarłoczna, nie przejawiała apetytu. Miałam nadzieję, że nie jest chora. Błada, milcząca, skarżyła się na ból głowy i poszła spać w komórcę na zioła. Był to szczęśliwy zbieg okoliczności, nie musiałam bowiem dzięki temu wymyślać wymówek, jak się jej pozbyć, gdy Jamie wróci do domu.

Świece paliły się już od ponad godziny, gdy w końcu usłyszałam beczenie kóz, witających jego przybycie. Brianna od razu uniosła głowę. W żółtym świetle wydawała się bardzo blada.

- Wszystko będzie dobrze. - Usłyszała pewność w moim głosie i kiwnęła głową, nieco uspokojona. Moja pewność była prawdziwa, choć nie bez zastrzeżeń. Sądziłam, że w końcu wszystko rzeczywiście się ułoży, ale, na Boga, niewątpliwie nie zapowiadał się nam wesoły,

rodzinny wieczór. Choć dobrze znałam Jamiego, wciąż mogło się zdarzyć wiele sytuacji, przy których jego reakcja pozostawała dla mnie zagadką. Niewątpliwie należała do nich wiadomość, że jego córka została zgwałcona i jest w ciąży. Od kiedy Brianna potwierdziła moje podejrzenia, wyobrażałam sobie właściwie wszystkie możliwe reakcje. Niektóre z nich obejmowały krzyki bądź walenie pięścią w twarde przedmioty. Takie zachowanie zawsze mnie denerwowało, może też zdenerwować Bree, dobrze zaś wiedziałam, jak reaguje, gdy jest roztrzęsiona.

W tym momencie trzymała uczucia na wodzy, wiedziałam jednak, że ten spokój bywa bardzo pozorny. Wystarczy, by rzucił jej jakieś nieprzyjemne słowo, a wybuchnie, jakby podłożono pod nią ogień. Poza rudymi włosami i wzrostem odziedziczyła po Jamiem i namiętą naturę, i gotowość mówienia wprost, co myśli. Mało się jeszcze znali i bardzo chcieli się sobie nawzajem podobać, więc dotychczas postępowali delikatnie, trudno sobie jednak wyobrazić delikatny sposób załatwienia tej sprawy. Nie wiedziałam, na co powinnam się nastawić: czy czeka mnie rola adwokata, tłumaczki czy sędziego. Z dużą niepewnością podniosłam więc rygiel, by go wpuścić do chaty.

Najwyraźniej mył się w strumieniu. Włosy na skroniach miał wilgotne, twarz zaś wytarł o koszulę, bo widniały na niej mokre plamy.

- Bardzo późno wracasz. Gdzie byłeś? - spytałam, stając na palcach, by go pocałować. - I gdzie jest Ian?

- Przyszedł Fergus i spytał, czy możemy mu pomóc z wciąganiem kamieni na budowę komina, bo sam nie dawał

rady. Ian tam został, by pomóc mu skończyć pracę. - Pocałował mnie w czubek głowy i poklepał po pupie. Ciężko pracował, pomyślałam. Ciało miał rozgrzane i czuć go było potem, choć twarz miał chłodną i świeżą po umyciu.

- Czy Marsali dała wam kolację? - Spojrzałam na niego w mroku.

Wydawało mi się, że coś się zmieniło, choć nie wiedziałam, co konkretnie.

- Nie, upuściłem kamień i nie wiem, czy nie złamałem sobie znów palca. Uznałem, że lepiej wrócę do domu, żebyś na to popatrzyła. - Ach, to o to chodziło, pomyślałam. Poklepał mnie lewą ręką, a nie prawą.

- Chodź do światła i pokaż. - Zaprowadziłam go do ognia i kazałam usiąść na jednym z dębowych stołków. Na drugim siedziała Brianna, obłożona szyciem. Wstała i podeszła, by spojrzeć mi przez ramię.

- Twoje biedne ręce - powiedziała, widząc spuchnięte stawy i otartą skórę.

- Och, to nic wielkiego. - Spojrzał lekceważąco na swoje palce. - Tylko ten jeden. Au!

Delikatnie macałam czwarty palec na jego prawej ręce, od nasady aż po opuszkę, nie zwracając uwagi na jęk bólu. Palec był zaczerwieniony i nieco spuchnięty, ale nie zwichnięty. Zawsze martwiłam się, gdy musiałam zbadać tę rękę. Dawno temu nastawiłam w niej kilka kości, zanim jeszcze wiedziałam cokolwiek o chirurgii, co więcej, robiłam to w warunkach dalekich od idealnych. Udało mi się, uratowałam mu rękę przed amputacją. Używał jej sprawnie, choć miał pewne ograniczenia. Tu i tam wyczuwałam zgrubienia i przesunięcia.

W tym momencie jednak zadowolona byłam z tej szansy opóźnienia spraw. Zamknęłam oczy, czując, jak za nimi miga ogień, i skoncentrowałam się na czwartym palcu. Zawsze był sztywny, bo środkowy staw został rozbity i zrosł się nieruchomy. Widziałam w głowie tę kość. Nie wyglądzony, suchy eksponat z laboratorium, ale nieco świecący matowo blask żywej kości. I ukryty puls krwi. Raz jeszcze pomacałam palec, następnie ujęłam go delikatnie kciukiem i palcem wskazującym tuż poniżej stawu. Czułam pęknięcie. Cienką, ciemną linię bólu.

- Tutaj? - spytałam, otwierając oczy.

Kiwnął głową, patrząc na mnie z lekkim uśmiechem.

- Dokładnie. Podoba mi się, jak wyglądasz, kiedy to robisz, Angielko.

- A jak wyglądałam? - spytałam zaskoczona, że w ogóle wyglądałam jakoś inaczej.

- Nie potrafię tego dokładnie opisać - odparł, przechylając głowę na bok i przyglądając mi się. - To może coś jakby...

- Madame Lazonga i jej kryształowa kula - wtrąciła Brianna z rozbawieniem. Uniosłam wzrok zaskoczona, a Brianna nachylała się nade mną, z głową przechyloną pod tym samym kątem i z tym samym oceniającym spojrzeniem. - To znaczy jasnowidz, wróżka - wyjaśniła Jamiemu.

Roześmiał się.

- Tak, może masz rację, a nighean. Choć ja raczej myślałem o kapłanie. O tym, jak wyglądają, gdy odprawiają mszę, gdy zamiast chleba widzą ciało Chrystusa. Co nie znaczy, że przysłoby mi do głowy porównywać mój palec z ciałem Pana, oczywiście - dorzucił.

Brianna roześmiała się. On także uśmiechnął się szeroko, mimo wyraźnego zmęczenia patrząc na nią łagodnymi oczyma. Ma za sobą długi dzień - pomyślałam - i jeszcze się on nie skończył. Dałabym wszystko, by zatrzymać tę przelotną chwilę więzi między nimi, ale już minęła.

- Uważam, że jesteście oboje śmieszni - powiedziałam.

Dotknęłam lekko jego palca. - Kość jest pęknięta tuż poniżej stawu, nie bardzo zresztą, to tylko cieniutkie pęknięcie. Na wszelki wypadek wezmę palec w łupki.

Wstałam, by w lekarskim kuferku znaleźć lniany bandaż i jeden z długich, płaskich kawałków drewna, których używałam przy oglądaniu czyjegoś gardła. Zerknęłam na niego kątem oka. Coś w nim było dziwnego tego wieczoru, choć nie potrafiłam sprecyzować, co dokładnie. Czułam to od początku, mimo własnego zdenerwowania, i wyczułam jeszcze mocniej, gdy trzymałam jego dłoń. Jakby pulsowała w nim energia, jakby był podniecony lub zdenerwowany, mimo że nie dawał tego po sobie poznać. Znakomicie potrafił ukrywać różne emocje, jeśli chciał. Co takiego zdarzyło się w domu Fergususa?

Brianna powiedziała coś do Jamiego, zbyt cicho, bym to usłyszała, a potem odwróciła się, nie czekając na odpowiedź, i podeszła do mnie.

- Masz może jakąś maść na jego ręce? - spytała i pochylając się, szepnęła: - Czy mam mu powiedzieć dzisiaj? Jest zmęczony i obolały.

Może niech odpocznie?

Spojrzałam na Jamiego. Odchylił się do tyłu na oparcie stołka.

Szeroko otwartymi oczyma przyglądał się płomieniom, oparłszy ręce na udach. Nie był jednak odprężony; cokolwiek przez niego przepływało, powodowało napięcie.

- Być może lepiej odpocznie, jeśli nie będzie wiedział, ale ty wręcz przeciwnie - odparłam równie cicho. - Musisz mu powiedzieć.

Tylko może najpierw niech coś zje. Zawsze uważałam, że lepiej przyjmować złe wiadomości z pełnym żołądkiem.

Usztywniałam Jamiemu palec, Brianna zaś siadła po drugiej stronie i nakładała maść z gencjaną na otarte stawy jego drugiej dłoni.

Jej twarz emanowała spokojem. Nikt by nie zgadł, o czym naprawdę myśli.

- Rozdarłeś koszulę - zauważyłam, zawiązując bandaż. - Daj mi ją po kolacji, to zaszyję. Czy teraz dobrze?

- Bardzo dobrze, Madame Lazonga. - Poruszył lekko świeżo usztywnionym palcem. - Strasznie mnie rozpieszczacie.

- Zacznij się martwić, kiedy zacznę za ciebie przeżuwać jedzenie - powiedziałam kwaśno.

Roześmiał się i podał Bree drugą dłoń do posmarowania.

Poszłam do kredensu po talerz dla niego. Gdy się odwróciłam, z wielką uwagą przyglądał się Bree. Siedziała z pochyloną głową, wpatrzona w dużą dłoń, którą trzymała między własnymi. Mogłam sobie wyobrazić, że namyśla się,

od jakich słów zacząć, i serce mnie bolało. Może powinnam była najpierw sama mu to powiedzieć, na osobności, i nie pozwalać mu na kontakt z nią, dopóki nie minie pierwszy przyływ emocji i dopóki nie weźmie się znów w garść?

- Ciamar a tha tu, mo chridhe? - powiedział nagle. Było to zwykłe powitanie, z jakim się do niej zwracał. Początek ich wieczornej lekcji gaelickiego. Ale dziś jego głos brzmiał inaczej, miękko i delikatnie. - Jak się czujesz, kochanie? - Odwrócił dłoń i przykrył nią jej rękę.

- Tha mi gle mhath, athair - odpowiedziała, nieco zdziwiona.

Zazwyczaj zaczynali lekcję po kolacji. - Dobrze się czuję, ojczu.

Powoli wyciągnął drugą dłoń i położył jej lekko na brzuchu.

- An e'n fhirinn a th'agad? - spytał. - Czy mówisz prawdę?

Zamknęłam oczy i wypuściłam oddech. Nawet nie zdawałam sobie sprawy, że go zatrzymałam. A zatem nie ma potrzeby mówić mu wszystkiego. Rozumiałam już, skąd wzięło się jego napięcie. Wiedział - i choć trudno mu było zachować tę wiedzę, jednak ją zachował i zwrócił się do niej łagodnie.

Nie mówiła jeszcze dość dobrze po gaelicku, by zrozumieć, o co pyta. Wiedziała jednak, o co mu chodzi. Patrzyła na niego przez chwilę, zamarła w bezruchu, potem uniosła jego zdrową dłoń i oparła na niej policzek. Włosy rozsypały jej się i ukryły twarz.

- Och, tato - powiedziała bardzo cicho. - Tak mi przykro.

Siedziała nieruchomo, trzymając jego dłoń jak linę ratunkową.

- Wszystko w porządku, m'annsachd, wszystko w porządku.

- Nie, nieprawda - odparła cicho, ale wyraźnie. - Nie może być w porządku, dobrze o tym wiesz.

Z przyzwyczajenia zerknął na mnie, lecz tylko przelotnie. Nie mogłam mu powiedzieć, co ma zrobić. Odetchnął głęboko, ujął ją za ramiona i potrząsnął lekko.

- Wiem tylko - powiedział miękko - że jesteśmy tutaj, ja i twoja matka. Nie dopuścimy, by spotkało cię coś złego. Nigdy, słyszysz?

Nie odpowiedziała ani nie uniosła wzroku. Włosy kryły jej twarz.

Pogłaskał ją i unióś jej głowę, by spojrzała prosto na niego.

- Czy Lizzie ma rację? - spytał łagodnie. - Czy to był gwałt?

Odsunęła się lekko i spojrzała na splecione dłonie.

- Nie sądziłam, że wie. Nie mówiłam jej.

- Odgadła. Ale to nie twoja wina i nie wolno ci tak myśleć - stwierdził zdecydowanie. - Chodź do mnie, a leannan. - Wyciągnął ręce i niezręcznie przyciągnął ją sobie na kolana.

Pod ich wspólnym ciężarem drewniany stółek zatrzeszczał, ale Jamie zbudował go solidnie. Choć Brianna była wysoką kobietą, w ramionach Jamiego wydawała się niemal drobna. Oparła głowę na jego ramieniu, a on gładził ją łagodnie po włosach i mruzczał do niej na wpół po gaelicku.

- Dopilnuję, byś bezpiecznie wyszła za mąż i by twoje dziecko miało dobrego ojca. Obiecuję ci to, a nigean.

- Nie mogę wyjść za nikogo za mąż - zaprotestowała zduszonym głosem. - To nie byłoby słuszne. Nie mogę przyjąć nikogo, bo kocham Rogera, a Roger mnie teraz nie zechce. Gdy się dowie...

- Nie będzie mu to robiło różnicy - przerwał Jamie, przyciągając ją mocniej, niemal dziko, jak gdyby samą siłą woli mógł wszystko naprawić. - Jeśli jest przyzwoitym człowiekiem, nie będzie mu to robiło różnicy. A jeśli będzie, to znaczy, że na ciebie nie zasługuje. I zbiję go na kwaśne jabłko, podepczę resztki, potem zaś pójdę znaleźć ci lepszego mężczyznę.

Próbowała się roześmiać, zamiast tego zaszlochła i ponownie schowała mu głowę na ramieniu. Poklepywał ją, kołysał i mruczał, jak gdyby była małą dziewczynką z otartym kolaniem. Spojrzał na mnie nad jej głową.

Nie płakałam, gdy mi opowiadała, co jej się przytrafiło. Matki są silne. Teraz jednak nie widziała mnie, a Jamie na chwilę zdjął ciężar z moich barków.

Ona też nie płakała, gdy mi opowiadała, teraz jednak przywarła do niego i dała upust łzom - wydawało mi się, że tyleż z ulgi, co ze smutku. Jamie po prostu trzymał ją i pozwalał jej płakać, gładząc po włosach i nie spuszczać wzroku z mojej twarzy.

Otarłam oczy rękawem, on zaś uśmiechnął się do mnie. Szloch Brianny zmienił się w długie westchnienia. Poklepał ją delikatnie po plecach.

- Jestem głodny, Angielko - westchnął - i wydaje mi się, że wszystkim nam przydałaby się kropelka czegoś do

picia.

- Dobrze - przytaknęłam i odchrząknęłam. -
Przyniosę trochę mleka z szopy.

- Nie o tym mówiłem - zawołał za mną, udając
oburzenie.

Ignorując jego słowa i stłumiony śmiech Brianny,
pchnęłam drzwi. Noc była chłodna i jasna, rozświetlona
jesiennymi gwiazdami.

Nie byłam ubrana dość ciepło, by zostać długo na
dworze, na twarzy i rękach czułam już gęsią skórkę, stałam
jednak nieruchomo, pozwalając, by owiał mnie zimny wiatr,
zabierając z sobą napięcie ostatniego kwadransa. Panowała
cisza. Świerszcze i cykady już dawno zginęły lub schowały
się pod ziemią, razem z myszami, skunksami i oposami,
które przerwały nieustanne poszukiwanie żywności i ukryły
się, by śnić zimowe sny, otulone grubą warstwą tłuszczu.
Tylko wilki polowały w zimne, gwiazdziste noce późnej
jesieni, one zaś cicho poruszały się po zmarzniętej ziemi.

- I co my teraz zrobimy? - powiedziałam cicho w
wielką głębię ciemnego nieba nad głową.

Usłyszałam jedynie szum wiatru w sosnach. Żadnej
odpowiedzi - nic poza fragmentem mego pytania: słabym
echem "...my", dzwoniącym mi w uszach. To przynajmniej
było prawdą. Cokolwiek się zdarzyło, żadne z nas nie
musiało stawiać temu czoła samotnie.

Uznałam, że wystarczy mi taka odpowiedź.
Przynajmniej na razie.

Gdy wróciłam, wciąż siedzieli na stołku. Rude
głowy koło siebie, rozświetlone blaskiem ognia. Zapach
maści z gencjaną mieszał się z mocnym zapachem palących

się bierwion sosny i aromatem potrawy z dziczyzny. Nagle poczułam się głodna. Cicho zamknęłam za sobą drzwi i zasunęłam zasuwę. Poprawiłam ogień, nakryłam do stołu, przyniosłam świeży bochenek chleba i masło ze spiżarni.

Zatrzymałam się tam na moment, przyglądając zastawionym półkom.

„Zaufaj Panu i módl się, by cię prowadził, a gdy opadną cię wątpliwości, jedz”. Usłyszałam kiedyś tę radę od pewnego franciszkanina. Na ogół była ona bardzo użyteczna. Wybrałam słoik dżemu z czarnych porzeczek, mały kozi ser i butelkę wina z kwiatów czarnego bzu.

Gdy wróciłam, Jamie coś cicho mówił. Krzątałam się przy kolacji, pozwalając, by jego głęboki głos mnie uspokajał, tak samo jak uspokajał Briannę.

- Zawsze myślałem o tobie, gdy byłaś mała - mówił Jamie do Bree. - Gdy mieszkałem w jaskini, wyobrażałem sobie, że trzymam cię w ramionach, moją malutką dziewczynkę. Trzymałem cię tuż przy sercu. I śpiewałem ci, patrząc, jak nad głową wędrują mi gwiazdy.

- A co śpiewałeś? - Brianna mówiła tak cicho, że ledwo słyszałam ją przez trzask ognia. Oparła dłoń na ramieniu Jamiego i lekko gładziła jego opadające włosy.

- Dawne pieśni. Kołysanki, które, jak pamiętałem, śpiewała mi matka. Te same, które moja siostra Jenny śpiewała swoim dzieciom.

- Zaśpiewaj mi teraz, proszę, tato.

Zawahał się, ale przechylił ku niej głowę i zaczął cicho śpiewać dziwną, pozbawioną melodii pieśń po gaelicku. Jamie nie miał za grosz słuchu. Melodia wędrowała w górę i w dół, nie przypominając muzyki, ale

rytm słów uspokajał ucho. Rozumiałam większość słów.

Była to pieśń rybaka, który wymieniał nazwy ryb mieszkających w jeziorze i w morzu, i mówił dziecku, co przyniesie do domu na kolację. Potem pieśń myśliwego, który wymieniał nazwy ptaków i drapieżników. Pióra dla urody i futra dla ciepła, mięso zaś, by przetrwać zimę. Była to pieśń ojca, miękka litania opieki i opatrności. Chodziłam cicho po pokoju, przenosząc na stół cynowe talerze i drewniane miski, wracając, by ukroić chleba i posmarować go masłem.

- Wiesz co, tato? - spytała miękko Bree.

- Co takiego? - Przerwał pieśń.

- Nie potrafisz śpiewać.

Roześmiał się i poruszył, by zmienić nieco pozycję.

- To prawda. Czy mam przestać?

- Nie. - Przytuliła się mocniej i znów schowała mu głowę na ramieniu. Ponownie zaczął śpiewać, ale po chwili sam przerwał.

- A ty wiesz co, a leannan?

Miała zamknięte oczy, rzęsy rzucały głębokie cienie na policzki, widziałam jednak, że się uśmiecha.

- Co takiego, tato?

- Ważysz tyle, co spory jeleń.

- Czy mam wstać? - spytała, nie ruszając się.

- Oczywiście, że nie.

Wyciągnęła rękę i dotknęła jego policzka.

- Mi grandhaich a thu, athair - szepnęła. - Moja miłość dla ciebie, ojczu.

Przytulił ją mocno, pochylił głowę i pocałował w czoło. Ogień dotarł do kropelki żywicy i nagle wybuchnął

za nimi, obrysowując im twarze złotem i czernią. Rysy Jamiego były ostre i śmiałe, rysy Brianny stanowiły delikatniejsze echo jego mocnych, wyraźnie zarysowanych kości. Oboje uparci, oboje silni i oboje, dzięki Bogu, moi.

Wyczerpana Brianna zasnęła po kolacji. Ja też byłam zmęczona, ale nie miałam jeszcze ochoty spać. Czulałam się równocześnie wykończona i podekscytowana. Miałam to okropne uczucie typowe dla pola bitwy, że znajduję się w środku wydarzeń, których nie jestem w stanie kontrolować, ale z którymi i tak muszę sobie poradzić. Nie chciałam sobie z niczym radzić, chciałam tylko odepchnąć od siebie wszystkie myśli o teraźniejszości i przyszłości, wrócić do spokoju poprzedniej nocy. Chciałam wczłgać się do łóżka z Jamiem, leżeć koło niego, czuć jego ciepło pod kołdrami, chroniącymi nas przed chłodem pokoju. Przyglądać się, jak gasną iskierki w kominku, i rozmawiać cicho, przechodząc od plotek i żartów z dnia do języka nocy. Pozwalać, by nasza rozmowa słowami ustępowała rozmowie dotykem, oddechem, drobnymi ruchami ciała, które same w sobie stanowiły pytanie i odpowiedź. I szukać zakończenia naszej rozmowy w milczeniu i śnie.

Dziś jednak dom wypełniały problemy i nie czuliśmy spokoju.

Jamie miotał się jak wilk w klatce, biorąc do ręki różne rzeczy i odstawiając je z powrotem. Sprzątnęłam po kolacji, przyglądając mu się kątem oka. Chciałam z nim porozmawiać, a równocześnie bałam się tego. Obiecałam Bree, że nie powiem mu o Bonnecie, zawsze jednak byłam złym kłamcą, on zaś dobrze znał moją twarz.

Napełniłam wiaderko gorącą wodą z wielkiego kotła

i wyniosłam na zewnątrz cynowe talerze, by je wypłukać. Gdy wróciłam, Jamie stał przy półeczce, na której trzymał rożek z atramentem, pióra i papier. Nie rozebrał się do spania, ale nie starał się także przenieść tych rzeczy na stół i oddać zwykłemu wieczornemu zajęciu. Ach, oczywiście, nie mógł przecież pisać z usztywnionym palcem.

- Czy chcesz, bym coś dla ciebie napisała? - spytałam, widząc, że bierze do ręki pióro i odkłada je z powrotem.

Odwrócił się z niespokojnym gestem.

- Nie. Muszę oczywiście napisać do Jenny i są inne rzeczy do zrobienia, ale teraz nie potrafię po prostu usiąść i myśleć.

- Wiem, jak się czujesz - powiedziałam ze współczuciem.

Spojrzał na mnie.

- Ja sam nie wiem, jak się czuję, Angielko - odrzekł z nieznacznym uśmiechem. - Jeśli uważasz, że wiesz, to mi powiedz.

- Zmęczony. - Położyłam mu dłoń na ramieniu. - Rozgniewany, zmartwiony. - Spojrzałam na Briannę śpiącą na wysuwającym łóżku. - I być może serce cię boli - dodałam.

- To wszystko razem i znacznie więcej - potwierdził. Nie miał na szyi chustki, ale szarpnął za kołnierz koszuli, jakby go dusiła. - Nie mogę tu zostać - spojrzał na mnie. Wciąż byłam ubrana jak za dnia: spódnica, halka i kaftanik. - Pójdiesz ze mną na mały spacer?

Złapałam pelerynę. Na dworze było ciemno, nie zobaczy mojej twarzy. Szliśmy razem powoli przez podwórko przed domem, koło zabudowań, kurnika i pola za

nim. Trzymałam go za ramię i czułam, jak jest napięte i sztywne. Nie wiedziałam, jak zacząć, co powiedzieć.

Może po prostu powinnam milczeć. Oboje byliśmy wciąż zdenerwowani, choć ze względu na Briannę staraliśmy się zachować spokój. Czułam, jak gotuje się w nim wściekłość. To zrozumiałe. Ale gniew jest niestabilny jak nafta; butelkowany pod ciśnieniem, nie mając jak się rozładować, może eksplodować przez jedno nieostrożne słowo. A gdyby Jamie rzeczywiście wybuchł, albo bym zaczęła płakać, albo rzuciłabym mu się do gardła. Sama nie byłam pewna własnego nastroju.

Szliśmy całkiem długo wśród drzew, na martwe pole kukurydzy, wokół niego i z powrotem, cały czas poruszając się po polu minowym.

- Jamie - odezwałam się w końcu, gdy doszliśmy do granicy pola. - Co zrobiłeś ze swymi dłońmi?

- Co takiego? - Odwrócił się ku mnie zaskoczony.

- Twoje dłonie. - Ujęłam jedną i przytrzymałam. - Tego rodzaju uszkodzenia nie mogą wynikać z wciągania kamieni na komin.

- Ach. - Stał nieruchomo, pozwalając mi obmacywać spuchnięte kostki palców. - Czy Brianna mówiła ci coś o tym człowieku, czy podała ci jego nazwisko?

Zawahałam się - i byłam zgubiona. Zbyt dobrze mnie znał.

- Powiedziała ci, tak? - Słyszałam w jego głosie niebezpieczeństwo.

- Kazała mi obiecać, że ci nie powiem - wyrzuciłam z siebie. - Mówiłam jej, że będziesz wiedział, że coś przed tobą ukrywam. Ale, Jamie, obiecałam. Nie zmuszaj mnie,

bym ci powiedziała, proszę.

Parsknął na wpół rozbawiony, na wpół z obrzydzeniem.

- Tak, znam cię dobrze, Angielko. Nie potrafisz zachować sekretu przed nikim, kto cię choć odrobinę zna. Nawet Ian odgaduje twoje myśli, jakby czytał książkę. - Machnął ręką. - Nie przejmuj się.

Niech sama mi powie, kiedy zechce, mogę poczekać. - Zwinął w pięść poranioną rękę. Nagle zadrżałam.

- Twoje dłonie - powtórzyłam.

Odetchnął głęboko i wyciągnął je przed siebie, grzbietem do góry.

Powoli zgiął palce.

- Czy pamiętasz, Angielko, kiedyśmy się poznali? Dougal doprowadzał mnie do takiego stanu, iż myślałem, że się na niego rzucę, jednak nie mogłem tego zrobić. Powiedziałaś mi wtedy: walnij w coś, poczujesz się lepiej. - Uśmiechnął się do mnie kącikiem ust. - Uderzyłem więc w drzewo. Bolało, ale miałaś rację - poczułem się lepiej, przynajmniej na chwilę.

- Ach tak. - Wypuściłam oddech. Czułam ulgę, że mnie nie naciska. Niech więc zaczeka. Chyba nie zdawał sobie sprawy, że jego córka potrafi być tak samo uparta jak on.

- Czy ona... czy opowiadała ci, co się zdarzyło? - Nie widziałam jego twarzy, ale słyszałam wahanie w głosie. - To znaczy... - wciągnął oddech - czy ten człowiek ją zranił?

- Nie, nie fizycznie.

Ja też się zawahałam; wydawało mi się, że czuję ciężar obrączki w kieszeni, choć oczywiście nie było to

możliwe. Brianna nie prosiła, bym coś zachowała dla siebie, poza nazwiskiem Bonneta, nie mogłam jednak opowiadać Jamiemu wszystkich szczegółów - chyba żeby pytał, nie sądziłam zaś, by to zrobił. To ostatnia rzecz, jaką chciałby wiedzieć. Rzeczywiście nie spytał, mruknął tylko coś pod nosem po gaelicku i ruszył do przodu z pochyloną głową.

Gdy raz przerwaliśmy milczenie, nie mogłam go dłużej znieść.

Lepiej wybuchnąć, niż się dusić. Wysunęłam dłoń spod jego ramienia.

- O czym myślisz?

- Zastanawiam się... czy równie strasznie jest być... zgwałconym... jeśli to... jeśli nie ma... uszkodzeń. - Wzruszył ramionami, jak gdyby miał za ciasną kurtkę.

Doskonale wiedziałam, o czym myśli. O więzieniu Wentworth i bliznach, które pokrywały mu plecy siatką straszliwych wspomnień.

- Chyba bardzo ciężko - powiedziałam. - Ale może masz rację, może lepiej to znieść, jeśli nie ma żadnych fizycznych znaków, które by o tym przypominały. Jednak w tym wypadku jest jakaś fizyczna pozostałość - dodałam. - I to cholernie zauważalna.

- No tak - mruknął i znów zwinął lewą dłoń w pięść. Spojrzał na mnie niepewnie, a światło księżyca tworzyło cienie na jego twarzy. - Jednak nie sprawił jej bólu, a to już coś. Gdyby sprawił, śmierć byłaby dla niego zbyt dobra - skończył nagle.

- Jest tylko ten drobiazg, że właściwie trudno wyleczyć się z ciąży - zauważyłam kwaśno. - Gdyby złamał jej kość albo przelał jej krew, zagoiłyby się, ale to, co się

stało... Nigdy tego nie zapomni, wiesz?

- Wiem!

Skrzywiłam się lekko, dostrzegł to i przeprasząco machnął ręką.

- Nie chciałem krzyżeć.

Kiwnęłam głową i szliśmy dalej, obok siebie, lecz nie dotykając się.

- To... - zaczął i przerwał. Parsknął, zniecierpliwiony sobą samym. - Ja wiem - powiedział spokojniej. - Wybacz, Angielko, wiem znacznie więcej o tym wszystkim niż ty.

- Nie kłóciłam się z tobą, ale ty nie rodziłeś dziecka, nie wiesz, jak to jest. To...

- Kłócisz się ze mną, Angielko, przestań. - Ścisnął mnie za ramię i puścił. - Staram się powiedzieć ci, co wiem. - Zatrzymał się na moment, by zebrać myśli. - Od dłuższego czasu nie myślałem już o Jacku Randallu - powiedział w końcu - i teraz też nie chcę tego robić, ale nie mam wyjścia. - Znow wzduszył ramionami i potarł policzek. - Jest ciało i jest dusza, Angielko - ciągnął powoli, zastanawiając się nad doborem słów. - Jesteś lekarką, to pierwsze znasz dobrze, ale to drugie jest ważniejsze.

Otworzyłam usta, by powiedzieć, że to wiem także, tak samo dobrze jak on, jeśli nie lepiej. Ale w końcu zamknęłam je, nie odzywając się. Nie zauważył. Nie dostrzegął już ciemnego pola ani zagajnika klonów o wysrebrzonych księżycem liściach. Widział teraz przed sobą małą izbę o grubych, kamiennych murach, ze stołem, stołkami i lampą oraz łóżkiem.

- Randall - powiedział z namysłem. - Większość tego, co mi zrobił, mogłem wytrzymać. - Rozsunął palce

prawej dłoni. Opatrunek na pękniętym palcu zabielał w ciemności. - Bałem się, bolało mnie, myślałem, że go za to zabiję, ale mógłbym później żyć i nie czuć jego dotyku na skórze, nie czuć się brudny. Tylko że jego nie zadowalało moje ciało, chciał także mojej duszy.

I ją dostał. - Biały bandaż zniknął, bo zacisnął pięść. - Cóż, to wszystko wiesz. - Odwrócił się nagle i ruszył przed siebie. Musiałam podbiec, by go dogonić. - Chodzi mi w sumie o to, że jeśli ten człowiek był dla niej obcy i tylko wykorzystał ją dla chwilowej przyjemności... jeśli chciał tylko jej ciała... to sądzę, że dojdzie do siebie. - Odetchnął głęboko. Widziałam białą mgiełkę wokół jego twarzy. - Ale jeśli ją znał... jeśli był jej na tyle bliski, że chciał właśnie ją, a nie po prostu jakąś kobietę... to niewykluczone, że zdołał dotknąć jej duszy. A tym naprawdę dużo by zniszczył.

- Nie uważasz, że i tak ją zniszczył? - podniosłam głos wbrew sobie. - Wszystko jedno, czy ją znał, czy nie...

- To co innego, mówię ci.

- Nie, wcale nie. Wiem, o czym mówisz...

- Nie wiesz.

- Wiem, ale dlaczego...

- Bo gdy cię biorę, to nie twoje ciało jest ważne - powiedział - i sama to doskonale wiesz, Angielko.

Odwrócił się i pocałował mnie dziko, całkowicie mnie zaskakując. Rozgniatał mi wargi o zęby, a potem objął całe usta swoimi. Wiedziałam, czego ode mnie oczekuje - tego samego, czego ja tak rozpaczliwie oczekiwałam od niego: pokrzepienia. Ale żadne z nas nie mogło go dzisiaj zapewnić. Wbił mi palce w ramiona, przesunął dłonie w górę i złapał za szyję. Przycisnął mnie do siebie, a potem

puścił.

- Nie mogę - powiedział. Ścisnął mi ramiona i odsunął się.

Oddychał nierówno. - Nie mogę.

Cofnął się i odwrócił, szukając po omacku ogrodzenia, które było tuż za nim. Złapał słup oboma rękoma i stał z zamkniętymi oczyma.

Drżałam, nogi się pode mną ugiwały. Otuliłam się peleryną i usiadłam u jego stóp. Czekałam. Serce biło mi boleśnie mocno. Nocny wiatr mruczał w sosnach i szeleścił w drzewach na grani. Gdzieś daleko, na ciemnych wzgórzach, rozległ się krzyk pantery.

- Nie o to chodzi, że cię nie chcę - oświadczył w końcu, odwracając się ku mnie. Przez chwilę stał z pochyloną głową rozświetloną księżycem, twarzą schowaną w cieniu. W końcu pochylił się, ujął moją dłoń i pociągnął w górę. - Chcę cię może bardziej niż kiedykolwiek i, na Boga, potrzebuję cię, Claire, ale w tej chwili nie mogę znieść myśli, że jestem mężczyzną. Nie mogę cię dotknąć, myśląc o tym, co on... nie mogę.

Musnęłam jego ramię.

- Rozumiem - zapewniłam. I rzeczywiście rozumiałam. To dobrze, że nie pytał mnie wcześniej o szczegóły, sama żałowałam, że je znam. Jak by to było - kochać się z nim, a równocześnie cały czas wyobrażać sobie akt identyczny fizycznie, ale całkiem inny w swojej istocie. - Rozumiem, Jamie - powtórzyłam.

Otworzył oczy i spojrzał na mnie.

- Rozumiesz, prawda? O to mi właśnie chodzi - przyciągnął mnie do siebie. - Mogłabyś rozerwać mnie na

strzępy, Claire, nie dotykając mnie. Bo mnie znasz - szepnął. Dotknął palcami mojej twarzy. - I ja to samo mógłbym zrobić tobie.

- Mógłbyś - odrzekłam, czując się nieco słabo - ale naprawdę wołałabym, żebyś tego nie robił.

Uśmiechnął się lekko na te słowa, pochylił i delikatnie mnie pocałował. Staliśmy razem, niemal się nie dotykając, oddychając tylko swoimi oddechami.

„Tak”, mówiliśmy w milczeniu. „Tak, jestem wciąż tutaj”. Nie był to ratunek, ale w każdym razie cienka lina ratunkowa, przeciągnięta przez dzielącą nas zatokę. Wiedziałam, o czym mówi, gdy wyjaśniał różnicę w zranieniu ciała i duszy. Nie potrafiłam natomiast mu wyjaśnić, że połączenie między nimi ma swój początek w łonie. W końcu cofnęłam się o krok.

- Bree jest bardzo silna - powiedziałam cicho. - Jak ty.

- Jak ja? - parsknął. - Niech więc jej Bóg pomoże. - Westchnął, obrócił się i ruszył powoli wzdłuż ogrodzenia. Poszłam za nim. - Ten mężczyzna, ten Roger, o którym mówi... Czy będzie ją wspierał? - spytał nagle.

Odetchnęłam głęboko, nie wiedząc, jak odpowiedzieć. Znałam Rogera tylko przez kilka miesięcy. Lubiłam go, nawet bardzo.

Wszystko, co o nim wiedziałam, wskazywało, że jest przyzwoitym, honorowym człowiekiem. Jak mogę jednak udawać, że wiem, co pomyśli, zrobi albo poczuje, dowiadując się, że Brianna została zgwałcona? I że, co gorsza, nosi w łonie dziecko gwałciciela? Nawet najlepsi ludzie nie zawsze dają sobie radę w takiej sytuacji. W ciągu

lat praktyki lekarskiej widziałam, jak na pozór dobre małżeństwa rozpadają się pod wpływem drobniejszych rzeczy. Były też takie, które się nie rozpadały, ale brak zaufania zaczynał je niszczyć.

Odruchowo przycisnęłam dłoń do nogi, wyczuwając w kieszeni niewielki, twardy, złoty przedmiot. „Od F. dla C. z miłością. Na zawsze”.

- A ty? - spytałam w końcu. - Gdybym to była ja?

Spojrzał na mnie ostro i otworzył usta, chcąc się odezwać, zamknął je jednak i popatrzył na mnie uważniej, ściągnąwszy brwi w zamyśleniu.

- Chciałem powiedzieć: „Tak, oczywiście” - odparł powoli - ale kiedyś obiecałem ci szczerość, prawda?

- To prawda - przyznałam i serce zaciążyło mi winą. Jak mogę go zmuszać do uczciwości, gdy nie mogę mu się odwzajemnić tym samym?

Uderzył lekko pięścią w słup ogrodzenia.

- Ifrinn! Tak, do cholery. Byłabyś moja, nawet gdyby dziecko nie było moje. I gdybyś ty... Tak, stałbym przy tobie - powtórzył zdecydowanie. - Wziąłbym ciebie i dziecko razem z tobą i niech cały świat idzie do diabła.

- I nigdy później byś o tym nie myślał? - spytałam. - Nigdy nie przychodziłoby ci to do głowy w chwili, gdy jesteś ze mną w łóżku?

Czy nigdy nie widziałbyś ojca, patrząc na dziecko? Nigdy nie rzuciłbyś mi tego w twarz ani nie pozwoliłbyś, by nas to poróżniło?

Otworzył usta, chcąc odpowiedzieć, ale zaraz zacisnął wargi.

Zobaczyłam, jak jego rysy tężeją, jak nagle zdaje

sobie sprawę, o czym mówię.

- O Boże - powiedział. - Frank. Nie ja. Mówisz o Franku.

Przytaknęłam. Złapał mnie za ramiona.

- Co on ci zrobił? Co? Powiedz, Claire!

- Wspierał mnie. - Mój głos był zduszony nawet w moich własnych uszach. - Próbowałam go skłonić, by odszedł, ale nie chciał.

A gdy urodziło się dziecko - Brianna - to ją kochał, Jamie. Nie był pewien, nie sądził, by mógł - ja też nie - ale naprawdę ją kochał.

Bardzo mi przykro - dodałam.

- Niech ci nie będzie przykro, Angielko - powiedział ponuro i puścił moje ramiona. - Nigdy. - Potarł dłonią twarz, słyszałam słaby szelest zarostu. - A co z tobą, Angielko? To, co mówiłaś... gdy przychodził do twego łóżka, czy myślał... - przerwał nagle, zostawiając wszystkie pytania zawieszony w powietrzu między nami.

Niewypowiedziane, ale i tak głośne.

- Być może to ja... znaczy, być może była to moja wina - powiedziałam w końcu, przerywając milczenie. - Widzisz, nie potrafiłam zapomnieć. Gdybym potrafiła, być może wszystko potoczyłoby się inaczej. - Powinnam była przerwać, ale nie byłam w stanie. Słowa, które powstrzymywałam przez cały wieczór, płynęły teraz wartką strugą. - Dla niego być może byłoby łatwiej, lepiej, gdyby rzeczywiście chodziło o gwałt. To właśnie mu powiedziano.

Lekarze twierdzili, że zostałam zgwałcona, że mam przywidzenia.

Wszyscy w to wierzyli. Ja jednak powtarzałam mu,

że było inaczej.

Upierałam się, żeby mówić mu prawdę. I po pewnym czasie uwierzył mi, przynajmniej częściowo. Na tym polegał problem. Nie na tym, że urodziłam dziecko innego mężczyzny, ale na tym, że cię kochałam i nie potrafiłam przestać. Nie potrafiłam - dodałam ciszej. - Był lepszy niż ja. Frank potrafił odsunąć przeszłość, przynajmniej dla Bree. Ale dla mnie... - Ścisnęło mi się gardło. Przerwałam.

Odwrócił się i popatrzył na mnie. Jego twarz była bez wyrazu, oczy schowane w cieniu brwi.

- Żyłś dwadzieścia lat z człowiekiem, który nie potrafił ci wybaczyć czegoś, co nie było twoją winą. I to ja ci to zrobiłem. Mnie też jest przykro, Angielko.

- Powiedziałaś, że byłbyś w stanie rozerwać mnie na strzępy, nie dotykając mnie - westchnęłam. - Miałaś rację. Niech cię diabli.

- Tak mi przykro - szepnął znów, tym razem jednak wyciągnął ręce i przyciągnął mnie do siebie.

- Przykro ci, że cię kochałam? Nie, niech ci nie będzie przykro, nigdy.

Nie odpowiedział. Pochylił tylko głowę i przytulił policzek do moich włosów. Panowała cisza. Słyszałam, jak bije mu serce. Skórę miałam chłodną, łyzy na policzkach natychmiast robiły się zimne. W końcu opuściłam ramiona i odsunęłam się.

- Lepiej wracajmy do domu - starałam się mówić normalnym tonem. - Już bardzo późno.

- Tak, chyba tak. - Podał mi ramię. W milczeniu, lecz już bez takiego napięcia minęliśmy wejście do wąwozu

nad strumieniem.

Było tak zimno, że na skałach w świetle gwiazd lśniły drobne kryształki lodu. Strumień jednak nie zamierzał zamarzać, jego gulgotanie i szum wypełniały powietrze. - Mam nadzieję, że Roger Wakefield jest lepszym człowiekiem niż my, Frank i ja - powiedział w końcu, gdy mijaliśmy chlewik. - A jeśli nie jest, zbiję go na kwaśne jabłko.

Roześmiałam się wbrew sobie.

- To niewątpliwie niezwykle pomoże w tej sytuacji.

Parsknął krótko i szedł dalej. U stóp wzgórza skręciliśmy w kierunku domu. Na samym początku ścieżki prowadzącej do drzwi zatrzymałam go.

- Jamie - odezwałam się niepewnie - czy wierzysz, że cię kocham? Odwrócił głowę i przyglądał mi się długo, zanim odpowiedział.

- Cóż, jeśli mnie nie kochasz - odparł w końcu - to wybrałaś bardzo złą porę, żeby mi to powiedzieć.

- Nie, nie o to chodzi - zapewniłam go. - Ale... - gardło mi się ścisnęło. - Nie mówię tego często, być może dlatego, że wychowano mnie w przekonaniu, że się takich rzeczy nie mówi. Mieszkałam z wujem, który był ciepłym człowiekiem, ale nie... no, nie wiedziałam, jak w małżeństwie...

Dotknął palcami moich ust, lekko się uśmiechając. Odetchnęłam głęboko i starałam się mówić spokojniej.

- Chcę po prostu spytać: jeśli tego nie mówię, skąd wiesz, że cię kocham?

- Wiem, bo tu jesteś, Angielko - powiedział spokojnie po dłuższej chwili. - I o to ci chodzi, prawda? Że

przyszedł za nią, ten Roger. Więc może on też kocha ją dość mocno.

- To nie jest coś, co się robi tylko dla przyjaźni.

Kiwnął głową, ja jednak zawahałam się. Chciałam mówić dalej, by w pełni zrozumiał, co to znaczy.

- Niewiele ci o tym opowiadałam, bo nie ma słów, by to opisać.

Mogę ci jednak powiedzieć jedno... - Wzdrygnęłam się, i to nie z zimna. - Nie każdy, kto wchodzi w kamienie, wychodzi z nich po drugiej stronie.

- Skąd to wiesz, Angielko? - Patrzył na mnie uważnie.

- Mogę... mogłam ich słyszeć, jak krzyczą.

Trzęśłam się cała, i z zimna, i pod wpływem wspomnienia. Złapał mnie za dłonie i przyciągnął. Jesienny wiatr szeleścił w gałęziach wierzb nad strumieniem. Jamie trzymał mnie mocno, aż przestałam drżeć.

- Jest zimno, Angielko, chodź do środka. - Odwrócił się ku domowi, zatrzymałam go jednak ręką opartą na ramieniu.

- Jamie?

- Tak?

- Czy ja... czy chciałbyś... czy potrzebujesz, bym to mówiła?

Księżyc nad głową rozświetlał mu włosy, ale rysy twarzy pozostawały niewidoczne.

- Nie, nie potrzebuję - miał miękki głos - ale byłoby miło, od czasu do czasu, nie za często. Nie chciałbym się za bardzo przyzwyczaić. - Słyszałam uśmiech w jego głosie i sama też się uśmiechnęłam.

- Raz na jakiś czas by ci odpowiadało? - Podeszłam bliżej i położyłam mu ręce na ramionach. - Kocham cię.

- Cieszę się z tego, Claire - powiedział po dłuższej chwili. - Bardzo się cieszę. A teraz chodź do łóżka, rozgrzeję cię.

48. W stajence

Mała stajenka mieściła się w płytkiej jaskini, schowanej pod nawisającą skałą. Z przodu strzegła jej palisada nieokorowanych, cedrowych belek, wbitych w ziemię na pół metra, dość mocna, by powstrzymać nawet dość nachalnego niedźwiedzia. Przez otwartą górną część drzwi do stajni na zewnątrz wylewało się światło i wydostawał się dym, który wspinał się po skale wyżej i wyżej.

- Po co te dwudzielne drzwi? - spytała, gdy je osadzali.

Wydawało jej się to przesadą, niepotrzebnie skomplikowanym rozwiązaniem w tak prymitywnej budowli.

- Bydlęta muszą sobie popatrzeć na świat - wyjaśnił ojciec, pokazując jej, gdzie wygładzić skórzane paski, które miały posłużyć za zawiasy. Przybił je młotkiem do drewna i uśmiechnął się. - Tak są szczęśliwsze.

Nie wiedziała, czy zwierzęta w stajni są szczęśliwe, ona jednak była. Panował tu chłód i cień, zapach ciężkiej słomy i odchodów roślinożernych zwierząt. W ciągu dnia była to spokojna przystań, bo mieszkańcy stajenki paśli się wtedy na łące. Przy kiepskiej pogodzie albo w nocy palisada zapewniała przytulność. Przyszła tu kiedyś po zmroku, by popatrzeć na lekką mgiełkę wydostającą się z nozdrzy

zwierząt i unoszącą się wyżej, przez szczelinę między drewnem a skałą - jak gdyby sama ziemia, uśpiona i ciepła, oddychała w jesiennym chłodzie.

Ten wieczór też był chłodny. Gwiazdy wyglądały jak igiełki w czystym, rześkim powietrzu. Od domu dzieliło ich zaledwie pięć minut spaceru, ale Brianna zdążyła zmarznąć, drżała pod peleryną.

Wylewające się na zewnątrz światło pochodziło nie tylko z zawieszanej latarni, ale również z niewielkiego, prymitywnego piecyka stojącego w rogu i zapewniającego ciepło i światło.

Jej ojciec odpoczywał na słomie, przykryty pledem, na wyciągniętą rękę od niedużej, cętkowanej krowy. Jałówka leżała oparta na piersi, z podwiniętymi nogami. Od czasu do czasu stękała, a na jej szerokim, białym pysku malował się wyraz skupienia.

Na odgłos kroków na żwirze podniósł czujnie głowę i odruchowo sięgnął do pasa pod pledem.

- To ja - powiedziała i dostrzegła, że rozluźnił się na jej widok.

Usiadł, potarł ręką twarz, ona zaś starannie zamknęła za sobą dolną połowę drzwi.

- Twoja matka jeszcze nie wróciła? - Spojrzał gdzieś za nią, jak gdyby miał nadzieję, że Claire również zmaterializuje się w ciemności.

Brianna pokręciła głową. Claire zabrała ze sobą Lizzie i poszła pomóc przy porodzie w jednej z farm po drugiej stronie kotliny.

Gdyby dziecko nie urodziło się przed zachodem słońca, miały spędzić noc u Lachlanów.

- Nie, powiedziała, że jeśli nie wróci, mam ci przynieść kolację. - Uklękła i zaczęła rozpakowywać niewielki koszyk. Wyjęła małe bochenki chleba, wypełnione serem i marynowanymi pomidorami, ciasto z jabłkami i dwie kamionkowe butelki, jedną z gorącym warzywnym bulionem, drugą z cydrem.

- Dziękuję, kochanie. - Uśmiechnął się do niej i wyciągnął rękę po jedną z butelek. - A ty już jadłaś?

- Och, tak - zapewniła go - i to dużo. - Rzeczywiście jadła, mimo to rzuciła tęskne spojrzenie na świeże pieczywo. Początkowe nudności już jej nie nękały. Ich miejsce zajął apetyt tak potężny, że nawet nieco niepokojący. Zauważył jej spojrzenie; z uśmiechem wyciągnął sztylet i przekroił jeden z bochenków na pół, podając jej większą część. Przez parę minut jedli w życzliwym milczeniu, siedząc obok siebie na słomie. Ciszę przerywały jedynie posapywania i stękania pozostałych mieszkańców stajni. Koniec grotty został wydzielony dla ogromnej maciory i nowego miotu prosiaczków. Brianna ledwo widziała je w ciemności: szereg pulchnych ciałek, zagłębionych w słomie. Resztę przestrzeni podzielono na trzy boksy. W jednym stała czerwona krowa imieniem Magdalen, która spokojnie przeżuwała jedzenie, a obok niej spał zwinięty miesięczny cielaczek. Drugi boks stał pusty, wypełniony świeżą słomą, gotowy na przyjęcie cętkowanej krowy i jej niespieszącego się na świat cielaczka. W trzecim stała kłacz należąca do Iana. Miała lśniące, wypukłe boki i też oczekiwała dziecka.

- To wygląda jak prawdziwy oddział położniczy - powiedziała Brianna, ruchem głowy pokazując Magdalen i

strząsając okruchy ze spódnicy. Jamie uśmiechnął się i uniósł brew, jak zwykle, gdy mówiła coś, czego nie rozumiał. - To taka specjalna, wydzielona część szpitala, gdzie przebywają młode matki i ich dzieci - wyjaśniła. - Mama zabierała mnie czasami z sobą do pracy i gdy szła na obchód, ja mogłam przyglądać się niemowlakom.

Nagle przypomniał jej się zapach szpitalnego korytarza, nieco ostra woń środków odkażających i pasty do podłóg. Dzieci leżały zawinięte w beciki, pulchne jak prosiaczki, przykryte niebieskimi i różowymi kocykami. Zawsze lubiła chodzić wzdłuż rzędu małych łóżeczek, próbując wybrać jedno, które chciałyby zabrać z sobą do domu.

Różowe czy niebieskie? Po raz pierwszy zastanowiła się, co będzie nosić to, które będzie jej. Myśl o „tym” jako chłopcu czy dziewczynce jakoś ją zaniepokoiła, odepchnęła więc ją słowami.

- Kładą wszystkie noworodki za szklaną ścianą, by można było na nie patrzeć, ale nie oddychać na nie zarazkami - powiedziała, spoglądając na Magdalen, która nie zwracała uwagi na fakt, że z nieustannie ruszających się szczęk na głowę cielaczka kapąła zielona ślina.

- Zarazki - powtórzył z namysłem. - Niebezpieczne, małe stworzenia, prawda?

- Tak, mogą być niebezpieczne. - Przypomniała sobie widok matki, sprawdzającej zawartość lekarskiego kuferka przed wizytą u Lachlanów, starannie napełniającej dużą, szklaną butelkę destylowanym alkoholem z beczułki w spiżarni. I jeszcze dalsze, ale równie żywe wspomnienie - matki wyjaśniającej przeszłość Rogerowi Wakefieldowi.

„Urodzenie dziecka było najbardziej niebezpieczną rzeczą dla kobiety - mówiła wtedy Claire, marszcząc brwi na wspomnienie tego, co widziała. - Infekcje, pęknięte łożysko, nieprawidłowe położenie, poronienie, krwotok, gorączka połogowa... W większości miejsc jedynie połowa kobiet przeżywała poród”.

Mimo że w piecyku syczały sosnowe bierwiona, dłonie Brianny zlodowaciały, a jej niezaspokojony apetyt nagle ją opuścił. Odłożyła resztę bułki na siano i przełknęła z trudem, mając wrażenie, że w gardle utkwiał jej kawałek chleba.

Szeroka ręka ojca spoczęła na jej kolanie, ciepła nawet przez wełnianą spódnicę.

- Twoja matka nie pozwoli, by coś ci się stało - powiedział. - Już przedtem zwalczała zarazki, widziałem ją. Nie pozwoliła im mnie zwyciężyć i nie pozwoli, by zrobiły coś tobie. Ona jest bardzo upartą kobietą, prawda?

Roześmiała się, a uczucie dławienia ustąpiło.

- Trzeba być uparciuchem, by rozpoznać innego uparciucha.

- Ona pewnie coś o tym wie. - Wstał i obszedł dookoła cętkowaną jałówkę, przykucając przy jej ogonie. Wstał, pokręcił głową i znów usiadł wygodnie. Chwycił odrzucony kawałek bułki Brianny.

- Czy z nią wszystko w porządku? - Brianna pochyliła się, złapała garść siana i podsunęła zapraszająco pod nos jałóWKi. Krowa oddychała ciężko, ale nie zwracała na nią żadnej uwagi. Brązowe oczy o długich rzęsach nieustannie wędrowały w lewo i w prawo, wyniosłe, cętkowane boki poruszały się od czasu do czasu.

Jamie lekko zmarszczył brwi.

- Tak, sądzę, że wszystko będzie w porządku. To jednak jej pierwsze dziecko, ona zaś jest nieduża. Sama ma niewiele ponad rok.

Nie powinna być tak wcześnie pokryta, ale... - Wzruszył ramionami i odgryzł kolejny kęs.

Brianna wytarła lekko wilgotne dłonie o spódnicę. Nagle niespokojna, wstała i podeszła do zagrody dla maciory. Wielki, kopulasty brzuch maciory wynurzał się z siana jak nadmuchany balon.

Przez rzadkie, białe włosy prześwitywała różowa skóra. Świnia leżała godnie, oddychając powoli i głęboko, ignorując piski i przepychankę głodnego miotu, który kłębił się przy jej brzuchu. Jedno prosię, za mocno popchnięte przez braciszka, przewróciło się i zaprotestowało głośnym piskiem, a z nagle opuszczonej sutki trysnęło mleko.

Przechylona przez ogrodzenie Brianna poczuła lekkie swędzenie we własnych piersiach; oparte na złożonych ramionach, wydały jej się nagle cięższe niż zazwyczaj. Nie był to szczególnie estetyczny obrazek macierzyństwa - nic zbliżonego do Madonny z Dzieciątkiem - jednak w nonszalanckiej matczynej senności było coś uspokajającego, coś w rodzaju beztróskiej pewności siebie, ślepej wiary w procesy natury.

Jamie raz jeszcze obejrzał cętkowaną krowę i podszedł do zagrody dla maciory.

- Niezła jest - powiedział aprobująco. Jak gdyby w odpowiedzi macióra pierdnęła głośno i nieco się przesunęła, wyciągając się w sianie z głębokim westchnieniem.

- Niewątpliwie wygląda, że wie, co robi - zgodziła

się Brianna, przygryzając wargę.

- Niewątpliwie. Ma paskudny charakter, ale jest dobrą matką. To już jej czwarty miot i jeszcze ani razu nie straciła prosiaka. - Pokiwał głową i zwrócił wzrok na cętkowaną jałówkę. - Mogę mieć tylko nadzieję, że ta też sobie poradzi.

Brianna odetchnęła głęboko.

- A jeśli nie?

Nie odpowiedział od razu. Opierał się wciąż o ogrodzenie, wpatrzony w kłębiące się prosiaki. Potem wzruszył lekko ramionami.

- Jeśli nie będzie w stanie urodzić cielaka, mnie zaś nie uda się go z niej wyciągnąć, będę musiał ją zabić - stwierdził rzeczowo. - A jeśli zdołam uratować cielaka, być może Magdalen go wykarmi.

Miała wrażenie, że kiszki zwijają jej się w węzłki. Widziała oczywiście sztylet u jego pasa, ale należał on do stałego wyposażenia, nie sądziła więc, że może mieć inne, praktyczne zastosowanie.

Niewielki okrągły kształt w jej brzuchu leżał nieruchomo i zaciążył jak tykająca bomba.

Jamie przykucnął przy cętkowanej jałowce, najwyraźniej zadowolony przesunął dłonią wzdłuż wypchanego boku i podrapał krowę między uszami, mrucząc coś po gaelicku. Jak może mruczeć słodkie słówka, wiedząc, że za parę godzin być może będzie musiał przeciąć jej żywe mięso? Wydało jej się to bezduszne; czy rzeźnik szeptał „słodka dziewczynka” swoim ofiarom? Kłębuszek zimnych wątpliwości wpadł jej w żołądek i dołączył do innych zimnych kłębków, które zdążyły się już tam zebrać.

Jamie wstał i przeciągnął się, stękając, gdy zatrzeszczało mu w kręgosłupie. Ruszył ramionami, zamrugał i uśmiechnął się do niej.

- Może pójdziesz do domu, dziewczyno? To jeszcze potrwa.

Spojrzała na niego, zawahała się, ale szybko podjęła decyzję.

- Nie, poczekam tu z tobą przez chwilę, jeśli nie masz nic przeciwko temu. Teraz, stwierdziła pod wpływem impulsu, teraz go zapyta. Od kilku dni już czekała na właściwy moment. Ale czy w ogóle może być właściwy moment na takie pytanie? Teraz przynajmniej są sami i nic im nie przeszkodzi.

- Jak sobie życzysz. Cieszę się z twojego towarzystwa.

Nie będziesz się długo cieszył - pomyślała, gdy odwrócił się do przyniesionego koszyka z jedzeniem. Wolałaby ciemność. Łatwiej by było spytać o to, co chciała wiedzieć, podczas drogi przez ciemność do domu. Ale słowa nie wystarczą, musi widzieć jego twarz. Zaszło jej w ustach, chętnie przyjęła więc kubek cydru. Napój był silny i gęsty, a lekkie bąbelki alkoholu wydawały się zmniejszać ciężar w jej brzuchu.

Oddała mu kubek, jednak nie czekała, aż się napije, bo bała się, że jeszcze chwila, a odwaga ją opuści.

- Tato?

- Co takiego? - Nalewał sobie jeszcze cydru, wpatrzony w złoty strumień.

- Muszę cię o coś zapytać. - Odetchnęła głęboko i powiedziała najszybciej, jak mogła: - Czy zabiłeś Jacka

Randalla?

Na moment zamarł w pół ruchu, wciąż trzymając kamionkową butelkę, przechyloną nad kubkiem, zaraz jednak odstawił ją ostrożnie na podłogę jaskini.

- A gdzie to słyszałaś to nazwisko? - spytał bardzo spokojnie, patrząc jej prosto w oczy. - Czyżby od twego ojca, od Franka Randalla?

- Mama mi opowiadała.

W kąciку ust zadrżał mu drobny mięsień, jedyna oznaka poruszenia.

- Ach tak.

Nie było to pytanie, ale i tak odpowiedziała.

- Mówiła mi, co się stało. Co on ci zrobił w Wentworth.

Tymi słowami wyczerpała cały zapas odwagi. Nie miało to już jednak znaczenia, i tak nie mogła się wycofać. On zaś po prostu siedział i patrzył na nią, trzymając w dłoni zapomniany kubek.

Chętnie sama by go opróżniła, nie odważyła się jednak ruszyć.

Przyszło jej nieco za późno do głowy, że opowiedzenie o tym komukolwiek, a jej szczególnie, mógł uznać za zdradę ze strony Claire.

- To nie było teraz, tylko przedtem... - wyrzuciła więc z siebie nerwowo. - Nie znałam cię... uważała, że nigdy cię nie poznam... to znaczy... nie sądzę... wiem, że nie chciała...

Uniósł jedną brew.

- Bądź cicho, dobrze?

Zamilkła, spuściwszy wzrok. Siedziała wpatrzona w

swoje kolana, bawiąc się nitkami spódnicy. Milczenie przedłużało się, przerywane jedynie popiskiwaniami prosiaczków i od czasu do czasu pomrukiem Magdalen. Dlaczego nie znalazła jakiegoś innego sposobu - zastanawiała się zażenowana. Przywołanie imienia Jacka Randalla oznaczało przywołanie wspomnień tego, co zrobił, a nie była w stanie nawet o tym myśleć. Powinna była poprosić matkę, bo Claire mogła zadać mu to pytanie. Jednak nie, nie było innego sposobu, musiała dowiedzieć się wprost od niego. Myśli przelatujące jej przez głowę przerwał jego spokojny głos.

- Dlaczego o to pytasz, dziewczyno?

Poderwała głowę i zobaczyła, że przygląda jej się nad kubkiem z niewypitym cydrem. Nie wydawał się zdenerwowany, więc galareta, w jaką zmienił się jej kręgosłup, nieco się zestaliła. Zaciśnęła pięści na kolanach i spotkała jego wzrok.

- Muszę wiedzieć, czy to pomoże. Chciałabym zabić mężczyznę, który... - Zrobiła niewyraźny gest, wskazując na brzuch, i przełknęła z trudem. - Ale jeśli to zrobię, a to mi nie pomoże... - Nie mogła mówić dalej.

Nie wydawał się zaszokowany, raczej zamyślony. Uniósł kubek do warg i powoli wypił.

- A czy już kiedyś kogoś zabiłaś? - Ujął to w formę pytania, wiedziała jednak, że nie pyta. Kącik ust zadrżał mu lekko; wydało jej się, że z rozbawienia. I nagle ogarnął ją gniew.

- Uważasz, że nie mogę, prawda? Mogę, lepiej mi uwierz, mogę!

- Rozłożyła ręce i objęła kolana. Była przekonana, że

zdołałaby to zrobić, choć nie całkiem wyraźnie wyobrażała sobie jak. Z zimną krwią? Zastrzelenie wydawało się najlepszym, może jedynym sposobem. Usiłując to sobie wyobrazić, zdała sobie jednak sprawę z dawnego powiedzenia: „Nie wystarczy go zastrzelić”.

Nie wystarczyłoby dla Bonnetta i nie wystarczyłoby zapewne dla niej. W nocy, gdy odrzucała koce, nie mogąc znieść nawet tego lekkiego ciężaru, który przypominał jej o niemożności ruchu, chciałyby, by nie tylko był martwy - chciałyby go zabić po prostu gołymi rękoma, odbierając ciałem to, co on także ciałem jej zabrał. A jednak na co zdałoby się zabicie go, gdyby wciąż miał ją prześladować? Nie wiedziała, nie miała jak się dowiedzieć. Chyba że ojciec jej powie.

- Czy powiesz mi? - wyrzuciła z siebie. - Czy go w końcu zabiłeś? I czy to pomogło?

Zdawało się, że się zastanawia. Przyglądał jej się zmrużonymi oczyma.

- A na cóż przyda się twoje morderstwo? - spytał. - Nie wyjmie ci to dziecka z brzucha ani nie odda ci dziewictwa.

- To wiem. - Czują, że się rumieni; odwróciła wzrok, zirytowana na siebie i na niego. Mówili o gwałcie i morderstwie, a ją krępuje wspomnienie utraconego dziewictwa? Zmusiła się, by na niego spojrzeć. - Mama mówiła, że próbowałeś zabić Jacka Randalla w Paryżu, w pojedynku. Co chciałeś odzyskać?

Potał mocno szczękę, wciągnął nosem powietrze i powoli wypuścił, nie spuszczać wzroku z kamiennego sklepienia.

- Chciałem odzyskać moją męskość - oświadczył cicho. - Mój honor.

- I sądzisz, że mojego honoru nie warto odzyskiwać? Czy też uważasz, że to to samo, co moje dziewictwo? - przedrzeźniała jego akcent.

Spojrzał na nią przenikliwie.

- A dla ciebie to to samo?

- Nie, absolutnie nie - powiedziała przez zaciśnięte zęby.

- To dobrze.

- To mi odpowiedz, do cholery! - Uderzyła pięścią w słomę, ale nie przyniosło jej to ulgi. - Czy zabicie go przywróciło ci honor, czy to pomogło? Powiedz mi prawdę.

- Przerwała, ciężko oddychając.

Siedzieli, wpatrzeni w siebie zimno. Uniósł kubek do ust, opróżnił go jednym haustem i odstawił.

- Prawdę? Prawda jest taka, że nie wiem, czy go zabiłem, czy nie.

Otworzyła w zdziwieniu usta.

- Nie wiesz, czy go zabiłeś?

- Tak właśnie. - Wzruszył niecierpliwie ramionami. Wstał nagle, jak gdyby nie był w stanie dłużej wysiedzieć na jednym miejscu. - Zginął pod Culloden; ja też tam byłem. Po bitwie ocknąłem się na wrzosowisku, przywalony trupem Randalla. Tyle wiem i nic więcej - przerwał, jak gdyby w zamyśleniu. Wyraźnie coś rozważał, w końcu wyciągnął przed siebie kolano, podciągnął kilt i wskazał palcem. - Popatrz.

Była to stara blizna, ale choć stara, robiła wrażenie. Biegła po wewnętrznej stronie uda, miała blisko trzydzieści

centymetrów, na dole rozbiegała się w kilku kierunkach. Reszta była wyraźniejsza, gruba i pokręcona.

- Pewnie bagnet - powiedział, patrząc na bliźnę obojętnie.

Zasłonił ją kiltem. - Pamiętam, jak ostrze uderzyło w kość - i nic więcej. Ani co było potem, ani co było przedtem. - Odetchnął głęboko i po raz pierwszy zdała sobie sprawę, ile go kosztowało zachowanie spokoju. - Uważałem, że to błogosławieństwo, że nie pamiętam. - Nie patrzył na nią, tylko gdzieś w cień w głębi stajni. - Zginęło tam wielu dobrych ludzi, ludzi, których kochałem. Gdybym nie wiedział o ich śmierci, gdybym nie mógł ich sobie przypomnieć ani zobaczyć oczyma duszy, to nie musiałbym myśleć o nich jako o martwych.

Może to tchórzostwo, może nie, może usunąłem ten dzień z pamięci, a może nie przypominałbym sobie nawet, gdybym chciał. - Spojrzał na nią łagodniej, ale zaraz odwrócił wzrok. - Później, no cóż, zemsta nie wydawała się taka ważna. Na tym polu leżało tysiąc martwych ciał, ja zaś byłem przekonany, że za kilka godzin do nich dołączę. Jack Randall... - Wykonał dziwny, niecierpliwy gest, jakby przeganiał myśl o Jacku Randallu. - On był po prostu jednym z nich. Uznałem, że mogę zostawić go Bogu. Wówczas.

Odetchnęła głęboko, starając się trzymać emocje na wodzy.

Ciekawość i współczucie walczyły w niej z frustracją.

- Jednak z tobą... wszystko jest w porządku. Chodzi mi o to... mimo tego, co ci zrobił.

Rzucił jej zniecierpliwione spojrzenie. Zrozumienie mieszało się w nim z gniewnym rozbawieniem.

- Nikt z tego powodu nie umiera, dziewczyno. Ja nie i ty też nie.

- Jeszcze nie. - Odruchowo przykryła dłonią brzuch.

- Zobaczymy za sześć miesięcy, czy od tego umrę.

Widziała, że to nim wstrząsnęło.

- Poradzisz sobie - powiedział krótko. - Masz szersze biodra niż ta jałówka.

- Jak twoja matka? Wszyscy mówili, jak bardzo ją przypominam.

Więc pewnie też miała szerokie biodra, ale i tak jej to nie uratowało, prawda?

Wzdrygnął się nagle, jak gdyby uderzyła go w twarz. O dziwo, napęliło ją to paniką, a nie satysfakcją, jak oczekiwała. Zrozumiała, że złożona przez niego obietnica opieki w dużej mierze była iluzją.

Niewątpliwie zabiłby dla niej albo sam umarł, co do tego nie miała wątpliwości. Gdyby mu pozwoliła, pomściłby jej honor, zniszczyłby jej wrogów... ale nie mógł jej bronić przed jej własnym dzieckiem.

Tutaj był tak bezsilny, jak gdyby nigdy go nie odnalazła.

- Umrę - powiedziała, czując nagle całkowitą pewność. - Wiem, że umrę.

- Nie umrzesz. - Odwrócił się ku niej dziko. Mocno złapał ją za ramiona. - Nie pozwolę ci!

Wiele by dała, by mu uwierzyć. Miała sztywne, pozbawione czucia wargi, a wściekłość ustępowała zimnej rozpacz.

- Nie możesz pomóc - obstawała przy swoim. - Nic nie możesz zrobić.

- Twoja matka może - zapewnił, ale jakby nie całkiem przekonany. Rozluźnił uścisk. Otrząsnęła się.

- Nie, nie może bez szpitala, bez lekarstw i instrumentów. Jeśli coś będzie nie tak, może próbować jedynie uratować dziecko. - Wbrew sobie spojrzała na jego sztylet, błyszczący zimno na sianie.

Nogi się pod nią ugięły i gwałtownie usiadła. Złapał dzbanek, nalał do kubka cydru i wepchnął jej pod nos.

- Wypij to, wypij, dziewczyno, jesteś blada jak prześcieradło. - Podtrzymał jej głowę dłonią. Upiła łyk, ale zakrzuszyła się i odsunęła. Wytarła rozlany cydr rękawem.

- Wiesz, co jest najgorsze? Powiedziałeś, że to nie moja wina.

Ale to jest moja wina.

- Nieprawda.

- Mówiłeś o tchórzostwie, wiesz, co to jest. Cóż, ja też byłam tchórzem, powinnam była walczyć, nie powinnam była mu pozwolić... Ale bałam się go. Gdybym była odważniejsza, to by się nie zdarzyło.

Nie byłam, bałam się, a teraz boję się jeszcze bardziej - głos się jej załamał. Odetchnęła głęboko, by się uspokoić. Zacisnęła w palcach siano. - Nie możesz pomóc i mama też nie, i ja sama też niczego nie mogę zrobić. Roger zaś... - Głos się jej załamał i przygryzła mocno wargę, by powstrzymać łzy.

- Brianna, a leannan... - Przysunął się, by ją pocieszyć. Ona jednak objęła się ramionami.

- Cały czas myślę - a gdybym go zabiła... To przynajmniej mogę zrobić. To jedyna rzecz, którą mogę zrobić. Jeśli mam umrzeć, przynajmniej wezmę go z sobą, a jeśli nie, to może zapomnę, gdy będzie martwy.

- Nie zapomnisz. - Jego słowa zabrzmiały bezkompromisowo i brutalnie, jakby uderzył ją w brzuch. Wciąż trzymał kubek z cydrem, teraz odchylił głowę i opróżnił go. - To jednak nie ma znaczenia. - Odstawił kubek, jak gdyby kończył rozmowę. - Znajdziemy ci męża, a gdy urodzi się dziecko, nie będziesz miała czasu na te rozważania.

- Co takiego? - wpatrywała się w niego. - O co ci chodzi?

Znajdziesz mi męża?

- Będzie ci potrzebny, prawda? - powiedział tonem zaskoczenia.

- Dziecko musi mieć ojca. A skoro nie chcesz mi wyjawić, kto jest przyczyną twego brzucha, bym mógł go zmusić, żeby spełnił swój obowiązek...

- Sądzisz, że wyszłabym za mężczyznę, który to zrobił? - Głos się jej załamał, tym razem ze zdumienia.

- Cóż, zastanawiam się, czy przypadkiem nie naginasz prawdy, dziewczyno? Może to wcale nie był gwałt, może po prostu nie spodobał ci się ten mężczyzna, więc uciekłaś, a potem wymyśliłaś tę historię? Przecież nie miałaś na sobie żadnych śladów. Trudno sobie wyobrazić, że mężczyzna potrafiłby zniewolić tak dużą dziewczynę, gdybyś w ogóle była niechętna.

- Uważasz, że kłamię?

Uniósł cynicznie jedną brew. Wściekła zamachnęła

się na niego, złapał ją jednak za przegub.

- Ach, daj spokój - powiedział karcąco. - Nie jesteś pierwszą dziewczyną, która popełniła błąd i stara się to ukryć, ale... - Złapał drugi przegub w chwili, gdy niemal już go trafiła, i szarpnął oba do góry. - Nie musisz robić takiego zamieszania. Czy też chciałaś tego mężczyznę, a on cię rzucił? Może o to chodzi?

Wykręcała się w jego uścisku. Wykorzystała swój ciężar, by odwrócić się bokiem, i gwałtownie uniosła kolano. On jednak odchylił się lekko, trafiła więc w udo, a nie we wrażliwe miejsce, jak zamierzała. Uderzenie musiało go zabołec, ale nie wypuścił jej, nie rozluźnił uchwytu. Wykręcała się, kopiąc i przeklinając fakt, że jest w spódnicy. Co najmniej dwa razy trafiła go wprost w kostkę, on jednak zachichotał, jakby uważał sytuację za śmieszna.

- Tylko tyle potrafisz, dziewczyno? - Puścił jeden z jej przegubów, ale jedynie po to, by złapać oba jedną dłonią, palcami drugiej zaś dźgał ją między żebra, recytując: Był taki człowiek w Muir of Skene, miał sztylety, a ja żadnego.

Rzuciłem się na niego gołymi rękoma i wiesz co? Ugodziłem go, ugodziłem go, ugodziłem go!

- Ty cholerny łajdaku! - wrzasnęła. Szarpnęła jego ramieniem w dół jak mogła najmocniej i pochyliła głowę, by wbić w nie zęby.

Zanim jednak zdołała to zrobić, wyleciała w powietrze i wylądowała twardo na kolanach, z jednym ramieniem wykręconym za plecami tak mocno, że bolał ją bark. Starła się przekręcić, nie była jednak w stanie się ruszyć. Ręce jak z żelaza trzymały ją za ramiona, zmuszając, by pochyliła głowę. Broda wbiła jej się w pierś,

nie mogła oddychać, on zaś ciągle naciskał jej głowę w dół. Kolana jej się rozjechały na boki. - Przestań - jęknęła. - Na litość boską, przestań.

Przestał naciskać, ale nie wypuścił jej. Czowała, jak stoi za nią niczym jakaś nieprzejednana siła. Drugą ręką szukała czegoś, czym mogłaby go uderzyć, jednak niczego takiego nie było.

- Mógłbym ci złamać kark - powiedział bardzo spokojnie.

Żelazne dłonie puściły jej ramiona, choć wykręcona do tyłu ręka wciąż zmuszała ją do skłonu. Włosy rozsypały jej się aż do podłogi.

Czowała dłoń opartą o kark, kciuk i palec wskazujący obejmujące szyję, naciskające tętnicę. - Mógłbym cię także zabić.

Dłoń przesunęła się z jej szyi i dotknęła kolana, ramienia, policzka, brody, podkreślając jej bezradność. Szarpnęła głową, nie chcąc, by wyczuł, jak mokre są jej policzki, by zobaczył jej łzy wściekłości. Wtedy dłoń nagle i brutalnie popchnęła ją na wysokości krzyży. Wydała z siebie zduszony jęk i wygięła plecy, bała się bowiem, że inaczej złamie jej rękę. Wysunęła w tył biodra i rozsunęła nogi, by nie stracić równowagi.

- Mógłbym zrobić z tobą, co chcę - oświadczył zimnym głosem. - Umiąłabyś mnie powstrzymać, Brianno?

Wydawało jej się, że udusi się z wściekłości i wstydu.

- Odpowiedz mi.

- Nie!

Nagle była wolna. Tak nagle, że poleciała do przodu

na twarz. W ostatniej chwili podsunęła rękę, by się oprzeć. Leżała na sianie, dysząc i szlochając. Obudzona hałasem Magdalen wysunęła głowę z boksu, by zobaczyć, co się dzieje. Powoli i boleśnie Brianna podniosła się do pozycji siedzącej. Stał nad nią ze splecionymi ramionami.

- Niech cię diabli. - Uderzyła dłonią w siano. - Boże, chętnie bym cię zabiła.

Stał nieruchomo, patrząc na nią.

- Tak, ale nie możesz, prawda? Patrzyła na niego, nie rozumiejąc.

- Nie możesz - powtórzył z naciskiem.

I nagle sobie uświadomiła, o co mu chodziło.

- O Boże - powiedziała. - Nie, nie mogę, nie mogłam. Nawet gdybym z nim walczyła... Nie mogłabym.

Zaczęła płakać. Jej napięte mięśnie rozluźniły się, zniknął ciężar, a ciało wypełniła błogosławiona ulga. To nie była jej wina; nawet gdyby walczyła z całej siły... tak jak walczyła właśnie przed chwilą...

- Nie mogłam - powiedziała i przełknęła, z trudem łapiąc powietrze. - Nie mogłabym go powstrzymać. Cały czas myślałam, że gdybym tylko mocniej walczyła... ale to nie miałooby znaczenia. Nie mogłam go powstrzymać.

Duża dłoń delikatnie dotknęła jej twarzy,

- Jesteś piękną, silną dziewczyną - szepnął - ale jednak dziewczyną. Czy zamartwiałybyś się i uważała za tchórza, gdybyś nie potrafiła zwyciężyć lwa gołymi rękoma? To to samo, więc nie bądź głuptasem.

Mocno pociągnęła nosem i wytarła go wierzchem dłoni. Ujął ją za łokieć i pomógł wstać; jego siła nie stanowiła już ani zagrożenia, ani kpiny, była tylko ogromną

pociechą. Kolana ją bolały tam, gdzie uderzyła o ziemię, nogi pod nią drżały, ale dała radę dojść do kopy siana i usiadła.

- Mogłeś mi po prostu powiedzieć, że to nie była moja wina - powiedziała z wyrzutem.

Uśmiechnął się lekko.

- Mówiłem, ale mi nie wierzyłaś. Nie chciałaś uwierzyć, póki się sama nie przekonałaś.

- Rzeczywiście, chyba nie. - Głębokie, spokojne znużenie otuliło ją jak kocem. Tym razem nie czuła chęci, by go odrzucić. Przyglądała się, zbyt słaba, by się ruszyć, jak ojciec moczy kawałek szmatki i wyciera jej twarz. Wyprostowała skrzywą spódnice. Nalał jej kubek cydru; położyła mu dłoń na ramieniu, wyczuwając mocne kości i mięśnie.

- Ty mogłeś walczyć, ale tego nie zrobiłeś. Przykrył jej dłoń swoją, ścisnął i puścił.

- Nie, nie walczyłem - przytaknął spokojnie. - Dałem słowo, za życie twojej matki. - Spojrzał na nią wprost. Jego oczy nie były już ani lodem, ani szafirem, tylko kryształową wodą. - Nie żałowałem.

Ujął ją za ramiona i opuścił na kopę siana.

- Odpocznij trochę, a leannan.

Położyła się, lecz gdy przy niej ukląkł, wyciągnęła dłoń, by go dotknąć.

- Czy to prawda, że nie zapomnę? Zastanowił się chwilę.

- Tak, to prawda - przytaknął cicho. - Ale prawdą jest także to, że po jakimś czasie przestanie to mieć znaczenie.

- Naprawdę? - Była zbyt zmęczona, by zastanawiać się, co przez to rozumie. Miała wrażenie, że straciła cały ciężar, że oddaliła się, jakby nie mieszkała już w powodującym kłopoty ciele. - Nawet jeśli nie będę dość silna, by go zabić?

Przez ciepły dym przedarł się powiew zimnego powietrza.

Zwierzęta poruszyły się; cętkowana krowa przeniosła ciężar na drugą stronę i nagle zdenerwowana, wydała z siebie głęboki pomruk, nie skargi, raczej klótni.

Jamie popatrzył na krowę, ale zaraz odwrócił się na powrót ku niej.

- Jesteś bardzo silną kobietą, a bheanachd - powiedział cicho.

- Nie jestem silna, właśnie to udowodniłeś. Położył jej dłoń na ramieniu.

- Nie o tym mówiłem. - Przerwał zamyślony, głaskał ją po głowie. - Gdy nasza matka umarła, Jenny miała dziesięć lat - powiedział po chwili milczenia. - Dzień po pogrzebie wszedłem do kuchni i znalazłem ją tam, klęczącą na stołku i mieszającą coś w misce na stole. Miała na sobie fartuch naszej mamy, zwinięty pod pachami, a troczki dwukrotnie opasywały jej talię. Widziałem, że płakała tak samo jak ja, bo miała plamy na twarzy i czerwone oczy.

Jednak klęczała tam i mieszała, wpatrzona w miskę. Powiedziała: „Idź się umyć, Jamie, zaraz przygotuję kolację dla ciebie i taty”. - Zamknął oczy i przełknął. - Tak, dobrze wiem, jak silne bywają kobiety. I ty jesteś dość silna, by zrobić to, co trzeba, m'annsachd. Wierz mi.

Wstał i poszedł do krowy. Jałówka podniosła się na

nogi i kręciła się niespokojnie, drepcząc w niewielkim kręgu, chwiejąc się i szarpiąc uzdę. Złapał ją za linę, uspokoił dłońmi i słowami, przesunął się ku zadowi, marszcząc brwi w skupieniu. Brianna widziała, jak przygląda się uważnie, sprawdza, gdzie ma sztylet, nie przestając mrużyć uspokajająco.

Nie, to nie rzeźnik; w pewnym sensie chirurg, jak matka. Z tego dziwnego oddalenia dostrzegła, jak bardzo jej rodzice - różniący się niezwykle temperamentem i sposobem zachowania - są pod tym względem podobni. Oboje cechuje dziwna zdolność łączenia współczucia i bezwzględności. Nie, nawet i pod tym względem są inni - pomyślała. Claire potrafi trzymać w dłoniach razem życie i śmierć, ale chronić siebie, zachować dystans. Lekarz musi żyć dalej dla swoich pacjentów, jeśli nie dla siebie samego. Jamie natomiast byłby wobec siebie równie - jeśli nie bardziej - bezwzględny jak wobec innych. Zrzucił z siebie pled, teraz zdejmował koszulę, nie spiesząc się, ale też nie marnując ruchów. Odłożył ją starannie na bok i powrócił do punktu obserwacyjnego przy ogonie jałówki, gotów pomóc.

Brianna zadrżała. Światło pochodni rozjaśniło niewielki węzeł blizn nad jego sercem. Nagi? Gdyby uważał, że to konieczne, zdarłby z siebie mięso do kości. Mniej uspokajająca była myśl, że gdyby uważał, że tak trzeba, to samo zrobiłby z nią bez chwili wahania.

Oparł dłoń przy nasadzie ogona krowy i przemawiał do niej po gaelicku, uspokajająco, zachęcająco. Briannie wydawało się, że niemal rozumie jego słowa, choć nie do końca. Wszystko może być dobrze - albo nie. Cokolwiek jednak się zdarzy, Jamie Fraser będzie na miejscu, walcząc.

Ta myśl ją pocieszyła.

Jamie zatrzymał się przy zagrodzie dla krów, na zboczu nad domem. Było już późno, on zaś był bardzo zmęczony. Nie zdołał jednak zasnąć. Gdy jałówka urodziła już cielaka, zniósł Briannę na dół, do chaty. Spała jak dziecko w jego ramionach. Potem znów wyszedł, szukać ulgi w samotności nocy.

Bolały go skopane przez Briannę kostki, na udach miał głębokie siniaki. Jak na kobietę była zaskakująco silna. Tym się nie martwił; co więcej, czuł dziwną, nieoczekiwaną dumę z takich przejawów jej siły.

Wszystko z nią będzie w porządku - myślał. Na pewno.

W tej myśli było więcej nadziei niż przekonania. Bezsensowność wynikała jednak z jego własnych przeżyć, a nie z troski o Briannę.

Uważał siebie za zupełnie wyleczonego, był pewien, że zostawił stare cierpienie tak daleko za sobą, że bezpiecznie może je usunąć z pamięci. Jak się okazało, nie miał racji. Zdenerwowało go, że te wspomnienia leżały tak blisko pod powierzchnią. Jeśli tej nocy ma w ogóle odpocząć, najpierw musi te wspomnienia wyciągnąć. Obudzić duchy, by je przegnać definitywnie. Cóż, powiedział dziewczynie, że wymaga to siły. Zatrzymał się, mocno uczepony ogrodzenia.

Dźwięki nocy powoli cichły mu w głowie, usuwał je, nasłuchując głosu. Nie słyszał go od lat, sądził, że nigdy go już nie usłyszy. Dziś jednak dotarło raz do niego jego echo. Widział płomień gniewu w oczach córki i czuł, jak opala on mu serce. Lepiej wyciągnąć wszystko i odważnie stawić

temu czoło, niż spychać na bok, gdzie będzie czyhać na chwilę słabości. Jeśli nie jest w stanie wystąpić przeciw własnym demonom, nie zdoła jej pomóc. Dotknął siniaka na udzie, znajdując w bólu dziwną pociechę.

Nikt z tego powodu nie umiera - powiedział jej - ani ty, ani ja.

Początkowo głos się nie odzywał. Przez chwilę miał nadzieję, że się w ogóle nie odezwie, być może minęło już dość czasu. Nagle jednak pojawił się, szeptał mu do ucha, jakby nigdy nie zniknął.

Niczym pieszczota, która paliła mu pamięć, jak kiedyś paliła mu skórę.

„Najpierw łagodnie - mówił głos - delikatnie, jak gdybyś był moim synkiem. Łagodnie, ale tak długo, że zapomnisz, że istniał taki czas, gdy twoje ciało nie należało do mnie”.

Noc zamarła wokół niego, czas zniknął, tak jak wtedy, dawno temu. Zawieszony na granicy zatoki lęku, czekający na następne słowa, znane i oczekiwane, a jednak...

„A potem - mówił głos - sprawię ci wielki ból, ty zaś będziesz mi dziękować i prosić o jeszcze”.

Stał nieruchomo, wpatrzony w gwiazdy. Zwalczył przyływ wściekłości, gdy głos mruczał mu do ucha i pulsował wspomnieniem w jego krwi. Poddał się w końcu, pozwolił, by się pojawił. Drżał od wspomnienia bezsilności, zaciskał zęby z wściekłości, ale wpatrywał się, nie mrugając, w jasny raj nad głową, przypominając sobie imiona gwiazd jak słowa modlitwy. Oddając się pustce nad sobą, jednocześnie próbując zatracić się na ziemi.

Betelgeza, Syriusz, Orion, Antares. Niebo jest ogromne, a ty jesteś malutki. Niech słowa go obmyją, niech głos i jego wspomnienie przemknie obok, dotykając mu skóry jak duch i znikając w ciemności.

Plejady: Kasjopea, Byk. Niebo jest ogromne, a ty jesteś malutki.

Umarł, ale i tak jest potężny. Rozłożył szeroko ręce, chwytając ogrodzenie. One też były mocarne, mogły pobić człowieka na śmierć, mogły udusić. Ale nawet śmierć nie wystarczyła, by wyzwolić go z więzów wściekłości.

Z wielkim wysiłkiem odpuścił. Odwrócił dłonie do góry, gestem poddania. Sięgnął poza gwiazdy, szukając; słowa same wypełniły mu mózg. Nie był ich świadom, póki nie usłyszał, jak wypowiadają je jego wargi: „I odpuść nam nasze winy, jako i my wybaczymy naszym winowajcom”. Oddychał powoli i głęboko. Starając się, próbując, usiłując odpuścić. „I nie wódź nas na pokuszenie, ale nas zbaw ode złego”.

Czekał w pustce, w wieży, i w końcu przysłała łaska. Ta wizja, wspomnienie twarzy Jacka Randalla w Edynburgu, dotkniętego do głębi trzewi wiadomością o śmierci brata. I raz jeszcze poczuł dar litości, który przyszedł tak spokojnie, jak leci gołąb. Zamknął oczy, czując, że rany znów są czyste, że płynie z nich zwykła krew, a sukub wyciąga szpony z jego serca.

Westchnął i znów odwrócił dłonie. Szorstkie drewno ogrodzenia przynosiło mu ulgę. Demon zniknął. Jack Randall był tylko człowiekiem, niczym więcej. Cała moc dawnego strachu i bólu rozwiała się jak dym w wyniku uznania tej zwykłej, ludzkiej słabości.

Opuścił ramiona, nie czuł już na nich ciężaru.

- Idź w pokoju - szepnął tyleż do zmarłego, co do siebie. - Zostało ci wybaczone.

Dźwięki nocy powróciły. Powietrze przeciął krzyk polującego kota. Liście szeleściły mu miękko pod nogami, gdy wracał do domu.

Natłuszczona skóra zasłaniająca okno przeświecała złotem w ciemności. Zostawił za nią zapaloną świecę w nadziei na powrót Claire. Jego schronienie.

Pomyślał, że być może powinien był powiedzieć Briannie to wszystko - ale nie, nie rozumiała nawet tego, co jej rzeczywiście powiedział, musiał jej zademonstrować. Jak więc powiedzieć jej słowami to, czego sam się nauczył przez ból i łaskę? Że zdoła zapomnieć jedynie dzięki wybaczeniu? Wybaczenie zaś nie było pojedynczym aktem, ale wymagało stałego ćwiczenia. Być może sama znajdzie taką łaskę, być może ten nieznaną Roger Wakefield okaże się jej ucieczką, tak jak Claire była jego. Stwierdził, że naturalna zazdrość, jaką żywi wobec Wakefielda, znika wraz z głębokim pragnieniem, by ten mężczyzna potrafił dać jej coś, czego on sam nie jest w stanie. Modlił się, by wkrótce się pojawił. Modlił się, by okazał się przyzwoitym człowiekiem.

Tymczasem trzeba się było zająć innymi sprawami. Zszedł powoli po zboczu, nie zwracając uwagi na wiatr, który szarpał mu kiltem, przewiewał koszulę i pled. Jest wiele rzeczy do zrobienia.

Nadchodzi zima, nie może zostawić swoich kobiet samych, jedynie z Ianem, by dla nich polował i ich bronił. Nie mógł ich zostawić i wyruszyć na poszukiwanie

Wakefielda.

A jeśli Wakefield się nie pojawi? Cóż, były inne sposoby. Tak czy inaczej dopilnuje, by Brianna i dziecko znalazły ochronę. Jego córce przynajmniej nie groziło niebezpieczeństwo ze strony człowieka, który wyrządził jej krzywdę. Była bezpieczna. Bezpieczna na zawsze. Potarł dłonią twarz, wciąż czując na niej krew cielaczka.

„I odpuść nam nasze winy, jako i my odpuszczamy naszym winowajcom”. Tak, ale co z tymi, którzy grzeszą przeciwko ludziom, których kochamy? Nie potrafił wybaczyć w czyimś imieniu. Nie potrafiłby tego zrobić, nawet gdyby mógł. Ale jeśli nie - jak może oczekiwać, że jemu zostanie wybaczone?

Choć wykształcony na paryskim uniwersytecie, choć powiernik królów i przyjaciel filozofów, wciąż był szkockim góralem, urodzonym ze świadomością krwi i honoru. Ciało wojownika i umysł dżentelmena, ale dusza barbarzyńcy - pomyślał kwaśno - dla którego ani prawo boskie, ani prawo ziemskie nie było świętsze nad więzy krwi. Tak, istniało wybaczenie. Ona musi znaleźć sposób, by wybaczyć temu człowiekowi, dla siebie samej. On jednak - to co innego.

- Pomsta jest moja, ja odpłacę, mówi Pan (Biblia Gdańska, List do Rzymian, 12,19.) - szepnął do siebie. Przeniósł wzrok z bezpiecznego, ciepłego blasku domu na rozżarzoną chwałę gwiazd nad głową. - Tak nie może być, do diabła - powiedział głośno, zawstydzony, ale wyzywający. Wiedział, że jest niewdzięczny i nie ma racji. Tak jednak jest i nie ma co kłamać przed Bogiem ani przed sobą samym. - Do diabła, nie może tak być - powtórzył

głośniej. - I jeśli zostanę przeklęty za to, co zrobiłem, niech tak będzie. To moja córka!

Przez chwilę stał nieruchomo, patrząc w niebo, lecz gwiazdy nie dały mu odpowiedzi. Pokiwał głową i zszedł na dół, popychany zimnym wiatrem.

49. Wybory

Listopad 1769

Otworzyłam kuferek Daniela Rawlingsa i spjrzałam na rzędy buteleczek, wypełnionych zielonymi i brązowymi drobinkami roztartych korzeni i liści lub przejrzystym, złotym, destylowanym płynem. Nie było tu nic, co mogłoby mi pomóc. Bardzo powoli podniosłam osłonę górnej części kufierka, pod nią leżały skalpele.

Wybrałam jeden o łukowatym ostrzu. Niemal czułam w gardle smak zimnego metalu. Był to piękny przyrząd, ostry i mocny, dobrze wyważony, znakomite przedłużenie mojej dłoni.

Usiadłam i ujęłam długi, gruby korzeń, leżący na stole. Wciąż było widać kawałek łydy i resztki liści, poźółkłych i zwiędłych.

Tylko jeden. Niemal od dwóch tygodni przeszukiwałam las, było już jednak tak późno, że liście drobniejszych ziół zżółkły i opadły. Nie sposób rozpoznać rośliny, z której zostały tylko brązowe patyczki.

Ten korzeń znalazłam w osłoniętym miejscu, na gałązkach wisiało kilka charakterystycznych owoców. *Caulophyllum thalictroides*, byłam pewna, ale tylko jedna roślina - za mało. Nie miałam tu żadnych europejskich ziół, ani ciemiernika, ani piołunu. Być może udałoby mi się gdzieś z trudem dostać piołun. Wykorzystywano go przy

produkcji absyntu.

- Ale kto robi absynt w lasach Karoliny Północnej? -
powiedziałam na głos, znów biorąc do ręki skalpel.

- Nie znam nikogo takiego.

Aż podskoczyłam, a ostrze wbiło mi się głęboko w
kciuk. Krew trysnęła na stół. Chwyciłam róg fartucha i
mocno przycisnęłam do ranki.

- Boże drogi, Angielko, nic ci się nie stało? Nie
chciałem cię przestraszyć.

Jeszcze nie bolało, lecz zaskoczenie i oszołomienie
wywołane nagłym skaleczeniem sprawiły, że przygryzłam
dolną wargę. Ze zmartwionym wyrazem twarzy Jamie ujął
mój nadgarstek i odsunął zwinięty materiał. Krew
natychmiast wezbrała w ranie i spłynęła po dłoni,
przycisnął więc z powrotem róg fartucha i mocno ujął mój
kciuk.

- Wszystko w porządku, to tylko drobne skaleczenie.
Skąd się tu wzięłeś? Myślałam, że jesteś w destylarni. -
Czułam się zdumiewająco słabo.

- Byłem, ale zacier nie jest jeszcze gotowy. Strasznie
krwawisz, Angielko, czy na pewno wszystko w porządku? -
Rzeczywiście mocno krwawiłam. Poplamiałam krwią stół,
nie mówiąc już o fartuchu.

- Tak, pewnie przecięłam jakąś żyłkę. Nie jest to
jednak tętnica i za chwilę przestanie krwawić. Czy możesz
mi potrzymać rękę w górze? - Drugą ręką próbowałam
rozwiązać szelki fartucha. Jamie zrobił to szybkim
szarpnięciem. Owinął mi cały fartuch wokół dłoni i to
nieforemne zawiniątko podniósł mi nad głowę.

- Co robiłaś tym nożem? - spytał, patrząc na skalpel,

który upadł na stół koło skręconego korzenia Caulophyllum thalictroides.

- Zamierzałam pokroić ten korzeń - powiedziałam, wskazując go wolną dłonią.

Rzucił mi przenikliwe spojrzenie, a następnie spojrzał na kredens, gdzie na widoku leżał nóż używany zazwyczaj do obierania jarzyn.

- Naprawdę? Nigdy nie widziałem, żebyś posługiwała się którymś z tych nożyków. - Wskazał głową zestaw skalpeli w otwartym kuferku. - Chyba że przy leczeniu ludzi.

Moja ręka w jego dłoni zadrżała lekko, złapał mnie mocniej za kciuk, aż jęknęłam. Rozluźnił ucisk i spojrzał mi badawczo w twarz.

- O co właściwie chodzi, Angielko? Wyglądasz, jakbym przeszkodził ci w popełnianiu morderstwa.

Wargi miałam sztywne i bez krwi. Wyciągnęłam dłoń z uchwytu Jamiego i usiadłam, drugą ręką trzymając zraniony palec przy piersi.

- Próbowałam... podjąć decyzję - wyjaśniłam bardzo niechętnie.

Nie było sensu kłamać. Jeśli Bree tak postanowi, będzie musiał dowiedzieć się prędzej czy później.

- Decyzję? W jakiej sprawie?

- Bree. Jak to najlepiej zrobić.

- Co zrobić? - Uniósł brwi. Spojrzał na otwarty kufer lekarski, potem na skalpel i nagle na jego twarzy pojawiło się zrozumienie i szok. - Zamierzasz...

- Jeśli ona zechce. - Dotknęłam małego ostrza, na którym widniała moja krew. - Istnieją zioła albo to. Przy

ziołach jest wysokie ryzyko konwulsji, uszkodzenia mózgu, krwotoku; zresztą to nieważne, bo i tak nie mam dość odpowiednich ziół.

- Claire, czy robiłaś to już kiedyś?

Uniosłam na niego wzrok i zobaczyłam, że patrzy na mnie z takim wyrazem oczu, jakiego u niego nie znałam - z przerażeniem.

Przycisnęłam dłonie do stołu, by nie drżały. Nie mogłam uczynić tego samego z głosem.

- A robiłoby ci różnicę, gdyby tak?

Patrzył na mnie przez chwilę, a potem powoli osunął się na ławkę po drugiej stronie stołu, ostrożnie, jakby się bał, że coś złamie.

- Nigdy tego nie robiłaś - powiedział cicho. - Wiem.

- Nie - potwierdziłam. Wpatrywałam się w jego dłoń na mojej. - Nie, nigdy tego jeszcze nie robiłam.

Czułam, że napięcie go opuszcza, jego dłoń rozluźniła się, objęła moją. Moja jednak leżała nieruchomo.

- Wiem, że nie byłabyś w stanie nikogo zabić.

- Byłabym, co więcej, zrobiłam to. - Nie patrzyłam na niego, mówiłam do stołu. - Zabiłam człowieka, pacjenta, który był pod moją opieką. Opowiadałam ci o Grahamie Benzoecie, pamiętasz?

Milczał przez chwilę, ale nie puszczał mojej dłoni.

- Wydaje mi się, że to nie to samo - odezwał się w końcu. - Pomóc człowiekowi, który i tak jest skazany, w śmierci, której pragnie... Moim zdaniem to miłosierdzie, nie morderstwo. A może nawet obowiązek.

- Obowiązek? - Zaskoczona uniosłam wzrok. W jego oczach nie malowało się już przerażenie, tylko powaga.

- Czy pamiętasz Falkirk Hill i noc, podczas której Rupert umarł w kaplicy?

Skinęłam głowę. Niełatwo byłoby to zapomnieć: zimną ciemność małego kościółka, niesamowite dźwięki dud i dobiegające z zewnątrz bitewne okrzyki. Wewnątrz kościółek wypełniało czarne powietrze, aż gęste od potu przerażonych ludzi. A Rupert umierał powoli, na podłodze u moich stóp, dławiąc się własną krwią. Poprosił Dougala MacKenziego, przyjaciela i przywódcę klanu, by przyspieszył jego koniec. I Dougal to zrobił.

- Moim zdaniem jest to również obowiązek lekarza - powiedział cicho Jamie. - Skoro przysięgałaś leczyć - ale nie możesz, i oszczędzać ludziom bólu - i możesz.

- Tak - odetchnęłam głęboko i objęłam dłonią skalpel. - Przysięgałam - i obowiązuje mnie coś więcej niż tylko przysięga lekarska. Jamie, to moja córka; wolałabym zrobić cokolwiek, cokolwiek, tylko nie to. - Uniosłam na niego wzrok i zamrugałam, by powstrzymać łzy. - Nie sądzisz chyba, że tego wszystkiego nie przemyślałam, że nie wiem, jakie jest ryzyko? Jamie, ja mogłabym ją zabić. - Ściągnęłam szmatkę ze zranionego kciuka, lecz krew wciąż się sączyła. - Spójrz, to nie powinno tak krwawić. Jest głębokie, ale nietrudne do zagojenia, a jednak krwawi, bo trafiłam na żyłę. Mogę zrobić to samo Bree i nawet nie będę o tym wiedzieć, póki nie zacznie krwawić, a jeśli zacznie... Jamie, jeśli zacznie, nie byłabym w stanie tego powstrzymać. Wykrwawiłaby się na śmierć pod moją dłońią i nie mogłabym temu zapobiec, nie mogłabym w żaden sposób temu zaradzić.

Spojrzał na mnie, znów z przerażeniem w oczach.

- Jak mogłabyś zrobić coś takiego, wiedząc to wszystko? - Słyszałam niedowierzanie w jego głosie.

Drżąc, wciągnęłam powietrze głęboko do płuc i czułam, jak ogarnia mnie rozpacz. Nie było sposobu, by zrozumiał.

- Bo wiem także co innego - powiedziałam w końcu bardzo cicho, nie patrząc na niego. - Wiem, co to znaczy urodzić dziecko, wiem, co to znaczy, gdy twoje ciało, umysł i dusza są ci odebrane i zmienione wbrew twojej woli. Wiem, co to znaczy zostać wyrwaną z miejsca, które uważało się za swoje, wiem, jak to jest, gdy odbiera ci się prawo wyboru. Wiem, jak to jest, słyszysz? I nie jest to coś, na co ktokolwiek powinien się godzić, jeśli nie ma takiego życzenia. - Uniosłam na niego wzrok, zaciskając mocno w dłoni przecięty kciuk.

- A ty, na litość boską, ty wiesz coś, czego ja nie wiem. Ty wiesz, jak to jest żyć ze świadomością gwałtu. Czy naprawdę mi powiesz, że gdybym była w stanie wyciąć to z ciebie po Wentworth, nie chciałbyś, żebym to zrobiła, niezależnie od ryzyka? Jamie, to może być dziecko gwałtociela!

- Tak, to prawda - zaczął, ale musiał przerwać, bo głos uwiązł mu w gardle. - To prawda - rozpoczął znów, wyduszając z siebie słowa jakby wbrew woli - ale prawdą jest też coś innego. Nawet jeśli nie wiemy, kim jest jego ojciec, wiemy, kim jest jego dziadek. Claire, to dziecko jest z mojej krwi.

- Z twojej krwi? - powtórzyłam. Nagle pojęłam, o co w tym chodzi. - Tak bardzo pragniesz wnuka, że jesteś gotów poświęcić córkę?

- Poświęcić? To nie ja zamierzam z zimną krwią popełnić morderstwo.

- Ale jakoś nie przeszkadzały ci te producentki aniołków w Hopital des Anges. Mówiłeś, jak bardzo ci żal tych kobiet, którym pomagały.

- Te kobiety nie miały wyboru. - Wstał i zaczął chodzić tam i z powrotem, zbyt poruszony, by wytrzymać w jednym miejscu. - Nikt ich nie chronił, nikt się nimi nie opiekował, nie miałyby jak nakarmić swego dziecka, więc cóż innego mogły zrobić te biedactwa? Ale w przypadku Brianny tak nie jest. Nigdy nie pozwolę, by była głodna, by było jej zimno, by ktoś zrobił krzywdę jej albo dziecku. Nigdy.

- Ale to nie wszystko.

Patrzył na mnie nierozumiejącym wzrokiem.

- Jeśli urodzi tu dziecko, nie odejdzie - powiedziałałam załamującym się głosem. - Nie będzie mogła, chyba że rozedrze sobie serce.

- A zatem ty sama zamierzasz ją rozedrzeć. - Wzdrygnęłam się, jakby mnie uderzył.

- A ty chcesz, by została - odparowałam cios. - Nie obchodzi cię, że jej życie jest gdzie indziej, że ona chce wrócić. Jeśli zostanie, a jeszcze lepiej - da ci wnuka, to jest ci wszystko jedno, jak się będzie czuła, prawda?

Tym razem on się wzdrygnął, ale nie ustąpił.

- Owszem, zależy mi na niej! Nie znaczy to jednak, bym uważał, że masz prawo zmuszać ją do...

- Co to znaczy: zmuszać ją? - Czułam, jak pali mnie twarz. - Na litość boską, czy ty myślisz, że ja chcę to zrobić? Nie! Ale, na Boga, będzie miała wybór, jeśli tego

zapragnię!

Musiałam spleść dłonie, by przestały drżeć. Splamiony krwią fartuch spadł na podłogę. Przypomniało mi to aż nazbyt żywo sale operacyjne i pola bitew, a także straszliwe ograniczenia moich umiejętności. Czułam, że patrzy na mnie palącym wzrokiem, zmrużonymi oczyma. Wiedziałam, że w tej sprawie czuł się tak samo rozdarty jak ja. Rzeczywiście, rozpaczliwie zależało mu na Bree. Ale teraz, gdy powiedziałam prawdę, oboje musieliśmy spojrzeć jej w oczy. Pozbawiony własnych dzieci, żyjący długo jako wygnaniec, nade wszystko w świecie chciał mieć dziecko z własnej krwi. Nie mógł mnie jednak powstrzymać i wiedział o tym. Nie lubił czuć się bezradny, nie był do tego przyzwyczajony. Odwrócił się nagle, podszedł do kredensu i oparł na nim pięści.

Nigdy wcześniej nie czułam się taka nieszczęśliwa, tak bardzo spragniona zrozumienia z jego strony. Czy nie zdawał sobie sprawy, jak straszna była to perspektywa także dla mnie, nie tylko dla niego?

Nawet gorsza - bo to moja ręka musiałaby działać. Podeszłam do niego i położyłam mu dłoń na plecach. Nie drgnął. Głaskałam go lekko, czerpiąc pociechę z samej jego obecności, z samej jego siły.

- Jamie. - Mój kciuk zostawił czerwoną smugę na lnianej koszuli.

- Wszystko będzie dobrze, jestem pewna - mówiłam, by przekonać samą siebie w tej samej mierze jak jego. Nie poruszył się, objęłam go więc ramionami w pasie i oparłam policzek o plecy. Chciałam, by się odwrócił, wziął mnie w ramiona i zapewnił, że rzeczywiście wszystko będzie

dobrze. A każdym razie, że nie będzie mnie obwiniał o to, co może się stać.

Poruszył się gwałtownie, wysuwając z moich objęć.

- Masz wysokie mniemanie o swojej władzy, prawda? - mówił chłodno, odwróciwszy się, by na mnie spojrzeć.

- Co przez to rozumiesz?

Jedną dłonią złapał mój nadgarstek i przycisnął go do ściany nad moją głowę. Czułam, jak po dłoni ścieka mi krew ze zranionego kciuka. Splótł palce z moimi i mocno ścisnął.

- Uważasz, że tylko ty sama masz tu coś do powiedzenia, że do ciebie należy życie i śmierć? - Czułam ból w kostkach dłoni i zeszywniałam, starając się uwolnić.

- To nie do mnie należy decyzja, ale jeśli ona tego zechce? Tak, jest to w mojej mocy. I tak, wykorzystam tę moc, tak jak ty byś to zrobił... jak to robiłeś, gdy musiałeś. - Zamknęłam oczy, starając się opanować strach. Chyba mnie nie zrani; przyszło mi do głowy, że rzeczywiście był w stanie mnie powstrzymać - jeśli złamie mi rękę...

Bardzo powoli pochylił głowę i oparł czoło o moje.

- Spójrz na mnie, Claire - powiedział bardzo cicho.

Powoli otworzyłam oczy. Widziałam jego źrenice zaledwie parę centymetrów od moich, widziałam drobne, złote iskiereki w centrum tęczówki i czarną obręcz wokół niej. Moje palce w jego uchwycie były śliskie od krwi. Puścił moją dłoń.

- Proszę - wyszeptał... i zniknął.

Stałam nieruchomo, przywierając do ściany, a potem powoli osunęłam się na podłogę. Ranka na kciuku

pulsowała mi do wtóru bicia serca.

Kłótnia z Jamiem tak mną wstrząsnęła, że nie mogłam się do niczego zabrać. W końcu narzuciłam pelerynę i wyszłam na dwór.

Minęłam ścieżkę prowadzącą przez grań ku chacie Fergusa i dalej, ku drodze. Nie chciałam nikogo spotkać.

Było zimno i pochmurno. Od czasu do czasu przez pozbawione liści gałęzie padał lekki deszcz. Powietrze wypełniała chłodna wilgoć.

Jeśli temperatura obniży się jeszcze o parę stopni, zaczniesz padać śnieg. Jeśli nie tej nocy, to jutro albo za tydzień, a najdalej za miesiąc, Fraser's Ridge zostanie odcięte od świata. Czy powinnam zabrać Briannę do Cross Creek, niezależnie od tego, czy postanowi urodzić to dziecko, czy nie? Może byłaby tam bezpieczniejsza?

Szłam, szurając nogami w mokrych, żółtych liściach. Nie, instynktownie myślałam, że cywilizacja zaofiaruje jakieś korzyści, ale nie w tym wypadku. W Cross Creek nie było niczego, co naprawdę mogłoby pomóc w razie kłopotów przy porodzie, co więcej - praktykujący w okolicy medycy zwiększali istniejące niebezpieczeństwo. Nie, niezależnie, co postanowi, lepiej będzie jej tutaj, ze mną. Objęłam się ramionami pod peleryną i zaczęłam zginać i prostować palce, starając się pobudzić krążenie, poczuć ciepło, cokolwiek, co dałoby mi poczucie pewności.

„Proszę” - powiedział. Proszę co? Proszę nie pytać jej, proszę nie rób tego, jeśli poprosi. Ale musiałam. „Przysięgam na Apolla uzdrowiciela... nie będę operował chorych na kamicę... nie dam nigdy niewieście środka poronnego...”. Cóż, Hipokrates nie był ani chirurgiem, ani

kobietą, ani matką. Jak powiedziałam Jamiemu, obowiązuje mnie przysięga znacznie starsza niż na Apollona lekarza, i to przysięga zawarta przez krew.

Nigdy dotychczas nie przeprowadziłam aborcji, choć podczas stażu zdobyłam pewne doświadczenie w opiece po poronieniu.

Kilkakrotnie, gdy pacjentka prosiła mnie o aborcję, odsyłałam ją do kolegi. Nie dlatego, że miałam jakieś absolutne obiekcje - widziałam zbyt wiele kobiet, których ciało lub dusza umarły w wyniku niechcianego porodu. Jeśli było to zabijanie - a było - to uważałam je nie za morderstwo, ale za usprawiedliwione pozbawienie życia, podjęte w rozpaczliwej samoobronie.

Równocześnie jednak sama nie potrafiłam się na to zdobyć.

Wycucie chirurga, które dawało mi wiedzę o ciele pod moimi dłońmi, dawało mi również świadomość żywej zawartości łona. Mogłam dotknąć brzucha ciężarnej kobiety i wyczuć opuszkami palców drugie bijące serce, mogłam wymacać, nie widząc, łuk kończyny i głowy, a także przypominającą węża pępowinę, czerwono - niebieską, pompującą krew. Nie potrafiłam zmusić się, by to zniszczyć. Aż do teraz, gdy chodziło o zabicie kogoś z mojego własnego ciała i krwi.

Jak? To będzie musiał być zabieg chirurgiczny. Doktor Rawlings najwyraźniej nie zajmował się takimi praktykami. Nie miał niczego do łyżeczkowania macicy ani żadnych drutów pomagających rozszerzyć szyjkę. Dałabym sobie jednak radę. Mogę wziąć jeden z drutów do dziergania, tych z kości słoniowej, i odciąć ostry czubek;

skalpel wygięty i stępiony, by wykonał delikatną - a jednak być może śmiertelną - pracę łyżeczki.

Kiedy? Teraz. Była już w trzecim miesiącu. Jeśli w ogóle mam to zrobić, to jak najwcześniej. Nie byłabym też w stanie przebywać w tym samym pokoju z Jamiem, póki sprawa nie zostanie rozstrzygnięta, bo jego męka dodatkowo by mnie przygnębiała.

Brianna poszła z Lizzie do domu Fergusa. Lizzie miała tam zostać i pomóc Marsali, obciążonej ponad miarę destylarnią, małym Germaine'em i pracą na farmie, której Fergus nie był w stanie wykonać jedną ręką. Było to ogromnie trudne dla osiemnastoletniej dziewczyny, ale dawała sobie radę z wytrwałością i godnością. Lizzie mogła przynajmniej pomóc prowadzić dom i zająć się chłopcem, by jego matka od czasu do czasu zdołała odpocząć.

Brianna miała wrócić przed kolacją. Iana nie było, polował z Rollem. Jamie... choć nic mi nie mówił, wiedziałam, że przez jakiś czas się nie pojawi. Będziemy miały chwilę dla siebie. Czy będzie to jednak właściwa chwila, by zadać jej takie pytanie, teraz, gdy wraca od wyglądającego jak aniołek Germaine'a? Z drugiej strony towarzystwo żywotnego dwuletniego chłopca jest być może najlepszą obiektywną lekcją na temat trudów macierzyństwa.

Zawróciłam, owijając się ściśle peleryną, bo wiatr przybierał na sile. Schodząc ze wzgórza, dostrzegłam w zagrodzie konia Brianny; była więc już w domu. Żołądek ścisnął mi się ze strachu, ale ruszyłam, by przedstawić jej możliwości.

- Myślałam o tym - powiedziała z głębokim

westchnieniem - gdy tylko zdałam sobie sprawę. Nie byłam pewna, czy możesz tu przeprowadzić taki zabieg.

- To byłyby trudne, bardzo niebezpieczne i niezwykle bolesne.

Nie mam nawet laudanum, tylko whisky. Ale tak, jeśli chcesz, mogę to zrobić. - Zmusiłam się, by siedzieć nieruchomo i patrzeć, jak chodzi tam i z powrotem przed kominkiem. - Musiałby to być zabieg chirurgiczny, bo nie mam właściwych ziół, a poza tym i tak nie zawsze można na nich polegać. Chirurgia jest przynajmniej... definitywna. - Położyłam na stole skalpel; nie powinna mieć złudzeń, co proponuję. Kiwnęła głową na moje słowa, lecz nie przerwała wędrówki. Tak samo jak Jamie, zawsze lepiej myślała w ruchu.

Po plecach spłynął mi strumyczek potu, zadrżałam. Buzujący ogień dawał ciepło, palce jednak miałam zimne jak lód. Boże, jeśli tego zechce, czy w ogóle będę w stanie to wykonać? W końcu odwróciła się, by na mnie spojrzeć jasnymi, oceniającymi oczyma.

- A ty byś to zrobiła, gdybyś mogła?

- Gdybym mogła...?

- Kiedyś powiedziałaś, że w ciąży mnie nienawidziłaś. Gdybyś mogła nie być...

- Boże, nie ciebie - wyrzuciłam z siebie, przerażona.

- Nie ciebie, nigdy, to... - Splotłam dłonie, by przestały drżeć. - Nie - podkreśliłam z całą pewnością, na jaką mogłam się zdobyć. - Nigdy.

- A jednak powiedziałaś to, gdy opowiadałaś mi o tacie.

Potarłam dłonią twarz, starając się zebrać myśli.

Rzeczywiście powiedziałam coś takiego. Idiotka.

- To był straszny czas, straszny. Głodowaliśmy, panowała wojna, świat się rozpadał. - A czy jej nie? - Równocześnie wydawało się, że nie ma żadnej nadziei. Musiałam opuścić Jamiego, a świadomość tego powodowała, że nie byłam w stanie myśleć o niczym innym. Poza tym jest też pewna różnica...

- Jaka?

- To nie był gwałt - odparłam cicho, patrząc jej w oczy. - Kochałam twego ojca.

Kiwnęła głową; była nieco blada.

- Tak, ale to może być dziecko Rogera. Tak powiedziałaś, prawda?

- Tak, może. Czy ta możliwość ci wystarczy? Położyła dłoń na brzuchu, lekko uginając długie palce.

- No cóż... dla mnie to nie jest „to”. Nie wiem, kim jest, ale... - przerwała nagle i spojrzała na mnie z niespodziewaną nieśmiałością. - Nie wiem, czy to nie zabrzmiało... - Wzruszyła ramionami. - Kilka dni później, w środku nocy obudził mnie ostry ból, zupełnie jakby ktoś głęboko dziabnął mnie szpilką do kapeluszy. - Naciskała dłonią tuż nad kością łonową po prawej stronie.

- Zagnieżdzenie - powiedziałam cicho. - Gdy zygota zagnieżdża się w macicy. - Gdy powstaje ta pierwsza, odwieczna więź między matką a dzieckiem, gdy mała ślepa całość, niezwykley związek jaja i spermy zakotwicza się po niebezpiecznej podróży poczęcia i zaczyna zajmować się dzieleniem, czerpiąc siły z ciała, w którym tkwi, w połączeniu, które nie należy do żadnej ze stron, tylko do obu. Tej więzi nie da się przeciąć ani przez narodziny, ani

przez śmierć.

- To było bardzo dziwne uczucie. Wciąż na wpół spałam, ale... cóż, nagle poczułam, że nie jestem sama. - Uśmiechnęła się lekko, przypominając sobie ten cud. - I powiedziałam temu... - Nie spuszczała ze mnie wzroku, a w jej oczach wciąż widziałam uśmiech.

- Powiedziałam: „och, to ty”, i znów zasnęłam. - Położyła drugą dłoń na pierwszej, chroniąc brzuch. - Sądziłam, że to sen. Dużo czasu jeszcze upłynęło, zanim wiedziałam, ale pamiętam - i to nie był sen.

Pamiętam.

Ja też pamiętałam.

Opuściłam wzrok i pod dłońmi ujrzałam nie drewniany blat stołu i nie lśniące ostrze, lecz opalizującą skórę i śpiącą twarzyczkę mojego pierwszego dziecka, Faith. Jej skośne oczy nigdy nie ujrzały ziemskiego światła. Teraz podniosłam wzrok i zobaczyłam te same oczy, otwarte i pełne wiedzy. Zobaczyłam to drugie dziecko, moją drugą córkę, pełną życia, różową i pomarszczoną, wściekłą po porodzie, tak odzierającym ją z godności. Tak inną od tej pierwszej, spokojnej i nieruchomej, ale równie wspaniałą w swej doskonałości.

Otrzymałam dwa cuda, nosiłam je pod sercem, urodziłam, trzymałam w ramionach; oddzielne, ale na zawsze stanowiące część mnie. Wiedziałam aż nazbyt dobrze, że ani śmierć, ani czas, ani odległość nie mogą zmienić tej tajemnej więzi, ponieważ ona zmieniła mnie, zmieniła na zawsze.

- Tak, rozumiem - powiedziałam. A po chwili, gdy świadomość tego, co oznacza dla niej ta decyzja, dotarła do

mnie w pełni, wykrzyknęłam: - Och, Bree!

Przyglądała mi się ze ściągniętymi brwiami i widoczną troską w oczach. Nieco zbyt późno przyszło mi do głowy, że ten wykrzyknik może zrozumieć jako wyraz mego własnego żalu. Przerazona, że choć przez chwilę mogłaby uważać, iż jej nie chciałam, że kiedykolwiek mogłam jej nie chcieć, upuściłam skalpel i wyciągnęłam do niej rękę.

- Bree... - Wpadłam w panikę. - Brianna, kocham cię. Czy wierzysz, że cię kocham?

Kiwnęła głową w milczeniu i też wyciągnęła ku mnie rękę.

Złapałam ją jak linę ratunkową, jak pępowinę, która nas kiedyś wiązała. Zamknęła oczy i po raz pierwszy dostrzegłam, że na delikatnym, gęstym łuku jej rzęs wiszą łzy.

- Zawsze to wiedziałam, mamó - szepnęła. Zacisnęła palce na moich, a drugą dłonią przyciskała brzuch. - Od samego początku.

50. W którym wszystko się wyjaśnia

Pod koniec listopada i dnie, i noce były już zimne. Deszczowe chmury wisiały nisko, zasłaniając zbocza gór. Niestety pogoda nie wpływała korzystnie na nastrój; wszyscy chodzili zdenerwowani z oczywistego powodu: wciąż nie było wieści o Rogerze Wakefieldzie.

Brianna nie ujawniała przyczyny ich sprzeczki, co więcej, właściwie przestała wspominać o Rogerze. Podjęła decyzję, teraz mogła już jedynie czekać, aż Roger podejmie swoją - jeśli nie zrobił tego do tej pory. A jednak, gdy myślała, że na nią nie patrzę, widziałam, jak strach walczy

w niej z gniewem. Wszystkich ogarniała chmura wątpliwości, jak ta deszczowa nad górami.

Gdzież on jest i co się stanie, kiedy - albo jeśli - w końcu się pojawi? Przed ogólnie nieprzyjemnym nastrojem chroniłam się w spiżarni, przeglądając zapasy. Zbliżała się zima, skończyło się zbieranie, żniwa i robienie konserw.

Półki w spiżarni ugięły się pod workami orzechów, kartofli, stosami kabaczków, słoikami suszonych pomidorów, brzoskwiń i moreli, mis z suszonymi grzybami, gomółek sera i koszyków z jabłkami. Z sufitów zwieszały się warkocze cebuli i czosnku, a także suszone ryby. Na podłodze stały worki z mąką i fasolą, baryłki solonej wołowiny i solonej ryby, a także kamionkowe słoje z kiszoną kapustą.

Zliczałam to wszystko jak wiewiórka licząca orzechy. Ta obfitość jedzenia mnie uspokajała. Bez względu na to, co się zdarzy, nie będziemy głodować.

Wychodziłam właśnie ze spiżarni, trzymając w jednej ręce kawałek sera, a w drugiej miseczkę z suszoną fasolą, gdy usłyszałam pukanie do drzwi. Zanim zdążyłam się odezwać, otwarły się, do środka zaś wsunęła się głowa Iana.

- Nie ma tu Brianny? - spytał. Ponieważ wyraźnie nie było, nie czekał na odpowiedź, tylko wszedł do środka. Ręką próbował wygładzić włosy. - Masz może jakieś lustro, cioteczko? - spytał. - I może grzebień?

- Oczywiście - odrzekłam.

Odłożyłam na stół jedzenie, wydostałam lustro i grzebień z szuflady komody. Przyjrzałam mu się uważnie. Twarz mu błyszczała, na chudych policzkach pojawiły się

czerwone plamy, jakby nie tylko się ogolił, ale także szorował skórę niemal do krwi. Włosy, zazwyczaj wyglądające jak gęsta, nieujarzmiona czupryna, miał ściągnięte prosto w tył po obu stronach głowy i posmarowane jakimś tłuszczem. Mimo pomady nieporządna grzywka stała mu dęba nad czołem. Wyglądał nieco jak zwariowany jeżozwierz.

- Co takiego masz na włosach, Ianie? - spytałam. Pociągnęłam nosem i lekko mnie odrzuciło.

- Sadło niedźwiedzie - wyjaśnił. - Trochę śmierdziało, więc dodałem odrobinę pachnącego mydła, by zapach był lepszy. - Przyjrzał się sobie krytycznie w lusterku i spróbował grzebieniem poprawić fryzurę. Grzebień wydał mi się zupełnie niewystarczający.

Ian miał na sobie swoją dobrą kurtkę, czystą koszulę oraz - co nigdy się nie zdarzało w dzień powszedni - czystą, wykrochmaloną chustkę na szyi.

- Bardzo ładnie wyglądasz, Ianie - powiedziałam, przygryzając język. - Hmm... czy gdzieś się wybierasz?

- No tak... - przyznał niechętnie. - Po prostu, skoro idę w zaloty, uznałem, że powinienem przyzwoicie wyglądać.

W zaloty? To mnie zdziwiło. Niewątpliwie oglądał się za dziewczętami, w okolicy zaś było kilka takich, które otwarcie odpowiadały na jego zainteresowanie, ale miał zaledwie siedemnaście lat. Oczywiście zdarzało się, że mężczyźni żenili się w tak młodym wieku, Ian zresztą posiadał własną ziemię i udział w produkcji whisky, nie sądziłam jednak, by się z kimś związał.

- Rozumiem - powiedziałam. - Czy ta młoda dama to

ktoś, kogo znam? Potarł energicznie szczękę.

- No tak, chodzi o Briannę. - Nie patrzył mi w oczy, ale wyraźnie się zaczerwienił.

- Co takiego? - Trudno mi było uwierzyć w to, co usłyszałam.

Odłożyłam trzymany w ręce kawałek chleba i gapiłam się na niego z otwartymi ustami. - Powiedziałeś Briannę?

Wpatrywał się w podłogę, ale zacisnął z uporem szczęki.

- Briannę - powtórzył. - Przyszedłem, by się jej oświadczyć.

- Ianie, nie mówisz chyba poważnie?

- Mówię. - Uniósł głowę, a wysunięta do przodu szczeka świadczyła o zdeterminowaniu. Spojrzał w okno i przestąpił z nogi na nogę. - Czy ona za chwilę wróci?

Poczułam ostry zapach potu, zmieszany z mydłem i niedźwiedzim sadłem. Zauważyłam, że zacisnął dłonie w pięści.

- Ianie - powiedziałam, rozdarta między złością a czułością. - Czy robisz to ze względu na dziecko Brianny?

Spojrzał na mnie zaskoczony i przytaknął. Był wyraźnie zdenerwowany.

- Oczywiście - odrzekł jak gdyby zdziwiony, że pytam.

- Więc nie jesteś w niej zakochany? - Znałam odpowiedź, uznałam jednak, że lepiej, by powiedział to głośno.

- No, nie. - Znów się zarumienił. - Ale nie związałem się dotychczas z nikim innym - dodał

pospiesznie - więc wszystko w porządku.

- Wcale nie w porządku - stwierdziłam zdecydowanie. - Ianie, to bardzo, bardzo ładnie z twojej strony, ale...

- Och, to nie był mój pomysł - przerwał mi, najwyraźniej zdziwiony. - To wujek Jamie na to wpadł.

- Co takiego? - usłyszałam za sobą głośny, pełen niedowierzania głos. W drzwiach stała Brianna, wpatrując się w Iana. Weszła powoli do izby z zacisniętymi w pięści dłońmi. Równie powoli Ian cofnął się, aż oparł się o stół.

- Kuzynko - zaczął, pochylając głowę tak, że natłuszczone włosy poleciały do przodu. Przeczesał je dłonią, ale to nic nie pomogło. - Ja... no... ja... - Zobaczył wyraz twarzy Brianny i zamknął oczy. - Przyszedłem wyrazić moje pragnienie poproszenia cię o rękę i związania się z tobą świętym węzłem małżeńskim - powiedział na jednym oddechu. Głośno nabrał powietrza. - Ja...

- Zamknij się!

Ian natychmiast zamknął usta, otworzył natomiast jedno oko, jak gdyby spodziewał się, że lada moment wybuchnie bomba. Bree przeniosła wściekły wzrok z Iana na mnie. Nawet w mrocznym pokoju widziałam, że zacisnęła usta, a jej policzki zmieniają barwę na szkarłatną. Nie wiedziałam, czy czubek nosa ma czerwony na skutek chłodu na dworze czy z wściekłości.

- Wiedziałas o tym? - spytała, mówiąc wprost do mnie.

- Oczywiście, że nie. Na litość boską, Bree... - Zanim zdołałam skończyć, okręciła się na pięcie i wybiegła. Widziałam, jak wirują jej spódnice, gdy pospiesznie wspina

się po zboczu ku stajni. Ściągnęłam fartuch i rzuciłam go na krzesło.

- Lepiej za nią pójdę.

- Ja też - powiedział Ian, a ja go nie powstrzymywałam. Być może przydadzą się posiłki.

- Co ona zamierza zrobić? - wydyszał, gdy bieглиśmy po stromym zboczu.

- Bóg jeden wie - odrzekłam. - Ale obawiam się, że zaraz się tego dowiemy. - Zbyt dobrze wiedziałam, jak wygląda rozwścieczony Fraser. Ani Bree, ani Jamie nie tracili łatwo panowania nad sobą, lecz gdy do tego dochodziło, tracili je całkowicie.

- Cieszę się, że mnie nie uderzyła. Przez chwilę myślałam, że ma taki zamiar. - Ian zrównał się ze mną i wyprzedził, choć biegłam jak mogłam najszybciej. Przez na wpół otwarte drzwi stajni dobiegały nas już podniesione głosy.

- Dlaczego, na Boga, skłoniłeś biednego małego Iana do takich działań? - mówiła Brianna wysokim, pełnym oburzenia głosem. - Ze wszystkich bezczelnych, aroganckich...

- Biednego małego Iana? - powtórzył oburzony Ian. - Co ona...

- A, to ja jestem bezczelny? - przerwał głos Jamiego. Miałam wrażenie, że jest zniecierpliwiony i zdenerwowany, ale jeszcze nie rozgniewany. Być może zdążę zapobiec wojnie. Zajrzałam do środka i ujrzałam ich stojących naprzeciwko siebie, wymieniających pełne złości spojrzenia nad wielką kupą na wpół wyschniętego nawozu. - A jakiego lepszego wyboru mogłem dokonać? Powiem ci,

dziewczyno, myślałem o każdym kawalerze w promieniu pięćdziesięciu kilometrów, zanim zdecydowałem się na Iana. Nie mam zamiaru wydać cię za okrutnika, ani za pijaka, ani za biedaka. Ani za kogoś, kto mógłby być twoim dziadkiem. - Przechesał palcami włosy, co zawsze świadczyło, że jest poruszony. Postarał się jednak opanować, nieco ściszył głos, usiłując ją przekonać. - Odrzuciłem nawet Tammasa McDonalda, bo choć ma ładny kawał ziemi i dobry charakter, a także jest w odpowiednim dla ciebie wieku, ale wygląda niepozornie, więc uznałem, że nie chciałabyś stanąć z nim przed księdzem. Wierz mi, Brianno, zrobiłem, co w mojej mocy, by znaleźć ci dobrego męża.

Do Bree to nie docierało. Podczas biegu w górę rozluźnił jej się węzeł włosów, okalały więc teraz jej twarz jak płomień anioła zemsty.

- A skąd ci przyszło do głowy, że ja w ogóle chcę wyjść za mąż?

Jamie otworzył usta.

- Co takiego? - spytał niedowierzająco. - A co „chcę” ma tu do rzeczy?

- Wszystko! - tupnęła nogą.

- I tu się mylisz, dziewczyno - powiedział, odwracając się po widły, ale nie spuszczać wzroku z jej brzucha. - Spodziewasz się dziecka, a dziecko potrzebuje nazwiska. Już minął czas, gdy mogłaś kręcić nosem i wybierać. - Wbił widły w kupę gnoju i przerzucił łądunek do czekającej taczki. Powtórzył ten ruch, wyćwiczony przez lata pracy. - Ian zaś ma dobry charakter i potrafi pracować - ciągnął dalej. - Ma własną ziemię, będzie mieć także swoją, a

to...

- Nie zamierzam wyjść za nikogo za mąż! - Brianna wyprostowała się, zaciskając dłonie w pięści i mówiąc tak głośno, że przestraszyła śpiące pod sufitem nietoperze. Jedno niewielkie ciemne stworzenie odczepiło się od belki i wyleciało na zewnątrz w rosnący mrok. Nikt jednak nie zwrócił na nie uwagi.

- No, to dokonaj własnego wyboru - uciał Jamie - i życzę ci, żeby był dobry.

- Ty mnie nie słuchasz! - Brianna meła w zębach każde słowo. - Dokonałam wyboru. Powiedziałam: nie zamierzam wyjść za nikogo za mąż! - Dla podkreślenia tupiała przy każdym słowie.

Jamie mocno wbił widły w kupę gnoju, wyprostował się i wlepił wzrok w Briannę.

- Słyszałem swego czasu bardzo podobne słowa z ust twojej matki, wieczorem tuż przed naszym ślubem. Nie pytałem jej ostatnio, czy żałuje, że zmuszono ją do małżeństwa ze mną, czy nie. Ale pochlebiam sobie, że nie była tak bardzo nieszczęśliwa. Może powinnaś z nią porozmawiać.

- To nie jest to samo - ucięła Brianna.

- To prawda, nie jest - przytaknęła Jamie, wciąż nad sobą panując.

Słońce zachodziło za wzgórze, wypełniając stajnię złotym światłem.

Widziałam, że Jamie robi się coraz bardziej czerwony, wciąż jednak usiłował przemówić jej do rozsądku. - Twoja matka wyszła za mnie, by uratować życie swoje i moje. Świadczyło to o odwadze i szczodrości z jej

strony. Przyznaję, tym razem nie jest to kwestia życia i śmierci, ale czy masz pojęcie, jak to jest żyć z piętnem kobiety rozpustnej albo pozbawionego ojca bękartą? - Zauważył, że na te słowa zmienił się wyraz jej twarzy, naciskał więc dalej. Wyciągnął do niej rękę i mówił ciepłym głosem. - Daj spokój, dziewczyno. Czy nie możesz się zmusić do tego dla dobra dziecka?

Wyraz jej twarzy stwardniał. Dała krok w tył.

- Nie - powiedziała zduszonym głosem. - Nie, nie mogę.

Opuścił rękę. Widziałam ich oboje w gasnącym świetle i bardzo wyraźnie dostrzegłam zbliżające się niebezpieczeństwo. Zmrużył oczy i wyprostował ramiona, gotów do walki.

- Czy tak właśnie wychował cię Frank Randall, dziewczyno? Że nie rozpoznajesz, co jest właściwe?

Brianna cała drżała jak koń, który zbyt długo biegł.

- Tatuś zawsze postępował w taki sposób, który był dla mnie najlepszy. Nigdy nie przyszłoby mu do głowy coś takiego - powiedziała. - Nigdy. Troszczył się o mnie.

Na te słowa Jamie w końcu stracił panowanie nad sobą.

- A ja nie? Czy ja nie próbuję robić wszystkiego, by było dla ciebie jak najlepiej? Mimo że jesteś...

- Jamie... - zwróciłam się ku niemu; zauważyłam, że oczy pociemniały mu z gniewu, i odwróciłam się ku córce. - Bree, wiem, że on nie... musisz zrozumieć...

- Jesteś lekkomyślna, bezmyślna i samolubna!

- Ty zadufany w sobie, niewrażliwy dupku!

- Tak mnie nazywasz? A tu brzuch ci puchnie jak

dynia!

Skazujesz to dziecko na to, że będą je wytykać palcami i odrzucać do końca życia!

- Jeśli ktoś zacznie wytykać palcem moje dziecko, to złamię mu ten palec i wepchnę do gardła!

- Ty bezmyślna dziewczyno, czy nie masz pojęcia, jak to będzie?

Wywołasz skandal, ludzie prosto w twarz będą nazywać cię dziwką!

- Niech tylko spróbują!

- Tak, niech tylko spróbują? I spodziewasz się, że będę stał i tego wysłuchiwał?

- Nie do ciebie należy bronienie mnie!

Był tak wściekły, że zbladł jak prześcieradło.

- Nie do mnie należy? Na litość boską, kobieto, któż inny miałby to robić?!

Ian pociągnął mnie lekko za ramię i zmusił do wycofania się.

- Masz teraz tylko dwie możliwości, cioteczko - mruknął mi do ucha. - Albo oblać ich oboje zimną wodą, albo odejść razem ze mną i zostawić ich samych. Widywałem już, jak zachowywali się wuj Jamie i moja mama. Wierz mi, nie należy wpychać się między dwoje rozwścieczonych Fraserów. Tato mówił, że próbował tego raz czy dwa i może to udowodnić, pokazując blizny.

Ogarnęłam spojrzeniem sytuację i poddałam się. Ian miał rację, wpatrywali się w siebie wściekłym wzrokiem, z rozwianymi rudymi włosami, zmrużonymi oczyma, obchodzili się, sycząc i plując jak koty. Mogłabym podpalić siano, a żadne z nich nie poświęciłoby temu ani chwili

uwagi.

Na zewnątrz panowała niezwykła cisza i spokój. W osice śpiewał lelek, lekki wiatr przybiegał ze wschodu, niosąc odległe odgłosy wodospadu. Gdy doszliśmy do drzwi, nie słyszeliśmy już krzyków.

- Nie martw się, cioteczko - uspokajał mnie Ian. - Prędzej czy później zrobią się głodni.

Jak się okazało, nie musiały ich głodzić. Kilka minut później Jamie zbiegł ze wzgórza i bez słowa wyprowadził z zagrody konia, osiodłał go, wskoczył i popędził galopem ku chacie Fergususa.

Patrzyłam za nim, gdy Brianna wynurzyła się ze stodoły, sapiąc jak lokomotywa, i ruszyła do domu.

- Co znaczy: nighean na galladh? - spytała na mój widok.

- Nie wiem - odrzekłam. Wiedziałam, uznałam jednak, że lepiej nie mówić. - Jestem pewna, że nie mówił poważnie, cokolwiek by to znaczyło - dodałam.

Brianna parsknęła gniewnie, poszła do domu i po chwili pojawiła się z koszykiem na jajka. Bez słowa zniknęła w krzakach. Dobiegały mnie tylko głośne jak huragan szelesty. Odetchnęłam głęboko, weszłam do środka i zajęłam się przygotowaniem kolacji, przeklinając Rogera Wakefielda.

Wydawało się, że wysiłek fizyczny zmniejsza nieco wypełniającą dom negatywną energię. Brianna spędziła w krzakach godzinę.

Powróciła z szesnastoma jajkami i spokojniejszą twarzą. W jej włosach widziałam liście i gałązki, buty zaś świadczyły o tym, że wyładowywała złość na pniach drzew.

Nic wiedziałam, co robił Jamie, pojawił się jednak na kolacji - spocony, z rozwianymi włosami, ale najwyraźniej spokojny. On i Brianna ignorowali się nawzajem. Nie było to łatwe dla dwóch dużych osób, zamkniętych w małej chacie.

Rzuciłam okiem na Iana, który uniósł wzrok ku niebu i podszedł, by zabrać ode mnie i zanieść na stół miskę z jedzeniem.

Rozmowa przy kolacji ograniczała się do próśb o sól, potem Brianna pozmywała naczynia i siadła przy kołowrotku. Naciskała pedał z niepotrzebną siłą. Jamie rzucił jej mroczne spojrzenie, uchwycił mój wzrok i ruchem głowy pokazał, bym wyszła z nim na zewnątrz. Czekał na mnie na ścieżce do wygodki.

- Co mam zrobić? - spytał bez wstępów.

- Przeprosić.

- Przeprosić? - Włosy stanęły mu na głowie, choć zapewne był to tylko efekt wiatru. - Nie zrobiłem przecież nic złego.

- A cóż to za różnica? - spytałam z rozdrażnieniem. - Pytałeś, co powinieneś zrobić, więc ci powiedziałam.

Zawahał się chwilę, zaczerpnął powietrza, odwrócił się i wpadł do domu - gotów na męczeństwo lub na bitwę.

- Przepraszam - rzekł, stając przed nią.

Zaskoczona, niemal upuściła kłębek, ale złapała go zgrabnie.

Zarumieniła się, zdjęła nogę z pedału, więc wielkie koło zwolniło, trzeszcząc, i zatrzymało się.

- Nie miałem racji - dodał, rzucając mi ukradkowe spojrzenie.

Kiwnęłam głową zachęcająco. - Nie powinienem był...

- W porządku, nie ma sprawy - odezwała się szybko, pragnąc zgody. - Ty nie... no, wiem, że starałeś się pomóc. - Zwijąła trzymaną w palcach nić. - Ja też przepraszam, nie powinnam była się tak rozżłościć.

Na moment zamknął oczy i westchnął, po chwili zerknął na mnie, unosząc brew. Uśmiechnęłam się lekko i wróciłam do pracy, czyli rozbijania nasion kopru w móździerzu. Jamie przysunął sobie stołek i usiadł obok Brianny. Zwróciła się ku niemu, kładąc dłoń na kole.

- Wiem, że chcieliście dobrze - powiedziała - i ty, i Ian, ale nie rozumiesz, tato? Ja muszę poczekać na Rogera.

- A jeśli coś mu się stało, jeśli miał jakiś wypadek...

- Nie zginął, wiem, że nie zginął - mówiła z gwałtownością kogoś, kto chce nagiąć rzeczywistość do swojej woli. - Wróci. A co by było, gdyby po powrocie stwierdził, że wyszłam za mąż za Iana?

Na dźwięk swego imienia Ian podniósł głowę. Siedział na podłodze przy ogniu, wielka głowa Rolla spoczywała mu na kolanach, Ian zaś starannie rozgarniał gęste futro psa, wyciągając kleszcze i rzepy.

Jamie przeczesał włosy palcami gestem świadczącym o frustracji.

- Od kiedy mi o nim opowiedziałaś, a nighean, rozpytywałem.

Wysłałem Iana do Cross Creek, żeby zostawił wiadomość w River Run, a także do kapitana Freemana, by rozpytywał wśród ludzi pracujących nad rzeką. Mówiłem o tym Duncanowi, który rozesłał wieści na całym Cape Fear,

w dolinie i na północ aż po Edenton i New Bern. Pytałem także na statkach, które kursują między Wirginią a Charlestonem. - Spojrzał na mnie, prosząc o zrozumienie. - Co więcej mogę zrobić? Nie sposób go znaleźć. Gdybym myślał, że jest jakaś nadzieja... - przerwał i przygryzł wargę.

Brianna opuściła wzrok na trzymany kłębek wełny i szybkim ruchem przerwała nić. Wstała i przeszła przez pokój, odwrócona do nas plecami usiadła przy stole.

- Tak mi przykro, dziewczyno - powiedział Jamie ciszej.

Wyciągnął rękę i położył na jej ramieniu, ostrożnie, jakby spodziewał się, że go ugryzie. Zesztywniała lekko, ale się nie odsunęła. Po chwili ujęła jego rękę, ucisnęła lekko i zdjęła z ramienia.

- Rozumiem. Dziękuję, tato. - Siedziała nieruchomo, wpatrzona w płomień. Emanowała z niej rozpacz. Oparłam dłonie na jej ramionach, masując lekko, miałam jednak wrażenie, że masuję manekina. Nie opierała się, ale też nie poddawała dotykowi.

Jamie przyglądał jej się przez chwilę, marszcząc brwi. W końcu, podjąwszy jakieś postanowienie, wstał, sięgnął na półkę, na której trzymał kałamarz i pióra, i postawił to wszystko na stole.

- Mam pomysł - stwierdził. - Napijemy ogłoszenie, zabiorę je do Gillette'a w Wilmington, niech to wydrukuje. Natomiast Ian i chłopaki Lindseyów pojedą w górę i w dół wybrzeża, od Charlestonu po Jamestown, będą je rozwieszać. Być może ktoś nie zna nazwiska Wakefield, ale rozpozna go po opisie. - Do naczynka, którego używał jako kałamarza, wytrząsnął trochę proszku atramentowego,

zrobionego z żelaza i znalezionych na dębie galasówek, nalał odrobinę wody i rozmieszał to piórem. Uśmiechnął się do Brianny i wyjął z szuflady kartkę papieru. - No dobrze, dziewczyno. Jak wygląda ten twój mężczyzna?

Na te słowa na twarz Brianny wróciło życie. Wyprostowała się, ja zaś poczułam, jak wzdłuż kręgosłupa w moje palce przepływa energia.

- Jest wysoki, niemal tak wysoki jak ty, tato. Ludzie zwracają na to uwagę; na ciebie też zawsze patrzą. Ma ciemne włosy i zielone oczy - jasnozielone oczy, to jedna z pierwszych rzeczy, jaką się w nim zauważa, prawda, mamó?

Ian drgnął lekko i uniósł wzrok znad psiej sierści.

- Tak, to prawda - przytaknęłam, siadając na ławie koło Brianny.

- Ale możesz chyba zrobić coś lepszego niż sam opis. Bree bardzo dobrze oddaje podobieństwo - wyjaśniłam Jamiemu. - Czy myślisz, że potrafiłabyś narysować Rogera z pamięci?

- Tak. - Sięgnęła po pióro, by spróbować. - Tak, jestem pewna, już go rysowałam.

Jamie przesunął przed nią kartkę, podał pióro, marszcząc lekko brwi.

- Czy drukarz jest w stanie wydrukować szkic zrobiony piórem? - spytałam.

- Och, tak, chyba tak. Jeśli linie są wyraźne, nie jest trudno zrobić odpowiedni drzeworyt - mówił nieco nieprzytomnie, z wzrokiem utkwionym w leżącej przed Brianną kartce.

Ian zepchnął głowę Rolla z kolan i podszedł do stołu, patrząc nad ramieniem Bree z nieco przesadną

ciekawością. Brianna przygryzła w skupieniu dolną wargę. Rysowała szybko i wyraźnie. Wysokie czoło, gęsta, czarna czupryna, która zaczynała się od niewidocznego kosmyka nad czołem i spadała niemal do mocno nakreślonych, czarnych brwi. Rysowała Rogera z profilu: dość duży, niemal haczykowaty nos, wyraźne, wrażliwe wargi, szeroka, ukośnie zarysowana szczęka. Głęboko osadzone oczy w oprawie gęstych rzęs, ze zmarszczkami śmiechu w kącikach. Dodała płaskie ucho, a potem zajęła się eleganckim łukiem czaszki i dorysowała gęste, falujące ciemne włosy, ściągnięte do tyłu w ogon.

Ian wydał z siebie cichy, zduszony dźwięk.

- Dobrze się czujesz, Ianie? - spytałam. On jednak nie patrzył na rysunek, tylko na stojącego po drugiej stronie stołu Jamiego. Miał dziwny, szklany wzrok, jak świnia na rożnie. Odwróciłam się i zobaczyłam, że na twarzy Jamiego rysuje się dokładnie to samo. - O co, na Boga, chodzi?

- Och... nic takiego - Jamie przełknął z trudem. Kącik ust mu drgnął, jak gdyby nie potrafił nad tym zapanować.

- Akurat! - Zaniepokojona przechyliłam się przez stół, złapałam go za nadgarstek i poszukałam pulsu. - Jamie, co się dzieje? Czy boli cię w piersi, czy źle się czujesz?

- Ja się źle czuję. - Ian pochylał się nad stołem, wyglądając, jakby miał lada moment zwymiotować. - Kuzynko, czy chcesz mi powiedzieć, że... że to - machnął ręką ku kartce papieru - że to jest Roger Wakefield?

- Tak - potwierdziła Brianna, patrząc na niego ze zdziwieniem. - Ianie, dobrze się czujesz? Może zjadłeś coś nieswieżego?

Nie odpowiedział, opuścił się tylko ciężko na ławę, objął głowę dłońmi i jęknął. Jamie delikatnie wyswobodził dłoń z mego uścisku.

Nawet w czerwonym świetle płomieni widziałam, że jest blady i spięty.

- Czy pan Wakefield ma przypadkiem jakieś inne nazwisko? - spytał cicho Briannę.

- Tak - odpowiedziałyśmy razem. Pozwoliłam jej wyjaśnić, sama zaś wstałam i poszłam do spiżarni po butelkę brandy. Nie wiedziałam, co się dzieje, miałam jednak straszne przeczucie, że się nam przyda.

- ...adoptowany, jego własne nazwisko brzmiało MacKenzie - mówiła, gdy pojawiłam się z butelką w dłoni. Przeniosła wzrok z ojca na kuzyna i zmarszczyła brwi. - Dlaczego pytasz? Czy słyszeliście może o Rogerze MacKenziem?

Jamie i Ian wymienili przerażone spojrzenia. Jamie odchrząknął, Ian też.

- Co się dzieje? - Brianna pochyliła się i przenosiła niespokojny wzrok z jednego na drugiego. - Co się dzieje, widzieliście go? Gdzie?

Jamie z trudem wyduszał słowa przez zaciśnięte zęby.

- Tak, widzieliśmy. Na górze.

- Co, tutaj? Na tej górze? - Brianna zerwała się na nogi, odsuwając ławkę. Na jej twarzy tańczyło podniecenie i niepokój, jak płomień. - Gdzie on jest? Co się stało?

- No - zaczął Ian niepewnie - powiedział przecież, że zabrał ci dziewictwo.

- Co takiego? - Brianna otworzyła oczy tak szeroko,

że wokół tęczówki widać było biało.

- No, twój tato go spytał, żeby się upewnić, a on przyznał, że...

- Co zrobiłeś? - Brianna obróciła się na pięcie ku Jamie, opierając się o stół na zwiniętych pięściach.

- No cóż, to był błąd - powiedział Jamie. Wyglądał na całkowicie załamane.

- Jasne, że to był błąd. Co, na litość... coście zrobili?

- Była błąda, ale w oczach migały niebieskie iskry, gorące jak ogień.

Jamie odetchnął głęboko, uniósł wzrok, spojrzawszy jej wprost w oczy i wyprostował się.

- Ta mała, Lizzie, powiedziała mi, że spodziewasz się dziecka, a człowiek, który ci to zrobił, to straszny brutal nazwiskiem MacKenzie.

Brianna otwierała i zamykała usta, ale nie była w stanie wydusić z siebie słowa. Jamie nie spuszczał z niej wzroku.

- Powiedziałaś mi, że cię zgwałcono, prawda? Kiwnęła głową, jak zepsuta laleczka.

- No właśnie. Ian i dziewczyna byli w młynie, gdy pojawił się MacKenzie. Przyjechali po mnie, a potem Ian i ja spotkaliśmy go na polanie, tuż nad zielonym źródłem.

- Coście mu zrobili? - wyszeptwała chrapliwie Brianna.

- To była sprawiedliwa walka - wyjaśnił Ian, wciąż obronnym tonem. - Chciałem go zastrzelić od razu, ale wuj Jamie powiedział, że chce dostać w ręce tego... tego człowieka.

- Uderzyłeś go?

- Tak, uderzyłem - przyznał Jamie, w końcu dotknięty do żywego. - Na litość boską, kobieto, co miałem zrobić z człowiekiem, który tak cię wykorzystał? To ty chciałaś go zamordować, prawda?

- Poza tym on też uderzył wujka Jamiego - wtrącił Ian pomocnie.

- To była sprawiedliwa walka, jak powiedziałem.

- Cicho bądź, Ian - przerwałam. Nalałam do kubka brandy na dwa palce, nie rozcieńczając, i pchnęłam przed Jamiego.

- Ale to... on nie... - Brianna dusiła się słowami, w końcu przemogła się i walnęła pięścią w stół. - Coście z nim zrobili?! - wrzasnęła.

Ian zamrugał, Jamie aż się cofnął. Wymienili ponure spojrzenia.

Położyłam dłoń na ramieniu Jamiego i mocno ścisnęłam. Nie byłam w stanie pozbyć się drżenia w głosie, gdy zadawałam to konieczne pytanie.

- Jamie, czy go zabiłeś?

Spojrzał na mnie i przez jego twarz przebiegł słaby cień ulgi.

- Ach, nie - powiedział. - Dałem go Irokezom.

- Daj spokój, kuzynko, mogłoby być gorzej. - Ian poklepał Briannę lekko po plecach. - Ostatecznie nie zabiliśmy go.

Brianna robiła wrażenie, że się dusi. Uniosła teraz głowę z kolan.

Twarcz miała białą, pokrytą potem, włosy rozrzucone. Nie zwymiotowała ani nie zemdląła, ale wyglądała, jakby mogła to zrobić lada chwila.

- Zamierzaliśmy, co prawda - mówił dalej Ian, patrząc na nią niespokojnie. - Przycisnąłem mu pistolet do głowy, ale potem uznałem, że to właściwie wujek Jamie ma prawo rozwalić mu łeb. On jednak...

Brianna znów zaczęła się dławić. Pospiesznie postawiłam przed nią miskę, na wszelki wypadek.

- Ianie, nie wydaje mi się, żeby chciała teraz tego słuchać - stwierdziłam, patrząc na niego znacząco.

- Właśnie że chcę. - Brianna wyprostowała się i złapała dłońmi stół. - Muszę tego wszystkiego wysłuchać. - Powoli, jakby zeszytywniał jej kark, obróciła głowę ku Jamiemu. - Dlaczego? - spytała. - Dlaczego?

Był tak samo blady i wyglądał tak samo okropnie jak ona. Stał w kącie koło komina, jak gdyby chciał trzymać się możliwie najdalej od portretu Rogera MacKenzie Wakefielda. Miałam wrażenie, że wolałby nie odpowiadać. Ale jednak odezwał się, nie spuszczać z niej oczu.

- Zamierzałem go zabić. Powstrzymałem Iana, bo zastrzelenie go wydawało mi się zbyt łatwą śmiercią, zbyt szybką wobec tego, co zrobił. - Odetchnął głęboko. Widziałam, że zaciska palce na półce, obok której stał. - Zastanowiłem się, co mam... co muszę zrobić.

Zostawiłem z nim Iana i odszedłem. - Przełknął z trudem, ale nie odwrócił wzroku. - Poszedłem w las, oparłem się o drzewo, by serce wróciło do normalnego rytmu. Wydawało mi się, że powinien być świadom i powinien wiedzieć, uznałem jednak, że nie zniosę, jeśli znów się odezwie. Już i tak za wiele powiedział; jego słowa rozbrzmiewały mi w głowie.

- Co takiego powiedział? - Nawet wargi miała białe,

tak samo jak Jamie.

- Powiedział, że zaprosiłaś go do łóżka, że ty... - przerwał i przygryzł wargę.

- Powiedział, że go chciałaś, że prosiłaś go, by cię wziął - wtrącił Ian chłodno, również wpatrując się w Briannę.

Wciągnęła chrapliwie powietrze.

- Bo tak było.

Automatycznie spojrzałam na Jamiego. Miał zamknięte oczy, zęby wbite w wargi.

Ian wydał z siebie dźwięk świadczący o oburzeniu. Brianna błyskawicznie wyciągnęła rękę i uderzyła go w twarz. Szarpnął się w tył, stracił równowagę i mało nie spadł z ławki, przytrzymał się jednak stołu i wstał.

- Jak mogłaś zrobić coś takiego! - krzyknął z twarzą ściągniętą nagłym gniewem. - Powiedziałem wujkowi Jamie, że nigdy nie zachowałabyś się jak dziwka, nigdy! Ale to prawda, tak?

Skoczyła na nogi szybko jak gepard, w jednej sekundzie jej policzki z białych zrobiły się czerwone.

- Niech cię diabli wezmą, ty zarozumiała zadufku! Kto ci dał prawo nazywać mnie dziwką?

- Prawo? - Przez moment nie mogłam znaleźć słów. - Ja... ty... on... Zanim zdążyłam zareagować, uderzyła go mocno pięścią w żołądek. Padł na podłogę z wyrazem zdumienia na twarzy. Ruszyłam się, ale Jamie był szybszy. W jednej chwili znalazł się koło niej i złapał za ramię. Okręciła się, zamierzając chyba także i jego uderzyć, lecz zamarła w pół gestu. Usiłowała coś powiedzieć, lecz z jej ust nie wydobywał się żaden dźwięk. Po policzkach

spływały jej łzy szoku i wściekłości.

- Bądź cicho - nakazał Jamie lodowatym tonem. Wbił palce w jej ciało, więc zaprotestowałam. Nie zwrócił na mnie uwagi, skupiony na Briannie. - Nie chciałem w to wierzyć, mówiłem sobie, że pragnął tylko się ratować, że to nieprawda. Ale jeśli jednak... - Chyba zdał sobie wreszcie sprawę, że sprawia jej ból, i puścił jej rękę. - Nie mogłem odebrać mu życia, nie będąc pewnym - powiedział i przerwał, wpatrując się w jej twarz. Czego tam szukał: żalu, wyrzutów sumienia? Cokolwiek to było, znalazł jedynie wściekłość. Jej twarz stanowiła odbicie jego twarzy, błękitne oczy miały płomień tak samo jak jego.

Odwrócił wzrok.

- Pożałowałem tego, gdy wróciłem wieczorem do domu i cię zobaczyłem - powiedział bardzo cicho. - Pożałowałem, że go nie zabiłem. Trzymałem cię w ramionach, a moje serce wypełniał wstyd, że zwątpiłem w cnotę mojej córki. - Opuścił wzrok, z przygryzionej wargi spływała mu krew. - A teraz moje serce wzdraga się nie tylko na myśl, że jesteś nieczysta, ale że mi kłamałaś.

- Kłamałaś? - wyszeptała. - Ja ci kłamałam?

- Tak, kłamałaś. - Obrócił się znów ku niej z nagłą gwałtownością. - Z pożądania wzięłaś mężczyznę do łóżka, a potem, gdy stwierdziłaś, że spodziewasz się dziecka, mówiłaś o gwałcie. Czy nie zdajesz sobie sprawy, że jedynie przypadkiem nie mam na sumieniu grzechu morderstwa - i to z twojego powodu?

Była zbyt rozwścieczona, by przemówić. Widziałam, że słowa napływają jej do ust, a ona nie potrafi ich wypowiedzieć.

Zrozumiałam, że muszę coś zrobić, natychmiast, zanim ktorekolwiek z nich powie coś więcej. Ja też nie byłam w stanie przemówić, więc na ślepo wsunęłam dłoń w kieszeń i wymacałam obrączkę. Znalazłam ją, wyciągnęłam i upuściłam na stół. Uderzyła o drewno, okręciła się i z cichnącym stukotem zamarła w miejscu. Mała, złota obrączka, świecąca czerwono w płomieniu.

„Od F. dla C. z miłością. Na zawsze”.

Jamie spojrział na obrączkę z nierozumiejącym wyrazem twarzy.

Brianna ze szlochem wciągnęła powietrze.

- To twój pierścień, cioteczko - powiedział Ian. Pochylił się, by przyjrzeć się jej z bliska, jakby nie wierzył własnym oczom. - Twoja złota obrączka, ta, którą zabrał ci Bonnet na rzece.

- Tak - potwierdziłam. Kolana się pode mną ugiwały, usiadłam przy stole i przykryłam dłonią obrączkę, jak gdybym chciała ją zabrać, ukryć jej obecność. Jamie złapał mnie za przegub i podniósł rękę jak ktoś, kto dotyka niebezpiecznego owada. Ujął obrączkę kciukiem i palcem wskazującym.

- Skąd to masz? - spytał niemal swobodnym tonem, ale jego spojrzenie przeszło mnie strachem.

- Ja jej to przyniosłam. - Łzy Brianny wyschły w ogniu wściekłości. Stała za mną i chwyciła za ramiona. - I nie waż się tak na nią patrzeć!

Przeniósł na nią wzrok, ona jednak nie cofnęła się, złapała mnie tylko mocniej za ramiona.

- Skąd to masz? - spytał znów, głosem cichym jak szept. - Skąd?

- Od niego. Od Stephena Bonnet. - Jej głos drżał, ale z wściekłości, nie strachu. - Gdy... mnie... zgwałcił.

Twarz Jamiego zmieniła wyraz tak nagle, jakby coś mu wybuchło w środku głowy. Jęknęłam i wyciągnęłam do niego rękę, on jednak odwrócił się do nas tyłem i stał sztywno na środku pokoju. Czułam, że Brianna się prostuje. Słyszałam, jak Ian dość bezmyślnie powtarza: Bonnet? Słyszałam tykanie zegara na kredensie. Czułam przeciąg od drzwi. Byłam świadoma tego wszystkiego, ale widziałam tylko Jamiego.

Odepchnęłam ławkę, podniosłam się niepewnie. Stał niby przyrośnięty do podłogi, z pięściami wciśniętymi w brzuch, jak gdyby trafiła go kula, a on starał się utrzymać wnętrzości w środku.

Powinnam coś zrobić, coś powiedzieć, powinnam im pomóc, zająć się nimi, ale nie mogłam nic. Nie mogłam pomóc jednemu, nie zdradzając drugiego, zresztą zdradziłam już ich oboje. Sprzedałam honor Jamiego za jego bezpieczeństwo, tym samym odbierając Bree Rogera i niszcząc jej szczęście. Nie mogłam podejść teraz do żadnego z nich, mogłam tylko stać i czuć, jak serce mi pęka na tysiąc ostrych kawałków.

Bree odsunęła się ode mnie, obeszła stół i Jamiego, stanęła przed nim, uniosła wzrok na jego twarz. Jej własna wydawała się zimna, jakby wyrzeźbiona z marmuru.

- Niech cię diabli - powiedziała ledwo słyszalnie. - Niech cię diabli, ty skurwysynu. Żałuję, że cię spotkałam.

CZEŚĆ JEDENASTA

Pas du tout

51. Zdrada

Październik 1769

Roger otworzył oczy i zwymiotował. Ponieważ wisiał głową w dół, paląca żółć wyciekła mu przez nos i trafiła we włosy, nie miało to jednak żadnego znaczenia w porównaniu z bólem, który rozsadzał mu głowę i krocze. Coś nim trzęsło, więc od ud po mózg przebiegał go kalejdoskop kolorów. Czuł wilgotny zapach płótna, potem gdzieś w pobliżu odezwał się jakiś głos - i bezkształtna panika przybrała nagły, ostry wyraz: „Gloriana”. Złapali go! Szarpnął się instynktownie, co spowodowało, że skronie przeszył mu potworny ból, a równocześnie zdał sobie sprawę, że coś krępuje mu przeguby. Był związany; związany i w ładowni. Mózg wybuchł mu paniką - Bonnet, złapali go, odebrali mu klejnoty, a teraz go zabijają. Konwulsyjnie próbował się wyswobodzić, zaciskając zęby z bólu. Pokład pod nim zapadł się nagle ze zdumionym parsknięciem, on zaś uderzył o niego brzuchem.

Znów zwymiotował, ale miał pusty żołądek; nudności jednak nie ustępowały, przy każdym skurczu ocierał się żebrami o owinięte płótnem zawiniątka, na których leżał. To nie żagle i nie ładownia, nie „Gloriana”, w ogóle żaden statek - tylko koń. Miał związane ręce i nogi, i leżał przerzucony przez koński grzbiet.

Koń dał jeszcze kilka kroków i stanął. Wokół mruczały jakieś głosy, dotykały go jakieś ręce, w końcu ściągnięto go bezceremonialnie i postawiono na nogi. Od razu upadł, niezdolny utrzymać się w pionie. Leżał na ziemi zwinięty w kłębek, koncentrując się na oddechu. Lepiej się czuł, gdy go nie trzęsło. Nikt się nim nie zajmował, więc stopniowo zaczął zdawać sobie sprawę z otoczenia.

Nie pomogło to wiele. Pod policzkiem czuł wilgotne liście, chłodne, pachnące zgnilizną. Ostrożnie otworzył jedno oko. Nad głową widział niebo o niemożliwie głębokim kolorze, gdzieś między błękitem a fioletem. Szelest drzew, bulgotanie pobliskiego strumienia - wszystko wydawało się obracać wokół niego powoli, boleśnie żywe.

Zamknął oczy i przycisnął dłonie do ziemi. „Boże, gdzie ja jestem?”.

Dobiegała go swobodna rozmowa, ale słowa ginęły zagłuszone rżeniem i parsaniem koni. Choć wsłuchiwał się uważnie, nie był w stanie nic zrozumieć. Znów ogarnęła go panika. Nie potrafił nawet zidentyfikować języka.

Miał duży bolesny guz za uchem, kolejny z tyłu głowy, ból pulsował w skroniach. Uderzono go mocno, ale kiedy? Czy to uderzenie spowodowało wylew w mózgu, który pozbawił go znajomości języka? Otworzył oczy i z ogromną ostrożnością przetoczył się na plecy. Bez większego zainteresowania patrzyła na niego kwadratowa, brązowa twarz.

Indianie. Szok był tak wielki, że na moment zapomniał o bólu i gwałtownie usiadł. Musiał zaczerpnąć powietrza i opuścić głowę na kolana, by znowu nie zemdleć. Krew pulsowała mu w skroniach.

Gdzie jest? Ugryzł się w kolano, złapał zębami materiał ubrania, walcząc o pamięć. Wracały do niego jakieś obrazy, jakieś fragmenty, które uparcie nie chciały ułożyć się w sensowną całość.

Trzeszczenie desek i smród zenzy, oślepiające słońce przez szybę, twarz Bonneta, wieloryby oddychające we mgle i chłopczyk o imieniu... o imieniu...

Dłonie złożone w ciemności i zapach chmielu. „Biorę sobie ciebie za żonę, moim ciałem cię wielbię...” - Bree, Brianna. Po policzku spłynęły mu krople zimnego potu, mięśnie szczęki bolały od zaciskania. Obrazy skakały mu w głowie jak pchły. Jej twarz, jej twarz, musi ją zatrzymać!

To nie delikatna, łagodna twarz. Prosty nos, zimne niebieskie oczy... nie, nie zimne...

Dotyk ręki na ramieniu wyrwał go z męczącego poszukiwania pamięci w terażniejszość. Był to Indianin, trzymający w ręku nóż.

Odrętwiały i zagubiony Roger po prostu się w niego wpatrywał.

Indianin, człowiek w średnim wieku z kością w związanych włosach i rzeczowym wyrazem twarzy, złapał Rogera za włosy i przechylił mu głowę do tyłu i do przodu, przyglądając mu się krytycznie. Mgłą wypełniającą czaszkę Rogera przeszła nagle świadomość, że za chwilę zostanie oskalpowany.

Rzucił się w tył, kopiąc przed siebie nogami. Trafił Indianina w kolana, ten padł z okrzykiem zdumienia, Roger zaś przetoczył się, zerwał na nogi i rzucił przed siebie, biegnąc po życie. Potykając się, jak pijany pająk biegł ku drzewom, ku cieniowi i osłonie. Za nim rozległy się okrzyki i odgłosy szybkich stóp, rozrzucających liście, potem coś szarpnęło go za nogi, on zaś padł głową do przodu, ciężko uderzając o ziemię. Jeszcze nie odzyskał oddechu, a już go podnieśli.

Nie warto było walczyć - było ich czterech, łącznie z tym, którego Roger przewrócił. Podszedł teraz ku niemu,

utykając i wciąż trzymając w dłoni nóż.

- Nie zranić - powiedział kwaśno. Uderzył Rogera w twarz, potem pochylił się i przeciął rzemień na przegubach Rogera. Parsknął głośno, okręcił się na pięcie i wrócił do koni. Dwóch mężczyzn trzymających Rogera puściło go i odeszło, a on stał, chwiejąc się jak młode drzewko na mocnym wietrze. Wspaniale - pomyślał - nie jestem martwy. O co tu chodzi?

Nie znajdując odpowiedzi na to pytanie, przesunął delikatnie dłonią po twarzy i odkrył kilka czułych miejsc, które przedtem przegapił. Rozejrzał się wokół. Stał na niewielkiej polanie otoczonej wielkimi dębami i drzewami hikory. Ziemię wyściełały brązowe i żółte liście, zostawione przez wiewiórki żołądźcie i łupiny orzechów.

Stał na górze - uświadomiło mu to nachylenie zbocza - a chłodne powietrze i głęboki kolor nieba świadczyły, że zbliża się zachód.

Indianie - było ich czterech - całkowicie go ignorowali; budowali obóz, nie patrząc nawet w kierunku Rogera. Zwilżył językiem suche wargi i ruszył ostrożnie ku strumieniowi, bulgoczącemu na kamieniach kilka metrów dalej; napił się, choć zimna woda przyprawiała go o ból zębów. Z jednej strony niemal wszystkie zęby mu się ruszały, najwyraźniej przygryzł też sobie policzek. Ostrożnie obmył twarz, mając wrażenie déjà vu; jakoś niedawno też tak się obmywał i pił, a zimna woda biegła po szmaragdowych kamieniach...

Fraser's Ridge. Przykucnął, a pamięć nagle wróciła. Duże, brzydkie kawałki ułożyły się w całość: Brianna, Claire i Jamie Fraser.

Niejasny obraz, który tak bardzo pragnął zbudować, pojawił się nieproszony. Twarz Brianny o szerokich kościach policzkowych, niebieskie oczy, nieco skośne przy długim, prostym nosie - ale ta twarz zestarzała się, pokryła brązową skórą, stwardniała na skutek doświadczenia, zmęźniała, a niebieskie oczy ściemniały z wściekłości.

Jamie Fraser.

- Ty skurwysynu - wysyczał Roger cicho. - Ty cholerny skurwysynu, próbowałeś mnie zabić.

Najpierw poczuł zdumienie, ale gniew nie dał długo na siebie czekać. Teraz już wszystko pamiętał: spotkanie na polanie, jesienne liście jak ogień i miód, a wśród nich rudy mężczyzna i młodzieniec o brązowych włosach (kimże, do diabła, był?), potem walka. Krzywiąc się, dotknął bolącego miejsca pod żebrami. I koniec walki, gdy padł w liście, pewien, że zaraz zostanie zabity.

Cóż, nie został. Jak przez mgłę pamiętał, że mężczyzna i chłopak klócili się nad nim o coś. Jeden chciał go od razu zabić, drugi mówił „nie”; nie wiedział jednak, który co mówił. Potem jeden z nich znów go uderzył - i od tej chwili aż do tej pory nie pamiętał niczego więcej.

A teraz... rozejrzył się. Indianie rozpalili ognisko, obok stał gliniany garnek; żaden z nich nie zwracał na niego uwagi, był jednak pewien, że mają go na oku. Może odebrali go Fraserowi i chłopakowi, ale dlaczego? Bardziej prawdopodobne było, że Fraser oddał go Indianom. Człowiek z nożem powiedział, że nie chcą go skrzywdzić - więc co z nim zrobią?

Rozejrzył się. Wkrótce zapadnie noc, cienie pod dębami już gęstniały. „I co dalej? Jeśli nawet zdołasz się

wymknąć w ciemności, dokąd pójdziesz? Jedyne kierunek, jaki znasz - to w dół". Indianie wyraźnie go ignorowali, bo wiedzieli, że nie ma dokąd pójść.

Roger odrzucił niewygodną prawdę tego stwierdzenia i wstał.

Najpierw trzeba zrobić coś innego - to ostatnia rzecz, jaką chciałby w tym momencie robić, ale pęcherz był bliski pęknięcia. Palce miał powolne i niezdarne, spuchnięte od krwi, udało mu się jednak rozwiązać sznurki spodni.

Najpierw poczuł ulgę - nie było tak źle; bolało, ale ostrożnie macając, stwierdził, że został w całości. Dopiero gdy zwrócił się ku ognisku, poczucie ulgi zajął przypływ wściekłości, tak czysty i oślepiający, że zniknął i ból, i strach. Na jego prawym przegubie widniał czarny, owalny kształt - odcisk palca, wyraźny i prześmiewczy, jak podpis.

- Chryste - westchnął cicho. Wściekłość paliła mu wnętrzności, gorąca i gęsta. Mógł niemal wyczuć w ustach jej smak. Obejrzał się na góry za sobą, nie wiedząc, czy patrzy w stronę Fraser's Ridge, czy nie.

- Czekaj na mnie, bydlaku - powiedział pod nosem. - Obaj na mnie czekajcie. Wrócę.

Ale nie od razu. Indianie pozwolili mu jeść to, co przygotowali - rodzaj gęstej zupy, którą nabierali dłońmi, mimo że była bardzo gorąca. Poza tym traktowali go z całkowitą obojętnością. Próbował odzywać się do nich po angielsku, po francusku, nawet używając kilku znanych sobie niemieckich słów - ale nie uzyskał odpowiedzi.

Gdy nadeszła pora nocnego spoczynku, związali go; owinęli mu liną kostki i zarzucili pętlę na szyję, a drugi koniec przywiązali do przegubu jednego z Indian. Nie dali

mu koca - czy to z obojętności, czy dlatego, że nie mieli; w każdym razie spędził noc, drżąc, zwinięty w kłębek tak blisko gasnącego ogniska, jak tylko to było możliwe.

Sądził, że nie uda mu się zasnąć, ale ból i wyczerpanie go pokonały.

Była to jednak noc niespokojna, pełna urywanych, niepokojących snów, przerywanych cały czas wrażeniem, że się dusi.

Rankiem wyruszyli znów. Tym razem nie było mowy o jeździe na koniu. Musiał iść, i to szybko. Na szyi zostawili mu - co prawda luźną - pętlę, związali mu także nadgarstki i krótką liną przyczepili do uprzęży jednego z koni. Kilkakrotnie potykał się i upadał, udawało mu się jednak stanąć na nogi, mimo że był poobijany i bolały go mięśnie.

Miał wrażenie, że gdyby się nie podniósł, po prostu bez wyrzutów sumienia ciągnęliby go za koniem. Kierowali się z grubsza na północ - tyle był w stanie powiedzieć na podstawie słońca. Nie dawało mu to wiele, bo nie miał pojęcia, skąd wyruszyli. Niemniej jednak wciąż musieli być blisko Fraser's Ridge, nie mógł przecież stracić przytomności na dłużej niż kilka godzin. Wpatrywał się w kopyta idącego obok konia, starając się ocenić prędkość - jakieś trzy do pięciu kilometrów na godzinę. Udawało mu się przecież dotrzymać kroku.

Punkt orientacyjny. Nie wiedział, dokąd go zabierają i dlaczego, ale jeśli kiedykolwiek miał wrócić, musiał zapamiętać, którądy szedł.

Wysoka na ponad dziesięć metrów skała, obrośnięta krzewami; wykręcone drzewo persymony, wyrastające ze

szczeliny w skale, pokryte jaskrawopomarańczowymi kulkami. Wyszli na grań.

Otworzył się przed nimi zapierający dech w piersiach widok gór: trzy ostre szczyty, rysujące się wyraziście na jasnym niebie, lewy wyższy od dwóch pozostałych. To na pewno uda mu się zapamiętać.

Strumień, czy raczej rzeczkę płynącą niewielkim wąwozem przejechali konno płytkim brodem. Roger był po pas zmoczony lodowatą wodą.

Podróż trwała całymi dniami, podążali ciągle na północ. Indianie nie odzywali się do niego. Czwartego dnia zdał sobie sprawę, że zaczyna tracić poczucie czasu, że na skutek zmęczenia i panującej w górach ciszy ogarnia go rodzaj transu. Z kurtki wyciągnął długą nić i zaczął wiązać na niej węzłki, jeden każdego dnia. Miało mu to pomóc w trzymaniu się rzeczywistości, a także stanowiło sposób określenia w przybliżeniu pokonanej odległości. Miał zamiar wrócić.

Wbrew wszystkiemu miał zamiar wrócić do Fraser's Ridge.

Okazja pojawiła się ósmego dnia. Byli już wysoko w górach; poprzedniego dnia minęli przełęcz, zjechali w dół stromym zboczem.

Konie parskaly i schodziły w dół powoli, ostrożnie. Ciężar na ich siodłach przemieszczał się i trzeszczał. Teraz znów podążali w górę, konie jeszcze bardziej zwolniły kroku, bo zrobiło się naprawdę stromo. Roger był w stanie nieco przyspieszyć, nawet zrównać się z koniem i złapać skórzaną uzdę, dzięki czemu silne zwierzę ciągnęło go ze sobą.

Indianie zeskoczyli z koni i prowadzili je teraz powoli. Roger nie spuszczał wzroku z długich, czarnych włosów Indianina, który prowadził konia obok niego. Trzymał się jedną ręką, a drugą, pod osłoną zwieszającego się płótna, usiłował rozluźnić węzeł na linie wiążącej go z uzdą.

Konopie powoli puszczały, aż w końcu tylko jedna nić zwiniętej liny łączyła go z koniem. Czekał, zlany potem ze strachu i wysiłku, odrzucając jedną szansę po drugiej i martwiąc się cały czas, że jest już za późno, że zatrzymają się, by rozbić obóz, że Indianin, który prowadził jego konia, odwróci się i sprawdzi, czy jest dobrze związany.

Nie zatrzymywali się jednak, a Indianin się nie odwracał. Tam - pomyślał, i serce zabiło mu mocniej na widok pierwszego w szeregu konia, który wchodził właśnie na wąską, wydeptaną przez jelenie ścieżkę, wcinającą się w zbocze. Poniżej ścieżki teren opadał stromo jakieś dwa metry, dalej spadek łagodniał, zbocze było gęsto porośnięte drzewami, łatwiej było się tam schować. Najpierw jeden, potem drugi koń wkroczył na wąziutką perć, bardzo ostrożnie stawiając nogi, za nimi trzeci - a potem przyszła kolej Rogera. Przycisnął się mocniej do boku kuca, wdychając słodki, mocny odór końskiego potu. Jeden krok, drugi - i już byli na wąskiej półce. Szarpnął linę, uwolnił się i skoczył. Uderzył mocno nogami i o mało nie upadł na kolana, wyprostował się jednak i rzucił w dół. Buty spadły mu ze stóp, ale nie zatrzymał się; pokonał maleńki strumyk, wdrapał się na brzeg po drugiej stronie i ruszył dalej, nawet się całkowicie nie prostując.

Słyszał za sobą krzyki, potem ciszę, wiedział jednak,

że go ścigają.

Nie mógł sobie pozwolić na odpoczynek, oni także nie.

Rozglądał się, biegnąc nieprzytomnie, szukając najlepszej drogi, jakiejś kryjówki. Wybrał brzozy zagajnik, przebiegł przez niego na łąkę, gdzie mało nie przewrócił się na śliskiej trawie. Bose stopy bolały od korzeni i kamieni. Po drugiej stronie łąki stracił sekundę na obejrzenie się - ściagało go dwóch, przez liście widział ciemne okrągłe głowy. Dalej, w kolejny zagajnik, znów zyzgakami przez polaną zasłaną kamieniami. Oddychał głęboko i mocno. Pomyślał ponuro, że przynajmniej do jednego przydały mu się te cholerne minione doświadczenia - poprawiły jego kondycję fizyczną. Nie było jednak czasu na myślenie, całkowicie poddał się ślepemu instynktowi ucieczki. Znów w dół; ześlizgnął się po mokrej, spękanej skale o wysokości siedmiu metrów, chwytając za rośliny i korzenie, by nie polecieć bezwładnie w dół. Rozkrwawił sobie palce na skałach, spadł na dół, z trudem łapiąc powietrze.

Jeden z nich był tuż za nim, schodził po skalnej ścianie odwrócony tyłem. Roger zerwał pętlę, wciąż wiszącą mu na szyi, i mocno uderzył Indianina po dłoniach. Ten puścił skałę i spadł na dół, przewrócił się. Roger narzucił mu pętlę przez głowę i mocno szarpnął.

Uciekł, zostawiając go na kolanach, duszącego się i łapiącego gorączkowo za zaciskającą mu się na szyi linę.

Drzewa. Potrzebował osłony. Potknął się o pień, przewrócił i potoczył, znów stanął na nogi i biegł dalej w górę, w jodłowy zagajnik. Serce biło mu mocno, mocno

uderzał stopami. Rzucił się między jodły, przeciskał się między kłującymi igłami, na ślepo, bo zamknął oczy, by srebrzyste gałązki go nie oślepiły. Potem nagle spod nóg usunęła mu się ziemia; upadł, poleciał w dół, toczył się, a przed oczyma migwały mu na zmianę niebo i gałęzie. Uderzył o ziemię, skulony, bez tchu. Ledwo miał dość przytomności, by zwinąć się i toczyć się dalej, odbijając od skał i niewielkich drzewek, zostawiając za sobą fruwające grudki ziemi i igły drzew, odbijając się i rozbijając w drodze na sam dół. Zatrzymał się z trzaskiem w gęstwinie zdrewniałych łodyg, zawisł na moment w powietrzu, potem ześlizgnął się z hukiem na ziemię. Oszołomiony, zakrwawiony, leżał przez chwilę nieruchomo, a potem, obolały, przekręcił się na bok, ścierając z twarzy ziemię i krew. Podniósł wzrok i rozejrzał się.

Byli tam - dwóch na szczycie zbocza, schodzili obok półki, z której spadł. Na czworaka zagłębił się między łodygami i czołgał się, jak mógł najszybciej. Gałęzie gięły się, ostre końce wbijały mu się w ciało, a z wyższych części roślin spadały na niego grudki ziemi, martwe liście i owady. Pchał się jednak wciąż dalej między gęsto rosnącymi roślinami, przekraczając się, obracając i starając się znaleźć luźniejsze miejsca.

Pierwszym przytomnym słowem, które przyszło mu do głowy, było „piekło”. Potem zdał sobie sprawę, że było to i przekleństwo, i określenie. Znalazł się w piekle rododendronów. Z tą myślą zwolnił ucieczkę - jeśli czołganie się w tempie trzech metrów na godzinę można było nazwać ucieczką. Przypominający tunel otwór, w którym się znalazł, był zbyt wąski, by zdołał się odwrócić,

udało mu się jednak zerknąć za siebie, wyciągając głowę na bok i obracając. Nic tam nie było - nic poza wilgotną, spleśniałą ciemnością, rozjaśnioną tylko tu i ówdzie promykiem światła. Nie widział niczego oprócz łodyg i gałęzi rododendronów. Drżące kończyny ugięły się pod nim w końcu i padł na ziemię. Przez chwilę leżał zwinięty między łodygami, oddychając zapachem gnijących liści i wilgotnej ziemi.

- Chciałeś kryjówki - mruknął do siebie. Wszystko zaczynało go boleć. Był poobijany i krwawił na całym ciele; nawet w niewyraźnym świetle widział, że opuszki palców ma zdarte do żywego mięsa.

Powoli badał swoje rany, cały czas nasłuchując. Nic dziwnego, że nie docierały do niego żadne dźwięki. W tawernach w Cross Creek słyszał opowieści o piekle rododendronów, historie o psach myśliwskich, które pogoniły za wiewiórką w głąb tych splecionych roślin i przepadły na zawsze. Roger miał nadzieję, że w tych opowieściach jest wiele przesady - choć, gdy się rozejrzył wokół, nie czuł się pewnie. Światła przedostawało się niewiele i trudno było się zorientować, skąd pada. Gdziekolwiek obrócił wzrok, wszystko wyglądało tak samo: zwieszające się chłodne, skórzaste liście, grube łodygi i cieńsze gałęzie, splecione w niedający się niemal pokonać kłębek. W przyływie paniki zdał sobie sprawę, że nie ma pojęcia, z którego kierunku przyszedł. Oparł głowę na kolanach i oddychał głęboko, starając się myśleć. Dobrze, najpierw rzeczy najważniejsze.

Prawa stopa krwawiła mu mocno z głębokiego przecięcia z boku podeszwy. Zdjął podarte pończochy i

jedną z nich mocno obwiązał stopę. Nic poza tym nie wydawało się potrzebować opatrunku - poza rozciętą głową, z której wciąż płynęła krew; czuł, że jest mokra i lepka. Ręce mu tak drżały, że z trudem obwiązał głowę pończochą, jednak te drobne działania sprawiły, iż poczuł się lepiej. No dobrze.

Swego czasu w Szkocji wspinał się po nieskończonych, poszarpanych szczytach i nieraz pomagał w poszukiwaniach wycieczkowiczów, którzy zapodziali się wśród skał i wrzosowisk. Człowiek zagubiony w dziczy zazwyczaj powinien zatrzymać się w miejscu i zaczekać, aż ktoś go odnajdzie, to jednak w tej sytuacji nie miało zastosowania, bo szukali go jedynie ci, przed którymi uciekał. Spojrzał w górę przez splot gałęzi. Był w stanie dostrzec fragmenty nieba, ale rododendrony wyrastały mu nad głową na niemal cztery metry. Nie było sposobu, by wstać, z trudem udawało mu się usiąść pod splątanymi gałęziami.

Nie miał pojęcia, jak duże jest to konkretne piekło. W drodze przez góry widział całe zbocza pokryte wrzosowiskami i doliny wypełnione głęboką zielenią rododendronów, z których tu i ówdzie wystawało jedynie kilka ambitnych drzew. Zdarzało im się jednak okrążyć również pola niewielkie, mające może kilkadziesiąt metrów kwadratowych. Wiedział, że jest dość blisko krawędzi, ale wiedza ta była bezużyteczna, nie miał bowiem pojęcia, w jakim kierunku ta krawędź się znajduje.

Zdał sobie sprawę, że jest mu bardzo zimno, a dłonie wciąż mu drżą. To szok - pomyślał. Co się robi w takim wypadku? Daje się coś ciepłego do picia, otula kocem,

sączy brandy. Cóż, jedyne, co mógł zrobić, to unieść nogi. Wymościł w ziemi płytki dołek i wsunął się w niego niezdarne, na pierś i ramiona nagarniając na wpół zgniłe, lepkie liście. Oparł stopy w rozwidleniu gałęzi i zamknął oczy, drząc.

Nie przyjdą tu za nim. Po co? Lepiej zaczekać, jeśli się nie spieszą; w końcu będzie musiał wyjść - jeśli zdoła. Każdy ruch tu na dole wstrząsał liśćmi wyżej i wskazywał obserwatorom, gdzie się znajduje. Ta myśl go otrzeźwiła. Niewątpliwie wiedzą, gdzie jest, i po prostu czekają na jego następny ruch. Fragmenty nieba miały głęboki, szafirowy kolor; wciąż było popołudnie, musi zatem zaczekać, aż zapadnie ciemność.

Splótł ręce na piersi i zmusił się do odpoczynku, do myślenia o czymś, co nie wiązało się z obecną sytuacją. Brianna - najlepiej myśleć o niej bez wściekłości czy resentymentu, na to nie ma czasu.

Lepiej udawać, że między nimi wszystko jest tak, jak było tamtej nocy, ich nocy, gdy leżała przy nim w ciemności, jej dłonie tak szczerze i ciekawe, tak chętnie dotykające jego ciała, jej ciepła, hojna nagość oddająca się tak swobodnie, jego chwilowe błędne przekonanie, że wszystko jest w porządku. Stopniowo przestał drżeć i zasnął.

Obudził się po zapadnięciu nocy. Widział rozgwieżdżone niebo, choć nie księżyc. Był przemarznięty, zeszywniały i obolały, a także głodny i spragniony. Cóż, jeśli uda mu się wydostać z tej płataniny roślin, przynajmniej zdoła znaleźć wodę. W tych górach strumienie były wszędzie. Obrócił się powoli, niezręcznie, jak

przewrócony na plecy żółw. Nie było sensu zastanawiać się nad kierunkiem. Ruszył przed siebie na czworaka, przepychając się przez szczeliny, łamiąc gałęzie, starając się w miarę możliwości poruszać w linii prostej.

Jedno, co przerażało go bardziej niż myśl o Indianach, to możliwość, że całkowicie przypadnie w tym labiryncie, że będzie chodził w kółko, zagubiony tu już na zawsze. Opowieści o psach myśliwskich nie wydawały mu się już tak przesadzone.

Przebiegło po nim jakieś nieduże zwierzę. Szarpnął się i uderzył głową o gałąź, zacisnął zęby i dążył dalej, posuwając się po kilkanaście centymetrów. Wokół niego grały świerszcze, a stałe niecichnące szelesty uświadomiły mu, że mieszkańcy tego piekła nie są zadowoleni z przybycia intruza. Niczego nie był w stanie dostrzec, bo tu na dole panowała głęboka ciemność. To wszystko miało tylko jedną dobrą stronę - wysiłek fizyczny go rozgrzał; pot spływał mu po twarzy i kapał z brody. Ilekroć zatrzymywał się, by złapać oddech, nasłuchiwał, starając się wychwycić coś, co by wskazało mu czy to jego położenie, czy położenie tych, którzy go ścigali. Nie słyszał jednak niczego poza wołaniem nocnych ptaków i szelestem liści wokół. Wytarł twarz rękawem i sunął dalej. Nie wiedział, jak długo już idzie, a raczej się czołga - gdy znalazł skałę, choć może nie tyle znalazł, co uderzył w nią głową. Szarpnął się do tyłu, łapiąc za głowę i zaciskając zęby, by nie krzyknąć. Mrugając z bólu, wyciągnął rękę i namacał to, w co uderzył. To nie był głaz, tylko wysoka, płaska skalna ściana. Nie był w stanie sięgnąć do jej krawędzi. Macając z boku, starał się ją obejść, ale tuż obok rósł gruby pień. Próbując tędy

przejść, utkwiał ramionami w wąskiej przestrzeni między skałami a rośliną; szarpał się i wiercił, starając się wyzwolić, a w końcu poleciał do przodu, tracąc równowagę i padając na twarz. Nie poddając się, uniósł się znów na czworaki i nagle zdał sobie sprawę, że widzi własne ręce.

Podniósł głowę i rozejrzał się, zdumiony. Jego głowa i ramiona znalazły się na wolnej przestrzeni - nie tylko wolnej, ale i pustej.

Natychmiast ruszył do przodu, by wyzwolić się z klaustrofobicznego objęcia rododendronów.

Znalazł się na otwartej przestrzeni przed skałą wznoszącą się po drugiej stronie niewielkiej polanki. To naprawdę była polanka o miękkiej ziemi, na której nic nie rośło. Zdumiony obrócił się powoli, wdychając zimne, ostre powietrze.

- Boże wielki - powiedział cicho. Polanka miała owalny kształt, obrzeżona była stojącymi głazami, a jeden koniec owalu zamykała skalna ściana. Głazy stały w równych odstępach, kilka upadło, kilka przesunęły napierające korzenie i łodygi. Widział gęstą, czarną masę rododendronów między i nad kamieniami, ale ani jedna roślina nie rośla wewnątrz kręgu.

Ciało pokryło mu się gęsią skórką, cicho ruszył ku środkowi kręgu. To niemożliwe... a jednak. Właściwie dlaczego niemożliwe?

Jeśli Geillis Duncan miała rację... Odwrócił się i w świetle księżycy zauważył rysunki na skalnej ścianie. Podeszedł bliżej, by się im przyjrzeć. Było tam kilka petroglifów, niektóre wielkości dłoni, inne niemal tak wysokie jak on sam: spiralne kształty, coś, co mogło

przedstawić pochylonego człowieka - tańczącego bądź umierającego, niemal zamknięty krąg, który wyglądał jak wąż ścigający własny ogon. Znaki ostrzeżenia. Znowu zadrżał i automatycznie pomacał szew spodni. Wciąż tam były, dwa kamienie szlachetne, dla których ryzykował życie. Małe przepustki do bezpieczeństwa dla niego i - miał nadzieję - dla Brianny.

Niczego nie słyszał, żadnego buczenia, żadnego pomruku.

Jesienne powietrze było chłodne, lekki wiatr poruszał liśćmi rododendronów. Do diabła, jaki to dzień? Nie wiedział, już dawno stracił poczucie czasu. Gdy zostawił Briannę w Wilmington, był początek września, odszukanie Bonneta i wyczekanie okazji, by ukraść klejnoty, zajęło mu znacznie więcej, niż sądził. Teraz więc zapewne zbliżał się koniec października. Święto Samhain - wigilia Wszystkich Świętych albo miała właśnie nadejść, albo właśnie minęła.

Czy ten krąg będzie stosować się do tych samych dat? Zapewne tak, jeśli linie mocy Ziemi przesuwają się zgodnie z jej obrotami wokół Słońca, to z tym ruchem wszystkie przejścia powinny się otwierać albo zamykać. Podeszedł bliżej do skały i przy podstawie zauważył szczelinę, pęknięcie - być może jaskinię. Przebiegł go dreszcz, który nie wynikał z chłodnego, nocnego wiatru. Objął mocno palcami twarde kulki klejnotów. Niczego nie słyszał. Czy było otwarte? Jeśli tak...

Ucieczka, to by było to. Ale ucieczka do kiedy i jak? W głowie rozbrzmiewały mu słowa zaklęcia Geillis: „Granaty miłośnicie obejmują mi szyję. Będę wierna”

Wierna. Ta droga ucieczki oznaczałaby opuszczenie Brianny, ale czy ona jego już nie opuściła?

- Nie, na pewno nie - szepnął sam do siebie. Wiedział, że musi być jakaś przyczyna tego, co zrobiła.

Odnalazła rodziców, będzie bezpieczna. „I kobieta opuści swoich rodziców i pójdzie za mężem”. To nie o bezpieczeństwo chodziło, tylko o miłość. Gdyby dbał o bezpieczeństwo, już na początku nie pokonałby tej rozpaczliwej pustki.

Spocły mu się dłonie, czuł wilgoć ostrego materiału pod palcami, zdarte opuszki palców paliły go i pulsowały. Zrobił jeszcze jeden krok ku pęknięciu w skalnej ścianie, wpatrzony w panujący tam gęsty mrok. Jeśli nie zamierza wejść do środka, to może zrobić tylko jedną z dwóch rzeczy: wrócić w duszące piekło rododendronów - lub postarać się wspiąć na skałę. Odchylił głowę, by ocenić wysokość. Z góry patrzyła na niego twarz, w ciemnościach pozbawiona rysów, ale odcinająca się wyraźnie na tle rozjaśnionego księżycem nieba. Roger nie miał czasu, by się poruszyć czy pomyśleć, a już pętla zwiniętej liny spadła mu na głowę i zsunęła się, przyciskając mu ramiona do ciała.

52. Opuszczenie

River Run, grudzień 1769

Deszcz wreszcie przestał padać, ale kolejna ulewa już wisiała w powietrzu. Z marmurowych płatków róż na grobowcu Hektora Camerona kapąły kropelki wody, a wyłożona cegłami ścieżka pociemniała od wilgoci. Pod imieniem, nazwiskiem i datami widniał napis: *Semper Fidelis*. Niegdyś spotykała się z pewnym kadetem z Marines. Na pierścionku, który chciał jej dać, kazał wyryć

słowa Semper Fi - zawsze wierny. A komu był wierny Hektor Cameron?

Żonie? Swemu księciu?

Od tamtej nocy nie odezwała się do Jamiego Frasera ani słowem - ani on do niej, od tej ostatniej chwili, gdy targana strachem i wściekłością krzyknęła: „Mój ojciec nigdy by czegoś takiego nie powiedział!”. Wciąż miała przed oczyma wyraz jego twarzy i żałowała, że nie potrafi zapomnieć. Odwrócił się wtedy bez słowa i wyszedł z chaty. Ian wstał i cicho poszedł za nim. Żaden z nich tej nocy nie wrócił.

Została z nią matka, uspokajając, głaszcząc, pieszcząc, mrużąc kojące słowa, podczas gdy Brianna na zmianę wściekała się i szlochała. Jednak nawet wtedy, gdy Claire trzymała jej głowę na kolanach i ocierała twarz chłodną, wilgotną szmatką, Bree czuła, że jakaś jej część wrywa się za tamtym człowiekiem, pragnie go pocieszyć. Także i to miała mu za złe.

Wysilek, by niczego nie zdradzać wyrazem twarzy, przyprawiał ją o ból głowy. Nie odważy się rozluźnić mięśni wokół oczu i szczęki, póki nie będzie pewna, że wyjechali; zbyt łatwo mogłaby się załamać.

Nie załamała się od tamtej nocy; gdy już raz wzięła się w garść, zapewniła matkę, że dobrze się czuje, i nalegała, by Claire się położyła. Sama siedziała aż do świtu, suche oczy paliły ją ze złości i dymu. Na stole przed nią leżał rysunek przedstawiający Rogera.

Wrócił o świcie, zawołał matkę, nie patrząc na Briannę. Mruczeli coś do siebie na podwórku, a potem matka wróciła ze zmartwieniem w oczach i zaczęła pakować

rzeczy. Przywieźli ją tutaj, z gór, do River Run. Chciała jechać z nimi, nie zwlekając ani chwili od razu ruszyć na poszukiwanie Rogera, on jednak się uparł, tak samo jak jej matka. Był koniec grudnia, w górach grubą warstwą leżał śnieg.

Brianna była już w czwartym miesiącu, brzuch zaczął jej się zaokrąglać. Nie wiadomo było, jak długo potrwa podróż, niechętnie musiała więc przyznać, że nie pragnie rodzić pod gołym niebem. Być może udałoby jej się w końcu przekonać matkę, ale nie wtedy, gdy wspierał ją jego upór.

Oparła czoło o zimny marmur mauzoleum. Dzień był chłodny, padał deszcz, twarz jednak ją paliła, jak gdyby miała gorączkę.

Nieustannie go słyszała i widziała: jego skurczoną w złości twarz, o rysach ostrych jak maska diabła, jego głos, chrapliwy ze złości i pogardy, oskarżający ją - ją! - o to, że utracił swój cholerny honor.

- Twój honor? - powiedziała niedowierzająco. - Twój honor? To twoje popieprzone pojęcie honoru wywołało cały ten problem!

- Nie będziesz odzywać się do mnie w taki sposób! Choć skoro mówimy o pieprzeniu...

- Będę, cholera, mówiła wszystko, co chcę! - wrzasnęła i uderzyła pięścią w stół, aż podskoczyły naczynia.

I mówiła. On także. Raz czy dwa matka próbowała im przerwać - Brianna aż się wzdrygnęła, wspominając teraz rozpacz malującą się w złotych oczach Claire - ale żadne z nich nie zwróciło na to uwagi, tak skupili się na

wzajemnej zdradzie.

Matka powiedziała jej kiedyś, że ma szkocki temperament - powoli się rozpała, ale gdy już wybuchnie, płonie długo. Teraz wiedziała, skąd wziął się ten temperament, lecz wiedza ta w niczym jej nie pomagała. Oparła splecione ramiona o grobowiec i złożyła na nich twarz, wdychając słaby zapach owczej wełny. Przypominał jej o robionych na drutach swetrach, które lubił nosić jej ojciec. „Mój prawdziwy ojciec” - pomyślała, czując, że znów ogarnia ją rozpacz.

- Czemu musiałeś umrzeć? - szepnęła w wilgotną wełnę. Gdyby Frank Randall nie umarł, nic z tego by się nie wydarzyło. On i Claire wciąż przebywaliby w domu w Bostonie, a jej rodzina, jej życie nie rozpadłyby się na części. Ojca jednak nie było; jego miejsce zajął obcy mężczyzna o gwałtownym charakterze, który miał jej twarz, ale nie rozumiał jej serca, mężczyzna, który odebrał jej rodzinę i dom - a i to go jeszcze nie zadowoliło. Odebrał jej także miłość i bezpieczeństwo, pozbawiając nadziei i pozostawiając na tej dziwnej, brutalnej ziemi.

Otuliła się mocniej szalem, drżąc na wietrze, który przenikał przez luźny splot. Powinna była narzucić pelerynę. Ucałowała na do widzenia blade wargi matki i wyszła, a właściwie wybiegła przez zimowy ogród, nie patrząc na niego. Zostanie tu, póki nie będzie pewna, że już ich nie ma. Nieważne, że jest jej zimno.

Usłyszała kroki na ceglanej ścieżce i zeszywniała, choć się nie odwróciła. Może to służba, a może Jokasta idzie, by przekonać ją do powrotu? Kroki były jednak za długie i za mocne - tylko jeden mężczyzna tak chodził.

Zamrugła i zacisnęła zęby. Nie odwróci się.

- Brianna - odezwał się za nią cicho. Nie odpowiedziała i nie poruszyła się. Parsknął cicho - z gniewu, z niecierpliwości? - Mam ci coś do powiedzenia.

- To powiedz. - Słowa raniły jej gardło, jakby połknęła jakiś ostry przedmiot.

Znów zaczynało padać, na marmurze rozpryskiwały się krople.

Czuła lodowate dotknięcie deszczu przesiąkającego jej przez włosy.

- Sprowadzę ci go - oznajmił Jamie Fraser, nie podnosząc głosu - albo sam nie powrócę.

Nie mogła się zmusić, żeby się odwrócić. Usłyszała cichy dźwięk, jakby brzęknięcie na ścieżce z tyłu, a potem odgłos jego oddalających się kroków. Krople gromadzące się na marmurowych różach zaczęły spływać, jak łzy z jej oczu. Gdy się w końcu odwróciła, ceglana ścieżka była pusta. U stóp zobaczyła złożony papier, mokry od deszczu, przyciśnięty kamykiem. Podniosła go i trzymała zwinięty w dłoni, bojąc się go rozprostować.

Luty 1770

Mimo gniewu i niepokoju łatwo wpasowała się w codzienną rutynę River Run. Cioteczna babka, zachwycona towarzystwem, zachęcała ją do różnych rozrywek. Stwierdziwszy, że Brianna lubi i umie rysować, Jokasta wyjęła własne przybory do malowania i namawiała, by robiła z nich użytek.

W porównaniu z życiem w górach, w River Run panował dekadenski luksus. Brianna z przyzwyczajenia budziła się o świcie, przeciągała się leniwie, rozkoszując się

wręcz fizyczną przyjemnością puchowego łoża, które ogarniało ją i poddawało się każdemu ruchowi.

Bardzo różniło się to od gruzłowatych kołder, przykrywających sienniki we Fraser's Ridge. W kominku płonął ogień, na umywalni stało duże, lśniące naczynie z gorącą wodą; widziała, jak unoszą się nad nim smugi pary. W pokoju wciąż panował chłód, a światło na dworze było aż niebieskie z zimna. Służąca, która cicho przyszła i odeszła, musiała wstać przed świtem i rozbić lód, by zaczerpnąć wody. Brianna myślała sennie, że powinna czuć się winna, iż obsługują ją niewolnicy... musi o tym później pamiętać. Wiele było rzeczy, o których zamierzała pomyśleć później, jedna więcej nie zaszkodzi. Na razie było jej ciepło, z daleka dobiegały uspokajające, znajome odgłosy domu, w pokoju panowała jednak cisza, przerywana jedynie od czasu do czasu trzaskiem j ognia w kominku. Okręciła się na plecy i wciąż nie całkiem obudzona zaczęła na nowo poznawać swoje ciało. Był to poranny rytuał, coś, co zaczęła robić na wpół świadomie, będąc jeszcze nastolatką. Teraz zaś czuła wewnętrzną potrzebę odszukania i pogodzenia się z niewielkimi zmianami, które zaszły w ciągu nocy, by za dnia nie stwierdzić nagle, że jest obca we własnym ciele.

Jeden obcy w ciele wystarczy - pomyślała, odgarnęła kołdrę i przesunęła powoli dłońmi po wzgórkach brzucha. Zamieszkuje go stworzenie przeciągnęło się i powoli obróciło, tak jak ona sama przed kilkoma minutami.

- Hej, cześć - powiedziała cicho. Pagórek poruszył się lekko pod jej dłonią i znieruchomiał. Najwyraźniej jego mieszkaniec powrócił w krainę tajemniczych snów. Powoli podciągnęła nocną koszulę - należała do Jokasty i była z

cieplej flaneli - i przesunęła dłońmi po gładkich, długich mięśniach uda i lekkim zagłębieniu na samej górze.

Potem znów w górę i w dół, po nagiej skórze, od nóg przez brzuch po piersi. Gładkie i miękkie, okrągłe i twarde, mięśnie i kości... ale teraz nie wszystkie należące wyłącznie do niej.

Rano jej skóra była inna, delikatna i świetlista, zupełnie jakby zrzuciła starą niby wąż. Potem, gdy już wstała, gdy obmyło ją powietrze, skóra twardniała i zmieniała się w bardziej przydatne okrycie. Brianna oparła się o poduszkę i patrzyła, jak światło wypełnia pokój. Dom już się obudził. Słyszała słabe odgłosy pracujących ludzi i czuła się ukojona. Gdy była mała, budziła się w letnie poranki przy dźwięku kosiarki, którą ojciec popychał pod jej oknem, przy jego głosie witającym sąsiada. Czuła się bezpiecznie, spokojnie, wiedząc, że tam jest. Ostatnio budziła się przy głosie Jamiego Frasera, który mówił po gaelicku do koni, i znów zaczęło ją ogarniać to samo uczucie. To się jednak skończyło; matka słusznie mówiła, że bez jej zgody czy wiedzy zaszła w niej zmiana. Odrzuciła kołdrę i wstała; nie może leżeć w łóżku, rozpaczając po tym, co utraciła. Ochrona jej nie jest już niczym zadaniem, ona sama teraz ma kogo chronić.

Dziecko było wciąż obecne i - o dziwo - stale uspokajało. Po raz pierwszy czuła w tym błogosławieństwo i dziwne pojednanie. Jej ciało wiedziało to na długo przed umysłem. Więc to prawda, co zawsze mówiła matka: „Słuchaj swego ciała”.

Oparła się o framugę okna i wyjrzała na okryty śniegiem kuchenny ogródek. Jakiś niewolnik, otulony

plaszczem i szalem, klęczał na ścieżce i wykopywał marchewki z jednej z rabatek. Wokół ogrodzonego ogrodu rosły wysokie wiązy; gdzieś tam dalej, za nagimi gałęziami, leżały góry.

Stała nieruchomo, wsłuchana w rytm swego ciała. Intruz w jej brzuchu poruszył się lekko, a jego ruch zlał się z pulsowaniem jej krwi - ich krwi. Wydawało jej się, że w biciu swego serca usłyszała echo drugiego, mniejszego serduszka. W tym dźwięku znalazła w końcu odwagę, by myśleć jasno. Poczła pewność, że jeśli stanie się to najgorsze - oparła się mocno o framugę i poczuła, jak trzeszczy pod jej naciskiem - jeśli stanie się to najgorsze, nie będzie całkiem sama.

53. Wina

Od wyruszenia z Fraser's Ridge aż do przybycia do wioski Tennango, należącej do plemienia Tuskarora, Jamie właściwie się nie odzywał. Czułam się głęboko nieszczęśliwa, rozdarta między poczuciem winy, że zostawiłam Briannę, strachem o Rogera i bólem z powodu milczenia Jamiego. Do Iana rzucał tylko półsłówka, Jokaście w Cross Creek powiedział wyłącznie to, co było absolutnie konieczne, do mnie nie mówił nic. Najwyraźniej obwinał mnie, że nie opowiedziałam mu od razu o Stephenie Bonnecie. Myśląc o tym teraz, sama się o to gorzko oskarżałam, widząc, co z tego wynikło.

Zachował złotą obrączkę, którą rzuciłam wtedy na stół; nie miałam pojęcia, co z nią zrobił.

Pogoda była zmienna, ale raczej paskudna. Chmury wisiały tak nisko nad górami, że często całymi dniami jechaliśmy w zimnej, gęstej mgle. Na koniach osiadały

kropelki wody, więc z ich grzyw nieustannie kapało, a skórę miały wilgotną. Nocami spaliśmy tam, gdzie mogliśmy się zatrzymać, wokół tłącego się ogniska, każde z nas osobno owinięte wilgotnym kokonem koców.

W Tennango powitało nas kilku Indian, których poznaliśmy już wcześniej w Anna Ooka. Widziałam, że mężczyźni przyglądają się beczułkom whisky w jukach naszych mułów, ale nikt nie próbował się do nich dobrać. Dwa muły obładowane były whisky; mieliśmy tuzin niedużych beczulek - cały udział Fraserów w tegorocznej destylacji i większość naszego dochodu na najbliższy rok. W sensie handlowym stanowiły królewski okup, miałam więc nadzieję, że wystarczy za jednego młodego Szkota. Była to najlepsza i w gruncie rzeczy jedyna rzecz, którą mogliśmy zaoferować, wiązało się z nią jednak niebezpieczeństwo. Jamie ofiarował beczułkę sachemowi wioski, i razem z nim i Ianem zniknął w jednym z długich domów na naradę.

Ian przedtem oddał Rogera swoim przyjaciółom wśród Tuskarora, nie wiedział jednak, dokąd go zabrali. Wbrew rozsądkowi miałam nadzieję, że wciąż przebywa w Tennango; jeśli tak jest, uda nam się wrócić do River Run w niecały miesiąc. Była to jednak słaba nadzieja, bo podczas gorzkiej kłótni z Brianną Jamie przyznał, że kazał Ianowi dopilnować, by Roger nie wrócił. Tennango znajdowało się w odległości zaledwie dziesięciodniowej wędrówki od Fraser's Ridge - za blisko jak dla rozwścieczonego ojca.

Chciałam spytać o Rogera kobiety, które zajmowały się mną w długim domu, ale żadna z nich nie mówiła ani po francusku, ani po angielsku, ja zaś w tuskarora znałam tylko

kilka podstawowych grzeczności. Lepiej niech Ian i Jamie zajmą się dyplomatycznymi negocjacjami. Jamie miał talent do języków i całkiem dobrze porozumiewał się w tuskarora, z kolei Ian, który połowę czasu spędzał na polowaniu z Indianami, mówił zupełnie płynnie.

Jedna z kobiet zaoferowała mi miskę z parującym zbożem, gotowanym razem z rybą. Pochyliłam się, by nabrać nieco na koniec deszczulki, którą mi w tym celu dano, i poczułam, jak pod koszulą przemieszcza mi się amulet, przypominając o smutku i niosąc ukojenie. Zabrałam z sobą amulet Nayawenne, a także rzeźbiony opal, który znalazłam pod czerwonym cedrem. Amulet zamierzałam oddać - nie wiedziałam tylko komu, opal natomiast mógł wspomóc whisky, jeśli w pertraktacjach okaże się potrzebny dodatkowy argument. Z tego samego powodu Jamie wziął wszystkie cenne rzeczy, jakie posiadał - nie było ich wiele - poza pierścieniem z rubinem, należącym niegdyś do jego ojca, który Brianna przywiozła mu ze Szkocji.

Zostawiliśmy rubin Briannie, na wypadek gdybyśmy nie wrócili - a należało się z tym liczyć. Nie mieliśmy pojęcia, czy teorie Geillis Duncan na temat wykorzystania kamieni szlachetnych były słuszne, ale przynajmniej Brianna nie zostanie z pustymi rękoma. Na pożegnanie w River Run uścisnęła mnie mocno i pocałowała. Nie chciałam jechać, nie chciałam też zostać, nieustannie rozdarta między koniecznością pozostania i opiekowania się Brianną a równie pilną koniecznością wyruszenia z Jamiem.

- Musisz jechać - stwierdziła zdecydowanie. - Nic mi się nie stanie, sama mówiłaś, że jestem silna jak koń.

Wrócisz, zanim będę cię potrzebować. - Zerknęła na plecy ojca, który stał w stajni, nadzorując zakładanie juków na konie i muły. Odwróciła się do mnie z obojętnym wyrazem twarzy. - Musisz jechać, mamó. Ty potrafisz odnaleźć Rogera. - Zaakcentowała słowo „ty”; miałam nadzieję, że Jamie tego nie słyszał.

- Nie sądzisz przecież, by Jamie...

- Nie wiem - przerwała - nie wiem, co on może zrobić. - Zacisnęła szczęki w sposób, który znałam aż nazbyt dobrze. Spór był daremny, lecz i tak podjęłam próbę.

- Ale ja wiem - oświadczyłam z przekonaniem. - Zrobiłby dla ciebie wszystko, Brianno, wszystko. A nawet gdyby nie chodziło o ciebie, zrobiłby wszystko, co możliwe, by sprowadzić Rogera z powrotem. Jego poczucie honoru...

- W tej samej chwili zdałam sobie sprawę z popełnionego błędu, bo jej twarz zamknęła się jak pułapka.

- Tak, jego honor, to się najbardziej liczy - powiedziała głucho. - Chyba nie mam nic przeciwko temu, jeśli każe mu on sprowadzić Rogera z powrotem. - Odwróciła się i pochyliła głowę przed wiatrem.

- Brianna... - Czułam się bezradna. Ona jednak tylko skuliła ramiona i ciasno otuliła się szalem.

- Cioteczko Claire, jesteście już gotowi. - Pojawił się Ian, przynosząc zaniepokojony wzrok ze mnie na Briannę. Spojrzałam na nią wahająco; nie chciałam jej tak zostawiać.

- Bree? - spróbowałam znów.

Obróciła się do mnie w łopocie wełny i objęła mocno, przyciskając zimny policzek do mojego.

- Wróć - szepnęła. - Och, mamó, wróć cała i zdrowa.

- Nie mogę cię tak zostawić, Bree, nie mogę! -

Trzymałam ją mocno, silne kości i delikatne ciało, dziecko, które zostawiłam, i dziecko, które odzyskałam - i kobietę, która puściła mnie i stała teraz sama, wyprostowana.

- Musisz jechać - dodała. Nie zdołała utrzymać maski obojętności, widziałam, że ma mokre policzki. Zerknęła ponad moim ramieniem ku stajniom. - Przyrowadź mi go z powrotem. Tylko ty możesz mi go przyprowadzić.

Pocałowała mnie szybko, odwróciła się i pobiegła; jej kroki rozbrzmiewały na ceglanej ścieżce. Wychodzący ze stajni Jamie ujrzał, jak biegnie w burzowym świetle. Stał nieruchomo, patrząc za nią bez wyrazu.

- Nie możesz tak się z nią rozstać - powiedziałam. Wytarłam szalem mokre policzki. - Jamie, idź za nią, proszę. Idź i przynajmniej się z nią pożegnaj.

Jeszcze przez chwilę stał bez ruchu, jakby zamierzał udawać, że mnie nie słyszał, potem jednak ruszył powoli ścieżką. Zaczynał padać deszcz, krople rozpryskiwały się na zakurzonych ceglach, wiatr rozwiewał mu płaszcz.

- Cioteczko? - Ian wsunął mi dłoń pod ramię i delikatnie pociągnął. Poszłam za nim, pomógł mi wsiąść na konia. Jamie wrócił po chwili i wskoczył na siodło, nie patrząc na mnie. Dał znak Ianowi i wyjechał z dziedzińca, nie oglądając się. Ja się obejrzałam, ale nie dostrzegłam Brianny.

Noc dawno zapadła, a Jamie wciąż siedział w długim domu z Nacognaweto i sachemem. Podnosiłam wzrok za każdym razem, gdy ktoś wchodził, ale to nie był on. W końcu jednak wiszącą w drzwiach skórę odsunięto i pojawił się Ian, prowadząc za sobą niedużą, pulchną postać.

- Mam dla ciebie niespodziankę, cioteczko - powiedział rozpromieniony. Zza jego pleców wyjrzała okrągła, uśmiechnięta twarz niewolnicy Pollyanne. A raczej byłej niewolnicy, bo tu, oczywiście, cieszyła się wolnością. Usiadła koło mnie, uśmiechając się od ucha do ucha, odchyliła okrycie ze skóry jelenia, które miała na sobie, i pokazała mi trzymanego w ramionach małego chłopczyka.

Miał twarz tak samo okrągłą i tak samo rozpromienioną jak jego matka. Przy pomocy Iana, który występował jako tłumacz, jej własnych słów z angielskiego i gaelickiego, a także kobiecego języka gestów, szybko pograżyliśmy się w rozmowie. Jak przypuszczał Myers, Tuskarora chętnie przyjęli ją do plemienia, ceniąc jej umiejętności lecznicze. Za męża wzięła człowieka, który owdowiał podczas epidemii odry, i przed kilku miesiącami rodzina im się powiększyła. Cieszyłam się, że znalazła wolność i szczęście, i gorąco jej gratulowałam. Pomogło mi to także trochę się uspokoić. Jeśli Tuskarora tak dobrze ją potraktowali, może również i Rogerowi nie stało się nic złego. Coś przyszło mi do głowy i wyciągnęłam zza skórzanej koszuli amulet Nayawenne.

- Ianie, możesz spytać, komu powinnam to dać?

Przemówił do niej w tuskarora, ona zaś pochyliła się i z ciekawością wzięła amulet do ręki. W końcu pokręciła głową i usiadła wygodniej, mówiąc coś głębokim głosem.

- Ona mówi, że nikt tego nie zechce, cioteczko - przetłumaczył Ian. - To woreczek medyczny szamana, niebezpieczny. Należało go pochować z osobą, do której należał. Nikt tutaj tego nie dotknie, będzie się bał, że przyciągnie ducha szamana.

Zawahałam się, wciąż trzymając skórzany woreczek w ręce. To dziwne uczucie, że trzymam coś żywego, nie pojawiało się od śmierci Nayawenne, teraz jednak wydawało mi się, że coś poruszyło mi się na dłoni - to jednak chyba była tylko moja wyobraźnia.

- Spytaj jej: co zrobić, jeśli szaman nie został pochowany, jeśli nie można było znaleźć ciała?

Pollyanne słuchała z uwagą; gdy Ian skończył, pokręciła głową.

- Mówi, że w takim wypadku duch idzie z tobą, cioteczko. Mówi, że nie powinnaś pokazywać tego tu nikomu, bo ich przestraszysz.

- Ale ona się przecież nie boi.

Pollyanne zrozumiała te słowa bez tłumaczenia, pokręciła głową i dotknęła potężnej piersi.

- Teraz Indianka - powiedziała po prostu - ale nie zawsze. - Zwróciła się do Iana i wyjaśniła przez niego, że jej własny naród czcił duchy zmarłych, co więcej, mężczyźni czasami nosili z sobą głowę lub jakąś inną część ciała dziadka czy któregoś przodka ze względu na ochronę i radę. Nie, myśl o tym, że ze mną idzie duch, jej nie przeraża.

Mnie także nie - co więcej, myśl, że Nayawenne mi towarzyszy, stanowiła w tych okolicznościach pocieszenie. Schowałam amulet za koszulą; otarł mi się miękko o skórę, jakby dotknął mnie przyjaciel.

Rozmawialiśmy przez jakiś czas, długo po tym, jak inni odeszli do swoich boksów i pełne dymu powietrze zaczęło rozbrzmiewać chrapaniem. Zaskoczyło nas przybycie Jamiego, który wchodząc, wpuścił zimny powiew.

Pollyanne żegnała się, ale wyraźnie ociągając się, jakby zastanawiała się, czy coś mi powiedzieć. Zerknęła na Jamiego, potem wzruszyła ramionami i podjęła decyzję. Pochyliła się ku Ianowi, pomruczała coś niewyraźnie, dotykając twarzy palcami obu rąk, potem objęła mnie szybko i wyszła, Ian patrzył za nią zdumiony.

- Co powiedziała, Ianie?

Odwrócił się ku mnie, ściągając z namysłem brwi.

- Mówi, że powinienem powiedzieć wujkowi Jamiemu, że tej nocy, gdy w tartaku zmarła kobieta, widziała tam człowieka.

- Jakiego człowieka?

Pokręcił głową, wciąż z namysłem.

- Nie znała go. Był to biały mężczyzna, ciężki i duży, ale nie tak wysoki jak wuj czy ja. Widziała, jak wychodzi z tartaku i szybko zagłębia się w las. Siedziała w drzwiach swojej chaty, w ciemności, więc chyba jej nie widział. On jednak przeszedł na tyle blisko ogniska, że dostrzegła jego twarz. Mówi, że miał ślady po ospie - Ian dotknął palcami twarzy, tak jak przedtem Pollyanne - i twarz jak świnia.

- Murchison? - Serce mi zamarło.

- Czy miał na sobie mundur? - spytał Jamie.

- Nie, lecz zaciękało ją, co on tam robił. Nie był ani właścicielem plantacji, ani robotnikiem, ani nadzorcą. Podkraśniała się do tartaku, ale gdy wsunęła do środka głowę, wiedziała, że stało się coś złego. Mówi, że czuła zapach krwi, a potem usłyszała głosy, dlatego nie weszła.

Więc było to morderstwo, któremu Jamie i ja mogliśmy zapobiec, gdybyśmy przybyli chwilę wcześniej.

W długim domu było ciepło, przebiegł mnie jednak dreszcz na wspomnienie gęstego, pełnego zapachu krwi powietrza w tartaku i twardego kuchennego rożna w mojej dłoni.

Jamie oparł mi dłoń na ramieniu. Nie myśląc, sięgnęłam i ujęłam ją; dobrze było czuć ją w mojej dłoni. Zdałam sobie sprawę, że nie dotykaliśmy się od blisko miesiąca.

- Ofiara była wojskową praczką - rzekł cicho. - Murchison ma w Anglii żonę, być może brzemienna kochanka okazała się ciężarem.

- Nic dziwnego, że tak się miotał i rozgłaszał, że złapie winnego, a potem dopadł tę biedną kobietę, która nawet nie mogła się bronić. - Twarz Iana zaczerwieniła się z oburzenia. - Gdyby udało mu się ją za to powiesić, uznałby się pewnie za bezpiecznego. Obrzydliwy gnojek!

- Może złożę odwiedziny sierżantowi, gdy wrócimy - powiedział Jamie. - Prywatnie.

Ta myśl zmroziła mi krew w żyłach. Mówił cicho i spokojnie, na jego twarzy nie malowały się żadne emocje, wydawało mi się jednak, że w jego oczach odbija się powierzchnia ciemnego szkockiego jeziora, z wodą zmaconą, jakby właśnie wpadło w nią coś ciężkiego.

- Nie sądzisz, że w tej chwili masz dość zemsty, którą się musisz zająć? Odezwałam się ostrzej, niż zamierzałam, i jego dłoń natychmiast wysunęła się z mojej.

- Chyba tak - przytaknął obojętnym tonem i z obojętnym wyrazem twarzy. Odwrócił się do Iana. - Wakefield, MacKenzie czy jak on się tam nazywa znajduje się dość daleko na północ. Sprzedali go Mohawkom, do wioski za rzeką. Twój przyjaciel Onakara nas poprowadzi.

Wyruszymy o świcie.

Wstał i odszedł ku oddalonemu końcowi domu. Wszyscy udali się już na spoczynek. W domu paliło się pięć ognisk, nad każdym znajdował się otwór na dym. Wzdłuż długiej ściany pobudowano niewielkie boksy, po jednym dla małżeństwa lub rodziny. Niska, szeroka półka w środku służyła jako łóżko, a pod nią znajdowała się przestrzeń na przechowywanie rzeczy. Jamie zatrzymał się przy boksie przydzielonym nam do użytku, gdzie zostawiłam płaszcze i juki. Ściągnął buty, zdjął pled, który nosił zarzucony na spodnie i koszulę, i nie oglądając się za siebie, zniknął w ciemności. Wstałam, zamierzając za nim iść, ale zatrzymał mnie Ian, dotykając mego ramienia.

- Cioteczko - spytał z wahaniem - czy mu nie wybaczysz?

- Wybaczyć jemu? - Wpatrywałam się w niego, nie rozumiejąc. - Co mam mu wybaczyć, Rogera?

Skrzywił się.

- Nie, to był poważny błąd, ale gdybyśmy jeszcze raz znaleźli się w takiej sytuacji i wiedzieli to, co wiedzieliśmy, zrobilibyśmy to samo. Nie, chodzi o Bonnetę.

- O Stephena Bonnetę? Jak on może myśleć, że go o to obwiniam? Nigdy nic takiego nie mówiłam. - I nawet się nad tym nie zastanowiłam, tak bardzo zajęta byłam myślami, że to on obwinia mnie.

Ian podrapał się w głowę.

- Nie rozumiesz, cioteczko? On siebie o to wini. Od kiedy tamten człowiek obrabował nas na rzece, a teraz doszło jeszcze to, co zrobił kuzynce... - Wzruszył ramionami, najwyraźniej nieco zażenowany. - To go zjada,

a jeszcze fakt, że gniewasz się na niego...

- Ależ ja się na niego nie gniewam. Wydawało mi się, że to on gniewa się na mnie, bo nie powiedziałam mu od razu, że chodzi o Bonnetta.

- Och - Ian najwyraźniej nie wiedział, czy ma się śmiać, czy płakać - no, niewątpliwie pomogłoby, gdybyś powiedziała, ale nie, jestem pewien, że to nie o to chodzi, cioteczko. Ostatecznie gdy kuzynka Brianna ci wszystko opowiedziała, było już po naszym spotkaniu z MacKenziem na górze i po tym, jak go potraktowaliśmy.

Odetchnęłam głęboko.

- Ale twoim zdaniem on myśli, że ja się na niego gniewam?

- Och, to widać gołym okiem, cioteczko - zapewnił mnie. - Nie patrzysz na niego i nie mówisz do niego, jeśli nie musisz, no i... - odchrząknął delikatnie - przez miniony miesiąc nie widziałem, żebyś szła do jego łóżka.

- On do mojego też nie przychodził - odcięłam się, dotknięta do żywego, zanim zastanowiłam się, czy to odpowiedni temat rozmowy z siedemnastoletnim chłopcem.

Ian zwiesił ramiona i popatrzył na mnie.

- Cóż, ma swoją dumę, prawda?

- Niewątpliwie - przytaknęłam, pocierając twarz dłonią. - Dzięki, Ian, że mi to powiedziałeś.

Jego długą, pospolitą twarz rozjaśnił słodki uśmiech.

- Boli mnie, gdy widzę, jak cierpi. Lubię wujka Jamiego.

- Ja też - przełknęłam z trudem. - Dobranoc, Ianie.

Przeszłam cicho wzdłuż domu, mijając boksy, w których spały całe rodziny. Odgłos ich oddechów stanowił

cichy akompaniament do niespokojnego bicia mego serca. Na dworze padało, z otworów dymnych skapywała woda, sycząc w żarze.

Czemu nie widziałam tego, o czym mówił Ian? Odpowiedź była łatwa. To nie gniew, tylko moje własne poczucie winy mnie oślepiło.

Nie ujawniałam, co wiem o Bonnie, nie tylko dlatego, że Brianna mnie prosiła, ale i z powodu złotej ślubnej obrączki. Zdołałabym ją przekonać, by powiedziała Jamiemu. To prawda, prędzej czy później ruszyłby za Stephenem Bonnetem, miałam jednak więcej zaufania do Jamiego niż ona. Nie, to właśnie obrączka sprawiała, że milczałam.

Czemuż to miałam się czuć winna z tego powodu? Nie było na to rozsądnej odpowiedzi. Ukryłam obrączkę bardziej instynktownie niż świadomie, nie chciałam pokazywać jej Jamiemu, wkładać na palec tak, by ją widział. A jednak chciałam, potrzebowałam ją zachować.

Ścisnęło mi się serce, gdy myślałam o minionych tygodniach, o Jamiem, który przygotowywał wszystko samotnie i w poczuciu winy.

To dlatego przecież z nim pojechałam - bo bałam się, że jeśli pojedzie sam, może nie wrócić. Powodowany poczuciem winy i odwagą może postąpić pochopnie, wiedziałam jednak, że zmuszony brać mnie pod uwagę - będzie ostrożny.

I przez cały ten czas on był przekonany nie tylko, że jest sam, ale też że jedyna osoba, która może dać mu pociechę, gorzko go oskarża.

Rzeczywiście, to go zjadało.

Zatrzymałam się przy boksie. Półka miała jakieś dwa i pół metra szerokości. Leżał nieruchomo na samym końcu, niewyraźny kształt pod przykryciem z króliczych skór, wiedziałam jednak, że nie śpi.

Wspięłam się na półkę, a w cieniu wnętrza zdjęłam z siebie ubranie.

W długim domu było ciepło, ale naga skóra natychmiast pokryła mi się gęsią skórką. Moje oczy przywykły już do ciemności, widziałam więc, że leży na boku, przodem do mnie; dostrzegłam jego oczy, otwarte, patrzące na mnie. Uklękłam i wsunęłam się pod przykrycie, czując na skórze miękkie futro. Nie myślałam zbyt wiele, tylko przysunęłam się i obróciłam ku niemu, przytulając do niego nagie ciało, chowając mu twarz na ramieniu.

- Jamie - szepnęłam - zimno mi, ogrzej mnie, proszę.

Zwrócił się ku mnie bez słowa, z cichą dzikością, którą mogłabym uznać za długo tłumione pragnienie, lecz wiedziałam, że jest w tym rozpacz. Nie szukałam przyjemności, chciałam go tylko pocieszyć, ale gdy otwarłam się ku niemu, gdy go przyciągałam, także i we mnie coś się odblokowało i przywarłam do niego w nagłej potrzebie tak ślepej i rozpaczliwej jak jego. Trzymaliśmy się tak razem, drżąc, z twarzami schowanymi we włosach, niezdolni, by na siebie spojrzeć, i niezdolni, by się odsunąć. Powoli zaczynałam uświadamiać sobie, co jest na zewnątrz, poza nami. Zdałam sobie sprawę, że leżymy wśród obcych, nadzy i bezbronni, okryci jedynie ciemnością.

A jednak byliśmy zupełnie sami. Gdzieś na końcu domu ktoś rozmawiał, ale słowa nie miały znaczenia, równie dobrze mogłoby to być bzyczenie pszczoł. Dym z

zabezpieczonego ogniska wpłynął do sanktuarium naszego łoża, pachnący jak kadzidło. Wewnątrz boksu było ciemno niczym w konfesjonale, widziałam jedynie nieco rozjaśniony łuk jego ramienia i od czasu do czasu iskierki w jego włosach.

- Jamie, tak mi przykro - szepnęłam. - To nie była twoja wina.

- A czyja? - powiedział z rozpaczą w głosie.

- Wszystkich, nikogo, Stephena Bonneta, ale nie twoja.

- Bonneta? - W jego głosie zabrzmiało zdziwienie. - A co on ma do tego?

- Cóż, wszystko - odparłam, nie rozumiejąc. - Czyż nie? Stoczył się ze mnie, odsuwając włosy z twarzy.

- Stephen Bonnet to zło wcielone i zabiję go przy pierwszej sposobności, ale nie rozumiem, jak mogę go obwinać o moje własne braki jako mężczyzny.

- O czym ty, na Boga, mówisz, jakie braki?

Nie odpowiedział od razu, pochylił tylko głowę - cień w ciemności. Nasze nogi były wciąż splątane, czułam napięcie jego ciała w stawach i sztywność ud.

- Nigdy nie sądziłem, że mogę być zazdrosny o kogoś, kto nie żyje - szepnął w końcu. - Nie sądziłbym, że to możliwe.

- Kogoś, kto nie żyje? - odezwałam się lekko podniesionym głosem, ze zdumieniem, gdy w końcu to do mnie dotarło. - Mówisz o Franku?

Leżał nieruchomo, wciąż przywierając do mnie. Dotknął niepewnie mojej twarzy.

- A o kimże innym? Przez te wszystkie dni, gdy

jechaliśmy razem, nękało mnie to nieustannie. Czy we śnie, czy na jawie mam przed oczyma jego twarz - bo mówiłaś, że przypominał Jacka Randalla, prawda?

Przyściągnęłam go mocno do siebie, objęłam mu głowę, by schylił ją ku moim ustom. Dzięki Bogu, że nie wspomniałam o obrączce, ale czy moja twarz, moja zdradziecka twarz jakoś powiedziała mu, że o niej myślałam?

- Jak mogło ci coś takiego w ogóle przyjść do głowy? - szepnęłam do niego, mocno go ściskając.

Uwolnił się, uniósł na łokciu, jego włosy spadły mi na twarz masą płomiennych cieni, a żar odbijał się w nich złotem i szkarłatem.

- A jak mogło mi nie przyjść? - spytał. - Słyszałaś ją, Claire?

Słyszałaś, co mi powiedziała?

- Brianna?

- Powiedziała, że chętnie widziałaby mnie w piekle i sprzedałaby własną duszę, by odzyskać ojca, prawdziwego ojca. - Przełknął z trudem; słyszałam to tak samo jak odległe głosy. - Cały czas myślę, że on nie popełniłby takiego błędu, on by jej zaufał, wiedziałby, że ona... Cały czas myślę, że Frank Randall był człowiekiem lepszym ode mnie. Ona tak uważa. Wydawało mi się, że... że ty chyba tak samo czujesz, Angielko.

- Co za głupota - szepnęłam, nie jego mając na myśli.

Przesunęłam dłońmi po długim łuku jego pleców i wbiłam palce w mocne pośladki. - Chodź tu, idioto.

Opuścił głowę na moje ramię i wydał z siebie

dźwięk, który być może był śmiechem.

- To prawda, jestem idiotą, ale czy to znaczy, że tak nie myślałaś?

- Nie. - Jego włosy pachniały dymem i żywicą, a jedna z tkwiących w nich igieł ukłuła mnie w wargę. - Tak naprawdę ona też tak nie myśli.

- A jednak słyszałem jej słowa.

- A ja słyszałam i ciebie, i ją. - Powoli masowałam mu plecy między łopatkami, wyczuwałam słabe ślady dawnych blizn i grubsze, niedawne szramy zostawione przez pazury niedźwiedzia. - Ona jest taka jak ty, w złości powie rzeczy, których nigdy nie powiedziałaby na chłodno. Przecież ty też nie traktowałeś poważnie wszystkiego, co jej mówiłeś, prawda?

- Nie. - Czułam, jak się rozluźnia, jak jego stawy poddają się niechętnie działaniu moich palców. - Nie, nie mówiłem poważnie. Nie wszystko.

- Ona też nie. - Czekałam chwilę, głaszcząc go tak samo, jak głaskałam Briannę, gdy była mała i czegoś się bała. - Możesz mi wierzyć - szepnęłam. - Kocham was oboje.

Westchnął głęboko i przez chwilę milczał.

- Jeśli uda mi się znaleźć jej mężczyznę i przyprowadzić go znów do niej, to sądzisz, że mi kiedyś wybaczy?

- Tak, ja to wiem - zapewniłam. Z drugiej strony przepierzenia dobiegały nas ciche odgłosy kochania się. Szuranie i westchnienia, wymruczane słowa, które nie należały do żadnego języka.

„Musisz jechać - powiedziała mi przedtem Brianna. -

Tylko ty możesz mi go przyprowadzić".

Po raz pierwszy przyszło mi do głowy, że być może nie mówiła o Rogerze.

Droga przez góry trwała długo, opóźniała nas zimowa pogoda.

Czasami nie sposób było jechać dalej; całymi dniami siedzieliśmy wówczas pod nawisami skalnymi albo pod osłoną drzew, skuleni w wietrze. Gdy pokonaliśmy góry, podróż stała się nieco łatwiejsza, choć im dalej na północ, tym robiło się mroźniej. W niektóre wieczory jedliśmy zimne pożywienie, bo w śniegu i wietrze nie udawało nam się utrzymać ognia. Każdej nocy jednak leżałam z Jamiem, przytulona do niego w kokonie z futer i koców. Dzieliliśmy się ciepłem.

Liczyłam dni, znacząc je węzełkami na sznurku. Wyjechaliśmy z River Run w początkach stycznia. Była już połowa lutego, gdy Onakara wskazał nam wznoszący się w pewnej odległości dym, który znaczył wioskę Mohawków. To tam on i jego towarzysze odwieźli Rogera Wakefielda. Podobno nazywało się to „Miejsce Węży”.

Sześć tygodni, więc Brianna jest już prawie w szóstym miesiącu.

Jeśli zdołamy szybko odzyskać Rogera - i jeśli będzie zdolny do podróży, dodałam ponuro w myślach - powinniśmy wrócić, zanim urodzi się dziecko. Jeśli Mohawkowie sprzedali go dalej... albo nie żyje... to wrócimy wcześniej.

Onakara nie chciał towarzyszyć nam do samej wioski, co nie umocniło mojej wiary w powodzenie misji. Jamie podziękował mu i odesłał z jednym nożem i flaszką

whisky jako zapłatą za jego usługi.

Resztę whisky zakopaliśmy w ziemi, ukrywając ją w pewnej odległości od wsi.

- Czy rozumieją, czego chcemy? - spytałam, gdy znów wsiedliśmy na konie. - Czy mowa Tuskarora jest na tyle podobna do języka Mohawków, że będziemy mogli z nimi rozmawiać?

- To nie to samo, cioteczko, ale języki są dość zbliżone - powiedział Ian. Padał śnieg i topił mu się na rzęsach. - Trochę jak różnica między włoskim a hiszpańskim, ale Onakara mówi, że sachem i kilku innych mówią nieco po angielsku, choć na ogół nie chcą go używać. Mohawkowie walczyli jednak z Anglikami przeciwko Francuzom, więc niektórzy będą znać ten język.

- No dobrze - uśmiechnął się do nas Jamie i położył przed sobą na siodle muszkiet. - Jedźmy i zobaczymy, czy sprzyja nam szczęście.

54. Niewola I

Luty 1770

Węzłki na nitce wskazywały, że przebywa w wiosce Mohawków już od niemal trzech miesięcy. Początkowo nie wiedział, kim są, oprócz tego, że to inni Indianie niż ci, którzy go tu przywieźli, i że tamci się ich bali.

Stał odrętwiały z wyczerpania, gdy mężczyźni, którzy go przywieźli, rozmawiali i pokazywali. Nowi Indianie wyglądali inaczej, byli ubrani odpowiednio na zimną pogodę, w futra i skóry, wielu miało wytatuowane twarze. Jeden z nich dźgnął go czubkiem noża i kazał mu się rozebrać. Musiał stać nagi pośrodku długiego, drewnianego

domu, podczas gdy kilkoro mężczyzn i kobiet popychało go i wyśmiewało. Prawą stopę miał bardzo spuchniętą, w głęboką ranę wdała się infekcja. Mógł jeszcze chodzić, ale każdy krok powodował, że przez nogę przebiegała mu iskra bólu. Od czasu do czasu męczyła go gorączka.

Popchnęli go do drzwi domu. Z zewnątrz dobiegał hałas.

Zobaczył, co się szykuje: podwójny rząd krzyczących dzikich, wszyscy z kijami i pałkami. Ktoś za nim dźgnął go w pośladek czubkiem noża. Poczul, jak strumyczek ciepłej krwi spływa mu po nodze. - Cours! - powiedzieli. Biegnij.

Ziemia była zdeptana, śnieg miał formę brudnego lodu, który palił go w stopy, gdy przedzierał się przez otaczające go pandemonium.

Udało mu się utrzymać na nogach. Przedzierał się to w jedną, to w drugą stronę, trafiały w niego uderzenia pałek, a kije waliły go po nogach i plecach. Nie było sposobu, by uniknąć ciosów, mógł tylko pchać się przed siebie jak się da najszybciej. Już blisko końca jakaś pałka trafiła go w brzuch, zwinął się z bólu i w tym momencie druga ugodziła go za uchem. Przewrócił się bezwładnie w śnieg, niemal nie czując zimna na rozciętej skórze.

Ktoś uderzył go ostrą witką po nogach, a potem mocniej, tuż pod jądrami. Instynktownie szarpnął wyżej nogi, przetoczył się i podniósł na czworaka, a potem jakoś ruszył dalej. Krew z nosa i ust mieszała się z brudnym lodem. Dotarł do długiego domu; wciąż czując ostatnie uderzenia, uchwycił się konstrukcji i podciągnął powoli na nogi.

Obrócił się przodem do Indian, wczepiony w słup, by nie upaść. To im się spodobało, śmiali się cienkimi głosami, brzmiącymi jak ujadająca sfora psów. Ukłonił się nisko i wyprostował, choć w głowie mu się kręciło. To ich rozbawiło do łez. Zawsze wiedział, jak przypodobać się tłumowi.

Zaprowadzili go wtedy do środka, dali wodę, by się obmył, i jedzenie. Zwrócili mu podartą koszulę i brudne spodnie, ale zatrzymali kurtkę i buty. W domu było ciepło, wzdłuż długiego budynku paliło się kilka ognisk, nad którymi widział otwory dymne.

Wczołgał się w kąt i zasnął, ściskając w dłoni grudki, wyczuwalne w szwie spodni.

Po takim przyjęciu Mohawkowie traktowali go obojętnie, ale nie okrutnie. Był niewolnikiem długiego domu i każdy, kto tam mieszkał, mógł mu rozkazywać. Jeśli nie rozumiał rozkazu, pokazywali mu, ale tylko raz. Jeśli odmawiał albo udawał, że nie rozumie, bili go - więc przestał odmawiać. Poza tym dzielił z nimi jedzenie i dostał przyzwoite miejsce do spania na końcu domu. Ponieważ była zima, jego praca polegała głównie na zbieraniu chrustu i przynoszeniu wody. Od czasu do czasu myśliwi zabierali go, by pomógł dzielić i nieść mięso. Indianie nie starali się szczególnie z nim porozumieć, ale słuchając uważnie, nauczył się kilku słów.

Z wielką ostrożnością podjął próby porozumienia. Na początek wybrał młodą dziewczynę, uważając ją za mniej niebezpieczną. Popatrzyła na niego, roześmiała się rozbawiona - zupełnie jakby przemówiła do niej wrona. Zawołała przyjaciółkę, potem kolejną i całą trójka

przykucnęła przed nim, śmiejąc się cicho, zasłaniając usta dłońmi i przyglądając mu się kątem oka. Powiedział wszystkie słowa, jakie znał, wskazując na przedmioty: ogień, garnek, koc, kukurydza, a potem wskazał suchą rybę, wiszącą mu nad głową, i uniósł pytająco brwi.

- Yona'kensyonk - powiedziała natychmiast jego nowa znajoma i zachichotała, gdy to powtórzył. W następnych dniach i tygodniach dziewczęta dużo go nauczyły. To od nich dowiedział się w końcu, gdzie jest, a właściwie nie gdzie, ale w czyich rękach.

Nazywali się Kahnyen'kehaka, oznajmiły mu dumnie, z wyraźnym zaskoczeniem, że tego nie wie. Mohawkowie, strażnicy wschodnich bram w religii Irokezów. On z kolei był Kakonhoaerhas.

Trochę trwało, zanim udało mu się ustalić dokładne znaczenie tego miana. W końcu jedna z dziewcząt dla ilustracji przyciągnęła jakiegoś kundla - stąd się dowiedział, że jego imię oznacza „psia mordą”.

- Dzięki - powiedział, macając się po gęstej brodzie, obnażył zęby i warknął, one zaś zataczały się ze śmiechu.

To obudziło zainteresowanie matek dziewcząt. Widząc, że ma wciąż spuchniętą nogę, jedna przyniosła jakąś maść, obmyła go i zabandażowała porostami i liśćmi kukurydzy. Kobiety zaczęły do niego mówić, gdy przynosił im drzewo lub wodę. Nie starał się uciekać - jeszcze nie. Panowała zima, często padał śnieg, wiał ostry wiatr. Nie uszedłby daleko, nieuzbrojony, kulawy, nie mając żadnej ochrony przed pogodą. Czekał, a nocami śnił o utraconych światach.

Gdy pojawił się jezuita, rzeka wciąż miała

zamarznięte brzegi.

Rogerowi wolno było swobodnie chodzić po wsi. Przebywał na dworze, gdy psy zaczęły szczekać, a wartownicy pokrzykiwać, co oznaczało przybycie gości. Mieszkańcy wyszli z domów, a on z ciekawości poszedł za nimi. Pojawiła się duża grupa Mohawków, mężczyzn i kobiet, wszyscy pieszo, obciążeni jak zwykle zawiniątkami. To wydało mu się dziwne, dotychczas do wsi docierały tylko niewielkie grupki myśliwych. Jeszcze dziwniejsze było to, że goście przyprowadzili z sobą białego człowieka. Błade zimowe słońce rozjaśniało jasne włosy mężczyzny. Roger podszedł bliżej, chcąc popatrzeć, ale mieszkańcy wioski go odepchnęli; zdążył jednak dostrzec, że mężczyzna był księdzem. Pod okryciem ze skóry niedźwiedzia, nad skórzanymi spodniami i mokasynami widać było podarte resztki długiej, czarnej sukni. Ksiądz nie zachowywał się jak więzień, nie był też związany, a jednak Roger miał wrażenie, że podróżuje pod przymusem. Na młodej twarzy malowało się napięcie.

Wraz z kilkoma towarzyszami zniknął w długim domu, gdzie sachem zwoływał radę. Roger nigdy tam nie był, ale słyszał, jak mówiły o tym kobiety.

Jedna ze starszych kobiet z jego własnego długiego domu zauważyła, że kręci się w tłumie, i ostro kazała mu przynieść więcej drewna. Poszedł i nie widział już więcej księdza, choć w wiosce zauważał nowo przybyłych, których rozmieszczono w poszczególnych długich domach.

Coś się w wiosce działo, czuł jakieś prądy wokół siebie, ale ich nie rozumiał. Mężczyźni wieczorami dłużej siedzieli przy ogniskach, rozmawiając, kobiety mruczały do

siebie przy pracy, lecz Roger nie był w stanie zrozumieć, o co chodzi. Spytał o nowo przybyłych jedną z dziewczynek. Powiedziała mu jedynie, że przybyli z wioski położonej dalej na północ. Nie wiedziała, dlaczego przyszli - tyle tylko, że miało to coś wspólnego z Czarną Suknią, Kahontsi'yatawi.

Jakiś tydzień później myśliwi zabrali Rogera na wyprawę do lasu.

Było zimno, choć świeciło słońce. Odeszli dość daleko, ale w końcu znaleźli i zabili łosia. Rogera zdumiała nie tylko wielkość zwierzęcia, lecz także jego głupota, rozumiał więc, że myśliwi traktowali je z pogardą. W zabiciu łosia nie było żadnego tytułu do chwały, chodziło tylko o mięso - i to w dużej ilości. W drodze powrotnej obładowano go jak muła, a dodatkowy ciężar nie służył zranionej nodze. Zanim wrócili do wioski, utykał tak mocno, że nie był w stanie dotrzymać kroku myśliwym. Został z tyłu, rozpaczliwie starając się nie stracić ich z oczu, by nie zgubić się w lesie.

Ku jego zaskoczeniu, gdy w końcu kulejąc, pojawił się w wiosce, czekało na niego kilku mężczyzn. Zabrali mu mięso i wciągnęli do środka, nie zaprowadzili go jednak do długiego domu, tylko do niewielkiej chaty, stojącej na końcu centralnego placu. Nie znał języka na tyle, by zadawać pytania, sądził zresztą, że i tak nikt by mu nie odpowiedział. Wepchnęli go do środka i zostawili.

W chacie palił się niewielki ogień, po jasnym dniu na zewnątrz było jednak tak ciemno, że przez chwilę nic nie widział.

- Kim jesteś? - dobiegło go zadane po francusku

pytanie.

Roger zamrugał i dostrzegł niewielką postać, podnoszącą się z klęczek przy ognisku. Ksiądz.

- Roger MacKenzie - przedstawił się. - Et vous? - Nagle zalała go fala szczęścia, że mógł powiedzieć swoje imię. Indian nie obchodziło, jak się nazywa. Gdy chcieli go zawołać, wołali „Psia Morda”.

- Alexandre. - Ksiądz podszedł bliżej, z równocześnie zadowolonym i niedowierzającym wyrazem twarzy. - Pere Alexandre Ferigault. Vous etes anglais?

- Jestem Szkotem - powiedział Roger i usiadł nagle, bo ugięła się pod nim zraniona noga.

- Szkotem? I skąd się tu wziąłeś, jesteś żołnierzem?

- Więźniem.

Ksiądz przykucnął obok i przyglądał mu się z ciekawością. Był dość młody, miał dwadzieścia parę, może trzydzieści lat. Jego jasna cera ucierpiała na skutek zimna.

- Zjesz ze mną? - Wskazał niewielki zestaw glinianych garnuszków i koszyczków, w których znajdowało się jedzenie i woda.

Mówienie we własnym języku najwyraźniej przynosiło księdzu taką samą ulgę jak Rogerowi. Zanim skończyli posiłek, dowiedzieli się tego i owego o swojej przeszłości, choć nie wyjaśnili sobie obecnej sytuacji.

- Dlaczego umieścili mnie tutaj z tobą? - spytał Roger, wycierając usta. Raczej nie chodziło o zapewnienie księdzu towarzystwa; nie zauważył dotychczas, by Mohawków cechowała szczególna życzliwość.

- Nie potrafię powiedzieć. Byłem zaskoczony, widząc białego człowieka. Roger rzucił okiem ku drzwiom

chaty; lekko się ruszały, ktoś tam stał.

- Czy jesteś więźniem? - spytał z pewnym zaskoczeniem. Ksiądz zawahał się i wzruszył ramionami, uśmiechając się lekko.

- Na to też nie potrafisz odpowiedzieć. U Mohawków jest się Kahnyen'kehaka albo obcym. A jeśli jest się obcym, to różnica między gościem a więźniem może zatrzeć się w dowolnej chwili. Powiedzmy, że żyłem wśród nich przez kilka lat, ale nie przyjęli mnie do plemienia. Wciąż jestem obcy. - Odkaslnął i zmienił temat. - A jak to się stało, że cię złapali?

Roger zawahał się, nie wiedząc, jak odpowiedzieć.

- Zostałem zdradzony - powiedział w końcu. - Sprzedany. Ksiądz współczująco pokiwał głową.

- Czy jest ktoś, kto może cię wykupić? Jeśli mają nadzieję na okup, postarają się utrzymać cię przy życiu.

Roger pokręcił głową, czując pustkę w żołądku.

- Nie ma nikogo takiego.

Światło padające przez otwór dymny ściemniało, zapadał zmierzch. Siedzieli w ciemności i nie rozmawiali. Nie mieli drewna, więc ognisko wygasło. Chata robiła wrażenie opuszczonej już jakiś czas temu. Była tam zbudowana z żerdzi rama łóżka, ale właściwie nic poza tym - jeszcze tylko kilka podartych skór jelenich, a w kącie jakieś domowe śmieci.

- Czy od dawna przebywasz w tej chacie? - Roger w końcu przerwał milczenie. Ksiądz był jedynie cieniem w mroku, choć przez otwór dymny widać było jeszcze nieco jaśniejsze niebo.

- Nie, przyprowadzili mnie tu dzisiaj, niedługo przed

tobą. - Poruszył się niespokojnie.

Roger pomyślał, że chyba nie zapowiada to niczego dobrego, uznał jednak, że taktowniej będzie o tym nie mówić. Niewątpliwie ksiądz tak samo jak on zdawał sobie sprawę, że granica między gościem a więźniem została przekroczona. Cóż on takiego zrobił?

- Jesteś chrześcijaninem? - Teraz Alexandre przerwał milczenie.

- Tak, mój ojciec był pastorem.

- Ach, tak. Czy mogę prosić... Jeśli mnie zabiorą, czy będziesz się za mnie modlić?

Rogera przebiegł nagły dreszcz, który nie miał nic wspólnego z panującym w chacie chłodem.

- Tak, oczywiście, jeśli sobie życzysz - zapewnił niezręcznie.

Ksiądz wstał i zaczął chodzić nerwowo tam i z powrotem.

- Może wszystko będzie dobrze - powiedział tonem, który zdradzał, że sam siebie usiłuje przekonać. - Wciąż nie podjęli decyzji.

- W jakiej sprawie?

Raczej wyczuł, niż zobaczył, że ksiądz wzruszył ramionami.

- Czy mam żyć.

Na to nie było dobrej odpowiedzi, znów więc zapanowało milczenie. Roger siedział zwinięty przy wygasłym ognisku, pozwalając odpocząć bolącej nodze, ksiądz natomiast chodził tam i z powrotem, aż w końcu usiadł obok. Bez słowa przysunęli się do siebie, starając się nawzajem ogrzać. Czekala ich zimna noc.

Roger naciągnął na siebie jedną ze skór i najwyraźniej się zdrzemnął; na nagły hałas od drzwi usiadł i zamrugał, oślepiiony ogniem.

W chacie znajdowało się czterech wojowników Mohawków.

Jeden z nich rzucił na ognisko naręcze drew i wsunął między nie trzymaną w rękę pochodnię. Ignorując Rogera, pozostali podnieśli ojca Ferigault i brutalnie odarli z ubrania. Roger poruszył się instynktownie, próbował wstać, ale, uderzony, upadł na ziemię.

Ksiądz rzucił mu szybkie spojrzenie, wyraźnie prosząc, by się nie wtrącał.

Jeden z wojowników przysunął pochodnię do twarzy ojca Ferigault. Powiedział coś, co brzmiało jak pytanie, a nie otrzymując odpowiedzi, opuścił pochodnię tak blisko ciała, że biała skóra załśniła czerwienią. Ogień pochodni chwiał się w pobliżu genitaliów Alexandre'a, twarz pokrywał mu pot, ale starał się patrzeć obojętnie.

Wojownik z pochodnią dźgnął nią nagle księdza, ten się cofnął, Indianin roześmiał się i zrobił to raz jeszcze. Tym razem ksiądz był przygotowany. Roger poczuł zapach palonych włosów, ale Alexandre ani drgnął. Znudzeni zabawą, dwaj wojownicy złapali księdza za ramiona i wyciągnęli z chaty.

„Jeśli mnie zaborą, módl się za mnie”. Roger usiadł powoli, włosy na jego ciele zjeżyły się ze strachu. Słyszał zanikające w oddali głosy rozmawiających między sobą Indian, nie słyszał jednak głosu księdza.

Ubrania Alexandre'a leżały rozrzucone po całej chacie. Roger pozbierał je, starannie wytrzepał i złożył.

Ręce mu drżały, starał się modlić, ale trudno mu było się skupić. Gdzieś za słowami modlitwy słyszał cichy, zimny głos, pytający: „A gdy mnie przyjdą zabrać, kto będzie się za mnie modlił”?

Zostawili mu ogień, starał się więc przekonać samego siebie, że nie zamierzają go od razu zabić, bo zapewnienie pociechy skazanemu więźniowi nie leżało w zwyczajach Mohawków. Po jakimś czasie zwinął się na boku, przykrył skórą i patrzył w płomienie, aż w końcu zasnął, zmęczony przerażeniem.

Z niespokojnego snu obudziło go szuranie stóp i czyjeś głosy.

Odtoczył się od ognia i przykucnął pod ścianą, rozpaczliwie rozglądając się za czymś, co mogłoby posłużyć jako broń. Skóra w drzwiach podniosła się, a do środka wrzucono nagie ciało księdza.

Głosy na zewnątrz oddaliły się, Alexandre poruszył się i jęknął. Roger podszedł szybko i przyklęknął przy nim, bo czuł zapach świeżej krwi; pamiętał ten zapach z polowania na łosia.

- Czy jesteś ranny? Co ci zrobili?

Szybko uzyskał odpowiedź. Obrócił nieprzytomnego księdza, zobaczył krew, spływającą mu po twarzy i szyi, więc złapał podarty habit, by spróbować ją zatamować. Odsunął splecione blond włosy i stwierdził, że czymś ostrym odcięto księdzu ucho i kawałek skóry razem z włosami. Roger zacisnął zęby i mocno przycisnął materiał do świeżej rany. Nie puszczając, przyciągnął do ognia ojca Ferigault, który zaczynał już jęczeć, resztką ubrań i oboma skórąmi przykrył wiotkie ciało, obmył księdzu twarz i wlał trochę

wody między zęby.

- W porządku - mruczał cały czas, choć nie był pewien, czy tamten go słyszy. - W porządku, nie zabili cię. - Zastanawiał się równocześnie, czy nie lepiej byłoby, gdyby to zrobili. Czy miało to posłużyć jedynie jako ostrzeżenie, czy też stanowiło wstęp do większych tortur?

Ognisko znów przygasło, w czerwonym świetle sącząca się krew wydawała się czarna. Ciałem ojca Alexandre'a cały czas miotły konwulsyjne ruchy, wywołane bólem i szokiem. Nie był w stanie zasnąć. Nie potrafił zasnąć także i Roger, niemal tak jak ksiądz świadomy każdej niekończącej się minuty.

Przeklinał swoją bezsilność, dałby wszystko, by choć na chwilę ulżyć tamtemu w bólu. Wiedział, że nie chodzi tylko o współczucie.

Ciche pojękiwania i inne dźwięki wydawane przez ojca Alexandre'a sprawiały, że Roger nie potrafił przestać myśleć o okaleczeniu, a wraz z krwią w żyłach krążył mu strach. Gdyby tylko ksiądz był w stanie zasnąć, umilkłby... i może w ciemności potworność nie wydawałaby się tak wielka.

Wydawało mu się, że po raz pierwszy jest w stanie zrozumieć, co powodowało Claire Randall, gdy wychodziła na pole bitwy, by nieść ulgę rannym. Pomoc drugiemu człowiekowi w bólu i śmierci oznaczała ukojenie strachu przed tym w sobie samym, a byłby gotów zrobić niemal wszystko, by zdusić własny strach. W końcu, niezdolny już dłużej słuchać szeptanych modlitw i jęków, położył się koło księdza i wziął go w ramiona.

- Cii - powiedział, przysuwając głowę do głowy ojca

Alexandre'a. Miał nadzieję, że to ta strona, po której ucho jeszcze zostało. - Bądź cicho. Reposez - vous.

Chude ciało księdza drżało, mięśnie kurczyły się z zimna i bólu.

Roger starał się rozmasować mu plecy, dłonie i nogi. Naciągnął na nich obie podarte skóry.

- Wszystko będzie dobrze - mówił po angielsku, wiedząc, że nie ma znaczenia, co mówi, ważne jest tylko, żeby mówił. - Już dobrze, wszystko w porządku, tak. - Chciał uspokoić siebie w takiej samej mierze jak księdza. Dotyk nagiego ciała Alexandre'a nieco go szokował.

Ksiądz przywarł do niego, oparł mu głowę na ramieniu. Nic nie mówił, ale Roger czuł na skórze mokre łzy. Zmusił się, by mocno przytulić Alexandre'a, rozcierał mu plecy wzdłuż kręgosłupa, koncentrował się na myśli o tym, jak powstrzymać te straszne dreszcze.

- Mógłbyś być psem - powiedział Roger. - Zagubionym, zbitym psem. Zrobiłbym to, gdybyś był psem, oczywiście, że bym to zrobił.

Nie, nie zrobiłbym - mruknął do siebie. - Chybabym wezwał towarzystwo opieki nad zwierzętami.

Poklepał Alexandre'a po głowie, uważając, by nie dotknąć przypadkowo krwawej rany. Włosy na karku księdza lepiły się od potu, choć ciało miał zimne jak lód.

- Nikt by tak nie potraktował psa - mruknął Roger. - Paskudni dzicy. Wezwę policję. Opublikuję ich zdjęcia w „Timesie”. Poskarżę się memu posłowi. - Wydał z siebie dźwięk zbyt przestraszony, by można go nazwać śmiechem. Mocno objął księdza i kołysał go w ciemnościach. - Reposez - vous, mon ami. C'est bien, la, c'est bien.

55. Niewola II

River Run, marzec 1770

Brianna otarła pędzel o brzeg palety, wyciskając nadmiar terpentyny, by uzyskać cienki koniec. Nabrała odrobinę mieszanki zieleni weneckiej z kobaltem i dodała cienką linię cienia do brzegu rzeki.

Na ścieżce za nią, od strony domu, rozległy się kroki.

Rozpoznawała nieregularny, podwójny rytm - nadchodził nierozłączny duet. Spięła się lekko, zwalczając chęć złapania mokrego płótna i schowania za mauzoleum Hektora Camerona. Jokasta jej nie przeszkadzała; rankami, gdy Brianna malowała, często przychodziła tu z nią posiedzieć. Rozmawiały wówczas o technikach malarskich, o nakładaniu pigmentu i tak dalej. Co więcej, Brianna lubiła towarzystwo ciotecznej babki. Interesowały ją opowieści o dzieciństwie spędzonym w Szkocji, o babci i pozostałych MacKenziech z Leoch. Inaczej jednak wyglądała sprawa, gdy Jokasta przychodziła z wiernym psem przewodnikiem.

- Dzień dobry, siostrzenico. Czy nie za zimno dla ciebie tego ranka? Jokasta zatrzymała się, otulając mocniej peleryną, i uśmiechnęła do Brianny. Kto nie wiedział, nie zdawałby sobie sprawy, że Jokasta nie widzi.

- Nie, tu jest dobrze, grobowiec osłania mnie przed wiatrem. Jak na razie jednak skończyłam. - W rzeczywistości nie skończyła, ale wstawiła pędzel do słoiczka z terpentyną i zaczęła czyścić paletę. Nie miała zamiaru malować, słuchając, jak Ulisses głośno opisuje ciotce każde pociągnięcie pędzla.

- Tak? To zostaw tu swoje rzeczy, Ulisses je potem

przyniesie.

Niechętnie zostawiając sztalugi, Brianna zabrała tylko szkicownik i wsunęła go sobie pod ramię, drugie podając Jokaście. Nie zamierzała pozostawiać tego na widoku, bo Pan Wszystkowidzący i Wszystkomówiący na pewno by go przejrzał.

- Mamy dziś towarzystwo - powiedziała Jokasta, zwracając się ku domowi. - To sędzia Alderdyce z Cross Creek i jego matka.

Pomyślałam, że przed obiadem zechcesz się przebrać.

Brianna ugryzła się w policzek, by nie odpowiedzieć na tę niezbyt subtelną sugestię. Kolejni goście.

W tych okolicznościach nie mogła odmówić spotkania się z gośćmi ciotki czy nawet przebierania się dla nich, choć życzyłaby sobie, by Jokasta była mniej towarzyska. Goście pojawiali się nieustannie: na obiad, na herbatę, na kolację, na noc, na śniadanie.

Przybywali kupić konie, sprzedać krowy, porozmawiać o drewnie, pożyczyć książki, przywieźć podarunki bądź grać na instrumentach.

Pochodzili z pobliskich plantacji, z Cross Creek, a nawet z Edenton i New Bern. Wachlarz znajomości Jokasty był zdumiewający. Brianna zauważyła jednak, że ostatnio coraz częściej goszczą mężczyźni.

Nieżonatych.

Wyciągając z garderoby świeżą suknię, Fedra potwierdziła podejrzenia Brianny.

- W kolonii nie ma wielu niezamężnych kobiet - odpowiedziała na uwagę Brianny, że niemal wszyscy goście

są kawalerami. Rzuciła okiem na brzuch Brianny, wyraźnie rysujący się pod luźną, muślinową koszulą. - Szczególnie młodych. Nie mówiąc już o takich, które dziedziczą River Run.

- Które co?! - Brianna upinała właśnie włosy, ale zatrzymała się w pół ruchu i odwróciła ku pokojówce.

Fedra zasłoniła dłonią usta, patrząc szeroko otwartymi oczyma.

- Ciocia pani nie mówiła? Byłam pewna, że pani wie! Inaczej nic bym nie powiedziała.

- Skoro powiedziałaś już tyle, mów dalej. Co miałaś na myśli?

Fedry nie trzeba było długo namawiać, kochała plotki.

- Jeszcze tydzień nie upłynął od wyjazdu pani taty, a panna Jo posłała po prawnika, pana Forbesa, i zmieniła testament. Kiedy panna Jo umrze, pani tato dostanie trochę pieniędzy, pan Farquard i inni przyjaciele kilka rzeczy osobistych, ale wszystko pozostałe przypadnie pani. Plantacja, drewno, tartak...

- Ależ ja tego nie chcę!

Elegancko uniesiona brew Fedry wyrażała głęboką wątpliwość.

- To chyba nie chodzi o to, co pani chce. Panna Jo zazwyczaj dostaje to, czego ona sobie życzy.

Brianna powoli odłożyła szczotkę do włosów.

- A czego właściwie sobie życzy? - spytała. - Czy to też przypadkiem wiesz?

- To nie jest żaden sekret. Chce, by River Run przetrwało dłużej niż ona i by należało do kogoś z jej krwi.

Wydaje mi się to rozsądne.

Nie ma dzieci ani wnuków, więc kto miałby przejąć po niej spuściznę, gdy panny Jokasty nie będzie?

- Cóż, jest mój ojciec.

Fedra położyła czystą suknię na łóżku i przyjrzała jej się, marszcząc brwi, następnie przeniosła wzrok na talię Brianny.

- Pani brzuch rośnie tak szybko, że za dwa tygodnie ta też już będzie za mała. Och, tak, jest pani tato. Próbowала uczynić go spadkobiercą, ale, jak słyszałam, odmówił. - Wydeła wargi, rozbawiona. - To dopiero uparty człowiek. Wyjechać w góry i żyć jak czerwonoskóry tylko po to, by nie robić tego, co chce panna Jo. Pan Ulisses uważa jednak, że pani tato miał rację - gdyby został, on i panna Jo bez przerwy by się kłócili.

Brianna powoli upinała włosy z drugiej strony, lecz spinka znów się z nich wysunęła i fryzura się rozsypała.

- Panno Bree, niech mi pani pozwoli to zrobić. - Fedra stanęła za nią, wyciągnęła spinki i zaczęła zręcznie splatać włosy.

- I ci wszyscy goście... ci mężczyźni...

- Panna Jo wybierze dobrego - zapewniła ją Fedra. - Nie może pani sama prowadzić plantacji, tak samo jak panna Jo. Pan Duncan spadł nam z nieba, nie wiem, co zrobiłaby bez niego.

Zdumienie powoli ustępowało wściekłości.

- Stara się wybrać mi męża? Pokazuje mnie jak... jak jakąś nagrodzoną jałówkę?

- Uhm. - Fedra najwyraźniej nie widziała w tym nic złego, w skupieniu wplatała w warkocz wysuwający się

kosmyk.

- Ależ ona wie o Rogerze... o panu Wakefieldzie. Jak może starać się wydać mnie za męż...

Fedra westchnęła z pewnym współczuciem.

- Wydaje mi się, że uważa, iż go nie znajda. Panna Jo wie to i owo o Indianach. Wszyscy słyszeliśmy, jak pan Myers opowiadał o Irokezach. - W pokoju było chłodno, ale na czole i pod nosem Brianny wystąpił pot. - Poza tym panna Jo nie zna tego Wakefielda - mówiła dalej Fedra, wplatając w warkocz niebieską, jedwabną wstążkę. - Może nie okaże się dobrym zarządcą. Jej zdaniem lepiej wydać panią za męż za kogoś, kto na pewno dobrze zajmie się jej majątkiem, może dołączy do własnego i stworzy dla pani naprawdę wspaniałą posiadłość.

- Nie chcę żadnej wspaniałej posiadłości! Nie chcę t e j posiadłości! - W miejsce oburzenia pojawiła się teraz panika.

Fedra związała koniec wstążki.

- Cóż, jak mówiłam, nie chodzi o to, co pani chce, tylko o to, co chce panna Jo. A teraz przymierzmy tę suknię.

W holu rozległy się kroki i Brianna pospiesznie przełożyła stronę szkicownika, odsłaniając nieukończony jeszcze rysunek węglem, przedstawiający rzekę i drzewa. Kroki oddaliły się jednak, odetchnęła więc z ulgą i wróciła do poprzedniej strony. Nie pracowała, rysunek był już ukończony. Chciała tylko na niego popatrzeć.

Narysowała go w profilu trzy czwarte, z odwróconą głową, wsłuchanego w nastrajane właśnie struny gitary. Był to zaledwie szkic, ale pamięć podpowiadała, że dobrze uchwyciła linię głowy i ciała. Mogła patrzeć na ten rysunek

i wyobrażać go sobie. Czasem wydawało jej się, że jest niemal w stanie go dotknąć. Były też inne rysunki, niektóre pokreślone, niektóre dobrze oddające podobieństwo.

Kilka samych w sobie było dobrych, ale nie oddawały istoty sprawy.

Jeden czy dwa, takie jak ten, służyły jej pociechą w późne popołudnia, gdy światło przygasało, a ogień żarzył się w kominku. Teraz też światło nad rzeką ciemniało, a srebrny kolor wody przybierał łagodniejszy, cynowy poblask.

Były też inne szkice, ukazujące Jamiego Frasera, jej matkę, Iana.

Zaczęła je rysować z samotności, a teraz patrzyła na nie ze strachem, wbrew wszystkiemu mając nadzieję, że te kawałki papieru to nie jedyna rzecz, która zostanie jej po tak krótko znanej rodzinie.

„Wydaje mi się, że panna Jo uważa, iż go nie znajdują. Panna Jo wie to i owo o Indianach”.

Miała wilgotne ręce, węgiel rozmazał się na rogu strony. Tuż za drzwiami bawialni rozległy się miękkie kroki, więc natychmiast zamknęła szkiecownik. Wszedł Ulisses, trzymając płonąca cienką świeczkę, i zaczął od niej zapalać świece w wielkim kandelabrze.

- Jeśli o mnie chodzi, nie musisz tego robić - odezwała się Brianna. Nie chciała naruszać cichej melancholii tego pokoju, powodowała nią także skromność.
- Mnie nie przeszkadza ciemność.

Kamerdyner uśmiechnął się lekko i nie zaprzestał pracy. Dotykał każdego knota po kolei. Maleńkie płomyki rozżarzały się jak dziny przywołane różdżką

czarnoksiężnika.

- Panna Jo wkrótce tu przyjdzie - wyjaśnił. - Widzi światło i ogień, dzięki temu wie, w którym miejscu pokoju się znajduje.

Skończył, zgasił świeczkę, a następnie cicho chodził po pokoju, porządkując rzeczy przesunięte przez popołudniowych gości, dorzucając drewna do kominka, rozdmuchując żar miechem.

Brianna przyglądała mu się: drobnym ruchom dobrze utrzymanych dłoni, staranności, z jaką umieszczał karafkę whisky i szklaneczki. Ile razy porządkował już ten pokój, ustawiał każdy mebel, każdy drobny ornament, dokładnie na miejscu, by dłoń jego pani bezbłędnie go ujęła? Całe życie poświęcone potrzebom kogoś innego. Ulisses potrafił czytać i pisać po francusku i po angielsku, potrafił liczyć i grać na harfie. Wszystkie te umiejętności, cała ta wiedza - wykorzystywana tylko dla rozrywki autokratycznej starej damy.

Mówi jednemu „chodź tu”, a przychodzi, innemu „idź”, a idzie.

Tak, Jokasta tak właśnie postępuje. I jeśli postawi na swoim, to ona, Bree, będzie właścicielką tego człowieka.

To była zupełnie niewyobrażalna myśl. Co więcej, absurdalna.

Bree poruszyła się niecierpliwie na fotelu, starając się myśleć o czym innym. Ulisses zauważył jej ruch i odwrócił się z pytaniem, czy czegoś jej nie potrzeba.

- Ulissiesie, czy chcesz być wolny? - W chwili gdy wypowiedziała te słowa, ugryzła się w język. Czuła, jak z zażenowania pałą ją policzki. - Przepraszam, to strasznie

niegrzeczne pytanie - dodała natychmiast i spojrzała na splecione na kolanach ręce.

- Proszę o wybaczenie.

Wysoki kamerdyner nie odpowiedział, przyglądał się jej tylko przez chwilę z zagadkowym wyrazem twarzy. Dotknął lekko peruki, jakby chciał ją poprawić, i znów zajął się pracą, układając szkice rozrzucone po stole w równy stosik.

- Urodziłem się wolny - powiedział w końcu tak cicho, że nie była w pierwszej chwili pewna, czy go dobrze usłyszała. Pochylił głowę, wpatrzony w swoje długie, czarne palce zbierające pionki z kości słoniowej ze stolika do gier i układające je porządnie w pudełku.

- Mój ojciec miał małą farmę niedaleko stąd, zmarł jednak ukąszony przez węża, gdy miałem mniej więcej sześć lat. Matka nie była w stanie nas utrzymać, brakowało jej sił, by pracować w polu, sprzedała się więc, a pieniądze dała pewnemu cieśli, by nauczył mnie zawodu, gdy osiągnę właściwy wiek. - Odstawił pudełko na przeznaczone mu miejsce na stoliku do gier i strzepnął okruszek ciasta. - Potem jednak umarła - mówił rzeczowo - cieśla zaś, zamiast przyjąć mnie na terminatora, stwierdził, że jestem dzieckiem niewolnicy, więc zgodnie z prawem też jestem niewolnikiem. I mnie sprzedał.

- Ależ to bezprawie!

Spojrzał na nią z cierpliwym rozbawieniem, lecz nie skomentował. A cóż prawo ma do tego? - mówiły jego ciemne oczy.

- Miałem szczęście - kontynuował. - Sprzedano mnie tanio, bo byłem bardzo mały i drobny, nauczycielowi,

którego zatrudniało kilku właściciele plantacji na Cape Fear, by uczył ich dzieci. Jeździł od domu do domu, zatrzymując się w każdym na tydzień czy miesiąc.

Towarzyszyłem mu, siedząc za nim na zadzie konia i zajmując się zwierzęciem, gdyśmy się zatrzymywali. Ponieważ podróże były długie i męczące, mówił do mnie albo śpiewał. Kochał śpiewać, miał piękny głos... - Ku zaskoczeniu Brianny Ulisses wyglądał, jakby ogarnęła go nostalgia, zaraz jednak potrząsnął głową, wyjął ściereczkę z kieszeni i zaczął wycierać kredens. - To nauczyciel nazwał mnie Ulissem, znał nieco grekę i łacinę. Dla własnej rozrywki, wieczorami, gdy noc złapała nas w drodze i musieliśmy rozbić obóz, nauczył mnie czytać. - Wzruszył lekko ramionami. - Gdy nauczyciel też umarł, miałem około dwudziestu lat. Kupił mnie Hektor Cameron i odkrył moje umiejętności. Nie wszyscy panowie ceniliby takie cechy u niewolnika, ale pan Cameron nie był zwykłym człowiekiem - uśmiechnął się lekko. - Nauczył mnie grać w szachy i zakładał się, czy wygram z jego przyjaciółmi, kazał nauczyć mnie śpiewać i grać na harfie, bym mógł bawić jego gości, a gdy panna Jokasta zaczęła tracić wzrok, podarował mnie jej, bym był jej oczami.

- Jak naprawdę miałeś na imię?

Myślał przez chwilę, a potem uśmiechnął się, ale uśmiech nie sięgnął jego oczu.

- Chyba już nie pamiętam - powiedział uprzejmie i wyszedł z pokoju.

56. Wyznanie ciała

Obudził się nieco przed świtem. Wciąż było bardzo ciemno, ale powietrze pachniało inaczej. Żar wygasł, za to

doleciał go zapach lasu.

Alexandre'a nie było obok niego; leżał sam pod skórą jelenia i było mu bardzo zimno.

- Alexandre? - szepnął chrapliwie. - Pere Ferigault?

- Jestem tutaj. - Młody ksiądz mówił cicho i jakby z wielkiej odległości, choć siedział metr dalej.

Roger podniósł się na łokciu. Niewyraźnie widział, że Alexandre siedzi po turecku, wyprostowany, z twarzą uniesioną ku otworowi dymnemu.

- Jak się czujesz? - Jedna strona szyi księdza była ciemna od krwi, choć jego twarz, o ile Roger widział, miała pogodny wyraz.

- Wkrótce mnie zabiją. Może dzisiaj.

Roger usiadł, podciągając skórę do piersi. Już i tak było mu zimno, a teraz spokojne słowa księdza przeszyły go lodem.

- Nie, nie zabiją - zaprotestował, kaszląc, by uwolnić gardło od sadzy. Alexandre nie zadał sobie trudu, by się sprzeczać, nie poruszył się nawet.

Siedział nago, nie zwracając uwagi na zimne poranne powietrze, wpatrując się w górę. W końcu jednak skierował wzrok na Rogera.

- Czy wysłuchasz mojej spowiedzi?

- Nie jestem duchownym. - Roger podniósł się na kolana i przesunął po podłodze, trzymając przed sobą skórę.

- Zimno ci, przykryj się tym.

- To nie ma znaczenia.

Roger nie był pewien, czy według księdza znaczenia nie ma chłód czy fakt, że nie jest duchownym. Położył dłoń na nagim ramieniu Alexandre'a. Czy miało to znaczenie, czy

nie, było ono zimne jak lód.

Przysunął się możliwie jak najbliżej i okrył skórą ich obu. Tam, gdzie dotykał zimnego ciała księdza, pokrywał się gęsią skórą - nie przeszkadzało mu to jednak. Pochylił się, chcąc przekazać Alexandre'owi część własnego ciepła.

- Powiedziałeś mi, że twój ojciec był kapłanem. - Alexandre odwrócił głowę. Roger czuł na szyi jego oddech.

- Pastorem, tak. Ale ja nim nie jestem. - Raczej wyczuł, niż zobaczył, lekceważący gest tamtego.

- Jeśli zachodzi konieczność, każdy człowiek może pełnić funkcję kapłana. - Zimne palce przelotnie dotknęły uda Rogera. - Czy wysłuchasz mojej spowiedzi?

- Jeśli to... Tak, jeśli chcesz. - Czuł się niezręcznie, ale nie mogło to zaszkodzić, a jeśli tamtemu pomoże... W chacie i całej wiosce panowała cisza, jedynym dźwiękiem był wiatr szarpiący sosnami.

Odchrząknął. Czy to Alexandre powinien zacząć, czy też on musi najpierw coś powiedzieć?

Jak gdyby na sygnał, Francuz pochylił ku niemu głowę tak, że lekkie światło rozjaśniło mu włosy.

- Pobłogosław mnie, bracie, bo zgrzeszyłem - powiedział cicho. I rozpoczął spowiedź, z pochyloną głową i dłońmi złożonymi na kolanach.

Wysłano go z Detroit pod eskortą Huronów w dół rzeki aż do osady Ste. Berthe de Ronvalle, gdzie miał zastąpić na stanowisku szefa misji starszego księdza, który zachorował.

- Byłem tam szczęśliwy - ciągnął Alexandre rozmarzonym tonem, jakiego używają ludzie, opowiadając o wydarzeniach sprzed lat. - Było to dzikie miejsce, ja jednak

byłem bardzo młody i żarliwie wierzyłem. Z chęcią przyjmowałem trudności.

Młody? Nie może być przecież wiele starszy od niego. Alexandre wzruszył ramionami, odrzucając przeszłość.

- Spędziłem z Huronami dwa lata i wielu nawróciłem. Potem poszedłem z grupą Huronów do Fort Stanwix, gdzie odbywało się wielkie zgromadzenie plemion z całego regionu. Tam poznałem Kennyanisi-t'ago, wodza wojennego Mohawków. Słyszał moje kazanie i natchniony Duchem Świętym zaproponował, bym udał się z nim do jego wsi.

Wiadomo było, że Mohawków bardzo trudno nawracać, uznał więc to za okazję zesłaną przez niebiosa. I tak pere Ferigault ruszył w dół rzeki, płynąc kanoe w towarzystwie Kennyanisi-t'ago i jego wojowników.

- To był mój pierwszy grzech. Duma. - Podniósł palec, jak gdyby zaczynając wyliczanie. - Jednak Bóg wciąż był ze mną.

Mohawkowie stanęli po stronie Anglików podczas niedawnej wojny z Francją i Indianami, więc młodego francuskiego kapłana potraktowali bardzo podejrzliwie. Nie poddawał się jednak. Opanował ich język, by uczyć ich w sposób dla nich zrozumiały. Udało mu się nawrócić część wioski, choć nie wszystkich; do nawróconych należał jednak wódz wojenny, co zapewniało mu ochronę. Niestety wioskowy sachem był mu przeciwny, a we wsi panowało stałe napięcie między chrześcijanami a niechrześcijanami.

Kapłan oblizwał suche wargi, potem podniósł dzbanek z wodą i napił się.

- A potem... - powiedział, oddychając głęboko - potem popełniłem drugi grzech.

Zakochał się w jednej z nawróconych kobiet.

- Czy przed tym miałeś kobiety? - Roger zakrzuszył się własnym pytaniem, ale Alexandre odpowiedział bez wahania.

- Nie, nigdy. - Zaśmiał się lekko, gorzko kpiąc z samego siebie. - Uważałem, że ta pokusa mi nie grozi. Jednak wobec pokus ciała, podsuwanych przez szatana, człowiek jest słaby.

Przez kilka miesięcy żył z dziewczyną w jej długim domu.

Pewnego ranka wstał wcześniej, poszedł nad strumień, by się umyć, i w wodzie dostrzegł własne odbicie.

- Nagle w wodzie coś się zakotłowało, powierzchnia się zmaciła, pojawił się wielki otwarty pysk - dokładnie tam, gdzie była moja twarz.

Był to zaledwie pstrąg, próbujący złapać muchę, ale wstrząśnięty kapłan uznał, że to znak od Boga, iż jego dusza zostanie połknięta przez piekło. Natychmiast wrócił do długiego domu i zabrał swoje rzeczy. Zamieszkał sam w niewielkiej chacie poza wioską. Jednak jego ukochana była w ciąży.

- Czy to właśnie spowodowało kłopoty, które cię tu sprowadziły?

- spytał Roger.

- Nie, nie to samo w sobie. Oni inaczej postrzegają sprawy małżeństwa i moralności - wyjaśnił Alexandre. - Kobiety biorą mężczyzn, jak chcą, a małżeństwo to porozumienie, które trwa tak długo, jak długo partnerzy tego

pragną. Jeśli zaczynają się nie zgadzać, kobieta może wyrzucić mężczyznę ze swego domu albo on może odejść. Dzieci, jeśli są, zostają z matką.

- Cóż zatem...

- Problem polegał na tym, że jako kapłan zawsze odmawiałem chrzczenia dzieci, o ile oboje rodzice nie byli chrześcijanami i w stanie łaski. To konieczne, jeśli dziecko ma być wychowane w wierze.

Inaczej bowiem Indianie uważają sakrament chrztu za coś takiego jak jeden z ich pogańskich obrządków. - Alexandre odetchnął głęboko. - A ja oczywiście tego dziecka nie mogłem ochrzcić. To obraziło i przeraziło Kennyanisi-t'ago. Nalegał, bym to zrobił, a gdy odmówiłem, kazał mnie torturować. Moja... dziewczyna wstawiła się za mną, a jej matka i kilka innych wpływowych osób ją poparło.

W efekcie wioskę podzielił spór, sachem zaś nakazał, by zaprowadzić pere Alexandre'a do Onyarekenata, gdzie bezstronna rada rozstrzygnie, co należy zrobić w celu przywrócenia harmonii.

Roger podrapał się w brodę. Może Indianie nie lubili owłosionych Europejczyków, bo kojarzyli im się z wszami?

- Obawiam się, że nie rozumiem - powiedział ostrożnie. - Odmówiłeś ochrzczenia własnego dziecka, ponieważ matka nie była dobrą chrześcijanką?

Alexandre zrobił zdziwioną minę.

- Ach, nie. Zachowała wiarę, choć gdyby tego nie zrobiła, byłoby to zupełnie zrozumiałe - westchnął ponuro. - Nie, nie mogę ochrzcić dziecka nie ze względu na jego matkę, tylko dlatego, że jego ojciec nie jest w stanie łaski.

Roger potarł czoło, mając nadzieję, że jego twarz nie zdradza zdumienia.

- Ach, to dlatego chciałeś się mi wyświadczyć, byś mógł powrócić do stanu łaski i przez to...

Ksiądz przerwał mu drobnym gestem. Przez chwilę siedział w milczeniu z pochylonymi ramionami. Musiał chyba przypadkowo urazić się w świeżą ranę, bo krew ponownie zaczęła powoli ściekać mu po szyi.

- Wybacz, nie powinienem być cię prosić. Po prostu przepełniała mnie wdzięczność, że mogę mówić własnym językiem. Nie mogłem oprzeć się pokusie, by ulżyć sobie, opowiadając ci to wszystko. Ale to nie ma sensu. Dla mnie nie ma rozgrzeszenia.

Mężczyzna był tak zrozpaczony, że Roger położył mu dłoń na ramieniu. Z całych sił pragnął mu pomóc.

- Jesteś pewien? Powiedziałeś, że w sytuacji...

- Nie o to chodzi. - Ksiądz przykrył dłoń Rogera swoją i ścisnął, jak gdyby oczekiwał, że znajdzie siłę w uchwycie tamtego.

Roger nie odezwał się. Po chwili Alexandre podniósł głowę i spojrzał mu w oczy. Światło na dworze zmieniło się, w powietrzu czuło się jasność zbliżającego się świtu. Gdy mówili, para z ich ust jak dym unosiła się ku otworowi.

- Mimo spowiedzi nie uzyskam wybaczenia. By rozgrzeszenie miało wagę, musi mu towarzyszyć żal za grzechy, muszę swój grzech odrzucić, tego zaś nie mogę zrobić.

Zamilkł. Roger nie wiedział, czy się odezwać, jakich użyć słów.

Kapłan zapewne powiedziałby coś w rodzaju: „tak,

mój synu", on jednak nie potrafił. Zamiast tego ujął drugą dłoń Alexandre'a i mocno przytrzymał.

- Moim grzechem jest miłość do niej - wyznał Alexandre bardzo cicho. - A tej nie potrafię odrzucić.

57. Rozbity uśmiech

- Dwie Włócznie jest przychylny. Sprawę musi przedstawić radzie, która podejmuje decyzje, ale wydaje mi się, że da się to załatwić. - Jamie oparł się o pień sosny, najwyraźniej wyczerpany.

Przebywaliśmy w wiosce już od tygodnia. Przez ostatnie trzy dni większość czasu spędzał z sachemem; rzadko widywałam jego lub Iana, zajmowały się mną bowiem kobiety - uprzejme, ale trzymające dystans. Starannie ukrywałam swój amulet.

- Więc rzeczywiście go mają? - spytałam i poczułam, że mój żołądek, tak długo ściśnięty z niepokoju w twardą kulkę, lekko odpuścił. - Roger naprawdę tu jest? - Jak dotychczas Mohawkowie nie chcieli przyznać, ani że Roger tu jest, ani że go nie ma.

- Cóż, jeśli o to chodzi, to ten stary drań nie chce nic powiedzieć, pewnie się boi, że go wykradnę. Ale albo jest tu, albo gdzieś niedaleko. Jeśli rada zatwierdzi wymianę, za trzy dni damy im whisky, zabierzemy człowieka i ruszymy z powrotem. - Rzucił okiem na ciężkie, niskie chmury, skrywające góry na horyzoncie. - Mam nadzieję, że nadchodzi deszcz, a nie śnieg.

- Czy twoim zdaniem istnieje możliwość, że rada się nie zgodzi?

Westchnął głęboko i przeczesał palcami włosy. Nie związał ich, więc spadały mu splecione na ramiona.

Najwyraźniej negocjacje były trudne.

- Tak, jest taka możliwość. Chcą whisky, ale się jej boją. Część starszych będzie przeciwna, obawiając się wpływu trunku na ludzi, młodszy bardzo go pragną, część jest pośrodku i mówi: tak, weźmy, a jeśli boimy się go sami użyć, możemy wykorzystać do handlu.

- Wakatihsnore ci to wszystko powiedział? - poczułam się zaskoczona. Sachem Dział Szybko wydawał się zbyt chytry, by pozwolić sobie na taką otwartość.

- Nie on, tylko Ian - Jamie uśmiechnął się przelotnie.
- Powiedziałbym, że ten chłopak ma szansę zostać znakomitym szpiegiem. Jadł już przy wszystkich ogniskach we wsi, znalazł też dziewczynę, której się bardzo spodobał. To ona mówi Ianowi, jakie jest zdanie rady matek.

Skuliłam ramiona i okryłam się szczelniej peleryną. Skalna półka, znajdująca się w pewnej odległości od wioski, umożliwiała nam spotkania bez towarzystwa obcych, ale zmuszała do wystawienia się na ostry wiatr.

- I co takiego mówi rada matek? - Tydzień spędzony w długim domu pozwolił mi zrozumieć, jakie znaczenie ma opinia kobiet. Choć w sprawach ogólnych nie podejmowały bezpośrednio decyzji, niewiele działało się bez ich aprobaty.

- Żałują, że nie proponują jakiegoś innego okupu niż whisky, i nie są pewne, czy chcą oddać mężczyznę. Niejedna tutejsza dama ma na niego ochotę. Chętnie przyjęliby go do plemienia. - Jamie wykrzywił usta, a ja roześmiałam się mimo woli.

- Roger to przystojny chłopak - przyznałam.

- Widziałem go - odparł krótko Jamie. - Większość mężczyzn uważa, że to brzydki, owłosiony bydlak, ale

oczywiście o mnie też tak myślą. - Uśmiechnął się lekko, jakby niechętnie, i przesunął dłonią po szczęce. Znając niechęć Indian do owłosienia na twarzy, codziennie rano starannie się golił. - Niewykluczone, że to właśnie da się wykorzystać.

- Co, urodę Rogera czy twoją?

- Fakt, że podoba się on więcej niż jednej damie. Podobno dziewczyna Iana mówi, że zdaniem jej ciotki zatrzymanie go wywoła kłopoty. Uważa, że lepiej go nam oddać, niż żeby kobiety się o niego kłóciły.

Przesunęłam zmarzniętą dłonią po wargach, starając się nie roześmiać.

- Czy rada mężczyzn wie, że niektóre kobiety interesują się Rogerem?

- Nie wiem, bo co?

- Bo gdyby wiedzieli, oddaliby ci go za darmo.

Jamie parsknął, jednak spojrzał na mnie, niechętnie unosząc jedną brew.

- Możliwe. Przekażę Ianowi, by napomknął o tym w rozmowie z młodymi mężczyznami, to nie zaszkodzi.

- Powiedziałeś, że kobiety chciały, byś zaoferował coś innego zamiast whisky. Czy wspomniałeś Działa Szybko o opalu?

Usiadł prosto, najwyraźniej zaciekawiony.

- Tak, wspomniałem. Gdybym wyciągnął zza pazuchy węża, nie byliby bardziej zaskoczeni. Wyraźnie ich to podnieciło. Czuję jednocześnie gniew i strach. Dobrze, że wcześniej wspomniałem o whisky, bo niewykluczone, że zrobiliby mi krzywdę. - Sięgnął do sporrana, wyciągnął opal i wcisnął mi go w dłoń. - Weź go lepiej, Angielko, i chyba

raczej nikomu go nie pokazuj.

Spojrzałam na kamień. Na jego powierzchni lśniły spiralne petroglify.

- Więć miało to dla nich jakieś znaczenie?

- O, niewątpliwie. Nie wiem jakie, ale cokolwiek to było, nie podobało im się. Wódz wojenny chciał wiedzieć, skąd to mam.

Powiedziałem im, że to ty znalazłaś ten kamień. Trochę się wtedy uspokoili, ale i tak miałem wrażenie, że zachowują się jak garnek z wrzątkiem na ogniu - jeszcze trochę i zaczną kipieć.

- Dlaczego chcesz, bym to wzięła? - Gładki kamień był ciepły od jego dłoni. Instynktownie przesuwałam kciukiem po wyrzeźbionej spirali.

- Jak powiedziałem, gdy go zobaczyli, najpierw byli zaskoczeni, a potem źli. Jeden czy dwóch zrobiło gest, jak gdyby chcieli mnie uderzyć, ale się powstrzymali. Przyglądałem im się, trzymając kamień w rękę, i zdałem sobie sprawę, że się go boją. Póki go trzymałem, nie dotknęli mnie.

Wyciągnął rękę i zamknął mi palce wokół opalu.

- Noś go przy sobie, A gdybyś znalazła się w niebezpieczeństwie, wyjmij.

- To raczej ty będziesz w niebezpieczeństwie, nie ja - zaprotestowałam, starając się oddać mu opal. Pokręcił jednak głową.

Wiatr rozwiewał mu końce włosów.

- Nie, nie teraz, gdy dowiedzieli się o whisky. Nie zrobią mi krzywdy, póki nie usłyszą, gdzie jest.

- A czemu niby ja mam się znaleźć w

niebezpieczeństwie? - Ta myśl mnie niepokoiła. Kobiety zachowywały się ostrożnie, lecz nie wrogo, mężczyźni zaś na ogół mnie ignorowali.

Zmarszczył brwi i spojrzał ku wiosce. Z miejsca, w którym siedzieliśmy, było widać tylko zewnętrzną palisadę i smugi dymu wznoszące się za nią z długich domów.

- Nie wiem, Angielko. Tyle tylko, że byłem i myśliwym, i zwierzyną, na którą polowano. Widzisz, gdy coś dziwnego zaczyna się dziać, ptaki przestają śpiewać, a w lesie zapada cisza. - Ruchem głowy pokazał wioskę, wpatrując się w dym, jakby spodziewał się w nim jakiegoś znaku. - Tu właśnie panuje taka cisza. Coś się dzieje, czego nie widzę. Nie wydaje mi się, by miało to coś wspólnego z nami, a jednak... nie jestem spokojny. I zbyt długo już żyję, by zlekceważyć takie przeczucie.

Ian, który pojawił się wkrótce, był takiego samego zdania.

- Tak, to jakby trzymać zanurzoną w wodzie sieć - powiedział z namysłem. - Czujesz, że ci się rusza w dłoniach, i wiesz, że jest tam ryba, ale nie widzisz gdzie. - Wiatr rozwiewał jego gęste, brązowe włosy; jak zwykle nosił je na wpół splecione z luźnymi kosmykami.

Jeden z nich zatknął za uchem. - Coś się dzieje wśród ludzi, jakaś niezgoda. Coś wydarzyło się ostatniej nocy w domu rady. Emily nie odpowiada, gdy ją o to pytam. Odwraca tylko wzrok i mówi, że to nie ma nic wspólnego z nami, ale mnie się wydaje, że jednak coś ma.

- Emily? - Jamie uniósł brew, a Ian roześmiał się.

- Tak ją nazywam, by było krócej - wyjaśnił Ian. - Naprawdę nazywa się Wakyo'teyehsnonhsa, co znaczy

Pracująca Rękoma.

Znakomicie rzeźbi, moja Emily. Popatrzcie, co mi zrobiła. - Sięgnął do sakiewki i wyjął wyrzeźbioną w białym saponicie maleńką wydrę.

Zwierzę stało, jakby niespokojne, z podniesioną głową, gotowe też do psot. Wystarczyło spojrzeć, by się uśmiechnąć.

- Bardzo ładne. - Jamie z aprobatą przyjrzał się wyrzeźbionemu zwierzątku. - Dziewczyna musi cię bardzo lubić, Ianie.

- Tak, no... ja też ją lubię, wujku. - Ian mówił pozornie niedbale, ale chude policzki pokrył mu rumieniec. Nie był to wynik zimnego wiatru. Odkaslnął i nieco zmienił temat. - Powiedziała mi, że jej zdaniem rada dałaby się przekonać, gdybyśmy dali im spróbować, jak smakuje nasza whisky, wujku Jamie. Jeśli nie masz nic przeciwko temu, wezmę jedną baryłkę i wieczorem urządzimy niewielki ceilidh.

Emily się tym zajmie.

Jamie uniósł brwi, ale po chwili skinął głową.

- Zastosuję się do twojego zdania, Ianie - powiedział.
- W domu rady? Ian pokręcił głową.

- Nie. Emily mówi, że lepiej to zrobić w długim domu jej ciotki.

Stara Tewaktenyonh jest Piękną Kobiętą.

- Jest czym? - spytałam zaskoczona.

- Piękną Kobiętą - powtórzył, wycierając nos w rękaw. - W wiosce zawsze jest jedna kobieta, która ma wielkie znaczenie i w jej mocy jest decyzja, jak postąpić z jeńcami. Nazywają ją Piękną Kobiętą, niezależnie od tego,

jak wygląda, więc jeśli Tewaktenyonh da się przekonać, że oferujemy dobry towar, możemy odnieść korzyść.

- Jeńcowi, którego uwolniono, pewnie każda kobieta wydaje się piękna - stwierdził sucho Jamie. - Dobrze, więc się tym zajmij. Czy dasz radę sam przywieźć whisky?

Ian kiwnął głową i wstał, by odejść.

- Poczekaj jeszcze chwilę, Ianie - poprosiłam, a gdy się ku mnie odwrócił, pokazałam mu opal. - Mógłbyś spytać Emily, czy coś o tym wie?

- Dobrze, ciociu Claire, wspomnę o tym. Rollo! - Gwizdnął ostro przez zęby, a Rollo, który podejrzliwie węszył za skalną półką, skoczył za swoim panem. Jamie śledził ich wzrokiem z lekkim niepokojem.

- Czy wiesz, Angielko, gdzie Ian spędza nocę?

- Jeśli chodzi ci o to, w którym długim domu, odpowiedź brzmi „tak”. Jeśli chodzi ci o to, w którym łóżku, nie. Ale potrafię zgadnąć.

- Uhm - przeciągnął się i potrząsnął głową, odrzucając do tyłu włosy. - Chodź, Angielko, odprowadzę cię do wioski.

Ceilidh Iana rozpoczął się zaraz po zmierzchu. Zaproszono wszystkich najważniejszych członków rady. Przychodzili pojedynczo do długiego domu Tewaktenyonh, kłaniając się sachemowi Dwie Włócznie, który siedział przy głównym ognisku między Jamiem a Ianem. Za nim, na baryłce whisky, siedziała spokojnie ładna dziewczyna, zapewne była to Emily.

Poza nią kobiety nie brały udziału w kosztowaniu whisky, przyszedłam tam jednak, by się przyglądać. Siadłam przy jednym z mniejszych ognisk; miałam oko na to, co się

dzieje, równocześnie zaś pomagałam dwóm kobietom splatać warkocze cebuli. Od czasu do czasu wymieniałyśmy uprzejme uwagi niepewną mieszanką tuskarora, angielskiego i francuskiego. Kobieta, przy której ognisku siedziałam, poczęstowała mnie piwem świerkowym z tykwy i gotowaną kukurydzą. Staralam się przyjąć to w miarę możliwości uprzejmie, choć żołądek miałam tak ściśnięty, że nie bardzo byłam w stanie cokolwiek przełknąć. Zbyt wiele zależało od tego przyjęcia. Wiedziałam, że Roger przebywa gdzieś tu, w wiosce. Żył, mogłam jednak tylko mieć nadzieję, że czuje się dobrze - dość dobrze, by podróżować. Rzuciłam okiem na koniec długiego domu, ku największemu ognisku. Siedziała tam Tewaktenyonh; właściwie nie widziałam jej samej, jedynie zarys siwej głowy. Wzdrygnęłam się lekko i dotknęłam amuletu Nayawenne, wiszącego pod koszulą.

Gdy goście się zebrali, usiedli w kręgu wokół ogniska, a otwartą baryłkę whisky przetoczono do środka. Ku memu zaskoczeniu, do kręgu weszła również dziewczyna, trzymając w ręku tykwę do nalewania. Dwie Włócznie powiedział kilka słów, po czym rozkręciła się impreza. Dziewczyna odmierzała whisky; nie nalewała jej jednak bezpośrednio do kubków, tylko nabierała z tykwy do ust, wypluwała do kubka trzy zawartości swojej jamy ustnej, a następnie podawała jednemu z mężczyzn w kręgu. Jamie wydawał się przez moment zaskoczony, ale uprzejmie przyjął kubek i pił bez wahania.

Zastanawiałam się, ile whisky przyjmuje do organizmu dziewczyna przez błonę śluzową. Nie tyle, co mężczyźni; wydawało mi się, że Dwie Włócznie nieprędko

będzie miał dosyć. Był to milkliwy stary drań, o twarzy jak cierpiąca na zatwardzenie sucha śliwka.

Zanim jednak przyjęcie naprawdę się rozwinęło, moją uwagę odwróciło przybycie małego chłopca, synka jednej z moich towarzyszek. Wszedł cicho i usiadł przy matce, opierając się o nią.

Spojrzała na niego ostro, odłożyła cebulę z okrzykiem troski i wstała.

Ogień oświetlił chłopca - od razu dostrzegłam, że siedzi w dziwny, jakby skręcony sposób. Pospiesznie uklęknęłam, odsuwając kosz cebuli, pochyliłam się i ujęłam jego drugą rękę, odwracając go ku sobie. Lewe ramię miał lekko przemieszczone, pocił się, zaciskając z bólu wargi. Zrobiłam gest ku jego matce, ta zawahała się i zmarszczyła brwi. Chłopiec jęknął cicho, odciągnęła go więc i lekko przytrzymała. Nagle przyszło mi coś do głowy. Wyciągnęłam spod koszuli amulet Nayawenne - nie będzie wiedziała, do kogo należał, być może jednak rozpozna, co to jest. Rzeczywiście, na widok skórzanej sakiewki zrobiła wielkie oczy.

Chłopiec nie odzywał się już, widziałam jednak, jak po piersi spływają mu kropelki potu. Odwiązałam rzemyk, który zamykał sakiewkę, i wsunęłam do środka palce, szukając szorstkiego, niebieskiego kamienia. Gabrielle nazywała go pierre sans peur - kamień bez lęku. Ujęłam zdrową rękę chłopca i wsunęłam mu kamień w dłoń, zaciskając na nim jego palce.

- Je suis une sorciere - powiedziałam cicho. - C'est medecine, la.

- Zaufaj, prosiłam go w myślach, nie bój się.

Uśmiechnęłam się do niego.

Chłopiec patrzył na mnie okrągłymi oczyma. Moje towarzyszki wymieniły spojrzenia, a potem równocześnie spojrzwały ku odległemu ognisku, przy którym siedziała stara kobieta.

Na ceilidh toczyła się rozmowa, ktoś opowiadał jakąś starą historię, rozpoznawałam wznoszący się i opadający rytm. Słyszałam niegdyś, jak szkoccy górale w ten sam sposób opowiadają po gaelicku legendy i mity - brzmiało to bardzo podobnie.

Matka kiwnęła głową, jej siostra szybko ruszyła wzdłuż domu.

Nie odwróciłam się, czułam jednak, że za mną budzi się zainteresowanie, głowy okręcały się w naszym kierunku. Nie spuszczałam wzroku z twarzy chłopca, uśmiechałam się i mocno trzymałam jego dłoń w swoich.

Usłyszałam znów kroki siostry, tuż za mną. Matka chłopca niechętnie odsunęła się lekko, zostawiając go mnie. Wydano zezwolenie.

Naprawienie stawu nie stanowiło problemu - był małym chłopcem i uraz był niewielki. Czułam pod dłonią jego cienkie kości, uśmiechnęłam się do niego i wymacałam staw, by ocenić, co się stało.

Potem szybko zgięłam mu ramię, okręciłam lekko przy łokciu, podniosłam w górę - i już wszystko było jak trzeba.

Chłopiec wyglądał na niezwykle zaskoczonego. Ta operacja pozwalała niemal natychmiast uwolnić delikwenta od bólu. Pomacał się po ramieniu i uśmiechnął do mnie nieśmiało, powoli otworzył dłoń i wyciągnął ku mnie

kamień.

Działania te wywołały pewną sensację i pochłonęły moją uwagę.

Podeszły inne kobiety, dotykając chłopca, przyglądając mu się, wzywając przyjaciółki, by spojrzały na mętny szafir. Gdy znów rzuciłam okiem ku przyjęciu z whisky, bardzo się już rozwinęło. Ian śpiewał po gaelicku, okropnie fałszując, a od czasu do czasu w jego śpiew włączał się jeden czy dwóch innych mężczyzn, wtrącając wysokim głosem: Haihai! - czyli tak samo, jak czasami słyszałam wśród ludu Nayawenne.

Jak gdyby moja myśl ją przywołała, poczułam na plecach czyjeś spojrzenie, odwróciłam się i ujrzałam Tewaktenyonh, przyglądającą mi się od ogniska na końcu domu. Spotkałam jej wzrok i pochyliłam głowę. Powiedziała coś do jednej z młodych kobiet, ta zaś wstała i podeszła do mnie, obchodząc ostrożnie dzieci bawiące się przy rodzinnych boksach.

- Moja babcia pyta, czy przyszłabyś do niej - młoda kobieta przykucnęła koło mnie i odezwała się cicho po angielsku. Byłam zdziwiona, choć nie zaskoczona. Onakara miał rację - niektórzy Mohawkowie mówili nieco po angielsku, choć posługiwali się tym językiem jedynie z konieczności.

Wstałam i poszłam za nią do ogniska Tewaktenyonh, zastanawiając się, jaka potrzeba skłoniła do tego Piękną Kobietę. Ja też czułam potrzebę - na myśl o Rogerze i Briannie. Stara kobieta kiwnęła mi głową, zapraszając, bym usiadła, i nie spuszczała za mnie wzroku.

- Moja babcia pyta, czy może zobaczyć twoje

lekarstwo.

- Oczywiście. - Gdy wyjmowałam szafir, widziałam, że stara dama przygląda się memu amuletowi. Do pióra dzięcioła, włożonego tam przez Nayawenne, dodałam dwa własne: czarne pióra kruka.

- Jesteś żoną Łowcy Niedźwiedzi?

- Tak, Tuskarora nazywają mnie Białym Krukiem - powiedziałam, a dziewczyna wzdrygnęła się, zaskoczona.

Przetłumaczyła to szybko swojej babci. Stara dama otworzyła szeroko oczy i spojrzała na mnie z konsternacją - najwyraźniej nie było to szczególnie korzystne imię. Uśmiechnęłam się do niej z zamkniętymi ustami; Indianie zazwyczaj pokazywali zęby, tylko głośno się śmiejąc.

Stara dama oddała mi kamień, przyglądając mi się przenikliwie.

Powiedziała coś do wnuczki.

- Moja babcia słyszała, że także twój mężczyzna ma kamień - przetłumaczyła dziewczyna. - Chciałaby więcej o nim usłyszeć. Jak wygląda i skąd on go ma.

- Bardzo proszę, może go obejrzeć. - Sięgnęłam do sakiewki przy pasie, wyjęłam opal i wyciągnęłam go na dłoni ku starej kobiecie.

Pochyliła się i uważnie mu się przyjrzała, ale nie zrobiła żadnego gestu, by wziąć go do ręki. Ramiona Tewaktenyonh były brązowe, pozbawione włosków, oplecione siateczką płytkich zmarszczek jak stare drzewo satynowe. Przyglądając się jej, dostrzegłam jednak, że pokrywa je gęsia skórka. Widziała już ten opal - pomyślałam - a przynajmniej wie, co to jest.

Nie potrzebowałam tłumaczenia, gdy spojrzała na

mnie wprost i zadała pytanie, choć nie znałam słów, których użyła.

- Skąd go masz? - przetłumaczyła dziewczyna.

Trzymałam otwartą dłoń, opal leżał na niej lekko, lśniąc jak bańka mydlana, choć w rzeczywistości był dość ciężki.

- Przyszedł do mnie we śnie - powiedziałam w końcu, nie wiedząc, jak inaczej to wyjaśnić.

Stara kobieta wypuściła oddech. W jej oczach wciąż widziałam strach, ale też coś innego - może ciekawość? Powiedziała coś; jedna z kobiet przy ognisku wstała, spod łóżka za plecami wyciągnęła koszyk, coś z niego wyjęła i podała starej damie. Ta zaczęła cicho śpiewać wciąż silnym, choć załamującym się na skutek wieku głosem. Potarła dłońmi nad ogniskiem - w ogień spadły brązowe drobiny, które po chwili uniosły się w postaci pachnącego tytoniem dymu.

Noc była spokojna. Słyszałam wznoszące się i opadające głosy, czasami śmiech od ogniska, przy którym pili mężczyźni. Od czasu do czasu dobiegał mnie głos Jamiego, mówiącego po francusku. Czy Roger był na tyle blisko, że też to słyszał?

Odetchnęłam głęboko. Dym wznosił się cienkim białym słupem prosto w górę. Mocny, słodki zapach tytoniu mieszał się z zapachem zimnego powietrza. Wywoływało to we mnie przedziwne wspomnienia: meczów futbolu w liceum Brianny, zapachu wełnianych koców i termosów z kakao, dymu papierosowego dochodzącego z tłumu. Głębiej schowane były inne, mniej przyjemne wspomnienia: młodych ludzi w mundurach w rozproszonym świetle

lotnisk, wygaszających pety i biegnących na bitwę, zostawiających za sobą tylko zapach dymu w zimowym powietrzu.

Tewaktenyonh odezwała się, wciąż nie spuszcżając ze mnie wzroku. Dziewczyna przetłumaczyła.

- Opowiedz mi ten sen.

Czy to rzeczywiście sen mam jej opowiedzieć, czy wspomnienia, ożywione dymem z płonących bierwion? To nie miało znaczenia, tutaj wszystkie moje wspomnienia były snami.

Opowiedziałam jej, co mogłam. Wspomnienia - sztormu, schronienia między korzeniami czerwonego cedru, czaszki schowanej razem z kamieniem; i sen - o świetle na wzgórz i człowieku o pomalowanej na czarno twarzy. Nie rozróżniałam między wspomnieniem i snem. Stara dama pochyliła się do przodu; na twarzach jej i jej wnuczki malowało się zdumienie.

- Widziałś Niosącego Ogień? - wyrzuciła z siebie dziewczyna. - Widziałś jego twarz? - Cofnęła się nieco, jakby moja bliskość mogła okazać się niebezpieczna.

Stara dama powiedziała coś stanowczo. Jej zaskoczenie zmieniło się w spojrzenie pełne zainteresowania, szturchnęła dziewczynę i niecierpliwie powtórzyła pytanie.

- Moja babcia pyta, czy możesz opowiedzieć, jak wyglądał, co miał na sobie?

- Nic - to znaczy tylko przepaskę na biodrach. I był pomalowany.

- Pomalowany, jak? - spytała dziewczyna w następstwie ostrego pytania babki.

Najlepiej jak potrafiłam opisałam sposób, w jaki ciało mężczyzny było pomalowane. Przychodziło mi to łatwo - gdy zamykałam oczy, widziałam go tak wyraźnie jak wtedy, gdy pojawił się przede mną na zboczu góry.

- A twarz miał całą czarną, od czoła po brodę - zakończyłam, otwierając oczy.

Gdy opisywałam mężczyznę, tłumaczka robiła wrażenie zdenerwowanej, wargi jej drżały, przenosiła pełen lęku wzrok ze mnie na babkę. Stara kobieta słuchała jednak uważnie, starając się odczytać treść z mojej twarzy, zanim słowa dotarły do jej uszu. Gdy skończyłam, siedziała w milczeniu, wciąż nie spuszczać ze mnie ciemnych oczu. W końcu pokiwała głową, wyciągnęła pomarszczoną dłoń i ujęła przewieszzone przez ramię purpurowe sznurki wampum.

Myers powiedział mi dość, bym zrozumiała ten gest. Wampum stanowiło jej kronikę rodzinną, świadczyło o jej stanowisku, a słowa wypowiedziane z wampum w dłoni równały się zeznaniu zaprzysiężonemu na Biblii.

- Podczas Święta Zielonej Kukurydzy, tyle lat temu - tłumaczka machnęła cztery razy palcami obu dłoni - pojawił się wśród nas mężczyzna, który przybył z północy. Mówił dziwnie, ale rozumieliśmy go. Jak Kanienga, może Onondaga. Nie chciał nam jednak powiedzieć nazwy swego plemienia ani wioski, jedynie klanu - Żółw. Był dzikim, ale odważnym człowiekiem, dobrym myśliwym i wojownikiem. Och, był pięknym mężczyzną, wszystkie kobiety lubiły na niego patrzeć, bałyśmy się jednak do niego zbliżyć.

Tewaktenyonh przerwała na chwilę i zapatrzyła

gdzieś w sobie.

Policzyłam - musiała być już wtedy dorosłą kobietą, może jednak dość młodą, by przerażający, intrygujący obcy zrobił na niej wrażenie.

- Mężczyźni nie byli tacy ostrożni, zazwyczaj nie są.
- Rzuciła krótkie spojrzenie na ceiling, gdzie przy ognisku robiło się coraz głośniejsze. - Siedzieli więc z nim i palili, pili świerkowe piwo i słuchali.

On zaś mówił od południa po zmierzchu, a potem znów w nocy przy ogniskach. Zawsze miał zaciętą twarz, bo mówił o wojnie. - Westchnęła, zaciskając palce na purpurowych sznurkach z muszelkami. - Zawsze o wojnie. Nie przeciwko tym z sąsiedniej wioski, którzy jedli żaby, i nie przeciwko tym, którzy jedli odchody łośi. Nie, mówił, że musimy podnieść tomahawki przeciwko O'seronni, zabić ich wszystkich, od najstarszych do najmłodszych. Od linii traktatowej do Wielkiej Wody. Zwrócić się do Kajuga, wysłać ludzi do Seneków, niech Liga Irokeska wystąpi wspólnie, zanim będzie za późno. - Wzruszyła ramionami. - „Za późno na co?” - pytali mężczyźni. „Dlaczego mamy bez powodu wypowiadać wojnę? W tym roku niczego nam nie potrzeba, nie mamy żadnego traktatu wojennego”. Pamiętaj, że było to przed przybyciem Francuzów - dodała. - „To nasza ostatnia szansa”, powtarzał im, „już teraz może się okazać za późno. Kuszą nas metalem, wabią nożami i strzelbami, niszczą nas, bo chcemy mieć garnki. Zawróćcie z tej drogi, bracia.

Przez zbyt wiele lat nie zwracaliście na to uwagi. Wróćcie, mówię, do dawnych obyczajów albo wkrótce was nie będzie, wszyscy znikniecie, wasze opowieści zostaną

zapomniane. Zabijcie ich teraz albo oni was zjedzą". Mój brat, który był wówczas sachemem, i mój drugi brat, który był wodzem wojennym, mówili, że to głupota. Zniszczą nas narzędziami, zjedzą nas? Młodzi mężczyźni słuchali, bo słuchają każdego, kto głośno mówi, starsi jednak patrzyli na obcego zmrużonymi oczyma i nic nie mówili. On wiedział - stwierdziła stara dama i zdecydowanie pokiwała głową. Mówiła niemal zbyt szybko dla tłumaczącej wnuczki. - Wiedział, co się zdarzy, że Brytyjczycy i Francuzi będą walczyć, że będą szukać naszej pomocy przeciwko sobie nawzajem. Powiedział, że to będzie właściwa pora, że gdy zaczną z sobą walczyć, musimy wystąpić przeciwko jednym i drugim i wygnać ich. Tawineonawira - Ząb Wydry, tak się nazywał - powiedział mi: „Żyjecie chwilą, ale nie zastanawiacie się nad przyszłością. Wasi mężczyźni mówią: «w tym roku nic nam nie potrzeba», więc się nie ruszą. Wasze kobiety uważają, że łatwiej gotować w żelaznych garnkach, niż lepić gliniane. Nie rozumiecie, co się zdarzy w wyniku waszego lenistwa, waszej chciwości". To nieprawda, mówiłam mu, nie jesteśmy leniwi. Wyprawiamy skóry, suszymy mięso i kukurydzę, wyciskamy olej ze słoneczników i trzymamy go w dzbanach. Zastanawiamy się nad następnym rokiem, zawsze; gdybyśmy tego nie robili, umarlibyśmy. A co mają do tego garnki? Roześmiał się, ale oczy miał smutne. Ze mną nie zawsze zachowywał się tak dziko. - Na te słowa młoda kobieta spojrzała na babcię, potem jednak odwróciła wzrok, znów wbijając go we własne kolana. - „To sprawy kobiet”, mówił, potrząsając głową. „Myślicie, co jeść i w co się ubrać, a to nie ma znaczenia. Mężczyźni nie mogą skupiać się na takich

rzeczach". Możesz być Hodeenosaunee i tak myśleć? - powiedziałam. - Skąd pochodzisz, że nie zwracasz uwagi na to, co myślą kobiety? Znow pokręcił głową i powiedział: „Jesteście krótkowzroczni". Spytałam go wtedy, jak daleko on potrafi zobaczyć, ale nie odpowiedział.

Znałam odpowiedź na to pytanie. Mimo bliskości ognia moje ciało pokryło się gęsią skórą. Aż za dobrze wiedziałam, jak daleko mógł patrzeć i jak niebezpieczny był widok znad tej konkretnej przepaści.

- Jednak nic, co mówiłam, nie miało znaczenia - ciągnęła stara dama. - Ani to, co mówili moi bracia. Ząb Wydry coraz bardziej się gniewał. Pewnego dnia wyszedł i odtńczył taniec wojenny. Ręce i nogi miał pomalowane w czerwone pasy, śpiewał i krzyczał na całą wioskę. Wszyscy wyszli, by popatrzeć, kto za nim pójdzie, a gdy w końcu wbił tomahawk w drzewo wojenne i krzyknął, że idzie zdobyć konie i łupy na Szaunisach, wielu młodych ludzi za nim poszło. Nie było ich przy wschodzie i zachodzie słońca. Wrócili z końmi i skalpami - skalpami białych. Moi bracia rozgniewali się. To ściągnie tu żołnierzy z fortu, powiedzieli, albo takich z osad za linią traktatu, skąd przyniesli skalpy, ci zaś będą się mścić. Ząb Wydry odparł śmiało, że ma nadzieję, iż tak będzie, że zostaniemy zmuszeni do walki. I powiedział, że raz jeszcze poprowadzi taką wyprawę, jeszcze i jeszcze, aż powstanie cała ziemia i zobaczymy, że jest tak, jak powiedział. Że musimy zabić O'seronni albo sami zginiemy. Nikt nie potrafił go powstrzymać, a kilku młodych mężczyzn miało gorącą krew i szło za nim niezależnie od tego, co mówili inni. Mój brat sachem ustawił swój namiot i wezwał Wielkiego Żółwia na

naradę.

Został w namiocie przez cały dzień i całą noc. Namiot trząsał się i unosił. Słysząc było z niego głosy i ludzie się bali. Gdy mój brat w końcu wyszedł z namiotu, powiedział, że Ząb Wydry musi opuścić wioskę. Niech robi, co chce, ale nie pozwolimy mu sprowadzić na nas zniszczenia. Wywołuje wśród ludzi niepokój i podziały, i dlatego musi odejść. Ząb Wydry rozżościł się jak jeszcze nigdy przedtem. Stał na środku wioski i krzyczał, aż żyły wystąpiły mu na karku, a oczy zaczerwieniły się z wściekłości. - Dziewczyna ściszyła głos. - Wykrzykiwał straszne rzeczy, potem zamilkł, ale obudził w nas strach. Mówił rzeczy, które wyjęły nam serca z ciała. Nawet ci, którzy przedtem za nim poszli, wówczas się go bali. Nie spał i nie jadł przez cały dzień i całą noc, i cały następny dzień. Ciągłe mówił, chodząc po wsi, przystając przy drzwiach domów i mówiąc, aż ludzie go przeganiali. A potem odszedł, ale wrócił; znów odszedł i znów wrócił.

Odchodził, krył się w lesie, potem jednak, wieczorem, pojawiał się przy ognisku, wychudły i wygłodniały, z oczami błyszczącymi jak u lisa, nieustannie mówiąc. W nocy jego głos wypełniał wieś i nikt nie był w stanie spać. Zaczęliśmy rozumieć, że jest w nim zły duch. Może Atatarho, z którego głowy Hajawata wycesał węże? Może te węże przyszły do tego człowieka, szukając domu? W końcu mój brat wódz wojenny powiedział, że to się musi skończyć. Niech odejdzie - albo go zabijemy.

Tewaktenyonh przerwała; palce, którymi cały czas gładziła wampum, jakby czerpała z niego siłę do tej opowieści, zamaryły nieruchomo.

- Był obcy - powiedziała cicho - ale nie wiedział, że jest obcy.

Chyba nigdy tego nie zrozumiał.

Gromada pijących na drugim końcu długiego domu zachowywała się coraz głośniejsze. Mężczyźni śmiali się, kiwając w przód i w tył.

Słyszałam głos dziewczyny, Emily - też się z nimi śmiała.

Tewaktenyonh spojrzała w tamtym kierunku, marszcząc lekko brwi.

Czułam dreszcz przebiegający mi po ciele. Obcy, Indianin z twarzy i mowy; nieco dziwnej mowy. Indianin - ze srebrnymi plombami w zębach. Nie, nie rozumiał. Uważał, że są przecież jego ludem. Wiedząc, co miało się zdarzyć, przyszedł, by ich uratować. Jak mógł uwierzyć, że chcą wyrządzić mu krzywdę?

- Ale oni mówili poważnie. Zerwali z niego ubranie - opowiadała Tewaktenyonh, zapatrzona w siebie. - Przywiązali go do słupa pośrodku wioski i pomalowali mu twarz farbą zrobioną z sadzy i galasówek.

- Czarny kolor oznacza śmierć. Więźniowie, którzy mają być zabici, zawsze są tak malowani - wyjaśniła dziewczyna, unosząc lekko jedną brew. - Wiedziałaś to, gdy spotkałaś tego człowieka na górze?

Pokręciłam głową, nie mogąc przemówić. Opal w mojej dłoni był ciepły i śliski od potu.

Przez jakiś czas go torturowali. Dźgali nagie ciało zaostrozonymi kijami, a potem obrzucali żarem, więc zrobiły mu się pęcherze.

Pękały, a skóra wisiała mu w strzępach. Dobrze to

znosił, nie krzyczał, a to im się podobało. Wydawał się silny, więc zostawili go na noc, wciąż przywiązanego do słupa.

- Rano go nie było. - Twarz starej kobiety była gładka, kryła tajemnicę. Trudno powiedzieć, czy była z tego zadowolona, czuła ulgę czy niepokój. - Uważałam, że nie powinni iść za nim, ale mój brat powiedział, że jeśli nie dokończymy sprawy, on znów powróci.

I tak gromada wojowników ruszyła z wioski śladami Zęba Wydry. Ponieważ krwawił, nietrudno było za nim iść. Zmierzał na południe; ciągle wydawało im się, że już go łapią, ale on był silny i biegł dalej. Podążali za nim przez cztery dni i w końcu dopadli go w osikowym zagajniku. W śniegu drzewa nie miały liści, a ich gałęzie były białe jak kości palców.

Dostrzegła w moich oczach pytanie i skinęła głową.

- Mój brat wódz wojenny tam był, potem mi opowiadał. Ząb Wydry był sam, bez broni. Nie miał szans i wiedział o tym, ale i tak stanął przed nimi i mówił. Nawet gdy jeden z mężczyzn uderzył go w usta pałką wojenną, mówił - mimo krwi, wypluwając słowa przez połamane zęby. Był odważnym człowiekiem. Nie błagał, powtarzał to samo, co mówił już przedtem, ale brat powiedział mi, że tym razem jakby inaczej. Przedtem był gorący jak ogień - gdy umierał, był zimny jak śnieg. Jego słowa przeraziły wojowników, bo były tak zimne.

Nawet gdy leżał już martwy w śniegu, jego słowa rozbrzmiewały w uszach wojowników. Położyli się spać, ale jego głos przemawiał do nich w snach i nie pozwalał im zasnąć. „Zostaniecie zapomniani”, mówił. „Nie będzie już

narodu Irokezów, nikt nie będzie snuł waszych opowieści. Przepadnie wszystko, czym jesteście i czym byliście".

Ruszyli z powrotem ku domowi, ale jego głos podążał za nimi. W nocy nie mogli spać, bo w uszach brzmiały im złe słowa. W dzień słyszeli krzyki i szepty z drzew rosnących wzdłuż ich szlaku.

Niektórzy twierdzili, że to tylko kruki, inni, że wyraźnie go słyszą. W końcu mój brat powiedział, że ten mężczyzna najwyraźniej był czarownikiem.

Stara dama spojrzała na mnie ostro. Je suis une sorciere - powiedziałam chłopcu. Jestem czarownicą. Przełknęłam i ujęłam w dłoń wiszącą na mojej szyi amulet.

- Mój brat powiedział, że musimy mu odciąć głowę, wtedy przestanie mówić. Wrócili więc, odcięli mu głowę i przywiązali ją do gałęzi świerku. Ale gdy położyli się spać, wciąż słyszeli jego głos i obudzili się ze ściśniętymi sercami. Kruki wydziobały mu oczy, ale głowa wciąż mówiła. Jeden mężczyzna, bardzo dzielny, powiedział, że zabierze tę głowę i pochowa ją gdzieś daleko. - Uśmiechnęła się przelotnie. - Ten odważny mężczyzna był moim mężem. Owinął głowę w skórę jelenia i pobiegł z nią daleko na południe. Głowa pod jego ramieniem wciąż mówiła, więc musiał zatkać sobie uszy pszczelim woskiem. W końcu zobaczył bardzo wielki czerwony cedr i zrozumiał, że to właściwe miejsce, bo czerwony cedr ma silną uzdrawiającą duszę. Pochował więc głowę pod korzeniami drzewa, a gdy wyjął z uszu wosk, nie słyszał niczego poza wiatrem i wodą.

Wrócił więc do domu i od tamtej pory nikt w tej wiosce nie wymówił imienia Zęba Wydry.

Dziewczyna skończyła mówić, wpatrzona w babcie. Najwyraźniej była to prawda - nigdy wcześniej nie słyszała tego imienia i tej opowieści. Przełknęłam i postarałam się odetchnąć czystym powietrzem. Dym nie unosił się już, tylko wisiał gęstą chmurą nad naszymi głowami. Powietrze było gęste od narkotycznie działającego zapachu.

Krąg pijących wyraźnie przycichł. Jeden z mężczyzn wstał i potykając się, wyszedł na dwór. Dwóch leżało na boku przy ogniu, śpiąc.

- A to? - spytałam, wyciągając dłoń z opalem. - Czy to należało do niego? Tewaktenyonh wyciągnęła rękę, jakby chciała dotknąć kamienia, ale natychmiast ją cofnęła.

- Jest taka legenda - odezwała się cicho dziewczyna, nie odrywając wzroku od opalu. - Magiczne węże noszą w głowie drogie kamienie. Jeśli zabije się takiego węża i zabierze kamień, daje on wielką moc. - Poruszyła się niespokojnie; doskonale rozumiałam, dlaczego. Jakiej wielkości musiałby być wąż, który miał w głowie taki kamień?

Stara dama odezwała się nagle, ruchem głowy wskazując opal.

Dziewczyna podskoczyła, ale posłusznie przetłumaczyła.

- To należało do niego - powiedziała. - Nazywał to swoim bil - na - rut. Spojrzałam pytająco na tłumaczkę, ale ta pokręciła głową.

- Bil - na - rut - powtórzyła, wymawiając wyraźnie. - To nie jest angielskie słowo?

Pokręciłam głową.

Skończywszy opowieść, stara kobieta siadła

wygodniej i przyglądała mi się z namysłem.

- Dlaczego do ciebie przemówił, dlaczego ci to dał? -
Ruchem głowy wskazała dłoń, w której trzymałam opał.

- Nie wiem - odpowiedziałam, ale zaskoczyła mnie;
nie miałam czasu przygotować odpowiedniego wyrazu
twarzy.

Przeszyła mnie spojrzeniem. Wiedziała, że kłamię, a
jednak - jak mogłabym powiedzieć jej prawdę? Jak
mogłabym powiedzieć, kim był Ząb Wydry, jakkolwiek
brzmiało jego prawdziwe imię? Jak mogłabym powiedzieć,
że jego przepowiednie w końcu się sprawdzą?

- Myślę, że może należał do mojej rodziny -
odrzekłam w końcu, mając na względzie to, co Polyanne
mówiła mi o duchach przodków.

Nie miałam pojęcia, skąd ani kiedy przybył, musiał
jednak być czyimś przodkiem albo potomkiem. Jeśli nie
moim, to kogoś takiego jak ja.

Na moje słowa Tewaktenyonh, zaskoczona,
wyprostowała plecy.

Po chwili pokiwała głową. Zdumienie powoli
znikało z jej twarzy.

- Przysłał cię do mnie, byś to usłyszała, ale nie miał
racji - stwierdziła zdecydowanie. - Mój brat powiedział, że
nie wolno nam o nim mówić. Musimy pozwolić, by o nim
zapomniano. Ale człowiek nie został zapomniany, jak długo
istnieją pod niebem dwie osoby: jedna, która opowie
historię, i druga, która jej wysłucha. - Wyciągnęła rękę i
dotknęła mojej dłoni, uważając jednak, by nie dotknąć
kamienia. Może to dym był przyczyną, że oczy jej
zwilgotniały. - Ja jestem jedna, ty jesteś druga. Nie został

zapomniany. - Skinęła na dziewczynę, która podniosła się cicho i przyniosła nam coś do jedzenia i picia.

Wstając w końcu, by wrócić tam, gdzie wyznaczono nam spanie, spojrzałam ku przyjęciu z whisky. Chrapiący mężczyźni leżeli na ziemi, a pusta, przewrócona baryłka odtoczyła się na bok. Dwie Włócznie leżał spokojnie na plecach z rozmarzonym uśmiechem na twarzy. Dziewczyny, Iana i Jamiego nie było.

Jamie czekał na mnie na zewnątrz. Jego oddech unosił się mgiełką w nocnym powietrzu, a pled pachniał whisky i tytoniem.

- Chyba dobrze się bawili - powiedziałam, ujmując go za ramię. - Czy dokonaliście jakiegoś postępu?

- Tak mi się wydaje. - Szliśmy przez centralną polanę do długiego domu, w którym nas goszczono. - Wszystko poszło dobrze, Ian miał rację, niech go Bóg pobłogosławi. Teraz, gdy zobaczyli, że ten mały ceilidh nie spowodował żadnych szkód, myślę, że będą bardziej skłonni do dokonania wymiany.

Spojrzałam na rząd długich domów, z których unosił się dym, na blask ognia w otworach dymnych i drzwiach. Czy Roger przebywa w jednym z nich? Policzyłam automatycznie, tak jak co dzień. Siedem miesięcy. Ziemia rozmarzała; gdyby udało nam się część drogi przebyć rzeką, może wystarczyłby nam miesiąc, góra sześć tygodni.

Tak, jeśli szybko wyjedziemy, zdążymy.

- A ty, Angielko? Byłaś pogrążona w głębokiej rozmowie ze starą damą. Czy wiedziała coś o tym kamieniu?

- Tak. Chodź do środka, to ci opowiem.

Uniósł skórę zasłaniającą drzwi. Weszłam, wciąż czując w dłoni ciężar opalu. Nie wiedzieli, jak go nazywał ten mężczyzna zwany Zębem Wydry, który przybył, by wywołać wojnę, by uratować naród, mężczyzna ze srebrnymi plombami w zębach, ale ja odgadłam. Tak, odgadłam, co to jest ten bil - na - rut. Jego niewykorzystany bilet na powrót. Moje dziedzictwo.

58. Lord John powraca

River Run, marzec 1770

Fedra przyniosła suknię - jedną z sukien Jokasty, uszytą z żółtego jedwabiu, z pełną spódnicą.

- Dziś wieczorem mamy lepsze towarzystwo niż stary pan Cooper czy prawnik Forbes - powiedziała z satysfakcją. - Przyjeżdża prawdziwy żywy lord. I co pani na to?

Rzuciła suknię na łóżko i zaczęła ją rozprostowywać, wyciągając kolejne halki i koronki. Równocześnie instruowała Briannę jak sierżant żołnierzy na musztrze.

- Niech pani to z siebie zdejmie i włoży gorset, potrzebuje pani czegoś solidnego, żeby zepchnąć ten brzuch do dołu. Bez gorsetu chodzą tylko prostaczki ze wsi. Gdyby pani ciocia nie była zupełnie ślepa, to już od dawna, od bardzo dawna kazałaby pani się odpowiednio ubierać. Teraz proszę włożyć pończochy i podwiązki. Te są ładne, zawsze lubiałam tę parę z małymi listkami. Potem zawiążemy halki, a potem...

- Jaki lord? - Brianna wzięła do ręki gorset i przyjrzała mu się, marszcząc brwi. - Boże drogi, z czego to jest zrobione, z fiszbinów wieloryba?

- Oczywiście, panna Jo nie nosi żadnych tanich cynowych czy żelaznych. - Fedra biegła po pokoju i jak terier wkopywała się pod stos ubrań, cały czas mruczając do siebie. - Co się stało z tą podwiązką?

- Nie potrzebuję ich. I co to za lord przyjeżdża?

Fedra wyprostowała się nad zwojami żółtego jedwabiu, patrząc na Briannę niedowierzająco.

- Nie potrzebuje pani? - powiedziała karcąco. - Z sześciomiesięcznym brzuchem? Jak pani to sobie wyobraża? Przyjdzie pani na obiad taka wzdęta, a lord będzie tam siedział nad zupą i patrzył na panią przez monokl?

Na ten opis Brianna nie potrafiła powstrzymać uśmiechu, ale odpowiedziała dość sucho.

- A co to za różnica? Całe hrabstwo już wie, że spodziewam się dziecka. Nie zdziwię się, jeśli ten wędrowny kaznodzieja - jak mu tam, pan Urmstone, prawda? - wygłosi na mój temat kazanie.

- Już wygłosił - roześmiała się Fedra. - Dwie niedziele temu.

Mickey i Druzus tam byli. Uważali, że to bardzo śmieszne, ale pani ciotka była innego zdania. Kazała prawnikowi Forbesowi pozwać go za oszczerstwo. Ale stary wielebny Urmstone oświadczył, że to nie oszczerstwo, tylko prawda.

Brianna wpatrywała się w pokojówkę.

- A co takiego właściwie o mnie powiedział? Fedra pokręciła głową i znów zaczęła się krzątać.

- Lepiej, żeby pani nie wiedziała - odparła ponuro. - Ale wszystko jedno, czy całe hrabstwo wie, czy nie. To nie to samo, co paradować z wystającym brzuchem przez

jadalnię, rozwiewając wszelkie wątpliwości lorda, więc lepiej proszę włożyć gorset.

Autorytatywny ton nie zostawiał miejsca na argumenty. Brianna niechętnie wsunęła na siebie sztywny pancerz i pozwoliła Fedrze mocno go zasnurować. W pasie wciąż była szczupła, a to, co wystawało poniżej, łatwo skryje się pod pełną spódnicą i halkami.

Przyjrzała się sobie w lustrze. Ciemna głowa Fedry znajdowała się na wysokości ud, bo pokojówka poprawiała teraz zielone jedwabne pończochy. Brianna nie była w stanie oddychać, poza tym takie ściśnięcie na pewno nie jest obojętne dla dziecka. Sznurówka gorsetu znajdowała się z przodu, więc zaraz po wyjściu pokojówki Brianna zamierzała go rozluźnić - i do diabła z jego lordowską mocią, kimkolwiek jest.

- Więc kim w końcu jest ten lord, który będzie na obiedzie? - spytała po raz trzeci, posłusznie wchodząc w krąg nakrochmalonego, białego lnu.

- To lord John William Grey z plantacji Mount Josiah w Wirginii. - Fedra wymówiła imię i nazwisko z wielkim namaszczeniem, choć najwyraźniej rozczarowała ją ich krótkość i prostota. Brianna wiedziała, że wolałaby mieć tutaj lorda FitzGeralda Vanlandinghamama Walthamsteada.

- To przyjaciel pani taty, a w każdym razie tak mówi panna Jo - dodała pokojówka. - Tak, teraz jest dobrze. Dobrze się składa, że ma pani ładne piersi, ta suknia jest dla nich stworzona.

Brianna miała nadzieję, że nie oznacza to zbyt głębokiego dekoltu. Gorset kończył się tuż poniżej biustu i wypychał go w górę zaskakująco wysoko.

Jednak to nie troska, czy nie za bardzo pokazuje ciało, sprawiła, że dalej słuchała Fedry tylko jednym uchem, tylko te rzucone mimochodem słowa: „To przyjaciel pani taty”.

Na obiedzie nie było tłumu, Jokasta rzadko urządzała huczne imprezy. Uzależniona od słuchu, jeśli chodzi o niuanse życia towarzyskiego, nie ryzykowała zamieszania i gwaru. I tak jednak w bawialni było więcej osób niż zwykle: oczywiście prawnik Forbes z niezamężną siostrą, pan MacNeill z synem, sędzia Alderdyce z matką i kilku nieżonatych synów Farquarda Campbella. Nikt jednak nie przypominał opisanego przez Fedrę lorda.

Brianna uśmiechnęła się kwaśno pod nosem. Niech się zatem przyjrzą - mruknęła, prostując się tak, że zaokrąglony brzuch dumnie wystawał przed nią, wypychając jedwab. Poklepała się zachęcająco po wypukłości.

- No dalej, Osbercie, musimy dołączyć do towarzystwa.

Jej wejście spotkało się z ogólnym gwarem i objawami życzliwości, co sprawiło, że zawstydziła się nieco swego cynizmu.

Wszyscy, łącznie z Jokastą, byli miłymi ludźmi, a w obecnej sytuacji ostatecznie nic nie zawinili. Z przyjemnością jednak spostrzegła źle ukrywany szok na twarzy sędziego. Jego matka uśmiechnęła się aż nazbyt słodko, oczami jak guziczki odnotowując wyraźny fakt istnienia Osberta. Niewątpliwie Jokasta mogła chcieć - ale matka sędziego nie zechce. Brianna spotkała wzrok pani Alderdyce z uroczym uśmiechem.

Na ogorzałej twarzy pana MacNeilla pojawiło się lekkie rozbawienie, uklonił się jednak z szacunkiem i spytał ją o zdrowie, nie zdradzając zażenowania. Prawnik Forbes, jeśli zauważył cokolwiek dziwnego w jej wyglądzie, skorzystał z wyćwiczonej zawodowej dyskrecji i powitał ją jak zwykle pogodnie.

- Ach, panna Fraser, osoba, której oczekiwaliśmy. Pani Alderdyce i ja toczyliśmy przyjacielski spór na temat estetyki. Ze swoim instynktownym wyczuciem tego, co piękne, zechce pani wyrazić swoją cenną opinię. - Ujmując ją za ramię, przyciągnął do siebie, odsuwając tym samym od pana MacNeilla, który uniósł krzaczastą brew, ale najwyraźniej nie zamierzał interweniować.

Prawnik Forbes podprowadził ją do stolika przed kominkiem, gdzie stały cztery nieduże drewniane skrzyneczki. Po otwarciu ukazały się cztery klejnoty, każdy wielkości dużego groszku, leżące na czarnym aksamicie, podkreślającym ich błyski.

- Zastanawiam się nad kupnem jednego z tych kamieni - wyjaśnił Forbes - i oprawieniem go w pierścień. Sprowadziłem je z Bostonu. - Uśmiechnął się tryumfalnie do Brianny, najwyraźniej przekonany, że wyprzedził rywali. Sądząc po lekkim rumieńcu na twarzy MacNeilla, rzeczywiście mu się to udało. - Niech mi pani powie, moja droga, który się pani najbardziej podoba: szafir, szmaragd, topaz czy diament? - Zakołysał się na piętach, aż pęczniejąc z poczucia własnego sprytu.

Po raz pierwszy w ciąży Brianna poczuła nudności. W głowie jej się kręciło, a koniuszki palców zdrętwiały. Szafir, szmaragd, topaz i diament. Pierścień jej ojca miał

rubin. Pięć kamieni mocy. Czubki pentagramu podróżnika, gwarancja bezpiecznego przejścia - dla ilu osób? Bezwiednie położyła dłoń na brzuchu. Zdawała sobie sprawę z zasadzki, jaką zastawił Forbes. Jeśli dokona wyboru, natychmiast podaruje jej nieoprawiony kamień. Będą to publiczne oświadczyzny, które - jego zdaniem - zmuszą ją, by go od razu zaakceptować albo natychmiast odrzucić, wywołując nieprzyjemną scenę. Gerald Forbes naprawdę nic nie wie o kobietach - pomyślała.

- Ja... ach... nie chciałabym wypowiadać własnej opinii, nie wiedząc, jakie jest zdanie pani Alderdyce. - Zmusiła się do uśmiechu i skinęła głową ku matce sędziego. Ta wydawała się i zaskoczona, i mile pochlebiona takim wyrazem szacunku.

Brianna poczuła kamień w żołądku. Ostrożnie wytarła spocone dłonie o spódnicę. Wszystkie tu były; cztery kamienie, których — jak jej się wydawało - trzeba będzie szukać całe życie.

Pani Alderdyce wskazywała szmaragd artretycznym palcem, wyjaśniając zalety swego wyboru, Brianna jednak nie zwracała uwagi na jej słowa. Rzuciła okiem na prawnika Forbesa, na jego okrągłą, wciąż zadowoloną z siebie twarz. Nagle poczuła dziki impuls - jeśli powie „tak” teraz, dziś wieczorem, gdy wciąż ma wszystkie cztery kamienie... Czy mogłaby się do tego zmusić? Uwieść go, pocałować go, zdobyć jego zaufanie, a potem ukraść kamienie?

Tak, mogłaby - ale co potem? Uciec z nimi w góry, zostawić Jokastę pohańbioną i zamęt w całym hrabstwie? Uciec i ukrywać się jak zwykły złodziej?

I jak zdołałaby dostać się do Indii Zachodnich przed

porodem?

Policzyła w głowie, wiedząc, że to szaleństwo - jednak zapewne by zdążyła. Klejnoty lśniły i migotały - pokusa i zbawienie. Wszyscy podeszli, by się im przyjrzeć. Głowy pochyliły się nad stołem, słyszała pomruk uznania, podczas gdy sama chwilowo zeszła na drugi plan.

Mogłaby się ukryć - myślała, a kolejne etapy planu kształtowały jej się w głowie nawet wbrew jej woli. Ukraść konia, skierować się do doliny Yadkin w głębi kraju... Choć stała blisko ognia, wzdrygnęła się, czując zimno na samą myśl o ucieczce przez śnieg, jej myśli jednak pędziły dalej. Mogłaby się ukryć w górach, w chacie rodziców, i czekać, aż powrócą z Rogerem - jeśli powrócą, jeśli Roger z nimi będzie. Tak... a co, jeśli dziecko przyjdzie na świat wcześniej, a ona będzie tam na górze, sama, nie mając nikogo do pomocy, czerpiąc pociechę jedynie z ukradzionych błyskotek? A może powinna natychmiast ruszyć do Wilmington i znaleźć statek, który zabierze ją do Indii Zachodnich? Jeśli Jokasta ma rację, Roger nigdy nie wróci.

Czy poświęci swoją jedyną szansę powrotu, by czekać na mężczyznę, który albo nie żyje, albo - jeśli nie zginął - może odrzucić ją i jej dziecko?

- Panno Fraser?

Prawnik Forbes czekał; aż napęczniał z tego oczekiwania.

Odetchnęła głęboko, czując, jak między piersiami spływają jej kropelki potu.

- Wszystkie są piękne. - Sama była zaskoczona, że potrafi mówić tak chłodno. - Nie potrafiłabym wybrać

między nimi, ale ostatecznie nie jestem znawczynią ani wielbicielką klejnotów. Niestety, mam bardzo niewyrafinowany gust.

Zauważyła lekki uśmiech na twarzy pana MacNeilla i głęboki rumieniec na twarzy pana Forbesa. Odwróciła się tyłem do klejnotów z uprzejmym uśmiechem.

- Chyba nie będziemy czekać z obiadem - mruknęła jej do ucha Jokasta. - Jeśli jego lordowską mość gdzieś zatrzymano...

Jakby na wezwanie w drzwiach pojawił się elegancki Ulisses w pełnej liberii, by zaanonsować obiad. Melodyjnym głosem, który z łatwością przebił się przez gwar, oznajmił: - Lord John Grey - i odsunął się na bok.

Jokasta odetchnęła z satysfakcją i pchnęła Briannę ku drobnej postaci, stojącej w drzwiach.

- To dobrze, będziesz jego partnerką przy obiedzie, moja droga.

Brianna rzuciła okiem za siebie, na stół przed kominkiem, ale kamieni już na nim nie było.

Lord John Grey ją zaskoczył. Słyszała, jak opowiadała o nim matka. Lord John był żołnierzem, dyplomata, arystokrata, oczekiwała więc człowieka wysokiego, o imponującej prezencji, tymczasem okazał się dobre piętnaście centymetrów niższy od niej. Drobnej budowy, o dużych, pięknych oczach i z jasnoskórą urodą, robiłyby niemal dziewczęce wrażenie, gdyby nie zdecydowana linia ust i szczęki. Jej widok najwyraźniej go zaskoczył - jak wiele osób, które po raz pierwszy dostrzegały jej wzrost - potem jednak uruchomił cały swój urok, opowiadał jej zabawne anegdoty z podróży i

podziwiał dwa obrazy, które Jokasta kazała powiesić na ścianie. Wszystkimi zgromadzonym przy stole przekazywał wieści o sytuacji politycznej w Wirginii. Nie wspominał natomiast o jej ojcu - i za to była mu wdzięczna.

Z trochę nieprzytomnym uśmiechem Brianna słuchała, jak panna Forbes wysławia swojego brata. Coraz bardziej miała wrażenie, że pograża się w morzu życzliwości. Czy nie mogą zostawić jej w spokoju, czy Jokasta nie ma dość przyzwoitości, by poczekać te kilka miesięcy?

- ...no i jest ten tartak, który właśnie kupił niedaleko Averbosboro.

Ja naprawdę nie wiem, jak on sobie z tym wszystkim radzi.

Nie, nie mogą - myślała z rozpaczą - nie mogą zostawić jej w spokoju. To Szkoci; życzliwi, ale praktyczni, absolutnie przekonani o własnej racji. To samo przekonanie doprowadziło ich do zguby lub wygnania po Culloden. Jokasta ją lubi, ale najwyraźniej uznała, że głupotą byłoby czekać. Po co poświęcać szansę na dobre, solidne, godne szacunku małżeństwo dla jakiejś ulotnej nadziei miłości?

Co gorsza, w niej samej rodziło się przekonanie, że czekanie jest głupotą. Ze wszystkich rzeczy, o których od tygodni starała się nie myśleć, ta była najgorsza. A jednak pojawiła się w jej umyśle jak cień nagiego drzewa, rysowała się ostro na białym tle. Jeśli... jeśli wrócą... jeśli, jeśli, jeśli jej rodzice wrócą, Rogera z nimi nie będzie. Wiedziała to. Nie znajdą Indian, którzy go zabrali. Jak zdołaliby znaleźć w tej pozbawionej śladów dziczy, w śniegu i błocie? Albo odnajdą Indian i dowiedzą się, że Roger zginął na skutek

ran, chorób, tortur. Albo znajdą go żywego, on jednak odmówi powrotu, nie będzie chciał jej więcej widzieć. Albo wróci kierowany tym okropnym szkockim honorem, zdeterminowany, by z nią zostać, ale nienawidząc jej za to.

Albo wróci, zobaczy dziecko i...

Albo w ogóle żadne z nich nie wróci. „Przyprowadzę ci go albo sam nie wrócę”. Ona zaś będzie tu mieszkała już zawsze, tonąc w odmętach własnej winy. Jej ciało będzie unosić się w wirze dobrych chęci, szczepione gnijącą pępownią z dzieckiem, którego ciężar będzie wciągał ją coraz głębiej.

- Panno Fraser, panno Fraser, czy pani się dobrze czuje?

- Nie, nie bardzo - powiedziała. - Chyba zaraz zemdleję. - I tak właśnie zrobiła. Jej głowa poleciała do przodu i z trzaskiem uderzyła w porcelanę i biały obrus, aż cały stół podskoczył.

Znów zalała ją fala życzliwości. Ludzie krzatali się wokół niej, przynosząc coś ciepłego do picia, podkładając pod stopy ciepłą cegłę, otulając ciepłymi kocami na kanapie w małej bawialni, wsuwając pod głowę poduszki, podtykając pod nos sole trzeźwiące, owijając kolana grubym szalem.

W końcu sobie poszli i została sama. A teraz, gdy знаła już prawdę - taką, jaka ukształtowała się w jej myślach - teraz, gdy mogła płakać za tym, co utraciła: ojcem, kochankiem, rodziną i matką, czasem i miejscem, tym wszystkim, czym powinna być i nigdy nie będzie - teraz okazało się, że płakać nie potrafi. Próbowała; starała się ożywić to uczucie przerażenia, które ogarnęło ją w bawialni,

gdy czuła się sama wśród tłumu. Gdy jednak naprawdę została sama, paradoksalnie przestała się bać. Jedna z niewolnic wsunęła głowę do pokoju, lecz Brianna odesłała ją ruchem ręki.

Cóż, ona też jest Szkotką - w każdym razie w połowie, mruknęła, przykrywając dłonią brzuch - i ma prawo do własnego uporu.

Wszyscy wrócą, wszyscy: matka, ojciec, Roger. Nawet jeśli to przekonanie to tylko zamek na lodzie, to i tak w to wierzy i trzyma się jak tratwy ratunkowej.

Otworzyły się drzwi małej bawialni i na tle oświetlonego holu pojawiła się wysoka postać Jokasty.

- Brianno? - Błada, owalna twarz zwróciła się w kierunku kanapy. Czy zgadła, gdzie ją umieszczono, czy też słyszała oddech Brianny?

- Jestem tu, ciociu.

Jokasta weszła do pokoju, za nią lord John, pochód zamykał zaś Ulisses niosący tacę z herbatą.

- Jak się czujesz, dziecko, może powinnam posłać po doktora Fentimana? - Zmarszczyła brwi i oparła długą dłoń na czole Brianny.

- Nie! - Brianna miała już okazję poznać doktora Fentimana, drobnego, przypominającego ropuchę człowieczka o wilgotnych dłoniach, przekonanego o skuteczności pijawek. Na sam jego widok przechodził ją dreszcz. - Nie, nie trzeba, ciociu, dziękuję, ale czuję się całkiem dobrze. Po prostu przez chwilę zakręciło mi się w głowie.

- Ach, to dobrze. - Jokasta zwróciła niewidzące oczy ku lordowi Johnowi. - Jego lordowska mość z samego rana

wyjeżdża do Wilmington, więc jeśli czujesz się dość silna, pragnie przekazać ci wyrazy szacunku.

- Tak, oczywiście. - Brianna usiadła, spuszcżając nogi na podłogę. A więc lord nie zamierza tu zostać. To zapewne rozczarowanie dla Jokasty, choć nie dla niej. Przez chwilę jednak może być uprzejma. Ulisses postawił tacę na stoliku i cicho wyszedł za ciotką, zostawiając ich samych. Lord John przysunął sobie stół pod nogi i usiadł, nie czekając na zaproszenie.

- Czy naprawdę dobrze się pani czuje, panno Brianno? Nie chciałbym, by pani raz jeszcze padła w filiżanki od herbaty. - Uśmiechnął się lekko, ona zaś się zarumieniła.

- Czuję się dobrze - powiedziała krótko. - Czy chciał mi pan coś powiedzieć?

Jej bezpośredniość najwyraźniej go nie zaskoczyła.

- Tak, uznałem jednak, że zapewne nie życzyłyby sobie pani, bym mówił o tym w szerszym gronie. Jak rozumiem, interesują panią wszelkie okoliczności dotyczące człowieka nazwiskiem Roger Wakefield?

Brianna doszła już do siebie, jednak na te słowa poczuła, że grozi jej nawrót omdlenia.

- Tak, skąd pan... czy pan wie, gdzie on jest?

- Nie. - Dostrzegł zmianę wyrazu jej twarzy i ujął jej dłoń w swoje. - Nie, bardzo mi przykro, pani ojciec pisał do mnie jakieś trzy miesiące temu, prosząc o pomoc w znalezieniu tego człowieka.

Przyszło mu do głowy, że jeśli pan Wakefield przebywa gdzieś w porcie, być może złapano go i siłą wcielono do załogi statku, a zatem znajduje się na jednym z

okrętów Jego Królewskiej Mości. Spytał, czy mogę wykorzystać moje znajomości w kręgach admiralicji i sprawdzić, czy panu Wakefieldowi nie przydarzyło się coś takiego.

Tym razem fala słabości, która ją ogarnęła, była pełna wyrzutów sumienia. Zdała sobie bowiem sprawę, jak usilnie ojciec starał się odnaleźć Rogera.

- On nie jest na statku.

Lorda Johna najwyraźniej zaskoczyła pewność w jej głosie.

- Nie znalazłem dowodów, by go siłą wcielono między Jamestown i Charlestonem. Jednak zawsze istnieje możliwość, że złapano go w przeddzień wypłynięcia, a w takim wypadku jego obecność zostanie odnotowana dopiero, gdy statek wpłynie do portu.

Dlatego właśnie wybieram się jutro do Wilmington, by dowiedzieć się...

- Nie musi pan, wiem, gdzie on jest. - Pokrótce zapoznała go z podstawowymi faktami.

- Jamie... pani ojciec... to znaczy pani rodzice udali się, by uratować tego człowieka z rąk Irokezów? - Najwyraźniej wstrząśnięty, lord John obrócił się i nalał dwie filiżanki herbaty. Podał jej jedną, nie pytając nawet, czy ma ochotę się napić.

Ujęła filiżankę obiema dłońmi, czerpiąc z ciepła pewną pociechę.

Jeszcze większą pociechę była możliwość szczerej rozmowy z lordem Johnem.

- Tak, chciałam z nimi jechać, ale...

- Tak, rozumiem. - Spojrzał na jej zaokrąglony

brzuch i odkaszlnął. - Jak rozumiem, znalezienie pana Wakefielda jest dość pilne.

Roześmiała się, ale bez wesołości.

- Mogę poczekać. Proszę mi powiedzieć, lordzie Johnie, czy słyszał pan kiedyś o małżeństwie zwyczajowym?

Ściągnął jasne brwi.

- Owszem - odparł powoli. - To taki szkocki zwyczaj czasowego małżeństwa, prawda?

- Tak. Chciałabym wiedzieć, czy jest to tutaj legalne?

Potarł szczękę, myśląc. Albo się niedawno ogolił, albo miał bardzo jasny zarost. Choć było późno, na policzkach nie widać było cienia.

- Nie wiem - stwierdził w końcu. - Chyba nigdy nie słyszałem, żeby prawo się zajmowało tą kwestią. Tak czy inaczej, zgodnie z prawem naturalnym, każda para, która mieszka razem jako mąż i żona, jest uważana za małżeństwo. Moim zdaniem małżeństwo zwyczajowe mieści się w tej definicji, prawda?

- Zapewne, tyle że my w oczywisty sposób nie mieszkamy razem - westchnęła Brianna. - Uważam, że jestem zamężna, ale moja ciotka inaczej to postrzega. Twierdzi cały czas, że Roger nie wróci, a nawet jeśli wróci, nie jestem z nim prawnie związana. Zresztą nawet zgodnie ze zwyczajami szkockimi nasz związek trwa tylko rok i dzień. Ciotka chce więc wybrać mi męża, i to jak najszybciej. Bardzo się stara. Gdy pan się pojawił, sądziłam, że jest pan najnowszym kandydatem.

Ta myśl najwyraźniej go rozbawiła.

- Ach tak, to wyjaśnia to dość dziwne towarzystwo przy obiedzie.

Zauważyłem, że ten nader wygadany dżentelmen - Alderdyce? Sędzia, zdaje się? - zwracał na panią uwagę wykraczającą poza normalne granice uprzejmości.

- Nic z tego nie będzie - parsknęła Brianna. - Powinien był pan widzieć, jakie spojrzenia rzucała na mnie przy obiedzie pani Alderdyce. Nie pozwoli, by jej jagniątko - Boże, on musi mieć przynajmniej czterdziestkę - ożeniło się z miejscową nierządnicą babilońską. Zdziwię się, jeśli pozwoli mu znów przekroczyć próg tego domu. - Poklepała się po zaokrąglonym brzuchu. - Chyba już o to zadbałam.

Grey uniósł brew i uśmiechnął się do niej. Odstawił filiżankę, sięgnął po karafkę z sherry i po szklaneczkę.

- No cóż, choć podziwiam pani odważną strategię, panno Brianno - czy mogę do pani mówić „moja droga”? - to informuję panią z przykrością, że w tym konkretnym przypadku ta taktyka się nie sprawdzi.

- Co pan ma na myśli?

Odchylił się na krześle, trzymając w dłoni szklaneczkę, i przyjrzał jej się z życzliwością.

- Mówię o pani Alderdyce. Nie jestem ślepy, choć nie tak przenikliwy jak pani ciotka. Zauważyłem rzeczywiście, że pani Alderdyce panią obserwuje, moja droga, niestety jednak chyba źle pani odczytuje naturę jej spojrzenia. - Pokręcił głową i napił się sherry. - To absolutnie nie było spojrzenie świadczące o obrażonej przyzwoitości, tylko babcina tęsknota.

Brianna usiadła prosto.

- Co takiego?

- Babcina tęsknota - powtórzył i dołał sobie sherry. - Wie pani, pragnienie starszej kobiety, by bawić wnuki, rozpuszczać je, karmić słodyczami i ogólnie na wszystko pozwalać. - Podsunął szklankę pod nos i wciągnął aromat. - Och, ambrozja. Od co najmniej dwóch lat nie piłem przyzwoitej sherry.

- Co takiego? Sądzi pan, że pani Alderdyce myśli, że ja... to znaczy, ponieważ pokazałam, że... że mogę mieć dzieci, to na pewno później urodzę jej wnuki? Ależ to śmieszne, przecież sędzia może wybrać dowolną zdrową dziewczynę o dobrej reputacji i na pewno spłodzi z nią dzieci.

Lord John delektował się smakiem sherry.

- Cóż, wydaje mi się, że ona zdaje sobie sprawę, że on nie może albo nie chce, to bez znaczenia. - Spojrzał na nią wprost, nie mrugając. - Sama pani powiedziała, ma czterdziestkę i wciąż nie jest żonaty.

- Chodzi panu o to, że... ależ to sędzia! - W tej samej chwili, gdy wypowiedziała te słowa, zdała sobie sprawę z ich idiotyczności.

Przykryła usta dłońmi i zarumieniła się. Lord John roześmiał się, choć bez nadmiernej wesołości.

- I to potwierdza moją tezę - powiedział. - Ma pani rację. Mógłby ożenić się z dowolną dziewczyną w hrabstwie, jeśli więc tego nie zrobił... - Przerwał z całą delikatnością i uniósł szklaneczkę, wznosząc ironiczny toast. - Wydaje mi się, że pani Alderdyce zdaje sobie sprawę, iż małżeństwo jej syna z panią jest jej jedyną szansą na wnuka, którego tak bardzo pragnie.

- Do diabła. - Pomyślała, że wszystko, co robi,

okazuje się skazane na niepowodzenie. - Najwyraźniej jestem na przegranej pozycji. Wydadzą mnie za kogoś, wszystko jedno, co zrobię.

- Pozwoli pani, że będę w to wątpić - powiedział. Znów uśmiechnął się nieco boleściwie. - Z tego, co widzę, ma pani bezpośredniość matki i poczucie honoru ojca. I jedno, i drugie wystarczyłoby, by nie dać się wciągnąć w taką zasadzkę.

- Proszę mi nie mówić o honorze mego ojca - rzuciła ostro. - To on wpakował mnie w te kłopoty.

Spojrzał na jej talię z wyraźną ironią.

- Pani mnie szokuje - odparł uprzejmie, wcale nie zaszokowany.

Czuła, że krew znów napływa jej do twarzy.

- Doskonale pan wie, że nie o tym mówiłam.

Ukrył uśmiech w szklaneczce sherry, nie spuszczać z niej wzroku.

- Proszę przyjąć moje przeprosiny, panno Brianno. Co zatem miała pani na myśli?

Łyknęła herbaty, by ukryć zmieszanie. Z przyjemnością poczuła, jak ciepły płyn rozgrzewa jej gardło i piersi.

- Chodzi mi o to... - powiedziała przez zaciśnięte zęby - chodzi mi o ten konkretny kłopot. Zostałam wystawiona na pokaz jak jałówka o niewiadomym pochodzeniu. Uniesiona za kark jak biedne kociątko, z nadzieją, że ktoś się zlituje. Chodzi mi o to, że w ogóle zostawili mnie tu samą - zakończyła nieoczekiwanie drżącym głosem.

- A dlaczego jest tu pani sama? - spytał łagodnie lord

John. - Myślałbym, że pani matka mogła...

- Chciała, ale ja jej nie pozwoliłam, bo musiała... to znaczy on... och, to wszystko to taki pieprzony bałagan! - Oparła twarz na dłoniach i wpatrzyła się w blat stołu. Nie płakała, ale niewiele brakowało.

- Tak, rozumiem. - Lord John pochylił się i odstawił na tacę pustą szklaneczkę. - Jest bardzo późno, moja droga, i jeśli mogę tak powiedzieć, przyda się pani odpoczynek. - Wstał i lekko położył jej dłoń na ramieniu. O dziwo, był to gest jedynie przyjacielski, a nie pełen wyższości, jak mogłaby się spodziewać. - A ponieważ wydaje się, że mój wyjazd do Wilmington nie jest potrzebny, chyba przyjmę uprzejme zaproszenie pani ciotki i zostanę tu przez jakiś czas.

Porozmawiamy znów i zastanowimy się, czy nie da się w pani sytuacji znaleźć jakiegoś środka zaradczego.

59. Szantaż

Toaleta była wspaniała; piękny mebel z gładkiego, rzeźbionego orzechowca, zarazem piękny i wygodny. Szczególnie przydawał się w deszczowe, zimne noce, takie jak ta. W ciemności, nie całkiem obudzona, podniosła klapę i siadła, wzdychając z ulgą, gdy nacisk na pęcherz zaczął słabnąć. Pokój od czasu do czasu rozświetlały błyskawice szalejącej za oknem burzy. Osbert, najwyraźniej zadowolony z dodatkowego miejsca, pokręcił się leniwie, sprawiając, że jej brzuch uwypuklał się to tu, to tam pod białą, flanelową koszulą.

Wstała powoli - teraz niemal wszystko robiła powoli - czując się mile rozespana.

Zatrzymała się przy łóżku i spojrzała przez okno, na

piękne wzgórza i smagane deszczem drzewa, ukazujące się w świetle błyskawic. Szyba w oknie była lodowato zimna, z gór schodziły ciężkie chmury niosące burzę. Śnieg nie padał, ale noc była paskudna.

Jak jest teraz w wysokich górach? Czy dotarli do jakiejś wioski, gdzie znajdą schronienie? Czy znaleźli Rogera? Wzdrygnęła się, choć w kominku wciąż żarzyły się popioły, a w pokoju panowało ciepło.

Łóżko ją kusiło, obiecując przytulność, a co więcej - sny, w których ukryje się przed stale towarzyszącym jej strachem i poczuciem winy.

Zwróciła się jednak ku drzwiom i zdjęła z haczyka pelerynę.

Ciąża zmusiła ją do używania toalety postawionej w pokoju, uparła się jednak, że dopóki jest w stanie chodzić, żaden niewolnik nie będzie nigdy nosić jej nocnika. Owinęła się ciasno peleryną, wyjęła cynowe naczynie z przykrywką z drewnianej obudowy i cicho wyszła na korytarz. Było bardzo późno; nie paliła się już żadna świeca, a na schodach unosił się zapach wygaszonego ognia. Widziała jednak wyraźnie drogę, bo rozjaśniały ją nieustanne błyskawice. Kuchenne drzwi znalazła otwarte - nie powinno tak być, ale błogosławiła za to kucharkę, bo dzięki temu nie robiła hałasu przy odsuwaniu ciężkiej zasuwę jedną ręką.

Lodowaty deszcz uderzył ją w twarz i wpadł pod koszulę nocną, aż się wstrząsnęła. Jednak po pierwszym szoku, wywołanym zimnem, zaczęło jej to sprawiać przyjemność. Gwałtowność wiatru była porywająca - duł tak mocno, że unosił jej pelerynę jak skrzydła, i po raz pierwszy

od miesiący poczuła się lekka. Szybko doszła do wygodki, wypłukała nocnik w deszczu spływającym z rynny i stanęła na brukowanym podwóreczku, pozwalając wiatrowi owiewać sobie twarz i siekać deszczem po policzkach. Nie była pewna, czy to uniesienie, czy pokuta; czy skłoniła ją do tego potrzeba podzielenia z rodzicami niewygody, czy może jakiś pogański rytuał - pragnienie zagubienia się w dzikich żywiołach. To nie miało znaczenia. Weszła pod rzygacza rynny, pozwalając, by woda zmoczyła jej włosy i ramiona.

Łapiąc powietrze, otrząsając włosy z wody jak pies, dała parę kroków i zatrzymała się, bo zauważyła nagły błysk światła. Nie błyskawicy, tylko światła, które się na chwilę pojawiło, a potem zgasło - to drzwi w pomieszczeniach niewolników otworzyły się na chwilę, a potem zamknęły. Czy ktoś nadchodzi? Rzeczywiście słyszała kroki na żwirze. Cofnęła się w cień, nie chciała się tłumaczyć ze swej tu obecności.

Błyskawica wyraźnie oświetliła idącego, rozpoznała lorda Johna Greya, z gołą głową, w samej koszuli; włosy miał rozwiązane, szarpane wiatrem. Zimno i deszcz najwyraźniej mu nie przeszkadzały.

Minął ją, nie zauważając, i zniknął na kuchennym ganku. Zdając sobie sprawę, że zarygluje drzwi, pobiegła za nim niezgrabnie, ale szybko.

Właśnie je zamykał, gdy uderzyła ramieniem; wpadła do kuchni i stała tam cała mokra, a lord John wpatrywał się w nią niedowierzająco.

- Miła noc na spacer - powiedziała, łapiąc oddech. - Nieprawdaż?

- Odrzuciła do tyłu mokre włosy, skinęła mu

życzliwie głową i ruszyła na schody. Bose stopy zostawiały na ciemnym, polerowanym drewnie ślady w formie półksiężyców. Nasłuchiwała, ale za nią nie rozległy się żadne kroki. W pokoju rozłożyła przed kominkiem pelerynę i koszulę, wytarła ręcznikiem włosy i twarz, i naga wsunęła się do łóżka. Drżała, ale dotyk bawełnianej pościeli na nagiej skórze był cudowny.

Przeciągnęła się, przetoczyła na bok i zwinęła mocno w kłębek, dzięki temu ciepło z wnętrza powoli rozchodziło się na całe ciało, aż do skóry. W pamięci odtwarzała scenę na ścieżce i w końcu myśli, które od kilku dni krążyły jej po głowie, przybrały racjonalny kształt.

Lord John od początku traktował ją z uwagą i szacunkiem, czasami z rozbawieniem lub podziwem - czegoś jednak brakowało.

Nie potrafiła tego zdefiniować, przez jakiś czas nawet nie była tego świadoma, teraz jednak wiedziała już, o co chodzi. Jak większość kobiet o uderzającej urodzie przyzwyczajona była do otwartego podziwu mężczyzn. Lord John również darzył ją atencją. Jednak pod podziwem zazwyczaj wyczuwała głębszą świadomość, bardziej subtelną niż spojrzenie czy gest, rodzaj wibracji, jak odległe dzwony sięgające aż do trzewi, uświadamiające jej, że jest kobietą. Gdy poznała lorda Johna, wydawało jej się, że również to czuje, ale przy kolejnych spotkaniach to wrażenie zniknęło - doszła więc do wniosku, że pierwotnie popełniła błąd.

Pomyślała, że powinna była zgadnąć wcześniej. Spotkała się już kiedyś z tą wewnętrzną obojętnością u kolegi byłego chłopaka. Lord John jednak ukrywał się z tym

bardzo dobrze; zapewne nigdy by nie odgadła, gdyby nie to przypadkowe spotkanie na dworze. Nie, gdy się spotykali, nie odzywał się w nim żaden dzwon - słyszała go natomiast, gdy wyszedł z pomieszczeń dla niewolników.

Zastanawiała się przelotnie, czy jej ojciec wie, ale odrzuciła taką możliwość. Po doświadczeniach w więzieniu w Wentworth nie mógłby tak szanować mężczyzny o takich preferencjach, jak szanował lorda Johna.

Odwróciła się na plecy. Gładka bawełna pościeli pieszczotliwie dotykała jej nagiej skóry na piersiach i udach. Zdała sobie sprawę z tego uczucia; sutki jej stwardniały i automatycznie uniosła dłoń, by objąć piersi. Pamięć przywołała duże, ciepłe ręce Rogera - i nagle go zapragnęła. Potem pamięć wydobyla z mroku bardziej brutalne dłonie, które szczypały ją i gniotły, i pragnienie natychmiast zmieniło się we wściełość. Przetoczyła się na brzuch, krzyżując ramiona pod piersiami, chowając twarz w poduszce, ściskając nogi i zagryzając zęby w nieskutecznej obronie.

Nie mogła już leżeć na brzuchu, bo dziecko stanowiło dużą, niewygodną górkę. Zakłęła pod nosem, przekręciła się i wyskoczyła z łóżka, spod zdradzieckich, uwodzicielskich prześcieradeł. Przeszła nago przez słabo oświetlony pokój i znów stanęła przy oknie, patrząc na siekący deszcz. Włosy zwisały jej wilgotną masą na plecach, przez szkło czuła zimno, ciało ramion, ud i brzucha pokryło się gęsią skórką. Nie zrobiła jednak żadnego gestu, by się czymś okryć, ani nie wróciła do łóżka, tylko stała tam, jedną ręką dotykając łagodnego zarysu brzucha, wpatrzona w krajobraz za oknem.

Wkrótce będzie zbyt późno. Już gdy wyjeżdżali, wiedziała, że jest zbyt późno. Wiedziała to też jej matka, żadna z nich nie chciała jednak tego przyznać przed drugą. Obie udawały, że Roger wróci na czas, że razem popłyną na Hiszpanię i że razem powrócą przez kamienie.

Dotknęła drugą dłońią szyby - natychmiast pojawiła się para, tworząc zarys jej palców. Jest początek marca, zostały jej może trzy miesiące, może mniej. Podróż na wybrzeże potrwa tydzień, może dwa, ale w marcu żaden statek nie zaryzykuje podróży przez zdradzieckie Outer Banks. Mogliby wyruszyć najwcześniej na początku kwietnia.

Jak długo trwa podróż do Indii Zachodnich - dwa tygodnie, trzy? A zatem zrobi się już koniec kwietnia. Kilka dni potrwa podróż w głąb lądu i odszukanie jaskini. Będą podążać powoli, przedzierając się przez dżunglę, a ona będzie już w ósmym miesiącu. Co więcej, droga wiąże się z niebezpieczeństwem, choć - biorąc wszystko pod uwagę - nie miałyby to większego znaczenia.

Tak by było, gdyby Roger znalazł się tu już teraz - ale wciąż go nie ma. Być może nigdy się nie pojawi - choć tej możliwości starała się nie brać pod uwagę. Jeśli nie będzie myśleć o wszystkich rzeczach, które mogły spowodować jego śmierć, to nie zginie - tak brzmiał jeden z artykułów jej wiary. Pozostałe mówiły, że jeszcze nie umarł i że matka wróci, zanim nadejdzie pora porodu. Jeśli zaś chodzi o ojca - znów zalała ją wściekłość, jak zawsze, gdy o nim myślała - jeśli zaś chodzi o ojca i Bonnetę, to starała się myśleć o nich jak najmniej.

Oczywiście modliła się, jak tylko umiała

najzarliwiej, nie była jednak osobą, która potrafi modlić się i czekać. Zawsze wołała działanie.

Gdyby tylko mogła pojechać z nimi na poszukiwanie Rogera...

W tej sprawie jednak też nie miała wyboru. Zacisnęła zęby i płasko przykryła dłonią brzuch. W wielu sprawach nie miała wyboru.

Dokonała jednak jednego - że urodzi dziecko; teraz musi żyć z konsekwencjami tej decyzji.

Zaczynała drzeć z zimna, odwróciła się więc od widoku burzy i podeszła do ognia. Po rozżarzonej bierwionie wędrował mały płomyk, popiół jarzył się złotem i bielą. Opadła na dywanik przed kominkiem i zamknęła oczy. Ciepło ognia koło jej zimną skórę, pieszcząc jak ciepła dłoń. Tym razem nie pozwalała sobie pomyśleć o Bonnie, odmawiała mu wstępu do mózgu. Zamiast tego koncentrowała się na tych kilku cennych wspomnieniach związanych z Rogerem.

„Słuchaj mego serca, powiedz mi, jeśli przestanie bić...”.

Słyszała, jak mówi trochę bez tchu, trochę zduszonym głosem, zagubiony między śmiechem a namiętnością. „A skąd ty to właściwie możesz wiedzieć?”. Szorstki dotyk kręconych włosów, gładki, twardy łuk jego ramion, tętno na szyi, gdy pociągnęła go na siebie i całowała, pragnąc go gryźć, smakować, zlizywać sól i kurz z jego skóry. Jego ciemne, sekretne miejsca, które znała jedynie dotykiem, miękki ciężar, tak wrażliwy w jej dłoni, złożone łuki i głębia, która niechętnie poddawała się jej palcom. „Och, Boże, nie przerywaj, ale ostrożnie, dobrze?”

Och!". Ten dziwny, pomarszczony jedwab, który napiął się i wygładził, wypełnił jej dłoń, podnosząc się w milczeniu jak lodyga kwitnącego w nocy kwiatu, otwierającego się spokojnie do księżycyca.

Łagodność jego dotyku. „Boże, jak chciałbym widzieć twoją twarz, wiedzieć, co czujesz, czy wszystko dobrze robię, czy to sprawia ci przyjemność, powiedz mi, Bree, mów do mnie...". Pamiętała, jak poznawała jego ciało, a potem tę chwilę, gdy ujęła ustami jego sutek i poczuła, jak nagle wypełnia go moc, jak traci opanowanie i chwyta ją, podnosi, jakby była lekka jak piórko, jak przetacza ją na siano i bierze, wahając się, bo pamięta, że jej ciało jeszcze nie zna tego uczucia.

Potem jednak odpowiada na żądanie jej paznokci na plecach i wchodzi w nią gwałtownie, zmuszając, żeby zapomniała o strachu, by go przyjęła, powitała, i w końcu wzniosła się razem z nim w szaleństwie, łącząc się na zawsze w powodzi potu, piżma, krwi i nasienia. Jęknęła głośno, zadrżała i leżała nieruchomo, zupełnie osłabła. Serce waliło jej mocno, ale powoli, brzuch miała napięty jak bęben. Jedna połowa jej ciała była gorąca, druga chłodna i ciemna.

Po chwili przetoczyła się na czworaka i odsunęła od ognia.

Wróciła do łóżka i położyła się jak zranione zwierzę, nie całkiem przytomna, ignorując gorąco i zimno. W końcu naciągnęła kołdrę, obronnym gestem przykryła dłońmi brzuch i została tak, patrząc w ścianę. Tak, było już za późno. Doznania i pragnienia trzeba odsunąć na bok, tak samo jak miłość i gniew. Musi oprzeć się żądaniom ciała i

uczuc, musi podjąć decyzję.

Przez trzy dni przekonywała samą siebie, że jej plan ma sens, pokonywała skrupuły i szukała odpowiedniego czasu i miejsca. Była jednak dokładna i cierpliwa, nie musiała się spieszyć. Miała jeszcze trzy miesiące.

W końcu, we wtorek, znalazła okazję. Jokasta siedziała w gabinecie z Duncanem Innesem i księgami rachunkowymi. Ulisses, rzuciwszy krótkie spojrzenie na zamknięte drzwi gabinetu, poszedł do kuchni, by nadzorować przygotowania do kolejnego obiadu wydawanego na cześć jego lordowskiej mości. Pozbyła się Fedry, wysyłając ją konno do Barra Meadows po książkę obiecaną przez Jenny Ban Campbell.

W nowej niebieskiej sukni, której kolor pasował do jej oczu, z sercem bijącym w piersi jak młot, wyruszyła, by dopaść swoją ofiarę.

Znalazła go w bibliotece przy wysokim, francuskim oknie. Siedział, czytając Rozważania Marka Aureliusza; poranne słońce tak rozjaśniało mu gładkie, jasne włosy, że wyglądały jak toffi. Gdy weszła, uniósł wzrok. Nawet hipopotam potrafiłby wejść z większym wdziękiem - pomyślała niechętnie, zaczepiając suknią o stół. Lord John odłożył książkę, skoczył na równe nogi i pochylił się nad jej dłonią.

- Nie, nie chcę siadać, dziękuję. - Pokręciła głową, gdy wskazał jej fotel. - Zastanawiałam się... to znaczy chciałabym pójść na spacer.

Czy dotrzymałby mi pan towarzystwa?

Dolną część weneckich okien pokrywał lód, wokół domu gwizdał zimowy wiatr, w środku znajdowały się

fotele, brandy i ogień w kominku, jednak lord John był dżentelmenem.

- Z przyjemnością - zapewnił ją uprzejmie i zostawił Marka Aureliusza, nawet się nie obejrzał.

Dzień był jasny, ale bardzo zimny. Otuleni grubymi płaszczami weszli na teren warzywnika, gdzie wysokie mury chroniły ich nieco przed wiatrem. Wymieniali drobne uwagi na temat ładnej pogody, zapewniali się nawzajem, że nie jest im zimno, przeszli przez niewielką łukową bramę do również otoczonego murem ogrodu ziołowego. Brianna rozejrzała się na boki - byli całkiem sami, a gdyby ktokolwiek pojawił się na ścieżce, zobaczy go z daleka. Lepiej zatem nie tracić czasu.

- Mam panu coś do zaproponowania - powiedziała.

- Jestem przekonany, że każdy pani pomysł będzie uroczy, moja droga - odrzekł, uśmiechając się lekko.

- Nie byłabym tego taka pewna. - Odetchnęła głęboko. - Proszę posłuchać. Chcę, by się pan ze mną ożenił.

Wciąż się uśmiechał, najwyraźniej czekając na puentę.

- Mówię poważnie - dodała.

Uśmiech nie zniknął, ale wyraz twarzy lorda Johna nieco się zmienił. Nie była pewna, czy niechętnie przyjął jej słowa, czy po prostu starał się nie roześmiać na głos. Miała wrażenie, że chodzi o to drugie.

- Nie chcę pana pieniędzy, podpiszę odpowiedni dokument. I nie musi pan ze mną mieszkać, choć powinnam zapewne pojechać z panem do Wirginii przynajmniej na jakiś czas. Jeśli zaś chodzi o to, co ja mogę zrobić dla

pana... - zawahała się, wiedząc, że jej oferta jest słabsza. - Jestem silna, to jednak niewiele dla pana znaczy, bo ma pan służbę. Umiem jednak dobrze zarządzać i organizować, a przede wszystkim umiem konstruować różne rzeczy. Potrafię prowadzić rachunki i chyba wiem, jak poprowadzić farmę. Mogłabym zarządzać pańskim majątkiem w Wirginii podczas pana pobytów w Anglii. I ma pan syna, prawda? Zajmę się nim, będę dla niego dobrą matką.

Podczas jej przemówienia lord John stanął nieruchomo na środku ścieżki. Teraz oparł się powoli o mur i wzniosł oczy ku niebu, w milczeniu modląc się o zrozumienie.

- Drogi Boże - westchnął - że też dożyłem takiej oferty. - Potem pochylił głowę i spojrzał na nią wprost i przenikliwie. - Czy pani zwariowała?

- Nie. - Starła się zachować spokój. - To zupełnie rozsądna propozycja.

- Słyszałem - powiedział ostrożnie, wpatrując się w jej brzuch - że kobiety, które są w tym stanie, łatwo się denerwują, przyznaję jednak, że moje doświadczenie w tym względzie jest niezwykle ograniczone... może powinienem posłać po doktora Fentimana?

Wyprostowała się, oparła dłońią o mur i pochyliła ku niemu, jakby grożąc mu samym swym wzrostem.

- Nie, nie powinien pan - oświadczyła spokojnym, zdecydowanym tonem. - Proszę mnie wysłuchać, lordzie Johnie. Nie jestem wariatką, nie mam pstro w głowie, nie zamierzam panu w jakikolwiek sposób przeszkadzać, ale mówię absolutnie poważnie.

Od chłodu zaróżowiła mu się skóra, na czubku nosa

zebrała się kropelka, którą wytarł o rękaw płaszcza. Wpatrywał się w Brianę z wyrazem twarzy mówiącym i o ciekawości, i o przerażeniu, ale w każdym razie przestał się śmiać. Czowała lekkie mdłości, lecz musiała to zrobić. Żywiła nadzieję, że uda jej się tego uniknąć, najwyraźniej jednak nie było innego sposobu.

- Jeśli nie zgodzi się pan ze mną ożenić - powiedziała - to pana wydám.

- Co pani zrobi? - Jego zwykła maska uprzejmości zniknęła, teraz na twarzy rysowało się zdziwienie i czujność.

Miała na sobie wełniane rękawiczki, czowała jednak, że palce jej zlodowaciały, tak samo jak reszta ciała, poza ciepłym kłębkiem śpiącego dziecka.

- Wiem, co pan robił tamtej nocy w pomieszczeniach dla niewolników. Wszystkim rozpowiem. Mojej ciotce, panu Campbellowi, szeryfowi... Napiszę listy - mówiła sztywnymi wargami. - Napiszę do gubernatora, do gubernatora Wirginii. Tutaj pederastów umieszczają w więzieniu, tak mi powiedział pan Campbell.

Ściągnął brwi; były one tak jasne, że w mocnym świetle właściwie nie było ich widać. Przypominały jej brwi Lizzie,

- Proszę przestać tak mi grozić z wysoka.

Złapał ją za przegub i pociągnął w dół z siłą, która ją zdumiała.

Był drobny, ale znacznie silniejszy, niż przypuszczała. Nagle przestraszyła się tego, co rozpoczęła. Ujął ją zdecydowanie za łokieć i skierował dalej od domu. Przyszło jej do głowy, że może chce ją zaprowadzić nad

rzekę, gdzie nikt ich nie będzie widział, i utopić.

Było to mało prawdopodobne, mimo to oparła się narzuconemu kierunkowi, zawracając do ogrodu warzywnego. Nie sprzeciwił się, poszedł razem z nią, choć wiatr wiał im prosto w twarz. Odezwał się dopiero, gdy skręcili raz jeszcze, znajdując osłonięty kąt przy grządce cebuli.

- Nawet mnie kusi, by przyjąć pani nieprawdopodobną propozycję - powiedział w końcu, a kącik ust mu drżał. Nie potrafiła ocenić, czy z wściekłości, czy z rozbawienia. - Niewątpliwie ucieszyłoby to pani ciotkę, doprowadziło do wściekłości matkę, panią zaś nauczyłoby nie igrać z ogniem. - Ujrzała w jego oku błysk i nagle zwątpiła, czy jej wnioski co do jego preferencji seksualnych były właściwe. Odsunęła się lekko.

- Ach, nie sądziłam, że... że pan może... no, i mężczyźni, i kobiety.

- Byłem żonaty - zauważył z pewnym sarkazmem.

- Tak, ale sądziłam, że mniej więcej w taki sposób, jaki teraz ja proponuję. Że było to jedynie małżeństwo formalne. Dlatego w ogóle o tym pomyślałam, gdy zdałam sobie sprawę, że pan... - przerwała z niecierpliwym gestem. - Czy chce pan powiedzieć, że naprawdę lubi pan chodzić do łóżka z kobietami?

Uniósł brew.

- Czy to oznaczałoby zasadniczą zmianę pani planów?

- No... tak, niewątpliwie, gdybym to wiedziała, nie wysunęłabym swojej propozycji.

- Ona mówi „propozycji” - mruknął. - Publiczne

oskarżenie, więzienie - „propozycja”?

Policzki tak ją paliły, że nie zdziwiłaby jej para w powietrzu wokół twarzy.

- Przepraszam - powiedziała. - I tak bym tego nie zrobiła. Musi mi pan uwierzyć, że i tak nie powiedziałabym nikomu ani słowa.

Tylko gdy pan się roześmiał, pomyślałam... Tak czy inaczej to nie ma znaczenia. Jeśli chciałby pan ze mną spać, nie mogłabym wyjść za pana za męża, to nie byłoby właściwe.

Zamknął mocno oczy i trzymał je tak przez chwilę zaciśnięte.

Potem otworzył jedno i spojrzał na nią.

- Czemu nie? - spytał.

- Z powodu Rogera. - Stwierdziła z wściekłością, że głos jej się załamał, a po policzku spływa gorąca łza. - Do diabła - zaklęła. - Niech to wszyscy diabli, nie zamierzałam nawet o nim myśleć! - Gniewnie otarła łzę i zacisnęła zęby. - Może ma pan rację, może to ciąża; cały czas płaczę, nawet bez powodu.

- Raczej trudno uznać, że nie ma pani powodu.

Odetchnęła głęboko, napęlniając płuca zimnym powietrzem.

Została jej jeszcze jedna karta do zagrania.

- Jeśli lubi pan kobiety... nie mogłabym... to znaczy nie chciałabym z panem sypiać, ale nie miałabym nic przeciwko temu, żeby spał pan z kim innym, wszystko jedno, czy z mężczyzną, czy kobietą...

- Wielkie dzięki - mruknął, ale zignorowała go, chcąc tylko wszystko z siebie jej najprędzej wyrzucić.

- Rozumiem jednak, że chciałby pan mieć własne dziecko. Nie mogłabym nie pozwolić panu na to, i to chyba mogę panu dać. - Spojrzała w dół na brzuch, objęty teraz ramionami. - Wszyscy mówią, że jestem doskonale zbudowana do rodzenia dzieci - ciągnęła, utkwivszy wzrok w ziemi. - Ja... zgodziłabym się, do chwili, kiedy znów zajdę w ciążę. Musiałby pan to umieścić w kontrakcie. Pan Campbell mógłby to pewnie spisać.

Lord John potarł dłonią czoło, najwyraźniej potwornie bolała go głowa. W końcu opuścił rękę i ujął ją za ramię.

- Chodź ze mną, dziecko - powiedział spokojnie. - Lepiej mi powiedz, co ci, do diabła, przyszło do głowy?

Odetchnęła głęboko, by uspokoić głos.

- Nie jestem dzieckiem.

Zmierzył ją wzrokiem i najwyraźniej zmienił zdanie na jakiś temat.

- Nie, nie jest pani, niech nam Bóg dopomoże. Ale zanim doprowadzi pani Farquarda Campbella do apopleksji swoim wyobrażeniem na temat właściwego kontraktu małżeńskiego, proszę, by usiadła pani ze mną na chwilę i podzieliła się przemyśleniami, które zrodziły się w pani niezwykłym umyśle. - Wskazał jej drogę przez łukowate przejście do ozdobnego ogrodu. Tam nie będą z domu widoczni.

Ogród był ponury, ale bardzo zadbany. Usunięto już wszystkie zeszłoroczne martwe rośliny, suche gałęzie przycięto i rozrzucano jako osłonę po rabatach. Oznaki życia widoczne były jedynie na okrągłym gazonie wokół milczącej fontanny. Zielone włochate krokusy wystawały

tam z ziemi jak malutkie kozły, pełne życia i gotowe do ataku. Usiedli, lecz Brianna nie potrafiła wytrzymać na miejscu. Wstał więc razem z nią i szedł obok, nie dotykając jej, ale dotrzymując jej kroku. Wiatr rozwiewał im włosy, jego blond, jej rude. Lord John nie mówił ani słowa, tylko słuchał, gdy opowiadała mu - niemal wszystko.

- Więc myślałam, i myślałam, i myślałam - powiedziała w końcu.

- I do niczego nie dochodziłam. Rozumie pan? Mama i tato są gdzieś tam - machnęła dłonią, wskazując odległe góry. - Wszystko może im się przytrafić, a Rogerowi wszystko już mogło się przytrafić. Ja zaś siedzę tu coraz większa i większa, i nic nie mogę zrobić. - Spojrzała na niego i obleczoną w rękawiczkę ręką wytarła ciekący nos. - Wcale nie płaczę - zapewniła go, choć łzy spływały jej po policzkach.

- Nie, oczywiście, że nie. - Ujął jej dłoń i oparł na swoim ramieniu. - Dookoła, dookoła... - mruknął, gdy szli ścieżką obiegającą fontannę.

- Tak, dookoła, dookoła, bez końca - przytaknęła. - A za jakieś trzy miesiące będę... Muszę coś zrobić - zakończyła nieszczęśliwym głosem.

- Może pani w to nie wierzyć, ale w pani przypadku czekanie oznacza właśnie robienie czegoś, choć przyznaję, że może na to nie wyglądać - powiedział sucho. - Dlaczego nie poczeka pani na wynik poszukiwań ojca? Czy pani honor nie pozwala jej urodzić dziecka pozbawionego ojca, czy...

- Nie chodzi o mój honor - przerwała - tylko jego, Rogera. On... przyjechał do mnie, porzucił wszystko i

podążył za mną, gdy ruszyłam na poszukiwanie ojca. Wiedziała, że to zrobi - i zrobił.

Gdy dowie się o tym... - skrzywiła się i przykryła dłonią wystający brzuch. - Ożeni się ze mną, bo będzie uważać, że musi, a ja nie mogę mu na to pozwolić.

- Dlaczego nie?

- Bo go kocham. Nie chcę, by zenił się ze mną z poczucia obowiązku, a ja... a ja tego nie zrobię - zakończyła zdecydowanie. - Podjęłam decyzję, nie zrobię tego.

Lord John mocniej owinął się płaszczem, bo od rzeki nadciągnął nowy powiew zimnego wiatru. Niósł ze sobą zapach lodu i martwych liści, ale także pewną świeżość, zapowiadającą nadejście wiosny.

- Rozumiem. Cóż, zgadzam się z pani ciotką, że potrzebny pani mąż. Czemu jednak ja? - Uniósł jasną brew. - Chodzi o mój tytuł czy mój majątek?

- Ani o jedno, ani o drugie, tylko o to, że byłam pewna, iż nie lubi pan kobiet - wyjaśniła, patrząc na niego błękitnymi oczyma z całą szczerością.

- Ależ ja lubię kobiety - zaprotestował z pewną irytacją. - Podziwiam je, szanuję, a do kilku przedstawielek tej płci żywię ciepłe uczucia. Na przykład do pani matki, choć wątpię, by odpowiadała mi ona tym samym. Nie szukam jednak przyjemności w ich łóżkach. Czy wyrażam się jasno?

- Tak - powiedziała i zmarszczki między jej brwiami zniknęły jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki. - Tak właśnie myślałam.

Widzi pan, nie byłoby słuszne, gdybym wyszła za mąż za pana MacNeilla, Bartona McLachlana czy kogoś

innego, bo obiecywałabym coś, czego nie mogę im dać. Pan jednak i tak tego nie chce, więc nie ma powodu, dla którego nie mogłabym wyjść za pana za mąż.

Czuł, że chętnie by wałnął głową w mur.

- Zdecydowanie jest.

- Jaki?

- By podać najbardziej oczywisty: pani ojciec niewątpliwie skreśliłby mi kark.

- Ależ czemu? - spytała, marszcząc brwi. - Lubi pana, mówi, że jest pan jednym z jego najlepszych przyjaciół.

- Zaszczyca mnie jego dobra opinia - powiedział krótko. - Jednak ta dobra opinia szybko by się skończyła, gdyby Jamie Fraser odkrył, że jego córka została małżonką i rozplodową kłaczą dla zepsutego sodomity.

- A skąd miałyby to wiedzieć? Ja mu nie powiem. - Zarumieniła się, widząc jego oburzone spojrzenie, lecz nagle roześmiała się, on zaś jej zawtórował. - No, cóż, przepraszam, ale to były pana słowa - wykrztusiła w końcu, ocierając mokre oczy brzegiem płaszcza.

- Och, Boże, tak, to prawda. - Wyciągnął kosmyk włosów z ust i znów wytarł nos o rękaw płaszcza. - Do diabła, dlaczego nie wziąłem chustki? Powiedziałem tak, bo to prawda. Jeśli zaś chodzi o pani ojca, to jest on dobrze świadom tego faktu.

- Naprawdę? - Wydawała się niezwykle zaskoczona. - A sądziłam, że on by nigdy... - Przerwała na widok żółtego błysku fartucha pomocy kuchennej w przyległym ogrodzie.

Lord John wstał bez słowa i podał jej ramię. Brianna podniosła się również; wyszli razem na suchy, zbrązowiały,

martwy teraz trawnik. Wiatr rozwiewał ich płaszcze jak żagle. O tej porze roku kamienna ławeczka pod wierzbą nie miała zwykłego uroku, nie docierały tu jednak lodowate powiewy od rzeki. Lord John pomógł Briannie usiąść, usiadł obok i głośno kichnął. Rozpięła płaszcz, wsunęła dłoń za dekolt i wyciągnęła pomiętą chustkę, którą podała mu ze słowami przeprosin. Chustka była ciepła i miała jej zapach - niepokojący zapach dziewczęcego ciała z dodatkiem goździków i lawendy.

- To, co pan powiedział, że nauczy mnie igrać z ogniem... co miał pan na myśli?

- Nic takiego. - Teraz jednak on się zarumienił.

- Nic takiego, co? - Uśmiechnęła się ironicznie. - To niewątpliwie była groźba.

Westchnął i ponownie wytarł nos chustką.

- Była pani ze mną szczerą, co nawet okazało się dość krępujące.

Więc tak, ja chyba... Nie, to rzeczywiście była groźba. - Machnął ręką, jakby poddając się. - Wygląda pani... bardzo przypomina pani swego ojca. Rozumie pani?

Patrzyła na niego ze zmarszczonymi brwiami, początkowo wyraźnie nie rozumiejąc, po chwili jednak zdała sobie sprawę, co jego słowa oznaczają. Wyprostowała się, nie spuszczając z niego wzroku.

- Ale pan... nie tato, on by nie...

- Nie - powiedział lord John sucho. - On by nie, choć pani szok nie jest zbyt dla mnie pochlebny. I, choć nie musi mi pani wierzyć, nigdy nie wykorzystałbym pani podobieństwa do niego. Była to groźba tak samo próżna jak pani zapowiedź wydania mnie.

- Gdzie pan poznał mego ojca? - Ciekawość nagle wzięła górę nad jej własnymi problemami.

- W więzieniu. Wie pani, że po powstaniu znalazł się w więzieniu? Skinęła głową.

- No cóż, powiedzmy, że darzę Jamiego Frasera szczególnym uczuciem, i to już od lat. - Pokręcił głową i westchnął. - I nagle pojawia się pani, proponując mi swoje niewinne ciało, echo jego ciała.

I do tego obiecuje dać mi dziecko, które zmieszałoby moją krew z jego krwią. A wszystko dlatego, że honor nie pozwala pani wyjść za człowieka, którego pani kocha, ani kochać człowieka, za którego wyjdzie pani za męż. - Oparł głowę na rękach. - Dziecko, doprowadziłaby pani do rozpaczony anioła, a Bóg jeden wie, że aniołem nie jestem.

- Moja mama uważa, że pan jest. Spojrzał na nią zaskoczony.

- Co takiego?

- No, może nie posunęłaby się aż tak daleko - poprawiła się, wciąż marszcząc brwi - mówi jednak, że jest pan dobrym człowiekiem. Wydaje mi się, że lubi pana, choć nie chce. Teraz rozumiem, zapewne wie, że pan... to znaczy... pana uczucia do... - zakaszłała, połą płaszczą zakrywając rumieniec.

- Do diabła - mruknął. - Och, do diabła i wszystkich diabłów, nie powinienem być z panią wychodzić na dwór. Tak, wie, choć prawdę mówiąc, nie jestem pewny, dlaczego traktuje mnie podejrzliwie. Bo przecież powodem nie może być zazdrość.

Brianna pokręciła głową, w zamyśleniu przygryzając dolną wargę.

- Wydaje mi się, że boi się, by go pan w jakiś sposób nie zranił.

Boi się o niego.

Zaskoczony uniósł na nią wzrok.

- Zranię go, jak? Czy sądzi, że go przymuszę?

Mówił lekko, ale na widok iskry w jej oczach słowa zamarły mu w gardle. Złapał ją mocniej za ramię. Przygryzła wargę i łagodnie uwolniła się z jego uścisku.

- Czy widział pan kiedyś mego ojca bez koszuli?

- Chodzi pani o blizny na jego plecach? Przytaknęła.

- Tak, widziałem je. To moje dzieło. - Bębnił palcami o kolana.

Wzdrygnęła się, szeroko otwierając oczy. Koniec nosa miała czerwony, ale resztę cery tak bladą, jakby włosy i brwi wyssały z twarzy cały kolor.

- Nie wszystkie - powiedział, wpatrzony w rabatkę martwych malw. - Już przedtem spotkał się z chłostą i to pogorszyło sprawę.

Dokładnie wiedział, co robi.

- Robi... co? - spytała. Powoli zmieniła pozycję na ławce, nie tyle odwracając się ku niemu, ile przemieszczając w środku ubrań, jak chmura, która na wietrze zmienia kształt.

- Byłem komendantem więzienia Ardsuir, mówił pani o tym?

Nie, tak sądziłem. - Machnął niecierpliwie ręką, odgarniając włosy, które wiatr znów nawiał mu na twarz. - On był oficerem, dżentelmenem, jedynym oficerem w więzieniu. Reprezentował jakobickich więźniów. Jadaliśmy razem kolacje w moim mieszkaniu, grywaliśmy w szachy,

rozmawialiśmy o książkach, interesowały nas te same rzeczy. Zaprzyjaźniliśmy się, a potem... przestaliśmy się przyjaźnić.

Przerwał. Odsunęła się nieco od niego, z niechęcią w oczach.

- To znaczy... kazał go pan wysmagać, bo on nie...

- Nie, do diabła, wcale nie tak! - Złapał chustkę, gniewnie wytarł nos i rzucił na ławkę między nimi. Spojrzał na nią gniewnie. - Jak pani śmie sugerować coś takiego!

- Ależ sam pan powiedział, że pan to zrobił.

- On to zrobił!

- Nie można się samemu wychłostać!

Zaczął mówić, zachłysnął się, uniósł brwi wciąż rozgniewany, ale kontrolując już swoje uczucia.

- Można. Z tego, co słyszę, robi to pani od miesięcy.

- Nie mówimy o mnie.

- Oczywiście, że mówimy.

- Nie. - Pochyliła się ku niemu, ściągając brwi. - To co pan miał na myśli, mówiąc, że on to zrobił?

Wiatr wiał jej w plecy, jemu w twarz. Oczy go piekły i łzawiły.

- Co ja tu robię? - mruknął do siebie. - Chyba oszalałem, że tak z panią rozmawiam.

- Wszystko mi jedno, czy pan oszalał, czy nie! - Złapała go za rękaw. - Niech mi pan powie, co się stało!

Zacisnęła wargi. Przez chwilę miała wrażenie, że się więcej nie odezwie, powiedział już jednak zbyt wiele, by teraz przerwać. Podał się, wzruszając ramionami.

- Zaprzyjaźniliśmy się. Potem odkrył, jakie żywię do niego uczucia. Przestaliśmy być przyjaciółmi z jego

wyboru. To mu jednak nie wystarczyło, chciał zdecydowanie przeciąć sprawę. Specjalnie więc stworzył tak drastyczną sytuację, że musiała nieodwracalnie zmienić nasze relacje i zdusić w zarodku jakąkolwiek szansę na przyjaźń między nami. Więc skłamał. Przy przeszukaniu celi znaleziono tartan, on zaś publicznie oświadczył, że tartan należy do niego. W tamtych czasach posiadanie tartanu było sprzeczne z prawem, w Szkocji wciąż jest. - Wciągnął powietrze i powoli wypuścił. Nie patrzył na nią, tylko na rząd nagich drzew po drugiej stronie rzeki, rysujących się ostro na bladym wiosennym niebie. - Byłem dowódcą, do mnie należało przestrzeganie prawa. Musiałem skazać go na chłostę, on zaś doskonale wiedział, że tak będzie. - Odchylił głowę na rzeźbione, kamienne oparcie ławki i zamknął oczy.

- Mogłem mu wybaczyć, że mnie nie chce - powiedział cicho z goryczą - ale nie mogłem mu wybaczyć, że w taki sposób mnie wykorzystał. Nie tylko zmusił mnie, bym sprawił mu ból, ale jeszcze go poniżył. Nie wystarczyło mu, że odrzuca moje uczucia, musiał je zniszczyć. To było zbyt wiele.

Rzeka niosła różne śmiecie. Odłamane przez burzę gałęzie, złamaną deskę łodzi, która musiała przewrócić się gdzieś w górze rzeki. Przykryła dłonią jego dłoń, opartą na kolanie. Jej dłonie były nieco większe i cieple, bo chroniły się w płaszczu.

- Miał ku temu powód, niezwiązany z panem, ale to on musi o tym panu powiedzieć, jeśli zechce. Pan jednak mu w końcu wybaczył - powiedziała cicho. - Czemu?

Wyprostował się, wzruszył ramionami, lecz nie

odsunął jej dłoni.

- Musiałem. - Spojrzał jej wprost w oczy. - Nienawidziłem go tak długo, jak mogłem. Potem jednak zdałem sobie sprawę, że miłość do niego stanowi część mnie, jedną z najlepszych części mnie. To nie miało znaczenia, że on nie jest w stanie mnie kochać, to nie miało z tym nic wspólnego. Zrozumiałem, że jeśli nie zdołam mu wybaczyć, nie będę mógł go kochać, a jakaś część mnie umrze. Stwierdziłem, po jakimś czasie, że chcę ją odzyskać. - Uśmiechnął się słabo. - Więc widzi pani, to był egoizm z mojej strony. - Uścisnął jej dłoń, wstał i pociągnął ją na nogi. - Chodźmy, moja droga, oboje zamarzniemy, jeśli będziemy tu dłużej siedzieć.

Ruszyli ku domowi, nie rozmawiając, ale idąc obok siebie ramię w ramię.

Przechodzili przez ogrody, gdy znów się odezwał.

- Chyba ma pani rację. Żyć z kimś, kogo się kocha, wiedząc, że ta druga osoba toleruje związek jedynie z obowiązku... Nie, ja też bym tego nie chciał. Gdyby chodziło jedynie o wygodę i szacunek z obu stron, to tak, takie małżeństwo jest honorowe. Gdy obie strony zachowują uczciwość... - Wykrzywił usta, rzucając przelotnie spojrzenie ku pomieszczeniom dla niewolników. - Nie ma potrzeby się wstydić.

Spojrzała na niego, wolną dłonią znów odsuwając z oczu kosmyk rudych włosów.

- A zatem przyjmie pan moją propozycję? - Czują pustkę w piersiach, nie ulgę, jak się spodziewała.

- Nie - odmówił wprost. - Ja być może wybaczyłem Jamiemu Fraserowi to, co zrobił w przeszłości, on jednak

nigdy nie wybaczyłby mi małżeństwa z panią. - Uśmiechnął się do niej i poklepał po dłoni, którą trzymał w zgięciu ramienia. - Mogę jednak dać pani chwilę oddechu, odpoczynku i od zalotników, i od ciotki. - Rzucił wzrokiem ku domowi i zasłoniętym firankami oknom. - Czy sądzi pani, że ktoś się nam przygląda?

- Powiedziałałabym, że na pewno - przytaknęła nieco ponuro.

- To dobrze. - Ściągnął z palca pierścień z szafirem, odwrócił się ku niej, ujął jej dłoń, zdjął rękawiczkę i uroczyście wsunął pierścień na jej mały palec, bo tylko na tym się mieścił. Potem zaś wspiął się na palce i pocałował ją w usta. Nie dając jej czasu, by doszła do siebie po tym zaskakującym geście, ujął mocniej jej dłoń i ponownie zwrócił się ku domowi z nieprzeniknionym wyrazem twarzy. - Chodźmy, moja droga, ogłośmy nasze zaręczyny.

60. Próba ognia

Przez cały dzień byli sami. Ognisko wygasło, jedzenie się skończyło, ale nie miało to znaczenia. Żaden z nich i tak nie mógłby jeść, żaden ogień nie ogrzałby chłodu przenikającego głęboko Rogera.

Indianie wrócili późnym popołudniem. Kilku wojowników stanowiło orszak starszego mężczyzny, ubranego w luźną koronkową koszulę i płaszcz z samodziału, o twarzy pomalowanej czerwoną farbą i ochrą. Był to sachem. Trzymał w ręce niewielkie gliniane naczynie wypełnione czarnym płynem.

Gdy sachem do niego podszedł, Alexandre ubrał się i wstał, ale się nie odezwał. Sachem zaczął śpiewać łamiącym się ze starości głosem, równocześnie zanurzając

w naczyniu króliczą łapkę i malując na czarno twarz księdza, od czoła po brodę. Indianie wyszli, Alexandre zaś usiadł na ziemi z zamkniętymi oczyma. Roger starał się do niego przemówić, dać mu wody, a przynajmniej uświadomić mu, że nie jest sam, ten jednak nie reagował, siedział jak kamienny posąg.

Odezwał się dopiero, gdy znikало już ostatnie światło zachodu.

- Nie ma już wiele czasu - powiedział cicho. - Prosiłem cię, byś się za mnie modlił. Wtedy nie wiedziałem, o co właściwie masz się modlić - o zachowanie mnie przy życiu czy o zbawienie mojej duszy.

Teraz wiem, że ani jedno, ani drugie nie jest możliwe.

Roger poruszył się, chcąc się odezwać, ksiądz jednak uniósł dłonie, by go powstrzymać.

- Mogę prosić tylko o jedno. Módl się za mnie, bracie, bym mógł dobrze umrzeć. Módl się, bym umarł w milczeniu. - Po raz pierwszy spojrzął na Rogera wilgotnymi oczyma. - Nie chciałbym przynieść jej wstydu, krzycząc czy płacząc.

Nieco po zapadnięciu ciemności usłyszeli bębny. Od przybycia do wioski Roger ani razu nie słyszał tego dźwięku. Trudno było powiedzieć, ile ich było, bo dźwięk wydawał się dochodzić zewsząd i przenikał aż do szpiku kości, czuł go nawet w podeszwach stóp.

Mohawkowie wrócili. Na ich widok ksiądz natychmiast wstał, rozebrał się i wyszedł nagi, nie oglądając się za siebie. Roger siedział, wpatrując się w zasłonięte zwierzęcą skórą wejście, modląc się i nasłuchując. Wiedział,

do czego może służyć bęben, sam się nim tak posługiwał - dźwięk bębna budzi strach i wściekłość, budzi u słuchających głębokie, ukryte instynkty. Jednak wiedza o tym, co się dzieje, nie zmniejszała jego przerażenia.

* * *

Roger nie potrafił powiedzieć, jak długo siedział, słuchając bębnów, a także innych dźwięków - głosów, kroków, gwaru dużego zgromadzenia. Starał się nie wsłuchiwać, czy dotrze do niego głos Alexandre'a. Nagle bębny przerwały, po chwili podjęły werbel, ale tylko jakby na próbę, i po kilka uderzeniach znów zamilkły.

Pojedyncze najpierw okrzyki przerodziły się błyskawicznie w prawdziwą kakofonię wrzasków. Zerwał się i kulejąc, podszedł do wejścia, ale stojący na zewnątrz strażnik wsunął głowę do środka i wykonał ostrzegawczy gest, jedną ręką unosząc wojenną pałkę. Roger zatrzymał się, nie potrafił jednak usiąść z powrotem przy ogniu. Stał w półmroku, zlany potem, nasłuchując. Wydawało mu się, że przed chatą walczą ze sobą wszystkie moce piekielne. Co się tam, na litość boską, działo? Najwyraźniej doszło do walki, ale dlaczego? I kto walczył z kim?

Po pierwszej serii wrzasków wokalna warstwa zamieszania nieco przycichła, choć od czasu do czasu z różnych stron centralnego placu dochodziły zawrozczenia i krzyki, a także odgłosy uderzeń, jęki i różne dźwięki świadczące o gwałtownej walce. Coś uderzyło w ścianę domu; ściana zatrzęsała się i zrobiona z kory przesłona pękła przez środek.

Roger zerknął ku drzwiom. Nie, strażnik nie patrzył, rzucił się więc do przesłony i zaczął ją szarpać palcami. Nic

z tego - kawałki drewna co prawda odpadały pod paznokciami, ale szczelina się nie poszerzała. W desperacji przyłożył do niej oko, starając się dostrzec, co się dzieje na dworze. Widział tylko wąski wycinek środkowego placu, długi dom po drugiej stronie, przed nim pas spalonej ziemi, a wszystko oświetlone migotliwym blaskiem wielkiego ogniska.

Czerwono - żółte cienie walczyły z czarnymi jak płomieniste demony.

Niektóre demony okazały się prawdziwe: dwie ciemne postacie, splecione w gwałtownym uścisku, przetoczyły się obok niego, coraz więcej postaci bieгло ku ognisku, przecinając jego pole widzenia.

Nagle zeszywniał, przyciskając twarz do drewna. Mógłby przysiąc, że wśród niezrozumiałych wrzasków Mohawków słyszał kogoś krzyczącego po gaelicku.

Rzeczywiście.

- Caisteal Dhuni! - rozległo się w pobliżu, a potem usłyszał pisk, od którego zjeżyły mu się włosy na głowie. Szkoci - biali ludzie! Musi się do nich dostać! Roger zaczął walić pięściami w drewno, starając się siłą przebić na zewnątrz, i znów usłyszał gaelicki okrzyk.

- Caisteal Dhuni! - Nie, zaraz, był tam jeszcze jeden głos!

Pierwszy odpowiedział: - Do mi, Do mi! - Do mnie, do mnie! W tym samym momencie głosy te zduśiła świeża fala wrzasków Mohawków - kobiety, teraz krzyczały kobiety, jeszcze głośniejsze niż mężczyźni.

Roger rzucił się na ścianę, uderzając ramieniem. Przesłona pękła i obluzowała się, ale nie puściła. Spróbował

jeszcze raz, i jeszcze, jednak bez rezultatu. W pomieszczeniu nie było niczego, co mogłoby posłużyć za broń. W desperacji złapał resztkę platformy do spania i szarpnął. Szarpał, aż ją obluźował, złapał drąg, potrząsnął, znów podważył, aż w końcu z głośnym trzaskiem kawał drewna został mu w rękach. Dyszał ciężko, trzymał jednak dwumetrowy drąg o ostrym, pękniętym końcu. Wsunął pod pachę grubszy koniec, zaostrozonym wymierzył jak kopią w zasłaniającą otwór skórę i zaatakował.

Wyniosło go całym pędem na zewnątrz, w ciemność i płomienie, w zimne powietrze i dym, w hałas, który zmroził mu krew w żyłach.

Zobaczył przed sobą jakąś postać; mężczyzna odskoczył na bok i zamachnął się wojenną pałką. Roger nie był w stanie się zatrzymać ani obrócić, rzucił się tylko płasko na ziemię. Pałka trafiła kilkanaście centymetrów od jego głowy. Przetoczył się na bok i na oślep zamachnął drągiem, trafiając Indianina w głowę. Mężczyzna potknął się i przewrócił, przygniatając Rogera.

Whisky! Ten człowiek śmierdział whisky! Roger nie tracił czasu na rozważanie tego zdumiewającego faktu; wyczołgał się spod bezwładnego ciała. Usłyszał za sobą wrzask, obrócił się na pięcie, trzymając drąg poziomo. Od siły uderzenia drżenie przebiegło mu przez ramiona i pierś. Mężczyzna uchwycił się drągu, który chwiał się i trząś w rękach Rogera, a potem wyszarpnął go z piersi i padł na ziemię.

Roger stracił równowagę, ale odzyskał ją i obrócił się ku ognisku.

Było ogromne; płomienie wznosiły się ścianą

czystego szkarłatu, ostro rysując się na tle ciemnego nieba. Nad głowami patrzących dostrzegł w środku czarną postać, z ramionami rozłożonymi w geście błogosławieństwa, przywiązaną do słupa. Długie włosy unosiły się, paląc się jasnym płomieniem i otaczając głowę złotą aureolą, jak u Chrystusa w mszale. Potem coś uderzyło Rogera w głowę; upadł, nie stracił jednak do końca przytomności. Nic nie widział, nie mógł się ruszyć, lecz wciąż słyszał głosy wokół siebie. Ktoś krzyczał, ale już słabiej - był to niemal szum w tle, jak szum oceanu.

Czuł, jak unosi się w powietrzu. Trzask płomieni narastał, odpowiadał hałasowi w jego uszach. Chryste, zamierzali wrzucić go w ogień! W głowie mu się zakręciło, przez zamknięte powieki widział światło, ale jego uparte ciało nie chciało się ruszać.

Hałas przycichł, paradoksalnie jednak czuł ciepłe powietrze, spływające mu po twarzy. Uderzył w ziemię, lekko się odbił i potoczył. Skończył na brzuchu z rozłożonymi ramionami, pod palcami czuł chłodną ziemię. Oddychał mechanicznie - jeden oddech, potem drugi... Bardzo powoli zawrót głowy zaczynał mijać. Skądś, jakby z oddali, dobiegał hałas; obok siebie nie słyszał jednak nic, oprócz głośniego oddechu. Bardzo powoli otworzył jedno oko. Światło ognia odbijało się od słupów i przesłonięte kory, jak słabe echo jasnego ognia na zewnątrz. Chata. Znow znalazł się w środku.

Słyszał własny oddech, głośny i nierówny. Starał się przez chwilę nie oddychać, ale nie mógł. Potem zdał sobie sprawę, że rzeczywiście wstrzymał oddech, a chrapliwe sapanie pochodziło od kogoś innego, gdzieś z tyłu. Z

ogromnym wysiłkiem podniósł się na czworaka, chwając się i mrużąc oczy, bo głowę rozsadał mu ból.

- Jezus Maria - mruknął do siebie, potarł dłonią twarz i zamrugał.

Ale mężczyzna wciąż tam był, dwa metry dalej.

Jamie Fraser leżał na boku z rozrzuconymi rękami i nogami.

Ciało owijał mu szkarłatny pled, pół twarzy było zalane krwią, trudno było jednak go nie rozpoznać.

Przez chwilę Roger wpatrywał się w niego w oszołomieniu. Od miesięcy przez większą część czasu wyobrażał sobie spotkanie z tym człowiekiem. Teraz, gdy do niego doszło, wydawało się niemożliwe.

W głowie Rogera nie było miejsca na żadne inne uczucia poza tęym zdumieniem. Znów potarł dłonią twarz, mocniej, by przedrzeć się przez spowijającą go mgłę strachu i adrenaliny. Co... co Fraser tu robi?

Gdy znów był w stanie rozsądnie myśleć i czuć, pierwszym uczuciem nie była ani wściekłość, ani przerażenie, ale - absurdalnie - radość i ulga.

- To nie ona - mruknął, a słowa w jego uszach zabrzmiały dziwnie i szorstko, bo dawno nie mówił po angielsku. - Och Boże, ona tego nie zrobiła!

Jamie Fraser mógł tu przybyć tylko z jednego powodu - by go uratować. A jeśli tak było, to dlatego, że zmusiła go do tego Brianna.

Niezależnie od tego, czy piekło ostatnich kilku miesięcy wynikało z nieporozumienia czy złości, nie ona dała temu początek.

- To nie ona - powtórzył. - To nie ona. - Zadrżał, i z

mdłości spowodowanych ciosem w głowę, i z ulgi. Sądził, że już na zawsze będzie czuł tylko pustkę. Nagle jednak coś się pojawiło, coś niewielkiego, ale bardzo konkretnego. Coś, co mógł trzymać w sercu.

Brianna. Odzyskał ją.

Z zewnątrz znów dobiegły głośnie wrzaski, które nie cichły, tylko - jak mu się wydawało - wbijały mu się w ciało jak tysiące szpilek.

Wzdrygnął się, znów zadrżał i wszystkie inne uczucia zlały się na nowo w to jedno. Śmierć z pewnością, że Brianna go kocha, była lepsza niż śmierć bez tej pewności. Przede wszystkim jednak w ogóle nie chciał umierać. Przypomniawszy sobie, co widział na zewnątrz, poczuł podchodzące mu do gardła wymioty, ale zmusił się do spokoju.

Drżącą dłonią narysował znak krzyża.

- W imię Ojca... - powiedział cicho, a potem zabrakło mu słów. - Proszę - szepnął zamiast tego. - Proszę, niech on nie ma racji.

Podczołgał się do ciała Frasera, mając nadzieję, że wciąż żyje.

Żył - z rozcięcia na skroni płynęła mu krew, a pod szczęką wyraźnie wyczuł tętno. W jednym z garnków pod rozbitym łóżkiem szczęśliwie zachowało się nieco wody, zanurzył więc w niej koniec pledu i otarł Fraserowi twarz. Po kilku minutach takich działań powieki Jamiego zadrżały, zakaszłał, beknął ciężko, odwrócił głowę na bok i zwymiotował. Nagle i gwałtownie otworzył oczy, i zanim Roger zdążył się odezwać czy poruszyć, przetoczył się i oparł na kolanie, z ręką na sgiąn dhu w pończosze. Roger

uniósł ramię w instynktownym geście obrony. Fraser zamrugał, pokręcił głową, jęknął i ciężko usiadł na klepisku.

- Ach, to ty... - westchnął. Zamknął oczy i znów jęknął, po chwili jednak uniósł gwałtownie głowę. W błękitnych, przenikliwych oczach widać było niepokój, nie złość. - Claire! - wykrzyknął. - Moja żona, gdzie ona jest?!

Roger otworzył usta.

- Claire? Sprowadziłeś ją tutaj? Sprowadziłeś kobietę w środek tego tu...?

Fraser rzucił mu spojrzenie wyraźnie mówiące, co o nim myśli, ale nie marnował słów. Wyciągnął nóż z pończochy i spojrzał ku drzwiom. Zasłaniała je skóra, nikogo nie było widać. Hałas na zewnątrz przycichł, choć wciąż słyszeli gwar. Od czasu do czasu ktoś głośniej krzyczał.

- Tam stoi strażnik - powiedział Roger.

Fraser spojrzał na niego i wstał giętkim ruchem pantery. Krew wciąż spływała mu po twarzy, najwyraźniej jednak się tym nie przejmował. W milczeniu przycisnął się do ściany, podsunął do drzwi i końcem małego sztyletu odchylił zasłonę. Widok, jaki ujrzały jego oczy, sprawił, że Fraser skrzywił się, opuścił zasłonę, powrócił do ognia i usiadł, znów wsuwając nóż w pończochę.

- Tuż na zewnątrz stoi ich kilkunastu. Czy to woda?

- Wyciągnął rękę, a Roger w milczeniu napełnił tykwę. Jamie napił się, chlusnął wodą w twarz, a resztę wylał sobie na głowę. Otarł twarz ręką, otworzył przekrwione oczy i spojrzał na Rogera. - Wakefield, tak?

- Teraz używam własnego nazwiska, MacKenzie. Fraser parsknął bez humoru.

- Tak słyszałem. - Miał szerokie, pełne ekspresji usta, podobnie jak Bree. Zaciśnął na chwilę wargi i rozluźnił się. - Źle cię potraktowałem, MacKenzie, jak wiesz. Przybyłem, by to naprawić - jak dalece zdołam. Może się jednak okazać, że nie będę miał okazji. - Machnął ręką ku drzwiom. - Jak na razie masz moje przeprosiny, a jeśli później będziesz żądać ode mnie satysfakcji, służę. Proszę jednak, byś zaczekał, aż bezpiecznie się stąd wydostaniemy.

Roger wpatrywał się w niego przez chwilę. Satysfakcja za ostatnie miesiące męki i niepewności wydawała mu się tak nierealna jak myśl o bezpieczeństwie. Kiwnął głową.

- Zgoda - powiedział. Siedzieli w milczeniu przez kilka chwil.

Ogień się żarzył, ale zapas drewna znajdował się na zewnątrz.

Strażnicy pilnowali wszystkiego, co nadawało się na bron. - Co się stało? - spytał w końcu Roger, wskazując głową drzwi. - Tam na zewnątrz.

Fraser nabrał powietrza i wypuścił je powoli. Po raz pierwszy Roger zauważył, że obejmował lewą dłońią prawy łokieć, przyciskając ramię do ciała.

- Ni cholery nie mam pojęcia - odparł.

- Czy spalili księdza? Zginął? - Po tym, co widział, raczej nie żywił wątpliwości, a jednak musiał zadać to pytanie.

- To był ksiądz? - Grube rudawe brwi uniosły się w zdziwieniu, potem wróciły na miejsce. - Tak, zginął, i nie tylko on. - Wysoki góral aż się wzdrygnął.

Gdy odezwały się bębny i wszyscy zgromadzili się

przy wielkim ognisku, Fraser nie wiedział, co się szykuje. Wszyscy mówili naraz.

Jego znajomość języka Mohawków nie wystarczyła, by zrozumieć, co się dzieje, jego siostrzeniec zaś, który władał tym językiem, gdzieś się zapodział. Białych nie zaproszono, ale też nikt ich nie odganiał. Stał więc razem z Claire za tłumem, jak ciekawi gapie. Pojawił się sachem i członkowie rady. Stary człowiek przemówił, odezwał się też inny mężczyzna, bardzo gniewnie.

- Następnie wyprowadzili tego człowieka, zupełnie nagiego, przywiązali do słupa i zaczęli torturować. - Przerwał, przymknął oczy, a potem spojrzął na Rogera. - Powiem ci, człowieku, widziałem francuskich katów, którzy utrzymywali człowieka przy życiu, a on błagał, by go zabili. To nie było może gorsze, ale też i nie lepsze. - Fraser znów napił się wody. - Starłem się odprowadzić Claire na bok, bo bałem się, że za chwilę nas zaatakują, jednak tłum otaczał nas tak ciasno, że nie sposób było się ruszyć. Nie mieliśmy wyboru, musieliśmy patrzeć.

Roger miał sucho w ustach, więc też sięgnął po kubek. Nie chciał pytać, ale czuł perwersyjną potrzebę, by wiedzieć - czy to dla Alexandre'a, czy dla siebie.

- Czy on... czy krzyczał?

Fraser rzucił mu zdziwione spojrzenie, potem jednak na jego twarzy pojawiło się coś w rodzaju zrozumienia.

- Nie - powiedział powoli. - Zginął bardzo dobrze, według ich standardów. Czy znałeś tego człowieka?

Roger skinął głową, niezdolny przemówić. Trudno było uwierzyć, nawet słysząc opowieść Jamiego, że Alexandre'a już nie było. I dokąd odszedł? Niemożliwe, by

miał rację. „Dla mnie nie ma rozgrzeszenia”.

Nie, na pewno to nie tak. Żaden sprawiedliwy Bóg...

Roger potrząsnął głową, odpychając tę myśl. Widział, że Fraser wyraźnie myśli o czymś innym, choć jego opowieść była straszna.

Nieustannie spoglądał ku wejściu, z niepokojem i oczekiwaniem na twarzy. Czy spodziewał się odsiecz?

- Ilu ludzi z sobą przyprowadziłeś? Niebieskie oczy załśniły zdziwieniem.

- Mego siostrzeńca Iana.

- I to wszystko? - Roger starał się, by w jego głosie nie słychać było niedowierzania, ale najwyraźniej mu się nie udało.

- Spodziewałeś się siedemdziesiątego ósmego górskiego regimentu? - spytał Fraser sarkastycznie. Wstał, chwytając się lekko, z ramieniem przyciśniętym do boku. - Przywiozłem whisky.

- Whisky? Czy to z jej powodu doszło do walki? - Roger przypomniał sobie odór mężczyzny, który na niego upadł.

- Możliwe.

Fraser podszedł do ściany z pękniętą przesłoną i przycisnął oko do szczeliny. Przez chwilę wpatrywał się w to, co działo się na zewnątrz, ale na dworze zapanował spokój, więc wrócił do resztek ogniska. Wielki góral wyglądał bardzo niedobrze. Miał bladą, pokrytą potem twarz, częściowo oblepioną schnącą krwią. Roger zdawał sobie sprawę, co było nie tak z Fraserem. W milczeniu nalał jeszcze wody, Fraser zaś również w milczeniu ją przyjął. Nie chodziło o ranę.

- Kiedy ją ostatni raz widziałeś?

- Gdy zaczęła się walka. - Fraser nie potrafił usiedzieć na miejscu. Odstawił kubek i znów wstał, chodząc tam i z powrotem po pomieszczeniu jak podrażniony niedźwiedź. Zatrzymał się i spojrzał na Rogera. - Czy wiesz może, co tam się zdarzyło?

- Mogę się domyślać. - Zrelacjonował Fraserowi historię księdza, w opowieści znajdując pewną ucieczkę od niepokoju. - Nie zrobiliby jej krzywdy - powiedział, starając się uspokoić tak samo siebie jak Frasera. - Nie ma z tym nic wspólnego.

Fraser parsknął.

- Ma. - Bez ostrzeżenia uderzył pięścią w klepisko. - Niech ją diabli!

- Nic jej nie będzie - powtórzył uparcie Roger. Nie mógł znieść myśli, że mogłoby być inaczej. Wiedział jednak to, co najwyraźniej wiedział także Fraser - gdyby Claire Fraser żyła, gdyby nie została uwięziona, to nic by jej nie powstrzymało przed dołączeniem do męża. Jeśli zaś chodzi o nieznanego siostrzeńca, to... - Słyszałem twego siostrzeńca podczas walki, słyszałem, jak do ciebie woła. Głos miał w porządku. - Wypowiadając te słowa, wiedział, że nie stanowią w gruncie rzeczy pociechy. Fraser jednak kiwnął głową i pochylił głowę nad kolanami.

- Ian to dobry chłopak, a wśród Mohawków ma przyjaciół. Może Bóg pozwoli, że go będą chronić.

W miarę jak szok wywołany wydarzeniami wieczoru zaczynał słabnąć, w Rogerze budziła się ciekawość.

- Twoja żona... - powiedział. - Co takiego zrobiła i jak to możliwe, że była w to zamieszana?

Fraser westchnął. Podrapał się zdrową ręką w głowę i przeczesał palcami włosy.

- Nie powinienem był tak mówić, to w żadnej mierze nie była jej wina. Tylko że... Nie zabiją jej, ale, na Boga, jeśli zrobili jej krzywdę...

- Nie zrobią jej krzywdy - stwierdził Roger zdecydowanie. - Co się stało?

Fraser wzruszył ramionami i zamknął oczy. Odchylając głowę do tyłu, opisał scenę, jak gdyby wciąż ją widział pod zamkniętymi powiekami.

- Tłum był taki, że nie zauważyłem dziewczyny, nie mogę nawet powiedzieć, jak wyglądała. Dostrzegłem ją dopiero w ostatnim momencie.

Claire stała u jego boku blada i sztywna. Otaczali ich krzyczący, chwiejący się ludzie. Gdy Indianie już niemal skończyli z księdzem, odwiązali go od pala i zamiast tego przywiązali mu ręce nad głową do długiego słupa, na którym zamierzali powiesić go nad ogniskiem.

Fraser spojrział na Rogera, wycierając usta grzbietem dłoni.

- Widziałem już, jak człowiekowi wrywano z piersi bijące serce, ale nie widziałem, by je na jego oczach zjadano - mówił niemal nieśmiało, jakby przeprasząc za swoją słabość. Zszokowany spojrział na Claire. Wtedy właśnie zauważył, że po drugiej stronie Claire stoi indiańska dziewczyna, trzymając w ramionach zawiniątko z niemowlęciem. Bardzo spokojnie podała zawiniątko Claire i precyzyjnie się przez tłum. - Nie rozglądała się na lewo ani prawo, tylko weszła wprost w płomienie.

- Co takiego? - Roger miał tak ściśnięte gardło, że

zdołał wydać z siebie jedynie zduszony szept.

Płomienie objęły dziewczynę natychmiast. Jamie, wyższy o głowę od otaczających go ludzi, wyraźnie wszystko widział.

- Jej ubranie złapało ogień, potem zapaliły się jej włosy. Zanim do niego dotarła, płonęła jak pochodnia. - Widział jednak ciemny zarys uniesionych ramion, którymi obejmowała spalone ciało kapłana.

W jednej chwili nie sposób było już rozróżnić mężczyzny i kobiety, była tylko jedna czarna postać wśród tańczących płomieni. - I wtedy rozpętało się piekło. - Szerokie ramiona Frasera opadły nieco, dotknął ran na głowie. - Wiem tylko, że najpierw krzyknęła jakaś kobieta, a potem wszyscy zaczęli wrzeszczeć i albo uciekać, albo walczyć.

Sam starał się robić jedno i drugie, osłaniając Claire i jej ciężar, równocześnie torując sobie drogę wśród naciskających ciał. Było ich jednak zbyt wielu. Nie mogąc uciec, popchnął Claire do ściany domu, złapał kij, którym zamierzał jej bronić, i krzyknął do Iana, równocześnie machając bronią na lewo i prawo.

- Potem z dymu wyskoczył jakiś demon i uderzył mnie pałką. - Wzruszył ramionami, a właściwie jednym ramieniem. - Odwróciłem się, by go odepchnąć, ale już było ich trzech. - Coś trafiło go w skroń i stracił przytomność. Ocknął się dopiero w chacie, z Rogerem. - Od tamtej pory nie widziałem Claire ani Iana.

Ognisko żarzyło się już bardzo słabo i w środku robiło się coraz zimniej. Jamie odpiął broszę i otulił ramiona pledem, najlepiej jak zdołał jedną ręką. Oparł się znów o

ścianę. Niewykluczone, że ma złamane prawe ramię; tuż poniżej barku trafiła je wojenna pałka.

Uderzone miejsce, najpierw pozbawione czucia, po chwili zaczęło promieniować osłepiającym bólem. Nie było to jednak ważne w porównaniu z troską o Claire i Iana.

Zrobiło się już bardzo późno. Jeśli podczas walki Claire nic się nie stało, to zapewne była bezpieczna, powtarzał sobie. Stara kobieta nie pozwoliłaby, by zrobiono jej krzywdę. Jeśli zaś chodzi o Iana... Przez chwilę, mimo strachu, wypełniła go duma. Ian był urodzonym wojownikiem i przynosił chwałę wujowi, który go uczył, gdyby jednak spotkał się z przewagą... Dzikich było tak wielu, a walka tak zacięta... Poruszył się niespokojnie, starając się nie myśleć, że musiałby zawiadomić siostrę o losie jej najmłodszego syna. Wolałby raczej, by wydarto mu serce i zjedzono na jego oczach, czułby się mniej więcej tak samo. Starając się znaleźć jakikolwiek inny temat rozmyślań, znów się poruszył i rozejrzał po wnętrzu. Niewiele tu było: dzbanek wody, rozbite łóżko, jedna czy dwie podarte skóry leżące na klepisku...

Po drugiej stronie ogniska siedział MacKenzie, nie zwracając uwagi na chłód. Kolana objął ramionami, pochylił głowę w zamyśleniu. Nie zdawał sobie sprawy, że Jamie mu się przygląda.

Fraser musiał niechętnie przyznać, że Roger jest dobrze zbudowany, ma długie nogi i szerokie ramiona. Dobrze by się nadawał do walki pałaszem. Był wysoki jak wszyscy MacKenzie z Leoch. Czemu nie - pomyślał nagle - przecież to potomek Dougala, choć kilka pokoleń dalej.

Ta myśl była i niepokojąca, i dziwnie uspokajająca.

Zabijał ludzi, gdy musiał, a ich duchy na ogół pozwalały mu spokojnie spać w nocy.

Jednak śmierć Dougala przeżył nie raz; budził się zlany potem, słysząc ostatnie ciche słowa Dougala, słowa wypowiedane przez krew. Nie miał wówczas żadnego wyboru - musiał zabić albo jego by zabito. Jednak Dougal MacKenzie zastępował mu ojca, i gdyby miał być szczery, to jakaś jego część kochała tego człowieka.

Tak, świadomość, że jakaś część Dougala przetrwała, stanowiła pociechę. Druga część dziedzictwa tego MacKenziego budziła większy niepokój. Gdy się przebudził, przede wszystkim dostrzegł oczy tego człowieka - zielone, uważne. Przez chwilę zawładnął nim strach, pomyślał bowiem o Geillis Duncan.

Czy chciał, by jego córka złączyła się z potomkiem czarownicy?

Ukradkiem przyjrzał się Rogerowi. Być może byłoby lepiej, gdyby dziecko Brianny nie miało w sobie krwi tego człowieka.

- A gdzie jest Brianna? - powiedział MacKenzie, nagle unosząc głowę z kolan.

Jamie wzdygnął się, a coś jak gorące ostrze noża przeszyło mu ramię. Aż się spocił.

- Gdzie? - powtórzył. - W River Run ze swoją ciotką. Jest bezpieczna.

W uszach mu szumiało. Czy ten człowiek czytał w myślach, czy jest tak przenikliwy?

Zielone oczy, ciemne w niewyraźnym świetle, wpatrywały się w jego twarz.

- Dlaczego zabrałaś Claire, a nie Briannę? Dlaczego

nie przyjechała z tobą?

Jamie odpowiedział spojrzeniem na spojrzenie Rogera.

Zobaczmy, czy chodzi o czytanie w myślach, czy nie. Jeśli nie, to na pewno nie zamierzał teraz powiedzieć MacKenziemiu prawdy. Będzie na to czas później, kiedy - jeśli - bezpiecznie się stąd oddalą.

- Zostawiłbym także Claire, gdybym myślał, że zdołam. To uparta kobieta. Musiałbym ją zwięzać, a i tak nie wiem, czyby została.

Coś mignęło w oczach MacKenziego. Wątpliwość czy ból?

- Nie wydaje mi się, by Brianna była dziewczyną, która nadmiernie liczy się ze zdaniem ojca. - W jego głosie słyhać było ból i coś w rodzaju zazdrości. Jamie odprężył się lekko. A więc nie umiał czytać w myślach.

- Naprawdę? Cóż, może nie znałeś jej aż tak dobrze - oświadczył ze spokojem, ale takim tonem, że pewien typ mężczyzny rzuciłby mu się do gardła. MacKenzie nie należał do tego typu. Wyprostował się i odetchnął głęboko.

- Dobrze ją znam - oświadczył spokojnie. - Jest moją żoną.

Teraz Jamie siadł prosto i zacisnął zęby, by nie jęknąć z bólu.

- Akurat.

MacKenzie spojrział ponuro spod czarnych brwi.

- Zawarliśmy małżeństwo wedle zwyczaju, ona i ja.

Nie powiedziała tego?

Nie powiedziała. Z drugiej strony nie dał jej wielkiej szansy. Zbyt był wściekły na myśl, że chciała pójść z jakimś

mężczyzną do łóżka.

Dotknięty do żywego, że zrobiła z niego głupca. Dumny jak Lucyfer i cierpiący na skutek tego. Chciał, by była doskonałością, ona zaś była człowiekiem - jak on sam.

- Kiedy? - spytał.

- Na początku września, w Wilmington, gdy ja... tuż zanim ją opuściłem. - To przyznanie nie przyszło mu łatwo. Jamie widział, przez zasłonę winy, że obaj czują się nie w porządku. MacKenzie też na to zasłużył - pomyślał pełen złości. Gdyby ten tchórz jej nie zostawił...

- Nie mówiła mi.

Teraz wyraźnie widział w oczach MacKenziego wątpliwość i ból.

Ten człowiek bał się, że Brianna go już nie chce, bo gdyby chciała, też by tu była. Wiedział, że żadna siła na niebie czy ziemi nie utrzymałaby Claire z dala od niego, gdyby uznała, że grozi mu niebezpieczeństwo. Na tę myśl na nowo poczuł strach. Gdzie ona jest?

- Zapewne uważała, że nie potraktujesz małżeństwa zwyczajowego jako legalnej formy - powiedział spokojnie MacKenzie.

- Albo może sama tak tego nie traktowała - stwierdził Jamie z całym okrucieństwem. Mógł uspokoić Rogera, mówiąc mu część prawdy - że Brianna nie przyszła, bo spodziewa się dziecka - nie czuł jednak miłosierdzia.

Robiło się już ciemno, ale i tak widział, że MacKenzie zarumienił się na te słowa i zacisnął dłonie na podartej skórze jelenia.

- Ja uważałem to za wiążące - odparł tylko.

Jamie zamknął oczy i więcej się nie odzywał. Żar

gaśł powoli, zostawiając ich w ciemności.

61. Posługa kapłańska

Powietrze wypełniał zapach spalenizny. Minęliśmy miejsce, gdzie wczoraj płonęło ognisko; siłą rzeczy kątem oka zauważyłam spalone fragmenty, zwęglone kawałki pokryte popiołem. Miałam nadzieję, że to drewno. Bałam się spojrzeć wprost. Potknęłam się na zmarzniętej ziemi i moja towarzyszka złapała mnie za ramię, bez komentarza podniosła i pchnęła ku chacie, przed którą na straży stało dwóch mężczyzn, skulonych, bo wiał zimny wiatr, który rozwiewał popioły.

Nie spałam i nie jadłam, choć mnie częstowano. Stopy i palce miałam lodowate. Z długiego domu na końcu wioski dochodziło zawodzenie, zagłuszane chwilami przez obrzędową pieśń śmierci. Czy śpiewali dla dziewczyny, czy kogoś innego? Wzdrygnęłam się.

Strażnicy spojrzeli na mnie i odsunęli się. Podniosłam skórę zasłaniającą wejście i weszłam. Było ciemno, bo ognisko wygasło tak samo jak to na dworze. Szare światło sączące się przez otwór dymny pozwalało mi jednak dostrzec leżący na podłodze nieporządnny stos skór i ubrań. Wystawał z niego kawałek czerwonego tartanu. Zalała mnie fala ulgi.

- Jamie!

Stos poruszył się i rozsypał. Wysunęła się z niego potargana głowa Jamiego, spoglądającego czujnie - ale, jak widziałam, nie był w najlepszej formie. Obok niego leżał ciemny, brodaty mężczyzna, który wydał mi się jakoś znajomy. Poruszył się; gdy padło na niego światło, dostrzegłam błysk zielonych oczu.

- Roger! - wykrzyknęłam.

Bez słowa podniósł się i objął mnie ramionami. Trzymał mnie tak mocno, że z trudem oddychałam. Był strasznie chudy, czułam wszystkie jego żebra. Nie był jednak wycieńczony; śmierdział, ale był to zapach brudu i starego potu, a nie drożdżowy odór wygłodzenia.

- Roger, wszystko w porządku? - Puścił mnie. Przyjrzałam mu się uważnie od stóp do głów, szukając śladów ran.

- Tak. - Głos miał matowy na skutek snu i emocji. - A Bree, wszystko z nią dobrze?

- Tak, czuje się dobrze - zapewniłam go. - Co ci się stało w stopę? - Miał na sobie jedynie podartą koszulę i brudną szmatę owiniętą wokół stopy.

- Rozcięcie, nic takiego. Gdzie ona jest? - Złapał mnie niespokojnie za ramię.

- W miejscu zwanym River Run, ze swoją cioteczną babką.

Jamie ci nie mówił? Ona...

Przerwał mi Jamie, łapiąc za drugie ramię.

- Z tobą wszystko w porządku, Angielko?

- Tak, oczywiście, ja... Boże drogi, co ci się stało? - Widok Jamiego sprawił, że na chwilę zapomniałam o Rogerze. Miał paskudną ranę na skroni i koszulę pobrudzoną wyschniętą już krwią.

Nie to jednak przyciągnęło moją uwagę, lecz nienaturalny sposób, w jaki trzymał prawe ramię.

- Nie wiem, czy nie jest złamane - powiedział. - Paskudnie boli.

Czy możesz się nim zająć?

Nie czekając na odpowiedź, odwrócił się i odszedł, siadając w końcu ciężko przy połamanym łóżku. Poklepałam Rogera i poszłam za Jamiem, zastanawiając się, o co chodzi. Jamie nie przyznałby się, że coś go boli, w obecności Rogera Wakefielda, choćby złamana kość przebiła mu ciało.

- Co ty knujesz? - mruknęłam, klękając przy nim. Pomacałam ostrożnie wzdłuż ramienia; nie było tam żadnych złamań.

Podciągnęłam mu rękaw koszuli, by dokładniej się przyjrzeć.

- Nie mówiłem mu o Briannie - powiedział bardzo cicho - i ty też chyba nie powinnaś.

Otworzyłam szeroko oczy.

- Nie możemy tego zrobić, musi wiedzieć.

- Nie tak głośno. Tak, może powinien wiedzieć o dziecku, ale nie o Bonnie.

Przygryzłam wargę, przesuwając delikatnie palcami wzdłuż mięśni. Na jego ramieniu widniał okropny siniak, ogromna, fioletowoniebieska plama. Byłam jednak pewna, że ramię nie jest złamane. Nie miałam takiej pewności, jeśli chodzi o sens tego, co proponuje. Widział wątpliwość na mojej twarzy i mocno ścisnął mi dłoń.

- Jeszcze nie, nie tutaj. Poczekajmy przynajmniej do chwili, gdy będziemy bezpieczni.

Starłam się to przemyśleć, równocześnie odrywając mu rękaw koszuli i robiąc z niego coś w rodzaju temblaka. Informacja, że Brianna jest w ciąży, sama w sobie będzie szokiem. Może Jamie ma rację, trudno powiedzieć, jak Roger zareaguje na wiadomość o gwałcie - a byliśmy

jeszcze bardzo daleko od domu. Lepiej niech zachowa jasny umysł. W końcu kiwnęłam niechętnie głową.

- W porządku - powiedziałam głośno, wstając. - Nie wydaje mi się, by było złamane, ale temblak ci pomoże.

Zostawiłam Jamiego siedzącego na ziemi i podeszłam do Rogera.

Czułam się jak piłeczka pingpongowa.

- Co z twoją stopą? - Przyklękłam, by odwinąć brudną szmatę, powstrzymał mnie jednak, kładąc rękę na ramieniu.

- Brianna. Wiem, że coś jest nie tak. Czy ona...

- Jest w ciąży.

Najwyraźniej rozważał różne możliwości, ta jednak nie przyszła mu do głowy. Trudno było nie zauważyć, że go to absolutnie zaskoczyło. Zamrugał; wyglądał, jakbym go walnęła w głowę siekierą.

- Jesteś pewna?

- W tej chwili musi być już w siódmym miesiącu, trudno tego nie zauważyć. - Jamie podszedł tak cicho, że żadne z nas go nie słyszało.

Mówił zimnym tonem i patrzył jeszcze zimniej. Jednak Rogera w tej chwili nie interesowały subtelności; w oczach błysnęło podniecenie, twarz ożywiła się pod czarnym zarostem.

- W ciąży? Mój Boże, ale jak?

Jamie parsknął pogardliwie. Roger spojrzał na niego i szybko odwrócił wzrok.

- To znaczy, nie myślałem...

- Jak? Tak, ty nie myślałeś, a teraz moja córka sama musi płacić za twoją przyjemność!

Na te słowa Roger odwrócił głowę i spojrzął wrogo na Jamiego.

- W żaden sposób nie jest sama, powiedziałem ci, że jest moją żoną!

- Naprawdę? - To mnie tak zaskoczyło, że na chwilę przestałam odwijać mu szmatę z nogi.

- Zawarli małżeństwo zwyczajowe - poinformował niechętnie Jamie. - Dlaczego jednak dziewczyna nam tego nie powiedziała?

Sądziłam, że potrafiłabym to wyjaśnić na kilka sposobów. Druga odpowiedź jednak nie nadawała się do wypowiedzenia w obecności Rogera. Nie powiedziała, bo spodziewa się dziecka i uważa, że to dziecko Bonnetta. Pozostając w takim przekonaniu, uznała, że lepiej będzie nie mówić nam o małżeństwie, by zostawić Rogerowi otwartą furtkę, gdyby chciał z niej skorzystać.

- Prawdopodobnie dlatego, że sądziła, że nie uznasz tego za prawdziwe małżeństwo - wyjaśniłam. - Opowiadałam jej o naszym ślubie, o kontrakcie, że nalegałeś na ślub w kościele w obecności księdza. Nie chciała powiedzieć ci czegoś, co nie spotkałoby się z twoją aprobatą. Tak bardzo chciała cię zadowolić.

Te słowa sprawiły, że Jamie nareszcie się zawstydził. Roger jednak zignorował naszą sprzeczkę.

- Czy ona się dobrze czuje? - spytał, pochylając się i łapiąc mnie za ramię.

- Tak, wszystko w porządku - zapewniłam go, mając nadzieję, że to prawda. - Chciała przyjechać z nami, ale oczywiście nie mogliśmy jej na to pozwolić.

- Chciała przyjechać? - Twarz mu się rozjaśniła.

Przez zarost i brud wyraźnie widziałam ulgę. - Więc ona nie... - przerwał nagle, spojrzał na mnie, na Jamiego, znów na mnie. - Gdy spotkałem... pana Frasera na górze, najwyraźniej uważał, że ona... że jej zdaniem...

- To było okropne nieporozumienie. Nie powiedziała nam o waszym małżeństwie, więc gdy się okazało, że jest w ciąży, my... znaczy się... założyliśmy... - Jamie patrzył na Rogera ponuro i bez sympatii, ale gdy szturchnęłam go mocno, nagle się ocknął. - Och, tak - odezwał się niechętnie. - Pomyłka. Już przeprosiłem pana Wakefielda i powiedziałem, że zrobię, co w mojej mocy, by to naprawić. Jednak teraz musimy myśleć o czymś innym. Czy widziałas Iana, Angielko?

- Nie. - Po raz pierwszy uświadomiłam sobie, że Iana tu nie ma, i poczułam strach.

- Gdzie byłaś całą noc, Angielko?

- Byłam z... O Jezu!

Na moment zignorowałam jego pytanie, ujrzałam bowiem stopę Rogera. Połowa była spuchnięta i czerwona, a na krawędzi podeszwy utworzył się wielki wrzód. Nacisnęłam mocno i poczułam pod palcami pęcherzyki ropy.

- Co tu się stało?

- Skaleczyłem ją, gdy próbowałem uciekać. Owinęli ją i czymś smarowali, ale infekcja nie ustępowała, od czasu do czasu się zaogniając. Najpierw się poprawiło, a potem pogorszyło. - Wzruszył ramionami. Nie potrafił skupić uwagi na stopie, choć wyglądała okropnie. Uniósł wzrok na Jamiego, najwyraźniej podjąwszy jakąś decyzję. - Więc to nie Brianna wysłała was na spotkanie mnie? To nie ona

prosiła cię, byś się mnie pozbył?

- Nie! - powiedział Jamie zaskoczony. Uśmiechnął się lekko. - To był mój własny pomysł.

Roger odetchnął głęboko i na chwilę przymknął oczy.

- Dzięki Bogu. Myślałem, że może... Tuż przed naszym rozstaniem pokłóciliśmy się okropnie i sądziłem, że może dlatego nie powiedziała wam o małżeństwie, bo stwierdziła, że nie chce być moją żoną. - Czoło pokrywał mu pot, czy to na skutek wiadomości, czy tego, co robiłam z jego stopą. Uśmiechnął się nieco boleśnie. - Wydawało mi się jednak, że nawet jak na kobietę o jej temperamencie, pobicie mnie na śmierć czy sprzedaż w niewolę są zbyt krańcowym rozwiązaniem.

- Uhm... - Jamie się zarumienił. - Powiedziałem już, że jest mi przykro.

- Tak, wiem. - Roger przyglądał mu się przez chwilę, najwyraźniej próbując podjąć jakąś decyzję. Odetchnął głęboko, pochylił się i łagodnie odsunął swoją rękę. Wyprostował się i spojrzał Jamiemu prosto w oczy. - Muszę wam powiedzieć, o co się pokłóciliśmy. Czy mówiła wam, co ją tu sprowadziło? Dlaczego chciała was odnaleźć?

- Chodzi ci o informację o naszej śmierci? Tak, powiedziała nam.

Nie sądzisz chyba, że inaczej pozwoliłbym Claire tu ze mną przyjechać?

- Jak to? - Roger spojrzał na niego ze zdziwieniem.

- Nie może być i tak, i tak. Jeśli ona i ja mamy zginąć we Fraser's Ridge za sześć lat, to znaczy, że nie możemy zostać wcześniej zabici przez Irokezów, prawda?

Gapiałam się na niego, bo nigdy wcześniej nie przyszło mi to do głowy. Dość wstrząsająca była taka praktyczna nieśmiertelność z ograniczonym terminem ważności. To jednak, zakładając...

- Zakładając, że nie można zmienić przeszłości; że my nie możemy zmienić przeszłości, chciałem powiedzieć. Czy w to wierzycie? - Roger pochylił się nieco ku nam.

- Do diabła, nie mam pojęcia. A ty co myślisz?

- Ja myślę, że przeszłości nie da się zmienić, i dlatego właśnie to zrobiłem.

- Co zrobiłeś?

Oblizwał wargi, ale uparcie mówił dalej.

- Znalazłem tę notatkę o waszej śmierci na długo przed Brianną.

Myślałem jednak, że nie ma sensu starać się czegoś zmienić, więc ukryłem ją przed nią. - Przeniósł wzrok ze mnie na Jamiego. - Teraz już wiecie. Nie chciałem, by tu przyjeżdżała, zrobiłem, co mogłem, by trzymać ją od was z daleka. Uważałem, że to zbyt niebezpieczne. A poza tym bałem się, że ją stracę - zakończył po prostu.

Ku memu zaskoczeniu Jamie patrzył na Rogera z nagłą aprobatą.

- Więc starałeś się zapewnić jej bezpieczeństwo, chronić ją?

Roger przytaknął i napięte ramiona nieco się rozluźniły.

- Rozumiecie więc?

- Tak, rozumiem. To pierwsza rzecz, która sprawia, że myślę o tobie przychylnie.

Ja w tej chwili nie podzielałam tej opinii.

- Znalazłeś notatkę i nie powiedziałeś jej? - Czułam, jak krew napływa mi do głowy.

Roger zobaczył wyraz mojej twarzy i odwrócił wzrok.

- Nie, ona... to znaczy... ona patrzyła na to tak samo jak ty, niestety. Uważała... cóż, powiedziała, że ją zdradziłem i...

- Bo zdradziłeś i ją, i nas. Na litość... Roger, jak mogłeś coś takiego zrobić?

- Postąpił słusznie - wtrącił Jamie. - Ostatecznie... Zwróciłam się gwałtownie ku niemu.

- Wcale nie! - Nie pozwoliłam mu skończyć. - Schował przed nią tę wiadomość i starał się powstrzymać ją przed... Czy zdajesz sobie sprawę, że gdyby mu się to udało, to nigdy byś jej nie zobaczył?

- Owszem, zdaję. I nie przydarzyłoby jej się to, co się przydarzyło. - Nie spuszczał ze mnie niebieskich oczu. - I tak bym wołał.

Przełknęłam smutek i gniew. Chwilę trwało jednak, zanim zdołałam się odezwać, nie dławiąc się własnymi słowami.

- Nie sądzę jednak, by ona tak chciała - powiedziałam. - A to musiała być jej decyzja.

Zanim Jamie zdążył odpowiedzieć, wtrącił się Roger.

- Nie przydarzyłoby jej się to, co się przydarzyło? Czy mówisz o ciąży? - Nie czekał na odpowiedź. Najwyraźniej zdołał się już pozbierać na tyle, by zacząć myśleć; szybko dochodził do tych samych nieprzyjemnych wniosków, do których przed kilkoma miesiącami doszła

Brianna. Odwrócił ku mnie głowę, patrząc szerokimi z przerażenia oczyma. - Powiedziałaś, że jest już w siódmym miesiącu? Jezus Maria, nie może wrócić!

- Już nie - powiedziałam gorzko. - Mogła jeszcze, gdy się o tym dowiedzieliśmy, na początku. Staralam się ją skłonić, by wróciła do Szkocji, a przynajmniej do Indii Zachodnich, tam jest inne... przejście.

Ale nie chciała. Nie chciała wyjeżdżać, nie wiedząc, co się z tobą stało.

- Co się ze mną stało? - powtórzył i spojrzał na Jamiego. Ten spiął się i zacisnął zęby.

- Tak, to moja wina i nic już z tym nie można zrobić - powiedział. - Jest tu jak w pułapce, a ja nie jestem w stanie pomóc.

Mogę cię tylko do niej zaprowadzić.

I dlatego właśnie - zrozumiałam nagle - nie chciał Rogerowi nic mówić. Bał się, że gdy ten zda sobie sprawę, iż Brianna została złapana w przeszłości, odmówi powrotu z nami. Podążanie za nią w przeszłość to jedno, ale pozostanie tu na zawsze to coś zupełnie innego. Więc to nie tylko poczucie winy z powodu Bonneta męczyło Jamiego podczas naszej podróży. Ten spartański chłopiec, któremu lis wyjadał wnętrze, od razu rozpoznałby w nim pokrewną duszę - pomyślałam, patrząc na niego ze zdenerwowaniem i czułością.

Roger najwyraźniej nie mógł znaleźć słów. Zanim jednak zdołał się odezwać, przed chatą rozległy się liczne kroki. Uniesiono zasłonę i do środka, jeden za drugim, weszło kilkunastu Mohawków.

Patrzyliśmy na nich ze zdumieniem. Było ich mniej

więcej piętnaścioro, mężczyzn, kobiet i dzieci, ubranych do podróży, w spodniach i futrach. Jedna ze starszych kobiet trzymała zawiniątko.

Bez wahania podeszła do Rogera, wcisnęła mu je w ramiona i powiedziała coś w języku Mohawków. Patrzył na nią, marszcząc brwi, nie rozumiejąc. Jamie, nagle bardzo uważny, pochylił się ku niej i powiedział coś wahająco. Niecierpliwie powtórzyła swoje słowa, a potem obejrzała się i skinęła na młodego mężczyznę.

- Ty jesteś ksiądz - powiedział młodzieniec niepewnie do Rogera, wskazując na zawiniątko. - Woda.

- Nie jestem księdzem. - Roger usiłował oddać kobiecie dziecko, ona jednak odmówiła przyjęcia go.

- Próż - powiedziała zdecydowanie. - Uchrzcić. - Skinęła na jedną z młodszych kobiet, która wystąpiła, trzymając w dłoniach niewielkie naczynie z rogu, pełne wody.

- Ojciec Alexandre, on mówić ty ksiądz, syn księdza - oświadczył młody człowiek. Dostrzegłam, że Roger zbladł pod zarostem.

Jamie odsunął się na bok i mruknął coś po francusku do mężczyzny, którego rozpoznał w tłumie. Teraz przepchnął się z powrotem do nas.

- Tylko oni pozostali z trzódki księdza - wyjaśnił cicho. - Rada kazała im odejść. Zamierzają udać się do misji Huronów w Ste.

Berthe, ale chcą ochrzcić dziecko na wypadek, gdyby zmarło w drodze. - Spojrzał na Rogera. - Uważają, że jesteś duchownym?

- Najwyraźniej. - Roger popatrzył na trzymane w

ramionach niemowlę. Jamie zawahał się i rzucił okiem na czekających Indian.

Stali cierpliwie i spokojnie. Mogłam się jedynie domyślać, co kryło się za tą spokojną fasadą - ogień, śmierć, wygnanie, cóż jeszcze? Na twarzy starej kobiety malował się smutek. To pewnie babcia dziecka.

- W sytuacji wyższej konieczności każdy mężczyzna może spełnić posługę kapłańską - powiedział Jamie do Rogera.

Nie sądziłam, że można jeszcze bardziej zblednąć, ale Roger zrobił się zupełnie biały i zachwiał lekko. Stara kobieta, zaniepokojona, wyciągnęła rękę, by podtrzymać zawiniątko. Roger wyprostował się jednak i ruchem głowy przywołał młodą kobietę z miseczką wody.

- Parlez - vous francais? - spytał. Zgromadzeni przytaknęli, niektórzy z większą, inni z mniejszą pewnością.

- C'est bien - powiedział. Odetchnął głęboko, uniósł zawiniątko, ukazując dziecko zgromadzonym. Maleństwo, uroczym stworzeniem o krągłej buzi, miękkich brązowych kędziorach i złotej skórze, zamrugnęło rozespane.

- Wysłuchajcie słów naszego Pana Jezusa Chrystusa - przemówił Roger po francusku. - Posłuszni słowom naszego Pana Jezusa Chrystusa, pewni jego obecności wśród nas, chrzczimy tych, których powołał do siebie.

Oczywiście - pomyślałam - on w pewnym sensie był synem kapłana. Na pewno często widział, jak wielebny chrzci dzieci. Jeśli nawet nie pamiętał całego obrządku, znał jego ogólną formę.

Przekazywał dziecko kolejnym osobom wśród zgromadzonych, idąc wokół i zadając kolejno każdemu

pytania.

- Qui est votre Seigneur, votre Sauveur? - Kto jest waszym Panem i Zbawcą? - Voulez - vous placer votre foi en Lui? - Czy Mu zawierzacie?

- Czy obiecujecie głosić temu dziecku Dobrą Nowinę i nauczyć je tego, co nakazał Chrystus, swoim przykładem zaś wzmocnić jego więzy z Bogiem?

Kolejne głowy potwierdzały, pochylając się.

- Out, certainement. Out, je le promets. Nous le ferons. - Tak oczywiście, obiecuję, dotrzynamy.

W końcu Roger odwrócił się i podał dziecko Jamiemu.

- Kto jest twoim Panem i Zbawcą?

- Jezus Chrystus - odpowiedział Jamie bez wahania i przekazał mi dziecko.

- Czy mu ufasz? Spojrzałam na niewinną buzię.

- Ufam.

Roger odebrał mi zawiniątko, podał je babci, a następnie, zanurzając gałązkę jałowca w miseczce z wodą, pokropił maleństwu główkę.

- Ja ciebie chrzczę... - przerwał i rzucił mi nagle spanikowane spojrzenie.

- To dziewczynka - mruknęłam.

Skinął głową i znów uniósł gałązkę jałowca.

- Ja ciebie chrzczę, Aleksandro, w imię Ojca i Syna i Ducha Świętego, amen.

Po wyjściu grupy chrześcijan nie mieliśmy więcej gości.

Wojownik przyniósł nam drewno na ogień i trochę jedzenia, nie odpowiadał nam jednak na pytania Jamiego.

Wyszedł w milczeniu.

- Myślicie, że nas zabiją? - spytał nagle Roger, próbując się uśmiechnąć. - Chciałem powiedzieć, czy mnie zabiją? Wy zapewne jesteście bezpieczni.

Nie wyglądało na to, by się tym przejmował. Patrząc na głębokie cienie i zmarszczki na jego twarzy, pomyślałam, że jest po prostu zbyt wyczerpany, by się bać.

- Nie zabiją nas - powiedziałam i przeczesałam palcami włosy.

Zdawałam sobie sprawę, że ja także jestem wyczerpana, nie spałam od prawie trzydziestu sześciu godzin. - Zaczęłam wam opowiadać.

Spędziłam noc w domu Tewaktenyonh, zgromadziła się tam rada matek. Nie powiedziały mi wszystkiego, nigdy by tego nie zrobiły.

Jednak po wielu godzinach uroczystości i dyskusji dziewczyna mówiąca po angielsku powtórzyła mi to, co chciały, bym wiedziała, zanim odesłały mnie do Jamiego.

- Kilku młodych ludzi znalazło kryjówkę z whisky - powiedziałam. - Wczoraj przynieśli whisky do wioski i zaczęli pić.

Kobiety uważają, że nie chcieli być nieuczciwi, uważali, iż dobiliśmy już targu. Potem jednak wybuchła sprzeczka, tuż przed zapaleniem ogniska i egzekucją księdza. Doszło do walki, kilku mężczyzn wbiegło w tłum i jedna rzecz doprowadziła do kolejnej. - Potarłam dłonią twarz, starając się uporządkować myśli. - Podczas walki zginął człowiek. - Spojrzałam na Rogera. - Uważają, że to ty go zabiłeś. Czy tak było?

Pokręcił głową i wzruszył ramionami zmęczonym

gestem.

- Nie wiem, to możliwe. Co zamierzają z tym zrobić?

- Cóż, długo debatowali i chyba jeszcze nic nie postanowiono.

Powiadomiły główną radę, ale sachem się jeszcze nie wypowiedział. - Odetchnęłam głęboko. - Nie zabiją cię, bo zabrano whisky, która miała być ceną za twoje życie. Ponieważ jednak postanowili nie zabijać nas w zemście za swego poległego, w takich sytuacjach zazwyczaj przyjmują wroga do plemienia na miejsce zmarłego.

Te słowa wyrwały Rogera z odrętwienia.

- Chcą mnie przyjąć do plemienia?

- Jedno z nas, jednego z was. Ja zapewne nie nadawałabym się, bo nie jestem mężczyzną. - Bezskutecznie próbowałam się uśmiechnąć. Mięśnie twarzy kompletnie mi zeszywniały.

- Zatem to muszę być ja - oznajmił spokojnie Jamie. Roger zaskoczony uniósł głowę.

- Sam mówiłeś, że jeśli przeszłości nie można zmienić, to nic mi się nie stanie. Zostawcie mnie, ja zaś ucieknę, gdy tylko zdołam. - Położył mi dłoń na ramieniu, zanim zdążyłam zaprotestować. - Ty i Ian zabierzecie MacKenziego do Brianny. - Patrzył na Rogera z nieprzeniknionym wyrazem twarzy. - Ostatecznie to was dwojga ona potrzebuje.

Roger od razu zaczął się sprzeciwiać. Nie dopuściłam jednak do dyskusji.

- Niech mnie Bóg broni przed upartymi Szkotami - wymamrotałam niechętnie. - Nie podjęli jeszcze decyzji.

Tak mówi tylko rada matek, nie ma sensu więc kłócić się o to, póki nie wiemy niczego na pewno. A mówiąc o tym, co wiemy na pewno - powiedziałam, mając nadzieję zmienić kierunek dyskusji - gdzie jest Ian?

- Nie wiem - odparł Jamie i widziałam, że z trudem przełknął. - Mam jednak nadzieję, że bezpieczny, w łóżku tej dziewczyny.

Nikt się nie pojawił. Noc minęła spokojnie, choć żadne z nas dobrze nie spało. Drzemałam od czasu do czasu, po prostu z wyczerpania, budząc się jednak za każdym razem, gdy na dworze rozlegał się szelest. Moje sny były pełne krwi, ognia i wody.

Dopiero koło południa usłyszeliśmy zbliżające się głosy. Serce mi zabiło, bo rozpoznałam jeden z nich. Jamie skoczył na równe nogi, zanim jeszcze uniesiono zasłonę w drzwiach.

- Ian, to ty?

- Tak, wuju, to ja.

Miał dziwny głos, jakby mówił niepewnie i bez tchu. Gdy padło na niego światło z otworu dymnego, złapałam powietrze, miałam bowiem wrażenie, że ktoś zadał mi cios w żołądek.

Obie strony głowy miał wygolone, a te włosy, które zostały, sterczały w górę pośrodku głowy grubym grzebieniem. Na plecach wisiał mu długi ogon. Jedno ucho miał świeżo przebite srebrnym kolczykiem. Wytatuowano mu twarz podwójną linią drobnych, ciemnych kropek, biegnących wzdłuż kości policzkowych i spotykających się na nosie. Większość z nich wciąż pokrywały strupy.

- Nie mogę długo zostać, wuju - uprzedził Ian. Był

blady pod tatuażem, ale stał prosto. - Powiedziałem, że muszą mi pozwolić przyjść się pożegnać.

Krew odpłynęła Jamiemu z twarzy.

- Jezus Maria, Ianie - szepnął.

- Dziś wieczór jest uroczystość nadania mi imienia - powiedział cicho Ian, starając się na nas nie patrzeć. - Mówią, że potem zostanę Indianinem i nie wolno mi będzie mówić żadnym językiem oprócz Kahnyen'kehaka, nie będę mógł się odzywać ani po angielsku, ani po gaelicku. - Uśmiechnął się boleśnie. - A jeszcze nie najlepiej mówię w języku Mohawków.

- Ianie, nie możesz tego zrobić!

- Już to zrobiłem, wujku Jamie. Ciociu, powiesz mojej matce, że jej nie zapomnę? Tato będzie wiedział, jak sądzę.

- Och, Ianie. - Objęłam go mocno, on zaś mnie przytulił.

- Rano możecie opuścić wioskę - powiedział do Jamiego. - Nie będą wam przeszkadzać.

Puściłam go, on zaś podszedł do Rogera, który robił wrażenie oszołomionego. Ian wyciągnął do niego rękę.

- Przykro mi z powodu tego, cośmy ci zrobili - przeprosił cicho. - Będziesz się dobrze opiekować moją kuzynką i dzieckiem, prawda?

Roger uściśnął mu dłoń, odchrząknął i zdołał się odezwać:

- Zaopiekuję się nimi, obiecuję, Ian zwrócił się ku Jamiemu.

- Nie, Ianie. Boże, nie, chłopcze. Niech to będą ja. Ian uśmiechnął się, choć miał łzy w oczach.

- Powiedziałeś mi kiedyś, że nie po to żyję, by marnować życie - przypomniał. - Nie zmarnuję go. I nie zapomnę cię, wujku Jamie. - Wyciągnął ramiona.

Tuż przed zachodem słońca zaprowadzili Iana na brzeg. Rozebrał się i wszedł do rzeki z trzema kobietami, które, śmiejąc się, polewały go lodowatą wodą i szorowały garściami piasku. Rollo biegał tam i z powrotem, szczerkając jak oszalały, a potem wskoczył do rzeki i dołączył do ceremonii, którą uważał za zabawę. O mało przy tym nie utopił Iana. Wszyscy widzowie zgromadzeni na brzegu uważali to za strasznie śmieszne - oprócz trójki białych.

W ten sposób uroczystość usunięto białą krew z ciała Iana. Inne kobiety go osuszyły, ubrały w świeże ubranie i zaprowadziły do długiego domu rady na uroczystość nadania imienia. Wszyscy zgromadzili się w środku, cała wioska. Jamie, Roger i ja staliśmy w milczeniu w kącie, przyglądając się, jak sachem śpiewa i wypowiada nad nim jakieś słowa, jak biją bębny i jak zapalają fajkę i podają ją sobie z ręki do ręki. Obok Iana stała dziewczyna, którą nazywał Emily. Oczy jej błyszczały. Zauważyłam, że on również na nią patrzy, a wtedy jego oczy wypełniają się światłem. Na ten widok moje serce nieco się uspokoiło.

Nazwali go Bratem Wilka. Jego brat wilk siedział, dysząc, u stóp Jamiego, z zainteresowaniem przyglądając się procedurom. Pod koniec uroczystości tłum przycichł i w tej chwili Jamie wynurzył się z kąta. Wszystkie głowy zwróciły się ku niemu, gdy podchodził do Iana. Widziałam, że kilku wojowników wyprostowało się, patrząc z niechęcią.

Jamie odpiął broszę z pledu, zdjął go i przerzucił pokrwawiony, szkarłatny tartan przez ramię siostrzeńca.

- Cuimhnich - powiedział cicho i odszedł.
„Pamiętaj”.

* * *

W milczeniu jechaliśmy wąską ścieżką prowadzącą ze wsi.

Poblady Ian pożegnał nas oficjalnie, stojąc ze swoją nową rodziną, ja jednak nie byłam taka twarda. Na widok moich łez Ian przygryzł wargi, by opanować emocje. Jamie objął go, pocałował w usta i odszedł bez słowa.

Tego wieczoru jak zwykle sprawnie rozbił obóz, wiedziałam jednak, że myśli o czym innym. Nic dziwnego, moje myśli też krążyły między Ianem, który został za nami, a Brianną, która czekała przed nami, nie bardzo więc zajmowałam się chwilą bieżącą. Roger rzucił przy ogniu narzędzie gałęzi i siadł koło mnie.

- Cały czas myślę o Briannie - powiedział cicho.

- Naprawdę? Ja też. - Byłam tak zmęczona, że bałam się, iż padnę głową w ogień, zanim zagotuje się woda.

- Mówiłaś, że jest inny krąg, brama czy cokolwiek to jest, w Indiach Zachodnich?

- Tak. - Przez chwilę korciło mnie, by opowiedzieć mu o Geilie Duncan i jaskini Abandawe, ale odrzuciłam tę myśl; po prostu nie miałam na to siły. Nagle jednak przez mgłę otulającą mój umysł przebiły się jego słowa. - Jeszcze jeden, tutaj? - Rozejrzałam się wokół, jakby oczekując, że zobaczę stojący za plecami menhir.

- Nie, nie tutaj - wyjaśnił - ale gdzieś między tym miejscem a Fraser's Ridge.

- Och... - Starłam się zebrać rozproszone myśli. -

Tak, wiem, że taki jest, ale... - Potem zrozumiałam, co Roger mówi, i złapałam go za ramię. - Chcesz powiedzieć, że umiałbyś do niego trafić?

- Wiesz, że jest? - Patrzył na mnie w zdumieniu.

- Tak, ja... no, popatrz... - Pogrzebałam dłonią w sakiewce i wyciągnęłam opal. Wyrwał mi go z ręki, zanim zdołałam wyjaśnić.

- To ten sam symbol, który jest wyrzeźbiony na skale w kręgu!

Skąd to, do diabła, masz?

- To długa historia, potem ci ją opowiem. Teraz jednak... czy wiesz, gdzie jest ten krąg, czy go rzeczywiście widziałeś?

Podszedł Jamie, zaintrygowany naszym podnieceniem.

- Krąg?

- Krąg czasowy, brama, otwarcie...

- Byłem tam - Roger przerwał moje jękające wyjaśnienia. - Znalazłem go przypadkiem, próbując uciec.

- Czy udałoby ci się znaleźć go znów? Jak daleko jest od River Run? - Gorączkowo liczyłam w głowie: nieco ponad siedem miesięcy; jeśli powrót zajmie nam sześć tygodni, Brianna będzie w połowie dziewiątego miesiąca. Czy zdołamy na czas zabrać ją w góry? A jeśli tak, jakie będzie większe ryzyko - czy przejść przez kamienie tuż przed porodem, czy na zawsze zostać w przeszłości?

Roger wsunął rękę w pas podartych spodni i wyjął brudny, powiązany sznurek.

- Tutaj - powiedział, wskazując podwójny węzeł. - Ósmego dnia po tym, jak mnie zabrali. Ósmego dnia od

Fraser's Ridge.

- I co najmniej tydzień z River Run do Fraser's Ridge. - Odetchnęłam, niepewna, czy to, co czuję, to rozczarowanie czy ulga. - Nie zdążymy.

- Ale pogoda się zmienia - zauważył Jamie. Wskazał głową wielką, niebieską jodłę; z jej igieł kapąła woda. - Gdy przybyliśmy, to drzewo pokrywał lód. - Spojrzał na mnie. - Podróż może być teraz łatwiejsza. Zajmie nam mniej czasu. Albo nie.

- Albo nie. - Niechętnie pokręciłam głową. - Wiesz tak samo dobrze jak ja, że wiosna oznacza błoto, a w błocie podróżuje się gorzej niż po śniegu. - Serce biło mi teraz wolniej, zaakceptowało sytuację. - Nie, jest zbyt późno. Będzie musiała zostać.

Jamie wpatrywał się nad ogniem w Rogera.

- Ale on nie.

Roger spojrzał na niego zaskoczony.

- Ja... - zaczął. Potem zacisnął zęby i zaczął raz jeszcze. - Muszę.

Nie sądzisz chyba, że zostawię ją i moje dziecko?

Otwarłam usta i poczułam, jak Jamie sztywnieje koło mnie ostrzegawczo.

- Nie - stwierdziłam ostro. - Nie, musimy mu powiedzieć.

Brianna i tak mu powie, więc lepiej, żeby wiedział teraz. Jeśli sprawia mu to różnicę, to lepiej, żeby wiedział, zanim ją zobaczy.

Jamie zacisnął mocno usta, w końcu jednak kiwnął głową.

- Dobrze, więc mu powiedz.

- Co ma mi powiedzieć? - Wieczorny wiatr rozwiewał Rogerowi ciemne włosy. Od kiedy go odnaleźliśmy, nie wyglądał na tak ożywionego jak teraz, ale był również zaniepokojony i podniecony.

Nie wahałam się dłużej.

- To być może nie jest twoje dziecko - oznajmiłam.

Przez chwilę nie zmieniał wyrazu twarzy, lecz gdy moje słowa do niego dotarły, złapał mnie za ramię tak nagle, że krzyknęłam, zaskoczona.

- O czym ty mówisz, co się stało?

Jamie ruszył się błyskawicznie jak atakująca żmija i zadał Rogerowi krótki, mocny cios w szczękę. Ten puścił moje ramię i padł na plecy.

- Kiedy zostawiłeś moją córkę samą, została zgwałcona - powiedział Jamie brutalnie. - Dwa dni po tym, jak wzięłeś ją do łóżka.

Więc może dziecko jest twoje, a może nie. - Patrzył na Rogera z wściekłością. - A zatem zamierzasz przy niej wytrwać czy nie?

Roger potrząsnął głową, starając się rozjaśnić myśli, i powoli podniósł się na nogi.

- Zgwałcona? Przez kogo, gdzie?

- W Wilmington, przez człowieka nazwiskiem Stephen Bonnet, który...

- Bonnet? - Wyraz twarzy Rogera mówił jasno, że zna to nazwisko. Przenosił nieprzytomnie wzrok z Jamiego na mnie i z powrotem. - Brianna została zgwałcona przez Stephena Bonneta?

- Tak powiedziałem. - Nagle cała wściekłość, jaką Jamie trzymał na wodzy od opuszczenia wioski, znalazła

ujście. Złapał Rogera za gardło i uderzył nim w pień drzewa. - A gdzieś ty był, gdy to się działo, ty tchórze? Rozgniewała się na ciebie, więc uciekłeś i ją zostawiłeś! Skoro uważałeś, że musisz odejść, dlaczego przedtem mi jej bezpiecznie nie przyprowadziłeś?

Chwyciłam Jamiego za ramię i szarpnęłam.

- Puść go.

Puścił i odwrócił się, ciężko oddychając. Roger, wstrząśnięty i niemal tak samo wściekły jak Jamie, wyprostował pomięte ubranie.

- Nie zostawiłem jej dlatego, żeśmy się pokłócili! Zostawiłem ją, by znaleźć to! - Chwycił dłonią luźne spodnie i rozdarł na szwie. Na dłoni rozjarzyły mu się zielone iskry. - Rzykowałem życie, by to zdobyć, by mogła bezpiecznie wrócić przez kamienie! Czy wiesz, gdzie się udałem, by to znaleźć? Komu go zabrałem? Stephenowi Bonnetowi! Dlatego tyle trwało, zanim dotarłem do Fraser's Ridge, bo nie był tam, gdzie miał być. By go znaleźć, musiałem jeździć w górę i w dół wybrzeża.

Jamie i ja staliśmy jak skamieniali, wpatrując się w klejnot.

- Płynąłem pod dowództwem Stephena Bonneta ze Szkocji. - Roger uspokajał się powoli. - Jest... jest...

- Wiem, czym jest. - Jamie poruszył się, przerywając trans. - Ale niezależnie od tego, czym jeszcze jest, może też być ojcem dziecka mojej córki. - Rzucił Rogerowi długie, zimne spojrzenie. - Więc pytam cię, MacKenzie, czy możesz do niej wrócić i żyć z nią, wiedząc, że to może dziecko Bonneta? Jeśli nie możesz tego zrobić, powiedz to teraz. Bo przysięgam, że jeśli przyjdiesz i będziesz ją źle

traktować, to zabiję cię, nawet się nie zastanawiając!

- Na litość boską - wybuchnęłam - daj mi pomysłu, Jamie! Czy nie widzisz, że jeszcze nawet nie przyswoił sobie tej myśli?

Roger zacisnął dłoń na klejnocie, potem ją otworzył, wypuszczając kamień. Słyszałam, jak oddycha, chrapliwie i urywanie.

- Nie wiem - odparł. - Nie wiem.

Jamie pochylił się, podniósł kamień, który Roger upuścił, i cisnął mu go mocno między nogi.

- To idź - prychnął. - Zabierz ten nieszczęsny klejnot i znajdź swój przeklęty krąg. Idź sobie, bo mojej córce niepotrzebny jest tchórz.

Nie rozkulbaczył jeszcze koni. Teraz złapał juki i przerzucił przez koński zad. Odwiązał swego i mego konia, i wskoczył jednym płynnym ruchem.

- Chodź - powiedział do mnie. Rzuciłam Rogerowi bezradne spojrzenie. Patrzył na Jamiego, a zielone oczy lśniły mu w blasku ognia tak jasno jak szmaragd w jego dłoni.

- Jedź - zwrócił się do mnie cicho, nie spuszczać z Jamiego wzroku. - Jeśli będę mógł, przyjdę.

Ręce i nogi wydawały się nie należeć do mnie. Poruszały się gładko bez mojego udziału. Podeszłam do konia, wsunęłam stopę w strzemień i wskoczyłam na siodło. Gdy się obejrzałam, zniknęło nawet światło ogniska. Za nami była już tylko ciemność.

62. Trzy trzecie ducha

River Run, kwiecień 1770

- Złapano Stephena Bonneta.

Brianna upuściła na podłogę pudełko z grą. Żetony z kości słoniowej rozbiegły się we wszystkich kierunkach i potoczyły pod meble. Ruszając bezgłośnie ustami, wpatrywała się w lorda Johna, który pospiesznie odstawił kieliszek brandy i podszedł do niej.

- Dobrze się pani czuje? Może proszę usiąść. Bardzo przepraszam, nie powinienem był...

- Ależ tak, powinien był pan. Nie na kanapie, nie będę w stanie z niej wstać. - Nie przyjęła jego wyciągniętej dłoni i powoli podeszła do zwykłego drewnianego krzesła przy oknie. Usadziła się na nim solidnie i spojrzała na lorda Johna. - Gdzie? - spytała. - I jak?

Nie zadał sobie trudu, by spytać, czy ma posłać po wino albo palone pióra. Najwyraźniej nie zamierzała zemdleć.

Przysunął sobie krzesło, potem przyszło mu coś do głowy, podszedł więc do drzwi i wyrzwał do ciemnego holu. Rzeczywiście, jedna z pokojówek drzemała na stołku przy schodach, na wypadek gdyby czegoś potrzebowali. Na dźwięk jego kroków kobieta poderwała głowę, a jej oczy załśniły bielą w ciemnościach.

- Idź spać - powiedział lord John. - Dziś wieczór nie będziemy już niczego potrzebować.

Niewolnica skinęła głową i oddaliła się, ciągnąc nogami. Jej skulone ramiona mówiły o uldze - zapewne wstała o świcie, teraz zaś zbliżała się północ. On sam też był bardzo zmęczony, przyjechał bowiem z Edenton, ale ta wiadomość nie mogła czekać. Pojawił się wczesnym wieczorem, dopiero teraz jednak miał okazję, by spotkać się z Brianną sam na sam. Zamknął podwójne drzwi i postawił

przed nimi stół, by nikt im nie przeszkadzał.

- Złapano go tutaj, w Cross Creek - oznajmił bez wstępów, siadając koło niej. - Nie wiem jednak jak. Oskarżono go o szmugiel, ale gdy odkryto, kim jest, oczywiście dodano inne zarzuty.

- Szmugiel czego?

- Herbaty i brandy, przynajmniej tym razem. - Potarł dłonią kark, starając się rozmasować sztywność, wywołaną wieloma godzinami spędzonymi w siodle. - Usłyszałem o tym w Edenton; najwyraźniej ten człowiek cieszy się niesławą od Charlestonu po Jamestown. - Przyjrzał się jej uważnie. Była blada, ale nie robiła wrażenia osłabionej. - Został skazany - dodał cicho. - Zawisnie za tydzień w Wilmington. Sądziłem, że będzie pani chciała wiedzieć.

Nabrała powietrza i powoli je wypuściła, nic jednak nie mówiąc.

Przyjrzał się jej dokładniej; nie chciał zdradzać się z ciekawością, ale zdumiewała go jej wielkość. Boże drogi, była ogromna. W ciągu dwóch miesięcy, od kiedy się zaręczyli, co najmniej podwoiła objętość. Jej ogromny brzuch nagle wypuczył się z jednej strony; zaskoczyło go to i zwątpił, czy dobrze zrobił, że jej o tym powiedział.

Jeśli wywołany nowiną szok doprowadzi do wcześniejszego porodu, nigdy sobie nie wybaczy; nie wybaczy mu też Jamie.

Patrzyła gdzieś przed siebie, ściągnawszy w namyśle brwi.

Widował już klacze na chwilę przed porodem, które tak właśnie patrzyły. Spojrzenie to świadczyło o całkowitym zaabsorbowaniu wewnętrznymi sprawami. Odesłanie

niewolnicy było błędem. Zrobił ruch, by wstać, pójść poszukać kogoś do pomocy, jednak jego ruch wytrącił ją z transu.

- Dziękuję - powiedziała. Brwi miała wciąż ściągnięte, ale oczy patrzyły bystro i niepokojąco wprost na niego. Czuł się zmieszany. - Kiedy go mają powiesić? - Pochyliła się lekko, przyciskając dłoń do boku. W odpowiedzi na nacisk nowa górką pojawiła się w innym miejscu.

Odchylił się na oparcie, nie odrywając od jej brzucha niespokojnego spojrzenia.

- W przyszły piątek.

- Czy teraz jest w Wilmington?

Nieco uspokoiony jej opanowaniem, sięgnął po kieliszek, łyknął odrobinę i pokręcił głową, czując, jak ciepły trunek ogrzewa mu tors.

- Nie, wciąż jest tutaj. Nie było potrzeby przeprowadzać procesu, bo już przedtem miał wyrok.

- Ale na egzekucję przewiozą go do Wilmington? Kiedy?

- Nie mam pojęcia. - Tym razem inaczej ocenił to odległe spojrzenie w jej oczach. To nie było matczyne zatroskanie, tylko zimna kalkulacja.

- Chcę go zobaczyć.

Powoli, z namysłem, przełknął resztę brandy.

- Nie - powiedział zdecydowanie, odstawiając kieliszek. - Nawet gdyby pani stan pozwolił jej na podróż do Wilmington, a nie pozwala - dodał, rzucając kątem oka spojrzenie na wystający brzuch - to obecność przy egzekucji musiałyby mieć jak najgorszy wpływ na dziecko. Wiem, co

pani czuje, moja droga, ale...

- Nie, nie wie pan. Nie ma pan pojęcia, co czuję - mówiła spokojnie, lecz z głębokim przekonaniem. Patrzył na nią przez chwilę, wstał i poszedł po karafkę. Zaczekała, aż nalał do kieliszka bursztynowy trunku i podniósł go do ust. - Nie chcę patrzeć, jak umiera.

- Dzięki Bogu - mruknął i pociągnął z kieliszka.

- Chcę z nim porozmawiać.

Zakrztusił się i rozlał nieco brandy na żabot koszuli.

- Chyba powinien pan usiąść. - Przyglądała mu się spod zmrużonych powiek. - Nie wygląda pan dobrze.

- Ciekawe dlaczego? - Niemniej jednak usiadł i wyciągnął chustkę, by wytrzeć twarz.

- Wiem, co zamierza pan powiedzieć - stwierdziła zdecydowanie - lecz niech pan da sobie spokój. Czy może pan mi załatwić spotkanie z nim, zanim zabiorą go do Wilmington? I zanim pan powie „nie, absolutnie nie”, proszę sobie zadać pytanie, co zrobię, jeśli rzeczywiście pan tak powie.

Otworzył już usta, by powiedzieć „absolutnie nie”, ale zamknął je i przez chwilę przyglądał jej się w milczeniu.

- Chyba nie zamierza mi pani znów grozić, prawda? - spytał tonem towarzyskiej konwersacji. - Bo jeśli tak...

- Nie, oczywiście, że nie - zarumieniła się lekko.

- No, to przyznaję, że nie rozumiem, co pani...

- Powiem mojej ciotce, że ojcem dziecka jest Stephen Bonnet, powiem Farquardowi Campbellowi, Geraldowi Forbesowi i sędziemu Alderdyce. A potem udam się do kwatery garnizonu, bo chyba tam go trzymają, i powiem sierżantowi Murchisonowi. Jeśli mnie nie wpuści,

pójdę do pana Campbella po nakaz, by otworzył mi drzwi. Mam prawo go zobaczyć.

Przyjrzał się jej uważnie; wyraźnie widział, że nie jest to próżna groźba. Siedziała nieruchomo jak marmurowy posąg, zupełnie niepodatny na perswazję.

- Nie cofnęłaby się pani przed potwornym skandalem? - Było to pytanie retoryczne, chciał po prostu zyskać chwilę, by pomyśleć.

- Nie. Cóż mam do stracenia? - powiedziała spokojnie i uniosła brew niemal żartobliwie. - Zapewne musiałyby pan zerwać nasze zaręczyny. Ale jeśli całe hrabstwo dowie się, kim jest ojciec dziecka, to jeśli chodzi o zniechęcenie mężczyzn do małżeństwa ze mną, wiadomość ta zapewne wyrze taki sam efekt jak zaręczyny.

- Pani reputacja... - zaczął, wiedząc z góry, że to beznadziejne.

- Moja reputacja już i teraz nie jest dobra. Choć właściwie nie bardzo rozumiem, dlaczego zajście w ciążę po zgwałceniu przez pirata miałoby być gorsze niż fakt, że lekko się prowadzę, jak raczył to ująć mój ojciec. - W jej głosie usłyszał gorycz, nie odezwał się więc. - Tak czy inaczej ciocia Jokasta raczej mnie nie wyrzuci tylko dlatego, że wywołam skandal. Nie będę głodować ani ja, ani dziecko. I nie mogę powiedzieć, by mi specjalnie zależało na tym, czy panny MacNeill będą mnie odwiedzać, czy nie.

Ujął kieliszek i znów się napił, tym razem ostrożnie, nie spuszczając z niej wzroku. Zżerała go ciekawość, co zaszło między nią a jej ojcem, nie był jednak na tyle nieostrożny, by pytać.

- Dlaczego? - Odstawił kieliszek.

- Dlaczego co?

- Dlaczego uważa pani, że musi porozmawiać z Bonnetem?

Mówi pani, że nie wiem, co pani czuje, a to niewątpliwie prawda - pozwolił sobie na odrobinę drwiącego tonu. - Niezależnie od tego, jakie są te powody, muszą być nagłe, skoro rozważa pani tak drastyczne środki.

Na jej wargach powoli wykwitł uśmiech, obejmując także jej oczy.

- Naprawdę podoba mi się sposób, w jaki pan się wyraża.

- To mi pochwala. Gdyby jednak zdecydowała się pani odpowiedzieć mi na pytanie... - Westchnęła tak głęboko, że płomień świecy zamigotał. Wstała majestatycznie i pomacała się po boku sukni. Miała tam wszytą kieszeń, z której wyciągnęła teraz kartkę papieru, złożoną i sfatygowaną, bo najwyraźniej często czytana.

- Proszę to przeczytać - powiedziała, podając mu list. Odwróciła się i odeszła w kąt pokoju, gdzie przy kominku trzymała farby i sztalugi.

Znał kształt tych czarnych liter pokrywających kartkę. Tylko raz przedtem widział pismo Jamiego Frasera, ale to mu wystarczyło. Było charakterystyczne.

Córko,

nie potrafię przewidzieć, czy jeszcze się zobaczymy. Mam głęboką nadzieję, że tak będzie i że wszystko między nami zostanie naprawione. To jednak zostawiam w ręku Boga. Piszę teraz na wypadek, gdyby Jego wola była inna.

Spytałaś mnie kiedyś, czy zabicie człowieka w

odwecie za wyrządzoną sobie krzywdę jest słuszne. Mówię Ci, że nie wolno Ci tego zrobić. Dla spokoju Twojej duszy, dla Twego własnego życia, musisz znaleźć łaskę wybaczenia. Trudno zdobyć wolność, nie jest ona jednak owocem morderstwa.

Nie obawiaj się, że ujdzie sprawiedliwości. Taki człowiek nosi w sobie zacyzn własnego zniszczenia, jeśli nie umrze z mojej ręki, to z ręki kogoś innego, ale to nie Twoja dłoń powinna wymierzyć mu sprawiedliwość.

Wysłuchaj mnie, dla miłości, jaką do Ciebie żywię.

Pod listem napisał: „Twój najbardziej oddany i kochający ojciec, Jamie Fraser”, przekreślił jednak te słowa i napisał po prostu „Tato”.

- Nie pożegnałam się z nim.

Lord John podniósł wzrok, zaskoczony. Stała do niego tyłem, wpatrzona w na wpół ukończony pejzaż na sztalugach, jakby to było okno. Dołączył do niej. Ogień w kominku już się wypalił, w pokoju robiło się chłodno. Odwróciła się ku niemu, obejmując ramionami.

- Chcę być wolna - powiedziała spokojnie. - Niezależnie od tego, czy Roger wróci, czy nie, niezależnie od tego, co się zdarzy.

Dziecko było niespokojne, widział, jak wierci się i kopie pod skrzyżowanymi ramionami - jak kot w worku. Nabral powietrza. Było mu zimno i czuł niepokój.

- Czy jest pani pewna, że musi zobaczyć Bonneta? Rzuciła mu kolejne długie, błękitne spojrzenie.

- Tato mówi, że muszę znaleźć sposób, by mu wybaczyć. Od kiedy wyjechali, próbuję, ale nie umiem. Może zdołam, gdy go zobaczę. Muszę spróbować.

- Dobrze. - Wypuścił powietrze w długim westchnieniu, kapitulując.

W oczach mignęło jej światełko, czyżby ulga? Starał się odpowiedzieć jej uśmiechem.

- Zrobi to pan?

- Tak, Bóg jeden wie jak, ale zrobię to.

Zgasił wszystkie świece oprócz jednej, którą zachował, by oświetliła im drogę do sypialni. Podał jej ramię. Przecięli w milczeniu pusty hol, a cisza otuliła ich spokojem. U stóp schodów zatrzymał się, by przepuścić ją przodem.

- Brianno?

Odwrociła się z pytającym wyrazem twarzy. Wahał się, nie wiedząc, jak poprosić o to, czego nagle tak zapragnął. Wyciągnął niepewnie rękę.

- Czy mogę...?

W milczeniu ujęła jego dłoń i przycisnęła sobie do brzucha. Był ciepły i bardzo twardy. Przez chwilę stali nieruchomo, aż poczuł drobne, mocne pchnięcie, od którego przebiegł go dreszcz.

- Mój Boże, on jest prawdziwy. Spojrzała na niego z uśmiechem w oczach.

- Tak - powiedziała - wiem.

Było już ciemno, gdy podjechali do kwatery garnizonu, ulokowanej w małej, niezbyt imponującej budowli, stojącej w cieniu wznoszącego się za nią magazynu. Brianna niepewnie spojrzała na budynek.

- Tu go trzymają? - Dłonie miała zimne, choć schowane pod peleryną.

- Nie. - Lord John rozejrzał się i zeskoczył z konia,

by go przywiązać. W oknie paliło się światło, lecz niewielki dziedziniec był pusty, wąska uliczka cicha i opuszczona. W pobliżu nie było żadnych domów ani sklepów, a pracownicy magazynu już dawno poszli do domu, by zjeść kolację i położyć się spać. Wyciągnął w górę ręce, by pomóc jej zejść. Zejście z wozu było łatwiejsze niż wydostanie się z powozu. - Jest w piwnicy pod magazynem - wyjaśnił cicho. - Przekupiłem strażnika, by nas wpuścił.

- Nie nas - powiedziała tak samo cicho jak on, ale zdecydowanie.

- Mnie. Zobaczę się z nim sama.

Dostrzegła, że na moment zagryzł wargi, ale kiwnął głową.

- Szeregowy Hodgpile zapewnia mnie, że jest w łańcuchach, inaczej nie zgodziłbym się na to. Skoro jednak tak jest... - Wzruszył ramionami z niejaką irytacją i podał jej rękę, by pomóc jej przejść po nierównym gruncie.

- Hodgpile?

- Szeregowiec Arvin Hodgpile. Dlaczego, zna go pani?

Pokręciła głową, wolną ręką unosząc lekko spódnice.

- Nie, słyszałam to nazwisko, ale...

Drzwi budynku otworzyły się i padł z nich pas światła.

- Czy to pan, milordzie? - Na zewnątrz ostrożnie wyjrzał żołnierz. Hodgpile był drobny, miał wąską twarz, sztywną jak u marionetki. Na widok Brianny wzdrygnął się, zaskoczony. - Och, nie zdawałem sobie sprawy...

- Nie musi pan - powiedział chłodno lord John - proszę nam tylko pokazać drogę.

Z niepewnym spojrzeniem na wielką postać Brianny, szeregowiec uniósł latarnię i wskazał drogę do bocznych drzwi, prowadzących do magazynu.

Hodgepile był nie tylko drobny, ale i niski. Kompensował to sobie sztywną postawą; chodzi, jakby miał kij w zadku - pomyślała, przyglądając mu się z ciekawością, gdy maszerował przed nimi.

Takiego określenia użył Ronnie Sinclair, opisując go jej matce.

Ostatecznie ilu może być Hodgepile'ów? Być może porozmawia z nim, gdy skończy... Bieg jej myśli przerwało otwarcie drzwi do magazynu.

Kwietniowa noc była chłodna i świeża, ale powietrze wewnątrz wypełniał smród smoły i terpentyny. Brianna miała wrażenie, że się dusi; niemal namacalnie czuła drobne molekuly żywicy, unoszące się w powietrzu, przylepiające jej się do skóry. Nagłe wrażenie, że zalewa ją gęstniejący bursztyn, było tak trudne do zniesienia, że rzuciła się do przodu, niemal ciągnąc za sobą lorda Johna.

Magazyn był wypełniony dużymi przedmiotami; po drugiej stronie, w cieniu, stały beczki ze smołą, natomiast na drewnianych półkach przy wielkich podwójnych drewnianych wrotach stały baryłki brandy i rumu, gotowe do stoczenia z ramp na pokład barek czekających na rzece.

W miarę jak przechodził między wysokimi szeregami beczek i skrzyń, cień szeregowego Hodgepile'a wyciągał się i kurczył. Jego kroki tłumiała gruba warstwa opiłków drewnych na podłodze.

- Trzeba uważać z ogniem... - usłyszała jego wysoki, cienki głos.

- Proszę bardzo uważać, gdzie państwo postawią latarnie, dobrze?

Choć tam na dole nie powinno być żadnego niebezpieczeństwa, żadnego...

Dla łatwiejszego załadunku barek budynek magazynu częściowo nadwieszono nad wodą. Fragment podłogi przy nabrzeżu zbudowano z drewna, resztę z cegły. Gdy minęli granicę między jedną częścią a drugą, Brianna usłyszała zmianę w odgłosie ich kroków. Hodgpile zatrzymał się przy klapie zamykającej zejście i obudowanej ceglami.

- Nie zajmie to panu długo, milordzie?

- Nie dłużej, niż musi - uciał kwaśno lord John. Wziął latarnię i czekał w milczeniu, gdy Hodgpile podnosił klapę i ją podpierał.

Briannie ciężko biło serce, czuła każde uderzenie oddzielnie, jak cios w pierś.

Schody z czerwonej cegły znikwały na dole w ciemnościach.

Hodgpile wyjął klucze i policzył je w świetle latarni, upewniając się, który jest właściwy, zanim ruszył przodem. Spojrzał na Briannę z głęboką wątpliwością, ale pokazał gestem, by za nim szli.

- Dobrze, że zbudowali szerokie schody, by zmieściły się tu baryłki rumu - mruknęła do lorda Johna, trzymając się jego ramienia i ostrożnie posuwając się do przodu.

Od razu zrozumiała, dlaczego tu, na dole, szeregowy Hodgpile nie martwił się o ogień. Panowała taka wilgoć, że nie dziwiłby jej widok grzybów rosnących na ścianach.

Gdzieś kapiała woda, a światło latarni odbijało się od mokrych cegieł. Karaluchy rozbiegły się w panice na widok światła. Powietrze czuć było stęchlizną i zgnilizną.

Pomyślała krótko o hodowli penicyliny prowadzonej przez matkę i - ze ściśniętym gardłem - trochę dłużej o samej matce. I już znaleźli się na miejscu. Nie mogła dłużej odsuwać od siebie myśli o tym, po co tu przyszła i co robi. Hodgpile walczył z kluczem. Nagle ogarnęła ją panika; nie miała pojęcia, co ma powiedzieć i co ma zrobić. Po co tu w ogóle przyjechała?

Lord John uściśnął jej ramię, dodając odwagi. Odetchnęła głęboko wilgotnym powietrzem, pochyliła głowę i weszła do środka.

Siedział na ławce po drugiej stronie celi, wpatrzony w drzwi.

Najwyraźniej oczekiwał kogoś - musiał słyszeć kroki - ale nie jej.

Szarpnął się, zaskoczony, a jego oczy załśniły zielenią w świetle latarni. Słyszała ciche pobrzękiwanie metalu. Oczywiście, powiedzieli jej, że jest skuty - ta myśl dodawała jej odwagi. Wzięła od Hodgpile'a latarnię, zamknęła za sobą drzwi, oparła się o nie i w milczeniu przyglądała Bonnetowi. Wydawał się mniejszy, niż pamiętała - a może tylko ona była teraz o tyle większa?

- Czy wiesz, kim jestem? - W małej celi o niskim suficie, bez pogłosu, jej głos zabrzmiał cicho, lecz wyraźnie.

Przechylił głowę na bok, zastanawiając się. Zmierzył ją wzrokiem.

- Nie wydaje mi się, żebyś mi się przedstawiła,

kotku.

- Nie mów tak do mnie! - Nagła wściekłość ją zaskoczyła.

Zdusiła ją, zaciskając pięści. Jeśli przybyła tu, by wybaczyć, nie był to dobry początek.

Wzruszył ramionami chłodno, lecz pogodnie.

- Jak sobie życzysz. Nie, nie wiem, kim jesteś. Znam twoją twarz i kilka innych szczegółów - zęby załśniły mu wśród zarostu - ale nie twoje imię. Zapewne jednak zamierzasz mi je podać.

- Czy mnie rozpoznajesz?

Wciągnął powietrze i wydmuchał je przez wydęte wargi, przyglądając jej się ostrożnie. Wyglądał nieco gorzej, nie wpłynęło to jednak na jego pewność siebie.

- Och, tak, oczywiście. - Wydawał się rozbawiony. Chciała podejść do niego i mocno uderzyć w twarz. Zamiast tego odetchnęła tylko, co okazało się błędem, bo dotarł do niej jego zapach. Bez ostrzeżenia, nagle i gwałtownie poczuła mdłości. Przedtem nie miewała z tym problemu, ale smród sprawił, że do gardła podeszła jej żółć i na wpół strawione jedzenie. Ledwo zdążyła się odwrócić, by zwymiotować na wilgotną podłogę.

Oparła czoło o mur, przebiegły ją fale gorąca i zimna. W końcu wytarła usta i znów się odwróciła. Wciąż siedział, przyglądając się Briannie. Postawiła latarnię na podłodze. Światło padało na jego twarz od dołu, wydobywając ją z cienia. Mógł być bestią, przykutą łańcuchami w jamie. W bladych oczach czytała jedynie ostrożność.

- Nazywam się Brianna Fraser. Pokiwał głową i

powtórzył.

- Brianna Fraser. Bardzo ładnie się nazywasz. -
Uśmiechnął się przelotnie. - I co z tego?

- Moi rodzice to James i Claire Fraser. Uratowali ci
życie, a ty ich obrabowałeś.

- Tak.

Powiedział to absolutnie rzeczowym tonem. Patrzyła
na niego, a on na nią. Nagle zachciało jej się śmiać, tak
nagle, jak nagły był przyływ mdłości. Czego oczekiwała:
wyrzutów sumienia?

Wyjaśnięć? Od człowieka, który brał sobie różne
rzeczy tylko dlatego, że miał na nie ochotę?

- Jeśli przyszedł z nadzieją odzyskania klejnotów,
obawiam się, że się spóźniłeś - powiedział pogodnie. -
Pierwszy sprzedałem, by kupić statek, a dwa pozostałe mi
ukradziono. Być może uznasz to za sprawiedliwość, ja sam
nie znajduję w tym pocieszenia.

Przełknęła, czując żółć.

- Ukradziono, kiedy?

„Nie martw się o człowieka, który go ma - mówił
Roger. - Mogę się założyć, że on z kolei ukradł go komuś
innemu”.

Bonnet poruszył się na drewnianej ławie i wzruszył
ramionami.

- Jakież cztery miesiące temu, bo co?

- Bez powodu. - Więc Rogerowi się udało. Ma
klejnoty, które posłużyłyby im obojgu do bezpiecznej
podróży. Niewielka pociecha.

- Pamiętam, że był tam też taki drobiazg - obrączka,
prawda? Ale ją to sama zabrałaś. - Uśmiechnął się, tym

razem pokazując zęby.

- Zapłaciłam za to. - Automatycznie położyła dłoń na brzuchu, okrągłym i twardym jak piłka do koszykówki.

Patrzył na jej twarz z pewną ciekawością.

- Czy mamy coś jeszcze do załatwienia, kotku? Odetchnęła, tym razem nabierając powietrze ustami.

- Słyszałam, że masz wisieć.

- Ja też to słyszałem. - Znów poruszył się na twardych deskach ławy. Przechylił głowę na bok, by naciągnąć mięśnie karku, i rzucił jej długie spojrzenie. - Ale chyba nie przyszłaś tu powodowana litością?

- Nie - powiedziała, przyglądając mu się w zamyśleniu. - Mówiąc szczerze, poczuję się znacznie spokojniejsza, gdy już będziesz martwy.

Gapił się na nią przez chwilę, po czym wybuchnął śmiechem.

Śmiał się tak mocno, że do oczu napłynęły mu łzy. Wytarł je, pochylając głowę na ramię, wyprostował się jednak wciąż z roześmianą twarzą.

- Czego zatem ode mnie chcesz?

Otworzyła usta, by odpowiedzieć, ale nagle to, co ich wiązało, zniknęło. Nie poruszyła się, miała jednak wrażenie, że zrobiła krok przez głęboką przepaść. Stała już bezpiecznie po drugiej stronie, sama - nareszcie sama. Nie mógł jej już dotknąć.

- Niczego - oznajmiła wyraźnym, jasnym głosem. - Nie chcę od ciebie niczego. Przyszłam, by coś ci dać.

Rozchyliła pelerynę i przesunęła dłonią po wystającym brzuchu.

Mały mieszkaniec przeciągnął się i obrócił. Jego

dotyk był ślepą pieszczotą dłoni i łona, intymną i abstrakcyjną.

- To twoje - powiedziała. Spojrzał na brzuch, potem na nią.

- Już mi się zdarzało, że dziwki wmawiały mi swoje bękarty - stwierdził, ale bez złośliwości. Wydawało jej się, że za czujnym spojrzeniem pojawił się jakiś nieruchomy spokój.

- Uważasz, że jestem dziwką? - Było jej wszystko jedno, co o niej myśli, choć wątpiła, by tak ją osądzał. - Nie mam powodu kłamać. Powiedziałam ci już: nie chcę od ciebie niczego.

Otuliła się znów peleryną i wyprostowała, czując, że ten ruch zmniejsza ból jej kręgosłupa. Koniec. Była gotowa wyjść.

- Niedługo umrzesz - powiedziała i choć nie przyszła tu z litości, stwierdziła, że właśnie litość czuje. - Jeśli świadomość, że na ziemi coś po tobie zostanie, ułatwi ci śmierć, to proszę bardzo. Ja jednak już z tobą skończyłam.

Odwróciła się, by podnieść latarnię, i zobaczyła ze zdziwieniem, że drzwi są na wpół otwarte. Nie zdążyła nawet poczuć gniewu na lorda Johna za podsłuchiwanie, gdy otwały się one w pełni.

- No, to było piękne przemówienie - oświadczył sierżant Murchison. Uśmiechnął się szeroko i podniósł muskiet tak, że znalazł się na wysokości jej brzucha. - Ja jednak nie powiem, że z tobą skończyłem.

Cofnęła się o krok i obronnym gestem zamachnęła się latarnią, celując w głowę sierżanta. Uchylił się z okrzykiem przerażenia. Zanim zdążyła powtórnie się

zamachnąć, jej przegub znalazł się w żelaznym uścisku.

- Chryste, mało brakowało. Jesteś szybka, dziewczyno, choć nie tak szybka jak nasz dobry sierżant. - Bonnet odebrał jej latarnię i puścił rękę.

- Wcale nie jesteś skuty - zdumiała się głupio, gapiąc się na niego. Nagle pojęła grozę sytuacji i okręciwszy się na pięcie, rzuciła ku drzwiom. Murchison wysunął przed siebie muszkiet, blokując jej drogę, zdążyła jednak zobaczyć przez drzwi ciemny korytarz i postać leżącą twarzą w dół na kamieniach. - Zabiłeś go - szepnęła sztywnymi wargami. Przeniknął ją strach głębszy niż nudności. - Och, Boże, zabiłeś go.

- Zabiłeś kogo? - Bonnet uniósł latarnię, oświetlając jasne włosy zlepione krwią. - Kto to, do diabła, jest?

- Jeden taki ciekawski - rzucił Murchison. - Pospiesz się, człowieku, nie mamy czasu do stracenia. Zająłem się Hodgepile'em i zapaliłem lont.

- Czekał - Bonnet przeniósł wzrok z sierżanta na Briannę.

- Nie ma czasu, powiedziałem. - Sierżant podniósł broń i sprawdził zamek. - Nie martw się, nikt ich nie znajdzie.

Brianna czuła siarkowy zapach prochu. Sierżant oparł kolbę na ramieniu i zwrócił się ku niej. Było tu jednak tak mało miejsca, że nie mógł unieść długiej lufy. Stęknął z irytacją, odwrócił broń i uniósł wysoko, by uderzyć Briannę kolbą w głowę. Złapała za kolbę odruchowo, pod wpływem impulsu. Wydawało jej się, że wszystko dzieje się bardzo powoli. Murchison i Bonnet stali nieruchomo. Ona sama czuła się oderwana od rzeczywistości, jakby stała z boku i

przyglądała się całej scenie. Wyrwała muszkiet Murchisonowi z łatwością, jak słomkę, podniosła wysoko i z całej siły opuściła.

Uderzenie przebiegło wibracją przez jej ramiona aż po tułów - jakby ktoś włączył prąd.

Wyraźnie widziała wiszącą w powietrzu twarz mężczyzny, z otwartymi ustami i oczyma, w których zdumienie ustąpiło przerażeniu, a w końcu nieświadomości - tak powoli, że mogła śledzić te zmiany. Miała czas dostrzec czerwień jego twarzy, fioletowe wargi odsłaniające żółte zęby i maleńkie, jaskrawoczerwone kwiatki krwi, które wdzięcznym łukiem ubarwiły mu skroń. Wypełniał ją spokój.

Stanowiła jedynie opakowanie dla odwiecznej dzikości, którą ludzie nazywają macierzyństwem, a związaną z tym czułość biorą za słabość.

Widziała własne ręce z wyraźnie zarysowanymi stawami i napiętymi ścięgnami, czuła falę siły przepływającą jej przez nogi i plecy, przez nadgarstki, ręce i ramiona. Zamachnęła się raz jeszcze, tak powoli, wydawało jej się, że tak powoli - a przecież Murchison wciąż jeszcze upadał, jeszcze nie sięgnął podłogi, gdy kolba trafiła go ponownie.

Jakiś głos wołał ją po imieniu, przebijał się słabo przez otaczające ją kryształowe buczenie.

- Przestań, na litość boską, kobieto! Brianna, przestań!

Poczuła na ramionach dłonie, które ciągnęły ją i potrzasały.

Uwolniła się z tego uścisku i odwróciła, wciąż

trzymając broń.

- Nie dotykaj mnie - powiedziała. Cofnęła się; w jego oczach malowało się zaskoczenie, ostrożność, może nawet strach. Boi się?

Dlaczego ktokolwiek miałby się mnie bać? - pomyślała niejasno. Coś mówił; widziała, że poruszają się jego usta, nie mogła jednak rozróżnić słów, był tylko szumem. Prąd, który przedtem ją przebiegł, zanikał; zaczynało kręcić jej się w głowie. I nagle czas trafił na swoje miejsce, zaczął normalnie biec. Zaczęły jej drżeć mięśnie, ścięgna zmieniły się w galaretę. Oparła kolbę muszkietu o podłogę, by nie stracić równowagi. - Co mówiłeś?

Przez twarz przebiegło mu zniecierpliwienie.

- Powiedziałem, że nie mamy czasu do stracenia. Nie słyszałaś, jak mówił, że zapalił lonty?

- Jakie lonty, dlaczego? - Zauważyła, że patrzy na drzwi za nią.

Zanim zdążył się poruszyć, dała krok do tyłu, równocześnie unosząc broń. Instynktownie cofnął się, potknął o ławę, upadł do tyłu i uderzył w przytwierdzone do ściany łańcuchy. Puste okowy zadzwoniły o cegły.

Szok powoli rozpełzał się po jej ciele, ale wspomnienie białego prądu wciąż utrzymywało ją w pozycji pionowej.

- Nie zamierzasz chyba mnie zabić? - Próbował się uśmiechnąć, ale mu się nie udało. W oczach miał panikę. Powiedziała przecież, że łatwiej będzie jej żyć, gdy on umrze.

„Trudno zdobyć wolność, nie jest ona jednak

owocem morderstwa". Miała już zdobytą z trudem wolność i nie zamierzała mu jej oddawać.

- Nie - odparła i mocniej złapała muszkiet, wbijając zdecydowanie kolbę w ramię. - Ale jeśli nie powiesz mi natychmiast, co się, do diabła, dzieje, to przestrzelę ci kolana i tu zostawię.

Poruszył się, przesunął duże ciało, nie spuszczać z niej bladych oczu, próbując wyważyć swoje szanse. Całkowicie zasłaniała sobą drzwi, jej wielka postać nie zostawiała wolnego miejsca. Dostrzegła wątpliwość w jego postawie, ruch ramion, gdy postanowił się na nią rzucić, i odciągnęła kurek z głośnym kliknięciem. Bonnet znajdował się w odległości dwóch metrów od końca lufy. Za daleko, by rzucić się i wyrwać Briannie broń, bo gdy tylko się ruszy, ona naciśnie na spust. Przy takiej odległości nie mogła spudłować, był tego świadom.

Opuścił ramiona.

- W magazynie na górze jest proch strzelniczy - rzucił szybko, ostrym tonem, by jak najszybciej skończyć wyjaśnienia. - Nie potrafię powiedzieć, jak długo to potrwa, ale niedługo wyleci w powietrze z wielkim trzaskiem, więc, na litość boską, wypuść mnie stąd.

- Dlaczego? - Dłonie jej się pociły, ale mocno trzymała broń.

Dziecko poruszyło się, przypominając, że ona też nie ma już czasu do stracenia. Zaryzykuje jednak minutę, by się dowiedzieć. Musiała wiedzieć, bo za nią na podłodze leżało ciało Johna Greya. - Zabiłeś dobrego człowieka, a ja chcę wiedzieć czemu?

Sfrustrowany machnął ręką.

- Szmugiel - wyjaśnił. - Sierżant i ja byliśmy partnerami.

Przywoziłem mu tanią kontrabandę, a on przystawiał na tym znak Korony. On kradł koncesjonowane rzeczy, a ja sprzedawałem je za dobrą cenę i dzieliłem się z nim.

- Mów dalej.

Niemal tańczył z niecierpliwości.

- Ten żołnierz, Hodgepile, domyślił się czegoś i zaczął zadawać pytania. Murchison nie wiedział, czy kogokolwiek o tym poinformował, ale gdy mnie już złapano, niebezpiecznie było czekać.

Sierżant usunął resztę alkoholu z magazynu, podstawił na to miejsce baryłki z terpentyną i rozłożył lonty. Jak wszystko wybuchnie, nikt nie będzie wiedział, że to nie brandy się spaliła. Nie będzie śladów kradzieży. To tyle. To wszystko. A teraz pozwól mi odejść.

- Dobrze. - Opuściła muszkiet o kilka centymetrów, ale jeszcze nie zabezpieczyła. - A co z nim? - Ruchem głowy pokazała nieprzytomnego sierżanta, który zaczynał już parskać i mruzczyć.

Patrzył na nią nierozumiejącym wzrokiem.

- A co ma z nim być?

- Nie zamierzasz go z sobą zabrać?

- Nie. - Przesunął się na bok, szukając drogi obok niej. - Na litość boską, kobieto, pozwól mi wyjść i sama odejść. Nad głowami mamy dwanaście cetnarów smoły i terpentyny, wybuchnie jak bomba.

- Ale on wciąż żyje, nie możemy go tu zostawić.

Bonnet rzucił jej zdenerwowane spojrzenie, przeciął celę dworna krokami, pochylił się, wyszarpnął sztylet z za

pasa sierżanta i przejechał nim zdecydowanie po grubym gardle tuż nad skórzaną kurtką. Strumień krwi zmoczył mu koszulę i ścianę za plecami.

- Już - powiedział, prostując się. - Nie żyje, można go zostawić. - Upuścił sztylet, odsunął ją na bok i wypadł na korytarz. Słyszała jego szybkie, dzwoniące na ceglach kroki.

Drżąc na całym ciele z szoku, zatrzymała się na chwilę nieruchomo, patrząc na ciało Johna Greya. Przeszył ją ból, a macica nagle stwardniała. Ból ustąpił, ale wszystkie mięśnie trwały w skurczu. Żołądek wypuczył się, jakby połknęła piłkę do koszykówki; brakowało jej oddechu, nie była w stanie się ruszyć.

„Nie - pomyślała wyraźnie, zwracając się do dziecka. - Ja jeszcze nie rodzę, ja zdecydowanie, na pewno jeszcze nie rodzę. Zostań na miejscu, teraz nie mam czasu”

Ruszyła czarnym korytarzem, ale zatrzymała się po kilku krokach. Nie, musi sprawdzić, przynajmniej musi się upewnić.

Zawróciła i przyklęła przy ciele Greya. Wyglądał na martwego i przedtem, i teraz; nawet nie drgnął, od kiedy zobaczyła go leżącego na podłodze korytarza. Pochyliła się, nie była jednak w stanie sięgnąć nad wystającym brzuchem. Złapała lorda Johna za ramię i pociągnęła, starając się go odwrócić. Choć drobny i drobnokościsty, był dość ciężki. Przetoczył się ku niej bezwładnie, głowa mu opadła. Serce jej się ścisnęło na widok jego półprzymkniętych oczu, wyciągnęła jednak rękę, by wyszukać puls na szyi. Gdzież on jest? Widziała, jak robiła to matka, mówiąc, że szybciej można znaleźć puls w szyi niż w przegubie. Na próżno. Jak wiele czasu jej zostało, jak długo będzie palić się lont?

Wytarła lepką twarz połą peleryny, usiłując zebrać myśli.

Obejrzała się, by ocenić odległość do schodów. Boże drogi, czy zaryzykuje, nawet bez niego? Sama myśl o wyjściu do magazynu w chwili, gdy wszystko wybuchnie... Rzuciła okiem w górę, pochyliła się znów i raz jeszcze spróbowała znaleźć puls, odchylając lordowi Johnowi głowę do tyłu. Nareszcie! Zobaczyła tę cholerną żyłę pod skórą, tam chyba powinien być puls.

Przez chwilę nie była pewna, czy rzeczywiście go czuje - może to tylko bicie jej własnego serca? Ale nie, był tam - inny rytm, słaby i niestabilny. Lord John być może jest bliski śmierci, ale jeszcze nie umarł.

- Blisko, ale jeszcze nie zgasł - mruknęła pod nosem. Nie czuła wielkiej ulgi, była zbyt przerażona. Teraz musi wyciągnąć także i jego. Podniosła się i pochyliła, by złapać go za ramiona i pociągnąć; zatrzymała się jednak w pół ruchu, bo przez panikę przebiło się wspomnienie tego, na czym przed chwilą spoczyły jej oczy.

Odwróciła się i pospiesznie wróciła do celi. Starając się nie patrzeć na zakrwawione ciało na podłodze, złapała latarnię, zabrała na korytarz i uniosła, by oświetlić niski, ceglany sufit. Tak, miała rację!

Ceglane ściany tworzyły sklepienie, oparte na przęsłach po obu stronach korytarza. Po bokach znajdowały się wejścia do cel i klitek, w których przechowywano towary. Powyżej biegły mocne belki grubości ośmiu cali, nad tym leżała gruba podłoga z desek, a nad deskami - warstwa cegieł, tworząca podłogę magazynu.

Wybuchnie jak bomba - powiedział Bonnet. Ale czy

miął rację?

Terpentyna była łatwopalna, tak samo jak smoła; zapewne wybuchłyby, gdyby płonęły pod wysokim ciśnieniem, ale nie jak bomba. Lonty - w liczbie mnogiej. Zapewne długie lonty, prawdopodobnie prowadzące do niewielkich zbiorniczków z prochem strzelniczym. Tylko takim środkiem wybuchowym dysponowałby Murchison, przecież w tych czasach nie ma prawdziwych środków wybuchowych. A zatem proch wybuchnie w kilku miejscach, a od wybuchu zapalą się stojące wokół beczki. Jednak beczki palą się powoli. Widziała u Sinclaira takie jak te tutaj - klepki były grube na pół cala i odporne na wodę. Przypomniała sobie smród, który panował w magazynie; Murchison zapewne otworzył kilka beczek i wylał nieco terpentyny, by ogień się szybciej rozprzestrzenił. Beczki zatem będą się palić, ale raczej nie wybuchną, a jeśli tak, to nie wszystkie naraz. Brianna czuła, że podczas tych obliczeń zaczyna oddychać spokojniej. To nie będzie jedna bomba, raczej ciąg niewielkich petard.

Zaczerpnęła powietrza, ile tylko mogła, i położyła dłonie na brzuchu, czując, że pędzące tętno zwalnia. Nawet jeśli wybuchnie jakaś część beczek, to siła eksplozji skieruje się na zewnątrz i w górę, przez cienkie ściany z desek i dach. Niewiele siły uderzy w podłogę.

Wyciągnęła rękę w górę i pchnęła belkę, by uspokoić się co do jej wytrzymałości. Nagle usiadła na podłodze w kręgu spódnic.

- Chyba będzie dobrze - szepnęła, niepewna, czy mówi do Johna, dziecka czy siebie samej.

Przez chwilę siedziała, dygocząc z ulgi, potem

niezręcznie znów przetoczyła się na kolana i drżącymi palcami zaczęła udzielać pierwszej pomocy. Próbowwała właśnie oderwać pas materiału przy obrębie halki, gdy usłyszała kroki. Zbliżyły się szybko, niemal biegly; odwróciła się ku schodom, ale nie - dochodziły z innego kierunku, zza jej pleców. Okręciła się i zobaczyła Stephena Bonneta wynurzającego się z ciemności.

- Biegnij! - krzyknął do niej. - Na rany Chrystusa, dlaczego nie ruszyłeś się z miejsca?

- Bo tu jest bezpiecznie - powiedziała, pochylając się po muszkiet, który przedtem położyła na podłodze koło ciała lorda Johna.

Teraz uniosła go do ramienia. - Odejdź.

Wpatrywał się w nią z otwartymi ustami.

- Bezpiecznie? Kobieto, jesteś szalona! Czy nie słyszałaś...

- Słyszałam, ale nie masz racji. A jeśli nawet, to tu na dole i tak będzie bezpiecznie.

- Wcale nie! Słodki Jezu, nawet jeśli piwnica się nie zapadnie, co się stanie, gdy ogień przepali podłogę?

- Nie może, bo podłoga jest z cegły. - Pokazała sklepienie ruchem głowy, nie odrywając jednak wzroku od Bonneta.

- Tutaj tak, ale z przodu przy rzece to drewno, tak samo jak nabrzeże. Przepali się, potem zapadnie i co wtedy będzie? Co z tego, że sufit wytrzyma, gdy piwnica wypełni się dymem, a ty się udusisz?

Znów poczuła nudności.

- To jest otwarte? Piwnica nie jest zamknięta, drugi koniec korytarza jest otwarty? - Już wypowiadając te słowa,

wiedziała, że oczywiście musi być, przecież pobiegł w tamtym kierunku, ku rzece, nie ku schodom.

- Tak! A teraz chodź! - Rzucił się do przodu, sięgając po jej rękę.

Ona jednak szarpnęła się w tył, oparła o ścianę i wycelowała w niego broń.

- Nie wyjdę bez niego. - Oblizła suche wargi i wskazała podłogę.

- On jest martwy!

- Nie jest, podnieś go!

Na twarzy Bonneta odmalowała się niezwykła mieszanka uczuć: przede wszystkim wściekłości i zdumienia.

- Podnieś go - powtórzyła zdecydowanie. Stał nieruchomo, wpatrując się w nią, ale w końcu pochylił się, objął bezwładne ciało Johna Greya, dźwignął go i przerzucił sobie przez ramię.

- No to teraz już chodź! - ponaglił i nie oglądając się więcej, ruszył w ciemność. Zawahała się na moment, ale chwyciła latarnię i poszła za nim.

Piętnaście metrów dalej poczuła dym. Ceglany korytarz nie biegł prosto, rozwidłał się i zakręcał, obiegając całą piwnicę. Cały czas jednak podłoga była lekko pochyła, schodziła najwyraźniej na poziom brzegu rzeki. Gdy tak skręcali, schodząc coraz niżej, zapach dymu stawał się wyraźniejszy. W świetle latarni widziała smugi cierpkiej mgiełki. Wstrzymała oddech, by nie wdychać tego powietrza. Mimo ciężaru Greya Bonnet szedł szybko. Obciążona muszkietem i latarnią, z trudem dotrzymywała mu kroku, jednak nie potrafiła się jeszcze zdecydować, by

coś zostawić. Brzuch znów jej stwardniał, dodatkowo utrudniając oddychanie.

- Jeszcze nie, powiedziałam - mruknęła przez zaciśnięte zęby.

Musiała się na chwilę zatrzymać. Bonnet zniknął gdzieś w dymie, najwyraźniej jednak zauważył, że światło latarni przygasło, bo usłyszała, jak krzyczy gdzieś z przodu.

- Kobieto! Brianna!

- Idę! - Pospieszyła, chwiejąc się. Dym gęstniał, gdzieś w oddali słyszała słabe trzaski ognia - może nad głową, może przed nimi.

Mimo dymu oddychała ciężko. Po chwili poczuła zapach wody, wilgoci i błota, martwych liści i świeżego powietrza. Te zapachy jak nóż przecinały brzeg rzeki. Było widno jak w dzień. Uniosła lekko muskiet, z palcem na spuście. Bonnet był od niej nie dalej niż dwadzieścia metrów, trafiłaby go bez trudu. „Nie z twojej ręki”.

Opuściła broń i pozwoliła mu odejść.

Teraz płonął już cały magazyn. Gorący powiew od ognia rozwiewał jej włosy i ogrzewał policzki. „W górze rzeki czeka na mnie statek” - powiedział. Przymrużyła oczy; ogień wypełniał niemal całą rzekę wielką plamą, rozjarzoną od brzegu do brzegu. Nic nie przedostanie się przez tę oślepiającą ścianę światła.

W drugiej ręce wciąż trzymała to, co jej dał. Otworzyła dłoń i spojrzała na mokry, czarny diament, na szlifach odbijający ogień krwawą czerwienią.

63. Wybaczenie

River Run, maj 1770

- To najbardziej uparta kobieta, jaką znam. - Brianna

wpłynęła do pokoju jak statek pod pełnymi żaglami i opadła na fotel przy łóżku.

Lord John Grey otworzył jedno przekrwione oko. Głowę spowijał mu turban z bandaży.

- Pani ciotka?

- Któż by inny.

- Ma pani chyba lustro w pokoju? - Uśmiechnął się; po chwili niechętnego milczenia ona także odpowiedziała uśmiechem.

- Chodzi o ten jej cholerny testament. Powiedziałam jej, że nie życzę sobie River Run, nie mogę posiadać niewolników, ale ona nie chce go zmienić. Uśmiecha się tylko, jakbym była sześciolatką, która ma napad złości, i mówi, że gdy do tego dojdzie, będę się cieszyć.

Cieszyć się - parsknęła i usadziła wygodniej. - I co ja mam z tym zrobić?

- Nic.

- Nic? - Zwróciła się ku niemu, wyraźnie niezadowolona z tej odpowiedzi. - Jak mogę nic nie robić?

- Po pierwsze, nie zdziwiłoby mnie, gdyby pani ciotka okazała się nieśmiertelna. Znam kilka okazów tej konkretnej rasy Szkotów.

Jednakże - machnął ręką lekceważąco - gdyby jednak nie okazało się to prawdą i gdyby nadal łudziła się, że będzie pani dobrą właścicielką River Run...

- A czemu pan sądzi, że nie byłabym? - przerwała mu, dotknęta do żywego.

- Nie można prowadzić tak wielkiej plantacji bez niewolników, a pani odmawia posiadania ich, kierując się sumieniem - a w każdym razie tak zrozumiałem, choć nie

widziałem kogoś mniej podobnego do kwakra. - Zmrużył oko i wskazał ogromny namiot purpurowego muślinu, który spowijał jej wielkie ciało. - Wracając zaś do istoty sprawy, to gdyby się okazało, że została pani wbrew swojej woli właścicielką iluś tam niewolników, niewątpliwie można to tak załatwić, by ich wyzwolić.

- Nie w Karolinie Północnej. Zgromadzenie...

- Nie, nie w Karolinie Północnej - zgodził się cierpliwie. - Gdyby się jednak zdarzyło, że zostałyby pani właścicielką niewolników, po prostu sprzeda ich pani mnie.

- Ale to...

- A ja zabiorę ich do Wirginii, gdzie prawa dotyczące wyzwolenia są znacznie mniej przestrzegane. Gdy zostaną uwolnieni, zwróci mi pani pieniądze. Wówczas będzie już pani kompletnie zrujnowana, wyzbyta wszelkiej własności, co - jak mi się wydaje - jest pani głównym celem. Oczywiście oprócz niedopuszczenia do jakiegokolwiek szczęścia osobistego przez upieranie się, że nie może pani wyjść za mąż za mężczyznę, którego pani kocha.

Szarpała palcami muślinową suknię, wpatrując się w wielki szafir lśniący na jej palcu.

- Obiecałam, że najpierw go wysłucham. - Spojrzała na lorda Johna kątem oka. - Choć wciąż uważam, że to uczuciowy szantaż.

- Znacznie skuteczniejszy niż wszelki inny rodzaj szantażu.

Niemal warto było dać rozwalić sobie głowę, by w końcu wziąć górę nad jakimś Fraserem.

- I powiedziałam tylko, że go wysłucham. Wciąż

uważam, że gdy się dowie wszystkiego, to on... że nie będzie mógł... - Położyła dłoń na ogromnym brzuchu. - Nie mógłby pan, prawda? Kochać, tak naprawdę kochać dziecka, które nie byłoby pana?

Przesunął się wyżej na poduszkach, krzywiąc się lekko.

- Z miłości do jednego z rodziców, chyba mógłbym.
- Otworzył oczy i spojrzał na nią, uśmiechając się. - Co więcej, mam wrażenie, że właśnie to robię od pewnego czasu.

To ją najwyraźniej zaskoczyło, po chwili jednak jej twarz i szyję pokrył rumieniec. Wyglądała absolutnie uroczo.

- Mówi pan o mnie? No tak, ale ja... to znaczy... nie jestem dzieckiem i nie musi pan uznawać mnie za swoją. - Spojrzała na niego szeroko otwartymi niebieskimi oczyma. - Poza tym miałam nadzieję, że nie było to tylko ze względu na mojego ojca.

Przez chwilę milczał, potem ujął jej dłoń i uściśnął.

- Nie, nie było - przyznał nieco niechętnie. Puścił ją, jęknął i ułożył się wygodnie.

- Czy gorzej się pan czuje? - spytała niespokojnie. - Może coś przyniosę, może herbaty, jakiś okład?

- Nie, to tylko ten okropny ból głowy - odparł. - Światło sprawia, że bolą mnie oczy. - Zamknął je znowu. - Proszę mi powiedzieć, dlaczego jest pani tak przekonana, że mężczyzna nie może kochać dziecka, które nie jest owocem jego lędźwi? - spytał, nie otwierając oczu. - W gruncie rzeczy, moja droga, nie mówiłem o pani, gdy stwierdziłem, że sam to robię. Mój syn - mój pasierb - jest w

rzeczywistości synem siostry mojej zmarłej żony. Na skutek tragicznego wypadku jego rodzice zmarli, jedno w dzień po drugim, moja żona Isobel i jej rodzice zaś wychowywali dziecko od niemowlęctwa. Gdy Willy miał jakieś sześć lat, ożeniłem się z Isobel, więc - jak pani widzi - nie ma między nami żadnych więzów krwi. A jednak gdyby ktoś kwestionował moje uczucie do niego albo powiedział, że nie jest moim synem, natychmiast bym go wyzwał.

- Rozumiem. - Milczała przez chwilę. - Tego nie wiedziałam. - Otworzył lekko oczy; wciąż okręcała w zamyśleniu pierścień na palcu. - Wydaje mi się... - zaczęła i spojrzała na niego - wydaje mi się, że martwię się nie tyle o Rogera i dziecko... Jeśli mam być szczerą...

- Niech Bóg broni, by miało być inaczej.

- Jeśli mam być szczerą - mówiła dalej, rzucając mu niechętnie spojrzenie - wydaje mi się, że bardziej się boję, jak to będzie między nami. Między Rogerem a mną. - Zawahała się, ale mówiła dalej. - Gdy dorastałam, nie wiedziałam, że moim ojcem jest Jamie Fraser - ciągnęła. - Po powstaniu moi rodzice zostali rozdzieleni. Każde z nich było przekonane, że to drugie nie żyje. Moja matka ponownie wyszła za męża. Uważałam Franka Randalla za swego ojca. Dopiero po jego śmierci dowiedziałam się, że tak nie było.

- Aha - spojrzał na nią z nowym zainteresowaniem. - Czy ten Randall źle panią traktował?

- Nie, był cudowny! - Głos się jej załamał. - Był najlepszym ojcem, jakiego mogłam sobie wymarzyć. Chodzi tylko o to, że myślałam, iż moi rodzice to dobre małżeństwo. Darzyli się uczuciem, szanowali się, więc

uważałam, że wszystko jest jak należy.

Lord John podrapał się w bandaż. Lekarz ogolił mu głowę, co nie tylko uraziło jego próżność, ale i okropnie teraz swędziało.

- Nie widzę tu odniesienia do pani obecnej sytuacji. Westchnęła ciężko.

- Potem mój ojciec zmarł, my zaś odkryliśmy, że Jamie Fraser wciąż żyje. Matka udała się do niego, ja przyjechałam jakiś czas później. I okazało się, że jest inaczej. Zobaczyłam, jak na siebie patrzą. Nigdy nie widziałam, by tak patrzyła na Franka Randalla - ani on na nią.

- Ach tak. - Przeniknął go smutek. Raz czy dwa widział to spojrzenie. Za pierwszym razem nade wszystko pragnął wbić nóż w serce Claire Randall. - Czy wie pani, jakie to jest rzadkie? - spytał cicho. - Ten szczególny rodzaj wzajemnej namiętności? - Jednostronna namiętność była dość częsta.

- Tak. - Obróciła się nieco, wyciągnęła ramię na oparciu fotela i przez weneckie okna wyjrzała na dwór, na rozkwitłe już wiosennymi kwiatami rabaty. - Chodzi o to, że wydaje mi się, iż to miałam - powiedziała jeszcze ciszej. - Przez chwilę, przez bardzo krótką chwilę.

- Odwróciła głowę i spojrzała na niego czystymi oczyma, które pozwoliły mu zajrzeć w głąb jej duszy. - Jeśli to straciłam, to trudno, mogę żyć z tym - albo bez tego. Ale nie chcę żyć z imitacją. Tego bym nie zniosła.

- Wygląda na to, że mnie pan dostanie, czy pan chce, czy nie. - Brianna postawiła mu na kolanach tacę ze śniadaniem i padła ciężko na fotel, aż jęknął.

- Nie drażnij chorego człowieka, moja droga - powiedział, wgrzając się w grzankę. - Co pani ma na myśli?

- Druzus właśnie przybiegł do kuchni, mówiąc, że widział dwóch jeźdźców na polach Campbella. Jest pewien, iż jeden z nich to mój ojciec. Powiedział, że to wysoki mężczyzna o rudych włosach. Bóg jeden wie, nie ma takich wielu.

- Nie ma wielu, to prawda. - Uśmiechnął się lekko, przyglądając jej się uważnie. - Dwóch jeźdźców?

- To musi być tato i moja matka. Zatem nie znaleźli Rogera. Albo znaleźli, a on nie chciał wrócić. - Okręciła wielki szafir na palcu. - Dobrze, że mam inną opcję, prawda?

Lord John zamrugał i czym prędzej przełknął to, co miał w ustach.

- Jeśli wypowiadając te niezwykle słowa, chce mnie pani poinformować, że zamierza jednak wyjść za mnie za mąż, to zapewniam...

- Nie, tylko żartowałam. - Uśmiechnęła się słabo.

- Och, to dobrze. - Napił się herbaty, przymykając oczy, by pełniej rozkoszować się pachnącą parą. - Dwóch jeźdźców. A czy nie towarzyszył im pani kuzyn?

- Tak, towarzyszył - powiedziała powoli. - Boże, mam nadzieję, że Ianowi nic się nie stało.

- Może się okazać, że w podróży napotkali różne trudności, które zmusiły pani kuzyna i pani matkę do podróży osobno, nie razem z pani ojcem i panem MacKenziem. Albo pani kuzyna i pana MacKenziego, by jechali za pani rodzicami. - Machnął ręką, obejmując tym

gestem liczne możliwości.

- Chyba ma pan rację. - Wciąż wydawała się przybita, a lord John podejrzewał, że nie bez przyczyny. Uspokajające wyjaśnienia sprawdzają się na krótszą metę, ale na dłuższą prawdopodobnie górę wezmą te bardziej niepokojące. Zresztą - ktokolwiek przybędzie z Jamiem Fraserem - wkrótce uzyskają odpowiedzi na wszystkie pytania.

Odsunął niedokończone śniadanie i opadł na poduszki.

- Proszę mi powiedzieć, jak głębokie są pani wyrzuty sumienia z powodu tego, że mało nie zginąłem?

Zarumieniała się i wyglądała na zmieszaną.

- Co pan ma na myśli?

- Jeśli poproszę o coś, na co nie ma pani ochoty, czy poczucie winy skłoni panią, by to jednak zrobić?

- Och, znów szantaż. O co chodzi? - spytała ostrożnie.

- Proszę wybaczyć swemu ojcu. Bez względu na to, co się stało.

Na skutek ciąży jej cera stała się delikatniejsza. Wszystkie emocje natychmiast wpływały na zmianę koloru jej brzoskwiowej skóry.

Wydawało się, że było dotknięcie zostawi ślad. Wyciągnął dłoń i bardzo delikatnie dotknął jej policzka.

- Nie tylko dla niego, ale także i dla pani samej - powiedział.

- Już mu wybaczyłam. - Spuściła wzrok, zakrywając rzęsami oczy. Dłonie spoczęły nieruchomo na kolanach, na palcu lśnił niebieskim ogniem szafir.

Przez otwarte weneckie okna wyraźnie usłyszeli odgłos kopyt na zwirowanym podjeździe.

- To pójdź, moja droga, i powiedz mu o tym.

Wydęła wargi i skinęła głową. Bez słowa wstała i wypłynęła przez drzwi jak burzowa chmura, znikając za horyzontem.

- Gdy usłyszeliśmy o dwóch jeźdźcach, a jednym z nich niewątpliwie był Jamie, obawialiśmy się, że coś przytrafiło się jego siostrzeńcowi albo MacKenziem. Nikomu natomiast nie przyszło do głowy, że coś mogło przydarzyć się pani.

- Jestem nieśmiertelna - mruknęła, zaglądając mu kolejno do oczu. - Nie wiedział pan? - Zdjęła mu z powiek kciuki, on zaś zamrugał, choć wciąż czuł jej dotyk.

- Jedna źrenica jest lekko powiększona, ale bardzo lekko. Proszę mnie złapać za rękę i ścisnąć, jak pan może najmocniej. - Wyciągnęła palce wskazujące, a on zrobił, jak mu kazała, zły na siebie, że jest taki słaby.

- Czy znaleźliście MacKenziego? - Złość pod własnym adresem pogłębiał fakt, że nie potrafił powstrzymać ciekawości.

Rzuciła mu szybkie, ostrożne spojrzenie i znów zajęła się jego dłońmi.

- Tak. Przybędzie nieco później.

- Czy rzeczywiście? - Dotarł do niej ton tego pytania. Zawahała się i spojrzała na niego wprost.

- Ile pan wie?

- Wszystko - oświadczył i z satysfakcją zauważył, że ją zaskoczył. Potem jednak uśmiechnęła się lekko.

- Wszystko?

- Dosyć - poprawił się. - Dosyć, by wiedzieć, że pani słowa o powrocie pana MacKenziego mogą być pewnością albo pobożnym życzeniem.

- Nazwijmy to wiarą. - Nie pytając go o pozwolenie, rozwiązała mu sznurki koszuli nocnej i rozsunęła ją, odsłaniając mu pierś.

Zgrabnie zwinęła arkusz pergaminu w rolkę, jeden koniec przytknęła mu do torsu, do drugiego przysunęła ucho.

- Zaraz, przepraszam bardzo, zaraz!

- Cicho, nie słyszę - powiedziała, jedną ręką wykonując uciszające ruchy. Przesuwała rolkę w różne miejsca na jego piersi, od czasu do czasu zatrzymując się, by go postukać albo wymacać wątrobę. - Czy miał pan dzisiaj stolec? - spytała, naciskając mu brzuch.

- Odmawiam odpowiedzi. - Z godnością ściągnął z powrotem poły koszuli.

Wyglądała dziś jeszcze bardziej oszałamiająco niż zazwyczaj. Ta kobieta musi być już dobrze po czterdziestce, a jednak jej wiek zdradzała jedynie siateczka zmarszczek w kącikach oczu i srebrne pasma w ogromnej burzy włosów. Była szczuplejsza, niż pamiętał, choć trudno było osądzić jej figurę, miała bowiem na sobie barbarzyńską skórzaną koszulę i spodnie. Wyraźnie było widać, że przez pewien czas przebywała na słońcu i świeżym powietrzu. Twarz i dłonie pokrywała delikatnie brązowa skóra, w której jej wielkie, złote oczy wyglądały jeszcze bardziej zaskakująco.

- Brianna mówi, że doktor Fentiman dokonał na panu trepanacji czaszki. Poruszył się niezręcznie pod przykryciem.

- Tak mi powiedziano, niestety wówczas nie byłem tego świadomy.

Wykrzywiła lekko usta.

- To dobrze. Czy ma pan coś przeciwko temu, bym się przyjrzała? To tylko ciekawość - mówiła z niezwykłą jak na siebie delikatnością - a nie medyczna konieczność. Po prostu nigdy nie widziałam trepanacji.

Zamknął oczy i poddał się.

- Nie mam przed panią sekretów, poza stanem moich jelit. - Pochylił głowę, wskazując miejsce, gdzie miał dziurę w głowie.

Poczuł jej chłodne palce pod bandażem. Uniosła gazę, a jego rozgrzaną głowę przez chwilę owiało chłodne powietrze.

- Brianna jest ze swoim ojcem? - spytał, nie otwierając oczu.

- Tak. Powiedziała mi... nam... co pan dla niej zrobił. Dziękuję.

Poczuł, że nie dotyka już jego skóry, i otworzył oczy.

- To była przyjemność, że mogłem być dla niej pożyteczny.

Mimo rozbitej czaszki.

Uśmiechnęła się słabo.

- Jamie niedługo przyjdzie pana odwiedzić. Teraz rozmawia z Brianną w ogrodzie.

Poczuł ukłucie niepokoju.

- Czy się pogodzili?

- Niech pan sam zobaczy. - Wsunęła mu ramię za plecy i podniosła go, z siłą zdumiewającą w kobiecie o tak

drobnych kościach. Między tralkami balustrady zobaczył w ogrodzie dwie postaci, nachylone ku sobie. Na jego oczach objęły się, następnie odsunęły, śmiejąc się z niewygody spowodowanej kształtem Brianny.

- Wydaje mi się, że wróciliśmy akurat na czas - mruknęła Claire, patrząc na córkę doświadczonego okiem. - To już niedługo.

- Przyznaję, iż jestem wdzięczny, że już przybyliście - rzekł, pozwalając jej opuścić się na poduszki i wygładzić pościel. - Z trudem przyszło mi przeżyć doświadczenie niańczenia pani córki. Obawiam się, że rola akuszerki wykończyłaby mnie całkowicie.

- Och, o mało nie zapomniałam. - Claire sięgnęła do obrzydliwej skórzanej sakiewki, którą nosiła zawieszoną na szyi. - Brianna prosiła, bym to panu oddała. Powiedziała, że nie będzie jej już potrzebny.

Wyciągnął dłoń, na którą spadła jasna, niebieska iskra.

- Dostałem kosza, na Boga - powiedział i roześmiał się.

64. Koniec dziewiątego

- To jak baseball - zapewniłam ją. - Długie chwile nudy, przerywane krótkimi okresami intensywnej aktywności.

Roześmiała się, ale zaraz skrzywiła się boleśnie.

- Oj, no tak, intensywnej. Rany! - Uśmiechnęła się nieco krzywo.

- Ale podczas meczu baseballowego przynajmniej w tych nudnych chwilach pijesz piwo i jesz hot dogi.

Jamie, który wychwycił tylko tę część rozmowy,

którą rozumiał, pochylił się ku niej.

- Jest mała beczułka piwa w spiżarni - powiedział, przyglądając się Briannie niespokojnie. - Czy mam ją przynieść?

- Nie, chyba że ty chcesz - odparłam. - Alkohol nie byłby dobry dla dziecka.

- Aha, a co z gorącym psem? - Wstał i rozprostował ręce, najwyraźniej gotów wypaść na dwór i jakiegoś zastrzelić.

- To rodzaj serdelka w bułce - wyjaśniłam, pocierając górną wargę, by się nie roześmiać. Spojrzałam na Briannę. - Nie sądzę, by miała na to ochotę. - Na jej szerokim czole nagle pojawiły się drobne kropelki potu. Wyraźnie zbladła.

- Ojjoj - powiedziała słabo.

Prawidłowo interpretując te słowa z wyrazu jej twarzy, Jamie pospiesznie wytarł jej twarz i szyję wilgotną ściereczką.

- Włóż głowę między kolana, dziewczyno. Spojrzała na niego niechętnie.

- Nie jestem w stanie... schylić głowy... nawet w pobliże kolan - wycodziła przez zaciśnięte zęby. Gdy skurcz zelzał, odetchnęła głęboko, a na twarz wróciły jej kolory.

Jamie przeniósł wzrok z Brianny na mnie i z niepokojem zmarszczył brwi. Zrobił krok ku drzwiom.

- To chyba lepiej pójdę, jeśli wy...

- Nie zostawiaj mnie!

- Ale to... to znaczy, masz tu matkę i...

- Nie zostawiaj mnie - powtórzyła niespokojnie, pochyliła się i złapała go za ramię, potrząsając dla

podkreślenia swoich słów. - Nie, nie możesz! Powiedziałeś, że nie umrę. - Wpatrywała mu się w twarz.

- Jeśli zostaniesz, wszystko będzie dobrze, nie umrę - mówiła tak nagłoco, że kiszki zwinęły mi się w skurczu strachu, niemal tak bolesnym jak skurcz porodowy.

Była dużą dziewczyną, silną i zdrową. Nie powinna mieć kłopotów przy porodzie. Ja jednak też byłam dość duża i zdrowa, a jednak dwadzieścia pięć lat wcześniej straciłam dziecko, które urodziło się martwe w szóstym miesiącu ciąży. Sama wówczas mało nie umarłam. Być może zdołam ochronić ją przed gorączką połogową, nie dysponowałam jednak niczym, by ratować ją w razie nagłego krwotoku. W tych warunkach mogłam jedynie próbować uratować dziecko przez cesarskie cięcie. Starłam się nie patrzeć na kuferek, w którym leżały sterylne ostrza, przygotowane na wszelki wypadek.

- Nie umrzesz, Bree - powiedziałam. Starłam się, by mój głos brzmiał kojąco. Położyłam jej dłoń na ramieniu, musiała jednak wyczuć mój strach pod profesjonalną fasadą. Skrzywiła buzię i złapała mnie za rękę tak mocno, że poczułam, jak kości trą jedna o drugą.

Zamknęła oczy i oddychała przez nos, lecz nie krzyczała. Po chwili spojrzała wprost na mnie, ale tak rozszerzonymi źrenicami, że wydawało się, iż patrzy gdzieś daleko w przyszłość, którą tylko ona może dostrzec.

- Jeśli jednak... - zaczęła, kładąc dłoń na wielkim brzuchu.

Poruszała ustami, ale słowa nie wychodziły. Nagle wstała i oparła się ciężko o Jamiego, chowając twarz na jego ramieniu i powtarzając: - Tato, nie zostawiaj mnie.

- Nie zostawię cię, a leannan, nie bój się, zostanę z tobą. - Objął ją ramieniem i spojrzał na mnie bezradnie.

- Oprowadź ją - poprosiłam Jamiego, widząc jej niepokój. - Jak konia z kolką - dodałam, bo najwyraźniej nie wiedział, o co mi chodzi.

To doprowadziło ją do śmiechu. Wyglądając jak człowiek podchodzący do uzbrojonej bomby, Jamie objął ją niepewnie i powoli poprowadził wokół pokoju. Biorąc pod uwagę wzrost ich obojga, rzeczywiście dudniło, jakby ktoś prowadził konia.

- Wszystko w porządku? - zapytał.

- Powiem ci, gdy nie będzie - zapewniła go.

Jak na połowę maja było ciepło. Otworzyłam okna; pokój wypełniły zapachy floksów i kolombiny, wymieszane z chłodnym, wilgotnym powietrzem znad rzeki. W domu wyczuwało się oczekiwanie, niecierpliwość z nutą strachu. Jokasta chodziła tam i z powrotem po tarasie na dole, zbyt zdenerwowana, by usiedzieć na miejscu. Betty co kilka minut wsuwała głowę i pytała, czy czegoś nie potrzebujemy. Fedra przyniosła ze spiżarni dzbanek świeżej maślanki, na wszelki wypadek. Brianna, zapatrzona w głąb siebie, pokręciła tylko głową, ja wypiłam jednak szklaneczkę, cały czas sprawdzając, czy jestem przygotowana na wszelką ewentualność.

Przy normalnym porodzie właściwie nie ma tak wiele do zrobienia. Jeśli poród nie jest normalny, też w gruncie rzeczy niewiele da się zrobić. Z łóżka zdjęto pościel i położono jakieś stare kołdry, by je ochronić. Obok czekał stosik czystych ręczników, dzbanek z gorącą wodą (co pół godziny odświeżaną, z wielkiego garnka w kuchni), chłodna

woda do popijania i zwilżania czoła, niewielka buteleczka oliwy do natarcia, mój zestaw do szycia, na wszelki wypadek - a poza tym wszystko zależało od Brianny.

Po mniej więcej godzinie chodzenia zatrzymała się nagle pośrodku pokoju, ściskając Jamiego za ramię i oddychając przez nos jak koń, który ma za sobą długi galop.

- Chcę się położyć - powiedziała.

Fedra i ja zdjęłyśmy jej suknię i pomogłyśmy położyć się na łóżku w samej koszuli. Dotknęłam dłońmi okrągłego brzucha, myśląc, jakim cudem jest to, co się stało, i to, co za chwilę ma się stać. Skurcz, który usztywnił jej mięśnie, minął. Pod cienkim, rozciągniętym okryciem ze skóry i mięśni mogłam już wymacać kształt dziecka.

Było duże, to wiedziałam, ale najwyraźniej dobrze ułożone, z głową w dół. Szykując się do przyjścia na świat, dzieci zazwyczaj zachowują się spokojnie, zaniepokojone zamieszczeniem wokół nich. Ten malec się wiercił; poczułam mały łokieć, naciskający moją dłoń.

- Tato. - Brianna wyciągnęła na ślepo rękę, bo niespodziewanie złapał ją skurcz. Jamie rzucił się do przodu i chwycił jej dłoń, ściskając mocno.

- Jestem tu, a bheanachd, jestem tu.

Oddychała ciężko, twarz miała czerwoną, po chwili rozluźniła się i przelknęła.

- Jak długo jeszcze? - spytała. Zwrócona była ku mnie, ale nie patrzyła na mnie. Nie patrzyła na nic - tylko w głąb siebie.

- Nie wiem, ale chyba już nie bardzo długo, tak mi się wydaje. - Skurcze przychodziły mniej więcej co pięć minut, wiedziałam jednak, że ten etap może trwać bardzo

długo albo nagle przyspieszyć. Nie było tu żadnej prawidłowości.

Od okna wiała lekka bryza, Brianna jednak pokryta była potem.

Znów otarłam jej twarz i kark, pomasowałam ramiona.

- Świetnie sobie radzisz, kochanie - mruknęłam do niej. - Naprawdę świetnie. - Spojrzałam na Jamiego i uśmiechnęłam się.

Dzielnie starał się odpowiedzieć mi uśmiechem. On też był zlany potem, ale twarz miał białą, nie czerwoną.

- Mów do mnie, tato - poprosiła nagle.

- Och - spojrzał na mnie bezradnie - co mam mówić?

- To nie ma znaczenia - odparłam. - Coś jej opowiedz, cokolwiek, by miała czym zająć myśli.

- Aha... czy słyszałaś historię o... Habetrot, tkacze?

- W odpowiedzi Brianna tylko stęknęła. Jamie miał niepewną minę, ale i tak rozpoczął. - No więc w pewnym starym domu w gospodarstwie nad rzeką mieszkała piękna dziewczyna imieniem Maisie. Miała czerwone włosy i niebieskie oczy i była najładniejszą dziewczyną w całej dolinie. Nie miała jednak męża, bo... - przerwał, skonfundowany.

Rzuciłam mu niechętne spojrzenie. Zakaszłał i opowiadał dalej, najwyraźniej nie wiedząc, co innego mógłby zrobić. - Ponieważ w tamtych czasach mężczyźni byli rozsądni i zamiast szukać na żonę ślicznych dziewczyn, szukali dziewczyn, które umiały gotować, tkąć i prowadzić dom. Natomiast Maisie...

Brianna wydała z siebie głęboki, nieludzki dźwięk.

Jamie na moment zacisnął zęby, ale mówił dalej, mocno trzymając obie jej ręce.

- Maisie lubiła brzask na polach i ptaki w zagajnikach... - Światło w pokoju stopniowo ciemniało, a zapach rozgrzanych słońcem kwiatów zastąpił wilgotny, zielony zapach wierzb znad rzeki i słaby aromat dymu z kuchni.

Przemoczona zupełnie koszula Brianny przykleiła jej się do skóry. Wbiłam jej kciuki w plecy tuż nad biodrami, ona zaś zaczęła się wiercić, starając się nieco rozluźnić. Jamie siedział z pochyloną głową, trzymając ją za ręce i wciąż mówiąc kojącym głosem, opowiadając historie o elfach, wielorybnikach, o dudziarzach i olbrzymach z Fingal's Cave, a także o czarnym koniu diabła, który przecina powietrze szybciej niż myśl między mężczyzną a dziewczyną. Skurcze przychodziły jeden po drugim. Machnąłam ręką ku Fedrze, która pobiegła po płonąca świeczkę, z której zapaliła wszystkie świece w pokoju. Było chłodno, panował półmrok, a na ścianach tańczyły cienie. Jamie zachrypl. Brianna niemal nie miała sił, by się odzywać. Nagle puściła jego ręce i usiadła, łapiąc się za kolana, z twarzą czerwoną z wysiłku, prąc.

- Dobrze, dobrze - powiedziałam. Szybko wsunęłam jej za plecy poduszki i kazałam odchylić się do tyłu. Wezwałam Fedrę, by trzymała mi w górze świecznik, potarłam palce oliwą, wsunęłam dłonie pod koszulę Brianny i dotknęłam ciała, którego nie dotykałam, od kiedy ona sama była dzieckiem. Masowałam powoli, delikatnie, mówiąc do niej, wiedząc, że to, co mówię, nie ma znaczenia. Pod palcami czułam napięcie - nagłą zmianę -

rozluźnienie - potem kolejny skurcz. Nagle popłynęły wody płodowe, rozlały się przez łóżko i skapywały na podłogę, wypełniając pokój odorem martwej wody. Masowałam i naciskałam, modląc się, by nie było za szybko, by jej nie rozdarło. Krąg jej ciała nagle się otworzył, a moje palce dotknęły czegoś mokrego i twardego. Rozluźnienie - i to coś cofnęło się, ale opuszki moich palców wiedziały, że dotknęły czegoś całkiem nowego. Raz jeszcze - wielki nacisk - naciągnięcie - i raz jeszcze rozluźnienie. Podciągnęłam jej koszulę - i przy następnym parciu krąg ciała rozciągnął się niemożliwie szeroko i wysunęła się przez niego głowa, obmyta wodami płodowymi i krwią. Tuż przed moim nosem pojawiła się woskowobiała twarzyczka wielkości pięści, która zmarszczyła się ku mnie z wściekłością.

- I co, czy to chłopiec? - Chrapliwe pytanie Jamiego przecięło moje zaskoczenie.

- Mam nadzieję - powiedziałam, pospiesznie usuwając mu śluz z nosa i ust. - Jest najbrzydszym stworzeniem, jakie kiedykolwiek widziałam. Niech Bóg ma je w swej opiece, jeśli to dziewczyna.

Brianna wydała dźwięk, który zapewne zaczął się jako śmiech, ale zmienił w stęknienie wysiłku. Ledwo miałam czas, by wsunąć palce i lekko obrócić szerokie ramionka. Rozległo się wyraźne „pop” - i długie, mokre ciało wysunęło się na przemoczoną koldrę, wierząc się jak wyrzucony na brzeg pstrąg. Złapałam czysty, lniany ręcznik i owinęłam go - był to niewątpliwie chłopiec, z okrągłą, purpurową moszną między grubymi udami. Szybko sprawdziłam według skali Apgar - oddychanie, kolor skóry,

reakcje - wszystko w porządku.

Wydawał z siebie cienkie, gniewne okrzyki, łapał powietrze, właściwie nie płacząc, tylko bijąc wokół zaciśniętymi, drobnymi piąstkami.

Położyłam go na łóżku, przytrzymując jedną ręką, i sprawdziłam, co z Brianną. Miała uda pomazane krwią, ale nie widziałam śladów krwotoku. Pępowina wciąż pulsowała - gruby, mokry wąż, łączący ich dwoje. Brianna oddychała ciężko, oparta o pomięte poduszki. Włosy przykleiły jej się do skroni, a twarz rozjaśniał wielki uśmiech ulgi i tryumfu. Położyłam dłoń na jej nagle miękkim brzuchu. Czułam, jak głęboko w niej odrywa się łożysko, a ciało zrywa ostatnie fizyczne więzy z synem.

- Jeszcze raz, kochanie - poprosiłam cicho. Brzuch zatrzęsł się w ostatnim skurczu, wypychając łożysko. Zawiązałam pępowinę i odcięłam, po czym włożyłam jej w ramiona twarde, małe zawiniątko z dzieckiem. - Jest piękny - szepnęłam.

Zostawiłam jej go i zajęłam się tym, co wymagało teraz mojej uwagi. Uciskałam jej brzuch mocno pięściami, by macica kurczyła się szybciej, a krwawienie ustało. Słyszałam, jak przez dom przebiega fala podniecenia, bo Fedra pobiegła na dół z dobrą wiadomością.

Uniosłam wzrok na Briannę, promienną, roześmianą od ucha do ucha.

Jamie stał za nią, także rozpromieniony, ale z policzkami mokrymi od łez. Powiedział coś do niej po gaelicku i odsuwając jej włosy z karku, pochylił się i pocałował tuż za uchem.

- Czy on jest głodny? - Głos Brianny załamał się,

musiała odchrząknąć. - Czy mam go nakarmić?

- Spróbuj. Czasami po porodzie dzieci są śpiące, a czasami mają ochotę coś przekąsić.

Rozwiązała troczki, które przytrzymały jej koszulę przy szyi, odsłaniając jedną pełną pierś. Zawiniątko wydawało z siebie ciche dźwięki. Przechyliła je ku sobie niezręcznie i otworzyła szeroko oczy w zdumieniu, gdy małe usteczka gwałtownie złapały ją za sutek.

- Jest silny, prawda? - Zdałam sobie sprawę, że płaczę, dopiero gdy poczułam sól łez w kąciakach uśmiechu.

Jakiś czas później, gdy matka i dziecko zostali umyć i wygodnie ułożeni, Brianna dostała jeść i pić, ja zaś sprawdziłam, że wszystko jest w porządku, wyszłam w głęboki cień górnej galerii. Czułam się przyjemnie oderwana od rzeczywistości, jakbym szła pół metra nad ziemią.

Jamie już wcześniej zszedł na dół, by powiedzieć Johnowi.

Czekał teraz na mnie u stóp schodów, objął bez słowa i pocałował.

Gdy mnie puścił, zauważyłam, że ma na dłoniach głębokie ślady po paznokciach Brianny.

- Ty też się dobrze sprawiłaś - szepnął do mnie. Potem radość w jego oczach rozkwitła w szerokim uśmiechu. - Babciu.

- Jakie ma włosy? Ciemne czy jasne? - spytał nagle Jamie, unosząc się na łokciu koło mnie. - Policzyłem mu paluszki, lecz nie przyszło mi do głowy popatrzeć.

- Jeszcze nie sposób nic powiedzieć - mruknęłam sennie. Ja też policzyłam mu paluszki, ale pomyślałam i o

włosach. - W tej chwili jest czerwono fioletowy i wciąż ma na sobie śluz - to to białe na całym ciele. Pewnie dopiero za dzień czy dwa jego skóra przybierze naturalny kolor. Ma trochę ciemnych włosów, ale takich, które szybko znikają po porodzie. - Przeciągnęłam się, czując miły ból w nogach i plecach. Poród to ciężka praca, także dla akuszerki. - Ale nawet gdyby był jasny, to i tak o niczym by nie świadczyło, bo Brianna jest jasna.

- Ale gdyby miał ciemne włosy, wiedzielibyśmy na pewno?

- Niekoniecznie. Twój ojciec miał ciemne włosy, tak samo jak mój. Może mieć recesywne geny i ściemnieć, nawet jeśli...

- Może mieć co?

Bezskutecznie usiłowałam policzyć, czy Gregor Mendel już zaczął bawić się groszkiem, jednak dałam sobie spokój. Byłam zbyt śpiąca, by się skupić. W każdym razie Jamie najwyraźniej nigdy o nim nie słyszał.

- Może mieć włosy dowolnego koloru, i tak nie będziemy wiedzieli na pewno - powiedziałam i ziewnęłam szeroko. - Nie będziemy wiedzieli, póki nie będzie na tyle duży, by wystąpiło jakieś podobieństwo. A nawet wtedy... - zamilkłam. Jakże to ma znaczenie, kim jest jego ojciec, jeśli nie będzie tego ojca miał?

Jamie obrócił się ku mnie i przytulił do moich pleców. Spaliśmy nadzy, włosy na jego ciele podrażniły mi skórę. Pocałował mnie lekko w kark i westchnął, a od jego ciepłego uśmiechu zaswędziało mnie ucho. Unosiłam się gdzieś na krawędzi snu, zbyt szczęśliwa, by całkiem pograćzyć się w niebycie. Gdzieś niedaleko słyszałam

popiskiwanie i pomruk głosów.

- No tak - obudził mnie chwilę później głos Jamiego. Brzmiał wyzywająco. - Choć nie znam jego ojca, przynajmniej wiem, kto jest jego dziadkiem.

Wyciągnęłam w tył rękę i poklepałam go po nodze.

- Ja też, dziadku. A teraz bądź cicho i śpij. Dostyć ma dzień na swoim utrapieniu.

Prychnął, ale rozluźnił ramiona, objął dłonią moją pierś i po chwili spał.

Ja zaś leżałam z szeroko otwartymi oczyma, patrząc na gwiazdy przez otwarte okno. Dlaczego to powiedziałam? To był ulubiony cytat Franka, którym uspokajał Briannę i mnie, gdy zanadto się o coś martwiłyśmy.

Powietrze w pokoju było nieruchome, lekki wiatr poruszał zasłonami i owiewał mi policzek.

- Czy wiesz? - szepnęłam bezgłośnie. - Czy wiesz, że ma syna?

Nie było odpowiedzi, ale w ciszy nocy stopniowo spłynął na mnie spokój i w końcu zasnęłam.

65. Powrót do Fraser's Ridge

Jokasta nie miała ochoty rozstawać się z najmłodszym krewniakiem, ale wiosenne prace ogrodowe były już bardzo opóźnione, a gospodarstwo zaniedbane. Musieliśmy jak najprędzej wracać do Fraser's Ridge. Brianna nie chciała nawet słyszeć o rozstaniu. To zresztą dobrze, bo musielibyśmy chyba użyć dynamitu, by oddzielić Jamiego od wnuka.

Lord John czuł się już dość dobrze, by podróżować. Towarzyszył nam aż do Great Buffalo Trail Road, gdzie ucałował Briannę i dziecko, objął Jamiego i, ku memu

zaskoczeniu, także i mnie, po czym ruszył na północ do Wirginii i Williego.

- Wierzę, że się pani nimi zajmie - powiedział do mnie cicho, wskazując głową wóz, na którym dwie rude głowy pochylały się nad zawiniątkiem na kolanach Brianny.

- Tak będzie - zapewniłam i uściśniłam mu dłoń. - Ja także panu wierzę. - Uniósł moją dłoń do ust, uśmiechnął się i odjechał, nie odwracając się więcej.

Tydzień później, podskakując na zarośniętym trawą szlaku, wyjechaliśmy na grań, gdzie rosły poziomki, zielone, białe i czerwone, gdzie w cieniach drzew mieszały się stałość i odwaga, słodycz i gorycz.

Chata była brudna i zaniedbana, zagrody puste, zaśmiecone starymi liśćmi. W ogrodzie wśród suchych łodyg chaotycznie wyrastały nowe rośliny. Konstrukcja nowego domu stała jak czarny szkielet i wyrzut sumienia. Wydawało się, że trudno tu będzie zamieszkać, że to ruina.

Nigdy przedtem nie czułam takiej radości z powrotu do domu.

„Imię” - napisałam i przerwałam. Bóg jeden wie, pomyślałam.

Jego nazwisko było wątpliwe, jego imię wciąż niewiadome. Mówiłam do niego „kochanie” albo „mój słodki”, Lizzie nazywała go „drogim chłopcem”, Jamie z gaelicką formalnością zwracał się „wnuku” albo „a Ruaidh”, czyli „czerwony”, bo ciemne niemowlęce włoski ustąpiły rudym, wyraźnie wskazującym, kim jest dziadek, niezależnie od tego, kim był ojciec. Brianna nie czuła potrzeby, by go nazywać jakkolwiek, bo zawsze trzymała go przy sobie i strzegła z dzikim oddaniem, które nie

potrzebowało słów. Nie chciała jeszcze formalnie nadawać mu imienia. Jeszcze nie.

- A kiedy? - spytała Lizzie, ale Brianna nie odpowiedziała.

Wiedziałaam kiedy. Gdy pojawi się Roger.

- A jeśli się nie pojawi - powiedział kiedyś do mnie Jamie - to biedny chłopiec do śmierci nie będzie miał imienia. Boże, ależ ta dziewczyna jest uparta.

- Ufa Rogerowi - odparłam spokojnie. - I ty też mógłbyś spróbować. Rzucił mi ostre spojrzenie.

- Jest różnica między zaufaniem a nadzieją, Angielko, i wiesz to tak samo jak ja.

- Dobrze, to w takim razie spróbuj nadziei - rzuciłam i odwróciłam się do niego plecami, zanurzając pióro w atramencie i strząsając. Mały znak zapytania miał wysypkę na pupie, przez którą ani on, ani wszyscy pozostali nie mogliśmy w nocy spać. Oczy mnie piekły, byłam zła i nieskłonna tolerować niewiary.

Jamie obszedł stół i siadł naprzeciwko mnie, opierając brodę na złożonych rękach. Musiałam więc na niego spojrzeć.

- Mógłbym - oznajmił z cieniem uśmiechu w oczach - gdybym potrafił się zdecydować, czy mam nadzieję, że przyjedzie, czy mam nadzieję, że nie.

Uśmiechnęłam się, wyciągnęłam rękę i końcem pióra przesunęłam mu wybacząco po nosie. Zmarszczył się i kichnął, potem usiadł prosto, patrząc na papier.

- Co robisz, Angielko?

- Spisuję świadectwo urodzenia małego Gizma, tak, jak potrafię - powiedziałam.

- Gizmo? - Wyraźnie miał wątpliwości. - Czy to imię jakiegoś świętego?

- Nie sądzę, choć nigdy nie wiadomo. Skoro spotyka się ludzi o imionach Pantaleon, Onuphrius czy Ferreolus...

- Ferreolus? O takim nigdy nie słyszałem. - Odchylił się do tyłu i splecionymi dłońmi objął kolano.

- To jeden z moich ulubionych - powiedziałam, starannie wypisując datę urodzin i godzinę. Nawet to było przybliżone. Na świadectwie urodzenia znajdowały się tylko dwie rubryki podające jednoznaczną informację: data i nazwisko lekarza, który przyjął poród. - Ferreolus jest świętym patronem chorego drobiu - mówiłam, delektując się tym. - Chrześcijański męczennik, był trybunem rzymskim i potajemnie chrześcijaninem. Gdy wyszło to na jaw, przykuto go łańcuchem w więziennej kloace, gdzie miał czekać na sąd. Pewnie wszystkie cele były pełne. Najwyraźniej był dzielnym człowiekiem, wyzwolił się z łańcuchów i uciekł przez kanał ściekowy.

Złapali go jednak i ścięli mu głowę.

Jamie patrzył, nie rozumiejąc.

- A co to ma wspólnego z kurczakami?

- Nie mam bladego pojęcia. Napisz do Watykanu - poradziłam mu.

- Ach, no cóż, ja osobiście zawsze lubiłem świętego Guignole'a. - Widziałam błysk w jego oku, ale nie potrafiłam się powstrzymać.

- A on jest patronem czego?

- Wzywa się go w przypadku impotencji. - Iskierki w oczach zalśniły mocniej. - Widziałem raz jego posąg w Breście, podobno jest tam od tysiąca lat. Była to cudowna

figura, miała penisa jak lufa strzelby i...

- Co takiego?

- Nie, to nie wielkość świadczyła o cudowności. - Machnęła ręką, bym była cicho. - A w każdym razie nie całkiem. Ludzie mówią, że przez te tysiąc lat zabierano kawałki jako relikwie, a jednak penis jest wciąż tak duży jak zawsze. - Uśmiechnęła się do mnie. - Mówią, że mężczyzna, który ma kawałek tego Guignole'a w kieszeni, może działać całą noc i cały dzień, nie męcząc się.

- Ale chyba nie z tą samą kobietą - stwierdziłam sucho. - To jednak budzi moją ciekawość: co takiego zrobił, że zasłużył na świętość?

Roześmiał się.

- To ci może powiedzieć każdy mężczyzna, którego modlitwy zostały wysłuchane, Angielko. - Okręcił się na stołku, patrząc przez otwarte drzwi. Brianna i Lizzie siedziały na trawie, w kręgu spódnic, przyglądając się dziecku, które leżało nagie na brzuchu na starym szalu, z pupą czerwoną jak pawian.

„Brianna Ellen” - napisałam i przerwałam.

- Brianna Ellen Randall, Fraser czy jedno i drugie? - spytałam.

Nie odwrócił się, ale lekko wzruszył ramionami.

- Czy to ma znaczenie?

- Może mieć. - Dmuchnęłam na stronę, a lśniące, czarne litery zmatowiały, bo atrament wysechł. - Jeśli Roger wróci - czy zostanie, czy nie - to jeśli uzna małego anonima, dziecko będzie się nazywać MacKenzie. Ale jeśli nie wróci albo nie uzna, to dziecko przybiera nazwisko matki.

Przez chwilę milczał, przyglądając się

dziewczynom. Tego ranka umyły w strumieniu włosy. Lizzie czesała teraz gęste loki Brianny.

Długie pasma lśniły w słońcu jak czerwony jedwab.

- Przedstawia się Fraser - powiedział cicho. - A przynajmniej tak się przedstawiała.

Odłożyłam pióro i sięgnęłam przez stół, by dotknąć jego ramienia.

- Wybaczyła ci - powiedziałam. - Wiesz, że tak.

Poruszył ramionami, w nieświadomej próbie rozluźnienia jakiegoś wewnętrznego napięcia.

- Jak na razie - rzekł. - A jeśli on się nie pojawi?

Zawahałam się. Miał rację. Brianna wybaczyła mu pierwszy błąd, jednak jeśli Roger się nie pojawi, będzie o to winić Jamiego, i nie bezpodstawnie.

- Napisz oba - polecił nagle. - Niech sama wybierze.

- Chodziło mu chyba nie tylko o nazwiska.

- Pojawi się - oświadczyłam zdecydowanie - i wszystko będzie dobrze. - Ujęłam pióro i dodałam, nie całkiem pod nosem: - Mam nadzieję.

Pochylił się, by się napić. Woda pluskała na ciemnozielonych skałach. Dzień był ciepły, wiosenny, nie jesienny, ale mech pod stopami wciąż nosił szmaragdową barwę.

Wspomnienie brzytwy zostawił daleko za sobą. Brodę miał gęstą, włosy spływały mu za ramiona. Poprzedniego wieczoru wykapał się w strumieniu. Zrobił, co mógł, by odszorować siebie i uprać ubranie, nie miał jednak złudzeń co do swego wyglądu. Przekonywał się, że to nie ma znaczenia.

Utykając, wrócił na ścieżkę, gdzie zostawił konia.

Stopa go bolała, to też jednak nie miało znaczenia.

Powoli przejechał przez polanę, gdzie po raz pierwszy spotkał Jamiego Frasera. Liście były młode i zielone; w oddali słyszał pokrzykiwania kruków, ale wśród drzew nic się nie ruszało, szeleściły tylko trawy. Odetchnął głęboko. Ukuło go wspomnienie, odłamany kawałek dawnego życia, ostry jak szkło.

Zawrócił konia ku wzgórzom, na którym rozsiadło się Fraser's Ridge, i uderzył go łagodnie w bok zdrową stopą. Już niedługo. Nie miał pojęcia, jakie go czeka przyjęcie, ale to nie miało znaczenia.

Nic nie miało znaczenia oprócz faktu, że tu jest.

66. Z mojej krwi i kości

Jakiś przedsiębiorczy królik podkopał się pod ogrodzenie mojego ogródka. Jedno takie żarłoczne zwierzątko potrafi zjeść całą kapustę aż do korzenia, a wyglądało na to, że w dodatku przyprowadził przyjaciół. Westchnęłam i kucnęłam, by naprawić, co się da.

Wrzucałam w dziurę kamienie i ubijałam dookoła niej ziemię. Ciągle bolała nas utrata Iana, a w takich chwilach tęskniłam także za jego okropnym psem.

Z River Run przywiozłam duży zbiór sadzonek i nasion; większość przetrwała podróż. Była już połowa czerwca - ostatni moment, by zająć się ogrodem i zasiać marchew. Niewielka grządka kartofli wyglądała obiecująco, tak samo jak orzeszki ziemne. Króliki ich nie ruszały, podobnie jak pachnących ziół. Oprócz kapusty uwielbiały koper włoski, który zżerały, jakby to była lukrecja.

Ja jednak chciałam mieć kapustę, by zrobić z niej kiszonki. W zimie będziemy potrzebować jedzenia z

witaminą C, a także z jakimś smakiem. Miałam jeszcze dość nasion, więc uda mi się zebrać przed zimą przyzwoitą ilość kapusty, jeśli zdołam ochronić ją przed królikami. Bębniłam palcami w rączkę koszyka, zastanawiając się.

Indianie rozrzucali wokół pól własne obcięte włosy, to jednak lepiej chroniło przed jeleniami niż królikami.

Najlepiej do odstraszenia królików użyć Jamiego - stwierdziłam.

Nayawenne powiedziała mi kiedyś, że króliki trzymają się z dala, jeśli czują odór uryny mięsożernego zwierzęcia. Mężczyzna jedzący mięso był równie dobry jak puma, nie mówiąc już o tym, że łatwiej go było do tego skłonić. Tak, to chyba wystarczy. Zaledwie dwa dni temu zastrzelił jelenia, który wciąż wisiał. Powinnam jednak uwarzyć świeżą beczułkę świerkowego piwa, dobrze pasuje do pieczonej dziczyzny. Skierowałam się do szopy z ziołami, by sprawdzić, czy zostały mi jeszcze owoce męczennicy do nadania zapachu, gdy po drugiej stronie polany kątem oka dostrzegłam jakiś ruch. Myśląc, że to Jamie, już chciałam iść, by poinformować go o nowym obowiązku, ale zamarłam na miejscu, gdy zobaczyłam, kim jest przybysz.

Wyglądał gorzej, niż gdy go widziałam ostatnio, a to wiele mówiło. Nie miał kapelusza, włosy i broda zwały się w lśniącą, czarną grzywę, a ubranie wisiało na nim w strzępach. Był boso, jedną stopę spowijały brudne szmaty. Ciężko utykał. Od razu mnie dostrzegł i zatrzymał się. Podeszłam do niego.

- Cieszę się, że to ty - oznajmił. - Zastanawiałem się, kogo najpierw spotkam. - Głos miał cichy i jakby

zardzewiały. Ciekawa byłam, czy od chwili, gdy rozstaliśmy się w górach, powiedział choć słowo do żywego stworzenia.

- Twoja stopa, Roger...

- To nie ma znaczenia. - Złapał mnie za rękę. - Czy wszystko w porządku? Dziecko? Brianna?

- Czują się dobrze, wszyscy są w domu. - Odwrócił głowę ku chacie, ja zaś dodałam: - Masz syna.

Spojrzał na mnie przenikliwie zielonymi oczyma. - Jest mój? Ja mam syna?

- No, chyba tak - powiedziałam. - Przecież tu jesteś.

Zaskoczenie i - zdałam sobie sprawę - nadzieja, malujące się na jego twarzy, powoli znikły. Spojrzał mi w oczy i najwyraźniej zrozumiał, jak się czuję, bo uśmiechnął się - z trudem, było to zaledwie bolesne uniesienie kącika ust, ale jednak był to uśmiech.

- Tak, jestem tutaj - pokiwał głową. Zwrócił się ku chacie i otwartym drzwiom.

Jamie, w koszuli z podwiniętymi rękawami, siedział przy stole ramię w ramię z Brianna, wpatrując się ze zmarszczonymi brwiami w rysunki domu, które mu objaśniała, wskazując tu i tam trzymanym w ręce piórem. Oboje byli zachlapani atramentem, bo gdy rozmawiali o architekturze, dawali się ponieść entuzjazmowi. Dziecko spało spokojnie w kołysce, którą Brianna kołysała jedną stopą. Lizzie siedziała przy oknie i przędła, mrużąc pod nosem nad kołowrotkiem.

- Bardzo domowa scena - powiedział cicho Roger, zatrzymując się na podwórzu. - Niemal szkoda im przeszkadzać.

- Czy masz wybór? - spytałam.

- Tak, mam - odrzekł - ale już go dokonałem. - Zdecydowanie ruszył ku otwartym drzwiom i wszedł do środka.

Nieznany cień w drzwiach sprawił, że Jamie zareagował instynktownie, spychając Briannę z ławki i rzucając się po pistolet wiszący na ścianie. Wymierzył go już w pierś Rogera, zanim zdał sobie sprawę, na co, albo raczej na kogo, patrzy. Opuścił broń z cichym okrzykiem niechęci.

- Ach, to ty.

Dziecko, brutalnie obudzone trzaskiem przewróconej ławki, darło się jak syrena straży pożarnej. Brianna wyjęła synka z kołyski i przytuliła do piersi, wpatrując się szeroko otwartymi oczyma w stojącą w drzwiach postać. Zapomniałam, że nie widziała go takim, jakiego my już znaleźliśmy. Niewątpliwie musiał wyglądać zupełnie inaczej niż młody profesor historii, który niemal rok wcześniej zostawił ją w Wilmington.

Roger zrobił krok w jej kierunku, ona zaś instynktownie się cofnęła. Zatrzymał się i znieruchomiał, wpatrzony w dziecko. Usiadła na stołku, rozwiązała koszulę i ochronnym gestem nachyliła się nad małym. Naciągnęła na ramię szal i pod jego osłoną podała synkowi pierś. Natychmiast przestał krzyczeć.

Roger przeniósł wzrok z dziecka na Jamiego, który stał obok Brianny w całkowitym bezruchu, którego zawsze się bałam. Wyglądał jak laska dynamitu, a zapalona zapalka leżała tuż obok lontu.

Płomienista głowa Brianny poruszyła się lekko, przenosiła bowiem wzrok z jednego mężczyzny na

drugiego. Dostrzegłam to samo co ona - echo niebezpiecznego bezruchu Jamiego w Rogerze.

Było to i nieoczekiwane, i zaskakujące. Nigdy przedtem nie zauważyłam między nimi żadnego podobieństwa, a jednak w tej chwili mogli być dniem i nocą, obrazami ognia i ciemności, jeden odbiciem drugiego.

MacKenzie, pomyślałam nagle. Wikingowie, twardzi i wielcy.

Trzecie echo tego znaczonego ogniem dziedzictwa rozpałiło się teraz w oczach Brianny, które wyglądały na jedyną żywą rzecz w jej twarzy.

Powinłam coś powiedzieć, coś zrobić, by przerwać ten straszny bezruch, czułam jednak suchość w ustach. Zresztą i tak nie miałam nic do powiedzenia.

Roger wyciągnął rękę ku Jamiemu, otwartą dłonią do góry, ale w geście tym nie było żadnej prośby.

- Jak sądzę, nie jest to dla ciebie większą przyjemnością niż dla mnie - powiedział zardzewiałym wciąż głosem - ale jesteś moim najbliższym krewnym. Zatnij mnie. Przybyłem, by złożyć przysięgę na naszą wspólną krew.

Nie wiedziałam, czy Jamie waha się, czy nie. Czas wydawał się stać w miejscu, powietrze w pokoju wokół nas było jak kryształ.

Widziałam, jak sztylet Jamiego przecina powietrze i dotyka chudego, opalonego przegubu, na nim zaś pojawia się nagle czerwona krew. Ku memu zaskoczeniu Roger nie patrzył na Briannę, nie sięgnął po jej rękę. Przesunął tylko kciukiem po krwawiącym przegubie i podszedł do niej blisko, wpatrzony w dziecko. Instynktownie odsunęła się w

tył, ale Jamie położył jej na ramieniu rękę. Zamarła pod jej ciężarem.

Ręka ojca zapewniała ochronę, ale też trzymała ją na miejscu. Mocno przyciskała dziecko do piersi. Roger ukląkł przed nią, odsunął szal i na czole niemowlęcia namalował krwią duży, czerwony krzyż.

- Jesteś krwią z mojej krwi - powiedział cicho - i kością z moich kości. Uznaję cię za syna przed wszystkimi ludźmi, od tego dnia po wiek wieków.

Podniósł wyzywająco wzrok na Jamiego. Po długiej chwili Jamie lekko skinął głową i cofnął się, zabierając dłoń z ramienia Brianny.

Roger przesunął na nią spojrzenie.

- Jak go nazwałaś?

- Jeszcze go nie nazwałam. - Nie spuszczała z niego pytającego wzroku. Wyraźnie było widać, że mężczyzna, który wrócił, to nie ten sam mężczyzna, który ją opuścił.

Roger wstał, nie uwalniając jej spojrzenia, wciąż krwawiąc z przegubu. Z niemałym zaskoczeniem zdałam sobie sprawę, że w jego oczach ona jest tak samo zmieniona jak on w jej.

- To mój syn - oświadczył cicho Roger, wskazując dziecko. - Czy ty jesteś moją żoną?

Brianna pobladła.

- Nie wiem.

- Ten człowiek mówi, że zawarliście małżeństwo podług obyczaju. - Jamie zbliżył się ku niej, nie spuszczać oczu z Rogera. - Czy to prawda?

- My... tak, zawarliśmy.

- I ono wciąż obowiązuje. - Roger zaczerpnął

powietrza, a ja zdałam sobie sprawę, że zaraz upadnie, czy to z głodu, wyczerpania czy zranionego przegubu. Ujęłam go za ramię, skłoniłam, by usiadł, wysłałam Lizzie do spiżarni po mleko i przyniosłam lekarski kuferek, by opatrzeć mu rękę.

To drobne, normalne zamieszanie nieco osłabiło napięcie. Chcąc uspokoić sytuację, otworzyłam butelkę brandy z River Run. Nalałam nieco Jamieu i wlałam sporo do mleka Rogera. Jamie rzucił mi cierpkie spojrzenie, ale usiadł na ławie i napił się.

- No, dobrze - powiedział, przywołując zgromadzonych do porządku. - Jeżeli zawarliście małżeństwo, Brianno, to jesteś mężatką, a ten człowiek jest twoim mężem.

Rumieniec Brianny pogłębił się, patrzyła jednak na Rogera, nie Jamiego.

- Powiedziałaś, że małżeństwo zwyczajowe jest ważne przez rok i dzień.

- Ty zaś powiedziałaś, że nie chcesz niczego tymczasowego.

Wzdrygnęła się na te słowa, ale zdecydowanie zaciśnęła usta.

- Nie chciałam, nie wiedziałam jednak, co się zdarzy. - Spojrzała na mnie i na Jamiego, potem z powrotem na Rogera. - Czy powiedzieli ci, że dziecko nie jest twoje?

Roger uniósł brwi.

- Och, jest moje. - Dla ilustracji uniósł zabandażowany przegub.

Brianna nie wyglądała już jak sopel lodu, zaróżowiła się.

- Wiesz, o czym mówię. Spojrzał jej prosto w oczy.
- Wiem, o czym mówisz, i bardzo mi przykro z tego powodu.

- To nie była twoja wina. Roger spojrział na Jamiego.
- Jednak była - sprzeciwił się cicho. - Powinienem być zostać z tobą, dopilnować, by nic ci się nie stało.

Brianna ściągnęła brwi.

- Powiedziała ci, żebyś jechał, i mówiłam poważnie - niecierpliwie wzruszyła ramionami - ale teraz to nie ma znaczenia. - Objęła mocniej dziecko i wyprostowała się. - Chcę wiedzieć tylko jedno - jej głos drżał lekko. - Chcę wiedzieć, dlaczego wróciłeś.

Z namysłem odstawił pusty kubek.

- Czy nie chciałaś, bym wrócił?

- To nieważne, co chciałam. Teraz chcę wiedzieć - czy wróciłeś dlatego, że chciałeś, czy dlatego, że uważałeś, że powinienes?

Wpatrywał się w nią przez dłuższą chwilę, potem opuścił wzrok na dłonie, którymi wciąż obejmował kubek.

- Może jedno i drugie, może ani jedno, ani drugie. Nie wiem.

Taka jest prawda, nie wiem.

- Czy poszedłeś do kamiennego kręgu? - spytała.

Kiwnął głową, nie patrząc na nią. Wsunął rękę do kieszeni i wyjął duży opał.

- Byłem tam, dlatego tak długo to trwało. Nie mogłem go znaleźć.

Przez chwilę milczała.

- Nie odszedłeś, ale wciąż możesz. Może powinienes. - Patrzyła wprost na niego takim samym

spojrzeniem jak jej ojciec. - Nie chcę z tobą żyć, jeśli wróciłeś z obowiązku - powiedziała. Przeniosła na mnie wzrok pełen bólu. - Widziałam małżeństwo zawarte z obowiązku i widziałam małżeństwo zawarte z miłości. Gdyby nie to... - przerwała i przełknęła, mówiła jednak dalej, patrząc na Rogera. - Gdybym nie widziała obu, mogłabym z kimś żyć z obowiązku. Ale widziałam - i nie chcę.

Poczułam się, jakby ktoś uderzył mnie w żołądek. Mówiła o moich małżeństwach. Poszukałam wzrokiem Jamiego. Patrzył na mnie, a na jego twarzy malował się taki sam szok jak na mojej.

Zakaszłał, by przerwać milczenie, i odchrząknął.

- Kiedy zawarliście małżeństwo? - zapytał.

- Drugiego września - natychmiast odpowiedział Roger.

- A teraz mamy połowę czerwca. - Jamie przeniósł wzrok z córki na zięcia, ściągając brwi. - Cóż, mo nighean, jeśli związałaś się z tym mężczyzną zgodnie z obyczajem, to jesteś jego żoną, nie ma wątpliwości. - Zwrócił się ku Rogerowi: - Będziesz więc tu mieszkać jako jej mąż, trzeciego września zaś ona dokona wyboru, czy pojmie cię za męża zgodnie z religią, z błogosławieństwem kapłana, czy też odejdiesz i nie będziesz jej więcej nękać. Masz tyle czasu, by się zdecydować, dlaczego tu jesteś - i przekonać ją o tym.

Roger i Brianna zaczęli mówić, protestować. Jamie jednak nie dopuścił do dyskusji, ujmując sztylet, który leżał na stole. Opuścił ostrze, aż dotykało koszuli na piersi Rogera.

- Będziesz tu żyć jak jej mąż, powiedziałem. Ale jeśli dotkniesz jej wbrew jej woli, wyrwę ci serce i dam je świniom. Rozumiesz?

Roger przez długą chwilę wpatrywał się w lśniące ostrze, a pod gęstą brodą trudno było ocenić wyraz jego twarzy. Potem uniósł głowę i spojrzał Jamiemu w oczy.

- Sądzisz, że nagabywałbym kobietę, która mnie nie chce?

Było to dość niezręczne pytanie, biorąc pod uwagę, że Jamie zbił go na kwaśne jabłko, uważając, że właśnie tak się stało. Roger złapał dłoń Jamiego, trzymającą sztylet, i pchnął w dół, aż ostrze wbiło się w stół. Gwałtownie odepchnął stołek, wstał, odwrócił się na pięcie i wyszedł. Jamie ruszył za nim równie szybko, chowając sztylet do pochwy.

Brianna spojrzała na mnie bezradnie.

- Jak sądzisz, co on...

Przerwało jej głośne, tępe uderzenie i równie głośne stęknienie.

Ciężkie ciało walnęło w ścianę od zewnątrz.

- Jeśli będziesz ją źle traktować, wyrwę ci jaja i wcisnę do gardła - wycedził Jamie po gaelicku.

Zerknęłam na Briannę i stwierdziłam, że zna już gaelicki wystarczająco, by zrozumieć ogólny sens tej groźby. Otworzyła usta, ale nic nie powiedziała. Z zewnątrz dobiegały dźwięki szarpaniny, która zakończyła się jeszcze głośniejszym głuchym uderzeniem.

Najwyraźniej czyjaś głowa walnęła w drewniane belki.

Głosu Rogera nie cechowała zimna groźba, jak

Jamiego, ale dźwięczała w nim siła.

- Jeśli jeszcze raz mnie dotkniesz, ty pieprzony skurwysynu, to wcisnę ci głowę w dupę.

Zapanowała cisza, potem usłyszałyśmy oddalające się kroki.

Chwilę później Jamie wydał z siebie gardłowy szkocki dźwięk i również odszedł. Brianna patrzyła na mnie okrągłymi oczyma.

- Zatrucie testosteronem - powiedziałam, wzruszając ramionami.

- Czy jesteś w stanie coś z tym zrobić? - spytała. Kącik jej ust drgał lekko, nie wiedziałam jednak, czy to śmiech, czy histeria.

Wsunęłam palce we włosy i zastanowiłam się.

- Cóż - odrzekłam w końcu - używają tego tylko do dwóch rzeczy. Jedna z nich to próbować się nawzajem pozabijać.

Brianna potarła nos.

- No tak - stwierdziła - a ta druga... - Spojrzałyśmy na siebie z doskonałym zrozumieniem.

- Zajmę się twoim ojcem - powiedziałam - ale Roger należy do ciebie.

Życie na wzgórzu stało się nieco napięte, bo Brianna i Roger zachowywali się jedno jak zając w pułapce, a drugie jak zagnany do kąta borsuk. Jamie rzucał Rogerowi nad stołem ponure spojrzenia gaelickiej dezaprobaty, Lizzie na wypródki przeproszała każdego, kto jej się nawinął, dziecko natomiast stwierdziło, że nadszedł czas na conocne ataki kolki.

To zapewne kolka skłoniła Jamiego do gorączkowej

działalności przy budowie nowego domu. Fergus i kilku dzierżawców życzliwie zasiało nam coś, gdy nas nie było, więc choć nie starczy nam w tym roku zboża na sprzedaż, przynajmniej będziemy mieli co jeść.

Uwolniony od konieczności zajmowania się dużą powierzchnią upraw, Jamie spędzał każdą wolną chwilę na grani, z młotkiem i piłą.

Roger robił, co mógł, by pomagać przy innych zajęciach gospodarskich, choć utrudniała to jego chora noga. Kilkakrotnie odrzucił moje oferty, że się nią zajmę, w końcu jednak uparłam się, że najwyższy czas coś z nią zrobić. Kilka dni po jego przybyciu przygotowałam się i poinformowałam go o zdecydowaniu, że z samego rana ją obejrzę. Następnego ranka kazałam mu się położyć i odwinęłam warstwy szmat. W nos uderzył mnie słodko - zgniły odór głęboko zakorzonej infekcji, dziękowałam jednak Bogu, że nie widzę ani czerwonych linii świadczących o zatruciu krwi, ani czarnych przebarwień mówiących o gangrenie. I tak jednak nie wyglądało to najlepiej.

- Głęboko w tkance zrobiły ci się chroniczne wrzody - oświadczyłam, zdecydowanie naciskając kciukami. Czulałam, jak pod naciskiem pękają głębokie ropienie, a gdy mocniej wbiłam palce, na wpół zagojone rany otworzyły się i z pęknięcia na krawędzi podeszwy zaczęła wypływać obrzydliwie wyglądająca, żółtoszara ropa. Roger zbladł pod opalenizną i mocno uchwycił drewnianą ramę łóżka, nie wydał jednak z siebie żadnego dźwięku. - Miałeś szczęście - oznajmiłam, wciąż zginając mu stopę i naciągając ścięgna śródstopia.

- Chodząc, cały czas częściowo wyciskałeś ropę z wrzodów.

Oczywiście ropienie tworzą się na nowo, ale dzięki ruchowi infekcja nie weszła głębiej i twoja stopa wciąż nadaje się do użytku.

- Och, to dobrze - stęknął słabo.

- Bree, potrzebuję twojej pomocy - powiedziałam, odwracając się w koniec pokoju, gdzie siedziały dziewczyny, na zmianę zajmując się dzieckiem i przędąc.

- Może ja, już idę pomóc. - Lizzie skoczyła na równe nogi. Miała wyrzuty sumienia z powodu swojego udziału w cierpieniu Rogera i na wszelkie sposoby starała się mu to jakoś wynagrodzić, przynosząc jedzenie, proponując, że zaszyje mu ubrania, i ogólnie doprowadzając go do szału wyrazami skruchy.

Uśmiechnęłam się do niej.

- Tak, możesz pomóc. Weź dziecko, by Brianna mogła tu przyjść. Może pójdziesz z nim na mały spacer?

Rzucając mi spojrzenie pełne wątpliwości, Lizzie posłuchała.

Objęła ramionami małego Gizmo i mrużąc do niego słodkie słówka, wyszła na dwór. Brianna stanęła koło mnie, starając się nie patrzeć Rogerowi w twarz.

- Zamierzam to otworzyć i oczyścić z ropy, najlepiej jak zdołam - powiedziałam, wskazując długą, szerniałą ranę. - Potem będę musiała usunąć martwą tkankę, zdezynfekować ranę i mieć nadzieję, że wszystko będzie dobrze.

- Jak zamierzasz usunąć martwą tkankę? - spytał Roger. Puściłam jego stopę i lekko się rozluźnił.

- Muszę oczyścić ranę, usuwając martwą tkankę lub kość metodą chirurgiczną albo niechirurgiczną. Na szczęście wydaje mi się, że kość jest zdrowa, choć niewykluczone, że chrząstki między kośćmi śródstopia zostały zaatakowane. Nie martw się - dodałam, klepiąc go po nodze. - Usuwanie tkanki nie boli.

- Na pewno?

- Na pewno. To osuszanie i dezynfekcja będzie bolała. - Spojrzałam na Bree. - Złap go, proszę, za ręce.

Jej wahanie trwało niecałą sekundę. Stała u wezłowania łóżka i wyciągnęła do niego ręce. Ujął je, wpatrując się w jej twarz. Dotknęli się po raz pierwszy od blisko roku.

- Trzymaj go mocno - nakazałam - bo teraz będzie najgorsza część.

Pracowałam szybko. Otwierałam na wpół zagojone rany skalpelem, wyciskając możliwie jak najwięcej ropy i martwej tkanki.

Czułam napięcie w mięśniach jego nóg, a ciało lekko wyginało się z bólu w łuk. Nie powiedział jednak ani słowa.

- Czy chcesz coś, co mógłbyś wziąć w zęby i przygryzać, Roger?

- spytałam, wyjmując butelkę rozcieńzonego alkoholu do dezynfekcji. - Teraz będzie piekło.

Nie odpowiedział. Zamiast niego odezwała się Brianna.

- Daje sobie radę - stwierdziła zdecydowanie. - Kontynuuj.

Gdy zaczęłam myć rany, wydał z siebie zduszony dźwięk i przetoczył się lekko na bok. Noga mu drżała.

Mocno trzymałam stopę i pracowałam możliwie jak najprędzej. Gdy puściłam go i zamykałam buteleczkę, spojrzałam w górę, ku wezglowiu. Brianna siedziała, mocno obejmując Rogera ramionami. Schował twarz na jej kolanach i objął ją w pasie. Miała białą twarz, ale uśmiechnęła się do mnie z wysiłkiem.

- Czy to koniec?

- Najgorsze za nami. Już niewiele zostało mi do zrobienia - zapewniłam ich. Przygotowałam się dwa dni wcześniej, bo o tej porze roku mogłam to zrobić bez trudu. Poszłam do wędzarni; dziczyzna wisiała w cieniu, spowita chmurą ochronnego, pachnącego dymu z hikory. Ja jednak kierowałam się ku gorzej zachowanemu mięsu.

O, dobrze, było na zewnątrz dość długo. Zabrałam miseczkę z jej miejsca przy drzwiach i wróciłam z nią do domu.

- Fuj - Brianna zmarszczyła nos. - Co to takiego? Śmierdzi jak zgniłe mięso.

- I tym właśnie jest. - Dokładnie rzecz biorąc, były to resztki królika, który wpadł w sidła w ogrodzie.

Wciąż trzymała go za ręce. Uśmiechnęłam się pod nosem i znów zajęłam swoje miejsce. Ujęłam zranioną stopę i sięgnęłam po długą pęsetę.

- Mamo, co ty robisz?

- To nie będzie bolało - uspokoiłam go. Nacisnęłam lekko stopę, rozsuwając brzegi nacięcia. Ze śmierdzących resztek króliczego mięsa wyjęłam małą, białą larwę i wsunęłam ją zreżymie do rany.

Roger miał zamknięte oczy i czoło pokryte potem.

- Co to? - spytał, podnosząc głowę i zerkając przez

ramię, by zobaczyć, co robię. - Co to takiego?

- Wkładam ci czerwie do rany - powiedziałam skupiona na pracy.

- Nauczyłam się tego od starej Indianki, którą kiedyś poznałam.

Od wezglowia dobiegły mnie dwa dźwięki mówiące o zaskoczeniu i mdłościach, ja jednak mocno trzymałam stopę i kontynuowałam pracę.

- To działa - wyjaśniłam, marszcząc brwi i otwierając kolejne nacięcie. Włożyłam tam trzy wierzące się, białe larwy. - To lepsze niż zwykłe sposoby oczyszczania rany, inaczej musiałabym ci rozciąć stopę znacznie głębiej i usunąć tyle martwej tkanki, ile bym zdołała. A to nie tylko by cię potwornie bolało, ale zapewne spowodowało także trwałe kalectwo. Natomiast nasi mali przyjaciele jedzą martwą tkankę i są w stanie dostać się we wszystkie zakamarki, do których ja bym nie sięgnęła. Wykonują w ten sposób dobrą i dokładną robotę.

- Nasi przyjaciele czerwie - mruknęła Brianna. - Boże drogi, mamo!

- A co ich powstrzyma przed zjedzeniem mi całej nogi? - spytał Roger, starając się mówić lekceważąco. - One... to znaczy... one się chyba rozprzestrzeniają?

- Ach, nie - zapewniłam go wesoło. - Czerwie to formy larwalne, nie rozmnażają się, nie jedzą także żywej tkanki, tylko tę paskudną martwą. Jeśli jest jej dość, by pomóc im przetrwać przez cały cykl larwalny, zmieniają się w małe muszki i odlecą; jeśli nie, to gdy w końcu skończy się jedzenie, wyczołgają się na zewnątrz, szukając pożywienia gdzie indziej.

Twarze obojga miały teraz bladozielony odcień. Skończyłam swoje dzieło, owinęłam stopę luźno gazowym bandażem i poklepałam Rogera po nodze.

- No już, nie martw się, widywałam to już wcześniej - pocieszyłam go. - Pewien wojownik powiedział mi kiedyś, że gdy tam jedzą, to trochę swędzi, ale nie boli.

Zabrałam miseczkę i wyniosłam na zewnątrz, by ją umyć. Na podwórzu spotkałam Jamie go, który szedł od strony nowego domu, trzymając w ramionach Ruaidha.

- Tu jest babcia - poinformował niemowlę, wyjmując palec z ust małego i wycierając go o kilt. - Patrz, jaka to śliczna kobieta.

- Blech - powiedział Ruaidh, zezując lekko w kierunku guzika na koszuli dziadka. Natychmiast wsunął go sobie do ust.

- Nie pozwól mu tego połknąć. - Stałam na palcach i pocałowałam najpierw Jamiego, potem dziecko. - Gdzie Lizzie?

- Znalazłem dziewczynę siedzącą na pniu i płaczącą, zabrałem więc małego, by mogła побыć chwilę sama.

- Płakała? Dlaczego?

Przez twarz Jamiego przemknął cień.

- Chyba jej smutno z powodu Iana. - Ujął mnie za ramię i skierował z powrotem na ścieżkę, w górę, na grań. - Chodź ze mną, Angielko, i zobacz, co dziś zrobiłem. Położyłem podłogę w twoim gabinecie. Teraz potrzebujemy już tylko prowizorycznego dachu i będzie można tam spać. - Obejrzał się na chatę. - Myślałem, że można by tu umieścić MacKenziego, na jakiś czas.

- To dobry pomysł. - Niewątpliwie było nam ciasno,

choć Jamie dobudował dla Brianny i Lizzie dodatkowy mały pokój. Skoro zaś Roger ma zostać w łóżku przez kilka dni, wolałam, by nie leżał pośrodku chaty.

- Jak im idzie? - spytał, udając niefrasobliwość.

- Komu? Briannie i Rogerowi?

- Komuż innemu? - Już nie udawał. - Czy między nimi jest dobrze?

- Och, chyba tak. Przyzwyczajają się znów do siebie nawzajem.

- Naprawdę?

- Tak - potwierdziłam, oglądając się na chatę. -

Właśnie zwymiotował jej na kolana.

67. Rzut monetą

Roger obrócił się na bok i usiadł. Okna nie zostały jeszcze oszklone; nie było to potrzebne, dopóki trwała piękna, letnia pogoda.

Gabinet znajdował się we frontowej części domu i rozciągał się z niego widok na zbocze. Gdy wyciągnął dobrze szyję, mógł obserwować Briannę, jak schodzi po zboczku do chaty. Dopiero na ostatnim odcinku kasztanowce przesłaniały mu widok.

Ostatnie mignięcie rudego samodziąłu - i już jej nie było. Tego wieczoru przyszła bez dziecka. Nie wiedział, czy należy uznać to za postęp, czy wręcz przeciwnie. Udało im się co prawda rozmawiać bez nieustannych przerw wywołanych mokrą pieluszką, płaczem, marudzeniem i ulewaniem - rzadki luksus - z drugiej strony nie została u niego tak długo jak zwykle. Czuł, że dziecko odciąga ją, jakby była z nim połączona gumową taśmą. Nie żywił niechęci do małego drania - przekonywał się ponuro - tylko

że... no cóż, tylko że żywił niechęć do małego drania. Co nie oznaczało, że go nie lubi.

Jeszcze nie jadł, nie chciał marnować ani chwili ich rzadkiej samotności. Teraz zdjął przykrywą z kosza, który mu przyniosła, i wciągnął w nozdrza ciepły, aromatyczny zapach gulaszu z wiewiórek i słonego chleba ze świeżym masłem, a także szarlotki.

Stopa wciąż mu pulsowała i z pewnym wysiłkiem odsuwał od siebie myśli o usługnych czerwiach, ale mimo to powrócił mu wilczy apetyt. Jadł powoli, rozkoszując się i jedzeniem, i spokojnym zmierzchem, który powoli wspinał się na góry. Fraser wiedział, co robi, gdy wybierał miejsce pod dom. Widać z niego było całe zbocze; panorama rozciągała się od odległej rzeki, i dalej, aż po wypełnione mgłą doliny i ciemne szczyty, rysujące się na tle rozjarzonego gwiazdami nieba. Było to jedno z najbardziej samotnych, wspaniałych i niezwykle romantycznych miejsc, jakie kiedykolwiek widział.

Brianna była tam na dole, karmiąc małego, łysego pasożyta, podczas gdy on leżał tutaj, sam, z kilkudziesięcioma pasożytami w stopie.

Odstawił pusty koszyk na podłogę, na jednej nodze doskoczył do wiadra w kącie, a potem wrócił do samotnego łóżka na nowym stole chirurgicznym. Dlaczego, do diabła, gdy spytała, czemu wrócił, powiedział jej, że nie wie? Cóż, dlatego, że wtedy rzeczywiście nie wiedział. Od miesięcy błąkał się w dziczy, głodując i niemal tracąc głowę z samotności i bólu. Nie widział jej przez blisko rok. Rok, podczas którego odbył podróż do piekła i z powrotem. Przez trzy dni siedział na skale nad tym cholernym kamiennym

kręgiem, bez jedzenia czy ognia, rozmyślając, starając się podjąć decyzję. Aż w końcu po prostu wstał i zaczął iść, wiedząc, że to jedyna możliwa decyzja.

Zobowiązanie? Miłość? Jak, do diabła, można mieć miłość bez zobowiązań?

Niespokojnie przekreślił się na drugi bok, odwracając się plecami do wspaniałych nocnych zapachów i ogrzanych słońcem wiatrów.

Problem z powrotem do zdrowia polegał na tym, że niektóre części jego ciała stawały się aż zbyt sprawne, a szanse, że będzie mógł je wykorzystać, sięgały niżej zera. Nie mógł nawet zaproponować czegoś takiego, bo, po pierwsze, Brianna mogłaby pomyśleć, że wrócił tylko po to, a po drugie ten cholerny, wielki Szkot wcale wówczas nie zartował.

Teraz już wiedział. Wrócił, bo nie mógłby żyć po drugiej stronie.

Czy byłoby to poczucie winy, że ich porzucił, czy po prostu wiedza, że bez niej umrze - wszystko jedno. Wiedział, czego się wyrzeka, i nie miało to żadnego znaczenia. Po prostu musiał być tu. To wszystko.

Położył się na plecach, wpatrując w blade sosnowe deski, stanowiące dach nad jego schronieniem. Tupot i popiskiwanie ogłosiły samotną wizytę wiewiórek z pobliskiej hikory, które uznały, że to wygodna droga na skróty.

Jak jej to powiedzieć, by uwierzyła? Boże, jest tak nerwowa, że ledwie pozwala mu się dotknąć. Wystarczy muśnięcie warg czy rąk, a już się odsuwa. Poza tym dniem, gdy Claire torturowała mu stopę - wtedy rzeczywiście

poświęciła się dla niego, dawała mu całą siłę.

Wciąż czuł jej ramiona wokół siebie, a to wspomnienie sprawiło, że fala ciepła przepłynęła mu przez ciało. Myśląc o tym, równocześnie zastanawiał się nad inną sprawą. To prawda, że zabiegi lekarskie były bardzo bolesne, ale zniósłby je, zaciskając zęby. Claire, która miała doświadczenie z pola bitwy, niewątpliwie o tym wiedziała. Czy zrobiła to zatem celowo? Czy dała Bree szansę, by go dotknęła i równocześnie nie czuła się do czegoś przymuszana czy ścigana? Czy dała jemu szansę, by przypomniawszy sobie, jak silne są między nimi więzy? Znow się przekręcił, tym razem na brzuch, oparł brodę na złożonych ramionach i wpatrzył się w miękki mrok.

Może dostać jego drugą stopę, gdyby tylko zrobiła to raz jeszcze.

Claire zaglądała do niego raz czy dwa razy dziennie, zaczekał jednak do końca tygodnia, gdy przyszła, by zdjąć mu bandaż.

Czerwie zapewne zrobiły, co do nich należało i, miał nadzieję, wyniosły się.

- O, ślicznie - powiedziała, macając mu stopę z tym okropnym zadowoleniem chirurga. - Pięknie się goi, nie ma już niemal stanu zapalnego.

- To wspaniale - odparł. - Czy już się wyniosły?

- Larwy? Och, tak - zapewniła go. - Przeobrażają się po kilku dniach. Ale ładnie się sprawiły, prawda? - Przesunęła palcem wzdłuż podeszwy, łaskocząc lekko.

- Wierzę ci na słowo. Czy mogę już opierać się na tej nodze? - Lekko wygiął stopę. Trochę bolało, ale było to nic w porównaniu z tym, co czuł przedtem.

- Tak, ale jeszcze przez kilka dni nie noś butów i, na litość boską, nie nadepnij na nic ostrego.

Zaczęła porządkować swoje rzeczy, mrucząc pod nosem.

Wyglądała na szczęśliwą, choć zmęczoną. Miała cienie pod oczyma.

- Dziecko wciąż płacze w nocy? - spytał.

- Tak, biedactwo. Słyszysz je aż tutaj?

- Nie, po prostu wyglądasz na zmęczoną.

- Nic dziwnego, od tygodnia nikt nie przespał spokojnie nocy.

Szczególnie biedna Bree, bo tylko ona może je nakarmić. - Ziewnęła i pokręciła głową. - Jamie niemal skończył układanie podłogi tutaj, w tylnej sypialni. Chcemy się przeprowadzić, gdy tylko będzie gotowa.

Bree i dziecku da to więcej przestrzeni, my zaś zyskamy trochę spokoju i ciszy.

- To dobry pomysł. Ach, a mówiąc o Bree... - Nie ma co tego przeciągać, trzeba powiedzieć wprost. - Słuchaj, staram się, jak mogę.

Kocham ją i chcę jej to okazać, ale ona się odsuwa. Przychodzi, rozmawiamy, jest wspaniale, potem próbuję ją objąć albo pocałować - i nagle widzę ją po drugiej stronie pokoju, jak sprząta liście z podłogi.

Czy coś jest nie tak, czy jest coś, co powinienem zrobić?

Rzuciła mu jedno z tych niepokojących, żółtych spojrzeń, bezpośrednich i brutalnych - jak u jastrzębia.

- Byłeś jej pierwszym, prawda? To znaczy pierwszym mężczyzną, z którym spała?

Poczuł, że się rumieni.

- Ja... tak, no tak.

- No właśnie. Jak na razie całe jej doświadczenie, które by można nazwać rozkoszą seksu, polega na utracie dziewictwa - i choćbyś był nie wiem jak delikatny, to zawsze boli - gwałcie dwa dni później, a potem porodzie. Czy naprawdę sądzisz, że po takim doświadczeniu padnie ci w ramiona z nadzieją, że zażądasz spełnienia małżeńskiej powinności?

Prosiłeś się o to i dostałeś, wprost między oczy - pomyślał.

Policzki paliły go bardziej, niż gdy miał gorączkę.

- Nigdy o tym nie pomyślałem - mruknął do ściany.

- Oczywiście, że nie - powiedziała tonem równocześnie irytacji i rozbawienia. - Przecież, cholera, jesteś mężczyzną. Dlatego ci to mówię.

Odetchnął głęboko i niechętnie odwrócił się ku niej twarzą.

- No i co ty mi właściwie mówisz?

- Że się boi. - Przechyliła głowę na bok, jakby go oceniając. - Choć, nawiasem mówiąc, to nie ciebie się boi.

- Nie?

- Nie - rzuciła wprost. - Być może przekonała samą siebie, że musi wiedzieć, dlaczego wróciłeś, ale nie o to chodzi. Cały regiment ślepców by to dostrzegł z łatwością. Ona po prostu się boi, że nie będzie mogła... mmmm... - Patrząc na niego, uniosła jedną brew, a w jej spojrzeniu było mnóstwo mało delikatnych sugestii.

- Rozumiem... - Odetchnął głęboko. - I co proponujesz? Co powinienem z tym zrobić?

Podniosła koszyk i przewiesiła go sobie przez ramię.

- Nie wiem - odparła, rzucając mu kolejne bursztynowe spojrzenie. - Sądzę jednak, że powinieneś być ostrożny.

Ledwo zdążył dojść do siebie po tej niepokojącej konsultacji, gdy w drzwiach pojawił się kolejny gość - Jamie Fraser, niosący dary.

- Masz tu brzytwę - powiedział, patrząc na Rogera krytycznym okiem - i trochę gorącej wody.

Kilka dni wcześniej Claire już mu obcięła nożyczkami brodę na krótko, był jednak wówczas zbyt roztrzęsiony, by próbować ogolić się brzytwą.

- Dzięki.

Fraser przyniósł także małe lusterko i mydło do golenia. To bardzo miło z jego strony. Wolałby niewątpliwie, by Fraser zostawił go samego, a nie przyglądał się krytycznie poczynaniom Rogera, oparty o framugę drzwi. Jednak w tych okolicznościach Roger raczej nie mógł go prosić, by wyszedł.

Pozbycie się brody było jednak niezwykle ulgą nawet pod tym nieżyczliwym okiem. Swędziała go straszliwie i od miesięcy nie widział własnej twarzy.

- Praca posuwa się do przodu? - Starał się prowadzić rozmowę, płuczac brzytwę między jednym a drugim pociągnięciem. - Słyszałem rano, jak coś przybijałeś z tyłu.

- Och, tak. - Oczy Frasera podążały z zainteresowaniem za każdym jego ruchem, chyba oceniając.

- Położyłem już podłogę i częściowo dach. Myślę, że Claire i ja spędzimy tu dziś noc.

- Aha. - Roger wyciągnął szyję, by ogolić skórę pod

szczęką. - Claire powiedziała, że mogę znów chodzić. Powiedz mi, jakie obowiązki mogę przejąć?

Jamie stał ze splecionymi ramionami. Pokiwał głową.

- Dobrze sobie radzisz z narzędziami?

- Nie zajmowałem się budownictwem - przyznał Roger. Domek dla ptaków w szkole chyba się nie liczył.

- Zapewne też nie potrafisz prowadzić pługu ani odebrać miotu od maciory?

W oczach Frasera wyraźnie błyszczało rozbawienie. Roger uniósł brodę, usuwając z szyi resztki zarostu. Myślał o tym przez kilka ostatnich dni. Niewątpliwie na osiemnastowiecznej farmie na wzgórzach nie ma zapotrzebowania ani na historyka, ani na śpiewaka.

- Nie - odpowiedział spokojnie, odkładając brzytwę.

- Nie umiem także wydoić krowy, zbudować komina, porąbać drzewa, powozić końmi, strzelać do niedźwiedzi, patroszyć jelenia ani nadziać kogoś na pałasz.

- Naprawdę? - Wyraźne rozbawienie.

Roger chlusnął sobie wodą w twarz, wytarł, a następnie zwrócił się do Frasera.

- Naprawdę. Mam natomiast silne mięśnie, to ci wystarczy?

- Och tak, nie mógłbym życzyć sobie niczego lepszego, prawda?

- Fraser uśmiechnął się kącikiem ust. - Potrafisz odróżnić jeden koniec łopaty od drugiego?

- Tyle potrafię.

- To dasz sobie radę. - Fraser oderwał się od framugi. - Ogród Claire wymaga przekopania, jęczmień w

destylarni przetrząśnięcia, a w stajni jest wielka kupa gnoju. Potem pokażę ci, jak się doi krowę.

- Dzięki. - Wytarł brzytwę, wsunął z powrotem w futerał i podał wszystko Fraserowi.

- Dziś wieczór Claire i ja idziemy do Fergusa - powiedział Jamie, przyjmując rzeczy do golenia. - Chcemy tam zaprowadzić tę małą, by pomogła trochę Marsali.

- Cóż, bawcie się dobrze.

- Och, zapewne będziemy. - Jamie zatrzymał się w drzwiach. - Brianna postanowiła zostać. Dziecko się trochę uspokoiło, więc nie chce znów go rozdrażnić spacerem.

Roger wpatrywał się w Jamiego. Z tych skośnych, niebieskich oczu można było wyczytać wszystko - lub nic.

- Tak? Mówisz, że będzie sama? To będę miał ich na oku.

Jedna ruda brew uniosła się na centymetr.

- Jestem pewien, że ich dopilnujesz. Pamiętaj, co ci powiedziałem, MacKenzie, moja córka nie potrzebuje tchórza. - Zanim Roger zdążył odpowiedzieć, Fraser opuścił brew i spojrzał mu prosto w oczy. - Kosztowałeś mnie chłopaka, którego kocham, i trudno oczekiwać, bym cię za to lubił. - Spojrzał na stopę Rogera, potem znów podniósł wzrok. - Ale ja, być może, kosztowałem cię jeszcze więcej. Możemy uznać, że jesteśmy kwita - albo nie. Jak sobie życzysz.

Zdumiony Roger kiwnął głową. Po chwili zdołał się odezwać.

- Dobrze.

Fraser kiwnął głową i zniknął tak szybko, jak się pojawił. Roger patrzył za nim przez puste drzwi.

Podniósł zapadkę i lekko pchnął drzwi chaty. Były zamknięte na zasuwę. Nie obudzi zatem Śpiącej Królowny pocałunkiem. Uniósł dłoń, by zapukać, ale zrezygnował. To nie ta bohaterka. Śpiąca Królowna nie miała ze sobą w łóżku rozdrażnionego krasnoludka, gotowego rozwrzeszczyć się przy najmniejszym zamieszaniu.

Okrzyknął niewielką chatę, sprawdzając okna. Przez głowę przelatowały mu takie imiona jak Gapcio i Apsik. Jak by nazwać tego małego? Piszczek? Śmierdziuszek?

Dom był szczelny jak bęben. Do okien przybito natłuszczone skóry. Mógł jedną oderwać, nie chciał jednak przestraszyć Brianny, włamując się do środka. Powoli obszedł dom raz jeszcze. Rozsądek nakazywał wrócić do gabinetu i poczekać do rana; wtedy będzie mógł z nią porozmawiać, to lepiej niż budzić ją i dziecko. Tak, niewątpliwie tak powinien postąpić. Poprosi Claire, żeby zajęła się małym skurczy... niemowlęciem. Będą mogli porozmawiać spokojnie, nie bojąc się, że ktoś im przerwie, pójść do lasu na spacer, porozumieć się. Tak, tak trzeba zrobić.

Dziesięć minut później miał za sobą dwie kolejne tury wokół domu. Stał w trawie, za chatą, patrząc na słaby blask przedostający się przez okno.

- I czym ty niby jesteś? - mruknął do siebie. - Ćmą?

Zanim zdążył udzielić sobie odpowiedzi, usłyszał skrzypienie desek. Wybiegł zza węgła akurat w porę, by ujrzeć postać w białej koszuli, sunącą jak duch ścieżką do wygodki.

- Brianna?

Postać obróciła się z cichym okrzykiem strachu.

- To tylko ja - powiedział i zauważył ciemny kształt jej ręki, przyciśnięty nad sercem do białego materiału koszuli.

- Co z tobą, dlaczego się tak skradasz? - spytała, rozniewana.

- Chcę porozmawiać.

Nie odpowiedziała, tylko odwróciła się i ruszyła dalej ścieżką.

- Powiedziałem: chcę z tobą porozmawiać - powtórzył głośniejszym głosem, idąc za nią.

- A ja chcę pójść do toalety. Odejdź. - Z głośnym trzaskiem zamknęła za sobą drzwi do wygodki.

Został na ścieżce i czekał, aż się znów pojawi. Wyszła, zwolniła kroku na jego widok, nie miała jednak jak go obejść - musiałyby wejść w wysoką, mokrą trawę.

- Nie powinieneś chodzić na tej nodze - upomniała go.

- Z nogą wszystko w porządku.

- Uważam, że powinieneś wrócić do łóżka.

- Dobrze - zgodził się i zagroził sobie ścieżką tuż przed nią. - Gdzie?

- Gdzie? - Zamarła w bezruchu, ale nie udawała, że nie rozumie.

- Tam? - Wskazał kciukiem nowy dom. - Czy tutaj?

- Ja... ach...

Jej matka powiedziała „bądź ostrożny”, jej ojciec powiedział „moja córka nie potrzebuje tchórza”. Mógłby rzucić monetą. W tym jednak momencie postanowił przyjąć radę Jamiego Frasera, i niech się dzieje, co chce.

- Powiedziałaś, że widziałas małżeństwo z

obowiązku i małżeństwo z miłości. Czy uważasz, że jedno wyklucza drugie?

Słuchaj, spędziłem trzy dni w tym cholernym kręgu, myśląc. I, na Boga, myślałem. Myślałem, żeby zostać, i myślałem, żeby odejść. I zostałem.

- Jak na razie. Nie wiesz, czego się wyrzekasz, zostając na dobre.

- Wiem. A nawet gdybym nie wiedział, to cholernie dobrze wiem, czego bym się wyrzekał, odchodząc. - Złapał ją za ramię. Przez szorstką, lekką gazę koszuli czuł, jak bardzo jest rozgrzana. - Nie mógłbym odejść i żyć z samym sobą, myśląc, że zostawiłem za sobą dziecko, które może być moje. Które jest moje. I nie mógłbym odejść i żyć bez ciebie.

Zawahała się, cofnęła lekko, próbując wywinąć się z jego uścisku.

- Mój ojciec... moi ojcowie...

- Słuchaj, nie jestem żadnym z twoich cholernych ojców, pozwól mi przynajmniej popęlniać własne błędy.

- Nie popełniłeś żadnych błędów - powiedziała zduszonym głosem.

- Nie, i ty też nie. Uniosła na niego wzrok.

- Gdybym ja nie... - zaczęła.

- I gdybym ja nie - przerwał jej zdecydowanie. - Daj spokój. Nie ma znaczenia, co zrobiliśmy, ty i ja. Powiedziałem, że nie jestem żadnym z twoich ojców, ale jest ich dwóch i dobrze ich znasz, znacznie lepiej niż ja. Czy Frank Randall nie kochał cię jak własne dziecko, nie przyjął cię jak dziecko swego serca, wiedząc, że jesteś z krwi innego mężczyzny, którego w dodatku miał powody

nienawidzić? - Złapał ją za drugie ramię i lekko potrząsnął. - A czy ten rudowłosy drań nie kocha twojej matki nad życie? I czy nie kocha cię tak, że nawet tę miłość poświęcił, by cię uratować? - Wydała z siebie zduszony dźwięk, na który ścisnęło mu się serce, nie puszczał jej jednak. - Jeśli wierzysz, że są do tego zdolni - wyszeptał - to, na Boga, musisz wierzyć także we mnie, bo jestem mężczyzną takim jak oni. I na wszystko, co najświętsze, naprawdę cię kocham. - Uniosła powoli głowę i poczuł na twarzy jej ciepły oddech. - Mamy czas - powiedział cicho i nagle zrozumiał, jak ważne było, by rozmawiać z nią teraz, tutaj, w ciemnościach. Sięgnął po jej dłoń i przycisnął do piersi. - Czy czujesz? Czy czujesz, jak bije mi serce?

- Tak - szepnęła i powoli przeniosła ich połączone dłonie na własną pierś, przyciskając jego dłoń do cienkiego, białego materiału.

- To jest nasz czas - powiedział. - Póki to się nie zatrzyma, dla jednego z nas, dla obojga, to jest nasz czas, teraz. Czy będziesz go marnować, Brianno, bo się boisz?

- Nie - odrzekła zduszonym głosem, ale wyraźnie. - Nie będę.

Od strony domu dobiegł ich płacz. Nagle pod dłonią poczuł zaskakujące, wilgotne ciepło.

- Muszę iść - powiedziała, odsuwając się. Zrobiła dwa kroki i odwróciła się. - Chodź. - Pobieгла po ścieżce przed nim, lekka i biała jak duch sarny.

Zanim dotarł do drzwi, zdążyła już wyjąć dziecko z kołyski.

Przed wyjściem do wygodki leżała w łóżku; kołdra była odrzucona, a na pierzynie odcisnął się kształt jej ciała.

Najwyraźniej skrępowana jego obecnością, przesunęła się obok i położyła.

- W nocy zwykle karmię go w łóżku. Śpi dłużej, jeśli jest koło mnie.

Mruknął coś potwierdzająco, przyciągając niskie krzesło do ognia. W pokoju było bardzo ciepło, a powietrze wypełniały zapachy gotowania, używanych pieluszek i Brianny. Jej zapach był teraz nieco inny; aromat dzikiej trawy złagodziła lekka, słodka woń, zapewne mleka.

Opuściła głowę, a rozpuszczone rude włosy spadały jej przez ramię kaskadą cieni. Koszulę rozpięła do pasa; pełna krzywizna piersi była wyraźnie widoczna, jedynie okrągła główka niemowlęcia zasłaniała sutek. Słyszał odgłos ssania. Jak gdyby czując na sobie jego oczy, uniosła głowę.

- Przepraszam - odezwał się cicho, by nie przeszkadzać dziecku.

- Nie mogę udawać, że nie patrzę.

Nie wiedział, czy się zarumieniła, bo ogień rzucał czerwone światło na jej twarz i piersi. Odwróciła jednak wzrok, jakby skrępowana.

- Nie ma tu wiele, na co warto patrzeć - powiedziała. Bez słowa wstał i zaczął się rozbierać.

- Co robisz? - mówiła cicho, ale z wyraźnym zaskoczeniem.

- To nie w porządku, że siedzę i gapię się na ciebie, prawda? Na mnie jeszcze mniej warto patrzeć, ale... - Przerwał, usiłując rozwiązać węzeł spodni. - Ale przynajmniej nie będziesz się czuła wystawiona na czyjeś spojrzenie jako jedyna.

- Ach. - Nie patrzył na nią, wydawało mu się jednak, że się uśmiechnęła. Zdjął koszulę, dobrze było czuć ogień na nagich plecach. Niezwykle skrępowany, wstał i zsunął nieco spodnie, zatrzymał się jednak. - Czy to striptiz? - Brianna starała się nie roześmiać głośno ze względu na dziecko, ale usta jej drżały.

- Nie umiem się zdecydować, czy odwrócić się tyłem, czy nie.

Co wolisz?

- Odwróć się tyłem - poprosiła miękko. - Na razie.

Tak zrobił. Udało mu się zdjąć spodnie, nie wpadając do kominka.

- Zostań tak przez chwilę, proszę. Lubię na ciebie patrzeć.

Wyprostował się i stał nieruchomo, wpatrzony w ogień. Zrobiło mu się nieco za ciepło, cofnął się więc o krok i nagle przyszedł mu do głowy obraz ojca Alexandre'a. Chryste, dlaczego teraz o tym myśli?

- Masz ślady na plecach, Roger - powiedziała Brianna jeszcze miększym głosem. - Kto cię zranił?

- Indianie. To nie ma znaczenia, nie teraz.

Nie związał ani nie ściał włosów; spadały mu na ramiona, łaskocząc nagą skórę pleców. Wyobrażał sobie jej spojrzenie, wędrujące niżej przez plecy, pośladki, uda i łydki.

- Teraz się odwrócę, dobrze?

- Nie będę zaszokowana - zapewniła go. - Oglądałam obrazki.

Tak samo jak jej ojciec potrafiła ukryć myśli. Nie umiał nic odczytać z szerokich ust i skośnych oczu. Czy

była zaszokowana, przestraszona, rozbawiona? Dlaczego miałyby być? Dotykała już wszystkiego, na co teraz patrzyła. Wówczas pieściła go i bawiła się nim tak intymnie, że zatracił się w jej rękach. Oddał się jej bez wahania, a ona jemu. To jednak było całe życie temu, w wolności, namiętności, gorących ciemnościach. Teraz stał przed nią po raz pierwszy nagi w świetle. Ona zaś przyglądała mu się, siedząc z dzieckiem w ramionach. Które z nich zmieniło się bardziej od ich nocy poślubnej?

Patrzyła na niego, przechyliwszy głowę, potem uśmiechnęła się i spojrzała mu w oczy. Wyprostowała plecy, zgrabnie przeniosła dziecko na drugą stronę i podała małemu drugą pierś, zostawiając rozsuniętą koszulę.

Nie mógł stać tam dłużej, ogień opalał mu włosy na pupie. Dał krok w bok i usiadł, nie spuszczać z niej wzroku.

- Jakie to uczucie? - spytał, częściowo by przerwać milczenie, zanim stanie się zbyt ciężkie, częściowo z rzeczywistej ciekawości.

- Bardzo miłe - powiedziała cicho, pochylając głowę nad dzieckiem. - Trochę jakby coś ciągnęło, lekko mrowiło... Gdy zaczyna ssać, coś się dzieje - mam takie uczucie, jakby całe moje ciało dążyło ku niemu.

- Czy to nie... Czy nie czujesz się wysuszona, czy nie czujesz, jakby coś z ciebie ubywało?

- Och nie, to zupełnie nie tak. Spójrz. - Wsunęła palec w usta maleństwa i z miękkim „pop” uwolniła pierś. Roger zobaczył sztywny sutek, z którego z niezwykłą siłą wylatywał cienki strumień mleka.

Zanim dziecko zdążyło zapłakać, przysunęła je

znowu do piersi, Roger natomiast poczuł na skórze piersi maleńkie kropelki, ciepłe, a po chwili nagle chłodne.

- Boże drogi, nie miałem pojęcia! To jak pistolet na wodę!

- Ja też nie miałam pojęcia. - Uśmiechnęła się znowu, obejmując dłonią małą główkę, potem spowaźniała.

- Wiele jest takich rzeczy, których nie byłam w stanie sobie wyobrazić, póki mi się nie przytrafiły.

- Bree. - Pochylił się, zapominając o swojej nagości, czując tylko potrzebę dotknięcia jej. - Bree, wiem, że się boisz, ja też. Nie chcę, byś się mnie bała - ale Bree, tak bardzo cię pragnę.

Oparł palce o jej okrągłe kolano. Po chwili przykryła lekko jego dłoń swoją.

- Ja też cię pragnę - szepnęła. Siedzieli nieruchomo przez chwilę, która wydawała się trwać całą wieczność. Nie miał pojęcia, co teraz robić. Wiedział tylko, że nie wolno mu się spieszyć, nie wolno mu jej przestraszyć. „Bądź ostrożny”.

Odgłosy ssania powoli ucichły. Zawiniątko w zgięciu jej ramienia zaciążyło.

- Zasnął - szepnęła. Poruszając się ostrożnie, jakby trzymała fiolkę z gliceryną, przesunęła się na brzeg łóżka i wstała. Zapewne zamierzała położyć synka w kołysce, ale Roger instynktownie uniósł ramiona. Zawahała się dosłownie na sekundę, zanim się pochyliła i złożyła mu dziecko w ramionach. W cieniu rozsuniętej koszuli widział pełne i ciężkie piersi, a gdy otarła się o niego, poczuł głęboki zapach jej ciała.

Dziecko było zaskakująco ciężkie i ciepłe, cieplejsze

nawet niż ciało jego matki. Roger ostrożnie przytulił do siebie zawiniątko. Małe pośladki wypełniły mu dłoń. Nie było całkiem łyse - głowę pokrywał mu miękki czerwono-blond meszek. Maleńkie uszka były niemal przezroczyste; to, które widział, było czerwone i jakby pomięte, bo przedtem przyciskało się do ramienia matki.

- Nie sposób rozpoznać - głos Brianny wyrwał go z kontemplacji.

- Próbowałam. - Stała po drugiej stronie pokoju, przy wysuniętej szufladzie komody. Wydawało mu się, że widzi żal na jej twarzy, ale cień był zbyt głęboki, by to wiedzieć na pewno.

- Nie dlatego mu się przyglądałem. - Ostrożnie złożył sobie dziecko na kolanach. - Chodzi tylko o to, że po raz pierwszy mogę się naprawdę przyjrzeć mojemu synowi. - Słowa na jego języku brzmiały dziwnie, jakby sztywno, Brianna jednak rozluźniła się lekko.

- Cóż, jest cały, ma wszystko jak trzeba. - W jej głosie usłyszał dumę, od której ścisnęło mu się serce. Przyjrzał się dokładnie.

Maleńkie piąstki leżały zaciśnięte, zwinięte jak muszla ślimaka. Ujął jedną i delikatnie pogłaskał kciukiem. Powoli rączka otworzyła się na tyle, by mógł wsunąć w nią czubek małego palca. Drobne paluszki objęły go instynktownie ze zdumiewającą siłą. Z drugiej strony pokoju dochodził go rytmiczny dźwięk - zdał sobie sprawę, że Brianna szcztokuje włosy. Chętnie by na to popatrzył, teraz był jednak zbyt zafascynowany, by podnieść wzrok. Maleństwo miało stópki jak żaba - szerokie przy paluszkach, z wąską piętą. Roger pogłaskał jedną stópkę

palcem i uśmiechnął się, gdy malutkie paluszki rozczapierzyły się. Nie mają jednak błony.

Mój syn - pomyślał, niepewny, co czuje na tę myśl. Chwilę potrwa, zanim się przyzwyczai. Przecież może nim być - przyszła następna myśl. Przecież może być nie tylko dzieckiem Brianny, kochanym ze względu na nią, ale jego własnym ciałem i krwią. Ta myśl była jeszcze dziwniejsza; starał się ją przegnać, ale wracała. Ich spotkanie w ciemności, ta gorzko - słodka mieszanka bólu i radości... Czy wtedy się to rozpoczęło? Nie leżało to wówczas w jego zamiarach - ale miał dziłą nadzieję, że tak właśnie było.

Dziecko ubrane było w długą koszulę z białego, cienkiego materiału. Uniósł ją, przyjrzał się pieluszce i doskonałemu owalowi maleńkiego pępka. Kierowany ciekawością, nad którą się nawet nie zastanawiał, wsunął palec pod pieluszkę i zsunął ją nieco do dołu.

- Powiedziałaś ci, że jest kompletny. - Brianna stała tuż obok.

- No, jest tam... ale czy nie jest trochę mały? - Roger był pełen wątpliwości.

Roześmiała się.

- Urośnie - zapewniła go. - Teraz jeszcze nie potrzebuje go tak bardzo. Może go już wezmę? - Wyciągnęła ręce po dziecko, Roger jednak pokręcił głową i podciągnął pieluchę.

- Jeszcze chwilę. - Mały pachniał mlekiem i czymś innym, słodkawo - zepsutym, trudnym do zdefiniowania. Roger nigdy się nie spotkał z takim zapachem.

- Mama nazywa to „Eau de Baby”. - Usiadła na łóżku, uśmiechając się lekko. - Mówi, że to naturalna

ochrona. Jedna z tych rzeczy, których niemowlęta używają, by powstrzymać rodziców przed zabiciem ich.

- Zabiciem? Przecież jest taki słodki - zaprotestował Roger.

Uniosła kpiąco jedną brew.

- Nie mieszkałeś z tym dzikusiem przez ostatni miesiąc. To pierwsza noc od trzech tygodni, podczas której nie ma kolki. Gdyby nie był mój, zostawiłabym go na wzgórzu.

Gdyby nie był mój... To niewątpliwie była nagroda matki - zawsze wiedziała. Przez krótką, zaskakującą chwilę poczuł zazdrość.

Dziecko poruszyło się i wydało z siebie cichy, słaby dźwięk.

Zanim zdążył drgnąć, Brianna już wstała i trzymała dziecko w ramionach, poklepując po plecach. Usłyszał delikatne beknięcie - i mały znów zasnął. Brianna zaniósła go do kołyski, ostrożnie kładąc na brzuchu, jakby był laską dynamitu. Przez cienki materiał, prześwietlony blaskiem ognia, widział zarys jej ciała. Gdy się odwróciła, był gotów.

- Gdy już się upewniłaś, mogłaś wrócić, miałaś jeszcze czas - przytrzymał wzrokiem jej oczy. - Teraz więc moja kolej, by spytać: co sprawiło, że na mnie czekałaś - miłość czy zobowiązanie?

- Jedno i drugie - odpowiedziała. Oczy miała niemal czarne. - Żadne z nich. Ja po prostu nie mogłam odejść bez ciebie.

Odetchnął głęboko, czując, jak znika ostatnia odrobina wątpliwości.

- Więc wiesz.

- Tak. - Uniosła ramiona i opuściła je, tym gestem zrzucając z siebie koszulę. Stała naga tak samo jak on. Były rude, na Boga, bardziej niż rude. Cała była złota i bursztynowa, z kości słoniowej i cynobru. Pragnął ją pragnieniem, które wykraczało poza ciało. - Powiedziałeś, że kochasz mnie nad wszystkie świętości - szepnęła. - A co jest dla ciebie święte, Roger?

Wstał i wyciągnął do niej rękę, delikatnie, ostrożnie przytulił do serca. Do głowy napłynęło mu wspomnienie śmierdzącej ładowni na „Glorianie” i chudej kobiety, która pachniała mlekiem i odchodami.

Wspomnienie ognia, bębnow i krwi, a także sieroty ochrzczonej imieniem ojca, który poświęcił się, bo bał się potęgi miłości.

- Ty - powiedział jej we włosy - on, my. Nie ma nic więcej, prawda?

68. Szczęście rodzinne

Sierpień 1770

Był to bardzo spokojny ranek. Dziecko przespało całą noc, za co obsypano je pochwałami. Dwie kury bardzo uprzejmie złożyły jajka w kurniku, a nie gdzieś pod krzakami, nie musiałam więc przedzierać się przez krzaczki czarnych jagód w poszukiwaniu śniadania. Ciasto na chleb wyrosło w misce na doskonałą śnieżną górę. Lizzie ukształtowała z niego bochenki, a ponieważ nowe palenisko postanowiło włączyć się w ogólny nastrój życzliwej współpracy, chleb upiekł się wspaniale, pokrywając się delikatną, brązową skórką i wypełniając zapachem cały dom. Na ruszcie przyjemnie skwierczała szynka i siekany indyk, dodając swój aromat do napływających przez otwarte

okno łagodniejszych porannych zapachów: wilgotnej trawy i letnich kwiatów.

To wszystko pomogło, ale ogólna atmosfera rozmarzonego ukontentowania wynikała bardziej z wydarzeń poprzedniej nocy niż tego ranka.

Poprzednia noc była po prostu doskonała, rozświetlona księżycem. Jamie zgasił świece i poszedł zaryglować drzwi, zamiast tego jednak zatrzymał się, oparty o framugę, patrząc w dół na dolinę.

- O co chodzi? - spytałam.

- Nic takiego - odpowiedział. - Chodź i sama zobacz.

W niesamowitym świetle wszystko wydawało się unosić w powietrzu, pozornie pozbawione głębi. Daleki wodospad jakby zamarł i zawisł w powietrzu, ale wiatr niósł ku nam słaby huk spadającej wody. Nocne powietrze przesycał zapach trawy i wilgoci, sosen i jodeł; od strony gór wiał chłodny wiatr. Zadrżałam w nocnej bieliźnie i przytuliłam się do Jamiego, szukając ciepła. Koszulę miał z boku rozciętą niemal do pasa, wsunęłam więc dłoń pod poję i objęłam jeden okrągły, ciepły pośladek. Pod dotknięciem Jamie napiął mięśnie i odwrócił się ku mnie. Nie odsunął się, cofnął się tylko o krok, by zerwać koszulę przez głowę. Stanął na ganku nagi i wyciągnął do mnie rękę. Światło księżyca srebrzyło mu włoski na ciele i rzeźbiło mięśnie. Widziałam każdy szczegół - od długich palców u nóg po falujące włosy - tak samo wyraźnie jak czarne łodygi jagodowych krzaczków na końcu podwórza. Jednak tak samo jak te krzaczki, Jamie wydawał się pozbawiony wymiarów. Mógł stać w odległości wyciągniętej ręki albo kilometra - nie wiedziałam.

Uniosłam ramiona i strząsnęłam z nich koszulę. Osunęła mi się po ciele i zebrała wokół stóp. Zostawiłam ją przy drzwiach i ujęłam Jamiego za rękę. Bez słowa popłynęliśmy przez trawę, weszliśmy do lasu z mokrymi nogami i chłodną skórą, nadal bez słowa zwróciliśmy się ku sobie, szukając ciepła, i razem wkroczyliśmy w pustą przestrzeń za grania.

Obudziliśmy się po zachodzie księżyca, w ciemnościach, przykryci opadłymi liśćmi i gałązkami, pogryzieni przez robaki i sztywni z zimna. Nie powiedzieliśmy do siebie ani słowa, tylko śmiejąc się i potykając jak pijani na korzeniach i kamieniach, pomogliśmy sobie nawzajem pokonać ciemny już las i wrócić do łóżka na krótką, godzinną drzemkę przed świtem.

Teraz, pochyliwszy się nad jego ramieniem, postawiłam przed nim miseczkę owsianki. Wyjęłam mu z włosów liść dębu i położyłam na stole obok miseczki. Obrócił głowę z uśmiechem w oczach, chwycił mnie za rękę, lekko pocałował, puścił i wrócił do jedzenia.

Dotknęłam jego karku i zobaczyłam, że uśmiech obejmuje także usta.

Podniosłam wzrok, także uśmiechnięta, i zobaczyłam, że Brianna przygląda się nam z ciepłem i zrozumieniem w oczach. Potem przeniosła wzrok na Rogera, który dość nieprzytomnie połykał owsiankę, wpatrując się w nią jak w obrazek.

Ten obrazek domowej sielanki przerwały tubalne ryki Clarence'a, zapowiadające gościa. Podchodząc do drzwi, pomyślałam, że brakuje mi Rolla - z drugiej strony Clarence przynajmniej nie skakał na gości, nie przewracał

ich na ziemię ani nie gonił wokół podwórka.

Gościem okazał się Duncan Innes, przybywający z zaproszeniem.

- Twoja ciotka pyta, czy nie zamierzasz przybyć na Zgromadzenie pod górą Helicon tej jesieni? Mówi, że dwa lata temu jej to obiecałeś.

Jamie podsunął Duncanowi talerz jajeczniczy.

- Nie myślałem o tym - odrzekł, marszcząc lekko brwi. - Mamy mnóstwo roboty w polu. Zamierzam poza tym zrobić dach nad całym domem, zanim spadnie śnieg. - Wskazał w górę na gałęzie i deski, które tymczasem chroniły nas przed kaprysami pogody.

- Z Baltimore ma przyjechać ksiądz - powiedział Duncan, starannie unikając patrzenia na Rogera czy Briannę. - Panna Jo sądziła, że może zechcecie ochrzcić małego.

- Ach tak? To warto rozważyć. - Jamie usiadł, zastanawiając się.

- Może więc rzeczywiście pojedziemy.

- To dobrze, twoja ciotka się ucieszy. - Duncan wyglądał, jakby zaczynał się krztusić. Na moich oczach powoli robił się coraz bardziej czerwony. Jamie pchnął dzbanek z cydrem w jego kierunku.

- Masz. Coś ci utkwilo w gardle, człowieku?

- Ach... nie. - Teraz już nikt nie poświęcał uwagi jedzeniu, tylko wszyscy z fascynacją śledzili zmiany koloru twarzy Duncana. Zanim udało mu się wydusić z siebie następne słowa, był już ciemnofioletowy. - Ja... no... znaczy się... chciałbym cię prosić, an fhearr Mac Dubh, o zgodę na małżeństwo pani Jokasty Cameron z... z...

- Z kim? - Jamie z trudem powstrzymywał się od śmiechu. - Z gubernatorem kolonii?

- Ze mną! - Duncan złapał kubek z cydrem i schował w nim twarz z taką ulgą jak tonący, który widzi zbliżającą się tratwę.

Jamie wybuchnął śmiechem, co oczywiście nie uspokoiło Duncana.

- Moją zgodę? Nie sądzisz, że moja ciotka jest pełnoletnia? I ty też, jeśli o to chodzi.

Duncan oddychał nieco łatwiej, choć policzki wciąż miał purpurowe.

- Uważałem to za konieczne - powiedział nieco sztywno - ponieważ jesteś jej najbliższym krewnym. - Odchrząknął i trochę się rozluźnił. - Poza tym wydawało mi się, że nie jest całkiem właściwe, Mac Dubh, iż zabiorę coś, co mogłoby być twoje.

Jamie uśmiechnął się i pokręcił głową.

- Nie mam pretensji do żadnej części własności mojej ciotki, Duncanie, i nie wziąłem niczego, gdy mi ofiarowywała. Czy pobierzecie się podczas Zgromadzenia? Powiedz jej więc, że przybędziemy i zatańczymy na weselu.

69. *Jeremiah*

Październik 1770

Roger jechał z Claire i Fergusiem tuż koło wozu. Jamie uznał, że nie może powierzyć Briannie prowadzenia pojazdu, w którym znajduje się jego wnuk, uparł się więc, że to on będzie powozić.

Lizzie i Marsali siedziały na wozie, a Brianna na koźle obok ojca.

Roger słyszał fragmenty dyskusji, która toczyła się

od jego przybycia.

- John, na pewno - mówiła Brianna, patrząc z namysłem na syna, który energicznie wiercił się pod jej szalem. - Nie wiem jednak, czy to powinno być jego pierwsze imię. A jeśli tak, to może w formie Ian?

To przecież John po gaelicku. Chciałabym go tak nazwać, ale czy nie byłoby to zbyt mylące? Jest przecież wuj Ian i nasz Ian...

- Żadnego z nich akurat tu nie ma, więc nie sędzę, by to było kłopotliwe - wtrąciła Marsali. Rzuciła okiem na plecy ojczyma. - Czy nie mówiłaś, że chciałabyś użyć też jednego z imion taty?

- Tak, ale którego? - Brianna odwróciła się, by łatwiej rozmawiać z Marsali. - Nie James, bo to naprawdę byłoby mylące, a z kolei Malcolm niezbyt mi się podoba. Będzie też MacKenzie, oczywiście, więc może... - Uchwyciła wzrok Rogera i uśmiechnęła się. - A może Jeremia?

- John Jeremia Alexander Fraser MacKenzie? - Marsali zmarszczyła brwi i wypowiedziała imiona na głos, by poczuć ich smak.

- Jeremia mi się podoba - wtrąciła się Claire. - Bardzo starotestamentowe. To jedno z twoich imion, prawda, Roger? - Uśmiechnęła się do niego i skierowała konia bliżej wozu, by porozmawiać z Brianną. - Poza tym, jeśli Jeremia brzmi nazbyt oficjalnie, możesz go nazywać Jemmy. Chociaż to też może wymawia się zanadto jak „Jamie”?

Rogera nagle przebiegł drobny dreszcz. Przypomniało mu się inne dziecko, do którego matka

mówiła „Jemmy”. Dziecko, którego ojciec miał jasne włosy i oczy tak zielone jak Roger.

Zaczekał, aż Brianna zajęła się poszukiwaniem czystej pieluszki w torbie i podała na chwilę Lizzie marudzące dziecko. Uderzył kolanami konia i zbliżył się do klaczy Claire.

- Czy pamiętasz, jak po raz pierwszy odszukałaś mnie w Inverness, razem z Brianną? - spytał cicho. - Znałaś już wtedy całą moją genealogię.

- Tak? - Spojrzała na niego pytająco.

- To było dawno, a pewnie i tak nie zwróciłaś na to uwagi... - zawahał się, ale musiał spytać. - Wskazałaś mi miejsce w moim „drzewie genealogicznym”, gdzie nastąpiła zamiana. Dziecko Geillis Duncan i Dougala zostało adoptowane na miejsce innego dziecka, które umarło. Dostało też jego imię.

- William Buccleigh MacKenzie - powiedziała natychmiast i uśmiechnęła się, widząc jego zdziwienie. - Dość dokładnie zbadałam tę genealogię. Zapewne jestem w stanie wymienić wszystkie imiona - dodała.

Odetchnął głęboko, czując się niepewnie.

- Naprawdę? Zastanawiam się... czy znasz może imię żony tego zamienionego chłopaka? Mojej praprapraprapraprababki. Na moim drzewie genealogicznym nie było jej imienia, tylko William Buccleigh.

Zamyśliła się, przykrywając złote oczy miękkimi rzęsami.

Wydęła wargi.

- Tak - powiedziała w końcu i spojrzała na niego. -

Morag, nazywała się Morag Gunn. Czemu pytasz?

Pokręcił głową, zbyt wstrząśnięty, by odpowiedzieć. Spojrzał na Briannę. Na wpół nagie dziecko leżało na jej kolanach, mokra pieluszka rzucona na koźle obok. Przypomniał sobie gładką, wilgotną skórę i mokrą pieluchę małego chłopca imieniem Jemmy.

- A ich syn miał na imię Jeremiaś - powiedział w końcu tak cicho, że Claire musiała się nachylić ku niemu, by usłyszeć.

- Tak. - Spojrzała na niego z ciekawością, a potem odwróciła wzrok na krętą drogę przed nimi, znikającą wśród ciemnych sosen. - Pytałam Geillis - dodała nagle. - Pytałam ją dlaczego. Dlaczego jesteśmy w stanie to robić.

- Czy miała odpowiedź? - Roger wpatrywał się w siedzącego mu na przegubie gza, nie widząc go jednak.

- Powiedziała „by zmienić”. - Claire uśmiechnęła się. - Nie wiem, czy to jest odpowiedź, czy nie.

70. Zgromadzenie

Ostatni raz byłam na Zgromadzeniu niemal trzydzieści lat temu.

Odbywało się ono wówczas w Leoch, gdzie klan MacKenziech składał przysięgę. Nie żył już ani Colum MacKenzie, ani Dougal, ani nikt z pozostałych członków klanu. Leoch leżało w ruinie. Nie będzie już zgromadzeń klanów w Szkocji.

Tu jednak widziałam pledy i dudy, a także samych górali, wciąż dumnych, wciąż zaciekłych. Osiedlili się w nowych górach, które uznali za własne. MacNeillowie i Campbellowie, Buchananowie i Lindleyowie, MacLeodowie i MacDonaldowie, rodziny, niewolnicy i

służba, niewolni mężczyźni i właściciele ziemscy.

Rozejrzałam się wśród tłumu - przede mną było kilkadziesiąt obozowisk - szukając Jamiego, zamiast niego jednak zobaczyłam znaną wysoką postać, przeciskającą się swobodnie między ludźmi.

Wstałam i zamachałam, wołając głośno: „Panie Myers, panie Myers!”.

John Quincy Myers dostrzegł mnie, rozpromienił się i ruszył w górę zbocza, do naszego obozowiska.

- Pani Claire! - wykrzyknął, zdejmując swój okropny kapelusz i jak zwykle szarmancko pochylając się nad moją dłońią. - Tak się cieszę, że panią widzę.

- Odwzajemniam to uczucie - zapewniłam go, uśmiechając się. - Nie spodziewałam się tu pana zobaczyć.

- Och, zazwyczaj staram się bywać na Zgromadzeniach. - Wyprostował się i patrzył na mnie z szerokim uśmiechem. — Jeśli zdołam zejść z gór na czas. To dobre miejsce, by sprzedać skóry i różne inne drobiazgi, których muszę się pozbyć. Co mi przypomina... - Powoli, metodycznie zaczął przeglądać zawartość wielkiej sakwy z koziej skóry.

- Czy był pan daleko na północy, panie Myers?

- Och tak, rzeczywiście daleko, pani Claire. W połowie biegu rzeki Mohawk. Doszedłem do miejsca zwanego Upper Castle.

- U Mohawków? - Serce zabiło mi szybciej.

- Mhm. - Wyciągnął coś z sakwy, przyjrzał się temu, włożył z powrotem i szukał dalej. - Proszę sobie wyobrazić moje zdumienie, pani Claire, gdy zatrzymałem się w wiosce Mohawków i ujrzałem znajomą twarz.

- Ian! Widział pan Iana? Czy z nim wszystko w porządku?! - Byłam tak podniecona, że złapałam go za ramię.

- Och, tak - zapewnił mnie. - Przystojny chłopak, choć przyznaję, że wstrząsnął mną jego widok. Ubrany jak wojownik, z twarzą tak opaloną, że mógłbym wziąć go za Indianina, gdyby nie zawołał mnie po nazwisku.

W końcu znalazł to, czego szukał, i podał mi maleńką paczuszkę, owiniętą cienką skórą i obwiązaną rzemykiem. Przez węzeł przepchnięte było pióro dzięcioła.

- Powierzył mi to, bym przyniósł to pani i pani małżonkowi. - Uśmiechnął się życzliwie. - Jestem pewien, że chce pani to natychmiast przeczytać, więc przyjdę nieco później, pani Claire. - Ukłonił się bardzo oficjalnie i odszedł, cały czas witając się z różnymi znajomymi.

Nie chciałam otwierać listu bez Jamiego, ale na szczęście pojawił się kilka minut później. List został napisany na kartce wydartej chyba z książki, atramentem w bladobrazowym kolorze, zrobionym z dębowych galasówek, ale czytelnym. Ian salutavit avunculus Jacobus - zaczynał się list. Jamie uśmiechnął się szeroko.

Ave! Ponieważ to wyczerpuje wszystko, co pamiętam z języka łacińskiego, muszę teraz przejść na zwykły angielski, z którego pamiętam znacznie więcej. Czuję się dobrze, wuju, i jestem szczęśliwy. Proszę, byś w to uwierzył. Pojąłem żonę zgodnie ze zwyczajami Mohawków i mieszkam w domu mojej żony. Pamiętasz zapewne Emily, która tak zręcznie rzeźbi. Rollo spłodził wiele szczeniąt, pełno ich w całej wiosce - małych wilkowatych replik. Nie mogę liczyć na taką samą płodność,

mam jednak nadzieję, że napiszesz do mojej Matki z życzeniem, by - choć ma tak wiele wnuków - nie zapomniała o dodaniu do nich jednego więcej, który przyjdzie na świat wiosną. Gdy tylko mi się uda, przyślę wam słowo na ten temat. Tymczasem bądź tak dobry i prześlij moje pozdrowienia wszystkim w Lallybroch, River Run i Fraser's Ridge. Pamiętam wszystkich z uczuciem i będę, jak długo żyję. Przesyłam uściski cioteczce Claire, kuzynce Briannie, a przede wszystkim Tobie. Twój oddany siostrzeniec Ian Murray. Vale, avunculus.

Jamie zamrugał raz czy dwa i starannie składając wytartą kartkę, wsunął ją do sporranu.

- Powinno być „Avuncule”, ty idioto - powiedział cicho. - Powitanie wymaga wołacza.

Tego wieczoru, rozglądając się po obozowiskach, uznałam, że przybyły chyba wszystkie szkockie rodziny mieszkające między Filadelfią a Charlestonem. A jednak następnego ranka o świcie przybyło ich więcej, a przez cały dzień pojawiały się nowe.

Drugiego ranka, gdy Lizzie, Brianna i ja porównywałyśmy niemowlęta z dwoma córkami Farquarda Campbella, Jamie z rozpromienioną twarzą przepchnął się przez tłum kobiet i dzieci.

- Panno Lizzie - powiedział - mam dla pani niespodziankę.

Równie rozpromieniony Fergus wynurzył się zza wozu, prowadząc za sobą drobnego mężczyznę o rozwianych, cienkich włosach.

- Tato! - wrzasnęła Lizzie i rzuciła mu się w ramiona. Ze zdumionym wyrazem twarzy Jamie wsunął

palec w ucho i pokręcił.

- Chyba nigdy wcześniej nie słyszałem, żeby wydała z siebie tak głośny dźwięk - powiedział. Uśmiechnął się do mnie i podał mi dwa kawałki papieru, stanowiącego kiedyś część jednego dokumentu.

Zostały rozdarte, ale poszarpany brzeg jednego pasował do poszarpanego brzegu drugiego. - To kontrakt pana Wemyssa - wyjaśnił. - Odłóż go gdzieś na razie, Angielko. Dziś wieczorem spalimy go w ognisku.

I zniknął z powrotem w tłumie, wezwany okrzykiem „Mac Dubh!” z drugiej strony polany.

Do trzeciego dnia Zgromadzenia usłyszałam już tyle nowin, plotek i ogólnie gadaniny, że gaelickie dźwięki dudniły mi w uszach.

Ci, którzy nie rozmawiali - śpiewali. Roger był w swoim żywiole, wędrował po polanie i słuchał. Zachrypnął już od śpiewania; nie kładł się przez większą część poprzedniej nocy, grał na pożyczonej gitarze i śpiewał tłumowi zachwyconych słuchaczy, a Brianna siedziała u jego stóp, wyglądając na bardzo zadowoloną z siebie.

- Dobry jest w tym? - wymruczał do mnie pełen wątpliwości Jamie, patrząc na domniemanego zięcia.

- Jest lepszy niż dobry - zapewniłam go.

Uniósł brew i wzruszył ramionami, pochylił się i wziął ode mnie dziecko.

- Cóż, wierzę ci na słowo. Myślę, że mały Ruaidh i ja pójdziemy znaleźć jakąś grę w kości.

- Idziesz na hazard z niemowlęciem?

- Oczywiście - zachichotał. - Nigdy nie jest za wcześnie, by nauczyć się uczciwego zajęcia. Na wypadek,

gdyby nie potrafił zarobić śpiewem na kolację jak jego tato.

- Kiedy robisz tłuczoną brukiew - powiedziałam - pamiętaj, żeby razem z korzeniem gotować liście. Potem zachowaj wodę, w której się gotowała, i daj ją pić dzieciom. Ty też się napij, pomoże ci na mleko.

Maisri Buchanan przycisnęła do piersi najmłodsze dziecko i poważnie pokiwała głową, zapamiętując moją radę. Większości nowych emigrantów nie byłam w stanie przekonać, ani by jedli zieleninę na surowo, ani by podawali ją rodzinom. Od czasu do czasu jednak udawało mi się wprowadzić do ich zwykłej diety odrobinę witaminy C. Ich codzienne pożywienie składało się głównie z owsianki i dziczyzny.

Zdołałam nawet skłonić Jamiego, żeby publicznie zjadł talerz pokrojonych pomidorów; miałam nadzieję, że ten widok rozwieje obawy nowych emigrantów. To się jednak nie udało, bo większość z nich patrzyła na niego z zabobonnym lękiem. Dano Jamiemu do zrozumienia, że oczywiście przeżyje większość rzeczy, które zabiłyby normalną osobę.

Odesłałam Maisri i zajęłam się następnym gościem, przybyłym do naprędce urządzonej kliniki. Była to kobieta z dwiema dziewczynkami, pokrytymi przypominającą egzemę wysypką.

Początkowo wydawało mi się, że to też jest wynik niewłaściwego odżywiania, na szczęście okazało się, że to trujący bluszcz.

Uświadomiłam sobie, że na zewnątrz, w tłumie, nastąpiło jakieś poruszenie, przerwałam więc lekarskie zajęcia i odwróciłam się, by zobaczyć, kto przybył. Na

końcu polany słońce rozbłyskiwało na metalu. Nie tylko Jamie położył rękę na broni czy trzonku noża.

Wyszli na słońce marszowym krokiem, choć uderzali w werble delikatnie, tylko „tap, tap” o brzeg, by pomóc utrzymać krok.

Muszkiety skierowali w niebo, pałasze chwiały im się u boku jak ogony skorpionów. Cały oddział wynurzył się z lasu parami. Mieli szkarłatne kurtki i zielone kilty, owijające im się wokół nóg.

Cztery, sześć, osiem, dziesięć... Liczyłam ich w milczeniu, tak jak wszyscy inni. Czterdziestu mężczyzn patrzących przed siebie spod czap z niedźwiedziej skóry. Nie rozglądali się ani na lewo, ani na prawo, nie wydawali żadnego dźwięku; słyszeliśmy tylko szuranie ich stóp i uderzanie w bęben.

Dostrzegłam, że po drugiej stronie polany MacNeill z Barry wstał i wyprostował się. Ludzie wokół niego poruszyli się lekko; kilka kroków - i już otaczała go grupa mężczyzn. Nie musiałam się oglądać, by wyczuć, że to samo działo się za mną. Raczej poczułam, niż zobaczyłam, podobne skupianie się u stóp góry. Każda grupa jednym okiem patrzyła na intruzów, drugim na swego wodza.

Obejrzałam się za Brianną i z zaskoczeniem, choć bez zdziwienia, zobaczyłam ją tuż za sobą. Trzymała w ramionach dziecko i wpatrywała się w przybyszów nad moim ramieniem.

- Kto to jest? - spytała cicho. Słyszałam echo jej pytania, biegnące przez zgromadzenie jak kręgi po wodzie.

- Oddział górali - powiedziałam.

- To widzę - odrzuciła cierpko. - Przyjaciele czy

wrogowie?

To właśnie stanowiło niewiadomą - czy przybyli tu jako Szkoci, czy jako żołnierze. Nikt nie znał odpowiedzi na to pytanie, sądząc po tym, jak ludzie w tłumie przestępowali z nogi na nogę i mrużeli do siebie nawzajem. Zdarzało się już oczywiście, że wysyłano żołnierzy, by rozproszyli wichrzycielskie zgrupowania, ale przecież nie takie zgromadzenie jak to, niemające żadnego politycznego celu.

Bywały jednak takie czasy, że sama obecność grupy Szkotów w jednym miejscu stanowiła polityczną deklarację. Większość tu obecnych takie czasy pamiętała. Pomruk stawał się coraz głośniejszy.

Mówiono po gaelicku - cicho, ale z rosnącą gwałtownością. Drogą podążało czterdziestu żołnierzy z bronią palną i pałaszami. Na Zgromadzenie zaś przybyło dwustu Szkotów, większość z nich uzbrojona. Niektórym towarzyszyli niewolnicy i służba, ale także żony i dzieci.

Pomyślałam o dniach po Culloden i nie oglądając się, powiedziałam do Brianny:

- Jeśli coś się zdarzy - cokolwiek - zabierz dziecko wyżej, między skały. Nagle pole widzenia przesłonił mi Roger, który nie odrywał wzroku od żołnierzy. Nie patrzył na Jamiego, tylko poruszał się cicho; teraz więc stali ramie w ramie przed nami, jak zaporą. Na całej polanie działo się to samo. Kobiety nie cofnęły się ani o piędź, ale ich mężczyźni wysunęli się do przodu. Gdyby ktoś teraz wyszedł na polanę, pomyślałby, że kobiety stały się niewidzialne, że jest tu tylko nieprzejednana gromada Szkotów, patrzących w dół z boczna.

Z cienia drzew wyjechało na koniach dwóch

mężczyzn - oficer i jego adiutant, trzymający pułkowy sztandar. Przejechali wzdłuż kolumny żołnierzy i zagłębili się w tłumie. Zobaczyłam, że adiutant pochyla się z konia i zadaje jakieś pytanie, głowa oficera zaś odwraca się w naszym kierunku.

Wydał rozkaz i żołnierze stanęli w pozycji „spocznij”, opierając kolby muszkietów o ziemię i rozstawiając nogi. Oficer zwrócił konia w tłum i przepychał się powoli, zbliżając w naszą stronę. Widziałam, że już z daleka wpatruje się w Jamiego, który rzucał się w oczy przez swój wzrost i włosy jarzące się jak jesienne liście klonu.

Mężczyzna zatrzymał konia przed nami, zdjął kapelusz, zsunął się na ziemię, dał dwa kroki ku Jamiemu i uklonił się sztywno. Miał może trzydziestkę; był niewysoki, ale solidnie zbudowany, a ciemne oczy lśniły mu jak ryngraf zawieszony pod szyją. Z bliska dostrzegłam coś, czego nie zauważyłam przedtem - niewielki kawałek metalu przypięty do ramienia czerwonej kurtki: pociętą broszę, pozłożoną i matową.

- Nazywam się Airchie Hayes - powiedział po szkocku. Oczy utkwili w twarzy Jamiego. - Podobno znaliście mego ojca.

71. Domknięcie kręgu

- Mam ci coś do powiedzenia. - Roger już od jakiegoś czasu próbował złapać Jamiego Frasera samego, ten jednak był bardzo popularny, wszyscy chcieli z nim choć przez chwilę porozmawiać.

Akurat teraz jednak był sam. Siedział na przewróconym pniu; spojrzął na Rogera, uniósł brwi, ale

wskazał mu głową miejsce obok siebie.

Roger usiadł z dzieckiem w ramionach. Brianna i Lizzie przygotowywały obiad, a Claire poszła z wizytą do Cameronów z Isle Fleur, którzy niedaleko rozpalili ognisko. Nocne powietrze przesycił zapach dymu z palących się bierwion, a nie torfu, ale pod wieloma względami mogło wydawać się, że są w Szkocji.

Jamie wpatrywał się w głowę małego Jemmy'ego, pokrytą lśniącym w świetle ognia miedzianym meszkiem. Wyciągnął ramiona i Roger niemal bez wahania podał mu śpiące dziecko.

- Balach Boidheach - mruknął Jamie, gdy dziecko się poruszyło.

- Tak, wszystko w porządku. - Uniósł wzrok na Rogera. - Mówiłeś, że masz mi coś do powiedzenia.

Roger skinął głową.

- Tak, choć nie od siebie. Można powiedzieć, że to wiadomość przekazana przez kogoś innego.

Jamie pytająco uniósł brew w geście tak bardzo przypominającym Briannę, że Roger aż się lekko wzdrygnął. By nie pokazać zmieszania, zakaształ.

- Ja... no... Gdy Brianna poszła do kamieni na Craigh na Dun, musiałem poczekać kilka tygodni, zanim mogłem za nią podążyć.

Jamie spojrzał na niego czujnie, jak zawsze na wspomnienie kamiennych kręgów.

- Pojechałem do Inverness - mówił dalej Roger, nie spuszczać wzroku z teścia. - Zatrzymałem się w domu, w którym dawniej mieszkał mój ojciec. Część czasu poświęciłem na porządkowanie jego papierów. Lubił

chować listy i różne stare śmieci.

Jamie kiwnął głową, najwyraźniej zastanawiając się, o co Rogerowi chodzi. Uprzejmość nie pozwalała mu jednak przerwać.

- Znalazłem list. - Roger odetchnął głęboko, czując, jak serce wali mu w piersi. - Nauczyłem się go na pamięć, myśląc, że jeśli znajdę Claire, powiem jej o tym. Potem jednak, gdy ją znalazłem, nie byłem pewien, czy powinienem jej powiedzieć ani czy powinienem powiedzieć Briannie. - Wzruszył ramionami.

- I mnie pytasz, czy powinieneś im powiedzieć? - Najwyraźniej zdziwiony, Jamie uniósł krzaczaste, rude brwi.

- Może i tak. Jednak gdy się zastanowiłem, przyszło mi do głowy, że być może list bardziej dotyczy ciebie niż nich. - Teraz, gdy nadeszła ta chwila, Roger poczuł dla Frasera coś w rodzaju współczucia. - Wiesz, że mój ojciec był duchownym? List był adresowany do niego. Przypuszczam, że stanowił coś w rodzaju spowiedzi, objęty był tajemnicą. Ale chyba po śmierci ta tajemnica już nie obowiązuje.

Roger odetchnął głęboko i zamknął oczy, widząc przed sobą stronę pokrytą starannym, kanciastym pismem. Przeczytał ją ponad sto razy, był pewien każdego słowa.

- List brzmiał następująco:

Drogi Reg,

od czegoś boli mnie serce, to znaczy od czegoś poza Claire (to miała być ironia). Doktor mówi, że jeśli będę uważał, może wytrzymać jeszcze lata, i mam nadzieję, że tak będzie. Ale muszę się liczyć z inną ewentualnością.

Zakonnice w szkole Bree zawsze straszyły dzieci, opowiadając, co czeka grzeszników, którzy umierają bez rozgrzeszenia. I niech mnie diabli (wybacz mi to wyrażenie), ale nie boję się tego, co będzie potem - jeśli cokolwiek. Jednak muszę się liczyć także i z taką możliwością.

Z oczywistych względów nie jest to coś, co mogę opowiedzieć mojemu proboszczowi. Zapewne nie dojrzałby w tym grzechu, a być może nawet wymknąłby się dyskretnie, by zatelefonować po psychiatrę.

Ty jednak jesteś duchownym, Reg, choć nie katolickim, a co ważniejsze - jesteś moim przyjacielem. Nie musisz odpowiadać na mój list; chyba żadna odpowiedź nie jest zresztą możliwa. Możesz mnie jednak wysłuchać - umiejętność słuchania to jeden z Twoich wielkich darów. Czy już Ci to mówiłem?

Zwlekam, choć nie wiem dlaczego. Najlepiej mówić wprost.

Przypominasz sobie, że kilka lat temu poprosiłem Cię o przysługę - chodziło mi o te kamienie nagrobne w St. Kilda. Ponieważ jesteś przyjacielem, nigdy nie zadawałeś pytań. Pora jednak, bym Ci powiedział, w czym rzecz.

Bóg jeden wie, dlaczego Czarnego Jacka Randalla zostawiono na tym szkockim wzgórzu, a nie pochowano w domu w Sussex. Może nikt o niego nie dbał na tyle, by go sprowadzić do domu. To smutne, mam nadzieję, że nie o to chodziło.

Został jednak tam. Jeśli Bree kiedykolwiek zainteresuje się własną historią, moją historią, zacznie szukać i tam go znajdzie. W rodzinnych papierach

natrafiłem na wzmiankę o miejscu jego pochówku. Dlatego poprosiłem Cię, byś obok ustawił inny kamień.

Będzie rzucał się w oczy, bo wszystkie pozostałe kamienie na tym cmentarzu kruszą się już ze starości.

Jestem pewien, że któregoś dnia Claire zabierze ją do Szkocji.

Jeśli uda się do St. Kilda, zobaczy kamień. Każdy, kto idzie na stary cmentarz, przede wszystkim patrzy na kamienie. Jeśli się zacznie zastanawiać, jeśli zacznie szukać dalej, jeśli spyta Claire... Cóż, do tego miejsca jestem gotów się posunąć. Zrobiłem gest. Co się dalej stanie - zostawiam losowi.

Znasz te wszystkie głupoty, które Claire opowiadała po powrocie.

Zrobiłem, co mogłem, by wybić jej to z głowy, ale nie poddawała się.

Boże, jaka ta kobieta jest uparta!

Być może będziesz miał mi to za złe, ale gdy ostatnim razem Cię odwiedzałem, pożyczyłem samochód i pojechałem na to przekłete wzgórze, na Craigh na Dun. Opowiadałem ci, że tuż przed zniknięciem Claire widziałem czarownice tańczące w kręgu. Mając w pamięci ten niesamowity widok, stojąc tam wśród kamieni wczesnym rankiem, niemal potrafiłem jej uwierzyć. Dotknąłem jednego kamienia; oczywiście nic się nie wydarzyło.

A jednak szukałem. Szukałem tego człowieka - Frasera. I być może go znalazłem. W każdym razie znalazłem kogoś o tym nazwisku. To, czego zdołałem się dowiedzieć o jego rodzinie, pasowało do tego, co opowiadała mi Claire. Czy mówiła prawdę, czy też

rzeczywiste doświadczenia zwały się z jakimiś urojeniami...
Cóż, jestem pewien, że musiał być jakiś mężczyzna.

Trudno Ci będzie w to uwierzyć, ale stałem tam, oparty o ten cholerny kamień, i ze wszystkich sił pragnąłem, by się otworzył, bym mógł stanąć twarzą w twarz z Jamesem Fraserem - kimkolwiek był, kiedykolwiek był. Niczego nie pragnąłem w życiu tak bardzo, jak go zobaczyć - i zabić.

Nigdy go nie widziałem - nie wiem nawet, czy rzeczywiście istniał - a jednak nienawidzę tego człowieka, jak nigdy nikogo nie nienawidziłem. Jeśli to, co mówiła Claire i czego się dowiedziałem, jest prawdą, to odebrałem mu ją i zachowałem przy sobie przez te wszystkie lata dzięki kłamstwu. Może jedynie kłamstwu niedopowiedzenia, ale i tak kłamstwu. Zapewne mógłbym nazwać to zemstą.

Kapłani i poeci nazywają zemstę obusiecznym mieczem. Drugim ostrzem jest to, że nigdy nie będę wiedział. Czy - gdybym dał jej wybór - zostałyby ze mną? Gdybym jej powiedział, że jej jamie przeżył Culloden, czy natychmiast ruszyłaby z powrotem do Szkocji?

Nie wierzę, że Claire opuściłaby córkę. Mam nadzieję, że nie opuściłaby także i mnie... ale... gdybym był tego pewien, przysięgam, że bym jej powiedział. Jednak nie jestem i taka jest prawda.

Fraser. Czy powinienem go przeklinać za to, że ukradł mi żonę, czy błogosławić za to, że dał mi córkę? Myślę o tym, a potem przestaję - przerażony, że choć przez chwilę mogłem uwierzyć w tak nieprawdopodobną teorię. A jednak... w przedziwny sposób czuję Jamesa Frasera. Jest

niemal uchwytnym wspomnieniem, jak gdybym gdzieś, kiedyś musiał go spotkać. Choć zapewne to tylko efekt zazdrości i wyobraźni. Wiem oczywiście, jak ten drań wygląda - codziennie widzę jego twarz, gdy spoglądam na moją córkę.

To jest jednak dziwne - to poczucie obowiązku. Nie tylko wobec Bree, choć uważam, że ma prawo wiedzieć - później. Powiedziałem Ci już, że niemal czuję tego skurwysyna. Śmieszne jest to, że to uczucie nie mija. Czasami naprawdę niemal mam wrażenie, jakby patrzył mi przez ramię, jakby stał po drugiej stronie pokoju.

Przedtem nie przyszło mi to do głowy - czy sądzisz, że zobaczymy się gdzieś w zaświatach, jeśli takie istnieją? Śmieszna myśl. Czy spotkamy się jako przyjaciele, wolni od grzechów ciała, czy na zawsze już utkwimy w celtyckim piekle, trzymając się nawzajem za gardła?

Potraktowałem Claire źle - albo dobrze, zależy, jak się na to patrzy. Nie będę wchodził w ponure szczegóły. Wystarczy, że jest mi przykro.

Więc tak to jest, Reg. Nienawiść, kłamstwo, kradzież, zdrada - wszystko. A na drugiej szali niewiele, tylko miłość. Kocham ją, kocham je, te moje kobiety. Może nie jest to właściwy rodzaj miłości, może niewystarczający, ale to wszystko, co mam.

Jednak nie chcę umierać bez rozgrzeszenia i mam nadzieję, że udzielisz mi warunkowej absencji. Wychowałem Bree jako katoliczkę; czy Twoim zdaniem mogę mieć nadzieję, że będzie się za mnie modlić?

- List podpisany był „Frank”, oczywiście - zakończył Roger.

- Oczywiście - powtórzył cicho Jamie.

Siedział nieruchomo z nieprzeniknioną twarzą, Roger wiedział jednak dobrze, jakie myśli przebiegają mu przez głowę - te, z którymi sam walczył w tych tygodniach między Beltane a letnim przesileniem, szukając Brianny za oceanem, podczas niewoli i później, w piekle rododendronów, słysząc pieśń kamiennego kręgu.

Gdyby Frank Randall utrzymał w tajemnicy to, czego się dowiedział, gdyby nigdy nie umieścił tego kamienia w St. Kilda - czy Claire i tak dowiedziałyby się prawdy? Może tak, może nie. Ale to właśnie widok tego fałszywego grobu skłonił ją do opowiedzenia córce historii Jamiego Fräsera i skierowania Rogera na trop, który doprowadził ich wszystkich w to miejsce i w ten czas.

To ten kamień wysłał Claire z powrotem, w ramiona szkockiego kochanka - i zapewne na śmierć w tych ramionach. To ten kamień oddał córkę Franka Randalla drugiemu ojcu i równocześnie skazał ją na życie w czasie, który nie był jej czasem. To ten kamień doprowadził do narodzin rudowłosego chłopca, który inaczej być może nie przyszedłby na świat, a teraz nosił w sobie krew Jamiego Fräsera. Czy to procent od dawnego długu?

Roger myślał również o innych sprawach, o innym chłopcu, który być może nie narodziłby się, gdyby nie ten znak w postaci kamienia, zostawiony przez Franka Randalla jak prośba o wybaczenie. Morag i William MacKenzie nie pojawili się na Zgromadzeniu. Roger nie wiedział, czy powinien czuć rozczarowanie, czy ulgę.

Jamie Fraser poruszył się, choć wciąż wpatrywał się w ogień.

- Angliku - powiedział cicho, jakby wymawiał zakłęcie. Włosy na karku Rogera podniosły się lekko, bo wydało mu się, że coś poruszyło się w płomieniach.

Jamie obejmował wnuka, ale wyraz twarzy świadczył, że jest myślami gdzieś daleko.

- Angliku - powtórzył do tego, co ujrzał za płomieniami. - Angliku, mógłbym sobie życzyć, byśmy się kiedyś spotkali, i mieć nadzieję, że do tego nie dojdzie.

Roger zwiesił ręce między kolanami i czekał. Nie widział oczu Frasera, a w migających światłach ognia trudno było odczytać wyraz jego twarzy. W końcu Jamie zdrzął, pokręcił głową, jakby chciał przegonić myśli, i uświadomił sobie najwyraźniej, że Roger wciąż siedzi obok.

- Czy mam jej powiedzieć? Claire? - spytał Roger.

- A powiesz Briannie?

- Jeszcze nie, ale tak, powiem. - Spojrzał Fraserowi prosto w oczy. - Jest moją żoną.

- Na razie.

- Na zawsze, jeśli zechce.

Fraser zwrócił wzrok ku ognisku Cameronów. Drobna sylwetka Claire rysowała się wyraźnie na tle jasnego ognia.

- Obiecałem jej szczerość - odrzekł bardzo cicho. - Tak, powiedz jej.

Czwartego dnia całe zbocza góry były już zajęte przez przybyszów. Tuż przed zmierzchem mężczyźni zaczęli znosić drewno, układając je na wypalonym miejscu u stóp góry. Każda rodzina miała własne ognisko, tu jednak powstawał wielki ogień, wokół którego wieczorem zbierali się wszyscy, by zobaczyć, kto przybył w ciągu dnia.

Gdy zapadł zmrok, na zboczu góry tu i tam jak jasne kropki rozkwitły ognie, między płytkimi półkami skalnymi i płachetkami piasku. Przez chwilę przed oczami zarysował mi się symbol klanu MacKenziech - płonąca góra - i nagle zdałam sobie sprawę, czym ona jest. To nie wulkan, jak przedtem myślałam - to wizerunek takiego właśnie Zgromadzenia, gdzie ogniska poszczególnych rodzin pokazywały wszystkim, że klan jest obecny i jest razem. I po raz pierwszy zrozumiałam motto, towarzyszące symbolowi. Luceo non uro - oświatlam, nie płonę.

Wkrótce całe zbocze góry pulsowało ogniem. Niektóre płomienie były mniejsze i ruszały się, bo przywódca każdego rodu czy plantacji rozpalał gałąź od swego ogniska i niósł ją w dół, by dorzucić do płonącego stosu u stóp góry. Z naszego miejsca na stoku widziałam drobne figurki mężczyzn na tle ogromnego ognia.

Zanim Jamie skończył rozmowę z Geraldem Forbesem i wstał, swoje przybycie ogłosiło już z tuzin rodzin. Podał mi dziecko, śpiące głęboko mimo otaczającego je gwaru, i pochylił się, by zapalić gałąź od naszego ognia. Z dołu dobiegały okrzyki, wyraźnie słyszalne w czystym jesiennym powietrzu.

- MacNeillowie z Barry są tutaj!

- Lachlanowie z Glen Linnhe są tutaj!

Po chwili dobiegł mnie głośny, silny głos Jamiego.

- Fraserowie z Fraser's Ridge są tutaj!

Otoczając mnie ludzie - dzierżawcy, którzy przybyli tu z nami - zaczęli pokrzykiwać. Takie same okrzyki towarzyszyły deklaracjom innych głów rodów.

Siedziałam w milczeniu, trzymając w ramionach

bezwładne, ciężkie ciało. Spał z absolutnym zaufaniem; różowe usteczka były lekko rozchylone, a ciepły, wilgotny oddech ogrzewał mi pierś.

Jamie wrócił, pachnąc dymem i whisky; usiadł na pniu za mną i ujął mnie za ramiona. Odchyliłam się i oparłam o niego, ciesząc się tą bliskością. Po drugiej stronie ogniska Brianna i Roger siedzieli z pochylonymi ku sobie głowami i twarzami rozjaśnionymi przez ogień, pogrążeni w rozmowie.

- Chyba nie zmienią mu znowu imienia, co? - spytał Jamie, marszcząc lekko brwi.

- Chyba nie - odparłam. - Wiesz, kapłani robią również inne rzeczy, nie tylko chrzczą.

- Tak?

- Już dawno minął trzeci września. - Odchyliłam głowę w tył, by na niego spojrzeć. - Powiedziałaś jej, że do tego dnia powinna wybrać.

- To prawda. - Nisko na niebie rysował się księżyc, rzucając miękkie światło na jego twarz. Pochylił się i pocałował mnie w czoło, potem zaś sięgnął po moją wolną rękę. - A czy ty też wybierzesz? - spytał miękko. Otworzył dłoń, na której mignęło złoto. - Czy chcesz go z powrotem?

Spojrzałam mu w twarz, szukając wątpliwości. Nie znalazłam, zobaczyłam jednak oczekiwanie i głęboką ciekawość, co powiem.

- To było dawno temu.

- I bardzo długo. Jestem zazdrosnym człowiekiem, ale nie mściwym. Odebrałbym mu ciebie, moja Angielko, ale nie odbiorę jego tobie - zamilkł na chwilę. Płomienie odbijały się w obrączce. - To było twoje życie, prawda? Czy

chcesz je odzyskać? - spytał znowu. W odpowiedzi uniosłam dłoń, on zaś wsunął mi na palec złotą obrączkę.

Metal był ciepły od jego ciała.

„Od F. dla C. z miłością. Na zawsze”.

- Co powiedziałaś? - spytałam, bo mruknął coś po gaelicku, zbyt cicho, bym zrozumiała.

- Powiedziałem „Odejdź w pokoju” - odrzekł. - Ale nie mówiłem do ciebie, Angielko.

Coś zamigotało czerwienią po drugiej stronie ogniska.

Zauważyłam, że Roger unosi do ust dłoń Brianny. Na jej palcu migotał rubin Jamiego; odbijało się w nim światło księżyca i ognia.

- Widzę, że wybrała - powiedział cicho Jamie.

Brianna uśmiechnęła się, wpatrzona w twarz Rogera, i pochyliła się, by go pocałować. Potem wstała, otrzepała piasek ze spódnicy, wyjęła z ogniska gałąź i podała ją Rogerowi, mówiąc głośno i wyraźnie, więc usłyszeliśmy ją po drugiej stronie płomieni.

- Idź na dół i powiedz im, że MacKenzie są tutaj.

Podziękowania

Autorka pragnie złożyć serdeczne podziękowania:

Jackie Cantor, redaktor wydawnictwa, która słysząc, że napisałam kolejną część serii (hm), powiedziała: „Dlaczego wcale mnie to nie dziwi?”.

Susan Schwartz i jej wiernej ekipie - redaktorom, składaczom i grafikom - bez których nie byłoby tej książki; mam nadzieję, że kiedyś dojdą do siebie po tym doświadczeniu.

Mojemu mężowi, Dougowi Watkinsowi, od którego

usłyszałam: „Nie mam pojęcia, jakim cudem ci to puszczają; zupełnie nic nie wiesz o mężczyznach!”.

Mojej córce Laurze, która wspaniałomyślnie pozwoliła mi przywłaszczyć sobie dwie linijki z wypracowania napisanego przez nią w ósmej klasie, a które to linijki zostały wykorzystane w Prologu; mojemu synowi Samuelowi, który dopytywał się: „Czy ty kiedyś wreszcie skończysz pisać tę książkę?”, dodając bez przerwy na oddech: „Skoro znów jesteś zajęta, to czy możemy iść do McDonalda?”, oraz mojej córce Jennifer, która upewniała się: „Ale przebierzesz się, zanim przyjdiesz na spotkanie z moją klasą? Nie martw się, mam, już ci wybrałam strój!”.

Anonimowemu szóstoklasiście, który zwrócił mi próbny rozdział prezentowany na szkolnym spotkaniu z komentarzem: „Trochę wulgarnie, ale bardzo ciekawe. Ale ludzie chyba nie robią takich rzeczy naprawdę?”.

Iainowi MacKinnonowi Taylorowi i jego bratu Hamishowi za tłumaczenia gaelickich zwrotów, idiomów i barwnych inwektyw.

Nancy Bushey za taśmy z gaelickimi nagraniami. Karlowi Hagenowi za porady dotyczące gramatyki łacińskiej. Susan Martin i Reidowi Sniderowi za greckie epigramaty i gnijące pytony. Sylvii Petter, Elise Skidmore, Janet Kieffer Kelly i Karen Pershing za pomoc przy francuskich wyrażeniach.

Janet MacConnaughey i Keithowi Sheppardowi za łacińską poezję miłosną, makaronizmy i oryginalny tekst pieśni o Anakreonie.

Mary Campbell Toerner i Ruby Vincent za wypożyczenie niepublikowanych manuskryptów

dotyczących Szkotów zamieszkałych na Cape Fear. Clare Nelson za wypożyczenie wydania z 1771 roku Encyklopedii Britanniki. Esther i Billowi Schindlerom za wypożyczenie książek o lasach na Wschodzie.

Ronowi Wodaskiemu, Karlowi Hagenowi, Bruce'owi Woodsowi, Richowi Hamperowi, Eldonowi Garlockowi, Deanowi Quarrelowi i kilku innym panom z CompuServe Writers Forum za fachowe opinie dotyczące samopoczucia mężczyzny, który otrzymał kopniaka w jądra.

Marte Brengle za szczegółowe opisy ceremonii sweat lodge i sugestie na temat sportowych samochodów. Merrillowi Cornishowi za niezwykle opis kwitnącego judaszowca. Arlene i Joemu McCrea za imiona świętych i opisy orki mułem. Kenowi Brownowi za szczegóły dotyczące ceremonii chrztu w Kościele prezbiteriańskim (w tekście opis został znacznie skrócony). Davidowi Stanleyowi, przyszłemu wielkiemu pisarzowi szkockiemu, za wyjaśnienia na temat anoraków, kurtek i różnic między nimi.

Barbarze Schnell za tłumaczenia na niemiecki, korektę i życzliwą lekturę tekstu.

Dr Ellen Mandell za opinie medyczne, uważne czytanie i cenne wskazówki co do postępowania w przypadku przepukliny pachwinowej, aborcji i innych poważnych dolegliwości.

Dr Rosinie Lippi - Green za szczegóły dotyczące życia i zwyczajów Mohawków oraz informacje o szkockich językoznawcach i niemieckiej gramatyce.

Macowi Beckettowi za koncepcje dotyczące nowych i starych duchów.

Jackowi Whyte'owi za wspomnienia szkockiego śpiewaka folk oraz prawidłowe reakcje na żarty o kiltach.

Susan Davis za przyjaźń, bezgraniczny entuzjizm, dziesiątki książek, opisy pozbywania się kleszczy u dzieci - i za poziomki.

Waltowi Hawnowi i Gordonowi Fenwickowi za to, że powiedzieli mi, ile ma furlong. Johnowi Ravenscroftowi i uczestnikom UKForum za porywającą dyskusję o bieliznie używanej przez RAF w czasie drugiej wojny światowej. Eve Ackerman i pomocnym uczestnikom CompuServe SFLIT Forum za datę publikacji Conana Barbarzyńcy.

Barbarze Raisbeck i Mary M. Robbins za cenne źródła informacji o ziołach i wczesnej farmakologii.

Mojej anonimowej przyjaciółce z biblioteki za tony cennej bibliografii.

Arnoldowi Wagnerowi i Stevenowi Lopacie za dyskusję o materiałach wybuchowych małej i dużej mocy oraz ogólne porady dotyczące wysadzania różnych rzeczy w powietrze.

Margaret Campbell i innym użytkownikom Internetu z Karoliny Północnej za opisy ich pięknego stanu.

Johnowi L. Myersowi za to, że opowiedział mi o swoich duchach i że wielkodusznie zgodził się, bym wykorzystała pewne elementy jego fizjonomii i osobowości przy opisie niezwykłego Johna Quincy Myersa, Człowieka z Gór. Przepuklina jest fikcyjna.

I jak zawsze dziękuję licznym uczestnikom CompuServe Literary Forum i Writers Forum, których nazwiska umknęły mi z pamięci, za pomocne sugestie i życzliwe rozmowy, a także pracownikom AOL za

stymulujące dyskusje.

Specjalne podziękowania należą się Rosanie Madrid Gatti za jej wkład w stworzenie i obsługę nagrodzonej strony internetowej, Official Diana Gabaldon Web Page (www.cco.caltech.edu/~gatti/gabaldon/gabaldon.html).

Dziękuję również Lori Musser, Dawn Van Winkle, Kaerze Hallahan, Virginii Clough, Elaine Faxon, Ellen Stanton, Elaine Smith, Cathy Kravitz, Hanneke (której nazwisko niestety jest nieczytelne), Judith MacDonald, Susan Hunt i jej siostrze Holly, grupie Boise i wielu innym osobom za wino, rysunki, rózańce, czekoladę, muzykę celtycką, mydło, posążki, zasuszone wrzody z Culloden, chusteczki z wizerunkami echidny - pół kobiety, pół węża, maoryjskie pióra, angielską herbatę, narzędzia ogrodnicze i inne rozmaiłości, które miały podtrzymać mnie na duchu i zachęcić do pisania pomimo wyczerpania. Działo.

I na koniec dziękuję mojej matce, która dotyka mnie w przelocie.

Diana
Gabaldon

KONIEC